



KOMUNIA

E. MOREAU-NELATON (AUTOLITOGRAFIA)

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

O Rosji i o nas.

Myliłby się, kto by sądził, że niepokój, który ogarnia dziś całą Rosję, jest zwiastunem choroby i upadku. Kora pękająca na młodym drzewie, nie tylko nie zapowiada śmierci, lecz przeciwnie—jest dowodem tem większych sił i zdrowia, im pęknięcia są liczniejsze i głębsze.

Na drzewie narodowem—korę stanowią prawa i zwyczaje. Dopóki prawa i zwyczaje odpowiadają stopniowi dojrzałości i potrzebom narodu—są uznawane, trzymają się, kora nie pęka. Ale gdy ludność wzrasta, gdy mnożą się i urozmaicają stosunki, gdy potrzeba coraz więcej swobody i środków do walki o życie, wówczas nacisk tych czynników rozsadza korę praw i zwyczajów, które muszą przystosować się do nowych wymagań społecznego rozwoju.

Dotychczas Rosjanin był traktowany jak dziecko. Gdy chciał przejechać z jednego miejsca na drugie, pytano go: dokąd i po co jedzie? Gdy chciał uczyć się czytania i pisanie, mówiono mu, że to dla niego za wczesne, a gdy nauczył się tej sztuki, wyciągał rękę po książkę, wskazywano mu: jaką powinien czytać, a jakiej ma unikać. Jeżeli czuł potrzebę porozumienia się z innymi ludźmi, badano go: z kim i w jakim celu chce się porozumiewać i nie pozwalano mu wchodzić się z nieuznanem towarzystwem. Prócz tego ulegał on tysiącom rozporządzeń, które nie zawsze pojmował, a które niekiedy wręcz sprzeciwiały się jego sympatyom, nawet materyalnym interesom, i nareszcie, gdy które z ważniejszych rozporządzeń przekroczył, ulegał rozmaitym karom, nie wyłączając cielesnej.

Krótko mówiąc, przeciętny Rosjanin był isto-

tą niepełnoletnią pod każdym względem, wyjąwszy: zdrowia, dobrobytu i oświaty. W tych kierunkach miał zupełną swobodę: wolno mu było chorować na wszystkie niemoce od syfilisu do tyfusu głodowego i miał nieograniczone prawo być ciemnym jak noc grudniowa.

Takie były odwieczne zwyczaje i prawa, a jeżeli nie prawa, to przynajmniej tymczasowe rozporządzenia, które, dołączony do nich kancelaryjną pisaniną, mogły posłużyć za materyał do nowej wieży Babel.

System utrzymywania narodu w fazie niepełnoletności prasa rosyjska przypisuje biurokracji, która—sama chciała myśleć za wszystkich, a tym wszystkim kazała płacić. Skutki tego, aczkolwiek najjaskrawiej uwidoczniły się w wojnie z Japonią, są jednak nieporównanie ważniejsze, choć nie tak widoczne, w codziennym życiu narodu.



Tu dopiero pokazuje się, że urzędnicy nie mogą w myśleniu wyręczać społeczeństwa, i że Rosya potrzebuje na gwałt—jak największej liczby obywateli pełnoletnich...

Na czemże polega owa pełnoletność? Ludzie pełnoletni mają przede wszystkim rozległe stosunki: porozumiewają się między sobą. Przeciętny Anglik odbiera i wysyła rocznie do innych ludzi 80 posyłek pocztowych, przeciętny Szwajcar—110, a tymczasem Rosyanin wysyła i otrzymuje zaledwie 5 posyłek pocztowych na rok: szesnaście razy mniej aniżeli Anglik, dwadzieścia dwa razy mniej aniżeli Szwajcar.

Spójrzmy na oświatę i porównajmy pod tym względem Rosyę z jej najbliższym sąsiadem—Niemcami. Otóż, w stosunku do ludności, Rosya ma siedem razy mniej uczniów szkół elementarnych, sto trzydzieści razy mniej szkół średnich i trzy do czterech razy mniej uniwersytetów, aniżeli Niemcy. W rezultacie ludzi nie umiejących czytać, pomiędzy rekrutami, znajduje się trzysta pięćdziesiąt razy więcej w Rosyi aniżeli w Niemczech, w stosunku do ludności.

Nie o wiele lepiej dzieje się z gospodarstwem rolnem i dobrobytem. Średnio biorąc, ziemia rosyjska, pomimo ogromnych obszarów czarnoziemiu, wydaje (nawet na szlacheckich folwarkach) dwa razy mniej zbiorów aniżeli naprzykład w Niemczech, a na polach włościańskich jeszcze mniej. Bydła, w stosunku do ilości ziemi ornej, posiada Rosya cztery razy mniej aniżeli np. Dania, a i owo było jest gorsze. Konie zachodnio-europejskie mogą wieść trzy do siedmiu razy większy ciężar i przebiegać dwa razy większą przestrzeń aniżeli konie rosyjskie. Krowy rosyjskie ważą dwa do czterech razy mniej, a dają dwa do trzech razy mniej mleka, aniżeli zachodnio-europejskie. W rezultacie—ruchomy i nieruchomy majątek Rosyi jest taki, że gdyby podzielić go między wszystkich mieszkańców, każdy posiadałby 480 rubli, gdy tymczasem majątek Francyi dałby 2,000 rubli każdemu Francuzowi, a majątek Anglii 2.400 rubli każdemu Anglikowi.

I ze zdrowiem nie jest dobrze. Śmiertelność w Rosyi jest półtora raza większa aniżeli w Niemczech, a prawie dwa i pół raza większa, aniżeli w Szwecyi; dzieci w Rosyi do 5-go roku życia umiera 59 proc. do 76 proc.; śmiertelność z chorób zaraźliwych (szkarlatyny, błonicy i t. p.) jest bezporównania większa, niż w Europie; wypadki ślepoty są dwa do trzech razy częstsze, a w niektórych wsiach rosyjskich syfilitycy stanowią 19 do 52 proc. ogółu ludności. Zdarza się też i 73 proc.

I znowu ostateczny rezultat jest taki, że gdy przeciętny Anglik żyje 53 lata, pracuje 35 lat, a oszczędza przez 24 lata, gdy Niemiec żyje 37 lat, pracuje 19 lat, a oszczędza przez 8 lat, to przeciętny Rosyanin żyje tylko 29 lat, a pracuje przez 11 lat i nie oszczędza.

(Większą część cyfr powyższych znalazłem w niewydanej pracy ś. p. Jana Błocha).

Stosunków takich nie można nazwać pomyślnymi, nie trzeba jednak uważać za rozpaczliwe. Jedno pokolenie wystarczy, ażeby poprawić dobrobyt, zdrowie i oświatę narodu, ale do tego niezbędna jest usilna praca, oparta na głębokich reformach. Policjanta musi zastąpić lekarz i nauczyciel, karę cielesną i denuncjacje—uczucia obywatelskie i wszechludzkie; miejsce apatyj musi zająć inicjatywa, a zamiast wiary w to, że człowiek jest tyle wart, ile ma dochodów, musi zrodzić się wiara, że człowiek jest tyle wart, o ile potrafi być użyteczny dla innych.

Słowem—ażebym zmniejszyć chorobliwość i śmiertelność, a powiększyć dobrobyt, naród rosyjski musi mieć wyborną szkołę, w której obok czytania, pisania i rachunku, dowiedziabły się o higienie, naukach przyrodniczych, zastosowanych do rol-

nictwa, o początkach technologii chemicznej i mechanicznej. Ażebym rozwinął w sobie uczucia ludzkie i obywatelskie, naród ten musi stykać się z ludźmi w zebraniach i stowarzyszeniach, musi czytać pisma i książki, które w nim rozbudzałyby uczucia szlachetne. Nareszcie, ażeby rozwinąć w sobie ducha inicjatywy, przeciętny Rosyanin musi nie tylko wydobyć się z pod krępującej go kontroli, ale nadto—sam brać udział w stanowieniu praw i kontrolowaniu innych.

Otóż jest rzecz godna uwagi, że dzisiejsze ruchy społeczne w Rosyi, z nielicznymi wyjątkami, cechują się dążeniem właśnie do powyższych reform, z którymi godzą się i władze rządowe. Lekarze, adwokaci, technicy, profesorowie, szlachta, młodzież ucząca się, robotnicy, przedstawiciele duchowieństwa, wszyscy oni pragną—swobody osobistej, swobody stowarzyszeń i zebrań, zdrowej oświaty, udziału w stanowieniu praw i ich kontroli. Ruch ten nie jest więc robotą burzycielską, jak się niektórym wydaje, lecz—pracą w całym znaczeniu tego wyrazu—ulepszającą i twórczą.

Tylko na niektórych wsiach, skutkiem ciemnoty chłopów i podjudzań ze strony mętnych osobistości, ruch miewa cechy dzikie i niszczycielskie. Zdaje się też, że hasło tego ruchu jest najzupełniej fałszywe. Hasło owo wygląda tak, jak gdyby w Rosyi było ziemi za mało; tymczasem na przeciętnego mieszkańca Rosyi Europejskiej wypadła przeszło trzy razy więcej ziemi, aniżeli na Francuza, dziesięć razy więcej, niżej na Belgijczyka, a przeszło jedenaście razy więcej, aniżeli na Sakszończyka!... Nie ziemi brak, lecz umiejętności i pracy do korzystania z jej skarbów.

Wszystko to jest bardzo piękne,—powie czytelnik—ale co mnie to obchodzi?

Otóż obchodzi i bardzo.

Przedewszystkiem niedojrzałość cywilizacyjna jest prawie taka sama u nas, jak i w Rosyi, i mniej więcej z tych samych wypływa źródła. My także jesteśmy ubodzy, skłonni do chorób, krótko żyjemy, nie umiemy pracować i — brakuje nam oświaty. A jeżeli nasze rolnictwo stoi cokolwiek wyżej, a nasza ludność jest gęstsza od rosyjskiej, za to nie mamy ani cienia samorządu miejskiego lub powiatowego, język nasz jest wyparty ze szkół i wszelkich urzędów, i jesteśmy ciągle podejrzewani o wrogie zamiary przeciw bezpieczeństwu państwa, wbrew naszym zapewnieniom, naszym interesom, a nadewszystko wbrew oczywistym faktom.

Powtóre—obok wielu jednakowych potrzeb—społeczny ruch rosyjski odbił się u nas z zadziwiającą dokładnością: mieliśmy bezrobocie fabryczne, kolejowe, szkolne, a nawet—wiejskie spacerki, na szczęście nie połączone z rabunkami i podpalaniem dworów...

Po trzecie i co jest najważniejsze — jeżeli ciężkie położenie nasze zmieni się (o czem ja przynajmniej nie wątpię), zawdzięczać to będziemy rozbudzonemu dziś ruchowi reformatorskiemu w Rosyi, której najszlachetniejsi przedstawiciele kierują się zasadami humanitarnymi, głoszą równouprawnienie wyznań i narodowości.



Wyraziłem wiarę, że położenie nasze musi zmienić się na lepsze, a to tem rychlej, im więcej wpływu na rosyjską opinię publiczną mieć będą ludzie wyższych umysłów i szlachetniejszych dążeń. Ludzie bowiem tacy najlepiej rozumieją ducha naszych czasów, który, w mojem (może mylnem) przekonaniu, zarysowuje się w następujących formach:

1-mo. Wojna japońska, prócz olbrzymich wydatków, dla podłożenia którym trzeba będzie spęgać pracę wszystkich mieszkańców państwa i ograniczyć nieprodukcyjne wydatki, otóż—wojna japońska przyniosła Rosyi — wielką naukę. Dziś zwyciężyć można nie tylko zapomocą licznych batalionów i najdoskonalszej broni, lecz za pomocą żołnierzy, bardzo rozwiniętych pod względem umysłowym, bardzo energicznych i przywiązanych do swojej sprawy. Otóż proszę zastanowić się, czy np. żołnierz Polak, uczony mechanicznie w obcym języku — może mieć rozwinięty umysł? czy może mieć wielką energię, gdy będzie traktowany jak niewolnik? a nareszcie—czy może być przywiązany do swego jarzma tak, ażeby za nie oddał duszę? A jeżeli tak jest i jeżeli poza żołnierzami, aby zwyciężyli, powinno jeszcze stać oświecone, energiczne i przywiązane do państwa społeczeństwo, to położenie nasze wobec Rosyi musi się zmienić. Wynaradawianie bowiem, co chyba rozumie każdy mąż stanu, nie może przerobić narodu na jakiś inny, może go tylko, za cenę wielkich wydatków, zubożyć, ogłupić i upodlić. No, a tacy obywatele byłiby dla państwa nie pożytkiem, lecz klęską.

Przypuśćmy, że Wielkorosyanie są podobni do pszenicy, a rozmaci Małorusini, Litwini, Czuwasze, Polacy i im podobni są—owsem albo rumiankiem. Otóż niema tak mądrej, kosztownej i wytrwałej pracy, która owies przerobiłaby na pszenicę; wysiłki w tym kierunku mogą albo wytepić owies, albo doprowadzić go do najgorszej odmiany. Czy zaś wobec tego nie lepiej hodować owies jako owies i wytworzyć z niego odmianę najlepszą, która największe przynosiłaby zyski?

2-do. Ludzkość ucywilizowana, ile można dziś wyrozumieć jej rozwój, wcale nie posuwa się w kierunku wytworzenia jakiejś jednej narodowości. Ona raczej dąży do wytworzenia jeszcze większej liczby odmian narodowościowych, a zarazem do — jak najsilniejszego zsolidaryzowania ich między sobą. Więc i w Państwie Rosyjskiem istniejące narodowości nie tylko nie zechcą dokonać samobójstwa na rzecz panującej, ale raczej—pomnożą się a, mądrość rządu pracować musi w tym kierunku, ażeby—między owymi rozmaitymi pierwiastkami wytworzyć jak najsilniejszą i to nie mechaniczną, lecz żywą duchową solidarność.

Ściśle rzeczy biorąc, Rosya nie jest państwem, ale raczej nad-państwem, królestwem królestw, częścią świata. Jej przeznaczenie jest więc wyższe, a tymczasem niektórzy jej synowie chcą gwałtem utrzymać ją na szczeblu niższym. Jednakże czas, życie i oświata zrobią swoje, i nareszcie musi przyjść chwila, że każdy szczerzy patriota rosyjski zrozumie, iż—tolerancja, jak najszerzej pojęta, jest lepszą i naturalniejszą polityką, aniżeli wynaradawianie.

Streszczam się. Dzisiejszy umysłowy i społeczny ruch w Rosyi nie jest objawem choroby, lecz dowodem siły i zdrowego rozwoju. My na tym ruchu tylko możemy zyskać, ale pod warunkiem, że będziemy rozwijali swoje duchowe zdolności i materialne zasoby pod hasłem najwyższych ideałów: szczęścią, doskonałości i użyteczności.

Jak wszyscy ludzie, tak i my mamy prawo do szczęśliwego życia, ale — musimy starać się o coraz wyższy stopień doskonałości i — musimy być użytecznymi—nie tylko dla samych siebie, lecz i dla naszych sąsiadów, i dla całej, wszechludzkiej cywilizacji.





JADZIA

JÓZEF RAPACKI

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Co to jest patriotyzm?

Według najbardziej upowszechnionych opinii, a także według mniejszej encyklopedyi Larousse'a—patriotyzm jest to miłość ojczyzny. A że ojczyzna to samo znaczy co kraj i społeczeństwo, więc na imię dobrego patrioty zastąpiłaby ten, kto kocha kraj i kocha społeczeństwo.

W powyższej definicji nie wspomina się o ludziach, więc—według niej—dobry patriota może nie kochać ludzi; owszem, wolno mu psy wieszać na nich, odsądzać od czci i wiary, choćby byli najzacniejszych.

Nie dość na tem. Gdy zapytacie kogo: co znaczy kochać ojczyznę?—najzwyczajniej odpowie wam, że—jest to pragnąć dla niej wszelkiego szczęścia, a nawet poświęcić się, gdyby tego wymagało szczęście ojczyzny.

Krótko mówiąc, według najpopularniejszych sądów opinii publicznej, patriotyzm winien polegać na *uczuciu*—silnem, bardzo silnem, najsilniejszym, ale tylko na uczuciu. Najlepsze zaś życzenie, jakie możemy mieć dla ojczyzny, jest to, ażeby była *szczęśliwa* czyli zadowolona. Gdyż na tej ziemi miarą szczęścia jest — zadowolenie, jak najsilniejszą formą miłości jest—poświęcenie siebie, swego zdrowia, wolności, przyszłości, nawet życia. To też zdarzają się patrioci, którzy, nie mogąc poświęcić się, nie robią nic: ojczyzna bowiem—według nich—lekceważy jakieś tam drobne okruciny naszego życia, a wymaga ofiar wielkich. Mogliby zaś zdarzyć się i tacy patrioci, którzy w braku sposobności ofiarowania się na rzecz ojczyzny, gotowi wtrącić ją w niebezpieczeństwo, byle na płomieniach klęsk, jakie ją ogarną, spalić samych siebie.

Gdy zaś już po podpaleniu stosu zabrakłoby im odwagi do męczeństwa, wówczas oni i ich przyjaciele mogliby powiedzieć:

— Ha, trudno!... nie obrachowali się z nerwami, ale—chęci mieli najszlachetniejsze...

Takie bywają skutki wiary w niedokładne definicje. Wiadomo wreszcie z historii, że nie jedno nieszczęście wypłynęło z wadliwej definicji. Pławiono w rzekach historyczki—mylnie zwane czarownicami, i wypędzano z kraju ludzi wyznających inną religię, ponieważ, według mylnej definicji, nazywali się oni wrogami społeczeństwa.

Po tych uwagach wstępnych spróbujmy podać nieco dokładniejsze, a raczej zupełniejsze określenie patriotyzmu.

Przedewszystkiem jest prawdą, że na dnie patriotyzmu leży uczucie, uczucie gorącej miłości do swego kraju i społeczeństwa. Dopóki siedzimy



w domu, uczucie to drzemie; ale gdy znajdziemy się na obczyźnie, przez dłuższy czas—„głód ojczyzny“ budzi się z ogromną siłą, staje się bolesną tęsknotą, której nie ulagoda najpiękniejsze obce krajobrazy, najwyszukańsze rozrywki pomiędzy nieswoimi ludźmi.

Pomijając źródło tego przywiązania, zaznaczam, że ono istnieje w sercach zarówno ludzi ubogich, jak i bogatych, zarówno oświeconych, jak i ciemnych. Zdaje się nawet występować najsilniej u osób niższej cywilizacji i słabszego umysłowego rozwoju.

Miłość ojczyzny jest więc najmocniejszym i najgłębszym czynnikiem patriotyzmu, ale nie jedynym. Ta sama „zagranica“, która budzi w nas tęsknotę do kraju, ona sama w duszach szlachetniejszych wywołuje wyższy stopień patriotyzmu, mianowicie: zrozumienie i krytykę naszego własnego kraju. Przypatrując się biegowi codziennego życia wśród ludów bardziej ucywilizowanych, obserwujemy mnóstwo rzeczy i zjawisk lepszych, aniżeli u nas. Domy są ładniejsze, mieszkania i ludzie czystszy, przechodnie grzeczniejsi, zwierzęta lepiej utrzymane, obyczaje łagodniejsze i wytworniejsze. Kto zaś umie i ma sposobność jeszcze głębiej spojrzeć, przekonywa się, że za granicą kipi bez porównania więcej pracy, oświaty, solidarności, że piękna, wynalazków, bezpieczeństwa i sprawiedliwości jest tam daleko więcej, aniżeli u nas.

W pierwszej chwili odkrycia te napełniają nas goryczą. Płacemy już nietylko z tęsknoty za oddalonym krajem, lecz i sami nad sobą, że urodziliśmy się w tak barbarzyńskim otoczeniu. Ale gdy nareszcie powrócimy do ojczystych progów, gdy żal przygaśnie, wówczas miejsce nostalgii poczynają zajmować wspomnienia tych pięknych i szczęśliwych krajów, które podziwialiśmy, zaczyna budzić się subtelna tęsknota za nimi i nareszcie chęć, ażeby te wszystkie piękne, mądre i dostojne rzeczy, jakie widzieliśmy gdzieś indziej, przeschęścić na grunt nasz własny!

I otóż poznaliśmy trzy stopnie patriotyzmu: najniższy objawia się w uczuciu, następny w umyśle, najwyższy w działaniu. Kochać ojczyznę to nie wszystko: potrzeba ją nietylko kochać, lecz nadto znać i rozumieć; ale i to nie wszystko, gdyż kochając i rozumiejąc ją, trzeba jeszcze coś dla niej robić, ulepszać ją... Innymi słowy: ojczyznę ogarniać należy nietylko uczuciem, lecz umysłem i wolą, czyli całą duszą, wszystkimi jej władzami.

Oddać ojczyźnie serce, mózg i muskuły, to już chyba najwyższy stopień patriotyzmu?... O nie!.. to dopiero pierwsze piętro. Ojczyzna jest to pojęcie oderwane, opierające się na wielu realnych przedmiotach, które stanowią niby jej części składowe. Pierwszą taką częścią jest ziemia, kraj ubogi, płaski, pokryty niezbyt osobiwą roślinnością, prawie pozbawiony tego, co gdzieś indziej nazywa się cudami natury. Otóż ten to kraj nietylko trzeba kochać, lecz i zbadać go pod wszelkimi względami: geologicznym, klimatycznym, botanicznym, zoologicznym, a zbadawszy go, pracować nad wydobyciem jego bogactw i spotęgowaniem życia.

A ludzkie wyroby, te sprzęty, naczynia, narzędzia i odzież, którymi posługujemy się codziennie, czy nie warte są, ażeby je kochać, badać, ulepszać?... Rzeczywiście, do niedawna mało zajmowaliśmy się nimi; dziś jednak, dzięki pracom stowarzyszenia „Sztuki polskiej“, nasz patriotyzm zaczyna przytulać i tych zaniedbanych pasierbów, z których kiedyś, przy odpowiednim zajęciu się nimi, może wyrosnąć pożytek, a nawet rozgłos dla narodu.

O poezji, muzyce, malarstwie, dramacie i innych utworach ducha to chyba powiemy, że oddawna były pieszczochami naszego patriotyzmu.

Czy zawsze badaliśmy je w sposób krytyczny, czy zawsze porównywaliśmy z obcymi utworami, czy nigdy nie zaniedbywaliśmy dzieł prawdziwej wartości, a nie wypychali na pierwszy plan mierzalnych produktów?... o tem możnaby porozmawiać. W każdym razie ta cząstka ojczyzny cieszyła się stosunkowo największymi względami, przynajmniej klas oświeconych.

Najmniej szczęścia w oczach patriotyzmu posiadają ludzie. Mimo przykazań o miłości bliźniego, kochamy ich bardzo niewiele, a jeżeli należą do nienaszej partii, jeżeli mają inne, niż my, poglądy religijne, filozoficzne, czy polityczne—nie nawidzimy ich tak, jak chyba żadnego wroga. Badania też nad stanem zdrowia ludzi, ich organicznymi właściwościami, ich działalnością duchową, dopiero zaczynają się. A co się tyczy pracy nad ulepszeniem ludzi pod fizycznym i duchowym względem, o tem lepiej nie mówić!... Wszystko to jeszcze należy do owej dalekiej przyszłości, w której zaczniemy rozumieć, że od poświęcania się dla abstrakcyjnych pojęć i uczuć, lepsza jest odrobina życzliwości i pracy dla rzeczywistych ludzi.

I otóż wspieliśmy się na drugie piętro patriotyzmu, z którego widzimy, że niedość jest kochać idealną ojczyznę, ale że trzeba jeszcze kochać, badać i ulepszać realną ziemię, realnych ludzi i realne ich mienie.

Czy to już dosyć?... o nie!... Rzeczywisty patriotyzm to bardzo wysoka góra, której poznaliśmy dopiero dwie kondygnacje, a teraz pocznemy wspinać się na trzecią.

Patriotyzm w społeczeństwie odgrywa rolę podobną do spójności w przedmiotach materialnych: skupia oddzielne cząstki i ze zbioru ich tworzy całość. Dzięki zwyczajom, prawom, tradycjom, językowi, a nareszcie patriotyzmowi, miliony ludzi należące do tej samej narodowości, tworzą jeden organizm, jakby olbrzymiego człowieka, który może posiadać jedno uczucie, myśl, pragnienie tudzież siły do urzeczywistnienia swoich celów. Każdy człowiek oddzielny ze swem ciałem i duszą stanowi cząsteczkę owego niezmierzonego olbrzyma, który nazywa się narodem. Ów zaś olbrzym to będzie czuł, tego pragnął, to wiedział i to robił, co — czują, pragną, wiedzą i co zgodnie robią składające go jednostki.

Jeżeli porównamy naród z olbrzymim a żyjącym i myślącym człowiekiem, następcy się pytanie: jakie obowiązki względem owego olbrzyma mieć będzie prawdziwy patriota?...

Opinia publiczna już odpowiedziała na to pytanie: największym i najpierwszym obowiązkiem jest starać się ażeby naród był szczęśliwy. Ale cóż to jest szczęście?



Prawdziwy zatem patriota nietylko nie powinien szkodzić swojemu narodowi, lecz owszem—ma obowiązek przykładać się do wszystkiego, co stanowi o jego pomyślności. Więc nie będzie wyzywał się ziemi na rzecz komisji kolonizacyjnej, ale owszem—zachowa to, co ma i jeszcze dokupi więcej. Nie będzie też robił nic takiego, co mogłoby przyczynić się do ograniczenia swobody, albo pewności moralnej społeczeństwa; przeciwnie — zrobi wszystko, co można, ażeby zakres tej swobody i pewności rozszerzyć. Będzie on także współdziałał rozwojowi dobrobytu, pracy i oświaty narodowej, jak również temu wszystkiemu, co może wpłynąć na dobre wychowanie młodzieży i rozwój życzliwych stosunków między współobywatelami.

Naród zdrowy, bezpieczny, zamożny, pracowity i moralny, ma prawo nazywać się szczęśliwym i zadowolonym; czy jednak wystarczy mu to w życiu?... Wcale nie. Szczęście bowiem narodu zależy nietylko od niego samego, lecz i od jego—sąsiadów, z których jeden dostarcza mu zboża, inny mięsa, inny machin, tkanin lub preparatów chemicznych, a jeszcze inny—dzieł sztuki, odkryć naukowych, wynalazków technicznych lub filozoficznych poglądów.

Słowem — wszystkie ucywilizowane narody wymieniają między sobą jakieś wytwory swoich prac; każdy działa nietylko dla własnego, lecz i dla dobra innych, za które musi—ale to konieczne musi — płacić im równie użytecznymi usługami. Naród, który nie brałby czynnego i gorącego udziału w powszechnem krążeniu produktów naturalnych, wyrobów przemysłowych, a nade wszystko—idei, straciłby szacunek u sąsiadów i w końcu—musiałby zginąć.

Z tego wynika, że dobry patriota powinien życzyć narodowi swemu nietylko tego, ażeby był *zadowolony*, lecz i tego, ażeby był w jakiś sposób *użyteczny* dla innych, ażebyś jakąś rolę odegrywał w cywilizacji.

A ponieważ ludy ucywilizowane wciąż idą naprzód, wciąż doskonalą swoje bogactwa materialne, stosunki wewnętrzne i swoje władze duchowe, więc i nasz naród musi także iść naprzód i także doskonalic swoje środki materialne, swego ducha i swoje stosunki wewnętrzne.

Streścimy się.

Prawdziwy patriotyzm nietylko polega na tem, ażeby „kochać“ jakąś idealną ojczyznę, ale—ażeby kochać, badać i pracować dla realnych składników tej ojczyzny, którymi są: ziemia, społeczeństwo, ludzie i wszelkie ich bogactwa.

Prawdziwy patriota ojczyźnie swojej powinien życzyć nietylko tego, ażeby była szczęśliwa, lecz i tego, ażeby była użyteczna dla cywilizacji i ażeby — ciągle, we wszystkich kierunkach życia i pracy, posuwała się naprzód.

Nareszcie — prawdziwy patriota winien dla ojczyzny swej stawiać jak najwznioślejsze, jak najszlachetniejsze ideały, nietylko dlatego, ażeby ona za ich pomocą zdobyła cześć u obcych, lecz i dlatego, że pracując dla wielkich ideałów człowiek sam staje się lepszym i coraz szlachetniejszym.

No, chyba zbyt wiele byłoby przypominać, że istotny patriotyzm wcale nie potrzebuje walk ani wewnętrznych, między stronnictwami, ani zewnętrznych z obcymi narodami. Nienawiści wewnętrzne z powodów religijnych, czy ekonomicznych, są niby gangrena w ludzkim ciele i albo muszą być uleczone, albo—doprowadzą do śmierci. Nienawiść zaś do innych ludów, jakkolwiek ją nazwiemy: szowinizmem, hakatyzmem, czy nacjonalizmem, nie jest objawem zdrowego patriotyzmu, lecz—chorobliwej zarozumiałości i niepomamowanego egoizmu, który musi budzić pogardę zarówno dla jednostek, jak i dla społeczeństw niem dotkniętych.





JADZIA

JÓZEF RAPACKI

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Co to jest patriotyzm?

Według najbardziej upowszechnionych opinii, a także według mniejszej encyklopedyi Larousse'a—patriotyzm jest to miłość ojczyzny. A że ojczyzna to samo znaczy co kraj i społeczeństwo, więc na imię dobrego patrioty zasługiwałby ten, kto kocha kraj i kocha społeczeństwo.

W powyższej definicji nie wspomina się o ludziach, więc—według niej—dobry patriota może nie kochać ludzi; owszem, wolno mu psy wieszać na nich, odsądzać od czci i wiary, choćby byli najzacniejszych.

Nie dość na tem. Gdy zapytacie kogo: co znaczy kochać ojczyznę?—najzwyczajniej odpowie wam, że—jest to pragnąć dla niej wszelkiego szczęścia, a nawet poświęcić się, gdyby tego wymagało szczęście ojczyzny.

Krótko mówiąc, według najpopularniejszych sądów opinii publicznej, patriotyzm winien polegać na *uczuciu*—silnem, bardzo silnem, najsilniejszym, ale tylko na uczuciu. Najlepsze zaś życzenie, jakie możemy mieć dla ojczyzny, jest to, ażeby była *szczęśliwa* czyli zadowolona. Gdyż na tej ziemi miarą szczęścia jest — zadowolenie, jak najsilniejszą formą miłości jest—poświęcenie siebie, swego zdrowia, wolności, przyszłości, nawet życia.

To też zdarzają się patrioci, którzy, nie mogąc poświęcić się, nie robią nic: ojczyzna bowiem—według nich—lekceważy jakieś tam drobne okruciny naszego życia, a wymaga ofiar wielkich.

Po tych uwagach wstępnych spróbujmy podać nieco dokładniejsze, a raczej zupełniejsze określenie patriotyzmu.

Przedewszystkiem jest prawdą, że na dnie patriotyzmu leży uczucie, uczucie gorącej miłości do swego kraju i społeczeństwa. Dopóki siedzimy w domu, uczucie to drzemie; ale gdy znajdziemy się na obczyźnie, przez dłuższy czas—„głód ojczyzny“ budzi się z ogromną siłą, staje się bolesną tęsknotą, której nie ułagodzą najpiękniejsze obce krajobrazy, najwyszukańsze rozrywki pomiedzy nieswoimi ludźmi.

Pomijając źródło tego przywiązania, zaznam, że ono istnieje w sercach zarówno ludzi ubogich, jak i bogatych, zarówno oświeconych, jak i ciemnych.

Miłość ojczyzny jest więc najmocniejszym i najgłębszym czynnikiem patriotyzmu, ale nie jedynym. Ta sama „zagranica“, która budzi w nas tęsknotę do kraju, ona sama w duszach szlachetniejszych wywołuje wyższy stopień patriotyzmu,



mianowicie: zrozumienie i krytykę naszego własnego kraju. Przypatrując się biegowi codziennego życia wśród ludów bardziej ucywilizowanych, spostrzegamy mnóstwo rzeczy i zjawisk lepszych, aniżeli u nas. Domy są ładniejsze, mieszkania i ludzie czystszy, przechodnie grzeczniejsi, zwierzęta lepiej utrzymane, obyczaje łagodniejsze i wytworniejsze. Kto zaś umie i ma sposobność jeszcze głębiej spojrzeć, przekonywa się, że za granicą kipi bez porównania więcej pracy, oświaty, solidarności, że piękna, wynalazków, bezpieczeństwa i sprawiedliwości jest tam daleko więcej, aniżeli u nas.

W pierwszej chwili odkrycia te napełniają nas goryczą. Płacemy już nietylko z tęsknoty za oddalonym krajem, lecz i sami nad sobą, że urodziliśmy się w barbarzyńskim otoczeniu. Ale gdy nareszcie powrócimy do ojczystych progów, gdy żal przygaśnie, wówczas miejsce nostalgii poczynają zajmować wspomnienia tych pięknych i szczęśliwych krajów, które podziwialiśmy, zaczyna budzić się subtelna tęsknota za nimi i nareszcie chęć, ażeby te wszystkie piękne, mądre i dostojne rzeczy, jakie widzieliśmy gdzieindziej, przeschwiecić na grunt nasz własny!

I otóż poznaliśmy trzy stopnie patryotyzmu: najniższy objawia się w uczuciu, następny w umyśle, najwyższy w działaniu. Kochać ojczyznę to nie wszystko: potrzeba ją nietylko kochać, lecz nadto znać i rozumieć; ale i to nie wszystko, gdyż kochając i rozumiejąc ją, trzeba jeszcze coś dla niej robić, ulepszać ją... Innymi słowy: ojczyznę ogarniać należy nietylko uczuciem, lecz umysłem i wolą, czyli całą duszą, wszystkimi jej władzami.

Oddać ojczyźnie serce, mózg i muskuły, to już chyba najwyższy stopień patryotyzmu?... O nie!.. to dopiero pierwsze piętro. Ojczyzna jest to pojęcie oderwane, opierające się na wielu realnych przedmiotach, które stanowią niby jej części składowe. Pierwszą taką częścią jest ziemia, kraj ubogi, płaski, pokryty niezbyt osoblwią roślinnością, prawie pozbawiony tego, co gdzieindziej nazywa się cudami natury. Otóż ten to kraj nietylko trzeba kochać, lecz i zbadać go pod wszelkimi względami: geologicznym, klimatycznym, botanicznym, zoologicznym, a zbadawszy go, pracować nad wydobyciem jego bogactw i spotęgowaniem życia.

A ludzkie wyroby, te sprzęty, naczynia, narzędzia i odzież, którymi posługujemy się codzień, czy nie warte są, ażeby je kochać, badać, ulepszać?... Rzeczywiście, do niedawna mało zajmowaliśmy się nimi; dziś jednak, dzięki pracom stowarzyszenia „Sztuki polskiej“, nasz patryotyzm zaczyna przytulać i tych zaniedbanych pasierbów, z których kiedyś, przy odpowiednim zajęciu się nimi, może wyrosnąć pożytek, a nawet rozgłos dla narodu.

O poezji, muzyce, malarstwie, dramacie i innych utworach ducha to chyba powiemy, że oddawna były pieśczołkami naszego patryotyzmu. Czy zawsze badaliśmy je w sposób krytyczny, czy zawsze porównywaliśmy z obcymi utworami, czy nigdy nie zaniedbywaliśmy dzieł prawdziwej wartości, a nie wypychali na pierwszy plan mierzalnych produktów?... o tem możnaby porozmawiać. W każdym razie ta część ojczyzny cieszyła się stosunkowo największymi względami, przynajmniej klas oświeconych.

Najmniej szczęścia w oczach patryotyzmu posiadają ludzie. Mimo przykazań o miłości bliźniego, kochamy ich bardzo niewiele, a jeżeli należą do nienaszej partyi, jeżeli mają inne, niż my, poglądy religijne, filozoficzne, czy polityczne—nie nawiedzimy ich tak, jak chyba żadnego wroga. Badania też nad stanem zdrowia ludzi, ich organicznymi właściwościami, ich działalnością duchową,

dopiero zaczynają się. A co się tyczy pracy nad ulepszeniem ludzi pod fizycznym i duchowym względem, o tem lepiej nie mówić!.. Wszystko to jeszcze należy do owej dalekiej przyszłości, w której zaczniemy rozumieć, że od poświęcania się dla abstrakcyjnych pojęć i uczuć, lepsza jest odrobina życzliwości i pracy dla rzeczywistych ludzi.

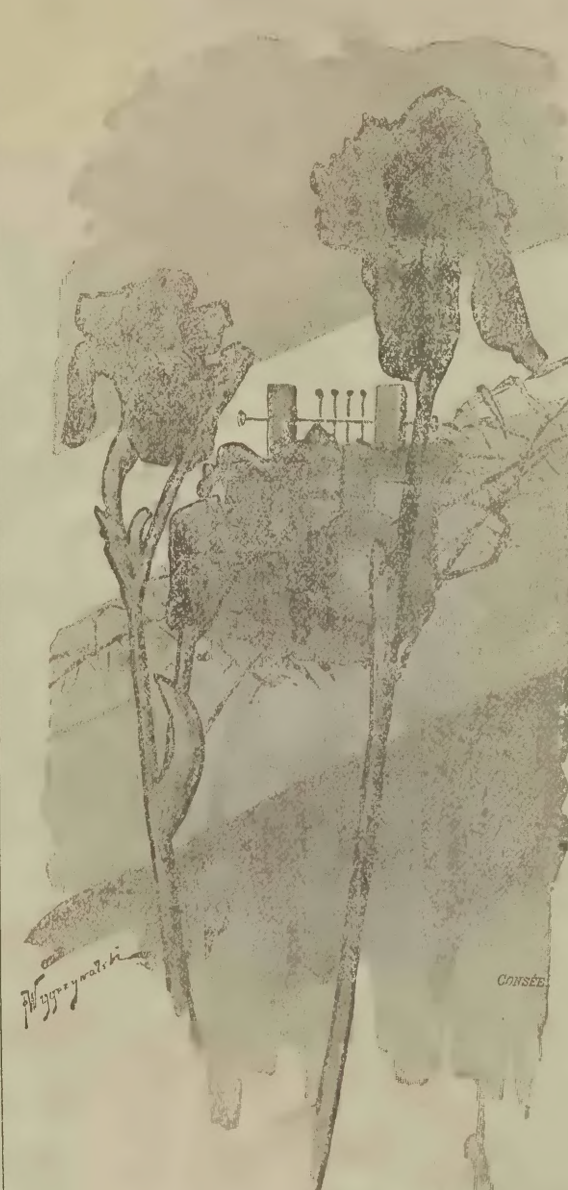
I otóż wspięliśmy się na drugie piętro patryotyzmu, z którego widzimy, że niedość jest kochać idealną ojczyznę, ale że trzeba jeszcze kochać, badać i ulepszać realną ziemię, realnych ludzi i realne ich mienie.

Czy to już dosyć?... o nie!.. Rzeczywisty patryotyzm to bardzo wysoka góra, której poznaliśmy dopiero dwie kondygnacje, a teraz pocniemy wspinać się na trzecią.

Patryotyzm w społeczeństwie odgrywa rolę podobną do spójności w przedmiotach materialnych: skupia oddzielne części i ze zbioru ich tworzy całość. Dzięki zwyczajom, prawom, tradycjom, językowi, a nareszcie patryotyzmowi, miliony, ludzi należących do tej samej narodowości, tworzą jeden organizm, jakby olbrzymiego człowieka, który może posiadać jedno uczucie, myśl, pragnienie tudzież siły do urzeczywistnienia swoich celów. Każdy człowiek oddzielny ze swem ciałem i duszą stanowi cząsteczkę owego niezmiernego olbrzyma, który nazywa się narodem. Ów zaś olbrzym to będzie czuł, tego pragnął, to wiedział i to robił, co — czują, pragną, wiedzą i co zgodnie robią składające go jednostki.

Jeżeli porównamy naród z olbrzymim a żyjącym i myślącym człowiekiem, następcy się pytanie: jakie obowiązki względem owego olbrzyma mieć będzie prawdziwy patryota?..

Opinia publiczna już odpowiedziała na to pytanie: największym i najpierwszym obowiązkiem jest starać się ażeby naród był szczęśliwy. Ale cóż to jest szczęście?



Fundamentem szczęścia dla narodu, jak i dla człowieka jest zdrowie i bezpieczeństwo.

Prawdziwy zatem patryota nietylko nie powinien szkodzić swojemu narodowi, lecz owszem—ma obowiązek przykładać się do wszystkiego, co stanowi o jego pomyślności. Więc nie będzie wyzywał się ziemi na rzecz komisji kolonizacyjnej, ale owszem—zachowa to, co ma i jeszcze dokupi więcej. Nie będzie też robił nic takiego, co mogłoby przyczynić się do ograniczenia swobody, albo pewności moralnej społeczeństwa; przeciwnie — zrobi wszystko, co można, ażeby zakres tej swobody i pewności rozszerzyć. Będzie on także współdziałał rozwojowi dobrobytu, pracy i oświaty narodowej, jak również temu wszystkiemu, co może wpłynąć na dobre wychowanie młodzieży i rozwój życzliwych stosunków między współobywatelami.

Naród zdrowy, bezpieczny, zamożny, pracowity i moralny, ma prawo nazywać się szczęśliwym i zadowolonym; czy jednak wystarczy mu to w życiu?... Wcale nie. Szczęście bowiem narodu zależy nietylko od niego samego, lecz i od jego sąsiadów, z których jeden dostarcza mu zboża, inny mięsa, inny machin, tkanin lub preparatów chemicznych, a jeszcze inny—dzieł sztuki, odkryć naukowych, wynalazków technicznych lub filozoficznych poglądów.

Słowem — wszystkie ucywilizowane narody wymieniają między sobą jakieś wytwory swoich prac; każdy działa nietylko dla własnego, lecz i dla dobra innych, za które musi—ale to konieczne musi — płacić im równie użytecznymi usługami. Naród, który nie brałby czynnego i gorącego udziału w powszechnem krążeniu produktów naturalnych, wyrobów przemysłowych, a nade wszystko—idei, straciłby szacunek u sąsiadów i w końcu—musiałby zginąć.

Z tego wynika, że dobry patryota powinien życzyć narodowi swemu nietylko tego, ażeby był *zadowolony*, lecz i tego, ażeby był w jakiś sposób *użyteczny* dla innych, ażeby jakąś rolę odegrywał w cywilizacji.

A ponieważ ludy ucywilizowane wciąż idą naprzód, wciąż doskonalą swoje bogactwa materialne, stosunki wewnętrzne i swoje władze duchowe, więc i nasz naród musi także iść naprzód i także doskonalic swoje środki materialne, swe go ducha i swoje stosunki wewnętrzne.

Streśćmy się.

Prawdziwy patryotyzm nietylko polega na tem, ażeby „kochać“ jakąś idealną ojczyznę, ale—ażeby kochać, badać i pracować dla realnych składników tej ojczyzny, którymi są: ziemia, społeczeństwo, ludzie i wszelkie ich bogactwa.

Prawdziwy patryota ojczyźnie swojej powinien życzyć nietylko tego, ażeby była *szczęśliwa*, lecz i tego, ażeby była *użyteczna* dla cywilizacji i ażeby — ciągle, we wszystkich kierunkach życia i pracy, posuwała się naprzód.

Nareszcie — prawdziwy patryota winien dla ojczyzny swej stawiać jak najwznioślejsze, jak najszlachetniejsze ideały, nietylko dlatego, ażeby ona za ich pomocą zdobyła część u obcych, lecz i dlatego, że pracując dla wielkich ideałów człowiek sam staje się lepszym i szlachetniejszym.

No, a chyba zbyt wiele byłoby przypominać, że istotny patryotyzm wcale nie potrzebuje walk ani wewnętrznych, między stronnictwami, ani zewnętrznych, z obcymi narodami. Nienawiści wewnętrzne z powodów religijnych, politycznych czy ekonomicznych, są niby gangrena w ludzkim ciele i albo muszą być uleczone, albo—doprowadzą do śmierci. Nienawiść zaś do innych ludów, jakkolwiek ją nazwiemy: szowinizmem, hakatyzmem, czy nacjonalizmem, nie jest objawem zdrowego patryotyzmu, lecz—egoizmu, który musi budzić niechęć zarówno dla jednostek, jak i dla społeczeństw niem dotkniętych.



ZYGMUNT AUGUST W PRACOWNI WITA STWOSZA W KRAKOWIE
Ze zbiorów Wiktora Gomulickiego

ADRYAN GŁĘBOCKI

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Młodzi i starzy.

Po wieczery, złożonej, jak wspomnieliśmy, z majonezu, szynki gorącej, tudzież kogutów, które, skutkiem późnego wieku stały się kapłonami, towarzystwo powróciło do sali obrad i zabrał głos pan D.

Pan D. Szanowni panowie! Miałem zaszczyt być na kilkunaśtu wiecach, podobnych niniejszemu, a na każdym uderzyła mnie bardzo ostra, że nie powiem: bardzo przykra dla mnie rozbieżność zdań. Oto i dzisiaj szanowny pan A. z całą stanowczością potępia bezrobocie i nasze dziennikarstwo, że nie występuje dość energicznie przeciw bezrobociom, kiedy znów szanowny pan B. nie mniej stanowczo pochwała bezrobocia, a szanowny pan C. twierdzi, że wszelkie „nawoływania” dzienników przeciw bezrobociom nie będą miały najmniejszego skutku. Czy więc nie sądzić, szanowni panowie, że wobec podobnej niezgodności zdań, niemożliwe jest jakiekolwiek porozumienie i praca zbiorowa?... I czy nie należałoby poszukać wspólnego tła, na którym mogliby się spotkać wyznawcy rozmaitych poglądów?...

Pan A. Nie wyobrażam sobie podstawy, na której ludzie, kochający swój naród, zeszliby

się z takimi, którzy narodowi szkodzą i pracują na rzecz jego najgorszych nieprzyjaciół...

Pan B. (zirytowany). Proszę o głos!...

Pan A. Za pozwoleniem, niech ja skończę...

Kto posiada choć odrobinę zimnej krwi, ten chyba przyzna, że dzisiejsze niepokoje mogą zachwiać bytem fabryk i folwarków, wtrącić w nędzę robotników i parobków, zatamować nasz społeczny rozwój i—w ostatecznym rezultacie—szeroko otworzyć drzwi nie tylko dla przemysłu niemieckiego, lecz i dla niemieckich zamiarów politycznych.

Prusom wiele zależy na tem, ażeby nas między sobą różnić, osłabić, zubożyć, ogłupić i upodlić. No i powiedzmy, że od 40-tu lat udaje się to im bardzo gładko, a pójdzie jeszcze łatwiej, gdy my sami przyłożymy do tego ręki... Z taką robotą, ze ślepego spełnianiem rozkazów, które nie wiadomo skąd wychodzą, a grożą naszemu istnieniu, żaden dobry obywatel nie tylko nie może się solidaryzować, ale nawet porozumiewać...

Pan B. (błąd z gniewu). Idąc tutaj, zarówno ja, jak i moi przyjaciele, spodziewaliśmy się rozpraw nawet gorących i zdań wprost przeciwnych naszym... Ale nikt nie przypuszczał, że znajdzie się wobec jakiegoś niby trybunału, który nas z góry oskarżył, osądził i potępił. W zebraniu

tem, dla nas przynajmniej, niema miejsca na dyskusję; niema też miejsca dla obrony, bo wyrok już wydano. Pozostaje więc nam, skazanym, tylko—ostatnie słowo...

Łaskawi panowie! Naród i człowiek jest tyle wart, o ile w życiu dąży do spełnienia jakiegoś ideału; najwyższym zaś ideałem jest ten, ażeby i człowiek i naród mógł swobodnie rozwijać się, ażeby stał się panem nie tylko sił przyrody, lecz i stosunków społecznych; ażeby wreszcie stosunki te podźwignął na wyższy stopień—jeżeli są dobre, poprawił—jeżeli są złe, a zwalczał—jeżeli są nieznosne, jeżeli, jak to powiedział pan A., upodlają i ogłupiają ludzi...

Idealy takie, zapewne, nie mogłyby przyświecać ludziom i grupom, które, porósłszy w sadło, lękają się go pozbyć, ludziom, którym dobrze dzieje się przy pełnej misce, byle zawsze była pełna. Ludzie tacy nie dbają o poprawę społecznych stosunków, ani o uszlachetnienie własnej duszy. Ale, łaskawi panowie, obok tych, którzy wyparli się ducha dla tłuszczu, istnieją inni: jedni czują głód chleba, drudzy głód swobody, inni głód dobra, postępu, sprawiedliwości...

Pomimo urodzonych niewolników i zatępych filistrów, świat idzie naprzód i doskonali się...





GRUPA STOWARZYSZENIA SAMARYTAŃSKIEGO WE LWOWIE.

p owiadający istotnym, rzeczywistym potrzebom duchowym współczesnego człowieczeństwa?

Jest podanie ludowe o cudownym kowalu-sztukmistrzu, który w niewoli hańbiącej trzymany, a przez tęsknotę miłosną pobudzony, z żelaza sobie skrzydła wykuł i uleciał w przestwory błękitu, gdzie się połączył z ochaną i upragnioną oddawna nadziem-

ską powietrzną dziewczicą, o skrzydłach łabędzich.

Jeden z tych, którzy w hańbiącej nas wszystkich niewoli współczesnego materializmu najmocniej tęsknili za ideałem, jeden z najbardziej kulturalnych wrogów zmaterializowanej kultury współczesnej, wielki artysta-myśliciel, Ryszard Wagner, przytaczając to podanie, wi-

dzi w niem symbol duszy ludowej, która potężną siłą pragnień zbiorowych pobudzona, niemożliwych może dokonać rzeczy i z twardego kruszca współczesnej ziemskiej, aż nadto ziemskiej kultury, zdoła może wykuć sobie skrzydła do nadziemnych lotów.

WALERY GOSTOMSKI.

BOLESŁAW PRUS

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jestem prawie pewny, że niejeden czytelnik miał w tych czasach możność znajdować się w towarzystwie ludzi oświeconych: obywateli ziemskich i miejskich, przemysłowców, prawników, lekarzy, nawet dziennikarzy i literatów. A mógłbym założyć się, że w tem szanownem zebraniu z wielkim zapalem rozprawiano o jednej z dwukwestyi: albo o spodziewanych reformach, albo o bezrobociu, wśród którego żyjemy i denerwujemy się obecnie.

Jest też wielkie prawdopodobieństwo, że rozmowa toczyła się mniej więcej w sposób następujący:

Pan A. (Członek jednej z profesji wyzwolonych, nieco starszy, ale pełen jeszcze energii i żywo odczuwający rozmaite dolegliwości społeczne). Większą część naszych dzienników i dziennikarzy oddałbym pod sąd za niedbałe pełnienie obowiązków... Jak panowie możecie milczeć wobec srożącego się u nas bezrobocia?... Czy możecie pozwolić, ażeby jakieś ciemne potęgi zmuszały biedaków do zaprzestawania pracy, skazywały ich i ich rodziny na głód, na nędzę, a całe społeczeństwo na niebezpieczne wstrząśnienia, których skutki nie dają się przewidzieć?... to nie jest dobrze,

to nie jest po obywatelsku, to nawet nierozsądnie!

Obecny stan rzeczy przypomina atak społecznego obłądki. Jakieś nieznane figury, jakieś dziczące wyrostki, nawet—dzieci rozpędzają posłańców, każą zamykać sklepy, powstrzymują tramwaje, zabraniają kursować dorożkom, co mówię!... wpadają do fabryk i setkom robotników polecają przerwać pracę... I czy uwierzyłby kto, że ludzie słuchają tych bezimiennych, niekiedy i bezwzględnych rozkazodawców, a społeczeństwo kamienieje ze zdumienia i cierpi...

A jak cierpi!... Jedna ze znajomych mi fabryk na dotychczasowych bezrobociach straciła 20 tysięcy, druga 200 tysięcy rubli! Pewien fabrykant mebli, który dotychczas zatrudniał 30 robotników, dziś ma ich zaledwie pięciu... Znam też przypadek, że czterech ludzi posiada wspólną kapotę, a gdy jeden wychodzi szukać zajęcia czy nędznego kredytu, inni muszą siedzieć w domu.

Nie dość na tem: ludzie zamożniejsi poczynają trwożyć się i wyjeżdżać z miasta. Już nawet z mego kółka znajomych kilka rodzin opuściło Warszawę, a takich można dziś liczyć na tysiące. Tysiące zamożniejszych wyjechały, więc u kogo zarobi dorożkarz, postaniec, praczka, stróż,

a dalej—szewc, krawiec, owocarz, restaurator i kelner?... Słyszałem o restauracji, w której do niedawna wychodziły dwie szynki dziennie na bułterszyny, a dziś wystarcza jedna na tydzień. Rzeźnicy wzdychają, a czy sądzicie, panowie, że piekarze mają powody do śmiechu?...

Pan B. (wtrąca półgłosem). Pomimo to płaca robotników zwiększyła się, przy zmniejszeniu liczby godzin pracy...

Pan A. (z zapalem). Ileż zyskują ci uprzywilejowani szczęśliwcy, a ile tracą ci, którym wysunęła się robota?... Mówił mi jeden z poważnych krawców, że grozi nam napływ odzieży zagranicznej, ponieważ miejscowa będzie za droga. Słyszałem jeszcze inną historję: w Gdańsku leży mnóstwo obrobionego drzewa na budowlę, a o tyle tańszego niż nasze, że gdy u nas na kamienicę trzeba roboty ciesielskiej np. za sześć tysięcy rubli, to, przy sprowadzeniu materiałów z Gdańska, ta sama rzecz będzie kosztowała pięć tysięcy rubli i w dodatku będzie lepiej wykonana...

Oto skutki rozkazów zalecających bezrobocie!... oto skutki milczenia prasy... występnego, nieobywatelskiego milczenia!... I czy można dziwić się hakatystom, że z radości zacierają ręce; to przecie woda na ich młyn!... A czy będziemy



dziwili się głosom twierdzącym, że polskie społeczeństwo nie ma charakteru, że samo sobie zadaje ciężkie rany i uniemożliwia wszelkie reformy! W Petersburgu naprzykład panuje oburzenie na to, co się dzieje u nas...

Pan B. Proszę o głos!... Przedewszystkiem życzyłbym Petersburgowi, ażeby mniej opłakiwał nas, a więcej uwagi poświęcał temu, co się dzieje w nim samym. Zawsze cudze chętniej widzimy pod lasem, aniżeli swoje pod ręką. Ale mniejsza o to, chcę bowiem odpowiedzieć szanownemu panu A. i to nie jakimiś — moimi — poglądami, lecz opinią znanego i uznanego ekonomisty Karola Gide'a.

Otóż jegomość ten, którego nikt chyba nie posadzi o dążności wywrotowe, takie wypowiada zdania:

„Bezrobocie, jako środek wojenny, ma wszelkie niedogodności wojny: marnuje siły wytwórcze, zadaje wielkie cierpienia, a w sercu zwyciężonych (patronów czy robotników) pozostawia gorycz, która staje się źródłem nowych zawiść. Nawiasowo wspomnę, że w Stanach Zjednoczonych od roku 1881—1886 szkody zrażdzone przez bezrobocie dosięgają 200 milionów rubli. Mimo to nie można przeczyć, że bezrobocie wpłynęło na podwyższenie zarobków. Wprawdzie nie wszystkie udają się, ale gdy jedno uda się, wywołuje podwyżkę płacy w mnóstwie gałęzi przemysłu. Trzeba zresztą pamiętać, że nie tyle same bezrobocie, ile obawa ich działa na podnoszenie zarobków“.

Na to chciałem zwrócić uwagę szanownego pana A. Bezrobocie i organizacje robotnicze, tylko dla nas stanowią szatańską nowość; znane są jednak w całym ucywilizowanym świecie i, ile mi wiadomo, nie sprowadzają upadku ani społeczeństw, ani nawet oddzielnych fabryk. Owszem, bezrobocie są najradsze i najmniej niebezpieczne tam, gdzie robotnicy są: 1-mo oświeceni, 2-do dobrze zorganizowani, 3-io mają w stowarzyszeniach duże kapitały. Z takimi bowiem robotnikami patronowie chętniej się układają, a znowu oni sami lepiej rozumieją położenie fabrykantów, ogólny stan handlu i wiedzą — kiedy i w jakich rozmiarach można żądać podwyżki. Skończyłem.

Pan A. Nietylko nie jestem wrogiem podwyższania zarobków wszelkim pracownikom (sam należę do ich liczby), ale pragnąłbym, ażeby zawsze, na każdym miejscu i pod każdym względem działało się im jak najlepiej... Każdy człowiek, mający choć trochę uczciwości i rozsądku, solidaryzuje się nie z hulakami i wałkoniami, lecz z tymi, którzy karmią, odziewają, zabudowują, uczą, leczą i bronią w sądach społeczeństwo. Nie o to mi więc chodzi, że robotnicy żądają podwyższenia zarobków, lecz o to, że wybrali nieodpowiedni czas i że inicjatorowie bezrobocia posługują się przymusem tudzież groźbami. Tak nie można, trzeba każdemu zostawić swobodę pracowania.

Pan B. (półgłosem). I umierania z głodu.

(Po tem odezwaniu się, pan A. rzuca na pana B. majestatyczne spojrzenie i odwraca się bokiem. Aby zatrzeć niemiły epizod, gospodarz domu coś szepce do jednego z gości, który na znak, że żąda głosu, podnosi do góry palec).

Gospodarz domu i jego najbliższa rodzina (klaszczą w ręce i wołają). Prosimy!... prosimy szanownego pana C.! On nam coś powie w imieniu dziennikarzy!...

Pan C. (ze słodkim uśmiechem). Przedewszystkiem odwołuję się do świadectwa wszystkich obecnych, że przemawiam tylko w imieniu własnem, nie zaś szanownych i utalentowanych kolegów moich, dziennikarzy, od których nie otrzymałem mandatu...

Po tem zastrzeżeniu zwracam się do szanownego pana A. Coby pan sądził o lekarzu, który, znalazłszy się wobec chorego na tyfus, powie-

działby mu: „Wstawaj acan, jesteś zdrow, ja ci rozkazuję!...“ Zapewne nazwałby tego lekarza bzikem, albo szarlatanem; bo wiadomo, że tyfusu nie można zakazać i że choroba ta, jak wiele innych, musi przejść wszelkie fazy, nim skończy się wyzdrowieniem.

A jeżeli słowem nie można leczyć chorób organicznych, to tem mniej dadzą się w ten sposób leczyć niemoce społeczne...

Pan A. Protestuję przeciw dowodom, opartym na analogiach!... Tyfus jest co innego, a bezrobocie co innego...

Pan C. W takim razie przejdę do dowodów bezpośrednich. Wiadomo panom, jakimi plagami społecznymi są: pijactwo, nierząd, karcjarstwo, a choćby pocziwy totalizatorek... Wiadomo też panom, ile papieru, czcionek i farby zużywa dziennikarstwo całego świata, walcząc przeciw powyższemu kłeskom. A jaki wynika rezultat ze wszystkich naszych „nawoływani“ i upomnień?... Żaden. Jeżeli więc dotychczas nie udało się nam uleczyć ani jednego rozpustnika, pijaka albo gracza, to jakim sposobem ulecymy kogoś, kto skutkiem mylnych poglądów, z potrzeby czy namiętności, oddaje się bezrobociu?...

Pan A. Przypuśćmy, że prasa nie uleczy fanatyków, przywódców bezrobocia, ale zostają jej całe masy, bezmyślnie wypełniające czyjeś tam rozkazy, na których cierpią...

Pan C. Za moich młodych lat pamiętam dwa zdarzenia. Pewnego poranku rozeszła się wieść, że do szpitala położnic przywieziono kobietę z wężem u piersi. Wszystkie dzienniki drwiły z pogłoski, ludzie rozsądni irytowali się, ale mimo to kawał chodnika ulicy Marszałkowskiej był zawalony obywatelami, którzy wystawiali przed szpitalem, ażeby zobaczyć, jeżeli nie samą kobietę i jej węża, to przynajmniej ściany, za którymi miała się ukrywać.

Innym razem puszczono bajkę, że zawalił się most kolejowy na Wiśle. Mało kto wierzył w możliwość pogłoski, powracający z nad Wisły śmiali się na cały głos, ale tysiące ludzi pędziły w stronę cytadeli, nawet nie wiedząc dobrze po co?... Naturalnie dzieci i kobiety tworzyły przeważny kontyngens pielgrzymów, i gdyby pod naciskiem tych nieszczęśliwych zachwiał się most, dopiero mieliśmy ofiar najniebezpieczniejszych, najniepotrzebniejszych, których jednym, jedynym grzechem była pospolita, choć bezmyślna ciekawość tłumu...

Z przykładów tych widać, że czytelnicy, w najzwyczajniejszych razach nie słuchają „nawoływani“ prasy. Wprawdzie i między nami można spotkać optymistów, którym wydaje się, że ich piękne, czy gruntowne artykuły znalazły posłuch w społeczeństwie. Ale stać się to mogło tylko



w takim przypadku, jeżeli piszący zalecał publiczności to, czego ona sama chciała, albo, co trafia się niesłychanie rzadko, jeżeli piszący przemawia w kwestyi drobnej i posiada niejaki zaufanie ze strony czytelników. Czy jednak zdarzenia tego rodzaju mogą być częste?... I czy artykuły dziennikarskie mogą dziś wpłynąć na szeroką publiczność?...

Przypatrzmy się temu. Artykuł, choćby najpiękniejszy, ażeby wywarł skutek, musi być przede wszystkim odczytany. Otóż, według A. Suligowskiego, Warszawa posiada od 42 do 55 proc. ludzi, nie umiejących czytać, i to w tych właśnie sferach, do których należałoby pisać w kwestyi bezrobocia. Powtóre — nawet ten, który „umie“ czytać, nie zawsze „rozumie“, co czyta. Dowodem tego są rozmaite wymyślenia, które otrzymujemy za artykuły, pomimo całej jasności — niezrozumiane nawet przez grupę „oświeconych“ czytelników!

Szanowny p. A. ubolewa nad dzikością wyrostków i dzieci warszawskich. A jakże te biedaki nie mają być dzikusami, jeżeli, znowu podług A. Suligowskiego, zaledwie 17,000 dzieci uczy się w zakładach *quasi* elementarnych. A że dzieci w Warszawie od 1-go do 15-go roku życia jest chyba ze 260,000, więc ileż zpośród nich wyrasta nietylko bez żadnej nauki, ale nawet bez żadnego wychowania, wprost bez żadnego dozoru?...

W tych stosunkach do kogo ma przemawiać dziennikarz: czy do tych, którzy nie umieją czytać, czy do tych, którzy nie rozumieją, co czytają, czy do tych, którzy nie znają go i nie ufają mu, gdyż nigdy nie stykał się z nimi, czy wreszcie do tych, którzy, skutkiem zaniedbania w dzieciństwie, wyrosli na dzikich ludzi i gotowi są na wszelkie awantury?

Pan A. dziwi się, że robotnicy, kupcy, do-rożkarze i t. p., choć niechętnie, ale słuchają poleceń nakazujących bezrobocie. Naprzód — polecenie takie obiecuje im poprawę bytu, nasz zaś lud nie miał dotychczas sposobności słuchać popularnych wykładów ekonomiki, któreby mu objaśniły, że bezrobocie tylko przypadkowo może podnieść dochody człowiekowi, jedynym zaś rzeczywistym źródłem dochodów jest praca umiejętna. Powtóre, choćby kto chciał nie słuchać, jednakże ulega z obawy, gdyż apostoł bezrobocia jest to zwykle człowiek energiczny, wygimnastykowany, uzbrojony, przedsiębiorczy, wreszcie należy do jakiegoś stowarzyszenia, które poprze go lub pomści. My zaś, ludzie lojalni, nie jesteśmy ani wygimnastykowani, ani uzbrojeni, ani stowarzyszeni, ani odważni, ani przedsiębiorczy, gdyż nam tego wszystkiego nie wolno. Nas uczono i nauczono trzech cnót: słuchać, milczeć, nie mędrkować. Więc, gdy trafi się zuchwały agitator, nie umiemy nic więcej tylko — słuchać, milczeć i nie mędrkować. Mędrkują za nas inni.

Pan A. (wzburzony). A zatem, według szanownego pana C., ludność polska na wieki wieków skazana jest na uleganie rozmaitym wicherzycielom?

Pan C. (wciąż ze słodkim uśmiechem). Tego nie twierdzę, owszem jestem pewny, że nawet bardzo prędko zmieni się nasza bezradność, jeżeli będziemy mieli prawo: myśleć choć trochę samodzielnie, działać choć trochę samodzielnie i rozumieć to, co czytamy.

Pan D. Proszę o głos!...

Gospodarz. Ośmielam się prosić szanownych panów na skromną przekąskę...

Radykalna mniejszość. Słuchajmy!... słuchajmy!...

Konserwatywna większość. Idźmy!... idźmy!...

Pan D. Proszę o głos!...

Gość tajemniczy (szepem). Mówił mi lokaj, że ma być majonez z łososią, szynka na gorąco i kapłony rostowskie...

Wszyscy. Idźmy!... idźmy!...



Europejczyk XX-go wieku jest zamożniejszy, swobodniejszy, litościwszy, mędrzy, a może i weselszy od swoich przodków z XIV-go lub XV-go stulecia. Rezultat zaś ten zawdzięczamy nie takim ludziom, którzy lękali się każdej zmiany, każdej walki, którzy odpychali ideały, lecz takim, którzy, widząc grzechy swojej epoki, pracowali nad ich usunięciem, walczyli, nawet ginęli...

Zapewne, że bezrobocia nie obchodzą się bez strat materialnych, a nawet ofiar ludzkich; ale przecież straty i ofiary to posiew, posiew ulepszeń, z którego zbiorów będą korzystały wszystkie następne pokolenia. Czy chłop, rzucający ziarno w ziemię, nie wyrzeka się zysków, które mógłby odnieść ze sprzedaży tego ziarna?... Czy Kolumb, puszczając się w podróż nieznaną, nie narażał siebie i swoich towarzyszy?...
Pan A. Ale nie zmuszał ich do narażania się...

Pan B. Za czasów pańszczyźnianych batem napędzano chłopów do roboty, ale wtedy nie protestował pan...

Pan A. Owszem, protestowałem i nawet odbyłem malowniczą podróż...

Pan B. No, to niechże pan dziś nie przeszkadza nam protestować... Protestować przeciw brakowi jakichkolwiek ideałów, przeciw martwocie, niewoli i zakłamaniu się całej inteligencji... Być narodem to nie znaczy okurzać drogocenne pamiątki świetnej przeszłości, nie znaczy nie naruszać pewnych, niby nienaruszalnych interesów... Być narodem to znaczy urzeczywistniać jakiś ideał, nie zaś niewolniczo poddawać się przypadkom. To, na co patrzymy dzisiaj, nie jest życiem istot obdarzonych duchem, lecz falowaniem piasku, miotanego przez wiatry... My już nie posiadamy charakteru złego czy dobrego, lecz jesteśmy niby gliną tchórzliwej bierności i sentymentalnego kłamstwa, gdzie tylko wyciskają się obcasy przechodniów, którzy raczyli nas deptać...

(W towarzystwie zrywa się szmer... potem okrzyki... Młodzi biją brawo panu B., starsi wytrząsają pięściami).

Pan D. Przedewszystkiem pozwolę sobie złożyć podziękowanie szanownemu panu B. za jego mowę, która balsamu nałała mi na serce. Niekiedy myślałem, iż między rozmaitymi naszymi partiami trudno będzie wynaleźć wspólną podstawę; ale dziś widzę, że nie potrzebujemy jej szukać, gdyż ona od wieków istnieje i na wieki istnieć będzie, a nazywa się—naszym charakterem narodowym...

Tak, szanowni panowie. Do jakiegokolwiek zaliczamy się do partii: ultrakonserwatywnej, ultrapostępowej czy środkowej, zawsze i przedewszystkiem jesteśmy i zostaniemy Polakami. Nasza zaś polskość objawia się nie tyle dbałością o rzeczy publiczne, ile poniewieraniem swoich atagonistów, a przecenianiem samych siebie.

Przedewszystkiem, szanowny panie B., racz mi uwierzyć, że pomiędzy wami a waszymi ojcami, którym pan tak dzielnie wymyślał, istnieje nadzwyczajne podobieństwo... Tak jest: wy, reformatorowie, wy, niby twórcy nowego porządku świata, wy—jesteście albo bładą kopią waszych ojców, albo dopełniającym ich kontrastem, ale bynajmniej nie czemś zupełnie innym aniżeli oni. I tak:

Wy młodzi chcecie urzeczywistniać jakieś ideały, choćby za cenę strat i ofiar; wasi zaś ojcowie, kiedy byli młodzi, również chcieli urzeczywistniać swoje ideały i również za cenę materialnych strat i ofiar, z tym małym dodatkiem, że—ich ofiary były... sto razy większe i cięższe od waszych. Z czasem wasi ojcowie, zgodnie z prawami natury, od wielkich porywów przeszli do małych, skromnych prac i wykonywali je najlepiej jak umieli. Mogę zaś pana upewnić, że i wy z czasem przejdziecie od wielkich porywów do małych prac, ale—jakie one będą i w jaki sposób je wykonacie? to dopiero zobaczymy.

Pod tym więc względem nie robicie nic nowego. Wy krzyczycie: „Dalej z posad, bryło świata, nowymi pchniemy cię tory!“ i oni, będąc w waszym wieku krzyczeli: „Dalej z posad, bryło świata, nowymi pchniemy cię tory!“... Wy mierzycie siły na zamiary, nie zamiar wedle sił“, i oni, będąc w waszym wieku, robili akurat to samo. A ta chyba między wami istnieje różnica, że wasze pokolenie, dzięki tysiącom pomyślnych okoliczności, doczekało się lepszych czasów, gdy ich pokolenie, wskutek tysiąca nieprzychylnych okoliczności, przeżyło najokropniejsze czasy, jakie widziała nowożytna historia, a przeżyło—bez duchowego bankructwa.

A teraz powiem, dlaczego jesteście nie tylko dalszym ciągiem naszych ojców, lecz jeszcze ich dopełniającym kontrastem.

Oni od poezji romantycznej przerwali się do zuchwałych czynów, a potem do codziennych prac; wy od ich codziennych prac przeszliście do poezji romantycznej, a od niej do zuchwałych czynów, czy może tylko—zamiarów. Oni, złamawszy się na bohaterstwie, zostali skromnymi pracownikami; wy, zniechęceni się do skromnych prac, zapragnęliście być bohaterami. Wasze bohaterstwo (mówiąc nawiąsem, nie tak znowu nadzwyczajne) wydaje się wam jakąś niezwykłą zasługą; a ja powiem, że gdybyście nie mieli tych popędów, byliście najlichszą generacją: bo przecie kto i kiedy miałby się rwać do bohaterstwa, jeżeli nie młodzi i za młodu, jeżeli nie synowie takich ojców.

Wasi ojcowie wprowadzili kult twórców socjologii Comtea i Spencera; wy już uprawiacie kult samej socjologii, czego wam nikt nie bierze za złe. Wasi ojcowie chcieli stworzyć przemysł z jego przedsiębiorcami, fabrykami i inżynierami; wy—zwróciliście wasze serca do robotników, co jest rzeczą chwalebną, ale... i całkiem naturalną... Wasi ojcowie, przeszedłszy fazę marzeń i gorących uczuć, i sami wzięli się do trudnej nauki myślenia, i was uczyli—myśleć; wy zaś, na mocy prawa kontrastu, znowu przerwaliście się do uczuć i marzeń, a pragniecie nauczyć się działać.

Słowem—co krok to dopełniający kontrast albo podobieństwo do tych samych ojców, których zapieracie się, albo chcecie uczyć ofiary dla ideałów. Ależ, ukochani, nim zrobicie coś naprawdę wielkiego, raczcie przypomnieć sobie, że wasze zamiary jeszcze nie dorównały ilością, ani wysokością, choćby ich grobom... Piękna to wreszcie rzecz współczuć doli kilkuset tysięcy robotników; no, ależ miłość dla kilku milionów była także coś warta!

Powiadacie, że starzy nie są zdolni rozumieć was, że kiedy załamują ręce z niepokoju o losy społeczeństwa, to w rzeczy samej lękają się o swoje „sadio“. Dajmy spokój dzieciństwu!.. Przecież starym nie oświadczyć nie grozi: ani więzienie, ani gwałtowna śmierć, ani nawet nędza. Oni przetrwają bezrobocia, ale czy równie łatwo uda się to dziesiątkom tysięcy robotników?—wielkie pytanie?... Więc troska „starych“ nie płynie z egoizmu; ona ma inne źródło: obawę zbytecznych lub niepotrzebnych ofiar ze strony narodu, który—Boże, Ty jesteś świadkiem... więcej chyba niż jakikolwiek inny—złożył ofiar!..

Powiadacie: Żle się dzieje robotnikom, parobkom, źle kobietom i dzieciom, źle młodzieży i starcom, źle duchowi ludzkiemu i rozwojowi społeczeństwa... Święta prawda!.. Żle się dzieje, więc trzeba to poprawić, a w jaki sposób — zaraz powiem.

Niejaka pani Béguin założyła w roku 1899 we Francji stowarzyszenie „wypraw dla dziewczątek“. Każda dziewczynka, od dziewiątego do ośmnaściego roku życia składa po 50 centymów (około 20 kop.) miesięcznie. W ten sposób w ciągu dziewięciu lat odkłada 54 franki (około 22 rubli), za co w 18-tym roku życia otrzymuje — 73 sztuki

bielizny, n. p. 12 koszul, 3 kaftaniki, 2 spódniczki, 12 chustek do nosa, 4 poszewki i t. p. Słowem, za swoje 54 franki dostaje porządny komplet bielizny, co prawda bawełnianej nie lnianej, ale zawsze przyzwoitej.

Proszę teraz powiedzieć: jakie bezrobocie sprawi te, ażeby w naszym kraju za 22 ruble można było dostać 73 sztuki bielizny i czy raczej dla wywołania tego skutku nie należałoby powiększyć liczby fabryk i spotęgować umiejętności pracowania?...
 Inny przykład: Jedną z poważnych przyczyn

nędzy jest wzrastająca cena artykułów pokarmowych, która pochodzi stąd, że plony ziemi nie wzrastają równie prędko, jak ludność. Tymczasem (pisze E. Jankowski w *Gazecie Polskiej*) pewien Amerykanin, profesor Jerzy J. Moor, wynalazł sposób i środki dzięki którym z danego obszaru ziemi można mieć na wagę 4 razy więcej zbiorów niż obecnie.

I znowu proszę mi powiedzieć: jakie wędrowniki parobków wiejskich mogłyby wywołać podobne rezultaty?

Sens moralny: Wstrząśnienia społeczne nie są ideałem, ani nawet drogą, prowadzącą do osiągnięcia ideału. Wstrząśnienia podobne są tylko dowodem, że społeczeństwo choruje, że potrzebuje reform. Dowód to jednak bardzo kosztowny, i dlatego trzeba się nim posługiwać w dozach jak najmniejszych, przy zachowaniu jak największego tactu i ostrożności.

Wstrząśnienia natychmiast powinny ustać, gdy na horyzoncie ukazują się reformy, szczególnie takie, które mogą spotęgować ludzką pracę, twórczość ducha i solidarność między rozmaitymi pierwiastkami, z których składa się społeczeństwo.

Praca i kapitał, wiedza i geniusz, działające zgodnie, w kierunku powszechnego dobra,—oto skrzydlate rumaki, które ciężki wóz ludzkości unoszą ku ideałom. Bezrobocia zaś, cierpienia i nędza to nie środki: to nieszczęścia, którym trzeba zapobiegać, jeżeli nie chce się ich opłakiwać.

(W rozmaitych kątach rozlega się chrapanie; słodki sen zwyciężył zarówno postępowych, jak konserwatywnych wiecowników).

Gospodarz. Jakże mam zanotować w protokole treść pańskiej rozprawy?...

Pan D. Niech pan napisze tak: Natura dobrze zrobiła, powołując do życia coraz nowe pokolenia ludzi; gdyż młodość ma tę fantazję i tę odwagę, jakiej nie posiadają starzy.

Młodość, rwąc się do ideału, popycha ludzkość do tego, co być powinno, zapobiega martwocie. Ale młodzież musi rachować się ze zdaniem starych, gdyż oni reprezentują mądrość życiową, realne potrzeby nareszcie to, co być może, co daje się wykonać.

Bez młodości i jej porywów życie duchowe skamieniałoby; ale bez rozważnej starości życie duchowe zamieniłoby się w obłok, który co chwila ma inny kształt, a trwałość mierzy na minuty.

Adryan Głębocki.

Coraz bardziej przeredza się starsze pokolenie artystów, coraz to nowe nazwisko otacza się czarną ramką klepsydry pośmiertnej, pozostawiając po sobie wspomnienie szlachetnie spędzonego żywota i pożytecznej dla sztuki krajowej działalności.

Ze śmiercią Adryana Głębockiego ubył z pośród nas jeden z najstarszych uczniów b. Szkoły Sztuk Pięknych, rówieśnik Gersona, Gierdziewskiego, Henryka Pillatego i całego tak żywotnego w swoim czasie pokolenia, które posłuszne radom Piwarskiego, usiłowało malarstwo polskie na rodzimych oprzeć żywiołach. Kierunkowi temu zaszczerponemu w szkole, zmarły w dniu 7 maja se-





TYPY AJNÓW, MIESZKAŃCÓW SACHALINA.
Ze zbiorów Robina.

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Co to jest polityka?
(Wyjaśnienie dla 16-letniej panienki).

Ukochany naród nasz przeżywał rozmaite mody. Mieliliśmy modę filozofii pozytywnej, modę inżynierską, teatralną, malarską, dekadencją i im podobne: każda zaś z tych mód, czy każdy z tych sezonów, zostawił po sobie niewielki wprawdzie i niezbyt głęboki, ale zawsze „jakiś” tam ślad w społeczeństwie.

Dzięki sezonowi pozytywistycznemu zyskaaliśmy kilkanaście, a może i kilkadziesiąt książek, mniej lub więcej popularnych, z zakresu filozofii i przyrodoznawstwa. Sezon inżynierski wyhodował wcale przyzwoity korpus inżynierów i technologów; moda teatralna, malarska i dekadencja, przysporzyła odpowiednich specjalistów, między którymi bodaj że najobficiej zaroili się poeci.

Obecnie rozkoszujemy się sezonem politycznym. Od młodzieży z piątej i czwartej klasy, do sparaliżowanych dziadusiów, kto wierzy czy nie wierzy w Boga, wszyscy zajmują się polityką: piszą memoriały, układają programy, obliczają stronników własnych, zmniejszają liczbę członków partii przeciwnej, a wymyślają wszystkim i każdemu, kto „nie należy do nich...” Nastrój taki chyba nie powinien przejść bez śladu w społeczeństwie. Może więc kiedyś naprawdę zyskamy jednego, a mo-

że i ze dwu rzeczywistych polityków; może naprawdę urodzi się jakiś „program”, czego, jeżeli się nie mylę, nie posiadamy dotychczas; a może, co jest najprawdopodobniejsze, ukaże się kilka lub kilkanaście książek, mówiących o polityce, dzięki czemu ogół zacznie rozumieć: na czym polega wiedza tego rodzaju i działalność?...

Zanim jednak zdobędziemy się na odpowiednie dzieła, naturalnie popularne, gdyż głęboko uczonych nikt u nas nie czyta i czytać nie będzie, zanim tedy zdobędziemy się na dzieła, spróbuję napisać skromny artykuł o tej kwestii. Wiem, że jako człowiek niefachowy, nie powinienem dopuszczać się podobnego występu; ulegam jednak życzeniom pewnej 16-letniej panienki, której rówieśnice gorliwie zajmują się polityką i reformami społecznymi, ona zaś, biedaczka, nie miała dotychczas sposobności nawet dowiedzieć się: co to jest polityka?

— Wszyscy—woła z rozpaczą 16-letnia panienka—wszyscy dokoła mnie rozprawiają i kłócą się o politykę... (Ostatniej środy mój papcius zerwał stosunki z najdawniejszym swoim przyjacielem). Nikt jednak nie chce mi powiedzieć, o jaką to rzecz tak strasznie kłócą się?... ale każdy, nie wyłączając mego 14-letniego braciszka, odpowiada z dumą: „Jak będziesz starsza, to sama zrozu-

miesz”... A ja przecie codziennie jestem starsza i nie nie rozumiem!...

Trzeba mieć serce kamienne, ażeby taki głos pozostawić bez odpowiedzi. Więc odpowiadam, serdecznie prosząc o pobłażliwość naszych fachowych polityków. Alboż to pierwszy raz, Boże miłosierny, zdarza się ludziom mówić i pisać o rzeczach, o których najłżejszego nie mają wyobrażenia?

Zanim jednak siądziemy na wielką szkapę, zwaną „polityką”, spróbujmy dla wprawy przejechać się na małym kucyku zwanym: „hygieną”.

Cóż tedy oznacza wyraz: „hygieną”?... Oznacza dwie, nieco różne od siebie rzeczy: 1-mo naukę czyli teorię o warunkach zdrowia i 2-do praktykę, czyli sposoby pielęgnowania zdrowia.

Otóż w części teoretycznej higieny dowiadujemy się: naprzód, że ciało ludzkie składa się z organów takich, jak: płuca, serce, żołądek, skóra, oczy, uszy, ręce, nogi...; powtóre, że na świecie są jedne rzeczy użyteczne, a inne szkodliwe dla tych organów. Do użytecznych należą: czyste powietrze, umiarkowana temperatura, czysta woda, pokarmy lekko strawne; do szkodliwych—pewne gazy zawarte w powietrzu, nadmierne ciepło lub zimno, pokarmy zbyt tłuste, alkohol i t. p.

W higienie zaś praktycznej—mieszamy po-



CHATY AJNÓW NA SACHALINIE.

karny tłuste i mięsne z mącznymi i jarzynami, zaprowadzamy wentylatory w mieszkaniach, filtrujemy i przegotowujemy wodę, staramy się ograniczyć nadużycie alkoholu i t. p. Słowem to, czego z teorii dowiedzieliśmy się o warunkach zdrowia, to staramy się za pomocą rozmaitych prac i urządzeń zastosować do pielęgnowania zdrowia.

Z powyższych uwag wypada, że dobrym higienistą teoretykiem będzie ten, kto dobrze pozna: budowę ludzkiego organizmu, jego niezliczone funkcje, tudzież rozmaite czynniki, działające na zdrowie w sposób korzystny lub niekorzystny. Dobrym zaś praktykiem higienistą będzie ten, kto np. w mieście zaprowadza kanalizację i wodociągi, tanie łazienki, dużo roślinności na ulicach i placach, szpitale, zakłady dezynfekcyjne, domy przytułku dla ubogich i t. p. Hygienista teoretyk potrzebuje tylko dużo widzieć, słuchać i czytać w zakresie swojej specjalności, ale higienista praktyk potrzebuje mieć nie tylko wiedzę lecz i wielką energię, wielką żądzę pracy, a nadto musi mieć władzę i pieniądze... Chyba zaś zbyt rzadko będzie dodawać, że higienista praktyk musi mieć i rozsądek, który uchroniłby go od projektów nie mogących być wykonanymi, bądź z powodu braku środków, bądź nieprzygotowania ogółu.

„Otwieram książkę p. Charles Benoist'a i czytamy: „Polityka teoretyczna jest to nauka o życiu społeczeństw.“ Polityka zaś praktyczna jest to — „sztuka kierowania życiem społecznym, ażeby zarówno społeczeństwo, jak i każdy z jego członków mógł osiągnąć najwyższy stopień pomyślności; jest to sztuka doprowadzenia do najwyższej potęgi i utrzymania w równowadze zarówno życia jednostki, jak i całości.“

To samo dałoby się wypowiedzieć innemi słowami i nieco krócej: polityka jest to sztuka prowadzenia społeczeństwa do szczęścia i doskonałości. W nawiasie zaś możnaby dodać, że polityka powinna także dążyć do robienia społeczeństw użytecznymi dla innych a przynajmniej, nieszkodliwymi. Brak zaś tego ideału jest kalekciem polityki i nieszczęściem ludzkości...

Dobrze, ale — coż to jest owo „życie społeczne“ i które z jego objawów należą do polityki?... Na to odpowiada p. Benoist, że każde zjawisko życia społecznego w jakiś sposób — albo zahacza o politykę, albo — wprost wchodzi w jej zakres. Zarówno handel, szczególnie gdy staje się międzynarodowym, jak — rolnictwo, o ile jest już przemysłem i musi liczyć się z konkurencją krajów sąsiednich; dalej — roboty publiczne, finanse, banki, tworzenie i rozwój praw, wymiar sprawiedliwości, stosunki władzy centralnej do prowincjonalnych,

wychowanie młodzieży, higiena publiczna, tak zwana „kwestya secyjalna“, nareszcie stosunki danego kraju z innymi krajami, — wszystko to wchodzi do zakresu polityki. „Oddać każdemu, co mu się należy, zabezpieczyć każdemu jego sprawiedliwą działalność, ustalić sprawiedliwe stosunki między potrzebami życia indywidualnego a wymaganiem życia społecznego — oto prawdziwy cel polityki“...

Na mocy powyższych objaśnień możemy do pewnego stopnia zrozumieć kto zasługuje na tytuł polityka. Czy taki pan,

który w cukierni zabiera wszystkie gazety i nie pozwala czytać innym? Czy może taki pan, który wykład swoich teorii politycznych zaczyna odśłów: „Gdybym ja był na miejscu Ojamy...“? Albo może politykiem jest taki pan, który od rana do wieczora pisze programy i memoriały, nocę spędza na sesjach i co pół godziny zabiera głos we wszystkich kwestjach, jakie tylko są, były i będą na niebie i na ziemi?... Wcale nie! Prawdziwym politykiem jest ów inny pan, który nie zabiera gazet ani głosu, lecz który — pracuje nad pomyślnością i rozwojem życia zarówno społecznego, jak indywidualnego.

Pan taki, jeżeli bada, czyta, słucha rozpraw o życiu społecznym i indywidualnym, tudzież o warunkach, które to życie potęgują lub osłabiają, pan taki będzie politykiem teoretycznym. Jeżeli zaś, zdobywszy odpowiednią wiedzę, weźmie się do pracy nad pomyślnością i rozwojem społeczeństwa, wówczas będzie politykiem praktycznym.

Polityk teoretyczny, dajmy na to, rozumie, że dla podniesienia życia społecznego trzeba budować koleje, zakładać banki, otwierać szkoły. Ale dopiero polityk praktyczny wskaże: gdzie trzeba otworzyć szkołę, a gdzie zbudować kolej? w jaki sposób uzyskać pozwolenia i jak zebrać potrzebne fundusze?

Prawdziwy polityk musi posiadać zalet, które streszczają się w trzech wyrazach: specjalne zdolności, siła, mądrość.

Specjalne zdolności polegają na tem, że — jak botanik kocha rośliny, myśliwiec polowanie, karciarz karty, a pijak wódkę, tak urodzony polityk — nade wszystko miłuje prace społeczne i dla społeczeństwa. Jego nie bawią koncerty, teatry, wyścigi, towarzystwo pięknych dam; jego bawią — potrzeby społeczne, instytucje, których za pomocą można je zaspokoić, prądy, które można wyzyskać do urzeczywistnienia celów. Urodzony polityk widzi tylko społeczeństwo, kocha tylko społeczeństwo i pracuje tylko dla społeczeństwa; inne rzeczy go nie obchodzą.

Następnie prawdziwy polityk musi rozporządzać dużemi siłami materialnymi i duchowymi. Majątek, władza, stosunki z rządem, sympatia i zaufanie ogółu są to siły zewnętrzne, niezbędne do kierowania losami społeczeństwa. Wytrwałość zaś, odwaga i wielkie panowanie nad sobą są to siły duchowe, dzięki którym polityk gardzi intrygami i pogroźkami nieprzyjaciół, umie całe lata pracować nad jednym i całe lata wyczekiwać na przychylne okoliczności; umie wytrwać na dobrej drodze wbrew krzykom tak zwanej opinii publicz-

nej, odradzaniom przyjaciół, a nawet wbrew zwątpieniom.

Nareszcie polityk musi być mądry. Jemu nie wolno brać przywidzeń albo kaprysów opinii publicznej za — potrzeby społeczne. Jemu nie wolno stawiać celów choćby pięknych, ale — nieużytecznych; jemu nie wolno przez omyłkę poświęcać sprawy ważniejszej, choćby niepopularnej, dla mniej ważnej, choćby popularniejszej; jemu wreszcie nie wolno zrobić czegoś nie w porę. Polityk który np. wypowiada wojnę, nie będąc do niej przygotowany, jest podobny do człowieka, który chciałby orać, siać i bronić w zimie, podczas śniegu; zarazem jest on wielkim przestępcą, gdyż swój kraj naraża na niezawodną klęskę.

W tem miejscu należy zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Popierwsze, że w społeczeństwie, obok zjawisk normalnego życia, istnieją zjawiska chorobliwe; powtóre — że obok prawdziwych polityków snują się — niby politycy, surogaty polityków.

Zdaje się, że chorobliwych zjawisk społecznych nie potrzeba bliżej określać: zbyt wielka śmiertelność, zbyt częste morderstwa i zamachy samobójcze, zbyt liczne kradzieże i podpalania, nędza i żebrani, kłótnie i bójki, bezrobocie, ogólne rozdrażnienie, poczucie braku swobody i bezpieczeństwa — są to wszystko objawy chorobliwe, dowodzące, iż w życiu społecznym są jakoweś przeszkody i że potrzeba reform. Ale, powtarzam, zjawisk podobnych nie można nazwać politycznymi, lecz patologicznymi, a im ustana prędkiej, im ogarną mniejszy zakres życia publicznego, tem lepiej.

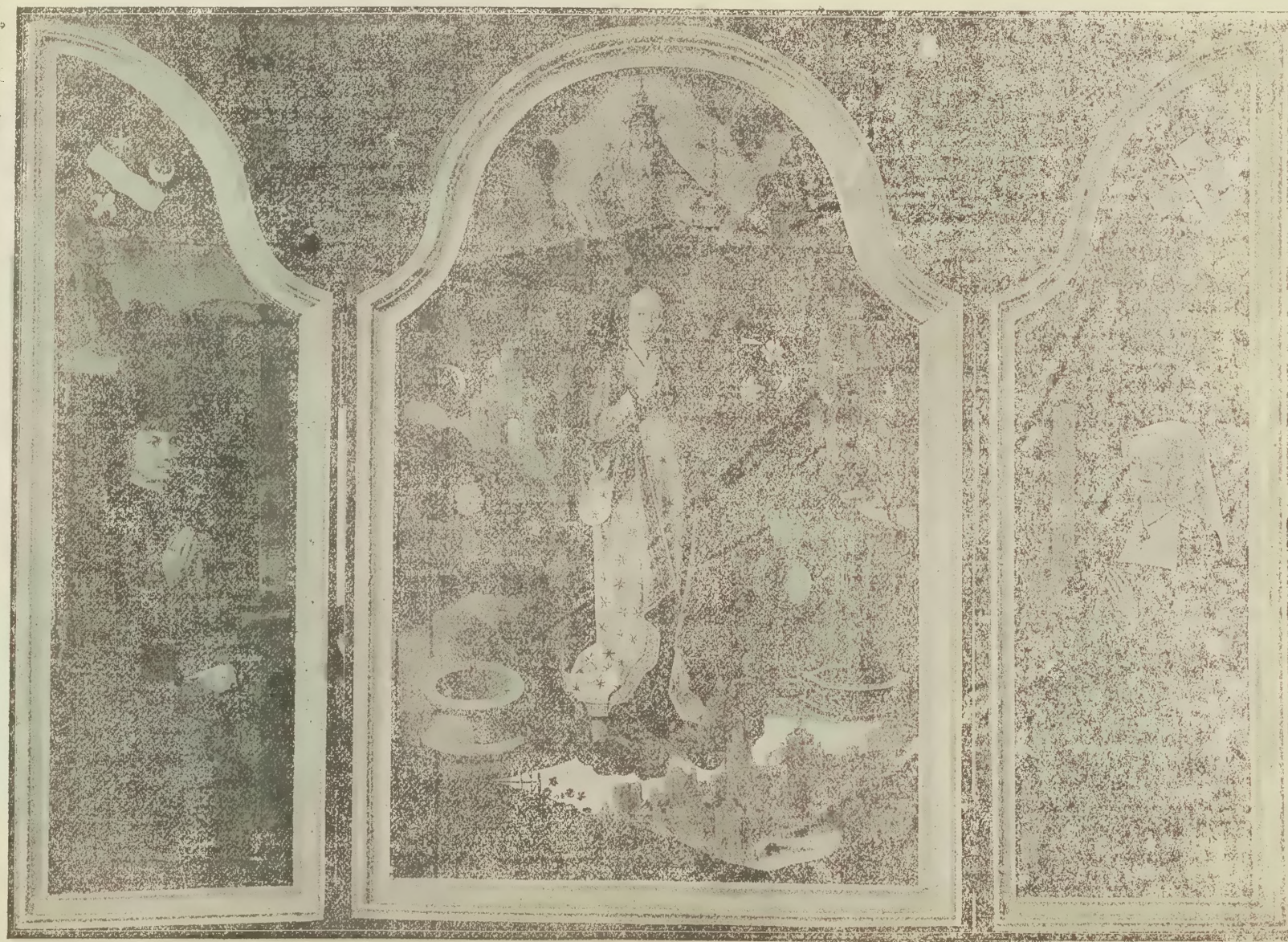
Co się tyczy polityków nieprawdziwych, niby-polityków, poznać ich można po tem, że nie posiadają oni przymiotów, które charakteryzować powinny istotnego polityka. Głównym zaś niedostatkiem ich działalności jest brak celu politycznego. Celem polityki, jak wiemy, celem koniecznym i zasadniczym jest: „pomyślność ogółu i jednostek, doskonalenie się ich“. Otóż fałszywy polityk nie tylko nie stawia sobie podobnych celów, lecz poprostu nie jest do nich zdolny, nie rozumie ich. Jego cele są egoistyczne: pozyskać rozgłos, pozawiazywać stosunki z ludźmi możnymi i wpływowymi, zdobyć majątek — oto najpospolitsze motywy jego niespokojnej ruchliwości. Dlatego ludzie podobni odznaczyć się mogą tylko działalnością hałaśliwą a bezładną, wśród chorobliwych stosunków.

Są to szkodnicy polityczni, obok których istnieje cała gromada ludzi „pozujących“ na polityków, dla których zajmowanie się polityką jest takim samym zabijaniem czasu, jak np. bawienie się w żołnierzy, teatr amatorski i t. p. Osoby te pragną tylko jednej rzeczy: mieć „rolę“, a co zrobą z tej roli i w tej roli? jakie stąd wynikną skutki dla społeczeństwa? — to już nie ich nie obchodzi.

Doskonałym przykładem akcji niepolitycznej było rozbijanie domów publicznych. Ponieważ niszczone sprzęty, odzież, bieliznę i t. p., więc występowało przeciw politycznej zasadzie „ogólnej i jednostkowej pomyślności“. A ponieważ czyniono tak w imię niby wyroków, zadyktowanych przez „masy“, więc wykroczone i przeciw zasadzie „rozwoju“ społecznego, wyroki bowiem, wydawane i spełniane przez tłum, cofają społeczeństwo do epok barbarzyńskich.

Owe więc pogromy czy „samosądy“ nie były czynami politycznymi, lecz objawami chorobliwymi, i to w wysokim stopniu. Czynem politycznym byłaby spokojna i prawidłowa akcja przeciw rozpowszechnianiu się nierządu: zachęcanie młodzieży do pracy fizycznej, ułatwianie małżeństw, przytułki dla kobiet publicznych, pragnących rzucić swój zawód, opieka nad temiż kobietami przeciw strasznyemu wyzyskom i krzywdom, jakich dziś doświadczają z najrozmaitszych źródeł...





LITANIA DO MATKI BOSKIEJ (TRYPTYK Z XV WIEKU)

Z wystawy Maryańskiej. Fot. J. Golcz.

QUENTIN METSIS

Oto jest charakterystyka naszego nastroju: łatwiej było w ciągu kilku dni rozbić setkę publicznych domów, aniżeli np. popierać usiłowania czcigodnej pani Ożarowskiej i jej towarzyszek, które przy ul. Żytniej od wielu lat przygarniają t. zw. upadłe kobiety i ciężko pracują nad ich poprawieniem!...

Streśćmy, co się dotychczas powiedziało:

Celem prawdziwej polityki jest pomyślność i udoskonalenie zarówno całego społeczeństwa, jak i składających go jednostek. Co zatem prowadzi do cierpienia, ofiar, zdziczenia, ośłupienia, zubożenia, to nie jest dobrą polityką, lecz—chorobą społeczną.

Zasadniczym warunkiem dobrej polityki jest wykonalność. To tylko może przynieść pożytek, co może być zrobione, czego zaś wykonać nie można, to nie istnieje i nie zda się na nic. Choćbyśmy więc słyszeli o najpiękniejszych, najsłabszych celach, nie możemy nazwać ich politycznymi, jeżeli do urzeczywistnienia ich nie posiadamy odpowiednich pracowników i kapitałów, jeżeli przeszkody są zbyt silne, albo jeżeli ogół nie jest do tych celów przygotowany.

To też w praktycznej polityce większą ma wartość zaspokojenie najskromniejszej potrzeby społecznej, aniżeli wzniesienie zamiary, których wykonać nie można.

O tem zaś, co jest a co nie jest wykonalne w danej chwili—zdecydować może tylko—prawdziwa i głęboka mądrość polityczna, nigdy zaś amatorki poglądy, a choćby nawet zapal „po-wszechny“, który tem się odznacza, że—dziś jest, a jutro go niema.

Z tygodnia na tydzień.

Kwiat paproci.

Kwitnie w noc Janową czarodziejski kwiat, złotymi listkami rozpromienia świat, jedną tylko chwilę na gałązkach drży i gaśnie, jak gwiazdka, pośród nocnej mgły.

Raz do roku jeno kwitnie kwiatek ten; kto go znajdzie wtedy, cudny prześni sen, życie mu się splecie z promieni i róż, z tęczy malowanej, z purpurowych zórz.

Wszystkie skarby ziemi ujrzy okiem swem, które śpią w zakłębieniu, zdjęte ciężkim snem, wszystkie skarby, z dawnych zakopane lat, obaczy ów szczęśny, który zerwie kwiat.

I przyszłość on przeznaczy, co mgłą skryta nam, i podejdzie śmiało do sfinksowych bram, rozedrze zasłonę, która jutra dzień kryje, i odetchnie pełnią świeżych tchnień.

I nie dosyć na tem—więcej zyska on: serce w nim uderzy, jak zbudzony dzwon, kochać będzie mocno, kochać pełnią sił, wszystko władzą serca, wszystką krwią swych żył.

Ale trudno znaleźć ów czarowny kwiat, dziś dla oczu ludzi zniknął jego ślad, dziś go próżno szuka roztęskniony lud i w łzach błaga cudu... Nie zjawia się cud!

Złe potęgi strzegą jasnej chwili tej, kiedy kwiat z ałtwa pośród ciemnych kniej; one nie chcą szczęścia, one pragną łez, ich straszy, ich trwoży, ludzkiej nędzy kres.

Ale nie trać wiary, biedne serce ty! zakwitnie kwiat cudny, spełnią się twe sny, zakwitnie

kwiat cudny, wśród jutrznianych tchnień, i przyniesie światu ukojenia dzień... *ao*

Brak poczucia obowiązku.

Istnieje w każdym społeczeństwie pewna kategoria ludzi, po których ogół się spodziewa, że w ciągu życia dokonają czegoś niezwykłego, że przysporzą narodowi chwały, że się czemś odznaczają, że słowem: będzie z nich jakiś pożytek.

Do tej kategorii należą ludzie wybitni, wyjątkowo przez naturę uposażeni umysłowo, ludzie utalentowani w ten lub ów sposób, wreszcie tacy, na których dla ich stanowisk, pozycji, majątków i bogactw zwrócić się oczy szerszej publiczności.

Spółczeństwo spodziewa się, liczy, oczekuje i wyraża swoje niezadowolenie, gdy spotka je zawód i rozczarowanie. Tak—i słusznie... bo rozgłos obowiązuje. Ale bywają też wybitniejsi ludzie, których rozgłos nie z przyrodzonych wypływa talentów; wiedzą o nich wszyscy dlatego głównie, że są możni, że zajmują pozycje, że za nich przemawiają wielkie nazwiska, wielkie fortuny. Oni również należą do społeczeństwa, do narodu, od nich także społeczeństwo czegoś wymagać może i ma prawo. To też mówiąc o kategorii ludzi, zajmujących wyjątkowe stanowiska majątkowe, mamy prawo twierdzić, że powinni oni po sobie coś pozostawić... Powinni, bo są bogaci, bo są utytułowani, bo zajmowane w narodzie stanowisko społeczne ze spełnieniem pewnych obowiązków jest połączone.

Dawniej wielkie rody możnowładców naszych



W iacomo, że kwestye polityczno-społeczne zaciekawiają ludzi, roznamiętniają ich, popychają do czynów nawet do poświęceń. Otóż, jest godnem uwagi, że ludzie, rozprawiając o tych kwestyach, sądząc je, formułując programy, spełniając czyny polityczno-społeczne niekiedy wielkiej doniosłości, bardzo często zapominając o fundamentalnych zasadach myślenia i—prawach natury!..

Przypatrując się z boku świeżo zbuczonemu u nas ruchowi społeczno-politycznemu spostrzegłem kilka tego rodzaju objawów i—właśnie chcę o nich pomówić. Z góry jednak zastrzegam, że—niemam zamiaru, ani walczyć z jakąś partją, ani popierać jakiejś innej partji, ani nawracać nikogo... Chcę poprostu oświecić z pewnego stanowiska zajmujące nas a nawet gorączkujące pytania a czytelnik osądzi: czy zrobiłem to rzetelnie i w sposób beznamiętny.

Zasada tożsamości. Logika twierdzi, że jednym z fundamentalnych praw myślenia jest następujące: „Każda rzecz jest samą sobą i niczem innym tylko sobą.” W skróceniu wyraża się to formułą: $A = A$ czyli: A jest równe A.

Například. Olów jest ołowiem nie tylko w Warszawie, ale także w Paryżu, Londynie, Pekinie, Waszyngtonie, na księżycu, na Marsie, na słońcu i t. d. Naród polski jest narodem polskim, nie tylko gdy o nim myślimy w Warszawie ale również gdy o nim myślimy w Paryżu, Londynie, Petersburgu i t. d. Zkądkolwiek w danej epoce, spojrzmy naród polski, zawsze będzie on narodem polskim, będzie miał te same zalety i wady, te same potrzeby materialne i duchowe.

To chyba jasne. Tymczasem dowiaduję się z gazet, że istnieje stronnictwo, które chce zasiadać w Izbie Państwowej i które żąda: 1-mo w Królestwie Polskiem—bardzo słusznie—autonomii, czyli—niejakiej samodzielności wobec Petersburga a jednocześnie—2-do potępienia tych, którzy pragną aby w Dumie utworzyło się Koło Polskie związane solidarnością.

Co to znaczy?.. Albo naród polski nie różni się od rosyjskiej: ani językiem, ani wiarą, ani interesami ekonomicznymi, ani obyczajami, ani temperamentem, ani trybami myślenia, ani wreszcie—przywilejami, a w takim razie... na co mu jakaś autonomia w Warszawie?.. Albo też naród polski, okok wielu wspólnych interesów z narodem rosyjskim, posiada jednakże swoją własną indywidualność, dla wyrażenia której potrzebna mu nie tylko autonomia w Warszawie, ale i Koło polskie w Petersburgu... Tego wymaga nie jakaś polityka, nie jakiś sentymentalny patriotyzm polski, ale tego wymaga—logika, zasadnicze prawo myślenia: A jest A, tak dobrze w Warszawie, jak i w Petersburgu.

Powie kto: solidarność Koła Polskiego może kiedy zmusić jednostkę mądrą i samodzielną do głosowania za wnioskami niedorzecznymi i niegodziwymi?.. Zapozwoleniem. Jeżeli Koło ma reprezentować „duszę polską” w Petersburgu, to niechże powie sobie z góry i raz na zawsze, że—nie wolno mu, pod żadnym pozorem popierać wniosków niedorzecznych lub—nie daj Boże!—nieuczciwych... Gdyż za jego błędy, w tym kierunku odpowie cały naród.

Otóż i mamy podstawę do solidarności... A gdyby znalazł się człowiek tak wysoko ceniący swoje „ja,” że nawet w sprawach rozsądnych i uczciwych nie zechce solidaryzować się z większością, to i na to jest sposób: nie kandydować na posła, nie przyjmować mandatu, nie jechać do Petersburga, nie wstępować do Dumy, tylko siedzieć w domu i tam pielęgnować swoją niepodporządkowaną się samodzielność... Poseł to nie jest teoretyk, ale działacz praktyczny, który niejednokrotnie musi robić ustępstwa ze swoich wyobrażeń i upodobań, byle—nigdy ich nie robił na rzecz niegodziwości.

Drugą kwestją, w której, według kursujących u nas poglądów „A nie jest A” jest sprawa tak zwanych „ugodowców.” Ażeby nie sięgać zbyt daleko, dla krótkości, powiedzmy, że pierwszym u nas „ugodowcem” był zmarły margrabia Aleksander Wielopolski. Człowiek ten wierzył i wykladał w Petersburgu dwa poglądy: 1-mo, że Polska ma wiele wspólnych interesów z Rosją i może żyć z nią w przyjaźni, w ścisłych stosunkach, 2-do—że Polska potrzebuje autonomii, to jest pewnej, choćby skromnej, samodzielności wobec Rosji. Jakoż autonomię wyjednał, ale nie mógł zapobiedz powstania w roku 1863-im. Jego teorya „ugodowa” zbankrutowała i przez czterdzieści lat leżała w grobie, a jeżeli nie w grobie, to przynajmniej w ziemi, jak ziarno rzucone na posiew.

Ponieważ ze strony Rosji ci, którzy mogli coś zrobić, nie myśleli o ugodzie z Polakami, lecz o tem raczej ażeby ich ogłupić, zubożyć i zdemoralizować, więc i Polacy o projektach

Wielopolskiego mówili jak o wilkołaku. Zaledwie garsteczka ludzi, ze Spasowiczem na czele, przechowywała polityczny testament genialnego „ugodowcy i—z jednej strony przypominała Polakom o potrzebie porozumienia z Rosją, z drugiej—kołatała do rządu i publicystów rosyjskich, prosząc choćby o najskromniejsze ulgi tymczasem. Nie mówili z nikim innym, bo nikogo innego nie było.

Że przez cały czas trwania epoki, którą możnaby nazwać „apuchtinowską”, gorętsi nasi patryoci wytrząsali się nad duchowymi spadkobiercami Wielopolskiego, to jest zrozumiałe. Że irtowały ich kroki do rządu, który ani myślał o ulgach to także łatwo pojąć. Ale że dzisiaj jeszcze, dzisiaj... nieszczęśni „ugodowcy” są tarczą, do której najchętniej strzelają rozmaici polemisci, to już tylko dowodzi, że w naszym kraju—A nie jest A...

Bo czemuż innem są ci postępowcy, którzy jeździli do Moskwy i Petersburga porozumiewać się z „ziemcami”?... A czemuż są te potoki krwi rozlanej już nie w Mandżurji, ale na bruku warszawskim, łódzkim, radomskim i t. d. dla zaznaczenia solidarności z rosyjskim ruchem reformacyjnym?... To przecież są najczwiersi „ugodowcy”, to przecież jest „ugoda”, o jakiej nawet marzyć nie śmiał Wielopolski, w epoce swoich petersburskich układów. A ci „ziemcy”, którzy tak odczuwają i rozumieją konieczność pewnej autonomii dla Polski... a ci Rosyanie, studenci warszawskiego i politechniki, którzy wycofują się ze szkoły, aby nie przeszkadzać zaprowadzeniu polskich wykładów, a profesor Wulf i jemu podobni, czy to nie druga strona „ugody”?... Ludzie ci i te wypadki i jeszcze inni ludzie i inne wypadki, jakie po nich przyjdą, wszyscy oni w ciągu kilku miesięcy więcej zrobili dla polsko-rosyjskiej „ugody”, aniżeli Wielopolski, aniżeli grupa Spasowicza przez lat czterdzieści.

My nawet nie zdajemy sobie sprawy z doniosłości tej „ugody”, jaka rodzi się w naszych oczach. A jeżeli tak jest, więc dlaczego jej działacze drwią sobie z wyrazu, który oznacza ich własną robotę, i wygrażają pięściami ludziom, których całą winą jest, że o kilka dziesiątków lat wyprzedzili ich w tej robocie?...

Aby nie zwiększać treści, na co niema miejsca, opuścmy dziedzinę zasad logicznych, a przejdźmy do praw natury, o których również zapomina się w polityce, przynajmniej u nas.

Jednem z bardzo powszechnych, najpowszechniejszych, jest „prawo akcji i reakcji,” działania i oddziaływania, prawo, które mówi, że „każdej sile działającej, przeciwstawia się inna siła.”

Dla przykładu podnieśmy ciężar ziemi, a przekonamy się, że ciężar, z uporem równym naszej sile, chce powrócić na ziemię i uczyni to z wielką gwałtownością, jeżeli go wypuścimy. Zginajmy gałąź drzewa, a uczujemy, że ona pociąga nas samych do góry. Uderzmy pięścią w stół, a sprawdzimy, że i stół uderzył nas w rękę!...

Reakcja, oddziaływanie, jest tem silniejsze, im przedmiot jest większy, albo im prędkość działania jest większa. Na dowód weźmy do ręki wachlarz i wachlujmy się, a doświadczanie przekonana, że im wachlarz bardziej rozwiniemy, albo—im szybciej będziemy go poruszać, tem opór powietrza będzie większy. Spróbujmy biegnąć—toż samo. Im palto rozwiniemy szerzej, im biedzemy prędzej, tem zmęczymy się rychlej i mocniej.

Toż samo w dziedzinie pracy. Im rozleglejsze postawimy sobie cele, im rychlej zechcemy je urzeczywistnić, tem więcej napotkamy trudności, tem bardziej wyczerpiemy siły. Toż samo w stosunkach. Im kto wyższe chce zająć stanowisko, im szybciej dąży do niego, tem więcej na swej drodze znajduje oporów, przeszkód, intryg, plotek i nienawiści. Prawo akcji i reakcji rządzi i tutaj w sposób jednakowo niezachwiany.

Z klasami społecznymi i całemi narodami nie dzieje się inaczej. Dopóki tak zwana „burżuazja” europejska była uciskana przez arystokrację, „lud” miał dla niej współczucie, bał rozlewać krew za jej swobodę i interesa. Dziś, gdy „burżuazja” wzrosła i wzrasta w potęgę i bogactwa—lud już nie tylko burzy się przeciw niej, ale chce dzielić się jej władzą i majątkiem. Dopóki Niemcom imponowała Francja, inne państwa cieszyły się z ich zwycięstw nad Napoleonem III; dziś, gdy Niemcy nie tylko zabezpieczyli się, ale już chcą innym narzucać swoją wolę, cała Europa jest bliską utworzenia przeciw nim koalicji.

Słowem, w życiu społeczeństw, jak i jednostek, powodzenie wywołuje opory tem silniejsze, im jest samo szybsze i większe ogarnia pola.

Że każdy z nas z całego serca pragnąłby jak najwięcej swobód osobistych i narodowych, że chcielibyśmy widzieć Polaków na wszelkich stanowiskach, a nasz język we wszystkich instytucjach, że marzymy o tem, aby każde dziecko miało ochronę lub szkołę, każdy starzec czy kaleka—opiekę, każdy pracownik dobre zarobki, zdrowe mieszkanie, pożywną jadło, czystą odzież i godziwe przyjemności, że tego wszyscy pragniemy—czy może kto wątpić?... Czy znalazłby się wyrodek, który nie radby widzieć swego kraju na szczycie materialnej i duchowej pomyślności, materialnej i duchowej doskonałości?...

Ale... ale nie zapominajmy, że z chwilą, gdy zacznie się ów nasz pochód do upragnionych swobód, pomyślności i doskonałości, że z tą samą chwilą zerwie się czy wypełni i reakcja. Już dziś, kiedy jeszcze nie posiadamy nic konkretnego, już dziś gazety niemieckie zaczynają trąbić na alarm, przeciw nowemu polskiemu niebezpieczeństwu. Już dziś, na pierwszą wzmiankę ziemców o jakiejś skromnej autonomii dla Królestwa Polskiego, między kupcami moskiewskimi zaczął się niepokój. W ich oczach autonomia Królestwa jest to coś takiego, jak gdyby Polacy, z kosami i w czerwonych konfederatkach wybierali się na Kremlin!... Już dziś... A co będzie, gdy naprawdę zaczną się reformy?... Ile to podrażnionych ambicji, zmniejszonych dochodów, zawiedzionych projektów, fantastycznych obaw, ile bezmyślnych nienawiści rozbudzi się, aby jeżeli nie całkiem zepsuć, to chociażby ograniczyć, chociażby opóźnić ulgi, oczekiwane od tyłu lat, wśród tylu cierpień.

Trzeba ciągle mieć w pamięci, że przeciw reformom u nas z wielu stron zacznie się reakcja; co wprowadzić nie obowiązują, ażebyśmy mieli wyznać się naszych ludzkich praw i społecznych potrzeb, naszych warunków do bytu, ale ostrzega, ażebyśmy byli rozważnymi i—choćby tylko—nie wykrzykiwali zbyt głośno, nie triumfowali zbyt wcześnie...

A jesteśmy do tego skłonni. Ledwie gdzieś wolno było po kilkudziesięciu latach przyjąć biskupa, już, jakby z pod ziemi, wyskoczyły tryumfalne bramy i banderye... Ledwie przeprowadzono wybór polskiego posła na Szlasku, czy wykupiono kawałek polskiej gleby od Niemców, już rozlegają się wiwaty na rachunek ostatecznego „zwycięstwa”, które jeszcze leży za dwudziestą górą i rzeką... Po czterdziestoletniej rusyfikacji nie nauczyliśmy się nawet tego rosyjskiego przysłowia, które powiada: „Jedz pieróg z grzybami, ale trzymaj język za zębami!..” Niestety, u nas wciąż łatwiej o niepowściągliwość języka, aniżeli—o grzyby i pierogi!...

Jest to drobnutka cząsteczka, jest to dopiero początek tego, co możnaby powiedzieć o nieliczeniu się naszej „polityki” z najelementarniejszymi prawami natury, z najprostszymi zasadami myślenia, ale—trzeba kończyć!...

Streśćmy więc, co powiedziano wyżej:

Nie należy drwić z „ugodowców,” bo dzisiaj prąd ugodowy toczy się u nas bardzo wartko, w miarę rozwoju swobód osobistych i narodowych może ogarnąć cały naród polski z siłą, jakiej nawet nie przeczuwamy.

Nie należy potępiać zasady solidarności w przyszłym Kołe Polskiem w Petersburgu. Solidarność tylko wówczas mogłaby być nieszczęściem, gdyby Koło Polskie stało się naczyniem ciemnoty, zacofania, nietolerancji, fanatyzmu nacjonalistyczno-wyznaniowego i t. p. zamiast być obrazem „duszy polskiej” wyrwywającej się do swobód, postępu, sprawiedliwości i pracy dla cywilizacji.

W kwestyi możliwych reform i ulg dla naszej narodowości, nie trzeba niecierpliwie się i przedwcześnie triumfować, nie trzeba wybuchać gniewem, ani radością, ale iść drobnym kroczkiem, ciągle naprzód, wyczerpując do dna każde pozyskane stanowisko, każdą ulgę.

Gdybyśmy tak robić umieli, przekonalibyśmy się, z jak drobnych, z jak bardzo drobnych cegiełek można budować wielkie gmachy.

Bolesław Prus.

W chwili, gdyśmy pisali artykuł umieszczony w poprzednim numerze, stwierdzając, że cała opinia publiczna w naszym kraju wypowiedziała się za utrzymaniem zasady solidarności Koła Polskiego, nie przewidzieliśmy, że pewien odłam tej opinii, jakkolwiek nie posiadający miarodajnego wpływu w społeczeństwie, wypowie się przeciw solidarności. Zaznaczamy to z obowiązku dziennikarskiego.

Typo druk i ilustracja.

WBL
anb
1000

1000
1000
1000



1000
1000
1000

1000
1000
1000

1000
1000
1000
1000
1000

KRONIKA TYGODNIOWA.

„Polityka i logika.”

W iacomo, że kwestye polityczno-społeczne zaciekawiają ludzi, roznamietniają ich, porychają [do czynów nawet do poświęceń. Otóż, jest godnem uwagi, że ludzie, rozprawiając o tych kwestyach, sądząc je, formułując programy, spełniając czyny polityczno-społeczne niekiedy wielkiej doniosłości, bardzo często zapominając o fundamentalnych zasadach myślenia i—prawach natury!..

Przypatrując się z boku świeżo zbuzonemu u nas ruchowi społeczno-politycznemu spostrzegłem kilka tego rodzaju objawów i—właśnie chcę o nich pomówić. Z góry jednak zastrzegam, że—niemam zamiaru, ani walczyć z jakąś partją, ani popierać jakiejś innej partji, ani nawracać nikogo... Chcę poprostu oświecić z pewnego stanowiska zajmujące nas a nawet gorączkujące pytania a czytelnik osądzi: czy zrobiłem to rzetelnie i w sposób beznamiętny.

Zasada tożsamości. Logika twierdzi, że jednym z fundamentalnych praw myślenia jest następujące: „Każda rzecz jest samą sobą i niczem innem tylko sobą.” W skróceniu wyraża się to formułą: $A = A$ czyli: A jest równe A .

Naprzykład. Ołów jest ołowiem nie tylko w Warszawie, ale także w Paryżu, Londynie, Pekinie, Waszyngtonie, na księżycu, na Marsie na słońcu i t. d. Naród polski jest narodem polskim, nie tylko gdy o nim myślimy w Warszawie ale również gdy o nim myślimy w Paryżu, Londynie, Petersburgu i t. d. Zkądkolwiek w danej epoce, spojrzymy naród polski, zawsze będzie on narodem polskim, będzie miał te same zalety i wady, te same potrzeby materialne i duchowe.

To chyba jasne. Tymczasem dowiaduję się z gazet, że istnieje stronnictwo, które chce zasiadać w Izbie Państwowej i które żąda: 1-mo w Królestwie Polskiem—bardzo słusznie—autonomii, czyli—niejakiej samodzielności wobec Petersburga a jednocześnie—2-do potępienia tych, którzy pragną aby w Dumie utworzyło się Koło Polskie związane solidarnością.

Co to znaczy?.. Albo naród polski nie różni się od rosyjskiej: ani językiem, ani wiarą, ani interesami ekonomicznymi, ani obyczajami, ani temperamentem, ani trybami myślenia, ani wreszcie—przywilejami, a w takim razie... na co mu jakaś autonomia w Warszawie?.. Albo też naród polski, okok wielu wspólnych interesów z narodem rosyjskim, posiada jednakże swoją własną indywidualność, dla wyrażenia której potrzebna mu nie tylko autonomia w Warszawie, ale i Koło polskie w Petersburgu... Tego wymaga nie jakaś polityka, nie jakiś sentymentalny patryotyzm polski, ale tego wymaga—logika, zasadnicze prawo myślenia: A jest A , tak dobrze w Warszawie, jak i w Petersburgu.

Powie kto: solidarność Koła Polskiego może kiedy zmusić jednostkę mądrą i samodzielną do głosowania za wnioskami niedorzecznymi i niegodziwymi?.. Zapowoleniem. Jeżeli Koło ma reprezentować „duszę polską” w Petersburgu, to niechże powie sobie z góry i raz na zawsze, że—nie wolno mu, pod żadnym pozorem popierać wniosków niedorzecznych lub—nie daj Boże!—nieuczciwych... Gdyż za jego błędy, w tym kierunku odpowie cały naród.

Otóż i mamy podstawę do solidarności... A gdyby znalazł się człowiek tak wysoko ceniący swoje „ja,” że nawet w sprawach rozsądnych i uczciwych nie zechce solidaryzować się z wię-

szością, to i na to jest sposób: nie kandydować na posła, nie przyjmować mandatu, nie jechać do Petersburga, nie wstępować do Dumy, tylko siedzieć w domu i tam pielęgnować swoją niepodporządkowującą się samodzielność... Poseł to nie jest teoretyk, ale działacz praktyczny, który niejednokrotnie musi robić ustępstwa ze swoich wyobrażeń i upodobań, byle—nigdy ich nie robił na rzecz niegodziwości.

Drugą kwestją, w której, według kursujących u nas poglądów „ A nie jest A ” jest sprawa tak zwanych „ugodowców.” Ażeby nie sięgać zbyt daleko, dla krótkości, powiedzmy, że pierwszym u nas „ugodowcem” był zmarły margrabia Aleksander Wielopolski. Człowiek ten wierzył i wykladał w Petersburgu dwa poglądy: 1-mo, że Polska ma wiele wspólnych interesów z Rosją i może żyć z nią w przyjaźni, w ścisłych stosunkach, 2-do—że Polska potrzebuje autonomii, to jest pewnej, choćby skromnej, samodzielności wobec Rosji. Jakoż autonomię wyjednał, ale nie mógł zapobiedz powstania w roku 1863-im. Jego teorya „ugodowa” zbankrutowała i przez czterdzieści lat leżała w grobie, a jeżeli nie w grobie, to przynajmniej w ziemi, jak ziarno rzucone na posiew.

Ponieważ ze strony Rosji ci, którzy mogli coś zrobić, nie tylko nie myśleli o ugodzie z Polakami, lecz o tem raczej ażeby ich ogłupić, zubożyć i zdemoralizować, więc Polacy o projektach Wielopolskiego mówili jak o wilkołaku. Zaledwie garsteczka ludzi, ze Spasowiczem na czele, przechowywała polityczny testament genialnego „ugodowcy i—z jednej strony przypominała Polakom o potrzebie porozumienia z Rosją, z drugiej—kołatała do rządu i publicystów rosyjskich, prosząc choćby o najskromniejsze ulgi tymczasem. Nie mówili z nikim innym, bo nikogo innego nie było.

Ze przez cały czas trwania epoki, którą możnaby nazwać „apuchtinowską”, gorętsi nasi patryoci wytrząsali się nad duchowymi spadkobiercami Wielopolskiego, to jest zrozumieli. Ze irtowały ich kroki do rządu, który ani myślał o ulgach to także łatwo pojąć. Ale że dzisiaj jeszcze, dzisiaj... nieszczeni „ugodowcy” są tarczą, do której najchętniej strzelają rozmaici polemisci, to już tylko dowodzi, że w naszym kraju— A nie jest A ...

Bo czemuż innem są ci postępowcy, którzy jeździli do Moskwy i Petersburga porozumiewać się z „ziemcami”?... A czemuż są te potoki krwi rozlanej już nie w Mandzuryi, ale na bruku warszawskim, łódzkim, radomskim i t. d. dla zaznaczenia solidarności z rosyjskim ruchem reformacyjnym?... To przecież są najczestwiejsi „ugodowcy”, to przecież jest „ugoda”, o jakiej nawet marzyć nie śmiał Wielopolski, w epoce swoich petersburskich układów. A ci „ziemcy”, którzy tak odczuwają i rozumieją konieczność pewnej autonomii dla Polski... a ci Rosjanie, studenci warszawskiego i politechniki, którzy wycofują się ze szkoły, aby nie przeszkadzać zaprowadzeniu polskich wykładów, a profesor Wulf i jemu podobni, czy to nie druga strona „ugody”?... Ludzie ci i te wypadki i jeszcze inni ludzie i inne wypadki, jakie po nich przyjdą, wszyscy oni w ciągu kilku miesięcy więcej zrobili dla polsko-rosyjskiej „ugody”, aniżeli Wielopolski, aniżeli grupa Spasowicza przez lat czterdzieści.

My nawet nie zdajemy sobie sprawy z doniosłości tej „ugody”, jaka rodzi się w naszych oczach. A jeżeli tak jest, więc dlaczego jej działacze drwią sobie z wyrazu, który oznacza ich

własną robotę, i wyrażają pięściami ludziom, których całą winą jest, że o kilka dziesiątków lat wyprzedzili ich w tej robocie?..

Aby nie zwiększać treści, na co niema miejsca, opuśćmy dziedzinę zasad logicznych, a przejdźmy do praw natury, o których również zapomina się w polityce, przynajmniej u nas.

Jednem z bardzo powszechnych, najpowszechniejszych, jest „prawo akcji i reakcji,” działania i oddziaływania, prawo, które opiewa, że, „każdej sile działającej, przeciwstawia się inna siła.”

Dla przykładu podnieśmy ciężar ziemi, a przekonamy się, że ciężar, z uporem równym naszej sile, chce powrócić na ziemię i uczyni to z wielką gwałtownością, jeżeli go wypuścimy. Zginajmy gałąź drzewa, a uczujemy, że ona pociąga nas samych do góry. Uderzmy pięścią w stół, a sprawdzimy, że i stół uderzył nas w rękę!..

Reakcja, oddziaływanie, jest tem silniejsze, im przedmiot jest większy, albo im prędkość działania jest większa. Na dowód weźmy do ręki wachlarz i wachlujmy się, a doświadczenie przekonana, że im wachlarz bardziej rozwiniemy, albo—im szybciej będziemy go poruszać, tem opór powietrza będzie większy. Sprobujmy biegnąć—toż samo. Im palto rozwiniemy szerzej, im bardziej zechcemy przędzić, tem zmęczymy się rychlej i mocniej.

Toż samo w dziedzinie pracy. : rozleglejsze postawimy sobie cele, im rychlej zechcemy je urzeczywistnić, tem więcej napotkamy trudności, tem bardziej wyczerpiemy siły. Toż samo w stosunkach. Im kto wyższe chce zająć stanowisko, im szybciej dąży do niego, tem więcej na swej drodze znajduje oporów, przeszkód, intryg, plotek i nienawiści. Prawo akcji i reakcji rządzi i tutaj w sposób jednako nieuchwytany.

Z klasami społecznymi i całymi narodami nie dzieje się inaczej. Dopóki tak zwana „burżuazja” europejska była uciskana przez arystokrację, „lud” miał dla niej współczucie, ba! rozlewał krew za jej swobodę i interesa. Dziś, gdy „burżuazja” wzrosła i wzrasta w potęgę i bogactwa—lud już nie tylko burzy się przeciw niej, ale chce dzielić się jej władzą i majątkiem. Dopóki Niemcom imponowała Francja, inne państwa cieszyły się z ich zwycięstw nad Napoleonem III; dziś, gdy Niemcy nie tylko zabezpieczyli się, ale już chcą innym narzucać swoją wolę, cała Europa jest blizką utworzenia przeciw nim koalicji.

Słowem, w życiu społeczeństw, jak i jednostek, powodzenie wywołuje opory tem silniejsze, im jest samo szybsze i większe ogarnia pola.

Że każdy z nas z całego serca pragnąłby jak najwięcej swobód osobistych i narodowych, że chcielibyśmy widzieć Polaków na wszelkich stanowiskach, a nasz język we wszystkich instytucjach, że marzymy o tem, aby każde dziecko miało ochronę lub szkołę, każdy starzec czy kaleka—opiekę, każdy pracownik dobre zarobki, zdrowe mieszkanie, pożywne jadło, czystą odzież i godziwe przyjemności, że tego wszyscy pragniemy—czy może kto wątpić?... Czy znalazłby się wyrodek, który nie radby widzieć swego kraju na szczycie materialnej i duchowej pomyślności, materialnej i duchowej doskonałości?..

Ale... ale nie zapominajmy, że z chwilą, gdy zacznie się ów nasz pochód do upragnionych swobód, pomyślności i doskonałości, że z tą samą chwilą zerwie się czy wypełni i reakcja. Już

dziś, kiedy jeszcze nie posiadamy nic konkretnego, już dziś gazety niemieckie zaczynają trąbić na alarm, przeciw nowemu polskiemu niebezpieczeństwu. Już dziś, na pierwszą wzmiankę ziemców o jakiejś skromnej autonomii dla Królestwa Polskiego, między kupcami moskiewskimi zaczął się niepokój. W ich oczach autonomia Królestwa jest to coś takiego, jak gdyby Polacy, z kosami i w czerwonych konfederatkach wybierali się na Kremlin!.. Już dziś... A co będzie, gdy naprawdę zaczną się reformy?... Ile to podrażnionych ambicji, zmniejszonych dochodów, zawiedzionych projektów, fantastycznych obaw, ile bezmyślnych nienawiści rozbudzi się, aby jeżeli nie całkiem zepsuć, to chociażby ograniczyć, chociażby opóźnić ulgi, oczekiwane od tylu lat, wśród tylu cierpień.

Trzeba ciągle mieć w pamięci, że przeciw reformom u nas z wielu stron zacznie się reakcja; co wprawdzie nie obowiązuje, ażebyśmy mieli wyzwać się naszych ludzkich praw i społecznych potrzeb, naszych warunków do bytu, ale ostrzega, ażebyśmy byli rozważnymi i—choćby tylko—nie

wykrzykiwali zbyt głośno, nie tryumfowali zbyt wczesnie...

A jesteśmy do tego skłonni. Ledwie gdzieś wolno było po kilkudziesięciu latach przyjąć biskupa, już, jakby z pod ziemi, wyskoczyły tryumfalne bramy i banderye... Ledwie przeprowadzono wybór polskiego posła na Szlązku, czy wykupiono kawałek polskiej gleby od Niemców, już rozlegają się wiwaty na rachunek ostatecznego „zwycięstwa”, które jeszcze leży za dwudziestą górą i rzeką... Po czterdziestoletniej rusyfikacji nie nauczyliśmy się nawet tego rosyjskiego przysłowia, które powiada: „Jedz pieróg z grzybami, ale trzymaj język za zębami!..” Niestety, u nas wciąż łatwiej o niepowściągliwość języka, aniżeli —o grzyby i pierogi!..

Jest to drobnutka cząsteczka, jest to dopiero początek tego, co możnaby powiedzieć o nienalicyzowaniu naszej „polityki” z najelementarniejszymi prawami natury, z najprostszyimi zasadami myślenia, ale—trzeba kończyć...

Streśćmy więc, co powiedziano wyżej:

Nie należy drwić z „ugodowców,” bo dzisiaj prąd ugodowy łączy się u nas bardzo wartko, w miarę rozwoju swobód osobistych i narodowych może ogarnąć cały naród polski z siłą, jakiej nawet nie przeczuwamy.

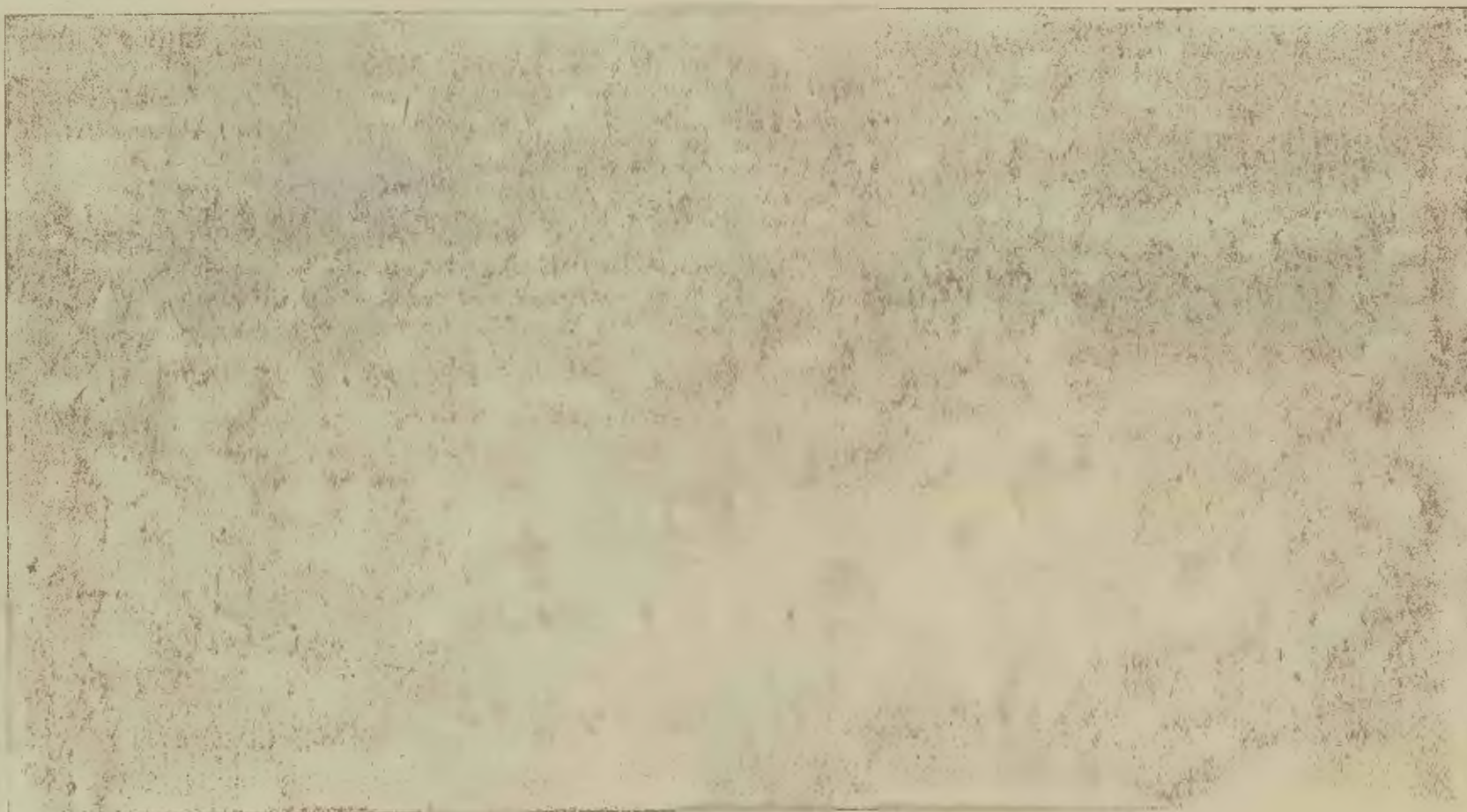
Nie należy potępiać zasady solidarności w przyszłym Koło Polskiem w Petersburgu. Solidarność tylko wówczas mogłaby być nieszczęściem, gdyby Koło Polskie stało się naczyniem ciemnoty, zacofania, nietolerancji, fanatyzmu nacjonalistyczno-wyznaniowego i t. p. zamiast być obrazem „duszy polskiej” wyrwijającej się do swobód, postępu, sprawiedliwości i pracy dla cywilizacji. W kwestyi możliwych reform i ulg dla naszej narodowości, nie trzeba niecierpliwieć się i przedwcześnie tryumfować, nie trzeba wybuchać gniewem, ani radością, ale iść drobnym kroczkiem, ciągle naprzód, wyczerpując do dna każde pozyskane stanowisko, każdą ulgę.

Gdybyśmy tak robić umieli, przekonalibyśmy się, z jak drobnych, z jak bardzo drobnych cegiełek można budować wielkie gmachy.

12. 12. 1891
/o zgodie/

10.





ETAP

JACEK MALCZEWSKI

pomnika MDLXIX", z drugiego: „Odnowiony roku MDCCCXXV". Odlano pomnik w hutach żelaznych skarbowych w Samsonowie. Waga żelaza wynosi 200 centnarów. Zaslugę wielką musiał mieć we wzniesieniu pomnika w Lublinie Stanisław Staszic, skoro świadomy czynów jego Lelewel w krótkiej o tym niepospolitym mężu wzmiance nie przepomniął napisać, wyliczając najważniejsze jego prace: „Staszic... dźwiga... w Lublinie pomnik Unii narodowej" (p. „Polska, dzieje i rzeczy jej", t. I. Poznań 1858, str. 528). Toż samo zaświadcza dzieło Malte-Bruna, przez Leonarda Chodźkę powtórnie wydane i rozszerzone, p. n. „Tableau de la Pologne ancienne et moderne", (Paryż 1830, t. I, str. 175). Niestety, brak nam źródła, z którychbyśmy mogli dokładniejszą o udziale Staszica w tej sprawie zacerpnąć wiadomość.

Jak obecnie przekonać się mogliśmy z dochowanych szczęśliwie aktów, dotyczących budowy pomnika Unii, które pozwalają nam sprostować tutaj niektóre wiadomości, dotychczas błędnie podawane, kosztu budowy wynosiły 22,638 złotych polskich groszy 7. Z tej sumy samo górnictwo wzięło za odlanie pomnika i dostarczone żelastwo 14,168 złp.. prof. Maliński za model płaskorzeźby otrzymał 614 złp., resztę pochłonęły przewiezienie pomnika i roboty koło niego na miejscu w Lublinie, jak murowanie fundamentów, wznoszenie rusztowania i t. p. Całą sumę wypłacono z funduszu skarbowego, który miał do dyspozycji ówczesny namiestnik Królestwa Polskiego, książę Zajączek. Z powodu pewnych nieporozumień o należność za odlanie pomnika z wydziałem górnictwa krajowego resztę rachunku załatwiono ostatecznie dopiero w r. 1829, a ponieważ rozpoczęto sprawę zbudowania nowego pomnika w r. 1823, więc ciągnęła się całe lat siedm.

Przez czas dość długi po zbudowaniu tego pomnika był on dla wszystkich dostępny; później otoczono go drzewami i krzewami oraz parkanem, tak iż pomnik znalazł się wewnątrz ogródka, niedostępnego dla publiczności; wejście do niego znajduje się obecnie od strony pałacu gubernatorskiego.

O ile wiadomo piszącemu te wyrazy, restaurowano pomnik od czasu jego wzniesienia dwa razy: w listopadzie roku 1857 pod kierunkiem inżyniera

Feliksa Bieczyńskiego, wielce zasłużonego dla miasta naszego, Robert Bieliński odnowił pomnik: pomalowano go wtedy, odzłożono płaskorzeźbę i napisy. Roboty te kosztowały niewiele, gdyż tylko rubli 51 kop. 61. O drugim, o wiele gruntowniejszym odnowieniu z r. z. pisaliśmy wyżej.

Podobizny pomnika w rysunku, sztytach, litografiach i t. p. od czasu jego wzniesienia były liczne: tutaj zwracamy tylko uwagę na najdawniejszą. W albumie p. n. „Rysy postawionych pomników i wybitych medalów w Królestwie Polskim w r. 1825" znajdujemy dokładny rysunek techniczny pomnika i figur, wyobrażonych na płaskorzeźbie, na tablicach XIII-tej i XIV-tej.

HIERONIM ŁOPACIŃSKI.

BOLESŁAW PRUS.

Kronika tygodniowa.

Nie dalej, jak w początkach grudnia roku zeszłego czytaliśmy odezwę:

„Kiedy przed miesiącem rząd zmuszony został przez rewolucję do częściowej kapitulacji, nasi rosyjscy towarzysze natychmiast przystąpili do wydawania organów, reprezentujących interesa klasowe proletaryatu... Dzisiaj, gdy rząd zmuszony został do zniesienia dyktatury wojennej nie tylko w Warszawie i Łodzi, ale i w całym Królestwie, będziemy korzystali ze swobód takich samych, jak Petersburg...”

Kto, w jakim celu i w jaki sposób będzie „korzystał ze swobód“?...—zapytuje czytelnik.

„Polska Partya Socjalistyczna, polski proletaryat zdobył sobie mównicę, z której będzie uczył, budował, sądził, zwiastował, zagrzewał... Sądzić będzie żywych i umarłych, nędzników i wiarołomców, tchórzów i upadłych. Uczyć będzie masy jak najszerze, dziś jeszcze rozproszone i ciemne, jutro zorganizowane, świadome swoich praw i zadań. Będzie pocieszał i zagrzewał słabych duchem, wydziedziczonych, nędzarzy; ducha w nich budzić będzie, aby wytrwali i poszli na bój ostatni. Nareszcie będzie budować i zwiastować przyszłość, tak różną od teraźniejszości i tak jej prze-

ciwstawną, jak harmonia — chaosowi, błogostan — pustyni, rajski ogród — pobojuwisku...”

Niedużo dni upłynęło od tych cudownych marzeń i... o ileż się one sprawdziły?... Oto, rząd nie tylko nie został „zmuszony do kapitulacji“, ale nawet stanął dęba i zapełnił wszystkie więzienia szlachetnymi architektami przyszłości... Za ledwie zniósł dyktaturę, aliści odnowił ją po raz drugi, trzeci czy czwarty i znowu arestuje, znowu rewiduje całe gromady ludzi na ulicach, w kawiarniach, w mieszkaniach; protestujących wali kolbami, kłuje bagnetami, a kogo nie może dosięgnąć ostrą ani tępą bronią, za tym posyła chylą kulę, która najczęściej trafia Bogu ducha winnych przechodniów, a jak pójdzie dobrze—to i po kilku naraz...

Wytrząsać się z tego rodzaju położeń byłoby niegodziwością. Trzeba jednak, choćby ze ściśniętym sercem, zrobić rachunek dotychczasowych działań rewolucji, ażeby w ostatecznym rezultacie otrzymać, że... apostołowie nowej ewangelii—*mylili się!*...

Tak, niestety! *mylili się*, i to po wiele razy. Może stosunkowo najłatwiej przychodziło im „sądzić żywych i umarłych“, nawet takich, którzy... umarli przypadkiem... Może najłatwiej przychodziło mianować „nędznikami i wiarołomcami, tchórzami i upadłymi“ tych wszystkich, którzy ośmielali się mieć inne zdanie. Natomiast nie udało się im uczyć szerokich mas, pocieszać nędzarzy i zagrzewać słabych duchem, a już wcale, ale to wcale nie udało im się zbudować tej pięknej, tej wymarzonej przyszłości, która miała być „harmonią, błogostanem i rajskim ogrodem“!...

Powie kto, że zbyt mało czasu mieli na urzeczywistnienie wzniosłych i trudnych ideałów?... Zapewne. Ale był tam i drugi niedostatek: zła metoda...

Kiedy Chrystus przyszedł budować Królestwo Niebieskie na ziemi, cóż robił? Czy mścił się nad nieprzyjaciółmi?... Nie, przebaczał. Czy ranił?... Nie, leczył. Może zabijał?... Nie, wskrzeszał. Może głodził?... Nie, karmił zgłodniałych. Może wymyślał i przeklinał?... Nie, błogosławił. A może zmuszał, ażeby szli za nim nawet niechętni?... Nie, On tylko pozwalał iść za sobą.



Czy mówił o nienawiści i walce klas?... Nie, zalecał miłość, odpuszczał winowajcom, kazał naśladować pokój czyniących i cichych...

I tymi, pełnymi słodyczy sposobami zapalił w duszach pożądanie Królestwa Bożego, pożądanie, które po dziewiętnastu wiekach nie wygasło. Wątpię zaś bardzo, ażeby pragnienie najnowszego królestwa „harmonii, błogostanu i rajskiego ogrodu“ mogło utrzymać się w naszych sercach choćby przez dziewiętnaście tygodni...

Dlaczego?

Oto dlatego, że partie rewolucyjne, powiedzmy otwarcie, sprzeniewierzyły się swemu własnemu programowi... Obiecywały wolność, a zmuszały do zamykania sklepów i fabryk; obiecywały poszanowanie osobistości ludzkiej, a szafowały „karami śmierci“ tak hojnie, że niekiedy nie tylko zdarzały się zabójstwa ludzi niewinnych, ale nawet omyłki co do osób: zabijano kogoś niechcący, przez roztrzępianie... Obiecywano wreszcie „błogostan i raj na ziemi“, a tymczasem skazywano masy ludzi na nędzę, po której następowała albo żebraniina, albo występki, w każdym razie—upadek moralny...

Niedługa historia rewolucji rosyjskiej, a właściwie rewolucyjnego fermentu dzieli się na dwa, niezmiernie charakterystyczne okresy: do ogłoszenia Manifestu konstytucyjnego w dniu 30 października i—po ogłoszeniu Manifestu konstytucyjnego. W okresie pierwszym były usprawiedliwione wszelkie manifestacje, wszelkie zaburzenia, wszelkie bezrobocie... Naród dusił się w ucisku biurokracym, szalał, więc i spełniał czyny, godne obłąkańców. Ale po trzydziestym październiku (gdyby mądrość rządziła podobnemi zjawiskami...) wszystkie niepokoje powinny były ustać, a rewolucja, wprawdzie z bronią u nogi, ale bez wystrachu, powinna była dać rządowi czas do reform.

Miesiąc, dwa, trzy, nawet pół roku, w takich wypadkach nie stanowi... I dopiero, gdyby rząd okazał—w sposób nie ulegający wątpliwości—złą wolę, dopiero wówczas można by wystąpić z nową, jeszcze silniejszą serią strajków i niepokoїв.

To też dzięki temu błędowi (czy może dzięki fatalności...) hr. Witte mówi dziś z najlepszą miną:

— Muszę zdusić anarchię, bo ona grozi bytowi społeczeństwa... I muszę opierać się na żywiołach zadowolonych, gdyż postępowe odmówiły mi poparcia...

Kurier Codzienny dziś, niestety! zamknięty, rozpędzony i uwięziony, już jako organ polskich socjalistów, wypowiedział w jednym z pierwszych numerów uwagę, która przynosi zaszczyt mądrości jego redaktorów:

„Zbliży się chwila — mówił mniej więcej te słowa—kiedy, dzięki zdobytej przez nas konstytucji, burżuazja zagarnie władzę w swoje ręce. Otóż musimy śpieszyć się, ażeby, zanim nastąpi ten wypadek, proletaryat jak najwięcej wytargował dla siebie.“

Oto słowa godne polityka. Wnet jednakże teoretyków socjalizmu zgarnięto do cytadeli, a zaś praktycy wypowiedzieli... „walkę burżuom“ na całej linii, poczynawszy od fabryk i dróg żelaznych, skńczywszy na stróżach i kucharkach. I już wiadomo, czy w końcu nie doczekalibyśmy się strajku mamek i akuserek, a może nawet wogóle... strajku płci pięknej... gdyby „zmuszony do kapitulacji rząd“ nie ogłosił stanu wojennego.

Pośpieszam dodać, że stan wojenny bynajmniej nie odegrał roli zbawcy społeczeństwa. Wprawdzie pozanykał pisma jawne, wylał teoretyków, którzy na rynkach wygłaszali swoje opinie, zapełnił więzienia najdzielniejszymi obywatelami kraju, rozbroił ludzi, odznaczających się lojalnością, ale ani na jotę nie ochłodził rewolucyjnej gorączki, nie zaszkodził literaturze tajnej, a nade wszystko nie zapobiegł wybuchowi bandytyzmu,

który przypomina Europę w wiekach średnich albo najciemniejsze prowincje tureckie. Takich awantur, na jakie patrzy Warszawa i prowincja, już bardzo dawno nie widział świat ucywilizowany. W biały dzień, w samo południe, do kantoru albo do mieszkania wchodzi kilku panów, prześlicznie ubranych, z prześlicznymi rewolwerami w ręku i za pośrednictwem prześlicznych zwrotów oratorskich nakazują „burżuom“ wypłacić sobie kilkaset lub nawet kilka tysięcy rubli dla „komitetu anarchistyczno-komunistycznego“. No i ludzie najczęściej płacą, niekiedy wyprasza ją sobie prolongatę, a czasami wyblągają zniżkę. Operacje te, dokonywane pod opieką dziesięciu stanów wojennych, w dziesięciu guberniach Królestwa, są o tyle niezwykle, że doprawdy mogłyby rozbudzić szczerą wesołość, gdyby nie kosztowały tak drogo...

Ale najcięższym błędem socjalizmu, najskrawszem wyparciem się własnego katechizmu jest walka z „burżujami“.

Według socjalistycznej historyozofii „państwo przyszłości“, państwo proletaryatu może i musi wznieść się tylko na jednym jedynym fundamencie, który nazywa się „gospodarstwem kapitalistycznym“. Kapitalizm jest właściwym twórcą, jest rodzoniućczkim ojcem „państwa przyszłości“. Wszakże to kapitalizm tworzy proletaryat, kapitalizm rujnuje drobnych posiadaczy, największych wrogów socjalizmu, kapitalizm uczy podziału pracy, skupia mnóstwo ludzi w fabrykach, podnieca geniusz wynalazców, bez czego nie nielibyśmy ani zadziwiających motorów, ani cudownych mechanizmów wykonawczych, kapitalizm nareszcie w fatalny sposób ma popychać ludy do zebrania wszelkich bogactw, wszelkiej własności w kilku czy kilkunastu rękach. Słowem—jak dzień po nocy, a lepiej: jak wiek dojrzaje następuje tylko po młodości, tak panowanie proletaryatu może nastąpić tylko po panowaniu kapitału. Ktoby więc chciał przyspieszyć narodziny państwa przyszłości, musiałby wynaleźć jakiś środek spotęgowania, przyspieszenia jak najwyższego rozwoju kapitalizmu.

A tymczasem co robią nasi socjaliści?... Za pomocą strajków rujnują kapitalistów i na nieokreślony przeciąg czasu odsuwają nie tylko epokę panowania kapitalizmu, ale nawet możliwość jakiegoś takiego rozwijania się przemysłu! Nie mówiąc już o tem, że skazują na nędzę dziesiątki tysięcy pracowników.

I cóż wobec tego warte są obietnice rzeczywistej demokratycznej w państwie rosyjskim? Państwo to pod każdym względem o kilkadziesiąt lat spóźnia się za ucywilizowaną Europą: najpóźniej uwłaszczyło chłopów, najpóźniej wprowadziło samorząd i sądy przysięgłych, najpóźniej wolność prasy i swobodę wyznań, najpóźniej zniósł dla swoich obywateli dobrodziejstwo kary cielesnej i t. d. i t. d. Z jakiejże więc racji państwo to miałoby najpierw zostać... rzeczpospolitą demokratyczną?...

W jakim celu piszę to wszystko?... Czy ażeby w taki sposób zajaśnieć „przymiotami umysłu i serca“, czy może aby wyzwierać się nad tymi, których—wczoraj podziwialiśmy, a których dzisiaj—ściga rząd, i odwraca się od nich głęboko zniechęcona opinia publiczna?...

Niech mnie Bóg zachowa od podobnych zamiarów i tryumfów! Chodzi mi bowiem o coś nieskończenie ważniejszego, o sens moralny tych bolesnych wstrząśnień, na jakie dziś patrzymy.

Bywały chwile, że, zastanawiając się nad obecnym fermentem rewolucyjnym, mówiłem sobie:

— Trudno się ludzi... W tym ruchu nie ma myśli przewodniej. Jest to tylko choroba społeczna, bezświadoma i bezplanowa reakcja przeciwko wieloletniej a okrutnej gospodarce biurokratycznej.

I znowu bywały chwile, że, spotkawszy

przypadkiem z „osobami znającymi się na rzeczy“, myślałem:

— Czy ja wiem?... Może oni naprawdę mają potężne siły, może znają słabe strony swoich przeciwników, może posiadają jakiś rzeczywistny cel i—plany, obrobione w najdrobniejszych szczegółach?... Może to naprawdę nie są marzy-ciele, lecz reformatorowie?...

Ostatecznie zaś nasunął mi się taki obraz:

Przez kilkadziesiąt lat budowano i napelniano olbrzymi rezerwoar. Co rok dobudowywano piętro i co rok dolewano nowych zapasów. Wtem, kiedy rezerwoar dorównał wysokością wieży babilońskiej i do samego nieba napelnił się krwią i łzami, wtem... jedna ze ścian, od góry do dołu, pękła, i straszliwa masa płynu zaczęła wylewać się na ziemię.

Nic nie pomogły ulgi, swobody, najpoważniejsze zaręczenia, najoczywistsze dowody dobrej woli: piekielny płyn leje się i leje i będzie się lał, dopóki nie wycieknie ostatnia kropla.

Co tu ma do czynienia rozum?... cel?... plan?... I co pomoże dziwić się, że kiedy na całym świecie rewolucje wybuchały *przed* konstytucją, to w Rosji właśnie największe zaburzenia wynikły *po* nadaniu konstytucji?... Płyn leje się i leje się i leje!...

Małe zboczenie. W roku 1863 wybuchło u nas powstanie, pomimo że Wielopolski przywoził z Petersburga bardzo poważne ustępstwa, bardzo doniosłe reformy. Cały świat dziwił się: cóż to za waryaty ci Polacy, który buntują się wówczas właśnie, kiedy im dają miód z mlekiem!... Rosya zaś przez 40 lat mściła się, pastwiła na „niewdzięcznych zdrajcach“, na „wyrodkach słowiańszczyzny“!...

Nawet my sami przyznawaliśmy, że wybuch powstania po reformach był szaleństwem.

Szaleństwem?... A tymczasem ani mądrej Europie, ani biednej, pokrzywdzonej Rosyi, ani nam, zdeptanym i storturowanym nędzarzom, nie przyszła na myśl wielka i prosta prawda, że: wydarzenia społeczne są skutkami przyczyn nie najbliższych, ale dawniejszych, nieraz o kilkadziesiąt lat odległych. Wszyscy pamiętali, wszyscy kleli nas za powstanie, które wybuchło po reformach Aleksandra II-go lecz—wszyscy zapomnieli, że ono było koniecznym, nieubłaganym skutkiem dwudziestokilkuletnich rządów ks. Paskiewicza...

To samo dziś. Gorszymy się rozruchami po ogłoszeniu konstytucji, a zapominamy o dziesiątkach lat, które płynęły, płynęły i płynęły... przed konstytucją!...

A oto wnioski.

Rewolucja, na którą patrzymy, nie jest walką, opartą na rozległych i drobiazgowo obmyślonych planach, ale—chorobą społeczną, wywołaną przez wieloletnie, okrutne rządy biurokracji. Dowodem tej prawdy jest — niezgodność działań z historyozofią i obietnicami socjalizmu, bezcelowe hamowanie życia społecznego, szpetne i niepotrzebne zbrodnie, gwałtowne spory między partiami, a nareszcie—opinia znakomitych przedstawicieli socjalizmu, jak Daszyński, Limanowski i inni.

Skoro tak jest, więc nad rewolucją nie trzeba się mścić, ale—kurować ją. Środkami zaradczyimi byłyby: przywrócenie bezpieczeństwa, którego dziś nie posiadamy, pohamowanie czynów kryminalnych, uczciwa sprawiedliwość, a nade wszystko—nadanie jak najszerzych swobód dla działalności cywilizacyjnej społeczeństwa.

Gdy skończy się ferment, jest bardzo prawdopodobne, że dzisiejsi rewolucyoniści staną się „legalną opozycją“ i podniętą do reform, co może wielkie usługi oddać społeczeństwu. Żałować jednak trzeba, że fatalizm nie dozwolił im wziąć się do tej roli natychmiast po ogłoszeniu Manifestu konstytucyjnego.

✱✱



innych stronnictw w parlamencie, bez których akcyi politycznej przeprowadzić niepodobna. Dla mnie jest niepodobniestwem udzielać rad co do taktyki parlamentarnej, która musi się stosować do okoliczności, dających się tylko na miejscu rozpoznać. Wydaje mi się rzeczą prawdopodobną, że dopiero koło polskie w Petersburgu zda sobie z tego sprawę, w jakich granicach autonomia Królestwa Polskiego będzie zgodna tak z interesem ekonomicznym ludności krajowej, jak z interesem ogólnym tej części narodu polskiego, która państwo rosyjskie zamieszkuje, a której potrzeb niewolno poświęcać choćby dla największych korzyści prowincjonalnych; koło polskie w Petersburgu pozna dopiero, w jakich granicach autonomia dla Królestwa w warunkach ogólnych państwa uzyskać się da, czego można już żądać natychmiast, a co musi być na przyszłość odłożone. Skoro sejm osobny dla Królestwa uzyskany zostanie, będzie miał do spełnienia niezmiernie ważne zadania, dotyczące się dobrobytu i oświaty kraju, a tem skuteczniej te zadania spełni, im się bardziej wyłączenie tym zadaniom poświęci. Wogóle Polak, zajmujący się życiem politycznym, ma w granicach państwa i kraju, do którego należy, tyle niezmiernie doniosłych zadań do spełnienia, że może być szczęśliwy, jeśli im sprosta i nie jest powołany do dawania politycznych rad Polakom, żyjącym w innych dzielnicach, i tem bardziej musi być w tej mierze powściągliwy, o ile niewłaściwą interwencją zaszkodzić może tym, których dobra tak gorąco pragnie. Wezwany przez szanowną redakcyę *Tygodnika Ilustrowanego* do wypowiedzenia mego zdania, czynię to z wyraźnem zastrzeżeniem, że to tylko jest zdanie osobiste człowieka, zajmującego się gorąco przebiegiem spraw w Królestwie i w Rosyi.

Z natury rzeczy będą się członkowie sejmu lwowskiego i warszawskiego zajmować gorąco tem, co się w obydwóch tych sejmach dzieje, podobnie jak sprawy każdej reprezentacyi polskiej w centralnym parlamencie, czy to w Petersburgu, czy w Wiedniu lub Berlinie, każdego myślącego Polaka gorąco zajmować muszą. Wszelkie jednak znoszenie się oficjalne lwowskiego i warszawskiego sejmu musi pozostać rzeczą wykluczoną, szkodliwą dla interesów krajów, w tych sejmach reprezentowanych, a podającą nieprzyjaciółom Polaków sposobność do zarzutów i podejrzeń. Nikomu jednak nie można brać za złe, jeśli swoje prywatne zdanie wypowie o sprawach, do których jemu mieszać się niewolno, i to jedno mnie upoważniło do wypowiedzenia mego zdania o sprawie, o której jedynie mieszkańcy Królestwa rozstrzygać mogą.

Z powodów, dopiero co przeze mnie wypowiedzianych, nie mogę wdawać się w odpowiedź na pytanie (szóste), które mi na ostatku postawione zostało, mogę tylko powiedzieć tyle, iż spotykam się z ludźmi, Polakom niechętnymi, którzy się nie tają z przekonaniem, że rozruchy, przez skrajne albo zbyt krewkie żywioły w Królestwie wywołane, a przeciw łączności z Rosją skierowane, albo choćby tylko narodowi rosyjskiemu nieprzychylny ton dzienników polskich uspasabia naród i rząd rosyjski w sposób tak nieprzychylny dla Polaków, że spodziewane ulgi Pola-

ków zawiodą, a porozumienie między Polakami a Rosyanami stanie się niepodobniestwem. Mówiąc o tem, zacierają sobie nieprzyjaciele Polaków ręce z radości, a dotychczas nie zdołałem ich przekonać o tem, że zupełnie mylnie usposobienie patryotycznych warstw polskich oceniają, i że jakkolwiekby ciężkimi byłyby przejścia, przez które Polacy pod berłem rosyjskiem jeszcze przejść mogą, nic ich nie spowoduje do popełnienia błędów, na które ich nieprzyjaciele biją, że mogą i będą niezawodnie powtarzać się zaburzenia natury społecznej, usiłując, niekiedy narodowe także wyzyskać uczucia, ale że patryotyczna a dojrzała większość społeczeństwa polskiego ubolewać będzie nad wypadkami, którym jednak przeszkodzić nie może, ponieważ dotychczas udziału we władzy społeczeństwu polskiemu odmawiają.

Gdy skończył pisać, wziął ode mnie rękopis i czytał go uważnie, potem, oddając mi go, rzekł:

— Forma, w jakiej panu udzielam odpowiedzi na stawione mi pytania, może trochę za ciężka dla *Tygodnika Ilustrowanego*. Cóż robić? Sprawa zbyt ważna, by ją można zbywać felietonowo. *Tygodnik Ilustrowany*, podejmując ją, już sam skazał siebie na wyrzeczenie się lekkości i kwiecistości stylu.

G. SMÓLSKI.



KRÓLOWA RÓŻ

HEDDA STOFFREGEN

BOLESŁAW PRUS.

Kronika tygodniowa.

Czytelnik nie wie, może nawet nie domyśla się, że do czasu zniesienia cenzury mieliśmy... dwie cenzury... Tak, dwie!... jedną urzędową, a drugą... Druga nazywała się cenzurą — opinii publicznej, choć nie była ani opinią, ani publiczną, stanowiły ją bowiem wybuchy prywatnych kaprysów.

Różnica pomiędzy rządową a prywatną cenzurą była mniej więcej taka, jak pomiędzy białem a czarnem. Gdybym np. napisał: „zawiesista konfederatka i żółte, staropolskie buty są pięknym, iście patryotycznym strojem“, wykreśliłby mi to cenzor rządowy; ale gdybym ośmielił się napisać: „zawiesista konfederatka przypomina zużytą po-

czochę, a kolorowe buty nie mają sensu i nie świadczą o patryotyzmie ich nosiciela“ — oburzyłaby się na mnie „opinia publiczna“. I niejednokrotnie musiałbym wysłuchać albo naczytać się wzmianek o „ptakach, kalających własne gniazdo“, lub o „synach, którzy wypierają się swej nieszcześliwej matki...“

Obie zaś cenzury, rządowa i publiczna, tem były do siebie podobne, że — ogłupiały piszących i paraliżowały ich twórczość.

Przeciw rządowej cenzurze nie protestowałem nigdy, ale przeciw „patryotycznej“ niekiedy wzburzyła się krew we mnie.

— Po co wy mi kaleczycie myśli?... pytałem.

— Trudno, proszę pana!... — odpowiadał z Bożej łaski przedstawiciel ojczyzny i jej interesów. — Panu cenzura pozwoli wyszydzać nasze drogie, nasze ojczyste buty... ale nam nie pozwoli wykażywać ich piękności, ich ważności dla narodowego rozwoju... A jeżeli tak jest, więc pan, jako — nie wątpimy — szczerzy patryota, musi zgodzić się na usunięcie ustępów, które znieważają naród i oburzają opinię publiczną...

Dziś cenzury rządowej niema (zamykanie pism i kary pieniężne nie liczą się), więc może i opinia publiczna będzie mniej ostra dla tych, którzy, zamiast czekoladek i konfitur, ośmielią się niekiedy podać jej — chleb razowy.

Dzięki zniesieniu cenzury wolno mi było wspomnieć o kilku naszych bolączkach: o biurokracyi, która rządzi nami od czterdziestu lat, a pragnęłaby uszczęśliwiać nas choćby ze czterdzięci wieków; o stanie wojennym, który całym ciężarem spada na filistrów, a bynajmniej nie psuje humoru ani pomysłowości rewolucjonistom; nareszcie wspomniałem i o rewolucjonistach, którzy do samego dna wstrząsnęli naszym życiem społecznym i jego najrozmaitszymi stosunkami... Dziś spróbuję powiedzieć kilka słów o... nas samych...

— O nas samych?... — zapyta zdziwiony czytelnik. — A cóż my mamy do dowiedzenia się o nas samych?...

Bardzo wiele, prawie wszystko, ponieważ, niestety! jakkolwiek mało znamy cały świat i jego przynależności, to — jeszcze mniej znamy — samych siebie...

W zeszłej kronice wspomniałem: z jaką to pewnością nasi socjaliści opowiadali o „zmuszeniu rządu do kapitulacyi“, albo o „zmuszeniu rządu do wyrzeczeniu się dyktatury...“ Ktoś rozważny, przeczytawszy te wykrzykniki, wzruszył ramionami i szepnął:

— Czy być może, ażeby oni tak pisali?... Nigdybym nie przypuszczał, że oni są aż tak dobrodusznii!...

A przecie można u nas spotkać stronnictwa jeszcze dobroduszniesze. Oto próbka:

„Naczelnikiem rządu krajowego powinien być Polak... To wszystko powinna dokładnie i szczegółowo określić oddzielna dla Królestwa Polskiego konstytucya, musi być zwołany do Warszawy Sejm urządzający, złożony z posłów, wybranych przez wszystkich mieszkańców kraju... Zanim zbierze się w Petersburgu Izba państwowa dla całej Rosyi, Królestwo powinno otrzymać autonomię... Od żądań naszych nie odstąpimy, bo nie chcemy doczekać się losu braci naszych w zaborze pruskim...“

„Wprowadzaliśmy po dawnemu mowę polską do gminy, do szkoły, do sądów gminnych, do magistratów, czyli — budowaliśmy swą Polskę z pojedynczych cegieł polskości... Nie tracąc czasu, urządzaliśmy polskie procesy, zbieraliśmy się na wiece i tam również radziliśmy nie o Rosyi, lecz o naszej sprawie narodowej...“

„Dawaliśmy znać rządowi w Petersburgu, że nasz kraj, jako polski, musi mieć prawa odmienne od rosyjskich... Za radą kierowników po-

1906 wr



lityki polskiej naród właśnie tak, a nie inaczej postępował...“

Niema, zdaje mi się, Polaka, który dla kraju swego nie pragnąłby autonomii prawnej i administracyjnej, który całą duszą nie pożałowałby języka polskiego w szkole, sądzie i administracji, który nie chciałby mieć urzędnikami Polaków na wszelkich stanowiskach od najniższych do najwyższych. Wszystkie te jednak życzenia są dopiero „życzeniami“, które urzeczywistnić można za pomocą jednej z dwu metod: albo trzeba je wydrzeć Rosyi siłą, której wcale nie posiadamy i bodaj czy kiedykolwiek posiadać ją możemy, albo pozyskać te ulgi za pomocą układów z Rosją, to jest — z jej sejmem, rządem, z jej monarchą, układów, prowadzonych w sposób niesłychanie mądry, niesłychanie subtelny, niesłychanie życzliwy, za pomocą składania nieustannych dowodów, że Rosya tem więcej pod każdym względem zyska, im więcej — udzieli nam swobód.

Proszę sobie teraz wyobrazić rzecz... co prawda — niemożliwą, że znalazł się jakiś genialny Polak-polityk (takiego dziwu chyba jeszcze nie było na świecie!), że ów Polak właśnie rozpoczął z rosyjskim rządem owe subtelne, mądre i życzliwe układy, które co chwila mogą się zerwać, już to z powodu trudności zagadnienia, już to ze względu na rozmaite mocarstwa europejskie, a choćby nawet i ze względu na reakcyjne stronnictwa w samej Rosyi...

Wyobraźmy sobie tedy taką jubilersko-zegar-mistrzowsko-okulistyczno-polityczną robotę, której przedewszystkiem towarzyszyć musiał wielki spokój, takt i mądrość całego narodu polskiego i — pytajmy: jaki efekt, wśród podobnego „nastroju“, wywołałby musiał artykuł, którego autor zawiada-mia swoich ziomków, że to wszystko „musi“ być zrobione, bo my tak „chcemy“, bo my „od żądań naszych nie odstępimy“, bo tak a nie inaczej radzą nam „kierownicy polskiej polityki...“

Aha!... więc już mamy nie tylko kierowników polityki socjalnej i socjalno-demokratycznej i proletaryackiej i jeszcze jakiejś, ale mamy i kierowników „polityki polskiej?...“ Chwała najwyższemu Bogu!... bo tak dawno potrzebowaliśmy prawdziwych kierowników „polityki polskiej“, tak długo czekaliśmy na nich, tak niezbędnym jest dla nas jakiśkolwiek, byle rozsądny kierunek polityczny, który nareszcie wyprowadziłby nas z manowców... Chwała Bogu!

A teraz zobaczymy skutki „programu“, tak głośno formułowanego na rogach ulic i w innych miejscach publicznych.

CREDIT	DEBIT
Dawaliśmy znać rządowi...	Rząd nawet nie udawał, że niczego nie słucha...
Naczelnikiem rządu powinien być Polak...	Naczelnikami rządu jest 11 jenerałów z władzą dyktatorską...
Wprowadziliśmy mowę polską do szkoły...	Nauczyciele Polacy gro-madnie dostają dymisye...
Do gminy...	Mnóstwo wójtów i soł-tysów aresztowano...
Do magistratów...	W magistratach przywrócono język rosyjski...
Do sądów gminnych...	Nawet sędziom przysię-głym i świadkom kaza-no przysięgać po rosyj-sku...
Od żądań naszych nie odstępimy...	Wszystkie więzienia za-pełnione są najlepszy-mi obywatelami kraju...
Urządzaliśmy polskie procesy...	Dyktatorowie zabronili na-wet w kościołach śpie-wać pobożne polskie pieśni...

Akt tolerancyi religijnej uczciliśmy... banderyami...

Nie chcemy doczekać losu braci naszych w za-borze pruskim...

Tolerancya religijna zo-stała okrojona...

Amatorowie projektują od-ciąć kawałek Podlasia i lubelskiego...

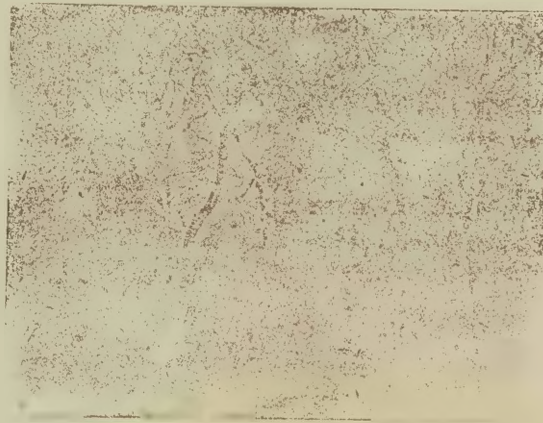
Oto skutki tego, że naród postępował „właśnie tak, a nie inaczej, za radą kierowników polityki polskiej“. A ponieważ nasze pragnienia, czy to języka w szkole, sądzie i administracji, czy to autonomii prawnej i administracyjnej, nie tylko nie są niedorzeczne, ale rozsądne, uczciwe i nawet dla Państwa rosyjskiego korzystne, korzystne dla jego spokoju, wielkości, rozwoju ekonomicznego, a zatem — jaki z powyższych zestawień wypływa wniosek?

Oto ten, że dotychczasowi „kierownicy polityki polskiej“ wprowadzili naród na bezdroża, na których, zamiast lepiej, jest nam coraz gorzej, a może być jeszcze nieskończenie gorzej... I nie tylko ci, którzy piszą: „rząd zmuszony został do kapitulacji“, „rząd zmuszony został do cofnięcia dyktatury“, ale i ci, którzy ogłaszają: „Powinno być...“ „musi być...“ „dawaliśmy znać...“ „wprowadziliśmy“ i inne tym podobne niedorzeczności, wszyscy ci „politycy“ za pośrednictwem czczej, fałszywej frazeologii wprowadzają naród w błąd, oszukują go co do jego rzeczywistego położenia na tym świecie.

Zwykły, dobrej woli śmiertelnik, czytając frazesy: „żądaliśmy...“ „postanowiliśmy nie ustępować...“ wyobraża sobie jedno z dwojga: albo że naród nasz jest potęgą bez porównania większą od Anglii, Niemiec, Japonii, ponieważ żadne z tych państw nie ośmieliłoby się przemawiać do Rosyi podobnym tonem, albo że „kierownicy polityki polskiej“ mają za sobą, co najmniej, wszechświatową koalicję przeciwko Rosyi. Da nam Rosya autonomię, jej szczęście... nie da autonomii, to dostanie takie cięgi, że wobec nich zbledną Sedany, Mukdeny i Cuszymy!...

Tymczasem w gruncie rzeczy „kierownicy polskiej polityki“ są to zacni obywatele, gorący patrioci, serca, żywo odczuwające nasze niedole i nasze pragnienia, ale jednocześnie — tak samo znający się na polityce, jak na przykład — na chińskim języku... A ktoby sądził, że przez stronnictwo zawiść o szanownych tych obywatelach robię plotki, niech jeszcze raz przeczyta wyżej zacytowany szpeisecetel naszych dyplomatycznych try-umfów, a przekona się, że mówię tylko prawdę.

Miejmyż raz odwagę, choćby nawet przez te krwawe łzy, któremi nabiegły nam oczy, spojrzeć na nasze położenie. W tym celu trzeba się z kimś porównać, ale z kim?... Przecież nie z Niemcami!... Naród ten bowiem we wszystkich dziedzinach pracy, we wszystkich gałęziach wiedzy i sztuki, we wszystkich odkryciach i wynalazkach, w utworach literackich, dziełach popularnych, w spekulacjach religijnych czy filozoficznych, we wszelkiego rodzaju stowarzyszeniach tak daleko stoi od nas, że porównywać się z nim — poprostu niema można.



ści... Nawet po bliższej rozprawie wypadnie nam nie tylko zostawić w spokoju Włochów i Hiszpanów, ale i skromnych Serbów, Bułgarów, Czarnogórców... Przecie każdy z nich jest wolnym obywatelem, a jeżeli nie posiada sławnych poetów, powieściopisarzy, śpiewaków i muzyków, za to ma narodowe szkoły, narodowe rządy i niezależny byt państwowy. Nie umiejących czytać jest też między nimi mniej, aniżeli u nas...

Najbliższe nas stoją chyba Rosyanie, tak jak i my, biedni i ciemni niewolnicy. Lecz we wspólnym domu niewoli oni są istotami uprzywilejowanymi, my — paryasami, oni spełniają rolę dozorców, dodajmy: wymagających i okrutnych, my — rolę więźniów...

Powierzchniowy badacz mógłby sądzić, że polityczna i społeczna dola nasza jest wprawdzie gorsza od bułgarskiej, serbskiej, nawet rosyjskiej, ale za to — choć trochę lepsza od żydowskiej... I to złudzenie!... Wprawdzie w państwie rosyjskim Żydzi są pozbawieni nieledwie człowieczych praw, wolno ich grabić, zabijać, wypędzać... no, ale pod tym chyba względem z nami nie o wiele jest lepiej.

Natomiast — prawie każdy Żyd umie czytać, pisać i rachować; każdy odznacza się energią, wytrwałością, umiejętnością robienia daleko sięgających planów; wszyscy Żydzi połączeni są nie tylko setkami specjalnych zwyczajów, nie tylko węzłami ksiąg świętych, ale jeszcze za pomocą mnóstwa stowarzyszeń, o jakich my pojęcia nie mamy. Żydzi to jest jeden organizm: biedny, brudny, niekiedy kłótlivy, lecz w razie potrzeby działający zgodnie, a posiadający w rezerwie potężne siły publicystyczne i finansowe.

Po pogromach rosyjskich w obronie Żydów odezwały się gazety całego świata, i z całego świata sypnęły się pieniądze... Pytam zaś: które gazety Europy i Ameryki ujęłyby się za nami, i kto robiłby na nas składki, gdyby n. p. Rosyi albo Prusom przyszła fantazja wyrzucić nas, wytłopić lub zaszczepić wśród nas zarazek morowego powietrza?... Przyjechaliby zagraniczni korespondenci i rysownicy przypatrzeć się widowisku, pisaliby, rysowaliby... ale ująć się za nami nawet Bogu sprawiedliwemu nie przychodzi do głowy!...

Żydzi są nieszczęśliwsi od nas?... A czy wy wiecie, że Żydom, gdyby zgodzili się na to, Anglia dziś da kraj we wschodniej Afryce, prawie dwa razy większy od Królestwa, kraj, w którym żyje tylko półtora miliona ludności, a zmieściłby się mogło ze dwadzieścia milionów?... Żydzi nie chcą tam jechać. A przecież gdyby naszemu narodowi ofiarował kto podobną gościnę, byle jak najdalej od stosunków środkowo-europejskich, kto wie, czy ja sam nie zacząłbym propagować idei wyniesienia się stąd i osiedlenia pod innem niebem i innymi panami.

Rozpaczliwe zakończenie!... Jużci tak. W każdym razie bardziej odpowiadające rzeczywistości, aniżeli „rady kierowników polskiej polityki“, które sprowadziły na nas nowy ucisk, nowe więzienia, nowe cofnięcie się w cywilizacji.

Cóż więc robić?... Co?... Mieć nadzieję, pracować, upominać się o swoje, ale zarazem wyrobić w sobie niezłomną a milczącą energię i wielki, wielki rozum... wielki rozum, bez którego grozi nam ostateczna zagłada.

Banderye, manifestacje, niedorzeczne artykuły ani rozumu, ani cichej energii nie zastąpią, jak dotychczasowa „polityka polskich kierowników“ nie zastąpi polityki prawdziwej.

W końcu dodać muszę, że redakcja *Tygodnika* z niniejszymi i wszelkimi innymi moimi poglądami solidaryzować się nie potrzebuje. Jestem już człowiek bardzo pełnoletni, mówię to, co mi każe sumienie, i sam za to przyjmuję odpowiedzialność.



KRONIKA TYGODNIOWA.

Opowiem coś nudnego, coś moralizatorskiego, ale zacznę od rzeczy pieprznej... Właściwie — zacznę od dwu rzeczy: jedna będzie pieprzna, druga musztardowa, obie jednak nie oznaczają nic dobrego!

Oto wiadomość pieprzna, ale nie trzeba o niej mówić zbyt głośno: w narodzie naszym jest za mało prawdziwego patriotyzmu!... A oto wiadomość musztardowa: nasz niezbyt obfity patriotyzm jest zakażony szowinizmem, niechęcią do obcych, co także stanowi narodowe nieszczęście.

Naród z małym patriotyzmem jest, jak dom, zbudowany z cegieł — bez wapna; przeciągi wałęsają się po wszystkich izbach, wilgoć i chłód panują we wszystkich porach roku. Naród zaś z szowinizmem jest, niby dom, w którym pozabijano wszystkie okna: z zewnątrz nie przychodzi nic, a wewnątrz ciemno. Piękny dom i jeszcze piękniejsi mieszkańcy!...

Czy mam dowodzić braku patriotyzmu u nas? Nie potrzeba!... — odpowie czytelnik i zaraz zaczyna cytować rozmaite lotne słówka — przeciw naszemu barwom narodowym, naszemu pieśniom, naszemu orłom... ba!... przeciw naszej przeszłości i wogóle — polskości...

— Co mi tam po waszej Polsce, po tym trupie, gnijącym od stu lat!... Niech żyje przyszłość... niech żyją narody młode i silne!...

Czytelnik zatyka uszy, aby nie słyszeć bluźnierstw... Owszem, niech pan zatyka, ja zatkam także i — zróbmy to w sposób jak najbardziej publiczny, ażeby cały świat myślał, że u nas niema większych grzechów przeciw patriotyzmowi nad wykrzykniki:

— Precz z białą gęsią na amarantowym polu!... precz z gnijącą Polską!... Niech żyje proletaryat i jego czerwony sztandar!...

Wobec tych krzyków zatkajmy uszy, wzniesmy oczy do nieba, jakbyśmy je wzywali na świadka naszej krzywdy, a potem ze spuszczoną głową wróćmy do domu. Tam zamknijmy drzwi na kluczek, na łańcuch i na zatrask, spuśćmy rolety i — nie patrząc na siebie, ażeby się nie rumienić, pogadajmy, ale cicho... cicho... żeby nas kto nie usłyszał!...

Przed laty w pewnej wiedeńskiej kawiarni zauważyłem (trudno ich było nie zauważyć) gromadkę węgierskich oficerów, huzarów. Były to paniczki, rozbijające się, impertynenckie w stosunku do spokojnych Wiedeńczyków, gotowe na awantury... W tej chwili weszli trzej jegomoście, wyglądający na handlarzy świń, i podniesionym głosem zawołali coś do huzarów, na co ci odpowiedzieli natychmiast i chórem.

— Co to za jedni, ci czerwoni i tłusci?... — zapytałem towarzysza.

— Jakies tyki węgierskie.

— A co powiedzieli oficerom?...

— Zawołali do nich: jak się macie, bracia!...

— A oficerowie?...

— I oficerowie odpowiedzieli im: jak się macie, bracia!...

Zamyśliłem się i znowu zapytałem towarzysza:

— Jak pan sądzi, gdyby tak u nas polski tyk zawołał do polskiego panicza: jak się masz, bracie!... coby mu odpowiedział panicz?...

— Coby odpowiedział?... a to...

I mój towarzysz wyłonił takie okragłe słówko, że powtórzyć możnaby je tylko pod postacią rebusu...

— A panicz węgierski takiego słówka nie powiedziałby węgierskiemu tykowi — rzekłem.

— Co pan chce!... — odparł mój towarzysz.

Kiedy węgierski szlachcic, nawet hrabia, czy książę wejdzie do karczmy, gdzie tańczą węgierskie pastuchy, to i on z nimi tańczy, a nawet płaci za muzykę i jeszcze im wina postawi. A kiedy mój stryj, polski szlachcic, zajechał raz do karczmy, gdzie tańcowali chłopci, to powiedział do karczmarza: wygnaj mi chamów, bo chcę spać!... Stało się tak, co prawda, ze czterdzieści lat temu...

Ale my, czytelniku, rozmawiajmy o tych rzeczach cicho... cicho... ażeby nie usłyszał kto obcy!...

W Londynie zdarzały się damy „z towarzystwa“, które, odziewszy się w czarne szatki, biegły do najuboższych dzielnic miasta, ażeby tam odwiedzać chorych biedaków, zamieść izbę, umyć dzieci, zgotować wodzianki, nakarmić... no i, rozumie się, spełniać rozmaite usługi przy chorych... Chory bowiem, jak wiadomo czytelnikowi, potrzebuje nie tylko kilkunastu groszy, nie tylko darmo recepty, ale i rozmaitych usług.

Trafiali się też panowie „z towarzystwa“, którzy w najuboższych dzielnicach urządzali czytanie poezji, powieści, dramatów, a nawet z wielkim artyzmem grywali na skrzypcach czy na fortepianie wobec słuchaczy, nie mogących płacić za prawdziwe koncerty i odzianych, jeżeli nie w łachmany, to w bardzo połataną garderobę...

A u nas słyszał pan o takich filantropach, którzy urządzaliby koncerty dla biedactwa, albo o filantropkach, które nie cofałyby się przed posługami w domach ubogich i chorych?

Kiedy oświecony Japończyk zwiedza Europę, kiedy Anglik albo Niemiec wyjeżdża do obcego kraju, każdy z nich pilnie przypatruje się ludności, jej pracom, jej zwyczajom i robi notatki, ażeby poznać rzeczy nowe a dobre i — wiadomość o nich przywieźć do własnej ojczyzny. Od nas co roku tysiące ludzi oświeconych wyjeżdża za granicę i wywozi ze sobą miliony rubli, ażeby je wydać bezmyślnie, jeżeli nie przegrać w ruletę... Pieniądze te bowiem należą do nich, a wiadomo, że własność to rzecz święta!... Czy jednak który z tych panów przywiózł do kraju jakieś ważne spostrzeżenie, jakiś model, a choćby książkę czy rysunek?... Niestety, żaden! To też choć od kilku wieków mianujemy się narodem ucywilizowanym, który karmi się zachodnią oświatą, jesteśmy tak biedni, tak brudni i tak ciemni, jak gdybyśmy mieszkali nie w sąsiedztwie wielkiej Europy, ale gdzieś w okolicach Afganistanu...

Mamy też wyścigi konne, które kosztują setki tysięcy rubli rocznie; ale nie mamy nawet dziesiątków tysięcy np. na stypendya dla wysyłania za granicę zdolnych młodzieńców, z których jedni kończyliby — notabene porządnie — uniwersytety tamtejsze, inni — szkoły techniczne wyższe i średnie, inni — odbywaliby praktykę w warsztatach, fabrykach i laboratoriach, a wszyscy mieliby obowiązek: składać parę razy na rok raporty o tych zjawiskach i przedmiotach kulturalnych, jakich nam brakuje, a jakie oni spostrzegli zagranicą.

Więc ponieważ u nas między tak zwanymi niższymi a wyższymi klasami panuje głęboka przepaść, ponieważ w dodatku klasy tak zwane oświecone i zamożne nie robią nic, a przynajmniej — nie skończenie mało dla umysłowego i moralnego podniesienia ludności, więc społeczeństwo wygląda jak gdyby pocięte na kawałki, wśród których nie może dokonywać się krążenie uczuć, ani poglądów, ani haseł. Między chłopem a szlachcicem, między

miejskim proletaryuszem a „inteligentem“ prawie nie ma nic wspólnego; więc też jeden śpiewa: „Boże, coś Polskę...“ a drugi: „krew naszą lały katy...“ jeden patrzy na „Orla białego“, a drugi na „Czerwony sztandar“.

Instynkt solidarności, wszechludzkiej czy wszechbytowej, posiada bardzo rozmaite stopnie natężenia, które tworzą niby drabinę, sięgającą od ziemi do nieba. U dołu jej spotykamy matkę, która z głodu pożera własne dziecko, albo syna, który zabija ojca, ażeby nie męczył się starością; u szczytu znajdujemy świętego Wincentego à Paulo, który dobrowolnie przyjął galernicze kajdany, albo fakira indyjskiego, który woli umrzeć z głodu, aniżeli zabić gołębia...

Otóż ciekawą i nauczającą jest droga, po której ludzkość, wśród nieopisanych trudów i cierpień, posuwa się od najniższego ku najwyższemu szczeblowi, nieustannie potykając się, zatrzymując, a nawet zsuwając się na dół!...

Osadźcie człowieka na bezludnej wyspie. Samotny, dręczony przez głód i zimno, smagany deszczem i śniegiem, męczony niewygodami i bezsennością, drżący o nędzne życie, człowiek ten bardzo prędko stanie się dzikiem, egoistycznym zwierzęciem, nie szanującym cudzego mienia ani życia, gdyby takowe znalazło się w jego sąsiedztwie. Zaspokoić głód, chociażby mięsem podobnej do siebie istoty, odegnąć widmo śmierci, choćby składając jej tysiące cudzych istnień w ofierze, oto jego stała idea i dążenie.

Lecz gdy ten zwierz znajdzie gromadę innych, z których jeden łowi ryby, drugi zwierzynę, trzeci piecze podpiomyki, czwarty szyje odzież, piąty buduje szałas, gdy on sam w tej gromadzie otrzyma jakieś stanowisko, choćby pastucha, a w nagrodę — suchy kawał chleba, łachman futra i bartóg przy wspólnym ognisku, wówczas powoli zacznie budzić się w nim — instynkt solidarności. Uczuje on, że jednak w tem stadzie jest mu mniej chłodno, mniej głodno, mniej niebezpiecznie i mniej nudno, aniżeli samemu. Więc zapali się w nim przywiązanie do gromady, a dawne uczucia nienawiści i obawy skierują się już nie do wszystkich otaczających przedmiotów, ale — do innych gromad ludzkich, które jego towarzyszom chciałyby odebrać bydło, żony, ziemię, a choćby tylko spleśniałe ciasto.

I otóż ocknął się najniższy stopień patriotyzmu: niejasna życzliwość dla współników pracy i nędzy obok niechęci do pracujących w inny sposób, albo mniej nędznych.

Gdy zaspokoją się potrzeby materyalne, a gromada ludzka zyska nieco wolnego czasu, zaczyna budzić się — duch. Rodzą się wspólne zabawy, język, pieśni, powstają bajki o nadzwyczajnych wydarzeniach albo o prastarych bohaterach, a człowiek zaczyna kochać nie tylko tych, którzy go karmią, ogrzewają i odziewają, ale jeszcze i tych, którzy dostarczają nektaru dla jego imaginacji i ambrozji dla uczuć. Rodakiem, bliźnim staje się każdy posiadacz wspólnego języka, każdy uczestnik wspólnej zabawy, każdy czciciel wspólnych bohaterów. Wrogiem zaś może być tylko ten, kto mówi innym językiem, inne ma wspomnienia i pieśni.

Tym sposobem tworzy się naród i patriotyzm narodowy obok narodowego szowinizmu. Powoli jednak narody zaczynają przekonywać się, że ich dalsi i bliżsi sąsiedzi mają równie jasny (dla siebie) język, równie piękne bajki, równie wielkich bohaterów, a nade wszystko — równie wielki zapas



„OBRONA CZĘSTOCHOWY“, SCENA KOŃCOWA VIII OBRAZU, W REFĘKTARZU KLASZTORNYM. Fot. Dobrzański.

doświadczenia, wiadomości, wynalazków i odkryć, które czynią życie ludzkie pewniejszym i wygodniejszym, tudzież—bardziej rozszerzają i pogłębiają ducha, aniżeli doświadczenia i wiadomości, urodzone w jednym wyłącznie kraju, w granicach jednego społeczeństwa. Zamiast nienawidzić cudzoziemców zaczynamy przypatrywać się im, a przekonawszy się, że ich praca materialna i duchowa bardzo potęguje życie i bardzo rozwija ducha, zaczynamy tych obcych uważać za przyjaciół i braci tem miłszych, im więcej oddają usług naszemu dobrobytowi materialnemu i duchowemu.

W taki sposób przygasa szowinizm, który jest nieszczęściem i chorobą ludów ucywilizowanych, a zakwita humanitaryzm, który z głębokiem przeświadczeniem głosi i uznaje zasadę: „każdy człowiek jest naszym bliźnim“—nie należy robić krzywdy, ale czynić dobrze nie tylko Polakowi, lecz także Anglikowi, Francuzowi, Niemcowi, Żydowi i t. d.“

Kto uważnie przeczytał, co powiedziano wyżej, łatwo określi szczybel naszego patriotyzmu. Nasi inteligenci dosięgli już punktu, na którym kocha się swój język, swoją historję, swoją oświatę; niemniej znajduje się w społeczeństwie mnóstwo dzikich indywiduów, tudzież gromad, posiadających zaledwie patriotyzm klasowy i stronnicy. Dla ciemnego wyrobnika—szewc, krawiec, piekarz jest prawie bliźnim, gdyż praca tych specjalistów przynosi mu namacalne korzyści. Lekarz, ksiądz, adwokat, nauczyciel jest już trochę mniejszym bliźnim, a poeta, malarz, muzyk, uczony... to tylko zwyczajne próżniaki, których niewiadomo po co utrzymuje święta ziemia!

Inteligencya znówu, która już zdobyła się

na patriotyzm umysłowy, jeszcze nie dosięgła szczybla humanitaryzmu i po dawnemu wyobraża sobie, że tylko Polacy są mądrzy, dobrzy i... nieszczęśliwi; rozmaite zaś Niemcy, Francuzi i im podobni to, hołota, która nas albo nie uznaje, albo udręcza. Doskonale rozumiemy ohydę i głupotę szowinizmu hakatystów, ale jeszcze nie zrozumieliśmy, że—z cudzym szowinizmem trzeba i można walczyć nie „naszym“ szowinizmem, lecz—najwznoślejszymi zasadami humanitarnymi: „nie bądź nigdy szkodliwym, staraj się być zawsze użytecznym“.

A oto wnioski.

Jeżeli chcemy wypełnić z naszego narodu dzikie, egoistyczne instynkty, które dziś objawiają się z tak zatrważającą energią, trzeba pracować przede wszystkim—nad usunięciem nędzy.

Jeżeli chcemy zaszczerpić uczciwy patriotyzm, trzeba zbliżyć do siebie wszystkie klasy narodu zapomocą pracy nad oświatą, dobrobytem i moralnością maluczkich.

Jeżeli chcemy nie lękać się cudzych szowinizmów, a pozbyć się własnego, musimy zacząć bardzo poważne trudy nad najwyższymi gałęziami działalności ludzkiej, nad techniką, nauką, filozofią, religią, polityką. I dopiero gdy we wszystkich dziedzinach pracy i wiedzy zdobędziemy zaszczytne stanowiska, dopiero wówczas otrzymamy prawo bytu między ludami ucywilizowanymi.

Przykre to, ale, niestety! prawdziwe...



MARYA KONOPNICKA.

Z I E M I O!

Ziemio! Ty będziesz tak podminowana
Prochami, co leżą w sobie,
Jak podścielisko wulkanu!
Każde ludzkie pokolenie,
Co gorącym czuciem wzłata
Ku jutrennym brzaskom świata,
A zaś w twem łonie składa swoje kości,
Każdy wiek twój pogrzebany,
Każde wielkie ludzkie serce,
Co się rozsiewa w swym grobie
W posiew miłości,
Każda pierś, w której śpiewa przyszłych dni
natchnienie,
Rozpala w tobie tajemne wulkany,
Widzialne zrazu w iskerce...

Aż kiedy się wyzwoli cały zacznij śmierci
Na żywota płomienisko,
Buchniesz—jak krater, rozerwan na ćwierci,
Jak kometowe świetlisko,
A z popiołów i z kurzawy,
Z dymów i płomieni bicia,
Z pośród gorejącej lawy,
Co się rzuci łożyskiem, nigdy niewidzianem,
Dobędzie się zawierucha
Nowego życia,
Nowego ducha,
I posiew gwiazd upadnie miesięcznym tonem!
I nświeżona będziesz, i kwitnąca,
Pod nową jutrenką słońca!





0170218



NOC KSIĘŻYCOWA

ROMAN KOCHANOWSKI

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W dwu gazetach spadły na mnie plagi: w *Pracy polskiej* i *Naszym życiu*. *Pracy* tymczasem nie odpowiadam: byłoby to przelewaniem z pustego w próżne; natomiast bardzo obszernie, z głębi serca odpowiem *Naszymu życiu*. Przemawia ono bowiem nie wiem, czy słusznie, w imieniu „młodych,” a z tymi, z „młodymi,” nie chciałbym ani na chwilę stracić czucia, o ile oni sami tego nie zechcą.

W artykule: „Neurastenia w polityce” autor wypowiada szereg niekiedy sprawiedliwych uwag.

„Myślimy i czujemy nie głową ani sercem, ale nerwami (Naturalnie jest to metafora). Stąd ta wieczna niekonsekwencja, stąd te przeskoki z jednej ostateczności w drugą, stąd nieuzasadnione nadzieje i jeszcze bardziej nieuzasadnione zwątpienia, stąd ten brak miary w ocenianiu dodatniem czy ujemnem sił i środków, oraz przeszkód, z jakimi te siły i środki muszą walczyć:

Do liczby tych „politycznych neurasteników”, tych „niekonsekwentnych”, „przeskakujących z jednej ostateczności w drugą” należy... „Bolesław Prus, który kilka tygodni temu pod wpływem chwilowego liberalnego zwrotu w polityce państwowej, ogłosił na szpaltach „Młodości” swoje piękne przyznanie się do błędów, a który od czasu ponownej reakcji znowu zwątpił we wszystko i we wszystkich i do dawnych pomyłek powrócił w swoich „Kronikach tygodniowych”...

Hola!... szanowny kolego... W kilku wierszach napisałeś pan pod moim adresem tyle bajek,

tyle—z przeproszeniem—bredni, że musisz dać mi satysfakcję i za karę... przeczytać całą niniejszą „Kronikę”, od deski do deski, notabene z większą uwagą, aniżeli raczyłeś czytywać moje dotychczasowe wypracowania...

1-mo. Mówi pan, że ja „pod wpływem prądów liberalnych na szpaltach *Młodości* przyznałem się do błędów”...

Przyznanie się do „błędów?...” A jakież to ja popełniłem „błędy”, racz pan ogłosić publicznie i bez ceremonii, jeżeli łaska!... Ja tylko przyznałem się do „omyłek w politycznych przewidywaniach”; a ponieważ w tym kraju nikt i nigdy nie pazyznaje się do żadnych omyłek, ponieważ wszyscy, a osobliwie dziennikarze, chorują na nieomylnność, więc mój uprzejmy zwrot: „myliłem się... z największym zadowoleniem przyznaję to, myliłem się”, tak widać niektórym uderzył do głowy, że... uznali to za jakąś podróż do Canosy z mojej strony...

Otóż, niestety! szanowny kolego, dziś muszę ze smutkiem powiedzieć, że... jeżeli omyliłem się w moich przewidywaniach, to—tylko trochę... troszeczkę... Nie omyliłem się bowiem ani w tem, że „rewolucja rosyjska bez udziału wojska wywoła jeszcze gorszą reakcję”, ani w tem, że „strajk zuboży społeczeństwo, a do wielkiej nędzy doprowadzi robotników”, ani w tem, że „biurokracja zechce głosić wojnę świętą przeciw polskim buntownikom”, ani w tem, że „coraz to nowe zwycięstwa (rewolucji) były bardzo niedokończone.”

Najbardziej zaś nie myliłem się, kiedym wołał: „Młodości!... szanuj oko i szkiełko mędrców, jak najczęściej posługuj się cyrklem, miarą i wagą, a nadewszystko, jak najstaranniej badaj nie tylko swoje siły w stosunku do zamiarów, ale i swoje środki wykonawcze i okoliczności współczesne twoim działaniom”...

Więc w moim artykuliku tych uwag, tych przewidywań nie dopatrzył pan, a natomiast znalazł pan... „przyznanie się do błędów” i to jeszcze pod wpływem „liberalnego zwrotu w polityce państwowej”?...

2-do. „Zwrot liberalny w polityce państwowej” nastąpił—jeżeli się nie mylę—w dniu 30 października roku zeszłego, a tymczasem *Tygodnik Ilustrowany* jeszcze w dniu 20 maja, a więc na pięć miesięcy przed „zwrotem liberalnym” drukował moją kronikę p. t. „Młodzi i starzy”, w której obok wielu innych ślicznych rzeczy (radzę je przeczytać!...) znajdują się zdania:

„Natura dobrze zrobiła, powołując do życia coraz nowe pokolenia ludzi, gdyż młodość ma tę fantazję i tę odwagę, jakiej nie posiadają starzy. Młodość, rwąc się do ideału, popycha ludzkość do tego, co być powinno, zapobiega martwocie. Ale młodzież musi rachować się ze zdaniem starych, gdyż oni reprezentują mądrość życiową, realne potrzeby, nareszcie to, co jest możliwe, co daje się wykonać. Bez młodości i jej porywów życie duchowe skamieniałoby; ale bez rozważnej starości życie duchowe zamieniłoby się w obłok, który co



chwile ma inny kształt, a trwałość mierzy na minuty“.

Dlaczego wówczas nie chwalił mnie pan, szanowny kolego, za te uwagi, jakby żywcem wyjęte z późniejszego artykułu w *Młodości*?... Czy dlatego, że były pisane w *Tygodniku*, czy... może wówczas nie zajmował się pan polityką?

W każdym razie widzi pan, że już na kilka miesięcy przed „liberalnym zwrotem“ pisałem o młodzieży niemniej serdecznie, jak i w *Młodości*...

3-io. Twierdzi szanowny pan, że od czasu „ponownej reakcji zwątpiłem znowu we wszystko i wszystkich“ i wpadłem w rozpaczliwy pesymizm. Znowu omyłka. Ja nie potrzebowałem „wątpić“, gdyż tak znowu bardzo nie... dowierzam ani wszystkiemu, ani wszystkim... I gdyby u nas panował zwyczaj, naprzód czytać potępianych autorów, a dopiero później sądzić ich, znalazłby pan w tej samej kronice z dnia 20 maja r. z. takie ustępy:

„Wstrząśnienia społeczne nie są ideałem, ani nawet drogą prowadzącą do osiągnięcia ideału. Wstrząśnienia podobne są tylko dowodem, że społeczeństwo choruje, że potrzebuje reform. Dowód to jednak bardzo kosztowny i dlatego trzeba się nim posługiwać w dozach jak najmniejszych, przy zachowaniu jak największego taktu i ostrożności. Wstrząśnienia natychmiast powinny ustać, gdy na horyzoncie ukazują się reformy, takie, które mogą spotęgować ludzką dracę, twórczość ducha i solidarność między rozmaitymi pierwiastkami, składającymi społeczeństwo“.

Nastęcza się pytanie: czy autor, który wypowiadał tego rodzaju poglądy, na długo przed strajkiem powszechnym i Manifestem konstytucyjnym, mógł następnie wpadać w „nieuzasadnione nadzieje i jeszcze bardziej nieuzasadnione zwątpienia?...“ Mógł on co najwyżej omylić się w jednych przewidywaniach, a nie mylić się w innych, pozostawiając „nadzieje i zwątpienia“ tym, którzy nigdy i niczego nie tylko nie przewidują, ale nawet nie domyślają się, że wogóle nie można zajmować się podobnymi „maniami“, jak... przewidywania.

4-to. W jednej z ostatnich kronik powiedziałem, że układy jakie należałoby prowadzić z rządem o autonomię i wogóle o ulgi dla Królestwa Polskiego, stanowią robotę „jubilersko-zegarmistrzowsko-okulistyczno-polityczną“, chcąc w ten sposób wyraźnie zaznaczyć, że byłaby to robota bardzo subtelna i bardzo trudna... Na co mój szanowny pogromca odpowiedział, że „wszystko to jest doktrynerstwem w dodatku niemoralnym (!)“ i że „nieszczerość i obłuda musi obudzić oburzenie u swoich, a pogardę u obcych“ (!!).

Szanowny kolego, polski dziennikarzu, pozwól sobie powiedzieć, że zarzutu „nieszczerości i obłudy“ może nie postawiłby mi nie tylko żaden Polak cieszący się zdrowymi zmysłami, ale nawet żaden „Moskal“, żaden cudzoziemiec, znający mnie choćby z powiastek. Z górą 30 lat wykładam moim rodakom, że powinni doskonalić się i być użyteczni, z górą 30 lat wyśpiewuję hymny na cześć prawdy i uczciwości, po to, ażeby na końcu jeden z szanownych rodaków insynuował, że—ja zachęcam naród do „nieszczerości i obłudy“!

Zaprawdę, dziwne rzeczy wyrabia „neurastenia polityczna“.

Objaśnię o co mi chodzi na dwu przykładach. List profesorów uniwersytetu jagiellońskiego do Rosjan, list uczciwy, spokojny, ozaaujący adresatów a jednak pełen godności, list pod którym mógłby podpisać się każdy człowiek ucywilizowany, aważam za jedną z takich robót—„jubilersko-zegarmistrzowsko-okulistyczno-politycznych“. Ale rozmaite memorały pisane tonem dyktatorskim, rozmaite „żądania“—których nikt nie słucha, „postanowienia“, które po kilku dniach trzeba odwoływać, pogrożki nie poparte cieniem siły, uwa-

żam za robotę grubą, prostacką, otóre do niczego nie prowadzi, wyrządza nam szkody i ośmiesza nas już nietylko w oczach ministrów, ale nawet w oczach zwyczajnych ludzi dobrze wychowanych.

5-to. Miło mi przyznać, że list jagiellońskich profesorów mniej więcej z tego samego stanowiska został oceniony w *Naszym Życiu*. Podobne korespondencje stanowią dzisiaj—mówi autor odnośnego artykułu—„jedyną drogą przeciwdziałania podsyłanym coraz złośliwiej i przewrotniej uprzedzeniom narodowym, niemawościom i podejrzeniom...“ Mnożą się niestety oznaki, że z tych uprzedzeń nienawiści i podejrzeń wytworzy się rosyjski hakatyzm, który już dzisiaj grozi nam nieubłaganą walką eksterminacyjną...

Na pochwałę listu profesorów krakowskich—zgoda, na dalsze uwagi—nie! „Hakatyizmu rosyjskiego“ nie będzie, ponieważ Rosja ma za dużo ziemi, ażeby potrzebowała jej od nas, a za mało kupców, przemysłowców i wogóle średniej a „produkcyjnej“ inteligencji, ażeby musiała wylewać ją do naszego kraju.

Nienawiści, uprzedzenia i podejrzenia Rosyan w stosunku do nas niewątpliwie mnożą się; ale ich źródło jest zupełnie inne, aniżeli pruskiego hakatyizmu; a jakim ono jest zaraz powiem.

Około 18 października r. z. więc przed zwrotem liberalnym i reakcyjnym napisałem rozprawkę, która została wprawdzie wydrukowana, ale... nie ogłoszona dla rozmaitych powodów. Z utworu tego pozwolę sobie zrobić kilka wypisów.

„Jednym z najpowszechniejszych jest prawo „akcji i reakcji“, działania i oddziaływania, prawo, które opiewa, że „każdej sile działającej, przeciwstawi się inna siła“... Zginajmy gałąź drzewa, a uczujemy; że ona pociąga nas samych do góry; uderzymy pięścią w stół, a sprawdzimy, że i stół nas uderzy!... Toż samo znajdujemy w dziedzinie pracy: im rozleglejsze posrawimy sobie cele, im rychlej zechcemy je urzeczywistnić, tem więcej spotykamy trudności, tem bardziej wyczerpiemy siły. Toż samo w stosunkach: im kto wyższe chce zająć stanowisko, im szybciej dąży do niego, tem więcej na swej na swej drodze znajdzie oporów, przeszkód, intryg, plotek i nienawiści“.

„W życiu społeczeństw, jak i jednostek powodzenie również wywołuje opory tem silniejsze, im samo jest szybsze i większe ogarnia pola... Że każdy z nas z całego serca pragnąłby jak najwięcej swobód osobistych i narodowych, czy może kto wątpić?... Czy znalazłby się wyrodek, który nie chciałby widzieć swego kraju na szczycie materialnej i duchowej pomyślności, materialnej i duchowej doskonałości?... Ale... ale nie zapominajmy, że z chwilą, gdy zacznie się ów nasz pochód do upragnionych swobód, pomyślności i doskonałości, że z tą samą chwilą zerwie się, czy wypełni reakcja. Już dziś, kiedy jeszcze nie posiadamy nic konkretnego, już dziś gazety niemieckie zaczynają trąbić na alarm, przeciw nowemu polskiemu niebezpieczeństwu. Już dziś, na pierwszą wzmiankę ziemców o jakiejś skromnej autonomii dla Królestwa Polskiego, między kupcami moskiewskimi zaczął się niepokój. A co będzie, gdy naprawdę zaczną się reformy?... Ile to podrażnionych ambicji, zmniejszonych dochodów, zawiedzionych projektów, fantastycznych obaw, ile bezmyślnych nienawiści rozbudzi się, aby, jeżeli nie całkiem zepsuć, to chociażby ograniczyć, chociażby opóźnić ulgi oczekiwane od tyłu lat, wśród tyłu cierpień.“

„Trzeba mieć ciągle w pamięci, że przeciw reformom u nas z wielu stron zacznie się reakcja; co wprawdzie nie obowiązuje, ażebyśmy mieli wyzrekać się naszych ludzkich praw i społecznych potrzeb, naszych warunków do bytu, ale ostrzega, ażebyśmy byli rozważnymi i—choćby tylko—nie wykrzykiwali zbyt głośno, nie triumfowali zbyt wczesnie...“

„A jesteśmy do tego skłonni. Ledwie gdzieś

wolno było po kilkudziesięciu latach przyjąć biskupa, już jakby z pod ziemi wyskoczyły tryumfalne bramy i bandery. Ledwie przeprowadzono wybór posła polskiego na Śląsku, czy wykupiono kawałek polskiej gleby od Niemców, już rozlegają się wiwaty na rachunek ostatecznego zwycięstwa, które jeszcze leży za górą i rzeką. Po czterdziestoletniej rusyfikacji nie nauczyliśmy się nawet tego rosyjskiego przysłowia, które powiada: „Jedz pieróg z grzybami, ale trzymaj język za zębami!“ Niestety! u nas wciąż łatwiej o niepowściągliwość języka, aniżeli o grzyby i pierogi...“

Jakaż to dla mnie szkoda, że powyższe zdania nie zostały ogłoszone w październiku i że szanowny mój sędzia z *Nowego Życia* nie zwrócił na nie uwagi. Dopieroż miałby sposobność grozić „polityczną neurastenią“, potępiać niekonsekwentny pesymizm, który ślimaczy się przy łada „zwrocie reakcyjnym...“ A jednak uwagi te były tylko dość szczegółową zapowiedzią wypadków społecznych, które wybuchły w kilka miesięcy później i które dopiero wówczas dostrzegł szanowny krytyk, biadając nad wykluwającym się „rosyjskim hakatyzmem“...

A sens moralny?... Jest ten, że nasi politycy zbyt skwapliwie posądzają ludzi o „przyznawanie się do błędów“ pod wpływem „zwrotów liberalnych“ i nie mniej skwapliwie zarzucają upadek na duchu pod wpływem „zwrotów reakcyjnych“. Nie domyślają się zaś tego, że pewne wypadki społeczne można z góry przewidywać i bez żadnej „neurastonii“, bez żadnego chorobliwego pesymizmu—ostrzegać o nich kogo należy.

Wenecja i Kraków.

WENECJA 1/5 1890.

Nad tobą turkus nieba wielki rozświetlony,
A stopy wsparła barwne na wody błękit;
Stoisz na morskiej fali jako na granicy,
Ubrana w koronkowe z marmurów opony...

Wzorzyste twe pałace, by rzeźbione trony,
Stoją jak kępy kwiatów, w blasku i rozkwicie;
A chociaż woń z nich pierzchła, znikło dawne życie:
Jednak lśnią się, jak dawniej twych gzymsów korony...

I stoisz cicha, lekka—jak puch wśród lazurów,
Jak ciche płyną mary, czarne twe gondole—
I cichsze płyną duchy wśród twych sennych murów;

Snują się dumne doże: Kornary, Dandole...
Patrząc smutnie na wnuki, co wśród tych marmurów

Zagrzebały tak nędznie: godność swą i doleń!...

KRAKÓW 2/8 1890.

Hen wokoło stanęły już od wieków wielu:
Trzy przesławne mogiły, jak trzy przednie strażę,
Trzy piramidy polskie—trzy wzniosłe ołtarze;
Na szczytach wzgórz zielonych, na barwistem ziele.

Niżej srebro płynące aż do stóp Wawelu...
Ten wzywa je z oddali i w dal płynąć każe:
W podarunku Warszawie i dla Gdańska w darze,
Jak król, któremu służy wszystko do apelu!

On żyje!! Chociaż cichy, jednak władzę dźwierży;
Bo gdy Zygmunt przemówi, jako któł od tronu,
I hej! mu odpowie z maryackiej wierzy,

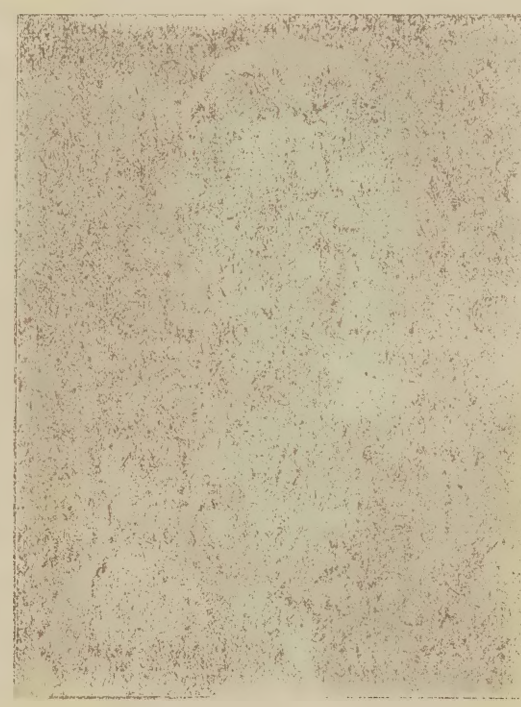
Pieśń czuwania! pieśń życia—nie śmierci, nie skonu;
Wraz budzi się sto dzwonów, wraz sto serc uderzy,
To na odgłos Zygmunta, królewskiego dzwonu!...

T. LISIEWICZ.





TRYPTYK



KAZIMIERZ SICHULSKI

On chce wpięrow obudzić w sobie sankcję arcykapłańską chceyadw, odpuszczania grzechów. Istnieje cud niezgłębiony — cud odpuszczania win. Gdy on tę moc w sobie odnajdzie, zdejmie wszystek grzech i przewinę z całej ziemi swojej, uczyni ją czystą i jasną, jak gołębicę, godną przyjęcia nowych natchnień. „Bez tej sankcji — powiada — nie wrócimy do Polski *)“.

Nie wrócił. Pomiędzy nim a najwyższą mocą człowieka stanęła dawna wina — zwątpienie. Na pewnej wysokości ducha jest ona nie do przebaczenia. Przeżył bolesną pustynię emigracji i umarł, w jej piaskach pogrzebany. Starego pokolenia odrodzić nie było rzeczą podobną, a z nowym nie miał on żadnego kontaktu. Prochem wrócił do ojczyzny swojej, jak zapyłona, rozbita harfa kościanna. Ale

jej potężna melodia trwa, pełna wyrzutów miłości. Zamknięta w rytmie ducha, odleciała, zda się, wraz z nim, do innej, dalekiej ojczyzny, tak jak ptaki nasze odlatają w mgłach jesieni, — aby z nową wiosną ludów powrócić, obsiać kwitnące ogrody i rozpocząć pieśń o pięknie rzeczy przyszłych, nadchodzących.

(DCN)

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Opowiem fakt trudny do uwierzenia, a jednak prawdziwy: w Warszawie, a może i w całym kraju istnieje — notabone od bardzo dawna — klub, stowarzyszenie czy partya... „zwyczajnych Polaków“!... Są to panowie i damy, którzy i które nie chcą nazywać się ani „narodowymi“, ani „postępowymi“, ani „społecznymi“, a już na żaden sposób „wszechpolakami“, pomimo, że ten tytuł załatuje — kawierem. Mianują się oni, jak powiedziano wyżej „zwyczajnymi Polakami“ i pozwalają członkom swojego klubu wyznawać wszelkie poglądy: narodowe, postępowe, demokratyczne a nawet socjalistyczne i anarchistyczne, pod następującymi warunkami:

1-mo. Żadną człowiek klubu nie ma prawa uważać za hultaja, infamisa albo zdrajcę swego kolegi za to, że wyznaje inne teorie społeczne, inne polityczne poglądy.

2-do. W czasie wiecu, każdy ma prawo roztrząsać kwestye ze stanowiska własnych teoryj; inni muszą go cierpliwie a nawet uprzejmie wysłuchać a jego wnioski zwalczać dowodami rozumowymi, nigdy zaś wymysłami, pięścią, kijem, rewolwerem, a choćby sztyltem.

3-io. Każdy człowiek klubu w sposób uro-

czysty zobowiązuje się nie czynić nic takiego, publicznie ani prywatnie, co społeczeństwu albo jednostkom wyrządzić mogłoby szkodę. I na odwrót ma obowiązek czynić wszystko, co społeczeństwu i jednostkom może dać korzyści materialne albo duchowe.

Takim jest duch ustaw klubu „zwyczajnych Polaków.“ Co jednak ciekawsze, że przy naprawianiu jakiejś piwnicy na Starem Mieście, wydobyto z pod ziemi skrzynkę papierów, z których okazało się, że stronnictwo „zwyczajnych Polaków“ istnieje już kilkadziesiąt, może pięćset lat. Z odnośnych a prawie zbutwiałych aktów, widać, że od swego założenia, aż do naszych czasów, klub odznaczał się niezwykłą tolerancją. Należeli do niego szlachcice i mieszcianie, księża, nawet chłopci. Należeli katolicy i kalwini, lutrzy i arianie, żydzi i mahometanie, o ile który z nich uważał się za zwyczajnego Polaka, czyli obywatela kraju. Nie rzadko, a nawet dosyć często, należeli do klubu Rusini i Litwini, kupcy moskiewscy i rękodzielnicy niemieccy. Nie jeden z nich nie osobiście mówił po polsku; nie mniej słuchano go i wypełniano jego rady, byle radził mądrze, szanował cudze przekonania i pracował na „pożytek“, nigdy zaś na szkodę społeczeństwa, wśród którego przebywał.

I jeszcze rzecz ciekawsza!... Jeżeli członek klubu „zwyczajnych Polaków“ wyjechał za granicę na dłuższy czas, musiał tam zamieszkać, po-

znawano go po tem, że nigdy nie działał na szkodę tamtejszego narodu, a zawsze na pożytek. Czytał zaś tak dla dwu przyczyn: naprzód, że będąc uczciwym człowiekiem, nie mógł udęczać bliźnich, bez względu na ich wiarę, mowę a choćby i kolor skóry. Powtóre, chodziło mu o cześć klubu, który przez długie wieki, tak u swoich, jak u obcych, cieszył się najlepszą opinią.

Nigdy też w klubie nie lubiano pustych gadułów i zarozumiałców, ale bardzo ceniono ludzi skromnych, którzy więcej słuchali niż mówili i długo zastanawiali się przed każdym czynem.

Czytelnik kręci głową: nie chce mu się wierzyć przedewszystkiem w to, ażeby mogli kiedykolwiek istnieć zwyczajni Polacy i jeszcze takiego gatunku!...

A przecież istnieją i mają klub i nawet mogą powiedzieć: czem zajmowali się na ostatnim wiecu. Odbił się on w saloniku średniej wielkości, przy udziale najwyżej 50 osób, w świetle dwu lamp spirytusowych. Prezydujący zagał posiedzenie słowami:

— Chciałbym zwrócić uwagę panów na fakt, że stosunki polsko-rosyjskie, tak serdecznie związane na zjeździe „ziemców“, zaczynają się... jakby psuć... W rosyjskiej opinii publicznej czuć już nie tylko ochłodzenie, ale nawet jakby rozdrażnienie przeciw nam...

Głos I. Prosimy o bliższe szczegóły.

*) Współudział A. Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego. Paryż, 1877. T. II. str. 82 w. 6 od dołu.



Prezylujący. Właśnie mam zamiar udzielić ich. Na zjeździe marszałków szlachty w Moskwie już nie tylko nie mówiono o daniu nam autonomii, ale domagano się zabezpieczenia interesów ludności rosyjskiej „na kresach.” Obiecywano wprowadzić owym „kresom” tolerancję religijną i szeroki samorząd...

Głos II. Dla urzędników...

Prezylujący. Zarazem jednak żądano, aby język rosyjski, religia prawosławna i interesy ludności rosyjskiej zachowały znaczenie pierwszorzędne...

Głos III. Wszystko to już było...

Głos IV. Ale jeszcze nie nazywało się: szerekim samorządem.

Prezylujący. W mieście Ekaterynodarze, ktoś między ludnością miejscową rozpuścił pogłoskę, że autonomia Królestwa Polskiego oznacza jakieś wielkie, nadzwyczajne przywileje dla Polaków. Skutkiem tego ekaterynodarscy poczcivcy uznali za niezbędne, w razie autonomii Królestwa, rzucić się na Polaków zamieszkających w Rosyi zmasakrować ich za to, że otrzymali swobody, których nie posiadają środkowe gubernie...

Głos II. Czy nie możnaby w jakiś sposób zawiadomić tych panów, że dotychczas Polacy w Królestwie mają tylko dwa przywileje. Pierwszym jest, że gdy rolnicy rosyjscy za przewóz zboża od Urala do Aleksandrowa płacą za wagon 13 rubli i 72 kop., rolnicy polscy za przewóz zboża tylko od Warszawy do Aleksandrowa płacą... 67 rubli 21 kop! Pięć razy drożej za odległość—pięć do dziesięciu razy krótszą!... Drugi przywilej polega na tem, że kiedy mieszkaniiec jednej z dziewięciu środkowych, najurodzajniejszych gubernii Cesarstwa, płaci rocznie 6 rubli 32 kop. podatku, to mieszkaniiec Królestwa płaci 14 rubli 26 kop. Sądzę, że o tych i wielu innych przywilejach naszych wartoby zawiadomić całą Rosyę, chociażby za pomocą plakat, rozlepionych na rogach ulic...

Głos III. Plakatów takich rozlepić nie wolno...

Głos II. Jeżeli wolno było przed kilkoma tygodniami rozlepić w Petersburgu plakaty, że w Polsce jest rewolucja i że sprawcami wszystkich strajków i klęsk w Państwie Rosyjskiem są Polacy... I jeżeli wolno było w ostatnich czasach przylepić w Wilnie plakaty, wzywające żołnierzy, ażeby... zabijali „Polaków jak psów”, ponieważ Polacy w Tukumie wymordowali, a nawet spalili Rosyan, to dlaczegoż nie miałoby być dozwolonym zawiadomienie Rosyan o naszych przywilejach.

Prezylujący. Czy nie sądzą panowie, że kwestya „polskich przywilejów” jest wyczerpana?...

Głosy. Owszem... sądzimy...

Prezylujący. Zapewne też słyszeli panowie o projekcie akademika Sobolewskiego, ażeby Rosya pozbyła się Królestwa. Polacy zapłacą jej za fortece, koleje, gmachy publiczne, Polacy wyniosą się z Rosyi, a natomiast między Rosyą a Królestwem przeprowadzi się bardzo surowa granica celna...

Głos IV. Złośliwy projekt!...

Głos II. Nie widzę w tem nic złośliwego. Prawdziwem bogactwem kraju jest ludność, nie domyślam się więc dlaczego mielibyśmy obawiać się powrotu do nas z Rosyi tych oświeconych i produkcyjnych Polaków, którzy dotychczas tam pracują?... Owszem, niech wracają!...

Głos IV. Celna granica między Królestwem i Rosyą zabiłaby nasz przemysł...

Głos II. Jest to także jeden z przesądów, który należałoby wyplenić. Nasz dzisiejszy przemysł jest nieszczęściem kraju: wytwarza towary dla Rosyi, z bogactwa niemieckich fabrykantów, a tymczasem cała nasza ludność żyje w nędzy, chodzi obdarta i bosa. My powinniśmy mieć

ANIOŁ ŚMIERCI

Rzeźba B. MAZURKA

przedewszystkiem nasz przemysł, który zaspakałaby nasze potrzeby. Przeciągnięcie zatem granicy celnej między Królestwem i Rosyą byłoby katastrofą tylko dla jednego pokolenia, ale stworzyłoby, pewny choć skromny, dobrobyt dla pokoleń następnych...

Głos IV. A gdyby nas zagarnęli Niemcy?...

Głos II. Niech zagarną!... Raz przecie trzeba skończyć z temi niemieckimi czy pruskimi strachami... Gdyby nas zagarnęli Prusacy, dostalibyśmy akurat to samo, co obiecują nam marszałkowie szlachty: obszerny samorząd i tolerancję religijną, z tym również małym dodatkiem, że interesa ludności niemieckiej, religii protestanckiej i języka niemieckiego mają zachować pierwszorzędne znaczenie. Wreszcie może kiedy i Prusy doczekają się prawdziwej konstytucyi...

Głos IV. A tymczasem iżgiermanizowaliby nas!...

Głos II. Aniby nas zgiermanizowali, ani ogłupili, ani upodlili. Poznańskie, pomimo strasznego ucisku, jest najbogatszą i najucywilizowaną dzielnicą Polski i takim byłoby Królestwo.

Głos IV. A interesa słowiańszczyzny?...

Głos II. Co mnie tam obchodzi jakaś słowiańszczyzna, jeżeli najpotężniejszy jej członek, Rosya, rujnuje nas materialnie i moralnie, poprostu zarzyna nas, ażeby pieczęć naszą prędzej czy później oddać Prusom!...

Prezylujący. Przesadza szanowny kolega!...

Głos II. Stwierdzam fakty, nic więcej!... A dla zmiany tematu dyskusyi przypomnijcie sobie

panowie następujący szczegóły. Gdyby w listopadzie roku zeszłego, po ogłoszeniu konstytucyi, Prusacy zaleli Królestwo, my cywilni Polacy, my filistrowie walczylibyśmy na ochotnika obok rosyjskich żołnierzy, zasłanialibyśmy naszymi pierściami Rosyę... A dziś, po dobrodziejstwach wojennego stanu, gdyby nie ryłko Prusacy, ale nawet czubate dyabły najechały ten kraj, kto wystąpiłby przeciw nim na ochotnika?... Kto ruszyłby palcem, ażeby ich odepchnąć?...

Głosy. Oho!... za mocno... za daleko!... Przecież konstytucya nie zniesiona... autonomię dostaniemy...

Głos II. Ani autonomii nie dostaniemy, ani konstytucyi nie zobaczymy!! Chyba pruską...

Głosy. Oho!... Ucho swoje zobacz Niemcy, ale nie Królestwo!...

Głos II. Wszystko zabiorą: od Rygi po Pgesę!...

(W saloniku robi się hałas; widać zaognione twarze i podnione ręce. Prezes przez kilka minut dzwoni).

Prezylujący. Przypgminam panom konstytucyę, wedle której każdy ma prawo wypowiadać swoje przekonania. A teraz pozwolicie, że odpowiem szanownemu koledze. Rozumiem jego uniesienie już nie tylko patryotyczne, ale czysto ludzkie; rozumiem jego żal do tych Rosyan, którzy tak dalece odmawiają nam praw do bytu, że woleliby do reszty zniszczyć nasz kraj, woleliby oddać go Niemcom, aniżeli przyznać nam narodowe swobody... Są to wszystko uczniowie, jeżeli nie współdziałacze, pruskiego hakatyizmu.

Ale szanowni koledzy, najcięższy żal, nie upoważnia do sprawiedliwości i zapomnienia o tem, że obok rusyfikatorów, Rosya może pocliubić się posiadaniem innych jeszcze synów. Przypomnijcie sobie uchwały ziemców, głos ks. Eugeniusza Trubeckiego, głos pani Zeneidy Szeremetewskiej przeciw rusyfikacyi, głosy państwa Jakowenków przeciw systemowi wprowadzonemu do Instytutu głuchoniemych i ociemniałych przez p. Bogojawleńskiego, a nadewszystko—przypomnijcie sobie ten wspaiały, jeszcze nie oceniony należycie, czyn profesorów i studentów uniwersytetu i politechniki warszawskiej, ludzi obcych nam, może wychowanych w niechęci do nas, którzy jednak dla sprawiedliwości wyjechali z Warszawy, poświęcili swoją karierę... Donrawdy, że zasługuje na szacunek naród, który takich posiada obywateli...

(Obecni powstają. Ogólne: brawo).

Głos II. To zrobił kwiat inteligencyi rosyjskiej...

Prezylujący. A ci nauczyciele i nauczycielki szkół średnich, którzy zbierają się na zjazd pod hasłem: „Szkoła wolna, autonomiczna i demokratyczna”? A ci robotnicy, którzy wołają za obcym sobie człowiekiem, Liebknechtem: „Tylko walka duchowa, to walka prawdziwie ludzka; inne formy walki właściwe są dla zwierząt”...

Przypomnijmy sobie jeszcze raz wszystkie te zjazdy, narady, hasła wszystkich tych adwokatów, inżynierów, profesorów, nauczycieli, studentów, tych księży i robotników i szczerze powiedzmy: czy w dzisiejszych Niemczech, pomimo ich niewątpliwej wielkości, możnaby wskazać szereg podobnych objawów?...

Z tych racyi, bez względu na sympatyę i szacunek jaki mam dla uczciwych Niemców, radziłbym—nie śpieszyć się w pruskie objęcia. A natomiast proponuję panom, ażebyśmy w naszym skromnem koleczku, wyrazili podziw i braterskie pozdrowienie dla tych szlachetnych Rosyn, którzy są wyznawcami i apostołami dwu wszechludzkich ideałów: wolności i sprawiedliwości...

Głosy. Cześć im!... Niech żyje wolność!... niech żyje wolna Rosya i autonomiczna Polska!...





BOLESŁAW PRUS

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jeżeli całe Państwo Rosyjskie w taki sposób odczuje skutki 40-letniego gospodarstwa biurokracji, jak my to odczuwamy, jeżeli dozna takich klęsk, jakich my doznajemy, jeżeli wytworzy się w nim taki zamęt, jaki coraz wyraźniej poczyną wytwarzać się u nas, to, szczerze mówiąc, położenie Rosyi stanie się bardzo niewesołe!...

Nasz bowiem kraj jest podobny do kamienicy, której przez 40-ci lat nikt nie naprawiał, nie oczyszczał, nawet nie przewietrzył, w której każdy, kto mógł, wyłamywał klamki, kraty, balustrady, wynosił w sposób mniej lub więcej jawny kosztowne sprzęty i obrazy, a dla kompensaty, przez 40 lat napełniał głęboką studnię miejscową... Myślicie, że choćby piaskiem?... Nie! napełniał ją wszelkiego rodzaju śmieciem, odpadkami, a nawet produktami niebezpiecznymi.

Znalazła się stara słoma, sypać ją do studni!... Znalazło się suche czy zbutwiałe drzewo, łachmany, padlina, siarka, proch, czy dynamit, wszystko pakowało się w studnię, nie troszcząc się, a bodaj czy nie ciesząc się, że przy łada okazy, może tu wybuchnąć epidemia, a może i przewróci się zniechędzony budynek!...

Dzięki takiemu systemowi higieny moralnej, nieszczęśliwe Królestwo Polskie już drugi rok jest jakby w konwulsjach. Po strajku szkolnym wybuchają strajki fabryczne, po fabrycznych, strajki kolejowe, dalej strajk pocztowy, cały szereg stanów wojennych, strzelaniny na ulicach, nachodzenia domów i nie mniej piękne, nie mniej pocieszające zabójstwa polityczne!...

Z wiosną, jeżeli Bóg miłosierny pozwoli doczekać, obiecują nam strajki rolne, a tymczasem, ażebyśmy się nie znudzili, mamy dwie nowe kwestie: religijną, tak zwanych „mankietników” i polityczną sprawę wyborów do Dumy.

Kwestyi „mankietników” nie podejmuję się bliżej określać: jest ona zbyt świeża i nie dość jasna. W każdym razie już dziś widać w niej dwa punkty jaskrawe. Po pierwsze—„mankietnicy” są jakoby protestem przeciwko „chciwości i niemoralnemu życiu naszego duchowieństwa,” powtóre—„mankietnicy” wierzą w to, że pani Kozłowska ma objawienia Boskie, i w to, że na ziemi już jest antychryst, ale jeszcze nie wierzą w potrzebę pracy, oświaty, higieny, medycyny i t. d.

Mam przyjemność znać kilkunastu księży: większą część w Warszawie, kilku na prowincyi i doprawdy nie mógłbym o nich powiedzieć nic innego, jak tylko, że są to dobrzy obywatele, ludzie rozsądni i czcigodni. Może być jednak, że oprócz nich znajdują się i źli, nawet bardzo źli księża; może być, że moralny i umysłowy poziom naszego duchowieństwa zniżył się w ciągu kilku dziesiątków lat ostatnich, ale czy podobna się temu dziwić? Wszakże duchowy upadek ludzi zwykle towarzyszy chorobie tego społecznego organu, w którym oni przyjmują udział; a czyliż życie kościoła katolickiego w naszym kraju, przez 40-ci lat ostatnich, było normalne, czy raczej, nie było jednym ciągiem zjawisk wysoce chorobliwych?

Przypomnijmy sobie, że kiedy duchowni innych wyznań, bardzo słusznie zresztą, miewają po kilka tysięcy rubli rocznego dochodu, nie licząc ziemi, nasz proboszcz otrzymywał od rządu 300 rubli rocznie, a wikaryusz jeszcze mniej. Przypomnijmy sobie, że naszych księży, w ciągu kilku-

dziesiątków lat, traktowano jak „złodziei pobytowych”, nie wolno im było wyjeżdżać nawet do sąsiedniej parafii, nie wolno było zaglądać do szkółki, mieszać się do stosunków gminnych, a przypadkowe wypowiedzianie eks-unity, albo ochrzcenie mu dziecka, pociągało za sobą dotkliwie kary.

I co w podobnych warunkach mogło zrobić się z człowiekiem niezbyt wysoko ukształconym, nędźnie wynagradzanym, odciętym od ludzi tego co on powołania, oderwanym od społeczeństwa, zamkniętym jak w więzieniu w swojej plebanii, której nudy urozmaicało chyba pojawienie się strażnika ziemskiego, co zniecka przychodził sprawdzać: czy jego aresztant siedzi w domu?

Ksiądz ten musiał brać za chrzty i pogrzeby, bo z czegożby żył?... Obywatelskich obowiązków spełniać nie było mu wolno, chrześcijańskich prawie, że nie wino; mógł tylko pić, grać w karty, no i czy ja wiem zresztą co wyrabiać, byle czyny te nie obrażały władzy policyjnej.

To też stan duchowny katolicki u nas wiednął, a na Litwie, gdzie ucisk był jeszcze gorszy (jeżeli to być może), trafiali się księża wprost potworni. Np. jeden z nich, Senczykowski, między innymi, zmuszał uczniów do odbywania spowiedzi w rosyjskim języku, a pieśń: „Dobranoc o Jezus!” przetłómaczył podobno w taki sposób: „Pakojnoj noczi Isus Osipowicz!...”

Ale miłosierny „Isus Osipowicz” i takiego grzesznika przygarnie do swoich stóp zakrwawionych, gdyż On wie, że rozmaici Senczykowscy są nie tyle owocem spodlenia ludzkiej duszy, ile raczej niesłychanych stosunków, w jakich na Litwie i u nas znajdował się kościół katolicki.

To też zdaje mi się, że gdyby „mankietnicy” (których zresztą nie myślę z góry potępiać) mieli w sobie naprawdę ducha Bożego, jakim się chwali, wtedy zamiast przeklinać błądzących kolegów swoich i zrywać z nimi wszelką wspólność, raczej modlili się za nich i przebaczały, gdyż nie wszystkie ich grzechy są ich winą!...

A gdyby z drugiej strony sami „mankietnicy” mogli zgadnąć, co o nich myślą np. bezstronni w tym zatargu pastrowie protestanccy (z których każdy kończy uniwersytet!) może mniej zachwyciliby się własną rolą...

Ucisk i prześladowania podkopały kościół katolicki w naszym kraju, a ciemnota urodziła „herezję.”



Obok walki z religią katolicką biurokracja toczyła jeszcze zacieklejszą, jeszcze bezwzględniejszy bój z narodowością i patriotyzmem polskim. Nasi szanowni cywilizatorowie zbyt mało posiadali wykształcenia, ażeby rozumieć, że, jakkolwiek, choćby patagoński patriotyzm, jest lepszym od politycznego nihilizmu. Patriotyzm bowiem angielski, francuski, rosyjski, a choćby i polski, czemu jest w gruncie rzeczy, jeżeli nie specjalną formą uczuć społecznych, które ludzi spajają ze sobą, każą im zapominać o własnym egoizmie, czasem popychają do poświęceń, a w każdym wypadku nieco hamują dzikość i okrucieństwo człowieka, nieco wynoszą go po nad ciasny zakres jego osobistych interesów. Nikt nie zdoła obrachować, nikt nie zdoła przeczuć, od ilu zbrodni uchronił ludzkość uczciwy patriotyzm, a ilu wysokich cnót stał się źródłem!...

Takie to uczucie tępiło u nas za pomocą ucisku języka, za pomocą drwin z historii, albo jej fałszowania, za pomocą wreszcie maszyny cenzuralnej. Mniejsza o historię, gdyż działały się gorsze praktyki czy zaniedbania. Średnio ukształcony Polak miał obowiązek uczyć się gramatyk: rosyjskiej, niemieckiej, francuskiej, łacińskiej i greckiej, nawet cerkiewno-słowiańskiej. Nikt jednak nie mówił mu, że on nie jest jakąś istotą oderwaną od świata, ale raczej żywą komórką narodowej całości; że nie mógłby ani rozwijać się fizycznie i duchowo ani nawet istnieć bez ziemi, po której stąpa, bez wody, którą pije, bez chłopa, który go karmi, rzemieślnika, który dba o jego odzież i wygodę życiową, leśnika i górnika, którzy dostarczają mu opału, i mnóstwa innych ludzi i przedmiotów, którzy i które zaspakajają wszelkie jego fizyczne i duchowe potrzeby.

A jeżeli tak jest i jeżeli całe nasze życie zawdzięczamy otoczeniu, toć i względem tego otoczenia musimy poczuwać się do jakichś obowiązków, do jakiegoś długu wdzięczności. Nie tylko więc jest zbrodnią, nie tylko jest hańbą szkodzić tym naszym dobrodziejom, tym najwierniejszym choć nieznanym opiekunom i przyjaciółom, ale nadto jest prawem uczciwości, honoru, służyć im tak pożytecznie, jak oni nam służą i oddać im tyle przynajmniej, ile bierzemy od nich.

Na tem polega patriotyzm, ale tego nie uczono naszej młodzieży, a raczej wskazywano jej, że gdzieś nad Wołgą czy Uralem istnieją dobrze płatne posady. Nic nie znaczy, że tu urodziłeś się i wychowałeś, gdyż tam dadzą ci dwa do trzech tysięcy rubli pensyi, a jeżeli będziesz obrotny, możesz zarobić i więcej!...

W taki sposób wychowywały się pokolenia kosmopolitów i internalistów. Więc jedni żyli w tym kraju z obojętnością w sercu dla jego nędzy, inni nawet drwili sobie ze „zgniłej Polski”, która zasłaniała im żywe społeczeństwo. Inni wyjechali nad Wołgę i Ural, ażeby nareszcie dowiedzieć się, że i tam dokuczyła biurokracja i że przeciw jej niszczylińskiej działalności trzeba protestować albo i spiskować!...

Tak powstało u nas to nadzwyczajne zjawisko, że posiadamy mnóstwo ludzi, których daleko mniej interesuje szczęście własnego narodu, aniżeli walka z biurokracją... Co za straszliwe prawo odwetu!... Gnębiąc jawną i uczciwą działalność obywatelską, wyhodowano potworny spisek i rewolucję.

Najświeższym objawem internacjonalizmu, czy rewolucjonizmu, a w każdym razie głębokiej

1892-1

1892-1

1892-1

1892-1

1892-1

1892-1





STRAJK

HUBERT HERKOMER

obojętności na dół tego kraju, jest akcja rozmaitych grup krańcowych przeciw wyborom do sejmu czy Dumy rosyjskiej. O konserwatyzm, o brak współczucia dla żywiołów postępowych i wolnościowych mnie chyba nikt nie posądzi. Pomimo to, im dłużej zastanawiam się nad możliwymi przyczynami walki przeciw „wyborom”, tem mniej ją rozumiem.

Bo czemuż jest Duma, choćby z początku jak najbardziej ograniczona?

Jest to lampa, która oświeca wszystkie dotychczas spełniające się nadużycia w Państwie, jest

to trybunał, który je osądzi, jest to wreszcie fabryka, w której naprawdę zostaną odlane i wykute: wolność osobista, wolność wyznań, zebrań i stowarzyszeń, wreszcie wolność nauczania. Wszystkie te wolności rząd nadać musi, gdyż inaczej Państwo Rosyjskie stoczy się w otchłań zamieszek, nędzy bankructwa i ostatecznego barbarzyństwa. Ale bez Dumy rząd nadać tego nie potrafi, więc pozostaje do wyboru jedno z dwojga: albo Duma, albo niewola i swawola. Jeżeli zatem partye rewolucyjne chcą wolności i sprawiedliwości, nie mogą przeszkadzać zwolaniu Dumy.

Prawda, że Duma nie posiada ważnych i pożądaných przywilejów, ależ to rzeczy do pozyskania, do wypracowania. Prawda, że wybory nie są powszechne, ależ i w Prusach nie są powszechne, a w Austrii dopiero mają stać się niemi. W każdym razie i do owej nie istniejącej Dumy można zastosować aforyzm Cavura: „Najgorsze Izby (des chambres) są więcej warte od najlepszych przedpokojów (des antichambres).”

Skoro zaś przejdzie do nas samych, to gdzież opowiemy o naszej nędzy, gdzież opomniemy się o sprawiedliwość, gdzież możemy wypracować znośniejsze warunki bytu, jeżeli nie w takim miejscu, kędy kwiat obywatelstwa rosyjskiego będzie naradzał się nad sposobami uleczenia gangreny, toczącej Państwo?

Trzeba dodać jeszcze, że gdyby Duma z jakichkolwiek powodów okazała się nie samodzielnym organem reform, ale służą czy pomocnicą biurokracji, wówczas upaść musi, nie tylko pod ciężarem publicznej niechęci i wzdargy, ale i pod naciskiem faktów. Państwo Rosyjskie jest dziś w takim położeniu, że tylko nadzwyczajna, wysiłona praca wszystkich klas, wszystkich narodów, może je ocalić od ostatecznego upadku; skądże zaś weźmie się ta praca, skąd siły do niej konieczne, jeżeli nie podniecą ich dwa genjusze: wolności i sprawiedliwości?

Słowem, na wszelki sposób, z każdego stanowiska: kosmopolitycznego czy patryotycznego Duma jest potrzebna. Cóż zatem myśleć o partyach, które nie tylko protestują przeciw wyborom do Dumy, ale nawet próbują rozpędzać zgromadzenia przedwyborcze, a na przyszłość stawiają taki program:

„Zebrania ich (przeciwników politycznych socyal-demokracji) powinny być za wszelką cenę, choćby drogą użycia siły uniemożliwione”.

Co na domiar kończy się—podobno—okrzykiem:

„Niech żyje wolność zgromadzeń i słowa!...”

Więc to w rzeczy samej miałyby być programem jakiegokolwiek stronnictwa?... Nie, to jest choroba społeczna, stworzona przez kilkudziesięcioletnią gospodarkę biurokracji.

JULIUSZ SŁOWACKI:

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i utaskawionych;
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach
szalonych.

Wiem, że wróceniem mojem łatwym ci przysporzył;
Wszakże gdy cię spytają, czy syn twój
powraca,
Mów: syn twój na sztandarach, jak pies, się położył,
I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy,
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpacz.

Przebacze mu, o moja ty, piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścił Boga
Musiałby—toby ciebie pewno nie opuścił.







WJAZD CHRYSTUSA DO JEROZOLIMY

A. BUNSCH

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Od czasu jak naród polski jest narodem polskim, od gościnnego Piasta, do nieudolnego Stanisława Augusta, nie przechodziliśmy tak głębokich i różnorodnych wstrząśnięć, na jakie patrzymy i jakim ulegamy obecnie.

Znaliśmy wojny zaborcze, podział Państwa między królewskich synów, napady tatarskie, bunt chłopów na Ukrainie, próbki „herezi” między szlachtą, wreszcie—rozbiór i upadek Rzeczypospolitej. Wszystkie te jednak burze trafiały się odmiennie, w długich odstępach czasu. Dzisiaj zaś, w ciągu jednego roku widzieliśmy i zapewne jeszcze zobaczymy, jednoczesne wybuchy wszelkiego rodzaju zawiłków społecznych.

Wstrząśnieniu uległa sztuka, oświata, praca, dobrobyt, poglądy polityczne i społeczne; wstrząśnieniu uległ nawet Kościół, wzniesiony na „nie-spożytej opoce Piotrowej”. Czeladź i terminatorzy wystąpili przeciw majstrom, pracownicy przeciw kapitalistom, poddani przeciw rządowi. Nie dość na tem: uczniowie usunęli się od szkoły, wierni od kapłanów, dzieci od rodziców, a nareszcie i kapłani zwrócili się przeciw biskupom...

Gdzie dziś szukać tych pięknych, błogosławionych czasów, kiedy najważniejszym wypadkiem było przedstawienie teatralne, koncert, nowa powieść, a nawet... dowcipny artykuł! Gdzie ta arkadyjska epoka, kiedy zuchwała kradzież na cały tydzień dostarczała tematu do rozmów, a nie daj Boże wystrzał na ulicy potrącał najgłębsze fibry serc mieszkańców tego miasta?...

Dziś nie zdziwiłyby nas nawet armatnie wystrzały, a zajmują rozmowy i artykuły tylko polityczne i społeczne. Konstytucja, rewolucja, reakcja... proletaryusze, burżuazja, socjaleści, maryawici... oto wyrazy, jakie najczęściej słyszy się i jakich najchętniej się słucha... Nikt już nie zajmuje się chociażby najgustowniejszą suknią najpiękniejszej artystki, a nawet, że mgły i światła utkane, boginki baletu rozdierzły się gdzieś, znikły jak motyle w czasie mrozu!...

Na pierwsze śniadanie—polityka, na drugie—socjalizm, na obiad—polityka i socjalizm, a na kolację—polityka, socjalizm i rewolucja—oto nasz pokarm duchowy... Jeszcze parę lat takiej kuchni a wyrosną nam kły w miejsce zębów, szpony zamiast paznokci... Nie będziemy mówić, tylko warczyć; będziemy dyszeć ogniem i dymem a wypławać roztopiony ołów. Kiedy hulać, to hulać!

Jednym słowem—żyjemy na tle i w epoce tego, co możnaby nazwać „wielkim rozpolitykowaniem socjalistycznym.” I otóż dziwna rzecz: w takiej epoce nikomu jednak nie przyszło na myśl—zestawić, porównać—to, co u nas słyszy się

o polityce i o socjalizmie, z tem, co o nich myśleli wodzowie i apostołowie socjalizmu...

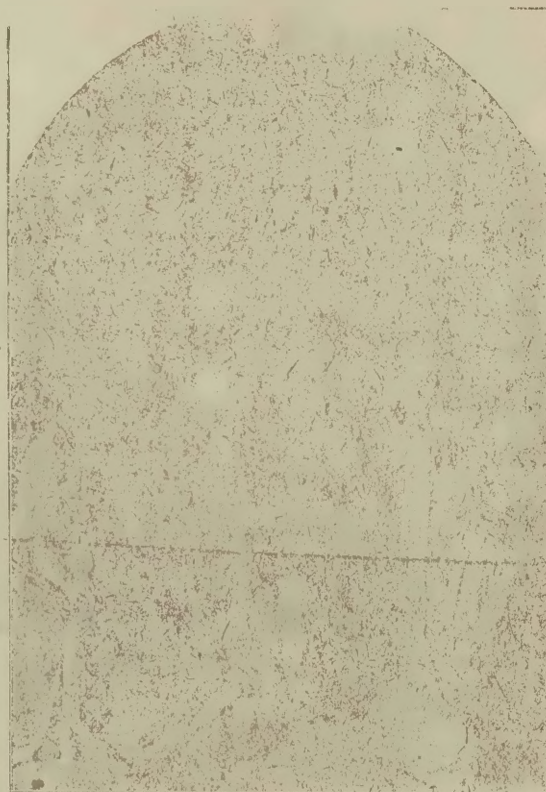
Ponieważ nikt takiego zestawienia nie zrobił, więc... ja spróbuję robić to od czasu do czasu... Będą to zestawienia cytata bardzo nieudolne, nie trafne...

Miejmy jednak nadzieję, że—zachęceniem mojem niepowodzeniem—znajdą się bieglejsi, którzy ten sam temat rozwiną w sposób należyty i dokładny.

Dziś, na początek, potrąć o kwestyę: „polityki” według Lassalla (odczyt „O istocie konstytucji”).

O polityce najczęściej mówią u nas z jednej strony—narodowcy, z drugiej—znawcy nauk społecznych. I ci i tamci z tego są podobni do siebie, że jak najczęściej używają wyrazu: „prawo”. Mianowicie—znawcy nauk społecznych zwracają uwagę na potrzebę „liczenia się z prawami istniejącymi, zaś narodowcy mówią albo o naszych „nieprzedawnionych prawach,” albo o zdobywaniu, wywalczeniu należnych nam praw.

Zobaczmy jak na te rzeczy zapatruje się Lassall, którego odczyt „O istocie konstytucji” jest arcydziełem popularnego wykładu nie tylko o konstytucji, lecz wogóle o polityce.



ZDJĘCIE Z KRZYŻA

A. BRUNSCHA

„Kwestye konstytucyjne—mówi—są to przede wszystkim kwestye siły, nie zaś prawa; rzeczywista konstytucja kraju znajduje się tylko w istniejącem, faktycznem, realnem ustosunkowaniu sił. Konstytucja pisana tylko wtedy ma znaczenie i trwałość, jeżeli stanowi ścisły wyraz rzeczywistego ustosunkowania sił w społeczeństwie.” „Skoro konstytucja pisana nie odpowiada rzeczywistej, następuje między niemi starcie, w którym konstytucja pisana—prosty arkusz papieru—zostaje zwyciężona przez konstytucję rzeczywistą, przez realne ustosunkowanie sił w kreju...”

Kto więc chciałby „robić politykę,” kto pragnąłby „wywalczać prawa,” notabene nie pisanie, ale rzeczywiste, ten musiałby mieć za sobą nie tylko starsze lub nowsze—arkusze papieru—ale—siły rzeczywiste.

Czy nasi politycy mają takie „siły rzeczywiste?”... Oni twierdzą, że mają. Jakiemiż więc są owe siły?... O, są bardzo duże, choć nie oparte na bagnietach, a mianowicie: „nasza spistość narodowa, nasza sprawność ekonomiczna i nasza sprawność kulturalna” — mówią narodowcy i zaraz po tem dodają, że w Dumie petersburskiej posłowie nasi powinni przemawiać jak ludzie, za którymi stoi siła... siła narodu...

A teraz zobaczmy: jakie to siły, według Lassalla, wywierają wpływ na politykę. Mówi on naturalnie o Prusach i o roku 1861-ym.

Przypuśćmy—wykłada Lassall—że w całych Prusach zginęły, spaliły się prawa pisane, skutkiem czego obywatele mówią:

„Prawa zginęły, stworzymy nowe i przy tem nie damy władzy królewskiej tego stanowiska, jakie dotąd zajmowała... Wtedy król odpowiedziałby. Dajmy na to, że prawa zginęły, ale cóż z tego?... Wojsko słucha mnie i pójdzie tam, dokąd ja mu iść każę, za niem artylerja wyruszy na ulicę. Opierając się na tej sile faktycznej ja nie zniosę, abyście czynili zamach na stanowisko, które zajmuję...”

„Widzicie panowie—mówi Lassall—król, któremu są posłuszne wojska i armaty, stanowi część konstytucji,” jest „siłą realną.”

Podobnie „wielcy szlachcice-posiadacze zawsze korzystali z wpływu u króla dzięki czen-u mogliby też w swojej obronie wysłać wojsko i armaty z taką samą łatwością, jakby ta siła znajdowała się w ich bezpośrednim rozporządzeniu. I tak widzicie panowie, że szlachta, mająca wpływ na dwór i na króla, stanowi część konstytucji,” czyli—jest „siłą realną.”

W dalszym ciągu tłumaczy Lassall swoim słuchaczom, że pp. Borsig, Egels i inni wielcy



przemysłowcy, którzy w razie czego mogliby zamknąć swoje fabryki i wypuścić na ulicę mnóstwo ludu, żądającego chleba i pracy, że owi wielcy przemysłowcy stanowią część konstytucji“ czyli „siłę realną.“

Dalej—ponieważ rządy, dosyć często, potrzebują wielkich środków pieniężnych, muszą więc niekiedy zaciągać pożyczki. A że pośrednikami w tego rodzaju operacjach są bankierzy, więc „bankierzy jak Mendelsohn, Schickler, wogóle giełda jest częścią konstytucji“ czyli „siłą realną“.

Dalej—gdyby jaki rząd „chciał pozabawić drobne mieszczaństwo i robotników nie tylko swobody politycznej, lecz nawet osobistej, zrobić ich pańszczyźnianymi, wówczas ludzie ci, sami zamknęliby fabryki i wyszliby na ulicę, wołając: wolimy zginąć, aniżeli znosić niewolę!... A ponieważ ich połączony opór trudno byłoby zwyciężyć, więc drobni mieszczaństwo i robotnicy także stanowią część konstytucji“ czyli tworzą „siłę realną“...

Nareszcie—gdyby jaki rząd chciał zaprowadzić „prawo kryminalne w rodzaju chińskiego, na zasadzie którego za kradzież popełnioną przez syna, karany bywa ojciec, próba taka nie udałaby się, dlatego, że byłaby w zbyt jaskrawym przeciwieństwie z poziomem naszej kultury, z sumieniem publicznym.“ „A więc w pewnych granicach i sumienie publiczne i poziom kultury stanowią część konstytucji“ czyli „realną siłę“...

Po tych wywodach roni Lassall takie westchnienie: „Monarchowie mają lepsze służby, niż wy, panowie!... (Mówił to do *burżuazji* i robotników). Słudzy monarchów to nie bazarze, jakimi często bywają słudzy narodu. Są to ludzie praktyczni, którzy instynktownie pojmują, na czym polega

rzecz. Pan von Manteufel był lichym mówcą, ale praktycznym człowiekiem. Rozpędziwszy w listopadzie 1848-go roku zgromadzenie narodowe i ustawiwszy na ulicach armaty, od czegoż rozpoczął? Czy ułożył reakcyjną konstytucję? O, nie. On przedewszystkiem rozbroił obywateli.“

Oto wspaniały wykład tematu: jak się robi politykę?... Robi się ją tylko za pomocą sił realnych. Jakiemiż są te siły? Czy nasza „spoistość narodowa, czy sprawność ekonomiczna i kulturalna?“ Według Lassalla, siłami temi—w Prusach—jest: 1-mo król z wojskiem i armatami, 2-do arystokracja utrzymująca stosunki z dworem, 3-io wielcy przemysłowcy, którzy mogą tłumy robotników wypchnąć na ulicę, 4-to wielcy bankierzy, którzy w razie potrzeby dostarczają rządowi, 5-to drobne mieszczaństwo i robotnicy, którzy, gdyby ich doprowadzono do rozpacz, mogliby wyjść na ulicę Berlina, a choćby tylko nie pracować czyli zachwiać, podkopać bogaty przemysł berliński i nareszcie—6-to kultura i sumienie publiczne, które napełnia serca nie tylko entuzjastów, filozofów i młodzieży, ale także wszystkich pruskich „urzędników, nawet radców tajnych, a nawet członków izby panów.“ Dopiero w całym narodzie, od góry do dołu, upowszechniona „kultura i sumienie“ tworzy siłę, siłę tylko moralną co prawda...

Zobaczmy teraz: jakie siły z sześciu wymienionych są naszym udziałem, ażebyśmy wiedzieli: czym możemy „walczyć i zdobywać“ nasze „prawo“?... Armat i wojska nie mamy, arystokracji, utrzymującej stosunki z wyższymi sferami, także nie posiadamy. Nasi bardzo skromni, a bynajmniej nie wielcy przemysłowcy, gdyby zamknęli fabryki, zrobiliby to chyba w ostateczności, na

nieszczęście robotników i własne bankructwo, od naszych zaś bankierów żaden rząd nie pożycza pieniędzy. Gdyby drobne mieszczaństwo i robotnicy, porzuciwszy swoje warsztaty, wylegli na ulicę, zaszkodziłoby naprzód sobie, a powtóre społeczeństwu, nie zaś rządowi, który ma akurat dzie sięć razy więcej armat i wojska, aniżeli potrzeba do wytępienia wszystkich naszych robotników. Ten sam rząd ani zmartwiłby się ruiną warszawskiego czy nawet polskiego przemysłu, który zawsze gotów był ograniczać na rzecz fabrykantów „rdzennych gubernii“, a chociażby i pruskich... Nareszcie „sumienie publiczne i kultura“ nie przeszkadzały dotychczas i nie będą przeszkadzać ani środkom wyjątkowym, ani „jak najenergiczniejszemu tłumieniu zaburzeń“...

Cóż więc pozostaje do zrobienia naszej polityce w braku „sił realnych“, a nawet w braku tych sił moralnych, jakie tworzy „sumienie publiczne i kultura?“ Pozostaje bardzo niewiele: mądrze korzystać z tych nieco pomyślniejszych warunków, jakie nam los przynosi—utrzymywać czucie z najlepszymi, najszlachetniejszymi żywiołami rosyjskimi i powoli, usilnie, starać się o to, ażeby utworzył się u nas wielki przemysł i wielcy przemysłowcy, wielka giełda i wielcy bankierzy, dzielni i oświeceni robotnicy, dzielne i oświecone mieszczaństwo, dzielni i oświeceni wieśniacy i ażeby wszystkie te klasy pracowników uformowały rzeczywistą „spoistość narodową, sprawność kulturalną i ekonomiczną“, jakich dziś jeszcze niestety! nie mamy.

Dobrzeby też było nie grozić nikomu nieistniejącymi siłami i nie marnować tej odrobiny, jaką rzeczywiście posiadamy.

1871



TRAWERTACYA OBRAZU BIEGASA

Z. BADOWSKI

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Inteligencya polska jest dzisiaj tak zajęta socyalizmem, jak niegdyś—w sezonach zimowych—zajmowała się teatrem, a w letnich—wścigami konnemi. Jedni są jego poświęconymi apostołami, inni—śmiertelnymi wrogami. Zda się, że wybiła godzina, w której można będzie, a nawet wypada, objaśnić co znaczy ten wyraz—socyalizm?

Ponieważ z pism, broszur i książek poświęconych socyalizmowi dałoby się utworzyć bibliotekę, więc czytelnik słusznie mógłby się obawiać, że na określenie „socyalizmu” jeden felietonowy artykuł nie wystarczy. Zapewne, że tak, gdyby chodziło o wyczerpującą definicyę, do której autor niniejszego nie rości pretensyi. Jeżeli jednak „Mały Larousse” nie wahał się kwestyi tej poświęcić... sześciu wierszy—prawda, że drobnego druku—to dla czegoż niżej podpisany miałby wstydić się paruset swoich wierszy—wypisanych chociażby nieco grubszym szryftem?

Naturalnie—artykuł ten poświęcam: młodym panienkom, dla których już istnieją specjalne dziełka naukowe np. historia, astronomia a nawet... arytmetyka dla młodych panienek! Przypuszczam zaś, że osoby starsze, nie poprzestając na moich informacyach, zechcą o tej rzeczy przestudyować chociażby jakiś popularny wykład w formie książkowej, o co dzisiaj nie jest już trudno w języku polskim.

Ojcami socyalizmu są—ekonomiści, filozofowie, może nawet politycy; matką zaś socyalizm—posiada dwie: nędzę klas pracujących i zbytki klas zamożnych lub bardzo zamożnych.

Za pozwoleniem cenzury—nie jest to dziś tajemnicą, że—osobliwie w dużych miastach—Europy i Ameryki można spotykać tysiące ludzi odzianych we wstrętne łachmany, śpiących na barlogu, w pomieszczeniach gorszych od psiej budy, karmiących się niedogryzionemi szczątkami ze stołu nieco zasobniejszego, albo skórkami chleba, znalezionemi w rynsztokach, zresztą—ludzi wicznie głodnych. Nie opowiadam tutaj sentymentalnej bajki, lecz fakta bardzo pospolite.

Jednocześnie w tych samych wielkich miastach żyją inni, którzy wydają setki i tysiące franków albo dolarów dziennie, których żony albo przyjaciółki ubierają się w przedmioty wartujące dziesiątki i setki tysięcy franków, którzy wreszcie, gdy im przyjdzie fantazja, w ciągu jednego wieczora przegrywają sumy, mogące utrzymać kilka set rodzin przez cały rok!...

Dodajmy, że niektórzy bogacze są skończonymi hultajami, kwalifikującymi się do kryminału, a nędzarzami bardzo często bywają uczciwi i zdolni robotnicy, którzy stracili zajęcie. Dodajmy, że liczba „niezajętych” wzrasta na całym świecie, choćby skutkiem emigracyi wieśniaków do miast. Dodajmy, że gdy wielkie fabryki i wielkie handle potężnieją, małe warsztaty i sklepiki upadają, że bardzo często płaca zarobkowa zniża się, a liczba godzin pracy rośnie. Dodajmy, że kobieta, zamiast być matką i gospodynią, staje się złe płatną robotnicą, a niekiedy prostytutką; dodajmy, że skutkiem bezładnej wytwórczości towarów, co kilka lub kilkanaście lat wybuchają w społeczeństwie „przesilenia ekonomiczne,” na których mniejsi bogacze bankrutują, więksi—pomnażają swoje olbrzymie dochody, a robotnicy... dziesiątkami tysięcy wpadają w ostateczną nędzę... Zsumujmy to wszystko i uzupełnijmy faktem, że wśród tłumu ciemnych proletaryuszów trafiają się ludzie ukształceni, niekiedy bardzo zdolni i energiczni, a przy niewielkiem nateżeniu imaginacyi, możemy utworzyć sobie wyrazisty obraz tego źródła, z którego wypływa socyalizm.

Znamy źródło, a teraz zobaczmy grunt, z którego ono wytryska.

„Państwo nowożytne—mówi A. Menger—uważają za najważniejsze zadanie utrzymać władzę panującego. Stąd ژه w wszystkich państwach większa część dochodów obracana bywa na opłatę wojska i floty, i na oprocentowanie długów wojennych. Podobnież na straży władzy i praw klas panujących stoi administracya i sądownictwo. Zadaniem ich jest przestrzeganie porządku prawnego pomiędzy samemi klasami posiadającemi, a zwiła-

szcza wobec klas wydziedziczonych. A ponieważ dyplomacya, wojsko, flota, sądownictwo i administracya prawie absolutnie pochłaniają uwagę państwa nowożytnego, więc gospodarcza działalność państwa nie posiada wielkiego znaczenia.”

Ponieważ „bezpieczeństwo życia, mienia i zdrowia, czyli: ochrona bytu indywidualnego, tudzież rozmnażania się gatunku, dla każdej jednostki stanowią najważniejsze cele życiowe”—więc—„powinny być uważane jako pierwszorzędny cel wszelkiej działalności państwowej.” Tymczasem w państwach indywidualistycznych i militarnych czyli—dzisiejszych, przeważa pogląd, że owe powyżej wymienione cele życiowe są prywatną sprawą jednostek, dobrem zaś publicznem nazywają się interesy nielicznych, panujących klas społecznych.

Wniosek jasny. Ponieważ dzisiejsze państwo nie zajmuje się „najważniejszymi sprawami życiowymi czyli: pomyślnością jednostek i gatunku” i tym sposobem przyczynia się do ekonomicznego nieładu, a razem z nim do rozmnożenia się: nędzy, ciemnoty, demoralizacyi, więc to „indywidualistyczne państwo siły” musi upaść i być zastąpionem przez „ludowe państwo pracy” uczy Menger. Zaś Kautsky dodaje:

„Demokraci społeczni chcą, ażeby klasy pracujące zdobyły władzę polityczną w tym celu, aby za jej pomocą, przekształcić państwo dzisiejsze—na wielką, wystarczającą sobie wspólnotę.”

Jakże wyglądać będzie owa „wspólnota” Kautskyego czy „ludowe państwo pracy” Mengera?

„Nie ma nic śmiesznierzego—mówi Kuutsky, jak wymagać, abyśmy nakreślili obraz państwa przyszłości, do którego dążymy... Nigdy jeszcze w dziejach nie zdarzyło się, by można było dokładnie określić, jakie formy przybierze nowe społeczeństwo. A wiele już uczyni się do sprawy postępu, jeśli można będzie wskazać choćby tylko—ogólną tendencyę społeczeństwa w tym kierunku.”

Ową „tendencyę”, ową dążność socyalizmu spróbuję przedstawić w kilku słowach: Fundamentem „wspólnoty” ma być ten fakt, że: wszystkie wielkie środki produkcyi nie będą własnością osób prywatnych, lecz własnością państwa. A jak dziś fortece, okręty wojenne, fabryki materiałów wybuchowych, niektóre koleje żelazne, pocztę, telegrafy, niektóre lasy i majątki ziemskie już są własnością państwa, tak w owej „wspólnocie” wszel-

Trawestacya z obrazu Biegasa

Z. Badowski





KONIE TRAMWAJOWE

TADEUSZ BYLEWSKI

ka ziemia, wszelkie fabryki, kopalnie, banki, domy, środki przewozowe—wszystko to stanie się własnością całego narodu.

Nie będzie zatem właścicieli majątków ziemskich, lecz tylko dzierżawcy, nie będzie właścicieli domów, tylko lokatorowie i administratorzy; nie będzie właścicieli fabryk kopalni, banków, dróg żelaznych tylko dyrektorowie, urzędnicy i oficjale. Dzięki czemu cały olbrzymi dochód dzisiejszych „właścicieli”, należałby do społeczeństwa, może posłużyć do płacenia podatków. A że i armie mają być, jeżeli nie zniesione całkiem, to przynajmniej bardzo zredukowane, więc nawet nie domyślamy się jak potężnie rozwinąłby się ogólny dobrobyt, oświata, zdrowotność, wygody i przyjemności życiowe.

Cudowny obraz!... niebo na ziemi!... Cóż wiek dużo dałby, ażeby choć rok pomieszkać wśród tego rodzaju warunków... Na nieszczęście, ja przynajmniej, nie widzę dziś najmniejszej możliwości do utworzenia tego raju.

I nie tylko ja tak myślę. „Dopóki w pierwszej linii nie zmieni się indywidualność ludzi—mówi W. Sombart—żadna siła ziemską, żadne stronnictwo, chociażby najbardziej rewolucyjne, nie zdoła zmusić rodu ludzkiego do przyjęcia nowego społecznego ustroju. Cdy zaś wytworzą się odpowiednie warunki, ha—wówczas zobaczymy.”

Pomimo bardzo odległe widoki urzeczywistnienia się „państwa przyszłości”, powróćmy jeszcze do niego. Przeciwnicy jego obawiają się przede wszystkim, że państwo to będzie surowem i despotycznym i że do góry nogami przewróci wszystkie nasze wierzenia, zwyczaje, obowiązki...

Tymczasem Menger kreśli takie zasady ogólne:

„Ludowe państwo pracy, stawszy się panem siły politycznej, powinno unikać praw surowych i okrutnych a posługiwać się do osiągania swych celów środkami mniej bezpośrednimi, choćby nawet o całe stulecie miało to opóźnić ostateczny tryumf socjalizmu...” „Zaprowadzeniu ludowego państwa pracy w drodze rewolucyjnej sprzeciwiają się nie tylko względy sprawiedliwości, lecz raczej ten wzgląd przeważny, że droga ta nie odpowiada celowi, a nawet jest wprost niemożliwa...” „Rozsądny rząd socjalistyczny nie potrzebuje przy za-

prowadzaniu ludowego państwa pracy oddalać się zbyt daleko od dotychczasowych tradycji, ani pod względem form prawnych, ani też pod względem środków przeprowadzania...”

„Pod tym względem mogą socjaliści mieć wzór służyć chrześcijanie pierwszych wieków, którzy nie robili żadnych rewolucji, ale przez rozwój i rozkrzewianie swej nauki, oraz przez niezachwianą stałość swej wiary, zdobyli stopniowo, pośród największych niebezpieczeństw, taką siłę, że ugać musiał się przed nimi nawet pryncypat rzymski.”

Dzieło A. Mengera („Nowa nauka o państwie”) kończy się niesłychanie ciekawą uwagą.

„Tylko obrońcy arystokratycznego państwa militarne mogą uważać dzisiejszą demokrację socjalną za partię rewolucyjną. Przeciwnie, przedstawia się ona jako silnie nachylająca się w lewo partya środkowa, poza którą rozpościera się anarchizm, właściwa dziedzina nieprzejednanej rewolucji. W razie zwycięskiej rewolucji socjalnej pomiędzy demokracją socjalną i anarchizmem musi wytworzyć się podobny stosunek, jaki powstał pomiędzy Żyrodystami a Terorystami wielkiej francuskiej rewolucji. Przywódcy Żyrodystów nie tylko stracili życie, ale, co jest daleko ważniejszym, ich zasady federalistyczne zostały na nieokreślony czas wyparte z publicznego życia Francji.”

Tak więc „państwo przyszłości”—„ludowe państwo pracy”, które zamiast dzisiejszego ucisku, nędzy i niesprawiedliwości ma na tej ziemi stworzyć ogólną pomyślność, tolerancję, sprawiedliwość i spokój, nie urodzi się z rewolucyjnych wstrząśnień i przewrotów. A przecież dzisiejszy socjalizm, to „walka klas”. „Nie jest to walka o drobne korzyści ekonomiczne,—mówi Kautsky—o podwyższenie płacy, o zmniejszenie liczby pozbawionych pracy; cele te mają również znaczenie, lecz w gruncie rzeczy toczy się tu walka o życie.”

„Ruch społeczny — mówi Menger — jest to walka wyższych i niższych klas ludu o władzę w państwie i w społeczeństwie.”

A Sombart dodaje: „Najstraszniejszym wyrazem dla wszystkich filistrów obojga płci jest walka klasowa”, która, według ich opinii—„zagroza całej kulturze, wszystkim doniosłym zdobycsom rodu ludzkiego”.

Lecz—przede wszystkim pozbadźmy się urojeń, jakoby „walka klasowa” była równoznaczna z wojną domową i materiałami wybuchowymi, sztyletem i barykadami. Przejawy walki klasowej są bardzo rozmaite. Każde stowarzyszenie zawodowe, każdy wybór socjalisty, każdy strajk jest tym przejawem. Według mnie do walki społecznej można zastosować słowa, że: „jest ona rodzajem wszelkich rzeczy”. Walka jedynie jest zdolna podnieść masy ludowe do poziomu człowieczeństwa; wszystko co z kultury przedostało się do mas ludowych, przesiąknięte dzięki walce...”

Taka jednakże twórcza, uszlachetniająca walka—mówi galej Sombart—musi odpowiadać dwóm warunkom. „Po pierwsze—musi być prowadzona prawnie. Walczmy więc w imię prawa przeciw temu, co poczytujemy za bezprawie na zasadzie istniejącego prawa...” „Powtóre—walka społeczna nie może być walką zniszczenia, powinna być prowadzona środkami szlachetnymi a nie zatrutymi strzałami... Temu kto z motywów zasadniczych stoi na stanowisku walki, kto znając dzieje widzi w walce ośrodek wszystkich zjawisk, temu z łatwością przyjdzie prowadzić walkę szlachetnie, szanować w przeciwniku człowieka i przypisywać mu te same, co i sobie pobudki.”

Więc tak wygląda socjalizm?... zapytuje zdumiony czytelnik... No, przecież widzi pan cytaty. Więc socjalizm nie domaga się krwawych rewolucji, przymusów, bomb, Browningów, rozpędzania przedwyborczych zgromadzeń?... Tak twierdzą poważni autorowie. A więc czemuż jest to, co się u nas dzieje, nad czym obecnie załamujemy ręce? Czy ja wiem, czym to jest, chyba tem, co ciągle i aż do znudzenia powtarzam: jest to choroba społeczna. wywołana przez 40-letnią gospodarkę biurokratyczną.

Istnieje przecież socjalizm w Niemczech, posiada miliony wyznawców a jednak uważają go tam nie za czynnik wyrotu, lecz spokoju i ładul..

Ale dosyć na dzisiaj, chodź, jak widzi czytelnik, o rzeczach tych możnaby nawet dla młodych panienek pisać tomy...







PLAC ZYGMUNTA (ZAMKOWY) w r. 1863



PLAC RATUSZOWY w r. 1863

STAN WOJENNY W WARSZAWIE.

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

I znowu przeżyliśmy nielada wzruszenie, no!.. Chroniczni wiecownicy struchleli, w kandydatach na posłów dech zamarł, a mówcy, zarówno ci, z Bożej łaski, jak i tamci, z woli narodu, wobec grożącej niemożności „wypowiedzenia się“, byli gotowi... zdecydować się na wszystko...

Cóż się stało?... A... stała się rzecz okropna, gorsza od drugiej edycji pruskiego najazdu. Jakaś agencja telegraficzna, zdaje się, że i tym razem Bathora, rozpuściła pogłoskę, że... wybory do parlamentu w Królestwie Polskiem wstrzymane!

Jaki się po tem zrobił ruch!... Jak stronnicy wyborów oniemieli, jak pesymiści, z uśmiechem zacierając ręce, powtarzali: a co czy nie mówiłem?... a jak cieszyli się socjaliści, że nie tylko stało się to, czego oni pragnęli! ale że w dodatku rząd kopnął „czarną sotnię“!...

— Dobrze wam tak!... nie trzeba było aporować za pierwszym gwizdnięciem!...

Zupełnie to samo mówili dziś socjaliści do narodowych-demokratów, co „wszechpolacy“ przez kilka lat wypowiadali „ugodowcom“...

Mój Boże, jak często zmieniają się role na tym świecie!

No, ale co tam... zgoda dzieci!... Wybory nie odwołane, będziemy zatem mogli urządzić jeszcze kilkanaście więcej i mniej demokratycznych wieców, wygadamy się do syta, wybierzemy prawyborców, potem wyborców, naatępnie rzeczywistych posłów, którzy znowu w imieniu was wszystkich, będą mogli—wygadać się w Petersburgu.

Małe prorocstwo. Zaprawdę, zaprawdę, powiem wam, jakim sposobem będziecie mogli poznać: czy J. E. hr. Witte chce w Rosyi zaszcześcić, czy... obrzydzić parlamentaryzm? Oto, jeżeli ustawa sejmowa pozwoli każdemu z wysokich posłów gadać do ostatniej śliny, gadać do zaśniecia najwytrwalszego słuchacza, gadać do zemdlenia najsilniejszego ministra, słowem—gadać tak długo, dopóki wystarczy czasu na petersburskich zegarach, wówczas będziecie mieli dowód, że rząd chce nie tylko obmierzić urządzenie parlamentarne, ale i zmusić ludność, ażeby na klęczkach błagała powrót do nieograniczonych rządów biurokratycznych.

Dopiero zaś wtedy uwierzcie, że hr.

Witte chce swobody osobistej, swobody słowa, zerań, stowarzyszeń, a nadewszystko sejmu, jeżeli wyda takie prawo, na mocy którego, poseł przemawiający dłużej niż pół godziny, skazany zostanie na śmierć bez sądu i powieszony w sali sejmowej, na haku specjalnie do tego przeznaczonym, a do sufitu przymocowanym. I niech zbrodniarz wisi tam dopóty, dopóki następujący mówca nie zakończy swojej oracyi.

Po tem jednym rozporządzeniu poznać, czy Rosya doczeka się, czy nie doczeka wolności.

Wracam do kwestyi głównej. Wobec pogłoski o odłożeniu wyborów, wielka trwoga zapanała między politykami. Szczęściem Opatrzność uchroniła nas od rozpaczliwych dzielnych mężów. Ale ponieważ na tym padole człowiek nigdy nie może być wolnym od troski, więc pozbywszy się nowej, znowu wróciliśmy do starych i znowu martwimy się z trzech następujących powodów:

1-mo. Czy naród Królestwa Polskiego zdoła się na 36-ju „wielkich mówców“; tylko bowiem „mówcy“ mogą reprezentować godnie interesu kraju i czuwać nad jego potrzebami.

2-do. Co mają robić wzmiankowani „wielcy mówcy“ jeżeli Duma odrzuca, na najpierwszej se-

syi, nie przyzna nam jak najszerszej autonomii, z osobnem wojskiem, chociażby złożonem z „prawdziwych Rosyan“ byle w konfederatkach i jeżeli nie uzna naszych odwiecznych i nieprzedawnionych praw do zamazywania rosyjskich napisów na szyldach? Sprawozdania i afisze, chociażby jak najmniej urzędowe, mogą i nadal i na wieki wieków być drukowane w dwu językach: taki bowiem porządek, aczkolwiek bardzo kosztowny, wpływa jednakże na rozwój papiernictwa i sztuki drukarskiej. Ale szyldy—muszą być zamazane i to w sposób konstytucyjny, autonomiczny i narodowo-demokratyczny.

3-io. Jakim cudem możnaby wpłynąć na tyle razy wymienionych „wielkich mówców“ i posłów, ażeby, zasiadając w Petersburskiej Dumie jako jej wybrani i zaprzysiężeni członkowie, ażeby wcale, ale to wcale a wcale nie zajmowali się... sprawami dotyczącymi Rosyi? Interesujemy się tylko tem, co zachodzi między prośną a Bugiem, zaś Wilje, Nieumy i Dniepry nie obchodzą nas nic, ale to nic, a już o Moskwie, Wołdze i Angarze, choćby tam setki tysięcy, a może i miliony Polaków marniały wśród nieprzychylnego otoczenia, ani nawet słyszyć chcemy.

Takie konstytucyjne i autonomiczne zachowywanie się będzie zgodne nie tylko z naszymi narodowo-demokratycznymi interesami i polityką, ale nawet ze sztuką dyplomatyczną, czy ze sztukami dyplomatycznymi. Sam bowiem J. E. hr. Witte, gromiąc Żydów za zbyt gorliwe zajmowanie się interesami Rosyi, nas Polaków i Finlandczyków stawiał za wzór takich, którzy nie zajmują się Rosyą, choćby znaleźli w niej sprzymierzeńców i przyjaciół.

Co do 1-go. Ziomkowie!... rodacy!... bracia!.. narodowcy i demokraci!... Jeżeli wam miły Bóg i Ojczyzna, jeżeli nie chcecie tej naszej ukochanej Matki na wieki wieków zamknąć w więzieniu czy grobie, to przestańcie raz wierzyć, że na tym świecie w ogóle a w polityce w szczególności czyni się coś zapomocą mów, chociażby najpłynniejszych, najtkliwszych, najgorętszych najbardziej porywających i najpiękniej wydeklamowanych.

Tak najmilsi! Gdybyście wskrzesili Demostenesa i Cicerona, Mirbeau i Gam-



PLAC SASKI z r. 1863

STAN WOJENNY W WARSZAWIE



Obecnost, nie pomaga
wzrostowi, nie pomaga

betę i gdyby ci wszyscy „najwięksi mówcy“ objęli świat i wypowiadali najwspanialsze mowy na temat: zmniejszenia armii, zniżenia podatków, ograniczenia dochodów ludzi bogatych, ograniczenia praw dziedzictwa lub czegoś w tym rodzaju, to słuchacze ich mogą zapłakać się, mogą sobie podybać ręce od oklasków, lecz ani jednej z zalecanych reform nie wykonają.

To jest... przepraszam... Na redukcję armii zgodzi się Szwajcarya i Stany Zjednoczone, na zniżenie podatków — kontrybucji, na ograniczenie dziedzictwa — biedacy... Ale np. Niemcy nie zredukują sił wojskowych, Francja nie zniży podatków, a rozmaici Rotszyldowie i im podobni — nie zgadzają się na żadne prawo przeciw dziedzictwu, choćby Demostenes, Bycero, Mirabeau i Gambetta mówili kbdy po cztery godziny, nawet w przyćmionej sali a choćby i z towarzyszeniem doskonałego kwartetu.

W polityce bowiem, jak zresztą we wszystkich zjawiskach tego mizernego świata, decydującą rolę nie grają mowy i wymowa, ale — siły, nie deklamacje, tylko interesy, nie brmiący głos lecz związki interesów, nie poezja wreszcie tylko — chłodny rozum ogarniający najrozmaitsze kombinacje i najodleglejsze wypadki. W 1870-tym Francja miała nieshończenie lepszych mówców aniżeli Niemcy i — pomoc to — zapłacił im pięć miliardów kontrybucji.

Usłyszawczy taką cyfrę J. Favre zawołał patetycznie do Bismarcka:

— Panie od narodzenia Chrystusa nie upłynęło tyle sekund, ile nam każesz pan płacić franków...

— Niech się pan uspokoi — odparł Bismarck — pan Mendelsohn, który pośredniczy w tym interesie, rachuje czas nie od Chrystusa, ale od Stworzenia Świata.

Znać dokładnie potrzeby kraju, obmyślać prawa, któreby ułatwiały zaspokojenie tych potrzeb a nie przeszkadzały sobie nawzajem, a wreszcie — przeprowadzać uchwały tych praw zapomocą rozmaitych parlamentarnych kombinacji, oto rola pośła. Piękne zaś mowy są tylko przyjemnym dodatkiem, bez którego doskonale można się obcho-dzić, gdy trzeba.

A zatem — panowie posłowie!... mówcie jak jaknajmniej, ale za to — znajcie się na interesach jak najbardziej a oddacie nam więcej usług, aniżeli gdybyście w sztuce długiego mówienia prześcignęli wszystkich Demostenesów et Comp.

Co do 2-go punktu czyli autonomii: Autonomia jest to przywilej, na mocy którego oddzielne prowincje Państwa mogą rządzić się zapomocą własnych urzędników a nawet wydawać pewne prawa, na swój wyłącznie użytek. Autonomia nie nie szkodzi ani potędze ani pomyślności Państwa. Niemcy składają się z królestw, księstw, nawet republik zwanych wolnymi miastami i — pomimo to, to, czy może dla tego, są potężniejsza od Francji, słynącej z centralistycznych urządzeń. Zaś Stany Zjednoczone, z których każdy ma więcej autonomii aniżeli królestwa i ksiąztwa niemieckie, są potężniejsze, bogatsze, szczęśliwsze, więcej szanowane i mają lepszą przyszłość, aniżeli Niemcy.

Nieszczęściem Rosyi jest jej chorobliwa centralizacja, więc musi nadejść czas, że wszystkie ludy w skład tego Państwa wchodzące pozyskają autonomię i my też pozyskać ją musimy.

Gdyby Duma składała się z takich polityków jak Rodiczew, ks. Trubecki i im podobni, my Polacy, może istotnie na pierwszej sesji otrzymalibyśmy autonomię. Na nieszczęście w parlamencie rosyjskim, oboję Rodiczewów i Trubeckich znajdują się jeszcze ojcowie Suworyni, Pichnowie, Gringmuty a może nawet Apuchtiny i Murawiewy. W tych więc warunkach nie dostaniemy autonomii w prezencie ale musimy ją ciężką pracą wykopać, wyciosać, wyrzeźbić i wyczelować. Będzie to zatem coś nieprzyjemnego, niecierpiącego, dener-

wującego; ja jednak wolałbym ją, aniżeli prezent, który można dziś dać, a jutro cofnąć, jak to już widywaliśmy w naszej historii.

Nie przeklinajmy więc posłów, gdyby nie przywieźli nam autonomii „na wakacje“, ale pilnujmy ich, ażeby nam co roku wykopywali jakąś swobodę, jakąś pożyteczną reformę, a całość — sama się złoży.

Zresztą powiem coś, ale w sekrecie, ażeby nie usłyszał który z „prawdziwych Rosyan“... Mojem zdaniem, my mamy do zdobycia nie tylko autonomię: my musimy zdobyć coś bez porównania ważniejszego. Oto — wydatne stanowisko w Państwie rosyjskiem a przez nie — jakieś znaczenie w Europie i w cywilizacji... My musimy dość do takiej powagi i do takiej roli, ażeby nasz biedny wyrobnik nie posrzebował shodzić na zarobki do Niemiec zżąd dzisiaj przepędzają go jak psa!... My musimy zacząć co dla świata...

W tych zwierzeniach mieści się początek odpowiedzi na kwestję 3-ią: „ażeby nasi posłowie — wcale — nie interesowali się sprawami rosyjskimi“...

Czy myśmy w głowę zaszli, czy nas Pan Bóg odstąpił, że podobne projekta mogą być u nas poważnie traktowane?... Niedorzeczności tej nie będę roztrząsał zbyt obszernie, i tylko ograniczę się na wskazaniu najwydatniejszych punktów kwestyi: dla czego musimy przyjmować współudział w sprawach dotyczących nie tylko nas, ale i całej Rosyi. A oto motywy:

Tradycja. Chwalimy się, że ojcowie, dziadowie i pradziadowie nasi zawsze ile razy zdarzyła się okazja, biegli walczyć za wolność, choćby na drugiej półkuli. Jakże bżmy więc wyglądali my, ich synowie i wnuki, nie pomagając w walce o wolność naszemu nie tylko najbliższemu sąsiadowi ale i współnikowi?

Polityka. Jedną z fundamentalnych zasad polityki stanowią aforyzmy łacińskie: „daj, to i ja ci dam“, „zrób, to i ja ci zrobię“ — i t. p. Chcąc dla siebie wywalczyć swobody, musimy szukać poparcia, jeżeli nie damy im w zamian naszego do czego przecież niezbędnem jest zajmowanie się sprawami rosyjskimi przez nas samych.

Rozsądek. Powyższe zasady polityczne, wspiera nasz prosty, chłopski rozsądek, w formie przyszłów: „bez pracy, nie będzie kołacy“ — „pieczone gołąbki same nie wpadną do gąbki“ — „pomagaj sobie a Bóg ci pomoże“ i t. d. Jeżeli zaś chcemy, ażeby inni pracowali dla nas, musimy i sami pracować dla nich, to darmo!

Względ *praktyczny.* Posłów naszych wzywają do Dumy niby lekarzy do łóżka chorego; chorym jest Rosya. Coby zaś powiedziano, a lepiejczy nie wyrzucenoby za drzwi takiego medycynera, który, wzięwszy honorarium i przyjechawszy do pacjenta, powiedziałby w czasie konsylium:

— Co mi tam wasz robaczywy chory!... niech on mnie... zostawi w spokoju...

Nareszcie względ *etyczny.* Francja z Niemcami utrzymuje stosunki bardzo chłodne; mimo to gdy w kopalniach Courrières zdarzył się straszny pożar, górnicy niemieccy, notabene zaopatrzeni w najdoskonalsze narzędzia i stosownie wysztrowani, przyjechali na pomoc i, bez żadnych mów, deklamacji i t. p. dzieciństw, zabrali się do ratunku z narażeniem życia. Według mego sądu to bohaterstwo Niemców należy do najpiękniejszych w historii i w taki też sposób czyn ich ocenia cały świat, oceniają sami Francuzi.

Jeżeli zatem Niemcy umieli dla względów ludzkości odłożyć na bok swój szowinizm i niechęć do „dziedzicznego wroga“, jakżebyśmy wyglądali my, Polacy, nie pomagając w tak ważnych, jak dzisiejsze, okolicznościach ojczyźnie Rodiczewów, Trubeckich, a dalej Tolstojów, Rylejewów i t. d.?

Sens moralny: albo nie wybierajmy posłów do petersburskiej Dumy, albo wybrawszy, nakażmy

im, ażeby do współki z najszlachetniejszymi Rosyanami pracowali dla wolności i cywilizacji rosyjskiego narodu.

Nie mówię o jakimś poświęceniu interesów np. Warszawy dla Moskwy, albo Krakowskiego czy Podlasia dla gubernii Jarosławskiej lub Nowogrodzkiej. Ależ obok spraw miejscowych istnieją dążenia wszechludzkie, w których możemy być najlepszymi sprzymierzeńcami Rosyan.

Ten rozległy traktat o nędzach politycznych zakończmy choćby krótką wzmianką o nędzy życia codziennego.

Wspomnieliśmy francuskich górników, zasypanych w kopalni... Straszny ich los a błogostawione ręce, które niosą im pomoc! Komu jednak przyszłoby na myśl, że każde społeczeństwo, codzień i ciągle, posiada tego rodzaju ofiary a są nimi ubodzy chorzy. Biedak, dopóki pracuje, jeszcze posiada łyżkę strawy i kawałek sufitu nad głową; lecz gdy powali go choroba, w jednej chwili staje się jak ów górnik zasypany pod ziemią, jeżeli miłosierdzie nie pośpieszy mu z ratunkiem.

Jedną z takich ratowniczych instytucji jest towarzystwo dla „Ubogich matek i ich dzieci“ Oto jego działalność. Do domu przy ul. Hożej Nr 70 zgłasza się kobieta, mająca zostać matką, czasem niezamężna. Jeżeli, na jej szczęście znajdzie się wolne miejsce — jest ocalona. Dostaje wygodne łóżko, czystą bieliznę, kąpiel, żywność i wszelkiego rodzaju pomoc lekarską. Przyszły obywatel otrzymuje wyprawkę i, razem z matką, przebywa w zakładzie od 10 dni do miesiąca.

Potem, jeżeli matka może go karmić, dostaje od instytucji trzy ruble na miesiąc; w razie przeciwnym Zakład wysyła dziecko najwięz, gdzie znowu płaci za niego trzy ruble miesięcznie jakiejś upatrzonej opiekunce, nad którą czuwa miejscowy proboszcz i inspektorka z ramienia Zakładu.

W taki sposób instytucja przygarnia co roku około 400 położnic i wychowuje na wsi około 40 lub 50 dzieci. Za mało w stosunku do potrzeb Warszawy!... — zawoła czytelnik. — Za dużo... w stosunku do posiadanych środków! — odpowiada Zakład.

Instytucja utrzymuje się naturalnie z ofiar. Głośnie były przed laty bale na „Ubogie matki“, które przynosiły Zakładowi 4,000 do 5,000 rubli tudzież „wenty“, dające około 1,300 rubli. Dziś jednak, skutkiem wstrząśnień społecznych, oba te źródła wyschły i, jeżeli nie zbiorą się jakieś większe fundusze, Zakład dla „Ubogich matek i ich dzieci“ od 1-go kwietnia zostanie zamknięty.

W tak ciężkiem położeniu, protektorki instytucji zwracają się do pomocy publicznej. Dotychczas bywaliśmy miłośnierni przez bale i wenty, dziś bądźmi litościwi bez balu i bez „wenty“. Dotychczas, ażeby dać zskładowi 3 ruble, wydaliśmy kilka, kilkanaście, może kilkadziesiąt i kilkadziesiąt na stroje; dziś spróbujmy ofiarować dobroczynną trzyrublowką bez balowych dodatków. A nuż pokaże się, że 5,000 rubli zekrane w ten sposób, przyniosą akurat taki sam pożytek, jak owe 5,000 które trzeba było uzupełnić — szyciem, prasowaniem, rukowaniem a nareszcie i pełnem miłości bliźniego — tańcowaniem?

Główną protektorką Zakładu jest pnni Konstantowa Górską, głównym choć ukrytym dobrodziejem, hr. Wł. Branicki, lekarzem dr. Tyrchowski. Oto nazwiska dające rękojmię, że z ofiarności publicznej nic się nie zmarnuje. Ci zaś, którzy pragnęliby pomóc tej kategorii nazzych zasypanych biedaków, mogą składać swoje trzy rublówki w Zakładzie na ul. Hożej Nr 70 a choćby w naszej zresztą i w każdej innej redakcji.

Miło mi przy sposobności zaznaczyć, że — ledwie napisałem niejsze wezwanie, zaraz jeden z naszych milionerów nadesłał nam na powyższy cel trzy ruble. Głos prasy jeszcze nie stracił znaczenia w społeczeństwie jak mówi jeden z poważniejszych dzienników.



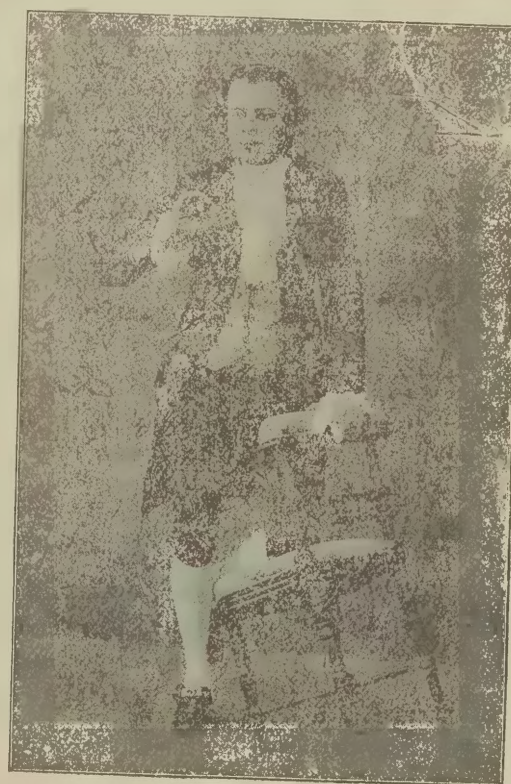
TYPY Z NAJNOWSZEJ KOMEDYI A. NOWACZYŃSKIEGO „STAROŚCIC UKARANY”, PRZEDSTAWIONEJ NA SCENIE TEATRU KRAKOWSKIEGO.



Sylvia Szolc, née de Tepper, jedna z sawantek i żon modnych (p. Sulima).



Miecznikowa Idalia Borzęcka w rannym dezabilu (p. Solska).



Starościc Tomasz Kajetan Węgierski (p. Tarasiewicz), opowiada o „Warszawie tańczącej”.

I rzeczywiście wynalazł całą ławkę w damskim przedziale.

Rozmowa na dłuższy czas się urwała. Oba serca zdawały się pilnie liczyć stracone w przeszłość niepowrotne sekundy.

— Przypomina mi się — zaczął Orski, patrząc ze współczuciem w jej płochliwe oczy — nasze wystawianie przed bramą, gadałszy wtenczas, jak najęci, może dlatego, że znajdowaliśmy się na jednym poziomie, a teraz wy wyżej na platformie, a ja niziutko na peronie — próbował żartować.

— Był zawsze temat — odparła z prostotą i posmutniała.

— Dlaczegoż teraz niema?

Jaskółce drgnęły wargi żałośnie.

— Czy my się kiedy spotkamy? — westchnęła, ujmując go tklawie nieśmiałym wejściem.

— Z pewnością — rzekł Orski — wzruszony powabem jej wzroku, w którym po raz pierwszy schwytał rzewny czar i urok dziewczyny. A choćby nie, to będziemy szli zawsze równolegle — dodał z mocą.

— Tak, zawsze — potwierdziła Jaskółka, i twarz jej zajaśniała szybkim płomieniem.

Pociąg ruszył.

— Pomyślnej podróży!

— A was niech Bóg... ja całym sercem...

Nie dosłyszał reszty.

Jaskółka chybnęła się.

Równoległe nie krzyżują się nigdy — wio-

nęła na nią chłodem prędką myśl, cofnęła się, jak szarpnięta.

Orski machinalnie zawrócił i włókł się zadumany, fiksując świetliste kwadraty okien toczących się wagonów.

Raptem przystanął. W jednym z ostatnich widział z profilu twarz Bassina. Łysa jego czaszka, zaostrome, żółte rysy i oczy przymknięte nadawały całej głowie pozór trupiej martwoty.

— Gdzie ten znów jedzie? — pomyślał i przeciągnął ciężką ręką po czole, jak człowiek, trawiony gorączką, który słyszy i widzi, ale nie rozumie, co się dzieje właściwie, i, choć się zastanawia, nic nie wie.

(DCN)

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W sobotę, 24-go marca, około dziewiętej wieczór — czas był psi... Powietrze, niby gąbkę, nasyciła zimna wilgoć, z pod kół dorożkarskich przyskało zimne błoto, a z nieba na ziemię lał zimny deszcz, pomieszany z mokrym śniegiem. Tylko ludzie bardzo zmuszeni do opuszczenia domu albo... złodzieje — w taki podły czas mogli wałęsać się po ulicach.

To też niemało zdziwiłem się, spostrzegłszy przy blasku latarni znajomego staruszka, który biegł bez parasola, skulony, przemokły, lecz uśmiechnięty.

— Co pan tu robi?... — zawołałem. — Zdawało mi się, że pod takim chłodnym deszczem tylko waryat może się uśmiechać. — Co pan tu robi?...

— Wracam ze szkoły pana Zydlera... z lekcji rachunku różniczkowego!... Wykłada pan Zy-

gmunt Straszewicz, wcale dobrze, choć to dopiero pierwsza lekcja...

Przetarłem oczy i jeszcze lepiej zastąpiłem się parasolem. Mój staruszek stanowczo zwariował!...

— Jakto, i na taki deszcz wyszedł pan z domu?...

— Powtarzam panu — warknął staruszek, a po twarzy spływały mu zimne krople deszczu — powtarzam panu, że to była... uważa pan... to była pierwsza, od lat trzydziestu kilku, lekcja rachunku różniczkowego w Warszawie i w języku polskim.

— Stanowczo ma bzika!... — pomyślałem, a głośno rzekłem:

— Możebyśmy weszli gdzie pod dach...

— Owszem — odparł — mam właśnie chęć na szklankę herbaty...

Weszliśmy do cukierni... Spojrzałem przy nieco lepszym oświetleniu... Może on i nie wariował?... W każdym razie ten majowy humor przy tak listopadowej pogodzie nie oznacza nic dobrego...

Kiedy podano herbatę, a staruszek całkiem przytomnie włożył cukier i zamieszał łyżeczką, zacząłem przypuszczać, że może on i jest trochę przy zdrowych zmysłach. A w takim razie mam do czynienia z jakimś niezwykłym zjawiskiem.

— Przepraszam pana... — zacząłem jak najgrzeczniej i najśłodziej. — Więc zadowolenie pańskie...

Staruszek spojrzał nieco obrażony.

— Pana ciągle dziwi moje zadowolenie?... —



spytali. — Ileż razy jeszcze będę panu musiał powtórzyć, że: przed kwadranssem byłem na pierwszej lekcji rachunku różniczkowego, wykładanej po polsku... Mówię wyraźnie czy nie wyraźnie?... —

— Najzupełniej wyraźnie — odpowiedziałem — i już niczemu nie będę się dziwił, jeżeli tylko zechce mi pan wyjaśnić: co to jest rachunek różniczkowy, którym straszy mnie pan od kilku minut, i dlaczego jest pan taki kontent?... —

— Aha!... aha!... — śmiał się starszek. — Szło dwóch do Emaus; więc w pierwszej części zastanowimy się nad tem: ilu ich było? a w drugiej, dokąd szli?... Bardzo do brze!...

Naśmiewszy się z mojej zakłopotanej miny, zaczął:

— Uważa pan, było to około roku 1860-go... Zdaje mi się, że w owej epoce jeszcze nie włożył się pan po cukierniach?... —

— Ale mój ojciec był już w drugiej klasie... — wtrąciłem.

— Otóż to... Ja wówczas byłem w czwartej klasie i znałem pewnego poczciewca, który pożyczał mi książkę do czytania. Dawał mi Krasickiego, Pola, nawet Mickiewicza... —

Pewnego razu gdzieś w kącie jego szafy spozregłem grubą książkę na bibulastym papierze i machinalnie otworzyłem ją... W tekście zobaczyłem jakieś dziwne znaki, a na końcu dzieła, na osobnych arkuszach, bardzo ładne figury, oczywiście, geometryczne... W czwartej klasie uczono już nas geometrii i dobrze. Geometria — dodam w nawiasie — jest to nauka o mierzeniu wielkości i o kształtach. Ten stół okrągły i tamten kwadratowy i ów sztyldek trójkątny i jeszcze nieskończenie wiele innych kształtów, wszystko to należy do geometrii... —

— Czy i kształtne biusty?... — ośmieliłem się szepnąć.

— Zobaczywszy tedy ową książkę z figurami i dziwnymi znakami — ciągnął starszek — zapytałem mego dobrodziejca: co to jest?... na co mi odpowiedział:

— Przypatrz się temu z uwagą... Dawniej, przed rokiem 1830-tym, drukowano i czytywano u nas takie rzeczy... Ale dziś nikt już tego nie rozumie, nawet ja... —

Słowa te głęboko utkwily mi w pamięci. Nie pojmowałem, tylko czułem niejasno, że poza nim kryje się jakiś wielki dramat... „Dawniej czytano u nas takie rzeczy, ale dziś, nawet ja ich nie rozumiem...” On ich nie rozumie!... on, który, gdyby chciał, z pewnością całego Krasickiego, Pola i Mickiewicza wypowiedziałby na pamięć.

Upłynęło lat kilka, dla mnie bardzo ożywiających. Mój książkodawca umarł, a ja, już jako uczeń siódmej klasy, zaszedłszy pewnego razu do antykwaryusza, zobaczyłem u niego... ową dziwną książkę z tajemniczymi znakami i figurami!...

Przeczytałem tytuł... Był to polski przekład „Rachunku różniczkowego i całkowego” Lacroix... Naturalnie, kupiłem książkę i z niemałym trudem zacząłem ją sylabizować. Zaś w rok później byłem w Szkole Głównej i na własne uszy słyszałem polski wykład owej tajemniczej nauki, której po roku 1830-tym i około roku 1860-go nikt u nas jakoby nie rozumiał.

Pojąłem też dramat, wielki dramat, kryjący się poza owymi słowami: „nikt nie rozumiał!”... Oto, po roku 1830-tym wyższa nauka polska zmarła czy wpadła w letarg i dopiero ocuciła się w audytorjach Szkoły Głównej... —

A potem, około roku 1870-go, gdy Szkołę



Ks. Radziwiłł Panie Kochanku (p. Solski) ze swoim nieodstępnym adlatusem litewskim niedźwiedziem Rymkiem Nikuciem (p. Sosnowski). „Starszek ukarany”, komedia A. Nowaczyńskiego.

Główną zamknięto, nauka polska w Warszawie znowu wpadła w letarg czy omdlała i ocknęła się dopiero dziś, po 36-ciu latach... Ja zaś byłem tym szczęśliwym czy wybranym, że drugi raz esystowałem przy zmartwychwstaniu nauki polskiej w Warszawie... Raz za czasów Szkoły Głównej, we wspańiałym gmachu uniwersyteckim, w obszernym audytorium, a drugi raz dzisiaj, w skromnym pokoiku szkolnym na czwartym piętrze, gdzie nawet było mi ciasno siedzieć w ławkach dla młodych chłopców... —

A teraz — rzekł po chwili starszek — powiedz pan: mam, czy nie mam prawa być zadowolonym?... —

— No, jeżeli z tego pokoiku na czwartym piętrze... — szepnąłem.

— Chrystyanizm rodził się w katakumbach, więc i polskiej nauce nie zaszkodzi na początek skromna siedziba... — odparł.

— Przypuśćmy!... — rzekłem. — A teraz co się tyczy owego rachunku różniczkowego... —

— Na cóż on panu?... —

— Chciałbym kilka słów napisać do *Tygodnika Ilustrowanego*... —

— Fiut!... — gwizdnął starszek — chce pan napisać kilka słów do *Tygodnika* o rachunku różniczkowym?... A czy słyszał pan co o nim kiedy?... —

— Jak żyję, nie słyszałem... —

— Więc jakże pan będzie pisał, nie mając wyobrażenia o przedmiocie?... — zdziwił się starszek.

— O, proszę pana!... — zawołałem obrażony. — Literat, belletrysta, nie potrzebuje znać przedmiotu, jak szewc kopyto... On chwytą ideę ogólną, ożywia ją uczuciem, uszlachetnia patryotyzmem i przyobleka w szatę stylu... O, proszę!

— Ha, jeśli potrafi pan ożywić uczuciem i przyoblec w szatę stylu, to, o czem nie ma pan najbliższego pojęcia, to... mogę służyć. Ja stylistą nie jestem... —

Popił herbaty i zaczął:

— Wie pan, co znaczy kształt, forma?... Srebrny rubel ma formę kolistą, ćwiartka papieru — kwadratową, jajko — prawie eliptyczną, fala na wodzie ma kształt falisty a grajcarek — śrubowy... —

Otóż w naturze mnóstwo rzeczy ma formy stałe, określone: np. kryształy, liście drzew, kwiaty, owoce, zwierzęta, ludzie. Nadto, zaś mnóstwo zjawisk dokonują się w pewnych kształtach. Ziemia obiega słońce po elipsie, a księżyc obiega słońce po linii jakby grajcarkowatej. Wahadło zegara waha się po łuku koła najczęstiej, a niekiedy po linii zwanej cykloidą. Światło biegnie po

linii falistej. Krótko mówiąc: forma, kształt, jest jakby szkieletem całej natury, i dlatego dokładna znajomość form czyli kształtów pozwala człowiekowi odgadnąć wiele tajemnic natury. Potrafi pan to napisać w *Tygodniku*?... —

— Panie — odparłem — my w *Tygodniku* mamy p. Józefa Holewińskiego, który tak się zna na kształtach i takie piękne umie rysować kształty, że przed nim natura nie powinna mieć żadnych tajemnic... —

Starszek pomyślał i westchnął, pewnie zazdroszcząc p. Holewińskiemu jego zdolności do odkrywania formnych tajemnic natury. Ale mówił dalej:

— A wie pan, co znaczy wyraz — funkcyja?... —

— Wiem. Naprzykład jeden z moich znajomych pełni funkcyję krytyka teatralnego... —

Starszek znowu westchnął.

— Nie o to chodzi — rzekł. —

Funkcyja matematyczna jest to zdanie, które, w specjalnym języ-

ku, zwanym „formułą”, opisuje jakąś formę... Naprzykład: AX więcej BY , równa się C . Ta funkcyja oznacza kształt, zwany linią prostą... A znowu: X kwadrat więcej Y kwadrat, równa się R kwadrat... Taka formuła oznacza kształt zwany kołem.

Dalej... Jak gramatyka uczy przekształcać wyrazy i łączyć je w zdania, tak analiza matematyczna uczy przekształcać „funkcje” i łączyć je ze sobą dla odkrycia nowych prawd o formach.

— A rachunek różniczkowy?... — wtrąciłem...

— Do tego idziemy. Wie pan, że glina, marmur, żelazo, drzewo i wszystkie wogóle materiały składają się z cząsteczek i że, zbadawszy dokładnie cząsteczkę gliny albo żelaza albo drzewa, możemy już rozumieć cały pokład gliny, całą sztabę żelaza, całą belkę drewnianą. Otóż matematycy odkryli, że i „kształty” składają się z właściwych cząsteczek, które, gdy zbadamy dokładnie, możemy poznać, zrozumieć — cały kształt... Takie zaś „cząsteczki kształtów”, notabene dających się wyrazić funkcyjami matematycznymi, takie cząsteczki kształtów nazywają się — różniczkami... —

I otóż ma pan wiadomość do gazet, że: rachunek różniczkowy uczy odkrywać i badać owe „cząsteczki kształtów”, a rachunek całkowity uczy z owych cząsteczek, tworzyć zupełne kształty... A że pod postacią form kształtów, ukrywa się wiele tajemnic natury, więc rachunek różniczkowy i całkowity bardzo, ale to bardzo pomagają ludziom do głębokiego poznania natury. Zrozumiał pan?... —

— Niby niekoniecznie, ale... napiszę o tem... —

— Jak się panu podoba, będę jednak prosił o dodanie pewnej informacji. To, co powiedziałem o rachunku różniczkowym, jest tylko podobieństwem, analogią... Poeci np. mówią o kobietach: jest jak promień światła... jak róża... jak marzenie... Otóż, to, co powiedziałem panu o rachunku różniczkowym, jest tak podobne do niego, jak promień światła, róża i marzenie do kobiety.

— Słowem, symbolizm... —

— A tak, symbolizm... — odparł starszek. —

Na zakończenie zaś niech pan już bez symbolizmu powie, że Warszawa dobrze robi, biorąc się choć w bardzo szczupłej liczbie jednostek do nauk wyższych, wykładanych po polsku. I jeszcze powiedz pan, że byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy wzięli się do nauk i że niech Pan Bóg błogosławi tych, którzy do nauk zachęcają nas i pomagają... —

To powiedziałwszy, starszek postawił kołnierza paltota i cicho wysunął się na ulicę, na deszcz. Amator rachunków i nauk wyższych!...



Wiadomo, że „prawdziwi rosyjanie“ posiadają w Królestwie dosyć cenne przywileje. Pełnią władzę nad narodem, którego potrzeby a nawet charakter są im nieznane; ucza i oświecają ludność, której język jest dla nich nie tylko niezrozumiały, ale nawet wstrętny; rządzą społeczeństwem, czasami nie troszcząc się o ustawy, a za to wszystko mają nie tylko wysokie pensye i dodatki do pensyi, nie tylko monopol na wszelkie lepiej płatne posady, ale jeszcze korzystają ze skróconego terminu w uzyskiwaniu emerytur.

Zdawałoby się, że takie przywileje powinny wystarczyć ludziom zwykłym; na nieszczęście przysłówie francuskie twierdzi, że: „apetyt rośnie w miarę jedzenia“. Nie dziw, że naszym pieśczołom dotychczasowe przywileje wydały się niedostatecznymi. Zapragnęli użyć jeszcze jednego własnych posłów, nie pomyślawszy, że, gdyby wszyscy urzędnicy Państwa chcieli posiadać własnych posłów, wówczas należałoby wznieść dla nich chyba drugi parlament, może z lepszymi wygodami i z dodatkami do poselskich dyjet.

Więc naprawdę myślisz, niedobry czytelniku, że ci panowie pragną ozdabiać parlament swoją osobą tylko dla pobierania dyjet. Jeżeli tak myślisz, toś niewątpliwie polski intrygant. Ci panowie bowiem kwestję wejścia do parlamentu traktują nie z poziomego stanowiska dochodów, ale z wyniosłego szczytu idei...

Panowie ci złożyli w Petersburgu memoriał, który, między innemi, opiewa:

„Tylko poseł Rosyanin mógłby bezstronnie wyjaśnić Izbie Państwowej znaczenie miejscowych odrębności, które należy wziąć pod uwagę przy przebudowie instytucji krajowych na zasadach państwowości rosyjskiej. Tylko Rosyanin nie zatuszowałby, ale przeciwnie — jaskrawo odmalował ten straszny fakt, że pod względem ekonomicznym kraj polski już oddawna żyje kosztem rosyjskiego centrum, które pogrąża się w coraz większą biedę“...

Cudownie!... Z dwu bowiem ostatnich zdań taki możnaby wyprowadzić wniosek, że kraj polski jest pijawką, która wysysa Wielkorusyan.

My żyjemy kosztem rosyjskiego centrum... to naprawdę ciekawe odkrycie! Dowodzi ono, że ci szanowni panowie, którzy sami jedni mogliby udzielić Izbie Państwowej dokładnych i bezstronnych informacji, albo świadomie przeinaczają fakty, albo jak najdokładniej, jak najbezstronniej... nie wiedzą ani o tem, co się dzieje u nas, ani o tem, dlaczego rosyjskie centrum pogrąża się w coraz gorszą biedę“...

Z Królestwem Polskfm załatwimy się — w odpowiedzi memoriałowi — krótko. Każdy mieszkaniec tego kraju płaci przeszło dwa razy większe podatki, aniżeli mieszkaniec najurodzajniejszych gubernii środkowych, co w ogólnej sumie wynosi około 130

milionów rubli rocznie. Jeżeli zaś nasz przemysłowiec czy rolnik zechce swój produkt odesłać n. p. w stronę Moskwy, to płaci za przewóz więcej, aniżeli wytwórca rosyjski, wysyłający towar od Moskwy do Warszawy.

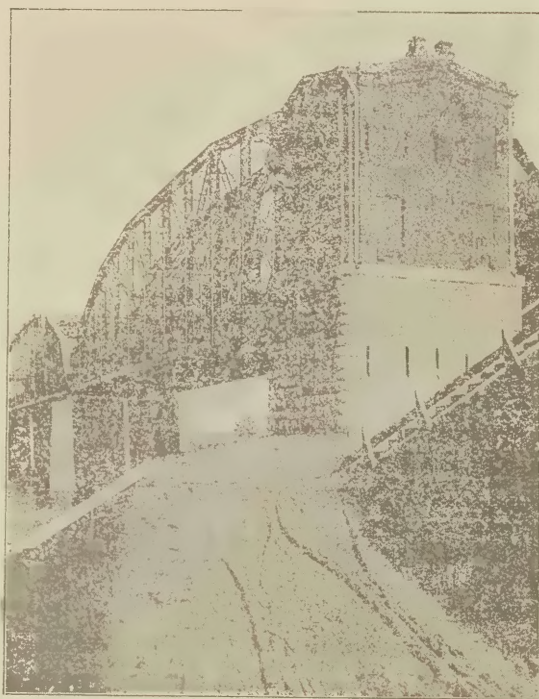
Za owe 130 milionów rubli nie mamy nie tylko światy i bezpieczeństwa, ale nawet... szpitali. Bo gdy w ubogiej pod tym względem Rosyi jeden szpital przypada na 28 tysięcy mieszkańców, w Królestwie jeden szpital obsługuje 54 tysięcy ludności, prawie dwa razy większą liczbę!...

Powiedzą autorowie memoriału, że: w Królestwie stoi 300 tysięcy wojska, a w tem 50 tys. kawalerii, co ogromne daje dochody mieszkańcom. Naprzód o owych wielkich zyskach można jeszcze pogadać: o ile bowiem pamiętam, nawet furaż niekiedy sprowadza się dla wojska ze środkowych gubernii. A powtóre — utrzymywanie tak wielkiej siły dowodzi jakiejś wady w gospodarce. Przecież nie tylko Rosya sąsiaduje z Austrią i Prusami, ale także Austria i Prusy sąsiadują z Rosyą; dla czegoż więc żadne z tych państw nie utrzymuje na granicy 300 tys. wojska, a w tem 50 tys. jazdy?... I co my jesteśmy tu winni, za co my mamy odpowiadać?...

Ale dajmy pokój polskiej pijawce i wróćmy do rosyjskiego centrum, do naszej „ofiary“... Memoriał ma słuszość, twierdząc, że i „rosyjskie centrum w coraz gorszą pogrąża się biedę“. Ale tej biedzie nie my jesteśmy winni, raczej — cni, „prawdziwi Rosyanie“...

Dziwisz się, czytelniku?... Zaraz cię o tem będę starał się przekonać, dodając w nawiasie, że materiały do poniższych uwag czerpałem z ciekawej, a niewydanej pracy ś. p. Jana Blocha. Dzieło to możnaby nazwać poematem o nędzy rosyjskiej.

Fundamentem państwa, jego największym i niezastąpionym skarbem jest — ludność. Jakże ta ludność wygląda w Rosyi? Oto, przede wszystkim nie dosięga ona pełnego życiowego rozwoju: kiedy bowiem Anglik żyje średnio 53 lat, Niemiec 37, to przeciętny Rosyanin żyje zaledwie 29 lat... A skąd to pochodzi?... Z przyczyny tak prostej, jaką jest nadmierna śmiertelność: z 10 tysięcy Greków umiera rocznie 139, z takiej liczby Norwegów — 145, Prusaków — 197, a z 10 tysięcy Rosyan umiera rocznie 291, dwa razy więcej, aniżeli Greków i Norwegów!...



MOST NA NIEMNIE.
KOLEJ SIEDLCE-POŁOCK.

Dzieci do lat pięciu umiera 35 proc. w Europie, a 59 proc. do 70 proc. w Rosyi; choroby zaraźliwe zabijają w Europie 1 do 128 osób, średnio 64 na 100 tysięcy mieszkańców, w Rosyi 53 do 147, średnio 100 osób na 100 tysięcy ludności.

Głód, rzecz nieznana w krajach ucywilizowanych, w jednym tylko roku 1892 zabrał Rosyi 743,000 osób! Nadto śmiertelność głodowa rośnie: w ciągu kilku lat podniosła się o 53 proc.

Obok śmiertelności wielką rolę odegrywa syfilis. Naprzykład w gubernii Penzeńskiej i Razańskiej syfilitycy tworzą 55 proc. ludności, w Ołonieckiej 71 proc., w Saratowskiej 73 proc. W szerzeniu chorób wenerycznych wielką rolę odgrywają żołnierze, i to jest jedna z przyczyn, dla których nie zachwycam się obecnością 300,000 wojska w Królestwie Polskiem; panom jednak z memoriału może się to podobać.

Skąd pochodzi wysoka śmiertelność ludności rosyjskiej?... Przedewszystkiem z nędzy. Przeciętny człowiek do wyżycia potrzebuje 19 pudów ziarna rocznie, do wykarmienia bydła 7 i pół, razem 26 i pół pudów ziarna. Otóż więcej aniżeli 26 pudów ziarna ma tylko 9 proc. chłopów rosyjskich, mniej niż 26 pudów ma 20 proc. (ci już nie mogą wykarmić bydła), zaś mniej aniżeli 19 pudów ziarna na rok ma 71 proc. chłopów rosyjskich. I dziwić się tu głodom!...

Nie tylko nędza jest wrogiem tego ludu, ale i nieporządek. Naprzykład — ulic niebrukowanych znajduje się w miasteczkach powiatowych 49 proc. do 90 proc., dołów na nieczystości nie posiada 9 proc. do 85 proc. domów w miastach gubernialnych, a 19 proc. do 90 proc. w miasteczkach powiatowych. Oczywiście polska intryga!

Tak wygląda ludność; zobaczmy stosunki gospodarskie.

Gospodarstwo rosyjskie cechuje się najpierw tem, że 85 proc. ziemi chłopskiej nie tworzy własności osobistej, ale gminnej. Taki ogólny obszar gmina dzieli na kawałki, chłopci losują i otrzymują do obrobienia parcele rozmaitej żyzności, ale w różnych miejscach. Nikt niby to nie ma krzywdy, bo każdy posiada kawałek np. czarnoziemiu, kawałek gliny, piasku i t. d. Ale pojedyncze kawałki miewają niekiedy 6 sażeni albo pół sażena szerokości, a ćwierć wiorsty do 2 wiorst długości!...

Taki system pociąga za sobą wielkie straty, doświadczenie bowiem przekonało, że, jeżeli kawałek ziemi przy domu daje np. 200 rubli rocznie, to taki sam kawałek o wiorstę od domu przynosi 152 ruble, a o 2 wiorsty zaledwie 100 rubli. Dalej, na skoncentrowanych polach wystarczy 3 do 4 sztuk bydła na dziesięcinę, gdy na rozrzuconych potrzeba 6 sztuk bydła do nawozu i obróbki.

I jeszcze nie koniec. Z Rosyi wywozi się co roku produktów roślinnych za 42 milionów ru-



STACJA HAJNÓWKA



DWORZEC W SWISŁOCZY.



bli, a zwierzęcych za 22 miliony rubli, więc należałoby zwracać ziemi jakieś 15 do 20 milionów rubli w postaci nawozów, a tymczasem Rosya sprowadza z zagranicy nawozów za 3,000 rubli rocznie!

Rezultat ostateczny jest następujący: pszenica, żyto i owies dają połowę tych plonów w Rosyi, co zagranicą, a jęczmień daje w Rosyi zaledwie trzecią część tych zbiorów, co zagranicą. Łąki też przynoszą zaledwie trzecią część tego dochodu, jaki powinnyby dawać. Bydło jest liche. Kiedy w Niemczech pada rocznie 5 proc. do 6 proc. rocznie bydła z chorób, w Rosyi pada 34 proc. do 60 proc. bydła. Na wyprodukowanie kwarty mleka zagranicą krowa zjada półtora funta siana, w Rosyi 7 (!) funtów. Wreszcie zwierzęta domowe rosyjskie nie tylko dają mniej mięsa i pracy, aniżeli europejskie, ale jeszcze jest ich znacznie mniej. Na 1000 dziesięcin uprawnej ziemi w Holandyi żyje 600 sztuk bydła, w Norwegii 900, a w Rosyi... 156 sztuk!... Wprost wierzyć się nie chce tym cyfrom, tym skutkom „polskiej intrygi“...

Ziemia wyjąłowiona, bydło nędzne, gospodarstwo niżej krytyki, ludność głodna, trapiąca przez ciężkie choroby, krótko żyjąca, wyniszczona przez alkohol, zadłużona i nie mogąca płacić podatków, oto jakim był stan państwa już około roku 1897. A jakim jest dzisiaj?... Ale „prawdziwi Rosyanie“ dobrego humoru nie tracą, gdyż, byle dano im specjalnych posłów do Izby Państwowej, zaraz odkryją tajemnice polskiej drapieżności, i zaplanuje niebo w rosyjskich centrach...

A tymczasem Bloch tamtejszą nędzę przypisywał zupełnie innym powodóm: nadmiarowi stanu rolniczego, długim zimom, surowemu klimatowi, długom państwowym (które od owej epoki bardzo wzrosły), upadkowi cen zboża, wyzyskowi spekulantów (bynajmniej nie Żydów, lecz najprawdziwszych Rosyan!...), ciemnocie, a nareszcie *brakowi wszelkiego kierownictwa*, co podkreślam.

Kierownictwo!... Przecież kiedy jakaś grupa patryotów chciała urządzić dla nieszczęsnego ludu rosyjskiego odczyty tylko o syfilisie, biurokracya robiła takie szykany, że odczyty przerwano.

O ciemnocie w Rosyi świadczą następne cyfry. Na 1000 mieszkańców Szwajcaryi, Szwecyi i Niemiec przypada średnio 160 dzieci chodzących do szkół elementarnych, w Rosyi zaś na 1000 mieszkańców chodzi do szkoły elementarnej tylko... 21 dzieci!... W Szwecyi i Norwegii jedna szkoła elementarna przypada na 320 mieszkańców, we Francyi 1 na 500, a w Rosyi jedna szkoła elementarna na 2,500 mieszkańców. Uniwersytet w Szwajcaryi przypada jeden na pół miliona ludności, we Francyi jeden na milion, a w Rosyi jeden uniwersytet na 10 milionów ludności.

Szkół średnich w Rosyi jest 4 razy mniej, aniżeli w Szwajcaryi, 3 razy mniej, aniżeli we Francyi, a jaki w dodatku jest system uczenia!... W szkołach angielskich na 100 godzin lekcyi przypada 28 godzin zajęć fizycznych, we francuskich 8 godzin, w niemieckich 4 godziny a w rosyjskich szkołach na 100 godzin lekcyi zaledwie pięć kwadransów przeznaczają na zajęcia fizyczne. I dziwić się, że młodzież jest zdenerwowana, chora, że niekiedy objawia poprostu zbrodniczy obłęd!...

Albo czego oni uczyli się w szkołach średnich? Łaciny, grecki, cerkiewno—słowiańskiego języka. I po co?... W roku 1895-ym z 4000 uczniów, którzy skończyli gimnazjum, tylko 270 wstąpiło na wydział filologiczny i teologiczny, gdzie starożytne języki mogą mieć zastosowanie. Lecz po co uczono języków starożytnych 3700 chłopców, którzy ich w dalszym życiu nigdy nie stosowali. Działo się to w kraju, który nie potrzebował filologów, ale—rolników, rzemieślników, lekarzy i t. p. „Klasycyzm—mówił Bloch—jest to kosztowna zabawka, na to Rosya nie ma czasu ani pieniędzy. Jej trzeba ludzi pracowitych i samodzielných a nie gramatyków“.

A teraz proszę sobie wyobrazić następującą sytuację. Istnieje kraj, z natury zamożny, lecz bardzo zaniedbany, i jest ludność, licząca się na dziesiątki milionów, ludność dobra, dzielna, rozsądna, mająca wiele szlachetnych popędów, a która, mimo wszystkie zalety, tonie w brudach, ginie z nędzy i chorób, a odznacza się barbarzyństwem... Ludność ta potrzebuje opieki rady, wskazówki, zachęty, przykładów, gdyż inaczej, bez umysłowych i moralnych podniet, zmarnieje ostatecznie.

Kto ma im udzielać tej opieki, rad i wskazówek?... Juźci chyba jej inteligencya, chyba ci, którzy czegoś uczyli się, coś czytali, słyszeli, a których w dodatku jest niewielu. Cóż więc powinni robić „prawdziwi patryoci rosyjscy?... Naturalnie pracować dla swoich i wśród swoich, uczyć ich czytania i pisanía, rolnictwa, rzemiosł, higieny, zasad moralności...

A czy „prawdziwi Rosyanie“ w taki sposób wypełniają swoje obywatelskie obowiązki?... Nie, oni w liczbie kilkudziesięciu tysięcy wyjeżdżają do „Kraju Priwislanskiego“ i tutaj przeszkadzają takim, którzy pragną uczyć, leczyć, podźwigać z nędzy i umoralniać swój naród!

Oto szkic odpowiedzi na legendę, że: „kraj polski oddawna żyje kosztem rosyjskiego centrum, które pogrąża się w coraz większą biedę“.

Istotnie, pogrąża się ono w biedę, gdyż go tam wepchnęli i coraz głębiej wpychają jego własni synowie.





ŁAZIENKI W PRZYTULKU NOCLEGOWYM. Fot. Ł. Dobrzański.

— Żle, panie.

— Czy łapią stójkowi?

— E, to mniejsza. Na to mam ślipie, żeby się nie dać złapać. Ale za wiele gazet się namnożyło: nie możemy mieć wszystkich, jakich publiczność żąda.

Zwracam się do drugiego: „A ty też siedziasz?”

— A siedziałem. Tydzień.

— Dlaczego tylko tydzień, a tamten trzy miesiące?

Na to pytanie chłopak wtajemnicza mię w arkana wyższej polityki:

— Bo oni mają swoją takse. Za „Gońca” i „Warszawską” siedzi się tydzień, za „Kuryera Warszawskiego” i „Polską” dwa tygodnie, za niektóre inne po trzy. Za humorystyczne sześć tygodni (ale te najlepiej idą), a trzy miesiące za „Robotnika”.

Wtrąca się inny:

— A mnie niedawno scapili, prowadzą do cyrkułu. A miałem przy sobie „Kurier Warszawski” i inne. Myślę sobie, źle, brachu, z tobą. Masz cztery miesiące, jak drut! Ale od czego człowiek ma rozum: zanim mnie doprowadzili, powtykałem jedno w drugie i policzyli mi za Kurbera. Frajery!

Po zwiedzeniu trzeciej sali, również przez mężczyzn zajętej, schodzimy na parter... Dodać tu muszę, że w drugiej i w trzeciej sali widziałem „Kurier Warszawski” w ręku kilku ludzi. P. Ostrowski na pytanie moje potwierdził, że ochota do czytania się znalazła, o ileby się tylko znalazły gazety. Ale o nie trudno. Chyba jakiś niesprzedany egzemplarz zostanie się któremu z chłopców. Czy nie znalazłby się wśród naszych czytelników ktoś, kto by zechciał kilka egzemplarzy popularnych pism zaabonować dla przytułku noclegowego? Zdałaby się też podręczna biblioteczka. W naszych domach z pewnością dużyby się znalazło książek i książeczek popularnych, których właściciele mogliby je darować przytułkowi. Nasza redakcja chętnie podejmie się pośrednictwa.

Na parterze mieści się sala kobieca. Rzecz dziwna, jest ich niewiele, ale zaduch najgorszy ze wszystkich. Nie wdajemy się w rozmowę, bo trudno, są tu i służące w drodze pomiędzy ulicznym zarobkiem a szpitalem, śmieciarki, którym pijaństwo wryło na całej fizjonomii charakterystyczne odrażające piętno, są i ubogie kobieciny, które trudnią się przez dzień praniem i posługą, a w nocy nie mają gdzie głowy schronić, bo im mężów pobrano do cytadeli, a właściciele domów

żądadą komornego, na które je nie stać. Skarżą się, płaczą...

Trochę odsunawszy się od innych, leżą dwie jakieś „arystokratki”. Obie młode, parę miesięcy temu zapewne jeszcze je można było spotkać w *Variété*, dość porządnie ubrane. Co je tutaj zagnało? Z filozoficznym spokojem spoglądają na nas. Wyodrębniają się tem od innych, które z płaczem, piskiem i wyzywaniem obstały nas tak, że aż interwencja pana Ostrowskiego była niezbędna. Ćmiąc papierosy, spoglądały z lodowatym spokojem na grupę, która nas otoczyła, a ześlizgując się po nas obojętnie ich wejście zdawało się naigrawać z wyrazu litości i ubolewania, który musiał się rysować na naszych twarzach na widok tej nędzy... „Przecież życie—to farsa”, tak mówiło wyraźnie spojrzenie jednej z tych dziewczyn, która, wnosząc z inteligentnych rysów, może otrzymała nawet wyższe wykształcenie...

Opuszczaliśmy przytułek z uczuciem, że obejrzelśmy dzieło bardzo pożyteczne, bardzo zasługujące na poparcie społeczeństwa.

Opuszczaliśmy przytułek z uczuciem, że obejrzelśmy dzieło bardzo pożyteczne, bardzo zasługujące na poparcie społeczeństwa.

Towarzystwo Przytułków Noclegowych w Warszawie należy bez wątpienia do najużyteczniejszych zrzeszeń w naszym kraju, które postawiły sobie za cel walkę z nędzą nie tylko przez niesienie jej bezpośredniej ulgi, ale i przez dawanie możliwości pracowania tym biednym, którzy gdzieindziej pracy, a zatem i zarobku nie znaleźli.

Towarzystwo posiada następujące instytucje publiczne: Tanie kuchnie, przytułki noclegowe i domy zarobkowe.

Przytułków noclegowych Towarzystwo posiada cztery, a mianowicie: na Pradze przy ulicy Petersburskiej, łącznie z domem zarobkowym, ku-

chnią centralną i jadłodajnią; przy ulicy Czerniakowskiej łącznie z jadłodajnią i domem zarobkowym, na placu Broni, wraz z domem zarobkowym i sortownią, wreszcie przy ulicy Bonifraterskiej. Przy każdym z tych domów są ambulatoria, z których noclegowcy, oraz pracownicy domów zarobkowych korzystają bezpłatnie. Liczba noclegowców w roku zeszłym wynosiła 237.121 osób, Obecnie nocuje przeciętnie tysiąc osób dziennie. reszta, czyli 13868 otrzymała noclegi bezpłatnie, częścią dorośli, częścią zaś dzieci. Całkowita liczba noclegowców w roku 1904 urosła o 16 tysięcy. Szczegół ten przekonywa o niezbędności jeszcze jednego co najmniej przytułku, na który wszakże funduszy nie ma.

Za udzielenie noclegu i kolacji, złożonej z herbaty i chleba, zakład pobiera 4 kop. od osoby od tych, kto może płacić. Przytułki noclegowe udzieliły noclegów bezpłatnych wraz z herbatą i chlebem w ciągu półroczu od 1 lipca do 1 stycznia 1905 r. razem 2.793. Straty na przytułkach wynoszą rb. 2184 kop. 34, co nie jest dziwnem gdy wspomnimy, ile noclegów wraz herbatą i chlebem wydaje się stale bezpłatnie.



BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Bacność, koledzy dziennikarze, nadciąga nieprzyjacieli!... Właściwie, to nawet gorzej, aniżeli nieprzyjacieli, bo — przyjaciel, rodzony brat, ale... współzawodnik i w dodatku bardzo niebezpieczny...

Dotychczas, na całym obszarze języka polskiego pod panowaniem rosyjskim, my, kongresowi literaci, mieliśmy monopol wydawania polskich gazet, przemawiania do naszych rodaków, zarówno w Królestwie, jak na Litwie i Rusi. Byliśmy jak ten jeden, jedyny koń wyścigowy, który, ponieważ sam biega w szrankach, więc — zawsze musi wygrać... Mieliśmy, co prawda, i przeszkody... cenzuralne; te jednak nie przyczyniały się ani do poprawienia rasy, ani do wzmocnienia sił czy zręczności w osobnikach...

Dziś na wyścigowym polu dziennikarskiem ukazują się współzawodnicy — w Wilnie i Kijowie,



Ponieważ zaczęli bieg od mety, więc jeszcze są w tyle, za nami, jeszcze nie depczą nam po piętach. Ale baczność, baczność!...

Nie znam wszystkich, tylko „Kuryera Litewskiego“, więc pocieszam się: — Nie dztw, że ten nas dogania... Przecie i redaktor, Czesław Janowski, i sekretarz, Ursyn, wśród nas dojrzewali, w naszych pismach odbyli termin...

A jednak są w tym Kuryerze szczególiki, które mogłyby zaniepokoić!... Że jest dobry redaktor i dobry sekretarz, to nic... to przecie nasi ludzie. Ale... skąd oni wzięli i biorą nowych, zupełnie nowych współpracowników?... Skąd układ

pisma, nie naśladowujący warszawskich?... Że znają stosunki miejscowe—rzecz naturalna; lecz obok tego posiadają oni ukształcenie bynajmniej nie reporterskie, czysty język, dobry styl, powściągliwość w rozprawach i jakąś równowagę umysłową wogóle...

Gniewać się na nich za to, wymyślać im, odsądzać od czci i wiary... Boże, uchowaj!... Trzeba im życzyć jak najlepiej, kochać jak braci, na co wreszcie zasługują, ale — nam samym trzeba wziąć się do przejrzenia, do pilnego przewietrzenia i naszego repertuaru, i naszej garderoby literackiej. Bodaj czy nie będziemy musieli zdjąć szla-

froki i nieco przydeptane pantofle, a włożyć — przynajmniej marynarki, gdyż tamci wyglądają, jak gdyby występowali we frakach lub uroczystych surdutach!...

Wszystkie te uwagi, powtarzam, nasunął mi „Kuryer Litewski“, obok którego słyszałem że istnieją jakieś inne pisma, to znowu, że je zamknęto. Nagle, przed paroma dniami, daje mi ktoś „Gazetę Wileńską“. Więc i takie pismo istnieje?... pytam. Istnieje — mówią mi — i warto, ażebyś sobie przeczytał w nim artykuł wstępny.

Czemu nie mam przeczytać „sobie“, przeczytam. Ale naprzód zacznę od powierzchowności. Wcale



przyswoita... Następnie do paszportu. Bagatela! Redaktor—Zenon Pietkiewicz.... Ależ i to na człowiek... on także u nas terminował i wyzwolił się nie byle jako. Co się zaś tyczy artykułu wstępnego—czytam go „sobie“... Autor—E. A.

Znałem jednego A., był to człowiek uczciwy i rozumny... To ten sam — odpowiadają. W takim razie dajcie mi go... o czym on pisze?... O „Uzdrowieniu życia“... Dobrze!... Czytam, a im dłużej czytam, tem więcej podoba mi się.

Chorzy jesteście—mówi autor. Na cóż to, proszę?... „Przeżywamy chwilę tragicznego nieporozumienia, rozterki między ideałami a życiem“... „Tam, w świecie idei, żyją odwieczne marzenia ludzkości: braterstwo, dobrobyt, wolność; zmartwychpowstają prorocтва Izajasza o orężach, przekuwanych na lemiesz... A przed obliczem tego idealnego piękna wlecze się brudne życie, życie zabiegów geszefciarskich, samolubstwa, przemocy nad słabszym; życie kancelaryi, sądów, giełdy i przytułków“...

Rozterka wewnętrzna!... Ale skądże ona się wzięła?... Stąd, że dzięki warunkom, wśród których żyjemy, wyrobiliśmy w sobie, czy wyrobiono w nas charakter niewolniczy. A „w typie niewolniczym pomiędzy ideałem i rzeczywistością, istnieje cała przepaść. Człowiek-niewolnik przymusowo wchodzi w szablon życia, który inni wytworzyli dla niego; męczy się daremnie do przystosowywania się; kastruje swoją indywidualność w najrozmaitszy sposób, przechodzi przez rozmaite musztry pojęciowe i moralne, zatracą wszelką łączność swych utajonych pragnień z czynem i przez to wszystko—wypacza się w typ chorobliwy, zwyrodniały, cząstkowy“.

Przeciwieństwem „niewolniczego“ jest — typ demokratyczny. Niewolnik pożąda „chleba i igrzysk“, typ demokratyczny przedewszystkiem — wolności tworzenia; on sam usiłuje doskonalić i ulepszać swoje życie, gdy niewolnik—„żąda tego od państwa“.

Wniosek jasny. Jeżeli „choroba życia“ — rozterka wewnętrzna płynie z niewolniczych cech naszego charakteru, a nie istnieje w charakterze demokratycznym, to—trzeba nam w jakiś sposób wyrobić w sobie ów demokratyczny charakter.

I nikt z nas nie pomyślał do tej pory ani o wyleczeniu się, ani o lekarstwie?... Owszem, myślimy i wyobrażamy sobie, że z niewolnictwa ulecą nas—nowe demokratyczne instytucje. A skąd one wezmą się?... A—Państwo nam je da czy stworzy!...

Zgodnie z tą wiarą — „nie umiemy zdobyć się na inne postulaty polityczne, tylko na takie, które zawierają się w formule: czego żądać od Państwa“?

„Lud Polski i Litwy, nie mając własnych

instytucji społecznych, które mogłyby dalej rozwijać i doskonalić, oczekuje tylko—reformy polityki... Cała mądrość polityczna zawarła się w prośbach czy żądaniach reform. Wszystkie ideały chył się przed tym jednym: „Państwa-Opatrzności“... „Przy każdej okazji ofiarowujemy się, jako materiał, z którego ktoś inny wytwarza rozmaite formy... Zróbcie z nas to lub owo; zróbcie z nas społeczeństwo konstytucyjne, demokratyczne lub społeczno-demokratyczne; zreformujcie nam szkoły i szpitale, ochrońcie przed nędzą i wyzyskiem“.

„Na drodze takich żądań i wyczekiwań zrobić się może wszystko inne, tylko nie demokracja. Bo demokracja wymaga przedewszystkiem silnego poczucia i instynktu samopomocy społecznej. Wymaga ludzi, umiających nie tylko żądać reform od Państwa, lecz przeprowadzać te reformy za pomocą swoich własnych instytucji. Wymaga umiejętności samodzielnego organizowania interesów społecznych; wymaga rozwoju stowarzyszeń, ogarniających rozmaite dziedziny gospodarstwa, kultury, ochrony pracy i zdrowia. Wymaga wreszcie silnego indywidualizmu człowieka, który potrafi urządzić swoje życie wedle własnej normy i potrafi uszanować samodzielną innych. Bez tych warunków demokracja wytworzyć się nie może. Jeżeli nawet w komitecie ministrów albo w Dumie wypracowane będą jak najdalej idące reformy, jeżeli nawet otrzymamy instytucje samorządu politycznego, oparte na powszechnym głosowaniu, to zamienią się one niechybnie w rządy urzędników i przedstawicieli z wyborów, scentralizują się gdzieś daleko po za ludem“.

„Demokracja nie tworzy się przez prawodawców, stworzyć ją musi samo życie; zaś poczęta w komitetach ministrów czy politycznych partii, jest bankructwem samej myśli demokratycznej“.

Więc biada nam!.. Bo jeżeli nie pomoże nam rząd i stworzone przez niego instytucje, to co może ocalić nas, co uzdrowi?..

„Demokracja nie może być ani wymuszona, ani daną, lecz musi się sama wytworzyć w nowych ludziach i nowym życiu“... A dopiero tam, gdzie „wytwarza się owa demokracja samoistna, od dołu idąca, gdzie organizują się instytucje samopomocy, kooperatywy, spółki włościańskie i związki zawodowe, gdzie powstają samodzielne ogniska oświaty i kultury, tam jednocześnie zachodzić muszą i zachodzą głębokie zmiany w duszach ludzkich. Ludzie sami zaczynają tworzyć warunki swego bytu; w życiu ich zjawiają się cele, których nie było, zjawia się uczucie samodzielnego tworzenia i solidarności ludzkiej. Zanikają nie tylko przeżytki duszy niewolnika, ale i duszy nowożytnego geszefciarza. Powstają nowe kategorie rozkoszy moralnych i towarzyskich, które wypieniają bezmyślną nudę zbytków, rozpusty i pijaństwa.

Słowem, tworzy się nowa kultura i nowy typ człowieka, który zasadniczo wyróżnia społeczeństwo demokratyczne“.

Ze wszystkiego, co się powiedziało, wypływa, że „dotychczasowa nasza polityka (polegająca tylko na żądaniu i czekaniu, ażeby nas rząd zdemokratyzował) jest wadliwa. Zasadniczym zaś postulatem polityki zdrowej powinno być skupienie wszystkich sił narodu ku wytworzeniu kultury demokratycznej, opartej 1-mo na samopomocy, 2-do na zrzeszeniach. Dopóki nie rozwinie się wszechstronna praca koło tego zadania, dopóki nie wyzyskamy wszystkich ustaw państwowych w celu przerobienia społeczeństwa na wielką sieć kooperatyw i związków spożywczych, rolnych, robotniczych, oświatowych, higienicznych, kredytowych, dopóty ani uzyskamy, ani zdołamy utrzymać nic takiego, coby miana demokracji było godne“.

Czy rozumiesz czytelniku doniosłość tych poglądów?... Autor, człowiek niewątpliwie postępowy, tak postępowy, że tylko w demokratyzacji całego narodu widzi jego ocalenie i zdrowie, ten autor nie głosi jednakże hasła:

— Wszystko albo nic!.. Rząd musi dać wszystko, albo nie uspokoi się zamęt!..

Przeciwnie, ten autor sądzi, że choćby rząd „dał“ jak najwięcej, to naród nie strawi tego, jeżeli — nie zostanie przygotowany...

Rząd niech „da“ wszechstronne prawo stowarzyszeń i niech nie hamuje, niech nie paraliżuje pracy jednostek i grup, a wówczas społeczeństwo za pomocą owej pracy samodzielnej i solidarnej, przerobi nie tylko swój ustrój wewnętrzny, dziś złożony z luźnych jednostek, ale i przekształci, uszlachetni charaktery, ludzkie skażone dziś niewolą.

Praca samodzielna i solidarna, praca jednostki dla grupy a grupy dla jednostki, praca wszystkich dla jednego a jednego dla wszystkich, oto lekarstwo na trapiącą nas „chorobę życia“...

Czy nie prawda, że jednak w tem Wilnie pisują dobre artykuły?...

No, kiedy już tak mi się udało z jednym szeregiem cytów czy plagiatów, spróbuję drugiego.

Czytelnik zapewne słyszał, że w Warszawie wychodzi miesięcznik: „Protest“, który aczkolwiek istnieje niedawno, już jednak zdążył wywołać sporo niezadowolonych i protestów.

Do tego, co w „Proteście“ jest protestem czy walką, do tych rzeczy nie mieszam się. Wolałbym, ażeby redakcja jak najmniej protestowała i jak najprędzej zakończyła walkę; zresztą niech robi, uważa za konieczne. Nie mogę jednak zamilczeć, że w owym miesięczniku zadebiutował nieznanymi, mnie przynajmniej, poeta i przemówił silnie. A oto próbki:

„O ludzie, co idziecie drogą, powiedzcie, są li kędy takie zielska, co martwych wskrzeszać

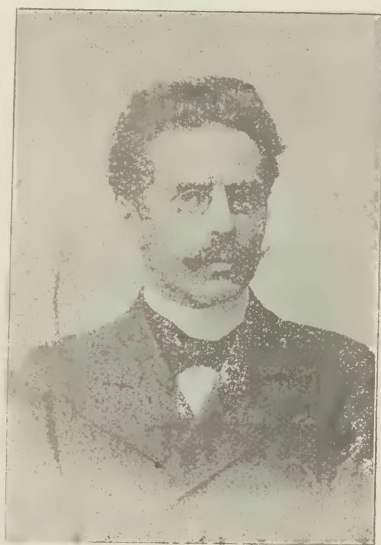
JAN TUR

WŁADYSŁAW RABSKI.

J. J. BOGUSKI.

N. NOWACZYŃSKI.

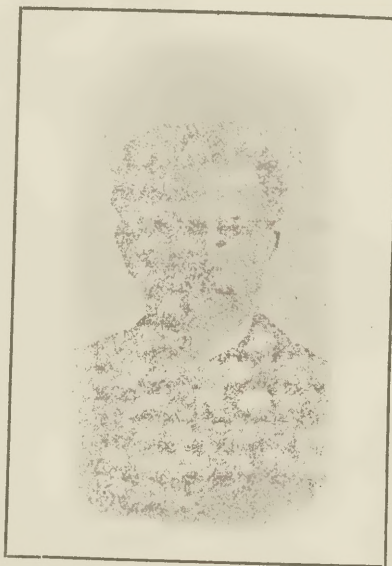




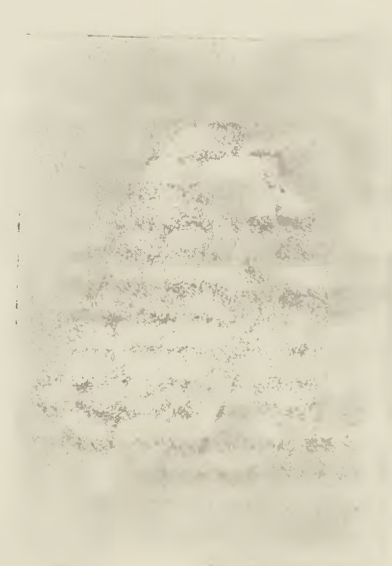
ANTONI POTOCKI.



ADAM MAHRBURG.



Dr. HENRYK NUSBAUM.



JAN LEWIŃSKI.

mogą? Oto dziewczka ma anielska—dziewczka cud, dziewczka kwiat—umarła... O ludzie, o dobrzy ludzie...

„Kiedy pogrzebny dzwon na mej anielskiej pani skon w jęk uderzy — niech najtajniejszych swoich państw rubieży pilnuje pan ten wielkowiedny — bo jeśli sięgnie jego tronu pogrzebowego odgłos dzwonu, to go potęgą swą rozwali...

Lecz dobry on, a aniołowie jego biali pokażą mi skuteczny kwiat na skon — zmartwychwstań kwiat...

Spój, pani ma anielską! Nad twojem łóżem duch mój płonąć będzie, a ja, bezduszny trup, w świat pójdę — w szeroki świat po zmartwychwstania kwiat dla ciebie... I będę szukał wszędzie, wszystkie rozgarzę zielska — na mękę czynię ślub — że znajdę, choćbym szukać miał go w niebie!

A jeśli wąż trumienny zechce się wślizgnąć w twoich ust kielichy i zmacić sen twój cichy — to duch mój, biały — duch niezmienny, płonący nad twem ciałem, odstraszy go swym blaskiem zaświatowym.

Co?... może niema w tem siły?...

Albo to:

„Moc dajcie mi — wytrwania moc — lub zapomnienia noc! O jaka cisza wkrąg... Męko mąk...

Ani ta noc, co stoi za oknami, ani ten wicher, co drzewa do snu tuli, ludzkiemi nie płakali łzami.

O jakież jestem sam... a ze mną tylko ten ból bóli... Ani go znałem, ani znam, a on mnie jeden do snu tuli i mam go tutaj — w sobie, mam — choć go nie zwałem, ani znam — a on mnie jeden do snu tuli...

I nie wiem już, kogo mam zwać na pomoc; to jedno wiem, że głos mój w pustce skona, i znowu będę smutny stać z tym snem, z tym martwym snem u łona... Od życia bram szeregi idą,

grzmiać w kajdany: o wybrany! oczekiwany! I ten głos bratni w pustce kona — a ja z swym snem, z tym martwym snem u łona zostałem sam, sam, sam...

A nazwisko autora?... Ks. Prometeusz Wicher. Wszystko to jest bardzo dziwne, nie mniej jednak i piękne!..

ODCZYTY.

Ilećroć rozmyślałem nad sztuką polską, bezsprzecznie jedzą z najpierwszych co do wartości i bogactwa w Europie, nad nauką, naszą bądź co bądź zasobną w poważne zdobycze, a jednocześnie nad tym strasznym stanem kulturalnym, jaki wytworzyły u nas bezmyślność, barbarzyństwo i okrucieństwo biurokratycznych „systemów“, ogarnia mnie zdumienie nad cudowną płodnością naszą, nad tą „siłą fatalną“, która każe twórczości narodowej wybuchać tam, gdzie, zdawałoby się, wyschnąćby powinny wszystkie źródła, wyjałowić się ziemia, dusza — onie mieć z bólu i zmożenia ciągłą walką (przynajmniej zaś: ciągłym stanem biernej odporności), a serca zgorzknąć od sączącej się w nie codzien nie, kropla po kropli, nienawiści.

Palmy samotne na pustyni, kwiaty w piwnicznej kazamacie — oto nasza kultura, wyrosła niby zaprzeczenie wszelkiej logiki powierzchownej; bo któżby przypuszczał, że z analfabetyzmu „u dołu“, i obojętności i dyletanckiej parodii kultury — „wyżej“, z zeszłorocznych wie zapatrywań na życie jeszcze „wyżej“, wykwitną dzieła o woni subtelnej, o barwach odurzających, o potędze i uświadomieniu, przypominającym największych mistrzów sztuki? któżby przypuszczał, że nawet społeczne uświadomienie wzrastać będzie z roku na rok?

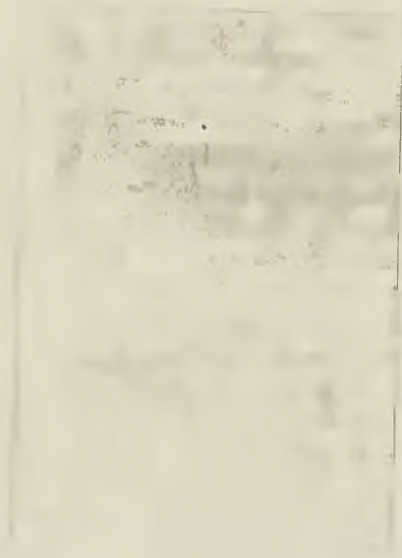
Tak, to są cuda — cuda żywotności narodu. I pomyśleć tylko, czemżeby ta sztuka, ta nauka była, czem życie tych, co nad tymi skarbami pracują, czem stałoby się to społeczeństwo, dojrzewające siłą natchnień i intynicy, gdyby mogło ono rozpocząć skuteczną walkę z ciemnotą i wszelkiem wstecznictwem?

Uniwersytety polskie istnieją tylko w Krakowie i Lwowie; Sorbony nie posiadamy nigdzie, uczyć się po polsku nie pozwolono, muzea nasze są miniaturą w porównaniu z tem, co mają ludy szczęśliwsze — skądże więc mogłaby się wziąć kultura w szerszych warstwach społecznych, poza wyjątkowymi jednostkami?

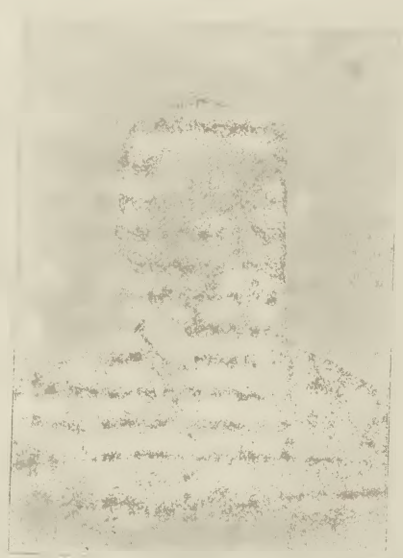
Któż nie narzeka na jej brak? — ale doprawdy, chwilami wydaje się, że i tak jej jest jeszcze dużo, ile nie brać pod uwagę, że prywatne zamożniejsze jednostki mogłyby silniej przyczyniać się przez swą ofiarność do szerzenia kultury...

Masy są wszędzie leniwe do myśli i czynów. Trzeba je zmuszać do myślenia. Od tego są szkoły obowiązkowe, uniwersytety ludowe, odczyty popularne. Wymagania społeczne wtedy powoli się wznoszą na wszystkich polach. W Anglii lub Francji nikt nie kupi przedmiotu niezgrabnego lub lichy robionego. Przemysł, handel, rzemiosło, muszą się stosować do tych wymagań. Za tem idą wymagania pod względem przedmiotów sztuki zdobniczej, sztuki czystej, wymagania prawdziwych wiadomości z nauki i filozofii; wogóle ruch umysłowy na szerszą skalę wtedy dopiero powstaje; wtedy dopiero naród stwarza sobie muzea, buduje gmachy nauki, popiera artystów, gdy zrozumie ich potrzebę sam, gdy przygotowują go do tego lata, dziesiątki lat, wieki...

U nas to wszystko było, ale wysiłki nasze dławiono w zarodku, lub psuliśmy je sami. Teraz



WINCENTY TROJANOWSKI.



JAN SOSNOWSKI.



WOJCIECH SZUKIEWICZ.



MIŁOSZ KOTARBIŃSKI.



dzielniejszy pod każdym względem z nas wszystkich — deklamował z zapalem i przekonaniem głębokim lapidarnie, jakby z marmuru wykute, wyznanie wiary poetki:

„Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy zdro-
bycze;
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć
daleki;
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła ta-
jemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają
wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białem od
promieni,
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej
strażnicy.“

Dla gromadki naszej los był dziwnie nie-
litościwy: najzdolniejszych, najlepszych może

z pośród nas śmierć zmarnowała przedwcześ-
nie. Oto poeta Zygmunt Rostkowski, autor
wydanych przed kilku laty „Starganych strun“,
już w dwudziestym roku życia przykuty został
do łoża boleści. Obezważniony straszną cho-
robą, złamał pióro w tym wieku, kiedy inni two-
rzyć dopiero zaczynają. A chluba nasza, Kazi-
mierz Krauz, którego kochaliśmy, którym szczyci-
liśmy się wszyscy, rodzaj Zana naszej małej
filareckiej drużyny, choć wybił się na szero-
kiej widowni świata, choć pozostawił w nauce
i w życiu trwałe ślady działalności, zmarł ró-
wnież ubiegłego lata na obczyźnie w trzydzie-
stym trzecim roku życia, i to w przededniu
niemal chwili, gdy dla jego pracy społecznej
otwierało się pole szerokie, gdy niepospolite
jego zdolności pełnym blaskiem zaświecić
miały. Ale właśnie cała szlachetna, pełna po-
święcenia i zaparcia się siebie działalność spo-
łeczna Krauza świadczy może najwymowniej,
że wpływy i wrażenia pierwszej młodości by-

wają niekiedy bardzo, bardzo silne, jak również,
że idee, rzucane przez poetów, trafiają czasem
na grunt bujny i żyzny. Był on bowiem aż
do chwil ostatnich jakby żywym wcieleniem
wielu hasel i dążeń, wypowiedzianych tak
płomiennie przez Konopnicką, do niego więc
w całej pełni zastosować się dadzą dalsze
słowa przytoczonego na wstępie jej wiersza:

„Ty, coś poległ dla Idei,
Chwała ci!
Boś padł w progu twej nadziei
Nie czekając swej kolei
Jasných dni...
U twych prochów, u mogiły
Będą wieki szukać siły
I naznaczą twoje kości
Wielką drogą, ku przyszłości,
Śladem krwi!“ —

(Dn) WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

W chwili kiedy to piszę (20 kwietnia), „in-
teligentna“ Warszawa doznaje dreszczyków cieka-
wości. W chwili zaś, kiedy szanowni państwo bę-
dziecie odczytywali niniejsze zwierzenia (około 28
kwietnia), kwestya, która nas niepokoi, zostanie
już wyjaśniona i rozstrzygnięta.

O cóż chodzi?... Ba!... nie o małą rzecz:
o wybory.

Wedle rządowego programu 105,000 pełno-
letnich i posiadających własne lokale mieszkańców
Warszawy, mają prawo, przy pomocy tajnego gło-
sowania, mianować 80 wyborców. Rola tych ele-
ktorów jest bardzo ważna: nie tylko bowiem wy-
biorą oni dwu pierwszych posłów i to na lat pięć,
z naszego miasta, ale jeszcze, gdyby który poseł
w ciągu pięcioletniego okresu musiał ustąpić, owi
elektorowie w liczbie 80-ciu i tylko oni wybiorą
nowego posła i cały szereg nowych posłów, o ile
okazałaby się tego potrzeba.

Ludziom chętnym do nowinek, wybory te
nasuwają pytanie: kogo też z pośród znajomych
wybiorą na elektora i na posła? Ludzie ambitni
modlą się po cichu: jakżebych chciał zostać cho-
ciażby elektorem!... Zarozumiałcy, których także
nie brak na świecie, kipiąc gniewem, szepczą: te
nicponie gotowe nie wybrać mnie na posła, a na-
wet na elektora!...

A ludzie rozważniejsi, trochę z ciekawością,
a trochę z niepokojem, zapytują: jak też wypadną
wybory?... kto będzie miał przewagę głosów... czy
narodowi demokraci? czy Żydzi?... czy może bez-
partyjni obywatele miasta, którzy mianują elektro-
rami *najlepszych*, bez względu na stronnictwa?...
A to jest najmniej prawdopodobne.

Żydzi bowiem, którzy dotychczas stali z da-
leka od wyborów, obecnie, jak za dotknięciem
różdżki czarnoksiężkiej, całą armią wyruszyli po
kartki meldunkowe, i już nawet pógębkiem zapo-
wiadają swoje zwycięstwo:

— Będziecie mieli takich posłów, jakich my
wam damy!...

Jestże to możliwe?... — zapytuje czytelnik,
który przywykł uważać Warszawę za głowę, za
moralną stolicę Polski, a niestety zapomniał o tem,
że przez cały szereg lat pracowano i pilnie pra-
cowano, ażeby zatrzeć ślady wszelkiej „stołeczno-

ści“ i przerobić Warszawę na jedno z gubernial-
nych miast Kraju Nadwiślańskiego.

Nie chcę twierdzić stanowczo, lecz... oba-
wiam się, że praca około „znadwiślańszczenia“
Warszawy musi wydać jakieś owoce...

Ale mniejsza o znadwiślańszczenie. Ażeby
zrozumieć: czym jest dzisiejsza Warszawa, spoj-
rzyjmy np. na Berlin. W mieście tem, około roku
1892 znajdowało się: ewangelików 73 proc., kato-
lików 7 proc., starozakonnych 3 proc., innych wy-
znań i bezwyznaniowców około 17 proc. Cyfry są
tylko przybliżone, do naszych jednakże celów
wystarczą.

Jakiż z nich wypływa wniosek?... Oto ten,
że w Berlinie, stanowiącą i ogromną przewagę
mają ewangelicy, których jest prawie *trzy* razy
więcej, aniżeli wszelkich innych wyznań ra-
zem wziętych. Gdyby więc w Berlinie urządzono
jakieś głosowanie polityczne, ewangelicy mogliby
nie rachować się z żadnymi względami oprócz
etyki, albo swego egoizmu. Bo choćby wszyscy
inowiercy, skoalizowawszy się, głosowali zgodnie
jak jeden mąż i choćby tylko połowa ewangelików
berlińskich poszła do urny, to jeszcze w ostatecz-
nym rezultacie, przeciw 27 inowiercom stanęłoby
36 ewangelików i odniosłoby zwycięstwo.

Z tego powodu, z powodu ogromnej prze-
wagi liczebnej, berlińczycy mogą, jak już powie-
działem, nie tylko nie troszczyć się o sympatyę,
czy o przymierze z inowiercami, ale także mogą
sami dzielić się na stronnictwa, których najczęściej
bywa dwa. I dopiero gdyby dwa owe przeciwne
obozy znalazły się w absolutnej równowadze i gdy-
by interesy jednego z nich zbiegały się z intere-
sami inowierców, dopiero wówczas inowiercy, mo-
gliby przechylić szalę głosów na jedną lub drugą
stronę, w żadnym jednak razie nie kuszając się
o jakoweś samodzielne zwycięstwo.

Sens moralny, który z naciskiem rekomen-
duje uwagę panów „wszechpolaków“ i „egoistów
narodowych.“ Otóż sens moralny jest ten, że tyl-
ko wyznania i narodowości bardzo liczne i bardzo
jednolite mogą pozwalać sobie na zbytek zwany
polityką „egoistyczną“. Tylko tacy bowiem, wobec
sąsiadów czy współzawodników, zawsze będą mieli
przewagę.

A teraz przyjrzyjmy się Warszawie.

Około roku 1897 Warszawa liczyła: 57 proc.
katolików, 31 proc. Żydów, 7 proc. prawosławnych
i 3 proc. ewangelików.

Czy przy takim składzie ludności, Warszawa
mogłaby prowadzić jakąś „egoistyczną“, wyłącznie
katolicką politykę?... Wcale nie. Bo gdyby np. do
głosowania stanęło tylko połowa katolików a wszy-
scy Żydzi (co nie należy do niemożliwości!),
wówczas 28 katolików miałoby przeciw sobie 31
Żydów. A gdyby z Żydami połączyła się reszta
inowierców, katolicy zostaliby z kretesem pobici.

Jakkolwiek zatem liczba katolików w War-
szawie jest większa aniżeli pozostałych wyznań, to
jednak przewaga nie jest tak stanowczą, jak w Ber-
linie i tworzy bardzo przychylny grunt dla wszel-
kiego rodzaju niespodzianek. Zkąd wyprowadzić
należy wniosek, że Warszawa nie może prowadzić
jakieś nieprzejednanej polityki, nie może kierować
się zasadą „egoizmu“ choćby religijnego, lecz
musi szczerze tolerować inne wyznania i przeko-
nania musi być przygotowana do kompromisów.

Nie koniec na tem. Gdybyśmy owe 57 proc.
katolickiej ludności Warszawy podzielił i poszar-
pali na jakieś dwa... trzy... cztery stronnictwa,
wówczas każde z nich nie liczyłoby 57 proc. wy-
znawców, ale 27 proc.... albo 19 proc. albo nawet
i 14 proc. Czyli zbyt wielki podział na stronnict-
wa, mógłby uczynić katolicką ludność Warszawy
słabszą wobec innych a przedewszystkiem wobec
Żydów.

I otóż znowu statystyka wielkim głosem
ostrzega nas, polaków:

— Panowie!... wystrzegajcie się nie tylko
politycznego „egoizmu“, ale nadto, wystrzegajcie
się, jak dyabła, zarozumiałości indywidualnej i stron-
niczej... Bo arogancja, łaskawi panowie, nie tylko
zaślepią umysły, nie tylko pozbawia je zdolności
jasnego widzenia wypadków, ale nadto obraża lu-
dzi, zniechęca ich do nas, odpycha, a w polityce
staje się źródłem coraz to nowych stronnictw.

Przypatrzmy się żydom: jakie są ich sposoby
postępowania.

Kiedy my dzięki ogromnym fortunom naszych
magnatów, urządzaliśmy sobie wyścigi konne, które
w rozmaitej formie kosztują nas setki tysięcy rubli
rocznie, żydzi bez hałasu zakładali szkoły rzemieślni-



nicze. Kiedy my, co roku, wydawaliśmy setki i tysiące balów, rautów, maskarad... żydzi tworzyli przez ten czas setki i tysiące najrozmaitszych spółek i stowarzyszeń o jakich nie mamy pojęcia. Kiedy my, wydajemy setki tysięcy rubli na naukę języków i muzyki udzielanej dzieciom, które w przyszłości ani będą porządnie grały ani będą czerpać wiedzę z cudzoziemskich literatur, przez ten czas żydzi uczą swoje potomstwo wiedzy praktycznej a przenowszystkiem, choćby najuboższe czytania, pisanie i rachunków.

Kiedy my, dzięki chaotycznej i wprost głupiej dobroczynności wyhodowaliśmy bezczelną żebaninę, zaniedbując prawdziwie ubogich i godnych poparcia, żydzi w taki sposób regulują swoją ogromną filantropią, że wcale nie widać u nich żebaków... Kiedy nareszcie my stroimy się w jedwabie i aksamity, przy bardzo pustych kieszeniach, żydzi noszą nie tylko skromne, ale nawet obdarte i wprost obrzydliwe chałaty, ale... z kieszeniami głębokimi i dobrze wypełnionymi!

Słowem, wszędzie praktyczność, wszędzie, solidarność, wszędzie umysł a po nim energiczne działanie oto żydzi... Zaś niepraktyczność i deklamacje osłaniające najbezwzględniejszy egoizm, oto my...

Gniewa się pan?... Niech się pan uspokoi, gorzkie pigułki czasami dobrze robią, przynajmniej tym pacjentom, których jeszcze można uleczyć!...

A teraz przypatrzmy się „narodowej demokracji“, dzielnemu Krakusowi, który miał nas uwolnić od smoka anarchi sprzymietzonej z semityzmem...

Przedewszystkiem czy ci panowie rozumieli potrzebę solidarności wszystkich żywiołów polskich, nie w tym celu bynajmniej, ażeby np. grozić żydom, ale ażeby utworzyć siłę narodową, która, z względu na drugorzędne różnice poglądów, najmniej w pewnych, nadzwyczajnych wypad-

kach, umiałaby występować jako jedna całość, jeden narodowy organizm?...

Niestety! nie... Panowie z narodowej demokracji przedewszystkiem byli zajęci już nie zwalczaniem, ale, poniewieraniem swoich przeciwników czy może tylko... poprzedników politycznych... Przez kilka lat z energią doprawdy godną lepszej sprawy, „zwalczała“, a raczej wymyślała, tak zwanym „ugodowcom“; dzięki czemu przeciętny patriota wyobraża sobie, że owi „ugodowcy“ byli, czy są, co najmniej polskimi Efiatesami... A tym czasem dla ludzi mających choć trochę rozsądku i pobrej woli, patriotyzm „ugodwców“ jest tak niewątpliwy i nieskazitelny, jak u narodowych-demokratów, dr. Baranowski ma niemierniejszy temperament agitatora, aniżeli niejednen z agitatorów narodowo-demokratycznych; Suligowski lepiej zna sprawę samorządu, Spasowicz lepiej zna stosunki rosyjskie, a Straszewicz nie jest gorszym mówcą od wielu narodowych-demokratów.

Dzięki szczuciu narodowego stronnictwa „ugodowcy“ stracili kredyt w społeczeństwie, prawie, że wycofali się z areny politycznej i... siły społeczne przynajmniej w tym punkcie, rozdzieliły się i osłabły... A dziś, może byłoby przydatne!... Żresztą w każdym społeczeństwie podbite istnieją i muszą istnieć partyjne „ugodowe“ i niekiedy bywają użyteczne!...

Drugą grupę „zwalczanych“, z mniejszym nierównie skutkiem, tworzą socjaliści. Socjalizm, a raczej ruchy rewolucyjne narobiły nam dużo i ciężkich kłopotów. Nie mniej jednak potrzeba być mocno zaślepionym, ażeby nie odróżniać socjalizmu od bandytyzmu, nie rozumieć że w socjalizmie, obok wartogłowów, są ludzie mądrzy i czcigodni, a obok kosmopolitów, gorący polscy patrioci, choć może nie tego fasonu co narodowa demokracja...

Bez względu na to wszystko narodowa de-

mokracja zsypała w jedną torbę socjalistów ze złodziejami, półgłówek z rozsądnymi i dzięki tej metodzie mamy dziś już nie zatarg, ale wprost nienawiść między narodowcami, a socjalistami którzy nie zawsze umieją odróżnić naród od... narodowej demokracji.

Nareszcie w stosunku do Żydów narodowi demokraci postawili się tak rozważnie, że choć wyznawców wiary mojżeszowej znajduje się w Warszawie 31 proc., choć między wyborcami mają oni prawo do jakichś 25 miejsc, narodowa demokracja na swoich listach wyborczych, bodaj czy pomieściła żyda... Dzięki znowu czemu mamy dziś jeszcze jedną wojnę... z Żydami!...

Oto jest (że pominę inne fakty) gospodarka stronnictwa, które z całą bezceremonialnością mianuje się: jedynym prawdziwym przedstawicielem narodu i jedynym znawcą polityki! Jako ludziom, życząc tym panom wszelkiej pomyślności; w przededniu jednak wyborów, z których może wypłynąć dla nas ciężka kompromitacja, jeżeli (nie дай Boże!) klęska, trudno mi pohamować uczucia żalu do tej kliki, której zarozumiałość i egoizm dołał nowej goryczy do kielicha naszych cierpień.

W chwili kiedy to będzie czytane, kwestya wyborów w Warszawie już się rozstrzygnie. Przypuszczam, może się mylę, że narodowa demokracja poniesie zasłużoną klęskę; bodajby nie poniosła jej nasza narodowość!... Chociaż, gdyby się i tak stało nie ma racji upadać na duchu. Historia nie kończy się na warszawskich wyborach, ani na 1906-ym roku. Klęska byłaby tylko lekcją, z której, jeżeli potrafimy skorzystać, wszystko obróci się na dobre.

NB. Zbytecznem będzie dodawać, że powyższe uwagi wypowiadam na mój własny rachunek, nie solidaryzując z niemi redakcyi *Tygodnika Ilustrowanego*.





W PARKU KILIŃSKIEGO



PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY WE LWOWIE.

W OGRODZIE MIEJSKIM

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Tydzień temu, pisząc o wyborach w Warszawie, przypuszczałem, że Demokracja Narodowa poniesie „zasłużoną klęskę” i wyraziłem obawę, ażeby „nie poniosła klęski narodowość nasza”. Dzięki Bogu obawa nie spełniła się: miasto nasze z ogromnym naciskiem podkreśliło swój polski charakter, wybierając 63 posłów Polaków, a 20 Żydów. Tymczasem wedle pogłosek, bardzo kunsztownie rozpuszczanych na kilka dni przed wyborami, groziła nam kombinacja, wedle której Żydzi mieli szansę wybrać więcej, aniżeli połowę elektorów, a my mniej, niż połowę...

Tryumf Narodowej Demokracji jest tem pełniejszy, że naprzykład ja sam, opierając się na cyfrach ludności, w drodze kompromisu (gdyby to ode mnie zależało) przyznałbym Żydom ze 25 wyborców.

Winszuję... bardzo winszuję Narodowej Demokracji... Odniosła świetne zwycięstwo, ale dopiero przyszłość pokaże, ile ono będzie kosztowało.

A teraz wytłómaczę się z rozmaitych pesymizmów.

Materyalną postawą moich obaw były dwa fakty: pierwszy ten, że liczba prawyborców Żydów w Warszawie była większa, aniżeli przypuszczałem. Rachowałem ich na 31 proc., a pokazało się 40 procent!.. Już i to znaczy; ale było coś jeszcze gorszego. Oto, zaraz w pierwszych dniach, Żydzi bardzo licznie zgłaszali się po kartki legitymacyjne, a nasi,—bardzo ospale. Czyby kto uwierzył np. że do 20 kwietnia Żydów prawyborców zapisało się 17600 czyli 42 proc., a chrześcijan 16200 czyli 26 proc!... Zainteresowanie się wyborami było wśród chrześcijan półtora raza słabsze, aniżeli wśród Żydów.

Współrzędnie z tem zjawiskiem zaczęły krążyć pogłoski... no, daj Boże, zdrowie!.. Najłagodniejszą z nich była wiadomość, że „Żydzi idą ławą” i że obiecali dać nam takich posłów, jacy im się podobają...

Kiedy dziś przypominam sobie te dowcipne rakiety, przychodzi mi jednocześnie na myśl zdanie: „Iż jak polityk!... Pod tym względem okazaliśmy się bardzo biegłymi politykami... Trzeba zaś dodać, że nietaktowne zachowanie się stronnictwa, a raczej garstki Postępowych Demokratów nadawało prawdopodobieństwa krążącym bajkom.

— Żydzi, mówiono, pod kierunkiem Pedeków

najprzód ogłosili bojkot Dumy, ażeby naszych ludzi zdemoralizować, a teraz „idą ławą” do wyborów, gdy już zapewnili sobie większość...

Nie chcę dłużej trzymać w niepewności czytelnika... W rzeczy samej, jak dziś słyhać i jak dowiodły fakty, Żydzi nie tylko nie „szli ławą”, ale darli się między sobą prawie tak samo, jak imy... Zaś kropelka Pedeków nie tylko nie dyrygowała nimi, ale nawet nie cieszyła się tam większą powagą, aniżeli u nas...

Od Pedeków trzeba odróżnić jeszcze mniejszą kropelkę bardzo świeżo upieczonego Związku demokratycznego, którego jednak program jest o tyle jasny i prosty, o ile Pedeki był ciemny i zagmatwany. Dość naprzykład powiedzieć, że Pedekowie, „sprzymierzeńcy Kadetów”, mieli po to tylko jechać do Dumy, ażeby domagać się tam... unieważnienia wyborów w Królestwie Polskim.

A gdyby, unieważniwszy wybory w Polsce, hr. Witte unieważnił w dalszym ciągu wybory w Rosyi, gdzie także bywały stany wojenne, w co wówczas obróciłoby się zwycięstwo Kadetów?...

Co się tyczy wyborów—tam, gdzie je widziałem, zachwylił mnie ład, spokój i szybkość. Opowiadano mi jednak o nieporządkach. Nie rozumiem też, dlaczego w Cesarstwie prawyborcy sami rzucali głosy swoje do skrzynek, gdy u nas robili to członkowie komisji wyborczych. a zdaje mi się, że losować do wojska i głosować, obywatel powinien osobiście. W każdym razie, gdy chodzi o bandery, wiece, pochody, próbne głosowania, a jak obecnie, i o wybory, Narodowa Demokracja jest pierwszorzędną reżyserką.

Jaki to naprzykład był majstersztyk owo „przygotowanie umysłów”!... Ja, wyznając, bałem się rozproszenia głosów polskich. Ba, ale od czegoż „rozum polityczny”?... Przez kilka dni z rzędu puszczało się w kurs posępne wiadomości o armii żydowskiej, która w dodatku... gdzieś... kiedyś... połączyła się z „Moskalami”... Wprawdzie w dalszym ciągu pokazało się, że wielu „Moskali” głosuje za Polakami; ale skutek był!... Przestraszeni Warszawiacy nie tylko ocknęli się ze śpiączki, nie tylko tak energicznie rzucili się po karty legitymacyjne, że już w dniu 24 kwietnia było chrześcijan 36300 na 32100 Żydów, ale jeszcze partie „skoncentrowały się”... Sam słyszałem takie zdania:

— Proszę pana, ja przecież wiem, że Narodowa Demokracja to klika, ale... boję się Żydów i będę głosował za Endekami...

A ktoś drugi, bardzo, ale to bardzo zdecydowany postępować, tak mi powiedział:

— Znasz mnie pan, a ja ich znam... A jednak głosowałem za ich listą!

Cześć Wam, cześć Wam, Obywatelu! że, zapomniawszy o partyjnych niesnaskach głosowaliście, „jak jeden mąż”, i uratowaliście nas od kompromitacji... Do innych zaś będzie należało, ażeby wczorajsi komendanci Wasi, Endekowie, nie zaprowadzili Was zbyt daleko w objawach „egoizmu narodowego”.

A współobywatele nasi, Żydzi, niech nie wątpią, że polscy posłowie w Dumie, ile razy zdarzy się okazać przemówić w ich imieniu i zaprezentować przeciw uciskowi, zrobią to z taką dobrą wolą, jakgdyby chodziło o najrodzeńszych braci.

Więc jeszcze raz winszuję Narodowej Demokracji zwycięstwa, podziwiam jej energię, konsekwencję, karność, umiejętność obmyślenia i wykonywania planów, umiejętność korzystania z każdej chwili i okoliczności, mogącej doprowadzić do celu. Winszuję, a teraz powiem, dla czego—podejrzewam w tem stronnictwie pewien gatunek... polskich hakatystów...

Oprę się na najświeższych wypadkach.

Dlaczego to Endekowie nie zgodzili się na utworzenie „Koła wyborców”, na porozumienie się z innymi partiami, skoro obyczaj taki praktykuje się zarówno w Galicyi jak i w Poznańskim, i zapobiega rozstrzeleniu się głosów?

Nie zgodzili się dlatego, ażeby mieć w rękach wszelką władzę, mieć wszędzie „swoich ludzi”, ażeby wszystkich współzawodników odsunąć od politycznego stołu czy żłobu, nie lękając się przytem narazić społeczeństwa na kompromitację.

Prawda, że udało się im, niby śmiało grać, który nie waha się stawiać wszystkiego na jedną kartę. I wygrali!... Ale, co byłoby, gdyby przegrali, a my z nimi?... Do kogo poszlibyśmy na skargę, gdyby tak naprawdę, dzięki zasianym przez nich nieporozumieniom, Żydom udało się mianować 43 wyborców na 80?...

A ta kilkudniowa krucjata przeciw Żydom, jaką partya przeprowadziła dla uratowania sytuacji stworzonej przez nią samą, czy nie stanie się złym



PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY WE LWOWIE, NA WYSOKIM ZAMKU.

posiewem, którego ziarn gorzkich będziemy musieli skosztować?... Kadeci na przykład nie dokonywali wyborów pod hasłem nienawiści do kogośkolwiek... A z drugiej strony zdaje się, że A. Lednicki, poseł niezbędny dla nas, wejście do Dumy może będzie zawdzięczał żydowskiemu głosom, zaś wybór Wróblewskiego w Wilnie także zależy od Żydów...

Czy po odezwach i praktykach Narod. Demokracji Żydzi chętniej głosowaliby za Lednickim i Wróblewskim i czy lepsza była antyżydowska heca, aniżeli spokojne porozumienie?

A dalej, czy to nie reprezentanci N. D. w Łodzi odmówili Żydom miejsc do Dumy w imię zasady, „że przedstawicielstwo polskie w Dumie powinno być absolutnie jednolite“ t. j. składające się z rdzennych Polaków katolików? I co powiedzielibyśmy, gdyby podobną zasadę „rdzenności i jednolitości“ stosowano do nas, Polaków?... Czy ten epizod nie wylezie przy jakiej okazji w Dumie i nie odbije się na naszych bardzo niepewnych losach?

Powie kto, że nietolerancyjny nastrój wypływa z woli naszego narodu. A tymczasem członek tegoż narodu, p. M. Szadurski, robi N. Demom zarzut (w *Kuryerze Litewskim*), że: „chcą bronić Kościoła tylko o tyle, o ile on jest instytucją narodową“, za co nawet p. Szadurski nazywa ich nie „narodowcami“, ale „nacyonalistami“. Zdaje mi się też, że w kwestii „narodowego kościoła“ poglądy tych panów mocno przypominają teorie „prawdziwych Rosyan“, z tą różnicą, że oni przywileje chcą utrzymać dla narodowości rosyjskiej, a Endecy pragną zapewnić je narodowości polskiej, nie pomnąc, że pewne przywileje są klątwą narodów które z nich korzystają.

Wszystkim wiadomo o krwawych wydarzeniach w Lesznie. Otóż na tle tej krwi, którą przelano, i tych łez, które dopiero zaczniemy wylewać, jak wygląda artykuł jednego z narodowo-demokratycznych organów, *Słowa Polskiego*.

„Niepotrzebnie lękamy się walki bratobójczej... Ostatnia to już chwila do podjęcia energicznej walki z anarchią na życie i śmierć, bo idzie o przyszłość narodu. Musi być ta walka bezwzględna, a nie twóżyć się obawą, że to będzie wojna domowa. Historia uczy, choćby na przykładzie Anglii i Japonii, że właśnie z walk wewnętrznych wychodziły narody silnymi“...

Czy poglądy te nie przypominają rozporządzeń Murawiewa wileńskiego i czy już zrozumieliśmy, jakie owoce wydaje na naszym gruncie

„wojna domowa“?... Oto naprzód mniej liczni Polacy, zbici, pokrwawieni, uciekają przed liczniejszymi Polakami, a potem obie grupy godzą się pod nahajką kozacką.

Taki jest rezultat „wojny domowej“. Czy i nadal będzie ktoś twierdził, że „z walk wewnętrznych narody wychodzą silnymi, zwartymi, świadomymi swych zadań i interesów“?...

Otóż, łaskawi panowie, jeżeli macie zamiar jeszcze dłużej propagować wśród nas takie idee krzepkiego „narodowego egoizmu“, to wasze zwycięstwo na wyborach drogo, bardzo drogo kosztować nas będzie!...

Krótko mówiąc, hasła Nar. Demokratów, moim zdaniem, nie należą do bezpiecznych, a zwycięstwo tej partii na wyborach niewesołe ukazuje widoki w przyszłości. Ale... czy naród nasz miał co do wyboru?... Realści nie stworzyli nic realnego, Spójniacy nic nie spóili, raczej—spóźniali się, a o Postępowej Demokracji lepiej nie mówić... Jakże więc wyglądałaby Warszawa bez organizacji i działalności Nar. Demokratów?... Musielibyśmy chyba prosić komisarzy cyrkulowych, ażeby wybrali nam posłów.

Tak źle i owak niedobrze!

I znowu muszę zastrzedz, że poglądy, które tu wypisałem, przyjmuję na własny rachunek, nie solidaryzując z nimi *Tygodnika Ilustrowanego*. Ażeby zaś urozmaicić posiedzenie, opowiem wypadek nadzwyczajny, jaki trafił się jednemu z moich szanownych przyjaciół, człowiekowi zacnemu i wiarogodnemu:

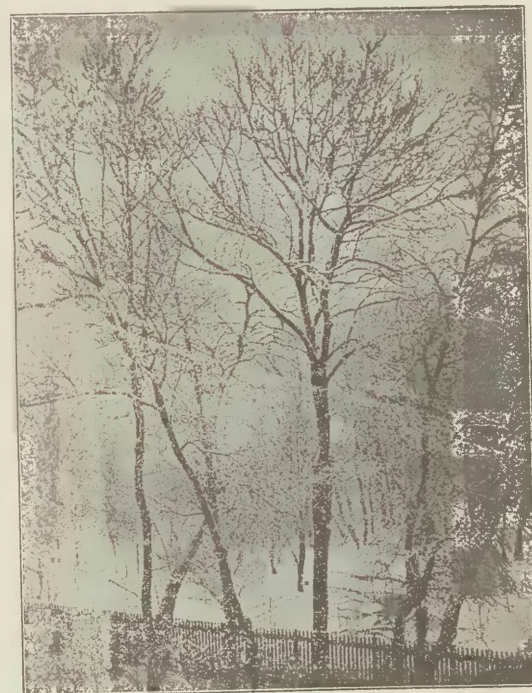
8 21 września roku zeszłego—pisze bohater zdarzenia—wracając z Warszawy do domu a zostawiając w mieście całą gotówkę (jak przystało na rzetelnego „prowincjała“) jechałem skromniutko, trzecią klasą.

Wnet za Warszawą zbliżyło się do mej ławki paru jegomościów ubranych i zaproponowało mi... grę w karty... W odpowiedzi pokazałem im moją siwiejącą brodę na znak, że już za stary dla ich planów, i głośno ostrzegłem *minorum gentium* towarzyszy podróży, którzy już otoczyli ładnie ubranych panów, przypatrywali się ich grze i... pieniądзом, okazywanym przez zmówionych kolegów tej szajki.

Gdy ostrzeżenia nie pomogły, zagroziłem szulerom, że wezwę konduktora albo żandarma. Wówczas porządnie ubrani panowie obsypali mnie gradem najwyszukańszych obelg, grożąc, że mnie zakłują...

Przerażeni awanturą inni podróżni namawiali mnie, ażebym nie przeszkadzał szulerom, którzy gotowi są wykonać swoje pogroźki. Konduktorów oczekiwałem napróżno, żaden nie zjawił się... I dopiero w Otwocku wysiadłem, aby poszukać jakiej pomocy, gdyż porządni panowie wciąż obsypywali mnie najhaniebniejszymi wymysłami i grozili śmiercią.

W Otwocku najpierwej spostrzegłem strażnika ziemskiego, który... odmówił mi jakiegokolwiek pomocy. Później dopiero ukazał się żandarm, ale zamiast zwrócić się do szulerów, a przynajmniej wybadać współpodróżnych: o co chodzi? on mnie zaczął wypytywać o paszport, miejsce zamieszkania i t. d. Notabene badał mnie podniesionym głosem, uroczyście, wobec tych samych panów, którzy grozili mi śmiercią. A gdy zrobiłem mu w tej kwestii uwagę, żandarm odpowiedział, że



PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY WE LWOWIE, W OGRODZIE PRYWATNYM.

tych panów zna dobrze, więc pytać ich o nic nie potrzebuje.

W Otwocku szulerzy zostali, do mnie zaś z sąsiedniego wagonu zbliżyło się paru panów kolejarzy (jadących w stronę Dębina na wybory delegatów kolejowych do Petersburga) i prosili mnie w imię sprawiedliwości i publicznego dobra, ażebym opis tej sprawy wniósł do księgi zażaleń, oni zaś poprą mnie, gdzie potrzeba. Między owymi panami znajdował się radca prawny Dróg Nadwileżańskich, jakiś Rosyanin z Warszawy. Na moje nieszczęście nazwisk tych panów nie zanotowałem, skargę napisałem dopiero w Kowlu, a po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź, że gra w karty w wagonie nie była stwierdzona, że konduktorzy ostrzegali podróżnych przed szulerami i t. d.

Te rzeczy są dla nas zwyczajne; ale teraz zaczęły się nadzwyczajne. Wkrótce bowiem otrzymałem trzykrotne wezwanie do sądu gminnego w Otwocku, jako obwiniony... o grę w karty w wagonie... Sądząc, że przez omyłkę zamiast: „obwinitel“ nazwany został: „obwiniajemij“ i nie mając czasu, aż zza Buga jechać do Otwocka, napisałem do sędziego gminnego wyjaśnienie zajścia i spałem spokojnie.

Nagle... otrzymuję wyrok, od 3-go sądu okręgu Nowomińskiego we wsi... (nazwisko jej korespondent napisał niewyraźnie), z dnia 17 marca 1906-go roku, wyrok, skazujący mnie za... grę w karty!...

„Wł. Os..... za naruszenie spokoju w wagonie skazany na siedmiodniowy areszt policyjny, a za niedozwoloną grę hazardową w pociągu kolejowym skazuje się go na miesiąc aresztu policyjnego“...

I otóż ma pan sytuację. Za to, że ostrzegłem ludzi przed karciarzami, zwymyślano mi i grożono mi śmiercią, a za to, że napisałem skargę i odwołałem się do pomocy władz kolejowych, sam zostałem awansowany na karciarza i skazany na areszt!... W dodatku nie wiem, gdzie mógłbym znaleźć świadków tej awantury, których było w wagonie mnóstwo. Najwięcej chodziłoby mi o panów kolejarzy, jadących do Dębina, którzy zachęcali mnie do napisania skargi i obiecali poprzeć ją swoim świadectwem“...

Niniejszem powtarzam prośbę uczciwego, a ciężko pokrzywdzonego człowieka. Komuśkolwiek ze świadków owego zajścia wpadnie do rąk list niniejszy, niech raczy przysłać swój adres, bo przecież trzeba ratować ofiarę trudnych do uwierzenia nieporozumień... kolejowych!...



[illegible]

KRONIKA TYGODNIOWA

... ..
... ..
... ..
... ..
... ..

„Powie pan, że jestem skromnym, błog
opowiadaczem wypadków politycznych i społecznych.
Raczej nie, wypiszę tutaj do czytelnika nie
powody, ale skutki polityki państwa, do mo-
jej skromności... Narodowi demokraci, posłowie
demokraci, zwolennicy demokracji, spójni, ra-
dli, pełni wiary, wyczerpani, wyczerpani i nie-
zadowoleni, straszący zływizną... Czyżby przysięga
pan, że wypiszę jak w rym, nawet do góry
szafardzie karybiny? Wszak jaśnie to być po-
winno, odpowiedź na pan nie mógł wypisać to czytać,
ponieważ nie wypisać... dlatego że pan chce wiedzieć
wielu ludzi...”

[illegible]

And, by using
some sophisticated
technology, including a
teletype machine, the
company's network
provides, for example,
employees, who are
all equipped with
a—called a mobile
unit. But to take
things further, it
also has a
mobile computer

A sepia-toned photograph of the Cathedral of Salamanca, showing its large dome and surrounding architecture, partially obscured by trees in the foreground.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

1. The first step is to identify the problem. This involves understanding the situation and the goals that need to be achieved.

The above mentioned, who have been
to the 1st, 2nd, 3rd, 4th, 5th, 6th, 7th, 8th, 9th, 10th, 11th, 12th, 13th, 14th, 15th, 16th, 17th, 18th, 19th, 20th, 21st, 22nd, 23rd, 24th, 25th, 26th, 27th, 28th, 29th, 30th, 31st, 32nd, 33rd, 34th, 35th, 36th, 37th, 38th, 39th, 40th, 41st, 42nd, 43rd, 44th, 45th, 46th, 47th, 48th, 49th, 50th, 51st, 52nd, 53rd, 54th, 55th, 56th, 57th, 58th, 59th, 60th, 61st, 62nd, 63rd, 64th, 65th, 66th, 67th, 68th, 69th, 70th, 71st, 72nd, 73rd, 74th, 75th, 76th, 77th, 78th, 79th, 80th, 81st, 82nd, 83rd, 84th, 85th, 86th, 87th, 88th, 89th, 90th, 91st, 92nd, 93rd, 94th, 95th, 96th, 97th, 98th, 99th, 100th, 101st, 102nd, 103rd, 104th, 105th, 106th, 107th, 108th, 109th, 110th, 111th, 112th, 113th, 114th, 115th, 116th, 117th, 118th, 119th, 120th, 121st, 122nd, 123rd, 124th, 125th, 126th, 127th, 128th, 129th, 130th, 131st, 132nd, 133rd, 134th, 135th, 136th, 137th, 138th, 139th, 140th, 141st, 142nd, 143rd, 144th, 145th, 146th, 147th, 148th, 149th, 150th, 151st, 152nd, 153rd, 154th, 155th, 156th, 157th, 158th, 159th, 160th, 161st, 162nd, 163rd, 164th, 165th, 166th, 167th, 168th, 169th, 170th, 171st, 172nd, 173rd, 174th, 175th, 176th, 177th, 178th, 179th, 180th, 181st, 182nd, 183rd, 184th, 185th, 186th, 187th, 188th, 189th, 190th, 191st, 192nd, 193rd, 194th, 195th, 196th, 197th, 198th, 199th, 200th, 201st, 202nd, 203rd, 204th, 205th, 206th, 207th, 208th, 209th, 210th, 211th, 212th, 213th, 214th, 215th, 216th, 217th, 218th, 219th, 220th, 221st, 222nd, 223rd, 224th, 225th, 226th, 227th, 228th, 229th, 230th, 231st, 232nd, 233rd, 234th, 235th, 236th, 237th, 238th, 239th, 240th, 241st, 242nd, 243rd, 244th, 245th, 246th, 247th, 248th, 249th, 250th, 251st, 252nd, 253rd, 254th, 255th, 256th, 257th, 258th, 259th, 260th, 261st, 262nd, 263rd, 264th, 265th, 266th, 267th, 268th, 269th, 270th, 271st, 272nd, 273rd, 274th, 275th, 276th, 277th, 278th, 279th, 280th, 281st, 282nd, 283rd, 284th, 285th, 286th, 287th, 288th, 289th, 290th, 291st, 292nd, 293rd, 294th, 295th, 296th, 297th, 298th, 299th, 300th, 301st, 302nd, 303rd, 304th, 305th, 306th, 307th, 308th, 309th, 310th, 311th, 312th, 313th, 314th, 315th, 316th, 317th, 318th, 319th, 320th, 321st, 322nd, 323rd, 324th, 325th, 326th, 327th, 328th, 329th, 330th, 331st, 332nd, 333rd, 334th, 335th, 336th, 337th, 338th, 339th, 340th, 341st, 342nd, 343rd, 344th, 345th, 346th, 347th, 348th, 349th, 350th, 351st, 352nd, 353rd, 354th, 355th, 356th, 357th, 358th, 359th, 360th, 361st, 362nd, 363rd, 364th, 365th, 366th, 367th, 368th, 369th, 370th, 371st, 372nd, 373rd, 374th, 375th, 376th, 377th, 378th, 379th, 380th, 381st, 382nd, 383rd, 384th, 385th, 386th, 387th, 388th, 389th, 390th, 391st, 392nd, 393rd, 394th, 395th, 396th, 397th, 398th, 399th, 400th, 401st, 402nd, 403rd, 404th, 405th, 406th, 407th, 408th, 409th, 410th, 411th, 412th, 413th, 414th, 415th, 416th, 417th, 418th, 419th, 420th, 421st, 422nd, 423rd, 424th, 425th, 426th, 427th, 428th, 429th, 430th, 431st, 432nd, 433rd, 434th, 435th, 436th, 437th, 438th, 439th, 440th, 441st, 442nd, 443rd, 444th, 445th, 446th, 447th, 448th, 449th, 450th, 451st, 452nd, 453rd, 454th, 455th, 456th, 457th, 458th, 459th, 460th, 461st, 462nd, 463rd, 464th, 465th, 466th, 467th, 468th, 469th, 470th, 471st, 472nd, 473rd, 474th, 475th, 476th, 477th, 478th, 479th, 480th, 481st, 482nd, 483rd, 484th, 485th, 486th, 487th, 488th, 489th, 490th, 491st, 492nd, 493rd, 494th, 495th, 496th, 497th, 498th, 499th, 500th, 501st, 502nd, 503rd, 504th, 505th, 506th, 507th, 508th, 509th, 510th, 511th, 512th, 513th, 514th, 515th, 516th, 517th, 518th, 519th, 520th, 521st, 522nd, 523rd, 524th, 525th, 526th, 527th, 528th, 529th, 530th, 531st, 532nd, 533rd, 534th, 535th, 536th, 537th, 538th, 539th, 540th, 541st, 542nd, 543rd, 544th, 545th, 546th, 547th, 548th, 549th, 550th, 551st, 552nd, 553rd, 554th, 555th, 556th, 557th, 558th, 559th, 560th, 561st, 562nd, 563rd, 564th, 565th, 566th, 567th, 568th, 569th, 570th, 571st, 572nd, 573rd, 574th, 575th, 576th, 577th, 578th, 579th, 580th, 581st, 582nd, 583rd, 584th, 585th, 586th, 587th, 588th, 589th, 590th, 591st, 592nd, 593rd, 594th, 595th, 596th, 597th, 598th, 599th, 600th, 601st, 602nd, 603rd, 604th, 605th, 606th, 607th, 608th, 609th, 610th, 611th, 612th, 613th, 614th, 615th, 616th, 617th, 618th, 619th, 620th, 621st, 622nd, 623rd, 624th, 625th, 626th, 627th, 628th, 629th, 630th, 631st, 632nd, 633rd, 634th, 635th, 636th, 637th, 638th, 639th, 640th, 641st, 642nd, 643rd, 644th, 645th, 646th, 647th, 648th, 649th, 650th, 651st, 652nd, 653rd, 654th, 655th, 656th, 657th, 658th, 659th, 660th, 661st, 662nd, 663rd, 664th, 665th, 666th, 667th, 668th, 669th, 670th, 671st, 672nd, 673rd, 674th, 675th, 676th, 677th, 678th, 679th, 680th, 681st, 682nd, 683rd, 684th, 685th, 686th, 687th, 688th, 689th, 690th, 691st, 692nd, 693rd, 694th, 695th, 696th, 697th, 698th, 699

Barrett is being specifically directed to play

... ..

[illegible]

CERTAIN FORTHCOMING PAPERBACK JACKS BY COTTON
 24. 45c



potrzeba szukać daleko. Zaledwie odbyły się wybory, zadziwiająco jednomyślne pod wpływem „niebezpieczeństwa żydowskiego“, zaledwie organ demokracji narodowej miał czas wykrzyknąć: „Warszawa nasza!... my tu jesteśmy gospodarzami!“ alisci w parę dni później ogólny strajk, dwudziestocztero godzinne omdlenie miasta, przypomnielo każdemu, kto ma oczy, uszy i rozsadek, że narodowa demokracja nie jest jedynym, lecz—jednym z kilku „gospodarzy“ Warszawy, której najwyższym, najprawdziwszym gospodarzem jest... chaos... chaos... chaos...

Gdyby narodowa demokracja była owem, nie tylko nieurodzonem, ale niestety! jeszcze nawet nieoczekiwanem stronnictwem, „reprezentującym ogół interesów społecznych i posiadającym członków z każdej z wymienionych grup“, nie byłoby tego chaosu. Nie byłoby hecy antyżydowskiej, wymiany strzałów rewolwerowych między „narodowcami“ a „socjalistami“, jakgdybyśmy mieszkali gdzieś na Kaukazie, nie byłoby partyjnych wyborów i ogólnego zadrżnienia, które dziś nieco przycicha, ale ślady zostawi. I może być, że z jakichś kompromisowych wyborów, na które nie umieliśmy się zdobyć, może wyszliby ci sami posłowie, ale jakże inną byłaby ich rola, jak inne stanowisko...

W dniu 3 maja 60 wyborców przed mianowaniem posłów byli na nabożeństwie w katedrze św. Jana. Bardzo dobrze. Ale dlaczego było ich tylko 60? Ponieważ 20 innych są Żydami. O, to bardzo ważny powód! A jednak, drodzy panowie, ja sam, na moje własne oczy, w r. 1862 widywałem Żydów w kościołach... Stary Zakon nie powstrzymał ich od udziału w uroczystości „narodowej“, bo ci, którzy wówczas reprezentowali „narod

polski“, nie byli podobni do dzisiejszych narodowych demokratów, ale raczej do... dzisiejszych rosyjskich „kadetów“... Oni reprezentowali wolność dla wszystkich, nie zaś hasło; „my tu jesteśmy gospodarzami!“... Hasła takiego nie słyszałem również i u „kadetów“, ale bardzo często powtarzali je „prawdziwi Rosjanie“...

I w tem jest tragiczność położenia, że my, którzy mamy szansę korzystać z wolności, jesteśmy niżsi, daleko niżsi od naszych poprzedników, którzy za nią tylko... umierali albo szli na Syberyę!

Miły Boże, gdzie myśmy się nie spotykali z Żydami w roku 1863... I w salach obrad i w lokalach spiskowych i w kościołach i więzieniach i na placach potyczek i na stepach i pod szubienicami. I dopiero trzeba było pojawienia się „prawdziwych polskich narodowych demokratów“, ażeby już dawniej nadpsute stosunki zabagniły się po szyję!...

Kiedy robić politykę, to już dobrą!...

Za pozwoleniem. Niech nikt nie wyobraża sobie, że cała winę za chaos, panujący u nas, składam na narodową demokrację. Żydzi także potrafią być nieprzyjemnymi, a w razie czego, to i... rzucić bombę pod okna współobywateli. Socjaliści także potrafią nie rachować się z interesami społeczeństwa... Ale przecież ani Żydzi, ani socjaliści nie mówili nam, że oni są jedynymi przedstawicielami społeczeństwa, że teraz „polityka polska znajduje się w ich rękach“... Piękna to będzie polityka, jeżeli i nadal zechce rozwijać się w dotychczasowych kierunkach!...

Wszystko jednak, co działo się do tej pory, jest dopiero wstępem, przegrywką. Właściwy bal

zacznie się po przybyciu naszych posłów do Petersburga, gdzie odrazu staną, jak człowiek, który, dotychczas pływając po sadzawce, nagle... znalazł się na środku rozhukanego morza.

Do Was w tej chwili zwracam się, Panowie Przedstawiciele narodu. Jeżeli Duma rosyjska nie zostanie rozpędzona na cztery wiatry, jeżeli rozpoczną się w niej i trwać będą narady i uchwały, zanim upłynie miesiąc, przekonacie się o następujących prawdach:

Ani jedna deklamacja, które słyszeliście tu, na miejscu, nie przyda się Wam na nic: nie, wskaże Wam drogi, nie rozświetli ciemności, nie rozwikła wątpliwości, których będzie bardzo dużo.

Brak porozumienia pomiędzy stronnictwem „gospodarującym“ a pozostałymi będzie dla Was kulą u nogi, a partyjne wybory staną się źródłem słabości.

„Rady“, których udzielać Wam zechcą dotychczasowi kierownicy, mogą narazić Was na kompromitację a kraj na niebezpieczeństwo. Lecz gdy zechcecie otrząsnąć się z pod ich wpływu, kto wie, czy już nie będzie zapóźno?...

Czekają Was bardzo ciężkie chwile, więc bodajbyście znaleźli przyjaciół, których również Wam usunęto!...

W każdym razie życzymy Wam wszystkiego najlepszego, nie wątpimy, że po kilku tygodniach pracy w parlamencie staniecie się nieskończenie lepszymi od nas politykami i może Wy utworzycie zawiązek tego dziś nie istniejącego stronnictwa, które będzie reprezentowało „ogół interesów społecznych“ i będzie posiadało członków swoich we wszystkich gupach, we wszystkich partyach.

W I O S N A.

Mówisz, że do mnie wiosna uśmiechnięta
Przyszła... i trawy po rozłogach wstają,
Że ziemia bólu oków nie pamięta,
Od słońc całunku szczyty gór już tają,
Że idzie z pieśnią na ustach tęskliwą?...
Krew tętnieć, serce bić poczyna żywo

* * *

Witaj! to wiosna! Tylko przetrę oczy...
Co światła!... ja się twego światła boję...
Jaka tęsknica dziś mi duszę mroczy,
Takie do serca wspomnień lecą roje...
Tak płacz mię pali... tak mi się chce śpiewać,
Tęczę stu uczuć dziś mogę rozłsniewać...

* * *

Biegłabym z pieśnią po wąskiej ścieżynie,
Przez czarny ugór mej rozwilgłej ziemi,
Mogłabym z ptaki zrywać się lekkimi.
Mogłabym sprostać czystością dziecinie...
Bo mi się oczy rozwidniły wiosną,
Bo mi bolesno, smutno a radosno!..

Wczoraj schylone nad krawędzią łoża
Mary, jak harpie, moje piersi darły...
Oczy mi męką widzenia rozwarły,
Póki wpółżywej nie zbudziła zorza...
Choć już odbiegły te wizye tułaczę,
Zbudzonej jeszcze wstrząsały pierś płacze...

* * *

Dzisiaj nie pomnę, bo tak słońce świeci,
Strzechę słomianą, jak złotem, rozłsniewa...
I białe główki rozigranych dzieci...
Pastuch pieśń wiosny na fujarcę śpiewa,
Dziewczętom krasniej goreją rumieńce,
Śnią im się wieńce... szczęścia śnią się wieńce.

* * *

Pijane wiosną pędy w pierś mą płyną,
Słońce się wyżej ponad ziemią wznosi...
Duszę upojna melodya podnosi
I tak odurza, jak upojne wino...
Prężą się piersi, ust szkarłat się pali,
Fala się tuli do wezbranej fali.

Sznur ptaków, zda się, trzyma się za ręce
I ciągnie, głowy podnosząc do góry...
W dla duchów wolnych dościgłe lazury,
Ciężarne prawdą brzmią nuty w piosence,
Słońce, co różne już słyszało ptaki,
Pyta, czy pieśni Bóg nie śpiewa jaki?!

* * *

O tak, Bóg śpiewa, Bóg w człowieczym duchu,
Który się z kajdan martwowy wyzwolił,
Który w płomiennym natchnienia podmuchu
Miłość i czystość, i prawdę zespolił
I kochać każe, co przekląć miał chęci
Smutne pamięci pali bez pamięci...

* * *

Tak, Bóg i Słowo Ciałem się dziś stało,
Coś pierś rozszerza i przyklęknąć każe,
Jednem westchnieniem dzisiaj winy zmaże,
Bo dzisiaj we mnie słowo zamieszkało.
Zda się, że dusza z ciała mi wybiegnie,
Że je pochyli, że je złamie, zegnio!..

LILIANA.



nie serce. Z ostatnim etapem życiowej wędrówki znakomitego naszego mistrza, Aleksandra Gierymskiego, splatają się czysto idealnym włóknom usiłowania Madeyskiego, aby mu ostatnie dni osłodzić staraniami przyjaciela, a miejsce wiecznego spoczynku ozdobić trwałą pamiątką, a zarazem dziełem artysty. Pielęgnował on również napół zdiecinniałego w końcu życia Wiktora Brodzkiego, swojego kuzyna.

Ta działalność czysto humanitarna, wypływająca z serca, przepełnionego uczuciem, nie przeszkadza jednak naszemu artyście ze zdwojoną energią tworzyć swe plastyczne kreacje. W ostatnich kilku latach modeluje on doskonały biust Matejki dla gmachu Tow. przyj. sztuk pięknych w Krakowie, znakomity w wyrazie i podobieństwie biust Aleksandra Gierymskiego, zdobiący jego pomnik, popiersia niektórych członków rodziny ks. ks. Radziwiłłów, plakety z portretami: Stefana Batorego, Maryana Sokołowskiego, prof. Stroki, kobiece biusty pełne wdzięku, dystynkcji, mogące śmiało rywalizować z dziełami Guyskiego. Wykonuje również poważny w liniach, stylowo pojęty grobowiec królowej Jadwigi w katedrze wawelskiej, oraz sarkofag ks. Wł. Sanguszki dla kościoła w Tarnowie.

Ostatnim dziełem Madeyskiego jest nagrobek Władysława Warneńczyka. Z ukończonym w najdrobniejszych szczegółach utworem przybył artysta do Krakowa i tu, pod swoim okiem, każe go ustawiać. Nie znamy tego dzieła, sądząc jednak z dawniejszych prac artysty, nie można wątpić, że i ta kreacja twórcy pomnika Gierymskiego będzie w zupełności odpowiadała swą wartością wewnętrzną powadze miejsca i godnie zmanifestuje sztukę polską w przybytku, mieszczącym w sobie tyle drogich dla nas pamiątek.

Madeyski jest w sile wieku, w pełni i zupełnym wzroście swojego niepospolitego talentu. Do sztuki swej wlewa on pierwiastek zdobytej wiedzy fachowej, a stojąc na stanowisku samodzielnym, czerpie w równej mierze z tradycji, przez przeszłość nam pozostawionej, oraz z wyników usiłowań współczesnych artystów. Zaznaczając pewną stylowość, nie jest on jednak akademicznym; natura go pociąga, i w jej zrozumieniu szuka właściwej drogi, właściwego dla swojej indywidualności piętna. Należy on do tej



STEFAN BATORY

Płaskorzeźba z białego marmuru, rama ze starożytnego marmuru Pavonazzeto, dar autora dla Muzeum Narodowego, do wmurowania w jejnej z sal na zamku wawelskim.

ANTONI MADEYSKI

nielicznej garstki artystów, których ogół zrozumiał i odczuł. Dając możność artyście rozwinięcia swoich wewnętrznych zasobów przez szereg dzieł pomnikowych, dając mu moralne i materialne poparcie, społeczeństwo nasze przysparza sztuce polskiej siłę i znaczenie, zespala jej wyraz z wyrazem własnych upodobań i dążności.

H. PIĄTKOWSKI.

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

10-ty maj 1906 roku. Dzień naprawdę nie zwykły... dzień, w którym otworzony został parlament... no, może nie parlament, ale w każdym razie, duży związek parlamentu rosyjskiego... dzień,

od którego sto kilkadziesiąt milionów niewolników ma otrzymać swobody obywatelskie, a miejsce biurokratycznej samowoli ma zająć panowanie prawa...

Początek prawa... początek swobód... początek parlamentu... I to wszystko od dziś dnia ma stać się w Rosji, tej nieszczęśliwej Rosji w której jeszcze kilka lat temu Tołstoj i jemu podobni ulegali cenzurze, za wyraz „wolność“ szło się do kryminału, za naukę czytania i pisania płacono się kary, albo... wyjeżdżało się na Syberyę... W tej wreszcie Rosji, w której nad 80-cio milionowym chłopstwem wisiała... kara cielesna... Ba, gdybyż tylko wisiała!

W takiej chwili możnaby zaśpiewać: „Wesoły nam dzień zawitał“... gdyby na tym świecie istniała pomyślność zupełna... Ale, że na tym świecie nic nie jest zupełne, nie doskonałe, nie jest więc zupełna i radość Rosji ze świeżo nabytych swobód, jak niezupełne są owe swobody.

Ażeby zrozumieć sytuację, wyobraźmy sobie drabinę o 16-tu szczeblach i nazwijmy ją: drabiną pragnień czy ideałów narodu rosyjskiego. Na najwyższym szczeblu tej budowli, oznaczmy go numerem 1-ym, stoją Socjalni Demokraci rosyjscy. O parę szczebli niżej, pod numerem 4-ym, skupiają się Wolnomyślni. O szczebel niżej, pod numerem 5-ym, zgromadzili się Konstytucyjni Demokraci, przezwani Kademami; jeszcze niżej pod numerem 11-m, mieści się równie głośny Związek 30-go

października, a najniżej, na samym spodzie tej drabiny pożądań czy ideałów, bytują dwa najwsteczniejsze stronnictwa: numer 15 „Otieczestwiennyj Sajuz“ i numer 16 „Russkoje Sabranie“.

Otóż „Otieczestwiennyj Sajuz“ w taki sposób rozpoczyna swoje polityczne wyznanie wiary:

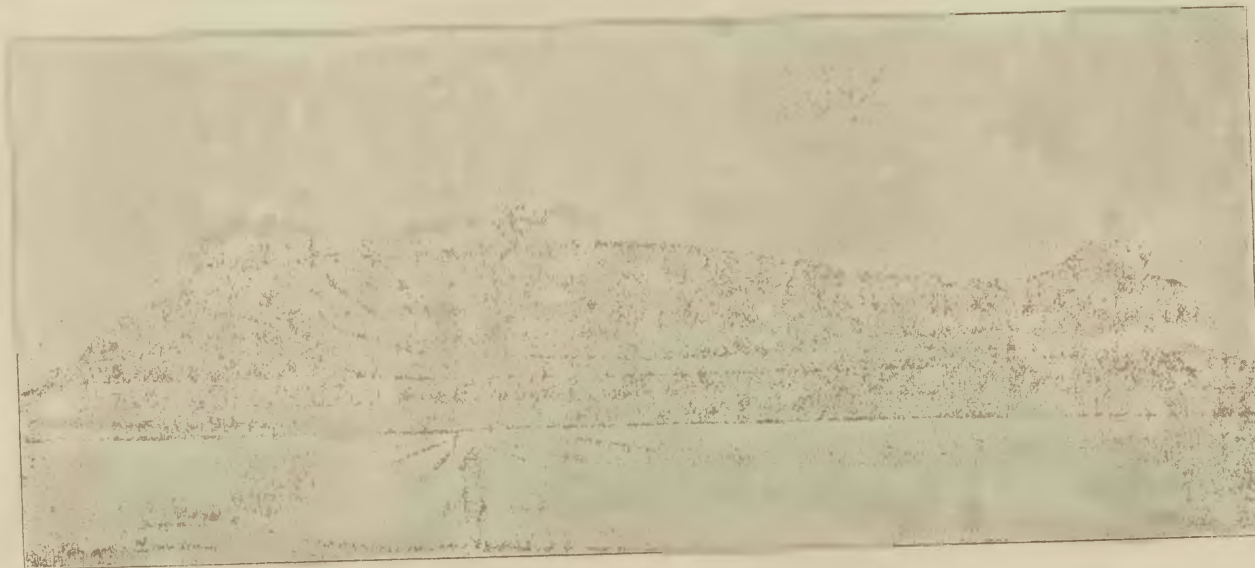
„1. Jako pierwszy i zasadniczy artykuł swego programu Związek uznaje zasadę całości i niepodzielności państwa rosyjskiego“...

A zaś „Russkoje Sabranie“ pisze:

„Russkoje Sabranie uważa, że Cesarskiego Samowładztwa nie zniósł manifest z 30 października r. z., że Samowładztwo trwać będzie na Rusi i przy nowych porządkach, a zaś Izba Państwowa niczego nie ma prawa zmieniać w ustawach zasadniczych“...

...„§ 1. Język rosyjski jest językiem panującym, wszystkie władze rządowe winny używać języka państwowego, dążąc wytrwale i niezachwianie do jedności językowej we wszystkich gałęziach życia państwowego“.

Otóż rząd, ogłaszając w przeddzień otwarcia Izby Państwowej „ustawy zasadnicze“, przynajmniej w tych punktach, które cytowaliśmy, stanął obok „Otieczestwienawo Sajuz“ i „Russkoje Sabranie“, stanął, ażeby użyć



MODEL FIGURY WŁADYSŁAWA ks. SANGUSZKI DO POMNIKA W KAPLICY CMENTARNEJ W TARNOWIE

ANTONI MADEYSKI



malowniczego zwrotu, o 10 i 11 szczeblach niżej od Kadetów, którzy w Izbie posiadają znaczną większość.

Tak bardzo konserwatywne stanowisko rządu wywołało natychmiastowy odruch w formie rezolucji Kadetów, którzy oświadczyli, że:

„W tym nowym kroku rządu widzą jawne i ostre pogwałcenie praw narodu, uroczyście przyznanych mu Manifestem z 30 października i że żadne przeszkody, tworzone przez rząd, nie powstrzymają wybrańców narodu od spełnienia zadań, które powierzył im naród.“

I otóż zaraz w pierwszym dniu, w pierwszej chwili otwarcia Izby Państwowej, mamy bardzo wyraźnie zarysowaną różnicę poglądów między rządem a wysłańcami narodu rosyjskiego. Co zaś stąd może wyniknąć?... Czy Kadeci podniosą rząd ku sobie, do góry, czy rząd ściągnie ich na dół?...

Jakkolwiek „ustawa zasadnicza“ bardzo ogranicza prawa Izby, której inicjatywa w ważnych kwestiach jest sprowadzona nieledwie do zera, to jednakże i taka ustawa, przy mądrości i dobrej woli mogłaby się stać punktem do coraz nowych, coraz obszerniejszych ulepszeń.

Naprzykład. Według § 8... „Najjaśniejszemu Panu przysługuje inicjatywa we wszystkich kwestiach ustawodawczych“... A ponieważ Najjaśniejszy Pan z własnej inicjatywy zwołał Izbę Państwową i nadał pewne swobody obywatelskie mieszkańcom Państwa rosyjskiego, jest zatem prawdopodobne, że inicjatyw takich będzie więcej, że do ich liczby może należeć wiele punktów albo nawet i cały program Kadetów, autonomia Król. Polskiego i t. p.

Krótko mówiąc, uczciwość, dobra wola i mądrość zarówno rządu, jak i przedstawicieli narodu, mogłyby przerobić ustawy niezadawalające na sprawiedliwe i pożyteczne i — tego życzymy Rosji. W przeciwnym bowiem wypadku, chorobliwy stan Państwa nie poprawi się, raczej pogorszy, ciągnąć się może lata i w rezultacie doprowadzi do wmieszania się Niemiec, co już wywołałoby następstwa, nie dające się przewidzieć.

Niemalą wskazówką: w jakim kierunku potoczą się wypadki? będzie — mowa tronowa. Że dziś miała być odczytana, o tem wiadomo; na nieśćczęście, w chwili gdy to piszę, dokument ten jeszcze nie nadszedł do Warszawy.

Tak zarysowuje się ogólnie państwowa sytuacja dnia 10 maja, około 11 wieczorem, notabene w Warszawie. Na tem bardzo jaskrawem a niepewnem tle niemniej wyraźnie odcina się „sprawa polska“, i to w sposób, którego nie nazwałbym zbyt pomyślnym.

Pomijam, że w ustawie zasadniczej o autonomicznym Królestwie Polskiego niema najlżejszej wzmianki, pomijam, że przyjaciółom naszym rosyjskim cęcięto możliwość przeprowadzenia tej sprawy; pomijam wreszcie, że niema pewności, czy według przelotów rządu nie będzie i nadal podtrzymywany choćby złagodzony system rusyfikatorski... Wszystkie te rzeczy godzi się mieć na uwadze, wszystkie i... niestety... jeszcze jedną, że, nasi rosyjscy przyjaciele już dziś zaczynają dla nas jakby chłód... Mianowicie z rozmaitych stron nadchodzą wiadomości, że Kadeci nie są zadowoleni ze zwycięstwa u nas partii Narodowo-Demokratycznej i że podejrzewają takową o chęć popierania rządu, o wyrzeczenie się walki o wolność, w zamian za pewne swobody narodowościowe.

Na to, co napisałem, nie przysięgnę, ponieważ dowodów nie mam. Z tego jednak, co słyszę i czytam, zrodziło się we mnie podejrzenie, że Kadetom nie chodzi, ani o rzekomy antysemityzm Narodowej-Demokracji ani o klęskę Pedeków, ale raczej o to, że Koło polskie, z łona Narodowej Demokracji poprostu... opuści swoich rosyjskich sprzymierzeńców i w razie czego połączy się z rządem.

Powtarzam: nie mam na to najmniejszego powodu, tylko instynkt mówi mi, że poza ostrzeże-

niami Rodiczewa i listami Lednickiego kryje się coś więcej, aniżeli skargi Żydów albo Pedeków. Gdyby zaś przeczucia moje, czego nie daj Boże, spełniły się, groziłoby nam wielkie niebezpieczeństwo, bo niechęć Rosji, dobijającej się wolności, niechęć niesłuszna, oparta na niepojmowaniu przez Rosyan naszego położenia.

W takiej już nie tylko poważnej, ale wprost ciężkiej chwili pozostają na dwie rzeczy do zrobienia:

Polscy posłowie muszą przekonać naród rosyjski o swojej dla niego życzliwości.

My zaś sami mamy święty obowiązek nie tylko nie utrudniać roboty posłom, ale — udzielić im jak największego moralnego kredytu i poparcia.

Przedewszystkiem trzeba zrozumieć sytuację. Skąd się u nas wzięło zwycięstwo partii, mocno zaprawionej szowinizmem nacyonalistycznym? Czy my nie rozumiemy tego, że istnieje u nas kwestya żydowska i że Żydzi mają takie same prawa do swobód, jak wszyscy ludzie na świecie, jak i my sami? Albo czy nie wiemy, że istnieje u nas kwestya socjalna i że byt zarówno wiejskich, jak i miejskich robotników musi uleść głębokim, choć niestety! niezbyt szybkim reformom?...

Dlaczegoż więc, pomimo wszystko, tak jaskrawo wysunęła się u nas naprzód sprawa narodowościowa? Na to niech odpowiedzą cyfry.

W Królestwie Polskiem sprawę żydowską reprezentuje 1,500,000 Żydów wobec 8,500,000 nie Żydów, zatem, natężenie sprawy żydowskiej musiało być u nas pięć do sześciu razy słabsze, aniżeli potrzeb pozostałej ludności.

W Królestwie Polskiem sprawa socjalna dotyczy, co najwyżej 2,000,000 osób rozmaitej płci, wieku i t. d. wobec 8,000,000, które do kwestyi socjalnej jeszcze nie dojrzały. Więc znowu natężenie kwestyi socjalnej musiało być cztery razy słabsze, aniżeli interesów pozostałej ludności.

Jeżeli zaś z 10 milionów ludności odtrącimy, co najwyżej, 2,000,000 na Rusinów, Żydów i t. p. to pozostałe 8,000,000 właśnie cierpią z tego powodu, że są Polakami... którym nie wolno rządzić sobą, uczyć się, słuchać sądowych rozpraw w rodzimym języku, którzy wyjęci są nie tylko z pod przywilejów, ale nawet z pod praw, wyłącznie dlatego, że są Polakami, którzy znowu dlatego tak gęsto muszą wynosić się zagranicę, ponieważ system rusyfikatorski pozbawia ich nawet chleba w kraju.

Takich dręczonych i męczonych za „sprawę polską“ jest u nas ośm milionów, cztery razy więcej, aniżeli innych narodowości. Więc trudno dziwić się, że „kwestya narodowa polska“, jest silniejsza od wszelkich innych, że występuje najjaśniej i, wprawdzie nie zasłania, nie unicestwia, ale usuwa na drugi plan wszelkie inne.

Niech pomyślą nasi przyjaciele Rosyanie, co by się stało ze studnią, z której przez szereg lat nikt wody nie czerpał? co by się stało z ziemią, której przez dziesiątki lat nikt nie uprawiał? co by się stało z ręką, której przez dziesiątki lat nie było wolno poruszać?... Studnia, ziemia i ręka zostałyby, czem są, nie zamieniłyby się w coś innego, ale byłyby chore, wynaturzone. A jeżeli rzeczy stosunkowo proste w nienormalnych warunkach psują się, wyradzają, to cóż zrobić się może z rzeczą tak subtelną, jak duch narodu, w którym przez szereg lat już nie tylko hamuje się rozwój, ale wprost poddaje się go torturom. Naród rosyjski, pomimo ciężkiej niewoli, nie ma pojęcia o tem: co znaczy dręczenie uczuć narodowych. Więc nie powinien dziwić się zwycięstwu partii, która na pierwszym miejscu postawiła sprawę naszej narodowości, ani gorszyć się przebiegiem narodowego szowinizmu. Niech zresztą porówna nasz „szowinizm“ z „patryotyzmem“ prawdziwych Rosyan, a przekona się, co było gwałtowniejsze, bezprawniejsze i szkodliwsze.

A teraz proszę sobie wyobrazić rolę polskich posłów w rosyjskiej Izbie Państwowej. Gdyby jej prace rozwijały się spokojnie, bez walki i wybuchów nienawiści partyjnej, jestem głęboko przekonany, że polscy posłowie odznaczyliby się najgorętszym popieraniem każdej wolności, każdego postępu, każdego środka, który dążyłby do usunięcia biedy, ciemnoty, nietolerancji i niesprawiedliwości.

Tymczasem w Izbie niekoniecznie zanosi na spokojne rozprawy, na stopniowe reformy, ale na gwałtowną walkę rosyjskich postępowców z rosyjskimi konserwatystami. Niechże więc teraz powie kto: jak mają tam zachować się Polacy?... Czy rzucić się w wir walki i zudawać najcięższe ciosy?... Ależ po czyjejkolwiek stanęliby stronie, z kimkolwiek zmierzyliby się, zawsze polski cios trafiłby w jakiegoś Rosyanina... Więc powiedzcie, rosyjscy przyjaciele nasi: czy w tem położeniu mogą Polacy mieszać się ostro i bezpośrednio do walki?... Czyli raczej nie jest wskazana dla nich rola łagodziciela, pojednawcy, uczciwego pośrednika, jeżeli wogóle taka rola w dzisiejszej Izbie Państwowej będzie możliwa?

Spór, choćby najgwałtowniejszy, między rosyjskimi postępowcami i rosyjskimi konserwatystami to walka między mężem a żoną... Czy więc podobna mieszać się do takiego zatargu ludziom obcym?... Niesłuchanie trudne stanowisko!... To też za objaw dobrego geniuszu narodowego uważam pogłoskę, wedle której polscy posłowie wybrali sobie miejsce na środkowych fotelach sali parlamentarnej. Takie ich stanowisko nie wyraża bynajmniej wyparcia się postępu lub wolności; oznacza tylko niesłuchaną trudność i drażliwość ich sytuacji.

Co się zaś tyczy nas, pozostałych w kraju, powtarzam raz jeszcze, mamy dwa obowiązki: udzielić naszym posłom nieograniczonego kredytu moralnego, ufać im, że zrobią najmańdrzej, najlepiej, najszlachetniej, jak tylko będzie można, a nadto nie utrudniać im położenia naszym szowinizmem w stosunku do Rosyan albo wewnątrzniemi walkami w stosunku do innych polskich stronnictw.

Trzeba im ufać!... trzeba ich szanować!... Czytelnik zna moje stanowisko do partii Narodowo-Demokratycznej, wie, co sądziłem o sposobie wyborów. Ale o zacności, o nieskazitelności Koła polskiego w Petersburgu jestem tak głęboko przekonany, że, jak się mówi, rękę dałbym sobie uciąć. Bo Koło wciela w siebie duszę narodu naszego, a ta marzycielska uciśniona, niekiedy lekomyślna dusza nigdy nie była nędzna, a bardzo często, arcyślachetna.

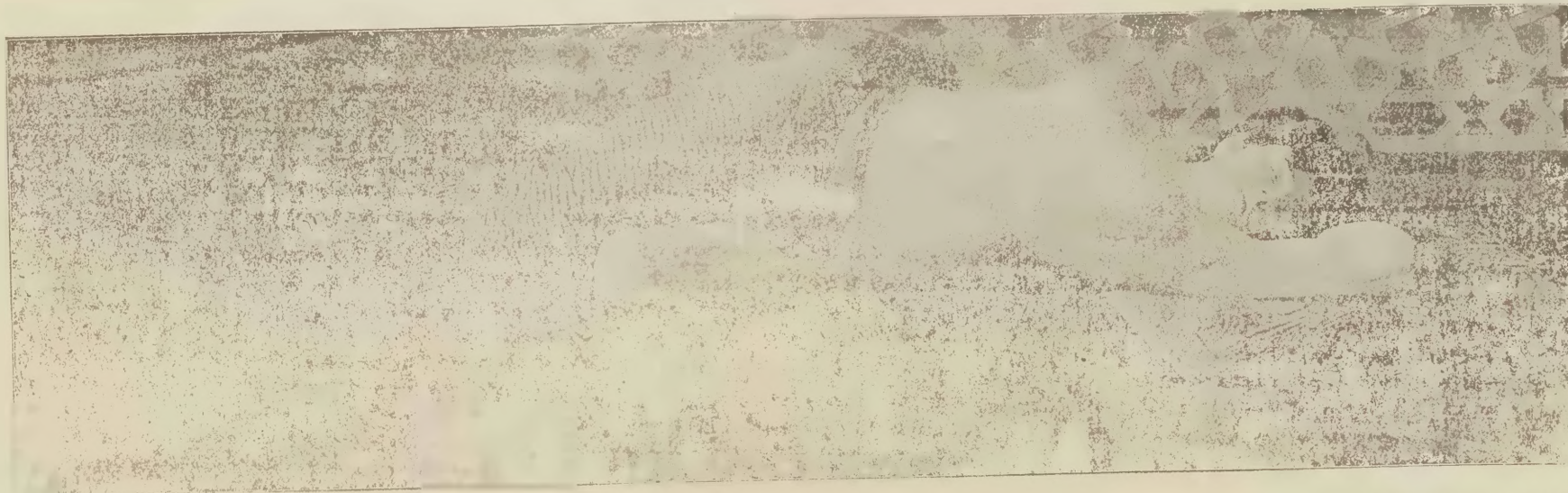
Co się zaś tyczy politycznej mądrości posłów, powiem krótko. My wszyscy jesteśmy bardzo mądrzy, strasznie mądrzy: każdy zakasuje Metternicha i Bismarcka!.. Wobec jednak naszych posłów, którzy praktycznie dotkną się polityki, jesteśmy jak człowiek, który znajduje się na ulicy, wobec człowieka, który stoi na wieży. Ten pierwszy widzi tylko... swój nos, a przed nosem kilka kroków przestrzeni i kilku przechodniów; ale ten drugi, z wieży, jeżeli nie jest zupełnie ślepy ogarnia wzrokiem nie tylko ulicę, nie tylko miasto, ale i bardzo rozległe horyzonty poza miastem.

Oni więc dojrzą od nas w stosunkach politycznych, bądźmy spokojni!... I tylko nie przeszkadzajmy im z jednej strony ogłaszaniem rozmaitych bojkotów, z drugiej, zachętą do walki domowej.

Mamy już starcia Maryawitów z katolikami; czyby jeszcze było komuś potrzebne rozdmuchać już istniejącą nienawiść pomiędzy narodowcami a socyalistami?...

A tak wyglądają odezwy niektórych pism nacyonalistycznych, odezwy które ciężko zaważyć mogą na trudnem już i bez tego stanowisku naszych posłów.





STUDYUM

Z Salonu T. Z. S. P. w Warszawie.

ALEKSANDER WAGNER

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Od kilku dni spełniają się dokoła mojej osoby jakieś tajemnicze zjawiska. Pocziwa gospodyni, pani Karczesia, patrzy na mnie zażwionemi oczyma, stróż nie kłania mi się przy ludziach, a bez ludzi kłania się bardzo ostrożnie, znajomi nie poznają mnie a nieznajomi przypatrują mi się ze współczuciem. Nareszcie od czasu do czasu zastępują mi drogę jacyś młodzieńcy i, obrzuciwszy mię pogardliwym spojrzeniem, mruczą:

— Wróg narodu!...

Jeżeli zaś tego rodzaju owacyę wyprawiają mi panienki, wówczas słyszę melodyjny szept:

— Wróg ojczyzny!...

Ponieważ w życiu moim już kilkanaście razy bywałem wrogiem bądź narodu, bądź ojczyzny, więc obecne demonstracje nie zakłóciły mi pogody ducha. I byłbym wcale nie zwrócił na nie uwagi, gdybym nie spotkał jednego z moich przyjaciół, który świeżo przyjechał z prowincji.

Wzmiankowany przyjaciel, zobaczywszy mnie, nagle zatrzymał się na chodniku i zdumionym, jeżeli nie przerażonym głosem, zapytał:

— Więc ty żyjesz?

— Chwalić Boga i mam się niczego...

— A mówiono w Piotrkowie, żeś umarł głodu?...

— Jak widzisz... tymczasem jeszcze nie...

— Więc chyba stołujesz się w domu, gdyż mówiono mi, że, choćbyś płacił złotem, w żadnej cukierni nie dostaniesz szklanki herbaty, w żadnej restauracji kawałka mięsa i żaden lekarz nie zbada cię ani zapisze ci recepty, choćbyś konał...

Zdziwiłem się i odparłem:

— Dostyc często bywam w cukierni Hotelu Europejskiego, i jakoś dotychczas nie odmawiano mi herbaty, nawet lodów... Restauracyi wogóle już nie odwiedzam, gdybym jednak umierał z głodu, może przygarnęłaby mnie do swej wybornej kuchni pani Marta Norkowska, założycielka Szkoły gospodarstwa kobiecego... Mój zaś kochany, przeznaczony doktor Bauerertz tak mnie postawił na nogi, że (oby nie wymówić w złą godzinę!) chyba nieprędko będę potrzebował nowych z jego strony wysiłków...

— Zawsze na starość spotka cię śmierć pod płotem!... westchnął przyjaciel.

— Może i to nie, gdyż obiecała mi swoją opiekę czcigodna Matka Anna Kobylańska, założycielka Przytułku Ś-go Franciszka Salezego, który, mówiąc nawiasowo, w czasie pożaru składu drzewa o mało nie spłonął, razem z kilkomaset pensjonarzami rozmaitych pici, zajęć i wieków... Gdyby zaś nie było miejsca u Ś-go Franciszka (gdzie

także zamówił sobie łóżko baron Kronenberg) wówczas może Kasa Literacka powierzy mnie opiece czcigodnej hrabiny Ożarowskiej, od wielu lat zajmującej się dolą młodych osób nagannego prowadzenia...

A przecież mam jeszcze w odwodzie mecenasa Osuchowskiego i Towarzystwo Dobroczynności i Klub cyklistów, który obiecał podobno swoich członków honorowych obdarzać na starość katarynkami... Nie wiem, rozumie się, jaki los Bóg mi przeznaczył; ale byłoby to powątpiewaniem o Jego miłosierdziu, gdybym już dziś rozpaczał na rachunek psiej starości...

— Ale bo widzisz, jako nieprzyjaciel własnego narodu...

— Któż u licha zaszczycił mię tak obiecującym tytułem?...

— Najpotężniejsze w kraju stronnictwo...

— Fiu?...

— Które postanowiło zabójkować na śmierć...

— Fiu?... fiu?...

— A cóż w takim razie stanie się z nietykalością osobistą, zniesieniem kary śmierci i t. p.?

— A ja ci radzę, jak przyjaciel, nie zajmować się już polityką...

— Ależ ja nigdy nie zajmowałem się polityką...

— No, tego nie mów!... Pisujesz artykuły polityczne, któremi obraziłeś najpotężniejsze stronnictwo...

— O do licha!.. więc w imię wolności przywrócono cenzurę?...

— Ale gdzież znowu!... mamy najzupełniejszą wolność słowa, tylko... Jeżeli nie przestaniesz obrażać najpotężniejszego stronnictwa, żadna, ale to żadne pismo nie przyjmie twoich artykułów i, rozumie się, umrzesz z głodu...

— Powiedziałem ci, że nie zajmuję się polityką, tylko bieżącymi kwestyami życia społecznego. Czy w epoce konstytucji już nie wolno opisywać faktów?...

— Wolno!.. można!.. tylko...

— Więc nie wolno wprowadzać wniosków?..

— Owszem... ale...

— A zatem nie mam prawa stawiać przepowiedni, które notabene sprawdzają się równie dobrze po kilku dniach, jak i po kilkunastu latach...

— Owszem, można i przepowiadać, ale w taki sposób, ażeby najpotężniejsze...

— A jak ja najpotężniejszemu stronnictwu przepowiem, że bardzo niedługo utraci popularność, to co?...

— To ty jeszcze wcześniej zostaniesz ogłoszony zdrajcą narodu, wykluczony z literatury, zamorzony głodem...

— A czy ci panowie wykreślą mnie i z historii cywilizacji naszego narodu?...

— Z pewnością, o ile w niej sami zostaną...

— Ha, w takim razie, już nie będę zajmował się kwestyami politycznymi, tylko jeszcze ten ostatni raz...

— Korci cię?..

— No, kiedy są tak ważne sprawy... Wreszcie sam powiedz: czy mogę dziś nie potrącić o politykę, gdy cały naród dyszy nią?... A przecież moje biedne Kroniki Tygodniowe mają niby to odzwierciedlać ducha czasu...

— Więc pisz o maju... o wybuchu Wezuwiusza, o...

— O wężu morskim?...

— Mój Boże!... mój Boże!... jak mi to przypomina młode lata i nasz kochany Komitet Cenzury, co to pozwalał pisywać o wszystkim, ale to o wszystkim, byle nie o sprawach, które nie podobaly się: generał gubernatorowi, naczelnikowi powiatu, oberpolicmajstrowi, komisarzowi cyrkulowym, komendzie żandarmskiej, dyrekcji teatrów, władzom duchownym, władzom wojskowym, cenzorowi, komisarzowi włościańskiemu, naczelnikowi straży ziemskiej i jeszcze kilkunastu władzom tudzież ich znajomym, których już nie pamiętam...

— Także pomysł!..—zawołał mój przyjaciel. Porównywasz nas z jakimiś instytucjami niewolniczymi!...

— No, a z głodu mam umrzeć niby z jakiej racy?...

— W imię wolności!.. w imię wolności i tolerancji przekonań!... O mój drogi, minęły czasy cenzury...

Zamyśliłem się. Jeżeli komuś w imię wolności proponują śmierć z głodu, ma się chyba nad czym zamyślić.

— Mój drogi, rzekłem, czy dobrze jesteś z najpotężniejszymi?...

— Doskonale!... wypełniam wszystko, co mi każą...

— A potrafisz mnie objaśnić: o czym będę mógł, a o czym nie wolno mi pisać?...

— Z przyjemnością!...

— Więc posłuchaj, co miałem na myśli...

— Wiesz, mój drogi, byłoby najlepiej, ażebyś... nie myślał... Myślenie, widzisz...

— Więc nie myślałem, tylko, fantazyowałem...

— Fantazja... fantazja... ona, to widzisz, jest



nie dobra!... Fantazyja zwykle sprowadza człowieka na manowce...

— No, więc dobrze. Nie myślałem i nie fantazyowałem, tylko... chciałem zasięgnąć informacji...

— Wybornie!...

— Chciałem dowiedzieć się: o ile moje pomysły...

— Zostawmy pomysły...

— Więc, o ile ferment mojego mózgu...

— Ferment mózgu?... to załatuje materjalizmem...

— Więc... o ile moja chęć poinformowania się...

— Doskonale!... Otóż to jest wyraz, któremu najgorętszy fanatyk wolności nie potrafi nic zarzucić... Chęć poinformowania się... wyborne!... Czuję, że bardzo prędko uświadomisz się i przystosujesz...

— Rozumie się!... Czyliż napróżno tyle lat pracowałem pod cenzurą?...

— Znowu żart!... Nie żartuj, tylko informuj się...

— Otóż trafi mnie pytanie: w jaki sposób mam traktować socjalistów?...

— Ty!... a tobie na co socjaliści?...

— No... rozumiesz... ażeby tego... dogodzić panującym opiniom...

— Przecie to już rzecz rozstrzygnięta—odparł mój przyjaciel.—„Ciemne socjalistyczne masy robotnicze są tak histerycznie sfanatyzowane, jak cała rzesza naiwnych mankietników; rozprawy i tłumaczenia nic nie pomogą. Do zaślepionych nienawiścią, do obłąkanych i głupich tłumów żadne nie trafią argumenty. Tu potrzeba siły czysto zwierzęcej przeciwstawić już nie tylko siłę duchową i współczucie, ale niestety, również siłę brutalną. Gwałty i nadużycia trzeba poprostu ukrócić...”

— Tak jak z mankietnikami?...

— Rozumie się, że tak...

— Ale mankietnicy tak nam odpowiedzieli, że już chyba nie będziemy stosowali do nich siły. Więc może i z socjalistami nie wdawać się w „siłę brutalną”?...

— No, gdyby nas mieli pokonać...

— Otóż to. Powtóre, owe poglądy na stosowanie „siły brutalnej” do „obłąkanych i głupich tłumów” przypominają mi orzeczenie jednej z najbardziej zacofanych partii: „Otoczestwiennaho Sajuz”.

„Otoczestwiennij Sajuz uważa za swój obowiązek przypomnieć społeczeństwu, ażeby surowo traktowało ruch rewolucyjny”...

— No i dobrze... — odparł mój przyjaciel.

— Jeszcze nie dobrze, ponieważ znowu

Duma petersburska traktuje rewolucjonistów bardzo pobłażliwie, prosi o amnestię dla nich, zaś niektórzy członkowie Dumy nazywają nawet rewolucjonistów swoimi przyjaciółmi...

— A cóż nas obchodzą jacyś tam radykaliści rosyjcy?

— Otóż to, że nas obchodzą... W tem samem bowiem piśmie, które tak żwawo zaleca w stosunku do socjalistów „siłę brutalną”, czytamy:

„A ponieważ partyjne skrajne (rosyjskie) właśnie chętniejby popierały autonomię Królestwa, stąd wniosek, że z ich osłabieniem i nasza sprawa może zejść trochę na bok”...

Czytając to, nie wiem doprawdy: czy mamy walczyć z partiami skrajnymi, czy szukać ich poparcia?...

— Głupia sprawa! szepnął mój przyjaciel. Więc możeby z rosyjskimi radykalistami kochać się, a do naszych stosować „brutalną siłę”?...

— Kiedy nasi porozumiewają się z tamtymi...

— A więc?...

— To więc, że możeby lepiej niestraszyć naszych socjalistów, nie grozić im, a nadewszystko, nie wyłączać z pośród narodu?... Przecież socjaliści istnieją we Francji, Rosji, Włoszech, Niemczech, Hiszpanii, Anglii, i nikt ich nie wyklucza ze społeczeństwa; my tylko jedni jesteśmy tak gorliwi...

— Nie będziesz chyba bronił socjalistów, którzy kraj zrujnowali?...

— A mnie się zdaje, że to nie koniecznie oni!... Przez 40 lat nie wolno było robotnikom upominać się o polepszenie bytu; przez 40 lat nie wolno było zachęcać kapitalistów do poprawienia bytu robotników i przez 40 lat nie było wolno kapitalistom ani przemysłowcom wprowadzać jakichkolwiek ulepszeń do życia robotników... Cóż więc dziwnego, że porobiły się straszliwe zaległości, które dziś tworzą chorobę społeczną, nawet nie wiem czy słusznie nazywają się: „socjalizmem”... To, co u nas dzieje się: bezładne strajki, bojkoty, niszczenie towarów, przymusy, a nawet zabójstwa to nie żaden socjalizm, to rodzaj społecznego tyfusu...

Wyobraź sobie, że komuś gwałtem wciągnięto na nogę bardzo ciasną pończochę gumolastyczną... Najwyżej po paru dniach noga spuściłaby, szerniała, w całym organizmie krew krążyłaby nieporządnie, i wybuchłaby gorączka... Ciasna pończocha, całego człowieka naraziłaby na chorobę!...

Naturalnie przy chorym znalazłoby się wielu znachorów... Ten radziłby okłady zimne, inny gorące; tamten—masaż, ów—bańki, a może i upust krwi, jeszcze inny — przeczyszczenie... Ale czy

wiesz, co zrobiłby prawdziwy lekarz?... Oto najpierw kazałby nieszczęsnemu pacjentowi zdjąć ową ciasną pończochę, i jest wszelka szansa, że po takiej „operacji” gorączka spadłaby, cierpienia zmniejszyłyby się, i powoli, chory odzyskałby zdrowie...

Nasze zakażenie krwi społecznej objawia się nie tylko gwałtami socjalistów. Mamy jeszcze nietolerancję, mamy bandytyzm, w którym nawet młodzież bierze udział, i mamy wiele tak strasznych objawów zdziczenia, że poprostu pisać o nich nie starczy mi odwagi... Na ten stan zapalny nie pomogą żadne okłady, żadne zażegnania, żadne upusty krwi... Trzeba raczej zdjąć ciasną pończochę czyli... dać społeczeństwu wolność, a więzionym amnestię...

— I myślisz, że te środki ulecą?...

— Przypuszczam... W żadnym jednak razie nie życzyłbym społeczeństwu, a szczególnie dziennikarstwu mieszać się do zatargów, jakie istnieją między rozmaitemi grupami robotników, albo między robotnikami a przemysłowcami. Bo my tam nic nie zażegnamy, a wiele możemy rozdrażnić i popsuć. Gdyby można było jakimś braterskim słowem wyjaśnić nieporozumienia czy załagodzić spory, wypowiedzmy takie słowo, pukajmy do serc i rozumów, ale na Boga! nie gróźmy nikomu, nie podniecajmy jednych przeciw drugim, bo to nie nasza rola... Nasza rola—kończyć, pośredniczyć, i to o tyle tylko, o ile odwołano się do nas... Wszakże zaś drażniące odezwy spotęgują nienawiści i fanatyzm, co chyba nie leży w interesie ojczyzny...

Pamiętajmy!... pamiętajmy!... o czem, niestety, bardzo często zapominamy, że obywatelami, że synami tego miłego kraju jesteśmy nie tylko sami my i ludzie naszych przekonań, ale też i ludzie innych przekonań, a nawet nasi polityczni przeciwnicy i że nikt niema prawa, nikt!... jednym wydawać patenty na patriotyzm, a innym odmawiać ich lub skazywać kogoś na śmierć głodową...

Sąd o naszych zasługach dla narodu i o wartości naszych poglądów zostawmy historii. Ona będzie miała więcej czasu i więcej materiałów do wypowiedzenia rzetelniejszego wyroku, aniżeli my, którym namiętności polityczne zasłaniają najoczywistsze, namacalne prawdy.

Mój prowincjonalny przyjaciel wysłuchał z uwagą, ale—nie zdawał się być przekonany. Należy on bowiem do tego typu ludzi, którzy wyobrażają sobie, że prawa i wolności istnieją tylko dla nich; wszystkich zaś innych obowiązuje przedkonstytucyjna formuła: „małczat’ i słuszat’!...”



REHABILITACJA

SZKIC GABRYELI ZAPOLSKIEJ.

3)

A ta bródka drży, usta w podkówkę. Znow się napiła kieliszek.

— Nie pij! to cię gubi.

— Wiem, ale co mi pozostaje?

— Jakto?

Milczy chwilę, wreszcie zrywa się, biegnie do sypialnego pokoju i rzuca się na łóżko.

— Ach! jaka ja nieszczęśliwa!

I szlocha, szlocha...

Raziewicz stoi bezsilny. Patrzy na śliczny wąty jeszcze karczek, z którego osuwa się matinka, na nóżki, obute w złote pantofelki...

I ukląkłby u tych nóżek, całował je i błagał aby ich właścicielka uspokoiła się, szlochać przestała.

Ale nie śmie.

Tylko pochylił się i powtarza:

— Co tobie? co tobie?

I niespodziewanie z ust silnie pofarbowanych *vinaigre Raisin bijou* który uraga wszystkim obiadom i pozostaje, tryumfalnie do „koralowych”, warg przywarły, wydostał się jęk:

— To... przez Rehabilitację!...

Ach tak — to tytuł sztuki próbowanej obecnie w teatrze. Cóż tam Niutce musi

w roli „kloszować”, albo i z roli nie kontenta.

Więc Raziewicz.

— Dlaczego? rola ci nie pasuje? nie czujesz się w swoim sosie?

— Głupi jesteś!...

Matinka wydyma się na ramionkach, jak żagiel. Nowy potok łez moczy batyst poduszki. I „ach!”—i „och!”—i nóżki aż dygocą z rozpacz. Słowem coś straszego.

— Chodź! wstań! przejdziemy rolę, to pojdzie jakoś...

Ale ona siada nagle na łóżku, odpycha



W innym, zawilszym stosunku do Rosyi, nie tylko wobec siły militarno-państwowej, lecz i wobec potęgi narodowo-społecznej rosyjskiej. Samo będąc złodem tylko, stańło wobec nowych komplikacji, niebezpieczeństw i obowiązków. To też dla tych dwóch powodów kardynalnych: 1) skutkiem swojej ułamkowości i wadliwości genetycznej, oraz 2) skutkiem nowych wymagań doby dzisiejszej, Królestwo Kongresowe nie może obecnie dostarczyć samo przez się taniej, mechanicznej, skostniałej formuły ostatecznej, na której mo-

żnaby poprzestać, odbić ją poprostu, jakby stary stereotyp. Zawarte w niem doraźne *minimum* prawno-polityczne, skoro odtąd poniżej niego się spadło, niezawodnie można i należy troskliwie wygarnąć. Z zawartej w niem przejściowej koncepcji kongresowej można i należy nowożytną, przysposobioną do potrzeb nowożytnych, organicznie wykrzesać. Przedewszystkiem jednak pamiętać należy, że dzisiejsza jego szansa, dzisiejszy obowiązek polega przedewszystkiem na wielkim rozmachu kulturalnym, wylatującym poza szczupłe jego

granice, na harmonijnym rozmachu statecznej energii narodowej a zarazem szczerego europejskiego postępu. Znaczenie i rola tego Królestwa przedewszystkiem jest i będzie ogniskową, winno ono przyciągać, grzać i świecić poza siebie dokoła, winno promieniować w dal i w przyszłość. W tem mianowicie ewolucyjnem znaczeniu, jako punkt wyjścia, jako jeden z punktów wyjścia dalszego narodowego i społecznego rozwoju, spoczywa dla dzisiejszego i przyszłych pokoleń waga i wartość założenia Królestwa Polskiego.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Najważniejszym wypadkiem dni ostatnich jest adres Dumy petersburskiej do Monarchy. W dokumencie tym pierwszy raz, jak świat światem, przemówił samodzielnie naród rosyjski, głośno wypowiedział swoje potrzeby i sformułował swoje ideały. Do tej pory słyszeliśmy urzędników rosyjskich, literatów, filozofów, dziennikarzy wreszcie.. dziś usłyszeliśmy społeczeństwo...

Przypuszczam, że cały świat na odezwanie się to czekał z ciekawością, a może i z niepokojem. Rosya ma opinię narodu barbarzyńskiego, można więc było obawiać się jej programu, szczególnie w epoce, kiedy n. p. ucywilizowani Prusacy w wojnie z Chińczykami pragnęli zakasować Hunnów, a dziś jeszcze z największą powagą łamią sobie głowy nad wytępieniem kilku milionów Polaków!...

Jeżeli takim jest naród filozofów, czegoż można spodziewać się od narodu chłopów?...

Otóż stał się wypadek niezwykły: „rosyjscy barbarzyńcy“ w swoich celach, w swoich pragnieniach nie tylko nie stanęli niżej od zachodnich sąsiadów, ale wprost prześcignęli ich szerokością poglądów i humanitarnością dążeń.

W adresie Dumy wyróżnić można trzy grupy żądań: 1-mo: chęć usunięcia istniejącego zła. 2-do: chęć zapewnienia narodowi, a nawet narodcm, zamieszkującym państwo rosyjskie, pomyślności i 3-io: chęć zapewnienia siebie i innych, że te bardzo rozległe projekty zostaną wykonane.

Złą jest samowola urzędników, złym stan wojenny i rozmaite stany wyjątkowe, złe nareszcie jest przepełnianie więzień ludźmi niewinnymi, albo... takimi, którzy spełniali przestępstwa z rozpaczy. Należy więc pohamować nadużycia biurokracji, znieść stany wojenne i za wszelkie przestępstwa polityczne ogłosić amnestję.

W obecnych warunkach Rosya znajduje się w przededniu bankructwa ekonomicznego, politycznego, umysłowego, nawet fizyologicznego. Aby powstrzymać ją na drodze do upadku, Duma proponuje:

Nadanie wszystkim swobody osobistej, wznawiania, prasy, zebrań, stowarzyszeń i strajków.

Równość wszystkich w obec prawa, zniesienie wszystkich przywilejów i ograniczeń, które dotychczas opierały się na różnicy stanu, wyznania, narodowości i płci.

Rozległy samorząd, oparty na głosowaniu powszechnem.

Równouprawnienia narodowości. ażeby każda mogła rozwijać się zgodnie ze swoją naturą i potrzebami.

Zniesienie kary śmierci, która w Rosyi spada tylko na przestępców politycznych.

Sprawiedliwy rozkład podatków.

Nadanie ziemi włościanom, którzy jej mają

za mało, tudzież ograniczenie obszaru posiadłości ziemskich.

Zaś do środków, zabezpieczających wprowadzenie pożądaných reform, należy:

Zniesienie Rady Państwa.

Odpowiedzialność ministrów przed Dumą.

Prawo Dumy do ustanawiania podatków.

Możność podawania patycyi do Dumy ze strony ludności.

Nareszcie w armii i flocie Duma zaprowadzi prawo i sprawiedliwość.

Oto mniej więcej dokładne streszczenie adresu.

Niektóre dzienniki europejskie, że nie powiem: francuskie, górkco wyrzucają Dumie, iż za wiele chciała wypowiedzieć w jednym dokumencie. W obec tego rodzaju poglądów człowiek ma ochotę wzruszyć ramionami. Bo wyobraźmy sobie, że do salonu wchodzi nagle ktoś wynędzniały i obdarty.

— A ty tu co robisz?... czego chcesz?... — zapytują go obecni.

— Wyszedłem z lochu... a chcę: jedzenia, picia, powietrza, odzieży, światła, ciepła, swobody...

— Człowieku, ty za dużo gadasz... za wiele masz pragnień!...

— A cóżem winien, że mam za wiele potrzeb, że za wiele nędzy gnienie mnie od niepa-miętnych czasów?... Każdy z was posiada wszystko, więc jeszcze żąda tylko czegoś, pojedynczego; ale ja nie mam nic i dla tego muszę upominać się o wszystko!...

Najwięcej zgorzienia wywołują tak zwane: „rolne projekty Dumy“, chęć skonfiskowania ziemi rządowi, klasztorom, cerkwiom, nawet wykupienie jej od prywatnych posiadaczy i oddania chłopom. Ażeby dla naszych czytelników choć jeden promyk światła rzucić na tę kwestję, zawnadźmy o... statystykę...

Wyraz statystyka wymawia ze strachem; mieszkamy bowiem w kraju, w którym (żeby nie wymówić w złą godzinę!) statystykę rozumie zaledwie... kilkunastu ludzi, a mówią o niej, nie!... żartują z niej legiony... Niedawno jeden z naszych znakomitych poetów, p. W. G., nie tylko ostrzegał swoich czytelników, że: „statystyka nie jest ewangelją“, ale jeszcze zadrwił sobie z uniżonego sługi i oskarżył, jako ten za pomocą statystyki usiłował dowodzić, iż.. literatura nasza upada...

Mylisz się, znakomity poeto!... ponieważ właśnie ja, przed kilkoma laty starałem się dowieść za pomocą cyfr, że... nasza literatura nie upada... Pańska zaś omyłka przekonywa, już po raz nie wiem który, że Pegaz zbyt wysoko latający nad poziomem statystyki, ażeby mogły orientować się w tej dziedzinie prac ludzkich. Statystyka to nie bogini, nawet nie sonet i nie symfonia, ale poprostu szkielet wiedzy o społeczeństwach. Żarto-

wać z niej i jej miłośników można, jako ze wszystkiego na tym świecie; ale w sprawach społecznych radzić się jej potrzeba, to trudno!...

A zatem...

W Rosyi europejskiej chłopci tworzą 84 proc. ogółu ludności, lecz z ogółu ziemi należy do nich tylko 35 proc., i to w formie własności gminnej. Istnieje w Rosyi także własność ziemska prywatna i obejmuje 23 proc. ogółu gruntów. W tej formie własności chłopci stanowią 57 proc., ale ziemi posiadają tylko 6 proc., podczas gdy n. p. szlachta tworzy 24 proc. ogółu właścicieli a posiada 80 proc. gruntów, około 31 razy więcej, niż chłopci.

Trzeba dodać, że do apanażów należy prawie 2 proc. ogółu gruntów Rosyi europejskiej, do miast, osad, klasztorów i cerkwi przeszło 2 proc., a do rządu przeszło 38 proc. ogółu ziemi. Z tej ilości podobno zaledwie 30-ta część, czyli około pięciu milionów dziesięcin, jest zdolna pod uprawę.

Jak małe kawałeczki ziemi posiadają niektórzy chłopci, objaśnia fakt, że n. p. w gub. połtawskiej trafiają się posiadłości, mające trzecią część morgi albo 25-tą część morgi... Bywają też posiadłości, mające 10 kroków szerokości a 60 długości...

Jeżeli cyfry te uzupełnimy uwagą, że chłopci rosyjscy bardzo niedbale, bardzo nieporządnie uprawiają ziemię, to chyba nikogo nie zadziwi następujący rezultat ich gospodarstwa:

Zaledwie 16 proc. chłopów zbierają tyle płodów, że po zaspokojeniu własnych potrzeb mogą coś sprzedać.

32 proc. chłopów zbierają tyle produktów rolnych, że akurat sami mogą się wyżywić, lecz nic sprzedać.

A nareszcie 52 proc. chłopów znajduje się w tem położeniu, że... brak im produktów rolnych na zaspokojenie własnych potrzeb... Na ogół biorąc, brakuje chłopom rosyjskim około 200 milionów pudów zboża co roku!...

Czy wobec tych cyfr można dziwić się ostrej formie w jakiej istnieje dla Rosyi „kwestya rolna“, i temu, że chłopci, którym nie wystarcza 134 miliony dziesięcin własnych, myślą o zagarnięciu 7 mil. dzies. apanażowych, 8 mil. dzie. miejskich, klasztornych, cerkiewnych i t. d., a nade wszystko owych 150 mil. dzies. rządowych, nie wyrzekając się zresztą i 91 mil. dzies. ziemi, należącej do osób prywatnych.

A jak musi im iść ślinka do ust, gdy czytają, że n. p. do 648 tajnych i rzeczywistych tajnych radców należy 3 i pół miliona dziesięcin ziemi, średnio 5,000 dziesięcin na jednego dygnitarza?

Oto kwestya rolna w grubych, ale wyraźnych zarysach.

Możemy przejść do zgryzot miejscowych.





DAWNE DYLIŻANSE FRANCUSKIE

Z Salonu Kulikowskiego.

PIOTR MICHAŁOWSKI

Zacna obywatelka ziemską, mieszkającą w sąsiedztwie jednego z naszych miast gubernialnych, zaprosiła pewnego dnia na majówkę gromadę dzieci z niższych klas męskiej i żeńskiej szkoły. Zebrali się kilkanaścioro najlepszych uczniów i uczennic, siedli na cztery wozy i około ósmej rano znaleźli się na prawdziwej wsi, w pobliżu wody i lasy. Dobra pani poczęstowała dzieci śniadaniem, wskazała miejsce do spaceru i zaprosiła na obiad, na drugą.

Dzieci z wesołej zabawy wróciły do dworu około pierwszej, a ponieważ obiadu jeszcze nie było, więc dla zabicia czasu, dobra pani zaproponowała nauczycielowi i nauczycielce mały egzamin.

— Ale ja sama będę egzaminować!... — zawołała śmiejąc się.

— Bardzo prosimy...

Nawiasowo dodam, że najstarsze z dzieci miało lat dwanaście, najmłodsze — dziesięć. I takim oto mędrcom dobra pani poczęła zadawać następujące pytania:

— Powiedz mi, kochane dziecko, co wiesz o rozwoju stanów w Polsce?...

Zapytany czerwieni się, jak burak, i milczy, jak ryba.

— Widzę, że zmieszales się... Może inne odpowie... W której polskiej prowincji przemysł jest najbardziej kwitnący?...

Zapytana czerwieni się i owija chusteczkę na palec.

— Musisz być zmęczona, więc może twoja koleżanka powie: z jakiej przyczyny pomimo żywności ziemi ludność prowincji jest uboga?...

Ani diu... diu!... Ale nauczyciel i nauczycielka są również zmieszani.

— A geografii uczyły się dzieci? — zapytuje dama.

— Owszem, proszę pani.

— Któż z nich jest najbieglejsze?...

— O ten... Kazio Bocian...

— Bardzo dobrze. Czy nie mógłbyś, ko-

chany Kaziu, powiedzieć: jaki wpływ wywiera morze na charakter narodów?...

— Morze... morze... — zaczyna Kazio. — Nie... Charakter... charakter...

I dalej ani w ząb.

Ponieważ zadzwoniono, więc pani przerwała egzamin i zaprosiła wszystkich na obiad. Dzieci, pomimo „spłókania się“, jadły z wybornym apetytem. Ale biedna nauczycielka ledwie skosztowała parę łyżek rosółu, narzekając, że ją głowa boli, a nauczyciel, nie jedząc, wyniósł się do ogrodu i przysiągł, że już na drugą majówkę nie da się złapać.

Wypadek ten, dowodzący, że można być osobą szlachetną i miłosierną i... nie znać się na pedagogii, wypadek ten nie zasługiwałby na wzmiankę, gdyby, niestety! nie przypominał, że 99 pr. naszych dzieci kształcą się wedle systemu owej zacnej filantropki i... egzaminatorki... Kolosalna większość naszych rodziców, jeżeli nie wychowawców, wlewają czy wbijają w dziecięce głowy mnóstwo frazesów, nie pytając: czy dziecko rozumie frazesy? czy zna przedmioty i zjawiska, o których wyraża się z mniejszą lub większą łatwością?

I oto mamy źródło jednego z naszych nie-szczęść, naszych przekleństw narodowych: umiemy mówić o wszystkim, o rzeczach choćby najtrudniejszych, chociaż... nie znamy ich, tylko frazesy...

Zdrowe kształcenie umysłu polega na tem, ażeby człowiek doskonale rozumiał i odczuwał wyrazy i zdania, któremi któremi się posługuje. Mówiąc: „krowa jest zwierzęciem ssącym, przeżuującym“, powinniśmy widzieć: jak wygląda krowa? jaką ona ma głowę, tułów, nogi i ogon?... Dalej, powinniśmy wiedzieć, również z przykładów wi- działnych i dotykalnych: co to jest zwierzę ssące? a nareszcie, na czym polega przeżuwanie, jakich wymaga organów, materiałów i w jaki odbywa się sposób?

To też, ile razy czy to sami uczymy się nowego wyrazu (np. fonograf, telegraf, bez drutu i t. p.),

czy chcemy nauczyć dziecko, tyle razy trzeba oglądać i pokazywać odpowiednie przedmioty, ich modele, a przynajmniej rysunki, wykonywając przytem, o ile można, odpowiednie czynności. Człowiek np. wtedy rozumie zegar, kiedy nie tylko przypatruje się jego ruchom, ale jeszcze kiedy obejrzy go we środku, a najlepiej, gdy go sam rozbierze i napowrót złoży. Człowiek wtedy rozumie „odwagę“, kiedy widzi niebezpieczeństwo i osoby, które zachowują się spokojnie, postępują tak, jakgdyby nie było niebezpieczeństwa.

I dopiero wówczas, gdy w żaden sposób nie można okazać czy obejrzeć nowego przedmiotu lub zjawiska, dopiero wówczas można odwołać się do opisów ustnych, posługując się przytem tylko wybornie znanymi wyrazami.

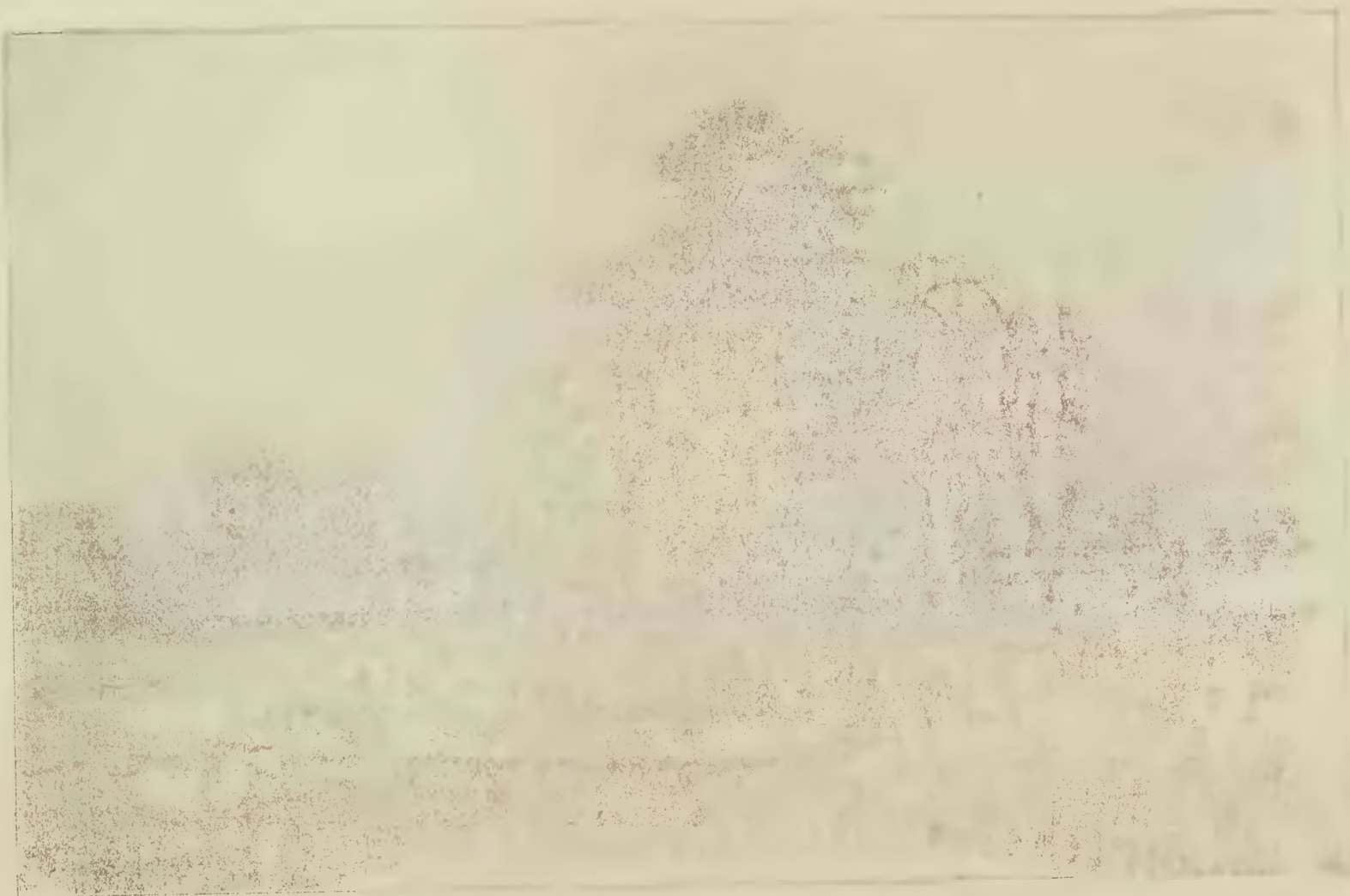
Mały nawias. Istnieje, dzięki Bogu, w Warszawie zakład p. t. „Urania“, w którym znajduje się mnóstwo okazów, modeli i rysunków, potrzebnych do konkretnego poznawania przedmiotów z zakresu: mechaniki, fizyki, chemii, mineralogii, botaniki, zoologii, kosmografii, geografii i t. p. Z drugiej strony w księgarni M. Arcta widziałem ogromny zbiór tablic poglądowych, odnoszących się do życia codziennego, rozmaitych prac ludzkich, do historii i t. p.... Otóż takie środki trzeba brać za podstawę do „kształcenia umysłów“ dzieci, a nie bając im o rzeczach, których nie widzą, nie rozumieją i o których najczęściej sam wychowawca ma słabe wyobrażenie.

Niech nasze dzieci zaczną nareszcie uczyć się faktów, a nie frazesów; niech oglądają przedmioty, dotykają ich, składają je i rozkładają; niech spełniają najrozmaitsze czynności i prace, dopiero wówczas staniemy się narodem konkretnie myślącym, nie zaś frazeologami, którzy brak treści nazywają „poezyą“ albo „nastrojem“... Przyzwyczajając dzieci i wogóle ludzi do realnego myślenia jest tysiąc razy ważniejszem, aniżeli nauczać bezmyślnych odpowiedzi na niby to mądre pytania!...



Warszawa, 9 czerwea 1906 r.

CHWILA BIEŻĄCA



TŁUCZENIE KAMIENI NA SZOSIE

FRANCISZEK KOSTZEWSKI

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mój przyjacielu, zapytujesz o dwie sprawy: co sądzę o bezrobociach?... i co sądzę o zabójstwach, nazywających się bądź „zamachami“, bądź „wyrokami“?... Odpowiem ci po kolei, a przedewszystkiem określe: co to jest praca?...

Zarzucisz mi, że jest to temat zanadto znany?... Masz słuszość: o tem, co znaczy praca, wie cały świat, i tylko u nas, przypatrując się stosunkom społecznym, odbieramy wrażenie, jakgdyby mnóstwo... mnóstwo ludzi nie pojmowało znaczenia pracy!...

Pospieszam dodać, że na kuli ziemskiej istniały poglądy, wedle których pracę uważało się za przekleństwo, za karę dla rodu ludzkiego; nie brak też, nawet i w naszej epoce, całych klas społecznych, dla których wszelka praca jest... hańbą!...

Ty, mój przyjacielu, rozumiesz, że, jak jedni, tak i drudzy myślą się. Praca bowiem nie tylko nie jest hańbą ani przekleństwem, ale przeciwnie, jest niezbędnym warunkiem ludzkiego szczęścia, jest fundamentem doskonałości i nareszcie jest tą twórczą potęgą, bez której nie mogłyby istnieć ani społeczeństwa, ani ludzie.

Zresztą nie potrzebuję przekonywać cię, że narody są tem potężniejsze, zasobniejsze i bardziej cywilizowane, im więcej wśród nich dokonywa się pracy, im praca ta jest lepsza...

Czy wiesz, na co najbardziej narzekają więźniowie?... Może na samotność?... a może na zbyt krótki spacer?... Nie, ich najmocniej udręcza brak pracy, i dopiero w tym dniu uważają się za szczę-

śliwych, kiedy dozór więzienny pozwala im zamiatać korytarze, wypłacać krzesła, strugać wykładziki...

Przyczyna tego jest bardzo prosta: organ nieczynny zanika... Gdybyśmy przez długi czas nie poruszali rękoma czy nogami, zanikłyby w nich mięśnie, ręce i nogi poczęłyby usychać... Gdybyśmy przez długi czas mieli zawiązane oczy i zakłane uszy, stopniowo zanikłyby nerwy wzrokowe i słuchowe... Krótko mówiąc, gdy człowiek nie porusza się, nie działa, nie patrzy, nie skupia uwagi, nie myśli, wówczas zaczyna obumierać... Takie obumieranie za życia jest bardzo przykre, a wyrazami jego są nuda, bezprzedmiotowa tęsknota, bezprzyczynowa rozpacz...

Słowem, praca dla fizycznego i duchowego życia jest tak niezbędna jak pokarm dla ciała... To też nie może być szczęśliwym ani ciągle głodny nędzarz, ani bogacz, skazany na próżniactwo.

Praca nie tylko utrzymuje nasze życie; ona jeszcze doskonali nas, rozwija wszelkie zdolności. Fachowy rachmistrz, dzięki pracy, daleko prędzej wykonywa arytmetyczne działania, aniżeli człowiek, nie pracujący nad rachunkami. Kto wyuczył się trzech języków, łatwiej zdobędzie czwarty, aniżeli ten, kto nie posiada żadnego języka. Szewc, krawiec, stolarz, aktor, skrzypek, malarz, dzięki wieloletniej pracy w swoich zawodach, wykonywają dzieła, których żaden z nas nie potrafiłby, które skutkiem tego napełniają nas podziwem...

Nareszcie praca tworzy wszystkie rzeczy potrzebne w życiu. Bez pracy niema zboża ani siana, bydła ani mięsa, chleba ani odzieży, lokomotywy ani śpiłki, domu ani okrętu. Bez pracy niema lekarzy ani nauczycieli, leczenia ani wycho-

wania, sztuki ani polityki, wojny ani zwycięstw. Człowiek, jeżeli chce coś posiadać, może sobie kupić; ale naród wszystko musi zrobić, wszystko wypracować.

Z powyższych uwag wynika jasny wniosek: im naród jakiś więcej pracuje, tem więcej ma dobrobytu, tem więcej ma udoskonalonych i zadowolonych jednostek. I naodwrot: nędza, barbarzyństwo, niezadowolenie są klęskami narodów, które pracują mało...

Jakie dziwne różnice mogą pod tym względem istnieć między narodami, okaże przybliżony rachunek.

Wyobraźmy sobie dwu ludzi, z których jeden pracuje 8 godzin na dzień, drugi 9 godzin; jeden przez 300 dni w roku, drugi przez 312; jednego praca jest warta 10 kop. na godzinę, drugiego 12 kop. Otóż —

pierwszy z tych panów będzie zarabiał 80 kop. na dzień, drugi 108;

pierwszy zarobi na rok 240 rubli, drugi 336; nareszcie gdy pierwszy wyda cały zarobek na swoje utrzymanie, drugi, przy tym samym stopniu dobrobytu, może oszczędzić 96 rubli rocznie.

A teraz wobraźmy sobie milion ludzi pierwszego i milion drugiego gatunku. Pierwsi po upływie roku nie będą mieli nic i po upływie 10 lat także nic: ale drudzy po upływie roku oszczędzą 96 milionów rubli, a po upływie 10 lat 960 milionów rubli. Pierwsi będą ciągle biedakami, podczas gdy drudzy za swoje ogromne oszczędności mogą budować wygodne i tanie mieszkania, przytułki, szpitale, szkoły, mogą zakupić mnóstwo użytecznych maszyn i narzędzi, które w następ-



dziesięcioleciu zwiększą ich wygody życiowe, a spotęgują pracę i oszczędności.

Po kilku dziesiątkach lat pierwsi pozostaną tem, czem byli: ubogim i zacofanym narodem, drudzy zajmą stanowisko wśród ludów przodujących ludzkości.

Jaka różnica pod względem pracy istnieje między narodami, objaśni parę faktów, wziętych na chybił trafił. Podczas gdy my, Polacy, pracujemy około 300 dni rocznie i jeszcze narzekamy na nadmiar trudów, paryskie robotnice pracują przez 365 dni!... A co się tyczy robotników, sam widziałem w Paryżu mularzy, budujących w niedzielę.

Istnieją jednak więksi od nas wygodnisie; pewien Rusin opowiadał mi, że galicyjscy Rusini skrupulatnie obchodzą wszystkie święta nie tylko unickie, ale i katolickie, a nawet żydowskie... Co zaś do godzin pracy, inny mój galicyjski przyjaciel, człowiek wiarogodny, mówił mi, że w pewnej wsi, zamieszkałej przez Mazurów i Rusinów, w chatach mazurskich zapalają ognie o 4-ej rano, gdy w rusińskich jeszcze śpią.

Nie ucisk zatem i nie „intryga polska“ jest przyczyną względnej biedy Rusinów, ale mniejsza ilość dni pracy w ciągu roku i mniejsza ilość godzin w ciągu dnia. Nie wywyższajmy się jednak wobec tych braci naszych!... o ile bowiem Rusin mniej pracuje w porównaniu z Polakiem, o tyle znowu Polak mniej pracuje w porównaniu z Niemcem, Francuzem, Anglikiem i Amerykaninem. Ale dziwna rzecz: gdy Polak przeniesie się do innego kraju, jego pracowitość bardzo wzrasta!...

Zdaje mi się, mój przyjacielu, że po tem, co powiedziałem o pracy, nie potrzebuję już objaśniać: jaka jest moja opinia o bezrobociu? Przypuszczam tylko, może się mylę, że na drabinie cywilizacyjnej, na którą wspinają się narody, każdy dzień pracy podnosi społeczeństwo o jeden szczebel w górę, a każdy dzień zastoju spycha je o szczebel na dół. Ileśmy takich szczebli przekroczyli w obu kierunkach?... sam osądz.

Pytasz mnie w dalszym ciągu: co myślę o zabójstwach i karach śmierci?... Kilka tygodni temu jedno z rosyjskich wydawnictw zwróciło się do mnie z takim samem pytaniem, na co odpowiedziałem. Ale ponieważ czas ucieka, a zapowiedziane wydawnictwo nie ukazało się, więc powtórzę, co tam napisałem.

Kiedy słyszymy o zbrodniarzu, który dla kilku groszy z całym namysłem zamordował niewinnego człowieka, wybucha w nas uczucie gniewu i mówimy:

— Takiego łotra należałoby powiesić!..

Później jednak przychodzi rozważa i przypominamy sobie, że choć, od niepamiętnych czasów do morderców stosuje się kara śmierci, rezultaty jej są żadne. Pomimo wyrafinowanych zabijań sądowych, liczba zbrodni nie zmniejsza się. Nie dość na tem: publiczne egzekucje rozbudzają w widzach najgorsze instynkty, czasami popychają do nowej zbrodni!... I jeszcze nie na tem koniec: sąd bowiem myli się niekiedy, skazuje na śmierć ludzi niewinnych, a to jest straszne.

Głębsze zastanowienie nad kwestyą budzi nowy szereg myśli. Czem jest morderca: czy nie owocem społecznych stosunków?... Czy nie uderzył nas fakt niewątpliwy i ohydny, że w rodzaju ludzkim tkwi jakby żądzą krwi i morderstw? Czy nie zastanawia nas to powszechne apoteozowanie wojny, sławienie pojedynków, te polowania, urządzane dla zabawy, w których biorą udział nie tylko dorosłe próżniaki, ale nawet młodzież i kobiety?... A co na przykład sądzić o rozrywce, polegającej na strzelaniu do gołębi, w tym celu zakupowanych i hodowanych?...

Wobec podobnych zjawisk trudno oprzeć się myślom, że prawie każdy człowiek posiada w sercu niewidzialne zwierzę drapieżne: jeden wielkości pająka lub skorpiona, drugi wielkości niedźwiedzia albo tygrysa. Skutkiem tego jeden morduje dla zabawki zające i gołębie, drugi, dla mizernego zysku — ludzi!..

Wniosek łatwy. Jeżeli chcemy usunąć ze świata rasę morderców, osiągniemy to nie zapomocą kary śmierci, która usuwa tylko jednostkę, ale zapomocą etycznego wychowywania młodych pokoleń, gdyż ten sposób osłabia drapieżne instynkty całego społeczeństwa. Zaś jednym z takich środków etycznych jest zniesienie bezużytecznej, a niekiedy i szkodliwej kary śmierci.

W Rosyi kara śmierci dla kryminalnych przestępców nie istnieje, lecz, jakby na urągawisko, tem hojniej stosuje się ją do politycznych przestępców. Dzięki czemu bywamy świadkami takich oto nadzwyczajnych wyroków.

Dwunastoletnią dziewczynkę, niesłusznie posądzoną o kradzież, bada rewirówy w ten sposób, że, schwyciwszy ją za włosy, uderza głową o ścianę. Dziecko zalewa się krwią, mdleje, choruje, w rezultacie głuchnie i bodaj czy nie zostaje idiotką. Rewirówy idzie pod sąd, który go uwalnia!...

W kilka dni później dostaje się pod sąd, tym razem wojenny, człowiek, który w gniewie uderzył żołnierza sztabą żelazną w rękę i... zostaje skazany na szubienicę!...

Jaki sens moralny z tych dwu wyroków wyciąga sumienie publiczne?... Tylko jeden: rewirówemu wolno torturować dzieci bezkarnie, lecz za potrącenie żołnierza, który sam mógł dać powód do zająścia... płaci się życiem!...

Widzieliśmy, że zbrodnie kryminalne wystają ze złośliwości, z okrucieństwa natury ludzkiej; lecz skąd się biorą przestępstwa polityczne, bardzo często spełniane przez ludzi uczciwych, niekiedy dziwnie łagodnych(!)...

Zdaje mi się, że ten rodzaj zbrodni wytwarzają rządy, naprzód uciskając społeczeństwo, potém dręcząc i zabijając te szlachetne a nadmierne wrażliwe jednostki, które ośmieliły się przeciwdziałać surowości rządu. Ileż to tysięcy ludzi skazano na Syberyę, ile dziesiątków powieszono za czyny, które usprawiedliwia Manifest z 30 października!...

Zapomocą udręczeń i zabijań gwałtem szczepiono w społeczeństwie nienawiść do członków rządu, nienawiść, która dzisiaj tak straszne przybrała rozmiary.

Tymczasem zabójstwa polityczne, zarówno spełniane przez rząd, jak i przez rewolucjonistów, nie zdały się na nie. Ilu to już ludzi rząd po-

wiesił lub rozstrzelał za zamachy, a mimo to zamachy nie ustają, owszem, mnożą się. Toż samo z rewolucjonistami. Zabili reakcyonistę Plewego, a dziś mamy jeszcze gorszą reakcyę. Nie udał się zamach na Pobiedonoscowa, i mimo to mamy tolerancyę religijną, tudzież zapowiedź reform w dziedzinie oświaty. Rzecz prosta: Plewe to jednostka. a reakcyja to prąd społeczny, a przynajmniej rządowy. Usunięcie jednostki nie zahamuje prądu, jak wydobywanie szklanki wody ze studni nie wyczerpie studni.

Powtarzam: zabójstwa polityczne, zarówno nazywające się „wyrokami“, jak i „zamachami“, nie wydają żadnych rezultatów korzystnych. Owszem, jeszcze bardziej podniecają gniew, jeszcze mocniej drażnią śpiące w człowieku zwierzę. Cóż więc robić?... Naturalnie zaprzestać morderstw politycznych. A kto ma dać do tego hasło?... Naturalnie rząd, który w porównaniu nie tylko z jednostkami, ale i z organizacjami rewolucyjnymi posiada tak olbrzymią przewagę siły fizycznej, a powinien posiadać tak ogromną wyższość umysłową, że na nim leży obowiązek rozpoczynania wielkich reform.

Obecny system dłużej trwać nie może, wywołuje bowiem zjawiska potworne. Podobno Abramowa (który katował Spiridonównę) oddano pod dozór lekarski; bardzo słusznie, gdyż taki człowiek nie może być normalnym. Zachodzi jednakże kwestya: dlaczego Spiridonówny zaraz po dokonaniu przez nią zamachu, nie oddano pod dozór lekarski zamiast dręczyć ją w sposób, który rzucił płamę na społeczeństwo, a z tej nieśczęśliwej, zanadto współczującej, pzedrażnionej kobiety zrobił męczennicę... męczennicę bez żadnych przenosi!...

Streszczam się. Kara śmierci za przestępstwa kryminalne nie istnieje w Rosyi, i to jest dobre. Zaś nie tylko kara śmierci, ale nawet udręczenia dotyczą przestępców politycznych, a to jest i złe i nielogiczne, gdyż wygląda tak, jak, gdyby rząd wolał mieć w Państwie zbrodniarzy, aniżeli ludzi zdolnych do protestu przeciwko samowoli i uciskowi.

Gdy zapanuje mądra wolność i możliwa przy ludzkiej naturze sprawiedliwość, przekroczenia polityczne same znikną; ale występki kryminalne, niestety! długo jeszcze trwać będą!...

□

Jak robi się bomba.

La Vie Illustré podaje, z powodu ostatnich wybuchów w Paryżu, ciekawy artykuł, z którego wynika, że bomby, których tyle się teraz namno-





ŚMIERĆ GENERAŁA SOWIŃSKIEGO

z zbiorów Eugeniusza Phulla

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jeżeli na niebie słońce jeszcze nie wstąpiło w znak Wagi, to już na ziemi nasza opinia publiczna stanowczo znalazła się w konstelacji pesymizmu.

Bogiem a prawdą, cieszyć się niema z czego. Gniecie nas ucisk rządu, mdli niedorzeczna sekta; chwieje się przemysł, który nigdy nie był zanadto mocnym, nędza grozi klasom pracującym, które nigdy nie doświadczały zbytku. Osłabła ochota do pracy, której i dotychczas nie byliśmy zbyt gwałtownymi wyznawcami, a natomiast pokazują się oznaki szkaradnego żdziczenia.

Tu—wysłano pannie kawałek ręki zabitego człowieka, tam—krajano kogoś nożem i solono, ażeby wydobyć zeznanie o ukrytych pieniądzach; owdzie—urznięto język głuchoniemej za to, że odpowiadać nie chciała!... A już o napadach bandyckich, o rewizjach, aresztowaniach i strzelaninie wzdłuż ulic, nawet i wspominać nie trzeba; te bowiem wypadki wszyscy mamy w świeżej—(nie powiem: we wdzięcznej) pamięci.

Krótko mówiąc, nie jest nam ani dobrze, ani zabawnie. Ktoby sobie życzył, może załamywać ręce; ale na wydzieranie włosów, na bicie głową o mur, na rozpaczanie o przyszłości kraju, na to jeszcze zawcześnie...

Zanim albowiem człowiek dopuści się aktu desperacji, dobrze zrobiłby, przypomniawszy sobie, że świat, na którym żyjemy, nie jest zbyt doskonałym ani szczęśliwym nie tylko u nas, lecz i pod innemi szerokościami i długościami jeograficznymi. Ucisk panuje nie tylko w chorej Rosyi, ale i niby to w zdrowych i „ucywilizowanych“ Prusach. Trwoży nas ledwie jedna sekta religijna, których w kon-

stytucyjnej Anglii, swobodnej Ameryce i biurokracyjnej Rosyi liczy się na dziesiątki. Prawda, mamy przesilenie ekonomiczne, podobno ciężkie; Europa jednak i Ameryka co kilkanaście lat widuje bodaj czy nie gorsze wstrząśnienia i to nie z powodu ciemnoty proletaryuszów, ale—chciwości milionerów...

Bandytyzm?... Już-ci rzecz to ohydna i niebezpieczna; możemy jednak pocieszyć się, że prawie nie ma dnia, ażeby we środku Paryża bandyci zwani tam „apaszami“ nie obdarli kogoś, albo nie stoczyli pomiędzy sobą bitwy na noże i kule rewolwerowe... Tyle tylko, że uie rozbijają banków; no, ale tam banki nieco lepiej są strzeżone...

Demoralizacja?... Prawda, kalają naszą wspólną historję niebywałe zjawiska, ale—pocieszmy się... A przynajmniej odczytajmy tę oto małą notatkę z obyczajów francuskich:

Poniedziałek. Syn poranił matkę kilkunastu pchnięciami nożem.

Wtorek. Włóczęga zgwałcił i poranił 84-rolnią kramarkę wędrowną.

Środa. Z pewnej wsi uciekł ksiądz z zakonnicą do Brukselli, gdzie mają zamiar (a nawet podobno obowiązek) pobrać się.

Czwartek. Dziadzio X... zgwałcił trzy swoje wnuczki...

Myślę, że przynajmniej pocziwi Francuzi nie powinni by urągać nam za demoralizacją. No, ale i Niemcy także mogliby zachować się spokojnie, przypomniawszy sobie rozmaitych złodziei, oszustów, łapowników i oprawców nietyko prywatnych, ale nawet występujących w roli urzędowej...

Wszystko to dzieje się w krajach takiego dobrobytu, wolności i oświaty, o jakich marzyć nam jeszcze nie wolno!... I wszystko to wyrasta na gruncie prawie najwyższej, jaką zna świat, kultury materyjalnej i umysłowej, kultury szczególnie pielęgnowanej przez kilkadziesiąt lat ostatnich!...

Przez owe kilkadziesiąt lat, tworzących schyłek XIX wieku, i przez kilka lat początku bieżącego, każdy Anglik, Amerykanin, Francuz, Niemiec, jakież dokoła siebie słyszał hasła?... Pracuj, najwytrwalej i najumiejtniej!... Ucz się!... Łącz się w związki z innymi ludźmi, w celu wzajemnego pomagania sobie!... Kochaj swoje społeczeństwo!... Kochaj i naśladowuj wielkich ludzi, którzy stworzyli cywilizację!... Dbaj o własny dobrobyt, ale i nie szkódź innym!... Broń własnej wolności i praw, ale szanuj cudzą wolność i prawa!...

A co przez te kilkadziesiąt lat działo się u nas?...

Walka z niedostatkiem, pragnienie dobrobytu, wiedzy i życzliwych stosunków z ludźmi, są to niepokonane dążenia człowieczego serca i umysłu. Dążenia te kipią w całym świecie ucywilizowanym, musiały więc żyć i w naszym społeczeństwie, ale odmienne znalazły tu warunki!... Chciałeś się uczyć pracy, nie było gdzie; jakie zaś przeszkody stawiano otwieraniu ognisk wiedzy technicznej, świadczy choćby historia szkoły Wawelberga i Rotwanda. Chciałeś czytać, nie było bibliotek, albo znajdowały się pod trzebiącym dozorem, jak nieszczęsne czytelnie Towarzystwa Dobroczynności. Chciałeś biedkowi pokazać abecadło, grożono ci karami pieniężnymi, albo i więzieniem. Chciałeś naradzić się z ludźmi swojej spe-



cyalności... cha!... cha!... pakowano wszystkich do kozy, jako spiskujących przeciw bezpieczeństwu państwa...

Gdyby kto mały strumyk pozagradzał wałami i groblami i wstrzymał jego bieg w naturalnym kierunku, strumyk, rozumie się, przestałby płynąć naprzód, ale natomiast zacząłby formować staw, potem jezioro, potem bagno...

Ile w tem bagnie, po kilkudziesięciu latach, nagromadziłoby się wodorostów, błota, wszelkiego rodzaju żywych poczwierzy i wszelkiego rodzaju zgnilizny?...

A gdyby nareszcie owe sztuczne groble pękły kiedyś pod uciśnięciem ogromnej masy wód, czy wyobrażacie sobie, że od razu zamieniłyby się w kryształowej czystości strumy i płynęłyby, poetycznie szemrzając, między kwiatami i trawą nadbrzeżną?...

Mylicie się!... Bagniste jezioro przedewszystkiem rozlałoby się po okolicy i na długi czas zatrułoby ją swoim błotem, swoją zgnilizną... A jeżeli taki byłby skutek zatamowania biegu jednego małego strumyka, jakże możecie dziwić się, że hamowane, wynatrznane przez kilkadziesiąt lat życie społeczne dyszy dzisiaj zgnilizną i jadną?...

I kogo tu oskarżać?... Czy te ciemne, nędzne, zdziczałe, napółobłąkane ofiary?... Czy bandytów, którzy pod szubienicą z płaczem polecają się opiece Matki Boskiej?... Czy dzieciaków, którzy bawiąc się rewolwerami, niewiedząco kiedy wpadają w otchłań zbrodni?... Czy może tych nieszczęsnych roboczarzy, którym nie miał kto, którym, nie wolno był tłumaczyć, że jedynym źródłem wszelkich dóbr, wygód, przyjemności nie może być ani zbiorowe próżniactwo, ani dzielenie się majątkami „burżujów“, ale praca, praca, praca wytrwała, mądra i ciągle, ciągle doskonaląca się?...

Dziwię się nie temu złemu, jakie jest, ale raczej temu, że po dziesiątkach lat, tak strasznego ogłupiania, tak potwornej demoralizacji, nie staliśmy się tysiąc razy gorszymi...

Sytuacja w rzeczywistości jest bardzo naturalna: zatruty czadem naród przy pierwszym dopływie świeżego powietrza ocknął się — chory... Żle widzi... Żle słyszy... czuje nudności i szalony ból głowy... męczą go drgawki konwulsyjne... Żywczejnie jak otrutego!... Ale niech pozwól mu odychać naprawdę czystym powietrzem, niech miną objawy chorobliwe, a bardzo prędko wszystko powróci do normalnego stanu i młoda ruń cywilizacji zazieleśni się na dotychczasowej pustyni.

Tymczasem zatruci jesteśmy wszyscy, co prawda nie w jednakowym stopniu. Jedni zupełnie, inni częściowo utracili przytomność i nie zdają sobie należytej sprawy z położenia. Inni wpadli w szal, więc wszystko niszczą dokoła siebie, albo z bronią w ręku wybiegają na ulicę, aby mordować przechodniów. Inni wreszcie czują tylko ból w sercu, ale są przytomni, mogą poruszać się, skupiać myśli, widzą ciężę chorych...

Do nich przemawiam, do tych stosunkowo najzdrowszych: nie do nieprzejednanych socjalistów, nieprzejednanych rewolucjonistów, albo nieprzejednanych narodowych demokratów. Mówię do szczerých patriotów i ludzi postępowych, do ludzi którzy kochają Ojczyznę, bez nienawiści dla obcych, kochają proletaryat bez napastowania „burżujów“, a częściej pragną naśladować wszystkich wielkich i cnotliwych mężów, nie pytając do jakiego należą narodu.

Otóż — wy najzdrowsi, wy najdoskonalsi, naj-



EMILIA PLATER. Ze zbiorów E. Phulla.

wyrozumiali i najmędrsi, pomóżcie chorym braciom naszym i choremu narodowi podźwignąć się z niemocy. Tylko od razu nie stawiajcie celów przechodzących nasze bardzo skromne siły.

Nie obiecujcie społeczeństwu zwalczyć rewolucję, bo temu nie dacie rady; rewolucję zwalczyć może tylko rząd, zapomocą uczciwych, liberalnych reform.

Nie obiecujcie wytępić bandytyzmu, bo ten może wytępić tylko dzielna i uczciwa policja.

Nie obiecujcie zaprowadzić wolności i sprawiedliwości w ciągu kilku tygodni, gdyż na to potrzeba długich lat i wysiłków całego społeczeństwa.

Nie wyklinać i nie wyłączać z narodu fanatyków nacjonalistycznych czy kosmopolitycznych, gdyż są to ludzie chorzy i nieszczęśliwi.

Nie walczyć w sposób grul i ański i policyjny ze strajkami, gdyż strajki rozumne i spokojne stanowią jedyną broń proletaryuszów przeciw nadużyciom kapitału i są uznane przez rządy ucywilizowanego świata.

Słowem, dla uleczenia społeczeństwa z gnębiącej go epidemii moralnej, róbcie tylko to, co leży w granicach naszych sił i rozumu i, co jeszcze bardziej nie zadrażni stosunków. Nadewszystko zaś nie oddawajcie ludzi pod patryotyczny sąd polowy i, w pogoni za jednym winnym, nie zabijajcie, choćby tylko moralnie, dziesiątków i setek niewinnych.

Jest to nieomal prawo natury, że naród nie wychowan w dzieciństwie, nieoświecony w dalszym biegu życia, że naród w którym zrywało się wszystkie związki pomiędzy klasami i ludźmi, tylko z praktyki może nauczyć się najprostszej mądrości życiowej. Póź my niestety znaleźliśmy się w rządzie tych nieszczęśliwych narodów, które dopiero za pomocą nędzy i krwi uczą się, że — bezładne strajki i nieuzasadnione żądania powiększają biedę, zamiast ją zmniejszać; że w społeczeństwie musi istnieć porządek, prawo i władza; że zarobków nie można podnosić bez miary i końca; że bez poszanowania osób i ich przynależności grupy ludzkie zmieniają się w stada zwierzęce i t. d.

Więc co nam pozostaje do zrobienia?.. zapytacie.

W początkach Października ukazał się w Warszawie tygodnik *Spółem!* poświęcony „sprawom kooperacji“.

Zanim więc otworzą się przed nami szersze pola działalności, a nawet i wówczas, gdy się otworzą, czytacie ów tygodnik i urzeczywistniajcie wypowiedane w nim ideały i zasady.

„Gdy chodzi o poprawę materialnych warunków bytu klas pracujących — mówi Protest — istnieją dwie drogi... Pierwsza z nich to droga walki: ludzie łączą się tutaj, ażeby zapomocą nacisku na pracodawców czy na rząd uzyskać dla siebie lepsze warunki pracy i bytu... Nie podajemy w wątpliwość doniosłości wysiłków w tym kierunku, ale nie uznajemy uroszczeń przywódców tego ruchu do pochłaniania wszystkich sił społecznych jedynie dla tej walki“...

Istnieje bowiem jeszcze inna droga ulepszenia... „Tą inną drogą jest — zrzeszanie się ludzi dla celów zbiorowej samopomocy, dla celów kooperacji... Nie chodzi tutaj, ażeby na kimś drugim wymóżyć ustępstwo, lecz o to, ażeby, przez zbiorowe a racjonalne użycie posiadanych środków, ująć we własne ręce zaspakajanie swoich potrzeb i w ten sposób osiągnąć największą sumę dobrobytu. I rezultat tutaj zależy tylko od nas samych, od naszego charakteru, inteligencji i lojalności względem swojej kooperatywy“...

... Pierwszą drogę nazwaliśmy drogą żądań, walki, nieraz połączonej z szerezeniem niewinności; druga jest drogą zabiegów twórczych, rozwijających ducha niezależności i solidarności, bez zacieśniania jej do granic partyjnych czy klasowych. I właśnie dla tego działalność kooperacyjna nazywa się szkołą solidarności i uczuć obywatelskich“...

„Pismo nasze — mówił do mnie w zakończeniu jeden z kierowników — nigdy nie będzie wchodzić się w politykę, nie stanie się partyjnym. Będzie zawsze wolnościowym i służyć będzie wyłącznie sprawom kooperacji w myśl przysłówia francuzkiego; „mam szklaneczkę malutką, ale piję z mojej własnej szklaneczki“.

A zatem co robić?... jeszcze raz zapytuje czytelnik.

Odpowiedziałam. Zawiazywać wszelkiego rodzaju stowarzyszenia, pracować w nich jak najgoręcej, trzymać się jaknajdalej od polityki, nie straszyć nikogo „walką“ lub „wyłączeniem z łona narodu“ i... czytać rozważnie tygodnik „Spółem“.

Gdy dotrzyma obietnic, spełniać jego rady gdyby nie dotrzymał...

Ale on tego nie zrobi!.



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Od kilkudziesięciu wieków człowiek stara się poznać dwie rzeczy: samego siebie i — świat, który go otacza.

W ciągu tak długiego czasu poznał on mnóstwo ważnych i zajmujących szczegółów. Zna wszystkie kości, mięśnie, nerwy i naczynia krwionośne, z których zbudowane jest jego ciało. W miarę sił stara się poznać ziemię, która go karmi, powietrze, którym oddycha, wodę, bez której niemożliwe byłoby życie. Bada, wszystko, począwszy od ziarna piasku, do słońca i gwiazd stałych, od niewidzialnej pleśni do baobabu, od mszycy do wieloryba... Koroną zaś jego wiedzy jest nie tylko znajomość, ale nawet władanie siłami natury jak: ciężkość, ruch, dźwięk, ciepło, światło, elektryczność i tak zwane powinowactwo chemiczne.

Wiedza ludzka, w stosunku do człowieka, jest olbrzymia: z książek, opisujących ją, można by ustawiać gmachy... Lecz, w stosunku do rzeczywistości, wiedza ludzka podobna jest do kropli wody, zatopionej w oceanie czy może... w stu i tysiącach oceanów niewiedomości... To, co wiemy, jest kroplą; to, o czym nie śni się filozofom, jest otchłanią bez dna i brzegów!...

W tej bezdni niewiedomości ukrywa się kilka pytań niezmiernie, pierwszorzędnej wagi dla człowieka:

Czem jest siła, która we mnie myśli, czuje i pragnie?...

Czem jest przyczyna tego świata, tej nieskończonej, ze wszystkich stron otaczającej nas rzeczywistości?

Czem wreszcie jest rzeczywistość, której granic nigdy nie dosięgną nasze zmysły i — jaki jest jej związek z naszą istotą myślącą?...

Na pytanie to nie mogą odpowiedzieć nauki doświadczalne; odpowiada na nie filozofia i religia, a szczególnie ta ostatnia, w sposób następujący:

Siła, która w nas myśli, czuje i pragnie, jest substancją różną od ciała i nieśmiertelną.

Przyczyną świata jest Stwórca wszechmyślący, wszechczujący i wszechpotężny.

Obok świata zmysłowego, zmiennego i znikomego, istnieje świat duchowy, wiekuisty, nieskończenie piękniejszy i bogatszy od materialnego, świat Boga i czystych duchów, który kiedyś stanie się i naszym dziedzictwem.

Oto trzy fundamenty każdej doskonałej religii: Bóg, dusza, życie wieczne. Nie wszyscy rozumieją to, nie wszyscy w to wierzą, nie wszystkim jest to potrzebne... Prawda!... Ale nierównie więcej jest takich, którzy np. nie rozumieją determinantów, nie wierzą w odległość słońca od ziemi i nie potrzebują analizy spektralnej, a jednak, pomimo to, determinanty i analiza spektralna istnieją, a odległość ziemi od słońca jest zmierzona...

Nierozumienie czegoś, niewierzenie w coś i niepotrzebowanie przez kogoś wcale nie dowodzi, ażeby owe coś nie istniało...

Instynkt religijny jest taką samą zdolnością w ludzkiej duszy, jak upodobania estetyczne albo talent ma-

tematyczny. Wiara zaś żywa, a szczególnie poparta głębszym rozumowaniem, jest bardzo korzystna dla człowieka. Uspokaja go, a nawet pociesza, uszlachetnia, a nade wszystko ciągle przypomina mu wielką prawdę, że to, czego nie wiemy o rzeczywistości, jest nieskończenie większe i piękniejsze, aniżeli to, co już poznaliśmy. Najdalszych potomków naszych oczekuje pod tym względem wspaniała przyszłość, byle... nie powiedzieli sobie, że już wszystko jest poznane, wszystkie rozumy zjedzone!

Religia, tak ważna w życiu jednostki, w życiu narodów odgrywa kolosalną rolę. Przypomnijmy sobie historię Asyrii i Babilonii, Egiptu, Izraela, Grecji, Rzymu, a nareszcie ludów chrześcijańskich i obrachujmy: ile najwspanialszych pomników architektury, rzeźby, poezji, malarstwa i muzyki, ile szlachetnych, prawie nadludzkich pojęć i czynów zawdzięczamy instynktowi religijnemu ludzkości?...

Zastrzegam jedno!... Tam, gdzie religia wchodziła w związek małżeński z polityką, zawsze rodziły się potwory w rodzaju tępienia innowierców przez Żydów, albo Żydów przez innowierców, prześladowania chrześcijan, palenia heretyków, wojen religijnych i t. p. Zdaje się jednak, iż nie popełnił błędów, twierdząc, że czysty ruch religijny tylko uszlachetniał narody i wprowadzał je na wyższe szczeble cywilizacji. Przykładem — narodzenie się chrześcijaństwa, mahometanizmu, a dalej — luteranizmu, kalwinizmu, purytanizmu i t. d. Sądę, że i w naszej historii epoka „nowinek“ odpowiadała najwyższej cywilizacji, i że stłumienie wolnych, szczerych prądów religijnych przez poli-

tykę jezuicką bodaj czy nie najsilniej przyczyniło się do zbarbaryzowania Polski.

U nas, dzięki dwuwiekowej ciemnocie, a wiekowej niewoli, żywy, twórczy instynkt religijny prawie zamarł. Ludzie chodzili do kościoła, jak na widowisko, modlili się, jak tybetańskie młynki, pocieszali się, że spowiedź załatwia wszelkie nieformalności życiowe, nienawidzili innowierców i sceptyków, a od Pana Boga żądali, aby załatwiał wszystkie ich potrzeby: rodzinne, higieniczne, ekonomiczne i polityczne. Pan Bóg miał obowiązek dawać nam zdrowie i majątek, na Pana Boga liczono, że — postara się o wolność dla „wybranego“ narodu... Bo przecież i my jakiś czas uważaliśmy się nie tylko za „wybrańca“, ale nawet za Chrystusa narodów!...

Ale temi kwestiami: czy jest Bóg, dusza, życie wieczne?... ale zgłębianiem nauk Chrystusowych nie zajmowaliśmy się... Polityka, literatura, teatr... wystarczały... W takim nastroju ducha nawet potworne nawracanie unitów nie wywarło na nasz naród najmniejszego wpływu, bo przecież i ich niedolą miał zajmować się Pan Bóg i Ojciec Święty.

Bagno... bagno... stęchłe, zarośnięte bagno!... oto obraz naszego narodu pod względem religijnym i bodaj czy nie pod innymi względami cywilizacyjnymi. Gdyby nie garstka dewotek w miastach, nie byłoby nawet i takiego śladu życia. A gdybym nie lękał się posądzenia o przesadę, powiedziałbym, że nasz nastrój religijny bardzo przypominał (czy tylko przypominał!) pogaństwo... Posag!... obrazy... ach!... dajmy już temu spokój..

Dziś zaczyna być cokolwiek inaczej. Naprzód, pod wpływem maryawityzmu, ocknęła się opinia publiczna; zrozumiało też duchowieństwo, że w stosunku pasterzy do ich owczarni muszą zajść pewne zmiany... Na tych jednak zmianach poprzestać nie można, musi dokonać się coś głębszego, gdyż na scenę społeczną, dzięki swobodzie słowa, występuje nowy, stokroć od maryawitów niebezpieczniejszy nieprzyjaciel: „Liga Wolnej Myśli“.

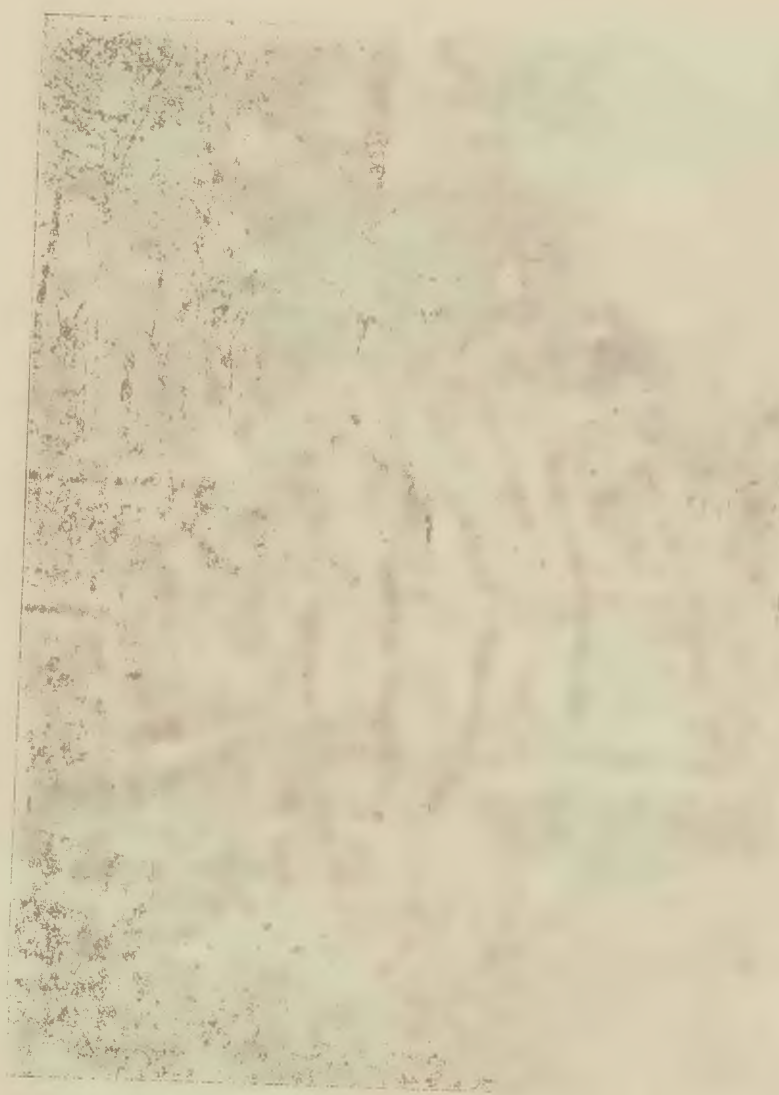
Maryawitom chodzi o zbliżenie się kapłanów do ludu, obrządków, wreszcie o kwesty finansowe... Zaś „Liga Wolnej Myśli“ wprost atakuje religię, a w ustawie swej takie głosi paragrafy:

§ 1. Polska Liga Wolnej Myśli ma na celu zwalczanie dogmatów i przesądów, szerzonych i podtrzymywanych przez religię i duchowieństwo...

§ 7. Członkiem P. L. W. M. może być każdy, nie odbywający praktyk religijnych, bez różnicy pochodzenia i płci...

Takich głosów jeszcze w tym kraju nie słyszano!

Mały nawias. Kiedy Liga mówi, że podstawą prawdziwej wolności, jest „wyzwolenie własnej myśli z krępujących ją powijałów“, że „nauka, jest opoką myślenia ludzkiego“, kiedy zaleca „ściśłą krytykę i metodę swobodnego badania“, w tych punktach godzę się z nią. Ale kiedy w „imię wolności“ zabrania swoim członkom „praktyk religijnych“,



GRÓB WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO

Rzeźba Wacława Szymanowskiego (syna)



28

to już nie jestem z nią; albowiem, jak wyżej powiedziano, uczucia religijne, byle szczere, byle, w miarę możliwości, popierane przez rozum, w życiu ludzkim i w rozwoju cywilizacji stanowią czynnik nie tylko korzystny, lecz niezbędny.

Ale gdyby mnie zapytano: czy nie należałoby: „zgnębić pisma“, które wypowiada walkę religii?... odpowiedziałbym, że—należy zostawić mu absolutną swobodę. Bogu ono nie zaszkodzi, a ludziom da trochę do myślenia i—z pewnością więcej podnieci drzemające uczucia religijne, aniżeli bezmyślne odprawianie rozmaitych obrządków.

Atakują was ateusze, niedowiarki?... Więc brońcie się, ludzie religijni, tylko nie kijem i browningiem, ale — talentem i... szlachetnymi czynami. Po to szczipak pływa w stawie, ażeby nie zatęły karpie!

Ligę Wolnej Myśli nazwałbym pożytecznym, ale—negatywnym ruchem religijnym. Zaś jako pozytywny ruch religijny, jako wskazówkę ocknięcia się sfer wierzących, uważam np. broszury Antoniego Szecha. Nie jest to już tajemnicą, że pod powyższym pseudonimem ukrywa się zakonnik, ks. Antoni Wysłuch. Mam pod ręką trzy jego dzieła: „W sprawie mankietnictwa“, — „O pracy katolickiej“ i — „Uwagi o socjalizmie“. Bardzo żałuję, że nie mogę ich streścić, i sądzę, że czytelnicy nasi nie straciliby, zaznajomiwszy się z temi broszurami.

Rzecz zrozumiała, że ich autor jest przede wszystkim gorącym katolikiem. Dla niego Kościół katolicki to matka, brat, nauczyciel, przewodnik i opiekun wszystkiego, co piękne, szlachetne i pożyteczne, w wszystkich, którzy cierpią, walczą o prawdę, szulają cębrej dręgi. A jeżeli dzisiaj Kościół jest zachwiany a duch katolicyzmu przygasa, to winien temu przede wszystkim — konserwatyzm katolicki, obojętny dla postępu, nauki, kwestyi wolnościowych, narodowych i socjalnych.

„Nic tu nie pomogą pretensjonalne okrzyki:

„z nami Bóg“—„zwyciężymy, bo bronimy dobrej sprawy“... Bóg zwycięży w końcu, to pewne—ale czy On napewno z nami i czy naprawdę ma się solidaryzować z naszym nieuctwem i zarozumiałością, z naszą pogardą dla innych i naszym faryzejstwem — to wielkie pytanie?“

Nie mam miejsca na wyliczanie reform, niezbędnych według autora, ażeby katolicyzm podźwignął się. Natomiast powiem kilka słów o „Uwagach nad socjalizmem“.

Przedewszystkiem socjalizm jest nieudolnie streszczany przez tych, którzy z nim walczą. „To, co, przedstawia się pod nazwą socjalizmu, jest stekiem nonsensów, ale nie socjalizmem; to, co się pisze, pisze się z chęcią pobudzenia do walki, wzniecenia nienawiści do socjalizmu“.

Twórcami socjalizmu nie są jacyś agitatorowie, ale — ruch ludowy, którzy teoretycy socjalizmu starają się uporządkować. „Ojcem tego ruchu jest krzywda mas, niesprawiedliwość społeczna i pogarszające zasady w ustroju społecznym... Matką — jest idea chrześcijańska, co niesie z sobą światło, które pozwala krzywdę rozpoznać i ocenić... Atmosferą, w której ruch powstał — egoizm klas wyższych, ich bezmyślność, próżniactwo, życie gorszące, wyuzdane, zbytek, wołający o pomstę wobec nędzy ludu“.

Socjalizm pragnie usunąć nędzę jednych, a zwyrodnienie drugich. „Idea socjalistyczna, idea sprawiedliwości społecznej musiałaby w końcu oświecić całe społeczeństwo... Ale wielką tą ideę sprofanowano... Wyście ją zbrzydzili, panowie socjaliści, wy, a przynajmniej bardzo wielu z was, i to najkrzykliwszych. Wyście ten brylant przedniego blasku uniezłali w błocie nienawiści i namiętności ludzkich.“

Nienawść głosicie, nienawiścią natruwacie dusze, nią oddalacie tłumy od lepszego jutra. To, co najdroższego ludziom: cnota, wiara, miłość, to im

wydziera się... I dlatego socjalizm na dziś jest sprawą przegraną“.

„Wzniosła idea, by zwyciężyć mogła, wzniosłych potrzebuje środków... I wy, gdybyście zamiast walki klas wypisali hasło sprawiedliwości ogólnej, hasło: za nasze i wasze szczęście, tobyście ludu nie stracili, a i tych „burżuów“ rozbrolibyście w znacznej mierze“...

W rezultacie tak kończy autor:

„Trzeba zreformować aktualny socjalizm, zamiast walki klas i nienawiści wzajemnej, postawić hasło ogólnego szczęścia, sprawiedliwości i miłości. Zamiast walki z religią uszanować ją, jako rzecz najświętszą i źródło wszelkich ideałów. Zamiast rewolucji—w imię ostatecznego programu Marksa—chcieć ewolucji stałej, niezmiennej, aż do zwycięstwa“.

Nie trzeba wyobrażać sobie, że autor ostatecznie potępia dzisiejszych socjalistów; on uznaje ich wielkie i liczne zasługi i mówi:

„Dzisiejsi socjaliści są szlachetniejsi, aniżeli ich hasła... Oni tylko nie wierzą w idealne instynkty ludowej duszy i w tem mylą się!“

„Uwagi o socjalizmie“ są bodaj czy nie najlepszą u nas popularną pracą o tej kwestyi, pracą, którą przesyca miłość, sprawiedliwość i rozsądek.

Streszczam się.

Jest rzeczą prawdopodobną, że zaczyna się u nas poważny ruch religijny, ruch, dotychczas prawie nieznanym naszemu społeczeństwu. Z jednej strony mamy sektę maryawitów, z drugiej gotowość duchowieństwa do pewnych reform; z jednej strony mamy antyreligijną „Myśl niepodległą“, z drugiej autora, który na żywych przykładach do-wodzi społecznej użytecznej religii.

Mojem zdaniem ruch taki jest pożądany, nieoceniony dla przyszłego naszego rozwoju. A im więcej wyznań i poglądów w ruchu tym weźmie udział, tem skutki będą rozleglejsze i lepsze.

ADAM M-SKI:

Z D U S Z Y.

*Idą, płyną myśli moje,
Jako srebrne zdroje:
Czasem w kwiaty się rozwiną,
Jak barwne powoje;
Czasem padną niepokoje,
Jak śnieg z gór lawiną,
I popłyną myśli moje,
Jak łez gorzkich zdroje.*

*Czasem snuję myśli moje,
Niby przędzy zwoje;
To znów w czarny kłęb się zwiną,
Jak chmur groźnych roje,
I uderzą, jak na boje,
Wichrową drużyną
W serce, co ma pieśni swoje
Za jedyną zbroję.*

*Czasem pieśnią tak ukoję,
Iż—śniąc dziwów troje—*

*Lecą czarów, tęcz dziedziną
Myśli-ptaki moje.
Wtem gwar—rzekłbyś, pędzą woje,
Ktoś jęczy, gdzieś giną —
To Wenedy kirów stroje
Śmiły myśli moje.*

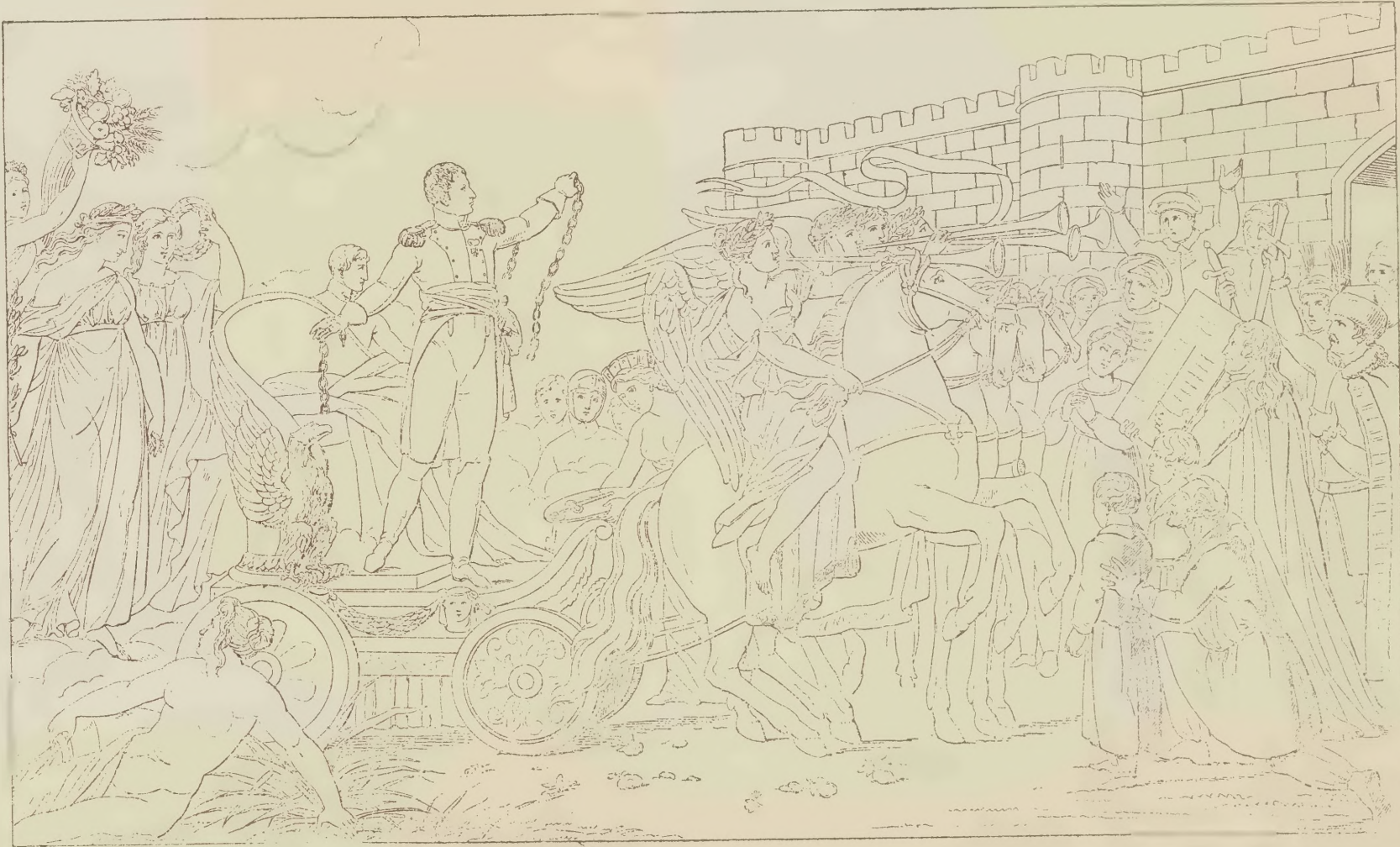
*Lel z Polelum płoną dwoje...
Ja myślami stoję
Na ich stosie. O kraino,
Gdzie stos chłonie orły, woje,
Przykowałaś myśli moje
Do tych, którzy giną!
Krew twą dałaś w żył mych zwoje,
W pieśń moją—tę twoje...*



*Czasem, niby ciężkie znoje,
Pelzną myśli moje:
Miał ziarn żywią się zgoniną,
Żółć im za napoje:
Aż, gdzie z piersi mleka zdroje
W usta dziecka płyną,
Tym widokiem uspokoję
Biedne myśli moje.*

*Tu, jak szat królewskich kroje,
Widzę wiosny stroje,
Pieśń wybucha w nieb głąb siną,
Brzęczą pszczelne roje,
Ruń okrywa ziemi stoje...
Wid—obrazy płyną—
Nowe pieśni... nowi woje...
Hej—zabiorę pod powieki
Ten jutrzniany wid daleki—
Pękni, serce moje!*





WJAZD NAPOLEONA DO WARSZAWY

CALLET

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Z pewnego miasta powiatowego (mniejsza o nazwisko) otrzymałem list tak charakterystyczny, że chcę poświęcić mu całą kronikę. Czytelnik ze źródła tego pozna jeszcze jeden prąd z wielu nurtujących nasze społeczeństwo, prąd, który bodaj czy nie jest podniecany z kilku stron, a który, prędzej czy później, da znać o sobie i może powiększyć chaos pojęć i stosunków, w jakim już jesteśmy pogrążeni.

Autor listu podpisał się: „Chłop, nie -chłop” i na początku zrobił takie zastrzeżenie: „Uważam za niezbędne powiedzieć, że pochodzę ze stanu włościańskiego i do stanu tego należę duszą i ciałem, aczkolwiek chodzę w surducie i na wsi nie mieszkam”.

Jest to człowiek szczery, niewątpliwie dobrej wiary, ale bardzo namiętny... „Jeżeli nie mam racji — mówi — to proszę mię przekonać, że się mylę, gdyż tak, jak ja, myślą miliony moich współbraci, i może nie zbyt daleki jest czas, kiedy te same myśli staną się osią publicznej dyskusji w naszych przyszłych, prawdziwie chłopskich organach prasy. Takich organów jeszcze nie ma, ale będą, bo być muszą, bo przyszłość naszego kraju do chłopów należy i od chłopów zależeć będzie. Szlachta skończyła swoją rolę: przed wiekami zabrała chłopom ziemię i roztrwoniła ją w naszych czasach”.

Zdaje się, że stanowisko autora nie potrzebowałoby objaśnień, a jednak w liście jest objaśnienie, i to dosyć ciekawe.

„...Do dnia dzisiejszego — mówi — czuję na grzbiecie i słyszę poświst ekonomicznego bata i nigdy chyba nie zapomnę tego letniego poranku, kiedy mnie, siedmioletniego wówczas chłopca, obito za to, że nie miałem siły podać wiadra wody ko-

niowi ekonomu, B...skiego. Te zapewne okoliczności zaszczyliły we mnie jad nienawiści i pogardy względem naszej szlachty. Takie, a nie inne uczucia drzemią bez wątpienia utajone we wszystkich duszach chłopskich, boć krzywdy wiekowe i t. d.”.

Zanim odpowiem autorowi listu, który tak długo i bodaj że za długo pamiętał „świst ekonomicznego batoga”, muszę zrobić w nawiasie uwagę pedagogiczną. Ach!... jak to źle... jak bardzo źle bić dzieci, najczęściej z tej racji, że one bronić się nie mogą. Właśnie z powodu owego braku obrony, braku zadośćuczynienia, uczucie krzywdy, w niniejszym wypadku usprawiedliwione, zapisuje

się w duszy na długi czas, na dłuższy, aniżeli potrzeba!...

„Wywierać teraz zemstę — mówi dalej — za krzywdy przodków na spadkobiercach krzywdzicieli nie będziemy, ale mamy nieprzedawnione prawo moralne żądać zaległej zapłaty za pracę darmo całych setek pokoleń chłopskich. A zaległość ta to nie bagatela!... ciągnie autor — i na oczekaniu robi mały rachunek takiej oto treści.

„Przypuśćmy, że w ciągu ośmiu wieków pracował na szlachtę tylko milion chłopów po trzysta dni w roku, otrzymalibyśmy 240 miliardów dni roboczych, i, jeżeli policzymy dzień tylko po groszu, wypadnie do uregulowania suma jednego miliarda dwustu milionów rubli, t. j. zapewne mniej więcej tyle, ile wynosi wartość wszystkiej ziemi, w posiadaniu szlachty obecnie będącej”...

Znajduje się w liście i okragłe słóweczko, poświęcone „narodowym demokratom”.

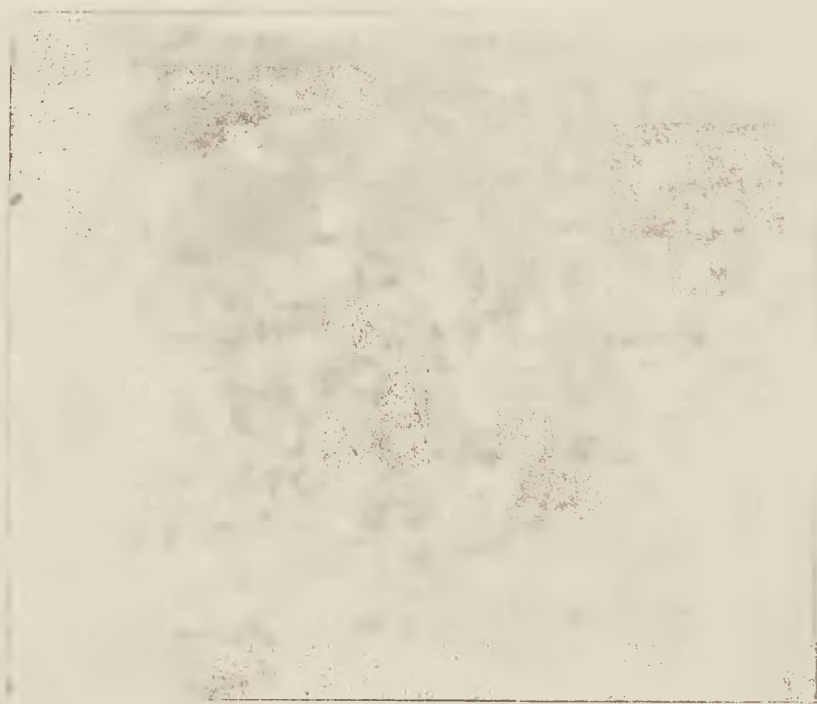
„Z jakiejże to racji partya ta nazywa siebie demokratyczną?.. Czy za to, że „łaskawie” pozwoliła pięciu milionom chłopów wybrać z pośród siebie 5, wyraźnie: pięciu posłów do Dumy?... Herbowi panowie zawieźli nas do Petersburga zapewne po to, ażeby dla nas, ciemnych, upośledzonych, zdobyć lepsze warunki bytu?.. Ale gdzież tam! Oni pojechali zdobyć autonomię kraju, ażeby podupadła szlachta mogła znaleźć utrzymanie na posadach rządowych”...

Wyznaję, że, kiedy to przeczytałem, zimno mi się zrobiło. Idźmy jednak do końca.

„Może się mylę, może w rzeczy samej autonomia dla kraju naszego jest koniecznie potrzebna, o to spierać się nie będę.. Chcę tylko zaprotestować przeciw twierdzeniu panów, że autonomii żąda naród cały. To nieprawda. Chło-

KAMRACI (ze współczesnej litografii).





SPOTKANIE W TYŁZY

WOLFF

pi, a cą oni przecie jednym z największych czynników w sumie narodu, autonomii nie żądali i nie żądają. Oni nie rozumieją, co to jest autonomia. Należy poczekać, aż chłopci sami zrozumieją potrzebę autonomii i wprowadzenia jej zażądają... Bo, jeżeli po wprowadzeniu autonomii podatki podniosą się tak wysoko, że pod ich ciężarem chłopci zażądają powrotu do porządków przedautonomicznych, to cóż wtedy?...

Różne listy odbierałem w życiu, a jednak niewiele sprawiło mi taką boleść, jak wyżej cytowane słowa. „Herbowi panowie” pojechali do Petersburga, ażeby z narodu zdjąć twardą obrozę i bardzo ciężki łańcuch, i otoż ten naród woła: „Ja nie chcę, ażebyście zdejmowali ze mnie jedno i drugie... mnie z tem dobrze!.. A gdybyście nawet uwolnili mnie podstępem, to ja będę upominał się, ażeby łańcuchy znowu na mnie włożono, ponieważ wolę ciężar kajdan, aniżeli ciężar podatków!...”

Strasne to jest, a jednak—trzeba się z tem liczyć, trzeba przewidywać; ażeby nie spotkały nas jakieś nieprawdopodobne niespodzianki...

W końcu autor zwraca się do mnie:

„Znam — mówi — Pański sposób myślenia a mając Pana za szczerego przyjaciela ludu, udaję się z zupełnem zaufaniem i proszę o rozjaśnienie wątpliwości, w tym liście zawartych”.

Ma pan słuszność, szanowny autorze listu: jestem przyjacielem, prawdziwym, głębokim przyjacielem ludu i... ludzi wogóle. Wolałbym w naszym języku nie czytywać takich listów, ale skoro jeden już został napisany, odpowiem szczerze, z całą życzliwością dla Pana i tych, którzy jego opinie podzielają.

1-mo. Mówi pan o „bacie ekonoma B...skiego”, który zaszczerpił w Panu jad nienawiści i pogardy do samej szlachty... Czy da Pan wiarę, że i ja miałem korepetytora B...skiego, akurat tego samego nazwiska, który akurat tak samo hojnie obdzielał mnie i innych swoich pupilów batami... I czy Pan da wiarę, że z tego powodu nie tylko nie czuję pogardy i nienawiści do wszystkich korepetytorów, do wszystkich nauczycieli, ale nawet—do owego biedaka. Uważam, że nie potrzebował tak bardzo kwapić się z batem, ale... Bóg z nim!

Pańska nienawiść do wszystkiej szlachty za jednego ekonoma jest wręcz niesprawiedliwa, a nawet i w stosunku do samego winowajcy, zbyt silna, za silna. Bo naprzód—niech Pan przypomni sobie epokę, w której wychowano nas za pomocą batów. Kogo wówczas nie bili, kogo nie kato-

wali?... Chłop, sługa, żołnierz, uczeń, patriota... wszyscy dostawali baty, kije, różgi... Ja sam moimi własnymi oczyma widziałem szlachcica, który około roku 1849 w cytadeli dostał tysiąc czy dwa tysiące kijów, dokładnej cyfry nie pamiętam...

To było w owej epoce, a cóż dzieje się dziś?... Niech Pan zapyta o kary wydzielane żołnierzom np. w armii austriackiej, a choćby i francuskiej?... A niech pan zapyta angielskich wychowawców, czy nie posługują się batem?... Niech Pan wreszcie przypomni sobie tych nauczycieli pruskich, którzy w XX-ym wieku nie

tylko biją, ale wprost torturują dzieci polskie za to, że nie chcą modlić się w języku obcym!...

I czy wobec tego rodzaju faktów będzie Pan miał odwagę utrzymywać w sercu „nienawiść i pogardę” do naszej szlachty, za to, że kiedyś tam ekonom uderzył biedne, siedmioletnie dziecko?... Przepraszam, ale czy pan nigdy, żadnego dziecka nie potrafił, nawet takiego, które wybierało ptaki z gniazd albo szczerom wypalało oczy?...

2-do. Sądzi Pan, że *dziś żyjąca* szlachta, a raczej posiadacze folwarków, winni są dzisiejszym chłopom za ośmiowiekową pracę dawnych chłopów, licząc po groszu (!) dzień, winni są, miliard dwieście milionów rubli, czyli mniej więcej to, co warte obecnie wszystkie folwarki w naszym kraju. Ażeby dowieść, jak fantastycznymi są podobne pretensje, będę sprawiedliwszy od Pana i dzień pracy chłopskiej ocenę nie na jeden grosz, ale na 40...

Będzie to zapłata bliższa prawdy, aniżeli Pańska, lecz w takim razie co się pokaże? Oto, właściciele folwarków winni będą chłopom nie miliard rubli, ale 48 miliardów rubli, na spłnienie których potrzeba byłoby już nie folwarków, ale, pewną liczbę Królestw Polskich...

I zapewne z powodu, że tak odległe i ogromne pretensje mogłyby stawiać wszystkie klasy innym klasom i wszystkim narodom, z powodu, że pretensji tych nie tylko dowieść, ale i zaspo-

koić w żaden sposób nie można, zapewne dlatego istnieje w prawodawstwach paragraf o przedawnieniu. O przedawnieniu nawet długów, na które dłużnik wystawił wierzycielowi piśmienne zobowiązanie, a nie dopiero takich, które opierają się na pretensjach, niewiadomo czyich i niewiadomo do kogo zwróconych.

A czy nie sądzi Pan, że szlachta mogłaby wystąpić z przeciw-pretensjami?... My, mogłaby rzec, karmiliśmy was w czasie głodów, leczylimy w czasie epidemii, dawaliśmy bydło i ziarno na zasiew w czasie nieurodzaju... My broniliśmy was, stawialiśmy wam kościoły, uczylimy, o ile to było w naszej mocy, czytać i pisać... A nareszcie, co najważniejsze, od nas nauczyliście się budować chaty z otwieranymi oknami i z podłogami, od nas siał łąbin i koniczynę, od nas posługiwać się ulepszonymi narzędziami... Jeżeli dziś nieco dłużej żyjecie, nie znacie wstrętnych chorób, zamiast czterech ziarn zbieracie ośm, to czyż to zasługa, jeżeli nie nasza?... A w takim razie, ile miliardów rubli wy jesteście nam winni za całą naszą, choć bardzo niedołęzną, ale zawsze cywilizacyjną robotę?...

Mówi autor, zresztą słusznie, że szlachta wyzyskiwała chłopów. Ale czy rozpruwała im brzuchy, aby pan rozgrzał nogi zmarznięte, jak się to trafiało baronom niemieckim, albo czy sprzedawała chłopów, jak działo się w Rosyi...

Szlachcice Rzeczypospolitej byli to opoje, wałkonie, flejtuchy i temi wadami zarazili chłopów; ale tyranami nie byli, choćby tylko dla braku energii!...

Lecz wyobraźmy sobie, że, pomimo wszelkie argumenty, dzisiejsi chłopci wystąpiliby z pretensjami o wynagrodzenie do właścicieli folwarków. Tego tylko trzeba!... natychmiast bowiem ktoś poruszyłby parzbków i najemników do wy-

BRATERSTWO BRONI

A. OLESZCZYŃSKI



toczenia pretensji przeciw chłopom-gospodarzom, folwarczniczy zaś powiedzieliby takie słowo:

— Zgodzi... zabierzcie naszą ziemię, ale pod dwoma warunkami. Najprzód spłacicie długi hipoteczne, które wynoszą około 70 proc. wartości majątków, a powtóre, albo wszyscy mieszkańcy Królestwa, nie tylko chłopci, podzielą się *wszystką* ziemią, albo *wszystka* ziemia stanie się własnością państwa i nikt nie będzie właścicielem, tylko dzierżawcą.

Otóż, w razie podziału na jednego mieszkańca Królestwa wypadłoby około dwu morgów, na co nie zgodziliby się nawet ci chłopci, którzy mają dziś chociażby po trzy morgi. W razie zaś zniesienia własności ziemskiej, co mocno poparliby socjaliści, dzisiejsi folwarczniczy zostaliby dzierżawcami wielkich obszarów, ponieważ więcej mają oświaty, aniżeli chłopci, i więcej potrafią wydobyć z ziemi.

Nie, szanowny autorze listu!... ja zawsze będę twierdził, że dla narodu ważniejsze od nowych podziałów ziemi jest podniesienie jej wydajności. Jeżeli dziś, według E. Jankowskiego, szmatka gruntu, nie większa od sali ratuszowej, może wykarmić rodzinę, to jaką wartość będzie miała morga lub dwie wówczas, gdy plenność gruntów podwoi się?...

Tak pięknie wyrachował Pan, ile miliardów



W OBRONIE SZTANDARU

COGNET

winna jest szlachta chłopom za ośmiowiekową pracę?... Możeby Pan zrobił teraz inny rachunek: ile setek milionów od czterdziestu lat stracili chło-

pi i my wszyscy skutkiem istniejących szachownic, rozrzuconych gruntów, braku dróg, złych studzien, nieuregulowania rzek, nieistnienia szkół ogólnych i fachowych, stacy doświadczalnych, ochron, łaźni, przytułków, szpitalów i t. d. i t. d. Gdyby te wszystkie urządzenia istniały, nasz chłop inaczejby wyglądał i bez gwałtownych środków, na drodze spokojnej parcelacji już posiadałby z połowę dzisiejszej ziemi folwarcznej.

Byłoby z nami lepiej, prawda?... Otóż, dlatego, ażeby mogły spełnić się wszystkie te ulepszenia, potrzebna jest nam autonomia. A jeżeli chłopci jeszcze nie rozumieją jej pożytków, niech przynajmniej mają tyle rozsądku i patriotyzmu, ażeby choć nie przeszkadzać „herbowym panom“ w jej zdobyciu.

Nie ten podatek jest ciężki, który, dużo pochłaniając pieniędzy, przynosi korzyść krajowi w formie ulepszeń, ale ten jest ciężki i najcięższy, który, choć byłby małym, nie daje nic społeczeństwu, z wyjątkiem ograniczeń.

Tak rzeczy te rozumiem i byłbym prawdziwie szczęśliwy, gdyby choć jeden człowiek z pańskiej grupy, po dojrzałej naturalnie rozwadze, przyszedł do podobnych wniosków. Wierz mi Pan, że, szczególnie w sprawach społecznych, lepsza jest słomiana zgoda, aniżeli złote nienawiści i brylantowy zamęt stosunków.

EDWARD SŁOŃSKI:

O F I A R A

— Tak! tak... bądźmy, jak dzieci—powtórzył za nią—jak małe dzieci... Prawdą! jutro Nowy Rok... Czy wy lubicie spotykać Nowy Rok? Czy macie jakie dobre wspomnienia z ubiegłych lat? Ja nie mam. Moje Nowe Roki cmijały mnie zawsze. Rok temu byłem we wschodniej Syberii w głuchej wsi jakuckiej. Było nas, politycznych, sześciu. Mieszkaliśmy wszyscy razem w chacie o dwu dużych izbach, oddzieleni od świata wielką, śnieżną tajgą, stęsknieni do życia, z którego nas wytrącono. Ta tęsknota łączyła nas, ale tylko pozornie. W gruncie żyliśmy ze sobą źle. Oni byli doktrynerami, mieli jakieś ciasne formułki, w które włączali swoje życie. Nie rozumieli mnie i kłócili się ze mną. Pamiętam, w wigilię nowego roku przyjechał do wsi naszej isprawnik. Przywiózł dla nas złe nowiny. W gubernii uznano, że jeden z naszych towarzyszy, student kijowski, wywiera na nas zły wpływ. Kazano mu przeto jechać w głuchą tajgę do wsi, odległej o dwieście wiorst. Siedzieliśmy więc smutni i niepewni swego losu, dziś on, jutro my... Łupiny kruche, rzucione na zawrotne wiry mórz bezbrzeżnych... Tak spotykaliśmy ten Nowy Rok, który dziś odchodzi.

Długo jeszcze opowiadał jej o sobie. Mówił jej o życiu, które było szeregiem 10 haterskich wysiłków i wiecznych zmagani się z losem. Słuchała go uważnie, biegła za nim przez cele więzienne, przez zakamarki policyjne, przez tajgi pustynne i śnieżne.

Było już zupełnie ciemno, kiedy wyszła od niego i zginęła w tłumie przechodniów na jednej z ruchliwszych ulic miasta.

A on spotykał Nowy Rok.

Do swego małego pokoju na trzecim piętrze zaprosił wszystkie swoje lata przeżyte, rozbudził wszystkie wspomnienia i patrzył z wielką ufnością w sfinksowatą twarz zbliżającego się roku.

A Nowy Rok mrokiem słał się po ziemi.

Z mroku szły pomruki złowróżbne. Zrywały się jakieś głosy, jakieś wołania, wybuchaly krzykiem i zamierały bez echa.

Taki szedł rok...

On jednak wytrzeźwiał i wyzdrowiał.

Otworzyły mu się oczy na wszystko, i przełąkł się. Oto omal nie zburzył tego, co budował przez całe życie. Na ołtarzu swoim nie chciał złożyć ofiary ostatniej... I zrobiło mu się wstyd przed sobą samym i przed nią. Zaczął żałować, że tak dobrowolnie usunął się od roboty. Obudziła się w nim dawna zaciętość.

Rzucił się w wir walki.

Zaczął znowu chodzić na giełdę. Przychodził pierwszy, wychodził ostatni. Pół dnia spędzał w zadymionym, małym pokoiku, w gorączkowej atmosferze krzyżujących się szeptów, poleceń i rozkazów.

Nieraz, przyszedłszy pierwszy, w oczekiwaniu towarzyszy, bezmyślnie wpatrywał się w wiszącą na ścianie pod papierowym wachlarzem wyblakłą fotografię familijną. I czasem zdawało mu się, że pomiędzy opasłym cukiernikiem w długim, czarnym surducie a mizerną jego połówką na tle dekoracyjnie malowanego pejzażu, pod girlandą wyblakłych, papierowych liści, siedzi bezmyślnie zadowolenie z wczorajszego obiadu, z wygodnego obuwia i ze sprężynowych materaców... Szczęście...

Oni to nazywają szczęściem...

I wówczas z brudnych kątów pokoju, z pod oplutych ścian wypełzała szara i nudna melancholia i znowu powtarzała mu wciąż:

— Nie warto... nie warto...

Głosy te jednak tłumiły echa strzałów i groźne wybuchy strasznej, podziemnej walki...

Otrząsł się z tych myśli i jednocześnie czuł, że na dnie tego chwilowego zniechęcenia kryje się wylękniona myśl o niej... zawsze o niej...

I wtedy z większym jeszcze zapałem brał się do roboty.

Pewnego dnia, gdy debatowano nad jakąś kwestią programową, wpadł do cukierni mizerny, mały brunecik w studenckiej czapce. Miał na sobie szary, letni paltot, zapięty pod szyję. Przynosił jakieś nowiny. Znać było, że biegle.

Usiadł za stołem w paltocie i w czapce i mówił prawie szeptem:

— Bardzo źle się słało... Ledwie mogę myśli pozbierać... Nigdy nie widziałem tak blisko nieszczęścia... Na rogu Nowogrodzkiej Wanda zabiła komisarza... Nieszczęście!

Ledwie usłyszał to imię, krew mu zbiegła do serca i zrobił się biały, jak ściana...

— Wanda... Wanda... więc już się stało!...—krzyczało w nim wszystko strasznym głosem. Cały pokój zatoczył się, ściany zaczęły się pochylać i zbliżać do siebie, a papierowy wachlarz szumił mu nad uchem:

— Wanda... Wanda...

A pochylony nad stołem towarzysz szeptął coraz ciszej:

— Szedłem Marszałkowską i widziałem



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Zawsze odróżniałem Niemców, a nawet Prusaków od rządu pruskiego. Zawsze naród niemiecki uważałem za jeden z najznakomitszych w historii, Prusaków za bardzo dzielną rasę, no—i nawet rząd pruski wydawał mi się nie tylko doskonałym i energicznym gospodarzem, nie tylko mądrym kierownikiem swego narodu, ale i—uczciwym... w granicach sądowych i administracyjnych. O uczciwości w polityce zagranicznej... może lepiej nie wspominać, mówiąc o rządzie pruskim. Sędziowie jednak tamtejsi przez wiele dziesiątków lat umieli być nieskazitelnie sprawiedliwymi, a urzędnicy rzetelnymi wykonawcami prawa.

Tak bywało, szczególnie wówczas, gdy Prusy stanowiły, niewielkie, ale *rządne* państewko. Lecz w miarę, jak w Prusach rozwijała się *ząd-*
ność cudzych terytoriów, jednocześnie gasła społeczna, *ządność*, a gdy jeszcze jakiś dobry czy zły duch zesłał im powodzenie, wówczas niewątpliwe zalety Prusaków zaczęły rozsypywać się na popiół...

Administracja, szczególnie w krajach, zaludnionych przez Murzynów i (z przeproszeniem!...) Polaków, cokolwiek zapomniawszy o prawach Boskich i ludzkich, weszła na kręte drogi łapownictwa, samowoli, złodziejstwa i okrucieństwa... W sądownictwie idea sprawiedliwości wygląda tak, jakby podporządkowała się najmłodniemu hasłom politycznym, o czym świadczą choćby procesy polityczne, wytaczane Polakom. A że już i okrucieństwo zaczyna pokazywać kły w świątyni pruskiej Temidy, oto małe dowody z czasów najnowszych, jak się mówi: prosto od krowy.

W Łabiszynie, w W. Ks. Poznańskim, stała przed sądem w sprawie cywilnej w roli świadka 16-letnia Stanisława Dróznikiewiczówna. A ponieważ, opuściwszy szkołę, już zapomniała języka niemieckiego (co w Poznańskim nie jest wyjątkiem, lecz prawidłem...) więc miejscowy sędzia zaczął jej tak wymyślać, że dziewczyna z trwogi... oszalała. No, i jest obłąkana!

Ohyda, dla której niema nazwy.

Epidemia dzikiego okrucieństwa od kilkudziesięciu lat sroży się w najwyższych sferach pruskiego rządu. Ojcem jej czy też może tylko kontynuatorem, jest dotychczasowy bożek Prusaków—Bismarck, twórca rozmaitych praw wyjątkowych, autor słynnego aforyzmu „siła przed prawem”, który daleko głębiej, dowcipniej i... wcześniej wypowiedział Lassalle... Epidemia ta srożyła się najpierw przeciw socyalistom, następnie przeciw katolikom, a od kilkunastu lat ziele przeciw Polakom. Ale ponieważ narody żyją dłużej, niż systemy polityczne, więc Polacy mają wszelkie szanse



ZEBRAK (studium)

WINCENTY WODZINOWSKI

przetrzymania tej, (chciałem powiedzieć nieostowne słowko...) tej pruskiej choroby nerwowej.

Wyrzucano więc Polaków z każdego urzędu, choćby najskromniejszego; usunięto język polski ze wszystkich szkół, nawet ludowych; zabroniono uczyć po polsku poza szkołą, ścigano nawet adresy polskie na listach... Nie dosyć tego: utworzono instytucję do wykupywania ziemi od Polaków, pozmieniano prastare nazwy mnóstwa miejscowości polskich, a ostatnimi czasy zaprowadzono w szkołach ludowych nawet wykład religii po niemiecku...

Jeszcze około roku 1563 go Sobór trydencki postanowił, że zasady religii i moralności mają być wszelkim narodom wykładane w ich ojczystym języku, co do dziś dnia obowiązuje katolików, nie wyłączając partyi katolicko-niemieckiej i kardynała Koppa. Mimo to, w roku 1873 nie wiem jaką władza pruska, może parlament, postanowiła, że dzieciom polskim religia będzie wykladać się po polsku, lecz tylko do czasu... Zapewne do tego czasu, gdy język niemiecki stałby się dla nich ojczystym. Lecz chociaż nie stał się nim, jednakże p. Studt, minister „oświaty”, uznał w roku bieżącym, że fakt ma miejsce i że polskim dzieciom można wykladać religię po niemiecku, zgodnie

z postanowieniami soboru trydenckiego.

Kiedy żabie utną głowę i zaczną ją kłuć szpilką, żaba, choć bez głowy, wyciąga jednakże łapę i—skrobie się po miejscu drażnionem. Mniej więcej to samo robi żywy, wbrew ministeryalnym rozporządzeniom, naród polski. Na Komisję Kolonizacyjną odpowiedział Bankiem Ziemskim, a na wykłady religii po niemiecku—bojkotem. Dzieci nie chcą modlić się ani uczyć katechizmu czy historii kościelnej po niemiecku, za co są więzione, głodzone, bite i t. p.

Ponieważ my, Polacy, mamy specjalny talent obniżania wartości naszych własnych czynów, więc manifestacyi dzieci poznańskich nadałszy tytuł: „Walka o język polski”. Jest to błąd niedorzeczny i szkodliwy, dzieci poznańskie walczą nie tylko o język polski, który obchodzi wyłącznie nas, Polaków; one walczą o kilka zasad wszechludzkich, wszechcywilizacyjnych, co już obchodzić powinno Amerykanów, Anglików, Francuzów, Niemców, Rosyan, Włochów i wogóle wszystkie ludy, solidaryzujące się z cywilizacją tudzież z prawami człowieka.

Przedewszystkiem zaś w obronie mordowanych dzieci polskich powinny wystąpić sami Prusacy, o ile jeszcze nie wygasły w nich ludzkie instynkty, a choćby nawet i uczucie honoru państwowego czy narodowego, w każdym razie politycznego, jeżeli w

tej gałęzi działalności...

1-mo. Ponieważ, jak powiedziałem, sobór trydencki postanowił nauczanie religii w języku rodowitym, a p. Studt, minister „oświaty”, pogwałcił to postanowienie, więc dzieci polskie wystąpiły w obronie obowiązujących ustaw katolickich i winny być popierane przez wszystkich katolików. a najpierw—przez dostojników Kościoła.

2-do. Gdyby dziś zwołał kto sobory, nie mówię, religijne i złożone z duchownych, ale świeckie, złożone z uczonych, przekonaliśmy się, iż zarówno matematycy, jak fizycy, jak biologowie, jak psychologowie, jak prawnicy, ekonomiści, historycy i t. d. i t. d. oświadczyliby, że:

„każdą naukę trzeba, ale to koniecznie trzeba wykladać w języku ojczystym uczniów, bo inaczej mnóstwo sił umysłowych utopi się w martwej pracy przerabiania wyrazów obcych na pojęcia „w języku własnym”. Uczni ci zapewne radziliby uczniom „doksztalać się” w językach obcych, uzupełniać wiedzę za pomocą innych literatur. Ale fundamenta nauki zalecaliby murować w języku własnym, poprostu dla oszczędności umysłowej, której żąda przyrodzone i przyrodnicze prawo—najmniejszych wysiłków.

Nauka w obcym języku jest to rozmyślna



protestants had been, but nevertheless as
in the past had not been organized and
now, I think, more than ever, the protestants
of the South, like those of the North, are
more united than ever, and the protestant
of the South are more united than ever.

...i jego doświadczenia, doświadczenia...
...doświadczenia... doświadczenia... doświadczenia...
...doświadczenia... doświadczenia... doświadczenia...
...doświadczenia... doświadczenia... doświadczenia...
...doświadczenia... doświadczenia... doświadczenia...

Z JESIENNYCH BARW.

His attitude — skeptical or at least unhelpful.
To my surprise, but why, but perhaps
Choi is a certain type of person.
I have previously tried to explain.

R. L. LANGE



Człowiek samotny—jest słaby, dziki, a choćby tylko dziwny; zaś—człowiekiem umysłowo, uczuciowo i moralnie rozwiniętym, może być tylko taki, który żyje w ścisłych a rozmaitych związkach z innymi ludźmi.

Z tego psychologicznego prawa wynika ogromna doniosłość spółek, towarzystw, stowarzyszeń... Niemcy nie tylko dla tego są narodem wysoko ucywilizowanym, że posiadają mnóstwo szkółek elementarnych, politechnik i uniwersytetów, lecz i dlatego, że istnieje wśród nich mnóstwo stowarzyszeń: ekonomicznych, sportowych, oświatowych, higienicznych i t. p. i że tam prawie każdy człowiek należy do kilku związków. Związki te nie tylko pomagają mu w pracy, nie tylko ułatwiają życie, ale jeszcze—kształcą go, oglądają pod względem towarzyskim, poprawiają moralnie, krótko mówiąc: robią go silniejszym i lepszym.

Naszem znowu nieszczęściem, przyczyną zacoiania i dzikości jest nie tylko fatalna gospodarka rządu, nie tylko brak oświaty, ale i—brak stowarzyszeń. Dzięki temu, mieszkając prawie we środku Europy, mając ludność gęstszą, aniżeli Francja, sąsiadując z wysoko ucywilizowanymi Niemcami, wyglądamy tak, jakgdybyśmy żyli gdzieś w środkowej Afryce, kędy ludzie nie wiedzą o Bożym świecie, uważają pracę za hańbę czy przekleństwo i... polują jedni na drugich, jak na dzikie zwierzęta...

Wszystkie stowarzyszenia są niesłuchanie ważne. I te, których celem jest dostarczać tańszej odzieży, mieszkań lub żywności, i te, które dążą do spotęgowania wytwórczości czy do uporządkowania handlu, i te, które mają na celu rozrywkę, pracę naukową albo modlitwę... Wszystkie są ważne, ale kto wie, czy nie najważniejszymi będą, osobiście w naszym kraju, te, które postawiły sobie za cel oświatę, szczególnie—elementarną...

Cóż stanowi takie minimum oświaty?... Czytelnik wie. Jest to umiejętność czytania, pisania, rachowania, a ja dodałbym, jeszcze rysunku... Wygląda to na coś bardzo małego, a w gruncie jednak rzeczy jest to bardzo dużo, jest to „wszystko“, byle te nauki czy sztuki wykładać w należytych zakresach.

Nie ten bowiem umie czytać, kto biegle składa choćby najtrudniejsze wyrazy, lecz ten, kto każdy wyraz rozumie, a przeczytaną rzecz potrafi opowiedzieć.

Nie ten umie pisać, kto przepisuje z książki, ale ten, kto swoje własne, proste i bezpretensjonalne myśli potrafi przelać na papier w taki sposób, że wszyscy go rozumieją.

Nie ten wreszcie umie rachować, kto bez wahania dodaje, mnoży i dzieli choćby najdłuższe liczby, ale ten, kto w każdym wypadku życia potrafi zrobić rachunek swoich dochodów, wydatków, długów, jakie zaciągnął i uiścił, procentów, jakie płacić jest obowiązany i t. p.

Co do umiejętności rysunku, objawia się ona w taki sposób, że człowiek każdą rzecz, którą zobaczy, potrafi wyrysować, choćby grubymi sztychami, ale z zachowaniem właściwych kierunków i proporcji. Będzie to rysunek pierwotny, ale—choć trochę podobny do przedmiotu, o co właśnie chodzi w tej sztuce.

Otóż—kto, w wymienionym powyżej zakresie, posiada sztukę: czytania, pisania, rachunku i rysunku, a nie jest głabem, ten już da sobie radę na świecie: może dążyć do poprawy bytu, a nawet do rozszerzenia wiadomości, do rozwinięcia swojej duszy.

Związkiem, który postawił za cel szerzyć u nas minimalną dozę oświaty, jest od pół roku zatwierdzone: „Stowarzyszenie kursów dla dorosłych analfabetów“ (Biuro Zarządu mieści się na ul. Rysiej Nr. 3, w łaskawie udzielonem mieszkaniu mecenasostwa Rotwandów, którzy sprawie tej oddali i oddają wielkie usługi). Działalność Towarzystwa ogarnia Warszawę i okolice podmiejskie; w miarę jednak zgłaszań się będą zakładane autonomiczne koła w całym Królestwie.

Niektórzy wyobrażali sobie, że Towarzystwo Kursów dla analfabetów utworzono „na złość (!)“ Macierzy Szkolnej, ażeby jej „włożyć w drogę i przeszkadzać“... Jest to insynuacja nie tylko marna, ale i niedorzeczna, o czem przekona choćby następujący rachunek.

W kraju naszym Polaków dorosłych, nie umiejących czytać ani pisać, jest co najmniej ze trzy miliony. Otóż dla usunięcia analfabetyzmu w czasie jak najkrótszym, np. w ciągu roku, należałoby utworzyć ze 150 tysięcy kompletów po 20 uczniów i posiadać z 50 tysięcy nauczycieli tudzież pomieszczeń.

Czy Macierz Szkolna może to zrobić?... Czy oglądanie się wyłącznie na jej pracę nie byłoby stratą czasu i czy dla skutecznej walki z analfabetyzmem nie przydałoby się już nie tylko setki kół autonomicznych, ale dziesiątki samodzielnych Towarzystw?...

Niech więc zawiązują się tego rodzaju stowarzyszenia, niech pracują, niech wyszukują najlepszych metod, niech współzawodniczą w tym nad wszelki wyraz uczciwym i użytecznym wyścigu, bylebyśmy jak najprędzej pozbyli się strasznej zmy, zwanej analfabetyzmem!... To jest ważne, ale nie to, pod czym kłębkiem ma się odbywać nauka... Zresztą ów kierunek wspólny istnieje, a jest nim: walka z ciemnotą.

Ażeby zrozumieć, jakim nieszczęściem jest analfabetyzm dla jego ofiar, zwróćmy uwagę na fakt niewątpliwy, że, jak żołądek bywa głodny i spragniony, tak samo głodna bywa myśl i uczucie. Głód duchowy zadaje równie wielkie cierpienia, jak fizyczny. Objawiają się zaś one nudami, tęsknotą i pchają swe ofiary albo do szynków, albo do nieuleczalnego smutku.

Kiedyś, za młodszych lat, miewałem bliższe stosunki z chłopami na wsi i robotnikami w mieście. Otóż tak wśród jednych, jak i drugich, bardzo często spotykałem osobniki, żałujące, że nie umieją czytać i—nie mają czasu na wyuczenie się tego. Godnemi uwagi były pragnienia tych ludzi.

Jeden np. coś słyszał, że bywają miejsca na świecie, w których noc jest wtedy, kiedy u nas dzień, albo lato, kiedy u nas zima... Czy tak może być?... I jaka szkoda, że człowiek nie potrafi czytać książek, w których jest to napisane!..

Inny zazdrościł takim, którzy czytają sobie, kiedy chcą, książkę do nabożeństwa, a więc we własnym domu albo w sadzie mogą przestawać z Bogiem, jak w kościele.

Inny chciał dowiedzieć się czegoś o Ziemi Świętej i Ameryce, a jeszcze innemu było żal, ciężki żal, że nie słyszał tych wszystkich bajek, które opisują w książkach. Bo w książce to zawsze ładniej stoi, aniżeli opowiada prosta kobieta albo dziadzi...

Nie wspominam o tych, których zaciekały gazety, ani o takich, którzy sądzili, że z książek wszystkiego można się nauczyć i zrobić wielki majątek.

Takich ciekawych, takich stęsknionych jest miliony. My, którzy przesyciliśmy się czytaniem nawet nie domyślamy się, że dla zdolnego, rozwiniętego analfabety książka wydaje się niby furką do raj, kędy wszystko jest mądre, piękne, nowe, pociągające i uszczęśliwiające. Żaden teatr, koncert, żadne widowisko czarodziejskie nie zabawiłoby nas tak, jak człowieka prostego bawi najwyklesze opowiadanie, a cóż dopiero utwór artystyczny. Niema się pojęcia, jak potężnie czarowały chłopów—naprzykład—powieści Sienkiewicza!..

Nie koniec na tem. W każdym społeczeństwie są „ludzie prości“, ale obdarzeni wielkimi siłami umysłu, ludzie, którzy, byle nauczono ich czytać i pisać, już sami kształcą się dalej, zdobywają ważne stanowiska, a nadewszystko wytwarzają postęp w zakresie swojej specjalności. Historia, życie codzienne zna mnóstwo takich samouków, którzy bez dyplomów wyższego zakładu naukowego, robią więcej ulepszeń, aniżeli dyplomowani, niekiedy nawet dokonywają znakomitych odkryć i wynalazków. Nie przesadzę chyba, jeżeli powiem, że na każdy milion ludności można rachować jakiś tysiąc ludzi sprytnych, jakąś setkę barcho zdolnych i—jakis dziesiątek—jeszcze zdolniejszych. Nie są to geniusze, którzy nie chodzą ścieżkami, wydeptanymi przez rutynę, umieją poznać się na nowych ulepszeniach i przeszczerić je na własny grunt ze społeczeństw wyżej ucywilizowanych.

Otóż, dzięki analfabetyzmowi, całej tej klasy tych kilku tysięcy ludzi sprytnych my nie posiadamy. My nie tylko nie mamy Edisonów, ale nawet takich majstrów, którzy w swoim fachu wprowadziliby znane gdzieindziej reformy. My nie posiadamy ani milionerów, którzy zaczęli od czyszczenia butów, ani filozofów, którzy za modu byli chłopami drukarskimi, a i młóżw stanu, którzy sprzedawali dzienniki, ani apostołów, co na szewckim stołku przepędzili dzieciństwo. Lecz z pewnością będziemy ich mieli wówczas, gdy cały naród nauczy się czytać i pisać, gdy samouk znajdzie uniwersytet ludowy tudzież odpowiednią dla siebie literaturę.

Ale czy mamy siły do walczenia z analfabetyzmem?

Otóż trochę mamy. I doprawdy, że nie można bez wzruszenia pomyśleć, ile nasze społeczeństwo (a zapewne i każde) posiada ludzi ofiarnych. Znam nauczycieli, techników, literatów i t. d., którzy po całodziennej pracy jeszcze znajdują godzinkę dla służenia analfabetom. Znam adwokatów, którzy bezinteresownie opracowują ustawy stowarzyszeń i starają się o ich zatwierdzenie. Znam kobiety zamożne, które całodzienną pracę i własne mieszkanie ofiarowują na pożytek biedaków. Widziałem nauczycielki, przez pół dnia dające lekcje dla chleba, a przez drugie pół dnia zajęte nauczaniem nieumiejących albo układaniem dla nich książek. Widziałem urzędniczki prywatne, które, poza pracą obowiązkową, uczyły czytać dzieci i dorosłych, prowadziły, rozumie się, darmo, rachunki filantropijnej instytucji i jeszcze... ze skromnej swojej pensyjki płaciły składki!..

Z tych i tamtych podobnych racyi sądziłbym, że zapisywanie się do Towarzystwa dla dorosłych analfabetów jest obowiązkiem obywatelskim, i nawet niedrogim, gdyż składka wynosi 3 ruble rocznie...

Towarzystwo nasze ma jedną wadę, że—ja jestem członkiem Zarządu. Ten zaś wypadek zdarzył się w sposób następujący.



Pewnego dnia wpada do mnie przyjaciel i woła:

— Winszuję ci!... winszuję...
— Ja nie obchodzę imienin...
— Jesteś wybrany do Zarządu Towarzystwa dla analfabetów...

— Ani myślę...
— Ależ to jest stanowisko!...
— Ja nie chcę stanowiska...
— Pozycya!...

— Ja nie chcę i pozycyi... Zresztą, nie mam do tego żadnych danych...

— Jakichże tu potrzeba danych?... — pyta przyjaciel.

— A takich. Weź naprzykład Mieczysława Brzezińskiego w Macierzy. Jest od kilkunastu lat nauczycielem, autorem doskonałych podręczników, zna pedagogikę, zna postępy tej nauki czy sztuki, posiada do niej zamiłowanie, kocha swoich uczniów, którzy znowu przepadają za nim... A ja co?...

— Więc możesz zająć stanowisko w administracji... mówi przyjaciel.

— A toś trafił!... Weźże znowu Macierz i jej kierownika, mecenasa Osuchowskiego. Nie mówię o wszystkich jego sprawach, tylko o tem, co zrobił dla oświaty. On napisał ustawę Macierzy Szkolnej, on ją zlegalizował, on zorganizował, on tworzy jej koła i gromadzi pieniądze. Zanim jednak wziął się do Macierzy naszej, poznał przedewszystkiem czeską, potężnie wspierał pieniądze, radami i pracą Macierz Cieszyńską, nie mówiąc już o tem, że stworzył „Towarzystwo popierania wydawnictw Akademii krakowskiej”, tudzież „Seminarium dla nauczycieli ludowych” w naszym kraju.

A jakże działa ten człowiek? Zanim weźmie się do czegoś, poznaje rzecz praktycznie, na najlepszych wzorach. Potem rozpisuje tysiące listów, zbiera ludzi na sesye, zachęca do ofiar... Pracuje literalnie dzień i noc, po 16 i więcej godzin na dobę; nie sypia, chudnie, denerwuje się, a gdy mu lekarze gwałtem nakazują wyjechać, jeszcze i podczas wakacji koresponduje, zwiedza, kwestuje...

A co to za kwestarz!... Kiedy Osuchowski przechodzi obok kasy ogniотrwałej, pieniądze złote i srebrne skaczą z radości, a papiery wołają:

— Idzie nasz dobrodzie!... On wyprowadzi nas na świeże powietrze...

Przez jego ręce przelało się kilka milionów rubli... Więc takiego zaproszcie do Zarządu, ale nie mnie...

— Widzisz—mówi przyjaciel—nie chcemy od ciebie ani pedagogiki, ani forsownej pracy, ani kwestarstwa. Jesteś potrzebny zupełnie do czegoś innego.

Jak ci wiadomo, nad wrotami dantejskiego piekła znajduje się tablica z napisem: „*Lasciate ogni speranza*”... co znaczy: „Zostawcie kalosze i parasole”... rozumie się, wchodząc tutaj...

Cóż, dla Towarzystwa analfabetów ty będziesz tablicą z napisem: „Wchodzący tu, zostawcie na dworze politykę i partyjne niesnaski”... To chyba niezbyt męczące zajęcie?...

Po tem wyjaśnieniu zgodziłem się spełniać rolę anty-politycznej i anty-partyjnej tablicy, zobowiązując się, że do końca roku służby nic nie będę robił, a więc i najmniejszej szkody nie wyrządę zacnej i pożytecznej instytucji...



Medal sędziów pokoju.

Powstanie medalu honorowego sędziów pokoju, zwanego także w dokumentach współczesnych „medalionem cnoty pojednawczej”, należy zawdzięczać zmianom politycznym, jakie zaszły na ziemiach polskich z pod berła pruskiego w skutek zwycięskiego pochodu wojsk napoleońskich ku wschodnim granicom monachii brandenburskiej, która w bitwach pod Jeną i Auerstädt poniosła cios śmiertelny.

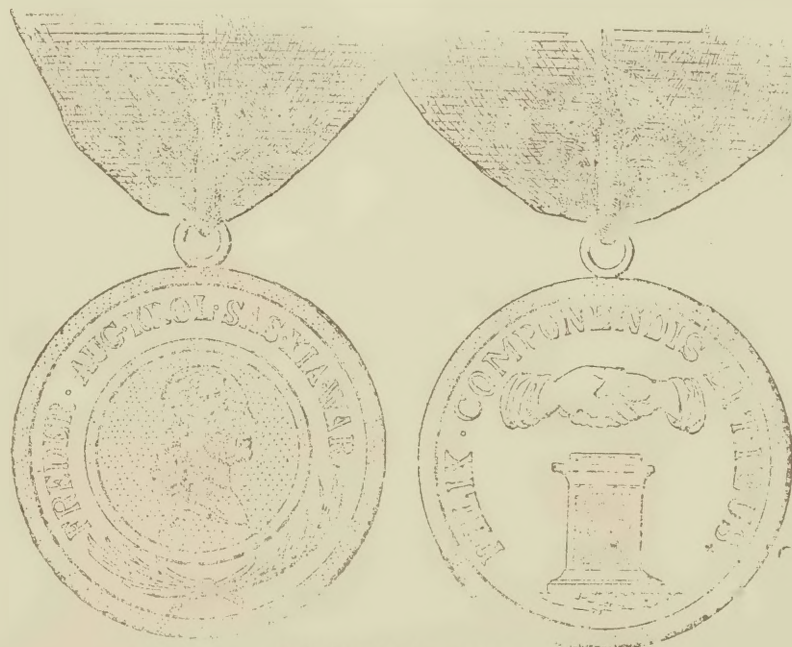
Generał francuski Murat, zając się po ucieczce Prusaków Warszawę, na miejsce Kamery niemieckiej ustanowił naprzód izbę najwyższą wojenną i administracji publicznej, a następnie, na początku 1807 roku, Komisję rządzącą, której prezesem został Stanisław Małachowski, dawny marszałek sejmu konstytucyjnego. Na wstępie rozpoczęcia czynności magistratura ta, w myśl projektu Feliksa hr. Łubieńskiego, dyrektora sprawiedliwości, między innymi w wydziale sądownictwa ustanowiła instytucję sędziów pokoju, których zadaniem było drogą ugody załatwiać wszelkie spory cywilne i odwozić, o ile można, strony od dalszego procesu, ażeby tym sposobem wpłynąć na zmniejszenie pieniężnego wśród mieszkańców, zawsze pochopnych do prawowania się. Na stanowisko sędziów, którzy honorowo pełnili swe obowiązki, wybierano obywateli, posiadających pewne znaczenie i szczeniących się powszechnem zaufaniem w danej miejscowości.

Przepisy o sądach pokoju stanowiły, iż sędzia, który w ciągu swojego urzędowania, trwającego trzy lata, ugodzi największą liczbę spaw, w nagrodę od władzy krajowej otrzyma oznakę honorową w postaci medalu z wieńcem obywatelskim i odpowiednim napisem, przyczem nazwisko jego ogłoszone będzie we wszystkich gazetach. Po wprowadzeniu do Księstwa Kodeksu Napoleona uorganizowano sądy pokoju według prawodawstwa francuskiego, a Fryderyk August postanowieniem z dnia 30 grudnia 1808-go roku zatrzymał projektowaną przez Łubieńskiego oznakę szaczącą dla sędziów, lecz, stosownie do potrzeb i okoliczności danej chwili, zmienił pierwotny jej rysunek.

Oznakę stanowił medalion porcelanowy, ujęty w złotą obwódkę, na stronie głównej; na zło-

bus (Szczęśliwy w załatwianiu sporów). Obdarowani nosili medal na lewym boku, na wstędze morowej, błękitnej, półtora cala szerokiej.

Wiadomości numizmatyczno - archeologiczne w N-rze 23-im ogólnego zbioru podają wizerunek ozdoby honorowej dla sędziów pokoju z czasów Księstwa Warszawskiego, która w układzie i rysunku jest zupełnie odmienna od medalu, powyżej opisanego, a przytem znacznie od niego mniejsza. Na stronie głównej wśród zielonego wieńca monogram królewski F. A. R. (*Fridericus Augustus Rex* = Fryderyk August Król); na stronie odwrotnej symbol Zgody, w postaci dwu ściskających się rąk, wokoło napis łaciński, jak na pierwotnym



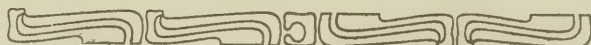
MEDAL SĘDZIÓW POKOJU.

medalu *Felix Componentis Litibus*, w środku którego sześciopromienna gwiazdka. Autor artykułu nie wyjaśnia znaczenia tej ozdoby, przypuszcza tylko, iż posługiwano się nią w życiu codziennym, gdyż medal oryginalny, dla swej wielkości nie był dogodny do noszenia na piersiach.

Pierwsze rozdawnictwo medalu honorowego odbyło się w r. 1809-go. Na każdy departament przeznaczono jedną ozdobę, ogółem więc rozdano 6 medali. Taką samą ilość rozdano za sprawy, załagodzone w r. 1809-ym. W następnym roku z powodu powiększenia terytorium Księstwa czterema nowymi departamentami, utworzonymi z ziem, odebranych Austryakom, rozdano 9 medali, przyczem sędziemu pokoju pow. warszawskiego, Wodzyńskiemu, który już poprzednio otrzymał „medal cnoty pojednawczej”, monarcha polecił wydać dekret pochwalny, z oświadczeniem Najwyższego „ukontentowania”. Taką samą liczbę medali wydano za r. 1811-ty. W r. 1813-ym z powodu wielkich zmian politycznych, jakie zaszły w Księstwie Warszawskim w skutek pogromu armii napoleońskiej w Rosji, rozdawnictwo medali honorowych za ugodzone sprawy w ciągu r. 1812-go do skutku już nie doszło i później nie było wznawiane. Po utworzeniu Królestwa Kongresowego zasłużonym sędziom pokoju monarcha zamiast medali honorowych, począł udzielać orderów św. Stanisława. Ogółem więc w ciągu lat czterech rozdano 30 medali. Dziś należą one do rzadkich zabytków, z którymi tylko w pierwszorzędnym zbiorach pamiątek ojczystych spotkać się można.

H. SADOWSKI.

Szanownych Prenumeratorów prosimy o odnowienie prenumeraty.



ODMIANA MEDALU SĘDZIÓW POKOJU.

tej blaszce odbite popiersie Fryderyka Augusta, z prawej strony widziane, w otoku złotymi literami napis: *Friderik. Aug(ust). Krol. Sas(ki). Xią(że). War(szawski)*, pod popiersiem dwie gałązki oliwne, karmazynową wstążeczką przewiązane. Strona odwrotna: na placie porcelanowej, białej, ołtarz Zgody; na frontowym boku barwy czerwonej, orzeł polski biały, nad ołtarzem dwie ręce, ściskające się, w otoku napis łaciński *Felix Componendis. Liti-*



Warszawa, 8 grudnia 1906 r.

CHWILA BIEŻĄCA

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Przed kilkoma tygodniami drukowałem wyjątki z listu „Chłopa nie chłop”, w którym autor wypowiedział następujące poglądy:

Chłopi jeszcze dziś nie rozumieją autonomii Królestwa Polskiego; autonomia potrzebna jest przede wszystkim szlachcie, dla zdobycia posad urzędowych.

Do Dumy petersburskiej chłopi dostali się w bardzo ograniczonej liczbie: było ich tylko 5-ciu na pięćmilionową ludność...

Szlachta która przez wieki uciskała i wyzy-skiwała chłopów, jest teraz jej dłużniczką a oni jej wierzycielami; dług jest tak wielki, że zaledwie pokryłby go mogły ziemie dziś należące do szlachty. Ztąd wniosek, że grunta folwarczne powinny stać się własnością chłopów.

Powrórzyłem zasadniczą treść listu „Chłopa nie chłop” ponieważ czytelnicy mogli o nim zapomnieć. Dodam również, że dla mnie, poglądy tam wyrażone, nie stanowią własności tej lub owej jednostki i żadna jednostka nie może za nie odpowiadać. Są to bowiem prądy umysłowe, krążące oddawna między ludnością wiejską, prądy niestety! nie dodatnie ani w sensie społecznym, ani etycznym.

Kiedy ktoś mówi, że autonomia potrzebna jest tylko szlachcie, dla jej klasowych interesów, zdraża tem nieufność, podejrzliwość... Kiedy narzeka, że zbyt mało chłopów wprowadzono do Dumy, już widać w tem błyskawicę gniewu. A kiedy domaga się, ażeby, za jakieś prastare i bezimienne przysięgi, odebrać ziemie dzisiejszej „szlachcie” i oddać ją chłopom, tu już odzywa się nie tylko podejrzliwość, nie tylko gniew, ale wprost—uczucie zemsty... jeżeli nie czegoś gorszego...

— Krzywdziłeś mnie... ja teraz mam siły... zapłacę ci z procentem!...

Powtarzam: nie przypisuję tych uczuć autorowi listu, gdyż byłoby to niesprawiedliwością. „Chłop nie chłop” tylko streścił to, co od niepamiętnych czasów, jak pył chorobotwórczy, unosi się w atmosferze chłopskiego życia.

Na artykuł szanownego „Chłopa nie chłop” odpowiedziałem, jakem umiał; może niezupełnie jasno, ale—z największą życzliwością zarówno dla sprawy naszych braci włościan, jak dla autora. Zdaje się jednak, że nie zostałem należycie zrozumiany; w kilka bowiem dni otrzymałem nowy list, a w nim takie oto zdania:

„Odpowiedź szanownego Pana, nawiasem mówiąc bardzo surowa i prawie gniewna, przekonała mnie, że ideo-wo na przeciwnych stojmy biegunach i do różnych należymy światów...” „W świecie, do którego Szanowny Pan należy za dużo jeszcze arystokratyzmu i klasowego egoizmu, a w tym, do którego należę ja, za dużo do Panów nieufności; drogi więc nasze nie prędko się zjedzą...”

Na toż wam zeszło o świętej pamięci przodkowie moi, którzy (prawda, że zatknawszy szablę na między) własnoręcznie oraliście ziemię i pasaliście

bydelka nie wyłączając „świńskiego nasienia”!... Na toż wam przyszło, że zaliczono was do arystokracji, dla której chłop może mieć tylko nieufność... Ale niech się Pan uspokoi, Szanowny Autorze, ja nie należę ani do żadnego stronnictwa, ani do żadnej klasy, a już najmniej miałbym prawa zaliczać się choćby do najskromniejszej arystokracji.

Tem przykrojszą jest dla mnie opinia „Chłopa nie chłop”, że jest to człowiek dobrej wiary i subtelnej delikatności uczuć. A oto dowód:

„Ponieważ—mówi autor—mam wątpliwość o słuszności mojej opinii względem celu, w jakim żądacie Panowie autonomii kraju, przeto najuprzejmiej Szanownego Pana proszę, o łaskawe zaznaczenie w swej najbliższej kronice, tego, że ja, niżej podpisany, sąd o celu wyjazdu naszych p.p. posłów do Dumy państwowej cofam i tych, którzy czuli się tym sądem dotknięci, przepraszam”.

Tak mówi „chłop” odgadując, że mógł się omylić. A ilu „panów” umiałoby zdobyć się na krok podobny?...

Dusza chłopu to wielkiej wartości dyament, który tylko trzeba oszlifować, ażeby zajaśniał najcudowniejszymi blaskami i barwami. Ale wyrobić, oszlifować masy—trzeba, gdyż inaczej nie ukazą się ich zalety.

List „Chłopa nie chłop” stanowi początek poważnej kwestyi, która ma i dalszy ciąg, napoly ómiczny na poły wzruszający. Tym dalszym ciągiem są dwa inne listy: jeden pisany przez włościanina, drugi—przez szlachcica.

„Chłop nie chłop” twierdzi, że między szlachtą i chłopami prawie niemożliwym jest jakieśkolwiek porozumienie, że dwie te klasy“ dzieli nieufność i krzywda, jeżeli nie coś gorszego. Tymczasem dwa listy, o których mówię ukazują całkiem nową stronę kwestyi. Dwaj urodzeni wrogowie“ wystąpili w oryginalnych rolach: chłop

broni... szlachciców a szlachcice dały się na ka-wałki porąbać za chłopów!...

Włościanin, p. L. O., mieszkający pod Białymstokiem, tak pisze:

Ten „Chłop nie chłop” powinienby się nazywać: „Pan nie Pan,” bo chodzi w surducie i nie mieszka na wsi. Ma on pretensję, że tylko 5-u włościan pojechało do Dumy; widocznie chciałby, żeby sami chłopci tam pojechali. A czy zastanowił się nad tem, że potrzeba znać gruntownie język rosyjski, a nie gwarę żołnierza wypuszczonego z wojska? Czy znalazłoby się tylu włościan z Królestwa, którzy, oprócz języka rosyjskiego, znaliby gruntownie historię polską, a głównie z porobiorowych czasów, jakoteż jawną i zakulisową politykę rządu i wszelkie bezprawia tegoż, które trzeba, aby poseł każdy znał i mógł w danej chwili wypowiedzieć to w Dumie... Chyba chce, żeby siedząc w Izbie Państwowej, krzyczeli wraz z rosyjskimi chłopami „Ziemli i woli”, takich nam nie potrzeba posłów.”

Dalej, pogodny humor korespondenta przeraża się w gorycz. „Wartoby zapytać tego pana, czy ekonom, który go batożył, B...ski, nie był także „Chłop nie chłop.” Ja będę go nazywać „Pan nie pan.” Czy on wie, o tem, że szlachta w dawniejszych czasach służyła tylko wojskowo, przelewając za chłopu swoją krew i swemi pierściami zastaniając jego życie, mienie, i broniąc go od jasyru i na polu chwały zlanym krwią swoją, zdobywała ziemie i godności, któreby ten „Pan nie pan” chciał wydrzeć teraz?...”

...„Pan nie pan oblicza na miliardy prace chłopów, podczas pańszczyzny widocznie czy źle jest uświadomiony, czy też przypisać mu należy złą wolę. Wiadomo, że dwór budował swym kosztem chaty i budynki dla chłopu ze swego drzewa, dawał woły, krowy, wozy, piugi, brouy, radła i t. p., pastwisko dla dobytku w lesie i w polu, płacił za chłopów wszystkie podatki i ponosił ciężary za ziemię, którą mu dawał, tak że chłop za to wszystko odrobił dworowi dwa lub trzy dni w tygodniu. Więc gdyby to wszystko obliczyć, ileż to miliardów chłopów powinni zapłacić szlachcie?...” Znam starych włościan, którzy ciągle wspominały czasy pańszczyzniane i żałują tych czasów, mówiąc że było im lepiej, jak w dzisiejszych czasach, bo gdy człek odrobił swoje, to o resztę był spokojny...”

...„Widocznie „Pan nie pan” nie ma pojęcia, co to jest autonomia, bo gdyby było inaczej, toby rozumiał, że przy tal owej byłby sejm w Warszawie, na który mogliby być wybierani nawet w większości włościanie, gdzie taki chłop poseł mógłby wypowiedzieć w rodowitym języku: czego żąda i co go boli?... I choćby jego słowa były nie wiem jak proste, byłyby przyjęte jako zrozumiałe dla rodaków, obznajmionych z ekonomicznym i politycznym położeniem kraju.”

„W kronice swojej wspomniał pan, że w Rosyi, w czasie pańszczyzny, chłopów sprzedawano. A ja sły-

Zakładanie kabli elektrycznych. Warszawa cała jest kopana przewiercana, komunikacja tramwajowa utrudniona, tramwaje chodzą po tymczasowych szynach jak łodzie po falującym morzu: z góry na dół, z dołu do góry, podskakują, trzęsą. Rozkosz! A wszystko po to, żebyśmy mieli tramwaje elektryczne. Budują się podobno szybko... Tłumi ludzi przyglądają się tej robocie, w której do najbardziej interesujących należy zakładanie kabli elektrycznych. Prąd do przewodników napowietrznych zaprowadza się za pomocą całej sieci kabli podziemnych, które w odpowiednich punktach łączą się z nadpowietrznymi.



szałem od ludzi starych, naocznych świadków, że poddanych w Rosji zamieniano na psymyśliwskie."

Zdaje się, że najlepszy „arystokrata“ nie potrafiłby goręcej i bezwzględniej bronić szlachty, jak ten oto włościanin podlaski. To też cudownym uzupełnieniem jego głosu jest list szlachcica, p. E. Cz. z Rusi.

Szanowny autor odrazu wsiada—na mnie:

„Z równą boleścią—woła—z jaką Pan czytał list Chłopa, „ja przeczytałem odpowiedź daną mu. Odpowiedź ta, tem mi jest przykreszszą, że z podobnie adwokackimi odpowiedziami i mnie zdarzyło się spotykać, w ostatnich kilku latach krwi i mordów“.

„Nie chłop winien, że woli obrozę i znojną dolę, którą mu winę Panie zarzucasz, ale my! Sam to przyznajesz, kiedy wytaczasz, cośmy dali chłopu. Ale ból nad bóle! czy drwisz, czy nie chcesz widzieć tego, człowieku z duszą, że to cośmy dali chłopu, to dane było tylko z pychy, z wyrachowania, z musu! Ani okruszyny miłości nie masz w tych podarkach“.

„Nie wiem, czy może więcej kochasz, niż ja (bo mówią, że miłość jest ślepą). Nie wiem, czy więcej bolejesz nad upodleniem człowieka rozumnego, ale wiem, że się mylisz, licząc nasze plusy. Kochaj tak, jak kochasz szlachtę, lecz patrz zimniej. Nie kochaj chłopów, bo do tego trzeba mieć chłopską krew jeszcze czerwoną, ale bądź mu sprawiedliwym, a choć tylko sprawiedliwszym. Daj dziś choćby równe prawa kapitałowi i pracy. Niech każda fabryka, każde przedsiębiorstwo, każde gospodarstwo wliczy zarobek roczny pracownika do kapitału zakładowego i dzieli się w końcu każdego zbioru równemi procentowymi zyskami. Np. pracownik za rok zarobił 250 rubli, zysk ogólny z kapitału w ziemi (wliczając płacę robotników)—dał 4% pracownikowi dopłać należność równoważącą rubli 10, Przykro Ci nie rób tego; ale zamknijmy raczej oba usta na wieki, niż mamy je kłaść kłamstwem.

(Uwaga kronikarza. Jeszcze przed 25 laty zachęcałem, ażeby dopuszczano wszelkich pracowników do udziału w zyskach!... Zarzut więc Szanownego korespondenta mnie nie dotyczy),

„Ja i Ty—mówi autor listu—oddamy życie za chłopów polskiego, ale dlatego tylko, że widzimy w nim przyszłego szlachcica. Ja i ty krew mamy szlachecką i kochać będziemy chłopów wtedy tylko, kiedy zostanie szlachcicem. Co wzgóre jest,

miłuje wzgórze. Dziś, dziś, bądźmy tylko sprawiedliwymi względem słabych współbraci“... Na miłość ani my ich, boć niewola Polski i ich głód, to nasze dzieło, jak prawdę mówi „Chłop nie chłop“, ani oni na naszą—nie zasłużyliśmy; bo chłop to człowiek pierwotny, jak dobrze wyłonił to z siebie z wielu, ze wszystkich „Chłop nie chłop“—w słowach: „to cóż wtedy?... tylko żer!“...

„Nadzieję umiłowania się, społu chłopów i szlachcica, szlachcica i chłopów zostawmy Bogu. My zaś dosyć, gdy będziemy szukali dróg sprawiedliwości. Współudział w pracy, więc współudział w zyskach“...

Jakiż z tych listów wniosek?... Bardzo prosty i jasny.

Pośród ludu wiejskiego istnieją prądy nieufności i niechęci do szlachty, jak to dobrze scharakteryzował „Chłop nie chłop“ znowu wśród szlachty istnieją niesprawiedliwe poglądy i nie tylko poglądy, ale nawet czyny, jak o tem napomyka szlachcic z Rusi. A z tego rezultat?... Dalsza nieufność, dalsza niechęć, rosnące preteasy i... chyba walka?...

Cóż się jednak okazuje. Oto, obok chłopów rozżalonych i rozdrażnionych istnieją inni—spokojni i rozważni, którzy nie tylko zapomnieli o rzeczywistych (a niekiedy i urojonych krzywdach), ale nawet bronią, bronią z całą wymową na jaką ich stać i z całem przekonaniem, bronią tych swoich antagonistów!...

Jednocześnie i między szlachtą kto wie, czy nawet nie częściej, aniżeli między chłopami) znajdują się nie tylko serdeczni przyjaciele chłopów, nie tylko ich gorliwi obrońcy, ale i twardzi sędziowie stanu szlacheckiego, który czynią nie tylko odpowiedzialnym za wszystko złe, jakie spadło na kraj i na chłopów, ale jeszcze zarzucają temu stanowi brak poczucia słuszności i wielkim głosem



TEATR W ŻBIKOWIE. PRÓBA. Fot. Ł. Dobrzański.

upominają się o „sprawiedliwość dla słabych współbraci“...

A jeżeli tak jest w rzeczy samej, więc porozumienie, solidarność, więc nawet—serdeczna życzliwość między tak zwanymi „chłopami“ i tak zwaną „szlachtą“, nie tylko należy do przyszłości, ale—zaczyna się spełniać dziś w naszych oczach...

Z początku będą to tylko jednostki, listy, artykuły, ale po tem przyjdą gromady, czyny i reformy... Byli jaki zły duch nie poplątał już od dawna zawiązujących się stosunków!...

W każdym razie szlachta—musi dać szeroką inicjatywę do tego zbliżenia, szczególnie w stosunkach z parobkami. O tem jednak tyle—razu—pisywałem, że mogą nie powtarzać się dzisiaj.

Teatr pracowników kolejowych w Żbikowie.

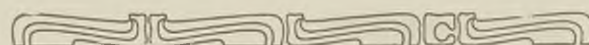
Pracownicy kolei wiedeńskiej powzięli nader szczęśliwą myśl: urządzili sobie teatr w Żbikowie. Zarząd kolei ustąpił im na ten cel obszernego pomieszczenia w budynku, gdzie mieściła się już w przód czytelnia i wypożyczalnia książek, udzielił 600 rubli na koszt urządzenia oraz dał oświetlenie elektryczne.

Przedsięwzięcie, dzięki energii jednego z pracowników kolei, p. Śliwickiego, powiodło się świetnie, tembardziej, że reżyserię w tym najmłodszym teatrze objął p. Maryan Kotowski, znany z organizowania koła „Miłośników“. Urządzali scenę sami pracownicy, poświęcając na ten cel drogi swój czas i... siły, nie szczędząc też nakładów z własnej kieszeni. Dekoracje malował pan Mejsztrowicz, litograf miejscowy, wypadły one zupełnie zadawalniająco.

Na pierwszy raz pokuszono się nie o byle co—o komedię stylową. Grano „Pana Geldhaba“ Fredry, przyczem zaznaczyć warto, że wszyscy umieli swoje role doskonale. Grano później, po „Prologu“ Maryana Kotowskiego, „Przez wdzięczność“ E. Lubowskiego. Wskazywaliśmy na wykonawców dostrzegaliśmy kilku wybitnie zdolnych aktorów zasługujących na zaznaczenie, że grano bez inspirowania, a pomimo to sztuki szły żywo i składnie, a suflerzy nie było, że nie były słychać.

Sala była przepelniona. Miejsce jest w niej około 200, tymrazem zmieściła dwieście kilkadziesiąt. Specjalny delegat Tygodnika Ilustrowanego artysta-fotograf p. Łukasz Dobrzański, zjadł dla nas dwie podobizny z tego interesującego przedstawienia, które omawiają się same przez się.

Na przedstawieniu byli obecni członkowie zarządu kolei i wielu wyższych urzędników, wreszcie przedstawiciele prasy.



Szanownych Prenumeratorów prosimy o odnowienie prenumeraty.



Bywają kwestye, które trzeba, które należy, rozpoczynać od stworzenia świata. Jedną z nich jest—ostry zatarg między naszymi paniami telefonistkami, a szwedzkim towarzystwem telefonów firmy Cedegeben...

Stanowisko nasze w tem zawikłaniu jest bardzo proste i scharakteryzować je można w kilku słowach. My mężczyźni, my Polacy od wieków, walczyliśmy przeciw damom o naszą wolność, o naszą dodność... Od wieków usiłujemy zerwać pęta ściskające nas coraz mocniej... Naiwni, wyobrażaliśmy sobie, że w tej walce jednej płci, z pomocą drugiej płci, poprą nas nasi bracia Szwedzi, przynajmniej w zakresie telefonicznych czy telefonicznych stosunków, lecz—omyliliśmy się!

Bracia Szwedzi nie tylko nie pomogli nam, ale skompromitowali naszą sprawę, nasze hasła, nasze ideały, naszą pieć. W tem zaś co poniżej nastąpi, postaramy się udowodnić powyższej tezy.

Od czasu biblijnej Ewy, która była nietylko matką rodu ludzkiego, ale i twórczynią ludzkiej nędzy, dla nikogo nie jest tajemnicą, że kobiety po to przychodzą na świat, ażeby, gubić, poniżać, trzymać w niewoli i zawsze oskarżać nieszczęsny rodzaj męzki. O Ewie już nie wspominam, milczę i proszę wszystkich, ażeby starali się nie pamiętać, że, gdyby nie konszachty tej pani z wężem, do dziś dnia przebywalibyśmy w raju. Ewy niema... Ale co np. zrobimy z Judytą, która dzielnemu Holofernesowi własnoręcznie ucięła, że tak powiem głowę?... A co z Esterą, której intrygi zawiodły aż na szubienicę obywatela Hamana, który był jednym z najdawniejszych nacyonalistów i antysemitów, jakich pamięta historia?...

Nie chcecie Starego Testamentu, dobrze. Lecz cóż powiemy o pani Xantypie, która miała zwyczaj tłuc fajansowe naczynia na łysinie jednego z najczcigodniejszych Greków-Sokratesa?... A jak wam podobają się greckie hetery, u stóp których ówczesna młodzież, pomimo ciężkich czasów, trwoniła olbrzymie majątki?... A co powiecie o takiej Agrypinie, która dała i wychowała światu Nerona?... I czy znajdzie się niesumienny stronnik płci, zwanej kłiwą, który ośmieliłby się stwierdzić, że, bez czynnego i świadomego udziału tejże płci możliwym byłoby istnienie, już nietylko Nerona, ale wodóle wszystkich większych i mniejszych hultajów, jacy kiedykolwiek grasowali na naszej nieszczęsnej planecie?...

Mamże przypominać, że, gdyby Beatrycze, Dante nie zawadziły o piekło, co dużo zdrowia musiało go kosztować i szkodliwie wpłynąć na talent. Mamże wymieniać nazwisko smętego wielbiciela Heloizy?... A Machbet dopuściłby się tyłu „samosądów“ i „wywłaszczeń“, gdyby nie jego małżonka?... A łzawy Romeo, czy nie żyłby do dziś dnia, oroczony powszechnym szacunkiem, gdyby nie Julia?...

Zapytacie: dla czegoż, wobec tylu klęsk, rodzaj męzki nie otrząsnął ze siebie kobiecego jarzma?... Dlaczego?... Przedewszystkiem kobiety cieszą się protekcją wszystkich rządów, którym potrzebi są rekruci i płatnicy podatków. A następnie, dzięki rozlicznym manewrom płci pięknej, biedny mężczyzna jest tak otoczony niewidzialną siecią rozmaitych wygód i usług, jak złota muszka pajęczyna, w której nawet ruszyć się nie może.

Pomijam zawikłaną kwestię miłości, w której kobiety zdają się być niezastąpionymi. Ponieważ jednak nie można być wiecznie zakochanym, rozmarzonym, namiętym, więc kobiety chwyciły się innych fortelów i innych monopolów. One

czuwają nad naszą bielizną, one nalewają herbatę i zupe, wydzielają nam sztukę mięsa i sosy, dokładają kartofelków do pieczenia... One pielęgnują nas w chorobie, podają lekarstwa; one pocieszają nas w smutku...

One towarzyszą nam zawsze i wszędzie: w teatrze, restauracji, przy szampanie, paleniu papierosów, nabijaniu bomb, przy zmachach, w więzieniach, na zesłaniach, nawet na rusztowaniach... Narzucają nam swoje towarzystwo, a potem wymawiają nam, że bez nich obejść się nie potrafimy!...

Z piekielną też zręcznością posługują się bronią pochlebstw. Chciałbym widzieć mężczyznę, który np. nie wyobraża sobie, że jest wielkim człowiekiem, chwilowo nie poznanym i nie uznanym przez społeczeństwo. A dlaczego tak sobie wyobraża?... Bo tak mu tłumaczyły i tłumacza, tak wmawiały i wmawiają w niego matki, ciotki, siostry, narzeczone, żony, córki, wychowawce, kucharki, słowem cały świat żeński, który przysięgł się, tumanić biednego mężczyznę. Ale czy to jest szczerze?... Nie łudźmy się nieszczęśliwi!... w gruncie rzeczy bowiem kobiety lekceważą nas w sposób trudny do uwierzenia, wprost nieojęty...

Młodą damę, ucięła w paluszek osą. Jej kuzyn, jeden z pierwszorzędných chirurgów, przychodzi z ratunkiem. Wydobywa żądło, polewa amoniakiem palec...

Naturalnie ból zmniejszył się, ale wówczas piękna pacjentka szepce przez łzy...

— Nie... Lecz tego nie potrafi... bo ciocia mówiła...

Styszeliście?... Pierwszorzędný chirurg nie potrafi dać sobie rady z ukąszeniem osy, ponieważ „ciocia“ zalecała jakieś inne środki!...

Jeden ze znakomitych naszych terapeutów na gorące prośby córki, zapisuje lekarstwo pacjentce, która z góry oświadcza, że żadnych lekarstw nie będzie brała... W parę dni nowa wizyta i pacjentka nagle odzywy się:

— A wie doktor, że pańskie lekarstwo pomogło mi?...

— Więc pani zażyła?... pyta zdumiony lekarz.

— Zażyłam. Bo onegdaj była tu kuzynka, Flasia, i powiedziała, że recepta jest dobra na moją chorobę...

Jak się to komu podoba?... W oczach kobiety nre ta recepta jest dobra, którą zapisał choćby znakomity lekarz, ale ta, którą potwierdziła Flasia!...

W taki sposób pieć piękna ocenia nasz rozum, naszą wiedzę fachową, nasze zasługi, które spadają do nicostwa, jeżeli nie uzna ich jakaś ciocia, albo niemniej kompetentna „Flasia“.

Ustawy, nawet uchwały, nie obowiązują kobiet, wcale dla nich nie istnieją. Przed laty, przed laty, byłem członkiem Towarzystwa szycia koszulek dla Murzynków do lat 9-ciu i otóż na którejś sesji słyszałem taką rozmowę:

...Więc uszyliśmy 50 koszulek, a za resztę kupiliśmy tanich hafcików, po 20 groszy łokieć...

— Na co te hafciki?... — zapytał jeden z członków, były prezes sądu kryminalnego.

— Przecież to nie drogo 20 groszy łokieć?...

— Ale miałyście panie uszyć sto koszul bez haftów, nie zaś 50 z hafcikami?...

— Przecież z hafcikami jest chyba ładniej?...

Następnie mówczyni zaprojektowała, w celu zwiększenia dochodów Towarzystwa, ażebyśmy utworzyli... operę amatorską...

— Nie mamy prawa tworzyć oper—wtrącił b. prezes.—Tego nlema w ustawie...

— Niech pan prezes wybaczy—odezwiała się jedna z protektorek—ale przy takiej pedanterii nie utrzyma się Towarzystwo!

— Ależ pani hrabino, my przedewszystkiem musimy pilnować się ustawy... bo nas zamkną!... wołał b. prezes.

— Boże, jacyż ci mężczyźni są despotyczni!...—weschnęła inna dama.

Oto jest prawda o kobietach i naszym wobec nich położeniu. Na marmurowych tablicach, złotymi literami, wypisywać takie słowa!... Dopiero wówczas może choć trochę popołgowałyby...

Kiedy Szwedzi objęli władzę nad telefonami, nie jeden z nas zatarł ręce z radości.

— Szwedzt — mówiliśmy — naród dzielny, konsekwentny, przywykły do porządku i wolności, miłujący sprawiedliwość, zaimponuje naszym niewiastom, jeżeli nie wszystkim, to przynajmniej tym 100 lub 200, które będą pracowały w biurze telefonów. Szwedzi nauczą nasze damy szanować mężczyzn. No, a jeżeli raz między kobietami zbudzi się przekonanie, że jednakże ten lekceważony, ten podeptany mężczyzna jest coś wart, wówczas i nasze pożenie stanie się znośniejsze.

Istotnie kierownicy biura telefonicznego muszą posiadać wiele, bardzo wiele taktu, ponieważ ten rodzaj komunikacji jest nietylko dziwnie użyteczny, ale i dziwnie denerwujący.

Bo tylko wyobraźmy sobie człowieka, który chce coś powiedzieć prędko, jak najprędzej, a tymczasem... ma zatłoczone uszy i kneblem zamknięte usta!... Dzwoni tedy, wora: zdejmijcie mi knebel!... wyjmijcie zatyczki z uszu!... Każda sekunda wydaje mu się godziną, boli go... A tu nic!... Biuro nie śpieszy ze zdjęciem knebla!...

— Naturalnie interesant, szczególnie gdy jest odpowiednio wychowany, wpada we wściekłość... krzyczy... ryczy... wymyśla... A tu biedna telefonistka mając do załatwienia trzech... czterech... pięciu... ośmiu... tak samo rozruchanych interesantów, nie może wszystkim jednocześnie wyperswadować, że—numer, z którym chcą mówić, jest akurat w tej chwili zajęty!...

Więc i ona denerwuje się, traci głowę, spóźnia się... Co łatwo zrozumiemy, pomyślawszy, że taka pani musi obsłużyć 150... czasem 200 a niekiedy i 500 interesantów w ciągu godziny!...

Zwracam uwagę, że telefonistki wszędzie są rozdrażnione, nie tylko w Warszawie, ale nawet w Paryżu, jak tego dowiodły niejednokrotnie procesy.

Krótko mówiąc służba telefonowa, nie wiem, czy jest ciężka, ale jest bardzo, ale to bardzo denerwująca. Z tym faktem powiunaby się liczyć publiczność, a ma obowiązek—liczyć się—Zarząd.

Cóż jednak robi szwedzki zarząd telefonów, zarząd, na którego mądrość i takt rachowaliśmy jak na Żawiszę?... Oto, zamiast usunąć, o ile można, przyczyny zdenerwowania telefonistek, on—przyczyny te pomnożył. I w rezultacie wyniknął zatarg, w którym 26 telefonistek otrzymało dymisy lub zażądało jej, a w którym obie strony dopuściły się następujących przekroczeń:

Panie telefonistki. 1. Pewnej nocy usunęły świeżo zaprowadzone a jakoby zbyt ciche i drażniące dzwonki. 2. Następnej nocy nie przyszły





DROGA ARTYSTY
JACEK MALCZEWSKI

Unosząc w sercu natchnień kwiat idzie artysta w śnieżny świat, błądzi wśród lodów długie dni,
leż widzi ślady, ślady krwi...
Wlecz się za nim skrzydeł cień, a on jutrzniary marzy dzień, co nad rodzinny wzejdzie łan
w tej krwi wylanej, z łez i ran...

na dyżur. 3. Żądały niewielkich ulepszeń służbowych.

Pan zarząd. 1. Powierzył władzę zwierzchnią osobie, może najmędrzej i najzacniejszej, która jednak—dopiero co przybyła do Warszawy, nie zna języka, ani swoich podwładnych, ani ich potrzeb e mimo to natychmiast zaprowadza reformy... niekoniecznie udatne. 2. Unieruchomił windę, skutkiem czego telefonistki zmuszone są wchodzić co dzień 10 pięter pod górę, co bynajmniej nie wymaccia nerwów. 3. Na dyżury nocne, od 11-ej do 7-ej rano, przeznaczył tylko trzy urzędniczki na 10,000 abonentów! 4. Zaprowadził zły rozkład pracy dziennej, który utrudnia telefonistkom nawet porządne zjedzenie obiadu. 5. Zaprowadził w nocy dzwonki, które podobno są niepotrzebne a bardzo denerwujące. 6. Natomiast nie urządził wentylacji w salach. 7. Nie dba o tak drobną, ale i dokuczliwą rzecz, jak: czyste ręczniki, szklanki i prędką usługę np. przy rozdawaniu herbat. 8. Panie naczelniczki traktują wyniośle e nawet niegrzecznie swe podkomendne. 9. Zarząd traktuje niechętnie ochronkę, chór, kasę, którą założyły telefonistki i wogóle nie lubi urzędniczek samodzielnych i ukształconych, woli automaty. 10. Zaprowadza ważne, nawet ciężkie reformy w służbie, nie porozumiewszy się z telefonistkami. 11. Dymisyowanym oie chce wypła-

cić należnej pensji za trzy miesiące, lecz grozi im skargą o „zmowę“, co dla interesantek mogłoby mieć złe następstwa.

Skończy na tem. Z powyższego wyliczenia okazuje się, że, jeżeli panie telefonistki popełniły *trzy* centnary grzechów, to Zarząd dopuścił się *jedenastu* centnarów. Taki zaś brak równowagi dyabelnie podkopuje zasadę sprawiedliwości i rodzi podejrzenie, że wolni synowie, wolnej i szlachetnej Szwecyi, na naszym, już i bez tego nieszczęśliwym gruncie, chcą uprawiać system polityki biurokratycznej i w zakresie swej skromnej władzy, zaprowadzać stany wojenne, tudzież sądy polowe.

W rezultacie, kto wyobrażał sobie, że Szwedzi uwolnią nas z pod jarzma pięci pięknej i mądremi czynami zasieją w damach szacunek dla płci męskiej, kto na to liczył, zawiódł się gorzko. Od tej pory bowiem damy będą zarzucały nam nie tylko despotyzm i samowolę, lecz jeszcze niegrzeczność i złe wychowanie, co naszego smętnego stanowiska wobec nich nie poprawi.

Nie udają nam się sprzymierzyćcy!...

Paul H. F. w R. Projekt pani jest piękny, ale nie śmiałybym go zalecać. Mamy i będziemy mieli bardzo duże wydatki, na miejscu, a każde znowu wmieszanie się naszej strony do tamtejszych stosunków, mogłoby je tylko rozdrażnić.

MSZA.



O, śpiewne msze, wśród polnej samotnej kaplicy,
Płynące skroś na pola i sady owocne!

O, ludu głosy proste, a wiarą wszechmocne,
I rozchwane od wiatru płomienie gromnic!

Czasem kwiciste chusty przywabiają motyla,
Że zabłąkany wleci ze lnu albo gryki
I na sztucznych bukietach w kadzidłach się chyla,
Aż opalą mu skrzydła gromniczne płomyki.

Dokoła pól dostałych południe słoneczne:
Nagrzany wicher wonny błękitem przelata,
I zda się stać nad ziemią święto życia wieczne.

A msza z kaplicy płynie na sady i łąny
I łączy się z przeświętą harmonią wszechświata
O, motylu na sztucznych bukietach zbłąkany!

BRONISŁAWA OSTROWSKA.





KONIOKRAD



JÓZEF BRANDT

Z Salonu T. Z. S. P. w Warszawie.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Podobno najsilniejszym powodem rozpędzenia pierwszej Dumy rosyjskiej był zatarg o wielkie posiadłości. Duma chciała „wkwaśńczyć” posiadaczy wielkich na rzecz włościan a rząd nie chciał zgodzić się na to, pod żadnym pozorem. A że był mocniejszy, więc i t. d.

Sprawa posiadłości wielkich przed kilkoma tygodniami odżyła i w naszym kraju. Mianowicie zjazd ziemiański uchwalił, że: „prawo własności jest nienaruszalne” i „że przymusowe wywłaszczenie własności ziemskiej, w celu rozszerzenia przestrzeni własności mniejszej, nie może mieć miejsca”. Zaś prawie jednocześnie pewna grupa naszych włościan wyraziła opinię, że—obszary ziemi, większe od 460 morgów, mogą, czy też—powinny być wywłaszczone.

Dlaczego najwyższą granicę posiadłości większej ma stanowić 450 morgów a nie 300, albo 200, albo 500 albo nawet i 1,000?... tego objaśnić nie potrafie.

Kwestyą „wywłaszczenia” dla tego ośmielam się zaprzęgnąć uwagę czytelników, że jest ona bardzo ważną i że gdyby nastąpiło ograniczenie rozmiarów własności wielkiej, tudzież wywłaszczenie reszt, anatomia naszego społeczeństwa uległaby nie tylko zmianom głębokim, co mogłoby być korzystne, kłopotliwym, co mogłoby się stać niebezpiecznym.

Dla zilustrowania rzeczy wyobraźmy sobie, że wydano prawo, wedle którego: nikt w Warszawie nie może posiadać kilku domów; nawet jedna; bardzo duża kamienica, nie może być własnością osoby pojedynczej, lecz musi należeć do kilku właścicieli... Jaki wówczas wytworzyłby się zamęt w stosunkach. Jakim zmianom uległby ceny kamienic i dochody z nich, jakie wybuchnęłyby intrygi między kandydatami do współposiadania tej lub owej kamienicy... niech czytelnik nam w duszy dośpiewa!...

Teraz możemy zapytać: co to jest „wywłaszczenie”?...

Przypuśćmy, że jakiś p. Fafulski posiada kawałek ziemi, który—konieczne musi przeciąć linia drogi żelaznej. W takim razie zarząd budującej się kolei proponuje p. F. nabycie wymienionego kawałka, na co właściciel odpowiada:

— Z rozdartem sercem sprzedałbym panom wspomniany szmerek ziemi, gdyby nie był on drogą pamiątką po mojej najukochańszej babce. A ponieważ bardzo jestem przywiązany do tych łzawych wspomnień (choć nieboszczki nie znam), więc tyle razy wzmiankowany kawałek ziemi, ze śmiercią w duszy, ofiaruję panom za 200 tysięcy rubli, tylko przez wzgląd na publiczne dobro...

Targ w targ—kochający wnuk zgadza się na 190 tysięcy i już ani grosika nie chce ustąpić; dzięki czemu budowa kolei ulega zwłoce a może nawet zupełnemu przerwaniu...

W takim stanie rzeczy występuje—Państwo: ogląda drogocenny kawałek, bada go i, na podstawie np. 10-cio letnich rachunków, ocenia jego wartość na sto rubli. Poczem wydaje rozporządzenie, że: p. Fafulski przestał być właścicielem drogiej pamiątki po babce i musi kontentować się—stu rublowem wynagrodzeniem. Kolej zaś może zabrać kwestyonowaną ziemię i budować na niej, co uzna za potrzebne.

Krótko mówiąc wywłaszczenie—jest to pozbawienie kogoś prawa własności, dla publicznego dobra, dokonane za słusznym wynagrodzeniem. Konfiskata zaś oznacza zabranie komuś własności bez wynagrodzenia i jest karą, która najczęściej spada na ludzi za przestępstwa polityczne.

Mimochodem zaznaczymy że Duma, nie chciała: konfiskować, tylko wywłaszczać ziemię, należącą do posiadaczy wielkich. Nasi znowu ziemianie występując w „obronie własności”, nie byli tak bardzo zafocani, jakby się mogło zdawać gorątszym umysłem. Albowiem w „Deklaracji praw człowieka i obywatela”, która jest testamentem największej jaką świat widział rewolucji, w § XVII-tym znajdujemy słowa;

„Własność jest prawem nietykalnym i świętem i nikt nie może być jej pozbawiony”...

Do tego miejsca najkonserwatywniejsi ziemianie nasi zgadzają się z najniebezpieczniejszymi rewolucjonistami; chociaż dalszy ciąg paragrafu przemawia na korzyść Dumy:

Nikt nie może być pozbawiony własności... „z wyjątkiem wypadków, kiedy wymaga tego potrzeba społeczna, prawnie skreślona i kiedy odpowiada temu sprawiedliwe wynagrodzenie”.

Z tego co powiedziało się dotychczas, czytelnik widzi, że wywłaszczenie jest ro bardzo poważna, bardzo głęboka reforma społeczna, lecz—że trudno twierdzić, jakoby—„w celu rozszerzenia przestrzeni własności mniejszej—nie mogła mieć miejsca”. Czuli to widać roztropni ziemianie, gdyż nie powiedzieli, że: wywłaszczenie „nigdy” nie może mieć miejsca. Zapewne przypomnieli sobie aforyzm Napoleona, że—ze słownika politycznego należy wykreślić dwa wyrazy: „nigdy” i „zawsze”, które z tak wielkiem powodzeniem używają się w fortelach miłosnych.

Ja osobiście bardzo pragnąłbym „rozszerzenia przestrzeni własności mniejszej” a za tą cenę wolałbym zmniejszyć liczbę wiejskich proletariuszów. Lecz jednocześnie pragnąłbym, ażeby odnośne reformy dokonane zostały bardzo powoli, bardzo oględnie, z wielką rozważą i rachunkiem. Słowem—wolałbym, ażeby mała własność rozszerzyła się, nie zapomocą wywłaszczenia, lecz parcelacji, co zresztą dokonywa się już i dzisiaj, chociaż nieporządnie i dla włościan niekorzystnie. Natomiast silny nacisk położyłbym na inne reformy rolne, o czem niżej.

Mały nawias. Niech to nikogo nie gorszy, że tak często używam zaimka „ja”.—„Ja” myślę, „ja” chciałbym... i t. p. Pisząc tak, nie chcę bynajmniej zaznaczać własnej nieomyślności, lecz przeciwnie: zwracam uwagę czytelnika, że jest to moje zdanie osobiste, a więc może błędne, które

66:22=100:18
3:1=100:33
= 3



czytelnik winien poddać krytyce i porównać ze zdaniem innych — „ja“...

Wracam do rzeczy. Aby zrozumieć praktyczną wartość „wywłaszczenia“ trzeba zastanowić się nad wymaganiami czasu, nad duchem czasu. Otóż, ów duch czasu jest taki, że — miliony ludu, który żył i żyje w niedostatku, w ciemnocie, w zależności, chcieliby jak najprędzej pozyskać dobrobyt, wiedzę i wolność, tę względną wolność jaka jest możliwa na naszym padole, wśród istniejących warunków społecznych.

Ponieważ zdobycie wiedzy wymaga czasu i niezużytych sił umysłowych, czyli, dobrobytu i ponieważ wolność również wymaga choćby skromnego dobrobytu, więc w rezultacie zasadniczym dążeniem przebudzonych dziś milionów ludu jest, dobrobyt. Kwestya zatem stawia się w taki sposób: „Czy wywłaszczenie posiadaczy wielkich, na rzecz małych, a w dalszym ciągu wywłaszczenie wszystkich posiadaczy na rzecz proletariatu, spotęguje dobrobyt ogólny?... A przynajmniej czy spotęguje go w tym stopniu, że opłaciłyby się koszty wywłaszczenia, które, znowu „moim zdaniem“, byłyby bardzo... bardzo duże!...

Powtarzam: koszty wywłaszczenia byłyby bardzo duże, nie tylko dla wywłaszczonych, ale i dla obdarzonych i dla całego społeczeństwa, ponieważ zarówno, jak w mechanice, tak i w życiu, każda gwałtowna zmiana wywołuje stratę sił, osłabienie funkcji. Człowiek, z wielkim rozmachem, idzie ścieżką; wtem ścieżka skręca, podróżny nagle zarrzymuje się i... traci rozmach. Ogrodnik przesadza roślinę z ziemi gorszej do lepszej; zdawałoby się, że roślina w tej chwili powinna objawić życie energiczniejsze, a tymczasem ona wędnie na kilka dni, czasem na zawsze.

Nauczyciel mający małe dochody, chce zostać adwokatem, który zazwyczaj ma spore dochody; zanim jednak zdobędzie nowe stanowisko, musi uczyć się, praktykować, czyli, na kilka lat wyrzec się czynnej roli w społeczeństwie.

Albo weźmy ostatnie wypadki. Klasy pracujące, w ciągu kilku tygodniowych bezroboci wywalczyły sobie podwyżkę zarobków i zmniejszenie godzin pracy. Skutki tych ulepszeń powinny być wyborne, objawić się w dobrobycie i wytwórczości robotników. Cóż się jednak okazało?... Dobrobyt nie poprawił się, a wytwórczość osłabła, czyli, powtórzyła się historia rośliny, którą nagle przesadzono z ziemi gorszej do lepszej!...

Słowem — jakkolwiek rewolucyjne zmiany gwałtowne, bywają niekiedy koniecznością, wywołaną przez gwałty uprzednie, to jednakże reformy rewolucyjne nie tylko w początkach, ale nawet przez długi czas nie wydają użytecznych rezultatów, nie usprawiedliwiają nadziei. Człowiek i społeczeństwo wtedy zyskuje na zmianach, gdy te dokonywane są w sposób powolny, stopniowy, rozwojowy. Niemcy na drodze rozwojowej otrzymały więcej swobód, aniżeli Francya po całym szeregu rewolucji.

Ta sama sprawa ma jeszcze drugą stronę: gdy raz zacznie się zmiany społeczne, nie można przewidzieć na czym się skończą. A raczej można być prawie pewnym, że — dosięgną wszelkich możliwych granic. Gdybyśmy raz postawili zasadę wywłaszczenia wielkich posiadaczy ziemskich na rzecz wiejskiego proletariatu, można być prawie pewnym, że wnet wystąpi równie silna dążność do wywłaszczenia wszelkiego rodzaju posiadaczy, na rzecz całego proletariatu.

A wtedy co?... Wtedy będzie taki skutek, że losy proletariatu nie poprawią się, bogaci trochę ucierpią, ale — zachwieje się cywilizacya i może upaść naród, naturalnie — upaść głębiej, aniżeli dotychczas...

Po wywłaszczeniu, rozumie się ogólnem w danym kraju, własność może przybrać jedną

z dwu form: albo zbiorową, w której wszelkie bogactwo, wszelkie środki produkcji stałyby się własnością Państwa, którego obywatele byłiby tylko dzierżawcami gruntów, domów, fabryk i t. p., albo — formę równego podziału, w której wszystkie bogactwa kraju podzieliłyby się między wszystkich obywateli.

Wyraz „Państwo“ naprawdę oznacza: klasy rządzące. Otóż wyobraźmy sobie, że np. w naszym kraju wszelka własność stałaby się własnością klas dzisiaj rządzących. Pola obory, młyny, piekarnie, przedsiębiorstwa i tkalnie — wszystko stałoby się własnością rządu... Jakże wówczas byłyby zarobki, ile godzin pracowałoby się na dzień, co zrobiłoby się z postępem we wszelkich gałęziach wytwórczości a nareszcie — czy zniknęłaby i czy ustałby zbytek klas rządzących?... I jeszcze jedno. A co by się stało, gdyby rząd, jako właściciel, usunął od dzierżaw polskich chłopów i oddał ziemię np. Niemcom lub wielkorusom?...

Odpowiedź: a... własność zbiorowa może nastąpić tylko po głębokich zmianach politycznych!... Dobrze. Zanim jednak nastąpią owe polityczne zmiany, nie ma co mówić o przekształceniu form własności, gdyż byłoby jeszcze gorzej, aniżeli jest dziś... Dziś, wszechpotęde klas rządzących przeciwstawiają się kapitaliści i inteligencya: lecz gdyby te dwa równoważniki zniknęły, w co obróci się nawet ta odrobina wolności, jaką niby posiadamy?...

A teraz rzucmy okiem na inną formę własności: równy podział. Ludzie biedni, a szczególnie ludzie ciemni, wyobrażają sobie, że bogactw jest strasznie wiele na świecie, tak wiele, iż gdyby je podzielić, nikt nie byłby biednym, wszyscy opływaliby w dostatkach...

Jest to złudzenie. Najbogatszym krajem na świecie jest Anglia. Otóż, gdyby wszystkie bogactwa Anglii podzielić między jej mieszkańców, wypadłoby po 2,270 rubli wartości na jednego!...

— A my?... P. St. Koszutski ocenia całą wartość bogactw Królestwa Polskiego na 5 miliardów rubli. Imponująca, straszna cyfra!... Gdybyśmy to jednak podzielić między 11 milionów mieszkańców, wówczas na każdego przypadłoby około 455 rubli...

Przypuśćmy, iż kapitalik ten otrzymalibyśmy w formie jakichś Listów Zastawnych, z kuponami. Pomijam, że bardzo wielu obdarowanych już po upływie roku nie miałoby ani grosza, ale za to inni, sprytniejsi, posiadliby tysiące rubli zamiast setek. Pomińmy jednak to i obliczmy: ile dochodu od swoich 455 rubli miałby ogólny posiadacz takiej sumy?... Otóż, przy stopie 5 proc., miałby około 23 rubli rocznie. Z tej zaś sumy musiałby przedewszystkiem opłacić i to dobrze, hojnie opłacić, rozmaitych ludzi fachowych: inżynierów, administratorów, finansistów i t. p. gdyż jeżeliby nie zapłacił, bogatwa krajowe nie przynosiłyby żadnego procentu, czyli — biedny człowiek, pomimo obdarowania go sumą 455 rubli, znowu nie miałby nic, z wyjątkiem własnej pracy, notabene źle wynagradzanej z powodu rozmaitych stagnacji.

Byłoby też po co dzielić się ogólnym majątkiem, znościć prawo własności, wywoływać kołosalny przewrót społeczny!...

Odpowiedź mi: wszystkie te klęski spadałyby na naród przy obecnych warunkach społecznego ustroju... Macie rację; ale gdzie są owe inne, lepsze, bardziej ludzkie warunki, a nadewszystko gdzie jest ów uszlachetniony człowiek, który każdą zmianę pofariliłby obrócić na korzyść własną i bliźnich?

Oto dlaczego jestem przeciwnikiem zmian gwałtownych, a gorącym zwolennikiem ulepszeń... słyszyście?... ulepszeń drobnych, ale ciągłych, bo te najwięcej przynoszą pożytku, bo tylko one przynoszą pożytek... C?

ZWIERCIADŁO.

Kochany — kochany —
Pamiętasz kobietę o skórze złotawej?
Pamiętasz oczy błękitne, cieniste?
Włosy brązowe?...
Pamiętasz czoło dumne
Z przepaską złotą?...
Spojrzenie chmurne — i złe — i pokorne?...
Pamiętasz — — — mnie?

...Raz, w złotą z blasku noc
Słałam mścić niewolę moją,
I nad twym łóżem schylona,
Nad cichym twoim pochylona snem —
Z nienawiścią we wzroku
I pożarem na ustach
Całowałam głodnie piaz małego sztyletu,
Bo tak się bałam sen ci przerwać
Pocałowaniem ust...

A sztylet był mi słodki, jak usta twoje..

Nad cichym twoim pochylona snem,
Małym sztyletem chłodziłam wargi głodna
I sennym wzrokiem niewolnicy
Szukałam serca bijącego...
I dłoń jedwabną na pierś twoją kładłam,
By w samo serce — w samo serce
Uderzyć — — —

Taka wielka była niewola moja,
Że, gryząc palce ze wstydu i męki,
Wracałam bezsilna do domu
I sztylet niekrwawy oblewałam łzami,
Złorzeczając tobie,
Kochany — kochany —

Aż raz...
Łabędzie białe płynęły wtedy po wodzie,
Ogromne drzewa w zawojach mgły stały,
Rosy kroplami
Dzwoniły róże białe i róże różowe —
Wiatr śmiał się cicho
I dźwięki kropel matowe nioś daleko.

Wtedy trzymałam twe serce
W obu mych dłoniach,
Jak różę różową,
Kochany — i kochający — —

I śmiałam się radośnie i cicho,
Jak letni wiatr,
I z serca, jak z rozdarłej jagody winogron,
Ssałam krew...
Kochany — kochany? — —

W wieczór ten dawny
Ach, jakże długo patrzyłam w twoje oczy —
— Takie płonące —
By za kotarą białego pożaru
Odnaleźć tę przemoc władną,
Która mię tyle razy — ujarzmioną —
Przed twój królewski rzucała tron...

Napróżno teraz!...

W wieczór ten dawny
Ach, jakże długo patrzyłam w twoje oczy —
— I nie znalazłam w nich nic.
Jak w zwierciadle —
Prócz — siebie.

Wtedy małym sztyletem
Zabiłam miłość moją —
A serce twe,
Jak różę różową,
Rzuciłam
Do morza.

ZOFIA RYGIER-NAŁKOWSKA.





ZA DOBRYCH I ZŁYCH

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Od niejakiego czasu, w rozmaitych warstwach naszego społeczeństwa, można spotkać poglądy dziwnie sprzeczne między sobą. Z jednej strony obijają się o uszy słowa nienawiści i pogardy dla kapitału, z drugiej—widzimy fakty dowodzące, że ów przeklęty kapitał jest bardzo pożądanym. Z jednej strony słyszymy gorące i najzupełniej zasłużone pochwały pracy; lecz jednocześnie dowiadujemy się, że praca jeżeli nie w całym kraju, to przynajmniej w fabrykach i w marsztach osłabła, że pracownik, w ciągu np. godziny, wytwarza dziś mniej, aniżeli choćby przed dwoma laty, pomimo lepszych warunków...

Współcześnie, toby pragnął, mógłby usłyszeć o przykładach nadzwyczajnego lekceważenia pracy zbiorowej, tudzież intelektualnej...

— Nam nie potrzeba uczonych, wystarczą róbciarzy!... Robota głową to oszustwo; ten tylko robi naprawdę, kto pracuje rękoma!... I tak dalej.

Zaś o bagatelizowaniu pracy zbiorowej przekonywają bynajmniej nie wyjątkowe fakty, że np. w fabryce, działającej prawidłowo, nagle wybucha strajk w jakimś pojedynczym oddziale, skutkiem czego cała fabryka musi stawać...

Ani temu dziwię się, ani gorszę. Należymy do Państwa ciężko chorego i sąsiaduje mu z ciężko chorem społeczeństwem, więc musieliśmy uleść powszechnej epidemii, choćby nawet nie istniały żadne miejscowe przyczyny, które niestety! istnieją... Gdzie zaś ta choroba, stan gorączkowy w życiu i stosunkach, tam trudno o trzeźwość w poglądach...

Nienawiść do kapitału, obo żądy posiadania go, najwyraźniej objawia się w rozmaitych teoriach „wywłaszczeń”. W poprzedniej kronice wspomnieliśmy o nich; dziś na chwilę powrócimy do tego przedmiotu, aby go uzupełnić.

Powiedzieliśmy, że gdyby wszystkie bogactwa Królestwa Polskiego rozdzielono pomiędzy wszystkich jego mieszkańców (inaczej popełniłoby się krzykzącą niesprawiedliwość), wówczas każdy

otrzymałby 455 rubli, od których mógłby mieć rocznie około 23 rubli procentu.

Mała kwota!... Małość jej jednak szczególnie uwydatnia się w zestawieniu z dochodami, jakie człowiek może mieć z własnej pracy. Nasz bardzo skromnie uposażony parobek folwarczny zarabia około 160 rubli rocznie; zatem przypadająca na niego częśćka „bogactw” krajowych, owe 23 ruble, stanowiłyby zaledwie siódmą część tego, co zawdzięcza własnej pracy. Przeciętny robotnik czy rzemieślnik zarabia około 300 rubli rocznie; jego więc częśćka „zbiorowego kapitału” stanowiłaby zaledwie trzynastą część właściwych zarobków.

Rozumie się, że nawet 23-ch rubli na rok nie lekceważy żaden człowiek rozsądny. W każdym razie, wobec tego, co zdobywa się zapomocą bieżącej, codziennej pracy, jest to suma niewielka, dla pozyskania której, nie byłoby warto przewracać do góry nogami całego społeczeństwa!

Krótko mówiąc: zanadto, o wiele zanadto, przeceniamy wartość „kapitałów” krajowych, a zamało cenimy „własną pracę”, którą, jak wskazaliśmy cyframi, ma bez porównania większą doniosłość i dla nas samych i dla społeczeństwa.

Wspomnieliśmy, że gdyby majątek Anglii podzielić między Anglików, na każdego wypadłoby 2,270 rubli. Na podobnej zasadzie przeciętny majątek Francuza wynosi 2,070 rubli, Belgijczyka, Holendra, Szwajcara 1,500 do 1,800 rubli, Niemca tylko 1.300 rubli a Rosjanina 518 rubli.

Otóż, ciekawa rzecz, Anhlicy, Francuzi, Belgijczycy, Holendrzy, Szwajcarowie, czyli—ludy najbogatsze, wśród których każdy obywatel najwięcej mógłby zyskać na „podziale” i „wywłaszczeniu”, te ludy—do podziałów i „wywłaszczeń” prawie, że się nie kwapią. Za to ubożsi od nich Niemcy—dużo rozprawiają o pożytkach powszechnego wywłaszczenia a zaś u nas najwięksi nędzarze w Europie to jest Rosjanie i my, nie

tylko rozprawiamy o tej kwestyi, ale—radzibyśmy i nawet usiłujemy, werować ją w praktykę...

A jaki z tego wniosek?... Zdaje mi się, że tylko ten: gdzie jest dużo nagromadzonych bogactw, chociażby w rękach „burżujów”, tam nawet proletaryusze mają się lepiej a cały naród dokładnie rozumie wartość bogactw i nie jest skłonny do lekkomyślnego norażania ich na zagładę. Cdzie zaś bogactw nie ma, lub jest ich bardzo mało, tam ogół żyje w nędzy, nie rozumie ani wartości, ani natury bogactwa i myśli, a raczej fantazyjuje, o takich sposobach pozyskania dobrobytu, które właśnie zabiłyby dobrobyt...

Jestem głęboko przekonany, że z biegiem czasu, za jakiasz sto, czy dwieście lat, poglądy na własność i dzisiejsze formy posiadania głębokim ulegną zmianom. Ale tak wówczas, jak i dziś, kwestyę główną stanowić będzie „ilość” bogactw, ilość rzeczy i tych działań użytecznych, któreby jak najprędzej i najłatwiej przyczyniały się do zwiększenia, do przyrostu bogactw. I dziś i zawsze mniej nas obchodzi: kto jest właścicielem kamienicy, czy warstata krawieckiego, byle mieszkania i odzież były możliwie dobre i niedrogie.

Zwiększać, mnożyć bogactwa!... oto hasło. Ale w jaki sposób?... Niestety, zawsze był tylko jeden: praca wyteżona, praca zorganizowana, oparta na wynalazkach gienijuszów i głębokiej wiedzy uczonych. Tego same „ręce” nie zastąpią...

Jakim cudem ta Anglia nie ma być przebogata, jeżeli już przed 40-ma laty posiadała tyle machin parowych, że przedstawiały one pracę 76 milionów robotników?... Jak nie ma być bogata, jeżeli jeden robotnik, grzy pomocy maszyny przędzalniczej, zastępował pracę 300 lub 400 prządek?... Czy mógł nie podnieść się dobrobyt Zachodniej Europy, jeżeli bawełniana suknia, która kiedyś kosztowała 50 franków, dziś kosztuje 10 fr., a może i mniej?..

Co się dziwić bogactwom Francji, jeżeli na przykład podróż z Paryża do Marsylii, która



w końcu XVIII wieku zjadała 13 dni czasu i, w połączeniu z rozmaitemi stratami, przez nieobecność w interesie, kosztowała 1,520 franków, dzisiaj dzięki kolejom, trwa dobę i kosztuje 253 franków?...

Ażeby jednak zbudować czy to maszynę parową, która zastępuje tysiące tragarzy, czy przędzalnię, wyręczającą kilkadziesiąt przadek, czy drogę żelazną, która oszczędza tyle czasu, trzeba było mieć: 1-mo genialnego wynalazcę, który wpadł na pomysł tego rodzaju maszyny, 2-do głębokich uczonych, którzy, zbadawszy rozmaite prawa ruchu, następnie ulepszyli wynalazek i doprowadzili go do idealnej doskonałości, 3-io doskonałych i sumiennych robotników, którzy, tworząc każdą część maszyny oddzielnie, wykonywali je tak dokładnie, że z oddzielnych części rodzila się wyborna całość...

W ten sposób mnożą się bogactwa, czyli rzeczy użyteczne. A dzięki ich mnożności mamy to, że dziś człowiek ubogi jedzie równie szybko jak bogaty, pije wodę z wodociągów równie czystą, jest przez kanalizację równie zabezpieczony od pewnych epidemii, ubiera się, a nawet mieszka, żywi się i bawi taniej i lepiej aniżeli jego przodkowie, chociażby tylko z przed stu lat...

Wierzyć się nie chce, ile w naszym kraju istnieje prac, albo nie wykonanych, albo wcale nie rozpoczynanych, które, gdyby zostały wykonane, w nieobliczonym stopniu powiększyłyby ogólny dobrobyt. A oto parę przykładów.

Wiadomo, że nasze drogi, tak zwane boczne, które stanowią najlichniesze arterie komunikacyjne w kraju, że drogi te są szkaradne. Ale publiczność, znając ich niewygody, nawet nie domyśla się; ile one pochłaniają niepotrzebnych wydatków.

Otóż, jeżeli dla przewiezienia pewnego ciężaru po drodze „bocznej“, polskiej, potrzeba np. 25 koni, to ten sam ciężar po dobrej szosie można przewieźć trzema końmi... Czyli zamiana orogi „polskiej“ na europejską oszczędziłaby mnóstwo pracy końskiej i wydatków, co na tamtej kosztowałoby 25 rubli, na tej pochłonęłoby tylko trzy ruble!...

A teraz pomyślmy o tych tysiącach mil dróg złych, o tych dziesiątkach i setkach tysięcy koni, które je codziennie przechodzą i powiedzmy: czy w błocie i piasku tych dróg nieszczęsnych nie topiłyby miliony rubli rocznie?

I czy można dziwić się, że jesteśmy biedni?...

Drugim źródłem bogactw rzeczywistych, zdobywanych za pomocą rozumnej pracy jest, powiększenie wydajności ziemi. U nas, około roku 1870 zbierano z morgi 4—5 lub 6 korcy zboża, na folwarcznych gruntach trochę więcej, na włościańskich mniej. Niedawno zaś p. J. Świątkowski, inżynier, (jeden z inicjatorów Macierzy Szkolnej), ogłosił w *Gazecie Rolniczej* kilka artykułów p. t. „Historia jednego pola“ i „Opis gospodarstwa w Nieznanicach“. Artykuły te pouczają, że właściciel nieznanic p. Aureli Wunsche, dzięki umiejętnemu nawożeniu pól, zbiera ze swojej morgi nie 4 albo 6 korcy, ale 15, 17 i 25 korcy zboża!

Przetłumaczmy to na pieniądze. Przyjąwszy średnią cenę zboża na 5 rubli, łatwo obrachować, że gdy około 1870 roku nasz rolnik miał z morgi od 20 do 30 rubli dochodu brutto, p. Wunsche ze swojej, doskonale wynawożonej morgi ma rocznie od 75 do 125 rubli dochodu brutto. Są to cyfry bardzo ogólnikowe, w każdym razie pokazują, że w naszym kraju można mieć większe zyski z roli, nie konieczne powiększając jej rozległość. Owszem, dopiero powiększenie ilości

AUTOPORTRET EMILII PLATERÓWNY.
Według fotografii ze zbiorów Leopolda Méyeta

zbiorów z morgi, jest naprawdę postępem, przyrostem społecznego bogactwa.

Nareszcie trzecią, bardzo ważną i bynajmniej nie ostatnią reformą, która mogłaby i musiałaby wpłynąć na podniesienie dobrobytu naprzód włościan, a z nimi i całego kraju jest — komasacja gruntów.

Ażeby zrozumieć kwestię, wyobraźmy sobie takiego nadzwyczajnego warszawiaka, który mieszkałby w Mokotowie, jadł śniadanie na Placu Aleksandra, potem szedłby do roboty na Pragę, następnie obiadowałby na Placu Teatralnym,

morgów przy domu, potem mordę o wiorstę lub dwie od budynków gospodarskich, potem znowu jedną lub dwie morgi w innej stronie, a nareszcie znajdzie się i taka morga, która tworzy pas ziemi szeroki na kilka kroków, a długi na wiorstę lub więcej...

Otóż zmiana tych kilku czy kilkunastu poletek na jeden kawał, formy — przypuśćmy — kwadratu, we środku którego znajdowałyby się budynki gospodarskie, nazywa się komasacją.

Przy systemie pól rozrzuconych ludzie i zwierzęta tracą mnóstwo czasu na przechodzenie z jednego kawałka do innego. Tracą siły, traci nawóz, trudno upilnować zbiorów dojrzewających o wiorstę lub parę wiorst od domu, trudno nie mieć zatargów z sąsiadami, z którymi pola graniczą... Zebrane zaś np. 10 morgów w jeden kawał kwadratowy utworzyłoby pole mające ze 330 kroków długości i szerokości, pole które w każdej chwili łatwo ogarnąć wzrokiem i nie mniej łatwo obrobić.

Według Blocha, jeżeli jakiś kawał ziemi, leżącej przy domu, daje 100 rubli rocznie, to toż samo pole, odsunięte na wiorstę od domu, da tylko 76 rubli, na 2 wiorsty — 52 ruble, na 3 wiorsty 28 rubli, na 4 wiorsty — tylko 4 ruble a odsunięte od domu na 5 wiorst, już nie przynosi żadnego dochodu.

Tym sposobem, gdyby ktoś, mający pola na 2 wiorsty oddalone od domu, zamienił je na pola przy domu, tem samem podniósłby dochodowość ich o 48 procentów!...

W sprawie tej *Kurier Litewski* ogłosił bardzo ciekawy artykuł p. A. Tupalskiego, p. t. „Ekonomiczna wartość komasacji na Litwie i Białej Rusi“. Według autora komasacja gruntów w tamtych okolicach podniosłaby roczne dochody włościan o 24 proc. do 35 proc.

Sens moralny. Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby liczba protetariuszów wiejskich zmniejszyła się, ażeby podniósł się dobrobyt nie tylko włościan bezrolnych i mołorolnych, ale i wszystkich mieszkańców kraju. Ażeby wreszcie pewna ilość źle prowadzonych gospodarstw „wielkich“ zamieniła się na mocne sadyby włościańskie.

Wszystko to jest pożądane i wszystko to może spełnić się nie zapomocą katastrofy społecznej zwanej „wywłaszczeniem“, ale całego szeregu niby to nie wielkich, lecz w istocie głębokich i potężnych reform, jakimi są: poprawa dróg, komasacja gruntów, podniesienie żyzności ziemi i t. p. Te reformy z pewnością wpłyną na podniesienie dobrobytu wszystkich warstw społeczeństwa, podczas gdy „katastrofy“ zwiększyłyby tylko ogólny niedostatek ciemnoty i zdziczenie.



Nieznany wizerunek

Emilii Platerówny.

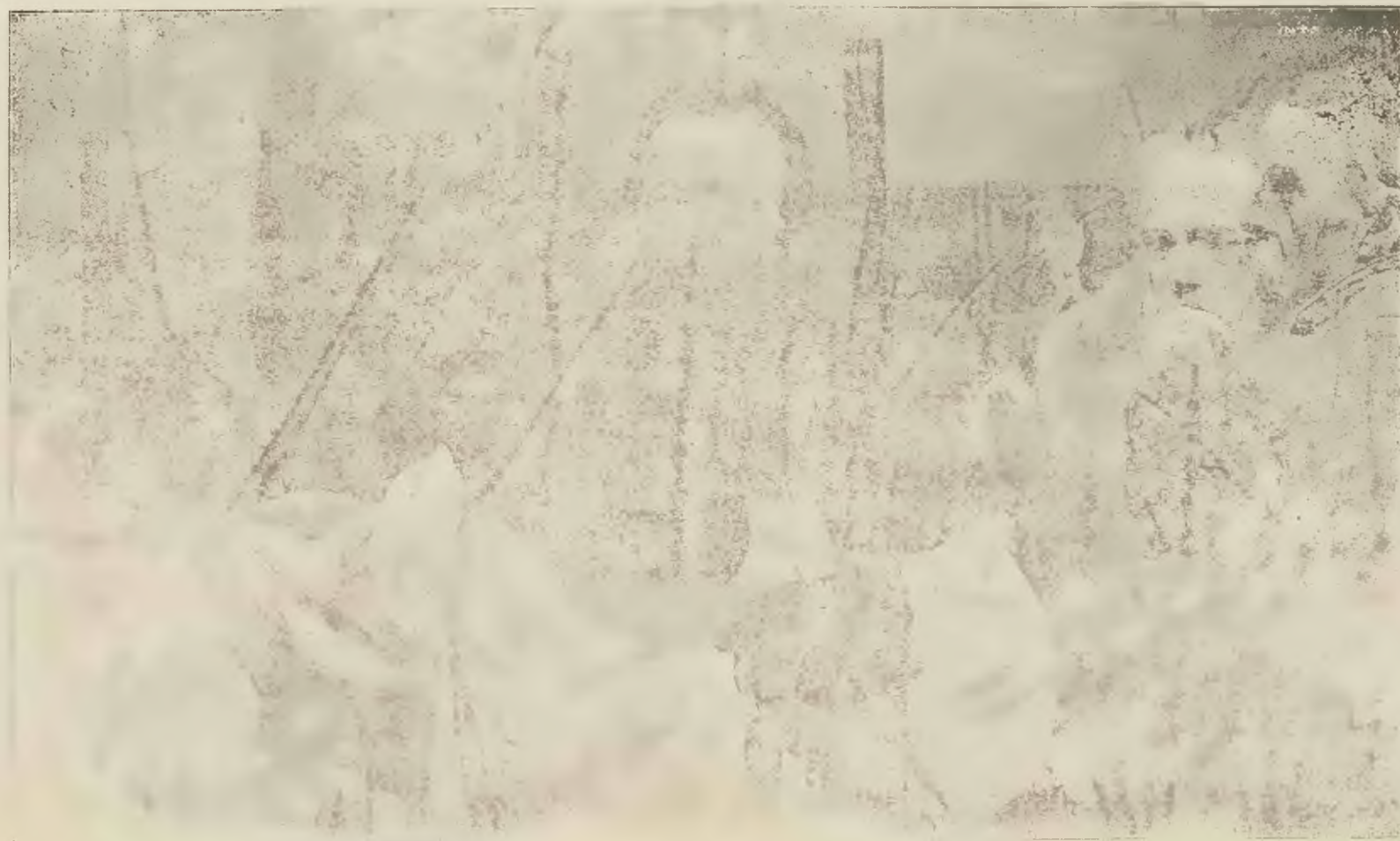
Oblicze Emilii Platerówny, tej kobiety niezwyklej, uwiecznionej w poezji Mickiewicza, nie jest dokładnie znane narodowi, za którego wolność tak dzielnie, tak bohatersko walczyła. Rozpowszechnione w licznych reprodukcjach jej wizerunki, bardzo małym odznaczają się podobieństwem, nie wyłączając nawet portretu, w stroju wojskowym, znajdującego się w pomniku dzieła Józefa Straszewicza: „Les Polonais et les Polonaises de la Révolution du 29 Novembre 1830“. (Paryż 1832—1836). Są to po większej części twory fantazyi, których autorowie nie posilkowali się żadnym autentycznym materiałem. A materiał taki istnieje, i spożytkować go łatwo.

POPULARNY, FANTAZYJNY WIZERUNEK E. PLATERÓWNY.
Ze zbiorów L. Méyeta.

wreszcie cwałowałaby na kolację za rogatki Jerozolimskie... Chyba zgodzimy się, że ani życie takiego człowieka nie byłoby zbawne, ani praca wydajna.

Otóż takie mniej więcej jest położenie bardzo wielu gospodarzy włościan. Zamiast posiadać ziemię swoją w jednym kawale, oni mają: parę





FRAGMENT Z „SUMY“

Z jesiennego Salonu T. S. P. w Krakowie.

WINCENTY WODZINOWSKI

emigrantów, nieoświecone, nie umiejące po angielsku, mocno lekceważy. Poza tą inteligencją, już tu zrodzoną, wobec braku przedstawicieli pracy umysłowej w łonie samej emigracji, rolę przewodników ludu polskiego w Ameryce odgrywają księża, i oni też mają faktycznie wpływ największy.

Robotnik polski w fabrykach tutejszych jest bardzo ceniony, jako trzeźwy, wytrwały, akuraty, a przede wszystkim jako najtańszy. Nie znając bowiem na początku języka, uderzony wysokością nawet najniższych cen zarobkowych, przyjmuje takie warunki, jakie mu dają. Nieznajomość języka trzyma go także dłużej na danym miejscu, obawia się bowiem wszelkiej zmiany.

Pracowitość zaś i akuratność odbija silnie od ogólnego typu robotnika tutejszego, który wbrew przesądom, rozpowszechnianym w Europie, nie jest bynajmniej wysoki.

Nasuwa się pytanie, dlaczego Polacy przy tak wielkich zaletach pracowitości i oszczędności dostarczają tak mało przykładów owych karier amerykańskich, owych „self made man“, którzy dochodzą tu bądź do stanowisk najwyższych, bądź też do majątków największych? Dwie są przyczyny kardynalne. Polacy z trudnością i niechętnie uczą się języka angielskiego i odznaczają się wogóle lenistwem w stosunku do dalszej oświaty i wykształcenia, skoro ten język posiadają. Rodacy nasi nie uczą się wcale albo uczą się bardzo mało na kursach wieczornych, stanowiących wrota do kariery życiowej dla robotników i rzemieślników. Nie korzystają też z książek i bibliotek publicznych. Oto fakt: w Bostonie biblioteka taka posiada filie w dzielnicach, które skrupulatnie prowadzą statystykę narodowościową wypożyczających książki; wobec braku Polaków w tych statystykach, biblioteka nie sprowadza już wcale

książek polskich i kasuje powoli prenumerowane pisma polskie.

Do tych dwóch kardynalnych przyczyn słabości ekonomicznej żywiołu polskiego dorzuciłbym trzecią: pijaństwo. Zbyt krótki czas i mała ilość obserwacji własnych nie pozwala mi twierdzić stanowczo, a zdania Polaków, z którymi o tem mówiłem, są podzielone: na wschodzie podnoszono pijaństwo, jako wadę narodową Polaków, tu cytowano mi ich wstrzemięźliwość, jako zaletę. Wstrzemięźliwość jest rzeczą względną: Polacy zyskują naturalnie na porównaniu z takimi koronnymi, urodzonymi pijakami, jakimi są Irlandczycy, ale to znaczy niewiele. Ilość zaś szynków na wszystkich rogach i nie rogach w dzielnicy polskiej w zestawieniu z wysokim podatkiem a taniością trunków nasuwa na myśl tak olbrzymie ilości spożycia alkoholu, że wstrzemięźliwość polska wydaje się wątpliwą, a wątpliwość tę potwierdza wielka rola społeczna szynkarzy. W każdym razie mogą tylko życzyć moim rodakom amerykańskim, aby rozwinął się u nich jak najprędzej i jak najpotężniej ruch antyalkoholyczny.

Takiem jest tło obrazu, na którym w dalszym ciągu wystąpią różne szczegóły.

Chicago, w grudniu 1906. LUDWIK WŁODEK.

✍

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Około roku 1890 go, kiedy to nie było wolno ani uczyć, ani zawiązywać stowarzyszeń, ani wogóle pracować dla kraju, znalazła się jednakże garstka zuchwalców, marzących o stworzeniu takiej instytucji, która przyczyniłaby się do podźwignięcia naszych rzemiosł, do rozbudzenia w nich ducha artystycznego.

O ile sobie przypominam, pierwszy raz o tym

projekcie usłyszałem od d-ra Karola Benniego. Niebawem wypłynęły i inne nazwiska: Wł. Kiślańskiego, And. Brzezińskiego, S. Dicksteina, Al. Feista, J. Keppego, J. Kirszrota, Al. Makowieckiego, St. Natansona, K. Szlenkiera i t. d., którzy rozumieli doniosłość instytucji, byli gotowi do pewnych ofiar, ale... na założenie odpowiednich fundamentów nie mieli dość pieniędzy.

Szczęściem żył wówczas niezapomniany Hipolit Wawelberg, który „wybawił inicjatorów z kłopotu“, ofiarowując 25,000 rubli na ufundowanie Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej. Na tenże cel St. Rotwand złożył 3,000 rub., K. Szlenkier 1,000 rb., J. Bersohn 500 rub., za nimi poszli inni i, po uzyskaniu odpowiedniej koncesji, co również nie należało do rzeczy łatwych, urodziła się nowa instytucja w roku 1891-ym.

Muzeum urządziło odczyty i wystawy, rozpoczęło wydawanie własnego albumu sztuki stosowanej, nade wszystko jednak zasłużyło się społeczeństwu otworzeniem kursów rysunkowych, z których korzysta co rocznie około 375 uczniów i uczennic. A oto nazwiska pierwszych nauczycieli: panie—L. Mirosławska i M. Stupska, panowie—L. Dymitrowicz, A. Turski, T. Skonieczny, F. Roliński, F. Łopieński, Z. Maczewski, J. Malanowicz i L. Panczakiewicz.

Minęło lat piętnaście i otóż ciche Muzeum Rzemiosł i Sztuki stosowanej, dało silny znak życia urządziwszy, w początkach bieżącego roku, konferencję nauczycieli rysunków. Kierował nimi wiceprezes dr. K. Benni, zasiadali między słuchaczami prezes Wł. Kiślański i dyrektor Muzeum Przemysłu i Rolnictwa J. Leski, przemawiały panie: Z. Skólska, Cioł-Mazowiecka, Urbańska, Gerson-Dąbrowska, tudzież profesorowie: Dąbrowski, K. Biske, M. Burowik, W. Nałęcz, Pilatti, Z. Chrzanowski, M. Bornstein, I. Malanowicz, F. Roliński. Treścią zaś ich przemówień było: znaczenie rysunku dla techniki i wychowania wogóle, programy nauczania rysunków w szkołach, sposoby doskonalenia metod wykładu, prace pomocnicze jak: slöjd, modelowanie, akwarela i t. p.

Czytelnik zaczyna dziwić się i mówi:





FRAGMENT Z „SUMY”

Z jesiennego Salonu S. P. w Krakowie.

WINCENTY WODZINOWSKI

— Po co ty kronikarzu sięgarz do tak odległych wspomnień, wymieniasz tyle nazwisk, zapisujesz jakieś konferencje, a wszystko w tym celu, ażeby podkreślić, że w Warszawie istnieje Szkoła Rysunkowa dla rzemieślników i kobiet pracujących?... Istnieje, chwala Bogu, niechże i rozwija się; ale, co nas to obchodzi?...

Czy nie zastanowił cię czytelniku fakt naprawdę ciekawy. Istnieją na świecie sławne budowle, piękne pozyty i naczynia, strojne suknie i mnóstwo, mnóstwo drobiazgów wyrabianych z metali, szkła, drzewa, skóry... Co więcej—w ostatnich kilkunastu latach pojawiły się zupełnie nowe formy nie tylko owych drobiazgów, sprzętów i naczyń, ale nawet budowli. Rzeczy te może widzieć każdy, kto bywa zagranicą i zwiedza nie tylko tamtejsze muzea i galerie, ale choćby tylko sklepy, restauracje i ulice...

Niektóre z tych przedmiotów, o ile są łatwo przenośne i tanie, zaglądają nawet do nas i nazywają się wyrobami: paryskimi, wiedeńskimi, włoskimi, japońskimi...

A teraz zapytajmy: czemu się to dzieje, że między temi nowymi czy osobliwymi wyrobami nie ma wcale... naszych?... Czemu się to dzieje, że od nas nie wywozi się nie tylko oryginalnych sprzętów, naczyń i drobiazgów, ale nawet narzędzi i maszyn?... Natomiast wyjeżdżają od nas wiele zboża i mięsa, a nade wszystko—ludzi, którzy aby poprawić byt nędzny, opuszczają ojczyznę, narażają się na przygody, wyzysk a bardzo często i na ciężkie upokorzenia?

Więc dlaczego nie wysyłamy naszych wyrobów, ani utworów?... Odpowiedź łatwa: bo nie umiemy ich robić, bo nie możemy zdobyć się na nowe i oryginalne pomysły, bo brak nam twórczości!... A dokładniej: bo aczkolwiek posiadamy twórczość w mowie, twórczość słowną, to jednak nie mamy twórczości w działaniu, twórczości w oku i rękach...

Zacznij z inteligentnym Polakiem rozmowę o czemkolwiek, o tem co jest, albo nawet czego i nie ma pod słońcem, a on na każdy temat, bez zająknięcia, wypali półgodzinna mowę. Mówiłby

i parę godzin, gdyby nie pouciekali siadacze. A ponieważ zazwyczaj nie zna przedmiotu, o którym tak pięknie przemawia, więc oczywiście tworzy sobie na poczekaniu jakąś teorię, czyli—posiada—twórczość słowną.

Tymczasem inny siadzie do fortepianu i zagra całkiem nową melodyę; ten ma widać twórczość w uchu i palcach. Jeszcze inny siadzie do statyg i wymaluje krajobraz czy osobę rzeczywistą, lub nawet taką, która nigdy nie istniała. Jeszcze inny siadzie do rajzbretu i naszkicuje projekt jakiejś nowej maszyny, np. telegrafu bez drutu, balonu, którym można kierować, albo statku podwodnego... Ci widocznie mają twórczość w oku i rękach, w działaniu.

Czemże inne narody są lepsze od nas? dlaczego my tylko gadamy, a one działają?... Może i nie są lepszymi, może i nasze mózgi posiadają tyleż klawiszów, ile ich potrzeba do tworzenia nowych kombinacji umysłowych, do fantazyowania. Lecz fantazyja u nas może wylewać się tylko jednym kanałem: mową, gdyż mówienia i czytania uczymy się ciągle; podczas gdy u innych ludów fantazyja wylewa się nie tylko przez usta, ale i przez muskuły wzrokowe, przez ręce i przez palce, gdyż tamte ludy (słuchajcie!... słuchajcie!...) pilnie uczą się rysunku, który u nas jest w najwyższym stopniu zaniedbany.

Za moich np. szkolnych czasów mieliśmy nauczyciela, który kazał nam rysować ze „wzorów“, od razu oczy i nosy... Naturalnie niczego nie wyrysowałem, nabrałem się łap i zniechęciłem do jednej z najpiękniejszych nauk—do rysunków.

Rysunków trzeba uczyć się jak czytania, rysunek bowiem jest mową wszechludzką. Jego literami są linie: poziome i pochyle, jego sylabami—proporcje tych linii, a wyrazami—kształty.

Ktoby sobie życzył, może formę, kształt, porównać do człowieka. Szkieletem formy będzie geometryja, mięśniami—perspektywa, skórą—kolory, odzieżą—światłocień. Kto więc chce rysować, nie może ograniczyć się na rozłożeniu przed sobą 1-mo wzoru, 2-do arkusza papieru, 3-io za temperowanego ołówka. Nie, on jeszcze musi coś

niecoś wiedzieć z geometryi, z perspektywy i z teorii cieniów.

Rysunku trzeba także umieć uczyć. E. Guillaume w nauce tej odróżnia trzy peryody: W pierwszym kształci się oko ucznia, przyzwyczajają się go do oceniania długości linii, ich wzajemnego stosunku, do kreślenia najprostszych figur geometrycznych. W drugim—wtajemnicza się ucznia w rysunek figur trójwymiarowych, tudzież ornamentów ze świata roślinnego. A dopiero w trzecim peryodzie wprowadza się—postacie zwierzęce i ludzkie.

Nie dość tego, albowiem pp. Charvet i Fillelet nawet każdą lekcję dzielą na trzy okresy. W pierwszym—uczniowie przypatrują się wzorowi i kreślą jego szkic najogólniejszy. W drugim—ten sam wzór przerysowują dokładnie, a w trzecim okresie ten sam wzór rysują z pamięci. Obok tego prowadzą się jeszcze inne ćwiczenia: 1-mo rysunków, kiedy nauczyciel mówi do ucznia:

— Wyrysuj kwadrat, w niego wpisz koło, a w to koło trójkąt foremny.

2-o. Opowiadania rysunkowe, gdy uczeń, patrząc na wzór, opowiada, o ile można najdokładniej, wszystko co na nim widzi. Np. widąc złamaną gałązkę, a przy niej dwa liście kłonu; prawy zwraca się do nas powierzchnią górną, lewy—dolną.

Po tych nudnych wyjaśnieniach zwracam się do młodzieży, przedewszystkiem szkolnej i uniwersyteckiej. Kochani przyjaciele, zróbmy spiszek i wywołajmy taką głęboką, taką nieprawdopodobną rewolucję, ażebyśmy 1-mo sami zabrali się do rysunku, 2-do tak propagowali go wśród społeczeństwa, jak dziś propaguje się nauka czytania i pisanial...

Albowiem—porządna, systematyczna, wytrwała nauka rysunku może sprawić cud: może przerobić, udoskonalić duszę narodu... Nie wiecie?... więc zastanówcie się.

W taki sposób kształcił się nas dotychczasowe społeczeństwo. W tym celu mnóstwo gołoty i literatury czadła mówiona. Gdy zaś przyszła komu chętka uzupełnić swoją wiedzę, wówczas—



brał się do książek i czytał ich—znowu nieprzebrane mnóstwo. Przez całe lata żył w świecie wyrazów i form stylowych, oderwany, odgradzony od rzeczywistości. Dzięki czemu nie tylko nie razili go, ale nawet zachwycali takie „nowe pomysły” jak np. „jaskrawa czarność—przezroczysta gościnność—fioletowe reformy—koło kwadratowe” i t. p.

Czy podobny umysł mógł robić wynalazki praktyczne, które zazwyczaj opierają się na jakichś nowych kombinacjach—nie wyrazów, nie—form i materyałów? A jeżeli taki człowiek wziął się np. do... przerabiania społeczeństwa, a choćby tylko do sądzenia zjawisk społecznych, czy mógł nie nadłodzić dziwactw?...

Wyobraźmy sobie teraz inny typ. Człowiek, zamiast gramatyk starożytnych, uczy się bardzo starannie rysunku i—w miarę potrzeby—modelarstwa tudzież malowania farbami wodnymi, ażeby choć trochę posługiwać się kolorem.

Przewszystkiem człowiek ten nauczy się „patrzeć”—patrzeć na formy geometryczne, potem na budowle, sprzęty, rośliny, zwierzęta, ludzi, krajobrazy... Dziś zapytajcie kogo z nas, ażeby opisał, już nie tylko okolice, ale np. sosnę, topolę, osobę z którą widuje się po kilka razy na dzień, wreszcie... własne mieszkanie... Opisze źle—po prostu dla tego, że niczemu nie przypatrywał się uważnie, ponieważ—nie uczono go patrzeć...

Człowiek, który pracuje nad rysunkami nie ma czasu do pochłaniania książek; musi więc wybierać najlepsze... Następnie ucząc się czegoś: botaniki, zoologii, mineralogii, geografii, czy nawet historii, nie ograniczy się na zapamiętywaniu wyrazów i zdań, lecz będzie oglądał przedmioty albo ich wizerunki i będzie starał się optwarzać je ołówkiem i farbami, gdyż—tak ho nauczono. Podobnie—spotykawszy interesującą okolicę, budowlę czy fizyognomię, postara się o zanotowanie jej. Może to nie będzie notatka artystyczna, może to być szkic ogólnikowy, ale zawsze lepszy od—wyrazu, z którego bardzo prędko ulatuje woń rzeczywistości a zostaje—dźwięk, niby pusta butelka...

Tym sposobem człowiek, umiejący choćby jako tako rysować i korzystać z tej umiejętności, wypełni swoją pamięć—znowu nie wyrazami, które łatwo wietrzeją, ale—formami, proporcjami, obrazami. Gdy zaś puści wodze fantazyi, wówczas może stworzyć Centaura, jako symbol dzikiego jeźdźca, albo Anioła, jako symbol osobistości wznoszącej się myślą ku niebu, ale nigdy nie obdarzy świata kombinacją: „jaskrawej ciemności luy—kwadratowego koła”.

Krótko mówiąc, człowiek, który dzięki umiejętności rysunku, nauczył się dobrze obserwować a pamięć swoją wypełnił nie dźwiękami, lecz wrażeniami muskularno-wzrokowymi, czyli bardzo realnymi, człowiek taki, jeżeli posiada fantazję, może stać się wynalazcą nowych przedmiotów, a chociażby tylko nowych form, ale—nie będzie wypowiadał niedorzeczności.

Czy też wierzysz kochany przyjacielu, że, pod wpływem nauki rysunku, porządnie prowadzonej i szeroko upowszechnionej w społeczeństwie, umysłowość narodu może uleść głębokim a korzystnym zmianom?... I czy będziesz dziwił się, że tak gorącą sympatią mówię o naszej skromniutkiej Szkole Sysunkowej a nazwiska jej twórców i nauczycieli chciałbym zapisać w pamięci ogółu?...

Są to siewcy błogosławionego ziarna, pracownicy? których nie każdy nawet domyśla się: ile pożytku działalność ich przynieść może społeczeństwu.

N.B. Bardzo dobry „Wykład początkowy rysunków” przez L. Charvet'a i Pilleta wyszedł nakładem Kasy Mianowskiego (z zapisu Wł. Pełowskiego) kosztuje... 50 groszy...

LUCYAN RYDEL:

JASEŁKA.

Biblijny strój i charakter mają tam wyłącznie postaci święte Bogarodzicy i jej Oblubieńca. Wszystko inne, poczynawszy od polskiego zimowego krajobrazu, wśród którego stoi szopa „gwiazdolita”, zawiana śniegami, aż do figur pasterzy, ma wyraźne swojskie cechy. Maćki, Kuby, Bartki i Wojtki, jakich pełno w każdej wsi polskiej, walą hurmą do szopy, niosąc podarunki, o których żadna Ewangelia słowem nie wspomina, przygrywają na instrumentach tych samych, które rzną od ucha w każdej polskiej karczmie na weselach i chrzcinach; czują wszyscy, myślą, mówią i zachowują się, jak nasz polski chłop. Nawet aniołowie występują tacy, jakby zlecieli z ołtarza w jakimś wiejskim kościółku

Przylecieli tak śliczni anieli,

Wszyscy w bieli, złote piórka mieli...

Jasełka nasze i pastorałki, podobnie jak i kolendy polskie, wpadają „przez maginację, występującą za związek rzeczy”, w śliczne, naiwne sprzeczności, które są jednym wdziękiem więcej, bo nierzad w jednej strofie mowa o pastuszkach i bydłach, w chwili gdy aniołowie zwiastują pasterzom dobrą nowinę, a w drugiej strofie śniegi i mrozy dokuczają „nagiemu Panięciu na sianku”, tak że pasterze muszą ofiarować się z ciepłymi kożuszkami i bucikami dla „Niebios Królewica”, a tymczasem sama Bogarodzica zdejmując „swoją rąbeczek z głowy” aby nim otulić Boskie Dziesiętko.

Podobnie bez najmniejszego związku rzeczowego z głównym tematem religijnym są wszystkie niemal dolatkowe persony szopki krakowskiej, częstokroć tak wyborne same przez się, w swej dobitnej i jędrnej charakterystyce.

Nic tradycyi snuje się dalej nieprzerwanym ciągiem. Wznowiono przedstawienia jasełkowe, i w ostatnich dziesiętkach lat pojawiły się liczne ponowne opracowania motywu Bożego Narodzenia na scenie. Jedne z tych prac wniknęły w tradycyjny charakter dawnych przedstawień, zachowały go w całej czystości, prostocie i sile, oparły się niemal wyłącznie na kolendach, pastorałkach i szopce. Betleem leży gdzieś w Polsce, mała miejscina, podobna do wszystkich innych, pasterze w jednej odsłonie pasą w nocy trzody swoje na wygonach, a innej brną przez śnieżne zasy do szopy, otuleni w sukmaniki górnicze i kożuchy, Trzej Królowie wraz ze swymi orszakami, Heród z całym swoim dworem to jacyś królowie z bajki, co koronę i płaszcz purpurowy zdejmują jedynie na noc, a nie bawią się w udawanie jakiegoś osobliwego biblijnego czy orientального stroju i nastroju. Figurki tradycyjne, z polskiego życia i stosunków zaczerpane, płaczą się w tych jasełkach, nie bacząc na swój anachronizm, a wyrażając rodzimy charakter tego naiwnego teatru. I to jest jedyna możliwa, jedyna trafna droga, pro-

wadząca do wskrzeszenia staroświeckich widowisk Bożego Narodzenia.

Zdarzają się wszelako niefortunne próby stworzenia jasełek polskich o charakterze niby historycznym i niby biblijnym. Erudycja, tym razem źle zastosowana, pedantyzm, najfałszywszy w świecie i nabożny jakiś realizm podają sobie w tych opracowaniach ręce, by wyrugować naiwne anachronizmy ludowej tradycyi. Bartków, Maćków i Kubów zastępują tam jakieś Asraele i Izmaele, ubrane w brudne trykoty i zwierzęce skóry, nad betleemską stajenką chwieją się starozakonne palmy, Trzej Królowie występują w koronach, nawdzianych na wschodnie turbany, siepacze Herodowi mają rzymskie zbroje szyszaki i miecze. Jest to w dziedzinie scenicznej to samo, czem w dziedzinie malarskiej był *Chrystus przed Piłatem* Munkaczego. Wprawdzie w ciepłej Palestynie odgrywają się te sceny o takim pseudohistorycznym realizmie, a jednak mroź od nich wieje na duszę polskiego słuchacza;

Bo dla nas Dzieciątko rodziło się pod polską strzechą, drżało z zimna i płakało na polskim wietrze i mrozie, i nasze pastuchy witały Je polską kolendą, i nasza „Najświętsza Panienska, Polskiej Korony Królowa”, kładła je w siano, z naszych łąk skoszone, i kołysała tą samą piosenką, która przez tysiąc lat usypia wszystkie polskie dzieci.

Nie polski to wyłącznie przywilej. Dość spojrzeć na całe malarstwo włoskie XV wieku, by się przekonać że stajnia Betleemska dla Martina da Simone, dla Filipa Lippiego, dla Ghirlandaja i Botticellego stała gdzieś pod Florencją, na stokach wzgórz, wśród gajów oliwnych i winnic Toskany; dość popatrzeć na sztychy Dürera czy Aldegrewera, żeby uznać, iż dla nich przyszedł Chrystus na świat kędyś w bawarskiej wioszczynie pod Norymbergą. Tak było i tak jest wszędzie, i prawo do tego ma każda rasa i każda ziemia, bo wszystkie w obliczu Betleemskiego żłobu i w obliczu krzyża Golgoty są równe.

Na tem polega wszechświatowa potęga i wszechludzkie działanie chrześcijaństwa, że ono, w przeciwieństwie do dawnych narodowych religii, głosi dla całego człowieczego plebienia wspólne i jedne prawdy wiary, jednak narodowości nie znosi, owszem, z niemi się liczy i na nich się opiera, po wszystkie czasy opowiadając każdemu ludowi tajemnice Odkupienia w jego własnym języku i oblekając je wszem plemionom ziemi w kształty zewnętrzne swojskie i rodzinne.

Jeśli Chrystus ma się narodzić osobno w sercu każdego człowieka, zamieszkać w jego duszy i uczynić Sobie z niej przybytek, wszystkie Jego myśli przepoić Sobą, Swoją nauką przeniknąć wszystkie jego czyny, to wprzód musi dla niego samego i dla jego Narodu w jego własnej Ojczyźnie zbudować sobie Betleemską stajnię, musi doń przemówić tą mową najdroższą i najśodszą, której go matka uczyła, i, jak dla ludzkości jest Bogiem-Człowiekiem, tak dla każdego Narodu stać się... Bogiem-Rodakiem!





stawiony na liście demokratycznej. Podobno nawet nie przeszedł jedynie dzięki sfałszowaniu procedury wyborczej, wypadkowi pospo-



JAN F. SMÓLSKI.

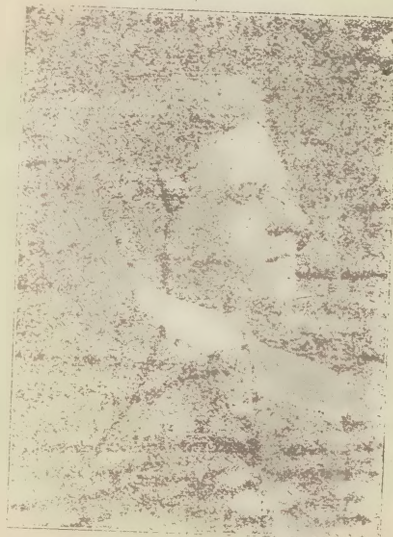
litemu w stosunkach tutejszych. Rodak nasz skarży rezultat wyborów.

Na niższych stopniach samorządu, np. w miastach, Polacy mają swoich przedstawicieli, o ile mieszkają skupieni. I tak, północno-zachodnie okręgi miejskie Chicago wybierają stale radców miejskich (aldermanów) Polaków; są także aldermani Polacy w Mil-

waukee, Detroit, Cleveland i innych większych ogniskach polskości.

Nasuwa się pytanie, czy pożądanym jest zjawiskiem istnienie stronnictw amerykańskich wśród Polaków, czy nie bardziej pożądanym i celowym byłoby stałe solidarne głosowanie na rzecz jednego ze stronnictw. Wypowiadam tu zdanie osobiste, twierdząc, że uważałbym to za zupełnie niepożądane. Trzeba pamiętać, że polityka w Ameryce jest dziedziną życia szczególnie brudną, w której chodzi o bardzo poziome, brutalne interesy materialne. Wysyskiwanie tu wielkiego hasła solidarności narodowej, potrzebnego i koniecznego u nas, gdzie mamy na wszystkich frontach walkę z odwiecznymi wrogami, po to, aby ten czy ów z macherów politycznych mógł dostać tłustą posadę, po to, aby smarować tłuste polcie, wydawałoby mi się wręcz nieprzyzwoitem. Interesy narodowe Polaków w Unii w niczem nie są zagrożone; realnego wpływu na wielką politykę Stanów nigdy mieć nie będą; w razie, gdyby kiedykolwiek jakie postanowienie miało na szwank narazić interesy ogólnopolskie, mają oni możliwość oddziaływania odruchem dwumilionowej opinii oraz wpływem osobistym tych Polaków, którzy, jak np. p. Smólski, wybitniejsze zajmują stanowiska. Polacy nie mają więc celu w zbyt-niem przejmowaniu się interesami amerykańskich stronnictw politycznych; wystarczy, je-

żeli kartki wyborcze oddawać będą bezinteresownie, jedynie w przekonaniu o zbawienności tych lub innych środków prawodawczych.



NIKODEM L. PIOTROWSKI, spółzawodnik Smólskiego.

Pragnąłbym, aby jak najdłużej prawdą pozostały dumne słowa prof. Siemiradzkiego, wypowiedziane w rozmowie z pewnym Amerykaninem: „Nowi polscy synowie wielkiej ojczyzny amerykańskiej lepiej służą jej, niż starsze dzieci. Nie ciągną zysków z jej interesów, nie zarabiają na życiu politycznym, nie sprzedają jej za miś soczewicy”.

LUDWIK WŁODEK.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Już w styczniu roku diejącego „jeden z członków rosyjskiej rady ministrów“, a jak niektórzy domyślają się—sam p. Stołypin—miał ciekawą rozmowę z korespondentem *Timesa*. A oto najważniejsze punkty ministryalnych zwierzeń:

Władza najwyższa i rząd nigdy nie myślały i nie miały zamiaru dokonać przewrotu państwowego. (Jest to odpowiedź na rozpowszechnione pogłoski jakoby rząd pragnął rozpętać drugą Dumę i... znieść jeszcze nie wykonaną konstytucję...).

Przy wyborach—mówił dalej minister—żaden nacisk nie będzie wywierany; pod tym względem wybory w Rosji niczem nie będą różniły się od wyborów w państwach konstytucyjnych.

Tak zwany „Związek narodu rosyjskiego“ wcale nie cieszy się poparciem rządu. „Związek“ ten minister uważa za owoc teroru. Manifestacje „Związku“ są wstrętne, ale i zbyt słabe, ażeby mogły stać się szkodliwymi.

Najciekawsze jednak i najważniejsze są następujące zdania:

— Moją nadzieją i moim zamiarem—miał mówić minister—jest ten, ażeby przy pomocy Dumi *usunąć dotychczasowy ustrój biurokratyczny. Jest to mocne i niezłomne życzenie Monarchy*. Od Dumi pragniemy tylko współdziałania pod tym względem. Spodziewamy się krytyki i nawet prosimy o nią, lecz musimy być koniecznie wysłuchani przez Dumę. Nasi opozycjoniści starają się wszelkimi sposobami rozpowszechnić opinię, że rząd zamierza rozwiązać i drugą Dumę. Jest to fałsz wierutny. Należy temu kategorycznie zaprzeczyć.

Są to zapewnienia tak stanowcze, wygłoszone z takim pozorem dobrej wiary, przez pismo rozpowszechnione w najpoważniejszych sferach już nie tylko angielskiej, ale nawet europejskiej opinii

publicznej, że nie dowierzać tego rodzaju zapewnieniom byłoby nie tylko nieprzyzwoistością, ale nawet nierozsądkiem. Kimkolwiek bowiem jest ów „członek rady ministrów“, to jednak musi rozumieć, że niedotrzymanie tak głośno wypowiedzianych, a tak rozsądnych tak niezbędnych obietnic, że niedotrzymanie ich, byłoby nowym podkopaniem powagi i kredytu Rosji w najpotężniejszych kołach angielskich, francuskich i t. d.

Wobec własnych poddanych, czy obywateli można... niekiedy... czasem... nawet często i dosyć często... cofnąć to, co się powiedziało lub zaprzysięgło wczoraj. Dowodem, chociażby rozmaite pruskie obietnice czynione Poznańczykom. Ale z tymi, którzy stanowią „zachodnią Europę“, którzy mają władzę... pieniądze... z tyłki, nie uchodzi bawić się w zapomnianego...

Ja bo wciąż jestem nieuleczalnym optymistą: wierzę w ostateczne zwycięstwo dobrego nad złem, a zwycięstwo wydaje mi się bliższe, gdy sami ludzie władzy zaczynają występować przeciw złemu i solidaryzują się z dobrem. „Moją nadzieją i moim zamiarem jest, przy pomocy Dumi, usunąć dotychczasowy ustrój biurokratyczny. Jest to mocne i niezłomne życzenie Monarchy“. Złote słowa... ważne słowa... rzucać ich na wiatr nie wypadałoby nawet, prezesowi ministrów. Po takich słowach bardzo prędko powinny nastąpić czyny, jak po zapowiedzi walki z rewolucją bardzo prędko nastąpiły sądy polowe.

Czas wielki. Doświadczenie bowiem roku zeszłego przekonało w sposób pogładowy, że najbardziej dniejsza surowość nie usunie fermentu rewolucyjnego i że „ustrój biurokratyczny“ jest chory nieuleczalnie, beznadziejnie. Można, a nawet trzeba, być cierpliwym, zanim wyda on tchnienie ostatnie; stan taki jednak ciągnąć się może co

najwięcej kilka lat, przy największych wysiłkach, przy najlepszych chęciach uratowania pacjenta.

Rzeczywiście gangrena tego „ustroju“ posuwa się z przerażającą szybkością. Jeszcze nie skończyła się sprawa zboża dla głodnych, już chodzą wieści o dziesiątkach tysięcy karabinów, jakoby sprzedanych Chińczykom. Ledwie przycichły „karabiny“, już wyłazi—obstalunek stu tysięcy pancerzy dla wojska, których sam projekt może wywołać zdziwienie między ludźmi, choć cokolwiek: nieobeznanymi, ale tylko: czytanyymi w kwestyach wojskowych.

Dodajmy około 80 tysięcy naładowanych a nieuruchomionych wagonów, chaos szkolny w całym państwie, ogromne zwiększenie ilości kradzieży, zabójstw, rabunków, a będzie to dopiero gruby zarys tego stanu, w jakim znalazło się państwo, dzięki wieloletniej, samowolnej gospodarce biurokratycznej...

Położenie polityczne może zobrażować jedna cyfra: W roku zeszłym rewolucyoniści, wojsko, policja i sądy wojenne pozbawiły życia przeszło 3,000 osób. Gdyby krew tych ludzi zebrać, wypełniłaby wannę mającą siedm ćwierci łokcia wysokości, 22 kroków długą a 12 szeroką... Byłoby się w czym wykapać a nawet w czym pływać!

I co z tego?... Spiski, napaści na kasy rządowe, zamachy nie tylko nie zginęły, lecz jeszcze spotęgowała się ich dzikość...

Myślicie, że na tem koniec?... Nie!... Zostało do zanotowania coś gorszego od nadużyć, przestępstw i spisków. Oto—biurokracja sama przeszkadza reformom. Więc nietylko postawiła państwo nad brzegiem przepaści, nie tylko nie odciąga go z tej pozycji, ale jeszcze popycha go dalej!

Ledwie ogłoszono akreligijnej tolerancji, już zaczęły się akty nietolerancyjne, nawet leje się krew



1. *Судья* (судья) – судья
 2. *Судья* (судья) – судья
 3. *Судья* (судья) – судья
 4. *Судья* (судья) – судья
 5. *Судья* (судья) – судья
 6. *Судья* (судья) – судья
 7. *Судья* (судья) – судья
 8. *Судья* (судья) – судья
 9. *Судья* (судья) – судья
 10. *Судья* (судья) – судья

to the fact that the
the fact that the
the fact that the

— 1000 to 15000—
 10000 to 15000—
 10000 to 15000—
 10000 to 15000—
 10000 to 15000—

Министр Г.С. не считал
на основании 34 статьи
"Лесной Кодекса" лес полевой
и решил выдать на него разрешение
на рубку.

W stworzonym na polu, jakim jest badanie matematyczne, a zwłaszcza, jak się przekonuje, na polu matematyki, jest taki rodzaj działalności, który nie ma żadnego sensu, jeżeli nie ma w nim żadnego celu. Jest to rodzaj działalności, który nie ma żadnego sensu, jeżeli nie ma w nim żadnego celu.

These results indicate that the model is able to predict the direction of the change in the number of species in the community. The model is able to predict the direction of the change in the number of species in the community. The model is able to predict the direction of the change in the number of species in the community.

Am 20. April, in der
Führung, die die
Anwesenheit der
Anwesenheit der
Anwesenheit der

It is noted that the

[illegible]

Die Arbeiter, wenn
es nur um die Arbeit, die
geschehen soll.

Vertragsschluss, 20
Kaufverträge mit engli-
schen, 20



(continued from page 6)

[illegible][illegible]

Copyright © 1999 by John Wiley & Sons, Inc.

[illegible]

On army people, the things that were said to George about, the letters, "and the newspaper" that he usually... (The text is blurry and partially cut off, but appears to be a continuation of the narrative about George's life and the impact of the war.)

[illegible]

Macrorhynchus contains
but one species, *Macrorhynchus*
la. la. (Cuv.) (Cuv.) (Cuv.) (Cuv.)
from the same type of
locality. It is much larger
than the other species, and
is only found in the same
locality. It is much larger
than the other species, and
is only found in the same
locality.

[illegible][illegible]

I certainly had no idea he was... / I think it's worth noting that...

my Juvenis polipomul
a, de mitemmilym pud
mohid. Tmde jchm poy
n stlyp: de d' mptjchm





Przy tej sposobności zostałem przedstawiony Rooseveltowi. Tyle już pisano o demokratycznych obyczajach prezydentów Stanów Zjednoczonych, o braku wszelkiego ceremoniału, tytułów, o demokratycznych uściskach dłoni, że pomijam to zupełnie. Zaznaczam tylko, że wszystko to prawda.

Ale w osobie obecnego prezydenta uderza więcej, niż zdawkowa demokratyczność obyczaju, mianowicie, zupełna prostota, niezwykle ujmujące i uprzejme obejście. Tak jak poprostu przyszedł piechotą z Białego Domu, sam, bez świty, tak samo poprostu, żywo i wesoło rozmawiał z nami, z prostotą, bez poży czynił swoje uwagi o projektach.

Na moje pytania polityczne nie chciał wprawdzie wcale odpowiadać, czemu się nie dziwię, jeżeli mam wyznać szczerze. Za to wysłuchałem sporo miłych słów o Polsce, którą kocha (*love*), tak jak Amerykę, o Sienkiewicz, którego uwielbia, wreszcie pod adresem mojej skromnej osoby. Gdybym miał go scharakteryzować z równą prostotą, nazwałbym go niezmiernie miłym towarzysko człowiekiem, wykwinnym gospodarzem domu.

Te cechy dorzucam dziś, gdy go poznałem, oczywiście. Ceniłem go wysoko za mowy i pisma polityczne, których wybór tłómaczyłem przed paru laty, *) narówni z innymi podziwiałem jego działalność, jako męża stanu i prezydenta, dziś zrozumiałem jego niezwykłą tu popularność.

Szanują go republikanie i demokraci za życie wzorowe i karierę polityczną nieskazitelną, za usiłowania nie partyjne, lecz istotnie skierowane ku największej pomyślności kraju. Nie dziw, że utworzyła się liga celem ponownego jego obioru, zatem złamanie obyczaju, który nie pozwala na trzykrotny obiór tego samego prezydenta. Nie dziw, że największa rzeczpospolita pragnie utrzymać na swoim czele i nadal pierwszego swego obywatela. Aby się to udało, szczerze Amerykanom życzę.

LUDWIK WŁODEK.

Waszyngton w grudniu.



BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W polityce, jak w teatrze, można zajmować jedno z dwu stanowisk: albo sceniczne, albo przedsceniczne. Na scenie, między kulisami, działają: aktorzy, dyrektorowie, reżyserowie, suflerzy, mechanicy, nawet lampucerowie i rozlepiacze afiszów. Przed sceną znajdują się widzowie: w krzesłach, na balkonach...

Gdyby chodziło o określenie tego stosunku do polityki, nazwałbym to rolą widza, który siedzi gdzieś na końcu paradyżu, przypatruje się grze aktorów; usiłuje wyrobić sobie własny sąd o tem na co patrzy. Ale sam, aktorem, choćby trzecio i czwartorzędnym, za żadne skarby nie będzie, czując, że nie tylko niema odrobny talentu do podobnego zajęcia, lecz nawet i... ochoty...

Ach, prawda!... Parę razy i ja występowałem w „rolę” politycznej... Były to jednak bardzo skromne posady. Mówiono mi zazwyczaj tak:

— Mój kochany pójdź tam, a tam... Bo ponieważ tam można dostać w łeb kamieniem, więc zupełnie będziesz na miejscu...

No i siedziałem i dostawałem w łeb kamieniem i byłem gotów tę samą zabawę powtarzać tyle razy, ile, według ludzi kompetentnych, wymagał tego „interes polityczny”... Dopiero gdy przekonałem się, że gra niewarta nawet tak lichy, jaką ja jestem, świeczki dopiero wówczas powró-

ciłem do mojej ostatniej ławki na paradyzie i, przypatrując się wigowisku... Nawet czasem piszę o niem z mego punktu widzenia, ale dopiero wówczas, gdy barometry polityczne zaczynają wskazywać bardzo wielkie ciśnienie, jak to na przykład ma miejsce obecnie...

Goybym był pewny, że czytelnik nie znudzi się i nie obrazi, pozwolę sobie na kilka teatralnych porównań, mających pretensję do scharakteryzowania naszej politycznej dojrzałości.

Przedewszystkiem zastanawia mnie ogromna, bajeczna ilość osób, których polityczne kwalifikacje nie lepsze są od mojej, a które mimo to, rwą się do „występów”, chociażby w najskromniejszych rolach, byle, na scenie, na widowni. Grają więc rolę ludu, panów, królów, dworzan, wojska. Błazniane zbroje, miecze kryte cynfolią, hełmy oklejone złotym papierem wszystko to napełnia ich dumą i rozkoszą. Z patryotycznym zapalem wypiewują: „Idźmy wraz!... Idźmy wraz!... machają w takt rękoma i, wyobrażając sobie, że, bez ich czynnego udziału, wóz polityczny ugrzązłby w wewnętrznych i międzynarodowych zawiłaniach...

Potem idą, artyści, którzy naprawdę grają jakieś role. Mniej więcej każdy wyobraża sobie, że jest stworzony na Hamleta, Makbeta, Brutusa, Ryszarda... Może być, że między nimi kryje się naprawdę jakiś Rossi, Irving, Talm... Tymczasem jednak, na ogół biorąc, wyglądają oni na amatorów, mogących, przy usilnej pracy odgrywać np. Wicka i Wacka, albo Dom otwartego... Może być, że z czasem wszystko to zmieni się na korzyść; może ze jakieś dziesięć... pięć... trzy lata, może nawet za pół roku, dzisiejsi kandydaci na amatorów powyrastają na prawdziwych mężów stanu. Mówię seryo, że jest to najzupełniej możliwe. Tymczasem jednak przyszli Oktawianowie i Antoniusze, pomimo wszelkich giestów, robią wrażenie bohaterów z Domu otwartego, co bynajmniej nie wyjaśnia naszej sytuacji politycznej.

Przykładem wielkich giestów, stosowanych bez potrzeby, jest choćby obowiązująca w Warszawie teoria polityki: „Polityka, jest to walka”, zapewniają panowie z narodowych i postępowych obozów. „Polityka jest to walka państw i walka klas”... Po czem, zgodnie z ideą przewodnią, pisze się kilka i kilkanaście razy na dzień: „W Dumi musimy walczyć o autonomię”... Zaś w stosunkach, zgodnie z zasadą: „polityka jest to walka”... urządzamy bezcelowe strajki, krajemy nożami skóry szewcom, oblewamy kwasem siarczanym sukno krawcom i strzelamy we łby wszystkim naszym przeciwnikom politycznym...

Oto skutki nastrojów bohaterskich, jeżeli nie wywołanych, to w każdym razie podtrzymywanych i pielęgnowanych przez fałszywe określenie: polityki. Naprawdę bowiem polityka nie jest walką, jak życie nie jest np. gorączką. Naprawdę polityka jest to, praca, praca nad wytworzeniem takich warunków i stosunków społecznych, które umożliwiłyby narodowi najwyższy rozwój jego ludności, jego bogactw, jego sił fizycznych i duchowych, jego pracy, wiedzy, arcyzmu, moralności i t. d.

Gdyby ci, którzy zajmują się, którzy zapalają się polityką, byli zahipnotyzowani nie ideą „walki”, lecz „pracy”, przypuszczam, że ilość klęsk gniotących nas dzisiaj byłaby, choć cokolwiek mniejsza. Próżniactwo i występki nie zniknęłyby ze świata, prawdopodobnie jednak byłoby, przynajmniej w oismach, mniej wymysłów i oszczerstw, mniej podejrzeń i kłamstw, mniej nienawiści, która dziś tak ciężko zatruwa i tak szpetnie gnoi nasze życie publiczne.

Mówimy o ojczyźnie, autonomii, wolności, równości i postępie... Ale gdzie są choćby związki tego?... Społeczeństwo wygląda, jak robak pocięty na kilkanaście części, z których każda nie tylko skacze oddzielnie, ale jeszcze każda po-

złaziłaby inną... Więc z czegoż tu budować ojczyznę?... komu nadać autonomię?... kto doczeka wolności i postępu, jeżeli jednego zarządną a drugi struje się własną nienawiścią?...

Jedna z „walk politycznych” dodajmy: najłagodniejszych, rozegrała się około hasła autonomii, które to hasło stronnictwa wprost wydzie- rały sobie.

— Ja pierwszy wynalazłem autonomię!...

— Nieprawda!... ty mnie ją wykradłeś...

I z tego tematu, hulaj dusza!... Zanim poszli „wywalczyć” autonomię w Petersburgu, już wzięli się za ożydlę na miejscu.

A tymczasem kwestya wyjaśniła się w sposób arcy-prosty, choć wcale nieoczekiwany; cudu zaś tego dokonał nie „narodowiec” (w sensie warszawskim) i nie „postępowiec” (jak wyżej), ale, już niewiem ile razy kamienowany „realista” dr. Ignacy Baranowski.

„Realizm” tego człowieka objawiał się przede wszystkim realnem myśleniem i realną działalnością. Dr. Baranowski, zanim wziął się do „polityki” co dodajmy: robi nadzwyczaj rzadko, był pierwaj znakomitym lekarzem, doskonałym profesorem, wysoce użytecznym, wysoce ofiarnym obywatel, a zawsze czcigodnym, nieskazitelnym człowiekiem. Dopiero po tylu egzaminach, z tak rozmaitych zalet, po kilkudziesięciu latach takiej pracy udało mu się nareszcie pozyskać tytuł... ugodowcy i zdrajcy!... Dzisiaj zdegradowano go na zwyczajnego „realistę”.

Otóż w kwestyi autonomii, o którą tyle stronnictwo walczyło ze sobą na noże ów „realista” wypowiedział kilka ciekawych uwag:

„Są wprawdzie publicyści, którzy autonomię uważają za coś nowego a nawet spierają się o pierwszeństwo w pomysłach. Według naszego przekonania, autonomia jest tak dawną w pojęciu narodu i jego dążeniach, jak nasza niewola. Przed narodem bowiem, który utracił swój byt państwowy, dwie są, dwie jedyne drogi: albo walka orężna o odzyskanie niezależności państwowej, albo dążenie do autonomii, to jest do uzyskania w państwie, z którym nas losy uziejowe złączyły, warunków bytu i rozwoju, pozwalających na pracę kulturalną, jakaby naród prowadził stanowiąc państwo odrębne. Albo—albo. Te są dwie alternatywy. Wyrazem trzeciej byłaby śmierć”.

„Otóż, dążenie do niezależności państwowej wyraża Kościuszkę, bohaterskie legiony nasze, walki roku 1830, wreszcie powstanie 2863. Tą drogą szli jedni. Wszyscy zaś inni, którzy nie ufali walce orężnej i nie łudzili się nadziejami interwencji europejskiej, ci wszyscy—świadomie lub bezwiednie—byli z dążeń swych autonomistami. Szli oni torami, które wskazywał im Staszyc, Lubiecki, Ogiński, Czartoryski, Al. Wielopolski a w Galicyi—Gołucowski, Paweł Popiel, Smolka i inni znani patryoci”.

„Dziś — mówił dalej profesor — autonomia stała się hasłem całego kraju. Trzeba jednak zbadać warunki jej urzeczywistnienia. Otóż — do autonomii w państwie rosyjskiem dość można tyko po upadku rządów, opartych na samowoli biurokratycznej. Tylko wtedy, gdy warunki ogólne, wyrbżone i przyrzeczone w Maniście z dnia 30 października 1905 roku, zostaną urzeczywistnione, autonomia nasza może być aktualną, może stać się trwałym węzłem organicznym, wiążącym nasz kraj z narodem rosyjskim i innymi ludami państwa. W państwie podległym jak dotychczas samowoli urzędniczej, autonomia nasza byłaby prostem złudzeniem”.

Wobec tego jakiż program zaleca szanowny mówca?

„Uchwały zjazdu obywateli Litwy i Rusi, w dniu 6 i 7 grudnia r. z. powzięte, wydają nam

*) „Życie wyteżone” w *Bibliotece Dzieł Wyborowych*, t. 1904.





ŁOSIE

ALFRED WIERUSZ-KOWALSKI

się programem zupełnie odpowiadającym dążeniom naszym, t. j. dążeniom posłów z Królestwa. Oto są punkty programu tego najważniejsze:

Dążeniem do urzeczywistnienia zasad konstytucyjnych i ich rozwoju. Żądanie zupełnego równouprawnienia narodowości i wyznań.

Dążenia do decentralizacji instytucji państwowych i społecznych, oraz do szerokiego samorządu.

Posłowie nasi, jako punkt odrębny, autonomię Królestwa Polskiego do programu tego dodać powinni.

Na program zgoda; ale — w jakim sposób go wykonać?

I na to pytanie „realista“ odpowiada w sposób bardzo zdecydowany:

„Nasi posłowie, ci reprezentanci, ci wyrazi-ciele myśli polskiej niechaj staną *pod chorągwią wolności powszechnych, niechaj walczą za naszą i waszą wolność*“, a zdobywać będą na nowo sympaty ludów. Wszak jeszcze po roku 1831, wszak do roku 1863 Polacy uważani byli za niezłomnych szermierzy idei wolności.

Posłowie nasi nie będą liczni; to też nie liczbą, ale wartością moralną zdobywać mają w Sejmie państwowym dla siebie uznanie, dla narodu swego lepszą przyszłość. Myśl ta jest syntezą dążeń wszystkich stronnictw naszych w dobie dzisiejszej.

Tak ptzemał „realista“ dr Baranowski, na zjeździe stronnictwa polskich realistów, w połowie stycznia, w Warszawie. Pytam się: które z naszych

stronnictw „narodowych“ czy „postępowych“ nie mogłoby zaakceptować tych poglądów? A w takim razie — po co ta polityka „walki“ nienawiści, kłamstw i oszczerstw, która od tylu lat sroży się w naszym kraju, tylu zacnych i mądrych ludzi zdyskredytowała w oczach społeczeństwa, tylu pozabawiła go usług?

Zeszłoroczne wybory nasze może inaczej wyglądałyby, nasi posłowie w Dumie może inną wyrobiliby sobie markę u społeczeństwa rosyjskiego, gdyby do „narań nad programem“, zamiast samych autorów polityki wezwano jeszcze ludzi tak wytrawnych, jak: Baranowski, Wł. Holewiński, Spasowicz, Suligowski i inni. Nie potrzeba było dawać im mandatów, lecz należało posłuchać: co myślą tacy ludzie o sprawie socjalnej, żydowskiej, o stosunku naszym do rozmaitych partii rosyjskich i t. d. Kto wie, czy w tych warunkach ochłodziłaby życzliwość „kadetów“ dla nas i dla nas i kto wie: czy w łonie samego kraju nie byłoby mniej zatargów a nawet — mniej rozlewu krwi?

Rada ludzi dojrzałych, doświadczonych, wyrobionych a uczciwych, nigdy nie zawadzi. Gdyby była zła, można jej nie usłuchować; ale — trzeba było wysłuchać.

Prof. Baranowski w mowie swojej użył zdania: „niech nasi posłowie walczą w Dumie“... Otóż wyraz „walka“ w jego ustach jest tylko metaforą, forma stylowa, nie zaś poglądem, że: polityka jest walka, walka społeczeństw i klas, jak się to u nas głosi...

Posłowie w parlamentach (np. austriackim, francuskim) niekiedy walczą, nawet wybijają sobie zęby i oczy. Prawdziwa jednak rola parlamentu polega na tem, ażeby — walkę zastąpić dyskusją, bataliony — głosami, pociski — dowodami. W parlamencie nie trzeba ani walczyć, ani złościć się, ani deklamować, ale — stawiać fakty, badać, rozważać, przekonywać.

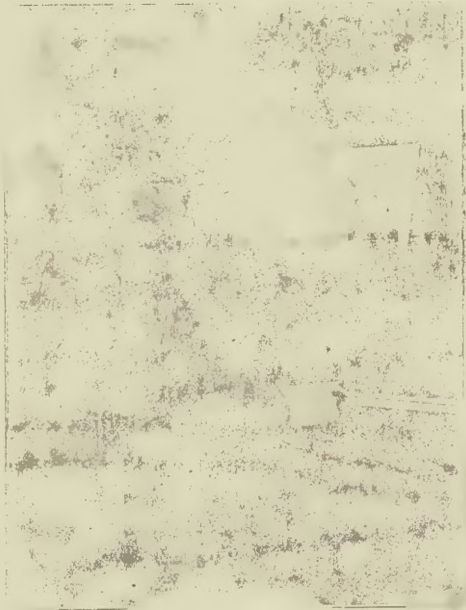
Nasi, na przykład posłowie w Dumie będą mieli dwa zadania: 1-mo. Przekonać uczciwą i rozsądną Rosję, że dla jej własnego dobra, dla jej własnego istnienia musi przejść od rządów centralistycznych do decentralizacji, do szerokiego samorządów. 2-do. Że dotychczasowa gospodarka w Królestwie Polskiem była zabójczą, równie dobrze dla naszego narodu, jak i dla państwa.

Już w rok zeszłym błagałem naszych ewentualnych posłów: Panowie, zbierajcie dowody rozmaitych nadużyć, jakie popełniano u nas przez lat 40, ażeby Rosja nareszcie dowiedziała się jak nami rządzono!... No, ale cóż, kiedy posłowie byli zajęci rozważaniem uchwał... Kongresu Wiedeńskiego. A wreszcie, cóż obchodzi „olityków“ głos gazeciarza!...

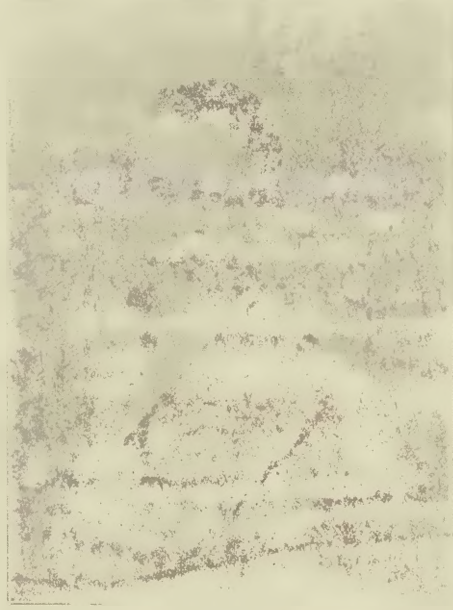
Oto obraz naszej „sceny politycznej“, oglądanej z paradyżu. Może z za kulis przedstawia się ona pokazniej.







JAN CIAGLIŃSKI.



W. MAZUROWSKI.



TADEUSZ DMOCHOWSKI.

Oprócz prac ornamentacyjnych Dmochowski stworzył cały szereg obrazów olejnych, akwareli i kartonów. Znajdują się one przeważnie w zbiorach prywatnych i dla szerszej publiczności nie są przystępne. Wyborny rysunek oraz niepospolite zalety kompozycyjne cechują wszystkie jego prace. Gdy go odwiedziłem w jego pracowni, właśnie ukończył obraz, specjalnie zamówiony i przeznaczony na upominek jubileuszowy dla prof. Baudouin de Courtenauya przez grono jego przyjaciół. Artysta, nie krępowany wyborem tematu, przedstawił zakątek starego Wilna, t. zw. „Zaułek literacki”. Trzeba było widzieć tę pracę, by ocenić jej niepospolite zalety; pod genialnym dotknięciem malarza stare mury zdały się ożyć, opowiadają nam o minionych, lepszych czasach. Dmochowski jest poetą romantykiem, pod względem nastroju przypominającym żywo Heinego, czy to maluje park zaczerpnięty w świetle księżyca, lub pannę w objęciach rycerza, zakutego od stóp do głowy w stal błyszczącą. Nie brak mu też staropolskiej tężyzny, gdy nam przedstawić chce husarów, idących na bój z łopotem piór orlich, lub pary kontuszowe, tańczące mazura.

* * *

Jan Ciagliński bardziej może, niż jego koledzy jest znany i ceniony w artystycznym świecie rosyjskim. Obrazy jego znajdują się zarówno w „Muzeum Aleksandra III” w Petersburgu, jak i w Tretjakowskiej Galerii w Moskwie oraz w innych zbiorach publicznych rosyjskich. Lato Ciagliński spędza zazwyczaj pod niebem południowym, w Hiszpanii, Algierze, Grecji lub Palestynie.

Jako owoc tych podróży, mamy cały szereg szkiców, widoków i typów świetnych poprostu pod względem kolorystycznym, znacznie słabszych jako kompozycje. Specjalnością artysty jest natomiast portret. By należycie ocenić prace Ciaglińskiego, nie dość je widzieć; trzeba jeszcze znać ich autora, jest on tak do głębi przejęty swą twórczością, tak głęboko wierzy w doskonałość swej metody, iż mimowoli część własnego zapału przelewa w widza. Oto na ukończeniu wielkich rozmiarów podwójny portret kobiety: plamy barwne, rzucone śmiało, brutalną niemal ręką, zlewają się powoli w całość jaskrawą, lecz har-

monijną, z płótna wychylają się usta, rozchylone zmysłowo, i oczy, płonące żarem namiętym; orgia barw jaskrawych topnieje i rozpywa się na tle szarawem, obok zaś poważna i chłodna, w ciemnej sukni postać kobieca, o dziwnie czystym profilu i jakby zastygłych rysach: to — „Dwie siostry”.

Dalej portret dziecka, nadzwyczaj śmiały pod względem oświetlenia; te portrety, jako też widok Partenonu, przeznaczone są na wiosenną wystawę do Moskwy, gdyż w Petersburgu Ciagliński w tym roku prac swych nie wystawi.

Powodzenia nie potrzebujemy życzyć, gdyż potrafi je zdobyć artysta siłą swego talentu oraz niezłomną wiarą w samego siebie.

I. OBST.

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Pewnego roku czerwiec był wyjątkowo suchy i upalny. Kartofle nie rosły, zboża wędły, liście na drzewach skręcały się, a niebo szare było od kurzu, który nad polami wisiał jak mgła, nad drogami kłębił się w gęstych tumanach, brudził twarze i zasypywał oczy.

Była to ciężka klęska, więc nie dziw, że od rana do wieczora ludzie wołali:

— Deszczu, deszczu!... choć parę godzin

deszczu, który odżywiłby zamierającą roślinność i ulżył płucm!...

Zbiorowy krzyk doleciał widać gdzie należy. Ukazała się chmura jedna... druga... lunął deszcz naprzód mały, potem większy... Liście rozprężyły się, zboża wyprostowały, nać kartoflana pozieleniała...

Potem całe niebo zasnuło się chmurami, deszcz zaczął padać dniem i nocą... Na drogach zniknął kurz, ale w zamian ukazało się niezgruntowane błoto. Liście na drzewach pożółkły i zaczęły opadać, natka szerniała, a zboża pochyliły się ku ziemi... Ludzie zaś zaczęli szemrać:

— Czy już nie zawiele mamy deszczu?... Jeżeli tak dłużej potrwa, po klęsce suszy dobieje nas nadmiar wilgoci... I już nie wiadomo, czego więcej mamy się lękać: morderczej suszy, czy — życiodawczej ulewy?...

Coś podobnego zdarzyło się w sferze stosunków społecznych. Przez kilkadziesiąt lat mordowały nas złe rządy, no i rozumie się, nie było człowieka, który nie szeptałby w kółku zaufanych przyjaciół, albo nie wzdychał w sobie:

— Kiedyż wreszcie nadejdzie reakcja?... O bodajżebyśmy jej choć na krótko przed śmiercią doczekali!...

No i doczekaliśmy reakcji przeciw złym, okrutnym, bezmyślnym rządóm, reakcji w postaci fermentu rewolucyjno-socjalnego. Lecz po dwu latach uzdrawiających procedurów, jaki taki znowu zaczyna szeptać w kółku zaufanych przyjaciół, albo wzdychać w sobie:

— Jezu, Maryo!... pozwólcie mi choć na krótko przed śmiercią doczekać zakończenia tej zbawczej reakcji, która ucisk miała zastąpić wolnością, nędzę — dobrobytem, a gwałt — sprawiedliwością!...

Trudno łudzić się. Jak ruch socjalno-rewolucyjny był reakcją przeciw samowoli biurokracji, tak w czasach dzisiejszych zaczyna się jeszcze nieokreślony bliżej ferment, przeciw chaosowi wytworzonemu przez agitacje socjalistyczne. Na możliwość takiej reakcji zwracałem uwagę jeszcze w roku zeszłym, a może i dawniej, z okazji „bicia” dorożkarzy, którzy, aby nie umrzeć z głodu, wyjeżdżali na miasto, wbrew nakazanemu strajkowi, nadewszystko zaś, z okazji tych bezcelowych strajków, które nie tworzyły nic użytecznego, wywołały zamęt w społeczeństwie, a nędzę wśród proletariatu.

Skutki takich nietylko bezładnych, ale zadziwiająco bezplanowych ruchów, najwyraźniej dają się widzieć w Łodzi, gdzie około sta tysięcy osób



albo jest zagrożonych głodem, albo już cierpią głód i zimno. Prawda, że bezpośrednią przyczyną tych opłakanych, niepowetowanych nieszczęść, jest lokaut łódzkich fabrykantów; niemniej jest i to prawda, że ów lokaut, wywołany został chaosem, jaki partie socjalistyczne roznieciły w fabrykach.

Oto opinia wypowiedziana przez „Proletaryat”, w artykule: „O zamknięciu fabryk w Łodzi”.

„Proletaryat”, jeszcze we wrześniu 1905 roku, ostrzegał robotników w naszym kraju, przed zbyt częstymi strajkami, przed zbyt wygórowanymi żądaniami, wykazując, że doprowadzić to może do bardzo smutnych następstw: do zamknięcia niektórych przedsiębiorstw, osłabienia klasy robotniczej, a nawet do upadku niektórych gałęzi przemysłu... Niedojrzałość polityczna esdeków i pesowców zrobiła, że partie te, zamiast zapanować nad chaosem, zwiększały go, forsując strajki. Obecnie skutki tej polityki są następujące: bardzo znaczna część klasy robotniczej jest w okropnej nędzy, na której tle powstaje rozgoryczenie do socjalistów wogóle, skutkiem tego agitacja narodowo-demokratyczna i klerykalna, zaczyna robić pewne postępy w naukach.”

...„Mnóstwo sił ginie bez potrzeby, wiele żyje bez korzyści i powstaje morze cierpień bez konieczności. Wszystko to dowodzi raz jeszcze tej wielkiej prawdy, iż nie dość jest mieć w ruchu ludzi z poświęceniem, dzielnych i energicznych, że potrzebni są jeszcze rozumni i wykształceni kierownicy ruchu, którzy wyzwolili się z frazesów i umieją patrzeć na rzeczy trafnie, orientując się w położeniu politycznym.”

Uwagi „Proletaryatu” są bardzo rozsądne a przewidywania okazały się niestety! bardzo trafne, nawet w niedalekiej przyszłości. Tak jest: zbudzi się „rozgoryczenie do socjalistów wogóle” i to zbudzi się w rozmiarach o jakich dziś nie można mieć pojęcia. Zaś „agitacja narodowo-demokratyczna i klerykalna” nie tylko „zaczyna”, ale musi „robić postępy”. Agitacja bowiem socjalistyczna, dodajmy: w dziedzinie ekonomicznej, zbyt wiele obiecywała robotnikom, zbyt wiele żądała od nich poświęceń i... nie dotrzymała gdyż nie mogła dotrzymać obietnic!...

— Coście nam dali, oprócz nędzy i długów?...—mogą zapytać robotnicy socjalistycznych agitatorów.

A taka to łaska Boża, że wieś nie pozwoliła wciągnąć się do ruchu strajkowego, że dzięki rozsądkowi pracowników wiejskich, nic w polu nie zmarniało, że stosunki między parobkami a obszarnikami nie zadrżały się a swoją drogą—parobcy osiągnęli niejaki polepszenie bytu!

— Nie osiągnęliby go bez naszych agitacji!...—mogą odpowiedzieć socjaliści.

Zapewne... Ta jednak jest olbrzymia różnica, że kiedy robotnicy fabryczni wykonywali swoje pogróżki, robotnicy wiejscy—niby to straszili, lecz... nie spełniali pogróżek... I w tem leży mądrość dodajmy: mimowolna wiejskiego proletaryatu. Wielu ruin, wielu cierpień, wiele krwi oszczędziłoby się, gdyby i kierownicy ruchu socjalno-rewolucyjnego umieli hamować się we właściwych epokach!...

Dziś, wobec nadciągającej reakcji, obawiam się jednej rzeczy; ażeby stronnictwa anty-socjalistyczne, zostawszy zwyciężkami, nie przeciągnęły struny „zwycięstwa”, umiały zatrzymać się w porę a w żadnym razie—nie posunęły się do zemsty. Umiarkowanie, nawet życzliwość, wspinałomyślność po zwycięstwie bardzo prędko może załagodzić rozdrażnienia i dać krajowi tak pożądany spokój. Zaś zbyt silna reakcja i zemsta byłaby posiewem nowych nieporozumień, żalów i nienawiści, które prędzej czy później, gorzkie wydadzą owoce.

Że istnieją skłonności w tym kierunku zdaje się niepodobna wątpić. Tu, właściciel majątku grozi dymisją rządzący, który umieścił syna w szkole postępowej, nie—narodowej... Tam narodowcy bojkotują postępowego lekarza albo adwokata... Owdzie przełożona usuwa nauczycielkę za to, że podjęła się wykładów w instytucji postępowej... To zła, to najgorsza metoda, oparta na trzech przesadach: 1-mo, że z ludźmi mającymi różne od naszych poglądy—trzeba „walczyć”, 2-do że za każdą wyrządzoną szkodę—trzeba karać, 3-io, że szkodliwość ruchów sobyjalno-rewolucyjnych zależy od złośliwości jednostek, mianowicie agitatorów...

Pod tym względem ciekawą i ważną naukę znajdujemy u E. de Laveley'a w „Socyalizmie współczesnym”:

„W każdym kraju mamy dwa stronnictwa: jedno, chcące utrzymać to, co jest, albo nawet przywrócić to, co było; drugie, pragnące reformować, a często w niecierpliwości wszystko zniszczyć. Jak ruch naszej ziemi jest wypadkową sił dośrodkowej i odśrodkowej, tak samo społeczeństwo posuwa się naprzód pod skombinowaniem działaniem ducha zachowawczego i dążeń reformatorskich. *Spróbujcie je ucisnąć, a będziecie mieli kolejno rewolucje i reakcje*; dajcie im wolny bieg, a postęp będzie się dokonywał zapomocą szeregu ustępstw i ulepszeń, jak się to dzieje w Anglii, Belgii i Szwajcarii...” „We Francji nie było prawa dozwolającego na schadzki i stowarzyszenia... i na stała Komuna. We Włoszech nie brakło pościgów i procesów, wyroków i środków wyjątkowych; a swoją drogą widziano rozruchy i straszne zamachy. W Hiszpanii represja była jeszcze twardsza i, jakby na przekór, wielkie miasta dostają się w ręce zbuntowanych kantonistów. W Niemczech powtarzają się usiłowania królobójcze (książka była pisana przed rokiem 1883-im); nareszcie w Rosji niesłychane zbrodnie a społeczeństwo czuje się jakby obszczone...”

Ciekawe są głosy dzienników z przed laty 30-tu”. Precz z wiarą w świat nadnaturalny—pisał włoski *Almanaco*—gdyż tylko pod tym warunkiem demokracja materialistyczna może zbudować nowe społeczeństwo.—„Precz z ojczyzną i narodem: nic prócz Komuny i ludzkości.”—Ojczyzna—pisał *Campana*—jest ideą abstrakcyjną i czezą, w imię której królowie popychają narody do wzajemnej rzezi!...

A oto wyjątek z dziennika hiszpańskiego *Los Decamisados*. „Wyzwólmy się nareszcie od strachu zwanego Bogiem, taki nast program, lecz nim przyjdzie do jego wykonania, trzeba krwi obficie upuścić. Drżycie mieszcuchy spalone naszym potem; ustąpcie miejsca bezkoszulnikom; nasza czarna chorągiew już rozwinięta powiedzie nas do zwycięstwa”.

W krainach represji: we Włoszech i Hiszpanii, odezwy tego rodzaju potężne w swoim czasie robiły wrażenie. A tymczasem w Szwajcarii, pomimo obecności mnóstwa agitatorów: socjalistycznych, komunistycznych, anarchistycznych i t. p. pomimo niezbyt licznej policji i prawie braku wojska, nikt się podobnymi agitacjami nie demoralizował i nie przejmował.

Najciekawszą jest Anglia. Tam jeszcze w XIV wieku wypowiadano takie oto poglądy... Oni stroją się w aksamity, my chodzimy w parciakach; na ich stołach wino i zagraniczne korzenie, my mamy chleb owsiany z plewą i popijamy go kwasem. Oni odpoczywają w pałacach, my pracujemy w polu, na słońcu i wietrze; co my zapracujemy, oni strwonią!...

Zdawałoby się, że po upływie sześciu wieków od takich bidań, naród angielski albo już powinien być zorganizowany w państwo socjalistyczne, albo bardzo zbliżyć się do tego ideału.

Tak niby powinno być. A tymczasem cóż widzimy?

Oto, gdy w roku bieżącym, na kongresie angielskiego stronnictwa robotniczego socjalista Atkinson postawił wniosek: „Stronnictwo robotnicze za główny cel swej działalności uważa walkę z kapitalizmem, zniesienie własności prywatnej i przejście własności narzędzi, produkcji i bogactw wnętrza ziemi na państwo”, na kongresie wybuchła burza, a reprezentanci 835,000 głosów przeciw 98,000 wniosek Atkinsona odrzucili.

W Hiszpanii, we Włoszech, w Niemczech represje wywołały gorączkę socjalistyczną, objawiając się nawet za maskami. W Szwajcarii i w Anglii swoboda i tolerancja ustrzegła naród nietylko od gorączki, ale nawet, od sympatii dla zbyt krańcowych i nieradykalnych haseł socjalistycznych.

Jak rozległą będzie nadciągająca przeciw socyalizmowi reakcja, dowodzi fakt, że zbudziła się ona w Anglii, w Ameryce, nawet w Niemczech, gdzie socjaliści, stronnictwo przed kilkoma tygodniami potężne, straciło z 79, aż 36 miejsc w parlamencie... Jest to klęska naprawdę niezwykła, pomimo, że liczba stronników tej partyi w narodzie bynajmniej nie zmniejszyła się.

Reakcja więc i u nas będzie duża, ale na Boga, niech nie myśli o zemście, gdyż zemsta nie leczy choroby, nie vyplenia choćby najfałszywszej idei.

Bo tylko pomyślimy. Dzisiejszy chaos społeczny w naszym kraju składa się z trzech czynników: 1-o rewolucji przeciw rządowi, 2-o anarchii umysłowej, 3-o potrzeby reform wśród klas pracujących. Otóż, któremu z tych czynników może zaradzić zemsta?

Nie rewolucyjnemu, bo ten wygaśnie wraz z wykonaniem Manifestu konstytucyjnego.

Nie anarchii umysłowej, bo ograniczyć ją może tylko dobre wychowanie dzieci i młodzieży, oświata i stowarzyszenia.

A nareszcie zemsta nie zastąpi, lepszych zarobków, tanich mieszkań ubezpieczenia w razie choroby i starości, no i, przyzwoitego, ludzkiego traktowania robotników.

Zatem precz z zemstą! o bodajby hasło to wyszło przedewszystkiem ze strony zwyciężczych fabrykantów łódzkich.

Polamcie harfę moją..



Polamcie harfę moją złotą,
Która wam smutne daje dźwięki,
W której jest tyle łez i męki,
I która wieczną drży tęsknotą—
Polamcie harfę moją złotą!

Ludzi i tak cierpienia gnioł,
I tak już zewsząd płyną jęki,
Radosnej trzeba wam piosenki,
W której się tęczy szczęścia plotą—
Polamcie harfę moją złotą!

ZYGMUNT RÓŻYCKI.





... ..

Socjalizm oddał nam wielki przykład. Pokazał jakby to ma być państwo, wyróżniony, to one są dla społeczeństwa, że, jak ma być państwem, mają prawo do dobrobytu, wolności, szczęścia, do korzystania z przysługujących obywateli. Socjalizm zorganizował społeczeństwo, wypracował zasady państwa, stworzył wielką siłę państwa, podzielił świat, dał po trochu wszystkim, stworzył państwo i takimi sposobami, wyszedł z kryzysu, oświecił i przekształcił się. Socjalizm rozwiązał problem lepszego domu, poprawy ekonomii i przede wszystkim na sposób życia i państwa.

Alla polska na tym polegać musi, aby
dotrzymać, więc i wyrażam, że niewyobrażal-
niego, wyrzucił samą siebie społeczeństwu,
człowieka imię dopisał, może ostatecznie
i wieszcie mówić.

[illegible][illegible][illegible]

Leet wada i wytygi o byt spakujd sic na
sic inwagi, narowak obowiazujd spakujd
a wad spakujd, a leet wada: bowowowid inwagi

Меня зовут, извините, не знаю, как зовут, не знаю, как зовут.

[illegible]

Wszystko to i tym podobne uważa się za
jedną całość, ale należy pamiętać, że różnorodny
wzrost, który do osłabienia doprowadził, nie jest

[illegible][illegible]

Choć w tej sprawie możemy się zgodzić, że
wówczas, kiedy spotykam. Rzeki, góry, lasy,
bożym światem, wyrażam nadzieję, że
zosta, waga, świat, świat, świat. Znamy
w prawdzie, wszyscy do tej pory, pragniemy
i szukamy i stajemy się, światem, światem,
głównie światem, światem, światem, światem,
światem i światem, światem, światem, światem.

[illegible][illegible]

...także wysiłek niegdyś podjęty, aby w naszym państwie kultywować i głosić braterstwo i miłość, co — tłumacząc język społecznego i politycznego idealizmu — tłumaczyć można: „dla harmonii i pokoju”...

Wzrost 180, waga 80 kg, ciemne włosy, ciemne oczy, ciemna skóra. Wzrost 180, waga 80 kg, ciemne włosy, ciemne oczy, ciemna skóra. Wzrost 180, waga 80 kg, ciemne włosy, ciemne oczy, ciemna skóra.

[illegible][illegible][illegible]

Tak, wstępnie to jest powiedziane, do — jeszcze nie wyznaczono, jakiego to będzie — planu, który ma być naszym kierownikiem i planem prowadzenia. Wskazywać będziemy i na innych kierowników, którzy będą kierować, ale nie będziemy mieli planu. To jest kierownik, który ma być naszym kierownikiem, a nie kierownik, który ma być naszym kierownikiem.

3. Kto, czy jak wygląda? Jakiemuś z ludzi
nie było nigdy niezgodności, nie było z nim
żadnych trudności, nigdy sprzeczności, było z nim co-
ś jak z przystankiem wsiadło wyjechało. I do
mnie, odpowiedział sobie, i do państwa i do
i wyjechał w kółko kółkiem, w kółko i kółko
i do wyjechał ludzi, w kółko i kółko
nie było, był ten człowiek miał przystanki
wsiadło wyjechało.

[illegible]





stwu polskiemu w Ameryce, a wyszła z oficyny *Kuryera Polskiego* w Milwaukee. Na granicy beletrystyki i historii stoi opowiadanie p. Wł. M. Kozłowskiego „Rycerz wolności” (Kazimierz Pułaski) (wydawnictwo Zw. N. P.), a ładna pieśń patryotyczna p. Stanisława Łempickiego p. t. „Surmy” należy do udatnych utworów politycznych.



MICHAŁ WYWIÓRSKI

Nietylko najzdolniejszym, ale i najpłodniejszym pisarzem jest pan Szczepan Zahajkiewicz, który zresztą do r. 1889 drukował sporo rzeczy w Galicyi po polsku i po rusińsku, przyjechał więc już tutaj, jako literat fachowy. Na gruncie amerykańskim wydał zbiorek poezji, prócz tego „Wieczór wigilijny”, „Trzy ziarenka grochu i syn diadrowski”, „Powiastki dla małej diatwy” i inne. Na scenie polskiej w Chicago wystawiano na-

POWRÓT Z POLOWANIA NA WILKI

stępujące jego dzieła: „Jasnogóra”, „Powrót taty”, „Oświadczyły przez telefon”, „Nie spodzianka”, „Akademia smorgońska”, „Jadwiga” i inne.

Sam ks. Wacław Kruszką bierze żywy udział w pracy dziennikarskiej, a prócz tego wydał osobno „Rzym”, „Neapol i Wezuwiusz”, „O piękności”, „Anarchizm i jego stosunek do socjalizmu”, „Które rządy

czeństwo amerykańsko-polskie do tego pretensji nie ma. Niewątpliwie jednak powiedzieć sobie może, że posiada już początki literatury”.

Zdanie to zupełnie słuszne, i jedynie z tego stanowiska dorobek literacki oceniać można. Chodzi o stwierdzenie faktu, że, mimo trudnych warunków, życie umysłowe polonii tu-tejszej „jednak się porusza”.

LUDWIK WŁODEK

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

NIE ZACHĘCAJ!

Rozstrzygnęła się tedy gra wyborcza, a zwycięzca, jak można było przewidzieć, jest partya narodowo-demokratyczna. Zwyciężyła, ponieważ miała najlepszą organizację, najsilniejszą karność, a nade wszystko, ponieważ jej program odpowiada najgwałtowniejszej potrzebie społeczeństwa; utrzymać i rozwinąć narodowość. Dzięki nieludzkim prześladowaniom biurokracji, temperatura uczuć narodowych podniosła się u nas do wysokiego stopnia, prawie do szowinizmu, wobec którego wszystkie inne sprawy zeszły na dalsze plany.

— Będziemy mówili o tem i o tem, na sejmie warszawskim, gdy kraj otrzyma autonomię!... oto odpowiedź na kwestję rolną, robotniczą, żydowską i t. p.

Ważnym rezultatem gry wyborczej w Warszawie, jest wystąpienie i utrzymanie się kandydatury poselskiej p. Romana Dmowskiego. Wypadek ten zasługuje na bliższą rozprawę, dlaczego?... „Należę do ludzi—mówił sam p. Dmowski na zgromadzeniu przedwyborczym—którzy stronnictwo narodowo-demokratyczne stworzyli, którzy je organizowali i j go program pisali”...

A *Kuryer Warszawski* tak ocenia wystąpienie pana Dmowskiego. „To nie przemawiał maruder społeczny i sługa reakcji, to stał przed ludem wyborczy rzecznik idei demokratycznej, człowiek, zapatrzony w najjaśniejsze jutrze ludzkości, a odczuwający zarazem postęp sercem miłującego ojczyznę swoją Polaka”...

Zaś na kilka tygodni przed wyborami pan Kuzimierz Rakowski, redaktor *Sztandaru*, w taki sposób charakteryzował kandydata: „Pan Roman Dmowski posiada inteligencję polityczną i doświadczenie; wyprzedza on zwykle rozwój myśli swych zwolenników i towarzyszy”...

W niezwykłej mierze posiada też odwagę czynu; dowiódł jej w sprawie stosunku z hr. Wittem. Podpisawszy bowiem wraz z innymi delegatami odezwe, że: „godność narodowa nie pozwala mu iść do hr. Wittego, w tej samej chwili, gdy pisma w kraju odezwe tę drukowały, p. Dmowski—solidarność zламаł i do hr. Wittego poszedł.”

Mały nawias. Nie zajmuję się polityką, więc nie znam jej tajemnic. Mimo to słyszałem, że sprawa wygląda nieco inaczej. Podobno pan Dmowski protestował przeciw „nie pójściu” do hr. Wittego, co kwestyi nadaje nieco inne zabarwienie.

Gorszą jest druga wzmianka pana Rakowskiego. „Trzeba mieć dużą odwagę, aby powiedzieć: wszystkie środki są dobre, które prowadzą do celu. P. Dmowski miał odwagę powiedzenia tego sobie, gdy dał do zrozumienia hr. Wittemu, że za cenę autonomii, (któraby oczywiście jego stronnictwu dała władzę), stłumić będzie w stanie rewolucję w Królestwie. Oferta nie została przyjęta przez hr. Wittego. Nie zabawiajmy się dociekaniem, co by się stać mogło w razie jej przyjęcia. Wojna domowa, wyrznięcie socjalistów przez ludność wiejską, coś w tym rodzaju, w każdym razie coś, co strasznie jest pomyśleć.”

Zarzut, postawiony przez p. Rakowskiego jest tak ciężki, że wprost nie śmiem mu wierzyć... Ferment rewolucyjny w naszym kraju był nie-szczęściem, ale dodajmy: zjawiskiem prawie koniecznym, skutkiem 40-letniej gospodarki biurokratycznej. Nie mogę więc przypuścić, ażeby leczenia tej choroby, topienia jej w wojnie domowej, mógł podjąć się—Polak, jeden z twórców stronnictwa, które bardzo ostro sądziło Wielopolskiego, a nie miało dość słów nienawiści i pogardy dla tak zwanych ugodowców. A przecież, o ile wiem, żaden „ugodowiec” nie podejmował się „stłumić rewolucji”...

Musi to być jakieś nieporozumienie, które zresztą najlepiej rozwiązała biurokracya: ona stworzyła ferment i ona go tłumila, nie odwołując się do niczyjej pomocy. Artykuł swój p. Rakowski rak kończy: „Z trwoga patrzę na dzień, który odda panu Dmowskiemu mandat w ręce. Im więcej zalet posiada on w moich oczach, im wybitniejszą inteligencję, im większy talent organizacyjny, im większą siłę czynu i odwagę, tem cięższe błędy jego zaważyć mogą na szali losów naszej o-czyzny: bo jego polityce brak zupełnie pierwiastku etycznego”.

A tymczasem *Kuryer Warszawski* miwi: „...Stanął przed nami człowiek, którego każdy wyraz jest odbłaskiem głęboko odczutej ojczyzny i objawieniem wielkiej siły, wielkiego talentu, wielkiego zrozumienia najzawilszych zagadnień życia narodowego... Obywatele! W ręce tych ludzi wy ze spokojem możecie złożyć służbę poselską”...

Kto ma słuszość? Czy p. Rakowski, który lęka się polityki p. Dmowskiego, czy *Kuryer Warszawski*, który nazywa p. Dmowskiego: „wodzem mądrym, bystrym i przezornym”... „rozumiejącym najzawilsze zagadnienia życia narodowego”...

Gdy zdarzy się podobna wątpliwość, wówczas najlepiej—udać się do źródła. Źródłem zaś takim, na co chyba zgodzi się czytelnik, będzie—mowa programowa p. Dmowskiego, wydrukowana w *Gazecie Polskiej*. To już nie pogłoski, ale dokument.

I znowu nawias. Nie mogę powiedzieć aże-bym znał p. Dmowskiego; spotkałem go parę razy w życiu i zrobił na mnie, jak się mówi: „wogóle dobre wrażenie”. Z opowiadań zaś wiem, że jest to gorący patriota, dzielny organizator i człowiek niepospolitej energii. Zjeżdżał cały świat, zapewne dużo widział, czytał, przemyślał a wszystko z ioeą Polski w sercu. Takiego czło-



wieka nie godzi się lekko traktować, nie można też sądzić go z opinii przyjaciół lub wrogów.

A teraz zwróćmy się do programu.

„Celem wszelkiej polityki — mówi p. Dmowski — jest ratowanie i utrwalanie bytu narodowego“...

Nie chcę być posądzonym o łapanie za słówka; ta jednak definicja polityki uderzyła mnie. Inni bowiem za cel polityki uważają: rozwijanie, doskonalenie narodowego życia, czyli — postęp... P. Dmowskiemu wystarcza „utrwalenie bytu“, zachowanie tego, co jest... Czy w tem krótkim zdaniu nie objawiają się instynkta konserwatywne?...

P. Dmowski twierdzi, że, w dawnych czasach, walki toczyły się aż do wytępienia słabszych i że dopiero Kościół katolicki „pohamował dążność do zniszczenia jednego narodu przez drugi“. W tem miejscu przychodzi mi na myśl: wojny krzyżowe, Albigeni, nawracanie Litwy przez Krzyżaków, wojny husyckie... a z drugiej strony przypominam sobie coś o „pokoju rzymskim“ za Cezarów... Czy więc szanowny mówca występował tu jakk historyk, czy tylko — jako sprzymierzeniec Kościoła?... W każdym razie i ten pogląd zdradza dążności konserwatywne.

Dalej mówi p. Dmowski, bardzo słusznie, że narddy nie powinny oglądać się na zamiłowanie wolności i sprawiedliwości innych, ale na swoje własne siły, na swoją własną zdolność do życia. Święta prawda!... Nie wydaje mi się jednak równie szczęśliwem zdanie: „naród uciskany, słaby, nie mający mocnych mocnych zębów i pazurów, die może dziś liczyć, iż ogólne poczucie wolności i sprawiedliwości byt jego zabezpieczy“.

Mam zwyczaj tłómaczyć sobie przenośnię na język faktów, więc w mojej wyobraźni po za wyrazami: „kły i pazury“ zaraz stanęły: wojsko i policja... Cóż zatem mają robić narody uciskane i słabe, które, nie posiadają mocnych zębów i pazurów, czyli policji i wojska?...

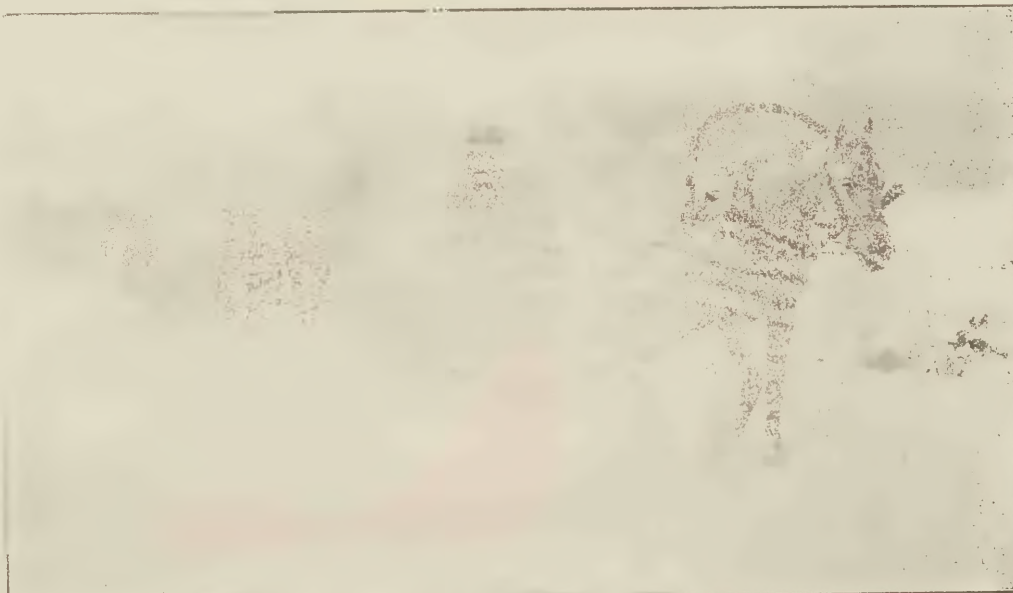
Możem zdaniem powinny: trwać, być cierpliwymi, pracować, bardzo pracować, jak to robili np. Czesi po Białej Górze i — pocieszać się nadzieją, że jednak, kiedyś, wolność i sprawiedliwość zwycięża. Aby zaś nadzieje te miały widoki rzeczywistnienia narody uciskane nie powinnyby popelniać niczego, co sprzeciwia się zasadom wolności i sprawiedliwości...

Jestem przekonany, że sam p. Dmowski wierzy w ostateczny tryumf wolności i sprawiedliwości, gdyż inaczej nie wypowiedziałby z pewnem odcieniem gorczy takich oto słów:

„Rosya jest krajem, w którym ten, co ma siłę, uważa, że ma prawo narzucić swą wolę wszystkim słabszym“... (A czy w Polsce niema takich?...). Nawet w okresie najgorętszego ruchu wolnościowego i w najliberalniejszych Rosyanach: „występowała dążność do narzucenia nam tego, co oni uważali za doskonalsze i dla siebie za dobre“...

Znaczy, że szanowny mówca nie koniecznie pochwała te dążenia, te, „narzucanie swojej woli wszystkim słabszym“. Na nieszczęście, o paręset wierszy dalej, nasz przyszły poseł, wypowiedział szereg zdań nieco innych, które wyglądały na bardzo stanowczy „program dla nas“:

„Jedność, to jest skupienie całego narodu pod jednym sztandarem. Jedność tę, gdy się nie tworzy dobrowolnie, siłą trzeba stworzyć, walczyć



NA POLOWANIE

MICHAŁ WYWIÓRSKI

z tymi, którzy tej idei, tego sztandaru nie uznają. Naród, któremu o jego ideę, o skupienie dokoła niej wszystkich chodzi, nie ulęknę się nawet domowej wojny by ją utrwalić“.

Piosenkę podobną czytaliśmy w naszych pismach już parę razy. Raz odnosiła się do maryawitów i, wnet po tem miały miejsce krwawe zajścia... Drugi raz wyśpiewano ją pod adresem socyalistów i, znowu miały miejsce krwawe zajścia. Ani maryawitów, ani socyalistów w ten sposób nie „zjednoczono“. Tymczasem w Ameryce sekty religijne rosną, jak grzyby po deszczu, w Anglii, Szwajcaryi, nawet we Francji istnieją socjaliści i, nie zawsze zachowują się poprawnie, lecz mimo to, nikt tam nie nawołuje do wojny domowej w imię jedności...

Więc to z takimi hasłami koło polskie ma wyjechać do Dumy rosyjskiej?... Więc w imię czego będzie protestowało przeciw rusyfikacji. Jeżeli, „jedność, gdy nie tworzy się dobrowolnie, siłą trzeba stworzyć“?... Więc co my nieszczęśliwi powiemy dziś przeciw szubienicom murawiewowskim, przeciw szkołom apuchtinowskim, przeciw pruskiej komisji kolonizacyjnej, przeciw katowaniu dzieci poznańskich, jeżeli, „jedność, gdy nie tworzy się dobrowolnie, siłą trzeba stworzyć“?... A co warte są nasze protesty przeciw lokautowi łódzkiemu, albo przeciw napaści Rusinów na uniwersytet lwowski, albo przeciw pogromom w Białymstoku, Kiszyniewie, Odesie, Siedlcach wobec podobnych teorii politycznych naszego posta?

Przecież w imię tej zasady Duma petersburska może nie tylko odepchnąć nasze żądania autonomii, ale nawet jakichkolwiek choćby najmniejszych ulg... Przecież i w niej są ludzie, dla których jedność, skupienie wszystkich ludów i narodów pod jednym sztandarem, jest sprawą najważniejszą, a ludzie ci nazywają się: „prawdziwymi Rosyanami“.

Szanowny p. Dmowski należał dotychczas do głównych kierowników partii narodowo-demokratycznej; dziś może zostać kierownikiem koła polskiego w Petersburgu. Jeżeli jednak z takim programem wystąpi, lękam się, ażeby naszych posłów solidaryzujących się z nim, nie spotkała ciężka kompromitacja, a przeciw naszemu narodowi nie zerwała się w Rosyi nowa fala nienawiści.

Niezawodnie p. Dmowski wierzy w to, że jego poglądy są praktyczne i prawdziwe. Jaka jednak szkoda, że zapomniał o radzie Mickiewicza:

„Są prawdy, których mędrcz nie mówi nikomu!“...

Tak, nie wszystko się mówi, a tem mniej, nie wszystko się apostołuje, osobliwie wśród narodu, który nie posiada „naszych kłów, ani pazurów!“...

P. Dmowski ma słuszną, że naród powinien być silny i zacięty nie tylko w walce, gdy jest mu narzucona, ale przede wszystkim, w pracy, pracy nad własnem udoskonaleniem, użytecznej dla innych.

Ale pogląd szanownego posta na „jedność narodową“ jest i mylny i szkodliwy. Jedność wypływa ze wspólnych interesów, wspólnych sympatyj, wspólnych ideałów. Gdzie tego niema, jedności nie będzie; gdzie to jest — jedność powoli robi się sama, a użycie siły tylko opóźnia jej narodzenie. Świadczy o tem sprawa irlandzka, ślązka, poznańska, historia chrześcian pod panowaniem tureckiem, wreszcie, najnowsza historia Rosyi.

Miejmy jednak nadzieję, że p. Dmowski, jako polityk praktyczny, nie będzie powtarzał w Petersburgu zdań, które nas tak boleśnie rąż w Warszawie: Narody przecież nie są plutonami, a posłowie kapralami.

Z Nadsona.

☞

O, mój druhu, mój bracie,
Uciśniony, zbolący,

Ktobądź jesteś, nie padaj na duszy;

Niechaj zło i bezprawie

W rządy ujmą świat cały,

Łzami ludzkiej obłany katuszy.

Niechaj święty Ideał

Depcą dzisiaj wszechwładnie,

Krew niewinną dło podłych ssą chuci...

Wierz!... a przyjdzie ta chwila...

Syty Baal w proch padnie!...

I powróci znów miłość — powróci!...

Nie w cierń strojna, nie skuta

W niewolnictwa okowy,

Nie na krzyżu boleści rozpięta —

Lecz potężna i czysta,

W aureoli jutrzniowej,

Przyjdzie ona i starga mąk pęta...

I nie będzie na świecie

Łez, ucisku, niewoli,

Nieprzyjaźni, rozpaczy sierocy,

I nie będzie niedoli,

Beznadziejnej niedoli,

Krwawej walki, haniebnej przemocy...

Wierz, mój druhu! — nie mara —

To świetlane widzenie,

Nie nadzieja bezmyślna i pusta!...

Spójrz! noc straszna dokoła

Czarne rzuca swe cienie,

Zło przez wszystkie przemawia już usta!...

Świat omdleje w tej męce,

Krwia gorącą się zboczy,

Zaprzestanie bojowej gonitwy,

I ku czystej miłości

Wzniesie pełne łez oczy,

Oczy pełne błagalnej modlitwy.

GUSTAW FINKELSTEIN.



Chciałbym zwrócić uwagę czytelników na nasze rękodzielniczeki: modniarki, krawcowe, bieliźniarki, krawciarki, pończoszniczeki i cały legion im podobnych robotnic, Chciałbym powiedzieć słówko o ich pracy, wynagrodzeniu, ich dobrobycie, a raczej: złobycie i dokuczliwych potrzebach, które wielkim głosem proszą o zaspokojenie, ale — zaspokojone nie są. Chcę też wspomnieć o celach i pracach „Chrześcijańskiego Związku Rękodzielniczek” pod nazwą: „Dźwignia”, tudzież innych podobnych związków, która zapewne istnieją i pracują nad złagodzeniem ciężkiej doli robotnic, lecz o których działalności żadnych nie posiadam szczegółów.

Zanim jednak powiem o „naszych” pracownicach, pozwolę sobie sięgnąć po materiały aż... do Paryża... Paryż bowiem nie tylko w sprawach mody, nie tylko w nauce, sztuce, życiu towarzyskiem, w wielkich ruchach społecznych, politycznych i religijnych, ale — nawet (i bodaj czy nie przedewszystkiem) w dziedzinie filantropii, jest niby — latarnią elektryczną o potężnym świetle, które wskazuje nowe drogi i rozjaśnia wnętrza najbardziej zawiąknętych spraw ludzkich i społecznych.

Tak często słyszymy pomruki: „Paryż to miasto zepsucia... to nowy Babilon, jeżeli nie Sodoma!”... Prawda, spełnia się tam dużo ciężkich występków, ale dobry Boże, ile tam jest cnót, godnych najwyższego uwielbienia... jako to szlachetne, wytworne, jak wszechstronnie litościwy naród!...

Dla przykładu weźmy kwestę rękodzielniczek i posłuchajmy: co dla nich robi „towarzystwo” paryżkie. Istnieje bowiem w Paryżu związek około pięćdziesięciu autentycznych baronowych, wice-hrabin, hrabin, margrabin i książeń, które powstawiły sobie za zadanie: dostarczyć robotnicom paryżkim takich warunków, przy których mogłyby żyć i pracować zdrowo a uczciwie...

„Oto początek odezwy do społeczeństwa a raczej do „bogatych dam”, napisanej przez p. Helenę Darville.

One szyją piękne suknie, lecz same odziewają się bardzo skromnie. One w najpiękniejszy sposób układają drogocenne materiały, aby inne kobiety uczynić zachwycającymi. Chyba nie ma żałośniejszego ubóstwa, jak tych pracownic, które nie tylko dobrze znają, lecz nawet przygotowują wytworny zbytek dla innych, lecz same nie mają w nim udziału. One stwarzają rzeczy piękne, ale nie dla siebie.

Mówię nie dla tego, ażeby w tych młodych dziewczętach podniecać daremne pretensje. Powiększyłoby się tylko ich cierpienia, gdybyśmy zbyt wyraźnie wskazywali wartość ich codziennej, cierpliwiej pracy,

To też nie do nich zwracam się, ale do was eleganckie czytelniczki, do was, które w najcudniejszy sposób stroi zrzeczność i praca naszych małych robotnic. Zaczyna się sezon zimowy, z jego widowiskami, obiadam, balami, wizytami i pyszną wystawą tualet. Czy nie chciałabyście choć na chwilę zwrócić życzliwej uwagi na tą młodzież, która poświęca wam swoje usługi, a sama nie zna radości?...

W dalszym ciągu mówi autorka, że los robotnic paryskich jest bardzo ciężki. Większość ich to młode dziewczęta, które dopiero rosną, rozwijają się, ale — zarabiając ledwie dwa franki na dzień, i to przez 10 miesięcy w roku, nie mogą wiele wydawać na żywność więc... ciągle są głodne...

I tu opowiada, jak żywią się robotnice. Na śniadanie bułeczka za 3 do 4 groszy. Na południe porcyjka mięsa z jarzyną i kawałkiem chleba, co kosztuje około naszej złotówki. Na wieczór znowu kawałek chleba z jarzynami, które tylko „rozpychają”, nie karmią, lecz mimo to kosztują około 18 groszy. Razem żywność całodzienna pochłania około 52 groszy i bynajmniej nie nasyci...

— A nasze robotnice jak się karmią?... — zapytasz czytelniku.

Cierpliwości!.. powiemy i o nich. Tu trzeba dodać, że owe damy, owe hrabiny, księżne i t. d. pozakładały w rozmaitych punktach Paryża bardzo tanie restauracje dla robotnic. Nazywają się te zakłady: „restauracyami dam”.

„Cel instytucji jest dwojaki: nie narażać młodych dziewcząt na spotkania ze zwykłym towarzystwem podrzędnych restauracyjek i — dostarczać im zdrowej żywności”.

„Odwiedzałam te zakłady — mówi p. Darville. Są one doskonałe, wzorowej czystości, wyborne przewietrzane i oświetlane, słowem — wzbudzają apetyt. Ażeby ocenić ich wartość, trzeba zobaczyć te smutne kąty, zadymione, nie pachnące i pod każdym względem niezdrowe, kędy sprzedają się śniadania po 40 groszy...

Oprócz restauracji, dobroczynne damy pourządzały dla robotnic — naturalnie paryżkich — jeszcze i pensjonaty, w których za niewielki grosik można mieć czysty, widny i ogrzany pokój.

„Ale to jeszcze nie wszystko — kończy autorka. Te restauracje i domy rodzinne są przeznaczone dla zdrowych, silnych, które mogą pracować i zarobić na swoje skromne utrzymanie. Niestety! nieszczęśliwe te pracowniczki bardzo często zużywa praca i ściąga na nich chorobę... A wtedy co?...”

Tak wygląda życie paryskiej robotnicy, zarabiającej dwa franki, czyli około pięciu złotych dziennie, robotnicy, która często ulega dwumiesięcznemu bezrobociu w ciągu roku a na żywność może wydać około 52 groszy dziennie. „W końcu miesiąca — mówi p. Darville — cena żywności wynosi około 56 złotych; a że mieszkanie kosztuje około 50 złotych, więc na odzież, opał, drobne wydatki a nadewszystko — na owe dwa miesięczne bezrobocie pozostaje robotnicy około 7 rubli miesięcznie”.

Wspomnieliśmy o dwu typach instytucji pól-dobroczynnych dla robotnic w Paryżu: tanich mieszkaniach i tanich restauracjach. Instytucji, pomagających kobietom, jest tam znacznie więcej i o bardzo rozmaitem przeznaczeniu, o których może kiedyś powiemy. W tem zaś miejscu zwrócimy uwagę na pewien szczegół życia robotnic paryżkich, którego u nas napróżno byśmy szukali. Szczegółem tym jest — roczny, bardzo dokładny i bardzo ciekawy — budżet robotnicy, wyrachowany przez odnośne syndykaty.

Jest to budżet pracownicy z fabryk kwiatów i piór, zarabiających po trzy franki, czyli, na tutejszą monetę, około 1 rubla i 12 kop. dziennie.

Oto pierwsza ciekawość. Robotnica pracuje i musi pracować przez 365 dni w roku, nie opuszczając niedziel i świąt!... Tyle dni pracując, zarabia na rok 1,095 franków, a że jej wydatki wynoszą 1084 fr. 65 cent., więc może zaoszczędzić na wszelkie nieprzewidziane wypadki — 10 fr. 35 cent. czyli około czterech rubli rocznie!... Co począć na wypadek choroby?... A co począć mają takie robotnice, z których żadna nie zarabia 1 rubla i 12 kop. dziennie?...

Z ogólnej sumy wydatków paryżanki przypada:

	Fr. i cent.	(Rub. w przybl.).
Na mieszkanie	150	60
Na żywność	565—75	220
Na opał, światło	71—70	28
Na odzież, bieliznę	202—70	80
Na pranie	59—40	23
Na inne wydatki	34—85	13

W budżecie tym podano mnóstwo drobiazgowych szczegółów, których tu nie wymieniliśmy a które są bardzo ciekawe. Np. żywność dzienna kosztuje taką robotnicę 1 fr. 55 cent. czyli około 4 złotych, trzewiki letnie około 2 rub. 80 kop., trzewiki zimowe około 4 rubli, para pończoch około 36 kop., koszula około 80 kop. i t. d.

Nawet uczeni chemicy i lekarze zajmują się kwestią dobrobytu pracowników i pracownic a niedawno p. Landouzy ogłosił cały szereg możliwie najtańszych, najsmaczniejszych i najpożywniejszych racji dziennych (śniadań, obiadów, kolacji) dla ciężkiej i złej pracujących męczyzn, tudzież dla kobiet. To jednak na dziś pominiemy, streszczając paryżkie stosunki w punktach następujących:

1-mo. Robotnicą i (robotnikiem) paryżkim zajmują się wszyscy. Ci tworzą użyteczne instytucje, owi pracują w nich, inni dają pieniądze, lub udzielają porad, notabene — zawsze rozsądnych.

2-do. Prawie wszyscy robotnicy należą do jakichś stowarzyszeń, związków, syndykatów, które ułatwiają im znalezienie pracy, kształcenie się ogólne i fachowe, wreszcie — tanie kupno przedmiotów niezbędnych.

6-io. Reformy w bycie robotników zaczynają się od rzeczy nie mających na celu przyjemności, ale pożytek a przedewszystkiem — poprawienie żywności i mieszkań.

Przejdźmy teraz do naszych robotnic, o których wiadomości czerpałem w Zarządzie „Dźwigni”.

Takich pracownic jak: bieliźniarki, hafciarki, krawciarki, pończoszniczeki i t. p. istnieje w Warszawie tysiące a około 300 z nich należy do „Dźwigni”. Warunki bytu ogromnej większości, ogółu tych robotnic, są następujące:

Pracują w magazynach rano od 9 do 1, z przerwą dwugodzinną na obiad a po obiedzie od 3 do 7 wieczór. Wynosi to 8 godzin pracy. Gdy jednak wrócą do domu, znowu pracują dla siebie od 12 do 1-jej w nocy a niekiedy i dłużej.

Najwyższy zarobek wynosi 10 do 12, albo 15 rubli miesięcznie bez żywności. Rzadko która bierze 20 rubli, zaś 25 rubli miesięcznie otrzymują tylko panny starsze zarządzające magazynami. Trzeba dodać, że wielka liczba pracownic skazana jest w porze letniej na dwumiesięczne blisko bezrobocie, z powodu braku obstalków.

Odzież i bielizna droższe są u nas aniżeli w Paryżu. Np. za trzewiki płaci się od 3 rubli, za pończochy 60 kop. do rubla, koszulę 1 rub. 20 kop., a materiały na nią 80 kop., za materiały na suknię 6 do 7 rubli. Zazwyczaj sukienki i bieliznę pracownice szyją sobie same, co zmniejsza koszty.

Za mieszkanie płaci się 10 złotych, 2 ruble do 3 rub. miesięcznie. Mieszkają zwykle w jednej izbie z jakąś rodziną, niekiedy w takiej wilgoci, że znać ją na sukniach, gdy przyjdą z domu do roboty. Co do żywności: z rana szklanka herbaty i bułki albo chleb, w południe kawałek wędliny z chlebem i herbata, zaś wieczór, po powrocie do domu — obiad, składający się z zupy i mięsa. Mięso jedzą trzy razy na tydzień. To też robotnice nasze na ogół wyglądają nędznie, skłonne są do chorób, nie mają sił a zapewne i żyją krótko. Rękodzielniczka po 40 latach spotyka się niezbyt często.

Najszczęśliwsze są te, które posiadają rodzinę zdolną do pracy; mniej szczęśliwymi są samotne, ale najgorszy los przypada w udziale takim, które mają jedno lub dwoje chorych rodziców, albo młodsze rodzeństwo na opiece. Jak tu wyżyć w podobnych warunkach z 10 lub 15 rubli?...

O robieniu oszczędności nie ma mowy; bardzo często trzeba zaciągać długi, czasem na kupno odzienia, czasem na pozbycie się komornika, niekiedy na pogrzeb. „Dźwignia” na pożyczki posiada 100 rubli kapitału...

— O, gdybyśmy miały 500 rubli na pożyczkę —

westchnęła jedna z członkiń Związku — byłoby nam łatwiej... (Tak mała suma i tak ciężko wzdycha się do niej!..).

Krótko mówiąc położenie naszych pracownic jest trudne. Zaradzić temu, w granicy bardzo szczupłych środków, chce „Dźwignia”, która stawia sobie za cel „podniesienie stanu umysłowego, moralnego, wśród pracownic, rozwój pod względem społecznym i narodowym, a także fachowym, wreszcie — osiągnięcie lepszych warunków bytu i ochronę interesów pracownic”.

Szczegółowe punkta ustawy ogarniają prawie całość życia i pracy naszych rękodzielniczek. „Dźwignia” i podobne jej Związki wiele dobrego mogłyby uczynić dla pracownic, gdyby znalazły odpowiednie poparcie w społeczeństwie. Miejmy nadzieję, że stanie się tak i że publiczność, na początek, licznie zbierze się na raucie-koncertie, jaki ma odbyć się w dniu 9 b. m. Przecież nie tylko do bogatych paryżanek, ale i do warszawianek stosują się słowa p. Darville:

„One szyją piękne suknie, lecz same odziewają się bardzo skromnie; stwarzają rzeczy piękne, ale nie dla siebie... Czy więc nie chciałabyście choć na chwilę zwrócić życzliwej uwagi na tą młodzież, która poświęca wam swoją pracę, a sama nie zna radości?...”

Biuro Zarządu „Dźwigni” mieści się przy ulicy Żórawiej, Nr. 20, mieszkania 7.



Poprowadziły kobiety zebraczkę do kredensu, dzieci za nimi pobiegły. Pan Ksawery poszedł do siostry.

Pisała listy w swej kancelarii.

— Staś tu u mnie był długo! — rzekła. Wraca mu przytomność i mowa, pytał o Jurjewiczów, o Stefana...

— Odejdzie! Wiesz, przyszła ta kobieta, z Warszawy.

— To dobrze. Musiała załatwić. Chciałam z tobą pomówić o interesach. Trzeba się zająć gospodarstwem, dźwigać się, żyć dalej. Wiesz, co proponował Abram.

— No, wiem. Żałuję, że nie wiedział, gdym go spotkał. Byłbym kolbą fuzyi zwalił, ile wlezie.

— Po co? Ale, odrzuciwszy jego propozycje, trzeba z innych źródeł zdobyć pieniądze.

— Ciekawym, skąd? Co wymyślisz?

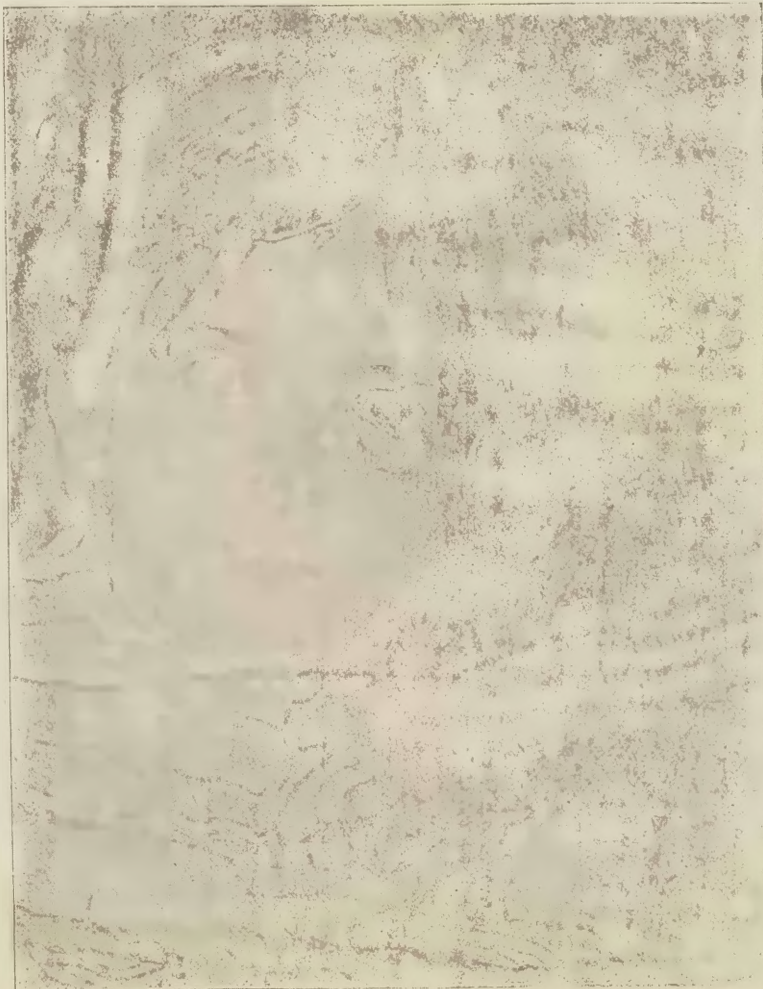
— Już wymyśliłam, ale mam pewne skrupuły.

Pani marszałkowa wstała, otworzyła staroświecki kantorek i po chwili przyniosła szkatułkę.

— Trzeba to sprzedać.

Szkatułka pełna była klejnotów. Pochylili się nad nią i, przeglądając, mówili.

— Kolia prababki, matczyne perły, turkusy jeszcze stolnikowej, tabakierka szambelana, pierścień od ks. Józefa, brylantowy markiz babki, a ten szmaragd zaręczynowy ojca, spinki kolorowe od żupana...



CÓRKA ARTYSTY

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

— Virtuti militari zostawię, resztę trzeba sprzedać.

— Szkoda! do kroćset! — mruknął pan Ksawery.

— Trzeba zachować ziemię, tę trochę, co uratowano.

— Myślisz, że Stefek tu wróci? Matka go zwichnie, spodli, zmarnuje. On dla nas stracony.

— Ale ja muszę uchronić przede wszystkim ten klejnot, którego za pieniądze nam nie dostać. Dla kogo, mniejsza, dla wiary i idei! Wszystko inne sprzedam, byle to było!

— Rób swoje. Ja, wiesz, bić umiem, sieć, gryźć. Potrafię teraz tylko kląć i plwać szelmostwu w oczy! Ty rób swoje! Ale możeby lepiej sprzedać srebro kozarskie, które Sie-maszko uratował?

— Nie, to wszystko, co Stefkowi po ojcu zostało. Matka bogata wprawdzie, ale taka młoda, światowa, może jeszcze za mąż wyjść. Będę to srebro dla niego chować. Klejnoty moje. Zostawię trzy pierścienie, order Józefa, a resztę trzeba sprzedać. Jurjewiczom trzeba do Tobolska wysłać jaki grosz, tutaj inwentarze, ziarno, paszę kupić, Horbaczewskiej pomódz, Stasiowi też dać na dalszą kurację.

— Kto to kupi tutaj?

— Musisz z tem do Warszawy jechać.

— To i owszem. Dowiem się, jakie są horoskopy polityczne.

Pani marszałkowa uśmiechnęła się smętnie, i zamknęła szkatułkę z klejnotami.

(DCN)

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Rozmaici policyjanci i urzędnicy „uczeni” rosyjscy lubią przypominać nam „dobrodziejstwa”, jakie po zaczęciu rusyfikacji Królestwa spłynęły na ten kraj z łaski rządu. Jednym zaś z najznakomitszych dobrodziejstw, ma być rozwój naszego przemysłu.

— Przemysł w Przywiślaniju — mówią ci panowie — urodził się, wyrósł i zmeźniał, dzięki mądrej i zacnej gospodarce rosyjskich urzędników!...

Warto więc przypatrzeć się tej mądrej i zacnej gospodarce, szczególnie dziś, gdy wypada rzec słówko o łódzkim lokaucie, który jest jednym z nienajwiększych skutków działalności biurokratycznej.

Dla przykładu wyobraźmy sobie — najpierw — parowego młynarza, który sam kupuje zboże, miele takowe, co pewien czas sprzedaje za 100 rubli mąki i zapytajmy: w jaki sposób rozdzielią się owe 100 rubli (według przybliżonego szematu), czyli, kto zyskuje na przemyśle młynarskim?...

Więc naprzód, z owych 100 rubli, około 55 rubli wezmą producenci zboża, czyli ludzie miejscowi; potem około 15 rubli, wezmą robotnicy młynarscy, czyli ludzie miejscowi; dalej około 20 rubli przypadnie na — podatki, ubezpieczenia i administrację młyna, którą znowu stanowią ludzie miejscowi; dalej 7 rubli pójdzie na opał, czyli — dla miejscowych kopalni, a nareszcie 3 ruble pójdą na naprawę nieruchomości i ich amortyzację. A ponieważ młyn stawiali miejscowi rzemieślnicy, a maszyny wybudowano w kraju, więc i ta część

młynarskiego dochodu wpłynie do kasy miejscowych pracowników.

Krótko mówiąc: gdy młynarz zarabia sto rubli, to z owej setki wszystko zostaje w kraju i wzmacnia siły miejscowe. Nadto zostaje mąka, z której znowu ludzie miejscowi odniosą pożytek. Młynarstwo więc jest w pełnym znaczeniu tego wyrazu, przemysłem narodowym; korzysta z niego rolnik miejscowy, fabrykant, robotnik, kupiec a nareszcie i miejscowy konsument.

A teraz spojrzymy na przemysł — naprzykład — bawełniany tkacki i zapytajmy: w jaki sposób rozdzieli się 100 rubli zyskane na tkactwie fabrycznym?... Otóż w ręce krajowców dostanie się: około 15 rubli dla robotników, 7 rubli na opał i około 10 rubli z sumy przeznaczonych na koszt administracji, ubezpieczenia i t. p. Zaś w ręce obcych, lub prawie obcych, przejdą: 55 rubli za bawełnę, co najmniej 10 rubli za administrację i 3 ruble procentów od kapitału nieruchomego.

Innemi słowy: kiedy każda setka rubli z dochodu młynarza zostaje w kraju a wytwór przemysłu młynarskiego zasila miejscowych ludzi, to z każdej setki rubli zarobionej przez fabryki bawełniane zaledwie 32 ruble może zostać w kraju a około 68 rubli wychodzi za granicę. A i produkt tych fabryk, czyli tkaniny, również tylko częściowo zostaje w kraju, zaś większa część jego idzie na pożytek mieszkańców Rosyi, którym niech wreszcie służy jak najlepiej.

Taka jest różnica między przemysłem „narodowym” a fabrycznym, czyli kosmopolitycznym.

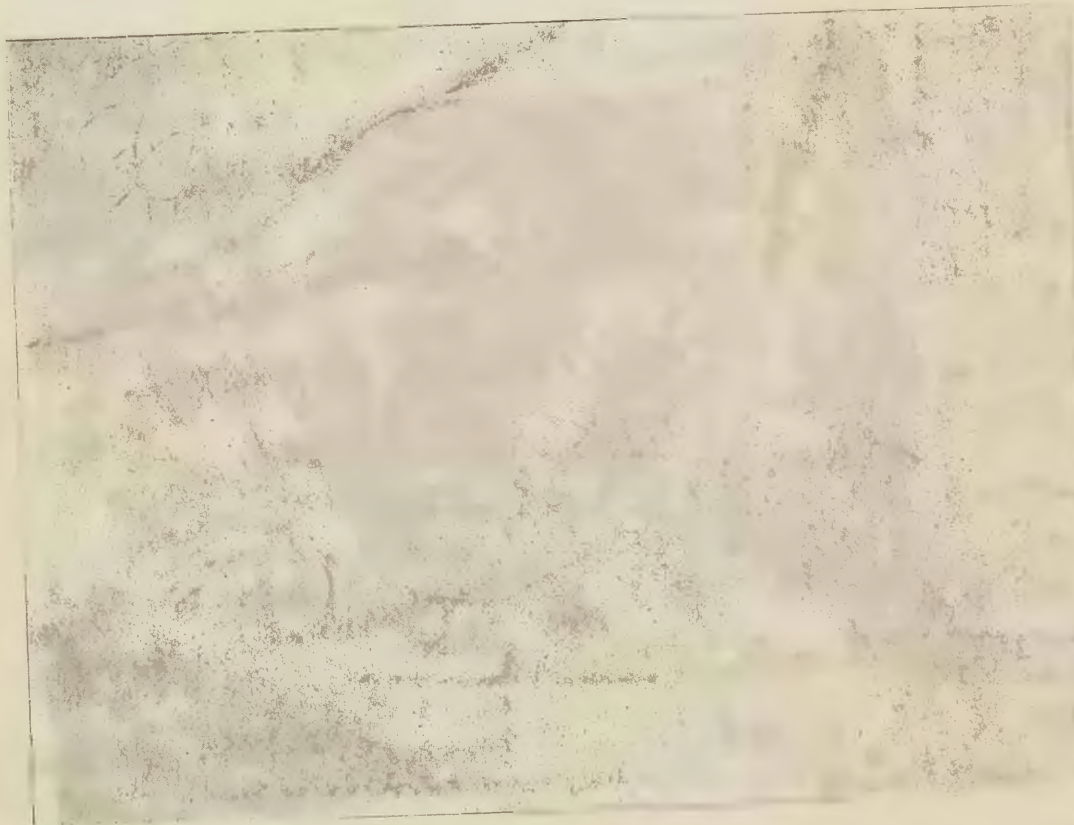
Przemysłowi temu nie trzeba wymyślać, ani wyrzekać go się, ale jego różnicę z narodowym trzeba podkreślić, ażeby publiczność dobrze to zrozumiała.

Otóż rzecz godna uwagi: biurokracja nie przeszkadzała rozwijać się owemu „kosmopolitycznemu” przemysłowi, z którego kraj ma mniej pożytek, ale naprzykład — zapomocą rozmaitych kombinacji przewozowych zrujnowała nasze młynarstwo, czyli przemysł, który w pierwszej linii zaspokajał potrzeby miejscowe i z bogactw miejscowych ludzi.

Skutki tego systemu, stosowanego na szeroką skalę, są dziś namacalne. Ledzie miezaskają jak zwierzęta, ponieważ — za mało jest domów, chedzą boso — gdyż za mało jest obuwia, odzieżają się w łachmany i brudną bieliznę — gdyż za mało jest odzieży, sami są brudni, bo trudno nawet — o wodę w tym dziwnym kraju. Wreszcie — żywią się nędznie, gdyż nie umieją wydobywać tyłu plonów z ziemi, ileby można, mrą z ładą choroby, gdyż za mało jest lekarzy, szpitalów i tam dalej...

Więc może kraj nie ma sił do zaspokojenia tych wszystkich potrzeb?... może brakuje mu ludzi?... Bynajmniej! ludzi jest tak wielu, że, co rok po 130 tysięcy wychodzi na roboty do Niemiec, że emigranci polscy cisną się do wszystkich miast rosyjskich, że krocie tysięcy wyniosły się do Ameryki... Ręce zatem są, tylko z jednej strony nie ma głów, a z drugiej — niema niema kierunku i dla tego w kraju nędza a z kraju — emigracja...





PORTRET ŻONY ARTYSTY

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

I oto dla cyego potrzebną jest autonomia, temu nieszczęsnemu społeczeństwu. Jest potrzebna, jest niezbędna, nie dla tego ażebyśmy nosili żółte buty i czerwone czapki, nie dla tego, ażebyśmy grozili całosci państwa rosyjskiego, lecz po ażeby nareszcie przestali marnować się nasi ludzie i nasze siły. Przecież ci, którzy uciekają na roboty polne do Niemiec, mogliby nam budować dobre drogi. A ci którzy wychodzą do Rosji, ażeby tam ściągać na siebie niechęć miejscowych robotników, ci mogliby szyć buty, bieliznę i odzież tutejszemu ludowi. Na nieszczęście nasi władcy nie rylko nigdy nie popierali tego rodzaju zamiarów, ale wprost—przeszkadzali im, nie pozwalając na zawiązywanie żadnych stowarzyszeń, gorzej—bo nie pozwalając się uczyć...

„W ciągu XIX-go stulecia—mówił na pewnem zebreniu A. Suligowski—rozwinął się u nas przemysł na wielką skalę. Część ludności wiejskiej pomnożyły zastępy robotnicze, powstały wielkie ogniska przemysłowe jak Łódź, Sosnowiec i trochę mniejsze: jak: Częstocdowa, Będzin, Zgierz; nie mówiąc o uprzemysłowieniu samej Warszawy... Zdawałoby się, że jednocześnie zrodziłyby się powinny różne urządzenia kulturalne: szkoły i biblioteki, rerursy i czytelnie, kościoły i domy moylitwy, organizacje sanitarne i poryadki miejskie, opieka i ochrona dla pracy, bez czego prawdziwe życie ludności nie wydaje się możliwym... Ale dla ludności, a zwłaszcza dla biednej roboczej klasy nie robiło się nic zgoła i dotąd nic się nie robi. Co gorsze, nawet usiłowania indywidualne, były stale aż do ostatnich czasów krępowane, ramowane, niekiedy wprost prześladowane“.

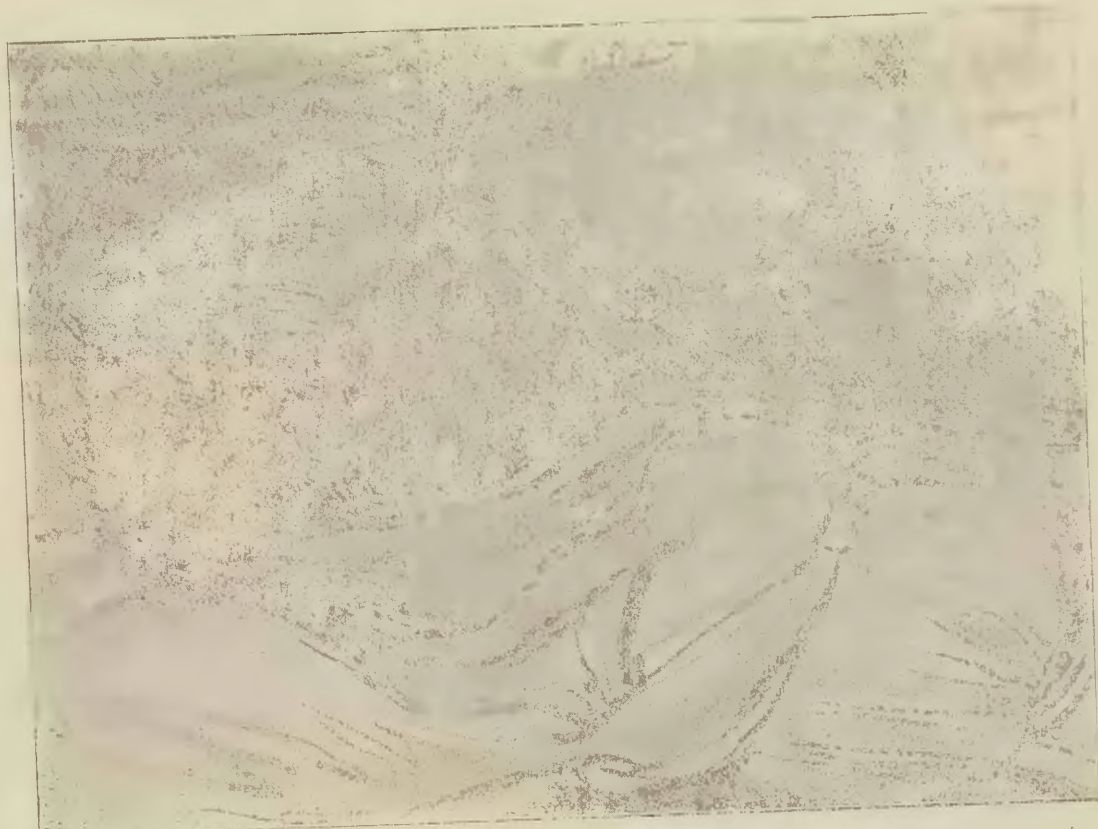
A oto co dalej mówi znakomity obywatel i znawca społecznych stosunków.

„Dla przykładu weźmy Łódź, jedno z większych ognisk przemysłowych, nietylko w kraju, ale i na świecie. W tem mieście ludność robotnicza stanowi przeważną część mieszkańców, ale ta ludność nie znajduje środków do zaspokojenia swoich potrzeb. W mieście są zaiedwie dwa kościoły i 200 tysięczna ludność robocza nie ma gdzie się pomodlić. W tem mieście nie ma szkół elementarnych a przynajmniej jest ich tak mało; jakgdyby dzieci ubogich nie było wcale; nie ma szkół fachowych, niema ochron, sal zajęć, nie ma żadnych przytułków; nie ma ani jednego szpitala miejskie-

go, tylko parę prywatnych przy fabrykach i—szpital powiatowy na 60 łózek, na którego utrzymanie miasto dawało po 200 rubli rocznie (!) zapomogi; nie ma domu przedpogrzebowego a zwłoki zmarłych leżyc muszą po parę dni w ciasnych mieszkaniach robotniczych. O jakichkolwiek urządzeniach higienicznych również nie ma mowy. Zarażliwe choroby jak: tyfus, szkarlatyna, dyfteryt nie ustają nigdy, śmiertelność przekracza wszelką miarę, ale—brak statystyki pozwala spokojnie patrzeć na to zjawisko i nawet nie wiedzieć o niem. Ta ludność nie ma żadnego zabezpieczenia na wypadek choroby, nieszczęścia lub braku roboty a tem bardziej zabezpieczeni starości; o jakichkolwiek związkach i stowarzyszeniach dla wzajemnej pomocy nikt tam do ostatnich czasów nie słyszał“.

Taką była gospodarka, która miała uszczęśliwić kraj Przywiślański. Ale to jeszcze nie koniec.

„Zdziczenie ludności robotniczej w Łodzi



STUDIUM

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

ujawniło się już dość dawno; nożownictwo łódzkie uprzedziło nożownictwo w Warszawie. A kiedy w pierwszej połowie 1892 roku wybuchnął pierwszy strajk i kilkunastotysięczne tłumy robotników, domagających się podniesienia płacy, snuły się spokojnie po ulicach Łodzi, wystraszona władza zwróciła się do Warszawy i otrzymała rozkaz od ówczesnego generał-gubernatora, aby natychmiast przywrócić porządek siłą, bez wszelkiego pobjaźania. Te tłumy jeszcze nie śmiały podnieść ręki na przedstawicieli władz, a przecież rzucono się na nie bez litości, zabito lub poraniono paręset osób i przywrócono porządek!“.

Tu następuje najciekawszy punkt rozważań Suligowskiego:

„Steroryzowani powrócili do pracy, o ile nie rzucili się na emigrację do Ameryki. Co więcej: zakazano fabrykantom, chcącym dać podwyżki, czynienia jakichkolwiek dodatków, a to dla uniknięcia rzekomej demoralizacji. Mniemano, że zażegnało się złe, a nie rozumiano, że zasiało się nowe ziarno żalu i goryczy, które kiedyś mogły wydać złe owoce“...

Mowa ta była wypowiedziana w dniu 13-ym stycznia r. b., kiedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że owoce już dojrzały a nazywają się—lokautem.

Ponieważ najlepiej gdy fakta przemawiają własnym językiem, więc, oto jeden z owoców lokautu w formie listu niby robotnika łódzkiego do Sztandaru:

„Lokaut krótkie słowo, lecz straszne: w swoim dźwięku mieści ból 80,000 ludzi wyrzuconych na bruk. W tem słowie słychać dzieci płaczące: chleba! widać wynędzniałe twarze robotników i ich żon... Staje przed wami w odzieniu żebraka, z twarzą zalaną rumieńcem wstydu i głosem, w którym drga ból i lzy tysięcy moich braci, wolałam: Pomocy dla łódzkich robotników!“.

Mniej więcej w ten sposób wyglądają wszystkie odezwy o pomoc pisane przez „inteligentów“... Aż przykro, kiedy człowiek czyta coś podobnego!... Jednocześnie zaś czaćka robotników, która protestuje przeciw porozumieniu z fabrykantami, pisze:

„...W walce, jaką się dziś toczy, między zlokautyzowanymi robotnikami, a Związkiem fabrykantów, nie chodzi o wyrzucenie 98 robotników z fabryki Poznańskiego, lecz jedynie o ideowe zwycięstwo kapitalistów lub robotników... Kapita- listom chodzi o to, ażeby oni zarządzili w fabry-



kach, jak im się podoba... Nasza zgoda obecnie byłaby zgodą na zaprowadzenie systemu „rządów fabrykanckich”... Ustąpienie byłoby zaniechaniem walki, która pomimo wszystko może być zwycięską...”

A na to odpowiadają fabrykanci:

„Pozostając pod władzą terrorystów, robotnicy dają się popychać nie tylko do lekceważenia wszelkich umów i regulaminów, ale nawet do czynów wprost przeciwnych ich własnemu interesowi. Oto przykład: kiedy fabryki należące do związku zostały zamknięte, robotnicy nie pozwolili wypuścić wody z kotłów i rur narażając je w ten sposób, przy obecnych, mrozach, na pęknięcie i popsucie...”

O swoim stosunku przyszłym do robotników fabrykanci piszą tak: „Związek postawił warunki, których treść wskazywała wyraźnie, że nie chodziło o jakiegokolwiek upokorzenie rozsądnej i chcącej pracować większości robotników, ale o wprowadzenie

do życia fabrycznego spokoju i ładu, oraz poszanowania prawa i przepisów regulaminu fabrycznego, które nie są przecież pisane dla jednej tylko strony, ale wszystkich zarówno obowiązujących po winny...”

Słowem, i z jednej i z drugiej strony rozlega się okrzyk: „walka!”... „walka!”... Że milionerowie fabrykanci, gdy ich rozdrażniono, mogą wydawać podobne okrzyki, to rozumiem: oni bowiem, mając dużo pieniędzy, nawet w razie przegranej, wygrają... Ale, że przedstawiciele robotników zachęcają do walki biednych swoich towarzyszy, przeciętno zarabiających po 20 rubli miesięcznie, to już jest mniej zrozumiałe.

Rezultat tej nieszczęsnej, tej niapotrzebnej „walki” jest jasny, jak dzień. Gdyby fabrykantom nawet skonfiskowano ich fabryki i pałace, jeszcze będą mieli miliony. A tymczasem łódzki światka

robotniczy w ciągu 10-cio tygodniowego bezrobocia stracił *więcej niż milion* rubli!...

Kiedy oni biedacy odzyskają stracone w ten sposób pieniądze? przez ile lat muszą pracować i oszczędzać? i, co to za złudzenie, które wyobraża sobie, że społeczeństwo może podeprzeć robotników łódzkich? Społeczeństwo, które które tak ciężkie ponosi straty i tyle ma przed sobą obowiązków, tyle zadań, wśród których potrzeby kulturalne samych robotników nie najmniejszą odegrywają rolę!...

Wyjaśnienie rozmaitych, szczególnie ideowych, stron kwestii robotniczej u nas muszę odłożyć do następnej kroniki. Tu tylko dodam, że dzisiejsze stosunki łódzkie można określić jednym terminem: jest to zły chaos, chaos gnijący... A z czego on się urodził?... dostatecznie chyba wyjaśniają cytaty z mowy Suligowskiego.

☞

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

SĄD

NOVELA.

— A pójdę i rzeknę! Jakby mi kamień spadł z piersi. A stanę i powiem, jako są zbóje i złodzieje. Boże, wiedziałem, co wyprawiają, a bałem się pisać słowa. Ażeby was kołem łamali za mój grzech, toć w oczy wstydziłem się ludziom patrzeć, jak wyrzekali Za złodziejstwa... Szelmy, konie mi wyprowadzili, okup dałem przez Starszego... nie oddali... A potem zdybałem ich w komorze... wyluskali mnie co do grosza... nożem zagrozili... jeszcze musiałem przysięgać, że ich nie wydam! O zbóje!

— Cała okolica cierpiała przez nich.

— Wiele to koni wzięli ludziom, wiele krów, wiele dobra!

— Mogli wszystko, bo Starszy patrzył przez palce i dzielił się...

— Balowali se naszym kosztem, niechże teraz zapłacą...

— Kiej wszyscy mówią, to i ja rzeknę — wyrwał się któryś — oto wiem, że księdzu za te śluby, co je dawał Podlasiakom, Gajdy wydały naczelnikowi...

— Cie... księdza nawet zdradzili...

— To i panny z poczty, co dzieci naucały, też oni wydać musieli?

— A oni! oni! Wiadomo — przytwierdzał młynarz zajadle.

— To i tych Żydów w lesie nie kto inszy oporządził.

— A juści, że Gajdy! A oni!... Ścierwyl Zdrajce... Zbóje... — jeśli wymyślać, kłąć, tupać, a trzaskać kijami, gniew srożył się w sercach i ponosił, ślepie gorzały, a zaciśnięte pięście trzęsły się nad głowami.

— Skończyć z niemi! pokarać psubratów! Na sąd ich! na sąd...

— To chodźmy prędzej, by nam nie uciekli — wołał Jędrzej.

— Pasy drzeć z takich.

— I kołami, jak psów wściekłych, zakatrupić! pokrzykiwali, tłocząc się we drzwiach.

Młynarz zgasił światło i poszedł z drugimi.

A skoro się jeno wysypali przed dom,

Jadwiś wybiegła przyczajona pod ścianą, patrzyła wylękle, kaj się to wleka w taką noc i pies?

Bo noc była prawdziwie marcowa, zimna, wietrzna i mokra. Skołtunione ciemnice oblały cały świat, deszcz ze śniegiem, zaczynał w twarze, aż dech zapierało, wiatry przewalał się po sadach i podwiewał ze wszystkich stron, a z pół przemiękłych, kaj się jeno z czarniawą bielą grzbiety zagonów ośnieżonych, ciąkrą wilgotną zamróz i przejmował ziąbem do szpiku, ale chłopie nie bacząc na porę przysgnęła, szli ostro i mocno jaże się błoto roztwierało pod nogami. Ciągnęli chyłkiem, gęsiego, pobok niskich chałup, co, kiej kumy utrudzone, przysiadły nade drogą, kuląc się w sadach, że jeno dachy ośnieżone, niby te czepce białe, widniały skroś drzewin rozkołysanych.

Jędrzej szedł na przodzie i z cicha zarządzał, że co trochę ktosik wyrwał się z rzędu, leciał do okien, bił pięścią i wołał:

— Wychodź! Pora!

Wnet gasły światła i drzwi skrzypiały, a czarne cienie sunęły z pod chałup i, macając kijami drogę, łączyły się z gromadą w cichości.

Szli coraz gęściej i ostrożniej, pilnie bacząc na wszystkie strony.

Naraz Jędrzej obejrzał się lęklwie, bowiem wyraźnie dosłyszał chlapanie błota, jakby ktoś leciał za niemi, a jakiś cień przesunął się chyłkiem pod płotami, lecz skoro przystanęli, wszystko ucichło i przepadło, wiatry jeno szumiał i psy kajś niekaj z pod przyżb naszczekiwały zajadle.

Ruszyli jeszcze wolniej, ale niejeden już się zęgnął trwożliwie, niejeden wzdychał, a niejednemu mróz przechodził kości, mimo to nikt nie wyrzekł ani słowa, ni też się cofnął parli się jednakowo naprzód niby ta niepowstrzymana, groźna chmura, co to, ciągnąc zwolna, rośnie w cichości, nim raptem trzaśnie piorunem lub gradem ziemię strątuje.

Ale gdy wymijali karczmę, rzęsiście oświetloną, jaki taki pociągał nosem wiatru

ubego i chciał wstąpić na rozgrzewkę, jeno Jędrzej nie popuścił nikogo, zgarnął wszystkich w kupę i wywiódł na środek drogi, bo prawie pobok stał ano dom strażnikowy. Już z daleka białe jego ściany, a przez okna rozjarzone huczała skoczna nuta harmonijki.

Wstrzymali się naprzeciw, prawie dychając, zaś Jędrzej szeptał parobkom:

— Pilnujcie dobrze, a jak jeno uderzą dzwony, to kupą do izby i zaraz go z miejsca za łeb i w postronki. Jeno niech się wam nie wypśnie, narobiłby biedy... A cicho, by się nie spłoszył.

Kilkunastu parobków rozpełzłszy się ckiem w ciemnościach.

Gromada zaś ruszyła już prosto i prędzej, na wielki plac, leżący w końcu wsi, kaj jeno błyszczało parę światełek, a we wyrwie między niemi, na tle pół ośnieżonych, wynosiły się mury kościoła wraz z gąszczem drzew, niby góra ciemniejsza i żdziebko rozkołobana od wiatru.

Dom Gajdów stał pobok kościoła, jeno nieco ode drogi i przysłonięty sporym sadem, że światła okien wierciły się skroś gęstych krzy i gałęzi, kiej wilcze ślepie; nawrócili już prosto ku niemu ale że błoto było miejscami po kolana, że kałuże rozlewały się kiej stawy, i kępy zlodowaciałego śniegu zagradzały drogę, to szli noga za nogą, wymijając przeszkody, kołując i jakby z rozmysłem nakładając drogi, ale mimo to w jakieś zdrowsze przystanęli pod płotem. Jędrzej zalecił cichotę i sam, chyłkiem, bokami, podsunął się pod okna i zajrzał.

W białej, a sporej izbie, obwieszanej obrazami, świeciła się lampa, zwieszona od pułapu, a pod nią, przy stole siedziało kilkoro ludzi, jedząc kolację i pogwarzając z cicha. Na kominie buzował się tęgi ogień, że pół izby tonęło w czerwonych blaskach, a jakaś dziewczyna chodziła, huśtając na rękudziecko rozkrzyczane...

— Są w domu, są! — szeptał Jędrzej, wróciwszy do gromady, trząsł się cały i ledwie zapał, ledwie poradził mówić, by połowa



BOLESŁAW PRUS: **KRONIKA TYGODNIOWA.**

Trzeba przyznać, że naszym czasem nie brak oryginalności, choćby dlatego, że słyszymy hasła, o jakich nie tylko my sami, ale nawet ojcowie nasi i dziadowie nie mieli pojęcia. Naprzykład:

— Robotnicy mają słuszość, że strajkują!... (Strajkują, to znaczy—powstrzymują się od zajęć).

— Pracodawcy mają słuszość, urządzając lokaut... (Lokaut, to znaczy—nie dopuszczają do pracy robotników).

— Nie można pozwolić na to, ażeby fabrykami zarządzili fabrykanci, jak im się podoba!...—wołają robotnicy.

— Nie możemy pozwolić na to, ażeby fabrykami zarządzili robotnicy, a nawet ludzie stojący po za obrębem wszelkich fabryk i wszelkiej fabrykacji!...—odpowiadają pracodawcy.

Sporów takich nie słyszał nawet Ben Akiba, toczą się one bowiem nie około pytania: należy czy nie należy pracować i w jaki sposób? Ale raczej około tego, kto ma słuszość: czy tacy, którzy nie chcą pracować, czy tacy, którzy nie pozwalają pracować?... I nie o to kłóć się: jakie prawa mają rzadzić stosunkiem pracodawców do robotników, a robotników do pracodawców?... ale, kto komu powinien narzucać swoją wolę: robotnicy fabrykantom, czy fabrykanci robotnikom?...

Zapewne, że i robotnicy, i fabrykanci są to dwie bardzo poważne, bardzo użyteczne, bardzo szanowne siły. Trzeba jednak przypomnieć, że obok tych dwu sił, są jeszcze inne... Jest siła realna, mianowicie: społeczeństwo i są dwie siły idealne: etyka i zdrowy rozsądek...

Otóż spróbujmy zastanowić się: jak wobec społeczeństwa, moralności i logiki wyglądają bezrobocie, bez względu na to, czem je nazwiemy: strajkami, czy lokautami?...

Nie mam zamiaru kogokolwiek bądź sądzić, gromić, a chociażby tylko upominać: nie posiadam do tego prawa i, nie wierzę w skuteczność „na-woływań” lub „upomnień”. Mam jednak niewątpliwa prawo do czego innego: do przypomnienia czytelnikowi tej starej a wciąż zapomnianej prawdy, że: duszą całego wszechświata, duszą nie tylko społeczeństwa lecz i natury jest—praca...

Pracuje wiatr, który przenosi pary wodne od morza w stronę lądów, strąca z drzew uschłe liście i rozwiewa nasiona. Pracuje woda, krusząc skały, odnosząc żwiry i piaski w miejsca niższe. Pracuje roślina, pędząc soki od korzeni do wierzchołków i wchłaniając kwas węglany z powietrza. Pracuje całe królestwo zwierzęce, aby zapewnić bezpieczeństwo, żywność, gniazdo sobie i potomkom. Pracuje nareszcie człowiek nad zaspokojeniem swoich wielotysięcznych potrzeb organicznych i duchowych.

Bez pracy niema chleba ani odzienia, domu ani sprzętu, szkilki ani drogi żelaznej, wychowania dzieci ani opieki nad chorymi, pieśni ani obrazu. Gdyby przez ciąg jednego pokolenia zatrzymała się praca uczonych, wynalazców, techników, nauczycieli, prawników, lekarzy i im podobnych, społeczeństwa, na wiele wieków, jeżeli nie na zawsze, wpadłoby w stan przedhistorycznej dzikości. Gdyby choć przez jeden rok zatrzymała się praca rolników, rzemieślników, robotników, transportowców i kupców, dziewięć dziesiątych ucywilizowanej ludzkości wymarłoby, a reszta uległaby zdżyczeniu.

Krótko mówiąc: jak człowiek nie może istnieć bez oddychania i karmienia się, tak społeczeństwa nie mogą istnieć bez wielkiej, zbiorowej pracy, we wszelkich znanych gałęziach działalności

ludzkiej. Ztąd zaś wynika, że—bezrobocie, czy nazwiemy je strajkiem, czy lokautem, jest klęską publiczną a zaś powszechną strajk, na jaki patrzyliśmy w jesieni przed ogłoszeniem Manifestu Konstytucyjnego, jest tak strasznym objawem jakiejś choroby państwowej, że tylko zupełna ślepotą umysłową mogłaby narażać społeczeństwa na powtórzenie się podobnego wybuchu.

Przecież taki strajk powszechny jest niby zemdleniem Państwa, czyli fenomenem, który zdarza się nieskończenie rzadziej aniżeli wojny, bunt, trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów!...

Na szczęście wolno mieć nadzieję, że mądrość rządu, czyli—sumienne wykonanie reform zapowiedzianych w Manifeście Konstytucyjnym, zapobiegnie powtórzeniu się złowrogiego zjawiska.

Może więc nie zobaczymy drugi raz powszechnego bezrobocia. Natomiast bezrobocia częściowe powtarzają się ciągle, prawie stały się modą.

W jaki sposób działają one na społeczeństwo?...

Aby to łatwiej pojąć, wyobraźmy sobie dwa narody, pod każdym względem w danej chwili równe. Każdy z nich liczy po 10 milionów ludności, wśród której znajduje się po 5 milionów pracowników; wszyscy obywatele są jednakowo oświeceni i zamożni a każdy pracownik zarabia przeciętnie dwa złote dziennie. Ta tylko między porównaniami narodami i-tnieje różnica, że w jednym ludzie pracują po 300 dni a w drugim tylko po 280 dni na rok.

Skoro pierwsze społeczeństwo pracuje o 20 dni w ciągu roku więcej od drugiego zatem każdy pracownik, po upływie roku, będzie miał o 6 rubli więcej, a 5 milionów pracowników z pierwszego narodu, po upływie 30 lat czyli—jednego pokolenia, naród pierwszy będzie miał 900 milionów rubli więcej, aniżeli naród drugi, który o 20 dni na rok mniej pracuje.

Czytelnik łatwo zrozumie: ile szkół, ochron, szpitali, dróg, fabryk, stworzyć można za 900 milionów rubli, w jakim stopniu zwiększy się wydajność pracy i dobrobyt, jak przedłuży się życie ludzkie. I w rehaulacie, po uprzywie kilku pokoleń, naród, który o 20 dni na rok więcej pracował, na drodze cywilizacji ogromnie posunie się naprzód; zaś naród, który o 20 dni na rok mniej pracował, będzie, porównaniu z sąsiadem swoim, zacofany, ubogi, słabszy i mniej liczny.

Słowem—ci, którzy zachęcają naród, ażeby mniej pracował, osłabiają jego siły fizyczne i duchowe, pchają go do nędzy i barbarzyństwa, w które łatwo wpaść, ale wydobyć się z niego bardzo trudno!...

W taki sposób bezrobocia szczególnie bezcelowe i bezzadne, wpływają na kulturę społeczeństw. A teraz spojrzymy na stosunek bezroboci do moralności.

W tym razie nie potrzeba uczonych wywodów. Dość rozejrzeć się po Warszawie, Łodzi i całym kraju, ażeby przyznać, że nigdy jeszcze moralność nie upadła tak nisko, jak obecnie. Kradzieże, rabunki, napady bandyckie i morderstwa, dosięgły przerażających rozmiarów, ulice roją się od żebractwa i, pomimo „wywłaszczania” monopolów, pijaństwo wzrosło... W jakim zaś stopniu wzrosło, oowodzą cyfry zaczerpnięte z Łodzi. W mieście tem, w styczniu roku 1905 zużyto 21,000 wiader wódki (w liczbach okrągłych), w styczniu roku 1906 zużyto 50,000 wiader, a w styczniu roku 1907 aż 68,000 wiader!...

Wreszcie zobaczmy: o ile bezplanowe i ciągle powtarzające się bezrobocia odpowiadają wymaganiom... logiki, a zarazem interesom pracowników?

Jeżeli ogólną wartość gospodarstw rolnych, kopalń, dróg żelaznych, fabryk, budowli i t. p. bogactw jakiegoś kraju podzielimy przez liczbę jego mieszkańców, zrobimy sobie pojęcie o średniej zamożności każdego mieszkańca, a jednocześnie przekonamy się, że zamożność każdego narodu jest inna. Np. przy ogólnym podziale wszystkich dóbr, każdy Anglik otrzymałby 2,277 rubli, Francuz—2,070, Niemiec—1,300, a Polak z Królestwa tylko 445 rubli (!)... Różnice zaś stanu majątkowego wymienionych narodów pochodzą stąd, że np. Anglicy pracują najwięcej i najlepiej, a np. Niemcy trochę mniej i tochę gorzej od Anglików... Nadto zaś, że w Anglii daleko więcej pokoleń trudziło się nad wytwarzaniem i gromadzeniem bogactw, aniżeli np. w Niemczech...

A teraz obok liczb, wyrażających bogactwo każdego narodu, postawimy liczby wyrażające płace robotników. Liczbę dotyczącą Królestwa wzięłem z książki p. St. Koszutskiego: „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego”, a wynagrodzenie robotników zagranicznych oparłem na artykule p. J. Kurnatowskiego w *Ludzkości*.

Mamy tedy:

	Zamożność. 1 mieszkańca	Płaca. robotnika
w Anglii. . .	2,270 rubli	788 rubli
„ Francji . .	2,070 „	656 „
„ Niemczech .	1,300 „	536 „
„ Król. Polsk.	445 „	240 „

Z liczb tych widać, jak na dłoni, że: im kraj jest zamożniejszy, tem wyższą jest płaca robotników, a im kraj uboższy, tem płace robotników są niższe. Z drugiej strony wydaje się jakby w uboższych krajach robotnicy lepiej stosunków byli wynagradzani, aniżeli w zamożniejszych; na to jednak nie kładę nacisku, z powodu niezbyt wielkiej ścisłości zacytowanych liczb.

A teraz wniosek, niesłychanie do wyprowadzenia łatwy.

Jakim sposobem możnaby w kraju naszym wysoko i trwale podnieść zapłatę robotników? Tylko jednym sposobem: przez powiększenie ogólnej zamożności społeczeństwa. Gdybyśmy byli tak zamożni, jak Anglia lub Francja, płaca naszych robotników mniej więcej odpowiadałaby zarobkom angielskim lub francuskim.

A jakim sposobem możnaby podnieść ogólny dobrobyt?... Znowu tylko jednym sposobem: przez spotęgowanie pracy, przez zwiększenie jej ilości i jakościowe... A jeżeli to jest prawdą, czemże więc są strajki i lokauty, jeżeli nie zaprzeczeniem najprostszych zasad logiki i ruiną nieszczęśliwych robotników?...

Oto dlaczego należy dać pokój bezrobociom i oto dlaczego, w imię Ojczyzny, w imię wspólnych wszystkim interesów, trzeba ażeby robotnicy i fabrykanci doszli do szczerzego, rozumnego a trwałego porozumienia.

Gdy nie pogodzą się między sobą wszystkie klasy i wszystkie stronnictwa, gdy nie weźmiemy się do spotęgowanej pracy fizycznej i umysłowej na wszystkich rolach, grozi nam ruina, z której bardzo trudno będzie podnieść się, szczególnie wobec tak bardzo oświeconych, pracowitych i zorganizowanych Niemców....



*T roku o 5 mil. rub. więcej
za 100 ujętych*



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Pegłoski o rozwiązaniu Dumy przycichły, awanturnicze usposobienie posłów z lewicy zaczyna się miarkować, nawet osłabnął efekt wywołany zawaleniem się sufitu w pałacu Taurydzkim... Ale skutki, a może i przyczyny lokautu łódzkiego, który nas tak blisko ochodzi, jeszcze nie osłabły; i po dawnemu fabryki stoją, robotnicy cierpią niedostatek, odbywają się jałowe narady a partye krańcowe po dawnemu komenderują:

„Nie porzucacie walki, która może być zwyciężką!... Nie stwierdzajcie bezsilności klasy robotniczej!... Nie zdawajcie się na łaskę i niełaskę fabrykantów, którym chodzi o to, ażeby oni zarządzili w fabrykach, jak im się podoba!...“

Piękny obraz stosunków, co?... Fabrykantom chodzi o to, ażeby oni zarządzili w fabrykach, jak im się podoba a innym o to, ażeby fabrykami zarządzili... partye skrajne, „jak im się podoba“... A wśród odgłosów walki „o rządzenie fabrykami jak się komu podoba“, zdaje się, że już zupełnie umilknął głos robotników, którzy stracili przeszło półtora miliona rubli, tudzież głos społeczeństwa, które w roku zeszłym straciło na przemyśle i rzemiosłach około 220 milionów rubli!...

Wniosek stąd jasny, a dla krańcowych partyi bardzo niepochebny. Z pewnością „rządy fabrykanckie“ w fabrykach nie były idealne, nawet powiedzmy, że były złe, choć może nie zawsze z winy fabrykantów. Ale za to rządy partyi skrajnych, bez względu na ich złe czy dobre zamiary, okazały się jeszcze gorsze. Klasy pracujące zbiedniały, zdemoralizowały się, kraj osłabnął i podzielił się na nienawistne partye, a przyszłość... Przyszłość zaczyna wyglądać jakoś niewyraźnie i o bodajby nie zakończyła się wojną domową!...

Rzecz bardzo prosta. W ciągu dwu ostatnich lat ogół zrozumiał i nauczył się na pamięć tej prawdy, że tyrania, że narzucanie ogółowi woli mniejszości, jest nieszczęściem, z którym należy walczyć wszelką bronią. A ponieważ dzisiaj, choćby w samej oto Łodzi, czwarta część robotników chce narzucić swoją wolę trzem czwartym, więc zamiast oczekiwania i obiecywania wolności, mamy jakąś nową, a bardzo dokuczliwą formę tyranii...

Cóż więc nastąpi, jeżeli potulna dotychczas większość zniecierpliwi się? W podobnych sytuacjach prorokiem być łatwo. Ferment rewolucyjny był protestem przeciw uciskowi rządu, protestem koniecznym; więc jakaś bardzo silna, może nawet wstrętna reakcja nie wybuchnie jako protest konieczny przeciw uciskowi rewolucyjnemu?... A wówczas co się stanie ze swobodą, z zapowiedzianymi reformami, z obietnicami powszechnego braterstwa i pomyślności?

I znowu dziś, jak w minionym tygodniu, powtarzam: nie chcę nikogo sądzić, potępiać, ani upominać... Więc powiem: nie chcę nawet dalej snuć narzucających się wniosków... Zamiast tego wolę przypomnieć czytelnikowi kilka prawd już nie tylko ekonomicznych, ale filozoficznych, o których nie wolno zapominać w życiu, pod karą materialnego i duchowego bankructwa.

DŹWIGANIE KRZYŻA

ARTUR GROTTGER

W ostatniej kronice zwróciłem uwagę, że „praca“ jest jakby obowiązkiem nie tylko pojedynczych ludzi, ale całych społeczeństw, całej wreszcie natury, jest jakby źródłem wszelkiego życia, wszelkich ulepszeń, całej historii i całej cywilizacji. Dziś wskażę drugi podobny fundament natury, społeczeństw, wszelkiego życia, postępu, historii i cywilizacji. Ten drugi fundament nazywa się „ładem“ i „porządkiem“...

Na niebie, według pewnego „porządku“ planety krążą naokoło słońca, a księżyc naokoło planet. Na ziemi według jakiegoś „porządku“ następują pokłady i formacje geologiczne, a dalej, pory dnia i roku, przypływy i odpływy morza. Rośliny i zwierzęta, pomiędzy urodzeniem i śmiercią, żyją i rozwijają się znowu według jakichś porządków.

A społeczeństwo?... Nie ma pracy, nie ma zabawy, nie ma nawet odpoczynku, które nie uległyby odpowiednim „porządkom“. Na dowód wyobraźmy sobie rolnika, który chciałby się w zimie, kolej żelazną, która stosowała się do każdego podróżnika, zamiast wyjeżdżać o pewnych godzinach i zatrzymywać się w pewnych miejscach... Pomyślmy o orkiestrze, której każdy instrument grałby co innego, albo o zbiorowym tańcu, w którym uczestnicy nie stosowaliby się do planu wodzireja, albo o szkole, do której każdy przychodziłby kiedy mu się podoba i kazał sobie wykladać to, co go zajmuje w danej chwili?

Nareszcie przedstawny sobie kopalnię, w któ-

rej każdy górnik wierciłby korytarze wedle własnego widzimisię, albo fabrykę machin, w której każdy robotnik wytwarzałby koła, tryby, kotły, drągi, nie jakie wynikają z planu, lecz te, które jemu przypadają do gustu?...

Czy w podobnym społeczeństwie byłaby możliwa jakakolwiek praca i dobrobyt, czy wszystko nie skończyłoby się ruiną i czy obywatele nie musieliby przenieść się do jakiegoś szpitala wariatów, w którym nie tylko kuracya, ale nawet dozór byłby waryacki?...

Słusznie więc twierdzi dawne przysłowie, że porządek jest duszą świata, społeczeństwa i życia ludzkiego. I trzeba głów bardzo zmąconych, ażeby apostołować bezład, jako źródło powszechnej pomyślności i trzeba czasów tak chaotycznych, jak nasze, ażeby mnóstwo ludzi wierzyło podobnym teoryom.

Krótkie opisanie jakiegoś „porządku“ nazywa się „prawem“. Ciała ciężkie a nieodparte, spadają ku ziemi; ciała lżejsze od wody, pływają. Człowiek musi oddychać powietrzem normalnem, musi pić wodę i żywić się ciałami białkowatemi, węglowodanami tudzież tłuszczami. Kto się urodził, musi umrzeć i t. d. i t. d.

Oto są przykłady, „praw natury“. Prawa natury tem cechują się, że człowiek znalazł je gotowemi i musi im ulegać pod karą śmierci, a na dowód niech kto spróbuje skoczyć choćby z pierwszego piętra, albo oddychać wodą, zamiast powietrzem.

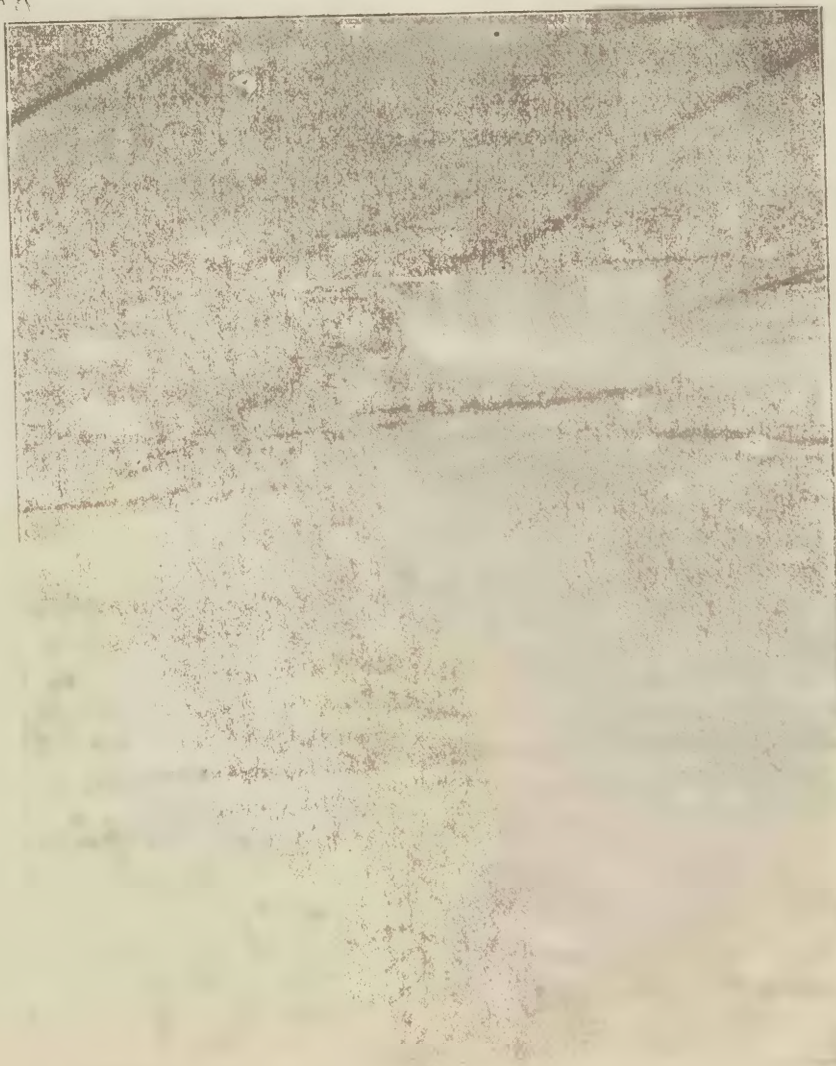
Obok praw natury istnieją „prawa społeczne“, które (o ile są rozsądnymi) zostały „odkryte“ i zaprowadzone przez ludzi a mają na celu pozyskanie osobniczej i ogólnej pomyślności.

Niektóre prawa czy porządki społeczne są łatwe do zrozumienia. Np. Gdy dużo osób stoi przed kasą, należy pilnować się kolei. Dlaczego to łatwe jest do zrozumienia?... Bo gdy znajdzie się kilka osób nie przestrzegających tego przepisu, wówczas robi się zamęt, opóźnienie w nabyciu towarów, niekiedy bijatyka. Tym sposobem każdy interesant, w każdej chwili, namacalnie przekonywa się o użytku prawa kolejności. Bywają jednak, przepisy trudniejsze do zrozumienia np. prawo własności, dzięki niepojmowaniu którego widzimy chłopów, ścinających cudze sosny, albo eleganckie damy, zrywające cudze kwiaty...

Lecz bywają też okresy czasu, w których np. użyteczność prawa własności jest bardzo jasną, bardzo zrozumiałą. Takim okresem jest nasz, w którym obecnie żyjemy. Prawo własności zostało nieco zachwiane i otóż mamy zachwiany dobrobyt mas, emigrację ludzi zamożnych, bankructwa, zmniejszenie się bezpieczeństwa i t. p.

Nasze czasy dały nam wiele innych lekcji, uwydatniły ważność wielu innych praw, choć może nie wszyscy widzą je równie jasno. Naprzykład. Strajki nauczyły, że, piekarz, rzeźnik, stróż, dołżkarz i im podobni specjaliści, są bardzo użytecznymi, że zatem trzeba ich szanować. Ferment rewolucyjny przekonał, że narody pozbawione wolności, psują się i mogą zachwiać pozornie najsilniejszym rządem. A nareszcie lokaut fabryk





OGÓLNY WIDOK WODOSPADU NIAGARY.

WIDOK TAK ZW. „HORSE SHOE FALLS”, Z POWODU PODOBIENSTWA DO KOŃSKI
PODKOWY, WIĘKSZA CZĘŚĆ NALEŻY DO KANADY.

Łódzkich chyba dowiódł nieuprzedzonym, że kapitalist jest siłą, której lekceważyć nie można, z którą nie można rozpoczynać wojny lekkomyślnie...

Chyba wystarczy tych przykładów, ażeby czytelnik zrozumiał, że społeczeństwo, jeżeli chce być względnie szczęśliwe i chce rozwijać się, musi przestrzegać pewnych „porządków” pewnych „praw”. I, że jeżeli bez porządku nie można odtańcować mazura czy kontredansa, to tembardziej i jeszcze bardziej nie można pracować przy tysiącach warsztatów, poruszanych przez motory o setkach koni parowych. „Porządek” jest więc duszą nie tylko świata, nie tylko społeczeństwa, ale także i fabryk: tkackich, żelaznych, drzewnych i t. p.

Porządki, prawa, kierujące życiem fabryk nie mogą być utworem czyjegoś kaprysu, ale muszą być, odkryte, zbadane, wypróbowane, wreszcie poprawiane w miarę potrzeb. Odkrywcami zaś tych praw nie są kapitaliści, ani robotnicy, ale genialni technicy i administratorowie. Kto więc wyobraża sobie, że: „fabrykami rządzą fabrykanci według swego widzimisię”, kto sądzi, w tej dziedzinie fabrykanci „mogą być zwyciężeni”, kto wreszcie przypuszcza, że robotnicy mogliby rządzić fabrykami na jakiś inny sposób, ten dowodzi, że nie rozumie ani natury, ani życia, ani pracy... Fabrykami bowiem, powtarzam to z naciskiem, nie rządzą ani kapitaliści ani proletariusze, ale rządzą, „prawa”, prawa techniczne, ekonomiczne, społeczne, nawet polityczne, które ludzie odpowiednio zdolni odkrywają i do praktyki stosują.

Prawda, że przy stosowaniu tych praw zdarzają się, rozmaite nadużycia, że podpozorem „praw” kapitalista często wyzyskuje pracę, majster okrada robotnika, bałamuci mu żonę lub siostrę, robotnik psuje towar lub maszynę. Usuwać te nadużycia, ulepszać stosunki trzeba i to wreszcie robi się ciągle... Ale w żadnym razie nie można „praw” negować, ani zastępować ich samowolą kapitalistyczną czy proletaryacką, ani rządzić według czyjegoś „widzimisię”...

Istnienie praw pociąga za sobą istnienie „władzy kierowniczej”. Naprzykład. Prawo odkryte przez technikę uczy, że bardzo duży ciężar może być pomszony tylko przez kilkunastu ludzi, bo jeden człowiek nie da rady. Cóż więc robią owi ludzie? Przywiązują kilkanaście sznurów do ciężaru, biorą za ich końce i — w pewnej chwili — ciągną sznury...

Chwilę taką musi ktoś oznaczyć, musi ktoś zakomenderować a ten ktoś w danym wypadku będzie „władzą”, której trzeba słuchać i jej rozkaz punktualnie wypełnić, gdyż inaczej nie otrzyma się skutku użytecznego...

Imaginacje rozczochrone nie znoszą władzy, a niekiedy i głoszą, że — można, że należy obchodzić się bez władzy, a niekiedy i głoszą, że — można, że należy obchodzić się bez władzy, albo obdarzać nią — „kogośkolwiek”, w imię wszechludzkiej równości. Dla nawrócenia takich panów należałoby posłać ich na kilkudniową wycieczkę w góry i dać im za przewodnika juhasa czyli pastuchę... Wówczas, za nim doba upłynie, przekonają się, że będą musieli iść wolniej lub prędzej, zatrzymywać się i odpoczywać, schodzić na czworakach albo zsuwać się na plecach nie wtedy, kiedy im się tak podobą, ale wtedy, gdy im każe pastuch — przewodnik!...

A jaki z tego wniosek?... Że przewodnikiem, władzą, rozkazodawcą nie może być „ktośkolwiek”, ale — człowiek znajdujący się na rzeczy i niekiedy specjalnie obdarzony uzdolnieniami. Przykładem będzie choćby sternik, kierujący na wzburzonym morzu szalupą, sternik, który nie tylko musi znać odpowiednie manewry sterem i żaglami, nie tylko znać pobliskie brzegi, ale jeszcze musi mieć bystre oko, odwagę i energię umiejącą zapanować nad wylekzionymi podróżnikami.

W fabryce rolę sterników spełniają dyrektorowie, a więc ani „obrośli w sadio kapitaliści”, ani — Bogu ducha winni robotnicy. Dyrektorami

muszą być ludzie nie tylko fachowo ukształceni, ale — specjalnie zoolni, bystrzy, spokojni, czasem bardzo odważni i ryzykowni, właśnie jak ów sternik na morzu...

A teraz przejdźmy do sensu moralnego.

Ponieważ wszystkie prace ludzkie mają na celu pomyślność, tudzież zdrowy rozwój społeczeństwa i ludzi, więc przemysł tkacki, żelazny czy rolny nie może być źródłem rozpusty dla kapitalistów, ani katogą dla pracowników. Robotnicy więc mają i po sto razy mają prawo upominać się, aby ich nie tylko nie dręczono i nie wyzyskiwano, ale ażeby dano znośne warunki pracy i bytu. To im się należy, to jest ich świętym przywilejem.

Wszystkie jednak reformy i ulepszenia w bycie robotników, zdobywane być mogą tylko w imię „porządku” i „praw”, od których zależy istnienie i rozwój przemysłu w ogóle, a pojedynczych gałęzi w szczególności. Praw tych nie mogą narzucać przemysłowi ani kapitałowi, ani robotnicy; prawa te bowiem wynikają z natury rzeczy, z natury zajęć.

Nareszcie „władza” nie może być ani monopolem bogaczy, ani przywilejem osób energicznych i ambitnych, ale jest i powinna być obowiązkiem ludzi — wybornie znających daną gałąź pracy, obdarzonych pewnymi specjalnymi zdolnościami i... bardzo etycznych... Celem zaś zarówno „praw” jak i „władzy” jest wprowadzenie takiego „ładu” czy „porządku”, który zabezpieczyłby pomyślność i rozwój nie tylko kapitalistów, ale i proletariuszów, nie tylko pracujących w danej dziedzinie, ale i całego społeczeństwa.

Gdzie miejsce ładu zajmuje samowola a miejsce praw — kaprys kapitalistów, albo gniew proletariuszów, albo sentymentalizm dziennikarzy, tam powstaje zamęt, psucie się społeczeństwa i upadek narodu. Gdzie zaś wytworzył się taki stan chorobliwy, jedynym ratunkiem będzie — powrót do wyteżonej pracy i uczciwego porządku...



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Policyjna gospodarka w naszym kraju, tudzież brak swobody, wyrodziły mnóstwo gorzkich owoców. A jednym z nich jest nad wyraz smutne i powszechne zjawisko, że, nawet dobre instynkta jednostek wychodzą na złe społeczeństwo!...

Naprzykład skłonność do ofiar, jest zaletą jakby wrodzoną wszystkim ludziom. Ofiarnymi są: Amrykanie, Angicy, Francuzi, Niemcy, Rosyanie i Polacy, a jednak skutki tej cnoty są bardzo rozmaite. Obywatele Państw, w których były dozwolone stowarzyszenia; wciąż mają na pamięci wszystkie ważniejsze potrzeby społeczne. I dlaczego?.. Bo im zawsze ktoś o nich przypomina. Tu, wiadać, sztyl ochronki, i tam aisz wzywający do składek na ofiary jakiejś katastrofy; owdzie filantrop czy filantropka zbiera datki na przytułek dla starców, czy na letnią kolonię dla dzieci!...

Ale u nas, ani składek nie było wolno zbierać, ani zakładać instytucji kulturalnych; więc ktoś korzystał z popędu do ofiarności?.. Naturalnie—łachowi żebracy!...

Weźmy choćby składki na opłatę wpisów za młodzież uczącą się. Czy kto zbierał je systematycznie, dzień po dniu, godzina po godzinie?.. Boże uchowaj! O wpisach, na ogół biorąc, milczało się u nas dzień po dniu, godzina po godzinie!.. I dopiero, na tydzień przed ostatecznym terminem, gazety podnosiły krzyk wniebogłosy: „ratujcie młodzież, której grozi wydalenie ze szkoły, jeżeli nie zapłaci wpisów!...“

No, i zbierano w ten sposób kilka tysięcy rubli, spychano najniższe potrzeby i.. zapomniano, że zanim upłynie pół roku, znowu trzeba będzie odwołać się do ofiarności publicznej.

Tak mniej więcej działo się z każdą potrzebą ogółu: wydawało się pieniądze, dopóki były. A gdy zobaczono pustki w kasie, odwoływano się do publiczności, bądź za pomocą sentymentalnych odczów, bądź za pośrednictwem rautów, koncertów, czy balów!...

A tymczasem wzdłuż ulic, nieomal pod każdą latarnią, stały i mnożyły się brudne diady, drżące baby, sztuczne kałeki, kobiety z wynajętymi dziećmi, nieprawdopodobni oberwańcy, polując na publiczną ofiarności!.. A ponieważ ten gatunek myślicieli odznacza się niepokonaną wytrwałością, więc, największa część ofiar szła i jeszcze idzie, nie na cele publicznego dobra, lecz na wzmocnienie, na powiększenie, licznych, jak piasek w morzu zastępców żebraczych, tego trądu społeczeństwa.

Uczciwa niedola marła z głodu, zużyty pracą robotnik, dogorywał w suterynie, zdolny młodzieniec nie miał czem płacić wpisu, ale bezczelne dziady uliczne zarabiała, po parę rubli dziennie. I dziś doszliśmy już do tego, że chyba więcej posiadamy żebraków, aniżeli Neapol albo Konstantynopol!...

Błogosławiona cnota ofiarności zatruła życie społeczne!..

Jeden bodaj człowiek: mecenas Osuchowski, jeżeli zaopiekował się jakąś instytucją: czy to Bankiem ziemskim w Poznaniu, czy szkołą w Cieszynie, czy Macierzą szkolną, albo Seminarjum Nauczycielskiem u nas, wypełniał przyjęte obowiązki nie tylko uczciwie, ale porządnie i systematycznie. Gromadzenia funduszków nie odkładał do ostatniej chwili, lecz zbierał je ciągle i wytrwale, jak gdyby skończył akademię angielską filantropii; pieniądze składał do Banku, a rachunki prowadził najdrobiazgowiej. Dzięki czemu, instytucję protegowaną przez mecenasa Osuchowskiego w każdej chwili mogła wyliczyć się z każdego

grosza. Kto dał?... ile dał?... w jaki sposób fundusze zostały użyte... na wszystko to istnieją dowody, nieledwie świadkowie!.. Podobna systematyczność, nawet drobiazgowość, wielką jest zaletą u nas, którzy bardzo często lubimy załatwiać rachunki w szlafroku i pantoflach, ale bez papieru i pióra.

Dziś mam do zanotowania pomyślny wypadek. Oto, bezładna choć znaczna ofiarności nasza na wpisy szkolne, nareszcie ujęta zostanie w jakieś ramy, w jakiś porządek, dzięki niedawno zatwierdzonej ustawie, „Towarzystwa Wpisów Szkolnych“.

Doskonała to instytucja! Ptzy każdej szkole, przy każdym wydziale uczelni wyższej, może utworzyć się „Koło szkolne“, którego członkowie, nie na tydzień przed wpisami, ale ale przez cały rok, zbierać będą fundusze, za pomocą bądź drobnych i jednorazowych ofiar, bądź stałych składek, zapisów i darowizn, odwołując się w miarę potrzeby do koncertów, odczytów i t. d.

Zebrawszy pieniądze, Towarzystwo używać ich będzie na dozarczanie książek, opłatę wpisów szkolnych a nawet na wysyłanie młodzieży za granicę, pilnie bacząc, ażeby zapomogi dostawały się nie tylko najuboższym, ale zarazem—najzdolniejszym i najlepszym. „W każdym razie—mówi ustawa—należy dawać pierwszeństwo uczniom pilnym i przez kolegów cenionym“.—Opiekun klasowy ma zbierać wiadomości nie tylko o majątkowym położeniu rodziny czy opiekunów ucznia, ale także—ma zasięgać opinii jego kolegów i Zarządu Szkoły“ o nim samym.

Jest to zasada, jeżeli nie nowa, to w każdym razie lepsza od owej, według której o zapomogach dla uczniów rozstrzygał inspektor i pedele.

Jest też w ustawie Tow. wpisów szkolnych szczegół naprawdę nowy. „Każdy—mówi ustawa—kto korzysta z pomocy Towarzystwa, musi złożyć deklarację, że—zwróci komitetowi Towarzystwa otrzymaną zapomogę. Po dojściu do pełnoletności każdy kto przed tem otrzymał zapomogę, powinien zgłosić się do Towarzystwa i porozumieć się co do terminów i rat spłaty swego zobowiązania“...

Cele Towarzystwa są prześlizne i zasługują na poparcie ogółu. W zbieraniu funduszków na wpisy Towarzystwo usuwa przypadkowość a zaprowadza ciągłość; zamiast darowizny wprowadza zasadę pożyczki; uruchamia mnóstwo osób; w młodzieży nie tylko wzmacnia koleżeństwa, ale zaszczerpia poczucie honoru, poczucie obowiązków społecznych i myśl o dalszej przyszłości.

Serdecznie życzymy Towarzystwu powodzenia, nie wątpiąc, że je zyska. Tembardziej, iż składki nie są wielkie, gdyż członek rzeczywisty płacić ma 3 ruble a członek czynny tylko *pół rubla* rocznie!..

W ostatnich czasach kwestya opłaty szkolnej stała się źródłem dość oryginalnego zatargu. Oto Szkoła Handlowa Niedzielną, w której dotychczas uczono prawie bezpłatnie (pobierano bowiem jednorazowo 10 rubli wpisowego), w ostatnich czasach zażądała od swoich wychowalców—opłaty rocznej, w kwocie 10 rubli dla niższych a 15 dla wyższych klas. W odpowiedzi na co uczniowie oświadczyli, że—płacić nie będą!..

— Jakże to—mówią do Zgromadzenia Kupców.—Szkoła nasza jest cechową, a więc powinna być darmą!.. Wychowało się w niej wiele pokoleń praktykantów kupieckich, nic nie płacąc, więc dla czegoż my mamy płacić?... I co zostałoby nam, którzy np. zarabiamy po pięć rubli miesięcznie,

gdybyśmy za szkołę musieli płacić 10 albo 15 rubli rocznie?

— Niech płacą nasi pryncypałowie—odpowiada szkoła.

— Oni zapłacą, ale nam strąca z naszych lichych pensyjek!.. I czy godzi się, ażeby poprzednia szkoła, rosyjska, była bezpłatna a dopiero polska okładała nas podatkiem, albo odpędzała od siebie?..

Spór wygląda dziwnie i przykro. Na pierwszy rzut oka—uczniowie zdają się mieć słuszość, po bliższem jednak wpatrzeniu się w sprawę... szkoła także ma słuszość!.. Nie mają tylko racyi ci panowie kupcy, którzy dotychczas nie płacili na szkołę i dzisiaj nie chcą płacić!..

Przedewszystkiem podkreślamy, że Zgromadzenie Kupców dbało i dba o oświatę młodzieży, sposobiąc się do handlu. Założona przed pół wiekiem Szkoła Handlowa Niedzielną kosztowała z początku tylko 2000, rubli rocznie, niemniej—jak mówi strawozdanie—„oddawała handlowi kraju usługi zuane, wyrabiając całe zastępy pomocników handlowych, pracowników snmiennych, tworzących ościeconą armię wykonawców, z pomiędzy których wielu z biegiem czasu zostało poważnymi kupcami“.

Z początku liczba uczniów tej szkoły nie była zbyt wielką, z czasem jednak phczęła szybko wzrastać. Szkoła bowiem utrzymywana z fundusów i składek Zgromadzenia Kupców, chętnie przyjmowała nawet i takich praktykantów, którzy nie pracowali u członków Zgromadzenia. Na ogólną liczbę, prawie 1000 uczniów więcej niż $\frac{3}{4}$ praktykowało u kupców do zgromadzenia nie należących, a tymczasem roczny koszt szkoły z 2,000 rubli podniósł się do 17,000!..

Zaszedł jeszcze inny wypadek. Zgromadzenie, chcąc podnieść poziom oświaty handlowej, otworzyło dwie nowe szkoły handlowe: trzyklasową i siedmioklasową, obie płatne, ale bynajmniej nie pekrywające kosztów. Dość powiedzieć, że na pensye nauczycielskie wychodzi tam 11,000 rubli miesięcznie (z czego 1,200 rubli miesięcznie przypada na samą szkołę niedzielną).

Aby podoląć rozchodom, Członkowie Zgromadzenia obłożyli się nowym podatkiem: po 75 rubli rocznie od instytucji handlowych i przemysłowych większych i po 20 rubli od instytucji mniejszych. Opłaty te przynosiły około 115,000 rubli rocznie i nie tylko pokrywały budżet wszystkich trzech szkół handlowych, ale jeszcze dawały znaczną nadwyżkę. Ośmielone tem Zgromadzenie postanowiło dla swoich szkół wybudować gmach własny, na co zaciągnięto półmilionową pożyczkę a co pociąga za sobą około 40,000 rubli nowych wydatków na procenty, amortyzację, konserwację gmachu i t. p.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie—wojna japońska, tudzież następujący po niej ferment rewolucyjny i stagnacja przemysłowo-handlowa, skutkiem czego dochody szkół uległy znacznemu zmniejszeniu. Zamiast nadwyżki, pokazały się niedobory, dla pokrycia których uchwalono—pobierać coroczną opłatę od uczniów szkoły niedzielnej.

Położenie niestety! jest bardzo jasne: każda instytucja potrzebuje przedewszystkiem—pieniędzy na swoje wydatki; a gdy więc nie otrzyma pieniędzy, musi zniknąć!.. I dzięki takim kombinacyom, Szkole Handlowej Niedzielną grozi zamknięcie, ponieważ Zgromadzenie Kupców już nie znajduje nowego źródła dochodu, uczniowie płacić nie mają z czego a ich, nienależący do Zgromadzenia pryncypałowie, płacić nie chcą!..



Zagrożeni przerwą w naukach, jeżeli nie całkowitem wydaleniem, uczniowie proponują, ażeby: całe kupiectwo obłożyć podatkiem, rozumie się dobrowolnym na rzecz oświaty handlowej. Jak tu jednak obłożyć „dobrowolnym“ podatkiem ludzi którzy np. nie poczuwają się do żadnych dobrowolnych obowiązków?...

Kuryer Warszawski inny podał projekt, może i praktyczny. „Dla sumy 10,000 rubli—mówi—stanowiącej deficyt szkolny, starsi kupiectwa nie postawią chyba sprawy na ostrzu noża. Dobrowolne ofiary na cele szkolne bez trudności mogłyby zgromadzić fundusz potrzebny, dotychczas bowiem instytucje i firmy większe są swosunkowo nader nisko opodatkowane... Wielko Bank z miliardowymi obrotami, lub, potężna fabryka zatrudniająca kilka tysięcy robotników, ponoszą roczny ciężar na szkoły—75 rubli; instytucje współdzielcze z budżetem wydatków 25 do 30 tysięcy rubli płacą

na szkoły handlowe tylko 20 rubli rocznie... Jesteśmy przekonani, że wystarczy odwołać się do uczuć obywatelskich zarządów tych instytucji, aby pobudzić je do większej ofiarności na cele tak doniosłe jak szkolnictwo, szczególnie handlowe“...

W innym zaś miejscu *Kuryer Warszawski* mówi: „Stajemy po stronie uczniów, broniących charakteru bezpłatności szkoły; nie godzimy się jednak pod żadnym warunkiem na groźby strajku szkolnego, jako na środek terrorystyczny, który, w danym wypadku, nie miałby najmniejszej racji bytu“.

Na poglądy *Kuryera Warszawskiego* zgadzamy się, ponieważ w naszych oczach, uczniowie szkół niedzielnych należą do najsympatyczniejszych grup młodzieży. To nie są pieszczochy fortuny, którym dostarczają wszelkich ułatwień, byle tylko uczyli się. To młodzież uboga, ciężko pracująca, w obowiązku, która tak łaknie wiedzy, że na uau-

kę szkolną wykrada sobie czas—inny ludzom służący do odpoczynku: w niedzielę od 9 rano do 2 po południu, we wtorki i czwartki od 7 do 9 wieczór. Taka młodzież chyba warta, ażeby ją uwolniano od opłaty za naukę...

I zapewne osiągnie się to, ale... nie na drodze „strajków“, czy jakichkolwiek demonstracji. Pamiętajmy bowiem, że jeżeli młodzież handlowa zasługuje na szczerą sympatię, to Zgromadzenie Kupców i Zarząd Szkoły wart jest nie mniej szczerego szacunku za swoją ofiarnością i pracę; jeżeli młodzież składa dowody szlachetnego zapału do nauki, to znowu Zgromadzenie Kupców składa dowody hojności i troskliwości o jej losy...

Więc Wy starsi zapewnijcie młodym naukę darmo, a Wy młodzi dajcie swoim starszym przyjaciółom—szacunek i miłość, jaka im się niewątpliwie należy. W tym stosunku na nieprzychylnę objawy nie ma, nie może być miejsca.

SYN ZIEMI.*)

Syn ziemi i Syn ludu, takie imiona noszą dwie główne postacie dramatu Juliusza Słowackiego, którego plan, opracowany dokładnie, znajduje się w przebogatej i nieocenionej dotąd spuściźnie rękopiśmiennej poety. Zachowany fragment zawiera, niestety, tylko akt trzeci, czwarty i piąty; ten ostatni prawdopodobnie w całości.

Treść każdej sceny podana mniej lub więcej wyczerpująco, sceny i odstępny bieg w nieprzerwanym porządku. To, co nas doszło, tworzy zamkniętą w sobie całość. Gdyby nie nadpis: „akt IV“ po scenie czwartej, i następnie „akt V“ po scenie ósmej aktu czwartego, można by nabrać przekonania, że mamy do czynienia nie z fragmentem, lecz z planem całkowitym.

Rzecz omawiana pojawiła się w druku w tygodniku poznańskim *Warta*, z roku 1883, Nr 454. Narazie przeszła bez echa wśród wielu innych ogłoszonych tamże po raz pierwszy utworów poety.

Dzisiaj, kiedy nadszedł czas zdawania sobie sprawy z dorobku poetyckiego, jaki doszedł rąk naszych po Juliuszu Słowackim, nowy ten szkic dramatyczny powiększa korzystnie dział jego utworów scenicznych, wzmożony w latach ostatnich przez „Samuela Zborowskiego“ i „Zawiszę Czarnego“.

Nie to ale mamy jedynie na względzie, podnosząc na tem miejscu zapomniani i przeoczony fragment.

Jest on dla nas czemś więcej, niż nowym utworem poety; jest jego głosem z poza grobu, który jakby teraz dopiero rozlega się i jawi w powietrzu i do chóru głosów dzisiejszych dorzuca swój, takiej wiary pełny i jasności, że w duszy obecnego pokolenia brzmi on, jak ciężki wyrzut, jak bolesne ostrzeżenie.

W scenie pierwszej, bez oznaczenia aktu, „Syn ziemi zwołuje na radę przyjaciół. Schodzą się: Syn polityki, Syn arystokracji, Syn komunizmu i t. d. Pytają się, jaki sposób

zwalenia potęg, istniejących na ziemi? Syn ziemi odpowiada ostatecznie, iż tajemnicą przysiężnego zwycięstwa jest *zdjęcie z krzyża Chrystusa*. Wszyscy go wyśmiewają, nazywają igrzyskiem halucynacji szatańskich i odchodzą, każdy ze swoją partią pracować.“

Na tem kończy się scena pierwsza. Owo „zdjęcie z krzyża“ (słowa, podkreślone przez samego poetę) staje się myślą, poruszającą całym utworem.

Następuje—(cytujemy dosłownie):

SCENA II.

Syn ziemi sam. Słyszysz głosy świętych. Każą mu szukać *Syna ludu*.

SCENA III.

Syn ludu w nędzy, na podłym barłogu, zbity i okryty sinością na ciele, szród trzódki swojej wychudłej, w oborze z psem pasterskim u nóg, *modli się* (modlitwę ludu napisz).

SCENA IV.

Syn ziemi wchodzi, widzi *Syna ludu*. Świątość w oborze, pokorę i prostotę i śpiew święty; myśli, że Chrystus; przemawia do niego, że przyszedł go zdjąć z krzyża. Chłopiec wstaje: ja, mówi, nie Chrystus, ale na imię Chrystusa mocen wstać zdrowym i zwyciężyć świat. Zapytany o imię, powiada: nazywam się Miliony. Szn ziemi czuje zwycięstwo.

Dalsze sceny mają nadpis: akt IV. Czy to następstwo jest bezpośrednie, czy zatem początek jest zdefektowany, odpowiedzieć trudno; redakcja *Warty* nie podaje żadnych objaśnień o stanie autografu.

Akcyą przenosi się na dno piekieł, występuje zagrożony Lucifer i jego dwór.

AKT IV.

SCENA I.

Szatany. Lucifer łączy ministerium. Powiada im, że Syn ziemi z Synem ludu stoją milionowym obozem na *stepie zmarłych*. Piekło drży. Chrystus ma być z krzyża od-

ćwiekowany tej nocy. Każe przyprowadzić *Syna Ziemi*, a minister jeden po drugim ma go oszukiwać.

SCENA II.

Syn ziemi wśród błyskawic. Dziwi się, że nie jest w swoim obozie wśród milionów. Wchodzi: naprzód *Szatan Minis'er* polityki. Prosi go, aby nadaremnie krwi Chrystusowej, wyrwijąc zeń gwoździe, nie rozlewał, bo polityka bez rozlewu krwi zdejmie Pana z krzyża. Dowodzi, że jej interesem jest, aby Chrystus żył, że z wszystkimi królami prowadzi o to korespondencją, że wszyscy już się prawie na to zgodzili. Nareszcie podnosi tonu i powiada Synowi ziemi, że będzie winien wszelkiej krwi, nadaremnie rozlanej. Syn ziemi trwa. Szatan Polityka grozi mu i odchodzi.

SCENA III.

Szatan Minister arystokracji. Bije się w piersi i przysięga, że zawsze w przeszłości opiekował się wiarą w przyszłe zmartwychwstanie Chrystusa i powołał kapłanów, opierał się na nich, będąc panem narodów. Teraz Synowi ziemi obiecuje kapłaństwo świata i udział przyszłej władzy, byle Chrystusa nagle do życia nie wywoływał.

SCENA IV.

Szatan komunizmu. Przystępuje do Syna ziemi jako brat. Ja, powiada, także myśle o uwolnieniu z więzów Pana i jego Milionów, lecz ty dziecko jesteś. Miliony te chcą jeść, ty je wodzisz gdzieś obozem po stepie zmartwychwstania i szukasz mogiły Pańskiej z Ukrzyżowanym, a tu trzeba tych ludzi siekierami uzbroić i prowadzić w kraj, gdzie stodoły nagromadzone, gdzie kupcy nagromadzili złota, srebra, brylantów. Praktycznym bądź, bo cię uczynię śmiesznym w twoim własnym obozie, jeśli się ze mną nie połączysz i nie uznasz, że w ewangelii jest nauka równości cielesnej.

SCENA V.

Szatan Ekonomista. Drwi z poprzedniego Szatana, a Synowi ziemi powiada: iż trze-

*) Plan do dramatu—Juliusza Słowackiego.



tycznej z poprzednich miesięcy, padł mu w objęcia:

— Panie Feliksie! W dniu tak uroczystym!..

Przyjęto go serdecznie i bez wahania. Ktoś mu nawet zaproponował:

— Może kolega zastąpiś Hycę w nieniesieniu sztandaru? Potem was znowu zlużujemy.

— Ach, dobrodzieju kochany!

I Budzisz ujął mocno drzewiec w garście, podniósł oczy ku górze miłośnie, a gdy postąpił kilka kroków, uczuł się urodzonym chorążym tego znaku. Szedł miarowo, w upojeniu, służąc całemu sercem i siłą. On to był, który trzymał sztandar pod balkonem w Alei Ujazdowskiej, podczas przemowy Henryka Sienkiewicza. On to skłonił chorągiew, przechodząc w pobliżu sieni Opatrzności. On ją niósł jeszcze na Marszałkowskiej i wyprasał się, aby mu jej nie odbierano, pod pozorem zwolnienia od ciężaru. Niósłby ją tak całe życie...

Pochód płynął dalej przez miasto coraz wspanialej, rozrzucawszy sztandary wzdłuż rzeki swej nieprzejrzanej. Hułce nie drgnęły w szyku ani w odstępach. Tylko głos pieśni spotężniał, liczniej rozbrzmiewały okrzyki. Serca ośmieliły się i urosły, a zarazem dostrzegły się do chóru, nie zamąconego żadnym fałszem. Jakby Warszawa mustrowała się przez pokolenia na ten dzień jedyny zgody, zaczerpniętej z czystej krynicy wspólnego umiłowania.

O zmierzchu pan Apolinary powrócił do domu i ręką, drżącą od wzruszeń i wysiłku, tak zaczął list do żony:

— Ach! moja Tekluniu.

KON EC.

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Do ciebie i dla ciebie piszę obecną kronikę, młody przyjacielu, który jesteś uczniem klasy siódmej, szóstej, piątej... wreszcie, jakiegokolwiek, byleś miał cierpliwość przeczytać, zrozumieć i odczuć to, pod takim adresem powiedziano.

Wiem, mój przyjacielu, że od szeregu lat zajmujesz się polityką i troszczysz o przyszłość kraju. Więc bez ogródek i wstępów powiem ci, że położenie nasze: naszego kraju i narodu jest nie tylko bardzo ciężkie, ale wprost, niebezpieczne. Aby zaś możliwe jasno i krótko przedstawić ci naturę niebezpieczeństwa, treszczę w kilku słowach broszurę p. Bolesława Koskowskiego p. t. „Niebezpieczeństwo niemieckie“.

Dwa są źródła tego niebezpieczeństwa, twierdzi autor. Najprzód Niemcy bardzo prędko mnożą się i dla przybywającej ludności potrzebują coraz więcej ziemi, coraz nowych terytoriów. Po wtóre, Niemcy olbrzymio pracują, olbrzymio wytwarzają we wszystkich gałęziach ludzkiej działalności dla swoich wytworów, więc muszą mieć coraz nowe rynki zbytu.

„Nowe zastępy krzyżowców—mówi p. Koskowski, nieprzerwanie ciągną z Niemiec na południe, wschód i zachód; opanowują ziemie nadgraniczne, stwarzają przemysł, dostarczają kolonistów, mężów stanu i pieniędzy, budują koleje, stawiają hotele i zakładają banki; we wszystkich częściach świata, od starych siedlisk kultury do ziem dziewiczych Afryki i Ameryki, wylądowują rokrocznie grupy Niemców i zagospodarowują się

tak sprawnie, jak we własnej ojczyźnie... Ten pokojowy najazd niemiecki, przemysłowy i osobowy, jest nieskończenie niebezpieczniejszy od najazdu wojennego“...

Ponieważ nie wątpię, że przeczytasz broszurę p. Koskowskiego, więc dowiesz się z niej bliższych szczegółów o naturze i rozmiarach niemieckich tryumfów. A także zrozumiesz: dlaczego prędzej czy później, cała ta lawina osobowa i przemysłowa niemiecka może zwrócić się do naszego kraju i, opanować nie tylko przemysł i kopalnie, co już stało się do pewnego stopnia, ale jeszcze rzemiosła, handel, finanse, a nawet... rolnictwo...

Bo nie tylko nasi kapitaliści nie umieją, tak dobrze, jak Niemcy, obracać swoimi kapitałami; nie tylko rzemieślnicy i robotnicy niemieccy pracują dokładniej i produkcyjniej, a więc taniej, aniżeli nasi, nie tylko ukształceni Niemcy silniej wpływają na rozwój cywilizacji swego narodu, aniżeli ukształceni Polacy, ale nawet nasi rolnicy, z których tak dumni jesteśmy, stoją niżej od niemieckich, a tembardziej od zachodnio-europejskich rolników... Na dowód zaś przeczytaj parę liczb poniższych, które powtarzam za uczciwym, pełnym obywatelskiego ducha *Dziennikiem Powszechnym*.

Otóż morga ziemi wydaje pudów:

	Żyta.	Pszenicy.
W Belgii	230	236
„ Niemczech	175	186
„ Królestwie Polskiem 103		130

Co się tyczy bydła rogatego to, na tysiąc midszkańców ludności rolniczej, przypada go:

W Danii	1224 sztuk.
„ Niemczech	751 „
„ Królestwie Polskiem 326 „	

Czy wobec tych liczb mamy prawo nazywać się „narodem rolniczym“?... Ani przemysłowym, ani handlowym, ani naukowym, ani rolniczym!... Jesteśmy zacofani i nierozwinięci, czyli: pod żadnym względem nie przygotowani do odparcia ekonomicznego najazdu Niemców...

W czym leży tajemnica powodzenia Niemców?... Przedewszystkiem w ich olbrzymiej energii, ale nie wybuchowej, tylko spokojnej i wytrwałej. Oni nie urządzają tłumnych manifestacji, efektownych strajków bez powodu, nie spadają, jak błyskawica na kasy, nie rzucają bomb i nie umierają na szafotach... Oni przedewszystkiem pracują... pracują i pracują... i uczą się i posługują się w swoich pracach odkryciami i wynalazkami uczonych a nawet samymi uczonymi... Oni wciąż zakładają mnóstwo szkół i odczytów fachowych, mnóstwo laboratoriów chemicznych, fizycznych i agronomicznych, mnóstwo muzeów i pism...

„P. Lair — mówi autor — tak charakteryzuje właściwości rasy niemieckiej: cierpliwość, skromność, rozum w pomysłach, metoda w postępowaniu, giętkość umysłowa, łatwość przyswajania sobie języków obcych, dobrych obyczajów i zwyczajów“...

Mój przyjacielu!... na każdym kajecie, na każdej książce, na każdej ścianie wypisuj sobie te zalety niemieckiego charakteru i pamiętaj, że one stanowią broń Niemców w walce przeciwko nam. I jeszcze pamiętaj, że, jeżeli my nie posiadziemy tej udoskonalonej broni życiowej, napewno przegramy walkę i albo staniemy się niewolnikami Niemców, albo... będziemy musieli opuścić ten kraj i... rozplnąć się w jakiejs innej, nie naszej, narodowości i cywilizacji...

Takie grozi nam niebezpieczeństwo niemieckie.

Wyborną, pierwszorzędną umagą wypowiedział p. Koskowski w następującem zdaniu: „Niemcy nie mają za wiele geniuszu wynalazczego, lecz umieją obserwować i z nauk doświadczenia cudzego korzystać“... Umieć obserwować... co to za klucz do wszelkich odkryć i wynalazków, do wszel-

kich postępów... Umieć obserwować!... A my właśnie naieźmy do narodów, które obserwować nie umieją, które wolą fantazyować i nie uczą się nietylko z „cudzego doświadczenia“ ale nawet z własnych, krwawych doświadczeń...

Bo tylko rozważmy: jaka istnieje różnica między umysłowością średnio ukształconego Niemca i — Polaka? Niemiec wprawdzie zajmuje się poezją, teatrem i innymi sztukami pięknymi ale... nie przeważnie... Przeważnie interesuje go chemia, elektrotechnika, budowa lokomotyw, dróg żelaznych i okrętów, jeografia i statystyka, języki nowożytne, ekonomia społecza, handel i wszelkiego rodzaju rachunki... A co lubi Polak?... Poezyę, powieść, teatr, coś, co nazywa historią, no — i wszelkiego gatunku rozrywki... Doszliśmy już do tego stopnia upadku, że nietylko w dziedzinie sztuki, ale w filozofii, socjologii, w polityce, ba!... w naukach przyrodniczych cytujemy, jako najwyższą powagę, zdania... poetów...

Otóż, przyjacielu, taki stan rzeczy, jeżeli niema doprowadzić nas do umysłowego i materialnego bankructwa, musi się zmienić. My, Polacy, musimy nie tylko nauczyć się pracy silnej i wytrwałej, ale jeszcze musimy nauczyć się: *patrzeć i myśleć*... Dotychczas bowiem patrzymy na świat i myślimy — beładnie, to jest: bez celu, bez planu, bez metody...

Czy przeciw tego rodzaju chorobie istnieją lekarstwa?... Owszem, są. Mówiłem kiedyś o ry sunku, jako o nauce i sztuce, która przyzwyczają nas do porządnego patrzenia. Tu powiem, że nauki przyrodnicze, przyzwyczajają człowieka wogóle do perządnej obserwacji, byle... chciał z ich wskazówek korzystać...

Za moich czasów szkolnych nauki przyrodnicze, jak: Zoologia, Botanika, Mineralogia nie mogły oddać tych co dziś usług, ponieważ wykładano je... Boże odpusć!... Botaniki i zoologii uczyliśmy się z książki „ztań dotąd“, nie widując nie tylko roślin i zwierząt, ale nawet rysunków. Że jednak dzięki uczęszczaniu na „wagusy“ człowiek stykał się z miejscową florą i fauną, więc z Botaniką i Zoologią było jeszcze pół biedy. Całą biedę stanowiła Mineralogia, nauka o kamieniach, którą nam wydyktowano na dwu lub trzech arkuszach i absolutnie nie pokazywano nic... Uczyleś się na pamięć o anhydrytach, felpatach, gnejdach i granitach, ale nie poznałbyś ich, gdybyś się z nimi spotkał. To też „natura“, opisywana w szkole, przedstawiała się nam w formie grubszych i cieńszych książek, oprawnych w płótno albo półskóre!...

Za „nassych czasów“, mój przyjacielu, nawet popularnie wyłożonej Mineralogii nie było. Podczas gdy wy, dzisiejsi, macie aż trzy, jeżeli się nie mylę, popularne kursy i wspaniałą „Podręcznik Mineralogii“ G. Sschemaka w tłumaczeniu Józefa Morozewicza. A ponieważ Mineralogia, nawet popularnie wykładana, uczy, co najmniej, obserwować“ więc pragnąłbym — zachęcić cię do tej nauki.

Czas na nią znajdziesz, byleś przestał chodzić na wiece, w celu „uświadczenia się“ o grzechach mniej lub więcej śmiertelnych. Nie napotkasz także zbyt wielkich trudności, rażej ułatwienia, jeżeli przestudujesz nie jakąś pojedynczą książkę, ale kilka, o których ci powiem.

Oprócz strony kształcącej, doskonalącej umysł człowieka Mineralogia posiada parę i innych zalet: jest nauką praktyczną i — zbliżając nas do natury, uszlachetnia duszę.

Jest praktyczną. Z pośród bowiem przedmiotów, które zajmuje się Mineralogia, czyli — z pośród minerałów i skał — pochodzą nie tylko klejnoty jak: dyamenty, szafiry, rubiny, szmaragdy ale jeszcze tak użyteczne materiały jak: rudy żelaza, miedzi i innych metali, węgle kamienne,

gliny, wapna, marmury i tym podobne, na których opiera się cywilizacja.

Dalej—Mineralogia i spokrewnione z nią Geologia pozwala człowiekowi spojrzeć w najgłębsze zakątki ziemi i uchylić cząstkę jej wielkich tajemnic. Dzięki tym naukom wiemy, że skorupa ziemska, tudzież w niej i na niej znajdujące się minerały, nie są bynajmniej „rzeczami martwymi”, lecz żyją i zmieniają się, choć w bardzo długich okresach czasu. Na powierzchni ziemi wyrastają nowe łańcuchy gór, znikają inne; jedne lądy wynurzają się, inne zapadają w głąb morską. A tymczasem we wnętrzu ziemi, w jaskiniach i szczelinach, których nigdy nie przenika promień światła, od tysięcy i milionów lat pracują niewidzialni chemicy, geometrowie, jubilerowie, wytwarzając cudne przedmioty zwane — kryształami, w których nie wiadomo co bardziej podziwiać: ich barwy, blaski, przezroczystość, czy matematyczną prawidłowość form?

I jeszcze jeden wzgląd. Czy nie sądzisz mój przyjacielu, że w tem mieście, w którym lada wierszyk, lada sztuczka teatralna, lada widowisko czy sejmik, prawie we wszystkich pismach wywołuje reklamy, czy nie sądzisz, że w podobnym otoczeniu godzi się, choćby od czasu do czasu, wspomnieć o nauce, o dobrych książkach i — o grozie „niebezpieczeństwa nienieckiego”?...

Wracając do Mineralogii — powtarzam — że posiadamy już kilka dobrych książek, poświęconych tej nauce. Rozumie się, naczelnie miejsce należy: „Podręcznikowi Mineralogii” G. Tschermaka, w przekładzie J. Morozewicza. Jest to potężny tom o 700 stronicach, z 840 drzeworytami, dzieło, które winienby posiadać każdy przyrodnik, każdy miłośnik Mineralogii, każda wreszcie szkoła średnia. O tej książce, jak o talmudzie można powiedzieć, że w niej wszystko stoi: historia i literatura nauki zagranicą i u nas, ogólne własności minerałów, sposoby ich porządkowania i badania, opisy gatunków: jak wygląda, z czego jest zbudowany, gdzie się znajduje, jakie przynosi korzyści, a nawet

skąd pochodzi jego nazwa?... Dzieło to, co prawda wydane nakładem Kasy Mianowskiego, kosztuje tylko 4 ruble!...

Dobrze, to dla uczonych; ale co dla nas prostaczków?... Jest coś i dla nas, mianowicie: „Wiadomości początkowe z Mineralogii” przez Z. Weyberga. Niewielkie to dziełko, objaśnione 72 rycinami, rzeczywiście jakby wprowadzało nas do świątyni Mineralogii i Geologii, a robi to w sposób tak piękny i łatwy, że czyta się je, niby romans. Oto kilka wierszy, wziętych na chybił trafił.

„Gdy na pola nasze cichość jesienna spadnie, gdy już zboża sprzątnięto, gdy tylko szare ścierniska się rozciągają, miedziami pocięte, widać wtedy na miedzach liczne głązy, garbate, okrągławe, szare, zmurszałe. Leżą one przy drogach, również obejścia niemi nieraz są grodzone; otaczają wieńcem kościoły wiejskie i cmentarze. A gdy rydel głębiej w ziemię się wetknie, to na dużej nawet głębokości znajdujemy je w ilach obficie rozproszone...”

Tym stylem pisana jest cała książka, więc z przyjemnością i pożytkiem mogą je czytać osoby wcale nie wtajemniczone w nauki przyrodnicze.

Również na pilną uwagę zasługują: „Zasady mineralogii i geologii” d-ra T. Wiśniowskiego, przeznaczone dla klas wyższych, szkół średnich w Galicyi. Jest to kurs bardzo przyzwoicie napisany, opatrzone mnóstwem pouczających rysunków, a wyróżnia się korzystnie od innych dziełek „doświadczeniami i zadaniami”. Np. „Oznacz ciężar właściwy soli i marmuru.” „Na szeregu minerałów zbadaj, które są barwne, a które zabarwione?” i t. p.

Jeżeli jednak, mój przyjacielu, chodzi o to, ażebyś nabył wprawę w „obserwację”, w celowe oglądanie minerałów i spamiętanie zdobytej wiedzy, to, mojem zdaniem profana, najlepszy jest: „Krótki podręcznik Mineralogii” dla zakładów średnich, napisany przez St. Kontkiewicza. Autor, bardzo ukształcony człowiek i praktyczny górnik, dokonał wielu badań samodzielnych, nawet odkrył nowy minerał: szungit, a nadto przez 12 lat wykładał

mineralogię i geologię w Szkole Górniczej w Dąbrowie.

Wykład jest suchy, oparty na tradycjach Akademii Górniczej we Freibergu, ale bardzo, ale to bardzo pogładowy. Np. krystalografię popiera autor nie tylko mnóstwem rysunków, ale jeszcze t. zw. „siatkami krystalograficznymi”, przy pomocy których, uczący się może sam, z tektury zrobić 50 modeli krystalograficznych, czyli wcale dobrze oswoić się z formami kryształów.

Drugą, ogromną zaletą książki są: tablice do oznaczania minerałów na zasadzie cech zewnętrznych. Mieści się tu opis 90 minerałów, które gdy uczeń obejrzy wedle podanych wskazówek, z pewnością lepiej zrozumie: co to jest „obserwacja”? aniżeli gdyby poprzestał na czytaniu książek i oglądaniu rysunków.

Najważniejszym jest jednak następujący wyjątek z przedmowy:

„Pragnąc, o ile możliwości, udostępnić uczniom nabycie własnych okazów mineralogicznych, które przy studyowaniu Mineralogii powinni oni ciągle mieć pod ręką, ułożyłem zbiorki ze stu najgłośniejszych minerałów i skał z pomiędzy opisanych w Podręczniku i powierzyłem ich sprzedaż, po możliwie umiarkowanej cenie, Towarzystwu Pomocy Naukowej „Urania” w Warszawie, Bracka 18.”

Oto jest fundament wykładów. Nauki przyrodnicze zdobywają się tylko przy pomocy okazów, więc p. Kontkiewicz ma podwójną zasługę: 1. że utworzył pierwsze u nas *zbiorki mineralogiczne* dla szkół średnich; 2. że scharmonizował z nimi swój podręcznik.

W rezultacie, mój przyjacielu, namów kolegów, ażeby zamiast „polityką” i „uświadamianiem” zajęli się tymczasem... mineralogią. Ucząc się zaś, kupcie i pilnie wystudyjcie *wszystkie* wymienione w tej kronice książki: każda z nich bowiem posiada jakieś socyalne zalety. Nadewszystko zaś postarajcie się o zbiorek minerałów i złada cie go, jak się to mówi, ze wszystkich stron!...

□

LUCYAN SCHNEGG.

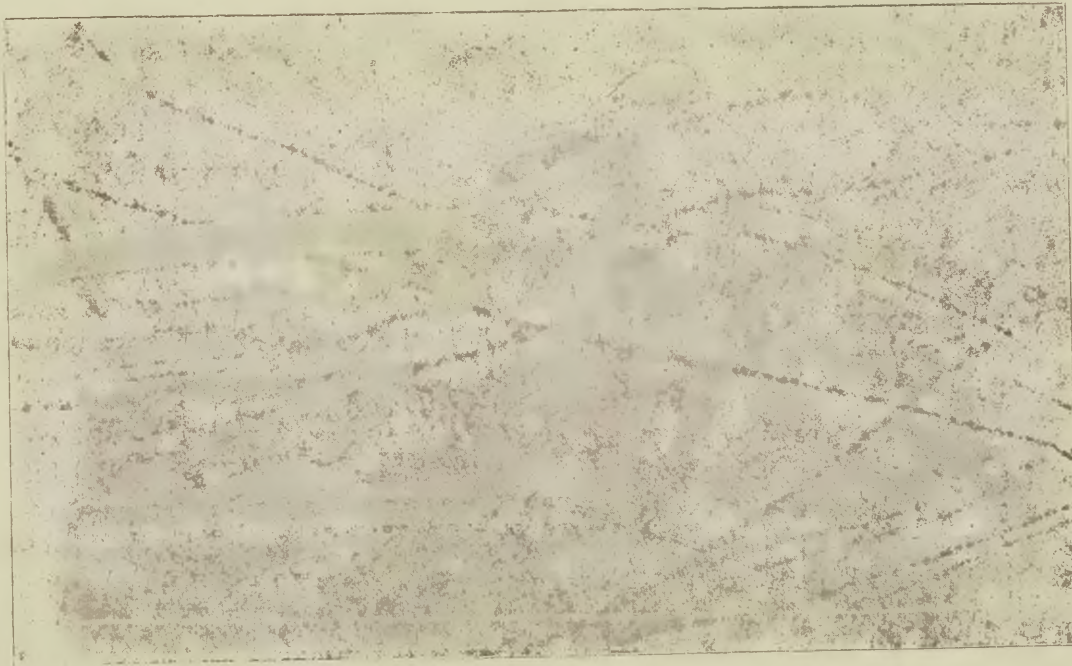
Wiek dziewiętnasty ubogi był w rzeźbę. Choć zjawiali się wielcy artyści dłota, ludzie, jak Rude, Carpeaux, Barye, choć tworzyli nieśmiertelne dzieła, jednak nie widać w rzeźbie tego wspaniałego ciągłego rozwoju, tego przepięknego grupowania się szkół dookoła mistrzów, jakim poszczycić się może np. malarstwo francuskie. Jednak z Augustem Rodinem epoka ta pojedynczych usiłowań, zdaje się, że została zamknięta. Dookoła niego zgrupowali się artyści, którzy, choć później odbiegli w wielu nawet zasadniczych punktach od błędnych często teorii mistrza; choć akcentują silnie różnice, istniejące pomiędzy sobą, jednakże wspólnie zaczęli prowadzić walkę przeciwko zgubnym wpływom Instytutu i Szkoły Sztuk Pięknych i stworzyli ruch, który historia może ohrzci zaszczytnem mianem renesansu rzeźby francuskiej. Twórczością jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tej grupy, Lucyana Schnegga, chcę zająć się dzisiaj.

Schnegg przeszedł przez Szkołę Sztuk Pięknych, gdzie pracował pod kierunkiem Falguières'a, ale szkoła ta nic mu nie dała. Jak sam mówi, musiał później pracować nad tem, aby zapomnieć to, czego go nauczili. Zaczął zaraz po wyjściu od studyów z natury. Rzeźby jego z tego czasu

to niezmiernie ścisłe kopie świata zewnętrznego: po szafach w atelier kryją się niezliczone a wierne studia ciał męskich i kobiecych, przechodniów ulicznych, starych czy młodych, a szczególnie dzieci. Czasy to realizmu *à outrance*. W najbardziej typowym dziele tego okresu, główce dziecka

przy piersi, która obecnie znajduje się na wystawie w Londynie, najdrobniejsze szczegóły tak są oddane, że możnaby się na tym marmurze anatomii uczyć. Ale okres to jedynie przygotowawczy — dzieła te, jak powiada Schnegg, to kapitał, z którego on teraz czerpie, te wierne kopie, te przeliczne studia *dadzą możliwość interpretowania*. Bo wszelka interpretacja, nie oparta na ścisłej znajomości natury, „bluffem” jest jedynie.

Dewizą drugiego obecnego okresu twórczości Schnegga jest „Więcej światła”. Marmur przeznaczony jest nie na to, aby stał w ciemnych pokojach, ale na placach czy w ogrodach, w słońcu pełnym okazywał



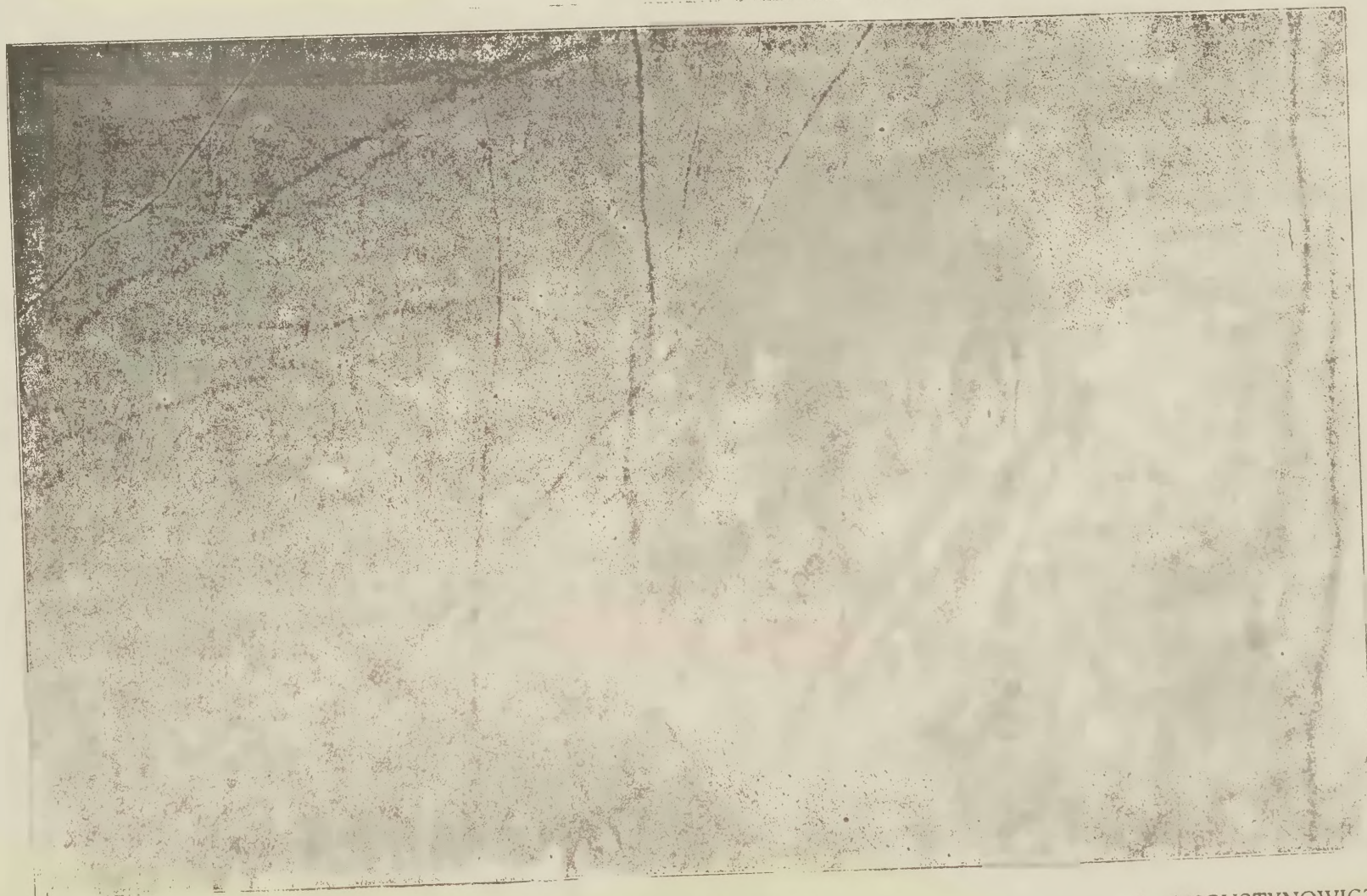
PROJEKT DEKORACJI HOTELU „ASTORIA” W CHAMPS ELYSÉES

LUCYAN SCHNEGG

1891



1891



EROS I PSYCHE

Z wystawy T. Z. S. P. we Lwowie.

A. AUGUSTYNOWICZ

drugiej połowy XVI w. oraz romantycznej, skąd biją żywe źródła szlachejnych ideałów: patriotyzmu i humanitaryzmu.

Kierunek więc prac przyszłej komisji międzyzjazdowej języka polskiego jest wskazany: rozwinąć i wprowadzić w życie zasady, wypowiedziane na Zjeździe, stworzyć idealne programy, zaopiekować się przyszłymi wydawnictwami pedagogicznymi. Dodać należy, że Zjazd wypowiedział się z poglądami postępowymi, nawet radykalnymi, w sprawie ćwiczeń stylistycznych, ich wyboru (ref. A. Szycówna) oraz sposobu poprawiania (ref. C. Niewiadomska).

Tak więc owoce czterech posiedzeń Sekcji języka polskiego są nader obfite i doniosłe. W pozostałych trzech Sekcjach: historycznej, języków nowożytnych i języków

starożytnych pracowano niemniej gorliwie, poruszono wiele spraw różnych, dzielono się ciekawymi obserwacjami, wyniki jednak nie zarysowały się z dostateczną jasnością. W Sekcji historycznej, ścierały się sprzeczne poglądy na cel nauczania: dydaktyczny czy naukowy, metodę: koncentryczną, retrospektywną czy chronologiczną, i wybór przedmiotu: ewolucje społeczne czy fakty polityczne. W każdym razie rzucono garść ziarna na przyszły plon.

W Sekcji języków nowożytnych dyskusja obracała się przeważnie około kwestyi zasadniczej: która metoda przynosi więcej pożytku w nauczaniu, czy t. zw. metoda naturalna, polegająca na uczeniu się języka obcego za pomocą rozmowy, bez uciekania się do języka ojczystego, czy też — dawna, używająca mowy rodzinnej, jako pośredniczki,

przy wyuczaniu się obcej. Bardzo ciekawy referat w tej sprawie wygłosił p. K. Appel.

Wreszcie Sekcja języków starożytnych odbyła jedno tylko posiedzenie, które nie dało wszakże poważnych rezultatów.

Zjazd nie powziął żadnych uchwał. Nie do tego też był powołany. Chodziło o wymianę myśli, rzucenie powiewu zdrowych zasad pedagogicznych w umysły i serca uczestników, którzy, szczerze pobudzeni do zastanawiania się głębszego nad swym wielkim posłannictwem krzewienia światła, rozpraszania mroków, celami i środkami swej pracy, rozjechali się po całym obszarze Polski z najmiłszym o Zjeździe wspomnieniem.

Żmudna praca wykuwania nowych norm wychowawczych pozostała w udziale komisjom międzyzjazdowym.

HENRYK GALLE.

BOLESŁAW PRUS: KRONIKA TYGODNIOWA.

Charakter Koła Polskiego w Dumie poczyną zarysowywać się coraz pełniej, wyraźniej i... symptomatycznie... Po beczadnej gadatliwości, po gonitwie za oklaskami — czem cechują się społeczne, etyczne i polityczne sejmiki w Warszawie, rzuca się w oczy porządek, jaki panuje w Kole. Tam nie gada każdy, kto nie żałuje śliny, tam nie wygłasza się tanich patriotycznych wykrzykników. Tam mówi się tylko wówczas, gdy potrzeba, a mówi się rozsądnie i spokojnie, choć energicznie.

Prezes koła powiedział, że w ciągu 40-letnich rządów biurokratycznych nauczyliśmy się cierpliwości, a *Gazeta Polska* oświadcza, że „posło-

wie potrafia być cierpliwymi, potrafia nie śpieszyć się i czekać“, co z ich strony będzie wielką mądrością. Kiedy wzdłuż ruchliwej ulicy pędzą sznury powozów, lekkoduch rzuca się pod konie, byle przesunąć się jak najprędzej; ale człowiek roztropny czeka... wiedząc, że musi nadejść chwila, kiedy powozy przerzedzą się i pęd ich osłabnie.

Nie dość na tem, albowiem poseł Żukowski zaprezentował się jako gruntowny znawca rządowej gospodarki, a inni jego koledzy podobno wzięli się do książek, rozumiejąc, że w Dumie nie można deklamować, ale trzeba coś wiedzieć i wiedzą wpływać na innych, może na losy Państwa...

Tu, w kraju, Narodowa Demokracja wysuwała na front dwa hasła: egoizmu narodowego i — stworzenia jedności chociażby za pomocą siły. W dumie nie spotykamy ani śladu tych haseł, co jest bardzo pomyślnym wypadkiem.

„...Przy istniejącym stosunku władzy wykonawczej do prawodawczych — mówił prezes Polskiego Koła — przy braku prawa gwarantującego ogólnoobywatelskie wolności, przy ograniczeniach praw różnych narodowości i wyznań, przy pozbawieniu olbrzymich dzielnic Państwa samorządu ziemskiego, żadna społeczna reforma nie może być przeprowadzona w nieokaleczonej postaci... Sprawa



agrarna może być rozwiązana i zasady reformy mogą być stosowane dopiero po wydaniu i wprowadzeniu w życie praw, dotyczących swobód ogólnobywatelskich, równouprawnienia narodowości i wyznań, wreszcie po zorganizowaniu w całym Państwie szerokiego samorządu miejscowego i ustaleniu wzajemnych stosunków między instytucjami jego a władzami rządowymi.

W słowach tych mieści się nie tylko głośnie przypomnienie rządowi: czego on nie wykonał?.. lecz i jasna nauka dla partii skrajnych: że tak olbrzymiej reformy, jak rolna, nie można zawieszać w powietrzu, ale trzeba oprzeć ją na granitowym fundamencie swobód osobistych, gminnych i prowincjonalnych. Albowiem—jak powiedział pan Dmowski—„reformą rolną powinien kierować jeden tylko cel, dać zdrowy podkład życiu społecznemu na przyszłość“...

W nawiasie dodam, że początek mowy pana Dmowskiego jest bardzo ładny. „Reforma rolna (w Państwie rosyjskim) jest nie tylko dojrzała, ale nawet przejrzała. A jak owoc przejrzały ulega gniciu, tak samo i przejrzała kwestia społeczna staje się źródłem narodowego nieszczęścia, rozpręga życie narodu“...

Jeżeli przypomnimy sobie, że w Rosji takich „przejrzałych“ kwestii jest mnóstwo (oświata ogólna i fachowa, swobody, samorządy, równouprawnienia) to zrozumiemy, jakie uczucie w sercach rosyjskich patriotów wywołać musiała wzmianka o tych „gnijących owocach, które są źródłem narodowego nieszczęścia“...

Walcząc o wolność Rosję zapewniano, że Polacy są fanatycznymi, zaślepionymi wrogami nawet—upominając się o swobody, że są wrogami jej apostołów. A na to odpowiada poseł Stecki: „Rewolucja jest skutkiem najzupełniej nieodpowiedniego stosunku pomiędzy treścią życia społecznego a jego formą... Naród nasz pokrzywdzony przez politykę współczesną także stoi w szeregu tych, którzy walczą o wolność. Nie ustawał on w walce w ciągu całego stulecia, broniąc swoich praw obywatelskich, narodowych i nie ustanie do tej chwili, póki nie osiągnie rzeczywistnienia dążeń, uczuć, myśli i wolności narodowego rozwoju“...

Mówiono, że Polacy trzymać się będą zdaleka od Rosyan, a szczególnie od tych „niespokojnych żywiołów“, które protestują przeciw biurokracycznej samowoli i upominają się o jakoweś ulpszenia... Na to znowu odpowiada poseł Stecki w imieniu Koła:

„Naród polski nie może być niemym świadkiem walki wolnościowej, prowadzonej przez ludność Cesarstwa z rządem biurokracycznym; jest on silnie zainteresowany w tej walce i w losach Państwa rosyjskiego; z pobudek narodowościowych i ogólnie ludzkich w zupełności łączy się on z tymi, którzy chcą zmienić polityczny i społeczny ustrój Państwa na zasadach równouprawnienia i sprawiedliwości“...

A kiedy J. E. p. mister Kokowcew, jakby czerpiąc informacje budżetowe z organów prawdziwych Rosyan, oświadczył głośno, że—Królestwo Polskie pochania nie tylko rosyjską pracę kulturalną ale i dużo pieniędzy, poseł Żukowski dowiódł, że rząd na Królestwie Polskiem zarabia rocznie 10 do 32 milionów rubli nawet... przy dotychczasowym systemie gospodarki...

Słowem — pierwsze kroki Koła Polskiego w Dumie dobrze wróca o przyszłej działalności tego zgromadzenia. Uczciwość i patriotyzm posłów naszych zawsze stały nawet po za najbliższymi podejrzeniami. A ponieważ dzisiaj męzo wie ci działają z wielką rozważą, ponieważ wyraźnie wstąpili na drogę mądrej wolności i szerokiego humanitaryzmu, ponieważ przyjęli zasadę cierpliwego wyczekiwania chwil stosownych, mo-

żemy więc być spokojni, że ważnego błędu nie popełnią.

Czy jednak uda im się urzeczywistnić wszelkie nadzieje, jakie pokłada w nich opinia publiczna a raczej: jakich spełnienia—żąda od nich?... Daj Boże, aby się tak stało, cboć—są to rzeczy bardzo trudne. Najdrobniejsze ustępstwo ze strony rządu dla naszego narodu zależy—przede wszystkim—od zbiegu pomyślnych okoliczności. Nie wątpię, że posłowie nasi warunki takie potrafią dostrzedz i wyzyskać, ale... czy warunki takie zbyt prędko zdarzą się?... Czy nie tylko Koło Polskie ale i my wszyscy nie powinniśmy postawić sobie za hasło: cierpliwość... cierpliwość i wytrwałość!...

To też wydaje mi się nietylko przedwczesnym, ale nawet dziwnym hymn tryumfalny wyśpiewany przez jedno z pism na cześć zwycięstwa naszych posłów. „Stara wiara narodowa—woła autor—przemówiła tak, że zmusiła nawet wrogów naszych z prawicy biurokracycznej, zmusiła prasę ziejącą hakatyzmem do oddania pokłonu polskiej kulturze i polskiemu parlamentaryzmowi“...

„Pokłonu“ tego nie widzieliśmy, choć już słyszeliśmy od strony owej „prawicy“ wymysły i pogroźki... Nie wiem więc, czy jest pożyteczne zapewniać publiczność o nieistniejących skutkach, publiczność, która i bez tego żyje złudzeniami i pyszni się z nieodniesionych powodzeń. Co się zaś tyczy „kultury polskiej“—i o niej powiem słówko, prosząc czytelnika, ażeby nie brał tego za zamiar jakiejś niewłaściwej szynkany...

Więc ncpzód w Kole Polskiem. Poseł Żukowski zachwycił Izbę przedewszystkiem... doskonałą ruszczyzną, którą zawdzięcza dłuższemu przebywaniu w Petersburgu. A następnie zaimponował głębszą znajomością państwowego budżetu, którego znajomość również zawdzięcza Petersburgowi. Poseł Stecki zna społeczne i państwowe nauki, lecz wiedzy tej znowu nie zawdzięcza literaturze naszej, ale narodów, które mogły pracować z powodzeniem nad społecznymi i politycznymi zagadnieniami. A nareszcie prezes Dmowski ten stopień kultury, jaki posiada, zawdzięcza znowu tylko w części Warszawie; dokształcał się bowiem po całej Europie, Ameryce nawet w Japonii.

W rezultacie—posłowie nasi zajaśnili w Dumie nie jakąś specjalnie polską, ale i nadewszystko—wszechludzką kulturą. I to bodajże stanowi ich szczęście i nasze!...

A teraz zobaczmy, jak wygląda nasza kultura na miejscu.

Mam pod ręką „Sprawozdanie Zarządu Koła dzielnicy Staromiejskiej m. Warszawy Polskiej Macierzy Szkolnej“ za rok 1906. Dzielnica ta obejmuje: I, II i część IV-go okręgu wyborczego miasta, zatem posiada więcej chyba niż setkę tysięcy mieszkańców i wiele tysięcy dzieci w wieku szkolnym, więc—powinny mieć z kilkanaście szkół początkowych, odpowiednią ilość ofiarodawców. Tego zdaje się, wymagałaby „kultura, która nawet wrogów zmusza do pokłonu“, tego przedewszystkiem wymagałaby szeroko rozlany w mieście analfabetyzm...

Otóż „Sprawozdanie Koła P. M. S.“ rozkłada wszystkie te złudzenia. W dzielnicy, bynajmniej nie ubogiej, oświata elementarna znalazła tylu protektorów, ile... jest dni w roku, może nawet trochę mniej. Członków dożywności, t. j. takich, którzy złożyli jednorazowo po 150 rb. jest—trzech a oto ich nazwiska: L. Grosse dr. fil., T. Jentys i... Resursa obywatelska... Ogólny dochód wynosi trochę więcej niż 2,000 rb., a utrzymanie szkoły oprócz jednorazowego wydatku na nieruchomości) dosięgło sumy 450 rb. w czym już mieści się pensja nauczycieli...

Czytelnik domyśla się, że za taką sumę nie wiele można szkół utrzymać; jakoż istnieje tylko jedna, nieboga i we wszystkich swoich oddziałach posiada... 180 uczniów i uczennic...

„Dzieci—mówi sprawozdanie—uczęszczały na lekcje chętnie i okazywały dużo przywiązania dla swoich nauczycielek. Znaczna większość dzieci jest zdolnych i te wyróżniają się przyzwoitym zachowaniem w czasie lekcji, uwagą, ogromną ciekawością i zapałem do nauki“...

Wymienione zalety charakteryzują wszystkie dzieci na świecie, nie wyłączając japońskich i murzyńskich. A teraz zobaczmy dalsze próbki „kultury, której nawet wrogowie oddają pokłony“:

„Ogólną wadą, wynikającą z braku odpowiedniego wychowania, jest niekarność i nieobowiązkowość (jakie to nasze narodowe!)... A dalej: „Oto niektóre wyniki badania dzieci przez lekarza. Pod względem stanu zdrowia i ochędóstwa zbadano ogółem 140 dzieci i w tej liczbie znaleziono: Dotkniętych egipskim zapaleniem oczu 5 proc. Słabowitych 47 „ Z popsutemi zębami 57 „ „Krzycząco brudnych“... 90 „ (czyli na 140 dzieci—126 brudnych!).

„U wielu dziewczynek znajdowało się robactwo we włosach; szczotek do mycia zębów używa tylko pięcioro, reszta nie używa i nigdy nie używała“...

Tak w dzielnicy śródmiejskiej wygląda nasza „kultura, w obec której i t. d. To też zarząd niestety! jedynej w śródmieściu szkoły postawił sobie bardzo skromniutki, ale rozsądne i uczciwe cele:

„Ponieważ szkoła początkowa, jako taka, nie dużo daje wiadomości, więc głównym jej staraniem powinno być wychowanie. Polega ono na przyzwyczajaniu dzieci do wypełniania włożonych na siebie obowiązków, dokładnego przygotowania zadanej lekcji, uwagi, punktualności... Równie ważnym celem szkoły jest rozbudzenie duszy i rozwijanie uczuć szlachetnych, jako to: koleżeństwa, współczucia, umiłowania prawdy, przywiązania do rodziny i kraju, wreszcie rozbudzenie myśli, wdrażanie do logicznego myślenia i do jasnego wypowiedziania się“...

Gdybyż choć część tych zamiarów dała się urzeczywistnić!... I dlatego bodaj czy nie łatwiejszymi do osiągnięcia będą następujące wskazówki udzielone przez lekarza:

„1. Dzieci powinny mieć zapewnioną kąpiel raz na dwa tygodnie. 2. Należałoby umożliwić dzieciom leczenie zębów u specjalisty. 3. Należałoby sprawić pewną ilość szczotek do zębów i proszku kredowego i rozdać dzieciom ze słabymi zębami, nalegając na codzienne mycie, szczególnie wieczorem, przed udaniem się na spoczynek. 5. Obmyślić sposób zastępowania dzieciom mokrego obuwia przez suche w porach słotnych roku; nadawałyby się może do tego pantofle płóciennę ze skórzanymi podeszwami w ilości par odpowiadającej połowie liczby uczniów. 6. Należy założyć małą podręczną apteczkę szkolną“.

Ten sposób apostołowania higieny należałoby stosować we wszystkich naszych szkołach elementarnych a nawet i średnich, ponieważ i tam bardzo wiele dzieci nie odznacza się schludnością, nie kąpie się, nie myje zębów...

Co za dziwny skok—pomyśli czytelnik—od Koła Polskiego w Dumie, do mycia zębów w szkole?...

Nie tak dziwny, jak wydaje się na pierwszy rzut oka. „Koło“, to szczyt, a higiena i szkoła elementarna to fundament narodowego bytu. Niech jedno i drugie będzie dobrem a wówczas dopiero będziemy mogli mówić o „polskiej kulturze“, którą dziś chwalimy się cokolwiek zawczasem!...



1000



STUDYUM

FRANCISZEK EJSMOND

BOLESŁAW PRUS: **KRONIKA TYGODNIOWA.**

Ciężka choroba społeczna, zwana przez niektórych „rewolucją“, przez innych tylko fermentem rewolucyjnym, jakiej od dwu lat ulega Państwo rosyjskie, a my razem z niem, choroba ta przedstawia dzisiaj nieco inny wygląd, aniżeli przed rokiem, a choćby i przed pół rokiem. Czuje się niby zapowiedź ukojenia, które jednak nie nastąpi ani zaraz, ani gwałtownie, ale stopniowo i nieznacznie.

Barometrem stanu całego Państwa jest Duma. Otóż, pomimo że zebrało się w niej bardzo wiele żywiołów z jednej strony—nieoświeconych, z drugiej—radykałnych, pomimo to Duma zachowuje się na ogół przyzwoicie. Wprawdzie jeszcze nie zaczęła pracować, jeszcze nie uchwaliła żadnego prawa, jeszcze panuje w niej gadulstwo, niewątpliwy objaw podniecenia; ale już nie stawia się gwałtownych wniosków, już nie robi się awantur z ministrami, już mówi się o potrzebie zachowania Dumi i konieczności pracy twórczej. Jest to Duma-Dziecko, więc dojrzałości natychmiastowej niepodobna od niej wymagać.

Jeżeli nie zajdzie jakiś nadzwyczajny wypa-

dek, w rodzaju rozpędzenia Dumi, można z nie-małym prawdopodobieństwem przypuszczać, że za rok, może prędzej, spadnie gorączkowa temperatura, w jakiej jeszcze dziś Państwo jest pogrążone.

— No, a co będzie z nami?...

My także w ciągu kilku miesięcy powinniśmy uspokoić się, jeżeli i tu nie trafi się jakiś nadzwyczajny wypadek.

Ponieważ nie posiadamy nic podobnego do Dumi, więc barometrem naszego uspokojenia będzie stan przemysłu. I w tej chwili i w najbliższej przyszłości nasz przemysł wygląda i zapowiada się nie dobrze: musimy bowiem spłacać długie wytworzone niepokojami lat poprzednich. Powtarzam więc: nie jest dobrze, lecz z drugiej strony zdaje się, że najgorsze czasy już minęły.

Zresztą, niech sam czytelnik osądzi.

Po wieloletnim ucisku politycznym i bezładzie ekonomicznym, wybuchnęły strajki, jako niezbędne niestety! reakcja przeciw złemu. Był to niby wylew, niby przybór wód niewidzialnych, które wysoko podniosły poziom żądania i wolno-

ści i ulepszeń ekonomicznych. Ponieważ jednak był to „przybór“, można więc było przewidzieć, że poziom wymagań nie utrzyma się w punkcie najwyższym, lecz że musi nastąpić reakcja.

Jakoż reakcja nastąpiła, nazywa się lokautem w Łodzi, a pogroźkami lokautu w innych miejscowościach. Lecz ponieważ łódzki lokaut skończył się, więc możemy powiedzieć, że nasze przemysłowe niepokoje przeszły już dwie fazy: strajku i lokautu, a zbliżają się do jakiejś trzeciej fazy, której dziś niepodobna jeszcze określić. Czy tą trzecią fazą miałyby być bratobójcze walki na ulicach Łodzi?... Albo ja wiem...

Za to strajki i lokauty są na mniejszą skalę, może się i nie skończyły; świadczy o tem pewien ferment w stosunkach piekarskich. Ale reakcja już jest...

„Położenie robotników zatrudnionych w piekarstwie, przez długie lata było ohydne—skarży się czeladź piekarska.—Traktowani przez właścicieli w sposób nie dający się opisać, zmuszeni byli pracować po 18 godzin bez przerwy na dobę, pobierając za to niewielką zapłatę.“ Położenie

1860



1860

to wywołało strajki, zatargi, wreszcie „zmianę warunków pracy na korzyść robotników“ przed półtora rokiem.

Zmiana jednak musiała być zbyt silną, poziom wymagań zbyt wysoki, gdyż nastąpiła reakcja ze strony właścicieli piekarni, którzy w połowie marca, postavili nowe warunki. Warunki te, jak mówi odezwa czeladzi, obniżają wynagrodzenie robotników, kasują dodatkowe wynagrodzenie za pracę po nad zwykłą liczbę godzin, usuwają tak zwane „święteczne“, znoszą dwutygodniowe w ciągu roku urlopy i t. d.

Właściciele piekarni usiłują zbić powyższe zarzuty, jednocześnie twierdząc, że nie one są przyczyną nieporozumienia. Właściwa przyczyna tkwi w § 6-tym, który opiewa: „Zarząd piekarni spoczywa wyłącznie w rękach właściciela (albo osoby przez niego upoważnionej) i do tego należy przyjmowanie oraz usuwanie pracowników, wydawanie i egzekwowanie dyspozycji, jak również rozstrzyganie nieporozumień między pracownikami w obrębie piekarni.“

„Obecnie — skarżą się właściciele — rządy piekarni spoczywają w rękach pracowników i jakichś delegatów; właściciel ma obowiązek za wszystko płacić, ale rządzić mu nie wolno! Do jakich wyników prowadzi taki stan rzeczy, może dać miarę przykład następujący: Właścicielowi piekarni, p. T. dano nowego czeladnika, który, jak się następnie okazało, był szewcem, ale usunąć go pan delegat nie pozwolił... Wynik zaś jest taki, że ów szewc już piąty tydzień otrzymuje wynagrodzenie, jako czeladnik piekarski...“

Oczywiście w dziedzinie piekarstwa istnieje niepokój, ferment, lecz — i on znajduje się już w drugiej fazie, w której poziom wymagań czeladzi od punktu najwyższego, spada do najniższego. Powinnaby więc przyjść trzecia faza w której pretensje właścicieli piekarni i czeladzi zrównoważą się i staną na jakimś punkcie pośrednim; nie najwyższym, ale i nie najniższym.

Byle tylko — Boże miłosierny! — nie stało się jak w Łodzi, kędy współcześni z wygasaniem lokautu, wybuchły między-partyjne morderstwa...

Stan miasta a raczej — nieszczęśliwych robotników najlepiej malują dwie cytaty. Sosałni-demokraci w swojej odezwie piszą:

„Robotnicy! Wobec sztytobójczych napaści bojowców i sokołów endeckich *nie pozostaniemy, nie możemy pozostać bierni* (wyrzuty podkreślone, w odezwie wydrukowano tłustym drukiem). Narodowcy napadają na socjalistów. *Tej robocie haniebnej kres położyć musimy i położyćmy*. Byłoby to niegodnem nas, gdybyśmy bezkarnie pozwolili mordować swych towarzyszy... *My tych szkodników wytepiamy, jak szkodliwe zwierzęta*“...

Na co organ Narodowej-Demokracji odpowiada:

„Podjęte zostały próby zawarcia bodaj zawieszenia broni, zaprzestania wałk bratobójczych. Niestety nie mamy nadziei w powodzenie tych usiłowań. W Łodzi nie ma miejsca na sielankę zgodnego współżycia stronnictw. Tam jest walka instynktu narodowego z anarchią rewolucyjną i ta walka, odraczana dotychczas, musi być wreszcie stoczoną. Tu jedni lub drudzy muszą zwyciężyć i narzucić pokonanym swoją wolę“...

Jasne, co?...

Lecz jednocześnie w kilku fabrykach robotnicy narodowcy i socjaliści rozmaitych odcieni przemawiają w taki sposób:

„Wyrażamy słowa najwyższej pogardy i potępienia sprawcom dokonanych w ostatnich dniach mordów... W imieniu całego ogółu robotników oświadczamy, że wszystkich czynnych i moralnych sprawców tych zbrodni uważamy za zdrajców sprawy robotniczej“...

Silne słowa... Czy jednak wywołają zamierzony skutek?... Daj Boże! chociaż — można wątpić o tem. Czytelnicy pamiętają, że parę tygodni temu przepowiadaliśmy możliwość „wojny domowej“. Nie opieraliśmy się na żadnych informacjach, gdyż takowych nie posiadamy, ale na tej odwiecznej prawdzie, że — nagromadzenie dzikich instynktów tylko w dziki sposób może się uzwętnić.

Kiedy przed rokiem i dawniej czytaliśmy o wzajemnem mordowaniu się ludów zamieszkujących Kaukaz, zdumiewaliśmy się nad ich barbarzyństwem. Cóż dziś powiemy?... Chyba, to, że — wstyd pali nam twarze... Gdy ludy surowe należące do różnych szczepów, różnych wyznań, różnych języków, do różnych zajęć odwołują się w swoich sporach do siekiery lub rewolweru — to może być zrozumiałe. Ale ażeby robotnicy tych samych fachów, tej samej rasy, wyznania i języka — zabijali się między sobą jest to rzecz wprost zdumiewająca. W tem miejscu można tylko zawołać:

— Pięknie tych nieszczęśliwych wychowano!... piękne szczepiono im zasady!...

Powtarzam jeszcze raz, co powiedziałem na początku. W przemyśle długi, bardzo długi czas, kapitał wyzyskiwał pracę. Wybuchnęły strajki: był to cios zadany kapitałowi przez pracę. Ponieważ jednak cios był za silny, więc wywołał reakcję w postaci lokautu, po którym nastąpi jedno z dwojga: albo porozumienie między pracą i kapitałem albo — powszechna klęska: pracy, kapitału i nawet społeczeństwa.

W jaki sposób objawi się ruina, już mniej więcej wiemy: jedni przedsiębiorcy zrywają interesy, inni wynoszą się z kraju. Znałem pewnego majstra szewskiego: wyrabiał doskonałe obuwie, postępował uczciwie z klientami i z czeladzią, był gorącym patriotą i... przeniósł się do Petersburga, nie mogąc wytrzymać wśród miejscowych stosunków. Dzięki temu Petersburg zyskał siłę twórczą, Warszawa straciła ją... A co będzie z czeladzią, z robotnikami?... Tymczasem ogół cierpi nędzę; niektórzy, trochę zasobniejsi, emigrują a najmniej zasobni wpadają w nieuleczalne choroby, albo, odbierają sobie życie!...

Oto obraz stosunków, wobec których każdy chyba zrozumie, że tak wychwalana, tak zalecana „walka klas“, walka między kapitałem a pracą, musi się skończyć. Pod jakimi jednak warunkami?...

Warunki te obciążają przedewszystkiem, pracodawców. Był czas, że robotnicy pracowali za długo (po kilkanaście godzin na dobę), byli wyzyskiwani materialnie, a co gorsza: byli traktowani, jak niewolnicy, niekiedy, jak zwierzęta domowe.

Otóż takie czasy minęły już bezpowrotnie. Robotnik musi być szanowany, jako obywatel, wynagradzany, jako siła twórcza, zabezpieczony, jako człowiek. O tem nawet nie potrzeba rozprawiać, wszystkie bowiem ulepszenia, jakie słusznie należą się robotnikom, wcześniej lub później, a w każdym razie nie długo, muszą być wprowadzone.

Do ulepszeń tych jednakże muszą przyczynić się i sami robotnicy; w jaki zaś sposób?... objaśni, chociażby odezwa Związku zawodowego przemysłowców budowlanych.

Stanęła w tej chwili przed Warszawą, a może i przed całym krajem poważna kwestya: czy w tym roku będą prowadzić się roboty budowlane, czy nie będą?

Otóż przedsiębiorcy odpowiadają: nie wiemy... Rozpoczęcie prac budowlanych zależy od poprawy stosunków w tej dziedzinie pracy. Obecnie bowiem stosunki są tak złe, że, „jedną z większych budowli w Warszawie postanowiono oddać do wykonania przedsiębiorcom rosyjskim, z obawy, że siłami miejscowymi nie da się jej wykonać spokojnie“...

Przyczynami zaś, które paraliżują działalność budowlaną jest: 1-mo. nieład, 2-do. lekceważenie pracy.

Co do 1-go, oto jakie wydarzenia miały miejsce... Podmajstrzego, który odważył się zgromić pracowników za niesumienne postępowanie, wywożono w taczach albo bito... Majstrowi kazano iść precz z roboty, bo, skończyły się jego rządy; a gdy próbował bronić swoich interesów, grożono mu wyrokami lub nasyłano zbirów... Kolegę, który oburzał się na postępowanie współ-pracowników, nazywano szpiclem i wyrzucano z roboty... Schwytanego na kradzieży lub umyślnem niszczeniu, materiałów pracownika „ogół“ nie pozwalał usunąć...

Ażeby więc po takich objawach — mówią przedsiębiorcy, mogło nastąpić porozumienie, „pracownicy muszą wyrzec się wszelkiej samowoli i gwałtów, muszą zaniechać bojkotu i wszelkiej działalności na szkodę pracodawcy, oraz muszą stosować do takich porządków, które są niezbędne do normalnego prowadzenia robót“.

Po 2-gie, lekceważenie pracy. Ceny robocizny podniosły się w niektórych wypadkach o 100 proc., ale wraz z tem, „nastąpiła zupełna niechęć do pracy“... „Mularz, który dawniej z łatwością układał 800 cegieł dziennie, układał teraz 100 do 150 cegieł dziennie, co tworzy koszt ułożenia jednej cegły 2 do 2 i pół kopiejek“. Tym sposobem gdy wyrobienie i zwieźenie cegły kosztuje około półtorej kopiejki, to ułożenie jej na murze wynosi 2 do 2 i pół kopiejek!...

Wobec tego przedsiębiorcy żądają, aby, „płaca odpowiadała faktycznemu zarobkowi i uzdolnieniu pracownika. Narzucanie jednakowej normy płacy dla wszystkich pracowników jest wręcz szkodliwe, gdyż tamuje rzutkość i przedsiębiorczość a szerzy lenistwo i zaniedbanie“...

Oto są najważniejsze warunki porozumienia między przedsiębiorcami i pracownikami. Gdy te zostaną przyjęte i sumiennie wypełnione, stosunki w przemyśle poprawią się, zakwitnie praca, z nią dobrobyt, a po upływie kilku lat dzisiejsze ciężkie przejścia, ulegną zapomnieniu.

Poprawa zaś stosunków przemysłowych, będzie, jak już powiedzieliśmy, wskazówką dla całego kraju, wskazówką, która oby jak najprędzej zwróciła się w stronę pogody!...

STEFAN BATORY.^{*)}

Z CYKLU: „KRÓLEWSKIE SONEŃ“

Zasłuchany w odwiecznych dębów rozhowory,
W płomień komina mroczne zatopił żrenice,
Przypadł mu do kolan dźwiga miłośnicę
I gładzi pacholęcia jedwabne kędziory:

„Ehey! jak czas żywota gwałtem pędzi skory!

A nie darmo-ć ja kłami wilczymi się szczycę,

Chocia twem gniazdem jeno są Niepołanice,

Orlego-ś lęgu pisklę... z krwie-ś prawy Batory.

„Górnym ty synu szlakiem wzlecisz nad te bory,

Wzdym tobie wszczepił ducha mego krwawicę,

Szablą śniane przezemnie naznaczysz granice.

„Szczęsny-ś ty! Mnie już onej nie doczekać pory,

Gdy — zwycięzca — moimi będziesz parł się tory

I z jękiem, jak noc mroczne, w dłoniach

kryje lica.

WŁADYSŁAW NAWROCKI.

^{*)} Oparte na domniemaniu jednego z historyków, jakoby Dymitr Samozwaniec był synem Batorego, zrodzonym z niepołanieckiej burgrabianki.



1007

1007

1007

1007

1007

1007

1007

1007

1007

1007

1007

23 kwietnia r. b. Koło Polskie złożyło Dumie projekt autonomii Królestwa Polskiego. *Ludskość* przyznaje czynowi temu znaczenie historyczne, *Słowo* obawia się, że sprawę poruszono zbyt wcześnie. Naszem zdaniem Koło Polskie posiało ziarno, z którego kiedyś wejdzie roślina zwana autonomią, i z czasem, jak wszystko na świecie, będzie rozwijać się i doskonalić.

Ziarenko to padło na grunt ani najlepszy, ani najgorszy: w Dumie znajdują się gwałtowni przeciwnicy i, chłodni przyjaciele autonomii. Trzeba jednak pamiętać, że, obok gruntu, na losy ziarna wpływa jeszcze temperatura i stopień wilgotności, a jak w niniejszym wypadku, obok Dumy, o losie autonomii rozstrzygać będzie Rada Państwa i rząd, nie mówiąc już o wpływach postronnych, np. o dyplomacji pruskiej...

Składając projekt autonomii, Koło Polskie zrobiło dobrze: człowiek bowiem, czy naród, któremu dzieje się wielka krzywda, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek upomnieć się o jej usunięcie, choćby w tej samej chwili, kiedy mu wyjmą z ust knebel. A swoją drogą społeczeństwo zrobi nie mniej dobrze, powiedziawszy sobie, że, złożenie projektu autonomii to dopiero siew, nie zaś żniwo...

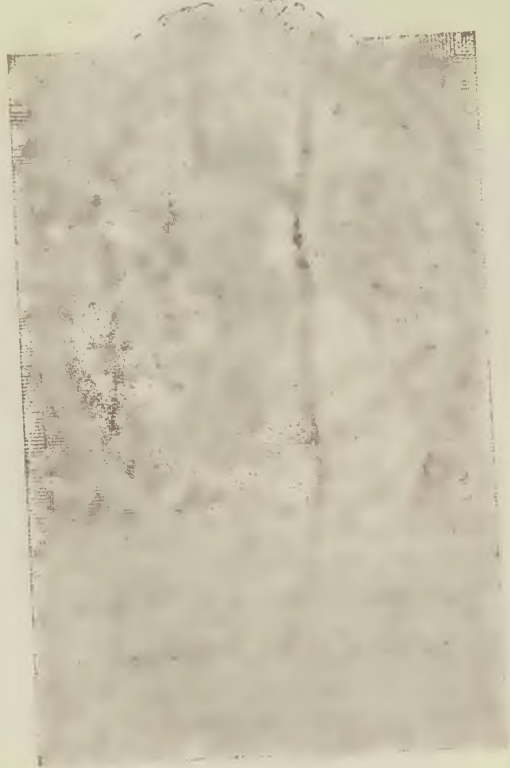
Projekt autonomii czytelnicy albo już poznali, albo poznają z innych źródeł; kronika nie jest dla niego miejscem. Ograniczę się więc na zacytowaniu artykułu 2-go, który wszystko streszcza: „Królestwo Polskie stanowiąc część nierozdzielnej państwa Rosyjskiego, w sprawach wewnętrznych rządzi się przy pomocy odrębnych instytucji, na zasadzie odrębnego ustawodawstwa”. Co znaczy, że sprawy ogólnopństwowe, jak: utrzymanie członków Domu Cesarskiego, sprawy kościoła państwowego, sprawy zagraniczne, armia, flota i t. p. rozstrzygane będą w Petersburgu, zaś gospodarstwo wewnętrzne, sprawy dotyczące oświaty, przemysłu, handlu, wymiaru sprawiedliwości i t. p. decydować się mają w Warszawie.

Językiem w szkole, sądownictwie, administracji ma być polski; prawa jednakże Rosyan, Litwinów i Małorusinów mają być, jaknajściślej przestrzegane.

Nie widzimy potrzeby zastanawiać się nad szczegółami projektu; właściwiej będzie wskazać w sposób jasny: co może dać, a czego nie da autonomia?... a także: jakie są szanse, że ją kiedyś pozyskamy?

Państwo niepodległe jest to niby folwark, stanowiący niewątpliwą, niezaprzeczoną własność swego posiadacza, który gospodaruje na nim, jak chce, nie pytając o zdanie sąsiadów. Polska była kiedyś takim folwarkiem, no i gospodarowała, szczególnie w XVIII-tym wieku tak źle, że ją nie tylko wywłaszczono, ale nawet podzielono się jej ziemiami i ludźmi, jak płótnem albo mięsem...

W rezultacie Polacy, niegdyś właściciele wielkiego majątku, stracili go, z panów stali się sługami w swoich niegdyś dobrach, a nawet spadli niżej poziomu sług, zostali niewolnikami. Mieli i jeszcze mają tylko dwa prawa: płacić podatki z rozmaitemi „dodatkami” i dostarczać rekrutów. Po za obrębem tego nic im nie było wolno: ani sądzić się, ani budować dróg, ani zakładać i gospodarzyć szpitalami, ani uczyć się... Rządzili i rządzą nimi ludzie obcy, którzy w dodatku narzucali im swój język i religię. Taki stan rzeczy rzeczy ma jeszcze miejsce pod panowaniem rosyjskiem. W Prusach, niby to państwie ucywilizowanym i konstytucyjnym, jest gorzej: tam bowiem rząd bez obłonek chce Polaków wytępić,



a przynajmniej doprowadzić do nędzy i zupełnego poddaństwa.

W Austrii jest nieco lepiej. I tam Polacy nie posiadają samodzielności politycznej, nie są właścicielami, tylko, oficyalistami swego niegdyś folwarku. Ale przynajmniej są wolni, są traktowani, jak ludzie, nie zaś, jak bydlęta robocze.

Otóż powtarzam: autonomia nie robi społeczeństwa posiadaczem jego ziemi, kierownikiem jego losów. Autonomia traktuje społeczeństwo, jak parobka, wódatarza, czasem, jak ekonoma. Ale autonomia z narodu podbitego zdejmując piętno niewolnika, otwiera drzwi więzienia, rozkuwa kajdany i pozwala w pewnych granicach myśleć, mówić, rządzić sobą, doskonalić się, słowem być człowiekiem, nie zaś pociągówem albo jatecznem bydlęciem.

Nie jest więc autonomia najwyższym stopniem swobód narodowych; lekceważyć jej jednak nie można, raczej trzeba wielce szanować, ponieważ jest ona ziarnem, z którego kiedyś wyrosną doskonalsze formy współżycia narodów.

Najnowsza historia posuwa się, jakby w dwu kierunkach. Z jednej strony widzimy autonomizowanie się, uniezależnienie, nie tylko prowincji państwowych, ale nawet gmin, które dążą do

osiągnięcia najwyższego stopnia samorządu. A z drugiej znówu strony państwa samodzielne twórczą związki, na rzecz których każde zrzeka się części własnej samodzielności.

Przykładem stopniowego usamodzielniania się prowincji są, choćby hrabstwa angielskie re-jencye pruskie, ziemstwa rosyjskie; przykładem kojarzenia, choćby państwka które utworzyły cesarstwo niemieckie. Stany Zjednoczone, związek kolonii wielko-krytańskich, Szwajcarya, wreszcie Austria są wymownymi ilustracjami dwu dążeń: do autonomii małych społeczeństw i do wiązania państw w większe całości.

Nie ma powodu, dla którego Rosya nie miałaby przyjąć udziału w tym ruchu i z państwa samowoli biurokratycznej nie stała się wielkim związkiem narodów rządzących się autonomicznie. Nie rozumiem więc, dlaczego my Polacy nie mielibyśmy nie tylko należeć do podobnego związku, ale, być jego najgorliwszymi apostołami, najwinniejszymi obrońcami.

Oto odpowiedź dla tych Rosyan, którzy wyobrażają sobie, że dla Polaków autonomia jest tylko szczeblem do zdobycia całkowitej państwowej niepodległości. Zanim zgromadzilibyśmy się do wykonania podobnych zamiarów, już Rosya, pod wpływem wolności i cywilizacji, przekształci się tak, że Polacy zrobiliby zły interes wyłączać się z związku jej narodów.

Wolność, cywilizacja no, i wszelka tona uczciwość oto sposoby rozwiązywania najtrudniejszych kwestii politycznych. Dowodem tego jest chociażby konstytucja nadana przez Anglią Boerom, którzy, dzięki mądrości angielskiego rządu i wzniołej szlachetności króla Edwarda, z wtórajszych wrógów stali się przyjaciółmi Anglii.

Cudowne zwycięstwo!... Jego zaś sekret polega na tem, że zarówno naród angielski, jak i jego wielki król, rządząc ludami, nie idąc wbrew naturze, ale w kierunku jej wymagań. Nie wynaradawiają tylko, zbliżają, nie gwałcą, lecz wymierzają sprawiedliwość.

Dobrze!... powie kto. Autonomia pięknie wygląda w teorii a orzajmniej gdzieś daleko. za górami za lasami... Zachodzi jednakże kwestya: czy autonomia jest potrzebną w Królestwie Polskiem, czy istnieją jakieś praktyczne konieczności do wprowadzenia jej?...

Owszem istnieją realne powody, które streścić można w zdaniu, że: rządy biurokratyczne rozpadają się i już nie tylko nie mogą w kraju zaprowadzić ładu, ale nawet zapewnić mieszkańcom bezpieczeństwa.

Wiemy, że we wszystkich prawie miastach, we wszystkich powiatach grasuje bandytyzm i koniokradytstwo. Jedne i drugie pochodzi z osłabienia policji, która albo nie umie dać sobie rady ze złodziejami i bandytami, albo straciła moralną powagę, nie budzi szacunku w hultsiach. Dla czego?... Choćby dla tego, że, jak świadczy p. G. Godlewski, na przykład — w powiecie miechowskim, policja około roku 1894-00 sama przyjmowała udział w koniokradytwie, co wykazało śledztwo. Zaś w roku bieżącym, wprowadzie policja miechowska gorliwie śledzi i chwytą złodziei, ale za to sądy albo uniewinniają oskarżonych, albo skazują ich na kary najniższe.

Znany złodziej pobytowy kradnie konia, idzie do kozy na trzy miesiące, potem wraca do domu i do swojej specjalności... Czy to ma być zabezpieczeniem społeczeństwa?

Inny przykład. We wschodnich powiatach gub. lubelskiej bank włościański nie udziela poży-

1. Die erste Aufgabe ist die, die Bedeutung der Begriffe "Politik" und "Politikwissenschaft" zu klären. Die Politik ist die Kunst, das Beste für die Gemeinschaft zu erreichen. Die Politikwissenschaft ist die Wissenschaft, die sich mit der Politik beschäftigt.

sin i

BOOK W/ CS

czego na kupno ziemi włościanom katolikom. Rezultatem zaś tej polityki jest... osiedlanie się w tamtych stronach kolonistów niemieckich, którzy w pewnych gminach stanowią już od 15 procentów do 41 proc., zaludnienia!...

Tak więc z obawy przed słabym polonizmem, biurokracja otworzyła drzwi potężnemu germanizmowi... A co będzie na wypadek wojny z Prusami, gdy dodamy, gdy dodamy, że owi koloniści osiedlają się w pobliżu dróg żelaznych?...

Na system walki z naszą narodowością wszelkim orężem, nie wyłączając religii, ciekawe rzucił światło p. H. Radziszewski w artykule: „Koszt utrzymania prawosławia w Królestwie Polskim”. Wykazał on mianowicie, że, kiedy w Cesarstwie, ojczyźnie prawosławia, — „obsługa religijna jednej duszy prawosławnej kosztuje 33 kopiejki rocznie, to obsługa jednej duszy prawosławnej w Królestwie kosztuje z górą 3 ruble 10 kop. czyli — dziesięć razy więcej”...

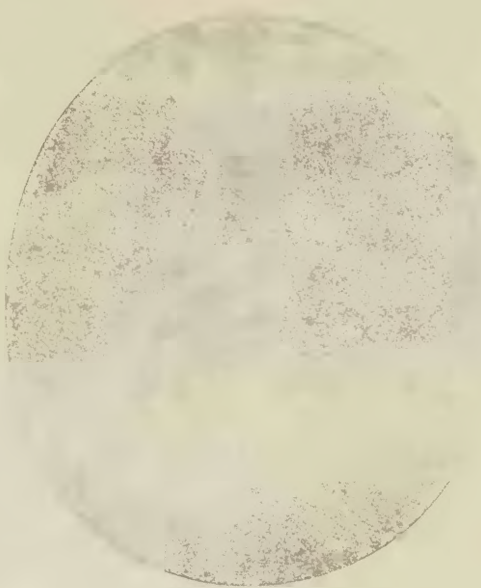
Z tych cyfr autor wyprowadza wniosek: Według normy dla Cesarstwa — „utrzymanie Kościoła prawosławnego w Królestwie powinno kosztować około 100,000 rubli; a ponieważ kosztuje 1,042,000 rubli, przeto prawie o milion rocznie za dużo... Ot — i jedna z oszczędności, którą ministrowi finansów załeciliby można, ażeby utrzymanie Królestwa nie sprawiło mu tyle kłopotów”...

Słowem system rządów biurokratycznych nawet w dziedzinie religijnej dokonywa nadmiernych wydatków. Cóż więc musi się dziać w innych dziedzinach?...

Jak dalece zachwiana jest powaga władzy, dowodzi następujący, nieprawdopodobny wypadek. We wsi Sławinku, o 5 wiorst od Lublina, dla schwytania *jednego* bandyty, który zamknął się w mieszkaniu kowala, oprócz policy i kozaków, sprowadzono trzy kompanie piechoty, saperów i... działą szybkostrzelne... Wywiązała się formalna bitwa z jednym człowiekiem, w ciągu której piechota dała osiemnaście salw karabinowych, zaś armata wypuściła dziewięć pocisków! Innych mniej ciekawych szczegółów nie powtarzam.

Pytam się: jakim sposobem porządek w kraju może utrzymać policja, która dla ujęcia *jednego* bandyty naraża na podobne nieprzyjemności piechotę i artylerię?... I czy można dziwić się gdyby wojsko takie sprawy traktowało jak zabawę? co zapewne nie przyczyni się do podniesienia karności.

Zdaje się, że wystarczy kilka powyższych przykładów, ażeby zilustrować prawdę, że — zarówno biurokratyczny system rządów jak i jego wyko-



ADAM ORDYNAT ZAMOYSKI.

nawców trzeba powoli zmienić w Królestwie Polskim.

Ale czy zgodzi się na to Rosya?... Czy autonomia Polski nie będzie sprzeczną z jej najważniejszymi interesami?...

P. Puryszkiewicz i politycy jego szkoły stanowczo odpowiadają, że: tak... że autonomia Polski i innych narodów podbitych przez państwo rosyjskie stanie się jego zagładą. A tymczasem p. L. Straszewicz, pierwszorzędnny publicysta, wypowiedział w *Słowie* pogląd wprost przeciwny, naszym zdaniem słuszny.

Według Straszewicza Rosyę czeka jedno z dwojga: albo decentralizacja, albo — upadek. Biurokracja rosyjska — mówi — zorganizowała państwo jak najdogodniej dla siebie. Rządziła wszystkim z Petersburga, bo tak jej było najlepiej. Wydała prawa powszechne, jednakowe dla centrum i dla wszystkich kresów, bo to jej strawiło najmniej fatygi, bo nastrój ten był dla niej najzyksowniejszy.

Dzięki temu — „Rosya ma najbogatszą stolicę, w niej najwspanialsze opery; najkosztowniejsze restauracje — za to w guberniach z najżyźniejszą na świecie glebą lud marnieje w nędzy, mrze z głodu. A to wcale nie wypadek. Tak być musiało i tak być musi” — jast to bowiem konieczne następstwo rządów centralistycznych, w państwie bardzo obszerne i różnorodne.

To też „Gdyby nawet samowola Petersburga i jego wykonawców nie była wyczerpała cierpliwości Wielkorusów i nie wywołała rewolucji i wtedy biurokracja doszłaby do fizycznej nie-

możności dalszego bytu... Jeszcze trochę a ministrowie nie mieliby czasu dotknąć się każdej sprawy palcem... Wszystko musieliby załatwić ich pomocnicy, a potem pomocnicy pomocników, tłum drobiazgu urzędniczego, nieodpowiedzialnego, niewykwalifikowanego... I zamiast decentralizacji istotnej, potrzebnej, twórczej, wytworzyłaby się decentralizacja kancelaryi z jej nieodzownym następstwem-chaosem”...

Dziś biurokracja chce wziąć sobie do pomocy Dumę w Petersburgu. Ale i tej Dumie grozi takie same niebezpieczeństwo: nie będzie miała, jak już i nie ma ani siły, ani zdolności do wykonania wszystkich ciążących na niej obowiązków — gdyż — „owocna praca w jednej instytucji dla tak obszernego państwa jest nie do pomyślenia”.

W rezultacie — kończy Straszewicz — „w Rosyi musi być tyle sejmów prawodawczych, ile prowincji kulturalnie odrębnych. Duma zaś petersburska winna mieć w kompetencji swojej tylko sprawy ogólnie państwowe, jak siły zbrojne, dyplomacja, cła i t. p.

Za decentralizacją przemawia jeszcze i drugi wzgląd, nie mniej ważny. Rosya wogóle a także i Wielkorusya posiada za mało ludności na zaspokojenie swoich własnych, najistotniejszych potrzeb, a tymczasem i tę nieliczną ludność rozprasza się bądź na kolonizację ziem odległych, bądź na rządzenie ludami obcymi. Może to dogadzać sztucznie rozbudzonym ambicyom narodu rosyjskiego, ale też i popycha go do ruiny!... A oto przykład:

Kiedy w Saksonii na 1 kilometr kwadratowy przypada 77 osób należących do ludności rolniczej, a w Belgii aż 91, to w Rosyi europejskiej na 1 kilom. kwadr. przeciętnie mieszka 19 osób należących do ludności rolniczej. Dla dobrej zaś uprawy ziemi winnoby mieszkać na kilometrze co najmniej 37 osób ze stanu rolniczego.

Otóż przyczyną ekonomicznej ruiny Rosyi: za mało rąk do pracy nawet w rolnictwie!... A cóż dopiero mówić o rzemiosłach, przemyśle, oświacie, komunikacjach, zdrowiu publicznym i t. p.?... Przy obecnym systemie centralistycznym Wielkorusya prosto marnuje swoje ludzkie zasoby, wytacza ze siebie krew, aby innym narzucać urzędników i za tę cenę kupować... ogólną niechęć...

Są więc poważne, głębokie przyczyny, które Rosyę muszą doprowadzić do uczciwej i mądrej decentralizacji. A w takim razie złożony przez Koło Polskie projekt autonomii dla Królestwa jest niby wezwaniem do reform, nie tylko potrzebnych dla szczęścia ludów, ale i dla egzystencji państwa.

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

BYLI I BĘDĄ

POWIEŚĆ Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI. 16)

— Kiejnel! — zawołał Rosenblat i szepnął żonie.

Po chwili wniosła coś, owiniętego w papier.

— Niech pan do herbaty dla tatki zanieśli — rzekła. — To nasza szabasowa chała.

Po chwili wahania Kostuś podziękował i zabrał dar. Miał szczerzy zamiar przyniesienia do domu, ale idąc na Maryensztat, ułamał kawałek, zjadł, ułamał drugi i trzeci i, gdy wchodził na trzecie piętro do Horbaczewskiej, już wyrzucił pusty papier. Ale był

syty, tak syty, jak dawno nie pamiętał. Horbaczewska zajmowała cztery pokoje, zwykle tak pełne ludzi, że w nocy zajęte były wszystkie łóżka, kanapy, i zestawiano krzesła na prowizoryczne pościelenie.

Mieszkała właściwie sama i utrzymywała stancję dla uczniów, ale zajeżdżali do niej z Litwy krewni i znajomi, przesiadywali tygodniami bezdomni wygnańcy, wracający z Syberyi, lub tacy, którzy nie mieli gdzie się podziać.

Oprócz tego stale miał u niej kwatery

w stancyi chłopców siostrzeniec Korewo, a w jej sypialni Ludka Borzobohata, daleka krewna, kształcąca się w śpiewie i muzyce.

Horbaczewska nie miała żadnego funduszu, żyła literalnie z opatrności, niefrasobliwa, zawsze spokojna, rada każdemu pomódz, obyć się byle czem. Nie troszczyła się, gdy nie płacono za chłopców, nie odmówiła nigdy nikomu gościny, sucha, siwa, ruchliwa, paliła papierosy, piła bezustannie herbatę i zawsze była zajęta cudzą troską i potrzebą, a znała z końca w koniec całą Litwę, stosunki,





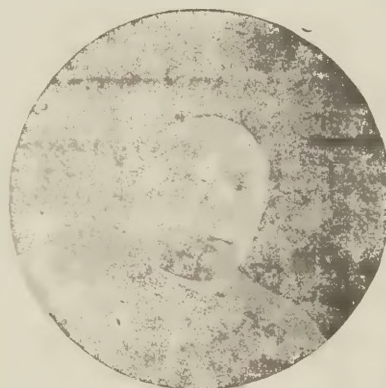
Ks. Franciszek Wojtulewicz, proboszcz parafii Niepok. Poczęcia w South Chicago.



Ks. J. Rzakowski, Fot. J. Sowiński.



Ks. Jaksztys, proboszcz parafii litewskiej w Worcester (Massachusetts).



Ks. Franciszek Gordon, proboszcz parafii Św. Stanisława Kostki w Chicago.



Ks. Józef Falta, Fot. J. Sowiński



Ks. Wacław Kruska, proboszcz z Ripon (Wisconsin) aut. „Historii polskiej” w Ameryce.



Ks. Stanisław Nawrocki, proboszcz parafii N. M. P. w Chicago.

Ks. Wyziecki, proboszcz parafii Św. Stanisława w Brooklynie.

wszystkich, zarówno świeckich, jak duchownych, bardzo tu zazdrośnych o swoje prawa, przywileje, o swoją znajomość stosunków.

A jednak, jeżeli nie w ten, to w zbliżony sposób sprawa oddawna zostaje na razie złatwana. Zapowiedziany jest przyjazd do Stanów Zjednoczonych ks. arcybiskupa Webera, b. sufragana lwowskiego, który przed niedawnym czasem wstąpił do zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, przyczem jednakże na zasadzie specjalnego pozwolenia Stolicy Apostolskiej nie stracił godności arcybiskupiej, a przyjeżdża tu w charakterze specjalnego delegata do spraw polskich. Jako taki, realnej władzy posiadać nie będzie żadnej; można go tylko uważać za pośrednika pomiędzy tutejszymi Polakami katolikami a Rzymem; można też spodziewać się, że, dzięki swej wysokiej godności, będzie miał wpływ na biskupów tutejszych we wszystkich zatargach, dotyczących Polaków. Przyjazd zapowiadany jest od paru miesięcy, skutkiem czego miejscami zapatrują się nań sceptycznie; ja zaś podaję tę wiadomość ze źródła najlepszego, bo bezpośrednio od ksks. Zmartwychwstańców z Chicago. Wiadomość ta komentowana jest w kołach polskich mniej lub wyraźniej niechętnie,

w zależności od tego, czy chodzi o duchownych, czy o świeckich. Przybycie do Ameryki, jako delegata apostolskiego, ks. Zmartwychwstańca wzmacnia ogromnie pozycję zakonu, który, jak to już zaznaczyłem wyżej, popularnością się nie cieszy.

W każdym razie nominacja ks. arcybiskupa Webera nie jest i nie może być ostatecznym rozwiązaniem sprawy biskupstw polskich w Ameryce, jest raczej tylko chwilowym jej odroczeniem. Jeżeli ta istotna potrzeba katolickiej ludności polskiej zaspokojona nie zostanie, prędzej czy później pragnienia jej wybuchną z nową siłą; przewlekane jest tu wodą na młyn Kościoła niezależnego.

O Kościele tym nie prawie powiedzieć nie mogę. Bezpośrednich informacji ze źródła nie mam, a to, co o nim słyszałem od ludzi świeckich, których bynajmniej o klerykalizm posądzać nie można, nie zachęcało mnie do bliższego zbadania tej kwestii. W ich oświeceniu Kościół niezależny jest dziełem kilku ambitnych jednostek z pośród kleru, w ten czy w inny sposób poróżnionych z hierarchią katolicką, które osobistymi wpływami pociągnęły za sobą część niewielką zresztą świeckich. Jak dalece ci się w sprawach teologicznych nie orientują, dowodzi

fakt, że kiedy proboszcz niezależny najwspanialszego kościoła w Detroit nawrócił się przed śmiercią, nawróciła się wraz z nim cała parafia i z dnia na dzień z niezależnej stała się rzymsko-katolicką. Widać stąd wyraźnie, że nie mamy do czynienia z poważnym żywiołowym ruchem ludowym, który zasługiwałby na baczniejszą uwagę. Muszę też dodać, że parę pism „niezależnych“, które miałem w ręku, odznaczały się taką gburowatością tonu, takim dobozem wymysłów, że są jaskrawym dowodem niskiego poziomu kulturalnego wyznawców tego Kościoła, który pod tym względem można uważać tylko za wyraz uwstecznienia obyczajowego. Z tych pism najniższego typu wyprowadziłem wniosek, że szkoda poprostu czasu na badanie rozłamu, którego za poważny uznać nie mogę.

Tak się przedstawiają stosunki kościelne w Polsce amerykańskiej. Wspomniałem już, że Kościół jest tam potęgą; jednym ze źródeł tej potęgi jest fakt, że wszystkie szkoły polskie dotąd w jego znajdują się ręku. Szkolnictwu następnym poświęcę artykuł.

LUDWIK WŁODEK.

BOLESŁAW PRUS: KRONIKA TYGODNIOWA.

Jak w słotnym i mroźnym, śnieżystym marcu zdarzają się dni wiosenne, tak w smutnem życiu uciskanych społeczeństw trafiają się wypadki pomyślne. Wówczas na chwilę opadają mgły zwątpień, ukazuje się słońce, niebo i szeroki horyzont, który, wcześniej czy później, zazieleni się i nowem życiem zakwitnie.

Parę takich chwil miałem w ostatnich czasach, więc chcę podzielić się niemi z czytelnikiem, ażeby i on odczuł, że aczkolwiek bardzo daleko do prawdziwej, wielkiej cywilizacji, to jednakże... przedstawiamy jakąś niejako wartość!...

Najśladniejszej radości doznałem z powodu zachowania się Koła Polskiego w Dumie, choćby

przy okazji rozpraw nad powiększeniem rocznego kontyngentu rekrutów. Dla grupy politycznie nie-dojrzałej, uganiającej się za taniemi efektami, była to cudowna sposobność do nawymyślenia rządowi, do pokazania Rosji co znaczą nasze głosy?... wreszcie dla złożenia w obec całego świata egzaminu z krótkowidztwa... Otóż, wszystkich tych niebezpieczeństw Koło Polskie uniknęło, oświadczając przez usta posła Konica, że, jakkolwiek Polacy stoją w opozycji wobec oieźyczliwego sobie rządu, to jednak, dla „dobra Rosji i bezpieczeństwa państwa“, kędą głosowali za wnioskiem rządowym...

Mądrość Koła uwydatni się tem silniej, gdy

dodam, że—losy wniosku, tudzież istnienie Dumy tym razem bez żadnej wątpliwości należały od zachowania się polskich posłów. Za wnioskiem głosowało 193, przeciw—123. Gdyby więc 43 głosy polskie stanęły przeciw projektowi rządowemu, za wnioskiem byłoby tylko 150 głosów, przeciw—166 i prawdopodobnie Duma zostałaby rozwiązana...

Ilu tym krokiem zdobyliśmy śmiertelnych wrogów i rządzie i wśród społeczeństwa rosyjskiego, jak surowo potępiły nas rozsądek ucywilizowanego świata, o tem nie może być dwu zdań. Dzisiaj zaś, im wyraźniej zarysowuje się fizyognomia Koła Polskiego z jednej, a „prawdziwych

W Warszawie, dnia 14 października 1944 r.

Do Państwa

Wobec braku możliwości dostarczenia Państwu w tym czasie materiałów, które Państwo zamówiło, proszę o wybaczenie. Materiały te zostaną Państwu dostarczone w najbliższym czasie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

W tym celu proszę o wybaczenie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wobec braku możliwości dostarczenia Państwu w tym czasie materiałów, które Państwo zamówiło, proszę o wybaczenie. Materiały te zostaną Państwu dostarczone w najbliższym czasie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

W tym celu proszę o wybaczenie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.



Wobec braku możliwości dostarczenia Państwu w tym czasie materiałów, które Państwo zamówiło, proszę o wybaczenie. Materiały te zostaną Państwu dostarczone w najbliższym czasie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

W tym celu proszę o wybaczenie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.



Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Wierzę, że Państwo wyrozumie.

Rosyan" — z drugiej strony, tem jaśniej widać, że — gdy „prawdziwi Rosyanie” pracują nad zacyfowaniem i rozkładem Rosyi, to Polacy, pomimo opozycji w obec rządu, robią tylko to, co naprawdę może zreformować, wyswobodzić i wzmocnić Rosyę.

Niektóre pisma mniemają, że rozumne zachowywanie się Koła Polskiego, tak niezgodne z teoryami choćby *Gazety Polskiej*, jest rzeczą przypadkową, że brak obmyślanego programu ze strony Koła zmanifestuje się przy łada sposobności i na wielkie nieszczęścia może narazić nasz naród.

Tak sądzące pisma mają słuszość w jednym punkcie, nie mają w drugim. Mają słuszość, że postępowanie Koła nie godzi się z teoryami narodowo-demokratycznymi; nie mają słuszości przypuszczając, że dotychczasowa działalność Koła składa się z samych przypadków...

Czy zachowanie się Koła, choćby w sprawie „ekrówkiej”, jest owocem jakiegoś obgadane go i spisanego planu — nie wiem. Może być, że takiego stanu nie ma. Ale to nie ulega wątpliwości, że — dotychczasowa polityka Koła jest wyraźna, mądra i logicznie rozwijająca się, czego o teoriach „różnych partii” a w ich liczbie i narodowo-demokratycznej powiedzieć nie można.

Nie wchodzę w rozbiór szczegółowej rozmaitych momentów Koła, wskażę tylko jej punkty wytyczne, które chyba wszyscy widzą.

1. Zasada solidarności posłów, przeciw której walczyli postępowi demokraci, a bez której Koło Polskie byłoby — nie jak dziś — żywym i zdrowym organizmem, ale — kupą śmieci...
2. Samodzielność wobec rozmaitych partii rosyjskich, bez której upominanie się o autonomię byłoby pustem krzykaniem.
3. Wyraźne solidaryzowanie się z wolnościowym ruchem rosyjskim.
4. Wyraźne zaznaczenie życzliwości dla narodu rosyjskiego, lecz... nie ze szkodą dla innych narodowości, dla których Koło ma również życzliwość.
5. Wyraźna opozycja wobec niechętnego rządu, obok nie mniej jasno zaznaczonej dbałości o państwo rosyjskie.
6. Miarkowanie ruchu reformatorskiego. Zalecanie reform nie tylko pożytecznych, ale i wykonalnych.
7. Bardzo umiarkowany projekt autonomii Królestwa Polskiego, silnie uwzględniający interesy państwowe.
8. Przyzwoite traktowanie rządu.
9. Brak jałowych manifestacji.
10. Znajomość kwestyi, o których się rozprawia.
11. Nie mieszanie się do walk między rosyjskimi stronnictwami.

We wszystkim tem niema śladu „egoizmu narodowego”, ale jest wysokie poczucie godności narodowej, które tylko sympatye może zjednać Kołu Polakom. Jest bowiem olbrzymia różnica pomiędzy „egoizmem” a „godnością”. Egoizm krzyczy; jam najmędrzy, najlepszy, mam jedyne prawo do bytu a innych niech dyabli wezmą!... Zaś godność narodowa mówi: chcę żyć i pozwałam żyć innym; chcę zaspokoić moje potrzeby, lecz uznaję potrzeby innych; upominam się o moje prawa, lecz nie zaprzeczam praw cudzych.

Wszystkie te cechy Koła Polskiego dla naszych czytelników nie stanowią chyba niespodzianki. Podobne bowiem zasady głosiłem zawsze i podobną taktykę w polityce rekomendowałem od chwili wyborów do pierwszej Dumy. Na to istnieją dowody w kronikach. Ciesząc się więc z postępowania Koła, nie potrzebuję „składać mu hołdów, jak to ogłosił *Goniec*, ale tylko stwierdzam, że unika pomyłek i nie sprowadza na nas klęsk.

Pochodzi to stąd, że Koło Polskie nie słucha podszeptów, jakieś partyjnej teorii, ale 1-mo kocha swój naród, 2-do kieruje się zwyczajnym ludzkim rozsądkiem, 3-io zdaje sobie sprawę ze stosunków realnych. Jest to polityka najprostsza i... najlepsza, nie wymaga machiawelskich talentów,

ani bismarkowskiego wygrażania pięściami, a czasem może wydać dobre owoce.

Drugą radość sprawił mi 25-cio letni jubileusz „Kolonii letnich” w Warszawie. Jak dotychczasowe zachowywanie się Koła Polskiego dowodzi, że jesteśmy zdolni do działań politycznych, do pilnowania naszych interesów na zewnątrz, tak znowu historia „Kolonii letnich” przekonywa, że umiemy dobrze prowadzić nasze sprawy wewnętrzne.

Echem tej umiejętności, tej, „nowej polskiej gospodarki”, jest książka d-ra Klemensa Łazarwicza p. t. „25 lat działalności Towarzystwa Kolonii letnich w Warszawie”. Jest to historia czcigodnej choć skromnej instytucji, w której jasno, jak słońce świeci prawda, że: Polacy, o ile im kto nie przeszkadza, a nawet mimo przeszkód, starają się przyjmować udział w ruchu cywilizacyjnym, w szlachetniejszych zamierzeniach ludzkości; że posiadają ludzi, którzy nie tylko umieją zrobić plan praktyczny dla osiągnięcia jakiegoś celu, lecz i umieją go, przez cały szereg lat, wytrwale urzeczywistniać; że, kiedy chodzi o cel szlachetny, nie brak ludzi gotowych składać ofiary pieniężne i ofiarę z własnych trudów, że nareszcie ci biedni Polacy niekiedy umieją obserwować, ważyć, rachować i wyprowadzać wnioski.

Celem Kolonii letnich jest — wywozić na wieś, na kilka tygodni, dzieci ubogie i słabowite. Rezultatem wyjazdów jest, szybki przyrost sił i ciała, zwiększenie na dłuższy czas ogólnej odporności organizmu, wreszcie, niewątpliwe wznowienie umysłowe i moralne duszy dziecka. W ciągu czterotygodniowego pobytu na wsi dziecko zyskuje 3 do 5 funtów wagi, co jest niezwykłym przyrostem, który jeszcze utrzymuje się przez kilka miesięcy. A dalej, te same dzieci, które przy pierwszym badaniu lekarskim są białe i mają robactwo we włosach, po powrocie z kolonii, mają się starannie, używają szczotek do zębów i upominają się o otwieranie łuków, czego zazwyczaj unika się w mieszkaniach biednych rodzin... Zapoznają się też ze zwierzętami, roślinami, pracami wiejskimi i rozmaitymi zjawiskami natury te nieszczęśliwe dzieci miejskie, z których wiele nie wie skąd bierze się mąka? jak wygląda sosna, albo jak zachodzi słońce?..

Pamiętam historię Żydka, który, s'ysząc nad sadzawką Saskiego ogrodu dukać żab, zapytywał: czy to kukawka?..

Inicjatorem, wynalazcą kolonii letnich jest ks. Walter Bion, Szwajcar. Tym, który ideę Bio-

na przeniósł do naszego kraju i tu ją zaszczepił, jest dr. Stanisław Markiewicz. On w roku 1879 w odczycie: „O szkole i zdrowiu” zwrócił uwagę na ważność kolonii letnich, on rozbudził uwagę publiczną w roku 1881 artykułem: „Chcemy mieć kolonie dla ubogich dzieci”; on w kwietniu 1882 roku zorganizował pierwszy komitet i wysłał na wieś pierwszą partię w ilości 54 dzieci. On przez 25 lat był prezesem i duszą instytucji, która ogółem wysłała około 40,000 dzieci. Przez cały ten czas towarzyszyła mu w pracach doktorowa Jadwiga Pawińska.

Czy mam wymieniać szlachetnych ofiarodawców, którzy pieniędzmi, darami w naturze, gościnnością, a nawet utrzymywaniem kolonii na własny koszt umożliwili rozwój instytucji?... Albo tych przeznacznych lekarzy i filantropów, którzy służyli koloniom pracą wytrwałą, cichą, a tak użyteczną?... Zrobię lepiej: przypomnę jeszcze raz książkę d-ra Łazarwicza, którą istotnie warto przeczytać, a tak mało ona kosztuje, bo tylko pół rubla... Jest to przecie pomnik czcigodnej i mądrej pracy, pomnik „polskiego gospodarstwa”, w nowym stylu...

Na posiedzeniu jubileuszowym, podczas którego dr. Markiewicz otrzymał dobrze zasłużony adres i tytuł członka honorowego, p. Józefa Szembeko przeczytała barwny obrisek, który nazwać by można: „Zosia na letniej kolonii”. Otóż owa Zosia zapytana, przy pierwszym badaniu lekarskim:

— Więc w tej suterynie mieszka tylko was sześciu, z mamą i już nikt więcej?..

— Nikt więcej — odpowiedziała — tylko jeszcze babcia, dwie panny i jeden kawaler...

Pyszny rys ztósunków mieszkaniowych!

Zosia, w czasie pobytu na kolonii, dwa razy płakała. Pierwszy raz dlatego, że... nie mogła jeść tyle, ile jej dawano... Dzieci jedzą tu po pięć razy na dzień — pisała do matki — a ja nie mogę!... Rzecz prosta: nie mogła z początku jeść, gdyż była zagłodzona...

Drugi raz płakała... Ale to bardziej skomplikowana historia. Na trzy dni przed powrotem ze wsi do Warszawy, w nocy, dozorczyńni usłyszała szlochanie dziecka... To Zosia kłęczy na łóżku, trzymając w ręku medalik, modli się, i płacze...

— Co tobie Zosiu?... — pyta dozorczyńni.
— Ja proszę Matki Boskiej, ażeby z tych trzech dni, zrobiło się jeszcze trzy tygodnie... Czy, proszę pani, w żaden sposób nie można tu zostać dłużej?... — pyta rozpaczające dziecko.

— Nie można Zosiu, nie można w tym roku, bo inne dzieci czekają... Ale za to na przyszły rok powrócisz tutaj...

Dziecko uspokoiło się.

Ale — kończy autorka — pomimo obietnicy Zosia w tym roku — nie pojedzie na kolonie, ponieważ Towarzystwu... zabrakło środków... Rzeczywiście ze sprawozdania widać, że w tym roku ubyło 142 członków i jest przeszło 5,000 rubli deficytu... A że koszt utrzymania dziecka przez cztery tygodnie wynosi około 15 rubli, więc łatwo obrachować, że w tym roku będzie o 330 miejsc mniej na koloniach, aniżeli w zeszłym...

Mówiąc o pomyślnych objawach społecznych należałoby jeszcze zwrócić uwagę na dwa projekty: 1-mo. Bolesława Zdziańskiego, redaktora *Echa Płockiego*, który napisał i uzyskał legalizację ustawy: „Polskiej Macierzy małopolskiej” i 2-do. Projekt p. Romana, w *Kurjerze Polskim*, aby zawiązać: „Stowarzyszenie nauki czytania i pisanja polskim sposobem Promyka” (Konrada Przószyńskiego).

Oba projekty mają pierwszorzędną doniosłość. Z braku jednak miejsca musimy odłożyć je do następnego tygodnia.



Wszystkie sprawy
dotyczące
Wojny, w Warszawie
rozstrzygnięte są
w sposób
satisfakcyjny.

Wojna, w Warszawie
rozstrzygnięta
w sposób
satisfakcyjny.

Wszystkie sprawy
dotyczące
Wojny, w Warszawie
rozstrzygnięte są
w sposób
satisfakcyjny.



Wojna, w Warszawie
rozstrzygnięta
w sposób
satisfakcyjny.

Wszystkie sprawy
dotyczące
Wojny, w Warszawie
rozstrzygnięte są
w sposób
satisfakcyjny.

Tu przemawiają do niego spólcześni własnemi tusty, szczerze i otwarcie. A więc druh dozgonny, słynny poseł do Sejmu, Walenty Zwierkowski (przeszło 300 listów i notatek); więc sędziwy generał Lafayette; Worcell Stanisław; Karol Edw. Wodziński; Wincenty Tyszkiewicz; Leonard Chodźko; generał Dwernicki—antagonista; poseł Hłuszniewicz; Ignacy Domeyko; Eustachy Januskiewicz; obaj Mochnacy: Maurycy i Kamil; Antoni Ostrowski; Odyniec; Waleryan Pietkiewicz; wydawca „Pamiętnika Emigracyi“, Michał Podczaszyński; Roman Sołtyk; przyjaciółka i wielbicelka Eliza z Nowowiejskich Mickiewiczowa; brat Jan Lelewel, podpułkownik sztabu inżynierii, na emigracyi zaś—kierownik departamentu komunikacyi Rzeczypospolitej Berneńskiej, ukochany przez emigracyę wojskową pułkownik Roślakowski; publicysta Stanisław Bratkowski i t. d. i t. d.

Niepodobna prowadzić dalej rozległego spisu korespondentów, wśród których jest cały owocny kwiat narodu polskiego, są najznakomitsi ludzie Francyi, Włoch, Niemiec, Belgii, jest liczna rzesza tego „pospolitego ruszenia“ emigracyi, co oczekiwało z ubogiej brukselskiej izdebki Lelewela hasła, aby iść na bój—za wolność ludów.

JAN ZAKRZEWSKI.

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

„Wyobraźmy sobie—mówi Konrad Pruszyński—naród, w którym tylko co czwarty człowiek ma słuch a trzy ćwierci wszystkich ludności od są od urodzenia głuche i nieme. Jakaż w takim głuchym narodzie może być oświata? Jaka wiadomość i pojęcie o samych sobie? o swoim bycie, położeniu, stosunku do świata i do innych narodów? Jaka może być zdolność do kierowania swemi losami?... O ile zaś lepiej stoi słyszący od głuchego, lub nawet widzący od ślepego, o tyle lepiej stoi i tyleż samo ma przewagi człowiek czytelny a tem bardziej—piśmienny nad nieczytelny“.

Sztukę czytania i pisania Prószyński nazywa: „szóstym zmysłem“ i mówi dalej: „A jakaż dopiero ma przewagę, o ile jest silniejszy naród sześciomysłowy od pięciomysłowego, naród czytelny i piśmienny nad nieczytelny“!

Bardzo piękną, silną i prawdziwą jest nazwa sztuki czytania i pisania: *szóstym zmysłem* a wprost potężnem jest zestawienie dwu narodów: takiego, który ma pięć i takiego który ma aż sześć zmysłów!.. Ale zdaje mi się, że nawet te metafory jeszcze nie zupełnie malują praktyczną ważność czytania i pisania.

Spojrzymy na wielkiego mówcę: zachwyca on, wrzesza, nawraca—ilu?... kilkaset, parę tysięcy słuchaczy. Lecz gdy jego mowę popularny dziennik wydrukuje, wówczas dowiedzą się o niej, zrozumieją i odczują nie tysiące, ale setki tysięcy a może i miliony czytelników. Czyli—jeżeli mowa ustna rozlewa się na odległości kilkudziesięciu kroków, to mowa pisana może obleci całą ziemię, wszystkie jej punkta, w których mieszkają ludzie posługujący się danym językiem. Doświadczył tego na sobie Pruszyński: gdy „w ciągu półtorej godziny nauczał nieczytelną rzeszę czytania i pisania siedmiu głosek“, wiedziało o nim paręset osób zebranych w muzealnej sali w Warszawie. Lecz gdy poglądy i zapowiedzi jego przedstawił w formie piśmiennej *Kurier Polski*, odbiły się one echem aż w Ameryce... Ale o tem później...

Umiejętność więc czytania i pisania pozwala myśli ludzkiej ogarniać *wszystkich* umiających czytać obywateli pewnego narodu a w niektórych wypadkach—całą ludzkość czytelną... Nie na tem jednakże koniec. Dzięki umiejętności czytania,

wiem nie tylko to co myślał, czuł i pragnął człowiek oddalony ode mnie o kilkaset i tysiące mil, ale jeszcze i to co myśleli, czuli i czego pragnęli, czego obawiali się ludzie już od setek lat nie żyjący!... I jeszcze nie koniec. Sztuka bowiem czytania pozwala mi porozumiewać się z największymi duchami ludzkości. Skromny, mały człowiek, nie wychodząc ze swego pokoju, może przyjmować udział w pracownych badaniach uczonego, genialnych pomysłach wynalazcy, dumanach filozofa, szalbiertwach dyplomaty, natchnieniach poety, w modlitwach świętego... Twórców tych nigdy nie widział, ogromna ich większość oddawna nie żyje!... A mimo to, dzięki sztuce czytania i pisania te wielkie dusze niby mieszkają między nami, cieszą nas, udzielają porad, podnoszą nas na wyżyny swej własnej nieśmiertelności...

Jeżeli dzisiejszy człowiek ucywilizowany może powiedzieć o sobie, że jest potęgą i cudem wśród natury, zawdzięcza to niewidzialnej sieci, którą sztuka pisanie i czytania połączyła go z najdosłojniejszymi duchami ludzkości. A jeżeli ogromna większość ludzi tonie jeszcze w morzu barbarzyństwa, jedną z ważnych przyczyn tego jest, że—albo nie umieją czytać, albo, umiając, wypełniają nieszcześnie umysły śmieciami, nie zaś klejnotami...

Słowem naród „czytelny“ i umiający ma nie tylko „szósty zmysł“ ale i coś więcej a mianowicie—wspólny świat między, uczuć i pragnień ma—duszę...

Owa zaś „dusza zbiorowa“, nawet pod względem ilościowym, coraz to inaczej wygląda u rozmaitych narodów. Np. w Szwecyi na 1000 rekrutów umie czytać 999 i prawie to samo w Niemczech; w Szwajcaryi z 1000 rekrutów umie czytać 978 we Francyi 945. Za to w Grecyi z 1000 umie czytać tylko 700 w Serbii około 200, w Rosyi około 300 i toż samo u nas; jeżeli nie jeszcze mniej.

Z 1000 mężczyzn młodych i zdrowych 700 zupełnie nie umieją czytać, zaś 300 może i umieją, ale... nie czytają, oto liczbowy obraz naszej „duszy narodowej“!... Cyferki te nabiorą poważniejszego a nawet alarmującego znaczenia, gdy pomyślimy, że mieszkający wśród nas Żydzi prawie wszyscy umieją czytać, pisać i rachować w swoim języku, który zdaniem znawców, tworzy bardzo wygodną kładkę do niemiecczyzny!...

Takim jest owoc apuchtinowskiego systemu edykacyi: tępiło się oświatę polską, „słowiańską“ a pielęgnowało się żargon niemiecki. Dzięki czemu na 8 do 9 milionów ludności polskiej i „słowiańskiej“ mamy około 6 milionów nie umiejących czytać, duchowo rozbrojonych, pozbawionych jednego zmysłu, jak mówi Pruszyński. Zaś obok tej masy nieszczęsnych, z łaski „systemu“, ślepców. żyje 60 milionów wysoko oświeconych, czyli potężnie uzbrojonych Niemców, a wewnątrz tej masy niby miecz wbity w ciało, mieszka półtora miliona Żydów, duchowo najzupełniej obcych, nawet wręcz niechętnych i posiadających ów „szósty“ zmysł, którego nam brakuje!

Jest to położenie okropne, z którego wyjście stanowi dla nas potrzebę pierwszorzędną, sprawę życia i śmierci. Musimy nauczyć się czytać, pisać i rachować, jak najprędzej, ponieważ każdy rok zwłoki, każdy rok dalszego zastoju robi nas coraz słabszymi, coraz mniej zasadnymi wobec niebezpieczeństw zewnętrznych i wewnętrznych.

Lecz jakże prędko nauczyć można cały naród czytania i pisania?... W Galicyi pracują nad tem już 40 lat, a mimo to liczba nieczytelnych wynosi 60 na stu mieszkańców.

„Jeden człowiek—mówi Prószyński—dobrze obeznany z „Obrazdwą nauką czytania“, łagodny i wyrozumiały, jeden taki człowiek niech tylko sto dni poświęci na wędrowki z obrazami i „Obrazo-

wą nauką“, to będzie mógł sto gromad ludu w tyłuż wsiach i miastach uczynić czytelnymi i piśmiennymi. Gdyby zaś znalazło się choć dwustu takich ludzi w dziesięciu guberniach zwanych dziś Królestwem Polskiem, to mieliby możliwość wszystek w nich lud w ciągu jednego półrocza czytać i pisać nauczyć“.

Słyszac podobną obietnicę, człowiek mimowoli przypomina sobie wykrzyk Archimedes: dajcie mi punkt podpory, a ruszę ziemię z posad!... W ten sposób Archimedes chciał odmalować potęgę obmyślonych przez siebie machin i prawie w ten sposób Prószyński maluje łatwość i prostotę obmyślanej przez siebie metody czytania.

„Gdyby to powiedział kto inny—pisze Straszewicz—uśmiechnęlibyśmy się lekceważąco nad nieprawdopodobnem twierdzeniem: dwustu ludzi może nas uwolnić od klęski nieczytelności w ciągu sześciu miesięcy!... Za pół roku możemy dorównać narodom najszcześliwszym, uajwiększym!... Ale to mówi Promyk, autor elementarza może najlepszego na świecie. On zna się na tem lepiej od nas wszystkich, on dłużej i głębiej myślał nad sprawą oświaty, niż ktokolwiek z nas. Jego zapewnienia nie wolno zbyć pośpiesznym sądem. Słowa promyka winny oblecieć całą ziemię polską. Bo jeśli się nawet bardzo pomylił, jeśli zaniści dwustu, trzeba dwu tysięcy pracowników, a zamiast sześciu miesięcy, sześciu lat, to i wtedy wieść to nad inne radosna“...

Któż to jest ten Prószyński ten „Promyk“ któremu tak ufa, tak wielkie na nim nadzieje ciera *Kurier Polski*?... Nie piszę tu tego, lecz wskażę najwydatniejsze punkta działalności istotnie niezwykłego człowieka.

Urodzony na Litwie, Konrad Prószyński, dzieckiem będąc, musiał z rodzicami wyjechać na Syberję, gdzie przez kilka lat borykał się z biedą i ciężkim trudem. Gdy stanął na warszawskim bruku, ośrazu wziął się do pracy nad oświatą ludu i tej idei służy do dzisiejszego dnia, zgórą przez lat tygodzieści. Przez ten czas wydał 26 roczników *Gazety Świątecznej* kilkanaście kalendarzy i mnóstwo książeczek dla ludu. Wiele z nich pisał sam np. o instytucjach kredytowych, sprawach gminnych, służbie wojskowej i t. p. Dla mnie miarą jego zdolności popularyzatorskich i sumiennosci w opracowaniu tematów jest książka: „Jak się żywimy, a jak żywić się i o co starać się trzeba“?... Czytając to, od pierwszej stronicy widzi się, że autor gruntownie zapoznał się z kwestyą pokarmów, przedstawił ją za świeżej pamięci, kiedy go bardzo zajmowała i podniecała.

Najważniejszą jednak zasługą Prószyńskiego są, elementarze. Obmyślił ich kilka, każdy coraz lepszy. Jeden z nich wyszedł w 925.000 egzemplarzy i otrzymał pierwszą nagrodę na wystawie londyńskiej. Później ogłosił Promyk: „Obrazową naukę czytania i pisanie“, która przynajmniej na mój rozum, jest ostatniem słowem elementarza. Obecnie zaś, jak dopełnienie tej książki, zapowiedział wydanie: „Obrazów do nauki czytania i pisanie polskim sposobem K. Promyka“. I te właśnie obrazy, razem z „Obrazową nauką“ mają być narzędziem przy pomocy którego: „Dwustu ludzi w ciągu półrocza miałyby możliwość wszystek nasz lud nauczyć czytać i pisać“...

Wracam do kwestyi: co warta jest tego rodzaju obietnica?...

I odpowiadam szczerze: jest warta bardzo dużo... Przedewszystkiem Prószyński zna się na sprawie uczenia czytać i pisać, a dalej, jest to człowiek wiarogodny. Mało go znam niestety! lecz i przy tej małej znajomości uderzył mnie w nim jeden szczegół: jest to człowiek, który, zanim odpowie na pytanie, namyśla się... Rozmowa taka może być zabawną, ale charakter taki, nie spotyka się codziennie. Jest to cenny charakter!...

[Faint, mostly illegible text in the upper section of the page, possibly bleed-through from the reverse side.]

[Faint, mostly illegible text in the lower-left section of the page.]

[Faint, mostly illegible text in the lower-middle section of the page.]

[Faint, mostly illegible text in the lower-right section of the page.]

Do tego „namysłania się” dodajmy: niezmęczoną, niewyczerpaną pracę i wytrwałość posuniętą do zaciętego uporu, a będziemy mieli parę rysów duszy człowieka, który powiedział, że: nasz naród w pół roku możnaby nauczyć czytać, rozumie się, jego metodą.

Na czymże polega ta cudowna metoda?

1. Usuwa „nazywanie” liter i sylabizowanie. Dzięki bowiem nazywaniu liter i sylabizowaniu uczący się czytać trafia co kroku, nieustannie, na takie np. potworności:

Ce-zet-ek-o czoło, *wu-i-e-ka* wiek, człowiek...

Prószyński twierdzi bardzo słusznie, że tego rodzaju metoda (której następnie dziecko musi się oduczać) nie tylko zabiera mnóstwo czasu, ale jeszcze zniechęca.

2. Promyk zanim przystąpi do nauki czytania, uczy rysować takie oto proste przedmioty jak: koło, nożyczki, widły, topór, z czego później niby niechęć robi się: O, X, Y, b i t. p.

3. Przy pomocy obrazków: A-dam, E-wa, O-ko, U-cho... i odpowiedniego układania ust uczy samogłosek: *a-e-i-o-u*.

4. Gdy uczeń poznał już samogłoski i nauczył się pisać ich (jest to *niezbędny warunek* metody), nauczyciel pisze i każe mu rysować głoskę: *l*. Pyta: co to za głoska? naturalnie uczeń nie wie. Wówczas nauczyciel pokazuje wyrysowany ul, a pod nim wyraz: *ul*. Uczeń wymawia ten wyraz i po paru próbach poznaje dźwięk: *l*.

W taki sam sposób przy pomocy rysunku: *osy* i odpowiedniego napisu, uczeń poznaje literę *s*, którą poprzednio wyrysował. Gdy zaś zna pięć samogłosek i dwie spółgłoski: *l* i *s*, wówczas może czytać odrazu, na pierwszej lekcji takie oto wyrazy, jak: las, lis, osa, osy, sala, lala, sos, osy u osi...

W ten sposób uczeń poznaje wszystkie pozostałe litery, bezpiecznie i z pomocą nauczyciela, gdy zdolniejszy — i bez nauczyciela. Trzeba przyznać, że metoda jest genialna. Stworzył ją też człowiek cierpliwy po 30 latach pracy.

Najmocniej przepraszam czytelnika, jeżeli go znudziłem. Dziś jednakże, kiedy już nam wolno choć trochę uczyć się, praca nad rozpowszechnie-

niem czytelnictwa jest najpierwszym narodowym obowiązkiem. Byłoby zaś zbrodnią dalsze przemilczenie metody Promyka, która nie tylko uczy najłatwiej i najprościej, ale jeszcze i najweselsiej.

Dotychczas sprawę upowszechnienia metody Promyka najgorliwiej popierał *Kurier Polski*, którego współpracownik p. M. Roman wystąpił z bardzo doniosłym projektem, ażeby utworzyć „Stowarzyszenie nauki czytania i pisania polskim sposobem Promyka.”

I projekt ten, i „Obrazowa nauka” już zwróciły uwagę publiczną. Dr. Chybczyński z Józówki złożył pierwszą ofiarę w kwocie 9 rb., dr. Ignacy Baranowski z rodziną i domownikami ofiarował 120 rubli, wreszcie, nie licząc sum drobniejszych, p. A. A. Paryski, redaktor i wydawca polskiego tygodnika *Ameryka-Echo* przeznaczył 1000 rubli i jeszcze 200 rubli na cel powyższy.

Cześć Konradowi Prószyńskiemu, niestrudzonemu działaczowi, twórcy genialnej metody!... Cześć tym, którzy pomagają mu będą w wykonaniu wielkich zamiarów, w „nauczaniu nieumiejętnych,” jak mówi katechizm.

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

BYLI I BĘDĄ

POWIEŚĆ Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI. 17)

Marynia szyla, lub robiła kwiaty, Kostuś odrob.wszy zadania, pomagał ojcu.

Wokoło stołu siedzieli, a za stołem była stara ceratowa kanapa, a nad nią, wyżej, sztych Lituanii. Góty, a niżej dwa dagierotypy, te same, przed którymi dzieci w Grelach odmawiały swój pacierz. Teraz jeden z nich otaczał zaschły wianuszek kwiatów, jakichś obcych, z grobu matczynego, w tajdze syberyjskiej.

Wuj Stanisław bywał w Warszawie dość często i bawił po parę tygodni. Mało się zmienił przez te kilkanaście lat. Osiwiał wtedy przy tem krzyżowaniu chłopskim, potem przebył lat parę zagranicą, wreszcie wrócił do swego Skarbowca. Zastał ziemię i niebo, wszystko zniszczone, zburzone, straszną pustkę. Jednocześnie spadła nań sukcesja po stryju. Myślano, że majątki sprzeda i, jako magnat, osiadzie zagranicą. Ale on cały kapitał włożył w dźwignięcie majątków i stał się dobrodziejem chłopów.

Jurjewicz mawiał:

— Jakże chcecie, omal z niego nie zrobili Chrystusa. Wywdzięcza się! Nie domęczyli, bo widocznie Żydów nie mieli do pomocy.

Profesor Przyrębki nie mógł nigdy zrozumieć, jak można uważać za swoich takich chłopów, którzy są prawosławni i Rusini.

W chwili gdy Kostuś wszedł, profesor opowiadał:

— Tam już naleźliśmy tylko mchy i pełzające krzaczaste brzoźki, rósł też w szczelinach suchy żółty kwiatek, rodzaj arniki...

Jurjewicz spojrział na wchodzącego syna i rzekł:

— Cóż, przepędzili trędowatego od Horbaczewskiej?

— Kogo?

— Ano, nihilistę.

— A Wołodźko się zabił! Wiecie?

— Wiemy. Księżę panie Kochanku powiedziałaby, że to bardzo zacny człowiek, bo mógł zastrzelić ciebie albo mnie, a on na sobie poprzestał, szkoda chłopca, paskudnie się zaplątał.

— A co będzie ze ślepą matką i siostrą?

— Byłem u nich! — rzekł Hlebowicz. — Byliśmy razem z Marynią. Zapiorę je do siebie.

Kostuś spojrział na siostrę: szyla coś czarnego, oczy miała zaczerwienione.

— Z tymi kramolnikami my się nigdy nie porozumiemy — rzekł Jurjewicz. — Była ich cała paczka z nami w Barchańsku, przychodzili do mnie, gadali. Żeby jeden miał klepki w porządku! Żaden się do roboty nie brał, żaden ładu w głowie nie miał. Przynosili mi robotę: jakieś rysunki, modele, albo ustnie tłumaczyli. Wszystko to miały być jakieś instrumenty, maszyny, sposoby mordowania, jedno rozrywało, jedno paliło, jedno truło. Jakem zaczął kiedyś jednemu rachować, ile on swoją maszyną uśmierci, to coś wyszło na sto tysięcy. Cieszył się i ręce zacierał. Byli tacy, co pisali, smarowali papieru ryzy. I to znam, bo mi czasem do przepisywania przynosili. Wszystko było: mierzost', i na wszystko: naplewat', wszystko trzeba zniszczyć, wszystko: dołoj. A już najciekawsza była kategoria mistyków: jakiego oni Pana Boga sobie komponowali, to już zdrowy rozum wcale pojąć nie mógł.

— To wódka ich otrula! — rzekł profesor, oni wszyscy są dziedziczni alkoholicy.

— Wołodźce może kazali popełnić mord! — rzekł Hlebowicz.

— Nie może być! To młodzi, szlachetni ludzie! — przerwała Marynia.

— Może być! — gwałtownie wtrącił Kostuś. — Lisiecki dowodzi, że po pas we krwi trzeba brodzić.

— To, to, to! Jakbym słyszał Dochturowa — rzekł Jurjewicz. — Był tam z matką. Dowodził, że trzeba wszystko bogatszym odebrać, a jak stara mówił, że nie da swej pierzyny, to mówił: to zarzną mamę, i słusznie!

— To straszne! — rzekł profesor.

— Straszne, nie straszne — odparł Jurjewicz. Byleśmy mogli na to z boku patrzeć, a sami się różnić nie dali.

— Ba — wtrącił Hlebowicz, tylu naszych tam jest, w szkołach, na urzędach, w zarobku!

— Przyjdzie dziś tu Lisiecki? — spytał syna Jurjewicz.

— Nie!

— Boisz się go? — spytał Hlebowicz.

— Ja! — zaśmiał się powstaniec. — Mój drogi, ja i strach. A cóż mnie już nastraszyć może! Turmy znam, etapy znam, katorgę znam i posilenie. Majątek wzięli, Stępkę wzięli, dzieci nie wezmą!

— Nie wezmą? — szepnął Hlebowicz.

— Nie. Upilnuje ich to!

Wskazał oczami sztych Lituanii i dagierotyp. Dzieci spojrzały mu prosto w oczy, poważnie.

— Rozmówiłem się z Lisieckim. Już on do nas nie przyjdzie — rzekł Kostuś — Nie chcę być w takiej robocie. Ja się też nie lękam, ale nie mogę przyjaźnić się z takim.

— Musiałeś dziś dużo z Duszka rozmawiać! — rzekła Marynia.

— Tak jak Wołodźko, skończyć nie myślę. Cóż to, tak ci żal, że Lisiecki nie przyjdzie?

Podniosła nań oczy zdumiona.

— Czegoś taki zły?

Burknął coś i odszedł do drugiego pokoju. Profesor zaczął się żegnać. Jurjewicz zasiadł u biura i zajął się jakimiś meldun-



MARSYLIA ZA CZASÓW
GRECKICH



MONTENARD

BOLESŁAW PRUS: **KRONIKA TYGODNIOWA.**

Czy znacie naszą wieś?... Przedewszystkiem jest ona dwojaka: „pańska“ i chłopska, dwór i chata.

Wieś „pańska“ czyli dwór, odznacza się dużymi budynkami, z których nie jeden bywa muryrowany. Do budynków prowadzi zazwyczaj dobra droga, przed domem widać trawniki, ozdobne krzaki, niekiedy stare lipy i kasztany; za domem często znajduje się ogród owocowy i warzywny, niekiedy sadzawka. W domu są ciepłe, czyste i wygodne pokoje z odpowiednimi sprzętami.

Piwnica, w dzisiejszych czasach może nie obfituje w kosztowne trunki, za to w spiżarni jest pyłtowy i pszeniczny chleb, w lodowni masło i mięso, w kurnikach drób, w sadzawce ryby. Piece grzeją, nie dymią, lampy jasne, woda do picia zdrowa i smaczna, wszędzie czystość... Fortepian, szafa z książkami, na stołach gazety i ilustracje... Przecież młodszym dzieciom jest nauczycielka lub nauczyciel, starsze uczą się w mieście, w szkole średniej lub wyższej, niekiedy za granicą.

Tak wygląda nasz wiejski dwór; ale chata, ale wieś prezentują się zupełnie inaczej. Drogi, idące przez wieś i do wsi są ohydne: zawsze pełne wybojów, pełne kurzu w lecie, a na wiosnę i w jesieni zalane błotem, sięgającym do osi wozów. Przy drogach ani śladu drzew owocowych, są niekiedy wierzby, ale najczęściej usychające kije, smutna pamiątka drzew połamanych, porąbanych, obdartych ze skóry.

Chaty nie duże, ciasne, zimne i brudne. Przed chatami nigdy nie wysychająca gnojówka, która bardzo często zakaża wodę w płytkich studniach. Budynki tak sknupione, że gdy w jednym wybuchnie pożar, pali się całe gospodarstwo, albo i cała wieś... W lochu kartofle, w spiżarni—złe upieczony chleb razowy, na ścianach bohomyzy...

Książek ani śladu, chyba czasem trafi się do nabożeństwa.

W sadzie napół dzikie drzewa owocowe i parę zagonów jarzyn w ordynarnych odmianach. Dzieci biegają po błocie, albo pasą gęsi i świnię.

Gdy przyjdzie list, nie ma go kto przeczytać, a tem mniej napisać odpowiedzi. Gdy zdarzy się bardziej zawile kupno, sprzedaż, zapłata procentów, nie ma kto zrobić rachunku. Skrzywdzi kto chłopą, zostają mu dwie drogi do satysfakcji; zemsta, albo pojedynek sądowy pod kierunkiem pokątnych doradców.

Skąd to pochodzi?... Z prostych przyczyn. Nie tylko stąd, że dwór ma kilkanaście albo kilkadziesiąt włók ziemi, podczas gdy chłop posiada kilka lub kilkanaście morgów, ale i stąd, że gdy ziemia dworska, dzięki umiejętnej uprawie rodzi ośm i dziesięć ziarn z jednego, ziemia chłopska przynosi cztery lub pięć ziarn.

Nakarmże z tego siebie i parobka, zasiej, kup szmatę i obuwie, a nadewszystko—zapłać podatki!... I jeszcze nie koniec na tem. Chłopska bowiem ziemia, szczupła i źle uprawiona, bardzo często leży daleko od chaty, składa się z kilku lub kilkunastu kawałków rozrzuconych i pomieszanych z cudzemi. Spróbuj-że w tych warunkach nie marnować siły roboczej, nie trwonić nawozu, nie stracić części zbioru i nie klócić się z sąsiadami...

O gorzka, o nędzna dolo chłopska!...

Czy to już wszystko?... O nie!... Ponieważ na wsi obok gospodarzy mających kilkanaście czy choćby kilka morgów chudej ziemi, istnieją i muszą żyć bezrolni, nie posiadający nawet zagony gruntu, nawet dachu nad głową.

Za granicą wieśniak bezrolny, dzięki szkolom elementarnym, umiejący czytać, pisać rachować,

nawet trochę rysować, gdy nie znajduje korzystnej pracy przy gospodarstwie, wynosi się do miasta, za-ila rzemiosła, przemysł, handel, poprawia własny byt i służy własnemu społeczeństwu. U nas chłop, jeżeli przenosi się do miasta, zostaje w najlepszym razie stróżem, zazwyczaj proletaryuszem. A ponieważ miasta nasze mogą zatrudnić ledwie część nieoświeconej ludności wiejskiej, więc ogromna ilość, dziesiątki i setki tysięcy bezrolnych albo małorolnych, uciekają za granicę, do Niemiec albo i za ocean...

Od przejścia słupów, od zajęcia miejsca w pruskiej kolei żelaznej, zaczyna się wyzysk, oszukaństwo, krzywdzenie na wszelkie sposoby naszych biednych emigrantów. A jednak, pomimo tak strasznych warunków, wśród nędzy i upokorzeń, jeszcze tam zarabiają więcej, aniżeli w ojczyźnie...

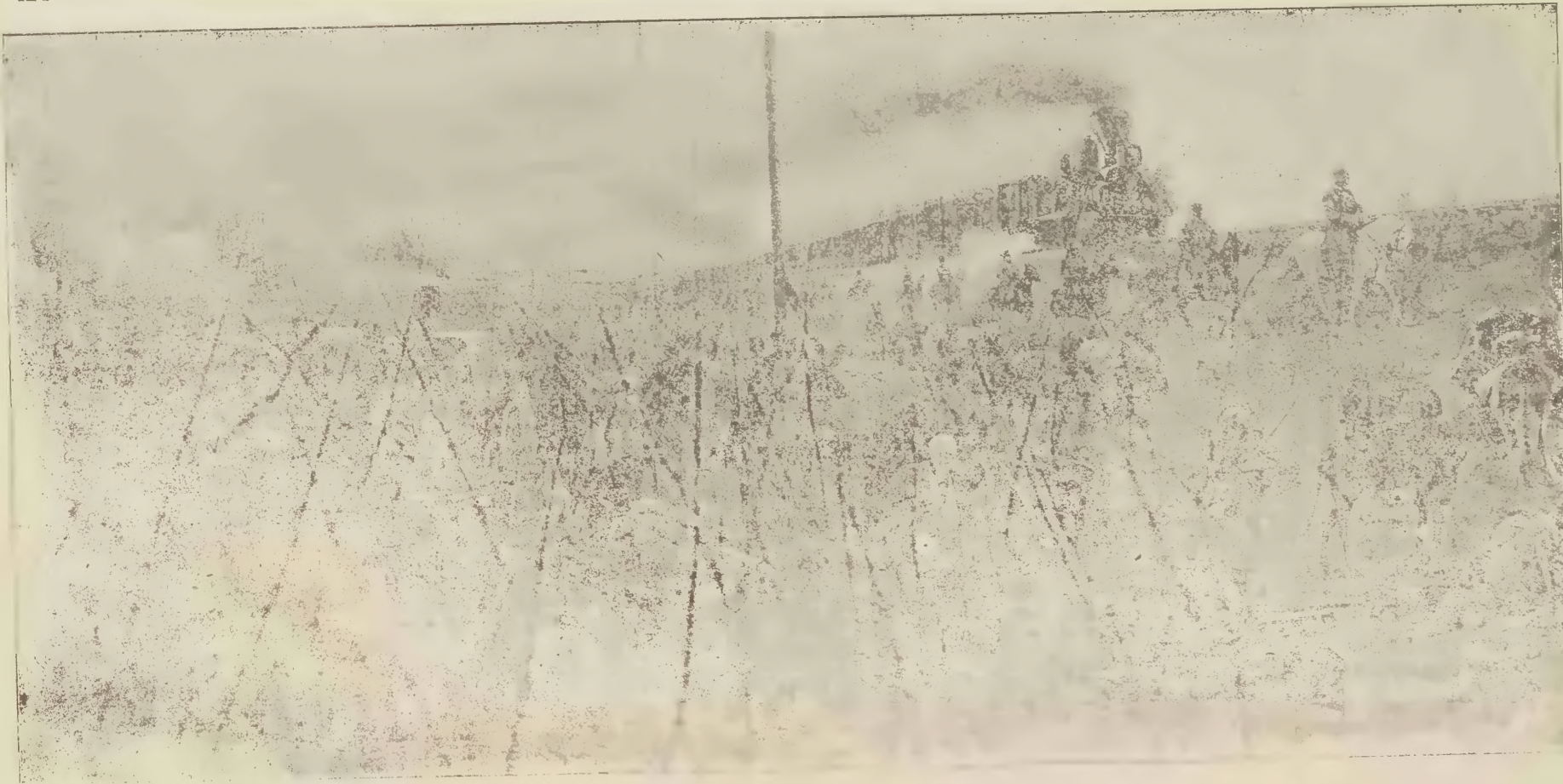
Niektórzy przywożą lub przysyłają pokaźne sumy: kilkadziesiąt, czasem wyżej sta rubli za jeden sezon. Lecz jednocześnie wielu marnuje się, a praca wszystkich służy obcej ziemi i obcym ludom.

Wielki to skandal, wielki występki wobec teraźniejszości i przyszłości, ta albo niepotrzebna, albo nadmierna emigracja naszego ludu, a co gorsze: to zostawienie go między obcymi bez żadnej, już nie tylko opieki, ale nawet wskazówki... Obcy śpiewak albo muzyk, nawet koń wyśigowy, większą posiada sympatię u polskiej inteligencji, aniżeli chłop bezrolny, którego, choćby z okazji możliwych strajków na wsiach, tak czule nazywamy „bratem“...

Oj, brat!...

No, ale precz ze smutnymi myślami: już spada czarna zasłona przeszłości a niebawem podniesie się kurtyna nowych, lepszych czasów. Spróbujmy odgadnąć: jak one będą wyglądały, jak





ODWRÓT Z POD MUKDENU

W. MAZUROWSKI

powinnyby wyglądać, gdybyśmy pilniej wsłuchiwali się w głosy przestróg i zachęt...

...Oto polska wieś przyszłości. Dworów w niej mało: ruch bowiem parcelacyjny, już w naszych czasach, jest tak wytężonym, że, zanim 30 lat upłyną, może nie być własności wielkiej, kilkunastu i kilkudziesięciu włókowej. Tak, jeżeli się nie myle, obrachowywał, nie bez poważnych racyi, jeden z publicystów *Słowa*...

Następnie, w owej wsi, chaty, porządniejsze aniżeli dzisiaj, nie będą stały tak blisko siebie, jak obecnie. Jest to konieczny skutek zniesienia szachownic i komasacyi gruntów. Przy takim bowiem systemie każdy gospodarz będzie posiadał ziemię w jednym kawałku a w środku tej posiadłości ustawi budynek.

Rozpaczliwa dzisiejsza emigracja zmniejszy się: wieśniak bowiem bezrolny (otrzymawszy w domu naokół elementarną), będzie mógł przenieść się do miasta albo... pozyska możliwość kupienia ziemi do ilości 10 morgów...

— Tak!...—zawoia czytelnik.—Kupi chłop ziemię, ażeby zepracować się do śmierci na opłacanie wielkich rat i lichwiarskich procentów...

To się nie zdarzy. Instytucje bowiem parcelacyjne będą sprzedawały ziemię na dłuższe terminy i od swych klientów będą pobierały najwyżej—pięć procent...

Gieścieciarstwo parcelacyjne, które dziś wprost zarzyna chłopa, robi go niewolnikiem kapitału, nie będzie istnieć w owych przyszłych warunkach.

Tak tedy liczba bezrolnych zmniejszy się znakomicie, ale zwiększy się ilość gospodarstw dziesięciomorgowych. Wybornie!... Zkąd jednak wziąć ziemi i skąd pieniądze na jej kupno?

Ziemi dostarczą zbyt wielkie dzisiejsze folwarki, które bez przymusu i z największą dla siebie korzyścią wyzbędą się gruntów dalej położonych, a więc mniejszy dochód przynoszących. Zaś pieniądze dostarczą banki parcelacyjne, do których chętnie napływać będą nawet zagraniczne kapitały.

No, ale jeżeli nasz chłop ówczesny, przyszedłszy, będzie zbierał po pięć korcy ziarna z morgi, to kto wie, czy podoła wszystkim finansowym zobowiązaniom?...

Nasa przyszły chłop będzie zbierał nie pięć, ale piętnaście i dwadzieścia korcy z morgi, ponieważ—nauczy się gospodarować.

Gdzie? jakim sposobem?...

W wielu instytucjach i bardzo wieloma sposobami. Naprzód będzie mia, szkoły niższe rolnicze, nie tylko dla dzieci, ale i dla starszych. Dalej—będzie miał odczyty o bieżących kwestiach rolniczych, będzie miał pola doświadczalne, muzea i laboratoria, będzie odbywał wycieczki w kraju i zagrayicą dla poznania lepszych gospodarstw. Nareszcie ten chłop przyszły będzie sobie utrzymywał instruktorów rolnych i hodowlanych, ogrodników, rachmistrzów, agronomów, będzie miał wystawy gospodarcze, tudzież konkursy na projekta rozmaitych urządzeń małorolnych.

Rolnictwo bez przemysłu nie może rozwijać się mocno; przyszły więc chłop będzie posiadał w najbliższym sąsiedztwie maślarnie, olejarnie, suszarnie jarzyn i owoców, może nawet cukrownie, który będzie współwłaścicielem. Ażeby zaś mieć na każde zawołanie potrzebny zapas gotówki, ażeby wreszcie ubezpieczyć się od rozmaitych nieszczęśliwych wypadków chłop jutrzejszy będzie członkiem kas pożyczkowych tudzież towarzystw ubezpieczeń od gradu, pożaru, pomoru bydła nawet od chorób i śmierci ludzi.

Gospodarstwo bez lasu, to człowiek bez ręki, więc spółki włościńskie będą kupować lasy, a nawet zasiewać nowe. A ponieważ wolny obywatel musi ciągle stykać się z prawem, więc, ażeby nie wyzyskiwano chłopskiej pod tym względem niewiadomości, będą istniały—biura porady prawnej.

Nareszcie, ponieważ handel, przemysł i rolnictwo potrzebuje wygodnych komunikacji, więc od jednej wsi do drugiej będą budowane szosy.

— Cóż to za wizje jasnowidzącego, czy jasnowidzące?... spyta czytelnik.

To nie są wizje, to jest: 1-mo obraz mniej więcej rzeczywistych stosunków małorolnych, jakie istnieją w Niemczech, Danii, Francji nawet w Czechach, a 2-do są to cele niedawno zalegalizowanej w Płocku ustawy Towarzystwa pod nazwą: „Polska Macierz małorolnych“. Ustawę tę napisał i jej zatwierdzenie wyjednał p. Bolesław Zdziarski, zie-

mianin i redaktor *Ech Płockich* i bardzo słusznie nazwał ją: „najważniejszym zadaniem chwili obecnej w Polsce“.

„Zadania i cele Towarzystwa — mówi autor projektu — są tak olbrzymie, że doń przystąpić winni i chłop i więksi rolnicy i duchowieństwo i nawet mieszkańcy miast. Zadanie Towarzystwa jest tak wielkie, że przystąpić doń winny wszystkie partie; że wszyscy Polacy, rozumieją pożytek ze stowarzyszenia, minni, nie tylko sami do niego przystąpić, ale całą siłą i wszelkimi sposobami zachęcać i wciągać innych“.

Ustawa ogarnia całe Królestwo Polskie: „Gdzie zbierze się—pisze p. B. Zdziarski — grono osób życzących sobie zawiązać *Kóło Macierzy małorolnych* niech napisze list do mnie, a ja, jako założyciel Towarzystwa, zawiadomię władzę o tworzeniu się Kół. Gdy zaś w ten sposób powstanie szereg Kół miejscowych, wówczas delegaci ich wybiorą główny zarząd i radę Towarzystwa w myśl ustawy“.

Na początek miało utworzyć się *Kóło płockie*, a jego zebranie wyborcze organizacyjne miało odbyć się w dniu 17 maja r. b. w Płocku. Adres założyciela: Bolesław Zdziarski, Płock, Stary Rynek, 10.

Że cele Towarzystwa są bardzo ważne, bardzo użyteczne, o tem chyba nie może być dwu zdań. Czy cele te są możliwe do osiągnięcia?... na to odpowiada przykład całej zachodniej Europy, gdzie podobne ulepszenia, albo już oddawna zostały wprowadzone, albo wprowadzają się ciągle.

Ale zachodzi inna kwestja. Plan jest olbrzymi, potrzebuje mnóstwa pieniędzy, setek tysięcy, jeżeli nie milionów uczestników i nie tylko bardzo umiętnego, ale i bardzo wytrwałego kierownictwa, bardzo usilnych prac. Otóż, czy my potrafimy, czy jesteśmy zdolni, do urzeczywistniania tego rodzaju i zakres planów?... to dopiero przyszłość pokaze.

Tymczasem z całego serca życzymy powodzenia.







ZBUDZENIE WIOSNY

T. F. CATCHPOLE

BOLESŁAW PRUS: KRONIKA TYGODNIOWA.

Pewne pismo ze słuszną goryczą, choć niepotrzebną złośliwością w taki sposób charakteryzuje dzisiejsze społeczeństwo rosyjskie:

„Najwidoczniejszym rezultatem rewolucji rosyjskiej jest wyzwolenie w społeczeństwie, zarówno w warstwie inteligentnej, jak w masach ludowych, dzikich, zbrodniczych instynktów... „W szeregach bandytów (znajdują się) obok robotników inteligentni młodzieńcy“... „W napadach na kasy i mieszkalka prywatne biorą udział członkowie partyi, w znacznej liczbie studenci, a nawet gimnazjiści i wychowawcy seminariów duchownych“... Wśród ludu, „walka partyjna przeniosła się na wieś i przybrała okrutną formę wzajemnego podpalanta: monarchiści podpalają socjalistów, socjaliści monarchistów“...

Następuje cytata z dziennika rosyjskiego: „Chuliństwo, najdziksze wybryki, rabunki, kradzieże, pijaństwo i wprost małpia rozpusta szerzą się w taki sposób, że należy obawiać się najgroź-

niejszych z tego następstw dla całej Rosyi“... „Wszystko to już zaczyna doprowadzać „wyzwolonych“ do obłąkania przybierającego formy epidemiczne“...

Wszystko to jest święta prawda. „Społeczeństwo rosyjskie, naprawdę“, wychodzi ze szwów i staje się coraz bardziej tłumem, w którym jednostki zdziczały i „wyzwolone“ ze wszystkich norm prawnych i etycznych, mogą swobodnie zapokajać swe anarchiczne popędy“.

Wszystko to prawda i prawdy, którym nie można zaprzeczyć; szkoda tylko, że autor nie wprowadził z nich należytego wniosku.

A naprzód—nie ma się co wytrząsać nad udziałem rosyjskie młodzieży inteligentnej w bandytyzmie, ponieważ niestety! i nasza młodzież inteligentna przyjmowała niekiedy udział w bandyckich operacjach. I rosyjskie i nasze dzieci, jednakowo w tym razie nieszczęśliwe, wychowywały się pod naciskiem systemu pedagogiki poli-

cyjnej, która i wśród nas i wśród nich musiała jednakowe wymołać rezultaty.

Powtóre, a tenże nieszczęsny pomiędzy nieszczęsnymi chłop rosyjski, „rozpity, podpalający, rabujący“... czy on może odpowiadać za swoją choćby „małpią rozpustę“?... Autor musi należeć do młodszego pokolenia, więc już zayomniał, że nie tylko chłop podpalali, lecz podpalali także i bohater „prawdziwych Roszan Murawjew... Że nie tylko chłop rabują, gdyż, około 1870 roku, ówczesny minister oświecenia hr. Tołstoj wyasygnował 2000 rubli na obrabowanie Domku Gotyckiego w Puławach... Że nie tylko chłop domagają się wywłaszczenia szlachty, ponieważ około roku 1364, szczególnie na Litwie, wywłaszczano z majątków szlachtę, co prawda tylko... polską, ale za to bez wynagrodzenia i bez ceremonii.

A nareszcie co się tu dziwić pijaństwu chłop rosyjskiego, jeżeli w końcu XIX-go wieku, np. w Królestwie Polskim, towarzystwa anty-alkoho-

„liczne traktowano narówni ze spiskami. A zaś już w wieku XX jeden z ministrów czy towarzyszy ministra oświadczył dość publicznie, że, mahometanom nie warto dawać szkół, ponieważ oni, nie pijąc wódki, nie przyczyniają się do zwiększenia dochodów skarbu!...

Autor podkreśla wzrastającą liczbę obłąkań między „wyzwolonymi“... Zapóźno się spostrzegł!... Przecież cały dzisiejszy ferment niby rewolucyjny ma niewątpliwie cechy psychozy... Przecież co najmniej od kilkunastu lat stosunek samobójców wśród młodzieży rosyjskich zakładów naukowych jest przerażająco wielki, jest wiele razy większy, aniżeli wśród ludów najbardziej do samobójstwa skłonnych.

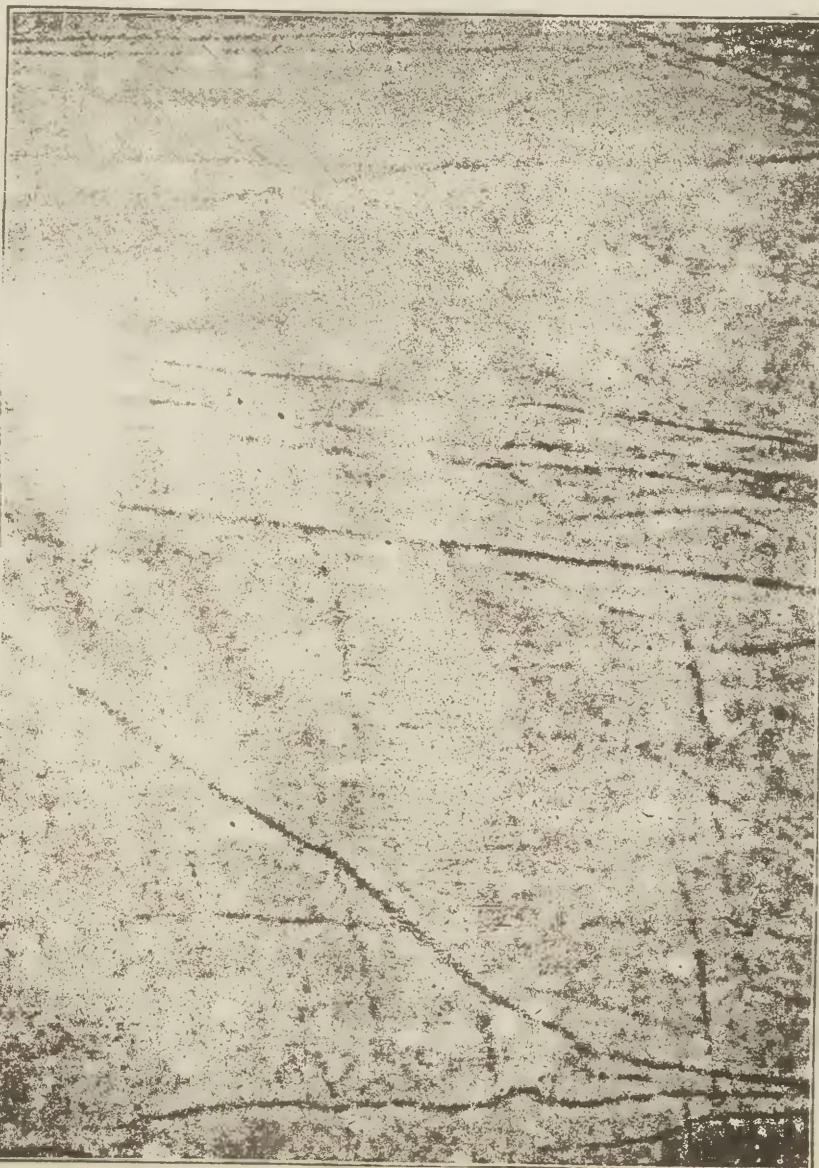
A lekceważenie nauki, nieledwie pogarda dla niej, zamiast podziwu i miłości, cechującej przecie wiek młodzińczy, nie jestże objawem psychopatycznym?... A gorączkowe zajęcie się młodzieży polityką, udział uczniów w zabójstwach, a nareszcie ten bezprzykładny strajk szkolny od Kalisza do Uralu, czy to nie jest choroba młodzieńczej duszy zbiorowej, choroba wywołana przez niemiłosierną pedagogikę policyjną, która posługiwała się szkołą i niby „nauką“ do powstrzymania i wykoszlawienia umysłowego rozwoju?...

Więc po co oskarżać, po co wydziwiać, czy to na młodzieżą, czy nad ludem rosyjskim, skoro wszystkie jego szaleństwa i dzikości, są bezpośrednim skutkiem systemu, w którym samowola zwyciężyła prawo a ucis deptał ludzką godność i duszę? System ten czuliśmy wszyscy, ale dopiero dziś zaczynamy go widzieć i pojmować w całej rozciągłości.

— No ale po co rozkopywać świeże groby—powie czytelnik. — Samowola biurokratyczna już się skończyła, już żyjemy w „państwie prawnym“, więc może należałoby zapomnieć o dawnych grzechach...

Nie ma chyba człowieka, któryby serdeczniej aniżeli ja pragnąłby zamknąć rachunki z gospodarką biurokratyczną, gdyby nie przypominała ona przy każdej sposobności, że nie tylko istnieje, nie tylko działa, ale działała, według dawnych metod, które tak zabójczymi okazały się zarówno dla państwa rosyjskiego jak i dla zamieszkujących go ludów. Wymowną ilustracją tej biurokratycznej wytrwałości jest: „Memoriał mec. Antoniego Osuchowskiego w sprawie Macierzy Szkolnej, posyłany do Króla Polskiego w Dumie“. Praca ta jest niby latarnią elektryczną, która oświeciła jeden kącik stosunków ministerium oświaty do naszego kraju. Mecenass Osuchowski, jako prezes Macierzy Szkolnej, zna dokładnie jej krótką historię, a jako prawnik zna ustawy obowiązujące i widzi sposób wykonywania ich w praktyce. Z tych zaś dwu rodzajów wiedzy urodził się dokument, jakiemu równego chyba trudno byłoby znaleźć w świecie ucywilizowanym.

Przypominam, że poniższy dramat, czy komedia, rozgrywa się w latach 1906-ym i 1907-ym, a więc w okresie czasu, kiedy Rosya ma się stać „państwem prawnym“, w którym niema miejsca na samowolę urzędników. Pamiętajmy, że Macierz Szkolna powinna korzystać ze swobód, zapewnionych wszystkim Stowarzyszeniom. Pamiętajmy, że dzisiejszą szkołę rządową w naszym kraju potępiał nawet feldmarszałek Hurko; że komisya włściańska pod prezydencją senatora Podgorodnikowa szkołę tą uważa za „fikcję, która nie czyni zadość potrzebom ludności miejscowej“. Do-



SKAŁY FARAGLIONI (CAPRI) PRZY ZACHODZIE SŁOŃCA.

dajmy jeszcze, że niezbyt dawno p. minister oświecenia ubolewał w Dumie nad ciemnotą mieszkańców państwa rosyjskiego i lirycznym tonem zachęcał posłów, ażeby trochę uwagi no—i pieniędzy—poświęlili potrzebom oświaty!...

Skąd powstała Macierz Szkolna?... Z gorącego pragnienia, z głodu oświaty przez nasz ogół, w którym 75 proc. mieszkańców nie umie czytać, a tylko szóstą część dzieci znajduje szkołę, notabędę szkołę złą, przeznaczoną do celów rusyfikacyjnych, ale nie do rozwijania umysłów i charakterów dzieci.

W jakim sposobie na nasze garnięcie się do oświaty na nasz głód duchowy odpowiadają władze, które tyle milionów wysyłają głodnym w Rosyi?

1-mo. Zarząd Macierzy podał prośby o otwarcie 1156 szkół, a tymczasem p. kurator okręgu naukowego warszawskiego zezwolił na otwarcie tylko 585 szkół. Cz może z obawy, ażeby skarb nie obciążać nowymi wydatkami? Nie, ponieważ szkoły Macierzy są utrzymywane z funduszy składkowych.

2-do. Prawo wogóle zezwala otwierać szkoły prywatne w miejscach, gdzie już istnieją rządowe, a Macierz, jako stowarzyszenie, ma w szczególności prawo otwierać szkoły wszędzie.

Pomimo to p. kurator nie pozwala Macierzy otwierać szkół tam, gdzie już istnieją rządowe, a popiera go w tym kierunku, sam p. minister.

3-cio. Największe trudności p. kurator stawia zakładaniu szkół w gub. lubelskiej i siedleckiej, bo tam—jakoby—ma mieszkać bardzo dużo „Rosyan“. Co mogłaby Rosyanom przeszkadzać oświata dzieci polskich?... jest to „naukowa“ tajemnica... Ale wiadome jest to, że np. w gub. siedleckiej ludność prawosławna tworzy 13,4 proc., a w lubelskiej 18 proc. ogółu. Czyli, według p. kuratora już 13 prawosławnych wystarcza, aże-

by 87 katolików nie miało możliwości uczenia się czytać i pisać w swoim języku! W Parczewie było jeszcze gorzej: tam na 4000 Polaków i katolików jest tylko prawosławny burmistrz i członkowie policyi, a jednak obecność ich już wystarczyła do uznania, że: „rodowitym językiem tej miejscowości jest ruski“!...

„Gdzie przejdzie koń Attyli, tam nie wyrośnie trawa“...

4-to. Według ustaw „świadcstwo prawomyslności“ składać powinni tylko nauczyciele szkół rządowych; tymczasem kuratorjum żąda takich świadectw od nauczycieli powołanych przez Macierz. Rezultat: z 266 podanych nauczycieli zatwierdzono tylko 61, dzięki czemu, cały szereg szkół nie mógł być w tym roku otwarty.

5-to. Macierz ma niewątpliwie prawo urządzania kursów dla dorosłych analfabetów, lecz okrąg naukowy, utrudnia wydawanie pozwoleń, nawet odwołuje się ów organ oświaty do policyi, ażeby zdusić oświatę. Dlaczego?... Ponieważ—objaśnia okrąg naukowy—„wieczorne kursa dla dorosłych, w obecnych czasach są niepożądane“. Czy więc bardziej jest pożądanem, aby ludzie ci, w braku zajęcia, pili, a może i spiskowali?...

6-to. Kary za tak zwane „tajne nauczanie“ już zostały zniesione; Monarcha w sprawie nauczania domowego wyraził się przychylnie. Pomimo to, „władze naukowe i administracyjne rozpędzają komplety domowego nauczania, pieczętują izby, i zabierają dzieciom elementarze“.

7. Nareszcie... arcydzieło pomysowości w celu upowszechnienia oświaty... Warszawski okrąg naukowy żąda, aby w szkołach Macierzy uczono przez 14 godzin tygodniowo języka rosyjskiego. Czyli, system pedagogiczny, który potępił nawet Hurko, nie mówiąc o Milutynie, system ten odżył w kilkanaście miesięcy po ogłoszeniu swobód konstytucyjnych, go w szkołach utrzymywanych z ofiarności społeczeństwa!...

Najcudowniejszy obraz gospodarki okręgu naukowego zachowałem na koniec. W 1899 roku było w Królestwie Polskim szkół 4371 z czego 313 szkół niemieckich i innych, 1153 chederów żydowskich, a około 2905 szkół, (co najwyżej) dla ludności katolickiej.

Otóż porównajmy te cyfry procentów, z procentami ludności różnych wyznań, a otrzymamy następujące wyniki:

Katolicy tworzą 76 proc. ludności, a ich szkoły 66 proc. Protestanci tworzą 5,31 proc. ludności, lecz ich szkoły 7 proc. Żydzi tworzą 14 proc. ludności, zaś ich szkoły 26 proc. ogółu szkół.

Innymi słowy: protestanci mają półtora raza, a Żydzi przeszło dwa razy więcej szkół, aniżeli ludność katolicka. Żydzi, przynajmniej w sferze oświaty elementarnej są ludnością w tym kraju uprzywilejowaną.

Mówiąc tak, nie zazdroszczę Żydom ich szkół, nie pragnę ich zamykać, nie twierdzę, że mają ich więcej nad potrzebę. Twierdzą tylko, że polska ludność katolicka i „słowianka“ jest w tym kraju—paryasem.

Słusznie więc mec. Osuchowski znakomitą pracę swoją zakończył słowami:

„Pomimo nowych prądów i zmian prawodawczych władze naukowe Królestwa Polskiego uporczywie stoją na dawnym sianowisku rusyfikacyjnym i bezwzględnie hamujący rozwój oświaty w naszym kraju“.





MÓJ DOM

WINCENTY WODZINOWSKI

Kiedy na ludzi spoglądasz, Wietrze prędkie, nie mów nigdy: tu kres ich tragedii! Bo nikt wśród wszechświata odgadnąć ani obliczyć nie zdoła tego szczytu najwyższego, na który wzbijać się mogą ich tragedye, ich zbrodnie i ich niedorównany we wszechświecie ból.

I oto...

Z za gęstwiny olch i osin, z za tej, co to, widzisz? naprzeciw mnie, z pośród krzaczystych zarośli wyrasta, wysunął się oddział wojska konnego, lasem pik długich nad głowami najeżony, nad końskimi grzbietami pochylony i, krzyk wydając przeraźliwy, pędził przez pustą polanę ku temu namiotowi pędzić. Zoczył namiot ten ludzi pełen i pędzić ku niemu począł, ku namiotowi, w którym, sił i broni pozbawieni, leżeli ludzie ranni, a nad nimi, z rękoma czynnymi klęczeli lekarze.

Pędził oddział, zbrojny w piki, na koniach chyżych pochylony, z krzykami przeraźliwymi, z twarzami, opalonymi w ogniu bitwy, i szalała mu w żyłach wściekłość lwia...

Lecz za mną tuż rozległ się głos stalowy, wrzask boju przewyższający:

— Jazda! na obronę rannych.

W mgnieniu oka, z dowódcą swym na czele, wlecieli na polanę. Czarni od dymów piekielnych, na zziąpanych koniach, wypadli z za drzew i zarośli, naprzeciw tamtym, z podniesionymi szablami w rękach...

Słońce miało się ku zachodowi i z za dymu świeciło tarczą z rozżarzonej miedzi. Na ten poczet lecący, na jego spalone twarze i obnażone szable, padł rdzawo czerwony blask, bezpromienny, ponury. W tym blasku dopadli namiotu, już przez tamtych okrążonego, z wątlą ścianą z gałęzi już rozwaloną. Straszliwy panował tam tłok, i rozlegały się nieludzkie wycia i ryki. Całą siłą rozpędu koni w tłok ten uderzyli, z rąk syjąc błyskawice szabel i pistoletowe strzały. Dowódzca czarnowłosy, do Archaniąła z mieczem płomiennym podobny, pierwszy szerokiego otworu doskoczył i, jakby nogi konia jego ziemia do siebie przykuła — stanął.

O Jezu! Nie było już w namiocie rannych, ani lekarzy. Były tylko trupy, w krwi broczące i jeszcze otrzymujące nowe rany, umilkłe, albo w strasznym konaniu charczące. A w pośrodku tego pola mordów dokonanych dokonywał się już ostatni. Na ostrzach kilku pik osadzony i wysoko wzniesiony w powietrze, mały Tarłowski twarz białą, jak chusta, wystawiał na rdzawo-czerwony blask słońca. Męczeńska twarz ta, o umierających oczach, z czerwonym sznurkiem krwi od złotych włosów do ust, konwulsyą wstrząsanych, poznała jednak przyjaciela, ręka szybkim ruchem rzuciła ku niemu jakiś przedmiot czerwony i głos mdlejący zawołał:

— Jagmin! siostrzel!

Ostatni dar, ostatnia myśl, ostatnie słowo! Jak ptak czerwony, chustka, krwią ociekająca zleciała na szeroką pierś dowódcy jazdy, lecz w tejże chwili, upadł pod nim koń jego, kulą ugodzony, i on sam, wśród tłoku, dymu, wrzasku, stuku wystrzałów, ulewę ognistych błyskawic — zniknął!... (DCN)

BOLESŁAW PRUS: KRONIKA TYGODNIOWA.

Spółeczeństwa żyją nałogami. Biegamy na odczyty w adwencie, tańczymy w karnawale, chodzimy do teatru na „premiery“, do sal reductowych na trzecie maskarady, w Wielki Piątek jemy śniadanie u Milera, w Zielone Świątki jeździmy na Bielany i tak dalej.

Nałogami rządzą się nie tylko w dziedzinie czynnów, lecz w sferze poglądów i uczuć. Na przykład usłyszawszy wyraz: „Niemiec“, natychmiast odpowiadamy wyrazami: hakatysta, komisja kolonizacyjna, Września, Grunwald, a w sercu naszym budzi się uczucie krzywdy z jednej, niechęci z drugiej strony.

Otóż chciałbym postawić pytanie: czy takie nałogowe sądy o Niemcach są z naszej strony słuszne?... a nadewszystko czy dla nas samych są one korzystne?... Żyjemy bowiem w epoce „przeszacowywania wartości“, czy więc i tej wartości, jaką nadajemy Niemcom, nie należałoby również przeszacować?...

Ponieważ Słowianie z Niemcami stykali się bezpośrednio i na bardzo długiej granicy, niby ląd z morzem, z konieczności więc musiały zawiązywać się między nimi najrozmaitsze stosunki, lepsze i gorsze. Do stosunków dobrych należał handel, który, za słowiańskie produkty rolne i hodowlane, dawał niemieckie produkty sztuki i rzemiosł. Do stosunków złych należały wojny, w których Słowianie, zazwyczaj gorzej uzbrojeni i bez porównania gorzej zorganizowani, najczęściej przegrywali. To też rezultatem wojen bywały najazdy Niemców i wyróżnienie albo wynarodowienie słabych plemion słowiańskich.

Najsilniejszy opór stawiała Niemcom Polska, o ile była jako tako zorganizowana. Gdy jednak w XVIII wieku, zamiast cywilizacyjnego ładu, zakwitnął w niej chaos słowiański, Polska upadła wobec sprytu i przemocy sąsiadów, między którymi bardzo poczesną, choć i wielce niegodziwą rolę odegrali Niemcy.

Dziś znowu między Polakami a Niemcami jak w dawnych czasach między naprzykład Wędami i Niemcami, zawisło pytanie: czy Niemcy mają wytępić nas, czy wynarodowić?...

— I wytępią nas i wynarodowią!... — odpowiadają pesymiści.

— Ani wytępią, ani wynarodowią, jeżeli potrafimy zachować się odpowiednio — mówi rozsądek.

— A więc walczmy z Niemcami!... nienawidźmy ich!... — woła opinia.

— A więc pracujmy i dajmy Niemcom dowód naszych sił i rozumu... — odpowiada rozsądek. — Holendrzy nie nienawidzą morza i nie biją go knutami, jak to robił Daryusz, oni tylko pracują umiejętnie. Morze usiłuje zalewać ich terytoria, a Holendrzy bez cienia gniewu, bez wymysłów i wrzasków, budują potężne tamy, dzięki którym, nie tylko bronią się od zalewu, lecz jeszcze wydzierają morzu zdobytą przez niego ziemię.



OAZA W ARABII STALISTEJ

A. MECKEL

Trudna rada. Bóg stworzył świat w taki sposób, że co jest wątłe, kruche i bezładne, musi zginąć; warunki zaś do życia i rozwoju posiada tylko to, co jest zdrowe, silne, mądre, wytrwałe, przewidujące... Z dwu zatem sąsiadów ustąpić musi ten, który liczy więcej minusów a mniej plusów.

Jest to zasada powszechna, jasna jak słońce i dodajmy: słuszna. Gdy więc usiądziemy z założonymi rękoma, aby rozważać krzywdy wyrządzone nam przez Niemców, chełpić się Kopernikiem i Wiedniem, a pocieszać Grunwaldem, zginiemy bez ratunku i bez śladu w ludzkiej pamięci. Nawet nikt „leżki po nas nie uрони“... Ale gdy weźniemy się do pracy silnej, mądrej, wytrwałej, twórczej, Niemcy z pysznych tryumfatorów staną się naszymi dobrymi sąsiadami.

Przedewszystkiem zastanówmy się: czym są Niemcy?... Są oni jednym z trzech ognisk cywilizacji. Bo czy chodzi o dobrobyt i zdrowotność mas ludowych, czy o oświatę elementarną i średnią, czy o rolnictwo, przemysł i handel, czy o spółki i stowarzyszenia dla najrozmaitszych celów, czy o nauki i filozofię, czy o literaturę i sztukę, czy o urządzenia państwowe i wojskowe, Niemcy idą na czele ludzkości, obok Anglików i Francuzów. Tylko te trzy ludy naprawdę badają i przekształcają naturę, robią ją narzędziem pomysłowości człowieka, a wreszcie, budują świat duchowy. Gdyby Niemcy jakimś cudem zniknęli z historii, cywilizacja wyglądałaby jak ziemia po wygaśnięciu trzeciej części słońca.

To są Niemcy prawdziwi. Nie hakatyści, polujący na polskie zagony i polskie elementarze, nie ci urzędowi filozofowie, którzy w imię „nauki“ sankcjonowali bismarckowskie hasło: „wyplenić!“

nie ci, którzy wojowali z Chińczykami, jak Hunnowie, a wobec Murzynów starali się „nie zmarnować ani jednej kuli...“

Kto chce poznać Niemców, niech nie patrzy np. na studentów powracających z knajpy albo z pojedynku, ani na pyszałkowatych policyantów berlińskich, ani na ministrów, którym wydaje się, że można „przenarodować naród...“ Kto chce poznać Niemców, niech obejrzy ich pola doskonale uprawiane, ich czyste domy, ulice i obory, niech zwiedzi ich muzea i wystawy, ich szkoły, uniwersytety i biblioteki... Niech obserwuje gromadę robotników, którzy kłócąc się między sobą, na widok obcego człowieka ustępują mu z drogi i zawieszają kłótnię, niech zobaczy przechodnia, który przeprowadza niewidomego na drugą stronę bardzo ruchliwej ulicy, niech spojrzy na dzieci idące z nauczycielem na spacer...

I na odwrót—niech kto poszuka w Niemczech dzieci bosych i brudnych, zuchwałych a obdartych żebraków, bandytów, którzy napadają sklepy i dwory...

Prawda, że ze strony Niemców spotkały nas ciężkie krzywdy: rozbiór kraju, niegodziwa polityka w Galicji i Poznaniu, intryki przeciw Polakom w Rosji... Ale pamiętając złe, nie należy zapominać i dobrego.

Kto bywa za granicą, niech zwiedzi Muzeum Giermańskie w Norymberdze a dowie się: z kąd przyszło do nas malarstwo, snycerstwo, architektura? A czy jest u nas rzemiosło, którego do nas nie przynieśli Niemcy?... Wyrazy techniczne. Zresztą na cały głos mówią o tem wyrazy techniczne.

Weźmy chwilę obecną. Ileż eziesiątków tysięcy naszych włościan co rok udaje się na za-

robki do Niemiec? Ilu techników wykształciło się w Niemczech, ilu lekarzy szukało tam dopełnienia uniwersyteckich wiadomości?... A dzisiejsze ulepszenia w rolnictwie i przemyśle czy po większej części nie przyszły do nas z Niemiec?...

Ogromnie lubimy przypominać Niemcom wyprawę wiedeńską. Czy jednak nie należałoby choć od czasu do czasu przypomnieć znowu sobie: uniwersytety berliński i dorpacki, politechnikę w Charlottenburgu i Dreźnie, szkołę sztuk pięknych w Monachium?... Albo i ten nieszczęsny Grunwald. Gdy Niemcy przez parę dziesiątków lat obchodzili hucznie rocznicę Sedanu, cała Europa, nie wyłączając naszych publicystów traktowała te uroczystości, jako niesmaczne, parweniuszowskie samochwalstwo. Czemże więc będzie „nasz“ Grunwald i czy nie warto choćby dla przyzwoitości wspominać o nim rzadziej?...

Na Niemców trzeba patrzeć jak na siły potężne i dzikie, które mogą nas krzywdzić, jeżeli poddamy się im, albo zbliżymy się do nich nieostrożnie, ale i mogą przynieść nieobliczone korzyści, gdy poznamy je i potrafimy się nimi posługiwać. Czy ogień nie jest straszną siłą? czy górski potok nie jest niebezpieczny?... czy elektryczność nikogo nie zabiła?... A jednocześnie czy tenże sam ogień, potok i elektryczność nie są błogosławionymi działaczami, bez których nie mogłyby istnieć nie tylko cywilizacja, ale nawet życie ludzkie?

Lecz gdy potok, ażeby nie figlował, zabezpieczamy groblą, gdy do elektryczności zbliżamy się w kauczukowych rękawicach, gdy w ogień, zamiast gołej ręki kładziemy żelazne obcęgi, z Niemcami—postępujemy bez żadnej ceremonii a nawet ostrożności. Nie umieliśmy się zabezpie-

czyć od nich dostateczną liczbą wojska będąc państwem nie zależnym a dzisiaj, idąc pomiędzy nich, jak nasi biedni emigranci, nie zabezpieczamy się ani żadną organizacją, ani nawet znajomością języka. Czy więc można dziwić się, że ongi zostaliśmy zrabowani, a dziś albo nas wyzyskują albo lekceważą?

Inna strona kwestyi. Od bardzo wielu lat nasza młodzież kształci się w Niemczech i nawet posiada tam własne stowarzyszenia. Czy jednak polskie korporacje próbują kiedy porozumiewać się z niemieckimi, przyjmować udział w tamtejszych uroczystościach, mających nie polityczny, ale cywilizacyjny charakter? Nie potrzebujemy i nie wypada miewać się do obchodów np. sudańskich, ale powinniśmy, obok studentów niemieckich, brać udział w uroczystościach, które obchodzi jakiś uniwersytet, w uczczeniu znakomitych mężów, którzy dzięki czynom swoim stali się własnością całego społeczeństwa. Leibnitz, Kant, Goethe, Schiller, Beethoven tak dobrze interesują Niemców, jak i nas.

Toż samo na wypadek klęski żywiołowej, dotykającej Niemców: nie rozumiem dlaczego nasze korporacje nie miałyby pośpieszyć ze składką albo z wyrazami współczucia? Wszakże gość ma jakieś obowiązki względem gospodarza; wszakże i nam jest miło, gdy cudzoziemiec okazuje życzliwość.

Zamiast tego, jeżeli chodzi o naszą młodzież uczącą się w Niemczech, słyszymy albo o wrogiej obojętności dla studentów niemieckich, albo o awanturach i ostrych pojedynkach. Zaprawde, jest to co najmniej, dziwny sposób płacenia za gościnność!...

Inna strona polsko-niemieckich stosunków. Dzięki losom nieszczęsnym od kilkudziesięciu lat Polacy posiadają w parlamentach pruskim i niemieckim. Otóż, co wreszcie jest zrozumiałe, bardzo często słyszeliśmy polskie protesty i upominania się o krzywdy, ale, nie pamiętam, ażeby kiedy Polacy wystąpili z ważnym wnioskiem, mającym na celu dobro Niemców i Prusaków. A jakże inaczej wyglądałaby polska grupa, gdyby np. prawo o emeryturach dla robotników, albo inne w tym rodzaju powstało z inicjatywy polskiej!...

I jeszcze kwestya: znajomości języka niemieckiego, która u nas stoi na niewłaściwym gruncie. Niechętnie uczymy się i nie lubimy języka niemieckiego czem, przede wszystkim, sobie wyrządzamy krzywdę.

Że tępieliśmy szaleństwa rządu pruskiego mogli nas rozdrażnić, to jest zrozumiałe; ale, że nie otrzeźwiliśmy do tej pory, to nie jest dobre. Języka niemieckiego my, Polacy, powinniśmy uczyć się, kto tylko może. Nie dla tego, że Niemców jest więcej, aniżeli nas bo w takim razie jeszcze pilniej należałoby się uczyć po chińsku. I nie dlatego, że Niemcy prowagzili zwycięskie wojny, gdyż w takim razie powinniśmy uczyć się i po japońsku. Znajomość języka niemieckiego potrzebna jest z innych powodów: 1-mo Niemcy są naszymi najbliższymi na zachodzie sąsiadami, jak Rosyanie na wschodzie. 2-do łączy nas z nimi bardzo liczne stosunki rolnicze, handlowe, przemysłowe, naukowe... 3-io i to stanowi punkt najważniejszy, Niemcy są jednym z trzech wielkich twórców cywilizacji tegoczesnej, a w ostatnich paru dziesiątkach lat na każdym polu złożyli dowody znakomitej działalności postępowej.

Oto powody dla których trzeba uczyć się po niemiecku. Igdyby hakatyzm miał poczucie godności niemieckiego narodu, nigdy nie zniżyłby się do tak nędznych środków, jak narzucanie swego, a tępienie polskiego języka w Poznaniu. Bo powtarzam, co już nie jednokrotnie pisywałem: głupi byłby ten Polak, który mając możność na-

uczenia się, nie nauczyłby się po niemiecku. Jak znowu pozbawionym narodowej dumy jest ten Niemiec, który niby kramarz, chwytając obcych ludzi za poły i gwałtem ciągnie do swego nacyonalistycznego sklepiku.

Streszczam się. Nasze stosunki z Niemcami, pomimo bardzo trudnych warunków, muszą być przejrane i uregulowane w taki sposób, ażebyśmy z sąsiedztwa z nimi zamiast ciągłych strat, zaczęli nareszcie odnosić jakieś korzyści.

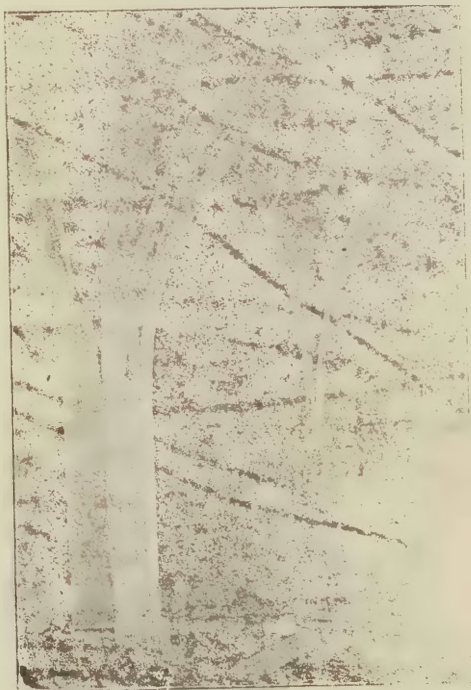
Zachęcając do uczenia się po niemiecku, nie radzę bynajmniej zapominać o dwu innych wielkich językach cywilizacyjnych, jak angielski i francuski, ani o języku rosyjskim, którego powinniśmy się uczyć ze względu na bardzo ścisłe stosunki polityczne i ekonomiczne. W Niemczech prawie w każdym większym mieście są szkoły prywatne, w których za niewielkie pieniądze można uczyć się ze dwudziestu języków, nie wyłączając tureckiego i chińskiego. Dlaczego więc u nas nie możnaby otworzyć podobnych kursów, choćby dla czterech języków, a przezeń wszystkiemi — niemieckiego.

25

Najstarsza część zamku krakowskiego.

O 1 roku opróżniony z załogi wojskowej pałac królewski na Wawelu jest przedmiotem koniecznych robót konserwacyjnych i badań w celu uzyskania podstawy do planów restauracji. Odbito tynki, zerwano podłogi, przekopano pod niemi rumowiska, przerznięto głębokimi rowami dziedzińiec i w ten sposób do historii pisanej, niezbyt obfitej, znaleziono nieraz klucz do poznania dawnej fizjognomii, historii budynku, jego zmian kolejnych, zdobyto wiadomości do odtworzenia braków wedle znalezionych fragmentów rzeźb, kafli, dachówek i t. p.

Prastary gród z czasów Bolesławowskich znikł bez śladu w późniejszych budowlach. Najstarsze części, dochowane w dolnych częściach, mogą pochodzić dopiero z XIII w. W r. 1265 zabudował Bolesław Wstydlawy całą górę, używając, wedle zapisków, drzewa. Jedynie brama i wieże, może część murów obramowane były z kamienia. Lecz jeżeli nie on, to już jego najbliżsi następcy zmurowali i część pałacu z trwałego materiału. W północno-wschodniej części narożnej zamku dochowały się na parterze te najstarsze



Izba gotycka z początku XIV wieku w zamku wawelskim.

zewewnętrzne budowle Piastowskie. Izba od wschodu, z ostrołukowym sklepieniem i herbem Jadwigi, oraz druga izba obok ku południowi, z nowszym sklepieniem beczkowem, w której wedle tradycji miał umrzeć Kazimierz W., w dalszych częściach mają mur o starszej technice i może pochodzą z czasów Łokietka. Niewątpliwie jednak z tych czasów pochodzi izba gotycka, od północy rogiem do poprzednich dotykająca. Izba ta od XV w. do końca Rzplitej polskiej mieściła skarbiec koronny, otwieraną była tylko w rzadkich wypadkach, z zachowaniem wielkich formalności, uszła więc prze-róbek i zachowała postać taką, w jakiej niegdyś zamknięto w niej insygnia królewskie i archiwum państwowe, a i po upadku Rzplitej uroczysta, kapliczna prawie izba nie nęciła do mieszkania, pozostała składem i izbą więzienną, a tak nienaruszona w swej architekturze do dziś dnia dotrwała.

Ciosowy, ośmiościenny filar, w środku izby stojący dźwiga, ostrołukowe sklepienie rozchodzące, się głęboko profilowanymi żebrami na pola sklepienne, zamknięte czterema zwornikami. Od zworników spuszcza się żebra ku ścianom, kończąc się na krokstynach, w murze tkwiących. Zworniki dziś puste. Niegdyś musiały być malowane lub miały na deskach przyprawne herby lub inicjały, któreby mogły może podać datę budowy sklepienia. Charakter jego wskazuje na początek XIV w., lecz to tylko data sklepienia, bo izba ta jest starszą: dowodzi tego technika ścian, wskazująca, że izba ta przed zasklepieniem była pułapem przykrytą. Wejście prowadziło od południa przez małe ostrołukowe drzwi, dotąd w ścianie się znajdujące, lecz zasłonięte od zewnątrz późniejszą przybudówką, dziś wchodzi się przez drzwi obok w ścianie wybite. Naprzeciw znajdują się dwa małe okna zakratowane w głębokich framugach, przy których po bokach murowane ławeczki—kto wie, czy stąd Łokietek nie przypatrywał się wzrastającej pod boki stolicy? W rogu na lewo od wejścia ślad komina i kapy nad nim, obok na tynku ślad dwóch liter gotyckich. Na prawo również drzwi małe w kamiennej oprawie do sekretnego miejsca, a nieco dalej drugie, nowsze, do narożnej wieży i schodków kręconych, wiodących na piętra i w głąb na 18 metrów do dwupiętrowych piwnic. Między tą wieżą a Kurzą stopą resztki murów tworzą jakby trójkąt: są to pozostałości jakiejś prastarej budowy, nieraz przerabianej, nim je zakryty budynki, do dziś pozostałe.

Skarbiec zajmował tę izbę, tudzież izbę w parterze wieży, izbę sąsiednią na zachód i izbę, poprzednio wspomnianą, z herbem Jadwigi, do której w rogu wybito tylko wązki korytarzyk do połączenia, dziś zamurowany. Po pożarze, wzniesionym w r. 1702 przez Szwedów, deszcze uszkodziły sklepienia tak, że chwilowo musiano skarbiec usunąć na czas reperacji. Wtedy, zdaje się, zniknęły malowidła, herby ze zworników i inne ślady dawnych czasów. Archiwum wywieziono już dawno do Warszawy, tu zamknięto tylko z powrotem insygnia koronne, które w maju r. 1794 w czasie powstania Kościuszki miano stąd zabrać i ukryć. Po zabranii Krakowa w r. 1796 przez Austrię zarządzone rewizję skarbcza wobec magistratu krakowskiego, znaleziono jednak tylko kufer żelazny z przepiłowanymi hakami, próżny...

O przyszłym przeznaczeniu tej izby nie można jeszcze dziś dysputować, gdy projekt restauracji i podziału zamku między muzeum narodowe a rezydencją panującego nie zadecydowany: zdaje się, że stare te izby, odpowiednio odrestaurowane i wypełnione zabytkami rzeźby i malarstwa z XIV i XV wieku, pozwolą zwiedzającemu prze-nieść się myślą w dawne ubiegłe czasy.

Dr. KLEMENS BAKOWSKI.



BOLESŁAW FRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W pierwszej połowie czerwca odbył się „Zjazd kobiet polskich“, ściśle związany z jubileuszem 40-letniej działalności pisarskiej Elizy Orzeszkowej. Spróbuję streścić, co z tego powodu napisano o Czcigodnej Autorce. Będzie to bardzo niedokładna charakterystyka niezwykłej osobistości, ale—niebezpiezyteczna. Wszakże Kepler, nazywając elipsą drogę Marsa naokoło słońca, popełnił niedokładność, lecz zarazem odkrył „prawo“, dzięki któremu Newton mógł wytlómaczyć ruchy wszystkich ciał niebieskich.

Czytelnik nie obrazi się, że, charakteryzując Orzeszkową w kilkudziesięciu wierszach, nie potrafię być całkowitym Keplermem, a wiary będę niedokładne, ale... nie odkryję żadnego prawa... To też ażeby podzielić się odpowiedzialnością, jak najmniej powiem „od siebie“, a jak najwięcej przytoczę zdań cudzych. Będzie to może/pewniejszy sposób zbliżenia się do prawdy.

W otaczającym nas świecie każdy przed-
wszystkiem szuka tego, co posiada we własnej
duszy, szuka tego co zna, co lubi, co jest mu
potrzebne. ~~Pójdzie do lasu z kilkoma ludźmi~~
 ~~różnych fachów, a przekonacie się, że np. myśli-~~
~~wiec będzie upatrywał w lesie zwierzynę, technik~~
~~drzewa zdolnego na budulec, malarz — gry ko-~~
~~torów i światłocieni, dziecko jagód, panienka —~~
~~kwiatów...~~ Toż samo **W** życiu codziennem **l** lekarz
najłatwiej spostrzeże osobistości chore i zdrowe,
ksiądz — pobożnych i bezbożników, artysta odkryje
dyletanta, rozpustnik rozpustnika i tak dalej. Uży-
teczność zaś powieściopisarzy polega na tem, że
oni jakby rozszerzają duchowy wzrok czytelnika,
pokazują mu nowe typy charakterów i wypadków,
budzą nowe upodobania i wstręty. **D**owodów tej
prawdy nie trzeba szukać daleko, są nimi choćby:
„typy modne“ w każdej epoce. Za czasów ro-
mantyzmu byli modnymi poeci i muzycy, szcze-
gólniej „plujący krwią“... W okresie pozytywnym

cieszyli się popularnością przede wszystkim inżynierowie i bankierzy a później — rozmaici neurastenicy, zwani dekadentami...

Powie kto, że nie literaci tworzą „typy modne“, ale że wysuwa je bieg wypadków. Prawda!... Typy modne tworzy historia, ale poeci, literaci niby oświetlają owe typy, czyli „opisują“ je i dopiero wówczas szeroka publiczność zaczyna je „widzieć“ w społeczeństwie, dokoła siebie... Co więcej: powieściopisarz wyjaśnia skąd biorą się „nowe typy“? w jaki sposób rozwijają się? jaki wpływ, użyteczny czy szkodliwy, wywierają na społeczeństwo?...

Krótko mówiąc, powieściopisarz nie tylko „rozwesela” czytelnika, nie tylko „zapewnia mu czas wolny” (niekiedy od próżnowania), ale także przykłada się do rozwoju duchowego narodu i epoki, pobudza do nowych uczuć, nowych spostrzeżeń, może nawet do nowych pragnień. Trzeba bowiem pamiętać, że, jeżeli „uzdolnienia” odziedziczamy po całym szeregu przodków, to „treść” uzdolnień każda gienieracya musi zdobywać sama, własną pracą i na własny rachunek. Jakiś człowiek wziął po przodkach upodobania muzyczne, więc będzie on lubiał i pożądał muzyki, ale ta jego potrzeba inaczej zaspokaja się w epoce Bachów, a inaczej w epoce Wagnerów... Francuzi po całym szeregu przodków odziedziczyli zapal i pogadkę śmierci, lecz owe zalety inaczej objawia się za Napoleona I-go, a inaczej za czasów komun...

Powtarzając: każde pokolenie samo buduje swój świat duchowy, a lepiej: każde pokolenie własną pracą musi rozszerzać to, co otrzymało po przodkach. ¹ Za pracę tą, w pewnym zakresie i stopniu, ułatwiają mu nie tylko wychowawcy, nie tylko uczeni odkrywcy, ale także artyści, a wśród nich powieściopisarze, jak nasza Orzeszkowa.

A teraz posłuchajmy, co, z powodu jubileuszu, mówiono o Jubilatce, przedewszystkiem zaś w jaki sposób charakteryzowano ją samą:

„Głowa i serce” Orzeszkowej — mówi

I. Baliński w *Gońcu* nie leżała ani w bujnej, żywiołowej wyobraźni, ani w egotyźmie, w przedstawianiu rozmaitych stanów swojego „ja”. Siłą, zapładniającą twórczość Orzeszkowej, było przede wszystkim współczucie, współczucie podniesione na wysokość miłości dla cierpień i nędz ludzkich, zarówno indywidualnych, jak zbiorowych... ~~„Dawnie nigdy nie wystarcza autorce samo pokazanie tego, na co wzrok jej upadł, sam obraz, ani też wywarcie wrażenia, sprowadzenie nastroju, rozczucie...”~~ [Jednocząc w sobie wrażliwość poety z temperamentem działacza społecznego, Ona pragnie i mu i nauczać, poprawiać i przeobrażać, wyszukiwać lekarstw, jednym słowem wskazywać bliższe i dalsze drogi do ideału w który wierzy, a mianowicie do szczęścia...

Zaś J. Kotarbiński (w *Nowej Gazecie*) w taki sposób określa Orzeszkowę:

„Należy Ona nie tylko do wybitnych twórczych talentów, ale do najpiękniejszych charakterów pisarskich, które zawód swój pojmują, jako kapłaństwo, jako ofiarną służbę na ołtarzu dobra ogólnego... Wierna wewnętrznej prawdzie, starała się oddziaływać na społeczeństwo, zwracała oko najekscytowlejsze ku niżynom, malowała przedeńk bóle ciebie niedze małuczki i upośledzonych, które nie mogły wielkim głosem szanryć się na własną niedole”

A oto, znowu według Kotarbińskiego, inna cecha Orzeszkowej. „Z filozoficznego determinizmu wynikało jej wielkie pobbazanie i wyrozumiałość wobec błędów ludzkich. Pod tym względem Orzeszkowa została wierna całe życie swemu kobiecemu sercu, w którym królowały: idealny optymizm i sympatya dla otoczenia“.

W. Rański, w *Kuryerze Warszawskim*, ~~nie~~
~~nie~~ uzupełnia charakterystykę autorki: ~~Za-~~
~~ówno demokratyzm, jak feminizm tej duszy nie-~~
~~pospolitej dalekie są od wszelkiego doktryneryzmu~~
~~i sekciarstwa. Rodzą się w potężnej miłości, mają~~
~~urok w wielkiej harmonii moralnej, wolne są od~~
~~wszelkich zerzytów nienawiści i dyktanckiego ra-~~
~~dykalizmu. Jej światło postępu nie jest ani luna~~



11

1



11

11





ŁOKIETEK PO BITWIE POD PŁOWCAMI

JULIUSZ KOSSAK

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W pierwszej połowie czerwca odbył się „Zjazd kobiet polskich”, ściśle związany z jubileuszem 40-letniej działalności pisarskiej Elizy Orzeszkowej. Spróbuję streścić, co z tego powodu napisano o Czcigodnej Autorce. Będzie to bardzo niedokładna charakterystyka niezwykle osobistości, ale — niebezpieczna. Wszakże Kepler, nazywając elipsą drogę Marsa naokoło słońca, popełnił niedokładność, lecz zarazem odkrył „prawo”, dzięki któremu Newton mógł wytlómaczyć ruchy wszystkich ciał niebieskich.

Czytelnik nie obrazi się, że, charakteryzując Orzeszkową w kilkudziesięciu wierszach, nie potrafię być całkowitym Keplerem, a więc że będę niedokładnym, ale... nie odkryję żadnego prawa... To też, ażeby podzielić się odpowiedzialnością, jak najmniej powiem „od siebie”, a jak najwięcej przytoczę zdań cudzych. Będzie to może najpewniejszy sposób zbliżenia się do prawdy.

W otaczającym nas świecie każdy przedewszystkiem szuka tego, co posiada we własnej duszy, szuka tego, co zna, co lubi, co jest mu potrzebne. Pójdźcie do lasu z kilkoma ludźmi różnych fachów, a przekonacie się, że np. myśliwiec będzie upatrywał w lesie zwierzyny, technik — drzewa zdolnego na budulec, malarz — gry kolorów i światłocieni, dziecko — jagód, panienka — kwiatów... Toż samo w życiu codziennym: lekarz najłatwiej spostrzeże osobistości chore i zdrowe, ksiądz — pobożnych i bezbożników, artysta odkryje dyletanta, rozpustnik rozpustnika i tak dalej. Użyteczność zaś powieściopisarzy polega na tem, że oni, jakby rozszerzają duchowy wzrok czytelnika, pokazują mu nowe typy charakterów i wypadków, budzą nowe upodobania i wstręty.

Dowodów tej prawdy nie trzeba szukać daleko, są nimi choćby: „typy modne” w każdej epoce. Za czasów romantyzmu byli modnymi poeci i muzycy, szczególnie „plujący krwią”... W okresie po-

zytywnym cieszyli się popularnością przedewszystkiem inżynierowie i bankierzy, a później — rozmaici neurastenicy, zwani dekadentami...

Powie kto, że nie literaci tworzą „typy modne”, ale że wysuwa je bieg wypadków. Prawdą... Typy modne tworzy historia, ale poeci, literaci niby oświełają owe typy, czyli „opisują” je, i dopiero wówczas szeroka publiczność zaczyna je „widzieć” w społeczeństwie, skąd biorą się więcej: powieściopisarz wyjaśnia, skąd biorą się „nowe tory”? w jaki sposób rozwijają się? jaki wpływ, użyteczny czy szkodliwy, wywierają na społeczeństwo?...

Krótko mówiąc, powieściopisarz nie tylko „rozwesela” czytelnika, nie tylko „zapełnia mu czas wolny” (niekiedy od próżnowania), ale także przykłada się do rozwoju duchowego narodu i epoki, pobudza do nowych uczuć, nowych spostrzeżeń, może nawet do nowych pragnień. Trzeba bowiem pamiętać, że, jeżeli „uzdolnienia” odziedziczamy po całym szeregu przodków, to „treść” uzdolnień każda generacja musi zdobywać sama, własną pracą i na własny rachunek. Jakiś człowiek wziął po przodkach upodobania muzyczne, więc będzie on lubił i pożądał muzyki, ale ta jego potrzeba inaczej zaspokoi się w epoce Bachów, a inaczej w epoce Wagnerów... Francuzi po całym szeregu przodków odziedziczyli zapal i pogardę śmierci, lecz owe zalety inaczej objawiły się za Napoleona I-go, a inaczej za czasów komuny...

Powtarzam: każde pokolenie samo buduje swój świat duchowy, a lepiej: każde pokolenie własną pracą musi rozszerzać to, co otrzymało po przodkach. Zaś pracę tę, w pewnym zakresie i stopniu, ułatwiają mu nie tylko wychowawcy, nie tylko uczeni odkrywcy, ale także artyści, a wśród nich powieściopisarze, jak nasza Orzeszkowa.

A teraz posłuchajmy, co, z powodu jubileuszu, mówiono o Jubilatce, przedewszystkiem zaś w jaki sposób charakteryzowano ją samą:

„Geneza twórczości Orzeszkowej — mówi

I. Baliński w *Gońcu* — nie leżała ani w bujnej, żywołowej wyobraźni, ani w egotyzmie, w przedstawianiu rozmaitych stanów swojego „ja”. Słą. zapładniającą twórczość Orzeszkowej, było przedewszystkiem współczucie, współczucie, podniesione na wysokość miłości dla cierpień i nędzy ludzkich, zarówno indywidualnych, jak zbiorowych... „Prawie nigdy nie wystarcza autorce samo pokazanie tego, na co wzrok jej upadł, sam obraz, ani też wywarcie wrażenia, sprowadzenie nastroju, rozczulenie... Jednocześnie w sobie wrażliwość poety z temperamentem działacza społecznego, Ona pragnie i musi nauczać, poprawiać i przeobrażać, wyszukiwać lekarstw, jednym słowem, wskazywać bliższe i dalsze drogi do ideału, w który wierzy, a mianowicie do szczęścia...”

Zaś J. Kotarbiński (w *Nowej Gazecie*) w taki sposób określa Orzeszkową:

„Należy Ona nie tylko do wybitnych twórczych talentów, ale do najpiękniejszych charakterów pisarskich, które zawód swój pojmują, jako kapłaństwo, jako ofiarną służbę na ołtarzu dobra ogólnego...”

A oto, znowu według Kotarbińskiego, inna cecha Orzeszkowej. „Z filozoficznego determinizmu wynikało jej wielkie pobbazanie i wyrozumiałość wobec błędów ludzkich. Pod tym względem Orzeszkowa została wierna całe życie swemu kobiecemu sercu, w którym królowały: idealny optymizm i sympatya dla otoczenia”.

W. Rabski, w *Kuryerze Warszawskim*, uzupełnia charakterystykę autorki:

„Jej światło postępu nie jest ani luną pożogi, ani fajerwerkiem oślepiającym, lecz słońcem wiosennym, które ogrzewa, koi, rozjaśnia świat cały i budzi ziemię do życia”.

I jeszcze jedna cecha. „W cyklach „Melancholicy” i „Iskry” — pisze Kotarbiński — Orzeszkowa dochodzi do ukochania boskości w duszy ludzkiej, do mistycznego poczucia jej związku z całością bytu... Jest to wolne od form dogmatycznych ukochanie ideałów chrześcijańskich, nie zaś karny powrót do tradycji wyznaniowej”.





UCZTA WALLENRODA

M. E. ANDRIOLLI

Poznaliśmy—mniej więcej—charakter autorki; teraz zobaczmy pobudki jej działalności pisarskiej. „Po uwłaszczeniu włościan—mówi E. Chwałewik w *Nowej Gazecie*—zmiany ekonomiczne pociągnęły za sobą zmiany społeczne i wysunęły na pierwszy plan cały szereg palących zagadnień socjalnych, które hurtować zaczęły każdy umysł wrażliwy... Nie uniknęła wpływu tego i wrażliwa natura Orzeszkowej... Jeszcze na pensji dziedziczka Milkowszczyzny marzyła o uwolnieniu swych poddanych... Widząc w ludzi tyle sił żywotnych i zdrowych, autorka dotkliwie bolała nad rozdźwiękiem między dworem i wsią i szukała dróg wyjścia z tego położenia... Najbliższym wszakże sercu Orzeszkowej zagadnieniem była kwestya kobieca, pierwotnie, jako sprawa wzajemnego stosunku płci obojga, pojęta... Niebawem zmysł orientacyjny Orzeszkowej pogłębia się w tym względzie, pole obserwacji rozszerza się, i kwestya niewieścia przestaje już być sprawą miłości i związku małżeńskiego a natomiast staje się zagadnieniem społecznym”.

„Malując po mistrzowsku—pisze Ostoja Szwicka—różnorodne objawy natury ludzkiej, autorka nie lekceważy miłości, tego potężnego czynnika w ludzkiej psychice. Lecz miłość u niej nie bywa nigdy plugawą chorobą, która przemienia człowieka w niepoczytalnego kretyna...”

Ruchy ekonomiczne, współczucie dla bezsilnych lub zwyciężonych, wreszcie miłość bynajmniej nie wyczerpują tych pobudek, które oddziaływały na twórczość Orzeszkowej. Była tam jeszcze inna i bodaj czy nie najsilniejsza ze wszystkich.

„Najszersza przepaść—mówi W. Rabski—która dzieli Orzeszkową od radykalizmu społecznego, to ten wielki wyraz, opluty i spotwarzony

przez jednych, zepchnięty na plan ostatni przez drugich, któremu na imię: Ojczyzna... A czy mam przypominać, co wyśpiewała w powieści „Nad Niemnem”?... Była to jakby apoteoza nierozdzielnych ślubów Litwy i Korony, jakby modlitwa do jednej, wielkiej, wspólnej dla wszystkich Polaków ojczyzny. I właśnie dzisiaj gdy z jednej strony słyszymy dzikie przekleństwa, miotane przeciw bóstwu ojczyzny, a z drugiej hasła separatyzmu litewskiego, który chce „Pogoń” oderwać od „Orla”, ten cudny polski śpiew nadniemeńskiej autorki staje się czemś więcej, niż poezją wzniosłą, staje się przykazaniem świętym, protestem natchnionym, katechizmem polityki narodowej”.

Orzeszkowa nie należała do autorów, którzy „śpiewają, jak ptaki”—„sobie, a nie komu”. Ona przeważnie miała jakieś cele; trzeba więc zobaczyć, jakimi one były?

„Miałem sposobność — mówi Kotarbiński — wykazać kilkakrotnie ogromną doniosłość dzieł Orzeszkowej dla sprawy wychowania młodzieży, epokowe ich znaczenie w rozwoju kwestyi kobiecej, w sprawach asymilacji i uobywatelenia Żydów, wreszcie w podjęciu praw i tradycji kultury polskiej na Litwie, w sprawie wytrwania na stanowisku kresowem”.

„Podstawowy charakter bohaterki jubilatki—pisze p. W. Kiślańska—to umiłowanie idei dobra, ziemi ojczystej, służenie ideałom, dla których poświęca się na ołtarzu obowiązku szczęście życia własnego... Takie bohaterki są istotnymi wyrazicielkami poglądów Orzeszkowej, dla której pierwszym krokiem w ruchu kobiecym jest ideał doskonalenia się moralnego, a dewizą życia: człowiek dla człowieka powinien być rzeczą świętą...”

Cele Orzeszkowej objawiają się nie tylko w utworach literackich. „Autorka pragnie gorąco,

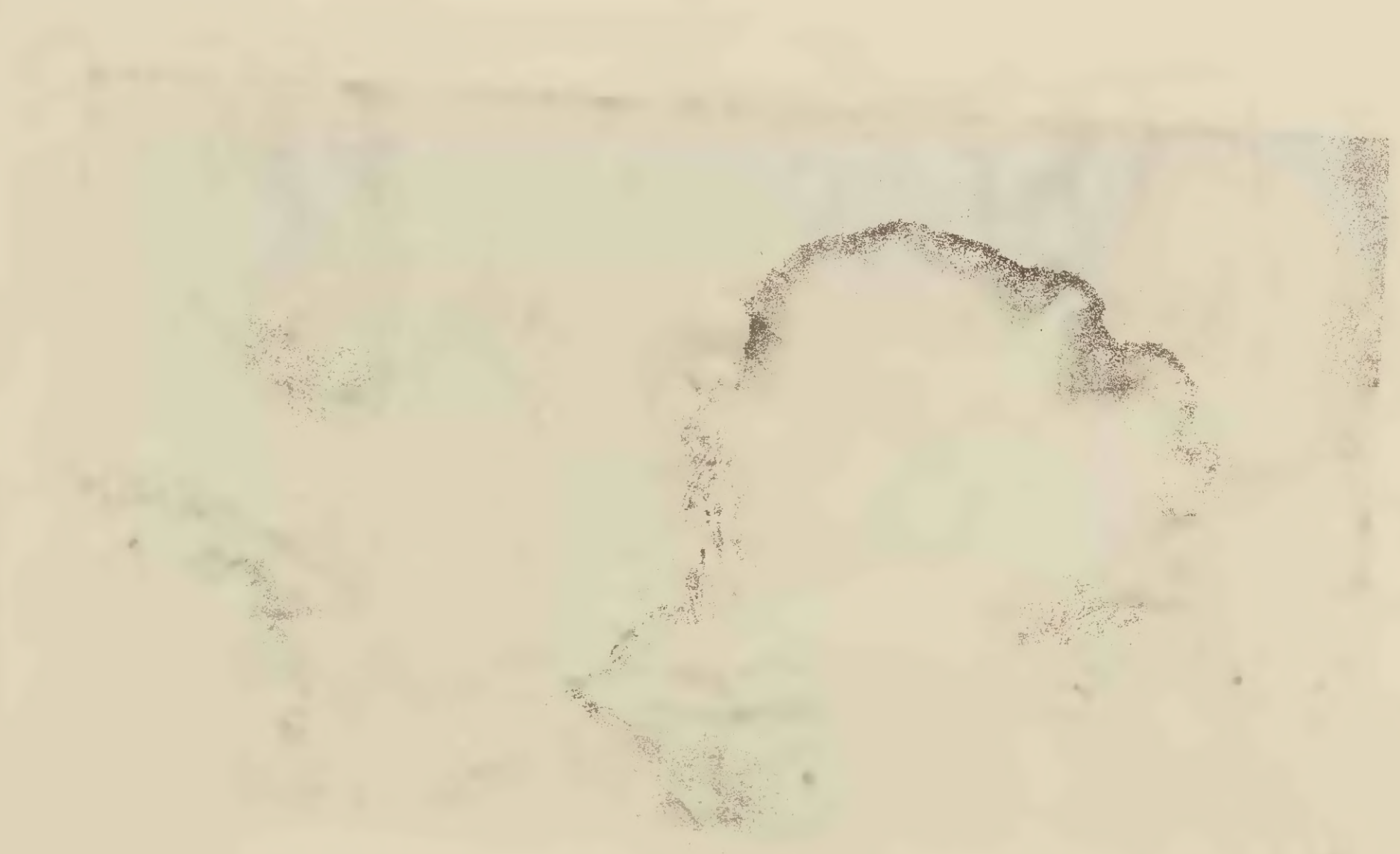
aby żadna placówka polska nie była tam (na Litwie) stracona—mówi Kotarbiński. — Sama daje przykład trwania niezłomnego na stanowisku. Kobieta wielkiej umysłowej kultury w imię posłannictwa narodowego całe życie spędza w zacieśnionych ramach życia prowincjonalnego (w Grodnie). W chwilach klęsk losowych bierze w niem udział czynny i serdeczny...”

„Obok ciągłej pracy literackiej — dodaje I. Baliński—Orzeszkowa pragnęła budzić i krzewić ruch umysłowy i oświatowy... Wytworzyła w Grodnie żywe ognisko, promieniejące dokoła z niezmiernie dodatnim wpływem na całe kresy... Około roku 1880 zdołała, przewyciężywszy mnóstwo trudności, założyć w Wilnie księgarnię nakładową, w której wydała szereg cennych książek, broszur, oraz dwa kalendarze ludowe. Niespodziane zamknięcie tej księgarni, po trzech czy czterech latach, przyniosło jej stratę kilkunastu tysięcy rubli i pięcioletni dozór policyjny...”

Nawet dozoru policyjnego nie zabrakło w działalności Orzeszkowej!...

I otóż mamy w najogólniejszych zarysach moralny wizerunek Orzeszkowej, jako człowieka i jako twórczyni. Szlachetny charakter, szlachetne pobudki, szlachetne cele—taką jest Orzeszkowa... A zdanie, które kiedyś sama wypowiedziała: „Lituję się nad pisarzem i artystą, którzy nie rozumieją tego, że znaczną część sławy stanowią—komplimenty”, — zdanie to choć wogóle prawdziwe, nie odnosi się do niej.

Na posiedzeniach Zjazdu Kobiet Polskich parę razy powtórzono: „my wszystkie jesteśmy z niej”... Bodajżeby ten związek między Czciogodną Jubilatką a społeczeństwem przetrwał jak najdłużej i rozciągnął się na jak największą liczbę jednostek.





ŁOKIETEK PO BITWIE POD PŁOWCAMI

JULIUSZ KOSSAK

BOLESŁAW PRUS.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W pierwszej połowie czerwca odbył się „Zjazd kobiet polskich”, ściśle związany z jubileuszem 40-letniej działalności pisarskiej Elizy Orzeszkowej. Spróbuję streścić, co z tego powodu napisano o Czcigodnej Autorce. Będzie to bardzo niedokładna charakterystyka niezwykle osobistości, ale—niebezpieczna. Wszakże Kepler, nazywając: elipsą drogę Marsa naokoło słońca, popełnił niedokładność, lecz zarazem odkrył „prawo”, dzięki któremu Newton mógł wytłómaczyć ruchy wszystkich ciał niebieskich.

Czytelnik nie obrazi się, że, charakteryzując Orzeszkową w kilkudziesięciu wierszach, nie potrafię być całkowitym Keplerem, a wizje będą niedokładne, ale... nie odkryję żadnego prawa... To też ażeby podzielić się odpowiedzialnością, jak najmniej powiem „od siebie”, a jak najwięcej przytoczę zdań cudzych. Będzie to może pewniejszy sposób zbliżenia się do prawdy.

W otaczającym nas świecie każdy przedewszystkiem szuka tego, co posiada we własnej duszy, szuka tego co zna, co lubi, co jest mu potrzebne. Pójdźcie do lasu z kilkoma ludźmi różnych fachów, a przekonacie się, że np. myślnik będzie upatrywał w lesie zwierzyny, technik—drzewa zdolnego na budulec, malarz—gry kołorów i światłocieni, dziecko—jagód, panienka—kwiatów... Toż samo w życiu codziennym: lekarz najłatwiej spostrzeże osobistości chore i zdrowe, ksiądz—pobożnych i bezbożników, artysta odkryje dyletanta, rozpustnik rozpustnika i tak dalej. Użyteczność zaś powieściopisarzy polega na tem, że oni, jakby rozszerzają duchowy wzrok czytelnika, pokazują mu nowe typy charakterów i wypadków, budzą nowe upodobania i wstręty. Dowodów tej prawdy nie trzeba szukać daleko, są nimi choćby: „typy modne” w każdej epoce. Za czasów romantyzmu byli modnymi poeci i muzycy, szczególnie „plujący krwią”... W okresie pozytywnym

cieszyli się popularnością przedewszystkiem inżynierowie i bankierzy a później—rozmaici neurasteniczy, zwani dekadentami...

Powie kto, że nie literaci tworzą „typy modne”, ale że wysuwa je bieg wypadków. Prawda!... Typy modne tworzy historia, ale poeci, literaci niby oświeclają owe typy, czyli „opisują” je i dopiero wówczas szeroka publiczność zaczyna je „widzieć” w społeczeństwie, dokoła siebie... Co więcej: powieściopisarz wyjaśnia skąd biorą się „nowe tory”? w jaki sposób rozwijają się? jaki wpływ, użyteczny czy szkodliwy, wywierają na społeczeństwo?...

Krótko mówiąc, powieściopisarz nie tylko „rozwesela” czytelnika, nie tylko „zapełnia mu czas wolny” (niekiedy od próżnowania), ale także przykłada się do rozwoju duchowego narodu i epoki, pobudza do nowych uczuć, nowych postępców, może nawet do nowych pragnień. Trzeba bowiem pamiętać, że, jeżeli „uzdolnienia” odziedziczamy po całym szeregu przodków, to „treść” uzdolnień każda, generacja musi zdobywać sama, własną pracą i na własny rachunek. Jakiś człowiek wziął po przodkach upodobania „muzykalne”, więc będzie on lubił i pożądał muzyki, ale ta jego potrzeba inaczej zaspakaja się w epoce Bachów, a inaczej w epoce Wagnerów... Francuzi po całym szeregu przodków odziedziczyli zapal i pogardę śmierci, lecz owe zalety inaczej objawiają się za Napoleona I-go, a inaczej za czasów komunij...

Powtarzam: każde pokolenie samo buduje swój świat duchowy, a lepiej: każde pokolenie własną pracą musi rozszerzać to, co otrzymało po przodkach, zaś pracę tą, w pewnym zakresie i stopniu, ułatwiają mu nie tylko wychowawcy, nie tylko uczeni odkrywcy, ale także artyści, a wśród nich powieściopisarze, jak nasza Orzeszkowa.

A teraz posłuchajmy, co, z powodu jubileuszu, mówiono o Jubilatce, przedewszystkiem zaś w jaki sposób charakteryzowano ją samą:

„Geneza twórczości Orzeszkowej — mówi

I. Baliński w *Gońcu* nie leżała ani w bujnej, żywiołowej wyobraźni, ani w egotyzmie, w przedstawianiu rozmaitych stanów swojego „ja”. Słą, zapładniającą twórczość Orzeszkowej, było przedewszystkiem współczucie, współczucie podniesione na wysokość miłości dla cierpiących i nędz ludzkich, zarówno indywidualnych, „jak zbiorowych”... „Prawie nigdy nie wystarcza autorce samo pokazanie tego, na co wzrok jej upadł, sam obraz, ani też wywarcie wrażenia, sprowadzenie nstroju, rozczulenie... Jednocząc w sobie wrażliwość poety z temperamentem działacza społecznego, Ona pragnie i musi nauczać, poprawiać i przeobrażać, wyszukiwać lekarstw, jednym słowem wskazywać bliższe i dalsze drogi do ideału w który wierzy, a mianowicie do szczęścia”...

Zaś J. Kotarbiński (w *Nowej Gazecie*) w taki sposób określa Orzeszkową:

„Należy Ona nie tylko do wybitnych twórczych talentów, ale do najpiękniejszych charakterów pisarskich, które zawód swój pojmują, jako kapłaństwo, jako ofiarną służbę na ołtarzu dobra ogólnego... Wierna wewnętrznej prawdzie, starała się oddziaływać na społeczeństwo, zwracała oko najchętniej ku nizinom, malowała przewlekłe bóle ciche nędzy małuczkich i upośledzonych, które nie mogły wielkim głosem skarżyć się na własną nędzę”.

A oto, znowu według Kotarbińskiego, inna cecha Orzeszkowej. „Z filozoficznego determinizmu wynikało jej wielkie pobbazanie i wyrozumiałość wobec błędów ludzkich. Pod tym względem Orzeszkowa została wierna całe życie swemu kobiecemu szcru, w którym królowały: idealny optymizm i sympatya dla otoczenia”.

W. Raqski, w *Kuryerze Warszawskim*, w taki sposób uzupełnia charakterystykę autorki: „Zarówno demokraczm, jak feminizm tej duszy niepospolitej dalekie są od wszelkiego doktrynerstwa i sekciarstwa. Rodzą się w potężnej miłości, mają urok w wielkiej harmonii moralnej, wolne są od wszelkich zgrzytów nienawiści i dyktackiego radykalizmu. Jej światło postępu nie jest ani łuna





UCZTA WALLENRODA

M. E. ANDRIOLLI

pożogi, ani fajerwerkiem oślepiającym, lecz słońcem wiosennym, które ogrzewa, koi, rozjaśnia świat cały i budzi ziemię do życia”.

I jeszcze jedna cecha. „W cyklach „Melancholicy“ i „Iskry“ — mówi Kotarbiński — Orzeszkowa dochodzi do ukochania boskości w duszy ludzkiej, do mistycznego pocucia jej związku z całością bytu... Jest to spotęgowanie uczucia chrześcijańskiego, zgodnego z jej naturą miłościwą, nawskroś altruistyczna. Jest to wolne od form dogmatycznych ukochanie ideałów chrześcijańskich, nie zaś karny powrót do tradycji wyznaniowej”.

Poznaiśmy — mniej więcej — charakter autorki; teraz zobaczymy pobudki jej działalności pisarskiej. „Po uwłaszczeniu włościan — mówi E. Chwałewik w *Nowej Gazecie* — państwo pod działaniem sił wytwórczych wkracza w okres rozwoju kolei żelaznych, polityki protekcyjnej i, dzięki napływowi kapitałów zagranicznych, powstaniu licznego proletariatu bezrolnego, wytwarza wszędzie, zarówno w Królestwie, jak na Litwie i Cesarstwie, bardzo pomyślne warunki do rozkrzewienia się wielkiego przemysłu fabrycznego. Te zmiany ekonomiczne pociągnęły za sobą zmiany społeczne i wysunęły na pierwszy plan cały szereg palących zagadnień socjalistycznych, które purytować zaczęły każdy umysł wrażliwy... Nie uniknęła wpływu tego i wrażliwa natura Orzeszkowej... Jeszcze na pensji dziedziczka Miłkowszczyzny marzyła o uwolnieniu swych poddanych... Widząc w ludziach tyle sił żywotnych i zdrowych, autorka dotkliwie bolała nad rozdźwiękiem między dworem i wsią i szukała dróg wyjścia z tego położenia... Dalej — Orzeszkowa żywo interesuje się losem wysadzonych z siodła ziemian i zaleca im, jako środek zbawczy imanie się różnych zawodów... Najbliż-

szem wszakże sercu Orzeszkowej zagadnieniem była kwestya kobieca, pierwotnie jako sprawa wzajemnego stosunku płci obojga pojęta... Niebawem zmysł orientacyjny Orzeszkowej pogłębia się w tym względzie, poło obserwacji rozszerza się i kwestya niewieścia przestaje już być sprawą mijości i związku małżeńskiego a natomiast staje się zagadnieniem społecznym”.

„Malując po mistrzowsku — pisze Ostoja Sawicka — różnorodne objawy natury ludzkiej, autorka nie lekceważy miłości, tego potężnego czynnika w ludzkiej psychice. Lecz miłość u niej nie bywa nigdy plugawą chorobą, która przemienia człowieka w niepczytalnego krety... Orzeszkowa swymi utworami przyczyniła się nader do uszlachetnienia miłości, a zarazem do uszlachetnienia czytelnika”.

Ruchy ekonomiczne, współczucie dla bezsilnych lub zwyciężonych, wreszcie miłość, bynajmniej nie wyczerpują tych pobudek, które oddziaływały na twórczość Orzeszkowej. Była tam jeszcze inna i bodaj czy nie najsilniejsza ze wszystkich.

„Najszersza przepaść — mówi W. Rabski — która dzieli Orzeszkową od radykalizmu współczesnego to ten wielki wyraz, opluty i spotwarzony przez jednych, zepchnięty na plan ostatni przez drugich, któremu na imię: Ojczyzna. Tworząc pod knutem cenzury, musiała oczywiście, tak jak my wszyscy, przemawiać szeptem zaledwie, ale nawet w szept ten włożyła tyle miłości, że brzmiał on jak pieśń nad pieśniami, jak najcudniejsza ewangelia patryotyzmu... Czy mam przypominać, co wyśpiewała w powieści „Nad Niemnem“?... Była to jakby apoteoza nierozwrotnych ślubów Litwy i Korony, jakby modlitwa do jednej, wielkiej, wspólnej dla wszystkich Polaków ojczyzny. I wła-

śnie dzisiaj gdy z jednej strony słyszymy dzikie przekleństwa miotane przeciw hośtwu ojczyzny, a z drugiej hasła separatyizmu litewskiego, który chce „Pogoń“ oderwać od „Orła“, ten cudny polski śpiew nadniemeńskiej autorki staje się czemś więcej, niż poezją wzniołą, staje się przykazaniem świętym, protestem natchnionym, katechizmem polityki narodowej”.

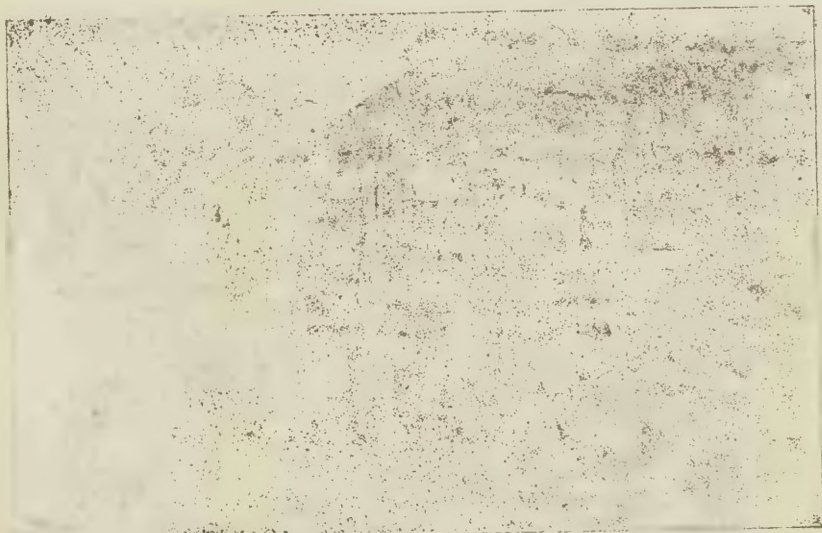
Orzeszkowa nie należała do autorów, którzy „śpiewają, jak ptaki“ — „sobie a nie komu“. Ona przeważnie miała jakieś cele; trzeba więc zobaczyć, jakimi one były?

„Twórczość Orzeszkowej przebiegała różne etapy, stosownie do różnych zagadnień społeczno-narodowych; w pewnym zakresie twórczość ta miała charakter programowy, dydaktyczny — mówi Kotarbiński. — Miałem sposobność — ciągnie dalej — wykazać kilkakrotnie ogromną doniosłość dzieł Orzeszkowej dla sprawy wychowania młodzieży, epokowe ich znaczenie w rozwoju kwestyi kobiecej, w sprawach asymilacji i uobywatelenia Żydów, wreszcie w podjęciu praw i tradycji kultury polskiej na Litwie, w sprawie wytrwania na stanowisku kresowem”.

„Znakomita powiesciopisarka — kończy Kotarbiński — była i jest jednym z obrońców ducha polskiego... Ożywiona duchem narodowego poświęcenia płynęła zawsze w przyszłość, której pierwsze braski oglądała oczyma, co nieraz lżą gorzką zachodziły wobec niedoli współbraci”.

„Jako gorąca pionierka programu organicznego — pisze E. Chwałewik — Orzeszkowa wysoko ceni pracę materialną; nie każe się wszakże zamykać w niej i zawsze głosem silnym przemawia za uwzględnieniem pierwiastków uczucia i zapału, wskazując szersze horyzonty... Wytrwałość, praca, nauka i chronienie się od wszelkich złudzeń —





WIEŚ DUBIENKA, TYPY LUDOWE.



STARY BUG POD DUBIENKĄ.

BOLESŁAW PRUS: KRONIKA TYGODNIOWA.

Duma została rozwiązana. Dla czego? Tłómaczy to wyraźnie Manifest Najwyższy:

„Wiele osób, wysłanych przez ludność, jawnie dążyło do powiększenia rozruchów i rozkładu państwa. Wniosków prawodawczych, optacowanych, opracowanych przez rząd, Duma nie albo nie rozważała, albo odrzucała. Duma uchwałała prawa otwarcie wysławiające przestępstwa, ale odmawiała potępienia zabójstw i gwałtów. Duma zbyt powolnie rozpatrywała budżet, co rządowi stwarzało trudności, a również nie okazała rządowi pomocy moralnej w sprawie przywrócenia porządku. Prawo interpelowania rządu znachna część Dumy zmieniła na prawo walki z rządem. A nareszcie, gdy władza sądowa wykryła spisek całej części Dumy przeciw państwu i władzy Cesarskiej, Duma nie spełniła prawnego żądania władz, co do zawieszenia w czynnościach oskarżonych i zamknięcia najbardziej winnych w więzieniu“.

Powyższe orzeczenia tak uzupełnia prof. Martens, który niedługo po zwołaniu Dumy powiedział jej rozwiązaniu:

„Duma nie była zdolna nie tylko do pracy, ale nawet do życia. W większej części składała się z ludzi, którzy wcale nie rozumieli swego zadania a tem mniej byli w możności działać w duchu ustawodawczym i państwowym. Trzystu członków Dumy nie umiało czytać ani pisać... Jakże ci ludzie mieli obradować nad budżetem?... O to nie jaki w Dumie panował, nikt nie może mieć wyobrażenia. Część Dumy inteligentniejsza pracowała nie dla państwa, ale przeciw państwu; wnioski rządowe były zwalczane i odrzucane, natomiast utworzone miały być prawa na korzyść wrogów państwa, przestępcy mieli dostać amnestyi i t. d. Duma skompomitowała parlamentaryzm“.

Na pytanie co będzie dalej? profesor odpowiedział:

— Trzeba będzie opracować nowe prawo wyborcze, aby do Dumy weszli tacy przedstawiciele ludu, którzy zadania swoje rozumieją i posiadają zdolność rozstrzygania ich, z którymi zatem rządzić będzie można.

Nie ulega kwestyi, że Duma popełniła wiele błędów, a najpierwszym jest, że nie uchwałała nawet praw zasadniczych. Błędy te jednak można wyjaśnić dwoma okolicznościami. Po pierwsze Duma jest organizmem młodym, więc błędziaby, krzyczała, deklamowała, klóciłaby się z ministrami nawet wówczas, gdyby wszyscy jej członkowie pokonczyli uniwersytety, a powtóre, jeżeli w Dumi znaiało się aż 300 nie umiejących czytać ani pisać, to... któż stworzył takie warunki, że ich

wybrano?... Przecież w Rosyi nie brak nawet posiadających stopnie uniwersyteckie... Na nieszczęście wielu z nich należało do partii „kadeckiej“, której na wszelki sposób nie dopuszczano do wyborów.

Publiczność przyjął rozwiązanie Dumy, jako objaw reakcy i zapowiedź dalszych w tym kierunku kroków. W podobnych objawach jest jednakże zbyt wiele przesady a ściślej mówiąc: za wiele przeceniania chwilowych wydarzeń. Jużci, że jest reakcja, to fakt: ale, jest ona całkiem naturalna i nie może być długotrwałą. W społeczeństwie musi panować nie tylko wolność, ale i porządek. Ponieważ w Rosyi wolność się jeszcze nie utrwaliła, jest więc jakby w stanie fermentacyi: co chwilę wybucha, ale jej podnoszą się zbyt wysoko. A ponieważ w życiu społecznym, jak na wodzie, po wysokiej fali musi nastąpić głęboka dolina, dziś więc mamy fazę doliny, fazę powrotu do porządku. Po tem znowu nastąpi fala wolnościowa, znowu dolina porządku, dopóki nareszcie oba te czynniki: wolnościowy i porządkowy nie ułożą się do harmonijnej równowagi.

Cóż było prostszego jak po Manifestie październikowym wziąć się do stanowienia praw wolnościowych, do korzystania z nich a nadewszystko, do pracy reformatorskiej, bez której państwo rosyjskie zsunie się w przepaść? A jednak to nie nastąpiło. I dla czego?... Ponieważ wybuchnęła konieczna, nieunikniona reakcja przeciw gospodarce biurokratycznej.

Co z drugiej strony było prostszego, jak, po osłabieniu objawów rewolucyjnych, przystąpić do wypełnienia Manifestu z 30 października?... I znowu to nie nastąpiło, ponieważ teraz wśród biurokracji obudziła się reakcja, przeciw nadużyciom partii wolnościowych... Po wysokiej fali głęboka dolina, po głębokiej dolinie nowa fala... Szczęściem, według praw natury, fale muszą rościć się coraz niższe, doliny coraz płytsze, aż w końcu nastąpi uspokojenie. A wówczas ci, którzy będą korzystali z praw wolnościowych i przywykną do nowego porządku, dziwić się będą, że obecne pokolenie tyle przeniosło cierpień dla osiągnięcia tak prostych i łatwych ulepszeń!...

Bo że Rosya musi poddać się reformom wolnościowym, że musi wejść na drogę rządów decentralizacyjnych, to dla mnie przynajmniej, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Państwu grozi trzy klęski: głód chaos i zdziczenie. Głodowi może zapooidz tylko swobodna, mądra wyżywiona praca w rolnictwie, przemyśle, handlu i t. p. Chaos uleczy się tylko zapomocą samorządów

prowincjonalnych, a zdziczenie powoli usunąć może gruntowna reforma szkół i wychowania wogóle. Moralne i umysłowe siły ludności trzeba spotęgować; podwoić, może potroić, bo inaczej kto będzie płacił podatki, kto będzie bronił granic państwa? Lecz pomnożenie sił przy ucisku politycznym i społecznym, przy sztucznem faworyzowaniu jednych a spychaniu drugich, jest niemożliwe...

No, a z nami co będzie?...

Właściwie mówiąc, nasze położenie faktyczne ani poprawiło się, ani pogorszyło, tylko — wyjaśniło: głośno bowiem i dobitnie przypomniano nam naszą rolę.

Dziś już wiemy: czego się trzymać, w obecnej fazie rosyjskich stosunków. Doskonale to charakteryzuje p. Mienszykow w *Nowem Wremieni*. Nasze projekta autonomiczne, uważa się jako dążenie do rozkładu państwa.

„Polacy i Ormianie w samym centrum instytucji prawodawczej uformowali obozy wrogie państwu rosyjskiemu. Właśnie Polacy zerwali drugą Dnmę (!)... Nowe zaś prawo wyborcze, choć dalekie od doskonałości, robi krok naprzód ku wyzwoleniu naszego parlamentu. Wprawdzie w przyszłej Dumie, niestety, pozostanie jeszcze lżyka dziegciu, ale już nie taka wielka jak dotychczas... Gdyby zaś wpływ obcoplemieńców okazał się nadal niebezpiecznym, to należy przypuszczać, że pokonane przez nas plemiona pozbawione będą zupełnie praw ustawodawczych“...

Jakie to słowiańskie, braterskie i chrześcijańskie!...

Ale dziwna rzecz. „Prawdziwie ruski“ patrytyzm p. Mienszykowa, cudownym wypadkiem zszedł się z poglądami.. *Kölnische Zeitung*, organu mającego ściśle stosunki z rządem pruskim... A oto próbka:

„Specyjalną niespodziankę przedstawia wyłącznie Polaków od praw wyborczych, które mają obowiązywać w czysto rosyjskich prowincjach. W uprzedniej Dumie Polacy odegrali bardzo dużą rolę, tak że mogli decydować w poważnych sprawach. To zdaje się zostało spostrzeżone z niechęcią a coraz wyraźniej odsłaniane plany otworzyły zapewne Cesarzowi i ministrom oczy na to, co Polacy nazywają autonomią, co w rzeczywistości jednak jest przygotowaniem do oddzielenia Polski od Rosyi i do usamodzielnienia... Przedwczesne wystąpienie planów autonomicznych i fakt, że siła parlamentarna Polaków stawała się w wielu sprawach czynnikiem decydującym, zapewne spowodowały decyzję, że wyrzeczono się dotychczasowej polityki daleko idących ustępstw i postawio-

1891



1891

no Polaków na jednakowym poziomie z mieszkańcami Kaukazu“.

Dwie powyższe cytaty: z p. Mienszykowa i z *Köln. Zeit.* najlepiej objaśniają: jakich serdecznych mamy przyjaciół i w Rosyi i w Prusach i... jak powinniśmy być ostrożni, jak mądrzy, nawet... w gadaniu i pisaniu... Na tej bowiem drodze, nie na żadnej innej dostarczamy rozmaitym niechętnym żywiołom potrzebnego im materiału do oskarżeń.

Ale najpierwej przypatrzmy się faktycznemu położeniu.

W drugiej Dumie wśród 520 posłów mieliśmy... 46 przedstawicieli; dziś na 442 posłów będziemy mieli 11, może 15 przedstawicieli naszych potrzeb. Tak więc w przeszłej, jak i w przyszłej Dumie byliśmy i będziemy małą garsteczką, która, w normalnych warunkach, nie tylko nie mogła wpływać na losy państwa ale nawet, bez poparcia większości rosyjskiej, nie mogła marzyć o poprawizniu dołi własnego narodu.

Jeżeli więc, pomimo to, polska „łyżka dziegciu“ zdecydowała np. sprawę kontyngensu rekrutów, dodajmy: w sensie dla państwa rosyjskiego korzystnym, to nie dla tego, że jest „etnicznym mikroblem“, jak mówi p. Mienszykow, ani dla tego, że „Polska dąży do oddzielenia się od Rosyi“, według *Köln. Zeit.*, lecz dla tego że: siły Rosyi są rozdzielone i że toczy się w niej walka wewnętrzna. My zaś tej walce absolutnie nie jesteśmy winni i nawet nie mieszaaliśmy się do niej z wyjątkiem, niestety, jednego wypadku, kiedy całkiem niepotrzebnie z ust polskich rzucono frazes: „wasz rząd jest azyatycki!“...

Co za nieszczęsne pofolgowanie nerwom rozdrażnionym!... Bo przecież posłowie nasi rozumieją, że gdy kłóci się małżeństwo: Duma z rzą-

dem, to tacy jak my goście, „taka łyżka dziegciu“, taki „mikrob etyczny“, najlepiej zrobi nie popierając w sporze ani jednej ani drugiej strony.

Dalej—zachowanie się Koła polskiego w sprawie rekruckiej było arcymądre, arcy polityczne, lecz na nieszczęście miało zmienić się na bardzo... nieostrożne, w sprawie budżetowej.

„Nawet w kwestyi budżetu—mówi *Gazeta Polska*—Polacy nie stanęli na stanowisku wręcz opozycyjnem, lecz oświadczyli głośno, że głosowanie ich będzie zależnem od stanowiska rządu względem spraw polskich. a przedewszystkiem do wniosku szkolnego“...

Ja, z przeproszeniem, gdybym był Kołem, może usunąłbym się od głosowania w sprawie budżetu a może... głosowałbym za budżetem... Poprostu dla tego, ażeby, w razie odrzucenia go, uwolnić się od zarzutu, że to Polacy odrzucili budżet, że Polacy przyczynili się do rozwiązania Dumy, która dla Rosyan, była bardzo potrzebną, bardzo upragnioną...

Ale, może tylko w *Gazecie Polskiej*, padło znowu nieostrożne słówko: „Rząd miał do wyboru: albo poczynić ulgi Polakom, albo rozwiązać Dumę“... Otóż takiego słówka, nie wolno wypowiadać politykom, którzy powinni wiedzieć, albo przeczuwać, że rząd może—musiał—tymczasem odrzucać żądania Polaków... Zresztą byłby to dowód wielkiej nieostrożności, takie nadmierne wyzyskiwanie chwilowej przewagi, która jutro mogła się zmienić a co gorsze, stworzyć Kołu nieprzejednanych wrogów.

Pamiętajmy, że frazes: „rząd miał do wyboru... albo... albo...“ możnaby wypowiadać tylko wówczas, gdyby poza Kołem stały ze dwie armie, np. niemiecka i francuska, z małym dodatkiem angielskiej floty. Bo kto nie ma takich „zębów

i pazurów“. ten nawet z frazesami musi być ostrożnym!...

Jeszcze nieostrożniej nawet wprost nieprzymownie, tonem p. Mienszykowa, przemawia pewien dziennik nie wychodzący w Królestwie...

„Jak w państwie rosyjskiem jedynem społeczeństwem żywotnem, zdolnem do społecznego i cywilizacyjnego postępu była Polska, tak samo i w Dumie jedynem stronnictwem pozytywnej pracy okazało się Koło polskie. Nie zbiegiem szczęśliwych okoliczności, lecz swą rzeczywistą polityczną wyznością, zajęło ono w Dumie decydujące stanowisko“...

Oto cieszyłby się p. Mienszykow i *Köln. Zeit.* gdyby taki pusty frazes mógł przypisywać Kołu a może i całemu narodowi polskiemu!... Na szczęście naród nasz z tego rodzaju deklamacjami jałowemi nie ma nic wspólnego.

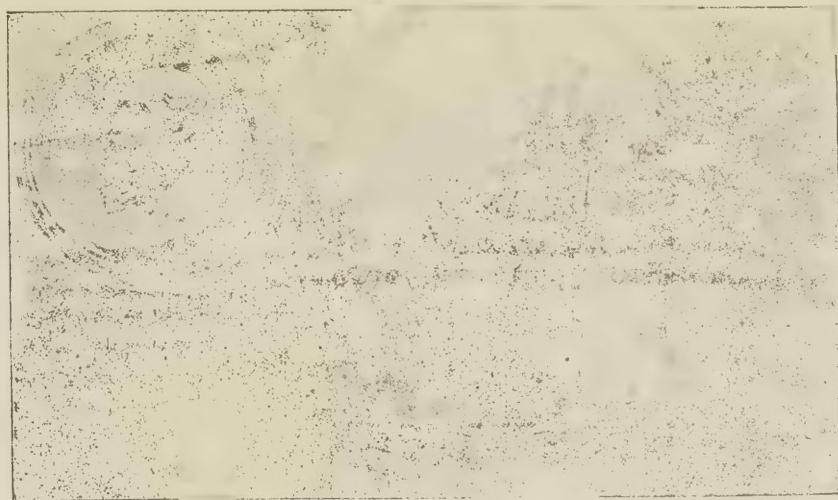
Jest więc źle w naszym położeniu politycznem i źle w naszych politycznych poglądach. Pomimo to, nie można twierdzić, ażeby już nie było żadnej nadziei. Albowiem w Najwyższym Manifeście znajdujemy zdanie:

„Inne narodowości, wchodzące w skład naszego Cesarstwa, powinny mieć w Dumie państwowej przedstawicieli swoich potrzeb“...

A dziennik *Rus* mówi: „Kresy mogą mieć ufnosć do zmysłu państwowego narodu rosyjskiego, do jego cywilizacji, ludzkości i sprawiedliwości, Bądźcie pewni, że naród rosyjski nie oszuka“.

Tak więc—Monarcha nie odmówił nam prawa formułowania naszych potrzeb a wśród opinii publicznej rosyjskiej są głosy nie solidaryzujące się z teoriami p. Mienszykowych.

Nadewszystko zaś—losy narodów spoczywają w ręku Boga a zależą od ich własnej pracy i ich własnej wartości.



POMNIK hr. FOUCHER de CAREIL.

Przyjaciół Polaków.

W ostatnich dwudziestu latach mało spotykamy ludzi wybitnych zagranicą, którzyby znali sprawy polskie, odnosili się do nich z sympatją i zrozumieniem, nie przyjmując tej wielkiej krzywdy dziejowej, jako czynu dokonanego, z którym zgodzić się trzeba i liczyć należy.

Hr. Foucher de Careil, którego pomnik odsłonięto tymi dniami w lesie Fontainebleau, należał, podobnie jak Montalambert, do tych rzadkich a wiernych przyjaciół Polski.

Będąc kilka lat ambasadorem w Wiedniu, miał sposobność poznać Polaków bliżej, nauczył się nas cenić, wierzył i miał odwagę utrzymywać, że przy najmniejszej zmianie w układzie potęg europejskich Polska znów stać się musi osią polityki środkowo-europejskiej.

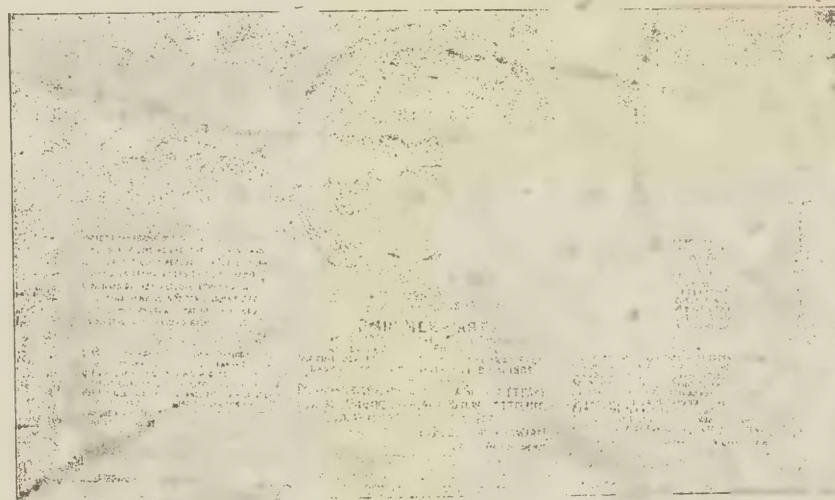
Wielki pan, a zarazem republikanin z 48 roku, szlachetny idealista i człowiek rozległej wie-

dzy i wysokiej kultury, pierwszy przyswoił Francyi dzieła Schopenhauera i Leibniza, zapoznał ją z wynikami filozofii niemieckiej, a ta olbrzymia praca uczonego nie przeszkodziła mu bynajmniej zajmować się gorąco sprawami społecznymi, popierać rolnictwo, brać żywy udział w polityce swego kraju, jako ambasador w Wiedniu, a następnie senator z Seine-et-Marne.

Miłośnik natury, znawca i mecenas sztuki, on to uchronił sławny las Fontainebleau, tę malowniczą „świątynię Dumania“, która zachwycałby musiała naszego Hrabiego z „Pana Tadeusza“, od rabunkowej gospodarki leśnej. Dziś państwo wdzięczne zdobi wspaniałym bronzem jedną z najpiękniejszych skał tego romantycznego ustronia.

Trzeba bowiem oddać sprawiedliwość Francyi, że umie czcić swoich zmarłych i zachowywać z pietyzmem pamiątki dawnych wieków.

Po kilku przemówieniach, między któremi odznaczała się mowa markiza de Monmorau i b.



POMNIK PAWŁA MERWARTA.

prezydenta Loubeta; w imieniu Polaków i kolonii francuskiej z Wiednia zabrał głos profesor Karo Merwart, podnosząc w wymownych słowach działalność hr. Foucher de Careil w dziedzinie nauki i składając hołd temu człowiekowi prawemu, którego życie było jednym poszukiwaniem prawdy i sprawiedliwości.

Należy nadmienić, że roku zeszłego w tymże lesie Fontainebleau złożone zostały szczątki znanego *Tygodnikowi* malarza Pawła Merwarta, którego śmierć tragiczna podczas wybuchu na Marty-nice szczere wywołała współczucie w świecie nauki i sztuki.

Medaliony brązowe zostały wykonane przez artystę fancuskiego Ernesta Dubois. Odznaczają się poprawną akademicką robotą i właściwym Francuzom dobrym smakiem układu.

MARYA IWANOWSKA
(THERESITA).



W Pradze Czeskiej, na początku września, odbył się kongres powszechny „Wolnej Myśli” a rozstrząsał następujące sprawy: 1-o wolnej szkoly, 2-do rozdziału kościoła od państwa, 3-io świeckości społeczeństwa, 4-to patriotyzmu.

— Zajmujące tematy! — powie czytelnik — ale... co to jest „Wolna Myśl”?

— Kto chce się rzeczywiście prawdy dowiedzieć o wolnej myśli—mówi członek kongresu, Franciszek Krejci, niechaj wie, że opiera się ona na najczystszej podstawie etycznej, że jej ideą przewodnią jest dźwignąć moralnie ludzkość, dla której tylu genialnych ludzi najsrozsze poniosło cierpienia. Myśl Wolna dąży do najszczytniejszych ideałów dobra i prawdy... Domagamy się wolności, równości i braterstwa dla wszystkich ludów... Dzisiejsza społeczność i jej ustrój opiera się na podstawach, które poprostu urągają wszelkiej humanitarności... Musimy z całą konsekwencją bronić zasady, wedle której każda jednostka, sama siebie świadoma, posiada pełne prawo do rozwoju, wedle przymiotów swej indywidualności... A co się tyczy jednostki, to stosuje się także do całego narodu. Żadnemu narodowi nie można odmówić prawa do życia. Był narodu zawist od poczucia wzajemnej łączności obywateli. Dopóki to poczucie trwa, naród żyje; nie ma na świecie takiej mocy, która mogłaby odjąć człowiekowi tę świadomość, zwaną zazwyczaj poczuciem narodowym... Czy nie szkoda zaiste! energii duchowej na starcie narodowościowe?...

Tak mówił Czech w obecności Niemców i przeważnie do Niemców, zaś oni go oklaskiwali.

Definicja Wolnej Myśli nie byłaby dostateczną, gdybyśmy nie uzupełnili jej słowami polskiego apostoła, p. A. Niemojewskiego.

„Myśl niepodległa jest metodą badania i metodą życia. Ludzie myśli niepodległej badają bez uprzedzeń... i wedle wyniku swoich badań zaczynają żyć. Myśl niepodległa może istnieć i rozwijać się tylko po za granicami mocarstwa dogmatów religijnych czy etycznych, społecznych czy politycznych... Ludzie myśli niepodległej stanowią pewien typ, który trzeba hodować i uczynić typem panującym. Są to bowiem siewcy wolności we wszystkich dziedzinach myśli i życia.”

Program Myśli Wolnej, sformułowany przez profesora czeskiego, jest sympatyczny, szlachetny, lecz nie nowy. Któż bo z nas nie pragnie dążyć do prawdy i dobra?... Kto nie zapala się do hasła: wolność, równość i braterstwo wszystkich ludów?... Kto nie chciałby doczekać szczęśliwej epoki, od której każda jednostka i każdy naród będzie miał prawo rozwijać swoją indywidualność tak, jak jemu wygodniej, nie zaś jak mu nakazują inni?... Powtarzam więc: piękne to wszystko, ale—nie nowe...

Bez porównania głębszem jest to, co zapowiedział p. A. Niemojewski: „Myśl niepodległa baba bez uprzedzeń”... W innym zaś miejscu żąda od swoich uczniów tylko jednej rzeczy: „ażeby myśleli własną głową”—nie zaś cudzemi frazesami.

Więc według p. Niemojewskiego „myśl niepodległa” znaczy myślenie samodzielne, twórcze, krytyczne... Zaprawdę jest to wielki cel, jest to niby odrodzenie czy zmartwychwstanie ducha narodowego... My bowiem, Polacy, jak gdybyśmy nie umieli samodzielnie myśleć!... Jesteśmy przedewszystkiem bardzo niedbałymi, bardzo powierzchownymi obserwatorami. Następnie—mamy wiele

przesądów, wiele utartych frazesów, którym wierzymy jak rzeczywistości... Dalej—nie umiemy jasno wypowiadać swoich myśli, ani staramy się dokładnie zrozumieć, co mówią i myślą inni?... A nareszcie o naszych uogólnieniach, naszych hipotezach i sprawdzaniu ich, naszej krytyce i samokrytyce, czyli o pracy nad pomnożeniem nowych idei, już chyba i mówić nie warto!...

W takich warunkach umysłowo-społecznych, gdy usłyszałem hasło „Myśli Niepodległej”, która ma „badać bez uprzedzeń”, wyznaję, że uradowałem się głęboko. Naturalnie zacząłem czytać pismo pod powyższym tytułem, no—i z największą przyjemnością znalazłem w niem duże talenty pisarskie, szczerze przekonania, nie mały zasób odwagi, nie mało ukształcenia w pewnych kierunkach...

Współcześnie jednak (niech i mnie wolno być szczerym!) doznałem rozczarowania. Albowiem zamiast „bezbiasnych badań”, widzę—energiczną, a nawet gwałtowną walkę—z kim?... Z Kościołem katolickim...

„Ksiądz nie zwraca pieniędzy, jakie otrzymał, za nieudane zażegnanie chmury gradowej... On zrzuca z siebie odpowiedzialność za rady i nauki, jakich udziela...” „Księża, w bezgranicznej chciwości wydzierając sobie z rąk owieczki, doprowadzili do wojny religijnej w naszym kraju...” „Tak zwana partya Częstochońska urządza naganek na Polską Macierz Szkolną, zarzucając jej poganizm...” „Księża wpadają do księgarń, zabierają nieprzyjemne dla siebie książki i palą je...” „Majątek belgijskiego kościoła wynosi 1,225 milionów franków, zaś majątek katolickiego duchowieństwa w Austrii prześcignął miliard koron, do czego wypada doliczyć jeszcze wartość majątku nieruchomości w sumie 300 milionów koron”...

Obok tych wzmianek, znajduje się, jakby manifest: „Chcemy wstrząsnąć sumieniem ludu polskiego... Ludu polski czytaj słowa tych, o których głowy piorun kławy papieskiej kruszy się i łamie, jak słomka...” A gdyby ci powiedziano: nie bierz do ręki takiej książki... ty powiedz urzędowym naśladowcom Chrystusa, że on wraz ze swymi uczniami chadzał po kraju boso i, nie wyklinał!... Że on toczył spory z kapłanami którzy za tę śmiałość denuncywali go i uśmiercili... Ale po tem, gdy lud ginał do tego bohatera swego, oni nazwali siebie głosicielami jego nauki! Urobili ją w swój katechizm, który teraz tobie, Ludu polski, wykładają. Czytaj i rozważaj, czy ta ich katechizmowa wiara jest do uwierzenia, a katechizmowa moralność do naśladowania. A także pytaj swego sumienia, czy ten, który poległ za prawdę, mógł podobne rzeczy głosić i za nieomylnie podawać...”

To tylko ataki przeciw kościołowi katolickiemu, ale nie żadne „bezbiasne badanie”... Kościół podobny jest do drzewa, mającego tysiąc kilkaset lat wieku. Niewątpliwie są na nim guzy, połamane konary, dużo porostów, wykrywień próchna i pasożytów; słowem, jest wiele szcze, głów starczych i chorobliwych, o których mówić i pisać można, nie zapominając jednak, że drzewo to załasnia dużo część kuli ziemskiej, że trwa od wieków, a więc musiło mieć warunki trwałości, musiało być użyteczne.

W jaki sposób?... Nie sięgając głębiej, trudno zapomnieć o nieprzeliczonych dziełach poetyckich, filozoficznych, architektonicznych rzeźbiarskich, walarskich, muzycznych i t. p., które bez kościoła katolickiego nie ukazały się na świe-

cie. A jeżeli tak jest, więc ów kościół spełnia misję cywilizacyjną: oświecał, radził, pocieszał podniecał twórczość, hamował, regulował stosunki prywatne i publiczne, wytwarzał charaktery...

Czy więc w imię „bezbiasnych badań” można rolę kościoła ograniczyć do zbierania pieniędzy, albo do wydawania katechizmów niemoralnych i nie zasługujących na wiarę?...

Swoją drogą duchowieństwo i zwierzchnicy kościoła powinni zwrócić uwagę na niewątpliwą ferment opozycji, który nawet w naszym kraju budzi się, rośnie... a którego „Myśl niepodległa” jest tylko jednym z symptomów.

Potrzebne są reformy bardzo liczne, i ważne. Potrzeba więcej ducha, mniej interesów materialnych; więcej pobożności, mniej pogroźek; więcej nauki, mniej dumy; więcej beskości, mniej polityki... Ale to już nie należ do mnie.

Z drugiej jednak strony ośmieliłbym się zapytać szanownych autorów *Myśli niepodległej*: czy wojna z kościołem katolickim, szczególnie w naszych warunkach politycznych i społecznych, jest naprawdę kwestią *najpilniejszą* dla rozbudzenia w narodzie myśli „wolnej, samodzielnej”?... I czy owel „samodzielności” tysięcy razy więcej usług nie oddałoby założenie jakiegoś laboratorium, a choćby, przetłumaczenie dobrej książki filozoficznej, pczrodniczej, matematycznej, aniżeli „badania” pod tytułem: „O pochodzeniu naszego Boga”?

Nie należę do tych, którzy będą układał stós, ażeby spalić na nim egzemplarze Myśli Niepodległej. Owszem, nie ukrywam, że wielkie zdolności „wolnych myślicieli i ich czupurność podobają się. Przypuszczam nawet, że ich pioruny, choć tylko papierowe, mogą przyczynić się do odświeżenia naszej zatęchłej atmosfery umysłowo-moralnej... Zresztą—chciecie walczyć z kościołem, walczcie, jeżeli wam to do zbawienia potrzebne!... Nie mniej mam ochotę zapytać: czy walki z kościołem nie możnaby prowadzić bez... potracania o fundamenty *wszelkiej religii*, jakimi są pojęcia: świata ponadzmysłowego, duszy nieśmiertelnej i Boga wszechmocnego?...

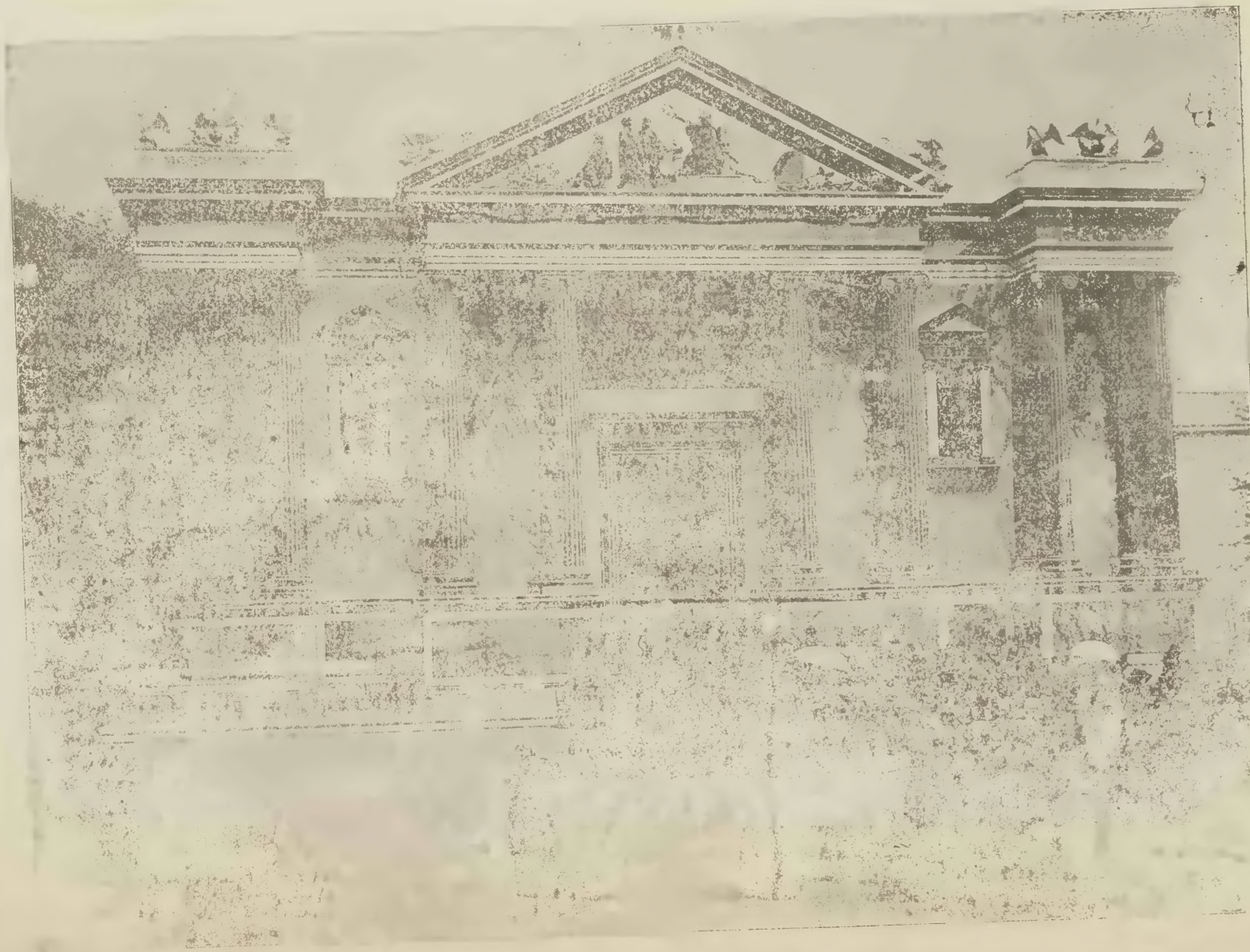
„Dziś już wiemy—woła niepodległy autor, że nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek Boga na obraz i podobieństwo swoje...” (Jak mi to przypomina naszą szóstą księgę, pamiętasz Julku?...). „Takiego Boga, o jakim uczy nieomylny papież nie ma; czy jest natomiast inny Bóg? Na to pytanie nikt dotąd właściwie nie odpowiedział...” Albo ta cudowna uwaga: „Bóg, gdyby był, miałby obowiązek objawić swoją wolę każdemu człowiekowi”...

Zdarzyło się, że na parę godzin przed broszurami Myśli Niepodległej czytałem, „Podstawy Nauki, Traktat o logice”—Stanleya Jevosa, jednego z reformatorów logiki, jednego z największych umysłów w wieku XIX-tym. Otóż pozwolę sobie i z tego wolnomyśliciela (lecz Anglika!...) zacytować parę zdań:

„Hipoteza uznająca Istotę wszechmocną i wszechdobrą także wygląda na sprzeczność logiczną; albowiem istnienie choćby najmniejszego zła i nieszczęścia już napozór dowodzi, że owa Istota, albo jest niezupełnia wszechmocna, albo niezupełnie wszechdobra... Lecz jeżeli my nie możemy iniknąć sprzeczności nawet w dziedzinie geometryi elementarnej, to—czy możemy spodziewać się, że najwyższe zagadki bytn pokażą się nam zupełnie jasnymi?... My ciągle znajdujemy się w położeniu umysłów skończonych, usiłujących rozstrzygnąć zagadnienia nieskończone; czyliż nie można przy-

216
23
28 9/8
24
49
18 262





WEJŚCIE GŁÓWNE PODCZAS OTWARCIA WYSTAWY SZTUKI MIĘDZYNARODOWEJ W WENECYI.

puścić, óe tam, gdzie my widzimy tylko sprzeczność, umysł nieskończony nie odkryłby najdoskonalniejszej harmonii logicznej?"

Komentator katechizmu żartuje sobie, że — Bóg na osądzenie duszy zmarłego ma zaledwie sekundę czasu?... Zaś Jevons mówi: „Materyalne przedmioty muszą istnieć w przestrzeni, ale umysłowe przedmioty mogą istnieć po za obrębem przestrzeni i czasu. One mogą nie mieć związku z przestrzenią... O ile ja rozumiem, mogą być przedmioty umysłowe dla których miejsce i czas żadnego nie mają znaczenia“. (A czy pojęcie Sądu Bockiego nie należy do tego rodzaju przedmiotów umysłowych?)

Pytanie: „Zkąd się wziął nasz Bóg?... Myśl Niepodległa rozwiązuje zapomocą archeologii i filologii. Z tych zaś metod wynika, że religie polegają na — przenoszeniu wyrazów z jednego języka do innego, na rozszerzaniu ich treści, na łączeniu ich z innymi wyrazami i t. d.

Lecz gdyby Myśl Niepodległa w sprawie: skąd i dla czego powstały religie? odwołała się do pomocy innych nauk, może i rezultat byłby nieco odmienny. I tak:

Człowieka obdarzonego choćby tylko „chłopskim rozumem“ psychologia uczy że: istota żywa i myśląca, z największym wstrętem wyobraża sobie śmierć i bezmyślność, a więc nadzieja życia wiecznego, jest dla niej elementarną potrzebą prawie taką, jak jedzenie i oddychanie. Ztąd zapewne urodziła się i wiara w nieśmiertelność. Temuż chłopskiemu rozumowi logika tłumaczy, że wszechświat nie tylko musi mieć przyczynę, ale jeszcze przyczynę tyle razy męorszą od człowieka, ile razy

natura jest wyższą od dzieł ludzkich. I to zapewne, a nie jakieś omyłki językowe, stanowi źródło wiary w Boga.

Następnie do człowieka z „chłopskim rozumem“ nauki przyrodnicze wołają wielkim głosem, że, w naturze niema śmierci!... Dlaczegożby więc śmierć miała tkwić tylko w duszy i dla duszy ludzkiej?... Geologia w namacalny sposób świadczy, że w naturze istnieje coś podobnego do pamięci, a mechanika potwierdza to jaskrawymi przykładami. „Ruch każdej łódki, która mąci wodę oceanu zapisuje się tam na wieki — mówi Babbage, znakomity matematyk angielski. — „Samo powietrze jest niby niby ogromną biblioteką, w której na zawsze zapisało się, wszystko, co się kiedykolwiek powiedziano, a nawet wyszeptano“... Czy zaś w tej trwałości ruchów nie tkwią materiały do nieznanego nam życia wiekuistego?...

Myśl Niepodległa po gospodarsku załatwia się z t. z. „tajemnicą Trójcy Świętej“... Tajemnica ta jednak nie jest ani tak jasna, ani prosta, ani... niedorzeczna... Ludzie bowiem, obeznani z wyższą matematyką wiedzą, że, gdyby egzystowała istota „czterowymiarowa, a więc wyższa od wszystkiego co znamy w naturze, człowiek musiałby wyobrażać ją sobie w postaci, najmniej, trzech istot materialnych, trójwymiarowych tworzących transcendentalną jęgność...

A oto jeszcze cytata z Jevonsa: „Badając instynkty mrówek, pszczół, bobrów, poznajemy, że one w działaniach swych klerują się niepojętym dążeniem zwróconem do odległego celu. Bądźmyż wierni naszej metodzie nankowej i badajmy te również instynkty ludzkiego umysłu, które po-

budzają człowieka do takich czynów, jak gdyby celem jego życia było — zasłużyć na pochwałę Istoty Najwyższej“...

Tak mówią nauki ściśle, tak o Bogu wyrażają się potężni myśliciele.

☺

Z NASTROJÓW.

Na falach życia ku przyszłości
Wybranych płynie tłum.
Mnie przyzywają druhów kości,
I grób otwiera już ramiona,
Najlepszy druh i kum.

Młodości mojej towarzysze
Przedwcześnie legli w grób.
I mnie coś ciągnie w mrok i ciszę,
Co lepsze, wszystko we mnie kona,
Brak sił do nowych prób.

Z szelestem smętnym z drzewa spada
Jesienny, żółtkły liść.
Pragnąłbym, jak tych liści stada,
Przez wiatr niesione precz po świecie,
Gdzieś lecieć, płynąć, iść...

Wędrowka liści w łonie ziemi
Ma bezechowy kres.
Pragnąłbym cicho razem z niemi
Po życia krótkim odejść lecie,
Nie budząc skarg, ni łez.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.



11

1



MELANIA
MUTTERMILCHOWA

Z Słonu T. Z. S. P.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

1907 nr 4

Aby odwrócić uwagę czytelnika od kwestii politycznych: od rozmaitego rodzaju hakatyzmów, od wyborów, stronnictw i partyjnych nienawiści, powiem o jednym zakątku, który jest niby miniaturą naszego społeczeństwa i jego porozbiorowych dziejów. Mam na myśli Nałęczów, miejscowość, jak wiadomo, leczniczą i wakacyjną.

Nałęczów nie należy do „wielkich wód“, lecz się w nim około 800, zwiedza go około 2,000 osób rocznie. U tej jednak małej wody spędzali lato: Deotyma, Odyniec, Sienkiewicz, Paderewski, Faleński, Karłowicz, Gliński, Radliński, Andriolli, Szwojnicki, Or-Ot, Matuszewski, Popławski... Barcewicz i Michałowski przyjeżdżali tu z koncertami, skrzypek Adamowicz w odwiedziny do pp. Marconich, b. poseł Dmowski w odwiedziny do Popławskiego. Daniłowski przepędził tu parę lat, a Żeromski nawet osiedlił się... Ordynującymi lekarzami byli: Bauerertz, Sokołowski, Tomaszewicz-Dobrska, Fabijan, Nusbaum, Hewelke, Radziwiłłowicz, Chęłchowski, Rembieliński, Męczkowski, Kozłowski, Meyer, Zagórski, Dobrucki; zwiedzali zaś Nałęczów doktorzy: Ciszewiczowa, Baranowski, Dobrski, Gajkiewicz, Jakowski z Warszawy, Talko, Janiszewski, Jaworowski z Lublina. Jeżeli kogo opuściłem, niech mi będzie wybaczone; mogę zapewnić, że każde nazwisko wypisałbym, jeżeli nie złotem, to przynajmniej złotonemi literami.

Nałęczów ma historię. Pomijam wiek XV-y. W końcu XVIII zamieszkał tu Stanisław Małachowski, założył park, drogę do kościoła wysadził lipami i wybudował pałac. Była to wielkopańska rezydencja: ma ogromną sień, ogromną salę balową, ogromne komnaty, kuchnie i piwnice, z czego dziś korzystają... demokratyczni kuracyusze...

Między rokiem 1807 i 1823 Nałęczów już był miejscowością leczniczą. Kapał się tu ks. Adam Czartoryski i biskup Cieciszowski; pierwszemu analizę wody żelazistej dokonał w roku 1817 chemik Celiński; pierwszym lekarzem był dr. Dysiewicz. W roku 1831 Nałęczów posiadał łązienki, aptekę, mieszkania dla pacjentów, nawet mleko ośle i serwatkę. Już p. Kazimierz Puhała upominał się, ażeby „to miejsce upiekszyć sztuką“ a inny korespondent wołał do rodaków:

„Ci, którzy bardziej z nałogu, niż z potrzeby trwonią pieniądze na zagraniczne kompiele, mogą wygodnie i korzystnie przepędzić kilka miesięcy w Nałęczowie“.

Tak pisano przed 85-cioma laty!... Ale przyszedł rok 1821 i, razem z wieloma innymi rzeczami, pogrzebał Nałęczów. Do wód już nie jeżdżono, majątek przechodził z rąk do rąk; park dziczał, budynki zaczęły się walić, pałac opustoszał. A nareszcie, po drugim powstaniu, w r. 1863, Nałęczów kupił na licytacji generał Biełowcew i odprzedał go pani Czimirzinoj, która w roku 1877 chciała wydzierżawić pałac i park na obóz dla artylerji, za cenę nawozu...

Sic transit gloria mundi... tak mija sława... zakładów kąpielowych!... „Zamek, gdzie niegdyś brzmiało wesele, wieczna żałoba okryła, na wałach dzikie porosło ziele“... Kąt kraju niegdyś bardzo ożywiony, wesoły, świetny przeszedł pod panowanie martwoty, biedy i ciemnoty.

— Kiedym tu został proboszczem—mówił przed laty ś. p. ks. Struś (przyjaciół filozofa Krupńskiego)—zaledwie kilku chłopów przychodziło do kościoła z książką, którą nie jeden trzymał do góry nogami...

Lecz na świecie wszystko się dziwnie plecie. W tym samym roku, który widział pierwszą ruinę Nałęczowa, urodził się jęgo przysły odnowiciel, Fortunat Nowicki. Nałęczów upadał coraz niżej, a tymczasem jego wskrzesiciel kończył gimnazjum, zapisał się na uniwersytet w Kijowie, zapoznał się tam z kolegą Lasockim. A kiedy po parku nałęczowskim chodziły krowy, kiedy dawne mieszkania pacjentów przerobiono na karczmę czy gorzelnię, a w pałacu hodowano drób i prosięta, wówczas Nowicki był w Tambowie i pracował nad podźwignięciem wód żelazistych w Lipecku.

Około r. 1877 Nowicki opuścił Lipeck z myślą, ażeby na ojczystej ziemi otworzyć zakład leczniczy, który przyciągnąłby takich „co więcej z nałogu, aniżeli z istotnej potrzeby trwonią pieniądze na zagraniczne kąpiele“. W owej tej epoce Lasocki, ukończywszy służbę w ciężkich robotach, powrócił do kraju, został lekarzem kolei nadwiślańskiej, a zetknąwszy się z Nowickim, bodaj czy nie zwrócił jego uwagi na zrujnowany Nałęczów. Nowicki zjechał na miejsce, rozejrzał się i uznał, że punkt jest dobry. Zaś w roku 1878 doktorzy nowicki, Lasocki, Chmielewski i Sypniewski wzięli w dzierżawę pałac i park nałęczowski od nowego nabywcy, inżyniera Górskiego. Niebawem przyłączyli się do nich inni lekarze i nielekarze, zbudowano łązienki żelaziste; Benni, Chmielewski i Oskierka na górze armatniej wzniesli pierwsze wille, jako dowód wiary w przyszłość Zakładu, a wnet po nich Straszynski i Raciborski także pobudowali wille, „przez wdzięczność dla Nałęczowa“, za pomysły kuracye ich żon.

W ten sposób utworzyło się stowarzyszenie idealistów, którzy jak najmniej myśleli o dywidendach.



dach, jak najwięcej—o dobru publicznem. Nie brakło swarów. Nowicki chciał rządzić jak dyktator, inni—jak sejm; on kładł nacisk na kąpiele żelaziste, inni na inne sposoby leczenia... Kłócili się, podawali się do dymisyi, chorowali na zgryzoty... Wątpię jednak, czy była w kraju spółka, którą ożywiałyby szczerzy patriotyzm, większa troska o interes ogółu, gorętsza chęć, ażeby—zatrzymać w kraju pieniądze nieraz tak bezpotrzebnie i bezmyślnie wywożone za granicę...

Od tej pory historia Nałęczowa przedstawia jeden ciąg ulepszeń i postępów może drobnych i nie hałaśliwych, ale wszechstronnych i rzetelnych. Co pochodzi ztąd podkreślam zdanie—że szlachetne ziarno uczuć obywatelskich padło na dobry grunt i że pierwotna organizacja, złożona z ludzi usktałconych, energicznych i wysoce uczciwych, zważyła, przyciągnęła do siebie tylko dobre żywioły. W Nałęczowie mogą być zatargi, mogą być osobiste niechęci; nigdy jednak nie było miejsca na szwindelki a choćby tylko na egoistyczne roboty.

Powiedziałem: dobry grunt. Przedewszystkiem jako miejscowość lecznicza Nałęczów ma doskonałe powietrze a wodę żelazistą taką jak w Spaa i w Reinerz. Powtóre—jest to miejscowość bardzo ładna.

Gdybyśmy z pałacu, promieniem dwuwiorstowym (granica zwykłych spacerów) zakreślili koło, to w obrębie tym prawie niema równiny, tylko dolinki i wzgórza porośnięte bogatą i bardzo urozmaiconą roślinnością.

Widoki są prześliczne. Las na wzgórzu, łąka przecięta wijącą się rzeczulką, pola różnych kolorów, między drzewami chata jak perła, wille otoczone ogrodami, alleje starych lip, wawozy zadrzewione lub urwiste, wzgórze podobne do wygasłego wulkanu, z którego krateru wyrósł kopiec, ozdobiony kilkoma drzewami i krzyżem... Bez przesady można powiedzieć, że w Nałęczowie prawie nie ma punktu, z którego nie ukazywałby się krajobraz ładny a czasem—niepospolicie piękny. Na nieszczęście nasi malarze jeszcze nie dowiedzieli się o tem...

Powabom natury dotrzymuje kroku ludzka praca. Przedewszystkiem w Zakładzie. Nowicki zbudował łazienki żelaziste, Al. Sokołowski urządził doskonałą hydropatyę. Doliński odkrył borowinę i zaprowadził kąpiele borowinowe. Inspektorka mieszkań, p. Żółtowska, znakomicie rozwiązuje kwestyę lokalów i stosunków z pacyentami, którzy niekiedy bywają bardzo nerwowi... Chmielewski, obok wielu ulepszeń, stworzył i kuchnię zakładową a w sztuce postępowania z gośćmi, nawet z władzami, osiągnął szczytu. Prezes rady zarządzającej Lasocki i administrator Rodkiewicz wydobyli Zakład z ciężkich kłopotów finansowych; obecny dyrektor Puławski wprowadził: kąpiele gazowe, kąpiele słoneczne, leżalnię i kanalizację zakładu a nareszcie dzisiejszy admnistrators—p. Thiele, niegdyś dyrektor fakryki majolików w Nieborowie, pobudował bramy w parku, urządził chodniki betonowe a naprzeciw łazienek—nowy park z drzew iglastych. Siedząc, człowiek ma wrażenie Krynicy lub Szczawnicy.

Jest doprawdy rzeczą godną uwagi: ilu ludzi pozostawił w Nałęczowie ślady użytecznej działalności, w najrozmaitszych dziedzinach życia społecznego. Naprzykład. Chmielewski dla okolicznego ludu zainicjował ambulatoryum, które do najwyższej popularności doprowadził dr. Przemysław Rudzki, dr. Gliński i miejscowy felczer p. Banasikiewicz. Dyrektor Puławski, dał początek kąpielom ludowym, instytucji tak niezbędnej, a na wstyd nasz, tak mało upowszechnionej w kraju. Sąsiad Nałęczowa, obywatel Śliwiński z Antopola, założył przed sześcioma laty spółkę rolniczą Zgoda, która liczy 24 członków, posiada dobre narzędzia, sprowadza nasioną, utrzymuje rozplodniki. Pod wpływem tej spółki było w okolicy poprawiło się, jak mówią—„nadzwyczajnie“ i, co ważniejsze—powstało pięć nowych spółek tego rodzaju!

Przed kilkoma laty, miejscowy aptekarz p. Ojrzyński z wielkim trudem zainicjował i wyrobił koncesyę na Towarzystwo drobnego kredytu, które mnóstwo ludzi wydobyło z rąk lichwy. Dość powiedzieć, że dziś liczy ono z górą 2300 członków, reprezentujących 580,000 rubli kapitału. Pożyczki udzielają się na ósmy procent i na półtrzecieletni termin. Prezesem Towarzystwa jest radca Malewski, który 40 lat przemieszczał na Kaukazie.

Była tu i straż ogniowa, założona przez dyrektora Chmielewskiego, lecz, chwilowo przynajmniej, nie działa.

Z dziedziny sztuki dr. Malewski i p. inżynier Nagórski dali początek teatrowi ludowemu. Występują w nim służba miejscowa i rzemieślnicy, a grają np. sztukę „Harde dusze“ tak, że warto by na parę przedstawień zwabić ich do Warszawy. Była też i orkiestra z miejscowych chłopców, ale, nie utrzymała się... O koncertach przyjezdnych artystów, o teatrach, o orkiestrze sezonowej, jako rzeczach zwykłych „u wód“ nie wspominam. Muszę jednak zwrócić uwagę, że w ciągu lata przebywa tutaj zakład fotograficzny p. Sierocińskiego z Lublina, który wykonywa bardzo dobre portrety i krajobrazy.

Nie zapomniałem też o nowych źródłach pracy dla ludności miejscowej. Z inicjatywy d-ra Chelchowskiego, a przy współudziale d-rów Puławskiego i Malewskiego, powstał tu warsztat koszykarski, który wyrabia ładne kosze i sprzedaje ich za 500 rubli rocznie. Dr. Beni, z funduszu Jana Blocha, tworzy tu szkołę zabawkarską, a pp. Lasocki, Śliwiński i inni myślą o urządzeniu praktycznych zimowych kursów rolnictwa: któremi kierować będzie wychowaniec Instytutu rolniczego w Puławach, p. Mitkiewicz. Kursy te odbywać się mają w domu ludowym, bardzo ładnej, choć źle umieszczonej budowli, której plan zrobił p. Zenon Chrzanowski. W domu ludowym, już wykończającym się, mieścić się ma: Tow. Kredytu drobnego, sklep wiejski, sala na odczyty i zabawy, biblioteka, już licząca 4,500 tomów, wreszcie, Muzeum rolnicze, któremu dr. Lasocki podarował kilkaset tablic oszklonych, a przedstawiających wizerunki roślin, zwierząt, narzędzi i t. p.

Z innych osobliwości nałęczowskich wspominać: wille i ogród pp. Raciborskich, odznaczające się wytwornymi urządzeniami i porządkiem; Muzeum (ubiory ludowe, modele chat, sztuka ludowa, ptaki, owady, wykopaliska) zebrane dzięki staraniom d-ra Malewskiego, stacyę meteorologiczną, którą doskonale prowadził zmarły dr. Sacewicz, autor spisu roślin jawnokwiatowych (około 500 gatunków) zebranych w okolicach Nałęczowa.

Nad oświatą pracują tu dwa towarzystwa: Macierz szkolna i Światło. W Macierzy prezesem jest dr. Puławski, skarbnikiem dr. Gliński, sekretarzem aptekarz p. Konieczny; w Świetle prezesem p. Górka, sekretarzem p. Morzycka, skarbnikiem p. Sulowska. Niektórzy ubolewają nad takim „rozdziałem“ sił... Ja sądzę, że w naszych czasach, im więcej stowarzyszeń, tem praca pewniejsza.

Oba Towarzystwa uzupełniają się: Macierz założyła szkołę elementarną pod kierunkiem dwu bardzo dobrych nauczycielek, których nazwisk nieśsty zapominałem; Światło ma dwuklasową szkołę pełniej zasług osoby p. Morzyckiej. Jest i ochrona, którą założyła i przez pierwszy rok prowadziła doktorowa Rudzka.

Pośpieszam dodać, że oba Towarzystwa: Macierz i Światło, współzawodniczą ze sobą. Jeżeli np. Macierz ogłosi zabawę na dochód szkoły, natychmiast Światło urządzi wyborne odczyty Matuzewskiego na ochronkę. Jeżeli Macierz przystąpi do wzniesienia Domu ludowego, zaraz Światło „na złość“ buduje prześliczną ochronkę, której plan zrobił młody, niepospolitych zdolności budowniczy p. Jan Witkiewicz, a nie mało pracy, dozoru i pieniędzy włożył w nią p. Stefan Żeromski.

Moi panowie z Macierzy i ze Światła kłóćcie się tak choćby do końca świata!

Nie byłby pełnym szkic z Nałęczowa, gdybym nie wspomniał jeszcze o jednym jego mieszkańcu, p. Henryku Wiercieńskim, autorze książki p. t. „Opis statystyczny gubernii lubelskiej“... Czego tam nie ma!... jakie mnóstwo ciekawych szczegółów!... jaki to głęboki i wszechstronny znawca gubernii lubelskiej ten p. Wiercieński, którego nie wiem z jakiej racyi, nikt jednak nie proponował na posła.

A oto malutki wyjątek z tej znakomitej pracy:

Gimnazjum lubelskie, które w r. 1862-im miało 708 uczniów, około roku 1897 liczyło ich zaledwie 373. A że szkoła kosztowała rząd i społeczeństwo około 178,000 rubli rocznie, że kończyło ją w końcu XIX-go wieku zaledwie 12 uczniów rocznie, więc—,na jeden otrzymywany patent szkolny rząd i społeczeństwo wydatkowały... 14,381 rubli“...

Kiedy przypomnę sobie tę „kosztowność“ patentów gimnazjalnych, tudzież rozmaite szykany i ścigania oświaty początkowej, mimowoli przychodzą mi na myśl słowa starodawnej pieśni:

„Przed oczy Twoje Panie winy nasze składamy,

A karania, które za nie odbieramy porównywamy!“...

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY



CMENTARZ
NA BRÓDNIE
kwatery 34, lit. F.



Fot. J. Raczyński

— Nie tańczę! Jestem tutaj! — rzekł poważnie.

— To wejdź! Jeszcze nie północ! — odparł Jurjewicz.

Młody człowiek wszedł i odezwał się:

— Wuj mnie potępia, że tańczę.

— Nie potępiam, tylko mi żal. Jak się w ogniu było, na popioły ciężko patrzeć. Ale ciebie nie winię. Jesteś dzieckiem czasu. Teraz tak. Całe pokolenie się marnuje. Gniazda zburzone, piskłeta rozproszona, strach, walka o chleb, żadnej idei! My dali wiele, myśleli dla dobrego, dla wielkiego, świętego, a o, najszcześniejsi pono ci, co

dali wszystko: duszę i życie. Twemu ojcu pod tym głazem leżeć lżej, niż nam patrzeć na to, cośmy zdziałali. Waszego upodlenia duchowego my poczęści sprawcy. Nie mnie was winić i nie ty wyjątek. Mój Kostuś nie lepszy.

— Gdzie Kostuś?

— Do Rostowa chce jechać, bo tam — mówi — karyera. Chce pieniędzy, stanowiska, urzędu! Prosi, stara się, szuka protekcji. Był tu u mnie na Wielkanoc, prawil to wszystko. Ha, no, ma rację. Uczynilem go nędzarzem, zamknąłem mu wszelkie tu drogi, milczę. Ojciec twój tego już nie cierpi.

— Może Marynia go nawróci! — rzekł Hlebowicz. — Zostawiłem go w Skarbowcu.

— Do Grel jednakże nie ośmielił się pojechać — mruknął Jurjewicz.

— Babka zawsze sama? — spytał nieśmiało Stefan.

— Siewrukówna Misia jest przy niej i Duszka.

— Nie wyszła Misia za męża?

— Nie. Do zeszłej jesieni była nauczycielką, jakoś uprosiliśmy babkę, by ją wzięła. Toć siódmy krzyżyk dźwiga, a Duszka też niedołężna.

(DCN)

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Miłośnicy rozgłosu mogli wyobrazić sobie, że w początkach XX wieku, przynajmniej, bandyci wyrobią nam wszechświatową sławę, a i ucywilizowana ludzkość z podziwem we wszystkich językach wykrzykiwać będzie:

— Nie masz bandytów, jak w Polsce i w Warszawie!...

Omyliliśmy się. Prawda, że bandytyzm u nas dosięgnął poważnych rozmiarów; niemniej jest prawdą, że naszych bandytów prześcignęli francuscy wogóle, a paryscy w szczególności.

Tu trzeba zaznaczyć, że Paryżanie swoich aspirantów do kryminału nie nazywają bandytami, lecz „apaszami“, na pamiątkę czerwonoskórych Indian, mieszkających w północnym Meksyku i odznaczających się sprytem, zuchwałością i okrucieństwem. Przewzisko to wskazuje, że weseli

Paryżanie z początku brali rzecz ze strony humorystycznej. Lecz gdy choroba apasyzmu przybrała wymiary zbyt wielkie, Francuzi od żartów i śmiechu przetrucili się do trwogi i gniewu, a dziś żądają przeciw apaszom jak najsurowszych środków, nie wyłączając gilotyny i bata!...

Niepokój ogarnął Francję i trudno jej się dziwić. W samym Paryżu liczą od 20 do 30 tysięcy apaszów, a nie ma takiej dzielnicy, która byłaby od niej wolną. Ledwie słońce zejdzie, na całej przestrzeni miasta, od Opery do wałów, na wszystkich ulicach, na wszystkich bulwarach, ukazują się gromady sprzedajnych kobiet i młodych mężczyzn, którzy zaczepiają przechodniów, potracają ich, obdzierają, biją, zabijają, a zabijają nie tylko dla ograbienia, ale i... tak sobie!...

— Co pan chcesz — mówił jeden z takich

zuchów do sędziego — przecież ja dwa tygodnie nie miałem awantury i już zacząłem się nudzić!...

Ten z nudów zabił człowieka, inni rozpruwają brzozy psom lub koniom, także z nudów, albo dla „wprawy“... Mordują się też między sobą i nieraz wśród ciszy nocnej słyszać kanonadę dwu band, stających się najczęściej o kobietę. Co prawda, nie inny był powód wojny trojańskiej!...

Dzienniki paryskie nazywają apaszów „armiją“... Nie ma w tem zbyt wielkiej przesady, o czem świadczy nie tylko ogromna liczba przestępców, ale i doskonała ich organizacja. Przedewszystkiem dają się oni na rozmaite specjalności: więc na takich, którzy oporządzają przechodniom kieszenie; takich, którzy do mieszkań wchodzić oknami i takich, co posługują się wytrychem,



1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

1901
1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910
1911
1912
1913
1914
1915
1916
1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930

1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960

1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990

1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000
2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020

i takich, którzy wylamują ściany albo sufity. Według zdania doświadczonych agentów, nie ma kombinacji zamków, której nie otworzyłby złodziej paryski lub międzynarodowy; gdy zaś zawiodą klucze, dłuta i świdry, wówczas odwołuje się do dynamitu.

Apasza mają swoich dowódców i swoje trybunały, mają wywiadowców, mają składników rzeczy kradzionych, tudaież pośredników, którzy za granicę wywożą łupy. Mają oni odzież, czapki, krawaty i sposoby strzyżenia włosów, po których poznają się między sobą; mają lokale kędy odbywają narady przed zamachami. Mają „sympatyków“ we właścicielach szynkowni i hotelików, mają protektorów, którzy wydają im świadectwa pracy, mają adwokatów, którzy ich bronią, mają niewolnice, które nie tylko utrzymują ich na wolności, ale nawet posyłają pieniądze do kryminału.

Jest to więc naprawdę armia, której bodaj że najgłówniejszą siłą stanowi... młodzież do lat 18-tu!...

— Od roku 1888 liczba dorosłych przestępców prawie nie zmieniła się; za to ilość małoletnich przestępców powiększyła się około *dziesięciu* razy — mówi jeden ze sprawozdawców.

Jeżeli do powyższych szczegółów dodamy: zabójstwa agentów policyjnych, napadanie przechodniów w biały dzień, porywanie kobiet, wreszcie cały bukiet występków i zbrodni erotycznych, będziemy mieli bardzo niedokładny szkic choroby społecznej zwanej we Francji „apaszyzmem“.

Czytelnik domyśla się, że w kronice niniejszej nie chodzi mi o znabawienie go opisami bul-tajstwa, ani o dowodzenie, że nasi bandyci są... cnotliwsi od paryskich. Inny cel miałem, ten ażeby na obcym gruncie wskazać przyczyny bandytyzmu, tudzież sposoby, jakimi wysoce ucywilizowane społeczeństwo ma zamiar bronić się przeciw moralnej epidemii.

Przyczyny apaszyzmu można uporządkować w dwie grupy: jedne są doraźne i jakby zewnętrzne, drugie, trwałe i głębsze. Do pierwszych należą pewne wady w kodeksie karnym francuskim, tudzież osłabienie policyi; do drugich całe mnóstwo zjawisk fizjologicznych, psychicznych i społecznych.

Według zdania ludzi kompetentnych „od dw. dziesięciu pięciu lat karne prawodawstwo francuskie zdaje się mieć na celu tylko... interesa przestępców“... Kara śmierci istnieje tylko w kodeksie, ponieważ prezydenci ulaskawiają niekiedy najwstrętniejszych zbrodniarzy. Więzienia są tak łagodne, że trudniejszy w nich pobyt mają dozorczy, aniżeli skazani, a nareszcie pobyt w koloniach karnych wcale nie jest strasznym i niejeden uczciwy a biedny wyrobnik ciężko pracuje i w gorszych żyje warunkach we własnej ojczyźnie, aniżeli przestępcy w Gujannie.

Nie koniec na tem: policya ma niesłychanie utrudnioną walkę ze zbrodnią. Policya zna przestępców snujących się po ulicach, ale aresztować ich bez wyraźnego powodu nie ma prawa. Sute-niera trzeba pochwycić na gorącym uczynku brania pieniędzy od kobiety publicznej; prawie każdy niebezpieczny włóczęga posiada świadectwo pracy; do szynków i hotelików, gdzie odbywają się narady zbrojeckie, wchodzić nie wolno: za noszenie rewolweru albo sztylu płaci się kłaniasie franków kary...

Trudno wątpić, że — ugi, rożne przestępców i przeszkody, stawiane policyi, mogły wpłynąć i wpłynęły na rozwój apaszyzmu. Publiczność francuska rozumie to, więc nie tylko domaga się odpowiednich zmian w kodeksie, nie tylko żąda, aby policya miała większą władzę nad przestępcami i ich współnikami, ale jeszcze, upomina się o zaostrzenie kar. Niech prezydent — mówią — nie ulaskawia skazanych na śmierć... niech przestępcy

fachowi ulegają nawet karom cielesnym... „Kot z dziewięcioma ogonami“ i ciężka praca w deptakach, stosowana do przestępców, odrazu zmniejszyła bandytyzm w Anglii... A toż samo miało miejsce w Szwecyi i Danii. Kto nieślucha sumienia, niechaj lęka się bata.

Zapewne, że wśród społeczeństw snuje się bardzo wiele osobników, których tylko obawa kary powstrzymuje od występku, a brak rzemieennych i żelaznych hamulców porycha nawet do mordowania „z nudów“. Nie trzeba jednak zapominać, że — obostrzenie kar za występki i wzmocniony dozór nad przestępcami, są to środki zewnętrzne, które nie poprawiają dusz zepsutych, nie zapobiegają mnożeniu się ich, nie ulecą głębokich chorób społecznych. A właśnie w tych zjawiskach tkwią korzenie zbrodni wogóle, bandytyzmu i apaszyzmu w szczególności.

Zobaczmy przyczyny fizjologiczne. Mówiąc o wielkiej i ciągle wzrastającej liczbie przestępców małoletnich, p. H. Turot dodaje: „Większa część z pomiędzy nich mają inteligencję zaledwie sformowaną, a zdolności, które mogłyby zrobić z nich ludzi sumiennych, są zwyrodniałe... Prawie wszystkie te osobniki należą do typu dzieci anormalnych i zacofanych, na których ciężą przekłete skutki alkoholizmu i specjalnych chorób chronicznych“. A dalej mówi: „Dzieci tych nie można oddawać do przytułku dla idiotów, gdyż idiotamiotami nie są; szkoła elementarna nie przyjmuje ich, gdyż są w niej tylko zawadą i ogniskiej zepsucia; rodzice, zajęci pracą, również nie mogą nad nimi czuwać... W rezultacie — spędzają one całe dnie na ulicach, gdzie zawierają one najgorsze znajomości, słuchają zgubnych rad, przyzwyczajają się do próżnowania i rozpusty, wciągają się do kradzieży, wchodzą na drogi występki“...

P. H. Turot widzi jedno ze źródeł apaszyzmu w zaniedbaniu dzieci anormalnych, w wychowywaniu ich na ulicy, nie zaś w odnośnych instytucjach. Cóż więc mogłoby powiedzieć nasze społeczeństwo, którego dzieci nie tylko anormalne, lecz zupełnie zdrowe — muszą edukować się na ulicach, muszą uczyć się „próżniactwa, rozpusty, kradzieży“, ponieważ albo niema szkół, albo... uczyć i wychowywać nie wolno bez patentu!...

Jeszcze ważniejszymi są przyczyny psychologiczne bandytyzmu. Przedewszystkiem apasze nie mają szacunku dla policyi. Angielski policeman, którego szarują, jednym skinieniem zatrzymuje, nieświeżo rozbraja — tłum; ale policyanta francuskiego apasze biją lub zabijają, a publiczność wyśmiewa go i często ujmuje się za aresztowanymi. Dla czego tak?...

Otóż, apasze lekceważą policyantów, ponieważ są od nich sprytniejsi, mają więcej wiadomości, więcej oryginalnych pomysłów... Publiczność zaś dla tego nie lubi policyi — według p. Hennion, dyrektora publicznego bezpieczeństwa, że zbyt długo czuła na sobie ciężkie jarzmo władzy... Istotnie od czasów Napoleona i Fouché o policya francuska była jakby kontrastem angielskiej. Nie czuwała nad bezpieczeństwem obywateli, lecz nad interesami rządu; nie ścigała kryminalistów, lecz — tak zwanych przestępców politycznych. To też publiczność do dziś dnia jej nie lubi, do dziś dnia cieszy się z jej porażek... Oto w jaki sposób rządy egzystyczne i bezprawne, rządy oparte na samowoli, mogą nie tylko zdemoralizować, albo nawet oglupić rozsądek publiczny... Bo jużci głu-pota jest cieszyć się ze szkody tego, który chroni nas od bandytów.

Istnieje we Francji projekt zreformowania policyi, uczynienia jej opiekunką, nie zaś dręczycielką obywateli. „Jeżeli to uda się — mówi p. P. Baudin — jeżeli zostaniemy wyrwani ze szponów Pierwszego Konsula, które nas od stu lat trzymają — apasze oddadzą nam nie małą i rzetel-

ną usługę“. Gdyby nie apaszyzm, może Francya jeszcze nie prędko doczekałaby się reformy policyi.

Ale źródła zbrodniczości znajdują się głębiej. Pomimo szyldu chrześcijańskiego, pomimo kilkudziesięciu lat uspołecznienia — mówi p. P. Adam — dno naszych serc jest dzikie. Dlatego interesujemy się każdym niebezpieczeństwem, które grozi innym; dlatego biegamy na krwawe widowiska, wdzieramy się na sale sądowe, podczas głośniejszych procesów; albo czytamy z zapalem opisy bitew i prawie oklaskujemy sławniejszych, a właściwie — nikczemniejszych zbrodniarzy.

Wtem miejscu trzeba zaznaczyć, że najpotężniejszym czynnikiem dzikości i rozmaitych niebezpieczeństw społecznych jest, dzisiejsza polityka, ów „pokój zbrojny“ i wzajemne podszczuwanie narodów. Na „pokój zbrojny“ Europa wydaje co roku *dwadzieścia* miliardów rubli gotówką i odciąga dwa do trzech milionów ludzi najsilniejszych i najzdrowszych zająć produkcyjnych. Oto wielka przyczyna nędzy i rozdrażnienia, oto źródło — jak mówi M. Waechter — powszechnego niezadowolenia, socjalizmu i innych teorii, które zagrażają zniszczeniu cywilizacji.

A nienawiści międzynarodowe i międzyplemienne?... A antysemityzm, a hakatyzm, czyż nie wytworzyły całego mnóstwa zbrodni, nie przyczyniły się do ogólnego zdżiczenia?...

Rozumie się, że bez usunięcia „pokój zbrojny“ i bez załagodzenia szowinizmów narodowych, niema mowy, ażeby poziom europejskiej moralności podniósł się o wiele wyżej, aniżeli obecnie. To też dziś można mówić tylko o środkach drugorzędnych, jakimi, według d-ra. Toulouse są:

Najprzód, trzeba zająć się starannem wychowaniem dzieci wogóle, a dzieci zaniedbanych w szczególności; one to bowiem dostarczają rekrutów zbrodniczej armii. Następnie, trzeba odróżniać przestępców przypadkowych, którzy np. działali pod wpływem namietności, od przestępców fachowych, którzy w zbrodni znajdują dla siebie warunki bytu.

„Starajmy się — mówi lekarz socjolog — przedewszystkiem zabezpieczyć upadłych braci naszych przeciw nim samym; oni bowiem groszą najczęściej z braku wychowania, albo pod wpływem nędzy. Dalej zwróćmy uwagę na młodzież. Wybacmy zupełnie pierwsze przestępstwo, asilujmy ich podnieść, powrócić do życia normalnego. Lecz jeżeli okażą się do niego nie zdolnymi, przez złą wolę, czy umysłowe niedołęstwo, wówczas musimy dbać tylko o bezpieczeństwo publiczne“...

O tem zaś bezpieczeństwie mówi p. U. Gohier: Doszliśmy do tego, że, „obluda społeczna, już nie tylko czuwa nad bezpieczeństwem, ale nawet pomaga rozmnażać się pierwsiom chorobliwym, pod pozorami litości... A tymczasem najwyższem prawem natury jest, pielegnować dobre, a usuwać złe pierwiastki społeczne. Prawda, że należy zmniejszać cierpienia nawet zych; ale też i nie można pozwalać, ażeby zli rozlewali cierpienie dokoła siebie. Miejmy litość dla nich, ale miejmy litość i dla innych!... Społeczeństwa muszą uznać to prawo; a im później uznają, im nagiej zechcą je urzeczywistnić, tem skutki będą okrutniejsze“.

Dzięki apasom, opinia publiczna we Francji zwraca się do higieny moralnej, do kwestii etycznych, o których przez długi czas nie pamiętano. Może więc i u nas podobny ruch obudzi się, dzięki bandytom...

Sz. prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wnie-sienie opłaty na czwarty kwartał.



my za późno, do śmierci sobie tego nie daruję. Czy to daleko? Kiedy będziemy?

— Jutro wieczorem. Koleją trzy stacje, ale tam końmi trzy mile.

— Miałeś jaką wiadomość z Rostowa?

— Miałem pomysła. Chciałem już jechać, bo termin dwutygodniowy do stawienia się.

— A jakże ci się zdaje? Żle tam w Grelach?

— Najgorsze, że tam w miasteczku doktora w tej chwili niema. Uciekł podobno z głodu i nudy, a drugi o ośm mil. Już to kąt zakazany te Grele.

— Babka ma żelazny organizm. Nigdy nie choruje. Ja ci tak bardzo jeszcze nie ufam. Zatelegrafuję po doktora do Warszawy.

— I ja chciałem to zrobić! — rzekł Stefan.

— Owszem, sprowadzajcie, ale ja jej dopilnuję!

Ze stacyi wysłał Hlebowicz depeszę i odjechał do domu, młodzi ruszyli dalej.

Gdy stanęli u kresu kolei, przypomnieli, że był to szabas, bo nie znaleźli żadnej furmanki. Dopiero po chwili nadjechał wóz parokonny, naładowany makuchem. Zaczepili powożącego, żeby ich zabrał z powrotem do miasteczka, ale młody mieszczanin począł się wymawiać, że konie zdrożone, popasać będzie.

Mówił czysto po polsku i twarz miał zuchowatą.

— Dam ci dziesięć rubli, wież zaraz! — rzekł Stefan.

— To paniczom pilno! Jak na wesele.

— Nie wiesz, co w Grelach słychać? — spytał go Kostuś.

— Pani marszałkowa mocno chora, a Siemaszkę pochowaliśmy zeszłej niedzieli. Panicze znajome?

— Jużci, tam jedziemy, wnuki pani marszałkowej.

— To ja zaraz makuch zrzucę i za-jedźdam.

— A widzisz! my swoi! A ty z miasteczka?

— Ja Bohuszewicz Jan. Nie wie panicz?

— Toć wiem. Ojca znałem.

Po niedługim czekaniu siedzieli na słomie w wozie na swych tobołkach i jechali po rozgrzniętej wiosennej drodze. Mieszczanin koni nie żałował.

— Nie wiesz? Sprowadzali do Grel doktora? — spytał Kostuś.

— Onegdaj posyłał aż do Lubienia. Ale niech się panicze nie gryzą. Gdzieby pani z Grel umrzeć miała. Tyle ludzi za nią Boga prosi, i tyle ma opieki. Moi teściowie też wszystko na mnie zdali, i tam siedzą.

— A twoi teściowie, kto?

— Panicz wie. Kafarowie, co z Galicyi przyszli.

— Nie może być! Bohuszewicz dostał Kafarównę, to już nie do wiary. Winszuję ci!

— Możeby i nie dostał, żeby nie pomoc z Grel. Ojcowskie dziedzictwo drogę mi zagradzało. Szczególnie świekra się upierała. Aż Siemaszko za swata mi się ofiarował, daj mu, Boże, niebo. On jeden dobre świadectwo za ojcem dał. To w owe czasy jak panowie po lasach się bili, młodego pana z Kozar wzięto i rozstrzelano. To Siemaszko zaświadczył, jako mu ojciec mój dopomógł trupa wykraść i pochować w świętej ziemi i grosza za to nie wziął, i sygnet, co mu wraz z palcem oderżnęli, od Jenisiejców odebrał i oddał. Tak wtedy Kafary ustąpili!

— Szkoda starego Siemaszki! — westchnął Kostuś.

— Pochowaliśmy go, jak jakiego obywatela.

— A nie wiesz, gdzie Marcin, jego wychowanek?

— Jeszcze w wojsku, tej jesieni wraca.

Stefan nie słuchał, co mówili. Rozglądał się po okolicy, wciągał w płuca powietrze, i słuchał gwaru natury. Nad szarą jeszcze ziemią i pleśnią zimową, pokrytymi ruinami ozimin drżał błękit skowronczą pieśnią, po moczarach stroiły się żaby do wieczornego koncertu, woniało od pąków brzoźowych, tętniało od nowego życia. Czasami niewidzialne odzywały się dzikie gęsi w przestworzu. Droga mijała łąny, zagonami znaczone, smugi łąk, groblami ujęte, fantastyczne wiatraki, szare wsie, rozstaje znaczone wielkimi, bardzo starymi, wałącymi się krzyżami, aż wbiegła w lasy. Były snąc gęste i olbrzymie, teraz poczęści wyrąbane i zniszczone.

— Czy to w tych lasach było? — spytał Kostusia.

— Było i w tych. To rządowe, patrz, widzisz trybę, to wtedy takich dużo wycięli, polując na ludzi.

— Panicz tu pierwszy raz? — spytał Bohuszewicz.

— Pierwszy. To syn tego, którego twój ojciec z Siemaszką wykopal, by pochować. Syn kozarskiego pana.

— To paniczowi pewnie nie wolno było dotąd tu przyjechać. Pani marszałkowa z samej radości wyzdrowieje. Że też Siemaszko nie doczekał!

— Czy to już Grele? — rzekł Stefan na dwór widoczny dalej, wskazując.

— Nie to Ozierna, szlachecka okolica. Takich pełno było, ale schłopieci i przesłi. Ci zostali upierają się. A widzi panicz, hen na prawo to Kozary, a przed nami Krośna, ta, co ją całą wywieźli i spalili. Kościołek jeszcze stoi!

— A do Grel jeszcze daleko?

— Półtorej mili lasami. (DCN)

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

W ostatnich dniach października rozegrał się w Berlinie osobliwy proces... Oto dziennikarz Harden ogłosił w swoim piśmie, że kilku członków najwyższej pruskiej arystokracji, a między innymi ks. Paweł Eulenburg i generał Kuno Moltke są to ludzie... chorzy...

O tej zaś chorobie, której od wielu lat ulegają czy ulegali niektórzy pruscy arystokraci, mogą tylko powtórzyć cudze opinie. Jedną wypisał francuski felietonista p. H. Maret:

„My Francuzi zanadto kochamy kobiety. co jest cechą rasy mało poważnej. Takie miłości prowadzą do zniewieściałości. Zaś Prusacy wolą grenadyerów. Dlatego Wszechmocny upodobał ich sobie i napełnia swemi łaskami.“

Prusacy bowiem nazywają Francuzów lekkomyślnymi, a siebie uważają za naród wybrany...

Drugą opinię wypowiedział lekarz do pewnego „chorego“, który zwierzył się przed nim ze swoich dolegliwości czy nienormalności:

— Wszystko, co mi pan opowiadasz, jest świństwem, a pan sam jesteś świnią!

Otóż taką „chorobę“ Harden odkrył u generała Moltkego, u ks. P. Eulenburga i wielu ich politycznych przyjaciół. Ks. Eulenburg, może dla tego, że jest „cywilem“ na dyagnozę nie reagował; uczynił to generał Moltke, widocznie śmielszy, jako wojak. Rozprawy toczyły się przez kilka dni. W roli świadków występowali generałowie, pułkownicy, nawet zwyczajni podoficerowie kirasyerów, a przede wszystkim... eks małżonka generała Moltkego obecnie z nim rozwiedziona. A rezultat?... Otóż rezultat jest taki, że sąd uznał... chorobliwość generała Moltkego, byłego komendanta Berlina...

— Wszystko, co mi pan mówisz jest świństwem... — powiedział wyżej wymieniony lekarz. — Dyagnozy fej jednak nie postawiono w procesie Moltkego i Eulenburga, zapewne przez wzgląd na ich piękne wychowanie.

Część publiczności przyjęła wyrok okłaskami, część sykaniami. Większość gazet niemieckich cieszy się z procesu, mniejszość — jest skrzywiona. Jedno zaś z pism konserwatywnych, rozumie się:

niemieckich, zrobiło uwagę, że taki wyrok nie ma znaczenia, ponieważ... sędzia prezydujący jest bardzo młodym, a między przysięgłymi znalazł się... szewc i rzeźnik!... Istotnie, co tacy ordynaryjni ludzie mogą wiedzieć o grenadyerskich sympatyach generałów i książąt?... Skąd wnosićby można, że według owego konserwatywnego pisma, gdyby sprawę: Moltke contra Harden sądziła pruska arystokracja, wyrob byłby inny. Może walecznego generała przedstawionoby do nagrody cnoty?

„Choroba“ którą felietonista francuski nazwał: upodobaniem do grenadyerów, a pewien lekarz... tak jak powiedziano wyżej, nie zasługiwałaby na rozgłos, jaki posiapa, gdyby pacjenci: 1-mo nie należeli do tej warstwy pruskiego społeczeństwa, która nadaje, a przynajmniej chce nadawać, ton całemu narodowi i gdyby 2-do pacjenci nie stanowili najbliższego otoczenia Wilhelma II, nie byli jego zaufanymi doradcami. W szczególności ks. Paweł Eulenburg jakoby miał być taką potęgą, że wraz ze swymi „politycznymi“ przyjaciółmi obalił trzech niemieckich kanclerzy: Bismarcka,





ESTERA U AHASWERUSA (przed i po odrestaurowaniu)



FRANCISZEK SOLIMENA

Z galerii Włh. Jelskich w Ignatyczach.

Capriviego i Hohenloego, a zrobić kanclerzem Bülowa. Gdy zaś małżonka Bülowa pojechała prosić wszechwładnego Eulenburga, ażeby nie „robił” kanclerzem jej męża, lecz raczej sam nim został, przyjaciel grenadyerów jakoby odpowiedział z uśmiechem:

— Ja wołę mianować królów, aniżeli sam być królem...

Dzielna odpowiedź jak na „chorego,” który z łóżka podnieść się nie może, gdy wzywają go do sądu...

Ten sam ks. Eulenburg miał jakoby mówić, że: Wilhelm II-gi jest tak przez nich otoczony, iż: „wie tylko to, o czym oni chcą, ażeby wiedział!” A możliwe skutki podobnego osaczenia?...

Bardzo już dawno *Petit Journal* twierdził, że Wilhelm II-gi jest najpracowitszym z monarchów. Żaden nie wytwarza takiej ilości pracy, jak on.

„W ciągu ostatniego (bodaj czy nie 1905) roku, z gabinetu cesarza wyprawiono 5,857 spraw zagranicznych i 52,200 spraw wewnętrznych, a gabinet wojny i marynarki wyeksperyował 100,145 spraw. Cesarz był zawiadomiony prawie o każdej z tych kwestyi i w wielkiej liczbie wypadków sam dyktował odpowiedzi bądź listowne, bądź telegraficzne. Nadto, w ciągu tegoż samego roku cesarz napisał własną ręką 7,000 depesz, listów, rozkazów i różnych innych dokumentów.”

Tak twierdził *Petit Journal*, nie wiem jednak, czy z powyższej wiadomości zrobił należyty użytek. Jeżeli nie zrobił, wyręczymy go.

Gdyby Wilhelm II-gi pracował przez 360 dni w roku, a tylko przez pięć świętował, wówczas codziennie pisywałby własnoręcznie przeszło 19 dokumentów. Jest to już spora porcja pisaniny, której nie byle kto podoła. Ale to dopiero początek. Zsumowawszy bowiem wszystkie sprawy zewnętrzne, wewnętrzne i wojskowe, jakie wychodzą z gabinetów cesarza, wypadnie cyfra 158,200 załatwionych w ciągu roku dokumentów.

Otóż gdyby cesarz Wilhelm pracował przez 360 dni w roku, czego nie robi najpilniejszy urzędnik, i gdyby zajmował się sprawami przez 10 godzin na dobę, wówczas na rozpatrzenie każdego z owych dokumentów, miałby zaledwie jedną minutę i 21 sekund czasu. W takim zaś czasie trudno nie tylko sformułować sąd, ale nawet, uchwycić treści, chociażby bardzo małej sprawy.

Z powyższych rachunków wynika, że cesarz Wilhelm, mimo najsilniejszych zdolności, większej części spraw, wychodzących z jego gabinetu, nie mógłby sam rozpatrywać, lecz musi wyręczać się ludźmi, którzy posiadają jego całkowite zaufanie.

Ale — co może wynikać, jeżeli między owymi zaufanymi i o losach państwa decydującymi ludźmi znajdują się osobniki... chore a w dodatku...dziwnie chore?... W co zmieni się mądrość państwowa, sprawiedliwość a nawet zdrowie moralne państwa przy podobnych sternikach?

Już wiemy, że „chory” ks. Eulenburg wyrzucił z posady uczciwego i rozumnego Capriviego. Również z procesu Herdena, dowiedzieliśmy się, że stronnictwo „chorych” dygnitarzy przed dwoma laty o mało włoś nie sprowadziło wojny między Niemcami i Francją, co byłoby straszliwym nieszczęściem cywilizacji. Kto zaś wie, czy ta sama partya „chorych”, pracuje przez tyle lat na najwyższych stanowiskach, czy to nie ona wyrobiła Niemcom bardzo pochlebną opinię wśród oświeconej Europy?

„Są tacy — mówi H. Lichtenberger — którzy mniemają, że dzisiejsze Niemcy żołnierskie i feodalne, imperyalistyczne i szorstko realistyczne, zapatrzone w potęgę i bogactwa, a pogardzające wszelką ideologią demokratyczną czy humanitarną, że takie Niemcy są anachronizmem wśród nowożytnej Europy i, że w nidałkiej przyszłości mogą uleść ciężkim, jeżeli nie gwałtownym przemianom”.

Tak mówi Francuz, bezstronny, nawet życzliwy historyk: „Nowożytnych Niemiec i ich roz-

woju”. A oto w jaki sposób wtoruje mu profesor niemiecki, M. Weber:

„Zagranica coraz mniej uważa Niemcy za naród kulturalny, a opinia ta naprawdę zaczyna być niebezpieczna. Przyczyną tak ostrych sądów jest brak wolności w Niemczech, wolności, które posiadają inne narody”.

Pogląd ten uzupełnia jedna z niemieckich gazet katolickich, mówiąc:

„Prasa całego świata uważa Niemcy za kraj reakcy i cezaryzmu, w którym władza cesarza jest wszystkim, a rada związkowa i parlament niczem... Nie rzadko czytamy, że ten lub ów naród wolny jest przeciwnym zbliżeniu się do Niemiec despotycznych... Jedno zaś z pism amerykańskich nazwało nas: narodem policyantów, gdzie człowiek z szablą w ręku pilnuje drugiego”...

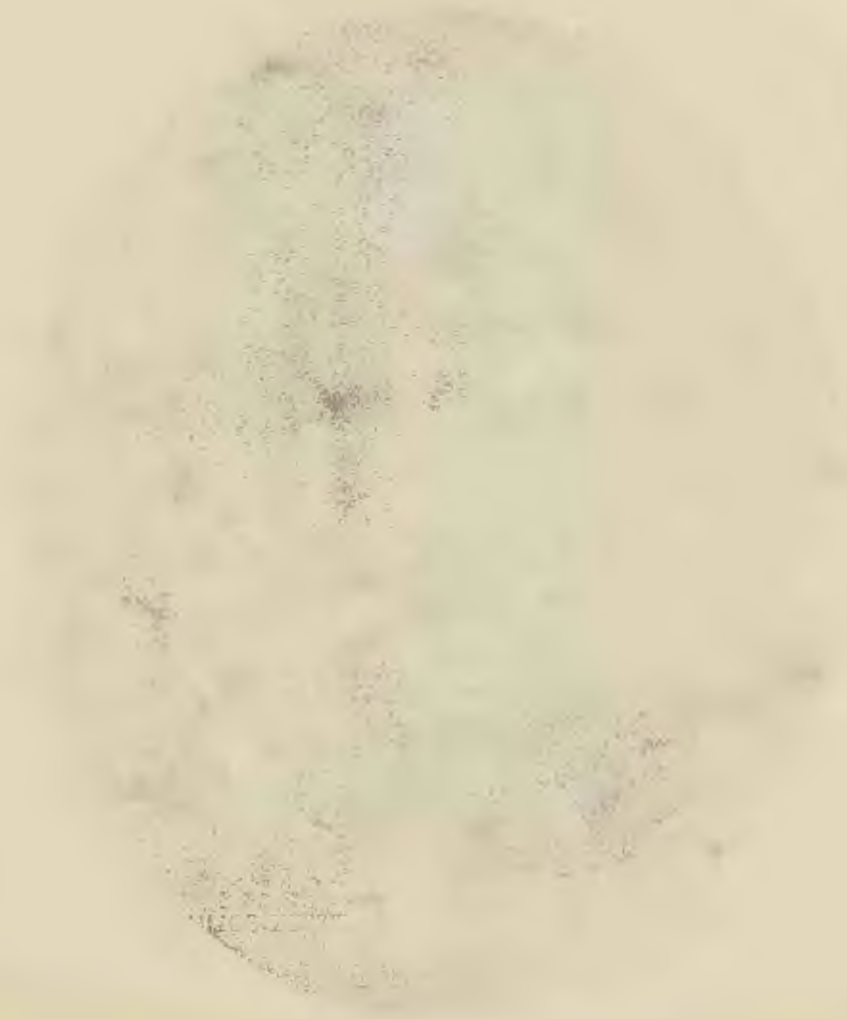
Kto wie, czy wszystkie te pesymizmy i antypaty nie są owocem polityki prowadzonej, a choćby tylko podszeptwanej przez... „chorych” ludzi!...

Proces Moltke contra Harden i zdemaskowanie partyi, która obaliła Capriviego, bodaj czy nie rzuci światła na źródła hakatyizmu i na niedolę Polaków poznańskich.

Wiadomo, że w historii Wilhelma II-go było kilka miesięcy takich, przez które monarcha ten zaszczycał względami Polaków. Dodajmy, że Polacy starali się być wdzięcznymi, aczkolwiek nie doszło jeszcze do ofiarowania największego dyamentu w świecie, jak to Boerowie zrobili czcigodnemu Edwardowi VIII-mu.

Łaska jednak dla polaków trwała nie długo; skończyła się nagle, bez powodu, prawie współcześnie z dymisyą Capriviego. Wówczas to najjaśniejszy Wilhelm II-gi wypowiedział, zdaje mi się, w Toruniu, czy Malborgu, te, dla mnie przynajmniej, niezapomniane słowa:

„Polacy przekonają się, że ja potrafię być nieprzyjemnym”...



—



JUDYTA I HOLOFERNES



FRANCISZEK SOLIMENA

SĄD SALOMONA

FRANCISZEK SOLIMENA

Z galerii Wilh. Jelskich w Ignatyczach.

No i trzeba przyznać, że cesarz niemiecki dotrzymał słowa—z czubem, jak się mówi, gdyż nawet dał znacznie więcej, aniżeli można było przewidywać z jego łaskawych obietnic.

„Los zmienny, Bóg Wszechmocny”—powia-
da łacińskie przysłowie. Kto wie, może jeszcze
kiedy biedne „Polaki” poznańskie doczekają się
innych słów i innych obietnic ze strony Wilhelma
II-go, czy jego spadkobierców. Zanim to jednak
nastąpi możnaby zapytać: czy na tak nagłą i nie-
zrozumiałą zmianę usposobień monarchy nie wpły-
nęła znowu polityka... ludzi „chorych”?..

Bo i ta polityka, która już przekroczyła gra-
nice „nieprzyjemności”, jest—w wysokim stopniu
niezdrowa i zatruwa państwo niemieckie. A za-
truwają je nie tylko niemoralnością, której pełno w hi-
storii świata, ale i—niehorzecznością... Pruska
polityka względem Polaków jest tak niezgodna
z rozsądkiem, z doświadczeniem, jak... afekty ks.
Eulenberga były niezgodne z normalnymi instynk-
tami nie tylko ludzi, ale nawet niemych bydlatek...

Co stanowi pobudkę prześladowania Pola-
ków?... Patriotyczna obawa, ażeby Polacy nie
zawojowali a przynajmniej nie rozbili kiedyś pań-
stwa niemieckiego!... Czy podobna kombinacja
umysłowa ma zdrowy sens? Wyobraźmy sobie,
że jakimś cudem, tuż na granicy Niemiec, utwo-
rzyło się niezależne państwo polskie. Otóż, czy
20 milionów Polaków mogłoby zagrozić 60 milio-
nom Niemców lepiej zorganizowanych, bogaszych,
oświećszych a nawet—pracowitszych?... Tych
Niemców, którzy dziś nie okawiają się 130 milio-
nowej Rosyi!

Więc sama pobudka, samo źródło prześlado-
wania Polaków nie jest faktem realnym, lecz—
halucynacją...

A jakiż cel prześladowań? Czy wytępienie?
Bynajmniej. Tyle jeszcze rozsądku zostało w Pru-
sach, że nie wierzą w możliwość wytępienia na-
rodu; cała historia krzyczy o tem wielkim głosem.

W najlepszym razie można wytępić jakieś dzikie,
nieliczne plemię, ale nie naród. Prusakom więc
chodzi niby o to, ażeby Polacy stali się dobrymi
obywatelami ich państwa. Tak przynajmniej za-
pewniają.

Ten cel jest do osiągnięcia. Wszakże Stany
Zjednoczone co roku wchłaniają mnóstwo rozma-
itych narodowości a jednak wszystkie one, prawie
natychmiast, robią się doskonałymi obywatelami.
Niemcy, zamieszkujący Alzację byli prawdziwymi
synami Francji i t. p.

Cel więc jest możliwym do osiągnięcia, lecz,
jakimiż sposobami? Na to odpowiadają żywe
przykłady. Węgrzy, Czesi, Polacy byli przecież
wrogami despotycznej Austrii, lecz dziś są wier-
nymi członkami swobodnej i konstytucyjnej. Boe-
rowie, wczoraj walczyli z Anglią, a dziś są jej
przyjaciółmi. Republikańscy Francuzi nie cierpią
imperyalistycznych Niemców, lecz najwyborniej go-
dzą się z nimi w wolnej Szwajcarii...

Słowem—niedorzeczna pobudka i niedorzecz-
ne sposoby działania w sprawie ogarniającej kilka
milionów ludzi, obchodzącej wielkie państwo, cią-
gnącej się przez kilkanaście lat, zapisanej krwawe-
mi łzami, czy to nie dowód, że w tak zwanej
„polskiej polityce” Prus działają przewrotne in-
stynkty?

Po wyroku, który unurzał Moltkego i jego
„politycznych” przyjaciół, mówiono, że to nie Har-
den, ale że—sam Wilhelm II wydobył na światło
sprawki swoich niegdyś mężów zaufania. W takim
razie byłby to początek kuracji państwa niemiec-
kiego, a może i początek wygasania nienatural-
nych wstrętów do polskiści i nienaturalnej sym-
patji do hakatyizmu co zresztą—zobaczymy.



Promień nadziei.

☞

Od bram słonecznych promień dzienny,
W oknie więzienia goszcząc skrycie,
Wieść cichą przyniósł na rozświcie,
Że przyszedł wiosny bóg promienny—
I zmienia wszystko—sam niezmienny
I nowe budzi życie...

Uwolnił z kajdan strumień grmiący
W zielone puchy spowił łany—
Przejrzyste jeszcze lasu ściany
Już patrzą w potok, życiem lśniący,
I głos słowika słysząc drżący—
Jak wita owe zmiany...

Oto pod oknem ptaszek stada,
W nieskrępowane szumiąc skrzydła
Przemknęły, mówiąc, jak im zbrzydła,
Niewola zimy i jak błada
Ich ziemia wstaje ze snu rada—
Niewoli zrywa siła...

Te hymny więźnia duszę młodą,
Co, umęczona i milcząca,
Oczekiwała śmierci gońca,
W krainę zmarłych złudzeń wiodą...
Pierś jego znowu drży swobodą
I pragnie—słońca... słońca...

PROMETEUSZ WICHER.



Czytelnicy pamiętają, że kilka tygodni temu, poświęciłem kronikę *Myśli Niepodległej*. Z całą życzliwością wspominałem o kongresie w Pradze i tym samym tonem cytowałem poglądy profesora Krejci, tudzież p. A. Niemojewskiego. Nie dość na tem: nie tylko nie zaprzeczałem racji bytu wolnomyślnemu duchowi, ale nawet przyznałem, że może on być użyteczny. Współcześnie jednak ośmieliłem się zrobić uwagę p. Niemojewskiemu, że zbyt gwałtownie atakuje Kościół katolicki i postawiłem dwa pytania: 1-mo. Czy wojna z Kościołem katolickim, w naszych warunkach politycznych i społecznych, jest naprawdę kwestią *najpilniejszą*? i 2-do. Czy walki z Kościołem nie możnaby prowadzić bez potrącenia o fundamenty *wszelkiej religii*, jakimi są pojęcia: świata ponadmysłowego, duszy nieśmiertelnej i Boga wszechmocnego?

Ośmieszania, zohydzenia publicznego tych pojęć, lękam się dla społeczeństwa. Dlaczego zaś lękam się?.. wyjaśnię w końcu kroniki.

Na moją spokojną odezwę, p. A. Niemojewski, apostoł wolnej myśli u nas, odpowiedział całą kałużą wymysłów i insynuacji, jakich już dawno nie czytano w polskim języku. Mniejsza o to: „kiedyś śpiewa, jak mu dziób wyrósł“, powiedział Bulow, więc i p. Niemojewski śpiewa, jak mu dziób wyrósł. Bezcześci on, ponieważ wszystko, co spotka na drodze: logikę, Tróję Świętą, papieża, biskupów, pasterów, rabinów, nawet... tych swoich kolegów literatów, którzy za nim kruszyli kopie... z jakiej więc racji dla mnie miaby robić wyjątek? Ale jest rzecz inna. P. Niemojewski, pogromca „księżyich fałszów“ mianuje się bojownikiem prawdy i etyki. Otóż ciekaw będzie przekonać się: w jaki sposób rozumie on prawdę i etykę, i jakimi posługuje się metodami.

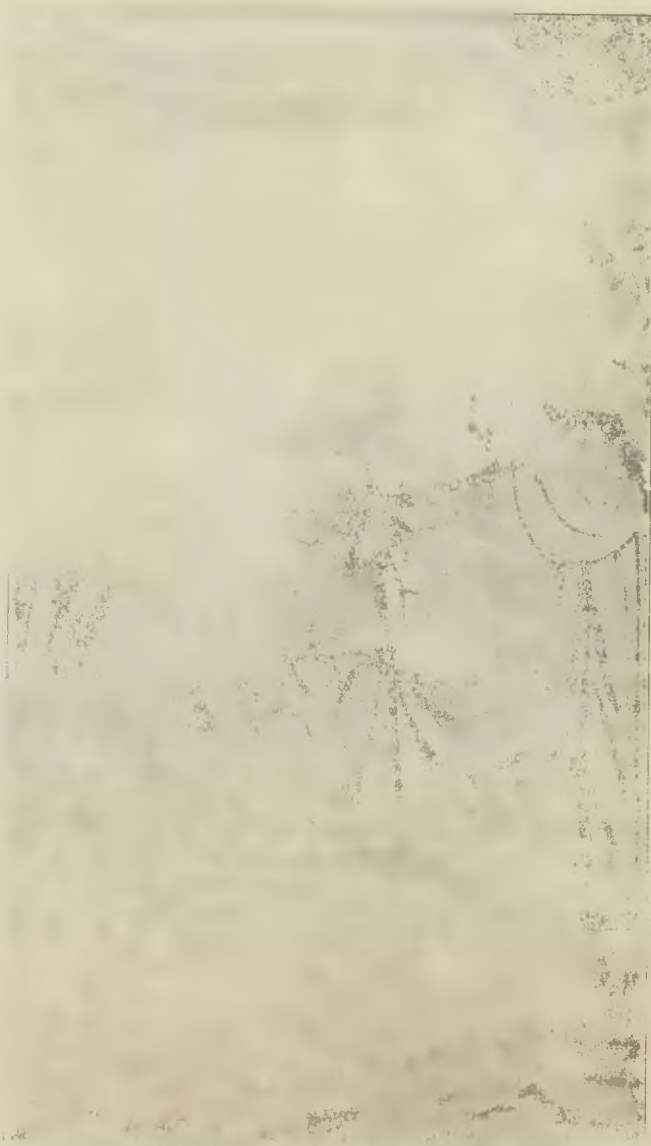
Pomijam stek fałszów drugorzędnych, które mogą przedstawić choćby na stronicach... w *Myśli niepodległej*. Takie fałsze to śmiecie, na które nie zwracam uwagi. Ale między owym drobiazgiem znalazł się spory jesiort, który dosadnie charakteryzuje publicystyczną działalność p. N.

„Prus był głęboko przekonany, że brał udział (w walce młodych i starych). Tu niechaj nam wolno będzie—wciąż mówi p. Niemojewski—powołać się na jego własne słowa z rozmowy, toczony akurat przed dziesięciu laty... Przed tylu a tylu laty, odpowiada, wystąpili u nas młodzi z Darwinem. Ale wszyscy im odskrzyknęli: to bluźnierca, to nikczemnik!... Nie można tak odrazu ludziom zdziierać z oczu katarakty, więc pisało się: ano może bluźnierca, może nikczemnik... Przyjdzie czas, zrobi swoje. To też w parę lat, gdy młodzi wciąż szaleli, ludzie zaczęli mówić: może on nie taki bluźnierca, może on nie taki nikczemnik! To też wtedy pisało się im: nie, on wcale nie nikczemnik, wcale nie bluźnierca... A młodzi waryaci wciąż szaleli i myśleli, że to tak można odrazu. Aż tu nastają czasy, że już dało się pisać: ej, Darwin to wcale mądry człowiek i t. d... Tak basując publiczności kurьерkowej Prus, głęboko był przekonany, że walczy o postęp i ukazuje młodym metodę racjonalną... (*Myśl Niepodległa* Nr 43, str. 1434 i 1435).

Taką rozmowę p. Niemojewski miał prowadzić ze mną „akurat przed dziesięciu laty“!

Oświadczam, że cała ta „rozmowa“ jest kłamstwem, od początku do końca. A oto dowody:

1-mo. Nigdy, jak pracuję w publicystyce, nigdy nie prowadziłem wobec stronnictw, ani publiczności polityki obłudy i niedomówień. Co uwa-



Rzeźba główna z ołtarza Św. Stanisława Kostki w katedrze plockiej, modelował P. Langman, wykonał art. rzeźbiarz Talał, dla przedsiębiorstwa kopalni marmurów kieleckich.

żalem za pożyteczne czy szkodliwe, wypowiadałem jasno, niekiedy szorstko, bez względu na skutki. To też „starzy“ wykreślali mi Kroniki, „młodzi“ kłócili się ze mną. Obrzucano mnie oszczerstwami, grożono mi śmiercią, napadnięto na ulicy, a nawet przed kilkoma laty z ambony ostrzegano wiernych przeciw... moim nowelom!... Mydłkowanie, jakie chce narzucić mi p. Niemojewski, jest dla mnie tak wstrętne, tak niezgodne z charakterem, że wołałbym nie żyć, aniżeli w tak haniebny sposób „basować“ publiczności. Jeżeli się kiedy wahał, to tylko w kwestiach bardzo zawikłanych i niejasnych.

Oto próbka, jak publiczności „basowałem“ pomiędzy rokiem 1875 i 1878, a więc w samym początku kariery pisarskiej, pod surową cenzurą redakcyjną:

...„Uwagi te przysłyły nam na myśl na widok katalogu wydawniczej spółki księgarskiej. W długiej litanii dzieł i odczytów spotykamy tu Tyndalla, Taina, Bagehota, Schmidta i wszystkie te dzieła leżą na półkach, czekając, rychło je stamtąd zdejmie litościwa ręka... na makulaturę... Panowie i panie! Pięknie jest nic nie robić, pięknie delektować się moimi kronikami, ale najpiękniej będzie, jeżeli jakąś godzinkę na dzień poświęćcie rozmyślaniom nad książką poważną, a głównie nauki przyrodnicze mającą na celu... Literatura lekka, jako stały pokarm, wystarcza dla półgłówek; godne więc politowania jest to społeczeństwo, które na niej tylko poprzestaje“. (Kroniki str. 110).

Wstyd mi dzisiaj tych jaskrawych zwrotów; ale—tak „wtedy pisało się“ panie Niemojewski!

2-o. Nigdy, jak żyję, o Darwinie nie wyra-

ziłbym się: „nikczemnik!“ Wątpię nawet, ażebym kiedy odzywał się o nim w sposób lekceważący. Przecież moje poglądy społeczne, wypowiedziane w „Najogólniejszych zdaniach“, w pewnej części opierają się na darwinowskiej teorii rozwoju. Cóż to więc za niegodziwa insynuacja!... Przecież gdybym nawet ośmielił się napisać coś podobnego, moi przyjaciele albo koledzy: Ochorowicz, Doliński, Kamiński, Chmielowski, Bem, nie podaliby mi ręki!...

No, ale p. Niemojewski „słyszał“ taką bezwstydną spowiedź „z moich ust“, akurat przed „dziesięciu laty“ a jest on przecież apostołem prawdy i etyki.

Otwieram znowu Kroniki z roku 1875 do 1878 i na stronicy 35 i 36 czytam:

...„Lublinianie, którzy na odczucie o „Piękności ciała ludzkiego“ najzapalczywiej klaskali, dziś najzapalczywiej przeciw niemu występują, dlatego, że poświęcono w nim parę ustępów—teorii przemiany gatunków. Prelegent zrobił wprawdzie bardzo źle, że w Lublinie mówił o Darwinizmie, jeżeli wiedział, że szanowne to miasto dla błahych powodów traci równowagę umyslową... Dla Lublina stałość gatunków już jest dowiedziona; Lublinianie tylko od Lublinian pochodzą, w siebie tylko wierzą, a o żadnych teoriach nowych słyszeć nie chcą. Nowe teorie są wprawdzie warunkiem postępu, no! ale co za związek może być między Lublinem a postępek?... Gdybyś ty miasto zamiast pisywać korespondencje oparte na plotkach... nie miało wstrętu do książek, wówczas odczyty nie gorczyłyby cię, ani przestraszały hipotezy Darwin!...“

Z braku miejsca skróciłem litanie zarzutów robionych Lublinowi. Zarzuty nie całkiem były słuszne, i stanowczo za ostre, ale... panie Niemojewski—tak „wtedy pisało się“, o „bluźniercy“ Darwinie, tak „basowało się publiczności“.

Lecz może wczasie „rozmowy“ z p. Niemojewskim, „akurat przed dziesięciu laty“, może ja, miałem atak obłąkania; skutkiem czego nagałem, sam na siebie, rzeczy bezecnych, a następnie... zapomniałem o nich?...

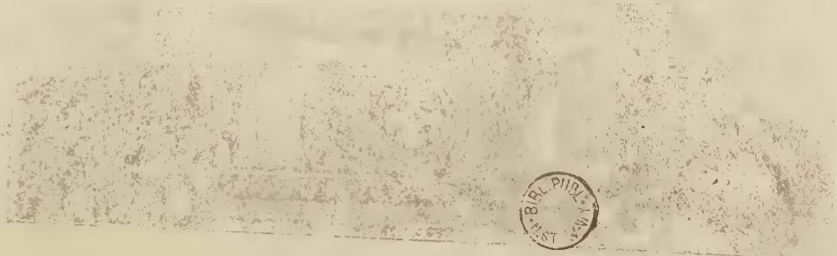
Owszem, z pewnością wierzę, że tak ohydnych zwierzeń ani robiłem, ani miałem potrzeby robić, nigdy, przed nikim, a tembardziej przed mało mi znanym p. N. Zresztą on sam nie mógł słyszeć ode mnie nic podobnego, nie mógł!... Bo przecież gdyby słyszał, mało mi znanym chyba nie ofiarowałby mi swojej (zresztą doskonale przetłómaczonej) „Wojny żydowskiej“... z napisem: „w dowód głębokiego szacunku“. Data: 24 grudnia 1905 roku, „akurat“ w ośm lat po owej szpetnej rozmowie, którą sobie p. N. dopiero w 10 lat tak dokładnie i szczegółowo przypomniał!

Po co ja to piszę? Z pewnością nie dla szykan i zemsty, ale dla pokazania: w jak lekkomyślny sposób z pracą, z honorem, z całym życiem ludzkim postępuje człowiek, który wylewa łyż nad ofiarami inkwizycji, albo nad nieszczęsnym trupem maryawity wykopanego z grobu. Haniebne to rzeczy inkwizycja i wykopanie trupów; ale, czy uczciwszem jest, zniesławianie ludzi innych?

Powiedziałem, że dla społeczeństwa lękam się publicznego zohydzenia pojęć będących fundamentem, *wszelkiej religii*. Czy ma to być dowodem mojej „ograniczoności“, czy „theomanii“, jak zapewnia p. Niemojewski?

Wychodzi we Francji bardzo poważne wydawnictwo: *Biblioteka filozofii naukowej*, pod redakcją znakomitego G. Le Bon'a. Biorę z niej,

Wzrost 1,75 m
Ciężar ciała 70 kg
Ciężar serca 250 g
Ciężar płuc 450 g
Ciężar wątroby 1,2 kg
Ciężar nerek 120 g
Ciężar pęcherzyka żółciowego 10 g
Ciężar trzustki 70 g
Ciężar śledziony 150 g
Ciężar macicy 120 g
Ciężar jajnika 10 g
Ciężar pęcherzyka żółciowego 10 g
Ciężar trzustki 70 g
Ciężar śledziony 150 g
Ciężar macicy 120 g
Ciężar jajnika 10 g



książkę E. Van Bruyssele p. t. „Życie społeczne i jego zjawiska” i znajduję następujące poglądy.

„Większa część instytucji politycznych i społecznych ma za podstawę wierzenia religijne. Osłabienie ich mogłoby więc pociągnąć za sobą poważne następstwa. Czy ludzie, pochłonięci przez utylitaryzm, poczną kiedy przywiązywać mniejszą wagę do tych zagadnień, czy dawniejszy fanatyzm zastąpią obojętnością?... Twierdzić tak, byłoby dowodem nieznanomości wymagań ludzkiego intelektu...” (str. 103 i 104 *La vie sociale* etc).

Albo: „Człowiek ukształcony, inteligentny, często zajmujący się wysokimi zagadnieniami psychologii, nie ma potrzeby, za pomocą praktyk jakiegoś kultu, przypominać sobie uczuć pozazmysłowych (Au dela). Dobry czyn w jego oczach więcej znaczy, aniżeli modlitwa... Ale masy ludowe, wciąż walczące z trudnościami życia, bez moralnej podpory, pozbawione kultu, straciłyby ważny pierwiastek idealny” (Tamże, str. 109, 110). (Autor książki jest sceptykiem i stawia wyżej protestantyzm od katolicyzmu; mimo to nie lekceważy religii)...

W tej samej bibliotece pomieszczają niektóre swoje dzieła inny autor: F. Le Dentec, matematyk, przyrodnik i psycholog, człowiek ogromnej wiedzy, potężnego umysłu i... zdeklarowany ateusz... „Jestem ateuszem—powiada—jak jestem bretonem, jak jestem blondynem” (*L'athrisme* str. 10).

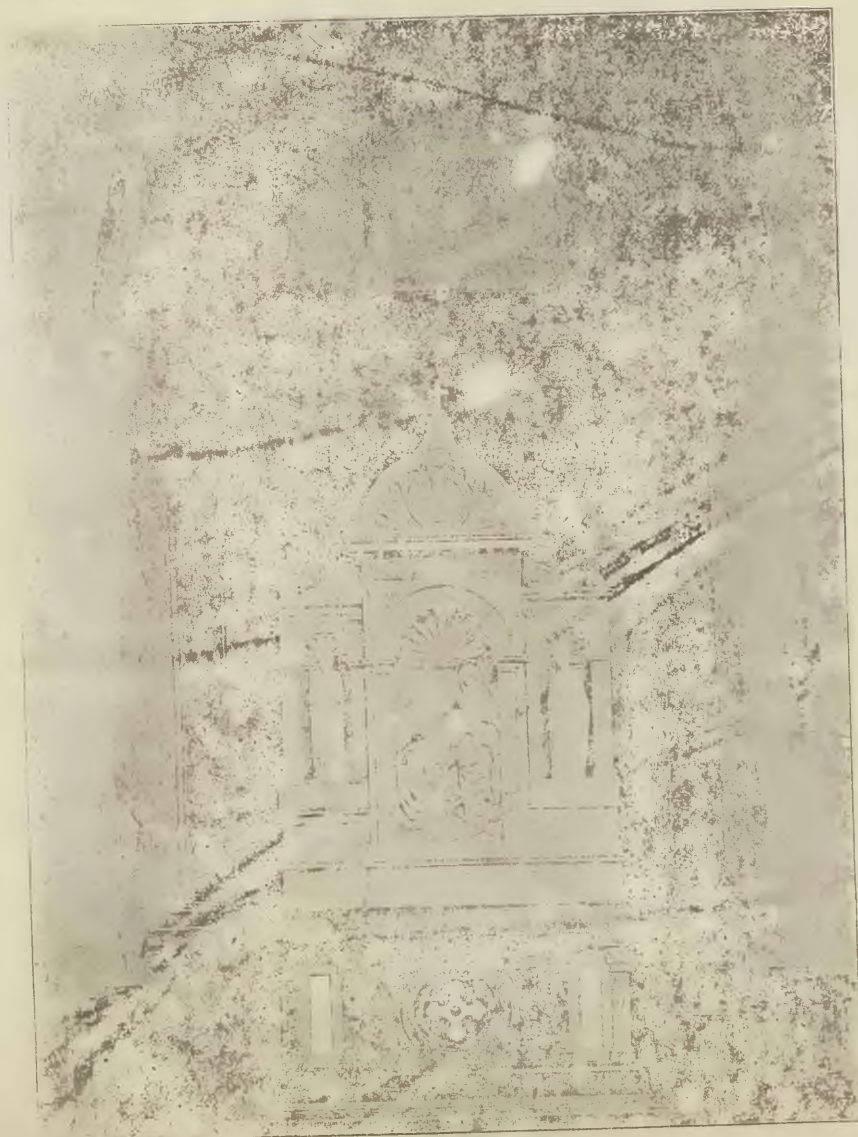
Otóż posłuchajmy, co ten „urodzony ateusz” mówi o ateizmie. Prawdziwy ateusz nie ma w życiu: „celu, pragnienia, interesu... Prawdziwi ateusze nie mogą żyć w społeczeństwie, gdyż w walce o byt są bezbronni (str. 98). „Bez idei sprawiedliwości, nasługi, odpowiedzialności, które są głównymi pobudkami czynów ludzkich, czy można żyć w społeczeństwie” (str. 99). „Ateusz logiczny nie może mieć żadnego interesu do życia... Ateusz nie umiałby nienawidzić ani mścić się... Życie ateusza jest niekompletne; on nie umiałby być złym” (str. 101). „Cieńskie cierpienie fatalnie doprowadziłoby ateusza do samobójstwa; ateusz tylko wówczas może żyć, gdy jest szczęśliwym” (str. 100).

„Śmierć jest tryumfem ateusza... Gdyby mi dano do wyboru w ciągu życia, wiarę czy ateizm, bez wątpienia wahałbym się: lecz w godzinie śmierci—nie wahałbym się: ateizm jest lepszy...” (str. 103).

Ciekawa jest następująca uwaga Dantec: „Dziś, obdarowani przez dziedziczość instynktem moralnym, którego źródeł nie znamy dokładnie, łatwo rozumiemy społeczeństwo bez Boga i moralność bez Boga. Z tego jednak nie wypływa wniosek, ażeby, zanim powstał instynkt moralny, mogło uformować się społeczeństwo, nie posługujące się ideami religijnymi” (str. 85). Albo „Może to i dobrze, z punktu społecznego, że ludzie wierzą w nagrodę pośmiertną, ich zasług doczesnych” (str. 217). Albo: „Społeczeństwo, składające się z samych ateuszów (logicznych), w naturalny sposób zakończyłoby się epidemią bezbolesnych samobójstw...” (str. 113).

Dantec sądzi, że w dzisiejszych czasach, no—i we Francji—żandarm więcej wpływa na ład społeczny, aniżeli proboszcz. Powtarzam. Dantec jest „wielkim” ateuszem. Pomimo to nie wahał się wypowiedzieć następujących słów:

...„Mówią, że ślepa wiara staje mu (t. j. chłopu) szczęście, byłbym więc niepokieszonym,



Ottar Św. Stanisława Kostki w katedrze plockiej, według projektu arch. St. Szyllera. Wyk nany w przedsiębiorstwie marmurów kieleckich w Kielcach.

gdybym go wiary pozbawił. Jestem gotów rozprawiać z filozofami, którzy, jak ja mają ustalone przekonania. Na szczęście jestem pewny, że moi sąsiedzi chłopci nie będą czytać moich książek; w przeciwnym razie—może nie pisałbym ich”. (*L'atheisme* str. 118 i 119).

A teraz wyobraźmy sobie społeczeństwo, w którym brakuje nie tylko filozofii i nauki wyższej, ale—nawet oświaty elementarnej; w którym jest zachwiana nie tylko moralność, ale nawet uliczny porządek, podkopany nie tylko dobrobyt, ale—nawet ochota do pracy... Przedstawmy sobie taki naród i zapytajmy: co on może zyskać na zohydzeniu pojęć religijnych, na forsownym szczepieniu ateizmu, który—jak oświadcza jeden z najznakomitszych ateistów—mógłby doprowadzić społeczeństwo tylko—do epidemii samobójstw?...

Już Descartes, choć wierzył w Boga, jednak uczył, aby: „Nie ufać temu, czego rozum jasno nie widzi i pod żadną wątpliwość nie podciąga”. Więc sceptycyzm, nawet w sprawach religijnych, ale sceptycyzm, prowadzący do twórczego krytycyzmu, może być dla społeczeństwa użytecznym. Czy jednak wydrwiwanie, poniewieranie, bezczeszczenie zasadniczych pojęć wszelkiej wiary może wydać dobre owoce?... na to odpowie sam krytyk.

Niech jednak nie wyobraża sobie kto, że, oponując przeciw płytkiemu ateizmowi, zamknąłbym mu usta, gdyby to zależało odemnie. Bynajmniej. Najbliższe doktryny mają tę dobrą stronę, że wywołując dyskusję, przyczyniają się do oświecenia prawdy. Więc nie to jest złe, że apostołami ateizmu bywają ludzie pozbawieni ukształcenia filozoficznego i przyrodniczego, ale to, że u nas—nie ma filozofów i przyrodników, którzy zajmowałiby się odwieczną a tak doniosłą kwestią Boga i duszy.

32

Co przynosi wiedza i technika?

(Czar sztuki.—Scena i życie.—Teatr Grecji.—Kult Dionizora.—Technika sceny.—Wystawa sztuk teatralnych.—Komedjanci.—W antrakcie za sceną.—Iluzje i mechanika podziemna.—Malarstwo dekoracyjne.—Apollo i Merkury).

Piękno i sztuka! Poezya, malarstwo, wymowa i muzyka, zespolone na scenie teatru w całość, porywającą duszę, dla rozkołysania uczuć, odwiecznie bijących w biednym sercu ludzkim, czyż to może mieć coś wspólnego z postępem techniki?

A jednak artysta, który skupia w sobie rozstrzelone, słoneczne promienie życia i jego cienie, wstrząsając nas do głębi, czyż weźmie nas pełnym czarem swej sztuki bez tych złudzeń—fatamorgany, techniki?

W życia zawieruchach, powszedniości bytu rozwiewają się ideały, w szarości codziennych walk serca martwieją, a oczy przestają widzieć piękno duszy ludzkiej, lecz oto zbliżyliśmy się na chwilę do ołtarza sztuki, do sceny... I nagle czar piękna rozwiewa mgły ciasnego widnokregu... rośnie przed nami kawał życia, ze sceny płyną tajemne fale wewnętrznych szeptów i tajnych marzeń; „daleko nieraz człowiek od człowieka, a tak blisko, tak blisko”

I całe audytoryum, setki ludzi żyją i czują na chwilę podniosłość, szczerą i serdeczną, rozumieją się to czar, to potęgą sztuki! Na ten czar skąd ją się i artyści, ci, co odtwarzają postacie poety i... złudzenie, które stwarza *technika*, naśladowstwo form i efektów realnych, materialnych warunków życia.

A przecież tak nie było przy narodzinach sztuki dramatycznej. Nie było techniki sceny, całe audytoryum wchłaniało słowa poety i akcje, zasłuchiwało się w cudnych strofach, opiewających wszystko, co piękne i szlachetne, co wzniosłe i wielkie, co wstrząsa dusze i warte było życia...

Tak było w Grecji!

Najstarsze egipskie misterya, tajemnicze obrzędy na cześć *Izidy* i *Ozyrisa*, były najdawniejszym przedstawieniem scenicznym, świątynia była pierwszym teatrem, a artystami—złośliwi mówią... komedyantami—byli kapłani.

Właściwą jednak kolebką teatru był kraj wiecznej wiosny, czarującego błękitu i złocistego słońca, kraj, któremu szmaragdowe fale morza nuciły baśnie i legendy o walkach i miłostkach bogów, o pięknie, tylko o pięknie i sztuce, o radości życia.

Grecy kochali piękno, poili się czarem, który otaczał całe ich bujne życie, jasne, nieklamane, nie znające hypokryzji czasów późniejszych...—I Grecja dała ludzkości teatr!...

Plutarch przyznaje temu słowu pochodzenie boskie (od *theos*—bóg). Teatr starogrecki to miejsce najpiękniejszego kultu Dionizosa, bożka wina i radości, promiennej wiosny, światła i zorzy młodzińskich uczuć, bożka pełnego humoru, wesela i figlarnych psot.

Na wiosnę w miesiącu Elaphebolian (marzec), gdy uroczy świat Hellady budził się radośnie, a słońce coraz płomiennie, miłośniej całowało ziemię i morze, wówczas ożywno, wesoło orszak ze śpiewem dytyrambów podążał z posągiem bożka ku Atenom, gdzie zakończeniem uroczystości były z niezmiernym przepychem wystawiane przez trzy dni komedye, tragedye, satyry najslawniejszych poetów.

Wielki i szczery był ten zachwyt upajający!



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

W chwili kiedy to piszemy, świat przechodzi „godzinę ciszy,” która może się jutro skończyć, ale w której tymczasem nie dzieje się nic osobliwego. Ani podróż Wilhelma do Anglii, ani zmiana rządu w Austrii, ani sprawa Ulma we Francji, ani bomby w Warszawie, ani nawet otwarcie trzeciej Dumy, nie rozpala imaginacji i nie podnieca pulsu.

W takiej atmosferze najważniejszym wypadkiem jest chyba przesilenie finansowe w Stanach Zjednoczonych, które już odbiło się w Zachodniej Europie, a może odezwać się i w tutejszych stosunkach. Aby ułatwić zrozumienie tego zjawiska: z czego ono powstaje i jakie wywołuje skutki? dam przykład gospodarski.

Pewien „burżuj”, chcąc uprosić sobie kupno węgla na zimę, poszedł do znanego składnika i zrobił mu propozycję:

— Ja będę panu co tydzień składał rubla, dwa, a może i pięć, aż do zapłacenia 30 korcy węgla, a pan dostawisz mi taką ilość w ciągu zimy.

Składnik zgodził się i oznaczył cenę, zaś burżuj co tydzień płacił po kilka rubli i otrzymywał kwity.

Wiadomość o ułatwionej metodzie kupowania szybko rozeszła się po mieście i — „cały” naród zaczął naśladować pomysłowego „burżują”. Każdy płacił jakiemuś składnikowi niewielką sumę co tydzień i dostawał kwity na odpowiednią ilość węgla, który miano odstawić na żądanie.

Tym sposobem zrobiło się kilka rzeczy dobrych. „Burżuje” powoli, bez wysiłku, nawet trochę taniej, zabezpieczali sobie węgiel w porze letniej, a składnicy mieli gotówkę na bieżące wydatki.

Więc jedni wysyłali pieniądze kopalniom i zamawiali należytą ilość węgla po cenach niższych; inni powiększali sobie składy, inni płaćli długi dawniej zaciągnięte, a jeszcze inni, poczuwszy mamotę w kieszeniach, zaczęli jadać raki wielkości niemowląt, ostrzygi nie mniejsze od spodków, bawić się z grzeczными panienkami i tak dalej...

Widząc to, czujne dzienniki wzięły pisać, że składnicy węgla są wyzyskiwaczami, rozpustnikami i nie zasługują na zaufanie, jakim obdarza ich publiczność. Współcześnie trafiło się parę wypadków nieprzyjemnych. Jeden składnik zbankrutował, drugi nie odstawił na czas węgla, u trzeciego magazyny były puste. Ogromna jednak większość węglarzy nie myślała bankrutować i prowadziła interes jak zwykle.

Wtem rozchodzi się pogłoska, że w zimie, która zbliżała się chyżym krokiem, może zabraknąć węgla... Usłyszawszy to nasz „burżuj” zabrał kwity i poszedł do składnika z żądaniem 30 korcy. Dochodząc do kantoru spostrzegł ciżbę ludu.

— A co tu panowie robiecie? — zapytał.

— Przyszliśmy po węgiel, lecz nie bardzo wydają.

— O dla Bogal... — jęknął „burżuj”. Siłą



NATURA OPANOWANA
Salon S. Kulikowskiego.

MARYAN WAWRZENIECKI

wdarł się do kantoru i, pokazując stos kwitów, prosił o węgiel natychmiast.

— Mogę panu dać kilka korcy — odpowiedział składnik — a w ciągu zimy odstawię resztę... Przecież pan od razu wszystkiego nie spali?...

— Nie spalę — odparł z gniewem „burżuj” — ale chcę mieć, ponieważ słyszałem, że na zimę nie będzie węgla...

— Cóż znowu!... uspakajał go składnik. Kopalnie nie zapadną się.

— Niech mi pan nie zawraca głowy!... — przerwał zirytowany „burżuj”. — Chcę mieć natychmiast moje węgiel i basta...

— Ależ ja dziś nie mam tyle korcy...

— Więc jesteś pan bankrutem!... — wrzasnął „burżuj”.

Gdy taki okrzyk usłyszeli inni, tłumem rzucili się do kantoru, a nie mogąc tam nic wskórać! rozbiegli się po mieście i zaczęli opowiadać, że ten a ten składnik zbankrutował i na zimę wcale nie będzie węgla.

Podobne sceny rozgrywały się przy innych składach. Wszędzie publiczność żądała całej ilości zakupionego paliwa, wszędzie mówiono, że takiej ilości nie ma, z czego wystraszeni interesanci wyprowadzili na poczekaniu wniosek, że wszystkim składom grozi bankructwo i że na zimę stanowczo zabraknie węgla. Najtrwożliwi zaczęli sprzedawać swoje kwity za połowę, a nawet trzecią część ceny; tracili na nich po kilka i kilkanaście rubli, lecz pocieszali się, że lepiej odzyskać choć trochę, aniżeli nic.

A tymczasem, gdyby nie popłoch i nadmierne żądania, nie byłoby krachu, gdyż ilość wę-

gli w mieście tudzież dowozy, mogły zaspakajać potrzeby normalne. Lecz gdy Paweł i Gaweł, zamiast niezbędnego korca czy dwóch, pod wpływem strachu zażądał 20 lub 30 korcy, dla innych musiało zabraknąć.

Oto wypadki, wobec których ludzka natura występuje bez obłonek i masek. Ukazuje się naga; uwypatniając następne cechy:

1-mo. Łatwowierność, dzięki której gotowiśmy ufać każdej pogłosce, jeżeli ją kilkoro ust powtórzyło. 2-do. Podejrzliwość, która sprawia, że każdego z ukochanych bliźnich podejrzujemy o łajdackie zamiary. 3-io. Tchórzliwość, przez którą wobec najmniejszego niebezpieczeństwa tracimy głowę. 4-to. Bezdenny egoizm, który cudze potrzeby i prawa gotów poświęcić nietylko własnym potrzebom, ale nśwet kaprysom.

Kiedy po dobrym obiedzie, w salonie albo na spacerze, rozmawiamy o wszystkich rzeczach, jakie dzieją się na ziemi i niebie, wówczas zdaje się nam, że człowiek jest naprawdę istotą zdolną do rozumowania i sprawiedliwego ocenienia stosunków. Lecz niech odezwie się namiętność w formie obawy, gniewu, albo wiary na niczem nie opartej, wnet duchowość znika jak mgła, a jej miejsce zajmują odruchy automatyczne, których główne sprężyny wymieniliśmy powyżej. Gdyby w czasie jakiegokolwiek popłochu: ekono-

micznego, politycznego, nawet teatralnego ludzie nie wyrzekli się rozsądku dla siebie a litości nad bliźnimi, ofiar byłoby mniej a może i nie byłoby wcale.

Węgiel jest bardzo użyteczny: służy do gotowania pokarmów, ogrzewania mieszkań, wytapiania metalu z rudy, poruszania warsztatów, lokomotyw i statków parowych. Trudno więc dziwić się, że, jeżeli gdzieś go zabrakło, ludzi ogarnia popłoch. Ten myśli, że nie będzie mógł dokończyć ważnej podróży, ów boi się ażeby nie zmarł z rodziną. Zależniona matka pyta się: przy czym ugotuje strawę dla dzieci? robotnik: czym wykarmi siebie i swoich, jeśli z braku węgla staną fabryki?...

Bardzo ważnym przedmiotem jest węgiel, ale jest coś ważniejszego i od węgla, mianowicie — pieniądź.

Pieniądź jest tym bajecznym, nieprawdopodobnym a jednak rzeczywistym tworem, który przybiera wszelkie postacie, wszędzie wciska się a wiele może zdziałać!... Raz wygląda on jak skrzynia złota, drugi raz jak majątek ziemski. Jeżeli zechce, może przemienić się w kamienicę, albo fabrykę; jeżeli mu się podoba może Wziąć formę cennych klejnotów, strojnych salonów, nawet... pięknych kobiet! Pieniądź jednego dnia wlewa się do kopalni albo fabryki, napełniając ją ruchem i wesołością; drugiego dnia wpada do szynku albo domu gry. Kiedy indziej stwarza szkołę, szpital, klasztor, w którym dusze czyste oddają się umartwieniom i marzą o Bogu.

Dzisiejsi ludzie nie wierzą w cuda i śmieją się z demonów. Gdyby jednak z uwagą przypatrzili się pieniądźowi, przekonali się, że jest



to największy demon a jego życie — pełne códów...

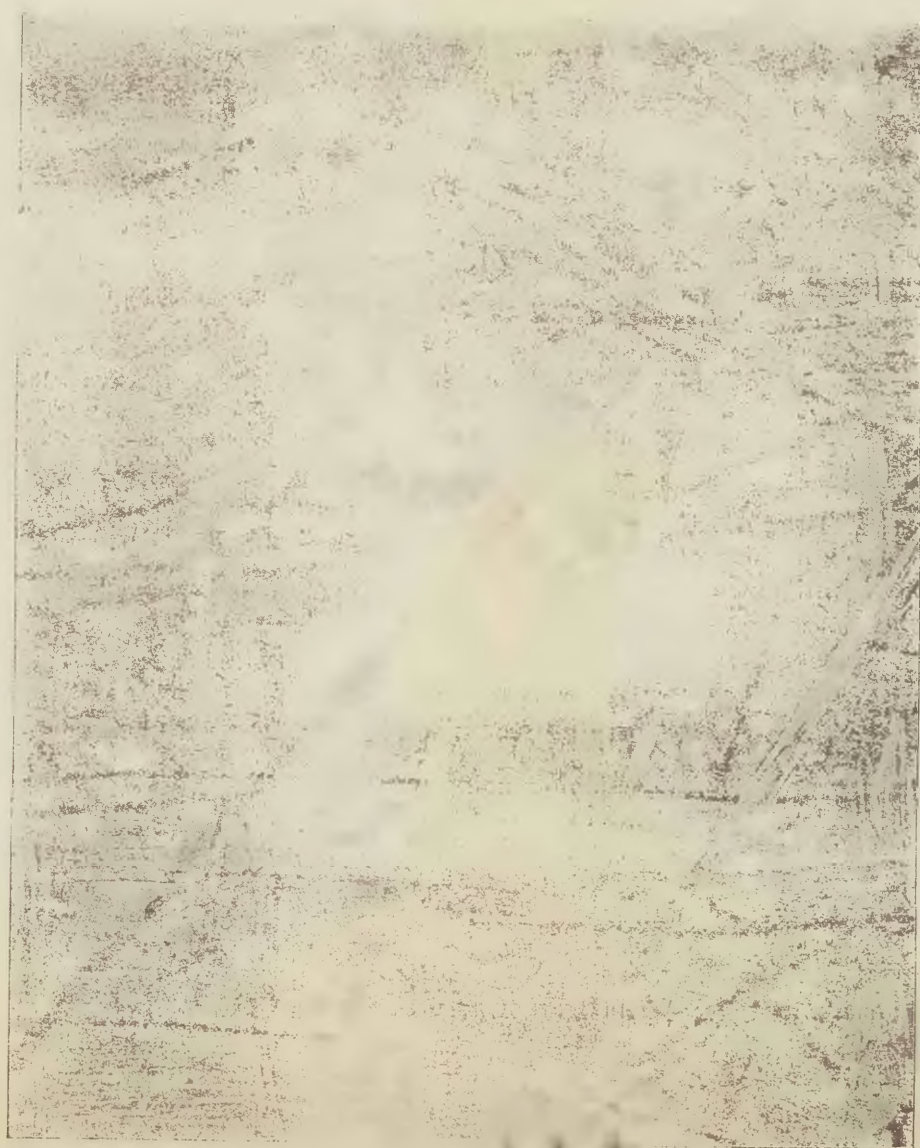
To też nie dziw, że gdy pewnego dnia ktoś szepnął w Nowym Jorku, iż „w banku brakuje złota“... szept rozległ się po całej Ameryce i spowodował nadzwyczajne skutki. Ludzie jak opętani poczęli zbiegać się do banków i kas oszczędności, z których w ciągu niecałego tygodnia wybrali — miliard dwieście pięćdziesiąt milionów franków!... Zaś po upływie dwu tygodni Stany Zjednoczone (według p. d'Orsay) straciły — jakoby — pięć miliardów franków...

„Dziś — mówi tenże sprawozdawca — znajduje się dwieście tysięcy robotników bez pracy, jutro będzie ich trzysta tysięcy a za kilka dni pół miliona!“. Oto skutki podejrzliwości, łatwowierności, tchórzostwa i egoizmu... Bo jeżeli dziś, dla zażegnania popłochu, wystarczy kilkaset milionów, to gdyby nie wycofano z obiegu owego miliarda z czemś, nie byłoby popłochu, bankructw i nędzy.

I co ci ludzie zrobili z wycofanymi pieniędzmi?... Trzymają je w domu, nie tylko bez procentu, ale nawet z szansą, że ktoś może je ukraść, albo że oni sami je zmagają. Niektórzy nawet zakopali je w ziemi, jak się to robi z kosztownościami w największych społeczeństwach...

A przecież Stany Zjednoczone to jedno z najmożniejszych, jeżeli nie największych państw w świecie. Gdyby podzielić ogólną ilość bogactw każdego kraju przez liczbę jego mieszkańców, wypadłoby na Rosjanina 538 rubli, na Niemca 1330, na Francuza 2250, na Amerykanina Stanów Zjednoczonych 2500 rubli. Obok tego trzeba zapamiętać, że gdy w Europie najdzielniejszą siłą pochłania wojskowa służba, w Ameryce najdzielniejsi pracują. I, że gdy w Europie ciąży około 60 miliardów rubli długów, Stany Zjednoczone mają ich nie całe dwa miliardy; gdy pojedynczy Europejczyk jest winien przeszło 150 rubli, pojedynczy Amerykanin musi spłacić swoim wierzycielom tylko 20 rubli.

I otóż państwo, które na same kolegia i uniwersytety wydaje rocznie z górą 60 milionów rubli,



PLAWIENIE CZAROWNICY (ka to).
Salon S. Kulicki wski go.

MARYAN WAWRZENIECKI

w którym ofiary, na cele społecznej doniosłości — w ciągu 15 lat, wyniosły trzy i pół miliarda franków, to państwo tak bogate, tak hojne, tak — powiedzmy — uczciwe, musi dziś z całego świata zwabiać pieniądze, których go pozbawili własni obywatele...

Jakie są przyczyny amerykańskiego przesilenia, co wywołało „popłoch“? o tem dziś — trudno wiedzieć, chociaż nie jakie wskazówki już istnieją: „Obecne przesilenie — mówi profesor Emery, jeden z najznakomitszych ekonomistów amerykańskich — przyspieszyła obawa natchniona zachowaniem się kół finansowych, nie zdrowe spekulacje, a może i napaści prezydenta Roosevelta na rozmaite korporacje“.

Tu każdy wyraz potrzebuje komentarzy.

„Nie zdrowe spekulacje“ znaczą, że w Stanach Zjednoczonych ludzie sprytni, a niezbyt uczciwi tworzyli niby to zyskowne przedsiębiorstwa, zgarniali cudze oszczędności i... bankrutowali. „Zachowanie się kół finansowych“ — może oznaczać sławne „trusty“, które opanowawszy np. cały przemysł naftarski, stalowy albo miedziany, podwyższały ceny tych przedmiotów i bogaciły członków trustu, ale obdzierały publiczność. A nareszcie „napaści Roosevelta“ były skierowane przeciw trustom i narażały je na straty. Pomiedzy Rooseveltem, a miliardami amerykańskimi od niejakiego czasu toczy się ostra walka. Trustowcy nazywają prezydenta „demagogiem“, on ich „kryminalnymi bogaczami“, a kto ma rację? czas pokaże.

Położenie jest złe; czy jednak nie ma wyjścia?... Owszem jest to nawet łatwe. Ponieważ w tej chwili brakuje Stanom Zjednoczonym złota, którego ludzie prywatni nie chcą powierzać bankierom ani przemysłowcom, więc — według zdania ekonomistów — rząd musi wypuścić banknoty. „Rząd zaś Stanów Zjednoczonych — mówi pewien dziennik — ma opinią tak gospodarnego i uczciwego, że za jego banknot każdy chętnie da złoto i, przesilenie skończy się“...

Powinniśmy to wkrótce zobaczyć, a tymczasem już dziś możemy z kłopotów amerykańskich wyprowadzić dwa wnioski:

Wstrząśnieniom ekonomicznym, i wszelkim innym, są winne przede wszystkim, same społeczeństwa, a raczej lekkomyślność i niepojęty egoizm jednostek.

Dla narodów, wśród których obok ludzi złych i niskich znajduje się mnóstwo dzielnych, pracowitych i rozsądnych, klęski choćby najcięższe, stają się szkołą doświadczenia, szczeblem do wyższego rozwoju. A tylko dla społeczeństw lichych, pozbawionych wartości moralnej, każda nowa klęska jest pogłębieniem przepaści, w którą staczają się bez ratunku.

W

LUCYAN RYDEL:

Z ANAKREONTA.

I.

Kiedy wina łykne sobie,
To się troski zdrzemną —
Na co żal i smutek zda się?
Trapić się daremno!
Tak czy owak, legnę w grobie...
Trwonić życie w życia krasie,
Cóż na tem zarobię?
A więc wino pijmy sobie,
Dar Bakchusa boski,
Gdy pijemy — w tejsze dobie
Zdrzemną nasze troski!

II.

Dziewki, wina dajcie oto!
Wina niech duszkiem wypiję,

Bom wysechł długą spiekotą
I z pragnienia ledwo żyję.
Dajcie mi też kwiaty one —
Którą mam, kwietną koronę
Przepaliło czoło moje...
Żary, miłością wzniecone,
Czemże — o serce — ukoję!

III.

Nie uciekaj, dziewczyno,
Przed mą białą czupryną!
Że różane masz lata,
I że ci młodość służy,
Nie szydź z mego kochania.
W wieńcu kwiat się przeplata:

Przy rumianej się róży
Lilia biała wyłania.

IV.

„Staryś już, Anakreoncie!
— Powiadają mi dziewczyno —
A weźże sobie zwierciadło
I w niem przejrzyj się gdzie w kącie:
Jak kolano, czoło twoje,
Tyle włosów ci wypadło!“
Co do włosów — to tam fraszki!
Są-li, czy wypadły z czaszki,
Ja nie wiem; wiem jeno tyle,
Że tem-ci bardziej się godzi,
By starzec szumił przez chwilę —
Im nań bliżej śmierć przychodzi.



formę zaludnienia na nowo tej ziemi, zniszczonej szalem rozpaczliwego wybuchu żądy wolności.

Popatrzała na Stefana swemi wyblakłemi oczami i pokiwała głową.

— Niech już Białozór bierze Misię. Wart jej...

W cichych, utajonych w borach swych, Grelach, zapanował ruch niebywały. Gniade kłacz i stary powóz pani marszałkowej zaznały trudu, a głuchy lokaj zupełnie stracił głowę. Przywieziono i odwieziono doktorów, przywieziono Hlebowiczową, posyłano i odsyłano codziennie pocztę listy i depesze. A wszyscy mieli rozradowane twarze, bo chora była codziennie lepiej, i codziennie cudniej rozwijała się wiosna.

Na list swój Stefan nie otrzymał piorunującej depeszy o powrót i zaczynał mniej myśleć o tem, co „tam“ się dzieje, jakby zżuł siebie jakieś pęta, wyzwolił się od zmo-ry, żył innem życiem. Ucieszył się na widok Hlebowiczowej, która, wspominając poznanie nad morzem, napomknęła żartobliwie, że podziwia jego stałość, a gdy nie zrozumiał, rzekła:

— Przecie znowu odnajdujemy kuzyna dzięki hrabinie Podhorskiej.

— O nie, kuzynko. Tym razem tylko dzięki głuszcem i cietrzewiom hrabiego. Stąd do Bretanii już bardzo daleko. Nie jest się tak długo młodym i głupim. Siedm lat temu to wiek. I zdaje mi się, że i Kostuś już nie kocha na zabój.

— O, ten jest zawsze niebezpieczny. Dlatego tak się opieramy jego wyjazdowi daleko.

— Mnie możnaby z zupełnym spokojem pod tym względem wysłać do najcudniejszych pokus.

— Kuzynie, w waszym wieku to do-



DZIECI

JAN BIERNACKI

wód jednego wielkiego, a nieszczęśliwego uczucia.

— Kuzynko, jak się nazywa ten kraj, w którym wierzą jeszcze w baśni! — rzekł z szyderczym grymasem.

Hlebowiczowa spoważniała, spojrzała nań smutno.

— Biedni wy tam w tym waszym świecie.

Byli sami we dwoje w pokoju babki, która spała, mówili z cicha, zmierzchało, z dalszych pokoi słyhać było gniewny głos Kostusia i uspokajający go dyszkancik Duszki.

Zbudziła się pani marszałkowa.

— Czy jest Stefan? — zagadnęła.

— Jest! — uśmiechnęła się Hlebowiczowa. — Babunia nas tak nie pieściła nigdy. Będziemy zazdrośni!

Stefan już klęczał przy łóżku.

— Wyście mieli więcej, niż on i ja! — rzekła staruszka. — Kto tam tak hałasuje po domu? Czy są goście.

— Nie, to Kostuś pewnie się z Misią posprzeczał.

— Chłopak! jest kłóliwy i nerwowy, bo czuje, że nie postępuje wedle swej duszy, i jest ze sobą w rozterce! Kto ci tam znowu zawinił? — spytała wchodzącego.

— Ach, nic! Misia nie chce jutro dać koni do kościoła, więc wynajęłam chłopca.

— A gdzie Misia?

— W kancelaryi, wypłaca robotnika. Koni dać nie chce, a obraziła się, gdymkazał Kafarowi wystarać się fury. Pojedziemy z ciotką razem.

Milczała pani marszałkowa, gładząc kędzierzawą głowę Stefana, Hlebowiczowa napadła na brata.

— W Skarbowcu nie można ciebie było wygnąć o sto kroków do kościoła na sumę. Przy dzieciach prawileś o głupocie formulek religijnych. Raptem stałeś się nabożny.

— Muszę być jutro w miasteczku. Mam ważne papiery na poczcie.

— Stefanie, pójdz do Misi i powiedz, żeby przy rachunku z ludźmi z Oziernej nie potrącała im za wzięte siano, bo teraz przednówek, i oni znowu popłacili kary polityczne.

Stefan zastał w kancelaryi tłum chłopów. Kafar wywoływał ich po imieniu i czytał dnie zarobione, Misia wypisywała sumę i wypłacała. Nie szło to jednak prędko, bo każdy chłop miał do „panienki“ jeszcze jakiś interes, prośbę, pytał o radę. Tłum ten nie spieszył się, ani wyglądał chciwie pieniądze, gwarzyli, śmiali się, wszystko mówiło miejscowem narzeczem, którego Stefan wcale nie rozumiał. W kącie, na stronie, stało kilku ludzi, odzianych inaczej i różniących się od szarej masy chłopstwa typem i postawą.

(DCN)

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Trzecia дума nie obudziła ani zachwytu, ani zaufania w Europie, pomimo, że, jak mówi *Times*: „wszystko co mogłoby zapobiedz wewnętrznym niepokojom państwa rosyjskiego, wzajemnej rzezi między terroryzmem a reakcją, wszystko byłoby pożądanem, nawet ta Дума, która z powodu ograniczenia liczby głosujących nie jest w pełnem tego słowa znaczeniu przedstawicielką ludu“. Zaś L. Naudeau znakomity korespondent francuski, który zna Rosyę i utrzymuje z nią stosunki, takie wypowiedział uwagi:

„Czerwcowego prawa wyborczego w Rosyi nie potrafiłbym przedstawić czytelnikom krótko i jasno. Prawo to jest stekiem subtelności, wśród których musi zbłąkać się najważniejszy umysł. Jedno jest tylko jasne, że autor prawa czerwcowego chciał usunąć od głosowania wszystkich, którzy mu zawadzali, a jak najbardziej powiększyć liczbę swoich stronników.

Wiele osób godnych zaufania, które ostatniemi czasy podróżowały po Rosyi, wypytawszy

ludność wszelkich stanów, doszły do wniosku, że niezadowolenie wzrasta w całym państwie. Ludność gorąco pożąda reform stanowczych, które, jeżeli nie zostaną osiągnięte na drodze legalnej...

W pierwszej i drugiej Dumie wiele dążeń do czynów gwałtownych przeradzało się w gadanie, wiele strasznych projektów w układy. Partye rewolucyjne zużywały swoją energię na hałaśliwe mowy... Dziś lud sądzi, że parlament jest utworem sztucznym, ztwarem figurantów i parodią narad... Oto dlaczego bardzo wiele osób niepokoi obecne położenie. Od tej pory — mówią — można przewidywać najgorsze wydarzenia i t. d.

U nas, nie powiem, ażeby objawił się zbyt głęboki upadek na duchu. Ludzie czują ciężar praw wyjątkowych, widzą reakcję i nienawidzą do polskości w dziennikach „prawdziwie rosyjskich“, przeczuwają nowe uciski i myślą sobie: no, jakoś i to przetrzymamy!... Lecz choć nie ma upadku ducha, pesymizm jest. Po dniach jasnych, a raczej godzinach swobody, weszliśmy znowu w gę-

stą mgłę, której, zdaje się, że nawet końca nie widać!...

Tymczasem według mojego, może mylnego poglądu, „przeradzania się Rosyi“ idzie wciąż naprzód i prawidłowo.

Biurokracja nie chciała czy nie umiała nadać Rosyi potrzebnych swobód we właściwym czasie i stopniowo, opóźniała konieczne reformy do ostatniej chwili. Więc gdy nareszcie pękły tamy hamujące potok, nastąpił wylew, który nie tylko zatopił nadużycia, ale nawet wszelki porządek i prawo. Ludziom już nie wystarczały swobody konstytucyjne; zapragnęli rzeczywistej demokracji, choć ona tak ciężko rodzi się we Francyi, a jeszcze nie prędko pocznę się w Niemczech. Nie wystarczało im prawo do swobodnej pracy, oświecania się, stowarzyszania, zdobywania dobrobytu; oni chcieli posiadać dobrobyt już gotowy i obdzielić nim wszystkich proletaryuszów.

Ani przyszło im na myśl zapytać: czy zniesienie własności prywatnej poprawi byt proletarya-



tu i czy chaos, wywołany przez podobną rewolucję, zamiast podnieść pomyślność ogólną, nie pograży wszystkich w odmęcie nędzy i barbarzyństwa?...

I otóż, dzięki tym hasłom czy nadziejom, w państwie rosyjskim odbyło się nieprawdopodobne widowisko. Nietylko zbagatelizowano czcigodne swobody konstytucyjne, ale jeszcze armia, mająca zdobyć wolność, rozpoczęła walkę wewnętrzną „proletaryuszów” z „burżujami”!...

Dziesiątki razy na tem miejscu powtarzałem o jednym z najpowszechniejszych praw natury, że: im silniej popchnąć wahadło w lewą stronę, tem mocniej rzuci się ono w prawą stronę. A ponieważ wahadło swobody rosyjskiej zbyt gwałtownie posunęło się na lewo, więc w następnej fazie z równą gwałtownością musiało przejść na prawo.

Gdyby po 30 października 1905 roku ferment rewolucyjny zatrzymał się, Rosya już dziś miałaby spokojną wolność i kipiałaby najpiękniejszymi reformami. Każdy dzień przynosiłby nową swobodę, nowy ład, nową pracę i — nowy rezultat. Na nieszczęście Manifest październikowy nie ukołro drażnionych uczuć, ale czy można się temu dziwić?... Czy istnieje w ludzkim języku słowo, które powstrzymałoby kamień staczający się z góry?

Rezultat: 44,000 ludzi raniionych albo zabitych, 2,400 powieszonych albo rozstrzelanych, dziesiąt i tysiące więzionych, albo zesłanych... Kto temu winien?... Powiadają, że rewolucya. Ale kto wywołał rewolucję? Kto wyhodował, wypielęgnował jej bojowców, kto ich dusze zatruł jadem tak strasznej nienawiści, że nie może jej stłumić nawet groźba szafotu?

Dziś przyszła reakcja, bo miała przyjść, bo zbyt gwałtownym ruchem wahadła na lewo, musiał niestety! nastąpić równie gwałtowny ruch na prawo. Jeśli jednak wyobraża sobie kto, że owe wahadło, dosięgnąwszy najdalejzego punktu po prawicy, zatrzyma się tam na lata, kto tak myśli, jest w błędzie. Wahadło znowu wróci, znowu zacznie spadać ku lewej stronie, tem gwałtowniej i dalej, im dalej i gwałtowniej popchną go na prawo.

Otóż, może się mylę, nie przypuszczam jednak, ażeby trzecia Duma, choć z góry osławiona, posunęła się zbyt daleko w reakcyi. Bo przecież nie tylko rząd rosyjski, ale i większość dzisiejszych posłów znają, równie dobrze, jak my, a może i lepiej, złowrogie prawo ruchu wahadłowego w życiu społecznym. Tyle zaś chyba mają patriotyzmu, że nie zechcą narażać na nowe eksperymenty swej ojczyzny, której dzisiejsze położenie jest poprostu okropne. Reakcja więc powinna osłabnąć i to prędko.

— Przypuśćmy! — powie czytelnik. — Nie wątpimy o gorącym patriotyzmie nie tylko kadetów, ale nawet „prawdziwych Rosyan”. Cóż z tego jednak, kiedy prawicowy patriotyzm ma tę własność, że — im będzie silniejszy, tem głębiej pograży Rosyę.

Zapewne. W każdym społeczeństwie, a powiedzmy, że i w każdym parlamencie trafiają się patryoci, niebezpieczni dla własnej ojczyzny. Zazwyczaj jednak stanowią oni mniejszość, która niby dzwon alarmowy ostrzega rozsądną większość, ażeby, nie wchodziła na „ich” drogi.

Jestem prawie pewny, że taką „ostrzegawczą” rolę odegra w trzeciej Dumie — skrajna prawica. Ona już nawet zaczęła ją odegrywać.



ANIOŁ SMUTKU

JAN BIERNACKI

Nie będę powtarzał, że Rosya jest najuboższem państwem w Europie. Kiedy majątek przeciętnego Niemca wynosi 1,330 rubli, a Francuza 2,250 to na przeciętnego Rosyanina wypada zaledwie 538 rubli.

Kiedy przeciętny Niemiecema rocznego dochodu 184 ruble, Francuz 232, a nawet biedny Serb czy Bułgar 101 rubli, dochód Rosyanina wynosi zaledwie — 63 ruble rocznie!... Dodajmy kolosalne długie państwowe, kolejowe i ziemskie, które wogóle przekroczyły jedenaście miliardów rubli, dodamy ledwie rodzący się przemysł, niski stopień rolnictwa i coroczne głody nieznanego państwu europejskim, a trapiące dziś tylko Chiny albo Indye, zsumujmy to wszystko, a utworzy się obraz przerażający.

Czy jest wyjście z takiego położenia? Najniezawodniej jest. Więcej nawet, gdyż ta dziś uboga, zacofana i zagrożona bankructwem Rosya może się stać bogatą, oświeconą, szczęśliwą, a nawet silniejszą od sąsiadów, byle — spotęgowała u siebie cnoty cywilizacyjne: pracowitość, samodzielność, twórczość, harmonię wewnętrzną.

Otóż, ani samodzielność, ani wytężona praca, ani wewnętrzna harmonia nie zakwitną pod panowaniem niewoli, przy podszczuwaniu na siebie ludów zamieszkujących Rosyę. I naodwrot: praca, twórczość, ład spotęgują się tylko w temperaturze wolności i równouprawnienia.

Smutny jest rezultat „prawdziwie rosyjskiego” systemu gospodarstwa: „zbierać ziemię, gdzie się da!... Jeszcze przegrana wojna, albo ferment rewolucyjny to drobiazgi, bo dla narodów dziesięć lat wystarcza, ażeby podźwignąć się z klęsk wojennych i rewolucyjnych. Ale gorszem jest, że tak troskliwie „zbierana ziemia” i ludność żyjąca na niej nie wydaje ani tylu plodów, ani tyle pracy, jak wśród społeczeństw ucywilizowanych... A jeszcze gorszem jest, co pisze „Głos Prawdy”:

„Całe pokolenie włościan i robotników między 18-tym i 20-tym rokiem życia jest dla Rosyi niepowrotnie stracone, jako siła robocza i jako obywatel... Co się zaś tyczy ludności młodszej, to obserwatorzy znajdują, że dzieci od lat 13 do 16 są jeszcze bardziej zepsute”.

Nieprawdopodobnym symbolem tego upadku jest — jakoby istniejący (donosi o nim p. Mienszykow) — „Związek mimetyków” (!), którzy wprost twierdzą, że: „przyszli Rosyanie będą tak samo niedołężnymi, leniwymi i niepraktycznymi jak dzisiejsi. Niechże więc miejsce ich zajmą ludy i ludzie lepiej przygotowani do życia!... Dowiedziono już, że Niemcy, Anglicy, Japończycy wyzyskują naszą (rosyjską) ziemię lepiej, aniżeli my!... Rosya składa się z mnóstwa różnorodnych narodowości, jakże więc można ją kochać pod względem filozoficznym czy etnograficznym?...”

Przypuszczam, że wyznanie wiary „mimety-

ków” jest konceptem p. Mienszykowa, ale — konceptem proroczym. System bowiem „prawdziwych rosyjan” musiałby doprowadzić po ostatecznego upadku, już nie tylko państwo i społeczeństwo, ale nawet dusze jednostek. W takich stosunkach ludzka natura nie może się rozwijać, może tylko więdnąć i gnić!

A tymczasem „prawdziwi Rosyanie” zdobywszy poważne stanowisko w trzeciej Dumie, ani myślą zmieniać swoich poglądów i metod politycz-

nych. Trochę reform dla wielkorosyan, a posłuszeństwo i rusyfikacja dla „inorodców”, oto ich program. A że (według Tablic Juraschka) owych Wielkorosyan jest 55 milionów a „inorodców” 93 miliony, więc zamiast pracy i harmonii wewnętrznej, czeka nas głośnie duszenie „inowierców” i ci chy opór przeiw uprzywiejowanemu Wielkorosom. Ostateczny zaś rezultat — upadek jednych i drugich.

Na szczęście „prawdziwi Rosyanie” nie ukrywają się ze swojemi sympatjami, antypsyjami i projektami, co powinno i zapewne otworzy oczy szczerym patryotom rosyjskim. Już bowiem w pierwszych dniach istnienia nowej Dumy „Prawdziwi Rosyanie” dali światu nauczające widowiska.

W dziejacy Rosyi istnieją dwa akty olbrzymiej doniosłości: uwłaszczenie chłopów i — Manifest 30 października, nadający prawa obywatelskie dotychczasowym niewolnikom. Szczególnie ten drugi akt jest ważny, gdyż od niego powinno zacząć się nowa, cywilizacyjna historia Rosyi, odrodzenie jej!...

Lecz otóż „prawdziwi Rosyanie” nie uznają tego aktu, a przynajmniej pragnęliby go zamilczeć!...

Drugi wypadek jest jeszcze nadzwyczajniejszy. Wśród posłów obecnej Dumy znajduje się eks-kapitan Szmit, który przed laty sprzedał plany Kronsztadu rządowi niemieckiemu, zaś przed sądem wojennym bronił się tem, że — on i Niemców okpił!... Efiłantes i Judasz w jednym garniturze. I taki człowiek znalazł się (pomimo protestów) „najlepszymi”, pomiędzy „wybrańcami” narodu rosyjskiego! Taki człowiek stał pod jednym dachem, o parę kroków od ministrów, odbierał błogosławieństwo biskupie, wysłuchiwał powitania monarszego a imię jego będzie zapisane obok Trubeckich, Muromcewów, Milukowych, Gołowinów, Rodiczewów i t. d!...

Nie koniec na tem. Człowiek podobny nie tylko został posłem, ale jeszcze niektóre pisma uznały go za „prawdziwego Rosyanina”!... I jeszcze nie koniec, albowiem ten „handlujący obroną państwową” utworzył stronnictwo. Tak jest: stronnictwo do bronięcia Rosyi drzeciw jej wrogom i znalazł 40 towarzyszków!...

Na tem skończymy. „Prawdziwi Rosyanie” tonu Dumie nadawać nie mogą i nie narzuca państwu swoich antykonstytucyjnych poglądów, ponieważ są nietylko niebezpieczni, ale nawet kompromitują Rosyę w oczach świata. W historii Szmita, jego tryumfów i jego „stronnictwa” z po za komizmu jednostki wygląda tragedia państwowa.

Sz. prenumeratorów „Tygodnika Illustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na czwarty kwartał.



Kiedy myślę o charakterystyce Anglików, przypominam sobie szkolne wypracowania, w których prawie zawsze: „Klenopotatrat jest najpiękniejszą kobietą”—„Cezar największym wojownikiem”, „Wiosna najmiłszą porą roku”... słowem—każdy zadany temat jest—najważniejszy.

A ponieważ miałem zawsze ogromny pociąg do wszystkiego co angielskie, więc aby nie wpaść w przesadę i nie napisać: „Anglicy są najznakomitszym narodem”—chwytam pierwszą z brzegu charakterystykę Anglików i pogrążam się w czytaniu.

„Anglik—pisał przed pół wiekiem de Latena—ma powierzchowność poważną i szlachetną, lecz sztywną i pozbawioną gracji. Godność jego podobna jest do pogardy, a spokój siły kojarzy się w nim z potrzebą władania. Jego osobisty egoizm ustępuje tylko jego narodowemu egoizmowi. Obszerny rozum, ambicję bez granic, głęboką rachubę, odwagę, wytrwałość i wszystko co służy do ugruntowania wielkości, lud angielski łączy w sobie. Gdyby chciał przenieść w politykę zasady swej przywłażnej moralności, nie tylko nie utraciłby potęgi, lecz uprawniłby ją przez sympatię i podziw świata... Podstawa jego rozumu jest rozsądek; wyobraźnia stanowi w nim drugorzędną zaletę. Anglik widzi lepiej aniżeli czuje. Jego myśl staje się szczytną, głównie przez słuszność spostrzeżeń i rozsądek. Całość i wdzięk są w niej zwykle tylko osłabieniem siły. To wyjaśnia: dla czego Anglik należy do pierwszorzędnych w poezji a do ostatniego w muzyce”.

Tak pisał o Anglikach Francuz z połowy XIX-go wieku. Zaś w końcu XVI-go w. inny Francuz, mianowicie Bossuet, tak powiedział o jednym, ale z pomiędzy najznakomitszych o Cromwellu:

„W człowieku tym zeszedł się głęboki myśliciel, wyrafinowany hipokryta i zręczny polityk, który był zdolnym wszystko zamierzyć i wszystko ukryć. Jednakowo czynny i niestrudzony w pokoju, jak i na wojnie, niczego nie zostawiał losowi, cokolwiek dało się przewidzieć, a tak był czujny i na wszystko przygotowany, że nigdy nie pominął sposobności, jeżeli się nastroczała. Nareszcie był to jeden z owych ruchliwych i zuchwałych umysłów, które po to chyba zostały stworzone, żeby świat porządzić.

Głębokość umysłu, niestrudzona działalność przezorność i umiejętność korzystania z okazji, które Bossuet w swoim czasie przypisywał tylko Cromwellowi, po upływie 200 lat stały się własnością bodaj czy nie wszystkich Anglików, od ministra do ajenta handlowego, od policmena do rzeźmieszkaka.

...„Kleopatrat była najpiękniejszą kobietą”... A jednak, zdaje mi się, że Anglicy, naprawdę—są—nojpierwszym narodem na świecie!... Co to znaczy: że wszyscy są doskonałymi pod każdym względem?... Bynajmniej. W Anglii, jak i w każdym innym kraju, znajdują się próżniacy i idyoci, filuci i straszni zbrodniarze. Z drugiej zaś strony, nie tylko w Anglii, ale i w każdym innym kraju, nie wyłączając naszego, znajdują się ludzie mądrzy, czynni, przeczni i energiczni. I ta tylko między narodami zdaje się istnieć różnica, że w każdym—inny jest stosunek procentowy dobrych i złych jednostek. Wśród jednych stanowią oni czwartą, może piątą część, wśród innych—dziesiątą albo dwudziestą... Mniej więcej jak z umiemytymi czytać i pisać: w Szwajcarii jest ich 99 procentów, u nas 22...

Zarzucają Anglikom egoizm osobisty i narodowy. Każdy naród jest egoistą, choć nie każdy tyle użytecznych usług oddaje i oddał ludzkości, co Anglicy. Są oni znakomitymi rolnikami, hodowcami i górnikami. Ich wyroby przemysłowe i rzemieślnicze odznaczają się dokładnością i trwałością obok prostoty. Ich żeglarze i podróżnicy zwiedzili każdy zakątek świata, ich kupcy, choć nazywani przez H. Spencera „ludożercami”, należą do najuczciwszych.

W dziedzinie wynalazków technicznych Anglicy zajmują stanowisko pierwszorzędne. Bo czy chodzi o motory fabryczne, czy o maszyny przewozowe i sposoby porozumiewania się, czy o mechanizmy wykonawcze, narzędzia miernicze, optyczne i t. p. Anglicy albo je wynajdywali, albo wprowadzali do nich samodzielne i ważne ulepszenia.

Jeszcze na wyższym szczeblu działalności, Anglicy, obok mnóstwa uczonych badaczów, posiadają geniuszów w rodzaju Newtona lub Darwina, którzy podpatrzyli najrozsądniejszą prawą natury. A dalej posiadają reformatorów logiki, oryginalną filozofię nadzwyczajnych poetów w osobach Szekspira i Browna.

Gdy nareszcie przejdziemy do rzeczy spo-

łecznych i wielkich idei humanitarnych, znowu na miejscach naczelnych. Spotykamy tam Anglików. Oni pierwsi wystąpili przeciw niewolnictwu, oni byli apostołami poprawienia losu robotników, kobiet, dzieci, u nich wolność zjednoczyła się z porządkiem a postęp sprzymierzył się z rozsądną zachowawczością.

Będąc tak bardzo i bardzo użytecznymi dla cywilizacji i ludzkości. Anglicy posiadają zasłużony dobrobyt. Jest to naród nie tylko najbogatszy, ale i karmi się najlepiej, mieszka najwygodniej i żyje najdłużej. Mówiąc tak, nie zapominam o proletariatusach angielskich, lecz gdyż nie ma proletariatu a gdzie średni poziom dobrobytu można porównać z angielskim? Nie małą rolę w ich pomyślności odgrywają wszelkie rodzaje sportów. Anglicy należą też do narodów najruchliwszych i najodleglejsze odbywające podróże.

Bardzo zmienim jest fakt, że—ideał człowieka, posiadającego najwyższe zalety: fizyczne, umysłowe, uczuciowe i towarzyskie we wszystkich językach nazywa się „dżentelmenem”. Znaczą, że ten piękny typ urodził się i upowszechnił przedewszystkiem w Anglii...

Bolesnym cierpieniem w życiu i historii angielskiej jest Irlandia... Trzeba jednak pamiętać, że dziś już nie patrzymy na grzech, ale raczej—na pokutę i zadostycuczynienie i że epoka właściwych krzywd, wyrządzanych Irlandii, przypada na czas między XII-tym a XV-tym wiekiem... Bo co się tyczy Indii, znawcy sądzą, że rola Anglików jest tam raczej cywilizatorską, aniżeli dręczycielską i że Indye, zostawione samym sobie, więcej cierpiałyby niż dzisiaj. Przecież to Anglicy dźwigają tam rolnictwo, osuszają bagna, budują drogi, walczą z chorobami i drapieżnikami zwierzętami, usuwają okrutne zwyczaje a szerzą oświatę.

W tem miejscu przypomina mi się ciekawe zdarzenie, opowiedziane, przed kilkoma laty, przez jednego z francuskich pedagogów. Ujmując się za mieszkańcami Madagaskaru, którym narzucano język francuski, pedagog stawiał rodnikom swoim, jako wzór, pewnego angielskiego gubernatora, który, na prośbę murzynów, aby—otworzył im angielską szkołę, odpowiedział:

— Moi drodzy, najpierw poznajcie świat i rzeczy użyteczne w swoim języku a dopiero wówczas pogadamy o języku angielskim...

Oto rzędy ludów!

Godnem uwagi jest zjawisko umysłowe, że w Anglii najmielnsze wolnomyslicielstwo nie osłabiło uczuć religijnych a Biblia należy do niezbędnych przedmiotów. Anglik nie pyta: skąd ona się wzięła? ale—co w niej można znaleźć w ważnych chwilach życia. Rozumię też, dla czego tak często radzą się jej Anglicy. Bo naprzykład, gdy przed chwilą otworzyłem ją, na chibił trafili, aby znaleźć (!) coś dotyczącego Anglików, spotkałem (po prawej stronie y góry, tak się wykonywuje te wróżby) następujące zdanie:

„Gdy co porwie, któż go przymusi, aby przywrócił? Albo któż mu rzecze: co czynisz” (Job, IX, 12). Jest to poważna odpowiedź. A jeżeli Anglicy często znajdują podobne, czy można brać za złe, że i odwołują się do nich?

Wracając do wszechświatowej roli Anglików streścić je można w trzech wyrazach: „oni wyprzedzają Europę”... Wielką rewolucję francuską na półtora wieku wyprzedziła rewolucja angielska. Swobody, które Rosya otrzymała w roku 1905, Anglicy mieli prawie przed siedmiomaset laty, zaś Prusacy w taki sposób dziś prześladowują Polaków, jak to robili dwa, trzy i cztery wieki temu Anglicy z Irlandczykami.

Na szczęście Anglia odkryła dziś nowy sposób rozszerzania swojej władzy: zamiast tępić narody ogniem i żelazem, ofiarowują im autonomię, czego dowody mamy we wszystkich angielskich koloniach. Lecz jak prędko przykład ten zechce naśladować reszta Europy?... Sądję, że termin nie jest odległy i że doczekać go powinni już nasi bezpośredni następcy.

* * *
Stara to prawda, że duch ludzki czy społeczny, aby żyć i rosnąć, domaga się odpowiednich pokarmów, których jest bardzo wiele i w rozmaitych postaciach. Z pomiędzy nich zwróćmy uwagę na jeden, który ma formę książki i zobaczmy: w jaki sposób dokonywa się wielki proces odżywiania ducha społecznego?

Rozumię się, że tak w tym, jak i w każdym innym wypadku, właściwym materiałem odżywczym są—bądź prawdy odkryte przez badaczy, bądź utwory poczęte w duszy artystów. Jest to niby chleb, mięso i wino duszy. Lecz materiały te mogłyby być straconymi dla społeczeństwa, gdyby,

obok badacza i twórcy, nie znalazł się wydawca. Jest on wprawdzie żniwiarzem, który zbiera ziarno rękopisów, przedewszystkiem dla własnej stodołki, ale i jest on, choćby tylko do pewnego stopnia, bodaj czy nie jednym hodowcą płodów literackich!... Wszakże to wydawca, kupując utwory i płacąc za nie autorom, umożliwia im istnienie i pracę.

Od wydawcy, rękopism-ziarno idzie do drukarni, która przerabia go, niby ne mąkę, na wielką liczbę zadrukowanych arkuszy, łatwo dających się czytać i łatwo rozpowszechniać. Arkusze te introligator układa, zeszywa i nadaje im formę książek, a zaś księgarz—owe książki przechowuje na składzie, zaleca publiczności i rozsyła w najdalsze zakątki kraju.

Pojmujemy więc rolę wydawcy i księgarza. Należą oni do grupy pracowników, która—karmi ducha ludzkiego i społecznego. Rolę taką u nas godzi się przyznać—przedewszystkiem firmie Gebethnera i Wolffa, ponieważ w jej rękach zbiegło się kilka bardzo różnych a jednak ściśle związanych ze sobą specjalności. Firma jest nie tylko wydawcą, ale drukarzem i księgarzem a więc przyczynia się: do hodowli rośliny zwanej literaturą, do nadania jej formy dla wszystkich dostępnej i do—upowszechnienia jej w kraju.

Jest to działalność bardzo natężona, jeżeli pomyślimy, że firma wydała z górą 1,500 dzieł i zasypała społeczeństwo przeszło siedmioma milionami tomów!

To już nie ciasny kramik kupiecki, to jakiś centralny organ, skąd rozmaitymi arteriami płyną soki umysłowe po organizmie narodu. Po całym organizmie, gdyż księgarnia wydaje wszelkie rodzaje dzieł i utworów, poczynając od elementarza, książek dla dzieci i podręczników szkolnych, skończywszy na dziełach technicznych, ekonomicznych, religijnych, historycznych. I niema chyba takiej klasy społecznej, dla której nie przygotowywanoby tutaj dzieł jego pokarmu.

Obok rozległej działalności uderza jeszcze jej trwanie. Firma Gebethner i Wolff pracuje od lat 50-ciu. Zaczęła w epoce, kiedy u nas czytano bardzo mało a pisano jeszcze mniej i ciągnęła swoje prace pod brzmieniem wielorakiej cenzury, zanim nareszcie nie doczekała epoki nowej, zdaje się ni-prawdopodobnej, kiedy nie tylko można drukować książki szkolne, ale nawet drukować bez cenzury!...

Tak wielostronna działalność wymagała od kierowników wielu niecodziennych zalet. W każdej chwili trzeba było znać potrzeby i gusta czytelników, wyszukiwać źródła ich zaspokożenia, łączyć stosunki, korzystać z czasu, borykać się z przeszkodami, wybierać współpracowników, dać każdemu właściwe zajęcie. Krótko mówiąc, trzeba było mieć umysł pełen inicjatywy, organizatorski, twórczy a obok tego niezwykłą wytrwałość w pracy i żelazne zdrowie.

Życzę wszystkim instytucjom naszego kraju: ekonomicznym, oświatowym, naukowym, artystycznym, ażeby rozwijały się tak wszechstronnie i takie przynosiły rezultaty, jak—księgarnia Gebethnera i Wolffa.



1907 50

Leży przede mną: „Duch Rewolucjonista— szkice z lat minionych 1905—1907”. Jest to zbiór dziesięciu a właściwie jedenastu rysunków Antoniego Kamińskiego, w których autor przedstawił rzeczy widziane i odczute przez siebie w okresie czasu zwanym: rewolucją.

Mojem zdaniem słówko: rewolucja jest za silne. Zarzutu tego, rozumie się, nie stawiam Kamińskiemu, ale—opinii publicznej, która, rewolucją nazwała, zaledwie, dreszcze rewolucyjne. Rewolucja przewraca wszystko, przez rewolucję, „stary porządek w proch się wali”. W nuszach zaś czasach nic się przewróciło, wszystko stoi na miejscu, przynajmniej z zewnątrz; wewnątrz bowiem niewątpliwie już dokonali się i dokonywują zmiany rozległe a głębokie, choć skutki ich zobaczą dopiero nasi następcy.

Zjawiska więc na które patrzyliśmy, to nie był upadek murów potężnej, starej fortecy, ale coś innego. Mianowicie co?... Był to jakby nowy system uprawiania ziemi, nowy sposób orania.

W niektórych okolicach Ameryki Północnej, gdzie mało jest narzędzi i sił pociągowych a grunt skalisty, twardy, ziemi nie orzą, przynajmniej na pierwszy raz, ale ją, rozbijają zapomocą ładunków dynamitowych. Otóż co podobnego, w dziedzinie stosunków społecznych, zdarzyło się w całym państwie rosyjskiem i u nas. Ponieważ na stopniową, cywilizacyjną uprawę nie było sił ani metod, więc jakaś wyższa potęga zorała ziemię wybuchami, wynawozila krwią i—setki tysięcy „uświadomionych” jednostek rzuciła niki ziarno, z którego kiedyś będą plony...

Jakie plony? Czy może te:

„Bezrządu otchłań krzyczy: Otom żywa! pragnę zatapiać, dławić i gryźć!... Wszystko co długo w procyu się tarzało: duch złości struty, chciwe ceru ciała, zemsta, krwi żądza, nienawiść zaciekle—znowu w świat lecą z czarnej paszczy piekła”...

Nie—zupełnie inne:

„Błogosławiony żywot męznego: co przemożę w sobie zwierzę; duchy w nim goszczą, duchy go strzegą, z duchami ma przymierze... Z tych będąc, którzy o niebie marzą na niskim łez padole, nieodmienioną pozdrawia twarz i dolę i niedolę”.

Taki będzie ostateczny plon wstrząśnień i krwawych posiewów. Daleki od jeszcze, ale kiedyś przyjdzie, przyjdzie powinien...

Zkąd podobne myśli?... Oto ztąd, że na tym samym stole zeszły mi się pod rękę dwa dzieła: „Duch Rewolucjonista” Kamińskiego i „Biały Sztandar” Wiktora Gomułickiego. Rysownik opowiedział mi: co i jak było?... a poeta protestował przeciw faktom i wielkim głosem upominał się o to, co być powinno.

Przedewszystkiem proszę obu twórców, ażeby nie gniewali się, gdy jednemu zmienię porządek obrazów, drugiemu będę wyrwał klejnoty z jego koron i naszyjników. Kamiński dał jedenaście obrazów, które można ułożyć prawie w 40 milionach porządków; więc rozumie się, każdy wybiera ten, jaki mu najlepiej przypada do usposobienia. I znowu na mocy tego samego prawa, wybiorę z „Białego Sztandaru” nie koniecznie to, co jest najpiękniejsze i skończone, ale raczej to, co, w mojem poczuciu, najlepiej odpowiada jakimś obrazowi.

Do owej strasznej orki i do krwawych powiewów, trzeba było najpierw zebrać materiał i narzędzia; więc otóż mamy: „Wiec dzieci”, chłopców po lat kilkanaście. Jedni wykrzykują hasła, drudzy słuchają, inni już umawiają się po cichu, albo rozsyłają malców na jakieś stanowiska.

„Od poczęcia, od kotłyski, my Polacy, knujemy spiski. Spiskujemy w życia wiosnie i gdy bólem duch urośnie i gdy zima nas ubieli i w śmiertelnej ach! pościeli... Spiskujących krąg olbrzymi splótł się nawet z umarłymi... Iluż takich wśród nas gości, których dawno słały kości... Jeśli zowie się tu winą: kochać Markę swą jedyną... Jeśli za grzech się tu liczy, gdy nie pragnie kto zdobyć, czci praoców święte kości, wzdycha w klatce do wolności, to wśród Polskiej dziś krainy, nikt bez grzechu! nikt bez winy!...

Robota idzie dalej i do tłumu przemawia; „Trybun uliczny”...

„Grzmotem i błyskawicą przyzywa duma, a jej śladem kto pójdzie, wiry go pochwyca i strach z obliczem bładem... Chciwość płomiennooka wabi za sobą łupów blaskiem, by potem strącać tych z wysoka, co za nią biegli z wrzaskiem... Tam niekiedy można było usłyszeć o „zgniłej Polsce” i o tem, że „biała gęś polska” jest ptakiem drapieżnym...

Była wprawdzie jakaś próba zażegnania wałk wewnętrznych zapomocą obchodu narodowego, pierwszy raz: „45 lataah”...

„Kogóż niema międzz nami! Spiskujemy z prostaczkami, z biedą którą płodzi miasto i z dziecięciem i z niewiastą, z braćmi których tłum pośpiesza od kowadła, od lemiesza i z fabryki i z kantoru, i ze sklepu i z klasztoru... Więc gdy karać, to kraj cały, tak przewrotny i zuchwały, że się sobą być odważa, bóstw swych nie chce zdjąć z ołtarza”...

Ta jednak manifestacja, w której przeważali ludzie starsi a nawet starcy, przepłynęła spokojnie jak szeroka rzeka, ale nie wchłonęła w siebie ani ciągle przybierających i coraz gwałtowniejszych potoków, ani ledwie dostrzegalnych, prawie podziemnych strumieni,

Oto jeden z nich: „Propaganda”. Młody człowiek w odzieży zbiedzzonej, jakby nocował w przytułkach, albo świeżo opuścił więzienie, coś wyklada młodemu żołnierzowi. Obie twarze piękne, inteligentne, podobne jak rodzonych braci... Apostoł skupiony w sobie, żołnierz zastuchany... Ale co on zrobi: czy pójdzie zginać na „Potemkinie”, czy... propagandzistę pchnie bagnetem?... to jeszcze nie wiadomo...

„Na mojej lutni—szepce apostoł—są różne strony, i gdybym chciał, zagrzmiaby tu zaraz pioruny, dreszcz budząc pośród dusz i ciał; i wzbiliaby się pieśń szalona, pieśń żądna mordu, pieśń czerwona, a orłów, sępów, kruków chór zakrakaby jej wtór: na bój! na bój!”

Materiał już zebrany, narzędzia zwieziona, więc i zaczyna się „krwawa orka” p. t. „Bomba”. Ludzie, konie, wozy, okna, dym i ogień wszystko tworzy jeden chaos... Na ulicy padają kobiety i dzieci, a co na tem zyskała wolność? jeszcze nie wiadomo. Zresztą—gdzie drwa rąbią, tam wióry leżą. Sprawcy uchodzą z pośpiechem, a jeden ogląda się: czy: czy skutek odpowiedział zamiarowi.

Napróżno ostrzegał poeta: „Raczej pierś podaj na przebicie i z serca kulom uczyni cel, niżbyś po cudzie miał iść życie i krwawił ducha twego biel. Raczej bądź oplwan i bądź zbity, jako u słupa Człowiek-Bóg, niżbyś przez klątwy i przez zgrzyty świadczył, żeś bratu twemu wróg”...

„Brat” jednak nie zawsze zasługuje na miłość; świadczy o tem trzeciorzędna restauracyjka, pełna robotników, z których jeden coś rozprawia podпиты, a drugi... słucha... Tytuś: „Szpieg”. Wnet po tym następuje inny obraz p. t. „Braugning”, na którym jacyś ludzie, rozstrzelują „braci”...

„Ty drżysz?... To rzecz nie męska! Dziś trzeba być żelazem. Cóż, że przyjdzie może klęska? Tryumf przyjdzie może razem!...—Drzę i bezmierna twoga w łód krew mi w żyłach ścina—lecz znajduję mir u Boga przez dreszcze Jego Syna!...Mnie straszy krew przelana, straszą niszczące moce, i padam na kolana i bez snu spędzam noce”...

Im dalej w przyszłość, tem posępniejsze widoki. Oto chwila, w której prąd narodowy start się z prądem klasowym... Tłum... pięście... kije... noże... trupy... Jedne kobiety uciekają w najwyższym przerażeniu, inne oplakują... Jest to „Walka bratobójcza”...

„—Ocal mi Panie męża! — Ocal mi Panie syna!—Niech tamtych śmierć pościna, mój zawsze niech zwycięża! — Naszym tryumfy! Im skon!... A na skrwawionej ziemi nad temi i tamtymi po-grzebnym wciąż bije dzwon”.

Orka skończona, zaczyna się—bronowanie. W „Wymarłem mieście” na pierwszorzędnej ulicy, ani jednego przechodnia. Okruchy szyb, zrujnowane kioski i latarnie, długi sznur jezdnych, sztyldwach, stojkowy... oto wszystko, co zostało z pochodów i wieców!...

„Nie przez tryumfy, nie przez wygody, ani przez Sztuki wonne ogrody, Bóg do swych celów wiedzie narody. On im się czasem uniżył każe, ze śliny wrogów ocierać twarz, widzieć burzone bóstw swych ołtarze”...

Dlaczegoż to ulice puste?... gdzie podzieli się ich mieszkańcy?... Ha, bo jedni siedzą w więzieniach, a inni i inne idą w „Odwiedziny do więźniów”...

„O! jak Miłość się krząta! Od świtu, aż do nocy próżni każdego kąta zapelnia z wszystkiej mocy; ziarno zbiera do ziarna, z sercem zespala serca... A Nienawiść co czyni? Złością kipiąc już zdala, ja żnący dech pustyni serca ludzkie wypala”...

Wielki, wielki tłum idzie w „Odwiedziny do więźniów”... Ale bo i więźniów jest mnóstwo i potrzeb otchłań... Niema bielizny, niema herbaty, niema światła, niema nawet...pasków do podtrzymywania kajdan!...

A w domu, w rodzinach więźniów, nie lepiej, jeżeli nie gorzej. Kiedy po paru dniach głodu pewnemu chłopczykowi matka dała kawałek chleba odpowiedział z płaczem:

— Moja mamó, ja nie mogę jeść, bo się wn mnie wszystko zeschnęło...

A przecież więzień polityczny, to ów krwawy posiew, z którego wyrosnie kiedyś „Błogosławiony żywot męznego, co przemożę w sobie zwierzę; duchy w nim goszczą, duchy go strzegą, z duchami ma przymierze”...

Już koniec?... Jeszcze nie. Jeszcze została okładka. Gdzieś daleko, w kopalni, strasznie znudzony taczkarz zwał się na ziemię i oparł głowę na krawędzi tacek zemdlony, czy konający. A w głębi, pożar, który ma zmienić „w proch dawny porządek świata” i—tłum, wielki tłum ze sztandarami i pieśnią. Ale ani jeden z owego tłumu nie pomyśli, że może byłoby lepiej, zamiast grozić i palić, może byłoby lepiej—zbliżyć się do omdlałego, opatrzyć jego rany, nakarmić go, napoić i, choć trochę dopomódz...

Nikt z demonstrantów nie mówi z poetą: „Nie zapomniemy o was, smute leśne groby; nie zapomniemy o was, chmurne dnie żałoby; nie rzucimy za siebie szat znoszonych czerni; nie rzucimy za siebie z wieńców naszych cierni... Ale weźmiemy rozbrat z sercem jadowitem; ale weźmiemy rozbrat ze złością i zgrzytem: ale się odżegnamy od zemsty płodzenia; ale się odżegnamy od krwi i płomienia”.

Pomimo to z poza posępnego obrazu wy-
stają się słotele...

Oto wagi, jakie napłynęły mi, przy oglądaniu rysunków Kamińskiego przez pryzmat poezji Gomułickiego. Nie użytkowałem ani setnej części, ale, każdy czytelnik uzupełni to, co własnych uczuć i poglądów.

100 x 1 000
100 x 1 000



190

W chwili, kiedy to pismem, los anto-nolskich ustaw w parlamencie niemieckim i pruskim jeszcze nie został rozstrzygnięty. Wprawdzie opinia publiczna całej Europy (a przynajmniej gazet) oburzyła się na rząd pruski a nawet uczciwe żywioły w Niemczech protestują przeciw bandyckim projektom ks. Bülowa; byłoby jednak nadmiernym optymizmem wyobrażać sobie, że projekty owe nie zostaną zatwierdzone...

Żadne z państw europejskich nie poświęciło by jednego grosza i jednego naboju dla ocalenia choćby całej Polski i choćby nawet od rzezi. Przedewszystkiem zaś nie zrobi tego Austria, która słuszenie obawia się potępi Niemiec, ani Rosya, która — według zapewnień jakiegoś niemieckiego dyplomaty — poczułaby się obrażoną i zaniepokojoną, ale dopiero wówczas, gdyby Prusacy zaczęli... protegować Polaków... A i Niemcy nie ujmą się za rabowanymi, ponieważ prąd humanitarny w obec nacjonalistycznego, jest tam dzisiaj zbyt słaby, a opinia publiczna niemiecka była oszukiwana i została oszukana przez hakatystów...

W szerokich kołach niemieckich — pisze pewien Niemiec — wszyscy są przekonani, że Polacy naprawdę zamierzają oderwać się od państwa przy pierwszej sposobności... Bardzo poważni i wysoko postawieni dostojnicy mówili mi: Polacy są zupełnie przygotowani do rewolucji; wszystkie teki ministerialne rozdzielił między siebie, potworzyli kardy wojskowe...

I czy podobna dziwi się, że jakiś rolnik, rzemieślnik albo kramarz niemiecki truchleje na myśl o polskiej armii ciągnącej do Poznania i Berlina, jeżeli „poważni dostojnicy” mówią o kardach wajskowych i tekach ministerialnych?...

Że w Polsce mogła znaleźć się grupa figlarzy, imaginujących sobie, iż na starość zostaną ministrami, w tem nie byłoby nic nadzwyczajnego. Wszakże bawimy się w „kotka i myszkę”, nawet w „pana pastora”, więc dla czego nie mielibyśmy wynaleźć nowszej i zabawniejszej gry — w „pana ministra”?... Alboż głuchy nigdy, a nigdy w świecie nie bywali ministrami?... Ale, ażeby istniały „kardy wojska polskiego”, to już jest bajka. I ażeby ktoś wyobrażał sobie, że 20 milionów Polaków, zorganizowanych w państwo, mogłoby stoczyć zwycięską wojnę z 60-ma milionami Niemców, których obawia się cała Europa, to — przepraszam — ale takich głupich w naszym kraju nie ma... I z tego powodu bystrości umysłowa „poważnych dostojników” niemieckich wierzących w podobne brednie, przedświata mi się w bardzo posępnych kolorach... Można być dostojnikiem i można być naiwnym, ale przecie już nie do tego stopnia!

Bądź co bądź, denuncjacje rozmaitych pism i pisemek niemieckich, których z polskiej strony nikt nie obalał, denuncjacje te wywołały pożądany skutek. Niemcy, nawet uczciwi, są zatrwożeni „polskiem niebezpieczeństwem”, więc uchwały antypolskie w obu parlamentach przejdą. Chyba... Chyba, że ks. Bülow i Ska nie myślą naprawdę o przeprowadzeniu tych uchwał, lecz pragną, za pomocą swoich nadzwyczajnych projektów, wywołać w Niemczech i w Europie wielki hałas, który pomógłby im do... zatuszowania pewnych nieprzyjemnych faktów... Zawsze to lepiej, ażeby parlament pruski i niemiecki pogadali o „intrydze polskiej”, aniżeli, na przykład, o procesie hardenowskim... Przypuszczenie to jednak jest zbyt mało prawdopodobne, więc lepiej odrazu powiedzieć sobie, że w samej rzeczy chodzi o dalsze dręczenie i osłabianie Polaków, którzy jakoś nie mogą skonać, choć od stu lat pracując nad tem nieutuleni w żalu daedzice ich posiadłości.

Dwie są nowe ustawy, które rząd państwa bojaźni Bożej i dobrych obyczajów przedstawił parlamentom. Jedną, wszechniemiecką, ma na celu utrudnić Polakom obrady zbiorowe, co, na ich rozwój społeczny, zapomocą nakazu używania w czasie wieców tylko języka niemieckiego, a w żadnym razie polskiego. Zaś druga ustawa chce Polaków pruskich wysadzić w powietrze, pozbawić ich ziemi, zapomocą wywłaszczenia: „dla dobra narodowości niemieckiej”.

„Potrzebę” obu ustaw przedstawiciele rządu tłómaczą w prosty sposób. „Proszę panów — mówi sekretarz stanu w parlamencie — abyście ten paragraf (o języku niemieckim na zebraniach) rozważyli bezstronnie i bez namietności. Jesteśmy państwem narodowym nie zaś narodowościowym. Szanujemy i cenimy naszą ludność pograniczną, bez względu czy to są Polacy, Francuzi, Duńczycy, Wendowie czy Mazury, jeżeli tylko pracują wraz z nami nad dobrobytem ludu niemieckiego. Mamy język niemiecki w armii i sądach; mową

urzędową władz, urzędników, ciał politycznych i gmin jest język niemiecki. Po niemiecku mówi się we wszystkich sejmach i w parlamencie. Czyżet jest stanem wyjątkowym, jeżeli niemieckie prawo o stowarzyszeniach jako regułę ustanawia, że Niemiec zwracając się publicznie do Niemca, winien mówić po niemiecku?”

Ciekawą jest ta mowa sekretarza stanu, którą „prawica przerywała oklaskami”. Z utworu tego dowiadujemy się dwu rzeczy: 1-mo. Że „ludności pograniczne” są o tyle „szanowane i cennie”, o ile razem z rządem „pracują nad dobrobytem ludu niemieckiego”. 2-do. Że p. sekretarz stanu w mowie politycznej nie waha się posługiwać... figlami, które w logice noszą nazwę sofizmatów a w życiu codziennym — oszukaństw...

Co do pierwszego. Więc w państwie niemieckim „ludność pograniczna” o tyle jest cenniejsza, o ile „pracuje dla ludu niemieckiego” — razem z sekretarzem stanu i innymi ministrami. Do tej pory wszelka ludność miała obowiązek pracować naprzód — dla siebie, potem — dla państwa placąc podatki i odbywając służbę wojskową. Dzisiaj jednak dowiadujemy się, że „ludność pograniczna” może — nie pracować dla siebie ale za to ma obowiązek pracować dla „dobrobytu ludu niemieckiego”, jak na przykład pracując konie i woły dla swoich właścicieli... Praca ta ma dokonywać się „razem z nami” t. j. z rządem, z tą małą różnicą, że rząd, za swoją miłość i poświęcenia dla ludu niemieckiego dostaje wysokie pensje, tytuły, przywileje i t. p., zaś ludność pograniczna — musi jeszcze dopłacać i to nawet wówczas, gdy chodzi o zebranie funduszu na wydzierżawienie jej własnej ziemi!...

Co do drugiego. P. sekretarz stanu przemawiając do parlamentu niemieckiego, robi następujący figiel dyalektyczny. Gdy chodzi o „pracę dla ludu niemieckiego”, wówczas „ludność pograniczna” nazywa się Polakami, Francuzami, Duńczycami i t. d., jeżdy gdy chodzi o — szkoły, sądy, urzędy gminne i t. d., wówczas owi Polacy, Francuzi i im podobni nagle — gdzieś znikają, na ich zaś miejscu, nie wiadomo, skąd ukazują się... Niemcy... Niemiec zaś, zwracając się publicznie do Niemca, winien mówić po niemiecku!...

Nie prawdaż jakie to proste?... Oto mamy kanarkę — mówi jarmarczny magik. — Kanarek zamienił się w chustkę od nosa a więc... można ocierać nos kanarkiem! I na podstawie takich „dowodów” parlament niemiecki zatwierdził prawo o języku na zgromadzeniach.

Uspokujmy się jednak, to tylko z wierzchu wygląda niedorzecznie. W głębi bowiem jest to rozsądne nade wszystko praktyczne... „Potężni przemysłowcy w Westfalii i nadrenii, załudniwszy zagłębie węglowe robotnikami polskimi, obuwiają się rozwoju ich organizacji zawodowych... Ażeby więc tego „rozwoju” nie dopuścić, ażeby w państwie, niby konstytucyjnym, we środku Europy, posiadać setki tysięcy bezbronnych niewolników, wprowadza się ustawę językową. „Ludność pograniczna będzie pracowała dla dobrobytu... przemysłowców niemieckich”, ale skarżyć się na wyzysk i ucisk, ale napadzać się nad swoją nędzą nie będzie mogła. Nie z powodu braku wolności konstytucyjnej, lecz w imię zasady, że — sprawach publicznych „Niemiec do Niemca tylko po niemiecku może przemawiać”...

Idźmy dalej. Ustawa o wywłaszczeniu jest jeszcze prostsza. Każdy polski majątek, duży czy mały, może być kupiony przez komisję kolonizacyjną, jeżeli uzna się to za potrzebne. Wprawdzie do tej pory, nie kupowało się tego, czego właściciel nie chciał sprzedać, kupno bowiem przymusowe byłoby pogwałceniem „świętej i nieetykalnej zasady własności” która, jak wiadomo, jest podstawą cywilizacji. Dziś jednak odkryto zasadę jeszcze świętszą i jeszcze nieetykalniejszą mianowicie: sławę i potęgę państwa pruskiego czyli interesu i poglądy tej grupy osób, która niemi rządzi.

Ustawa więc wywłaszczeniowa, w języku stosunków codziennych, wygląda tak. Do tej pory na przykład ks. Bülow mógł sprzedać odzienie swoje tylko wówczas, gdy sam uznał to za potrzebne, lecz dziś sprawa ta przepostawia się inaczej. Dziś można będzie, ks. Bülowowi zastąpić drogę na ulicy i oświadczyć:

— Życzę ciem sobie kupić pańskie... dolne ubranie.

— Kiedy ja go nie sprzedam — odpowie ks. Bülow.

— Musi pan...

— Na mocy jakiego prawa?... — pyta książę.

— Na mocy tego, że ja mam brauning a pan go nie ma. Brauning zaś znaczy to samo, co komisja kolonizacyjna.

— Ale komisja kolonizacyjna w nabywaniu polskich majątków ma obowiązek działać oględnie... — mówi książę.

— Ja też będę działał oględnie i zamiast zedrzeć z pana... dolne ubranie, zdejmę je w sposób najwygodniejszy. Oto ławka, proszę usieść...

Jestem pewny, że ks. Bülow w podobnym położeniu utyskiwałby na niesprawiedliwość; Polakom jednak robić tego nie wolno. Według bowiem opinii niejakiego p. Wagnera, Polacy nie mają prawa do sprawiedliwości, według zaś poglądów innego „wszechniemca, Polaków, jeżeli będą się zanadto opierali, można zabijać jak psy”...

A ty, szanowny panie, czy należysz do takich psów, których zabijać nie można? To bardzo dziwiłoby mnie, ponieważ wiadomo, że — gdy raz zerwie się z przesądem zwanym etyką, to już wszystko można robić ze wszystkimi i wobec wszystkich...

Człowiek, z natury swojej, zdaje się należeć do zwierząt bardzo kolczastych; jego zaś kolce są nie tylko twarde i ostre, ale jeszcze i jadowite. To też w owych odległych czasach, kiedy ludzie nie nakrywali się żadnymi „prawami”, kiedy wyłącznie panowała siła, ich kolce, wszystkim dawały się we znaki nie tylko osobnikom pospolitym, ale nawet sekretarzom stanu i kanclerzom, nie wspominając o innych dostojnikach.

Ażeby tedy zmniejszyć ilość cierpień i niebezpieczeństw związanych z walką powszechną, z walką wszystkich przeciw wszystkim, poczęto owe ostre i jadowite kolce ludzkie — odziewać rozmaitemi koldrami, poczęto obmyślać uczciwe prawa i — przyzwyczajając ludzi, ażeby je spełniali. Więc życie praktyczne mówiło: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło”... Więc prawo nakazywało szanować nie tylko miennie i ciało, ale nawet godność ludzką... Więc efekta uczyła: „postępuj tak, ażeby czyny twoje mogły się stać wzorem dla postępowania wszystkich”, więc wreszcie religia wołała wielkim głosem: „kochaj bliźniego jak siebie”!

Wprawdzie pomimo tylu przepisów, tylu koldrów osłaniających drapieżność ludzką, tu i owdzie wylazł jakiś kolce i ranił sąsiadów; na ogół jednak liczba cierpień zadawanych człowiekowi przez człowieka — zmniejszyła się... Życie stało się bezpieczniejsze, obok cierpienia pojawiła się radość, obok egoizmu — poświęcenie... A wszystko to zawdzięczało się owym koldrom, które cywilizacja — przykrywała jadowite kolce ludzkiego rodzaju.

Dziś zaczyna się nowa era: państwo pruskie uznało, że siła powinna stać przed prawem, że tylko kolce mają wagę na tym świecie, nie zaś kolderki. Właśność — głupstwo! dusza ludzka — głupstwo!... Ważnym jest tylko — interes państwa pruskiego, które ma bardzo duże kolce...

Tak wygląda najnowsza recepta na wszechludzkie dolegliwości a skutki jej powinniśmy niebawem zobaczyć, jeżeli nie my sami, to niezawodnie nasi najbliżsi następcy.



Nowy Tygodnik

Nr 51

Warszawa, 21 grudnia 1907 r.

CHWILA BIEŻĄCA

BOLESŁAW ŚMIAŁY STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO NA SCENIE WARSZAWSKIEJ. Fot. J. Gólcz

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

W chwili, kiedy to piszę, los ustaw ant-polskich w parlamencie niemieckim i pruskim jeszcze nie został rozstrzygnięty. Wprawdzie opinia publiczna całej Europy (a przynajmniej gazet) oburzyła się na rząd pruski, a nawet uczciwe żywioły w Niemczech protestują przeciw bandyckim projektom ks. Bülowa; byłoby jednak nadmiernym optymizmem wyobrażać sobie, że projekty owe nie zostaną zatwierdzone...

Żadne z państw europejskich nie poświęci jednego grosza i jednego naboju dla ocalenia choćby całej Polski i choćby nawet od rzezi. Przedewszystkiem zaś nie zrobi tego Austria, która — według zapewnień jakiegoś niemieckiego dyplomaty — poczułaby się obrażoną i zaniepokojoną, ale dopiero wówczas, gdyby Prusacy zaczęli... protegować Polaków... A i Niemcy nie ujmą się za rabowanymi, ponieważ prąd humanitarny wobec nacjonalistycznego jest tam dzisiaj zbyt słaby, a opinia publiczna niemiecka była oszukiwana i została oszukana przez hakatystów...

„W szerokich kołach niemieckich — pisze pewien Niemiec — wszyscy są przekonani, że Polacy

naprawdę zamierzają oderwać się od państwa przy pierwszej sposobności... Bardzo poważni i wysoko postawieni dostojnicy mówili mi: Polacy są zupełnie przygotowani do rewolucji; wszystkie teki ministerjalne rozdzielili między siebie, potworzyli kadry wojskowe”...

I czy podobna dziwić się, że jakiś rolnik, rzemieślnik albo kramarz niemiecki truchleje na myśl o polskiej armii, ciągnącej do Poznania i Berlina, jeżeli „poważni dostojnicy” mówią o kadrach wojskowych i tekach ministerjalnych?...

Że w Polsce mogła znaleźć się grupa figlarzy, imaginujących sobie, iż na starość zostaną ministrami, w tem nie byłoby nic nadzwyczajnego. Wszakże bawimy się w „kotka i myszkę”, nawet w „pana pastora”, więc dlaczego nie mielibyśmy wynaleźć nowszej i zabawniejszej gry — w „pana ministra”?... Ale, ażeby istniały „kadry wojska polskiego”, to już jest bajka. I ażeby ktoś wyobrażał sobie, że 20 milionów Polaków, nawet zorganizowanych w państwo, mogłoby stoczyć zwycięską wojnę z 60-ma milionami Niemców, których obawia się cała Europa, to — przepraszam — ale takich głupich w naszym kraju nie-

ma... I z tego powodu bystrość umysłowa „poważnych dostojników” niemieckich, wierzących w podobne brednie, przedstawia mi się w bardzo posępnych kolorach... Można być dostojnikiem i można być naiwnym, ale przecie już nie do tego stopnia!

Bądź co bądź, denuncyacje rozmaitych pism i pisemek niemieckich, których z polskiej strony nikt nie obalał, denuncyacje te wywołały pożądany skutek. Niemcy, nawet uczciwi, są zatrwożeni „niebezpieczeństwem polskiem”, więc uchwały antypolskie w obu parlamentach przejdą. Chyba... Chyba, że ks. Bülow i Ska nie myślą naprawdę o przeprowadzeniu tych uchwał, lecz pragną, za pomocą swoich nadzwyczajnych projektów wywołać w Niemczech i w Europie wielki hałas, który pchnęłby im do... zatuszowania pewnych nieprzyjemnych faktów... Zawsze to lepiej, ażeby parlament pruski i niemiecki pogadał o „intrydze polskiej”, aniżeli, na przykład, o procesie hardenowskim... Przypuszczenie to jednak jest zbyt mało prawdopodobne, więc lepiej odrazu powiedzieć sobie, że w samej rzeczy chodzi o dalsze dręczenie i osłabianie Polaków, którzy jakoś nie





BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jak każdy wyrobnik, mający do czynienia z farbą drukarską, i ja niekiedy odbieram listy od czytelników. Są one bardzo rozmaite pod względem treści i formy. Jedne mówią o sprawach osobistych, inne o społecznych, niekiedy o abstrakcyjnych. Ten wypowiada swoje poglądy, tamten kłóci się z kronikarzem, ów zapytuje, a inny skarży się... Na niektóre trudno cokolwiek odpowiedzieć a znowu inne chciałoby się drukować żywcem...

Rozumie się, o użytkowności wszystkich korespondencji od czytelników, w piśmie wychodzącym raz na tydzień, nie może być mowy. Więc od czasu do czasu użytkowuje się tylko niektóre z nich, a i te muszą czekać, dopóki nie znajdzie się odpowiednie dla nich otoczenie, nie znajdzie właściwa chwila. W taki na przykład sposób zostały użytkowane listy włościan o stosunku tak zwanych „chłopów“, do tak zwanej „szlachty“.

Po tem wyjaśnieniu, proszę łaskawych czytelników, którzy odzywając się w ważnych sprawach, żądają odpowiedzi w kronice, proszę ich, ażeby byli cierpliwymi. Każdą myśl obchodzącą ogół a uczciwa i praktyczna, doczeka się takiego nastroju społeczeństwa, czy takiego układu wypadków, że musi wypłynąć na wierzch w tem czy owem piśmie, w taki czy inny sposób, słowem, musi dojść do wiadomości ogółu.

„Przed paroma miesiącami, skarży się jeden z korespondentów, pisałem do redakcji *Tygodnika*, z prośbą o wskazanie mi dwóch adresów: 1-mo Zakładu S-tej Kingi w Warszawie, 2-do p. A. Carnegie, głośnego miliardera i filantropa amerykańskiego, ale, do tej pory nie otrzymałem odpowiedzi“...

Zdaje mi się, coś przeczuwam, że szanownemu korespondentowi podstawił nogę ów „miliard“... Jest prawdopodobne, że referent, przeczytawszy pytanie o adres magnata, rzekł do siebie: —No, już takimi interesami nie będziemy się zajmowali!... i, rzucił list do kosza, a wraz z listem i pytanie o Zakład S-tej Kingi...

Pomimo to, jak przekona się szanowny korespondent i dla jego listu nadszedł czas odpowiedzi“...

Małe zboczenie. Dobra czy zła dola narodów odbija się w gustach opinii publicznej, w tem, czem ona zajmuje się, a co jest dla niej obojętne. Tak na przykład Paryżanie gorączkują się samochodami. Dlaczego?... Bodaj czy nie dlatego, że we Francji istnieją najznakomitsze fabryki tych machin. Anglicy znowu przepadają za żeglarsstwem, bodaj czy nie dlatego, że morza oblewające ich ojczyznę zmusiły do rozwijania zdolności żeglarskich i stworzenia znakomitej marynarki.

My zaś nie zapalamy się ani do samochodów, ani do okrętów, ani do wyścigów samochodami, ani do pływania po morzach, ponieważ nie posiadamy nie tylko własnej marynarki, nie tylko znakomitych fabryk samochodów, ale nawet, takich dróg, po których samochody mogłyby jeździć bez wielostronnego niebezpieczeństwa.

Wszystko to jest jasne. Proszę jednak powiedzieć: dlaczego my tak mało zajmujemy się nauczycielami? Dlaczego nie obchodzi nas ani ich byt materialny, ani ich starość, a bardzo mało ich stopień ukształcenia i zasady etyczne. Jednym tylko interesujemy się, ażeby, o ile można tanio płacić za lekcje i, jak najskrupulatniej rachować godziny opuszczone, choćby nie był temu winien nauczyciel...

W początkach cywilizacji, kiedy zaczynały organizować się społeczeństwa, w każdym narodzie były trzy urzędy prawie święte: wódz, kapłan, nauczyciel. U Żydów, którzy są bardzo rozważni i Chińczyków, którzy zdają się być jeszcze poważniejsi, stan nauczycielski cieszy się, może tylko w reorii, bodaj czy nie najwyższym szacunkiem. Sokrates, Platon, Arystoteles, toż to byli nauczyciele naprzód Greków, a następnie całej ucywilizowanej ludzkości.

Nawet i dziś są kraje, w których nauczyciel bardzo wysuwa się naprzód. W Szwajcarii, Szwecji, w Stanach Zjednoczonych, nawet we Francji nauczyciel jest kamieniem węgielnym wolności i cnót obywatelskich. A czterdzieści lat temu istniało w Europie przysłowie, że to pruski baka-larz zwyciężył pod Sadową!...

Więc dlaczego u nas tak mało zajmujemy się „nauczycielem“, choć często i z namaszczeniem powtarzamy wyraz: „szkoła“; jakgdyby szkoła bez nauczyciela nie tylko martwym budynkiem, a nauczyciel jej motorem poruszającym, jej duszą?...

W tem zaniedbaniu, w tej obojętności dla stanu nauczycielskiego odbija się historia nieszczęść naszego narodu. W imię czego mógł on czcić nauczyciela stawiać go obok kapłanów i wódzów, jeżeli ten nauczyciel albo był swoim, lecz niewolnikiem, albo obcym i wrogiem, urzędnikiem śledczym, stępem, który na mózgach dzieci wybił wyrazy obcego słownika i paragrafy przepisów, nie mających związku z prawdziwą wiedzą.

Stan ten, wywołany przed 50-letnią rusyfikację, ciąży nad nami do dziś dnia i wywołuje gorzkie skargi pokrzywdzonych.

„Jestem nauczycielką nie tylko dla chleba, ale z powołania a nawet ze krwi i kości, ojciec mój bowiem także był nauczycielem elementarnym... Gdy mnie 18-to letnią wówczas dziewczynę zawiózł na pierwszą posadę gdzie było 80-ro dzieci, płakał nademną, że skazuję się na taką ciężką pracę. Ale wspierana łaską Bożą wytrzymałam i jeszcze obecnie nie straciłam energii, pomimo 16 lat zajęć w szkole. A gdyby która z moich córek poczuła w sobie zapal nauczycielski, nie będę stawiała przeszkód, bo jestem pewna, że nauczycielswo, tylko na zamiłowaniu oparte, przynosi prawdziwy pożytek ołoiwici“!

Jak widzimy, autorka listu obowiązki swoje pojmuje bardzo wysoko. Lecz pomimo zamiłowania, nie jest szczęśliwa.

„Co nużej boli, to jakieś niesłuszne uprzedzenie społeczeństwa (a nawet pism!) do ludowych nauczycieli, tem gorsze, że sąd o nich wydają ludzie, którzy nigdy nie widzieli szkoły początkowej. Teraz na przykład ciągle można słyszeć: to szkoły moskiewskie!... Skoro jednak wykład jest w języku rodzinnym, skoro otwarcie można uczyć historii Polskiej, gdzież tu „moskiewszczyzna?“... Mogą powiedzieć niektórzy, że trudno dziecku, osobliwie w początkach, uczyć się dwu języków. Ale i to przewidziała instrukcja, gdyż wymaga, ażeby dopiero po kilku tygodniach nauki w języku ojczystym wprowadzić język rosyjski. Któż jednak może przyczepić się do nauczyciela, jeżeli ten uważa, że i po kilku miesiącach nie można wprowadzać nauki języka rosyjskiego, ponieważ dzieci niedostatecznie są obeznane z nauką czytania i pisanja po polsku?“

Nad głosem tym warto pomyśleć,—bo jak píše autorka:—„zawód nauczyciela jest tak ciężki, że bez odrobiny zachęty ze strony społeczeństwa siły ustaju i energia słabnie“...

Niechże w Pani i jej kolegach energia nie słabnie. Dzisiejszy nastrój społeczeństwa w stosunku do nauczycieli jest tylko nieszczęsną spuścizną po tych bardzo... bardzo niedawnych czasach, kiedy szkoła była rodzajem zakładu karnego a nauczyciel dozorcą, jeżeli nie czemś gorszym... W miarę jednakże, jak zacznie rozwijać się naturalna oświata polska, sympatya ogółu zwróci się do nauczycieli i z każdym rokiem będzie lepiej: będzie więcej szacunku i miłości.

Inny nauczyciel ludowy nie skarży się; on przedewszystkiem żąda adresu S-tej Kingi.

Żąda zaś nie przez pustą ciekawość, lecz — „pragnie bliżej zapoznać się z warunkami działalności nowego zakładu, aby nieść radę rodzicom tych dziewcząt, które z naszej okolicy wyjeżdżają do Warszawy szukać szczęścia w służbie. Że zaś wiele z nich wchodzi na manowce, przeto pragnęłam skierować te, które zechcą, wprost do Zakładu, któryby wywierał na nie wpływ dobroczynny i dostarczał krejowi ludzi polerowanych“.

A co, jaki nauczyciel ludowy?... I nie kochać takiego?... Zakład zaś S-tej Kingi, jeżeli nie zawiodła mnie pamięć, mieści się przy ul. Marszałkowskiej Nr. 81 A.

Ten sam przyjaciel ludu chciał pisać list do... Carnegie'go o udzielenie mu 2,000 rubli, albowiem pragnął — „na szkolnym gruncie urządzić coś w rodzaju stacyi doświadczalnej, któraby zupniła wieśniaków z ulepszoną uprawą zbóż, nieznanych im roślin, z prowadzeniem racjonalnego płodozmianu, z użyciem sztucznych nawozów, z ogrodnictwem i pszczelnictwem“...

Adresu amerykańskiego filantropa nie znam. Ale miły Boże! jakież to smutne warunki kraju, jeżeli nauczyciel ludowy, chcąc zaszczerpieć, cywilizację w swojej okolicy, uważa za konieczne odwoływać się do pomocy aż zaoceanowych dobroczyńców...

Niekiedy troska o dobro publiczne ze strony nauczycieli przybiera formę ofiarności niezwykle hojnej. Słyszałem np. o szkole, której nauczyciele nie tylko oddają na wpisy 5 procent swoich pensyi, co czyni 570 rubli rocznie, ale jeszcze w klasie piątej, szóstej i siódmej... wykładają darmo, co przedstawia sumę 3,600 rubli... Oto arystokracja ducha!...

A teraz może czytelnik radby dowiedzieć się: jakie jest materialne położenie tych „magnatów“, a dalej, jak wygląda ich starość?...

Od pięciu lat istnieje w Warszawie „Kasa oszczędnościowo-żupomogowa nauczycieli i nauczycielek prywatnych chrześcijan“, której obroty nie przekraczają 38,000 rubli rocznie, ale która wspomaga 41 weteranów-nauczycieli, którzy całe życie poświęcili nauczaniu, pod koniec znaleźli się bez łyżki strawy i dachu nad głową.“

„Ażeby mieć pojęcie o nędzy tych ludzi—píše łaskawy korespondent—wystarczy przyjść w początkach każdego miesiąca do lokalu Kasy, i zobaczyć procesy nieszczęśliwych, którzy w upokorzeniu przychodzą po kilkorublowy zasiłek.“

Członkowie Komitetu niejednokrotnie odnawiali swych obecnych pensjonarzy w komórkach pod schodami, na barłogu, przyhamietych przez litościwych stróżów. (A tak lubimy wymawiać „podwórzowym cerberom“ dawane im dziesiątki za otwieranie bram?...) Tymczasem może niejedna z owych dziesiątek poszła na spłacenie części długu naszym wychowalcóm!...)

Następuje kilka charakterystycznych sylwetek owych „emerytów“.



„Pani G. prawie niewidoma, b. nauczycielka gimnazjum żeńskiego w Warszawie. Po 20 latach pracy na polu pedagogicznym, znalazła się bez żadnych środków i pobiera od kasy 7 rubli miesięcznie,

Panna S. córka znanego pedagoga, równie bez żadnych środków, otrzymuje 5 rubli miesięcznie.

Pani R. staruszka 80-cio letnia. Przez 60 lat pracowała w różnych domach prywatnych, pobiera 5 rubli miesięcznie.

Pani M. staruszka 70-cio letnia. W roku 1863 straciła kilkoro dzieci, obecnie wychowuje małą wnuczkę po ostatnim synu. Pobiera 7 rubli miesięcznie.

Kozyrski, starzec 75-cio letni, sybirak z 1863 roku. Po różnych smutnych kolejach wpadłszy w nędzę, mieszkał w suterynie, przytulony z łaski. Środków do życia dostarczała mu jedna lekcyja, jakiej udzielał na Pradze dzieciom robotników i za 2 do 3 godzin pracy pobierał złotówkę... Przez trzy lata otrzymywał po 7 rubli miesięcznie. Umarł.

I nareszcie — Franciszek Biedrzycki ex-nauczyciel z uniwersyteckim wykształceniem, uczył w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych. Gdy zaniewidział i zupełnie stracił możność pracowania, mieszkał w bramie ze stróżem, a na życie zarabiał zbierając nad Wisłą po kilku uliczników, którym na podobieństwo Platona, wykladał różne lekce, za co rodzice chłopców płacili mu po kilka groszy. Do korzystania z zapomóg Kasy zmusił go choroba i wyrzucenie z bramy przez policję. Trzeba było wysiłków ze strony komitetu, żeby skłonić go do przyjęcia zapomogi. Dziś dogorywa w szpitalu.

Tak wygląda stosunek społeczeństwa do tych, którzy wychowują jego przyszłość. Za ciężką pracę nauczycieli wynagradzamy ich niezbyt hojnie, ale sądzimy zbyt surowo; nie popieramy ich zamiarów, choćby najużyteczniejszych dla społeczeństwa, nie mamy pojęcia o ich ofiarności, a gdy się zestarzeją, zapominamy o nich...

Sens moralny: zapiszmy sobie adres Kasy pożyczkowo-zapomogowej nauczycieli, Zgoda 8, a może kiedy i nasz grosik ulży nędzy jakiego „profesora i uliczników zamieszkałego w bramie...”



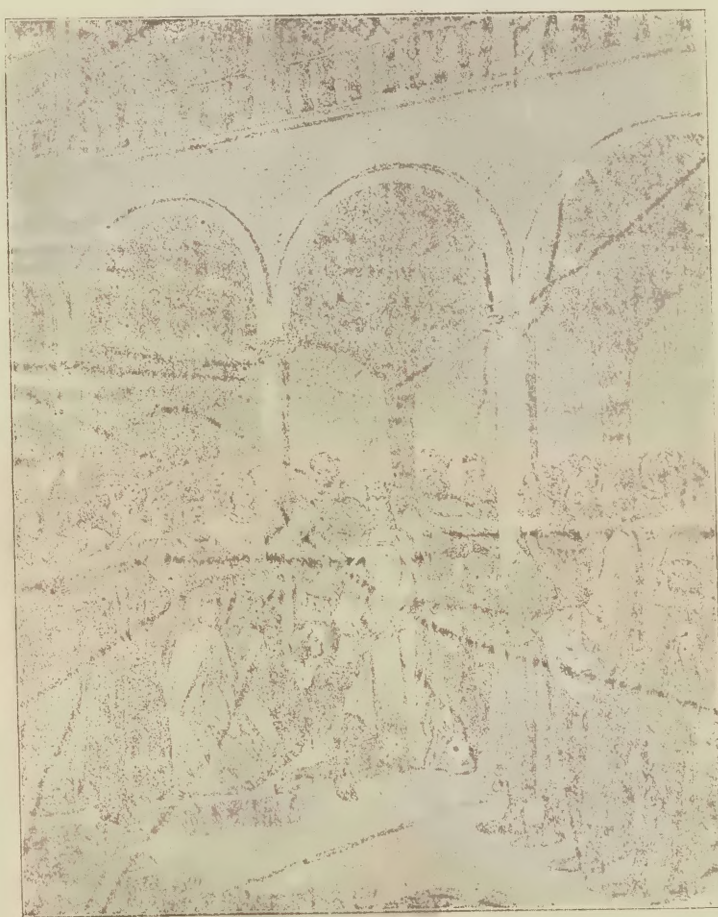
Specjalnie dla młodzieży pisana jest książka *Annę Zielińską* p. t. „Na zamku Niesielskim, opowiadanie z XVIII w. dla dorastającej młodzieży, z 10 rysunkami” (Warszawa, nakładem i drukiem M. Arcta, 1906, 12-ka, str. 200, cena w opr. kart. kop. 75).

Występują tu postacie historyczne: król-władca Konstanty Sobieski, królowa-wdowa Marya Kazimiera, starosta ostrowski, Józef Adam Wessel i inne, a także figury zmyślone. Osnowa powieści obraca się około małżeństwa Konstantego, któremu sprzeciwia się matka, które usiłuje nawet zerwać. Nie brak tu też scen, silnie wstrząsających młode wyobraźnię, np. pożar zamku nieszelskiego. Autorka zna widocznie epokę, przytacza np. współczesne wiersze i piosenki, nawet z rękopisów. Nie można jednak powiedzieć, by przedmiot powieści był zupełnie szczęśliwie wybrany: zamknięcie się w ciasnym zakresie intryg dworskich, podstępów, przespiewów, zamachów nie budzi żadnych szlachetniejszych uczuć, prócz zaciekawienia. Życzyćby należało, by na przyszłość autorka w lepszy sposób zużytkowała swój talent i wiedzę.

Ukazująca się w drugim wydaniu powieść p. *Władysława Umińskiego* p. t. „Podróż bez pieniędzy, z 6 rysunkami” (Warszawa, nakł. i druk, M. Arcta,

1906, 12-ka, str. 222, cena w oprawie karton. kop. 75). należy do tych książek dla młodzieży, które czytają się jednym tchem. Dwaj podróżnicy, zostawieni przez dziwny zbieg okoliczności na niegościnnych brzegach Sumatry, odbywają podróż naokoło świata — bez pieniędzy, używając przeróżnych, niekiedy bardzo zabawnych i pomysłowych sposobów, by przedostać się z miejsca na miejsce, aż do Nowego Jorku, gdzie czekają na nich kufry z kilkoma tysiącami franków. Jeden z nich jest Włochem, drugi — Polakiem; a obaj mają tę ambicję, że nie chcą od nikogo przyjmować ani pożyczki, ani, tembardziej, darowizny. Przyrodzonoznawstwa nikt się stąd nie nauczy, bo i o to nie chodziło wcale autorowi, ale każdy „dorastający młodzieniec” zaczytywać się będzie w powieści tej do zapamiętania.

Pisząc w jednym z poprzednich numerów, że „Gabryela” jest ostatnią, pośmiertną pracą niedawno zmarłej, zasłużonej autorki *Teresy Jadwigi*, nie wiedzieliśmy, że jednocześnie drukuje się druga jej powieść p. t. „Z czasów Jadwigi i Jagielly”, powieść na tle histo-



Rysunek do książki *Teresy Jadwigi* p. t. „Z czasów Jadwigi i Jagielly”.

rycznem, z 6 rycinami” (Warszawa, nakładem i drukiem M. Arcta, 1907, 12-ka, str. 235, cena w opr. kart. rub. 1).

Znamy dawniejsze powieści historyczne nieodżałowanej autorki, żywo i bawnie odtwarzające pewną epokę dziejową, pewne postacie historyczne — otóż i obecna też same posiada zalety. Ten sposób popularyzowania dziejów uważamy za zupełnie właściwy, pod warunkiem wszakże, by „historyczność” powieści stała na poziomie wiedzy nowoczesnej, a tło odpowiadało rzeczywistości.

Tym wymaganiom powieści *Teresy Jadwigi* czynią zadość najzupełniej.

Bardzo właściwym, a niedrogim podarkiem gwiazdkowym są komplety *Mojego Pismka*, tygodnika dziecięcego, wydawanego przez firmę M. Arcta. Obszerny tom o 500 blisko stronicach, paruset większych i mniejszych ilustracyach, będzie stanowił niewyczerpaną kopalnię zajmującej lektury, z szeregiem dłuższych i krótszych powiastek, z wierszykami, zagadkami, przystępnymi życiorysami znakomitych Polaków i Polek, opisami sławnych w Polsce miejscowości i t. d., i t. d. Cena takiego tomu, w oprawie, jest bardzo przystępna — rb. 1 kop. 50.

Moje Pismo prowadziła zrazu p. Aniela Szcówna, później p. Marya Buyno-Arctowa, obie znane w naszej literaturze dziecięcej, co poręcza wartość pedagogiczną czasopisma. Sympatyczną stroną czasopisma jest stały a ciepły kontakt między redakcją a małymi

czytelnikami, ujawniający się w „gawędce listownej”, zamieszczanej w każdym numerze. *Moje Pismo* przeznaczone jest dla dzieci do lat 10, niektóre jednak powiastki i artykułiki mogą być czytane i przez starszych z pożytkiem i przyjemnością.

Z innych wydawców okazała się wystąpiła firma G. Centnerszwa i Spółki z kilku publikacjami, bardzo oryginalnymi, wnoszącymi nowy powiew w ten dział piśmiennictwa tak pod względem treści, jak i szaty zewnętrznej. Nie zawsze dobrze trafiono, ale w każdym razie szukanie nowej drogi jest objawem bezsprzecznie sympatycznym.

Bardzo pięknym upominkiem dla najmłodszych: dzieci jest książeczka *Anatola France'a* p. t. „Na kwiaty, książeczka dla dzieci, okładka i ilustracje Boutet de Monvel'a, przełożyła z francuskiego Janina Mortkowiczowa” (Warszawa, 1907, G. Centnerszwa i Ska, Lwów, księgarnia H. Altenberga, 8-ka duża, str. 31, Cena w opr. kop. 50).

France jest szczerym poetą, chociaż więc powiastki są niezmiernie proste, niemal naiwne w swej prostocie, tchną jednak urokiem prawdziwego piękna i poezji, i to zarówno dłuższe, jak i najkrótsze, np. „Anielka”; a przytem ani cienia morału, utwory to więc nawskroś nowoczesne, a mimo to wpływające uszlachetniająco na młodociane dusze. Na szczególną uwagę zaś zasługują śliczne ilustracje francuskiego rysownika, Boutet de Monvel'a, proste, nie krzyżące, a mimo to bynajmniej nie banalne. Zrozumiano snadź we Francji, że pisanie dla dzieci nie jest wcale czemś niższem od pisania dla dorosłych, że autor i ilustrator książek dziecięcych powinien być także, a może bardziej jeszcze artystą, a same książki dziełami sztuki. I u nas zaczyna się pomyślny zwrot w tym kierunku, ale dużo jeszcze jest do zrobienia.

Te uwagi nasunęły nam się przy przeglądaniu książeczki *Bronisławy Ostrowskiej*: „Książeczka Halusi, wiersze dla dzieci z barwnymi obrazkami Stefana Filipkiewicza” (Nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa, G. Centnerszwa i Sp., Lwów, księgarnia H. Altenberga, 4-ka str. 41. Cene kart. rub. 1.80).

P. Ostrowska, pisująca od niedawna pod pseudonimem Edmy Mierz, jest poetką utalentowaną; pozyskanie więc jej dla literatury dziecięcej jest objawem ze wszech miar pożądanym. Subtelna poetka nastrojów, „Opalów”, czuje się tu może trochę nie na swoim

gruncie. Ale w każdym razie proste jej zwrotki, przedstawiające wrażenia dziecięce w ogrodzie, w pasiece, w lesie, na jeziorze, w polu, w sadzie, posiadają wiele wdzięku prostoty i szczerości. Można się spodziewać, że dalsze próby poetki na tem obcem jej dotychczas polu wypadną o wiele lepiej — ku pożytkowi naszej literatury popularnej, tak ubogiej w prawdziwe talenty, a zachwaszczanej przez niepoważnych.

Oryginalną stroną książeczki stanowią obrazki pędzla p. S. Filipkiewicza, o którym mówiliśmy już w jednym z pierwszych naszych felietonów z powodu powiastek p. Z. Morawskiej.

Ilustracje do „Książeczki Haiuci” są jeszcze barwniejsze, bardziej jaskrawe i jakgdyby impresjonistyczne, może nawet dochodzą do pewnej pod tym względem przesady, ale są sympatycznym dowodem stosowania innych już zgoda wymagań estetycznych do tego działu sztuki ilustracyjnej. A nie zapominajmy przytem, że dziecko, jak człowiek pierwotny, lubuje się w jaskrawościach.

Nieznane nam jest bliżej pochodzenie powiastek, zawartych w książeczce, którą „zebrała i przełożyła” p. *Janina Mortkowiczowa*, p. t. „Zaczarowana wyspa, bajki i opowiadania dla dzieci, okładka Stefana Filipkiewicza” (Warszawa, G. Centnerszwa i Ska, Lwów, księgarnia H. Altenberga, 1907, 4-ka, str. 87. Cena w oprawie kart. rub. 1).

Są one bowiem albo umiejscowione, albo też bliżej nie określone pod względem czasu i miejsca. Do-





WIKTOR GOMULICKI:

SPŁOWIAŁE KARTKI.

I.

Przeszłość — minęła; przyszłości — niema.
 Chwilę rękami trzymam obiema.
 Chwila mi wszystkim; chwilą się poję...
 O cudne oczy! rozkoszy zdroje!
 O słodkie usta! marzony raj!
 O piersi, wonne, jak łąka w maju!
 Nieskończoności mija mnie fala!
 Czas w miejscu stanął; tróska śpi zdala.
 Jestże już jesień? trwa jeszcze lato?
 Widzę raz jeszcze wiosnę bogatą?
 Nic nie wiem, w błogą zapadłem ciszę,
 I tylko szept jej zdyszany słyszę:
 „Ach! teraz umrzeć!..”

II.

O! jak duszę mi oplata!
 O! jak nęci mię i ludzi
 Czar, co z twoich bije lic...
 Poza tobą niema świata,
 Poza tobą niema ludzi,
 Poza tobą niema nic!

Wszystko w tobie się zamknęło,
 Com napotkał dobrowieszce
 Wśród obłądnych życia dróg...
 Wiem, żeś boskie arcydzieło —
 Ale czasem myślę jeszcze,
 Żeś — świat, niebo, wieczność, Bóg...

BOLESŁAW PRUS:

Wizye przyszłości

KRONIKA TYGODNIOWA.

Prawie każdy czytelnik naszych dzienników miał sposobność dowiedzieć się o przepowiedniach na rok 1909-ty, wypowiedzianych przez panią Thèbes Francuzkę i Müllera Niemca. Już wiemy, że rok, świeżo zaczęty, odznacza się niepokojami: wojnami, rewolucjami, śmierciami monarchów, upadkami tronów, a nawet — nadzwyczajnymi burzami i pożarami. Wątpię jednak, czy wielu czytelników spotkało w odnośnych organach choćby nazwisko H. G. Wellsa, a tem bardziej — coś słyszało o jego „Przewidywaniach”, mocno odległych od nas, sięgających aż... 2000-go roku, czyli początków XXI-go stulecia...

Otóż, według mojego, może mylnego sądu, „Przewidywania” Wellsa zasługiwałyby na nieskończenie pilniejszą uwagę, aniżeli prorocstwa pań Thèbes i panów Müllerów. Gdy bowiem pani Thèbes opiera swoje wróżby na... astrologii, a p. Müller na „transach magnetycznych”, Wells — wnioski o przyszłości społeczeństw wyprowadza z obserwacji nad temiż społeczeństwami. Tamta i tamten są jasnowidzami, poniekąd czarodziejami; zaś Wells swoje przewidywania wyklada, niby ogrodnik, mówiący o przyszłości drzew, które mniej więcej poznał. To drzewo będzie mocno rozwijać się, ponieważ jest zdrowe, silne, ma dobry grunt, odpowiednią wilgoć i dostateczne światło. Inne drzewo rozwinie się słabiej, ponieważ rośnie na gruncie nieosobliwym, a jeszcze inne — może w ciągu lat zupełnie zginąć, gdyż ma złe otoczenie i jest napoczęte przez robactwo.

Wells, jak wiadomo, jest powieściopisarzem angielskim. Maeterlinck nazywa go: „wielkim poetą natury... imaginacją najbardziej kompletną, najbardziej niewyczerpaną, najmniej dającą się przewidzieć i najlogiczniejszą w naszej epoce”... Istotnie, jest to umysł o potężnej twórczości, wykształcony na matematyce i naukach przyrodniczych. Jego tematy są nadzwyczajnie fantastyczne, np. Podróż w przyszłość, o kilkadziesiąt tysięcy lat oddaloną od naszych czasów. — Dzieje anioła, który spadł na ziemię pomiędzy ludzi. — Człowiek niewidzialny. — Napad mieszkańców Marsa na kulę ziemską i t. p. Wszystkie jednak tematy Wells obrabia w taki sposób, że owe nieprawdopodobne wydarzenia widzimy, a niemożliwe przedmioty i ludzi nie tylko widzimy, ale i dotykamy. Krótko mówiąc, w umyśle tego człowieka arabska czy indyjska imaginacja skojarzyła się z angielską logicznością, ażeby rodzić pomysły nowe i oryginalne.

Gdy w roku 1901-ym ukazały się „Przewidywania”, jeden z krytyków oświadczył, że rząd angielski ma obowiązek wyznaczyć pensję Wellsowi, ażeby mógł on wyłącznie zajmować się prorocstwami. Może to koncept, w każdym razie charakterystyczny.

Poznawszy nieco autora, spojrzymy na dzieło. Jakże tedy będzie wyglądał (według Wellsa) świat w roku 2000-ym?...

Juści tu i owdzie na kuli ziemskiej znajdują się okolice, gdzie cały widnokrąg wypełniają pola, kępy drzew, lasy — bez śladu budynków i ludzi. Wogóle jednak krajobrazy będą całkiem odmienne: gdyż obok pól niewielkich, trawników i ogrodów, znajduje się mnóstwo domów mieszkalnych, mnóstwo dróg żelaznych, szos dla rowerów i samochodów, kanałów dla poczty pneumatycznej, drutów

telefonicznych, telegraficznych i t. d. Dzięki temu zatreze się dzisiejsza różnica pomiędzy wsią i miastami: na wsi będzie trochę mniej wielkich budynków, w mieście trochę mniej trawników i ogrodów. Miasta jakby rozplyną się, ale też i zajmą kolosalne przestrzenie: 40,000 do 80,000 kilometrów kwadratowych z ludnością 20 do 40 milionów!... A stanie się to dzięki bardzo ulepszonym środkom komunikacyjnym, które pozwolą okrętom przepływać do 80 kilometrów, pociągów kolejowym przebiegać do 150 kilometrów na godzinę. Tym sposobem pracownik, mieszkający gdzieś w Kutnie, w Białej, lub w Nałęczowie, będzie mógł codzień rano przyjechać na robotę do Warszawy, a codzień wieczorem wracać z Warszawy do domu. Albowiem podróże będą nie tylko szybkie, lecz wygodne, dobrze zorganizowane i tanie, o czem dziś, w naszych np. stosunkach, jeszcze nie można marzyć.

Czytelnik domyśla się, że domy mieszkalne w XXI-tym wieku posiadać będą mnóstwo nieznanym nam, albo jeszcze nie spopularyzowanych urządzeń: centralne ogrzewanie i oświetlenie, wodę, wentylatory, maszyny do usuwania kurzu, kuchnie, opalane elektrycznością i t. p. Zaś z ulic miejskich znikną wozy konne, ustępując miejsca samochodom, tramwajom elektrycznym podziemnym i nadziemnym, ruchomym chodnikom... Maszyny jednak latające nie odegrają tej roli, jakiej się spodziewamy: nie będą przewoziły towarów i podróżnych; najważniejszą korzyść z nich odniesie sztuka wojenna, no — i sport latania w powietrzu.

Książka Wellsa pełna jest oryginalnych i głębokich poglądów, ale cenne jej materiały nie są dość uporządkowane. Mimo to spróbujemy dać czytelnikowi kilka rysów człowieka i społeczeństwa z roku 2,000-go.

Człowiek ówczesny, z klasy pracującej, (gdyż i w wieku XXI-ym będzie klasa panująca nad innemi!), człowiek taki musi być przede wszystkim — zdrow i silny. Najprzód dlatego, że zdrowi i silni są najpotrzebniejsi w społeczeństwie, powtóre — że chorowitym rodzicom... nie wolno będzie mieć dzieci, po trzecie — że dziecko chorowite, niedołężne... musi umrzeć dobrowolnie, albo z pomocą osób trzecich... „W nowym społeczeństwie śmierć nie będzie strasliwą zagadką, ale pełnem li tości usunięciem tego, co słabe, nieudolne, bezużyteczne”... Zdrowy chłopiec w wieku właściwym pójdzie do szkoły początkowej, gdzie za pomocą najłatwiejszych metod nauczy się logiki, matematyki, języków nowożytnych, rysunku i posiadać najniezbędniejsze wiadomości naukowe. Później wstąpi do specjalnej szkoły technicznej (rolniczej, handlowej czy rzemieślniczej), albo na uniwersytet, gdzie obezna się z krytyką i posiadać sztukę samouctwa. Resztę ukształcenia i wychowania zdobędzie w życiu.

Tak urobiony człowiek będzie odznaczał się niezłomną energią, popędem do panowania nad naturą i ludźmi, umysłem realnym i logicznym. Z uczuć będzie posiadał nieustraszoną odwagę i wielkie poczucie własnej godności. Będzie religijnym, czyli usiłującym odgadnąć wolę Boską, ale nie w pismach czy subtelnych rozumowaniach, lecz w naturze, w społeczeństwie i we własnej duszy. I zrozumie, że: „świat ma jakiś większy cel, aniżeli szczęście, i że nasze istnienia muszą służyć planowi Boskiemu, który nie ma na celu człowieka, lecz — za pośrednictwem człowieka — dąży do wznioślejszych rezultatów”...



„Wierzyć w Boga jest to wierzyć w doskonałość się wszystkiego, co istnieje”...

„Im gorliwiej szukać będziemy porządku i rozwoju zarówno w nas samych, jak i w świecie, tem jaśniej zrozumiemy Boskie zamiary”...

Człowiek przyszłości będzie szanował prawa i rzetelnie spełniał swoje obowiązki; ale nad sobą, ani obok siebie nie cierpi samoli. Będzie to człowiek czynu, użytecznego, wysoce intelektualnego, jakich przedstawicielami dziś są—nie poeci, nie artyści, nie mówcy i politycy, ale—inżynierowie i lekarze.

O użyteczności lekarza nie potrzebuję wspominać: czuwa on nad zdrowiem i życiem ludzi czyli najlepszego skarbu społecznego. A co się tyczy inżynierów, przypominamy sobie inżyniera komunikacji, mechanika, elektrotechnika, chemika, górnika, architekta, agronoma i t. p. i t. Czyliż nie jest jasnem że w rękach tych ludzi znajdzie się kiedyś cały dobrobyt i bezpieczeństwo ogółu zaczynając od kolei, samochodów i statków wodnych, od maszyn i materiałów wojennych, kończąc na powietrzu, wodzie, mieszkaniu, oświetleniu i ogrzewaniu?

Rzecz prosta, że ludzie, posiadający takie środki władzy nad innymi i takie zasoby umysłowe, muszą kiedyś porozumieć się we wszystkich krajach ucywilizowanych i właśnie oni to—stworzą Nową Rzeczpospolitą. Dziś lekarz i inżynier nie mają znaczenia w wojsku i w polityce; czasem staną się ich panami.

Obok tego typu mężczyzn wyrosnie odpowiedni typ kobiet mądrych gospodyń, matek i wychowawczyń, które będą rozumiały swoich mężów i staną się ich pomocnikami w dziele uzdrowotnienia i przebywania społeczeństw.

W Nowej Rzeczypospolitej nie będzie tej równości, o jakiej lubią marzyć prorocy i apostołowie przyszłych reform; owszem, zarysowują się bardzo wyraźnie cztery jakby klasy społeczne: 1-mo. Działacze właściwi t. j. lekarze, inżynierowie różnych stopni i specjalności, ich pomocnicy i wykonawcy planów, wszystko to dzielni, ukształceni fahowo ludzie, których praca przymosić będzie największe korzyści ogółowi. Oni nadawać będą ton Rzeczypospolitej, oni utworzą jej klasę rządzącą. 2-do. Swobodni bogacze, rozmaici akcyonariusze, których liczba będzie wzrastać, skutkiem mnożenia się bogactw. Oni będą popierali mody, sztuki piękne, zabawy, spacer, wyścigi a nadewszystko—będą próżnowali. 3-o. Koniecznem dopełnieniem klasy poprzedniej będzie tak nazwany przez Wellsa: „lud z otchłani”. Na tę grupę złożą się dziesiątki i setki tysięcy osobników bez fachu, bez stałej pracy, nieukształconych, słabego charakteru, którzy niekiedy dostają jakieś zajęcie i spełniają je nieporządnie, w wolnych zaś chwilach przenoszą się do przytułków, szpitalów, więzień i w rezultacie—giną z nadużyć chorób albo... z wyroków sądowych... 4-to. Pewna liczba—jak mówi Wells—ludzi nieprodukcyjnych, utrzymująca się z zamieszek społecznych.

Pod względem religijnym w klasie panującej przeważać będą teiści naukowci; bogacze i lud z otchłani zbliżają się do „pobłażliwej, dobroczynnej i malowniczej religii katolickiej”, podczas gdy surowy protestantyzm zużyje się jak stara szata. Zaś obok teizmu i katolicyzmu istnieć będzie mnóstwo sekt niekiedy bardzo dziwacznych i dziecinnych.

Związki między kobietą i mężczyzną w klasie panującej będą przeważnie monogamiczne a ich celem: jak najlepiej wychować potomstwo. Wśród innych klas nie zabraknie związków wolnych, licznych rozwodów, tudzież kobiet żyjących po to tylko, ażeby stroić się i bawić.

Nareszcie—kwestye narodowościowe w Nowej Rzeczypospolitej rozstrzygną się w sposób jeżeli nie łatwy, to przynajmniej prosty. Ponieważ nikt nie będzie nikogo wynaradawiał, ani drażnił jednych narodów przeciw innym, więc dzisiejszy chorobliwy nacjonalizm słabnie. Ale ponieważ wielkie interesy cywilizacyjne będą wymagały porozumienia się, politycznego zjednoczenia wszystkich ludów, więc każdy człowiek jako tako oświecony, obok własnego języka musi posiadać drugi wszechświatowy.

Nie będzie nim jednakże jakiś Volapück, albo Esperanto, ale—angielski lub francuski, do pewnego stopnia—niemiecki. Niemcy—wszystko według Wellsa—wprawdzie posiadają bardzo liczną klasę inżynierów, techników, uczonych, bardzo bogatą literaturę i... wielką ochotę do zgermanizowania Stowian... Na nieszczęście piękne przymioty narodu niemieckiego zatrawa pruski imperyalizm, junkierstwo, pycha i pewien rodzaj niewoli umysłowej, który—bardzo szkodzi rozwojowi samodzielności, zalety niezbędnej w Nowym państwie. Niemcy zostaną pobici na lądzie i morzu i w rezultacie „ostateczne zwycięstwo odniesie nie imperyalizm i germanizm, ale idea zjednoczenia europejskiego na wzór szwajcarski, idea cywilizowanego republikanizmu, który w zachodniej Europie posługiwać się będzie językiem francuskim”.

Stowianie zachodni—według Wellsa—połączą się ze związkiem europejskim. Na przyszłość Rosyi autor zapatruje się pesymistycznie.

Nie mogę lepiej zakończyć tej—niestety! bardzo a bardzo niedokładnej wzmianki o książce Wellsa, jak przytaczając jego następujące słowa:

„Naród musi rozwijać i zabezpieczyć swoje klasy oświecone a użytecznie działające, albo—zostanie zwyciężony w walce a jego interesy zejść na drugi plan wobec interesów społeczeństw zdolniejszych... Przyszłe boje naprawdę rozegrywać się będą w szkołach początkowych, średnich, w uniwersytetach i wogóle tam, gdzie ludzie czytają, piszą, kształcą się. Naród, który w najbliższej przyszłości wstworzy największy zastęp mechaników, rolników, lekarzy, nauczycieli, żołnierzy fachowych a inelitentnych; naród, który w sposób jak najbardziej stanowczy pozbędzie się swoich pierwiastków zbrodniczych i demoralizacyjnych, wypełni namietność do gry, pozostawi swobodę ambicyom, ale ograniczy wpływy próżnujących bogaczy, naród w końcu, który największą ilość zawadzającego mu tłuszcza przerozi na mięso, ten naród stanie się najpotężniejszym, ten wysunie się na pierwszy plan w roku 2000-ym!”...

Prawie te same poglądy polscy czytelnicy mogli byli przyswoić sobie na wiele lat przed ukazaniem się książki Wellsa. Nieszczęściem dla podobnych rzeczy u nas jeszcze nie nastała moda...



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

W tych dniach miałem sposobność przysłuchiwać się—rozmowie o kwestii żydowskiej między dwoma panami, z których jeden, p. A., traktował ją ze stanowiska pesymistycznego, drugi, p. B., jak filozof-idealista. Rozmowa wydała mi się dosyć oryginalną i ciekawą, więc przytoczę ją, nie biorąc na siebie odpowiedzialności za wypowiedziane poglądy.

Pan A. ...Jeżeli więc kto ludził się dotychczas, że kiedyś tak, kiedyś... za naszych wnuków czy prawnuków, ogół ludności żydowskiej zwiększy liczbę polskich obywateli i patryotów, to już chyba dziś wyleczy się ze swoich przywidzeń. Tak zwana asymilacja, czyli spłynięcie się Żydów ze społeczeństwem polskim, skończyła się w sposób opłakany, jeżeli nie zupełnie śmieszny. Jedyne pismo żydowskie w polskim języku, *Izraelita*, upadło, ale za to żargonowe dzienniki i tygodniki mnożą się, jak bakterie drożdżowe. Ci, nie zbyt mnodzy Żydzi prawowierni, którzy przed jakimś dziesięć lat usiłowali mówić w rodzinach po polsku, dziś powracają do żargonu; ci, którzy stanowili nie mały procent widzów polskiego teatru, obecnie zaczynają chodzić do teatrów niży-żydowskich, a naprawdę niemieckich. Jedyna polska synagoga straciła świetnego poskiego, kaznodzieję; pokolenie z lat sześćdziesiątych kładzie się do grobu a jego miejsce zajmują tak zwani litwacy, już nie tylko separatysty, ale wprost—nieprzyjaciele naszego narodu...

„Uczyniono wyłom w polsko-żydowskiej asymilacji!... — woła jedno z pism żargonowych. — Niemało, jeszcze strat poniesie obóz spolszczonych Żydów, a pomnoży się liczba „nawróconych”, którzy pójdą z powrotem do swego ludu i zduszą w sobie resztki nadziei, marzącej o jasnej przyszłości, wśród „wielkiego narodu polskiego”... Czuje pan ton frazesu: „wielkiego narodu polskiego”?...

Pan B. Czuję i przypominam sobie nasze dawne przysłówie: na pochyłe drzewo i kopy skaczą... Ale jednocześnie przychodzi mi na myśl inne przysłowie, bodaj czy nie arabskie: nie pluj w studnię, bo jeszcze się z niej wody możesz napić...

Pan A. Dzisiaj oni już nie tylko do naszej pluja studni... Czytałś pan naprzykład uchwały zjazdu rabinów w Warszawie?... Nie chcą, ażeby chłopcy żydowscy uczyli się w szkołach chrześcijańskich, a dziewczęta ażeby uczyły się wogóle; natomiast chcą sami mianować członków zarządu gmin izraelickich, chcą wydawać rozporządzenia, obowiązujące Żydów, pragną cenzurować literaturę żargonową, ażeby i ona nie rzuciła jakiegoś światła w żydowskie masy, a nawet chcą rozciągnąć dozór nad koncertami żydowskimi, gdyż niekiedy po nich—mężczyźni tańczą z kobietami, co jest rzeczą dla rabinów nieprzystojną i niemoralną...

Pan B. Jakiż pan wyprowadza wniosek z tego?...

Pan A. Że sprawa uobywalelania Żydów cofnęła się, że rów, dzielący chrześcijan od Żydów, rozszerza się i pogłębia, a my, zamiast nowych współziomków, zyskujemy

nowe gromady nieprzyjaciół złośliwych i fanatycznych.

Pan B. Czy pan nigdy nie korzystał z usług Żydów niezasymlowanych, obojętnych dla naszej narodowości, nawet lichy mówiących po polsku? Czy nic i nigdy nie kupował pan u żydowskich szewców, krawców, rzeźników, handlarzy i piekarzy?... Czy nigdy nie jeździł pan z furmanami żydowskimi, tęskniącymi za Palestyną, ani nocował w żydowskich zajazdach, szczególnie na prowincji, gdzie prawie cały handel, komunikacja i wiele rzemiosł znajduje się w rękach Żydów?

Pan A. Owszem, kupowałem towary od prawowiernych Żydów, jeździłem z nimi, nocywałem w ich zajazdach i jadałem ich rosół na gęsinie w czasie popasów.

Pan B. A czy nigdy nie słyszał pan o Żydach inżynierach, lekarzach, artystach, uczonych?... A może ani razu na padole ziemskim nie spotkał pan Żydów rozumnych, uczciwych, gorących Polaków, niestrudzonych działaczy spaw publiczne i obywateli pełnych ofiarności?...

Pan A. Owszem, znałem i znam Żydów wielkiej moralnej i społecznej wartości.

Pan B. Jeżeli tak, więc—na pan i asymilację w dwu postaciach. Z jednej stony Żydzi prawowierni oddają usługi ekonomiczne polskiemu społeczeństwu, rozumie się, za stosownym wynagrodzeniem, a z drugiej—na pan garsteczkę Żydów ofiarnych, którzy narodowi naszemu poświęcają nie tylko swoją pracę bożintercowną i pieniądze, ale nawet tradycje i stosunki rodzinne...

Pan A. Sam pan mówi, że tacy Żydzi stanowią ledwie garsteczkę...

Pan B. (z naciskiem). A nasi, panie, ludzie ofiarni, a nasi, nie liczą się na garsteczkę?... Niech-no pan dobrze pomyśli: my Polacy, posiadamy miliony ludu polskiego, kbojętnego dla spaw publicznych i garstkę inteligencji ofiarnej. Zaś obok tamtych stoi znowu milionowa masa żydowska obojętna i znowu garstka inteligencji ofiarnej. Czemże więc tamta obojętność i ofiarność różni się od tej obojętności i efiarności?...

Pan A. Tem, iż Żydzi—*primo*—nie są Polakami, *secundo*—są nieprzyjaciółmi polskoski.

Pan B. Tu acana czekałem!... Wierc naprzód powiem jegomości, dla czego Żydzi nie są Polakami, a następnie—może uda mi się wyttomaczyć, że: niechęć do polskości, o ile takowa naprawdę istnieje, nie ma żadnego związku z istotą judaizmu.

Dwa są narody, które od kilku tysięcy lat przechowały swą indywidualność: Chińczy-

cy i Żydzi. Wyszczególności Żydzi przetrwali w dziejach: Egipcyan, Asyryjczyków, Persów, Greków, Rzymian, rozmaitych Gotów, Franków, Hunnów. Przetrwali wśród najcięższych, jakie można sobie wyobrazić, warunków, za co, powinniśmy ich wysoko cenić, ponieważ krwawa, nieszczęsna ich historia uczy nas, że—naród może być prawie nieśmiertelnym, jeżeli... na to sobie zasłuży... I że nawet, w złych dla narodu czasach, nie trzeba, głupio jest, upadać na duchu...

A jeżeli Żydów nie wynarodowiło dwadzieścia stuleci i dwadzieścia potężnych cywilizacji, to jakże pan chcesz, ażeby nasza, bardzo skromna cywilizacja, przerobiła ich w ciągu lat pięćdziesięciu?...

Co się zaś tyczy nienawiści Żydów do nas, to, jeżeli ona nie jest zwykłą ciechęcią, wywołaną przez naszą niechęć, ale nawet—żywiolową namiętnością, w takim razie sprzeciwia się duchowi judaizmu, rozkłada go i grozi niesławną śmiercią narodowości żydowskiej.

Pan A. Tego nie rozumiem...

Pan B. Zaraz pan zrozumie. Jak pomarańcza składa się ze skórki, mięsa i nasion, najważniejszej, bo nieśmiertelnej części owocu, tak narodowość wogóle, a judaizm w szczególności, składa się: języka, który stanowi warstwę najzewnętrzną, ze zwyczajów, które są już głębszym zjawiskiem i nareszcie—z idei, która stanowi nieśmiertelny życia pierwiastek. Otóż judaizm, jak wszystko co żyje, musi—rozвивać się, czyli: zmieniać na lepsze. Wierc najpierw, po wiele razy, zmieniał się język Żydów, później—bardzo powoli — zmieniają się ich obyczaje, a nie zmienia się, tylko staje się coraz zrozumialszą—idea judaizmu.

Żydzi u nas, z powodu ich nagromadzenia, stąd koniecznej ciasnoty i tarcia ze społeczeństwem chrześcijańskim, Żydzi u nas wpadli jakby w sen zimowy, w letarg; wierc utrzymuje się ich—obcy żargon, wierc trwają ich koszerne i trefne obyczaje, a jednocześnie ich idei... prawie, że nie widać!... Ale weź pan Żyda francuskiego, albo angielskiego. Nie znajdziesz u niego żargonu, spotkasz bardzo złagodzone zwyczaje religijno-hygieniczne, ale za to, o ile taki Żyd odezwie się w literaturze, możesz usłyszeć poglądy bardzo humanitarne, a przynajmniej oryginalne i głębokie. W tych bowiem ludziach, pełnym blaskiem jaśnieje idea judaizmu...

Pan A. A jakaż ona jest, jeżeli wolno spytać...

Pan B. Właśnie o tem chcę mówić. W judaizmie uderzają mnte trzy pierwiastki ideowe. 1-mo. Silna wiara w Boga, 2-do wysoka moralność: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie czyń drugiemu, co tobie nie miło... i 3-cio wielka cześć dla pracy umysłowej: kto nie chce się uczyć nie godzien żyć; kto nie powiększa swej wiedzy, ten ją zmniejsza; człowiek ciemny nie potrafi być dobrym i t. d.

Ze względu na trwałość społeczną, obok Żydów postawiłem Chińczyków. Oni bowiem także wyrobili sobie nieśmiertelne idee: naprzód—wiarę w obowiązek, następnie wiarę w konieczność ciągłego doskonalenia się, i nadto—cześć pracy fizycznej i umysłowej, miłość bliźnich i t. p. Takie to wielkie idee zapewniły Chinom długą trwałość.

Otóż, wracając do Żydów, powiem panu, że: jeżeli rabin wy-



PRACA

LEOPOLD WASILKOWSKI





NASZA PATRÓNKA



LEOPOLD WASILKOWSKI

POKÓJ (PAX)
Z V Salonu dorocznego

stępują przeciw oświacie, albo jeżeli żydowscy dziennikarze sięgają niechęć do nas, to zarówno jedni, jak i drudzy zniechęcają i podkopują judaizm, który zaleca, nakazuje, rozwijać umysły, a potępia nienawiść. O ile zaś ludzie ci zbyt uporczywie trzymają się żargonu i zwyczajów przesądnych, o tyle swój własny naród utrzymują w letargu i skamieniałości.

Krótko mówiąc: lękam się judaizmu. Gdyż, jeżeli rozwinie się on, to musi wyszlachetnieć, a jeżeli nie będzie się rozwijał, stanie się klęską nie dla nas, ale dla Żydów.

Pan A. Przepraszam, ale — wspomnieliśmy, że idee sprzyjają trwałości narodów...

Pan B. Naturalnie idee rozległe i szlachetne. One bowiem jednoczą naród, wskazują mu drogi i stawiają cele korzystne dla rozwoju.

Pan A. Chciałbym tak coś na przykładzie...

Pan B. Owszem. Wyobraźmy sobie, że nasz naród, jakimś cudem, wchłonął w siebie taką to ideę: „Dążyć do doskonałości, za pośrednictwem pracy użytecznej, przy świetle

pomyślnych i niepomyślnych wypadków, czyli przyjemności i przykrości”.

Pan A. Nie zbyt jasno...

Pan B. Zaraz wyjaśnię. Krawcowi, zamiast pieniędzy, odesłano uszyty przez niego garnitur. Głupiec powiedziałby sobie: nabywca kapryśny!... wyzyskiwacz!... nie chce płacić!... Ale mądry, przejęty wspomnianą wyżej ideą, zastanowi się: Spotkała mnie przykrość, dlaczego? Bo garnitur źle uszyty, bo szyłem go niedbale. Pracuje tedy mój krawiec starannie, przyzwyczajają się do porządnej roboty, czyli: doskonalili się i w rezultacie — zarabia coraz więcej, zyskuje przyjemność. W tym krawcu musiało być trochę nie polskiej krwi; my bowiem mamy zwyczaj nasze niepowodzenia przypisywać innym, uważamy się za skończeni doskonałych i... nie lubimy, o!... nie lubimy pracować...

Zastosujmy to do kwestii dręczących nas obecnie. Żydzi porzucają pisma polskie, a biorą się do żargonowych. To nam robi przykrość. Lecz, gdy zamiast wyuiślać Żydom, zapytamy: dlaczego tak jest?... dlatego, odpowie rozsądek, że w naszych pismach nie poruszamy kwestii obchodzących Żydów, albo

poruszamy je niedbale. Gdybyśmy pod wpływem tej uwagi, zreformowali nieco nasze pisma, stalibyśmy się doskonalszymi, a nasz głos wobec Żydów miałby większą wagę.

Inny przykład. Prusacy zasypują nas swoimi towarami — robią nam przykrość. Lecz, gdybyśmy, zamiast ogłaszać niespełniany bojkot, wzięli się do tworzenia brakujących nam gałęzi przemysłu, innymi słowy: gdybyśmy — udoskonalili się, ogłaszanie „bojkotu” byłoby zbyteczne, gdyż, mając własne towary, nie potrzebowalibyśmy ciągnąć ich z Prus...

Gdybyśmy zaś, pod nieśmiertelnym hasłem: „doskonalenia się”, powoli i stopniowo ulepszyli nasze: rolnictwo, rzemiosła i fabryki, handel i komunikacje, porządki domowe i żywność ludu, wychowanie i zwyczaje towarzyskie, literaturę i sztukę, a nareszcie — naszą smutną logikę i woskowe charaktery, ani Żydzi, ani Prusacy nie byłiby nam niebezpieczni. Wielka idea osłaniałaby naród, jak pancerz i do coraz wyższej kultury wskazywałaby drogi najpewniejsze; nie jak dziś — chaotyczne ścieżki, po których błąkamy się, niepewni jutra, niezadowoleni z całego świata a przedewszystkiem z samych siebie.



KORNEL MAKUSZYŃSKI:

Teatr okropności.

Wszystko zresztą w sztuce takiej zależy od aktora: nic łatwiejszego, jak z takiej okropnej sztuki, krwawiącej, jak befsztyk, zrobić aktorowi najweselszą humoreskę; jeden ton przesadny zwali całą efektowną maszynę, wielu zaś zwykle jest wśród publiczności takich widzów, którzy czekają z upragnieniem na taki jeden fałszywy krok, aby ośmieszyć niesamowite, szpitalne wrażenie i ująć mu za cenę uśmiechu. Nic łatwiejszego np., jak w sztuce z repertuaru „Grand Guignolu”, znanej w Warszawie p. t. „Klub samobójców”, zrobić znakomitą farsę, co się zresztą warszawskim artystom bardzo dobrze udawało.

W twórczości, zasilającej scenę „Grand Guignolu”, znać nawet metodę; najbardziej drażniącym efektem scenicznym większej części sztuki jest *oczekiwanie* okropnego końca i niemoc uniknięcia go; który z autorów potrafi dłużej utrzymać widza w napięciu przez ociąganie strasznego rozwikłania, nie przeciągając jednakże czasu, co by groziło znieczuleniem nerwów, — ten odnosi sukces większy. Akcja sztuczki Laumana i Oliviera „En Plongée” odbywa się np. we wnętrzu łodzi podwodnej, która już nie ma powrócić na powierzchnię wody. Sztuczka ta odniosła rekord w wywołaniu wrażenia, rzecz prosta; już sam okropny pomysł pozwolił autorom na bardzo spokojne (mieli czas!) rwanie nerwów nieszczęśliwej publiczności.

Najbardziej wykwinłym katem, rafinowanym Torquemadą jest Jean Lorrain; w sztukach jego jest już perwersja w dręczeniu widza. Czyni to nie po barbarzyńsku, jak cała gromada autorów „Grand Guignolu”, bynajmniej. Lorrain jest we fraku i w rękawiczkach, dystyngowauy, wykwinny i żyje nawet w konkubinacie z psychologią, bardzo misternie nieraz złożoną. Po pp. Olivierze, Herosie, czy Abricu, gilotynujących na scenie, wygląda Lorrain, jak Arsen Lupin obok — Pochronia, obok niego Marsan, autor znanej powszechnie jednoaktówki „Przy telefonie”, równie rafinowany inkwizytor.

Poza tem — byle była krew; kiedy do stawcom „Grand Guignolu” brak już pomysłów, wtedy najspokojniej pożyczają ich od znanych firm literackich, stąd ciągle na afiszach „Grand Guignolu” podtytuły „wedle noweli Poëgo”, — „wedle noweli Maupassanta”, — „wedle noweli Prévosta”. Rzecz prosta, że idzie jedynie o wykrojenie szkieletu, po odrzuceniu wszelkich subtelnych tkanek psychologicznych, co nie jest, jako żywo, towarem dla „Grand Guignolu”. Tu trzeba męczącego strachu; tak



Afisz sztuki A. Lorde „System doktora Goudrona i prof. Plume”.
Wedle Poëgo.

powiedział wielki mistrz teatryku, Andrzej Lorde, który na tym strachu robi majątek i jedno go tylko straszy: że się ludzie przestaną straszyć. Sam tedy spłodził w istocie przeraźliwą, beznadziejnie okropną sztukę p. t.: „Ostatnia tortura”. Proszę sobie wyobrazić menu obiadowe, kiedy restauracja taki zachęcający ma tytuł!

Niema i nie będzie na świecie zbrodni, któraby nie posłużyła już za motyw twórcom „Grand Guignolu”. Edyp z Kolonnos odszedłby stąd z rumieńcem wstydu, że tak mało w życiu dokonał; powiesiłby się Neron na suchej gałęzi; oszalałby Lombroso, spostrzegłszy, jak mało umie. I doprawdy, „Grand Guignol” powinien być upaństwowioną szkołą morder-

ców, gdyby tylko na ulicy można tak rozbijać, jak na jego scenie, gdzie nikt nie przeszkadza i ludzie mordują się zupełnie naiwnie. Krytycy



Mlle Vatta, jedna z najzdolniejszych artystek „Grand Guignolu”.



Mlle Mylière, artystka „Grand Guignolu”.

teatralni niepotrzebnie wiodą dyskursy z autorami tej sceny; po co? — należałoby na przedstawienie posłać jednego wymownego policyanta, aby wywrócić cały repertuar do góry nogami.

Gadania o strasznym, demoralizującym wpływie „Grand Guignolu” są całkiem niemądrą pretensjonalnością; szkody z tego jest tylko tyle, że dwie albo trzy histeryczki zemdleją na widok ojca, duszonego przez syna, albowiem duszenie, jako operacja, dość długo trwająca, a z powodu trzepania nogami i rękami ofiary — efektowna, jest ulubione na tej scenie. Zresztą, jak już powiedziałem, „Grand Guignol” traktuje się, jako elegancką, bardzo elegancką szmیرę i jako „osobliwość”. Paryż musi mieć osobliwości, bo to leży w jego dobrze zrozumianym interesie, a jedna Morga to za mało w tym rodzaju.

„Grand Guignol” ratuje stę dziś tylko reklamą i ohydami sztuczki w stylu „Nuit d’Illyrie”, wygrawszy już swój cały „mistrzowski” repertuar, który w istocie przez czas długi wzbudzał niesłychane zainteresowanie, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić, więc i do jatek także. Pomysłowość francuska wynalazła już dziesiątki innych sposobów rozdrażniania nerwów, „Grand Guignol” należy do tych z domowej apteki.

„Grand Guignol” urodził się ze stęchłej atmosfery sybaryciego żywota. Wszelką perwersję rodzi sybarytyzm, który wyczerpał już wszystkie mniej lub więcej normalne środki podniecające, a stać go na najkosztowniejsze. W zdrowym społeczeństwie musiałaby tego rodzaju twórczość niezdrowa, jak ta, która użyźnia scenkę „Grand Guignolu” krwią i trucizną, poddać się szybko odruchowi albo mimowolnej odrazy, albo ustąpić przed ironicznym, a pogodnym uśmiechem; w społeczeństwie, w przeważnej swej części dekadencjkiem, rozgorączkowanym, nerwowym, zepsutym i zużytym, w „rzymskim” społeczeństwie, — ginie zaś dlatego, że trucizna straciła siłę, że się

stała za słabą i nie działającą. Największe preto zachwyty zmieniły się w znudzone lekceważenie.

Więc w mordowni przy ulicy Chaptal dziwią się cudzoziemcy; piegowata Angielka kłapie końskimi szczękami, jakby uderzała w kastaniety, i jakieś murzyńskie książętko dziwi się, dlaczego się ludzie tutaj tak boją, a on się nawet nie wzruszył, kiedy bez żadnej przyprawy zjadał niedawno na surowo europejskiego dyplomatę.

Paryż.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

We Francji dokonywa się w tej chwili ciekawe zjawisko społeczne: coś — niby przewrót w pojęciach i uczuciach, coś — niby porzucenie ideałów bardzo „liberalnych”, a nawrócenie się do poglądów bardzo „konserwatywnych”. Mianowicie. Od trzech lat prezydent Rzeczypospolitej nie zatwierdził ani jednego wyroku śmierci, nie spadła ani jedna głowa. Nagle w styczniu r. b. w miejscowości Béthune ścięto czterech zbrodniarzy, a w kilkanaście dni później w Carpentras jednego. W obu miejscach zgromadziła się mnoga publiczność, lecz, zamiast przypatrywać się egzekucji w „grobowej ciszy i skupieniu ducha”, widzowie zachowywali się, jak można najnieprzyzwoiciej: śmieli się, śpiewali, wykrzykiwali na cześć kata i wymyślali skazanym.

Co to ma być?... Objaw dzikości, czy też dowód, że kary śmierci skasować nie można, że w społeczeństwie jest ona niezbędna, że wreszcie — upomina się o nią głos ludu, głos Boga?...

Zapytany przez dziennikarza francuskiego p. R. Anderson, jeden z najdoświadczeńszych nacze'ników angielskiej policyi, takie zdanie wypowiedział o karach wogóle:

— Jeżeli u nas trafia się na rok tylko 15 do 20 morderstw, zawdzięczamy to naszej surowości dla przestępców. U nas sprawiedliwość nie poddaje się uczuciom, jak to bywa we Francji. My przedewszystkiem dbamy o interes społeczeństwa, a dopiero później o jednostki. Nigdy nie wyrzeknę się przekonania, że najczęściej tylko pewność śmierci hamuje zbrodniarza. To też nieboszczka królowa Wiktoria, choć była pełna litości, nigdy jednak nie interweniowała na korzyść zbrodniarzy. Natomiast wasz prezydent zbyt często poddaje się osobistym uczuciom.

Taką jest opinia p. Andersona: zbrodniarzy trzeba karać surowo, szybko, bez żadnych sentymentów, jeżeli społeczeństwo ma być bezpiecznym.

— A co pan sądzi o naszych „apaszach” (bandytach paryskich)?... — pytał w dalszym ciągu Anglika dziennikarz.

— Myślę, że to jest wstyd dla całej Francji. Przed dwudziestoma laty my też mieliśmy swoich apaszów, lecz pozbyliśmy się ich bardzo prędko...

— Jakimże sposobem?

— Przez stosowanie kary cielesnej. Ile razy bandyta posługiwał się nożem lub rewolwerem, do ciężkich robót dodawano mu porcję batów... Zastosujcie u siebie „kota z dziewięcioma ogonami”, a za pół roku Paryż będzie wolny od apaszów...

Trzeba dodać, że w Anglii czężkie roba-

ty są bardzo przykre, a najgorszą z nich ma być „koło obracające się” czyli—deptak, w którym skazany musi dreptać po kilka godzin dziennie. Kto tego raz spróbował, nie chce narażać się po raz drugi.

Mamy więc za utrzymaniem kary śmierci dwa głosy: francuskiego ludu i angielskiego fachowca. Dodać trzeba, że w tym samym duchu przemawia większość sędziów kryminalnych i nawet kapelani więzienni: tylko kara śmierci jako tako hamuje zbrodniarzy...

Przypatrzmy się nieco bliżej tym opiniom: „głosowi ludu” i fachowców.

A naprzód: co to znaczy reakcja?...

Jeżeli uderzysz ręką w stół, to i stół uderzy ciebie w rękę; jeżeli gałąź drzewa ciągniesz na dół, to ona ciebie stara się pociągnąć do góry; jeżeli przestraszysz psa, ten zacznie szczekać na ciebie, albo nawet i ukąsi; jeżeli potrąciszesz przechodnia na ulicy, zwymyśla cię, a przynajmniej spojrzy surowo. Oto są przykłady reakcji.

Coś podobnego odbyło się we Francji w sprawie kary śmierci. Od roku 1880 do 1901 ilość ciężkich przestępstw powoli stopniowo zaczęła się zmniejszać; w następstwie czego w gazetach, w parlamencie i wśród publiczności odezwały się głosy, przemawiające za ulgami dla dla więźniów i zesłańców do ciężkich robót, tudzież—za zniesieniem kary śmierci. Była to więc czysta reakcja, czysty odruch społeczny: ponieważ zmniejszyły się zbrodnie, więc trzeba zmniejszyć i karę.

Jakóż zmniejszono. Więzienia francuskie stały się podobno wcale przyjemnymi miejscami pobytu; Nowa Kaledonia, dokąd wysyłają najgorszych zbrodniarzy, jest Edenem, gdzie tylko myślą o jednym: ażeby skazańcy mieli jak najmniej pracy a jak najwięcej swobody i wygod. A nareszcie, gdy w styczniu roku 1906 Fallieres został prezydentem republiki, począł ulaskawiać wszystkich bez wyjątku skazanych na śmierć, między którymi, powiedzmy to, znajdowali się nieraz straszni hultaje.

Gdy naprzykład jednego zakich zuchów spytano: dla czego zabił przechodnia, który nawet nie miał pieniędzy? morderca odpowiedział: „ażeby nie wyjść z wprawy”... Inny zbrojny na pytanie: dla czego zabił? odparł: „bo mi się nudziło”!

Krótko mówiąc, skutkiem rozmaitych ulg, jakich udzielano ciężkim przestępcom, morderstwa stały się częstsze i okrutniejsze, niekiedy wręcz—obrzydlive. Zaś mordercy nie tylko nie okazywali żadnej skruchy, lecz przeciwnie mieli doskonały humor w więzieniu, rachując na pewno, że prezydent ulaskawi ich od śmierci, a w Nowej Kaledonii można będzie uprzyjemnić sobie pobyt.

Powiedzieliśmy, że zbrodnie stały się częstszymi. Istotnie, gdy w roku 1901 ciężkich przestępstw spełniono we Francji około 1,000 w r. 1805 liczba ich podniosła się do 1,313 a w 1907 do 1,437. Wobec tego w społeczeństwie zaczęła się reakcja nowa, wprost przeciwna dawniejszej. Gazety, osoby prywatne, rady miejskie i sądy przysięgłych tak natarczywie upominały się o stosowanie kary śmierci, że narosł parlament większością 130 głosów odrzucił wniosek usunięcia z kodeksu gilotyny a prezydent postanowił znacznie oględniej posługiwać się prawem łaski.

Ale powtarzam, jak poprzednio żądanie ulg dla przestępców było autentycznym odruchem społeczeństwa na zmniejszenie się liczby występów, tak znowu dziś, wołanie o gilotynę, są również autentycznym odruchem na

zwiększenie się ilości zbrodni. Przy czym w tej ostatniej reakcji jedną z pobudek jest trwoga. Publiczność zaczęła lękać się bandytów, więc stała się dla nich okrutniejszą.

A oto dowód, że obawa odgrywa tu wielką rolę. Kiedy między rokiem 1901 i 1908 liczba ciężkich występów wzrosła o 31 procentów i o 43 proc. W tym samym czasie liczba wyroków skazujących na śmierć, (choć nie wykonanych) zwiększyła się o 200 proc. do 330 procentów!... Innymi słowy: oburzenie i surowość publiczna spotęgowała się sześć do ośmiu razy silniej, aniżeli występki. Coś podobnego zdarza się w latach drożyzny, że cena chleba—pod wpływem obawy głodu—rośnie daleko prędzej, aniżeli zmniejsza się ilość zboża. Coś podobnego widzimy w tumultach, kiedy małe niebezpieczeństwo, wywoławszy trwogę, staje się przyczyną wielkich niesszczęść.

Tak więc w sprawie zniesienia czy utrzymania kary śmierci publiczność kieruje się nie rozważą, nie jakimiś obmyślanymi pobudkami ale—autentycznym odruchem i obawą. Prawda, że odruch i obawa, należą na tym świecie do potęg największych, ale—czy do najpraktyczniejszych?... to dopiero czas pokaże.

Co się zaś tyczy ludzi fachowych np. sędziów kryminalnych i organów policyjnych, ci znowu w kwestii kary śmierci zdają się ulegać rutynie, nałogowi. Tak było dawniej, więc niech będzie i teraz. Bardzo szanuję doświadczenie tych panów, ale swoją drogą ich poglądy przypominają mi starą medycynę, wedle której, jeżeli kto zachorował na gorączkę, trzeba było, ale to koniecznie trzeba mu było stawić pijawki, cięte bańki i puszczać krew. Gdy gorączka była mniejsza, npuszczano mniej krwi, gdy większa—zwiększano dżę, działano więc odruchowo. Działano też pod wpływem obawy o zdrowie pacjenta i—pod wpływem rutyny.

Słowem—dawniejsza medycyna oparta na krwi opuszczeniu i—dzisiejsze kodeksy karne oparte na karze śmierci, pod najważniejszymi względami są do siebie podobne.

Ale i dogmaty nasze ulegają głębokim choć powolnym zmianom a dzieje się to pod wpływem badań naukowych i odkryć naukowych. Takie badania np. w kwestii gorączki przekonały, że dla jej usunięcia nie zawsze należy puszczać krew, że zbytne upusty krwi mogą być szkodliwymi i że w pewnych razach gorączkę nierównie łatwiej daje się usunąć za pomocą chininy albo nawet—zwykłego odpoczynku...

I wogóle nowa medycyna, kierująca się nie „zwyczajami”, ale „badaniami” doszła do wniosku, że—takazwane heroiczne środki—jak: upusty krwi, wypalania ogniem albo lapisem, a choćby tylko—gwałtowne przeczyszczenia i wymioty nie zawsze są pożyteczne, owszem, bardzo często działają szkodliwie, pomimo, że wiara w ich skuteczność utrzymywała się przez wieki.

Także na innsym polu obiektywne badania naukowe wpływały na usuwanie środków heroicznych. Weźmy pedagogikę. Kto z nas nie pamięta nagan i kar wymierzanych dzieciom za to, że w „arogancki sposób” przymrużają oczy?... A kto nie słyszał rozpraw np. na taki temat: co lepiej, czy za nieuwagę bić dzieci w skórę, czy poprzestawać na łagodnych upomnieniach?... No i bito w skórę i udzielano łagodnych upomnień dopóki nie przyszła z jednej strony fizjologia, z drugiej psychofizyka i nie powiedziały:

— Nie gniewajcie się na dzieci, które

przymrużają oczy, gdyż nie robią one tego na złość, ale—z powodu krótkiego wzroku... Również nie bijcie w skórę dzieci, jeżeli po kilkogodzinnej pracy nie chcą uważać, gdyż nie jest to z ich strony zła wola, lecz poprostu—znużenie, wyczerpanie sił nerwowych...

Takie zmiany zaszyły w starej medycynie i w starej pedagogice; czy również coś podobnego nie zdarzy się w dziedzinie kodeksów karnych?

Niech mnie nikt nie posądza o zamiar bronięcia wielkich przestępców przed karami choćby i przed szafotem. Bywają indywidua tak zbrodnicze, tak nikczemne, a przytem tak sprytnie, tak umiejące uplanować zbrodnie, że tracą wszelkie prawo do ludzkiego współczucia. Nie oto więc chodzi ażeby nie ucięto głowy jednemu czy drugiemu hultajowi, ale o to, ażeby widziadło „kary śmierci” nie odwracało naszej uwagi od innych środków, może skuteczniejszych dla społecznego bezpieczeństwa.

Kto wie, czy zbrodniczość w społeczeństwie nie przypomina jakiejś choroby, która na zewnątrz objawia się wysypką, a wewnątrz polega na powolnym, nieznacznym rozkładzie tkanek. Gdy więc kodeks pakuje przestępcę do więzienia, to czyni, jak lekarz, który ową wysypkę zasypałby pudrem, albo zastoził kitąjką; gdy zaś kodeks ucina głowę zbrodniarzowi, notabene—schwytanemu, to czyni, jak chirurg, któryby wyciął krostę. Wszelako oba te sposoby, ani na włos nie powstrzymują wewnętrznego rozkładu tkanek, czyli — nie zmniejszają, nie łagodzą, nie usuwają złych uczuć i złych instynktów w społeczeństwie. To też widzimy od wieków jedno i to samo: więzienia są pełne, od czasu do czasu krew spływa z szafotów, ale liczba przestępstw, z roku na rok albo pozostaje taką samą, albo nawet zwiększa się...

Fakta te w jaskrawy sposób dowodzą, że nawet najostrzejszy kodeks karny nie jest lekarstwem na choroby społeczne zwane: występami.

Potrzeba więc czegoś innego, a przede wszystkim—jakiejś nowej nauki, jskiejś „medycyny społecznej” czy psychofizyki społecznej, która przedewszystkiem wyjaśniłaby powody obecnej zbrodniczości społeczeństw, a następnie wskazała rzeczywiste, nie urojone, środki lecznicze.

Kto wie, czy ta „medycyna społeczna” nie powie nam, że — jedna z najważniejszych przyczyn zbrodniczości jest... dzisiejszy pokój zbrojny w Europie, na który każde państwo marnuje co roku setki milionów rubli tak potrzebnych dla dla podniesienia pracy, oświaty i publicznego dobrobytu?... I kto wie, czy na drugim miejscu, owa „medycyna społeczna” nie postanowiłaby obowiązku, ażeby: klasy zamężne, oświecone i moralne, goręcej zajęły się losem jednostek i rodzin, nieoświeconych, niewychowanych, nie wiedzących nawet o tem, że istnieje jakaś różnica pomiędzy dobremi i złymi czynami?...

Ochrony i sale zajęć dla dzieci, kasy emerytalne dla pracowników, przytulki dla starców, domki i ogródki dla robotników, kooperatywy wszelkiego rodzaju, towarzystwa propagujące rozumną dyetę, trzeźwość i schludność, wreszcie — towarzystwa opiekujące się więźniami i uwolnionymi z więzień — oto nowe narzędzia do walki z występkiem. W kwestii uzdolnienia społeczeństw stokrotnie większe oddałyby one usługi, aniżeli najsurowszy kodeks karny i najsprawniej działająca gilotyna.

1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900





JÓZEF RYSZKIEWICZ

PO POGROMIE
Z V „Salonu” warszawskiego 1908 r.

Twórczość Zaleskiego zasługuje na nie-
mniejsze uznanie i pod względem historycznym.
Malując z zapałem otaczającą go rzeczy-
wistość, przeniósł na płótno i pozostawił na
wieki plastyczny, żywy, obraz zewnętrznego
wyglądu Warszawy, Krakowa, Poznania i Wil-
na w chwili gdy na nie patrzeć. Prace te są
źródłami dokumentami do poznania minionej,
a oddzielonej od nas dziesiątkami lat epoki,
dają nam nie tylko wygląd lecz i wyraz ówczes-
nego życia, pozwalają odtwarzać sobie w umy-
śle gmachy, i ulice, całe, często, miejskie kra-
jobrazy, których obecnie i śladu już niema.
Obrazy Zaleskiego, mogą się znajdować tak
samo w galeriach sztuki poświęconych, jak
i w muzeach miast—to i tam na właściwym
zajdą się miejscu.

Obok działalności malarskiej, długoletni
profesor malarstwa architektonicznego i per-
spektywy, jakim był Zaleski, rozwijał na sze-
roko skalę swą działalność pedagogiczną. Wy-
kształcił on kilku pokoleń malarzy, z których
od słynnej w historii sztuki naszej plejadi
pierwszych uczniów założonej w 1844 r. b. szkoły
sztuk pięknych, do których należeli: Gerson,
Brodowski, Pilloti, Gierdziejewski, Tegarro,
Kostrzewski i tacy inni, aż do generacji
należącej do klasy rysunkowej w roku
1868—roku, w którym otrzymał emeryturę.
A i to generacja może się poszczycić nazwi-
skami: Chełmońskiego, Kowalskiego, Wilhelma
Kotarbińskiego, Szyndlera, Czachórskiego.

Jeżeli po swej długoletniej pedagogicznej
karyerze, Zaleski nie pozostawił ani jednego go-
dnego siebie w swej specjalności następcy.
te winę przypisać należy nie profesorowi, lecz
prądom w sztuce panującym które w innym
kierunku rozwijały młode talenty. W każdym

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Za pośrednictwem W. Kosiakiewicza, felie-
tonisty *Słowa*, dr. St. Tarczyński poruszył
kwestię: „utworzenia u nas Instytutu fizyczne-
go dla potrzeb szkolnictwa i popularyzacji
nauk doświadczalnych”. Ważny ten projekt
gorąco poparł *Kurier Warszawski* a nadto po-
mieścił parę artykułów, wyjaśniających i uzu-
pełniających myśl dra Tarczyńskiego.

„Na początek—mówił dr T.—dla Instytu-
tu fizycznego wystarczyłby jeden pokój, gdzie
możnaby gromadzić przyrządy fizyczne. Pew-
ną ich liczbę niezawodnie otrzymałoby się
w darze od optyków, w zamian za godziwą
reklamę. Z czasem powstałaby instytucja po-
ważna i samodzielna, której zadaniem byłoby
doświadczenia fizyczne, ilustrujące teorie.
Nauczyciele fizyki przyprawdzałiby tu swoich
uczniów, aby eksperymentem dowieść praw-
dziwości wykładów. Żadna wiedza publicz-
ność sama wykonywałaby tu doświadczenia,
według katalogu, który byłby podręcznikiem.
Nareszcie wcieczki do takiego muzeum wpro-
wadziłyby chłopców ze szkół niedzielnych na
drogę samodzielną, gdzie później sami, własną
praktyką, mogliby uzupełnić wiedzę teore-
tyczną”.

Więc instytut fizyczny, czy pracownia
fizyczna, byłby to pewien rodzaj szkoły, w któ-
rej ludzie chętni mogliby przypatrywać się zja-
wiskom fizycznym, poznawać odpowiednie na-
rządzia i—oswajać się z zajęciami z doświad-
czeniami. Według mnie to „oswojenie”, ale

porządne, gruntowne, oswojenie publiczności
z metodami badań fizycznych, i nie tylko oswo-
jenie, ale—głębokie nasiąknięcie metodami na-
uk doświadczalnych, stanowi dla naszego na-
rodu sprawę pierwszorzędną.

— Ho!... ho!... — zawoła czytelnik — tych
spraw „pierwszorzędnych dla narodu” coś
u pana dobrodzieja za dużo. Prawie każ-
dy tydzień przynosi jakąś sprawę pierwszo-
rzedną...

Ma pan słuszność: spraw pierwszorzęd-
nych u nas i nie u nas jest w rzeczy samej
bardzo dużo. Zdrowie i długie życie mies-
kańców, obfitość pokarmów, wielka ilość pra-
cy użytecznej, mądra oświata, życzliwe stosun-
ki między ludźmi, są sprawami pierwszo-
rzednymi, do których—u nas dodałbym: naby-
cie dobrych zwyczajów ekonomicznych i...zdo-
bycie sztuki porządnego, metodycznego my-
ślenia.

Innemi słowy: jest w najwyższym stop-
niu pożądane, ażebyśmy choć w pewnym stop-
niu „przekształcili” nasze dotychczasowe spo-
soby myślenia; do osiągnięcia zaś tego celu
pomogą nam, między innymi nauki fizyczne.

Przypomnijmy sobie: co to jest fizyka?
Jest to nauka, która odpowiada na tego oto
rodzaju pytania. Dla czego kamień niepod-
party spada na ziemię po linii pionowej i dla
czego kamień rzucony ręką—leci po jakiejś
linii krzywej, zanim upadnie? Dla czego okręt,
obity stalowymi płytami, nie tonie, choć każda
pojedyncza płyta natychmiast idzie pod wodę?
Dla czego balony i latawce unoszą się w po-
wietrzu? Dla czego struny, pocierane smycz-
kiem, wydają dźwięki jedne wyższe, inne niż-
sze? Zkąd pochodzi echo? Jakim sposobem
płytki gramofonu chwyta, przechowuje i po-



wtarza głosy? Dla czego ciągle zniża się i podwyższa słupek merkuryusza w barometrze, a dla czego w termometrze? Dla czego przez lornetkę wyraźniej widzimy, aniżeli gołym okiem i dla czego szkła szlifowane w pewien sposób mienia się kolorami tęczy? Dla czego lokomotywa a dla czego tramwaj elektryczny toczą się po szynach, chociaż żadne konie ich nie ciągną? Jakim sposobem depesza w parę minut dostaje się z Warszawy do Lublina po drucie albo z Paryża do Marsylii bez drutu? i tak dalej.

Koniecznem, ale to koniecznem dopełnieniem Instytutu fizycznego byłby Instytut chemiczny; jak chemia jest niby siostrą fizyki. Zaś chemia odpowiada znowu na takie oto pytania. Dla czego ludzie i zwierzęta oddychają powietrzem, a duszą się gazem oświetlającym, albo tym, który wypływa z syfonu wody sodowej? Dla czego drzewo płonie w powietrzu, opłiki żelazne palą się w czystym tlenie a miedziane w chlorze? Dla czego cukier rozpuszcza się a miedź nie rozpuszcza się w wodzie, ale za to miedź rozpuszcza się w kwasie siarczanym a złoto nie? Dla czego żelazo rdzewieje w powieju w powietrzu a zaś rdza przepalona z węglem daje znowu czyste żelazo? W jaki sposób metale otrzymują się z rud? w jaki sposób stal robi się z żelaza? czy naprawdę woda, która gasi ogień, składa się z materiału wysoce palnego i—podtrzymującego palenie? Dla czego wybuchają dynamity? Czy prawda, że prawie każdy materiał np. chleb, mięso, sukno, drzewo, można rozkładać na inne, prostsze materiały, jak wielobarwną wstążkę na nici różnych kolorów? I tak dalej!

Podobnych pytań możnaby stawiać setki i tysiące a każde z nich tylko uwidoczniłoby starą prawdę, że — z fizyką i chemią spotykamy się w każdym czasie i na każdym miejscu: w domu, w kuchni, na ulicy, w kopalniach, hutach, piekarniach, browarach, farbiarniach, aptekach, słowem — w każdej dziedzinie życia i pracy. Bez ruchu, dźwięku, ciepła i światła, bez powietrza, pokarmów, opału, lekarstw czy podobna! wyobrazić sobie istnienie? albo czy można pomyśleć o cywilizacji bez elektryczności, machin parowych, bez metalów, sody, siarki, kwasu siarczanego, azotnego i t. d.?

Fizyka i chemia są to dwa przepotężne genjusze, za pomocą których ludzkość wydobywa największe a niezbędne dla niej skarby: z ziemi, wody, powietrza, słońca. Ale nie na tem kończy się użyteczność wspaniałych nauk.

Przypuśćmy, że jakiś barbarzyńca znalazł na jakimś wzgórzu — kamień zupełnie przezroczysty, w formie dwuwypukłej soczewki. I przypuśćmy — że spojrzawszy przez niego dostrzegł, iż przedmioty, na które w ten sposób patrzy, wydają mu się większe, bliższe, wyraźniejsze.

Ponieważ jak powiedzieliśmy, jest to człowiek półdziki, umysłowo nierozwinięty, więc przede wszystkim kamień ten obudzi w nim uczucie podziwu i radości. Dalej — nazwie on ten kamień „cudownym”, pomyśli, że zesałty mu go dobre duchy w nagrodę cnót. Sąsiedzi jednak, równie jak on mądrzy, lecz nie ufający jego cnotom, powiedzą sobie, że kamień jest niewątpliwie cudowny, ale dla tego, że został znaleziony na niemniej cudownem wzgórzu, po pełni księżycowej, gdy słońce stało w konstelacji Bliźniąt w planeta Wenus świeciła nad ranem.

I w ten sposób niezdolni do rozważań barbarzyńcy utworzyliby może nawet ładną

i wzruszającą choć niedorzeczną legendę o cudownym kamieniu.

Lecz gdyby ten kamień „powiększający” pokazano, i powtórzono legendę o nim, człowiekowi umiającemu myśleć, ten powiedziałby co następuje:

— Właśność kamienia nie zależy od wzgórza, na którym go znaleziono, gdyż na tem samem wzgórzu inne przezroczyste kamienie nie „powiększają”. Nie zależy ona też ani od pełni księżyca, ani od konstelacji Bliźniąt, ani od planety Wenus, gdyż inne kamienie, znalezione pod wpływem tych samych ciał niebieskich i konstelacji, nie powiększają oglądanych przez nie przedmiotów. Właśność ta może jednak zależeć od dwuwypukłości kamienia, gdyż wypukłe szkło a nawet woda w wypukłej butelce także na pozór powiększają przedmioty.

Rozważny ten człowiek, gdyby miał czas i narzędzia, może wzięty kawałek szkła, oszlifował je odpowiednio i przekonałby się, już niezawodnie, że właśność „powiększania” przedmiotów, zależy od formy ciała przezroczystego. Odkrywszy zaś to, przy dalszej cierpliwości i pracy, może wyszlifowałby więcej rozmaitego kształtu i wielkości soczewki i za pomocą mnóstwa prób i zestawień, może doszedłby do zbudowania — z jednej strony lunety, z drugiej — mikroskopu, które spotęgowałyby nadzwyczajnie siłę jego wzroku.

Czemże tedy barbarzyńca różni się od człowieka, który umie myśleć metodycznie?... Oto tem, że myśl rozwinięta posiada — jakby więcej pięt. Barbarzyńca — 1-mo spostrzega coś niezwykłego, 2-do tworzy sobie o tem jakiś pośpieszny pogląd, który z czasem 3-io może przekształcić się na bardzo piękną bajkę. Że zaś człowiek ucywilizowany 1-mo spostrzega coś, 2-do tworzy pogląd czy przypuszczenie, 3-io krytykuje to przypuszczenie, zapytuje: czy ono jest prawdziwe, 4-o sprawdza swoje hipotezy zapomocą rozmaitych prób i doświadczeń 5-o odkrywając istotną przyczynę jakiegoś zjawiska, stara się zużytkować ją w dalszym ciągu, zastosować do potrzeb życiowych.

Barbarzyńcy od wieków wiedzieli, że para gotującej się wody i ciepły dym, że liść pod wpływem wiatru unoszą się w powietrzu, Ale dopiero ludzie ucywilizowani, ludzie umiający rozmyślać naukowo, z owego ciepłego dymu zrobili pierwszy balon a na wzór liścia zbudowali dzisiejsze awiatory. Nie stało się też zaraz, niekiedy setki lat trzeba było czekać na zużytkowanie dawnych spostrzeżeń do nowego wynalazku, lecz zastosowanie to dla myśli naukowej było możliwe, dla barbarzyńskiej — nieprawdopodobne:

Powtarzam: myśl nierozwinięta ma jakby trzy piętra, bardzo chwiejne; myśl naukowa posiada pięć i więcej pięt, silnie wymurowanych!... A wszystko to zawdzięcza ćwiczeniom naukowym, wśród których fizyka i chemia największą odgrywają rolę. To w naukowych pracowniach — przede wszystkim — uczy się człowiek uważnej obserwacji, ostrożności w wypowiadaniu sądów, cierpliwości w dokonywaniu licznych i rozmaitych prób, umiejętności wyprowadzania płodnych wniosków.



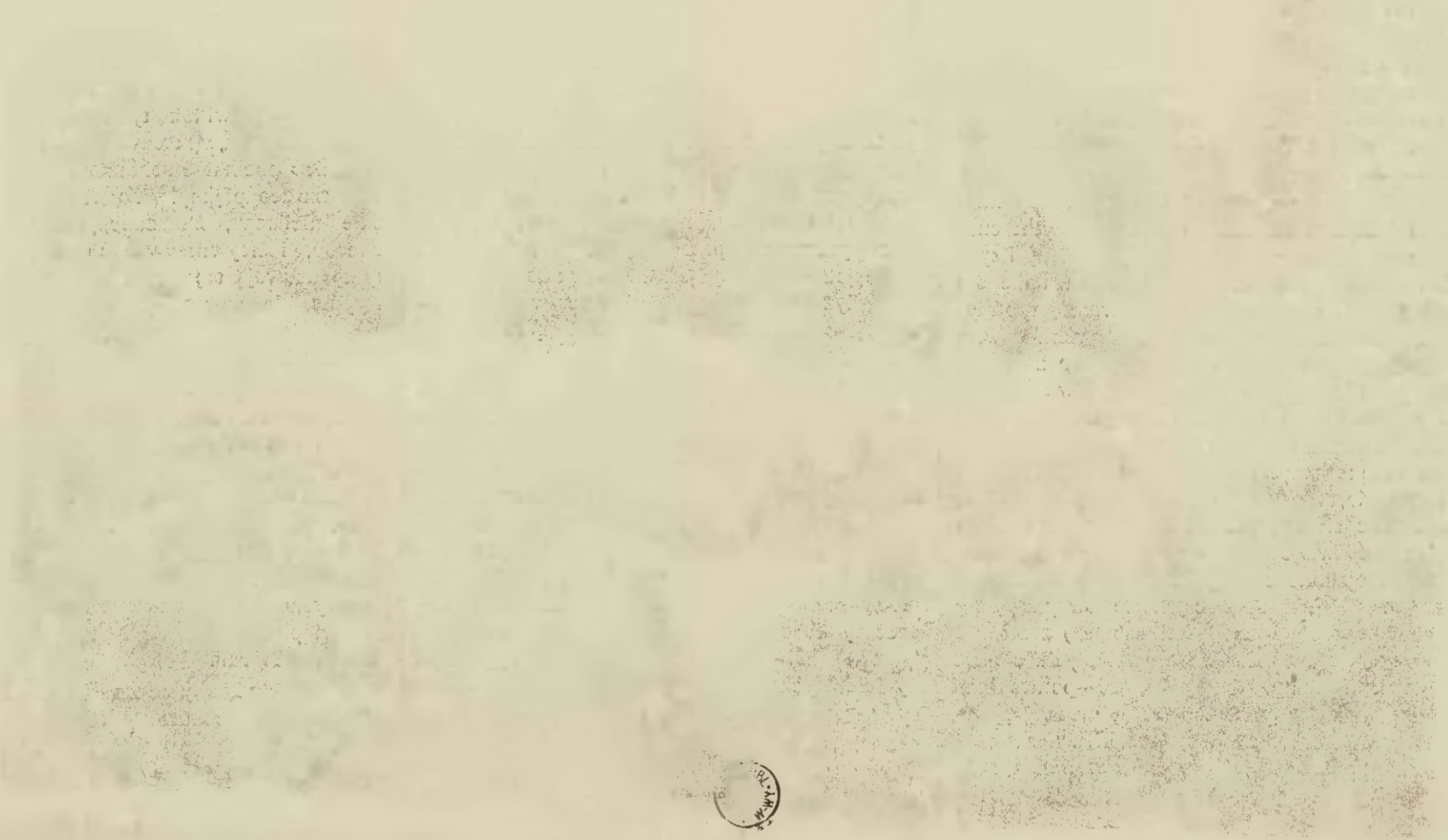
Dzięki wzbogaceniu i wygimnastykowaniu myśli, społeczeństwa ucywilizowane potężnie przewyższają barbarzyńców. Na takim szmacie ziemi, gdzie ledwo stu czerwonoskórców żyje w nędzy, mieszka 10 — 20 tysięcy anglosaksonów, opływających we wszelkie dostatki, wygody i zabezpieczenia, Barbarzyńca nie potrafi zbudować maszyny parowej, młocarni, siewnika, armaty, okrętu, co najwyżej — na widok tych cudownych przedmiotów może „wpaść w natchnienie” i wypowiedzieć poemat ewentualnie bardzo malowniczy, bardzo piękny. To też ludy barbarzyńskie nieliczne, źle zabezpieczone od głodu, chorób, i ucywilizowanych nieprzyjaciół, nie tylko usuwają się przed nimi ze swoich terytoriów, ale wprost giną, wymierają, pomimo, że nie obcą im jest ornamentyka, wymowa i poezja!..

W jakiejś książce o „Wiedzy tajemnej” wyczytałem zdanie, że Mag, czyli cudotwórca, jest to taki człowiek, który w rękach swoich potrafił skupić — jak najwięcej sił natury. Otóż takimi magami są ucywilizowane społeczeństwa, pod kierunkiem ludzi naukowych; one bowiem posługują się: ruchem mechanicznym, odczułością, ciepłem, światłem, dźwiękiem, elektrycznością, siłami chemicznymi a w przyszłości posługiwać się będą jeszcze jakimiś, nam nieznanymi.

Aby żyć, aby rozwijać się, aby coś znać, trzeba posiadać jak najrozsłabsze siły, jak najwięcej sił; trzeba je znać, umieć nimi kierować, umieć je wywoływać, być przygotowanym do odkrywania sił nowych, do opanowania ich i zużytkowania na swoją korzyść. Tęcej zaś władzy nad siłami, takiego czarnoksiężstwa, uczy — przede wszystkim — fizyka i chemia. Barbarzyńca umie podziwiać, lękać się, albo ciężyć, w rzadkich wypadkach korzystać. Zaś człowiek ucywilizowany nie tylko rzeczy przydatne zna, nie tylko je posiada, ale jeszcze umie je wyrabiać a nawet odkrywać i wynajdywać te, jakich mu brakuje,

A my?... Czemże jest nasze stanowisko wśród ludów?... Na widok rzeczy nowej umiemy się ucieszyć, podziwiać ją, przestraszyć, a nawet opowiedzieć o niej wierszem lub prozą i... na tem koniec... Sił mechanicznych, cieplikowych, elektrycznych, chemicznych posiadamy niezbyt wiele, posługujemy się nimi w granicach dosyć skromnych; nowych machin i motorów nie budujemy sami, lecz sprowadzamy je z zagranicy, a o wynalazkach naszych jakoś... nie słyszą... Czemże więc jesteśmy w cywilizacji?... jaką mamy pewność dalszego rozwoju, a nawet — jaką pewność dłuższego istnienia?... A wszystko dzięki temu, że, posiadając nie mało umysłów literackich, artystycznych i poetyckich, liczymy między sobą niestęchanie... niestęchanie mało ludzi z umysłowością naukową, wykształconych na fizyce i chemii...

Oto dlaczego potrzebne nam są Instytuty fizyczne, doświadczenia, odczyty, podręczniki. Oto dlaczego młodzież nasza, jeżeli naprawdę troszczy się o przyszłość kraju, powinna jaknajgorliwiej zajmować się temi naukami. Niech na początek przerabia sama i z młodszymi kolegami te skromne doświadczenia, jakie znajdują się opisane w Fizyce bez przyrządów S. Kramsztyka, w Fizyce B. Stewarta, w Chemii H. A. Roscoego, niech czyta Bańki mydlane Boya, O świetle I. Tyr-dalla, niech korzysta z przyrządów Uranii i przypatruje się doświadczeniom w Muzeum przemysłu i rolnictwa, a już tem samem robi pierwszy krok — w zdobyciu naukowego myślenia.



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Pan Roman Dmowski, prezes Koła polskiego w Petersburgu i jeden z wodzów narodowej demokracji, ostatecznie złożył mandat poselski, czyli usunął się od działalności politycznej. Czy jeszcze do niej powróci? czy tymczasem zajmie się kierownictwem spraw wewnętrznych społeczeństwa? pokaże przyszłość. W każdym razie z jego ustąpieniem zakończył się akt pierwszy politycznej gry obecnego pokolenia w Królestwie Polskiem.

Ani myślę za wszystko, co się stało, robić odpowiedzialnym p. Dmowskiego, choć polityk ten już stał się kozłem ofiarnym, nawet dla pewnej części swoich niedawnych stronników. Jeżeli są winy, a są niewątpliwie, spadają one najpierw na całe stronnictwo narodowo-demokratyczne, powtóre—na całe nasze społeczeństwo, a przynajmniej tę jego część, która powołana była do wybierania posłów, potrzebie—na mnóstwo okoliczności zewnętrznych, do jakich, między innemi, należy reakcja w państwie rosyjskiem, niechęć „prawdziwych Rosyan” do Polaków, wpływy berlińskie i t. d. Ci, którzy bliżej znają p. Dmowskiego, twierdzą, że w swoim stronnictwie należał on do najtrzeźwiejszych i najjaśniej patrzących na wypadki.

Usunąwszy w ten sposób wszelkie kwestye osobiste, postaram się wypowiedzieć szczerze zdanie o naszej dotychczasowej polityce, jak zwykle, nie roszcząc najmniejszej pretensyi do nieomylności. Jeżeli będę się mylił w ocenach, poglądach i wierzeniach, błędy te łatwo

dadzą się sprostować, lecz naród w żadnym wypadku nie poniesie z nich szkody.

Dotychczasową naszą politykę w okresie konstytucyi rosyjskiej można zdefiniować paroma wyrazami: na zewnątrz klęska, klęska i klęska, na wewnątrz chaos, chaos i chaos...

Nie tylko nie uzyskaliśmy jakichś specjalnych, choćby skromnych ulg dla naszej narodowości, lecz naraziliśmy się na ograniczenia, dzięki którym straciliśmy stowarzyszenie gimnastyczne Sokołów, stowarzyszenie oświatowe Macierz szkolna i uszczuplona została działalność płockiej Macierzy rolnej.

Rząd rozdrażniliśmy w takim stopniu, że pozbawiono nas większej części posłów do Dumy.

W rosyjskiej opinii publicznej nie potrafiliśmy obudzić dla siebie sympatii, owszem, straciliśmy tę, jaka już rodziła się w epoce przedkonstytucyjnej.

W Dumie zniechęciliśmy partye postępowe, nie pozyskawszy partyi konserwatywnych.

Z mównicy parlamentarnej nie umieliśmy korzystać w taki sposób, ażeby z jednej strony przekonać naród rosyjski, iż jesteśmy mu życzliwi, że potrafimy walczyć za „naszą i jego wolność”, i ażeby z drugiej strony—plastycznie, dobitnie przedstawić Rosyi nasze ciężkie, nasze nieszczęśliwe położenie pod względem politycznym, ekonomicznym, oświatowym, wyznaniowym i narodowościowym. Rosya np. nie słyszała tego, że od pewnego czasu ulegamy najazdowi niemieckiemu od zachodu a żydowskiemu od wschodu; jeden zaś i drugi dokonywa się intencjonalnie i systematycznie. Również nie usłyszała od nas Rosya, że np. w stosunku do ilości mieszkańców, Żydzi mają daleko więcej, bez żadnego porównania więcej, swoich szkół początko-

wych, aniżeli Polacy. Dzięki czemu praktycznie każdy Żyd umie czytać, pisać i rachować, czego trzy czwarte ludności polskiej nie umie. Jesteśmy więc rozbrojeni nawet w stosunkach handlowych. Pisząc to, Boże broń, nie chcę jakichś ograniczeń dla Żydów; pragnąłbym tylko większych praw do oświaty dla Polaków.

Dzięki rozdmuchiwaniam polskiego nacjonalizmu wywołano silne rozdrażnienie w sprawach: rusińskiej, litewskiej żydowskiej, niemieckiej. Dzięki znowu nietolerancji partyjnej i polskie społeczeństwo rozdzieliło się na grupy, poprostu nienawidzące się wzajemnie.

Niesumienna, nieuczciwa polemika partyjna oszkalowała, albo steroryzowała wielu ludzi poważnych, których zdanie mogło się przydać, mogło zapobiedz niejednemu błędowi, lecz albo nie zostało wypowiedziane, albo go nie usłuchano. Bo gdzie i kiedy podniecona opinia słucha ludzi, ogłoszonych za zdrajców!...

Ostatecznym rezultatem wszystkich tych zjawisk chorobliwych jest upadek ducha w narodzie. Najwięksi optymiści z przed lat dwu dziś już w nic nie wierzą: ani w autonomię, ani w konstytucję, ani nawet w to, że kiedyś skończą się stany wyjątkowe i powoli, stopniowo zapanują stosunki, oparte nie na samowoli biurokratycznej, ale na prawie.

Skąd pochodzi nasza zewnętrzna niemoc i rozstrój wewnętrzny? Z przyczyny bardzo napozór małej: nie umieliśmy dobrze sformułować naszych dalszych celów politycznych, nie umieliśmy postawić sobie programu na czas obecny i nie znaleźliśmy ludzi, którzy potrafiliby go wykonać, jeżeli nie w sposób genialny, o co trudno, to choćby rozsądny i przyzwoity, co jest bez porównania łatwiejsze.

Naszym programem na dalszą metę jest

1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900



1899
1900
1901
1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910

autonomii Królestwa Polskiego. Czy w założeniu ten tkwi coś niedorzecznego, albo przeciwnie państwowego?... Bynajmniej. Tylko autonomii polskiej nie należało opierać na kongresie wiedeńskim, o którym dziś już nikt nie pamięta, ale — na koniecznym rozwoju przyszłych wypadków.

Jakiż są te wypadki?

Widzimy w Europie, że naprawdę szczęśliwymi i pokojowymi są państwa kilku-niśnowe: Belgia, Dania, Holandia, Norwegia, Szwecja, Szwajcaria. I dalej widzimy, że państwa ogromne — decentralizują się, dzielą się na jednostki mniejsze, posiadające wspólny zarząd, słowem — stają się „nadpaństwami”, których drobniejsze części składowe mają więcej lub mniej obszerną autonomię, czyli — możność rządzenia się same sobą, według własnych potrzeb, przy życzliwym poparciu wspólnego zarządu.

Otóż państwo rosyjskie jest tak pbrzymie, tak różnorodne pod względem klimatów, ludności, dojrzałości cywilizacyjnej, że, prędzej czy później — musi, musi się stać „nadpaństwem”, którego pojedyncze części będą miały rozległy, narodowy samorząd. W tym zaś rozwoju autonomia Polski będzie tylko jednym z momentów, może trochę wcześniejszych.

Czy w taki sposób nasi posłowie formułowali kwestię autonomii Królestwa? Wcale nie. Postawili ją tak, że rozdrażnili opinię rosyjską, zamiast wskazać jej nowe, piękne widnokręgi. Przecież Rosya, ze względu na ludność i obszerność terytoriów, mogłaby być szczęśliwsza od Stanów Zjednoczonych, a potężniejsza od każdego państwa europejskiego, ale — trzeba odpowiednich reform, które ludom, Rosję zamieszkującym, dałyby istotny porządek, uczciwą swobodę, możność bezgranicznego oświecania się i potęgowania pracy.

Widzimy, że dalszy nasz cel polityczny: autonomia Królestwa, nie tylko został źle sformułowany, lecz w dodatku jego autorowie zapomnieli o pewnej zasadniczej prawdzie. Że każda reforma, jako całość organiczna, musi się rozwijać, rozrastać stopniowo; że, kto chce przejść tysiąc kroków, musi najpierw przejść pięćset... sto... pięćdziesiąt... trzy i dwa... A tymczasem politycy z narodowej demokracji, czy też całe stronnictwo, o prawie rozwoju i stopniowości nie dość że zapomnieli, ale nawet słysząc o niem nie chciało. Na dowód zaś opowiem nieprawdopodobną, a jednak rzeczywistą, historię.

W okresie najwyższej gorączki politycznej narodowi demokraci zwołali wiec poufny w ważnej sprawie. Towarzystwo było wyborowe, ale jednostronne. Miano zaś uchwalić wniosek w sprawie wystąpienia do Petersburga delegacji, która prosiłaby o szkoły polskie w kraju. Według telegramu, usposobienie dla tej idei miało być dobre.

No i zaczęły się narady, trwające prawie do rana. Przeczytano optymistyczny telegram, pogađano o szkołach polskich może kwadrans, resztę zaś czasu poświęcono takim oto kwestyom, że 1-mo w Królestwie namiestnikiem powinien być Polak, 2-do powinno być wojsko polskie i t. d. Echo tych „narad” odbiło się następnie w jednym z czasopism.

„Kiedy wychodziłszy — mówi naoczny świadek — znużeni i rozdrażnieni, pewien lekarz, człowiek bardzo rozumny, zapytał mnie: — Czy zaraz mam pana odwieść do Two-rek, czy za parę dni?...”

Rozumiałem — mówi dalej świadek — całą niedorzeczność, całe szaleństwo tych rozpraw, a jednak, zamiast wynieść się z dziwnego zebrania, nie tylko siedziałem prawie do końca, ale nawet zabierałem głos. Atmosfera obłąku przez każdego mówcę podniecana i potęgowana, opanowała najtrzeźwiejszych. I w ten sposób zmarnowaliśmy nie tylko kilka godzin, ależ i pięknych snów, ale bodaj czy... nie szkołę polską!”

Podobne wypadki miały miejsce nie raz i nie dziesiątki razy. Ludzie, zamiast dyskutować o rzeczach praktycznych, pod wpływem jednostronnego kierunku politycznego, braku jakiegokolwiek krytyki, a natomiast dzięki obfitej deklamacji, poprostu upijali się własnymi marzeniami. Były to nie narady polityczne, ale raczej posiedzenia morfinomanów. Trudno też dziwić się, że na tego rodzaju wiecach nie urządzono nic, żadnej praktycznej wskazówki dla posłów, wybierających się do Petersburga. To była kara za egoizm partyjny, za usunięcie tych wszystkich ludzi, którzy myśleli innym trybem, aniżeli narodowa demokracja.

Najpotężniejszą władzą ducha ludzkiego jest niewątpliwie — twórczość, ale twórczość porządna, naprawdę coś tworząca. Do tego jednak, obok fantazyi, potrzebna jest inna władza, mianowicie: krytycyzm, który każdy, choćby najpiękniejszy utwór fantazyi poddaje rozważeniu i pyta: czy to jest prawda? czy to jest

wykonalne?... czy mamy środki?... czy przedtem nie należy zrobić jeszcze czegoś innego i tak dalej.

Tej krytyki nie było i nie mogło być w jakimś „jednym” stronnictwie, gdzie mniej więcej wszyscy myślą jednakowo. Lecz krytycyzm konieczny musiałby znaleźć się w zgromadzeniu, w którym, obok narodowych demokratów, zasiadali by i postępowi demokraci i realisci i socjaliści i Żydzi i Niemcy i Rusini. Zresztą, gdyby nawet ograniczyć się na kilku pierwszych grupach, czyż przyszli posłowie, „plenipotenci narodu”, nie mieli obowiązku głęboko i obszernie obgadać program przyszłych swych zajęć z takim Spasowiczem i Piltzem, którzy znali rosyjskie stosunki i odznaczali się chłodnym, krytycznym sądem; ze Straszewiczem, który, pomimo gorącego serca, w dyskusji z Rosyanami odznaczał się godnością i taktem; z profesorami: Holewińskim i Baranowskim, działaczami z lat sześćdziesiątych, którzy doskonale pamiętali nasze błędy, popełnione wówczas; ze Świętochowskim, który nie tylko reprezentuje stronnictwo, ale rozumie i — bardzo rozumie — wartość kultury, wartość cywilizacyjnej pracy narodu; z Kulczyckim, zdolnym publicystą i znawcą rewolucyi, Suigowskim, gruntownym znawcą naszej gospodarki, miejskiej i samorządu rosyjskiego; z Osuchowskim, pierwszorzędnym działaczem społecznym. Nazwiska te bynajmniej nie wyczerpują listy biegłych, których należało zawezwać do narad nad programem, nad najbliższymi zadaniami polskich posłów.

— Łatwo udzielać rad *post factum*! — powie czytelnik. — Dlaczegoż jednak we właściwym czasie nie odzywano się z podobnymi upomnieniami?

Owszem, odzywano się, a oto próbka jednego z wielu głosów, na kilka dni przed wyborami do pierwszej Dumy. „Zasada solidarności” wymaga, ażebyśmy my, Polacy, umieli, przynajmniej chwilowo, przypominać o różnicach partyjnych, a pamiętali o fundamentalnych interesach narodowych... Sprawiedliwość domaga się nie tylko tego, ażeby żadna z mieszkających obok nas narodowości nie była pokrzywdzona, ale jeszcze, ażeby każdy prąd społeczny, każda partya, miała należyty udział w wyborze posłów i dawanii im instrukcyi. Narodowcy, postępowcy, socjaliści, realisci, bezpartyjni, to nie wytworzy czyjejs fantazyi, ale przedstawicielem ważnych potrzeb społecznych.

Trzecim punktem jest... godność narodu. Na miłość Bożą, obywatele! pamiętajcie, że posłowie, przez was wybrani, staną wśród obcych, że muszą zabierać głos w kwestyach, stanowiących o życiu lub śmierci dla nas; że zatem posłowie ci nie mogą być ani nieukami, ani ludźmi tępych umysłów, ani pustymi deklamatorami, ani fanatykami jakiejś nacyonalistycznej czy społecznej teoryi, ale muszą być rozumnymi obywatelami, o ile można, stojącymi na poziomie europejskiej cywilizacyi. Jeżeli nie będą takimi, wówczas ośmieszą nas ich jałowe frazesy, zaprzepaszczą naszą świętą sprawę w nieuctwie i jeszcze swoim fanatyzmem przysporzą nam wrogów.”

Czytelnik sam osądzi: w jakim kierunku i w jakim stopniu sprawdziły się te ostrzeżenia. Można więc było przewidywać dzisiejsze wypadki, ale... nie chciało bawić się w przewidywania, ufało się w swoją dobrą gwiazdę.

Co robić dzisiaj?... Przedewszystkiem — cofnąć się do gruntownego porozumienia z przedstawicielami wszystkich stronnictw, do tego, co należało zrobić od początku. A co będzie dalej? zobaczymy.

BOLESŁAW PRUS:

Prowokatorowie i tam dalej.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Otrzymałem list, mniej więcej następującej treści:

„To, co opowiem, stało się dosyć dawno. Nie miałem lat dziesięciu, kiedy, pewnego dnia, na naszym dziedzińcu ukazał się człowiek, z którym ojciec mój przeprowadził niezbyt długą rozmowę. W tej chwili do pokoju weszła stara niania a zobaczywszy przez okno, z kim ojciec rozmawia, załamała ręce i szepnęła:

— Co nasz pan robi najlepszego?... Przecie to szpieg?...

Znaczenia wyrazu „szpieg” nie rozumiałem. Ale głos nianki, jej wyraz twarzy i postawa były niezwykle, że ogarnęło mnie przeżenie, którego opisać nie potrafię. Odsunąłem się od okna, a ile razy później zobaczyłem owego pana, uciekałem i kryłem się przed nim. Co dziwniejsza: nikomu ze znajomych nie powfórzyłem słówka, które niania wypowiedziała o nim.

Jeszcze dziś mam wstręt do tego wyrazu i wolę zastępować go mniej przykrym rzeczownikiem: donosiciel.

Otóż za moich czasów, prawie takim był ogólny nastrój dla donosicieli. Budzili oni uczucie grozy. Nawet nie lubiono o nich rozmawiać, lecz każdy wiedział, jak od samego przyjscia na świat, że—należy się ich bardzo wystrzegać. Istniała jakaś ciemna, głucha wiara, że osoby takie, jednakże różnią się od ludzi, że potrafią stawać się prawie niewidzialnymi i słuchać przez ściany.

Taki dziwny przesąd zasiadał w mojej duszy niania. Z czasem, naturalnie, przestałem wierzyć we wszechsłyszalność i niewidzialność donosicieli; w każdym razie z ich powodu pozostała mi niezwykła pamięć.

U nas, jak wiadomo, istnieje pewna skłonność do spisków, ponajwięcej części nie groźnych; zaś autorowie ich i współdziałacze bardzo często lubią swoje tajemnice wygłaszać w teatrach, cukierniach, na ulicach i t. p. Nic dziwnego, że niekiedy i o mnie ocierał się niejedną taki spiskowiec. Lecz gdy chciałem mnie wtajemniczyć w swoje okropne zamiary, natychmiast przerywałem mu:

— Drogi panie, tylko żadnych sekretów!

— Dlaczego?

— Widzi pan dla tego—odpowiedziałem. — Ponieważ pana lada dzień aresztują za... nierozwagę i ponieważ, siedząc w kościele, przedewszystkiem zacznie pan rozważać: kto pana zdradził?... więc ja nie życzę sobie, ażeby, między nazwiskami, które wówczas przyjdą panu na myśl, znalazło się i moje...

— Ale któżby pana posądzał!...

— Przepraszam... Ja nawet nie chcę figurować w takiej głowie która potrzebuje kogo kolwiek posądzać...

Ten mój przesąd, mimowolnie zaszczerpiony przez niankę, nazywano dziwactwem. Ja przecie jestem z niego zaowolony. Bo choćbym nawet dostał kiedy bzika, choćbym zapragnął wyznać jaką tajemnicę nie mógłbym zrobić tego, ponieważ przez całe życie wystrzegałem się tajemnic i—nic, ale to nic, nie widziałem nigdy...

Zapomocą tej długiej historii chcę uwiarygodnić panu: w jaki sposób ludzie mojego pokolenia, a przynajmniej ogromna ich większość, zapatrywała się na kwestię donosicieli i donosicielstwa. Istniało, jakby nieświadome hasło w każdym z nas! wszystko — byle nie to!.. Sfałszować dokument, podpalić budynki, ukraść, nawet zabić — były to przestępstwa, były to zbrodnie. Ale na donosicielstwo nie istniała żadna kategoria w naszej etyce. Uważaliśmy też za okropną, bezdenną podłość, posądzanie o donosicielstwo ludzi, którzy tego rodzaju przygód nie mieli na swoim sumieniu.

Czasy jednak zmieniają się i poglądy także. W społeczeństwie naszym zaczęły się psuć języki a może i sumienia. Nie rozumiem z jakiego powodu wyrazi: donosiciel i zdrajca stały się modnymi w naszym kraju. Najzaniejszy, najuczciwszy człowiek, nie wiadomo przez kogo, mógł zostać mianowany „zdrajcą” a lada zbieg wypadków zwał na czyjąś głowę tytuł: „donosiciela”. Jeżeli p. X. miał naganny zwyczaj pożyczać pieniędzy, których mu nie zwracano i jeszcze obrażano się o to na niego i jeżeli na ulicy, gdzie mieszkał p. X. został ktoś aresztowany, wówczas—prawie na pewno—tenże X. zostawał... „denuncyantem!”... A jeżeli zapytałeś: na jakiej zasadzie nazywacie X-a denuncyantem?... odpowiadano: Jakto, nie wiesz?... przecie Y. został przez niego aresztowany!...

Gdzie Krym?... gdzie Rzym?... W każdym razie „opinia” rozchodziła się. Co jednak, z drugiej strony nie przeszkadzało ludziom utrzymywać stosunków z owymi nieszczęśliwymi *Naml*. I byłoby to i słuszne i dobre, gdyby jednocześnie w kwestii donosicieli i donosicielstwa opinia publiczna nie stępiła, nie zobojętniała i to nie tylko u nas, ale na całym świecie.

Bo tylko niech pan przypomni sobie: jaki bohater był najmłodniejszy w ciągu ostatnich paru lat?... Sherlock Holmes. A któż to był Sherlock Holmes?... agent śledczy. A czy tylko o nim pisano i jego sprawy czytano?... Bynajmniej. Literatura współczesna stworzyła z dziesięć tego rodzaju typów!.. A czy nie

zauważył pan np. w *Matin'ie* w r. z. autentycznych pamiętników pewnego młodego Francuza, który, na rzecz skarbu niemieckiego, szpiegował swoją rodzoną ojczyznę!

Mamże przypominać tego „pedagoga” Niemca, który zalecał wprawiać dzieci w „obserwowanie” pewnych zjawisk życiowych, bardzo przypominające szpiegostwo?... A proszę pana, owe agentury szpiegowskie w Brukselli, gdzie jeden i ten sam specjalista obsługuje kilka państw?... A, proszę pana, ci reporterowie francuscy, którzy na własną rękę prowadzą „śledztwa” i nawet wyłudniają zeznania od ewentualnych zbrodniarzy, zeznania, rozumie się, fałszywe, nie warto?...

Wracając do naszych stosunków, czy mam przypominać tych nieszczęśliwych uczniów, których partye zabijały za... szpiegostwo!... Jeden z nich, czternastoletni półwaryat, tak nazywał się Sherlocka Holmesa, że chodził po cyrkulach, ofiarowując swoje „usługi” i narażając się na wyrzucenie za drzwi? I czy nareszcie potrzebuję robić wzmiankę o... tych sądach honorowych czy obywatelskich, pomiędzy niezawodnymi prowokatorami a wątpliwymi donosicielami. Zgodzi się pan, że wobec tego rodzaju faktów człowiek zwyczajny—jak to mówią—stępuje... Sąd obywatelski w sprawie o... szpiegostwo. Bodajże was kaczusie zdeptały!... A jednak wszystko to dzieje się w naszych czasach i naszych oczach...

Proszę pana, streszczam się. Streszczam się i zapytuję: czy to jest jakiś chwilowy obłąd, jakiś gatunek opętań średniowiecznych, czyli też jest to dowód głębokiej demoralizacji, która ogarnęła nas wszystkich: naszą opinię publiczną, nasze partye, naszych ludzi dojrzałych i naszą młodzież?...

Uznając fakty, zacytowane przez korespondenta, nie podzielam jego pesymizmu. Jedno jest prawdziwe, że u nas, dzięki systematycznemu oszczerstwu, a choćby tylko bezmyślnemu plotkarstwu, dzięki nazywaniu „zdrajcami” lub „złymi Polakami” ludzi niekiedy czcigodnych, opinia publiczna stała się podobną do bagna, w którym bardzo wygodnie żyje się—istotnym hultajom. W otoczeniu moralnym hultaj czuje się zakłopotany: nie ma humoru, nie ma rozpędu... Lecz gdy ze wszystkich stron słyszy przezwiska: ten zdrajca, tamten zły obywatel i t. p. nabiera dzielnej miny i rozpoczyna skrzydła.

Lecz ażeby „donosicielstwo” apotęgowało się w całej Europie, tego nie widzę; owszem, jestem pewny, że ono w krajach ucywilizowanych zanika. Dziś, prawdziwe donosicielstwo praktykuje się tylko w sferze stosunków wojennych; innego nie ma. Trudno bowiem nazywać donosicielami lojalnych i użytecznych agentów policji kryminalnej, którzy czuwają nad publicznym bezpieczeństwem i stanowią hamulec dla zbrodniarzy.

Spisek, donosicielstwo, prowokatorstwo są to choroby społeczne, wynikające ze sztywnych praw. Co zaś rozumiem pod tym terminem—przykład wyjaśni. Przypuśćmy, że w jakimś kraju zakazano... blond włosów... W tej chwili, rozumie się, musiano by utwo-



DZIECI ARTYSTY (wystawa specjalna w T. Z. S. P.)

JULIAN FAŁAT



RECEIVED
JAN 18 1891
NEW YORK



ŁOŚ W BAGNACH (specjalna wystawa w Salonie T. Z. S. P.)

JULIAN FAŁAT

rzyć biura, kontrolujące kolor włosów, ustanowić pewną liczbę urzędników, obdzielić ich tytułami, pensjami i t. p.

Rzecz naturalna, że dobrze płatni urzędnicy dbaliby o swoje posady i tropiliby blondynów, co doprowadziłoby do więzień i kar pieniężnych. Większość blondynów zapewne farbowałaby włosy, lecz ten proceder ani na jotę nie zmniejszyłby ich liczby; zaś gorączkowo usposobiona mniejszość zaczęłaby spiskować. Spiski znowu wywołałyby utworzenie policji tajnej, która bardzo zaoszczędziłaby stósunki; doszłoby więc do buntów i zamachów, co znowu pociągnęłoby za sobą ciężkie roboty i wyroki śmierci.

Zmęczeni blondyni na pewien czas ucichliby; lecz wówczas tajna policja, ażeby utrzymać posady, wysłałaby prowokatorów, którzy wywoływaliby udane spiski i zamachy. Skutkiem tego niezadowolenie w kraju rosłoby, tajną policję należałoby pomnażać, wydatki na nią zwiększać. A nareszcie prowokatorzy, alarmując członków rządu fałszywymi doniesieniami i wyludzając dla siebie coraz większe wynagrodzenia i przywileje, staliby się pierwszorzędną siłą w państwie, groźną nawet dla ministrów. A ponieważ liczba blondynów wcale nie zmniejszyłaby się w kraju, więc w rezultacie rząd zastanowiłby się...

I powiedziałaby sobie po co ja mam wojować z blondynami, którzy płacą podatki a napełniać kieszenie prowokatorom, którym coraz mniej ufan? Sprobuje znieść zakaz przeciwko jasnemu uwłosieniu...

Jakoż, spróbowałwszy, przekonałby się, że w kraju nikt nie ma ochoty do spisków, że panuje spokój, że tajną policję można zwinąć i wydatki na nią schować do skarbca...

Szanowny korespondent powie, że przykład jest fantastyczny? Nie tak bardzo. Wprawdzie przeciw błędnym nikt nie wydawał zakazów, nie mniej—w całej zachodniej Europie, jeszcze w pierwszej połowie XIX-go wieku, istniały tajne policje, czarne gabinety, prowokacje, spiski, okrutne więzienia, tortury i szafoty. Sama Austria słynęła jako katownia, a królestwo neapolitańskie płało się we krwi

spiskowców, roło się od donosicieli i oprawców. A dziś?... Austria i Włochu należą do państw najliberalniejszych.

Nie dawno widzieliśmy ostre zaburzenia w Pradze czeskiej. Ogłoszono stan wyjątkowy i nawet w wielką ostentacją sprowadzono katar; Zapowiedziano też, że winny zaburzeń będzie oddany pod sąd doraźny i ewentualnie powieszony w ciągu kilku godzin. Lecz jednocześnie oświadczone, że sąd doraźny—będzie jawny a w tydzień później—zniesiono stan wyjątkowy, nie osądziliśmy ani jednego warchoła, nie sprowadziwszy ani jednego więcej agenta tajnego.

Oto w jaki sposób złe stosunki społeczne zmieniają się na coraz znośniejsze, na coraz lepsze. Znikają sztuczne prawa, wygasają spiski, rozpierzcha się tajna policja i prowokatorowie. A ta sama wolność, za którą przed sześćdziesięcioma laty wieszano w Austrii i Neapolitańskiem ta sama wolność należy dziś do praw i obywatelskich obowiązków.

To też jeszcze starożytni powiedzieli: *tempora mutantur, et nos mutamus in illis*—czasy zmieniają się, a my z nimi!... Nie ma więc czego rozpaczć.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI:

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1859).

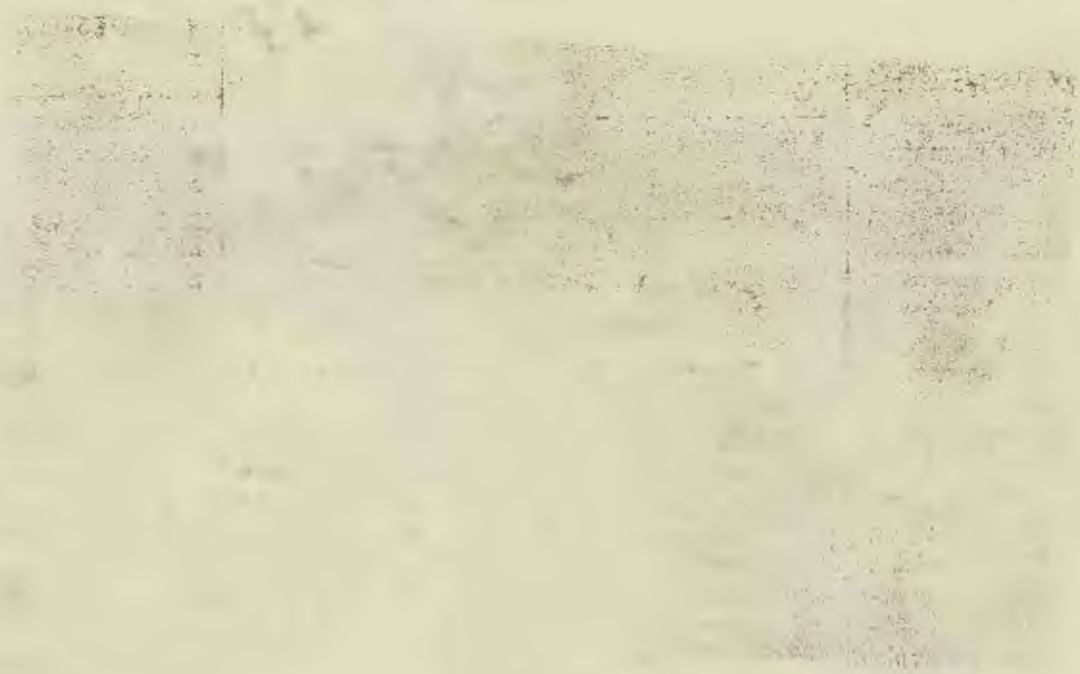
W 50 ROCZNICĘ ZGONU.

II.

Znaczenie „Nieboskiej” polega na tem, iż odtworzył tu poeta swe najdonioślejsze, bo najściślej wiążące się z realnymi stosunkami ogólnoludzkimi, wizje swe, przeżycia i rozmyślenia, związane z ważnymi pytaniami życia jednostkowego i zbiorowego. Jak wizje dantejskie rozświetlają cały system pojęć i wierzeń, stanowiących treść wiedzy średniowiecznej, tak znowu obrazy „Nieboskiej” ilustrują z wielką potęgą, wstrząsającą siłą wyrazu doniosłe pytania współczesne. Usprawiedliwia-

jąc siebie, poeta-myśliciel uświadamia ogół o doniosłości gotujących się przewrotów i składających się na nie czynników. W tem źródło wyższości „Nieboskiej” nad dwakroć większym co do rozmiarów, bogatszym w uchwytne piękności dekoracyjne, zrozumialszym i pociągającym więcej polskie dusze myślą przewodnią—„Irydyonem”. Interesując się przeszłością Rzymu, z którą z żył się przez częste i długie pobyty w tem „wiecznym” mieście, przez rozczytywanie się w jego dziejach i rozpatrywanie zabytków, dzielił się w utworze tym poeta często wynikami swych lektur i wrażeń, swymi sercowymi przeżyciami, bez względu na ideę przewodnią, która ginie wtedy dla czytelnika niecierpliwie się nieraz tymi ilustracjami starożytności rzymskich. Epilog dopiero przemawia do serc i pozwala zapomnieć o chwilach znudzenia, których „Nieboska” nigdy nie sprowadza. Podczas gdy Słowackiego pociągnął głównie „Irydyon” pięknem tła i rozciąganych na tem tle obrazów, to Mickiewicz zwrócił się ku „Nieboskiej”, która mu zaimprowowała bogactwem myśli, prawdą i siłą odzwierciedlonych w niej przeżyć.

Zarówno wyczerpanie treści duchowej zużytej na wytworzenie dwu powyższych dzieł, jak męczący wrażliwego i chorego poetę stosunek z p. Bobrową, tudzież wiążąca się z nim walka z ojcem—spotęgowały dotychczasowy pesymizm i rozstrój duchowy, znajdujący w negatywnych rezultatach współczesnej filozofii niemieckiej, usuwającej podpory wierzeń dotychczasowych Krasińskiego, swe uzasadnienie i wzmocnienie. Poznanie się ze Słowackim i jego utworami w maju r. 1836, pobudzi zwątpiałego do szukania w twórczości bodźca do życia, środka wyzwolenia się choćby chwilowego z tego letargu duchowego, w jaki teraz ciągle zapada. „Noc letnia” (1837 r.) i prawie współczesna z nią „Pokusa” noszą piętno nastroju rozpaczliwego w pomyślach, postaciach, położeniach i położonych na czele utworu mottach (zwłaszcza w „Pokusie” wykrzyk: „Przekleństwo nade mną”, kończący motto), a obok tego wpływ Słowackiego w stylu i formie tych utworów tudzież w postugi-



[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.]



[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.]

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.]



OCZEKIWANIE POCHODU KORONACYJNEGO FERDYNANDA I IZABELLI KATOLICKICH W SEGOVII.

błądzą, a zbłądziwszy, łatwo naprawiają pomyłki. Nad przypadkową wygraną miłsza im niemal porażka, byle wszystko, co się stało, było owocem rozważań... Przekazowego powodzenia nie poczytują sobie za zasługę, gdy tymczasem w razie klęski, choć ich zawiodły rachuby, pozostaje im ta pociecha, że przynajmniej działali rozważnie" (str. 224).

Tak przed 2,000 lat myśleli o „czynach” Rzymianie; tak dziś myśli każdy polityk, co mówię?... każdy kupiec, każdy przemysłowiec europejski, ale, niestety! nie myślimy my, Polacy...

Łukasieński i jego towarzysze stawiali sobie za cel odbudowanie państwa polskiego: czy w owej epoce, w owych warunkach mogli to robić w zgodzie z rozsądkiem i sumieniem? Przecie wszyscy oni na własne oczy widzieli, że Napoleon zaatakował samą tylko Rosję wojskami całej Europy i—rozbił się o odległość, o klimat... Jakich więc potrzeba było armii na przeprowadzenie wojny zwycięskiej już nie tylko z Rosją, ale jeszcze z Prusami i Austrią?... Prawda, odbudowanie Polski leżało u spiskowców na dalszym planie, miało dokonać się przy pomocy Rosji; ale w takim razie z ową Rosją należało postępować całkiem inaczej, jak ze sprzymierzeńcem, nie jak z wrogiem. Tymczasem Łukasieński uzbrajał się przeciw Rosji, pomimo niestychanie charakterystycznej rozmowy, jaką przeprowadził z generałem Kosińskim.

„Połączenie Polski—mówi Kosiński—własnymi naszymi siłami jest niepodobniem, lecz które z mocarstw może nam być użyteczne? Austria i Prusy są nieprzyjaciółmi imienia Polaka. Rosja już nam coś przecie zrobiła; tejby więc trzymać się należało. Trzeba zapomnieć krzywd, których doznaliśmy, wypada nawet nie zważać na to, co się dziś w Królestwie dzieje i co jest przyczyną uskarżania się; czas to wszystko załagodzi”... Do tych słów Kosińskiego dodał od siebie Łukasieński: „Byłem nieukontentowany z rządu, a jednak te uwagi generała Kosińskiego podobały mi się bardzo”... I mimo to spiskował!...

Kiedy Napoleon zwyciężał całą Europę, a w szczególności Prusy i Austrię, wówczas niewątpliwie mogły być wytworzyć się warunki

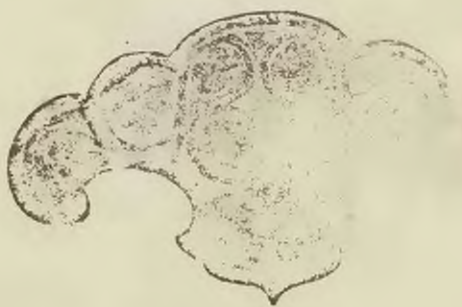
ki do podniesienia sprawy polskiej, a Polacy, łącząc się z nim, opierali się na jakimś prawdopodobieństwie, korzystali z „momentu”. Ale po roku 1815 reakcja zawisła nad całą Europą, a Rosja, Prusy i Austria w imię jej utworzyły ścisły związek, więc „momentu”, przychylnych okoliczności nie było. O tej jednak pierwszorzędnej stronie kwestyi spiskujący jakby nie wiedzieli... Zamiast sposobić się do wojny, z góry skazanej na klęskę, należało raczej myśleć o zbliżeniu się do rządu rosyjskiego, z nim porozumiewać się i układać. Lecz nawet i na układy chwila nie była odpowiednią, a spiski psuły ją jeszcze bardziej.

Jakim materiałem posługiwał się Łukasieński do swoich „celów”? Żałuję, że brak miejsca nie pozwala mi powtórzyć choćby niektórych portretów spiskowców, więc ograniczę się do opinii, jaką sam Łukasieński wypowiedział o swoich towarzyszach: „Z boleścią przekonałem się, że błędziłem, sądząc Polaków zdolnymi do podobnych związków... Przebiegając w myśli szereg osób i ich charaktery, licząc głupstwa, które zrobili, ich niesforność i zarozumiałość... osądziłem, że związek ten nie przyniesie żadnej korzyści krajowi... Tak usposobiony, nie należałem już moralnie do związku, a jednak broniłem go, bo mi tak kazał mój charakter”...

Koroną spisku było to, że po dłuższym namyśle i awanturze w Zamościu sam Łukasieński odkrył rządowi Towarzystwo patriotyczne, którego był twórcą, wodzem i o którym rząd nie wiedział. Prawda, że dzięki uczciwości Łukasieńskiego, a rycerskości W. Ks. Konstantego spiskowcy nie ulegli żadnym przesładowaniom. Niemniej rzecz to charakterystyczna, że człowiek prawy, dzielny i rozważny, jakim był Łukasieński, własną ręką obalił dzieło, które stworzył, parę lat nad niem pracował i za nie był umęczony!...

Tak więc jeden ze sławnych naszych spisków odznaczył się tem, że był czystym odruchem, nie zaś dziełem politycznej rozważy. Nie miał sił, składał się ze złych materiałów, stworzony był nie w porę, wbrew rozsądnym uwagom Kosińskiego i nareszcie — zburzony przez twórcę!... Inne spiski były do niego podoane, z tą różnicą, że—udawały się, czyli: na naród sprowadziły najcięższe klęski...

Jakim sposobem mogło się stać, że kilku



FRESK J. GARNELA, W POKOJU INFANTKI IZABELLI W MADRYCIE.

oficerów, urzędników i adwokatów tak bezceremonialnie wyciągali rękę po władzę nad narodem, który przecie posiadał własny sejm, ministrów, generałów?... Oto tym sposobem, że w naszym kraju nauczono się poniewierać wszelką zasługę, wszelką wartość. Nauczono się przezywać Czartoryskiego „zdrajcą”, wyrzucać ks. Józefowi Poniatowskiemu, że „opuszczył sposobność ratowania kraju” i „przyczynił się bardzo znacznie do cierpień jego mieszkańców”. Słyszano i czytano, że Dąbrowski był to „intrygant uzbrojony hipokryzją i bezczelnością”—„zdrajca, na którego krzyżeli najlepsi obywatele” i że Kościuszko „miał tyle nikczemności” iż—„oddał się całkiem nieprzyjaciółom patriotów” i t. d.

Pomijam niekroćką litanię półwaryatów, donosicieli, prowokatorów i płatnych zdrajców. Trzeba to wszystko uważnie przeczytać w „Łukasieńskim”, a wówczas zrozumiemy, dlaczego w końcu 1730 roku losami narodu kierowali nie ministrowie i generałowie, czyli fachowcy, ale—podchorążowie i studenci czyli entuzjaści i dlaczego w r. 1863 warchoł Mierostawski przewrócił do góry nogami dzieło męża stanu—Wielopolskiego.

Nie jestem ani „wielopoliszczykiem”, ani „ugodowcą”, ale smutnym człowiekiem, który z głębi serca boleje, że pomimo 2,000 minionych lat, moi ziomkowie zdają się jeszcze nie znać tych starożytnych zasad:

„...We wszystkich ich działaniach jest myśl... Według nich ślepe szczęście tylko do lekkomyślności usposabia, a rozmyśl, choćby go nie uwieńczyło powodzenie, uczy jak działać i jak strzedz się porażki... Jakże się dziwić, że naród, który pierwaj coś rozważaj, nim przedsięwzięmie, utworzył państwo sięgające na wschód Eufratu, na zachód Oceanu, na południe żywnych Libii przestrzeni, na północ Istru i Renu?”... (Dzieje Wojny Żydowskiej).

Bez rozważy, bez głębokiego namysłu, bez energicznych, lecz mądrych, bardzo mądrych działań, niema, nietylko wielkich państw, ale nawet małej wolności, nawet — warunków do bytu!... Nie ugodowcy bowiem, nie postępowcy i nie demokraci budują i utrzymują narody, ale zbiorowa praca i mądrość ponadpartijna.



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wyobraźmy sobie naród, którego pracownicy mieszkają w brudach, odżywiają się niedostatecznie, często chorują i niedomagają i krócej żyją, aniżeli członkowie sąsiednich społeczeństw. Naogół biorąc, pracują oni ciężej i więcej godzin na dobę, lecz ponieważ pracują nieumiejętnie, więc gorzej od innych są wynagradzani.

Nieszczęśliwi ci ludzie nie umieją rysować, czyli—„patrzeć”; dzięki czemu na otoczenie swoje nie zwracają należytej uwagi i nie potrafią dokonywać nawet drobnych odkryć w zakresie życia codziennego. Nie umieją rachować, więc nie zdają sobie sprawy ze swoich dochodów i wydatków i nie potrafią ulepszyć budżetu. Nie umieją czytać, a więc nie tylko pozbawieni są szlachetnych i doskonałych rozrywek umysłowych, ale jeszcze nic nie wiedzą o cywilizacji, nawet o postępach dokonywających się w sferze ich pracy fachowej. Nareszcie nie umieją pisać, co zwięża ich pamięć i zakres stosunków z ludźmi.

Ludzie o których mówimy, są to nieucywilizowani, zacofani, i w porównaniu z ucywilizowanymi—przedstawiają „mniejszą wartość”. Bo jeżeli np. tkacz w Anglii i Ameryce zarabia około 750 rubli rocznie a tkacz polski około 300 rubli, to dwaj pierwsi, przy uwzględnieniu niższej stopy procentowej, są „warcy” około 18,000 rubli każdy, a nieszacowny Polak zaledwie 6,000 rubli!... Wysokość zaś zarobku, pomijawszy drobne wpływy uboczne i przypadkowe, zależy od większej siły, większej umiejętności, w swoim fachu, większej oświaty wogóle a nawet od większej uczciwości, silniejszego charakteru i rozmaitych zalet towarzyskich, jakie w człowieku wytwarza—wyższa cywilizacja.

„Różnica wartość”, tak uderzająca pomiędzy jednostkami, staje się przerażającą, gdy chodzi o społeczeństwa. Bo tylko pomyślimy, że gdy milion Polaków w wieku produkcyjnym przedstawia wartość sześciu miliardów rubli, to milion Anglików lub Amerykanów wart jest ośmnaście miliardów rubli!... O ileż większe ułatwienia w pracy, większe wygody i bezpieczeństwo mogą kupić sobie np. Anglicy, za ową przewyżkę dwunastu miliardów rubli, jaką mają w porównaniu z Polakami?

Z powyższych, tylko napozór fantastycznych rozważań, widzimy, że cywilizacja, czyli: dobre nałogi ekonomiczne, hygieniczne i towarzyskie, doskonała znajomość swego fachu i oświata ogólna, to nie zabawki, to nie ozdoby życia, ale—potęgi, które decydują o przewadze jednych ludów nad innymi, a nawet o możliwości ich istnienia. Im ludzkość więcej rozmnoży się, a mnoży się bardzo szybko, tem będzie trudniej o miejsce i żywność, tem gwałtowniej zaostreży się walka o byt, w której zwycięstwo, o tem nikt chyba nie wątpi, dostanie się najzdrowszym i najmocniejszym fizycznie i duchowo... Zdobycie zatem cywilizacji i jej ciągły, nieustanny rozwój, mnożenie jej nabytków nie tylko co generacja, ale co rok, co miesiąc, co dzień, jest dla narodów nie jakimś sposobem zabijania czasu, ale kwestyą życia i śmierci.

Człowiek kształtuje się, doskonali w trzech środowiskach: w rodzinie, w społeczeństwie i w—szkole. Lecz gdy rodzina i społeczeństwo dają nam tylko to, co już jest i co było,

są żywiołami konserwatyzmu, szkoła, ale dobra szkoła, dostarcza nowych pojęć, nowych odkryć, nowych umiejętności, czyli—jest źródłem postępu.

Duszą szkoły jest nauczyciel. Dobry nauczyciel przelewa w uczniów nie tylko wiadomości z gramatyki, rachunków, geografii, ale także potrafi rozbudzać w nich drzemiące zdolności obserwacyjne i twórcze, samodzielność, odwagę, współczucie dla bliźnich, rozumienie obowiązków względem społeczeństwa, wstręt do złego i cześć dla cnoty. Jako apostoł wiedzy nauczyciel jest światłem, które pokoleniom wskazuje nowe drogi; jako wychowawca, jest on drzewem mistycznym, którego owoce potęgują siły jednostek i rozwój społeczeństwa. Dobrzy nauczyciele i wychowawcy idą zaraz po wynalazcach i reformatorach, odgrywają rolę niezbędnych pośredników pomiędzy geniuszami a ludzkością.

To też ludy ucywilizowane starają się o posiadanie jak największej liczby, jak najlepszych nauczycieli i bndaj czy nie należy na czele tych usiłowań postawić Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Państwo to, a raczej „nadpaństwo”, posiada z górą pół miliona na wychowawców, 220 fakultetów pedagogicznych i kilka instytucji wyższych stojących na poziomie uniwersytetów a zajmujących się wyłącznie badaniem kwestyi wychowawczych.

„Fakultety pedagogiczne—mówi Omer Buyse—są bardzo ruchliwymi ogniskami badań i poszukiwań; posiadają one laboratoria fizjologiczne i psychologiczne, gdzie profesorowie i uczaiowie prowadzą doświadczenia oparte na najściślejszych podstawach naukowych... Zaś wyższe od tamtych zakłady jak: Instytut w Chicago albo Kolegium nauczycielskie w New Yorku obok fakultetów, gdzie najznakomitsi profesorowie przedstawiają najświeższe teorie i wyniki własnych badań, posiadają jeszcze ochony, szkoły elementarne i średnie, które służą za pole do obserwacji a jednocześnie są wzorowemi zakładami, gdzie kształcą się przyszli nauczyciele... Najmniejsze kwestye, dotyczące wychowania w ochronach, szkołach elementarnych i średnich roztrząsają się na kongresach nauczycielskich, nie tylko przez ciała pedagogiczne ale nawet i skromne nauczycielki”.

Nawiasowo wspomnimy, że w tejże samej Ameryce nie zawsze panowała dzisiejsza miłość dla wychowania i oświaty i nie wszyscy mieli prawo z nich korzystać. W Stanach Południowych, niewolniczych; przed rokiem 1860, za uczenie murzynów prawo groziło karą pieniężną, a nawet cielesną!... W Stanach Północnych, gdy pewna pani otworzyła

w Connecticut szkołę dla murzynów, została skazana na karę pieniężną, a tłum rozbił jej szkołę!... „Dziś jeszcze towarzystwa filantropijne wspominają ze czcią, jak męczenników, nazwiska szlachetnych mężczyzn i kobiet, których wtrącano do więzienia za tę zbrodnię, że nauczali abecadła murzynów”. Prawdziwe szczęście, iż wypadki podobne trafiały się tak dawno i tak daleko.

Jakże u nas stoją sprawy oświatowe?

Według mecenasa Osuchowskiego Królestwo Polskie posiada około dwu milionów dzieci, którym potrzeba dać naukę elementarną, do czego znowu trzeba mieć dziesiątki tysięcy nauczycieli i ze 40 seminaryów. Jest zaś w rzeczywistości 7 seminaryów rządowych i tylko — jedno — prywatne z wykładami w języku polskim!...

Jedynie to nasze seminaryum nauczycielskie mieści się w Ursynowie, o pięć wiorst od Warszawy, w pięknych budynkach, wśród obszernego parku. Posiada obecnie 91 uczniów i 15 profesorów z wykształceniem uniwersyteckim. W roku przyszłym, po otwarczeniu czwartego kursu, liczba uczniów wzrośnie do 130, lecz cyfrę nauczycieli trzeba będzie mocno zredukować, ponieważ... niema dostatecznych środków!... W roku bieżącym na przykład koszty utrzymania wyniosą przeszło 37,000 rubli a niedobór około 24,000. Jak zaś ogólnie robią się wydatki oto jeden z dowodów: całkowite utrzymanie ucznia w internacie kosztuje przez miesiąc 13 rb. 82 kop., a zaś konia... 30 rb. i 46 kop.!... Nie znaczy to, że uczniowie bywają głodni, tylko — że niema zbyt, o nie...

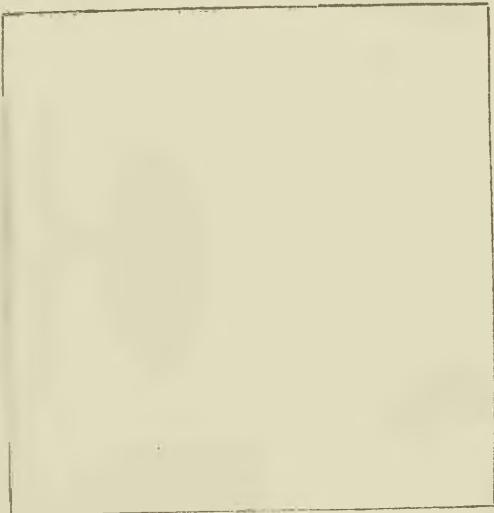
Inicyatywę do założenia seminaryum w Ursynowie dał mecenas Osuchowski; on też, swoim zwyczajem, zgromadził założycieli, ukwstował fundusze, napisał ustawę i t. d. Z hojnemi ofiarami na ten cel szlachetny pośpieszyli: hr. Adam Krasiński; (który seminaryum darował małą Ursynów), hr. Zamoyski ordynat, baron Kronenberg Leopold, Czarnecki, Drzewiecki, dr. Hassewicz, Klarner. Nadesłali też kilkanaście tysięcy rubli Polacy z Charbina, na uczczenie Manifestu z 30 października. Nadto hr. Feliks Sobański utworzył dla niezamożnych uczniów 10 stypendyów po 150 rubli, Ordynacya Zamoyskich 6 stypendyów, Towarzystwo tramwajów elektrycznych 5 stypendyów i po jednym: ś. p. Adam Krasiński, tudzież panie i panowie: Cecylia hr. Plater, T. hr. Potocki, I. Szebeko, H. Czarnowski, A. Wettler i Rada pedagogiczna seminaryum.

Jest też piękny zapis ś. p. Julii Wiemanowej w kwocie 50,000 rubli na kapitał żelazny. Wszystko to jednak jeszcze nie wystarczy a seminaryum będzie musiało w dalszym ciągu odwoływać się do ofiarności publicznej.

W tem miejscu następcza się uwaga. Dotychczas seminaryum w Ursynowie utrzymuje się dzięki darom kilkunastu ludzi przeważnie bardzo zamożnych, „arystokratów”. O średnich właścicielach ziemskich, o inteligencji, rzemieślnikach, kupcach, gminach wiejskich do tej pory nie słychać. A przecież seminarya nauczycielskie to sprawa obchodząca cały ogół i nawet bez porównania więcej „chłopów”, aniżeli „wielkich panów”. Trzeba więc mieć nadzieję, że społeczeństwo nasze opuści dotychczasową rezerwę i zechce przyczynić się nie tylko do utrzymania szkoły ursynowskiej, ale i do stworzenia jeszcze choć kilku nowych a tak niezbędnych instytucji pedagogicznych.







KONSTANTY MARYAN GÓRSKI:
Z TEK I LIRYCZNEJ.^{*)}
ITALIAM.

Przez rzeki, góry, głązy dróg
Chodź ze mną w cichy, znany kraj...
Zburzonych świątyń przejdziem próg.
Wśród złomu kolumn stoi bóg
I, napinając złoty łuk,
Patrzy w oliwny, senny gaj.
Wczorajszej nocy wyrósł kwiat,
Co trąca białosć twoich stóp.
Wita nas dawnych rojeń świat,
Śnią się dzieciennych widma lat,
Pachnie rozkwitłych laurów sad...
Czy już za nami został grób?
Z wieczornych lilii wstaje woń,
Łabędzie lecą do swych gniazd.
Do skroni mojej przytul skroń,
Na piersi moje głowę skłoń.
Ciemnie czysta niebios toń,
Wyrzwały bystre oczy gwiazd.

VILLA MADAMA.

Migdały kwitną, modry dzień,
Oparem ciepłym rola tchnie.
Ja błagam—i wśród innych tchnięć
Wspominaj mnie.
Słońce się kryje w wełnach chmur,
Idzie pozłocić inny świat,
Zima z sabinskich czyha gór
Na wczesny kwiat.
Otoczy smutny mrok i nas,
Nastaną długie żalów dnie,—
W imię tych blasków, złud i kras:
Wspominaj mnie.

W DZIEŃ PRZENIESIENIA ZWŁOK
ADAMA MICKIEWICZA NA WAWEL.

Wzięli ją z ziemi na ramiona—
I, w białe róże otulona,
Zakuta w trumnę, ale dumna,
Bo jej nie mogła objąć trumna,
Szała pieśń.
Poczęli za nią płakać młodzi,
Że im się taka pieśń nie rodzi,
Że ją ujrżeli cichą w trumnie,
Gdy pośród starców, zbiegłych tłumnie,
Szała pieśń.
Po ludziach przeszedł szal oręta,
Bo ta, co walczy i zwycięża,
Ta, która umie, kiedy w trumny
Położą naród, rwać całuny,
Szała pieśń.
Nieśli ją w ciszy i w żałobie,
Lecz nie złożyli pieśni w grobie,
Bo w białych zwojach, w róż koronie,
Aby z królami być na tronie,
Szała pieśń.

WIDZĘ OKNEM...

Widzę oknem same śnieżne dachy,
Lecz na oknie hyjanty rosną,
I dokoła wstają mi zapachy —
Jakby wiosną.
Dawno mi już odbiegły piosenki,
Aż tu w piersiach nagle bez powodu
Rozbudziły mi się jakieś dźwięki,
Jak za młodu.
Zawsze patrzeć na kwiatów kielichy,
Zawsze takie dźwięki słyszeć w sobie,
I być światu tak obcy i cichy,
Już jak w grobie.

^{*)} Z książki „Wierszem”, wyd. Gebethnera i Wolffa z r. 1904.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Kiedy fale oceanu nie usypiającym ruchem, na długości setek mil, rozbijają brzegi łądów, kiedy krople deszczu kruszą skały i zniżają szczyty gór najwyższych, kiedy z biegiem wieków wyrastają i znikają lasy roślin, wody zajmują miejsce łądów, łądy ukazują się, gdzie pierwiej była woda, kiedy w różnych pokładach geologicznych występują coraz inne formy istot niegdyś żyjących, zdumiewamy się wobec potęg natury, przekształcających skorupę ziemską i twory, na niej zamieszkałe.

Otóż drobny człowiek, pomimo wątpliwości i znikomości, jest bodaj czy nie taką samą potęgą. Przecież i on, budując tamy i przystanie, kształtuje brzegi morskie; gdy mu potrzeba, wznosi na równinach pagórki, albo zniża wysokości, zatapia ziemie, albo wydobywa suche grunty z pod powierzchni wody. On też sieje albo wycina lasy: nawet tworzy nowe odmiany roślin i zwierząt.

Ta tylko jest różnica między człowiekiem i naturą, że, gdy wśród niej działają siły ślepe i nie czujące (przynajmniej tak nam się wydaje), według nieugiętych zasad mechaniki, w kierunku najmniejszego oporu, człowiek jest potęgą świadomą, która działa w kierunku obmyślanych zamiarów, sposobami, najłatwiej prowadzącymi do celu.

Ta twórcza potęga w człowieku, która, stosownie do potrzeb, potrafi zmieniać dzieła i zjawiska przyrody, która rządzi samym człowiekiem, a nawet ludzkimi gromadami, potęga ta nazywa się: „rozumną wolą”. Ona odkrywa dalekie a nieznane części świata; ona wznosi gmachy podobne do pagórków i buduje maszyny dziesiątki tysięcy razy silniejsze od człowieka. Ona z niesfornych jednostek ludzkich tworzy uporządkowane państwa, wybrańcom każe wyrzec się osobistego szczęścia dla ofiary, setki tysięcy wojowników prowadzi na pole śmierci. Ona sprawia, że co roku na powierzchni tysięcy mil kwadratowych wscho- dzą i dojrzewają sztucznie hodowane rośliny, że z głębi ziemi, dniem i nocą, praca górnika zdobywa użyteczne minerały.

Mówiąc, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, Biblia ma słuszną, rozumna wola jest to olbrzymia potęga, najcudowniejsza z tych, jakie działają wśród natury. Całe nieszczęście, cała klątwa dziejów polega na tem, że—owej mądrej woli jest między ludźmi bardzo mało. A gdy jedni z nas częstokroć działają bez myśli, inni wręcz unikają jakiegokolwiek działania. Porachujcie próżniaków, którzy nic nie robią, leniwców, którzy pracują ospale, zapaleńców, którzy pod wpływem jakiejś podniety rzucają się do działania, lecz nigdy go nie kończą... Policzcie oszustów, zużywających ogromny dowcip na szkodę bliźniego, zbrodniarzy, którzy nakładem wielkich sił i odwagi rujnują cudze szczęście, życie, lub niszczą rzeczy użyteczne... Dodajcie do tego czas i zdolności, marnowane przy kartach, pieniądze, puszczane z dymem, zdrowie duszy i ciała, topione w jeziorach alkoholu, a otrzymacie przybliżony obraz tego: jakie bezmiary ludzkich sił niszą się nieprodukcyjnie, lub nawet z ogólną szkodą, a jak mały, niedostrzegalny procent „rozumnej woli” działa użytecznie dla rodzaju ludzkiego.

I gdyby nie szalone, już nie zwierzęce, ale wprost dyabelskie marnowanie siły, stwo-

rzonej na obraz i podobieństwo Boga, kto wie, czy na tym świecie znanoby dzisiejsze cierpienia, nędzę, sieroctwo, śmierć przeewczesną, nienawiści między ludźmi i wojny między narodami?... A w każdym razie ciężar gniotącej nas niedoli byłby mocno zredukowany.

Wobec tego jest rzeczą naturalną, że mędrcy i moralisci od najdawniejszych czasów zadawali sobie pytanie: czy nie możnaby, nie tylko w ludziach pojedynczych, ale w całych grupach, w całych narodach, spotęgować siły rozumnej woli, nauczyć panowania nad sobą, nauczyć celowego i porządnego kierowania czynami?...

A naprzód—czy podobny zamiar jest wykonalny, czy istota ludzka może panować nad sobą i kierować się rozumem — nie zaś chwilowymi wrażeniami lub namiętnością?... Niezawodnie—tak. Przecie, kiedy człowiek, z pośród wielu przedmiotów lub czynów wybiera te, które są korzystne dla niego, lub jemu blizkich, a usuwa niekorzystne, to—już kieruje sobą, już działa pod wpływem rozumu. Człowiek nawet umie robić bez porównania więcej. Iluż to rodziców powstrzymuje się nawet od godziwych przyjemności, skazuje się na pewien stopień niedostatku, ażeby zapewnić lepszy byt swoim dzieciom? A ileż to razy ludzie z całą świadomością (lekarze, marynarze, żołnierze, kapłani) narażają się na

Prof. WINCENTY LUTOSŁAWSKI.

cierpienia i śmierć, byle wypełnić swój obowiązek?... Nie koniec na tem. Czyliż bowiem nie spotykamy dokoła siebie działaczy, ciągle pamiętających o swoim celu, cierpliwie wyczekujących na przyjazne okoliczności, stanowczych, gdy nadejdzie chwila do czynu odpowiednia?

„To nie żaden geniusz — mówił Napoleon I-szy — podszeptuje mi: co mam robić w okolicznościach, których inni nie spodziewali się; to zastanowienie, namysł... Jeżeli zawsze jestem przygotowany na wszystko, to dlatego, że każdy mój zamiar długo obmyślałam i przewiduję: co może się wydarzyć?... Zawsze hamuję moje pierwsze odruchy, nigdy nie piszę i nic nie robię, kiedy jestem w gniewie”...

Namyślać się, przewidywać wypadki, hamować wybuchy uczuć, przeczekać chwile nieodpowiednie, to — innemi słowy — znaczy kierować sobą, posiadać „rozumną wolę”... Newton, jeden z największych matematyków świata, odkrycia swoje również przypisywał nie umysłowym zdolnościom, ale cierpliwości, która jest zaletą woli.

Najprostszy napozór sposób kierowania sobą, objawienia woli wyraża się słowami: „ja chcę tego”... Chcę to zrobić, a tamtego nie



robić, chcę o tem myśleć, a uwolnić się z pod tamtego uczucia, chcę dzisiaj dać sobie uciąć zdruzgotaną nogę i t. p. Do takiego „chcenia” jednak nie doehodzi się łatwo i bardzo często potrzeba dużo pracy nad sobą, zanim ktoś nauczy się naprawdę robić, co chce, a chcieć tego, co powinien...

Każdy człowiek, z wyjątkiem ciężko rozstrojonych, posiada pewien stopień rozumnej woli, innemi słowy: posiada jakąś część największego, najcudowniejszego skarbu na świecie. Skarb ten trzeba jednak powiększać. A ktoby pragnął robić to metodycznie, niech czyta, odczytuje i zapamięta treść niewielkiej książki J. Payota pod tytułem „Kształcenie woli” (przekład J. K. Potockiego).

Rozumna wola, wyrażająca się między innemi, panowaniem nad sobą, jest siłą tak bezcenną a tak rzadką i nierozwiniętą w naszym narodzie, że należałoby o tych rzeczach wspominać jak najczęściej, przy każdej sposobności. Taką sposobnością do obecnej kroniki jest książka profesora W. Lutosławskiego „Rozwój potęgi woli”.

Przedewszystkiem—bądźmy otwarci. Profesor Lutosławski od niedawna mieszka w Warszawie, lecz już miał szereg odczytów i... już potrafił narazić się nie tylko postępowym kołom, ale, co gorsza, ludziom uczonym. Jest to chyba najoryginalniejszy człowiek w Polsce, który włada ośmioma lub dziewięcioma językami, napisał wiele dzieł o przedmiotach wielkiej wagi i wykladał w kilku uniwersytetach. Jest przytem niezwykle zręcznym dyalektykiem i posiada, obok niewątpliwej odwagi cywilnej, łagodność gołębią. Gdy dodamy rozległą i rozmaitą wiedzę, wśród której mieści się historia filozofii, logika, chemia, teologia, etyka, estetyka, a bodaj że mistyka i magia, będziemy mieli przynajmniej szkic portretu tego niezwykłego człowieka.

W książce: „Rozwój potęgi woli” chodzi autorowi „o cel praktyczny, mianowicie o podniesienie poziomu zdrowia, sił i duchowego rozwoju w najszerszych warstwach narodu”. więc zaleca wstrzeżliwość od alkoholu, tytoniu, kart, rozpusty, uczy jak zdobyć łagodność, miłość milczenia, prawdomówność, pracowitość i t. d., lecz sądzi (co jest dla mnie dużym kłopotem) zalety powyższe, tudzież mnóstwo innych, zdobyć można za pomocą rytmicznego oddychania.

Każę więc wdychać łagodność, wydychać gniew, wdychać prawdomówność, wydychać kłamstwo, wdychać czystość, wydychać nieczystość i t. d. Z pewnością, że my wogóle nieświadomie, oddychamy i że porządne oddychanie może mieć wpływ nie tylko na siły fizyczne, ale i duchowe. Na nieszczęście szanowny autor swoją metodę posuwa niekiedy za daleko np.

„Odgraniczywszy się symbolicznie od świata, zacząć kolejno wciągać powietrze przez lewą dziurkę od nosa, potem zamknąć lewą dziurkę i powoli wypychać powietrze przez prawą... i wyobrażać sobie, że wciągamy senność a wypychamy wszelkie troski i zbyteczne myśli... Przee zaśnięciem eobrze jest myśl skierować ku jednostajnie powtarzanej modlitwie w ewu wyrazach: „Chryste oświeć”, rytmicznie wymawiając w myśli „Chryste” przy wciąganiu powietrza, „oświeć” przy wypychaniu”.

Lecz w innem miejscu książki autor wypisuje takie złote słowa: „Droga do niepodległości osobistej i narodowej zaczyna się od opanowania żądz, nałogów, samolubstwa i lenistwa obywateli”.

W ogólnych zarysach „Rozwój potęgi woli” odpowiada „Kształceniu woli”; tyle jednak w pracy prof. Lutosławskiego spotyka się „yogizmów”, czyli—magii praktykowanej przez Hindusów, że książkę tą należy czytać oględnie. Dobrzeby też było, ażeby nasi lekarze powiedzieli coś—o wartości hinduskiej metody oddychania a psychologowie—o pożytku kojarzenia rytmu oddechowego z rytmem wyobrażeń.

Może szanowny autor ma słuszość, może będzie ją miał i w brew uczonym. Je jednak wyrokować o tem nie mam odwagi.



BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Na moje uwagi w *Tygodniku Ilustrowanym*, że polityka narodowej demokracji nie przyniosła nam szczęścia ani w dumie, ani wewnątrz kraju, odpowiedział p. Bolesław Koskowski, publicysta wielkiego talentu, jeden z najbliższych świadków działalności Koła polskiego w Petersburgu. Odpowiedź zaś p. Koskowskiego, jeżeli nie mylę się, jest skryształizowana w następującym zdaniu.

Prus—„uważa za możliwe jednorazowe pozyskanie dla sprawy polskiej czterech czynników, mogących na nią wpływać, a przynajmniej pozyskanie jednych bez narażenia sobie drugich. Tymi czynnikami są: rząd; rosyjska opinia publiczna; partye postępowe; partye konserwatywne. Otóż jest widoczne, że żadna na świecie polityka takiego cudu dokonaćby nie mogła, ponieważ każdy z wymienionych czynników jest nie tylko samoistny i samodzielny, ale oprócz tego przeciwstawiający się pozostałym innym tak że, kto pragnie pozyskać sympatyje jednego, to—znowu z odpowiedniami stopniowaniami—musi utracić sympatyje drugiego”.

Gdyby chodziło o pobudki rozmaitych czynów Koła polskiego, gdyby chodziło o charakterystykę rosyjskich partyi, zarówno w Dumie, jak i w społeczeństwie, gdyby wreszcie chodziło—o pozyskiwanie przez nas sympatyj tego lub innego stronnictwa rosyjskiego, polemizować z szanownym p. Koskowskim nie mógłbym. On mieszka w Petersburgu, bywa na posiedzeniach Dumy, patrzy, słucha, rozmawia z posłami, czego wszystkiego ja absolutnie jestem pozbawiony. Na szczęście w tym wypadku nie chodzi o szczegóły, lecz o kierunki i zasady ogólne, które nie zależą od miejsca pobytu, a na które chciałbym położyć nacisk.

Uwaga w nawiasie. Niejednokrotnie wspomniałem o polityce w niniejszych kronikach, a poglądy moje—niekiedy—sprawdzały się. Otóż dotychczas nie formułowałem dościsłych jasno zasad, na których się opieram. Zrobię to dziś i wyobrażam sobie, że zarówno p. Koskowski spotka tu odpowiedź na swoje uwagi, jak i czytelnik znajdzie podstawy moich rozumowań. Jeżeli się mylę—trudno, jestem przecie człowiekiem. Lecz gdybym się nie mylił?... gdyby mylili się inni?...

Wyobraźmy sobie politykę, jako podróż okrętem, podróż bardzo daleką, po morzu, na którym panują ciemności, burze, rafy i odmęty. Kapitanem płynącego statku jest rząd, a doradcą kapitana, niekiedy jego rozkazodawcą—parlament.

Otóż w owej podróży, pełnej niebezpieczeństw, wymagającej pracy, odwagi, cierpliwości, mądrości i t. p., kierownicy statku muszą mieć dwie idee: 1-mo jasno określony *cel*: dokąd jada? 2-go *busolę*, która wskazuje im pewien stały kierunek, będący w związku z ce-

lem podróży. Rozumie się, że na statkach zarówno kapitanowie, jak i dozorczy ich, mogą być ludźmi mądrymi albo głupimi, dobrymi albo złymi, znającymi lub nie znającymi morza, po którym przyszło im żaglować... W każdym razie bez dokładnej znajomości *celu* i bez posiadania *busoli*—o kierowaniu podróżą mówić nie warto. Naodwrot zaś—ci, którzy znają istotny (nie jakiś fantastyczny) *cel* i mają *busolę*, prędzej czy później zdobędą sobie powagę co najmniej znawców, nie tylko u kapitana i jego rady, ale i wśród podróżnych, czyli—społeczeństwa.

W tem miejscu dałoby się wypowiedzieć sporo przygotowawczych wyjaśnień. Pominę je i od razu zapytam: czy w ciężkiej podróży, jaką odbywamy na okręcie państwa rosyjskiego, stronnictwo narodowo-demokratyczne miało określony i wykonany *cel*?... Nadto zaś—czy ono posiada *busolę*, to jest taką ideę, która jednostkom i narodom po wszystkie czasy wskazywać będzie stały kierunek doczesnej żeglugi?...

Odpowiedź. Stronnictwo narodowo-demokratyczne w ciągu kilku lat kilka razy zmieniło swoje cele. Przedostatnim—była autonomia Królestwa Polskiego, ostatnim... choćby—jakieśkolwiek ustępstwa dla naszej narodowości, choćby—cośkolwiek... Na pytanie zaś: jaką *busolę* ma stronnictwo narodowo-demokratyczne, która wskazywałaby mu najprostszą drogę do celu? mamy w odpowiedzi dwa hasła: „egoizm narodowy” i—„walkę”—na wszystkie fronty. Czy ktokolwiek z należących do stronnictwa zaprzeczy temu?

Cele narodów bywają rozmaite i nierównej wartości praktycznej. Są takie, które utrzymują narody, i są takie, które je zarzynają. Celem na przykład Francji jest zachować Rzeczpospolitą i bogacić się; Nie niec—stworzyć jednolite państwo na zadachach militarnych; Rosji—gromadzić ziemię. Celem Austrii, w tej chwili, jest posiąść Bośnię i Hercegowinę,

a Serbii—odebrać ową Bośnię i Hercegowinę, co antagonistów popycha do wojny... Nareszcie naszym celem przez wiek XIX było—odbudować Rzeczpospolitą polską w dawnych granicach, co pociągnęło za sobą olbrzymie klęski narodowe.

A tymczasem jakież jest prawdziwy i nigdy niezmienny, choć—niestety!—nie dość popularny *cel* narodów i jednostek?... Oto—mnożyć pomyślnie warunki bytu i doskonalić się fizycznie i duchowo. Porównajcie dla przykładu—nieodstępstwo, nędzę i ciemnotę austrijskiego Papuasa i dostatek, siłę, rozum angielskiego mieszczanina, a zgodzicie się, że powyższa definicyja jest prawdziwa.

Podobnie rzecz się ma z ową *busolą*, a raczej—stałym kierunkiem. Dla dawnych Egipcyan była nim nieśmiertelność ciał, dla Greków—sztuka i filozofia, dla Rzymian—silne państwo, dla pierwszych chrześcijan—troska o zbawienie duszy, dla dzisiejszych Niemiec—bezwzględna walka o byt, dla Anglików—korzystna i sprawiedliwa wymiana usług.

A prawdziwa zasada, prawdziwy kierunek jakim być powinien?... Zdać się, że tylko—zasada mnożenia użyteczności, połączona ze sprawiedliwą wymianą usług. Rolnik, rzemieślnik, kupiec, lekarz, uczony, nauczyciel, odkrywca, wynalazca są to wszystko ludzie, którym całe życie upływa na pracy użytecznej i na oddawaniu tej pracy innym, za równoważne usługi. Toż samo dzieje się i z narodami: każdy wytwarza coś użytecznego, część oddaje, a wzamian otrzymuje inne rzeczy użyteczne. Jest to handel, ale handel w najszerszym zakresie, w sferze nie tylko dóbr materialnych, lecz i duchowych.

W tem miejscu trzeba dodać, że każda idea: prawdziwa i wielka, czy fałszywa, ale głośno reklamowana, hypnotyzuje ogół, który działa tylko w imię owej idei, ją tylko widzi, a co gorzej: poza nią już nie umie dostrzedz nic innego. Dzięki temu—idee prawdziwe są piastunami, mistrzami narodów, idee fałszywe ich męką i przekleństwem.

A teraz spróbujmy zastosować powyższą teorię do naszych stosunków i naszej polityki.

Jeżeli, jako najwyższy cel, postawimy narodowi—na przykład—autonomię, wówczas naród tylko na nią będzie się oglądał, dla niej pracował, dla niej składał ofiary. Gdy zaś owa autonomia, skutkiem tysiącznych przyczyn, nie nadejdzie, naród może wpaść w pesymizm i apatię, będzie narzekał na złe czasy i osłabnie w pracach społecznych, twierdząc, że nic robić nie warto, gdyż nic się nie udaje.

Lecz, gdyby temu samemu społeczeństwu jego przywódcy z równą wytrwałością głosili, że celem życia jest usuwać cierpienia, mnożyć godziwe zadowolenia, potęgować siły fizyczne i duchowe, energię woli, szlachetne uczucia czyli—doskonalić i uszczęśliwiać jednostki i społeczeństwo, wówczas naród w każdym zagonie użyźnionej ziemi, w każdym nowym warsztacie, szkole, ochronie, w każdym dziele sztuki czy w dobrej książce widziałby swoje zwycięstwa, pod wpływem



CZATY

W. MAZUROWSKI



WSPOMNIENIE
KATOWICE

Wspomnienie
Katowice
Wspomnienie
Katowice



Wspomnienie
Katowice
Wspomnienie
Katowice

Wspomnienie
Katowice
Wspomnienie
Katowice

Wspomnienie
Katowice
Wspomnienie
Katowice



OSTATNIE CGWILE SKAZANYCH (ROK 1793)

EDWARD PAWŁOWICZ

Obraz ten jest kopią wykonaną przez ś. p. Edwarda Pawłowicza, w czasie studiów w Galerii Luksemburskiej w Paryżu, ze słynnej kompozycji Milera i znajduje się w posiadaniu hr. Zygmuntovej Wielopolskiej w Warszawie. Życiorys E. Pawłowicza podaliśmy w Nr 9 r. b.

których jego ekonomiczne, umysłowe i moralne postępy rozwijałyby się coraz dzielniej, coraz korzystniej.

Kto autonomię stawia za cel życia i pracy narodowej, popełnia taki zasadniczy błąd, jakgdyby za cel życia stawiał pieniądze, albo mieszkanie. Pieniądz, mieszkanie, autonomia są to, niezawodnie, ważne rzeczy, ale jako środki, nie zaś jako—cele. Bo jedynym prawdziwym i wiekuistym celem nie są formy społeczne, ale—rozwój życia i duszy. Gdy jednostki i społeczeństwo dojrzeje, autonomia zjawia się sama, jak wiosna po zimie; w razie przeciwnym, nawet napisana i ogłoszona autonomia może upaść, czego zresztą miewaliśmy dowody.

Przechodzę do idei-busoli, do idei kierowniczej. Możeż nią być „walka”, albo „egoizm”?... Egoizm indywidualny czy społeczny to przecie jest wada, to resztką zwierzęcości, a zaś walka między ludźmi jest nieszczęściem, jest zjawiskiem chorobliwym. Jakże więc można chorobę albo wadę czynić ideałem społecznym?...

Prawdziwą ideą kierowniczą dla ucywilizowanej ludzkości jest zawsze zasada: „Bądź użytecznym”... Zobaczymy zaś, jakie obowiązki praktyczne zasada powyższa sprowadziłaby do działalności Koła polskiego w Dumie.

Przedewszystkiem, Koło w pierwszej i drugiej Dumie musiałyby przypominać rosyjskim postom, że—zadanie ich nie na tem polega, ażeby wymyślali ministrom, lecz ażeby jak najrychlej urzeczywistnili Manifest z 30 października, a więc: uchwalili ustawy o wolności osobistej, wolności wyznań, wolności stowarzyszeń, wolności zebrań, wolności druku, wolności oświecania się. Dalej—wciąż w imię zasady użyteczności, Koło musiałyby głosować za uchwaleniem funduszków dla szkół, a przeciw szkołom rnsyfikacyjnym, za budżetem ministerium wojny, a przeciw używaniu wojska do zadań policyjnych; za równouprawnieniem Żydów i wszelkich inorodców, gdyż

to spotęgowałoby wytwórcze siły państwa. Głosowałyby za wszelkimi środkami, mającymi na widoku dobrobyt klas pracujących, ale oświadczyłyby się przeciw budowie drogi żelaznej amurskiej; potępiłyby terroryzm, posługujący się bombami i brauningami, a jednocześnie protestowałyby przeciw stanom wyjątkowym, trwającym dłużej niż kilka dni lub tygodni, i tak dalej.

Zwracam uwagę, że podobna działalność Koła nie miałaby na celu pozyskania tego lub owego stronnictwa, lecz, w imię najwyższego Ideału, dążyłaby do—pomyślności i potęgi Rosyi. A jeżeli Duma i rząd nie składałyby się z samych zbrodniarzy lub waryatów, to właśnie taka praca zjednałaby Koło polskiemu życzliwość wszystkich rosyjskich patriotów, bez względu na ministerya i stronnictwa. I nawet nieprzyjaciele Polaków taką działalność musieliby nazwać uczciwą, godną szacunku.

Gdyby zaś, pomimo kierowania się szlachetnymi zasadami, pomimo użytecznej pracy dla Rosyi, Koło polskie nie uzyskało żadnych ustępstw dla swego narodu, lecz, jak to ma miejsce dzisiaj, było obrzucane drwinami i obelgami, wówczas mogłoby, pięknie ukloniwszy się, opuścić Dumę, w której ludzie dobrej woli nie mieliby nic do czynienia.

Lecz wówczas nie tylko naród polski, ale cała ucywilizowana Rosya i cały świat ucywilizowany musiałby przyznać, że Polacy, wezwani do łoża chorego państwa, wypełnili swój obowiązek, ale ono nie wypełnia go względem Polaków.



SZYMON TOKARZEWSKI:

ZE WSPOMNIENI KATORŻNIKA.

„JEDEN... PIĘĆ...”

2)

Czuchonow uważa to za wielki dowcip. Wybuch śmiechem, do rżenia starego ogiera podobnym:

— Naści i tobie! użyj i ty—i wręcza dżadowi flaszkę z gorzałką.

Emiliaszka chwytą cenny podarunek.

— Kłaniam się nizko! pięknie dziękuję „wyszemu przewoschoditielstwu”—mamrocze, flaszkę miłośnie tuli do piersi i znika...

Nad ranem dziewczki służebne podnoszą z podłogi w najgłębszym śnie pogrążonych dostojników, ładują ich na wóz, do którego zaprządzi i którym powozić musi biedny Romek, ponieważ „kuczer”, za przykładem swoich chlebodawców spił się i dobudzić go niepodobna.

Tylko najmłodsze dziewczęta są prawie trzeźwe i żegnają z Nanią, bo Czuchonowowie już też chrapia w swojej sypialni, według etykiety syberyjskiej, nakazującej wyliczać wszystkie potrawy i napitki, jakie były podane gościom, a nawet wszystkiemu rzyprawy, do potraw użyte. Więc mówią:

— Dziękujemy wam, Mełania Ignatiewna, i wam, Timofiej Wasiliewicz, i wam, Nanią Timofiejewna, dziękujemy za herbatę, cukier i arak, za słodkie kołaczki i sajki, za pierożki, za ryby, mięso i wódkę, za cedrowe orzeszki, dziękujemy pokornie i kłaniamy się nizko.

Następuje bicie pokłonów.

A Nanią też kłania się odchodzącym i zaprasza w zastępstwie nieobecnych rodziców:

— Pokornie prosimy, przyjdźcie w niedzielę do nowego domu.

Znużony bezsennością, a bardziej widokiem scen, których był świadkiem, Romek równo ze światem musi otworzyć kram i stanąć za ladą.



ASTORIA

ASTORIA



ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

ASTORIA

BOLESŁAW PRUS:

Sprawa chełmska.

KRONIKA TYGODNIOWA.

„Sprawę chełmską” nazywam projekt rządowy: oddzielenia pewnej części Królestwa Polskiego i, pod tytułem gubernii chełmskiej, przyłączenia jej do generał-gubernatorstwa kijowskiego. Część ta ma obejmować 85 gmin całych, 22 częściowe, 11 miast i 29 osad, wchodzących do składu gmin; ogólna zaś ludność nowej gubernii ma liczyć 332,000 osób,

Jaki cel zakłada sobie podobna operacja, która, obok niemałych kosztów pieniężnych, wywołać musi powikłania administracyjne, sądowe, militarne, ekonomiczne, towarzyskie i moralne, nie mówiąc o politycznych, gdyż te, o ile się zdaje, nie grożą i nie zagrażają. Jaki cel?...

Na pytanie to odpowiada profesor Askenazy w *Bibliotece Warszawskiej* (luty r. b.) artykułem: „Gubernia Chełmska”. Według niego sprawę dokonania operacji na Królestwie Polskiem pierwszy poruszył w r. 1865 ks. Czerkasskij „celem przeciwdziałania spolszczeniu zamieszkującej tam ludności rosyjskiej”, lecz projektowi temu oparł się ówczesny minister hr. Milutyn i namiestnik hr. Berg. W r. 1875 po zniesieniu unii w Królestwie i „dla doszczętnego zgładzenia wszelkich śladów tejże unii” projekt wydzielienia gub. chełmskiej powtórzone ze strony „miejscowych żywiołów administracyjno - cerkiewnych”; lecz wówczas przeciw operacji oświadczył się sam „Komitet do spraw Królestwa Polskiego” pod osobistym przewodnictwem cesarza Aleksandra II. W roku 1889 sprawę chełmską wskrzesił arcybiskup prawosławny Leoncyusz, a to w celu zaprowadzenia w „Chełmszczyźnie” kalendarza juliańskiego zamiast gregoryańskiego. Arcybiskupa mocno poparł Pobiedonoscew, ale zaoponował mu feldmarszałek Hurko, za aprobatą cesarza Aleksandra III.

Może już koniec?... Jeszcze nie. Bo oto w r. 1895 z projektem wyłączenia gubernii chełmskiej wystąpił nowy generał-gubernator, hr. Szuwałow, poprzednio wieloletni i w Berlinie ceniony ambasador rosyjski. Tym razem projekt opracował działacz ruśńsko-galicyski, niejaki Dobrzański. Niebawem jednak hr. Szuwałowa zastąpił ks. Imeretyński, który przeciw referatowi Dobrzańskiego zaoponował stanowczo, nawet wbrew opinii Pobiedonoscewa. Zaś w r. 1898 wysunął ideę chełmską gubernator lubelski, Tchorzewskij, wskazując na obcięcie Królestwa, jako na jedyny środek „zabezpieczenia bezbronnego prawosławia od gnębiącej je przemocy polsko-katolickiej”, lecz temu mężowi stanu, przeciwstawił się generał-gubernator Czertkow.

Pomimo to utworzono w Petersburgu specjalną radę, pod przewodnictwem Pobiedonoscewa, na której, skutkiem energicznej opozycji ministrów Wittego i Sipiagina, popartej większością głosów, projekt znowu upadł i nawet spowodował następujący wniosek: „Utworzenie gubernii chełmskiej, bez zastosowania do jej ludności rze-

czywistych środków zruszczenia, nie osiągnęłoby wytkniętego celu. A ponieważ zastosowanie tychże środków, przy położeniu tegoczesnem, okazuje się niemożliwem, zatem i utworzenie z Zabuża rosyjskiego oddzielnej gubernii chełmskiej miejsca mieć nie może”. Uchwała ta zapadła w roku 1902.

Lecz, bez względu na to, już w r. 1905 prawosławny biskup lubelski Eulogiusz rozpoczął zbieranie skarg i zażaleń od ludności rosyjskiej w Chełmszczyźnie, aby udowodnić krzywdy, wyrządzane tej ludności i prawosławiu przez miejscowe żywioły polsko-katolickie na mocy manifestu tolerancyjnego. Wprawdzie ówczesny generał-gubernator, Maksymowicz, zażalenia te nazwał wprost „kłamliwymi”, wprawdzie i wysłane w r. 1906 zażalenia z powiatu hrubieszowskiego również okazały się nierzetelnymi, tym jednak razem sprawę chełmską wziął do serca minister Durnowo i, wbrew opinii generał-gubernatora Skałłona, popchnął ją dalej. Poparcie jego było tak skuteczne, że w końcu roku 1908 Rada ministrów poleciła: „wypracować projekt nowej jednostki administracyjnej, wiążąc to zarządzenie z wprowadzeniem do Królestwa Polskiego samorządu ziemskiego i miejskiego”. Projekt ten, „po zaakceptowaniu go przez Radę ministrów, prze-

znaczony jest do wniesienia w czasie najbliższym pod rozpoznanie i sankcję Dumy państwowej”.

Oto treść artykułu profesora Askenazego o „Gubernii Chełmskiej”, zakończona uwagą następującą: „Jest rzeczą bynajmniej nie wyłączoną, że trudy w tej sprawie Pobiedonoscewa mogłyby kiedyś okazać się mimowolną robotą *pour le roi de Prusse*. I stałby się mogło, iż na gruncie, przygotowanym przez tę robotę, przysposobioneby zostało dokonanie w przyszłości ostatecznego rozpadnięcia, podziału i zagłady Królestwa Polskiego”. Albowiem „pokrewne racje religijno-etnograficzne mogłyby kiedyś wpłynąć na dobro ludności rdzennie protestanckiej i niemieckiej w guberniach piotrkowskiej i kaliskiej, a tem samem wybić godziną niezapomnianej granicy Knesebeckowskiej”.

No, ale może Prusacy nie mieliby tych tytułów, co „prawdziwi Rosyanie”, ze względu, że w guberniach piotrkowskiej, kaliskiej i t. d. Niemcy i protestanci wobec Polaków i katolików stanowią mniejszość?...

Podobnymi drobiazgami nie krępuje się polityka nacjonalistyczna. Bo przecież i w projektowanej gubernii chełmskiej ludność prawosławna wcale nie stanowi większości. Świeżo p. Stefan Dziewulski za pomocą bardzo drobiazgowych obliczeń dowiódł („Statystyka ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej i t. d.”), że — „na terytorium projektowanej gubernii chełmskiej katolicy stanowili 51,64 procentów ogółu ludności, t. j. *więcej niż połowę*, zaś prawosławni tworzyliby zaledwie 33 proc., czyli *mniej niż trzecią część ogółu ludności*”. A zatem istnienie mniej niż trzeciej części niekatolików wystarcza do poświęcenia więcej niż połowy katolików.

Czy może, przy dzisiejszych stosunkach, potrzeby duchowe ludności prawosławnej nie są należycie zaspokajane? Na to odpowiadają cyfry, przytoczone przez prof. Askenazego, z których pokazuje się, że np. w sześciu powiatach wschodnich gubernii lubelskiej, w stosunku do ludności, prawosławni mają *trzy razy więcej* kapłanów i *sześć razy więcej* świątyń, aniżeli katolicy; nadto zaś dochód roczny kapłana prawosławnego jest *dziesięć razy większy* od dochodu kapłana katolickiego.

Więc może katolicy prześladowają, szykanują prawosławnych?... Proszę, niechby spróbowali zrobić to, wobec policyi, żandarmerji, sądów, duchowieństwa, pisarzy i nauczycieli prawosławnych i wobec jak największej łatwości uwięzienia, a nawet wygnania z kraju osób niebezpiecznych. Wprawdzie skarżono się na prześladowanie przez katolików, lecz niestety! żale te sama władza miejscowa uznała za fałszywe.

Jest to odpowiedź historyczna i faktyczna na wykrzykniki pewnych naszych organów wolnomyślnych, że: po ogłoszeniu ukazu o tolerancji — „apostołowie-rybacy (katolicy) rozpostarli głęboko sieci (między ludnością prawosławną) dla wyłowienia jak największej dusz Kościołowi”...

Na ten pogląd „liberalny” przykre światło rzucają „Wspomnienia” senatora Koniego ogłoszone w *Russkoj*



SZKIC DO OBRAZU „POGRZEB NA RUSI”
Z wystawy „Sztuka” w Krakowie.

T. AXENTOWICZ



Starynie, streszczone w *Kuryerze Warszawskim*. Autor, naoczny świadek „dobrowolnego nawracania się unitów”, pisze wprost, że—kampanię unicką wbrew nowym sądom w Królestwie, a nawet wbrew władzom centralnym w Petersburgu, rozpoczął i prowadził od roku 1875 gubernator siedlecki, Gromeka, i jego następcy. Posługiwano się przytem karami pieniężnymi, cielesnymi, więzieniem i zsyłką opornych.

A oto wyjątek ze „Wspomnień” niewątpliwego rosyjskiego patrioty, senatora Koniego: „Bywało tak, że proboszcz prawosławny, udając się jakoby do konającego, pod pozorem ochrony prosił o przydanie sobie asysty z żołnierzy, poczem, korzystając z tej eskorty, obchodził całą wieś i chrzczył według obrządku prawosławnego wszystkie dzieci byłych unitów”.

Czy katolicy „apostołowie-rybacy” mieli w rękach podobne środki? A jakże—mieli: „medaliki i szkaplerze”, gęsto wysyłane jakoby z Warszawy.

Wobec zestawienia karabinów z medalikami doprawdy niewiadomo, czy śmiać się z naszego „liberalizmu”, czy płakać. „Dobrowolnie nawróceni” Buryaci cofają się dziś do swej pogańskiej religii, ponieważ ją lepiej rozumieją i lepiej odczuwają; żaden zaś Rosjanin postępowy nie dziwi się temu cofnięciu, i dopiero warszawski postęp dziwi się nieszczęśnikom, którzy w katolickich obrządkach znajdują dla swych dusz więcej ukojenia i nadziei, aniżeli w jakimkolwiek innym systemie religijnym.

Doskonale rozumiem, co to jest tolerancja religijna, rozumiem gniewy postępowców za przechowywanie starozakonnej historyczki w zakładzie katolickim. Lecz, jeżeli nawet ateusze żądają swobody dla swych wierzeń, ba! dla propagandy, to z jakiejże racji przywiązanie i powracanie do katolicyzmu miałyby się stać u nas niebezpieczeństwem narodowem i wojną z prawosławiem.

Mnie się zdaje, że zarówno projekt odłączenia „Chełmszczyzny”, jak i cała polityka „prawdziwych Rosyan”, ma źródło swoje nie tyle w katolickim „duszołapstwie”, ile w dawnej maksymie, którą jeszcze s. p. Machiavel sformułował: „Jeżeli państwo zdobyte przywykło do własnych praw i wolności, mamy trzy sposoby zachowania go dla siebie. Pierwszy polega na zrujnowaniu go, drugi na zamieszkanu wśród niego, trzeci—na pozostawieniu mu jego praw, pod warunkiem, że będzie płacił kontrybucję”. Otóż Prusacy stosują do Polaków dwa pierwsze prawidła: chcą zrujnować ich umysłowo i ekonomicznie i zalać swoimi kolonistami; prawdziwi zaś Rosjanie naśladują Prusaków i będą tak robili dopóty, dopóki siła wypadków nie skłoni Rosji do wejścia na nowe drogi, odpowiadające jej interesom, nie pruskim.

Profesor Askenazy, wreszcie cały nasz ogół, uważa „odłączenie gubernii chełmskiej” za wielką katastrofę narodową. Ja, może nieśluszenie, spokojniej zapatruję się na te rzeczy. Wszelkie oddzielanie i przyłączanie terytoriów w granicach tego samego państwa wygląda na przesuwanie mebli w tym samym domu i przypomina zakończenie bajki Kryłowa: „*Kak nie saditś, wsio w muzykanty nie gaditś*... Pewnym jest tylko jeden skutek, że: w zoperowanych okolicach temperatura katolicyzmu i polonizmu wznieśnie się o kilka stopni.



SZKIC (z wystawy „Sztuka” w Krakowie)

T. AXENTOWICZ

A my tymczasem, oczekując niezawodnie lepszej przyszłości, starajmy się ulepszać siebie samych i nasze stosunki i pamiętajmy, że w całej naturze nie katastrofy, ale powolna i drobniawa praca—tworzy postęp i życie.

Jeżeli Pan Bóg tak nas podgrzewa, kuje, piłuje i hartuje, że nam krwawe łyzy płyną, to przecież nie robi tego na próżno, musi mieć jakie dalsze zamiary.

Z pracowni Axentowicza.

W pracowni profesora Axentowicza znajduje się zawsze nie tylko ogromny, powszechnie już u nas i w Europie uznany talent, nie tylko grzmiąca sława, ale także i niestrudzona praca, którą znakomity ten artysta ciągle na nowo zdobywa tyle już razy zdobyty wysoki i zaszczytny posterunek w naszej sztuce.

Niespodzianek w pracowni mistrza portretu kobiecego nie znajduje się najczęściej żadnych. Zbyt silną i ustaloną jest on indywidualnością artystyczną, aby mógł sprawiać niespodzianki. Natomiast, ilekroć przestąpi się próg tej sali, zawalonej literalnie płótnami i kartonami, ulega się mimowolnie temu uczuciu głębokiego szacunku i oddania dla sztuki, którem przejęty jest zawsze Axentowicz.

Kiedy, skorzystawszy z jego zaproszenia, odwiedziłem go w jego pracowni i kiedy otrzymałem pozwolenie na odwracanie kartonów, porządkowanych stosami literalnie do ścian, uderzyła mnie ta jednolitość przekroju organizacji artystycznej Axentowicza, którą cechuje głębokie poczucie posłannictwa artysty, budzące się w nim w chwili, kiedy z kredką czy pendzlem stanie przed stalugą. Ta niezwykła równość w natężeniu pracy i inspiracji, ta tożsamość wysokich zadań, jakie sobie artysta stawia przy każdym swoim, chociażby najskromniejszym dziele, sprawia, że w pracowni jego niema nigdzie dowodów słabych chwil arty-

stycznych w postaci jakichś rzeczy tak zwanych „od niechcenia”.

U Axentowicza, przeciwnie, wszystkie rzeczy bez względu na stadium wykonania, w którym się znajdują, noszą na sobie stale piętno skupienia trwałego i silnego „chcenia” i tej twórczej woli, która nie pozwala mu ani na chwilę zejść niżej poziomu, już raz osiągniętego, która nie dopuszcza, aby z pod jego pendzla wychodziły nowe rzeczy, nie wytrzymujące porównania z dawnymi. Zawsze ten sam, zawsze poważnie każdy swój ruch ręką na płótnie czy kartonie traktujący, zawsze uparcie do doskonałości dążący i raz już zdobytą cześć jej silnie utrzymujący—taki jest Axentowicz na tle nie tej lub owej wystawy, gdzie artysta daje z dobrego najlepsze, ale na tle swej pracowni, gdzie gromadzi się wszystko, cokolwiek wyszło z jaźni jego w tajemniczym procesie tworzenia i stawania się.

Na stalugach wiszą trzy portrety „żywieckie”. Dwa konterfekty arcyksiężniczki Renaty—młodej pani Radziwiłłowej, i prześliczny portret ojca jej, arcyksięcia Stefana, którą córce ofiarował artysta w upominku ślubnym. Arcyksiążę przedstawiony tu jest nie w zwyczajnej postaci portretowej, która u osobistości w jego położeniu jest już dostatecznie banalną, ale przeciwnie, w postaci dość niezwyklej, chociażby najmniej nie niewłaściwej dla niego. Oto siedzi on przed nami, jako marzycielski miłośnik muzyki i Chopina,

gdy o wieczornej godzinie rozmawia sobie cicho z fortepianem... Portret ten to jedno z arcydzieł Axentowicza. Ten sentyment niesłychanie szczery i logicznie w każdym szczególe obrazu uwydatniony, ta brawurowa technika pastelowa, która tak znakomicie wydobywa cichy nastrój portretu ojca, przepyszenie użyty światłocień, w którym bryła głowy i całej półfigury rysuje się tak wybornie i tak dobrze zatracza nadmiar szczegółów twarzy i rąk, który psułby wrażenie serdeczności, jakie obraz budzi—wszystko to składa się razem na twór, godny, aby go zaliczyć do najlepszych dzieł Axentowicza.

Portret arcyksiężniczki Renaty, również przy fortepianie i w analogicznych warunkach świetlnych, odznacza się temi samymi zaletami, co portret jej ojca, posiada przytem te wszystkie specjalności Axentowicza w malowaniu twarzy kobiecej, które zbyt już są znane i uznane, aby je tu warto było nanowo wykazywać.

Obok na ogromnej staludze portret ks. Franciszkowej z Radziwiłłów Potockiej skupia w sobie jakby w soczewce wszystkie cenne właściwości techniki i artyzmu Axentowicza. Więc przedewszystkiem całość, jako harmonia barw tak subtelna i pełna smaku, perłowe tło obrazu z różowością wspaniałej sukni taką misterną gradacją barw połączone, że przypominają się najsubtelniejsze majstersztyki japońskie w dziedzinie t. zw. „symfonii” barw. Głowa o bardzo szlachetnej i delikatnej modelacji, przepyszna karnacja, czuć niemal świeżość, miękkość i ciepło twarzy. Charakterystyka bogata i przekonująca. A dziecko, to „bobo” milutkie u kolan matki, to już całe arcydziełko.

Tak wyglądają rzeczy skończone. A teraz szkice, wprost od ręki, jeszcze pozostające w organicznym związku z wyobraźnią twórczą artysty. Oto kobieta rusińska ze świecą w ręku—jedna z postaci, które zaludnił Axentowicz ogromne płótno, przedstawiające



ALBANY

NOV 10 1881

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nakładem *Biblioteki Dzieł Wyborowych* wyszła książka E. Reycha p. t. „Niemcy współczesne”. Autor jest Węgrem, i zdaje się, bardzo zdolnym pisarzem, cel zaś jego książki streszcza się w następujących zdaniach: „Niemcy w poważnym stopniu są dotknięci manią wielkości”—i—„Anglicy nic absolutnie nie wiedzą o tym niebezpiecznym stanie swoich najważniejszych współzawodników”.

Jakąż tu rolę mają Anglicy?... Najważniejszą. Oni bowiem jedni stanowią dziś potęgę, która może się przeciwstawić Niemcom i—na nich przedewszystkiem zwróci się furja niemiecka...

Według Reycha obłąkanie Niemców manifestuje się pangermanizmem, który głębokim nurtem przebiega cały naród. Pangermanizm zaś mniema, że, jak twierdzi Chamberlain, „cała historia ludzkości zlewa się w jeden wyraz Niemiec, że Niemcy byli i są naprawdę od Boga wybranym narodem”. Pod wyrazem: Niemiec Chamberlain rozumie Celty, Germanów i Słowian, którzy wszyscy pochodzą z jednego źródła, a duszą tego źródła jest Germanin”. „Prawdziwe dzieje ludzkości rozpoczną się z tą chwilą, kiedy Niemiec przystąpi do ogarnięcia pod swe potężne ramię pucziny starożytnej”...

Nie dość na tem: wszyscy bowiem ludzie wielcy w historii należeli do rasy germańskiej. O naszym Koperniku już słyszeliśmy, że był Niemcem. Z kolei pisarz Woltman zabiera się do Włochów i usiłuje dowieść, że Cellini, Buonarroti, Vinci, Santi i t. d. pochodzą z krwi niemieckiej. Wzmiankowany już Chamberlain robi krok dalej i do Niemców zalicza św. Pawła, a uczony Reimer posuwa się jeszcze kroczek i twierdzi, że, ponieważ „Jezus nie był oszustem, więc — jest Niemcem”... Hulaj dusza!...

W szpitalach dla obłąkanych trafiają się pacjenci, którzy np. siebie samych uważają za Chrystusów, lecz—nic złego nie robią innym. Więc i pangermanizm, anektujący wszystko, czem chlubi się człowieczeństwo, nie byłby groźny, gdyby nie posiadał — drugiego piętra, gdyby poza nim nie rozrastał się pan-germanizm zdobywający, a nawet tępiący. Ten nowy obłąd już nie zadawała się wielkimi nazwiskami, on jeszcze chce ziemi: „od Rumunii do Adryatyku”. A gdyby kto zrobił uwagę, że na tych przestrzeniach już mieszkają ludzie, otrzymałby od pangermanistów taką odpowiedź.

„Ludność nieniemiecka będzie z Cisleitani wygnana”. Wygnanym można będzie wynagrodzić straty, ale kraj musi być oczyszczony z obcego żywiołu i zaludniony Niemcami. W razie pomyślnym nie zawahamy się od strony Francji i Rosji wydzielić szerokich pasów ziemi, ażeby wzdłuż całej naszej granicy utworzyć szanice ku wschodowi i zachodowi. Lecz i te pasy winny być zasiedlone Niemcami”... Mamy tedy nawet rodzaj chińskiego muru!

Najgorsza jednak dola oczekuje nas, Polaków. Według teologa Letiusa „prasa polska winna być zniesiona, wszelkie stowarzyszenia polskie rozwiązane... Na Polaków należy patrzeć, jak na Helotów (niewolnicy w Sparcie). Należy im pozostawić tylko trzy przywileje:

płacenie podatków, odbywanie służby wojskowej i niewypuszczanie pary z gęby”.

Wielebny Letius, zdaje się, zapomniał, że taką mniej więcej rolę odegrali niegdyś najemnicy germańscy w państwie rzymskim. A co się potem stało?... Nawet „pograniczne szanice” nie pomogły!

Wszystko to jednak nie wystarcza pangermanistom, oni jeszcze potrzebują krajów zamorskich, w ilości jak największej. A ponieważ władczynią przeważnej części tych ziem i panią morza jest dziś Anglia, z nią więc Niemcy muszą się rozprawić, i to bodaj czy nie pierwaj jeszcze, aniżeli z rozmaitymi Polakami, Czechami, Słowakami... aniżeli nawet z Rosją, które to—„wielkie mocarstwo słowiańskie ma być rozczłonkowane i ostatecznie zgniecione”.

Stuchając tego, czytelnik może zapytać: na cóż Niemcom aż tyle ziemi? Tymczasem, w warunkach obecnych, które zresztą kiedyś mogą się zmienić, tymczasem kwestya ziemi staje się dla Niemiec sprawą pierwszorzędną wagi, ludność bowiem Niemiec dotychczas wzrastała bardzo szybko. W roku 1816 Niemcy liczyły 25 milionów mieszkańców, w 1855 już 36 milionów, a w roku 1905 posiadały 60 milionów. (Francja około 1850 1820 miała o 4 miliony ludności więcej, aniżeli Niemcy, około 1850 oba kraje liczyły po 34 i pół miliona, a dziś Niemcy liczą o 20 milionów więcej mieszkańców, aniżeli Francja, bodaj tylko dlatego, że Francja nie chce mieć dzieci, woli pieniądze, jak mówi Reych).

Gdyby zatem Niemcy mnożyły się w stosunku dotychczasowemu, to od dziś za 60 lat miałyby przeszło 104 miliony, a w roku 2030-ym dosięgnęłyby 200 milionów ludności. Wobec takiej perspektywy można zastanawiać się nad zdobywaniem nowych terytoriów w Europie i innych częściach świata. Co jednakże będzie, jeżeli np. za ćwierć wieku Niemcy przestaną rozrastać się, a zaczną Francuzi?...

Wróćmy do zdobyczy zamorskich. Reych sądzi, że wojna Niemiec z Anglią jest nieunikniona i że Niemcy przygotowują się do niej pod każdym względem. Powiększają budżet marynarki, budują okręty wojenne, zakładają nowe warsztaty okrętowe, kształcą marynarzy. Zapał w tym kierunku jest tak wielki, że „Niemiecki związek morski” liczy już około miliona członków, a „Morski związek kobiet” posiada tysiące patryotek. Wychodzi mnóstwo broszur i książek, poświęconych sprawom morskim, a dzieła te w setkach tysięcy egzemplarzy rozsyła się między publiczność i młodzież szkolną.

„W liczbie członków gabinetu Wilhelma II jest dwunastu specjalistów, których główny obowiązek polega na tem, ażeby śledzić najmniejsze poruszenia Brytańczyków we wszystkich częściach świata. Wogóle można rzec na pewno, iż tak ścisłych i cennych wiadomości o wszystkich zagadnieniach polityki europejskiej i wszechświatowej, jakie posiada Wilhelm II, nie ma ani prezydent republiki francuskiej, ani cesarz Austro-Węgier, ani król Italii”.

O to—jest pierwszy punkt ogromnej doniosłości: Niemcy nie fantazyują, jak się to nam naprzykład zdarza, ale badają zarówno swoich przyjaciół, jak i nieprzyjaciół, jak i cały świat. Oni wszędzie mają uważnych i mądrych obserwatorów, o wszystkim starają się wiedzieć, no—i zapewne, gdy im potrzeba, umieją w odpowiedni sposób działać.

Anglikom zarzuca Reych, że lekceważą potęgę i działalność Niemców, za co mogą

straszną cenę zapłacić. „Ani Jena, ani Sedan nie równałyby się co do następstw z katastrofą, która stanie się nieuniknioną na wypadek przegranej przez Anglików morskiej bitwy w walce z Niemcami”—mówi autor. Na szczęście dla Anglii, a może i dla cywilizacji, Anglicy już nie tylko spostrzegli się, ale nawet zaczynają... lękać się Niemców. *Timor Die initium sapientiae*—strach Boży jest początkiem mądrości.

Tyle o obłąkaniu wszechniemieckim, o ich pysze. Kiedy czytam objawy ich egoizmu, nienawiści, mściwości, pogardy dla najwyższych zasad moralnych, mimowoli przychodzą mi na myśl cytowane we wszystkich stylistykach słowa ś. p. Racine'a: „Widziałem uwielbianą na ziemi bezbożność. Podobna do cedru, wznosiła aż do niebios zuchwałą głowę. Zdawało się, że władza piorunami i deptce leżących u jej stóp nieprzyjaciół. Przeszedłem i—już jej nie było”.

Assyryjczycy, Persowie, Rzymianie, Hunowie, Tatarzy, Hannibale, Aleksandry, Attyle, Czyngishany, Napoleony, zaświadczy, że „On tylko przeszedł i już was nie było”... A czy nazwiemy Go Bogiem, losem, przeznaczeniem czy logiką faktów, wszystko jedno. Dość, że w historii niejedna potęga, bodaj czy nie większa od pruskiej gąsła, niby zdmuchnięta świeca.

Zdaje się, do pewnego stopnia Reych ma słusność, że w państwie niemieckim istnieje ferment, przypominający jeżeli nie obłąkanie, to przynajmniej—upojenie! odurzenie zbiorowe. Byłoby jednak nie tylko niesprawiedliwością, ale poprostu—błędem zapominać, że Niemcy to naród wielki i że obok dużych wad posiadają olbrzymie zalety.

Przedewszystkiem ich pracowitość i energia niewiele mają sobie równych w historii. Gdzie jest kraj na kuli ziemskiej, do którego nie trafiłby niemiecki handel, gdzie gałąź techniki czy nauki, nad którą nie pracowaliby Niemcy z chwałą dla siebie, a pożytkiem dla ludzkości? W budowie okrętów wojennych dorównywają Anglii, w pracach nad balonami kierowanymi doganiają Francuzów, ich fizyk Roentgen odkrył niewidzialne promienie światła, a drugi—Hertz, zbadał fale elektryczne i umożliwił wynalazek telegrafów bez drutu.

Dobrobyt jest ogromny, robotnicy mają zabezpieczoną starość, chorzy szpital—sieroty i starcy—przytułek. Niemiec lekceważy encyklopedyczną wszechstronność, on woli stać się doskonałym w granicach pewnej specjalności. Współzawodnictwo fachowe, klasowe, nawet religijne, nie wyłącza u nich wielkiej solidarności, a społeczna karność jest dla nich punktem honoru. Dzięki tym zaletom mogą tworzyć najrozmaitsze stowarzyszenia, w dodatku: ogromne tak pod względem liczby członków, jak i kapitałów.

Innym przymiotem Niemców jest samokrytyka. Po wojnie zwycięskiej 1870 roku—mówi Reych—wojskowi zadali sobie pytanie: czy Francja, przeciągając jeszcze na kilka miesięcy kampanię, mogła była zniszczyć armię niemiecką? i odpowiedź wypadła twierdząca. „Wykazując własne omyłki spodziewają się Niemcy naprawić je w przyszłości”.

„Niemiecki ojciec rodziny—mówi Francuz B. Lichtenberger—niema takiej, jak nasi, ambicji, ażeby dzieciom zostawić majątek i uwolnić je od wszelkich kłopotów. On daje dzieciom zdrową edukację, przygotowuje je do walki o byt, a resztę—zostawia ich własnej energii i pracy”. Tenże Lichtenberger inaczej trąca pychę Niemiec, aniżeli Reych. „Niem-



RECEIVED
FEB 21 1964
FBI - NEW YORK

RECEIVED
FEB 21 1964
FBI - NEW YORK

RECEIVED
FEB 21 1964
FBI - NEW YORK

RECEIVED
FEB 21 1964
FBI - NEW YORK

RECEIVED
FEB 21 1964
FBI - NEW YORK

cy—mówi—dążą do potęgi, do władzy, hołdują sile, ale nie tej brutalnej, tyrańskiej, kapryśnej, która w głupi sposób zwalcza prawo. Oni czczą siłę inteligentną, zastanawiającą się, która narzuca się innym tylko przez swoje cnoty i wartość”.

Słowem, wielkie i dla świata niebezpieczne błędy Niemców zdają się być zaszczipione im przez imperyalizm, militarizm i pruską biurokrację, zaś ich zalety są własnością narodu. Trzeba zabezpieczać się od ich wad, ale cnoty naśladować, a nadewszystko poznać Niemców dokładnie i unikać przeciw nim jałowych demonstracji, które ich drażnią i nikomu nie przynoszą pożytku, a nas, a nas... ciężko kompromitują!...

Z MOTYWÓW DALEKIEGO WSCHODU.

I. NA ŚMIERĆ CHŁOPCA.

Kochane dzieciątko! by gonić za modremi wazkami, tak od nas daleko odbiegłeś, nie litując się nad nami—tak daleko—ach, tak daleko—

II. KOBIETA, KTÓRA WSTRZĄSNAĆ MOŻE PAŃSTWEM.

Gdy moja ukochana przysła na świat, zamknęto jej małe nóżki w żelazną skrzynię—i moja Bardzo Kochana nigdy nie wejdzie w mój sad.

Nim z bytów zagrobnych wstąpiła na świat, zamknęli jej serce w żelazną skrzynię:

i Ta, którą kocham, ze mną ku niebu nie plynie!

Kwiat się rozchylił nad wodą głęboką—wodą głęboką!

Zatopić chcę, jakby jej sercem był ten łosć czerwony!

Tajemniczy sen wód ciemnych jest wstrząśniony—

Stońce na skraju nieba gaśnie, tonąc w Mroku!

Siadłem w ubogą łódź, myśląc, że wicher rozprószy mój smutek, i wziąłem flet, tak ulubiony przez ciebie!

Zda mi się, że łódź moja ślizga się po niebie ukochana moja—tak się odbija w mej duszy...

Wiatr zerwał listki z wierzb, one upadły w jezioro i odpłynęły na fali, jak me wspomnienie...

Leżę nad brzegiem wód, już zasłuchany w milczenie—

Krażę, jak zwiędły liść, jesienną smutną porą...

Ach, w przygnębieniu mem pełne są chmury moje pieśni!

— — — Płynę do jej pałacu, z trudem unosząc me wiostę.

Woda, jak jedwab migliwy, a chmura ciemna wyrosła nad tą głębiną, w której o szczęściu nikt nie śni!

.....Wpłynąłem w cichą zatokę, gdzie kwiecie nenufarów lśni się.

Na zamkowym tarasie widzę: król! leży niedbale—

Przed nim—

Urojona ma Piękność, niby kwiat, zanurzony w kryształ, w wyczerpaniu rozkoszą, wsparta na krwawym jaspisie.

Nieuważnemi rękoma rwie igły z czarnego cyprysu i rzuca w głębię, gdzie igra księżyc z chmurami — — —

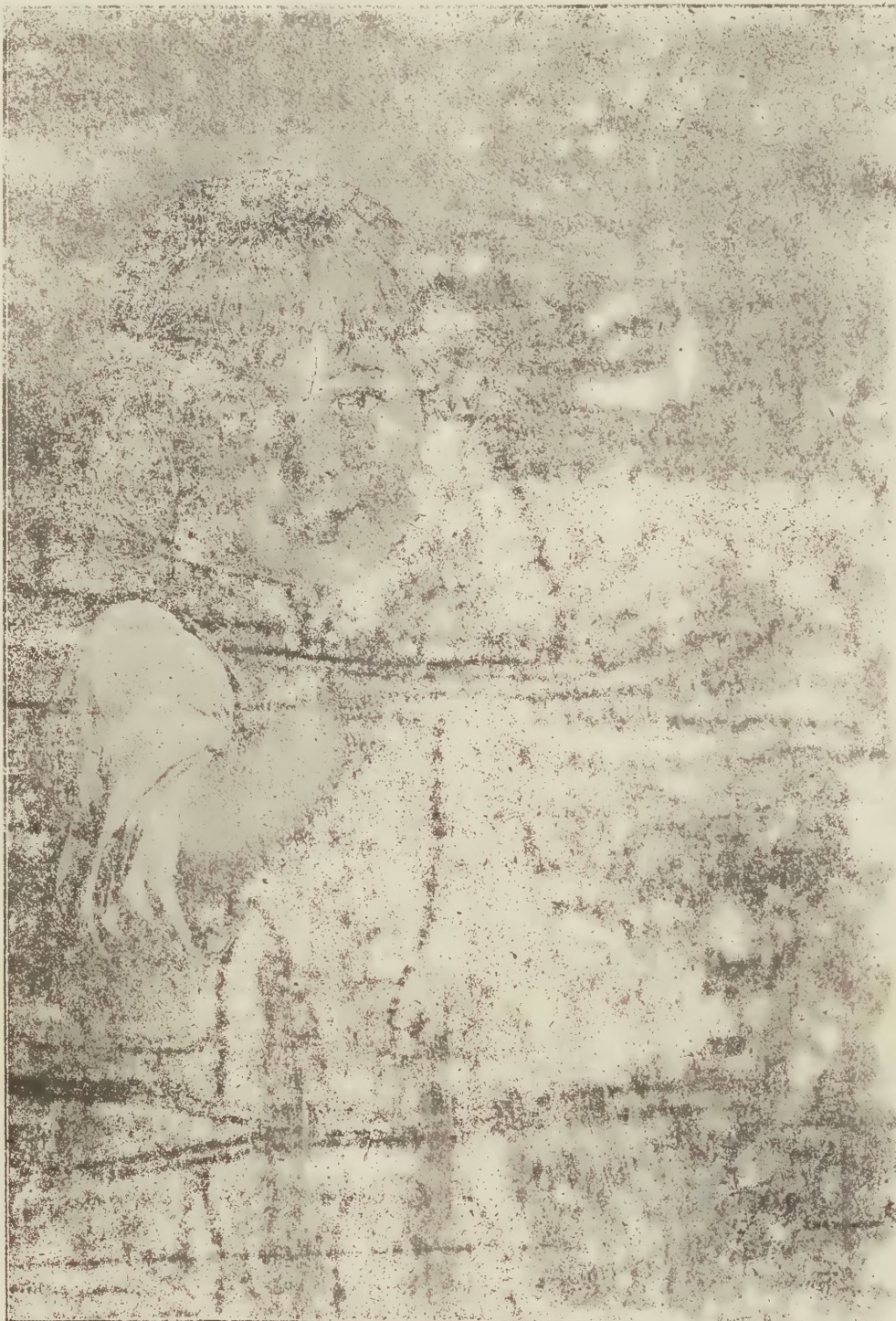
Leży król martwy!

...Ona na harfie gra mi!

Ja — — — szydę!

— drżą cienie drzew olbrzymich nad mroczną, bezdenną wodą misą!

TADEUSZ MICIŃSKI.



GOSPOSIA

FRANCISZEK EJSMOND

LEON ROMOCKI.

DYNGUS PANA LANDRATA.

Pierwszy powiew wiosny pamiętnego roku 1848 ożywił niewytłomaczonym sposobem w sercach ludów stłumione i przygasłe nadzieje, wskrzesił dawne marzenia z przed pół wieku, w niedalekiej przyszłości ukazał znów to, co na zawsze zdawało się niedościgłem, nieodzownie straconem, jutrenkę swobody, stońce wolności. Skute żelaznymi łańcuchami świętego przymierza narody drgać zaczęły w okowach, próbować rozluźnić pęta, trząść kajdanami. A wtedy stała się rzecz jeszcze trudniejsza do pojęcia. Na sam brząk targanych oków zaczęły się chwiać trony, tak potężnie, zdawało się, ucementowane na gruzach wielkiej rewolucji. Ostrożny Ludwik-Filip pierwszy wziął parasol pod pachę i drapnął. Nic dziwnego, *Galli semper novarum rerum cupidi*, ale i kilku odwiecznie panujących książątek niemieckich wypędził ich wierny lud, gdy zaś Fryderyk Wilhelm w Berlinie cześć złożyć musiał ofiarom marcowych zamieszek, najwięksi pesymiści wierzyć zaczęli, że nadeszły czasy nowe.

W Wielkopolsce pruskiej, germanizowanej pośpiesznie, z pomocą landszaftu, chętnie dającej wysokie pożyczki obywatelom, ale jeszcze chętniej wystawiającej potem ich majątki na subhastę, i inscenizowanych przez policję poznańską spisków, odżył duch. W pałacu Działyńskich zaczęła się gromadzić szlachta, po dworach i zajazdach zaczęły się snuć tajemnicze figury, imiona bohatera wolności, Garibaldi, i szarlatana jej, Mierosławskiego, przebiegały z ust do ust, lud zaniepokojony zaczął się, w miarę wpływów, które go ukształtowały, dopytywać to dziedzica, to landrata.

Nadeszła Wielkanoc. Widziano w niej symbol zmartwychwstania, ten i ów dwór obchodził ją tem huczniej. W Bąblinie nad Wartą, tak nazwaną od bąbli, tworzonych przez wir rzeczny, w obornickim powiecie, pan Erazm Dobrzycki i pani Antonina z Morzkowskich tradycyjnie rok w rok, sami dzieci nie mając, krewnym i znajomym wyprawiali wspaniałe święcone. Zjeżdżały się spokrewnione i sąsiedzkie domy Turnów, Kwileckich, Radońskich, Łubieńskich. Pan Erazm, człowiek już niemłody, po polsku się jeszcze noszący, nadewszystko lubił gości i wesołość. Polakiem się czuł w przeciwieństwie do wie-





KAROL BISKE

W STYCZNIU

BOLESŁAW PRUS:

Proroctwa polityczne.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mieszka w Warszawie taki pan, który, w końcu roku 1905-go, czyli w epoce najpiękniejszych upojeń konstytucyjno-wolnościowych, opowiadał rzeczy następujące:

„Przegrana wojna sewastopolska dała Rosji pewne ulgi sądowe i administracyjne, a nadewszystko—przyczyniła się do zniesienia pańszczyzny; nie wątpię więc, że i po przegranej wojnie z Japonią, Rosja otrzyma jakieś rozszerzenie władzy ziemstw i rad miejskich, trochę większą swobodę prasy, może nawet rodzaj parlamentu ze skromniutkim głosem doradczym... Przypuszczałem, że pewna część tych dobrodziejstw dostanie się i naszemu krajowi... Z czasem, kiedyś, w miarę zadłużania się państwa i konieczności spotęgowania pracy twórczej, mogłyby nastąpić inne swobody, nie przekraczające jednakże tego, co dziś widzimy np. w Prusiech”...

„Gdyby mnie w owej epoce, a nawet później, zapytał kto: co należy robić dla podźwignięcia naszej narodowości? odpowiedziałbym: trzeba korzystać z każdej, choćby najdrobniejszej ulgi i—pracować... pracować... pracować... A gdyby mnie spytano: czy wierzę w możliwość rewolucji w Rosji?... odpowiedziałbym, że na świecie wszystko jest możliwe, więc i rewolucja rosyjska, która jednak bez silnego udziału wojska nie tylko nie stworzy upragnionej wolności, ale wywoła jeszcze gorszą reakcję”.

„Krótko mówiąc, byłem stanowczym przeciwnikiem wszelkich ruchów rewolucyjnych, a przedewszystkiem strajków. W szczególności zaś, gdyby to zależało ode mnie, głosowałbym przeciw jakimkolwiek „nieporządkom” u nas z obawy, ażeby nasze niepokoje nie skłoniły rządu do ogłoszenia wojny świętej przeciw polskiemu buntownikowi, wojny, która

cały naród mogłaby zjednoczyć z biurokracją przeciw nam, zakończyć się reakcją dla Rosji, a dla nas... chyba wytępieniem?...

Otóż do tego pana wybrałem się z wizytą i, przypomniawszy mu jego refleksje z czasów arcy-wolnościowych, prosiłem, ażeby raczył mi wypowiedzieć kilka proroctw, osnutych na wypadkach bieżących.

— Szczególniej—mówiłem—niech pan wyprorokuje coś na temat neoslawizmu czy panslawizmu i niech pan powie coś o naszym przyszłym położeniu w Rosji. Bo to teraz, widzi pan, modne jest wołać: „A czy ty wiesz, co z Polską będzie za lat dwieście?”... które pytanie postawił dyabeł w „Dziadach” księdzu Piotrowi i Konradowi...

— Proszę pana—odrzekł autor wieszczby z roku 1905—przedewszystkiem ja nie jestem wcale prorok, gdyż grubo omyliłem się nawet w owej „przepowiedni”, ciesząc się wraz z innymi, że: „Patriotyczna Rosja nie tylko nie wypowiedziała nam wojny eksterminacyjnej, ale jeszcze ujęła się za nami i w szeregu swoich zasadniczych wymagań zapisała autonomię Królestwa Polskiego!” Słusznie przewidując możliwą reakcję, źle oceniałem nasz stosunek do rosyjskiego ogółu.

— Prawda—wtrąciłem—ale jednocześnie wołał pan do młodzieży: „Młodości! wdzieraj się na wyżyny”,—„łam, czego rozum nie złamie”—„duś Ceutaury”—„do niebios sięgaj po laury!”... Ale jednocześnie: „szanuj oko i szkiełko mędrców”, jak najczęściej postuguj się „cyrklem, wagą i miarą”, a nadewszystko, zanim „poruszyś z posad ziemię”, jak najstanniej zbadać nie tylko swoje „siły w stosunku do zamiarów”, ale i swoje środki wykonawcze i okoliczności, współczesne swoim działaniom”...

— W rezultacie—mówiłem dalej—mnie nie chodzi o pańską nieomyślność, lecz o pańskie zdanie w dwu kwestiach aktualnych: co będzie z wszechsłowianizmem? i jaka przyszłość czeka nas wobec Rosji?

Niedoszły prorok wzruszył ramionami i żądał ode mnie pytań bardziej określonych.

— Czy pan wie—rzekłem—co się teraz wypisuje w gazetach południow—słowiańskich, które kilka miesięcy temu wyciągały obie ręce do Rosji?... Oto co: „W Austrii Słowianie zażywają stosunkowo najwięcej swobody i posiadają najpomyślniejsze warunki rozwoju narodowego”... „W Austrii, mimo przewagi Niemców w szkole i urzędzie, oddychamy swobodniej i wchłaniamy w siebie kulturę europejską. Przyszłość Słowiańszczyzny nie leży w Rosji, gdzie biurokracja uśmierca kulturę, ani na Bałkanach, lecz w Austrii. Austria jest Piemontem słowiańskim”... Czy sądzi pan, że takie głosy przeciw Rosji, a jest ich coraz więcej, nie przyczynią się do rozdarcia Słowian, zamiast związania ich w jedną, zgodną rodzinę?... A wszystko dzięki temu, że Rosja po dawnemu nęka nas, Polaków, i że świeżo opuściła Serbię...

— A cóż pan chciał—odezwał się quasi-prorok ażeby Rosja, państwo 150-milionowe, ryzykowała swoje interesy, a może i swój byt, dla zrobienia państwa pięćmilionowego z trzy milionowej Serbii?...

— Ależ Rosja obiecywała Serbii poparcie!...

— Niechże pan nie wierzy tym bredniom!—rzekł prorok. — Rosja mogła obiecywać Serbii poparcie moralne, no i tego udzielała jej. Realnie zaś kwestya przyłączenia Bośni do Austrii była rozstrzygnięta od świętej pamięci, zaraz po kongresie berlińskim, i jeszcze później, i bodaj że po kilka razy. Czy jest na świecie człowiek, który dlatego, aby ktoś inny został bogatszym, zechce narażać swój własny majątek, zdrowie i życie? Takie państwo, jak Serbia, które przecież prowadzi własną politykę, powinno było to rozumieć; a jeżeli nie rozumiało, że każdy dba najpierwej o własne interesy, niechże nie ma pretensyi, że się zawiodło.

— A więc z neoslawizmu nic?—pytam.

— Owszem—odparł prorok—może być



1891
100. 125



BALLADA A. MICKIEWICZA. (Wystawa „Pracowni” w T. Z. S. P.)

KONSTANTY GORSKI

„Tyżeś to w nocy? to ty, Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku!
Czasem usłyszysz macocha!...

Ty już umarłeś? Ale ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach! to on! lica twoje! oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały, jak chusta,
Zimny—jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,—
Przyciśnij mnie—do ust usta!

„Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,—
Nie lubię świata!”

nawet dwa neoslawizmy: jeden rosyjski, drugi austriacki. A zwycięży—silniejszy.

— Więc Słowianie zachodni i południowi już na wieki odwrócą się od Rosyi?

— Owszem, mogą znowu odwrócić się do Rosyi pod trzema warunkami: 1—mo gdyby Austria pod wpływem Niemców zaczęła przysuszać swoich Słowian, co nie należy do zjawisk niemożliwych, 2—do jeżeli Rosya wewnętrznie i zewnętrznie wzmocni się tak, że zaczną się jej bać Austriacy, a nawet Niemcy, i 3—io, jeżeli Rosya każdemu narodowi słowiańskiemu zapewni autonomię. Wówczas naprawdę może się utworzyć jedna rodzina słowiańska, do której dziś jest cokolwiek za daleko.

— No, a tymczasem?...

— A tymczasem—odpowiedział prorok—zapamiętajmy sobie słowa pewnego oryginała angielskiego, nazwiskiem Wiliam Sted, który, spostrzegłszy ze statystyki, iż w Europie najszybciej mnożą się Słowianie, woła w ich imieniu: „przyszłość należy do nas!” i zaleca im: „jedność i cierpliwość”... Otóż i my, Polacy, jednoczmy się między sobą, mnożmy się i—bądźmy cierpliwi, a przyszłość znajdzie się w naszych rękach.

— Nawet za dwieście lat?... pomimo Mickiewiczowskiego aforyzmu: „A czy ty wiesz, co z Polską będzie za lat dwieście?”...

— Proszę pana—mówił prorok—tego rodzaju pytanie stawiać można każdemu państwu i narodowi, poczynawszy od Anglii, Afganistanu, Belgii i t. d., kończąc na Urugwaju, Wenezueli i Zanzibarze. A czy ty wiesz, co z Francją, a czy ty wiesz, co z Rosją będzie za lat dwieście?... Każdy będzie miał to, co sobie wypracuje energią, mądrością i szlachetnymi uczuciami, i żaden nie będzie miał tego, czego sobie nie wyrobi...

— A z Chełmszczyzną jakże pan myśli?...

— spytałem, wszelako miarkując, że kandydat na proroka nie wypowiada tak znowu strasznie cudownych rzeczy. Każdy mógłby prorokować to samo, i nawet z piękniejszym „gestem”...

— Chełmszczyznę, jeżeli rząd naprawdę zechce oddzielić od Królestwa, to ją oddzieli, może w celu „odpolszczenia” i „odkatoliczenia” tamtejszej ludności, a może—dla przypomnienia Europie, że traktat wiedeński nie istnieje, co wreszcie powinno by podobać się Prusom...

— No, a potem co?...—zapytałem.

— Rosya ma wielką misję: ona pomaga rodzeniu się nowej narodowości małoruskiej, czy ukraińskiej, przeciw czemu my—nic mieć nie możemy.

— Przypuszcza pan, że utworzy się narodowość ukraińska?

— Jestem tego pewien, tem bardziej, że ona już istnieje i tymczasem skacze do gardła tylko nam, Polakom. Przypuszczam zaś więcej, mianowicie, że w miarę gęstnienia ludności, wśród samychże Wielkorosyan powstaną dość znaczne różnice; tak—że Wielkorosyanin kazański, astrachański, odeski, archangielski i t. p. będzie cokolwiek inny, aniżeli Wielkorosyanin moskiewski albo petersburski.

— No więc co?... więc myślisz pan, że państwo rozpadnie się?...

— Bynajmniej!... Ono może jeszcze mocniej spoić się, aniżeli dziś, ale musi się zdecentralizować...

— A cóż się stanie z dzisiejszym patryotyzmem „Prawdziwych Rosyan”?

— Na to odpowiedź słowami już nawet nie europejskich postępowców i miłośników wolności, ale słowami hinduskiego myśliciela Rajahmandri, ogłoszonymi przez zawsze czujny *Kurier Polski*:

„Prawdziwy patryotyzm—to miłość ojczyzny; fałszywy patryotyzm to uczucie, które popycha do mnożenia dobrobytu i szczęścia jednego narodu z krzywdą dla drugiego. Prawdziwemu patryotyzmowi obca jest potworna i haniebna dewiza Anglików: „prawnie czy nieprawnie, to jest mój kraj”. Prawdziwy patryota nigdy nie poświęci ogólnie ludzkich idei na ołtarzu samolubstwa narodowego. Nigdy nie mówi: wolność dla mego kraju, niewola dla innych. Przeciwnie, on woła do wszystkich ludów: światło i wolność dla każdego i dla wszystkich na ziemi!

„Pycha narodowa, tamująca przyjaźń i porozumienie się z innymi ludami, to resztki barbarzyństwa; despotyzm, skazujący obcy naród na poniżenie i wieczną niewolę, to nie patryotyzm, to gwałt. Ludzkość kroczy wciąż naprzód; ludy, które dziś są poniżone, będą wywyższone; te zaś, które się wywyższają, będą poniżone w przyszłości.

„Fałszywi patryoci Wschodu i Zachodu, azali nie wiecie, iż, jak jest jeden Duch Wszechświata, tak jedno prawo miłości i prawo życia na całej ziemi? Czyż wszystkie rasy i narody nie są równymi spadkobiercami zielonej ziemi pod niebem słonecznym? Czy postęp jednego narodu nie pomaga do postępu całego rodzaju ludzkiego? Czy upadek jednego narodu nie osłabi wlotu całej ludzkości? Czy jakakolwiek rasa lub naród, choćby najniżej upadły, nie mają prawa do postępu?”...

Jeżeli nawet w letargicznych Innach rozlegają się takie głosy, to musimy uznać, że sprawa wolności ludów znajduje się nie na najgorszej drodze. A więc niema powodu desperować nawet z racyi awantury chełmskiej, ani pytać lekliwie: „A czy wiesz ty, co z Polską będzie za lat dwieście?”... Będzie—co ona sama ze sobą zrobi.



TRUBADUR

WACŁAW BROZIK

BOLESŁAW PRUS:

Dzieci—przyszłość narodów

KRONIKA TYGODNIOWA.

Ogromne istnieją różnice pomiędzy Francuzami a nami, pominąwszy nawet język. Francuzów jest w Europie półtrzecia raza więcej, aniżeli nas; zamieszkują jedno z najpiękniejszych i najbogatszych terytoriów w świecie; byli i są jednym z najpotężniejszych ognisk wszechludzkiej cywilizacji, uprawiają wszystkie gałęzie pracy, wiedzy i sztuki; mają niezależny byt państwowy i możność najwszechstronniejszego rozwoju.

Nareszcie Francja jest nadzwyczajnie bogata. W ciągu ostatnich szesnastu lat pożyczła 16 miliardów franków obcym państwom, a mimo to posiada dziś o 4 miliardy fr. więcej złota, aniżeli przed szesnastoma laty!...

A jednak, pomiędzy nami a Francją, pomimo tylu jaskrawych różnic, istnieje—pod pewnym, bardzo ważnym względem—uderzające podobieństwo: ich byt i nasz jest zagrożony, a dla uratowania się zarówno nam, jak Francji, potrzeba... dużo dzieci... Niemieccy politycy bez ceremonii głoszą, że polska płodność jest dla nich źródłem patryotycznego niepokoju, to znaczy: przeszkadza im unicestwić nas. Z drugiej zaś strony francuska nieplodność poprostu grozi śmiercią temu narodowi, który tylko wtedy będzie miał widoki ocalenia, jeżeli—przynajmniej podwoi liczbę dzieci, co roku przychodzących na świat,

Parę tygodni temu wspominałem, że, gdy w roku 1820 Francja miała o 4 miliony ludności więcej, aniżeli Niemcy, to już w roku 1850 oba narody ilościowo zrównały się, a dziś państwo niemieckie liczy o 20 milionów więcej

obywateli, niż Francja. Gdyby ilość urodzeń we Francji utrzymała się na obecnym poziomie, państwo to, w ciągu piętnastu lat, straciłoby—według p. A. Messimy—trzydzieści siedm albo i trzydzieści osiem pułków z powodu braku materiału na żołnierzy!...

To też trudno dziwić się, że patryoci francuscy są przerażeni, a p. Paul Margueritte woła: „Wypowiedzmy wojnę alkoholizmowi, wojnę syfilisowi i suchotom!... Ułatwmy małżeństwa i rozwody, obłożmy podatkiem bezżenców!... Opiekujmy się nie tylko miłością legalną, lecz i wolną. Niechaj prawo o dochodzeniu ojcostwa zabezpieczy istnienie tysięcy dzieci, rzuconym dziś na pastwę losu i rozmaitych utrudnień”.

My wprawdzie nie potrzebujemy lękać się braku urodzeń, ponieważ w narodzie naszym są one bardzo obfite. Wytwarzanie jednak ludności polega nie na samych tylko urodzeniach, „nie na tem—mówi Margueritte—ażeby siać na oślepie roślinę, która wschodzi, gdzie chce i jak chce, albo wędnie i umiera, lecz na tem, ażeby owe dzieci wychować, wykształcić, dać im cel moralny i cel praktyczny w życiu”.

Otóż nam te rzeczy grożą: śmiertelność nadmierna, brak oświaty, złe wychowanie, brak praktycznych i moralnych celów w życiu. I dlatego wielkie zainteresowanie budzić w nas powinny wszystkie projekty ulepszeń, jakie patryoci francuscy pragnęliby zastosować do swoich młodych pokoleń.

Wspominałem o śmiertelności. Dr. J. Bertillon niedawno ogłosił odpowiedź na pytanie: jakie choroby są najniebezpieczniejsze w różnych okresach życia? naturalnie—we Francji. I otóż okazuje się, że do pierwszego roku najwięcej dzieci ginie z powodu dyarii, wątrości organizmu i chorób płucnych. Zaś od pierwszego do dziewiętnastego roku najwięcej spu-

stoszeń wyrządzają: zapalenia opon mózgowych, gruźlica, inne choroby płucne i gorączki epidemiczne, jak dyfteryt, odra i t. d. Według tegoż autora niebezpieczeństwo dyfterytu bardzo zmniejszyło się dzięki stereoterapii; tymczasem odra, którą się zazwyczaj lekceważy, jest chorobą wcale niebezpieczną i—dającą się uniknąć.

Jakie choroby u nas są najniebezpieczniejsze dla wieku niemowlęcego, dziecięcego i chłopięcego? nie potrafię powiedzieć. Zresztą wie o tem każdy lekarz. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewien ohydny gatunek śmiertelności dziecięcej, z którym walczyć powinni wszyscy ludzie uczciwi i rozsądni.

Pewien wieśniak z gubernii radomskiej opowiadał mi: że w lesie, gdzie mieszka, przy gościńcu, w ciągu roku znaleziono trzy trupy niemowląt. Jedno z nich miało nawet cienką bieliznę i smoczek w ustach!...

— Cóż to może znaczyć?—zapytałem.

— Porzucają niemowlęta—odpowiedział.—Może wyobrażają sobie, że ktoś znajdzie biedaka; tymczasem nikt żadnego nie znalazł, i troje umarło...

Czy oceniasz, czytelniku, całą doniosłość tej zbrodni potwornej?... Przychodzi na świat dziecko, tak zwane nielegalne, a więc zbyteczne. Może ono mieć najzdrowszy organizm, może nawet posiadać iskrę geniuszu albo świętości, ale, ponieważ niewiadomo, „kto je rodzi”, więc rzucają je na śmierć chłodową i głodową...

Sprawa tak zwanych dzieci nielegalnych jest hańbą cywilizacji, hańbą chrześcijaństwa. Sprowadzono je na świat, choć nie prosilo o życie; ale, ponieważ nie mają w porządku metryki, której sobie także nie wydały, więc—skazują je na śmierć, na nędzę, a jeżeli unikną jednego i drugiego, to—przynajmniej na niestawę w dalszym życiu. Bezdenna głupota ludzka!...



A tymczasem każde dziecko jest przede wszystkim—Bożem dziećciem, rzeczą świętą i kapitałem, który nas chroni od zagłady, a którego brak we Francji, pomimo miliardów złota, usuwa ten wspaniały naród na drugi i trzeci plan w rodzinie ludów ucywilizowanych. Francuzi już się spostrzegli, więc tolerują bardzo dzieci nielegalne. My jeszcze żyjemy wspomnieniami: „kto cię rodzi?”... i dlatego przy gościach spotykają się martwe z głodu niemowlęta. Przecież to, co jest wątpliwe, zazwyczaj ginie samo, przed pierwszym rokiem życia, bez względu na opiekę; po coś więc mordować to, co jest silniejsze, albo po co zatruwać życie temu, co już wychowało się i może być dla narodu użyteczne?

Gdy dziecko uniknie śmierci z nędzy, z chorób zaraźliwych, albo z ręki morderczej, grozi mu inne nieszczęście: brak opieki, brak wychowania, które pogrąża je w barbarzyństwie, a czasem spycha do gromady dzieci czy młodzieży „przestępnej”. Nie jest to takie rzadkie zjawisko, jakby się wydawało. We Francji, dzięki zasadzie nieukrywania złego przed samymi sobą, opinia publiczna już wie, że istnieją trzynastoletnie prostytutki, trzynastoletni złodzieje, pijacy, włóczęgi i szesnastoletni mordercy. My dopiero zaczynamy dowiadywać się o tem.

„Dziecko przestępne!” Cóż to za straszne zestawienie dwu wyrazów: *dziecko* i *kryminał*—mówi raport Opieki Publicznej w Paryżu. Są dzieci szczęśliwe i nieszczęśliwe, zdrowe i chore, dzieci, które posiadają wszystko i które nie mają nic, ale niema dzieci kryminalnych. Nawet te, które oddają do więzień, są tylko ofiarami. Ofiarami dziedziczności, otoczenia, ofiarami ojca alkoholika, albo rozpustnej matki, ofiarami nędzy i społecznego niezdrowia.

W jakimże to sposobie psują się dzieci? Zazwyczaj dzieje się tak, że ojciec idzie do fabryki na robotę, matka również musi opuścić dom, a dziecko, w braku szkoły czy ochrony, wałęsa się po ulicy. Tam nieco starsi towarzysze uczą je naprzód—grać w guziki, czy łańcuszek, potem wymyślać najohydniejszymi wyrazami, potem zebrać lub włóczyć się po najbrudniejszych kątach, a w końcu kraść i władać nożem. Kto więc dba o przyszłość narodu, powinien przyczynić się do opieki nad dziećmi zaniedbanymi, a przedewszystkiem do wytworzenia jak największej liczby: 1-mo sal i ogrodów, gdzie mniejsze dzieci mogą bawić się pod jakimś dozorem, 2-do sal, gdzie nieco starsze uczyłyby się łatwych zajęć, np. slōjdu.

Napozór jest to bardzo mało, prawie nic; w gruncie rzeczy byłby to postęp olbrzymi. Już przy najmniejszym dozoru dziecko nauczyłoby się schludności, a nie nauczyłoby się szpetnych wyrazów, nie nasiąkałoby myślami przestępnymi. A cóż dopiero mówić o nauce krajania, szycia, introligatorstwa, wyplatania i t. d., które to zajęcia wyrabiają zręczność i przygotowują dziecko do systematycznej działalności. W budowaniu przyszłości narodu przez pracę nad dziećmi, pierwszorzędną rolę odegrzywa nauczycielka i nauczyciel, których jednak był materyalny i położenie towarzyskie, wśród naszej narodowości, wiele pozostawiają do życzenia.

Pominę w tej chwili stosunki miejscowe, a wskażę na Galicyę, skąd przed kilkoma tygodniami otrzymałem list następujący:

„Jestem od 15 lat nauczycielem ludowym w IV klasie płac. Mimo nienagannej pracy zyskałem 1400 koron pensyi (około 560 rubli). Mam tylko jednego syna w gimnazjum, a mimo nader oszczędnego życia, poprzestawiania



NOC NA WIŚLE (Z wystawy T. Z. S. P.).

STEFAN POPOWSKI

na małym, obchodzenia się bez sługi, sporządzania sobie wielu rzeczy, za które inny mój kolega musi płacić, mimo to wszystko, koniec z końcem schodzić się nie chce i, wobec dzisiejszej drożyzny, nie może.

„Pominę jednak siebie. Przed kilkoma miesiącami dostałem do mej szkoły młodego kolegę „z igły”, zamiłowanego w zawodzie, pełnego idei, z szerszym poglądem na padół płaczu, na dobro naszej Ojczyzny, wogóle chłopca, pragnącego wlać swoją gorącą duszę polską w nasz lud. Gdym słuchał jego nauczycielskich wynurzeń, rościło mi serce i—odmłodziłem.

„Dziś, po kilku miesiącach walki o głódzie i chłódzie, bo w lichej stancji, w podartych butach, w cienkich spodeńkach, warzącego sobie jak najtańszą zupkę Maggiego po 5-cio lub 6-ciogodzinnej pracy wśród smutnych warunków higienicznych, widzę, jak ten chłopiec rozgorycza się, jak w rozmowie o naszym bycie zaciska pięści, jak zraża się do wszystkich, którzy są winni, że nam, po wsiach, w najkrytyczniejszych warunkach, żebracze pensye przeznaczono, odkładając poprawę na później... Nauczyciel w Galicyi ma 700 koron (około 280 rb.) rocznej płacy, pod-

czas gdy parobek, oprócz całego utrzymania, dostaje u nas 200 do 300 koron i więcej rocznej płacy. A przecież nauczyciel powinien czytać, kształcić się, przyzwoicie być ubranym—za co? pytam... Niech pan zabierze głos w tej sprawie na łamach *Tygodnika*, by ostrzedz społeczeństwo przed zarazą, jaka przez usta takiego nauczyciela mimowoli w młodociane serduszka się przelewa... Oszczędność Sejmu naszego w tym względzie smutnie może odbić się na społeczeństwie”...

List ten nie potrzebuje komentarzy. We Francji między nauczycielami ludowymi trafiają się apostołowie socjalizmu i anty-militaryzmu; czy to samo nie zdarzy się w Galicyi, w większych rozmiarach, dzięki głodowym pensyjom wychowawców ludu?...

Streszczam się. Jeżeli pragniemy, ażeby naród nasz nie tylko mnożył się, jak „króliki” Bülowa, ale żył i działał, jak ludzie, powinniśmy: starać się o zmniejszenie śmiertelności wogóle między dziećmi i o usunięcie powodów do dzieciobójstw, mnożyć ilość najprostszych zakładów wychowawczych, jak sale zabaw i zajęć dla dzieci, no—i głosować, o ile się to na co przyda—za lepszym wynagrodzeniem nauczycieli ludowych w Galicyi...



Pod naciskiem wojsk rządowych coraz większe zwątpienie poczęło ogarniać powstańców i popychać ich do czynów coraz gwałtowniejszych. Niszczono kościoły i gmachy publiczne, zabrane ze świątyń przedmioty złote i srebrne przetapiano na monetę. Z inicjatywy członka rządu Komuny, malarza Courbet'a, postanowiono zwalić kolumnę z posągami Napoleona I, stojącą na placu Vendôme, jako pomnik tyranstwa. Za ten postępek skazano Courbet'a po wzięciu Paryża na śmierć, później jednak zamieniono mu karę na dożywotne więzienie, a w końcu darowano wszystko z warunkiem, że wzniesie napowrót zniszczoną kolumnę, czego też dokonał kosztem pół miliona franków.

Ustępujący komunardzi stawili rozpaczliwy opór i bronili się paleniem budynków. Zgorzały od bomb nacieranych Tuilleries, ratusz, Palais Royal, część Louvre'u, pałac sprawiedliwości i t. d. Pałac królewski miał podobno podpalić sam Rigault. W końcu maja zdobyto ostatni przytułek powstańców, Vincennes. Wersalczy nie przebacza nikomu i nie mniejszą okazali zaciekłość, jak komunardzi. Reakcja była krwawa i straszna. Rozstrzelano bez sądu. Park Monceau, w którym odbywały się egzekucje, wyglądał, zdaniem naczynych świadków, jak po wielkiej ulewie, z tą różnicą, że ziemia zlane była nie deszczem, lecz krwią ludzką. Urzędowa cyfra rozstrzelanych wyniosła 6,500, drugie tyle skazano na ciężkie roboty do Nowej Kaledonii. Rządy objął Thiers, jako prezydent Trzeciej Rzeczypospolitej.

BOLESŁAW PRUS:

Twórcza ofiarność.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W połowie kwietnia r. b. odbył się zjazd wychowawców szkoły Mechaniczno-Technicznej S. Wawelberga i S. Rotwanda. Drobny ten napozór wypadek zasługuje na uwagę publicz-



Hipolit Wawelberg.

na, zarówno ze względu na organizację szkoły, jej dzieje i rezultaty, jak i ze względu na niepospolitą, a obywatelską i mądrą ofiarność jej założycieli. Artykuł niniejszy opiera się na niezbyt obfitych wzmiankach dziennikarskich, ale nade wszystko na wybornej „Monografii” tej szkoły, napisanej przez inżyniera T. J. Eytnera, w sposób jasny i przejrzysty.

Proszę wybaczyć, że zacznę od przystawia: „podaj komu palec, a złapie ci rękę”... Rodziny, a raczej rodzina Wawelbergów i Rot-

wandów, pragnąc uczcić pamięć zmarłego ojca, przeznaczyła w roku 1891 rubli 100,000 na jakiś cel doniosłości społecznej. „Wtedy to — mówi autor „Monografii” — dr. Ludwik Natanson przedstawił im wyczerpujący memoriał obecnego dyrektora szkoły, Stefana Kossutha, wykazujący potrzebę stworzenia w Warszawie średniej szkoły technicznej”. Owe „sto tysięcy rubli” były palcem, za który schwycił ofiarodawców demon potrzeb społecznych. Pień nadze leżały trzy lata w Banku Handlowym, a tymczasem w umysłach, a zapewne i w sercach ofiarodawców, idea szkoły technicznej tak mocno rozwinęła się, że w roku 1895 otworzyli ją na swój wyłącznie koszt, w gmachu

Gmach szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda.

wynajętym przy ulicy Składowej, a w roku 1897 przenieśli do własnego gmachu, przy ulicy Mokotowskiej, i zaopatrzyli „we wszelkie potrzeby szkolne i po nocy naukowe”. Dzięki temu, od roku 1895 do 1907 założyciele, zamiast projektowanych stu tysięcy, wyłożyli na utrzymanie szkoły około 460,000, dodajmy — z istotnym pożytkiem dla kraju.

Poczynając od strony najbardziej zewnętrznej, gmach szkolny, wraz z pawilonami, zajmuje około 130 kroków długości i około 50 kroków głębokości, może pomieścić 400 słuchaczy, posiada dużo przestrzeni, powietrza i światła w każdej swojej części. Oprócz sal wykładowych, biblioteki, muzeum, mieszkań dla administracji i t. p., znajdują się tam: sala rysunkowa, kreślarnia, audytoria fizyczne i chemiczne z odpowiednimi pracowniami, a nadto warsztaty: stolarski, ślusarski, kuźnia, odlewnia, sala maszyn i t. p.

O dyrektorów i profesorów szkoła starała się zawsze jak najlepszych, jej program jest poprostu — piękny i czyta go się, jak powieść zajmującą. Znajdujemy tam: matematykę z rachunkiem różniczkowym i całkowym; rysunek z geometrią wykreślną; mechanikę, fizykę, chemię, elektrotechnikę; budownictwo i budowę maszyn; ślusarstwo; kowalstwo, stolarstwo; technologię chemiczną, technologię drzewa i metalów, cukrownictwo, młynarstwo, przędzalnictwo, tkactwo, ogrzewanie i przewietrzanie, a nareszcie buchalterię i korespondencję handlową, geografję ekonomiczną, ekonomię polityczną, prawoznawstwo, higienę i bezpieczeństwo pracy.

Oprócz słuchania wykładów i odbywania repetycji, oprócz zajęć w pracowniach naukowych i warsztatach rzemieślniczych, uczniowie odbywają jeszcze ekskursje do rozmaitych fabryk i praktykę podczas wakacji. Ćwiczy się nie tylko ich umysł, ale także zmysły i muskuły, a suma tych wszystkich ćwiczeń powinna działać w sposób ogromnie podniecający i rozwijający zdolności duchowe. Mam wrażenie, iż młody człowiek, ukończywszy tę szkołę, już potrafi dać sobie radę z każdą gałęzią wiedzy technicznej i z każdą pracą mechaniczną. Co więcej, ma on także wska-

zówki, dotyczące handlu, i jakiś pogląd na zjawiska społeczne. Tak pełnego, zdrowego i męskiego ukształcenia nie może dać żaden uniwersytet, i doprawdy — zazdrości się młodzieży, która ma sposobność kończyć podobną szkołę. Pokolenie, do którego np. ja należę, o takie szkole nawet nie słyszało.

Zjazd byłych wychowawców miał dwa poważne rezultaty. Naprzód — zawiązuje się Stowarzyszenie, które, obok podtrzymywania stosunków koleżeńskich, ma propagować w społeczeństwie ideę bardzo ważną, gdyż, z powodu braku oświeconych pracowników, nasza wytwórczość rolnicza, przemysłowa, rzemieślnicza, handlowa, już nie mówiąc o naukowej, znajduje się w stanie opłakanym. Powtóre — z okazji zjazdu dowiedzieliśmy się, jakie korzyści społeczeństwo potrafiło wydobyć dla siebie z tej szkoły wybornej.

Otóż w tej chwili znane są losy tylko 175 osób, które ukończyły szkołę. Z pośród nich objęło stanowiska w Warszawie 80, na prowincyi 42, w Cesarstwie 28, a nadto: 6 we Francyi, po 4 w Belgii i Anglii, po 3 w Ameryce, Szwajcaryi i w Indjach (!) i 2 w Anstralii (!)... Pod względem zaś rodzaju stanowisk zajmują posady: 45 konstruktorów, 18 na kolejach, 17 pracuje w elektrotechnice, 11 w cukrowniach, 6 ma zakłady własne, 5 zajmuje się nauczycielstwem, a 29 jeszcze uzupełnia wiedzę w wyższych zakładach w Cesarstwie lub zagranicą.

Niemniej ciekawa jest statystyka szkoły. Przedewszystkiem widać z niej, że napływ uczniów ciągle wzrasta. W roku 1895 było ich 83, w r. 1907 już 461. Ze względu na wyznanie: przyjęto do szkoły 68 procent katolików, 26 procent Żydów, 3 prc. ewangelików i 2 prc. prawosławnych; zaś ukończyło szkołę około 3 prc. prawosławnych, około 4 prc. ewangelików, 71 prc. katolików, a tylko 22 prc. Żydów. Dla czego Żydzi, wogóle zdolni, wykazują mniejszy od innych wyznań procent dyplomowanych, monografią nie wyjaśnia.

Tu następuje najważniejsza, ale i najsmutniejsza rubryka statystyczna. W ciągu 12 lat przyjęto do szkoły 1431 uczniów, a ukoń-



Stanisław Rotwand.

czyło ją — 218, czyli zaledwie 29 prc... A ponieważ koszty utrzymania szkoły, razem z wpisami, wyniosły w tym czasie około 750,000 rubli, zatem koszt wykształcenia jednego technika wynosił 3 i pół tysiąca rubli... Wielki wydatek, gdyż korzystających było niewielu. Gdyby zamiast 218, kończyło np. 703, koszt ukształcenia jednego technika wyniosłby nie całe 1,100 rubli.

Ten ogromny procent nie kończących szkoły zwrócił uwagę sprawozdawcy Słowa, który

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]



[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]



ŻEBRACY
Z wystawy „Sztuka” w Krakowie.

FRYDERYK PAUTSCH

poprosił o wyjaśnienie jednego z nauczycieli. I otrzymał taką odpowiedź.

Nawet tym, którzy nie ukończyli szkoły, zdobyte w niej, choć niezupełne, wykształcenie bardzo się przydało. „Znam paru, którzy doszli do niezłych stanowisk: jeden jest dyrektorem poważnej fabryki w Łodzi, inny zarządza ogromnymi lasami, eksploatowanymi w sposób przemysłowy, na Białorusi. Z nich technika ma większy pożytek, aniżeli z tych, co otrzymali u nas patent i poszli szukać spokojnego chleba na takich urzędach, jak np. pomocnik taksatora w ubezpieczeniach rządowych”.

Na pytanie sprawozdawcy: czemu tak mało kończy szkołę, profesor odpowiedział:

„Jest w tem wiele winy naszego narodowego safandulstwa i braku wytrwałości. Wielu chłopcom nie chce się pracować systematycznie i równomiernie przez lat cztery, pięć... Ale są i tacy, którzyby chcieli, a nie mogą... Nieraz konieczność wymaga, ażeby chłopiec chwycił bodajby najmniejszą okazyję do zarobku”...

Z wyjaśnienia tego wynika, że na mały, skandalicznie mały procent kończących szkołę wpływa z jednej strony—bieda, z drugiej... lekkomyślność!... A doprawdy, grzechem jest nie korzystać ze wszystkich nauk i zasobów tej pięknej szkoły, jeżeli się już raz do niej wstąpiło!

Całkiem inaczej rzecz przedstawia się ze strony założycieli: żyjącego mecenasa Stani-

слава Rotwanda i zmarłego, niezapomnianego, Hipolita Wawelberga. Ci bowiem złożyli dowód niemałej wytrwałości i ukochania szkoły. Czytając historię tej instytucji, dopiero widzi się, jak długo odmawiano Wawelbergowi i Rotwandowi koncesji na ich imię, ile lat trzeba było czekać na uzyskanie praw rządowych, dla czego musiano zamknąć wydział budowlany i t. d. Należy wspomnieć, że i młodzież nie zawsze ułatwiała byt szkole, spóźniając się, opuszczając lekcje, uchylając się od repetycji... Miejmy nadzieję, że się to już nie powtórzy i że dalej bez przeszkód wewnętrznych rozwijać się będzie instytucja, zasługująca na szacunek społeczeństwa i przywiązanie jej wychowanców.

Pierwotni założyciele szkoły: ś. p. Hipolit i Ludwik z Bersohnów Wawelbergowie, tudzież Stanisław i ś. p. Marya Rotwandowie, byli nie tylko hojni, ale przezorni, i pragnęli zapewnić szkole jak najtrwalszą przyszłość, wiążąc jej losy z losami rodziny Wawelbergów i Rotwandów. To też już dzisiaj do utrzymania szkoły przyczyniają się dwaj synowie Hipolita Wawelberga: Michał i Wacław, oraz córka Jadwiga, zamężna Bersohnowa. I tak samo po śmierci ś. p. Maryi Rotwandowej do utrzymania szkoły przykładają się jej dzieci; syn Andrzej Rotwand i córki: Felicja Szebekowa, Zofia Tabęcka i Leonia Rotwandówna.

Ooowiażek publicystyczny nakazuje przypomnieć, że Szkoła Mechaniczno-Techniczna

jest tylko jednym z momentów obywatelskiej ofiarności Wawelbergów i Rotwandów. Muzeum rzemiosł i sale rysunkowe w Warszawie, kolonia lecznicza dla 150 dzieci w Ciechocinku, wreszcie tanie mieszkania przy ulicy Górczewskiej są to tylko niektóre instytucje zawdzięczające byt ofiarności Hipolita Wawelberga, jak znowu: Tanie kąpiele imienia Janiny i wzorowo urządzona ochrona są dziełami społecznymi Stanisława Rotwanda. Kraj nasz może inaczej wyglądałby, gdybyśmy więcej mieli naśladowców ofiarności nie tylko hojnej, ale i wytrwałej, nie tylko filantropijnej, ale i mądrej.

☞

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

STANCE.

JAN MORÉAS.

Bluszcze! jakimż zwisacie wdziękiem bukolicz-
Na starych ruin zwalisku, [nym
Albo gdzieś na samotnym platanie antycznym,
Co ginie w waszym uścisku.

Lecz lubię was nad wszystko, mroczne, smętne
Dokoła fontanny szmernej, [bluszcze,
Kędy żałosna woda o kamienie pluszcze
Śród zrujnowanej cysterny.



12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100

101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
142
143
144
145
146
147
148
149
150
151
152
153
154
155
156
157
158
159
160
161
162
163
164
165
166
167
168
169
170
171
172
173
174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200

BOLESŁAW PRUS:

Pogróżki i nadzieje.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Po wybuchach gniewu panslawistów przeciw autonomii Polski, na którą jeszcze koty nie krzyczą, po projektach odłączenia „Chełmszczyzny”, ograniczenia liczby posłów, a bodaj czy nie wyłączenia Polaków na Litwie i Rusi, patriotyzm „prawdziwie rosyjski” wystąpił z nowym pomysłem: oddania Królestwa Polskiego Niemcom... Nielegalnym ojcem tego utworu politycznego jest korespondent *Rossii*, p. Witmer, a podstawą, na której opiera swoje wróżby czy zamiary, jest—podobno fakt—zniesienia fortec w Królestwie i zmniejszenia ilości wojsk na naszym terytorium.

Powiedziałem, że szanowny p. Witmer jest nielegalnym ojcem pomysłu oddania Królestwa Polskiego Niemcom, idea ta bowiem urodziła się bardzo dawno, odegrzewała się już ze dwa albo i trzy razy, lecz do skutku nie doszła. Miejmy nadzieję, że nie urzeczywistni się i tym razem. Jeżeli jednak p. Witmer wyobraża sobie, że nas przestraszy, że nas bardzo przestraszy widmem niemieckiego najazdu, to jest w błędzie. My najazd niemiecki mamy już dzisiaj, Niemców, uprzywilejowanych wobec nas, również mamy dzisiaj, a pod względem swobód narodowych i obywatelskich tak niewielkie grożą nam straty, że naprawdę—nie boimy się Niemców. Zresztą wiemy doskonale, że przyszłość nasza, w jakichkolwiek będziemy zamknięci granicach, zależy tylko od nas. Jeżeli wypracujemy ją—będziemy istnieć nawet wbrew nienawiści Prusaków; jeżeli opuścimy ręce—nie ocali nas nawet miłość „prawdziwych Rosyan”, której dowody tak mocno odczuwamy.

Ale rozważmy cokolwiek systematyczniej owe pogłoski i projekty.

Naprzód, co do kwestii fortec w Królestwie Polskim, mówił mi jeden pan, iż nie to jest dziwne, że je znoszą, nie to dziwne, że chcą zmniejszyć ilość wojsk, ale—że robią to tak późno. Na dowód proszę wziąć do rąk pierwszą lepszą mapę Królestwa i przekonać się, że na przykład: od miejscowości pruskiej Łyck (na północ Królestwa) do rosyjskiej stacji kolejowej Białystok jest około 84 wiorst w linii prostej. Od miasteczka Sokal w Galicji do rosyjskiej stacji Kowel jest także około 84 wiorst, podczas gdy od Wrześni w Poznaniu (na zachód Królestwa) do Warszawy jest 216 wiorst.

Innymi słowy: armię rosyjską, uszykowaną wzdłuż Wisły, bez porównania prędzej można obejść od północy i południa, aniżeli zaatakować od frontu, czyli bardzo łatwo otoczyć ją i odciąć od głównych sił w Cesarstwie. Obrona zatem Wisły musiałaby się skończyć katastrofą.

Ale... co myśmy temu winni i za co nas nie kocha p. Witmer?...

Zatem w sprawie zniesienia fortec sztab rosyjski dobrze chce zrobić, że nie naraża swojej pierwszej armii na klęskę, przypominającą Metz czy Sedan. Co się zaś tyczy „oddania” Królestwa Niemcom, to p. Witmer myli się. Według rachunków p. Koszutkiego Królestwo Polskie warte jest około pięciu miliardów rubli... Któż zaś oddałby darmo pięć miliardów rubli nawet tak ukochanym przyjaciołom, jakimi są Prusacy?... Więc chyba p. Witmerowi nie o „oddanie” chodzi, lecz

o „sprzedanie” Polaków Prusakom?... No, ale w takim razie powinienby przypomnieć sobie historię Józefa, którego kochający bracia naprzód—trzymali w studni czy piwnicy, a potem sprzedali Egipcyanom, umożliwiając mu zrobienie świetnej kariery... u Putyfarowej i u samego Faraona. Jeżeli p. Witmer w imię słowiańskiego braterstwa chce naprawdę zapewnić nam karierę, bardzo mu jesteśmy wdzięczni. W tego rodzaju tranzakcjach tylko pierwsze chwile dla sprzedanego mogłyby być nieprzyjemne; lecz wkrótce przyzwyczaiłby się, może nawet bardzo prędko.

Spojrzymy jednak na tę samą sprawę z innego punktu i wyobraźmy sobie, że np. Austria musiałaby sprzedać Prusom Czechy. Otóż, w jaki mniej więcej sposób odbyłoby się pożegnanie:

— Moi drodzy Czechowie — mówiłaby Austria — jestem wprowadzie w dużej części państwem niemieckim, a wszyscy wasi współbracia, niewątpliwie kochający was, nazywają mnie śmiertelną, nieubłaganą nieprzyjaciółką Słowian. Pomimo tej nieprzyjaźni, raczcie zapisać sobie, nie przeszkodziłam rozwojowi ani waszego rolnictwa, które należy do najpiękniejszych w Europie, ani waszego przemysłu i rzemiosła, ani handlu, które to gałęzie pracy stoją u was, mniej więcej, na poziomie stosunków niemieckich. Następnie od 40 lat z górą nie hamowałam waszej oświaty nie tylko ogólnej, lecz i fachowej, nie tylko elementarnej i średniej, lecz także i wyższej; dzięki czemu posiadacie już jakąś literaturę naukową, a nade wszystko—swoich własnych uczonych. Z moich prowincji niemieckich nie wypędzałam Żydów do waszego kraju, ażebyście nawzajem wygryzali się, jak zgłodniałe szczury; w sporze między Niemcami a wami stałam na stanowisku mniej więcej bezstronnem; nie drażniłam żadnych przeciw drugim, owszem, starałam się zatargi łagodzić. Nie koniec na tem: pozwoliłam wam zawiązywać wszelkie możliwe stowarzyszenia, nie wyłączając Macierzy Szkolnej i Sokolstwa, które w ciągu dziesiątków lat rozwinęły się bardzo pięknie. Dzięki tym stowarzyszeniom wyrobił się wśród was duch obywatelski, co z pewnością przyczyniło się do umoralnienia narodu, nie mówiąc o wytworzeniu się dobrych nałogów ekonomicznych, którym zawdzięczacie swoją pracowitość, punktualność; nie mówiąc i o tem, że pohamowałam bezczelne żebractwo i nie dopuściłam do rozwoju bandytyzmu, do czego każde społeczeństwo ma zdolności i pociąg. Nareszcie—dzięki szerokiej swobodzie i niewzruszonemu poszanowaniu prawa, jakie wam zapewniłam, wyrobiliście się pod względem politycznym i wychowywaliście w sobie takie poczucie narodowej godności, że i niejednokrotnie stawialiście mi opór, przewracaliście moich ministrów, psuliście narady sejmowe i t. p.

— Prawda, dziś sprzedaję was Prusakom, bo muszę. Chciejcie jednak przyznać, że nie tylko nie ogłupiłam was, nie zubożyłam, nie zdemoralizowałam, ale—dałam wam siły i narzędzia do walki z waszym nowym a niebezpiecznym panem. Nie zginiecie, lecz zahartujecie się, bo pod moimi rządami nauczyliście się nie tylko pracować, ale i myśleć samodzielnie.

W taki sposób Austria pożegnałaby sprzedanych Czechów. Ciekaw jednakże jestem: co p. Witmer powiedziałby na pożegnanie „odstąpionym” przez siebie Polakom?...

Jakby przeczuwając „iście słowiańskie” projekty p. Witmera, prasa nasza zaczyna budzić się, przecierać oczy i cokolwiek inaczej

spoglądać na naszych ewentualnie nowych panów—Niemców. Do tej pory na wszelkie sposoby powtarzaliśmy dawną zwrotkę: „Jak świat światem, nie będzie Polak Niemcowi bratem”... ogłaszałyśmy „bojkot” nie tylko przemysłu, ale nauki niemieckiej i widzieliśmy w Niemczech samo zło, jeżeli nie samo głupstwo. Dziś zaczynamy pytać: jakimi też owi Niemcy są naprawdę? a nawet—zaczynamy odkrywać w nich pewne zalety. Wprawdzie od czasu do czasu jakiś profesor wszechnicy jagiellońskiej bąknie o bojkocie, albo jaki dziennik rzuci słówko: „Niemcy mają dusze lokajskie”... ale obok takich głosów odzywają się i nieco odmienne. Jeżeli jeszcze nie zrozumieliśmy, to przeczuwamy, że—co innego jest pruska państwowość i hakatyizm, a co innego naród niemiecki i jego wielkie zalety.

Wyrazem nowego prądu jest szereg artykułów p. B. M. Koraszewskiego w *Gońcu* p. t. „Niemcy i Anglia”, przedstawiających antagonizm ekonomiczny i polityczny, jaki istnieje od pewnego czasu między dwoma państwami. Samo zaczęcie rozprawy już jest charakterystyczne. „Porzućmy na chwilę taktykę lekceważenia i ośmieszania przeciwnika, a miejmy odwagę zapoznać się z temi Niemcami, których istnienie zaślaniały nam orgie hakatystyczne pruskich karierowiczów; poznamy Niemcy wytrwałej, mroźczej pracy, niezłomnej energii, niewzruszonej wiary w swoją misję, a ogarnie nas zdumienie i ból. Zdumienie—wobec rezultatów, osiągniętych przez Niemcy, ból—że naród, tak dzielny w swym życiu gospodarczym, wyróżnia się tak ujemnie swym bezwzględny nacjonalizmem, grożącym zagładą Polaków”.

Do chwili, kiedy to piszę, ukazały się dopiero trzy artykuły p. Koraszewskiego, a ich panującą ideą jest, że—Niemcy w rolnictwie prześcignęli Anglików, w przemyśle i handlu już dopędzają ich. Tych Anglików, którzy „dzięki zasobom swych bogactw, rozległości kolonii i stosunków, wreszcie siłą tradycji posiadali monopol handlowy na rynku wszechświatowym”, gdy tymczasem Niemcy jeszcze przed kilkudziesięcioma laty „miały tylko dwa porty morskie, rzeki płytkie, przystanie niewygodne. Ziemia, z wyjątkiem kilku nizin, obejmujących ledwie dziesiątą część powierzchni, była jałowa i nieurodzajna, trzecią część kraju pokrywały bagna i moczary, kruszce i minerały były niekorzystnie położone, oddalone od siebie i od portów”.

Nie koniec na tem. Po szczęśliwej wojnie z Francją Niemcy, upojone powodzeniem militarnym, rzuciły się na pole wytwórczości i zdobyczy ekonomicznych. W ciągu czterech lat powstało 857 towarzystw akcyjnych, z kapitałem przeszło trzech miliardów marek, zaczęła się gorączka przedsiębiorcza i — zakończyła się katastrofą. Albowiem przemysł i handel francuski i angielski, przeciw którym wystąpiły Niemcy, „posiadał wówczas o wiele lepsze, niż w Niemczech, urządzenia: środki transportowe, maszyny, surowce, a przede wszystkim wyszkolonych pracowników”.

Niemcy jednak, pomimo klęski, na duchu nie upadły, przeciwnie, zabrały się do pracy jeszcze energiczniej. „Przeprowadzono koleje i drogi, skanalizowano rzeki, rozszerzono sieć kanałów, łącząc w ten sposób tereny kruszców z pokładami węgla. Brak zaś wykwalifikowanych w przemyśle pracowników usuwano stopniowo, przez zakładanie coraz to liczniejszych szkół fachowych, którei dzisiaj słyną Niemcy”.

Powtarzam te szczegóły z historii eko-



onomicznej Niemiec, ażeby zwrócić uwagę czytelnika na fakt niewątpliwy, iż niema tak złego położenia, z którego nie możnaby przejść na wyższe i bardzo wysokie stopnie, wszelako przy warunku mądrej i wytrwałej pracy.

Dzisiejsza „wielka siła ekonomiczna Niemiec nie powinna odbierać nam ducha, ale raczej zachęcać do emulacji: albowiem powodzenie przemysłowe Niemiec zostało osiągnięte za pomocą środków i metod, które i my osiąść możemy. Oświata, nauka, pilność, oraz to, czego nam dotąd najbardziej brak: równomierne zwracanie uwagi nie tylko na wielkie, lecz i na drobiazgowe rzeczy — oto przyczyny zdobywczego pochodzenia Niemiec na polu ekonomicznem, a następnie i politycznem”.

Tu rzuca autor bardzo mądre słowa, które warto i warto zapamiętać:

„Bez porównania silniejszym stwierdzeniem żywotności narodu jest wydajność jego pracy wytwórczej, aniżeli mnogość dobrze zaopatrzonych arsenatów i licznie zapełnionych koszar... Niebezpieczeństwo zalewu germańskiego dla Polaków i innych narodów słowiańskich nie tyle polega na przewadze militarnej Niemców, ile raczej na ich świetnej organizacji gospodarczej”. Oto jest święta, a dla nas wysoce pocieszająca prawda, że: prawo do istnienia zdobywa się nie tyle orężem, ile, i nadewszystko, pracą, mądrą, zorganizowaną pracę!...

Jak się to jednakże stało, że Niemcy, których świat uważał nie bez ironii za sentymentalnych marzycieli (to niby my dzisiejsi), tak stosunkowo prędko zdobył rezultaty praktyczne? „Po roku 1848, odpowiada p. Koraszewski, zwrot ku realizmowi objawiał się głównie w doktrynach, głoszonych przez niemieckich uczonych. Urabianie woli, kult czynu, konieczność wysiłku, oto droga, jaką narodowi swemu wskazywali uczeni. Naród poszedł za ich głosem i począł kroczyć od zwycięstwa do zwycięstwa”...

Jeszcze inny charakterystyczny szczegół. Najniebezpieczniejszymi współzawodnikami Niemców byli Anglicy. Otóż, czy Niemcy gniewali się na nich, czy grozili im bojkotem, czy radowali się z klęsk wojennych, jakie spadły na Anglików... przed wiekami?... Wcale nie. „Od r. 1835 zaczęli napływać do Anglii pracownicy handlowi niemieccy dla nabycia praktyki i rutyny handlowej. Anglia roiła się od tych urzędników, pełnych zapału do pracy, wykształconych, wielojęzycznych, o skromnych bardzo wymaganiach. Dano im pracę niewdzięczną, bo załatwianie korespondencji zagranicznej, a oni bardzo gorliwie wypełniali swoje obowiązki”... No — i zbadali wszystkie tajemnice handlu angielskiego, nauczyli się od Anglików...

Czy my tak postępujemy w stosunku do Niemców? Bodaj, że nie. „Bojkotujemy” ich, a jeżeli zdarzy się okazać, że zdobyć od nich naukę, to albo głosimy, że jest nic warta, albo narzekamy na nadmiar pracy!...

Artykuły p. Koraszewskiego i wszystkie im podobne w naszych pismach uważam za dobrą wróżbę. Czytelnik może z początku irytować się na „protegowanie” (!) Niemców. może nudzić się niby morałami, w końcu jednak coś mu zostanie w pamięci. A z czasem, kiedyś, może choć nasi synowie i wnuki zrozumieją, że nie „bojkoty” i im podobne czcze manifestacje prowadzą narody do pomysłowości, ale — praca uczciwa, wytrwała i mądra.



Jest pewna czynność umysłowa, którą teologowie nazywają rachunkiem sumienia, finansisci — bilansem, lekarze — dyagnozą, logicy — definicją, pisarze — charakterystyką. Polega ona na tem, ażeby, o ile możliwości, dokładnie określić i zalety i wady danego przedmiotu, a przynajmniej albo zalety, albo wady. Tylko w ten sposób poznajemy przedmioty, wyrabiamy sobie pojęcie o ich użyteczności czy szkodliwości, niekiedy o ich przyszłych losach. I tylko na tej drodze dowiadujemy się: jakie zmiany należy zaprowadzić w przedmiocie, ażeby stał się doskonalszym i trwalszym?

Dla każdego człowieka, który zastanawia się, dwa przedmioty są najważniejsze: on sam i — jego otoczenie. Bliższe otoczenie czyli rodzina, tudzież znajomi i dalsze otoczenie, czyli społeczeństwo, naród.

Z dwu powyższych przesłanek wynika wniosek, że jest bardzo korzystnem, nawet niezbędnem dla człowieka, ażeby jak najczęściej dokonywał rachunków sumienia, robił bilanse, a tym sposobem definiował czy charakteryzował 1-mo samego siebie, 2-do własne społeczeństwo.

Zdaje się, że społeczne rachunki sumienia są dowodem kulturalnej dojrzałości i może właśnie dlatego nasz naród albo ich nie wykonywa, albo bardzo rzadko. A ciekawa, nauczająca to rzecz podobny bilans umysłowy i moralny!... I kto wie, czy gdybyśmy go robili częściej, gdybyśmy go wreszcie robili, czy rachunek taki nie wyjaśniłby nam przyczyny: 1-mo naszych rozmaitych klęsk narodowych, 2-do przyczyn antypatii, a co gorsze: lekceważenia, jakim niestety! cieszymy się wśród ludów ucywilizowanych...

W naszych dziejach, szczególnie porobiorowych, bywały podobno okresy, że cieszyliśmy się sympatją narodów. Podobno kochano nas, podziwiano, żałowano, witano z zapalem... Szczególniej wychodzi z roku 1831, ludzie wykształceni, dzielni, pomysłowi i wysoce honorowi, zdobyli życiowość nie tylko we Francji, ale w Anglii, Belgii, we Włoszech i Szwajcarii.

Później uczucia zmieniły się, a dziś w tych samych krajach albo nie odróżniają nas od Rosyan, albo nie lubią nas i lekceważą jeszcze bardziej niżeli Rosyan...

Jest to kwestya tak przykra, że wolałbym o niej nie mówić. Ponieważ jednak rachunki sumienia i bilanse moralne przynoszą jednostkom i narodom niewątpliwy pożytek, więc... zrobmy małą próbkę... Może kto inny wykona to dokładnie i z większym dla ogółu pożytkiem...

Lata od roku 1864 były dla polskiego imienia bardzo niekorzystne. Dlaczego?... Ponieważ, jak objaśniali ludzie świadomi, między emigracją z owego czasu trafiało się wiele jednostek bardzo lichych. Próżniactwo demonstracyjne, zarozumiałość w stosunkach z ludźmi, którzy przyjęli nas jak najserdeczniej, awantury, pijaństwo, zaciąganie i nie płacenie długów, nawet żebractwo i brudniejsze od niej występki, były to cechy często spotykane między Polakami za granicą. Cóż z tego, że na 100 polskich emigrantów 90 pracowało ciężko, uczciwie dotrzymywało zobowiązań, ukrywało swoją nędzę i prowadziło się jak najlepiej. Tych 90 nikt nie widział; ale za to wszyscy słyszeli i widzieli owych 10 popełniających hultajstwa!

Opowiadano mi wypadek, który objaśnia: jak bezmyślnych i nikczemnych dopuszczano się niekiedy złośliwości i w jaki sposób z przyjaciół robiono sobie zajadłych wrogów.

Około 1864 roku w pewnym mieście niemieckiem była restauracyjka, której właściciel i jego rodzina poprostu kochali się w polskich emigrantach. Dawali im kredyt, którego często nadużywano, niekiedy karmili bezpłatnie...

Otóż, gdy jedna z córek dobrego gospodarza poprosiła stołowników, ażeby nauczyl ją kilku zdań polskich, uproszeni podjęli się z wielką ochotą a po upływie kilku tygodni młoda przyjaciółka Polaków, przed każdym nowo przybyłym stołownikiem taką wydawała lekcję:

„Małpa jestem... świnia jestem... i tak dalej...

Zabawka wydała się dosyć prędko, a od tej pory rodzina „nauczonego po polsku“ dziewczęcia nawet nie chciała przyjmować polskich stołowników.

Dziś o tyle dojrzelismy, że już chyba nie znalazłby się Polak, który w podobny sposób uczyłby cudzoziemkę swojego języka; nie mniej... sympatya nie cieszymy się wśród obcych... Dlaczego?... co tam robia nasi?... Otóż właśnie że... nie nie robia, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej duży ich procent. Młody człowiek wyjeżdża za granicę, niby to do uniwersytetu, czy specjalnego zakładu i, zamiast na kursa, idzie, z rana na bilard, w południe na śniadanie czy obiad, po południu na piwo lub kawę... W taki sposób przepędza dnie, tygodnie, semestry i wraca do kraju nawet nie nauczysz się języka narodu, wśród którego długo mieszkał i nie mało wydał pieniędzy, jeżeli nie zaciągnął długów...

A tymczasem naród nasz, bardzo zacofany, koniecznie potrzebuje ażeby nie dziesiątki i setki ale, tysiące jego młodzieży wyjeżdżało zagranicę, nie tylko w celu zdobycia naprawdę wiedzy uniwersyteckiej czy technicznej, ale i poznania tamtejszego życia społecznego, nasiąknięcia cywilizacją...

Prawda, że i obecnie dziesiątki tysięcy ludzi wyjeżdżają od nas co roku zagranicę, ale pożytku stąd nie widać. Bo przedewszystkiem jadą tam biedni chłopci, ciemni, nieorganizowani, nie zaradni... Tych nie tylko wyzyskuje kto chce, ale jeszcze i pomiata nimi. Gdy zaś, który ze sprytniejszych nauczy się języka i praay, ten często zostaje na miejscu i jest stracony dla społeczeństwa, które nie umiało zużytkować go, ani wynagrodzić.

Drugą warstwę wyjeżdżających zagranicę tworzy — młodzież, która idzie tam po naukę. I znowu zaledwie część ich korzysta z nieprzebranych skarbów tamtejszej wiedzy, a reszta traci czas i pieniądze, niekiedy zdrowie.

Nareszcie trzecią, najdawniejszą warstwą są „turyści“, jadący zagranicę dla rozrywki, albo „na kurację“ do „znakomitości lekarskich“, jakgdybyśmy w kraju, a szczególnie w Warszawie, nie posiadali bardzo, ale to bardzo znakomitych lekarzy... Ta warstwa najwięcej marnuje pieniędzy po hotelach, niekiedy w domach gry i, absolutnie nic do kraju nie przywozi, chyba... modne ubranie albo choroby...

Jakże inaczej robili i robią Anglicy i Niemcy, którzy, gdziekolwiek znajdują się, pilnie badają naturę i społeczeństwo i wzbogacają swój naród mnóstwem nowych i ważnych wiadomości. A jak inaczej robili „pół dzicy“ Japończycy, którzy dostawszy się, niekiedy z wielkim trudem i niebezpieczeństwem, do Europy lub Ameryki, wszystko najpilniej oglądali, wszystko najskrupulatniej zapisywali!... To też z jednej strony udało im się przetransportować do ojczyzny całą pozytywną

i techniczną wiedzę ludów ucywilizowanych, a z drugiej, poznać ich słabe strony, czego dowiedli chociażby w wojnie z Rosją.

Dla nas, kongresowików, nie tylko Niemcy, Francja, Anglia, Szwajcarya, ale nawet Czechy i Finlandya nawet Poznańskie, są kopalniami, z których pełne garście, pełne skrzynie klejnotów cywilizacyjnych moglibyśmy przywozić do domu i podnosić wartość własnego narodu. Tam nauczylibyśmy się pracy, porządku, bezpieczeństwa, wygod, schludności... zresztą, albo ja wiem czego jeszcze?...

Kilka lat temu p. Antoni Domirski opisał w *Słowie* swoje spostrzeżenia z małej stacyjki kolejowej w Poznańskim, stacyjki na której: zawiadowcą, pomocnikiem, telegrafistą, dróżnikiem, wekslownikiem, kasyerem, a nawet tragarzem był... jeden człowiek... Ten cud polskiej natury nie tylko nie skarżył się na „nadmiar pracy“, ale jeszcze chwalił się, że niekiedy ma czas wypić kufelka piwa ze znajomymi. Podobne spostrzeżenie zapisał w tym roku p. S. Saryusz Zaleski w *Dzienniku Powszechnym*, spotkawszy w małej mieścinie poznańskiej człowieka, który był furmanem i konduktorem obnibusu, szwajcarem i kelnerem hotelowym i jeszcze załatwiał rozmaite sprawy... Tak ludzie pracują już o trzydzieści mil za Warszawą!...

Zobaczmy schludność. Pomijam, że takich brudasów i obdartusów, jakich co krok widuje się w Warszawie, w Berlinie poprostu nie możnaby spotkać, ale zobaczmy czystość uliczną. U nas chodniki są zasypane np. skórkami pomarańcz, które przechodzący rzucają bez ceremonii. W Berlinie, gdy jakiś warszawiak, jedząc wiśnie, rzucał pestki na most, zbliżył się do konsumenta policyjant i, jako cudzoziemca, nie obłożył go wprawdzie karą pieniężną i nie aresztował, ale... kazał mu wszystkie porzucone pestki wybierać i ładnie schować do kieszeni...

Bezpieczeństwo. Zagranicą prawie nikt podróżnego w hotelu nie zapytuje o paszport, ale... wszyscy mają zwrócone oczy i natychmiast dają znać policyi, gdyby spostrzegli coś podejrzanego. U nas z policyją każdy stara się unikać stosunków, wiedząc, że ta szanowna gdzieindziej i niezbędna instytucja, przez dziesiątki lat, zamiast ścigać przestępców kryminalnych, polowała na księży katolickich, dzieci uczące się nie w szkole rządowej, na nauczycieli wykładających polskie abecadło... i t. p.

Band rozbójniczych daremnie szukałby kto w Prusiech lub Austyi, ponieważ tam żandarmerya, zamiast wyszukiwać przestępstw i przestępców politycznych, przebiega wsie i gościńce i na każdego podejrzanego osobnika ma bacność w czem znowu pomaga jej społeczeństwo.

Uczciwość publiczna. Pewnego dnia w małym miasteczku szwajcarskiem położyłem 10 czy więcej centimów na słupie przy gościńcu. Pieniądz ten wszyscy przechodnie widzieli, ale nikt go nie zabrał. Biedaków zaś nie brakło, ponieważ na tym samym gościńcu widywałem dzieci, zbierające do koszyka mierzwę końską, ażeby ją za parę groszy sprzedać...

Na zakończenie przypomnijmy sobie pierwszorzędnej doniosłości sprawę mieszkań. Dziś w Warszawie za jeden pokój płaci się przeciętnie 150 do 180 i więcej rubli roczne. A tymczasem np. w Zurychu, w którym stosunki mieszkaniowe prawie odpowiadają paryżkim, w „taniach“ mieszkaniach płaci się około 100 rubli za pokój pojedynczy. A dalej: tanie lecz wygodne mieszkanie,



1996

złożone z dwu pokoiów kosztuje w Zurychu około 140 rubli, z trzech pokoiów około 188 rubli a nareszcie—mieszkanie czteropokojowe „dobrze oświetlane i przewietrcane, z kuchnią waterkloze-tem i spiżarenką“ kosztuje 233 rubli rocznie. Proszę mi pokazać w Warszawie tego typu lokal, w Warszawie, gdzie za trzy pokoje żądają dziś z górą 500 rubli!

I jeszcze jakie to są lokale!... Powiecie niewygodne?... Nie one są wprost głupie, głupio budowane i to prawie wszystkie, z bardzo małym wyjątkiem najnowszych domów. Bo czy można innym wyrazem nazwać lokal w którym sypialnia jest—ciasna i ciemna, jadalnia—mroczna, kuchnia—malutka, pokoiku choćby najmniejszego dla służącej niema, ale za to —najwięcej zajmuje miejsca i posiada światła—„salon“, czyli izba bez użyteczna!...

Powiecie, że jest to winą właścicieli domów, albo budowniczych?... Do pewnego stopnia tak; przeważna jednak odpowiedzialność spada na „opinię publiczną“, która musi mieć „salon“, a w nim ozdobne meble, choćby za cenę wygód, niedostatecznej żywności i zdrowia...

U nas na mieszkanie zużywa się mnóstwo gruntu, mnóstwo cegły i drzewa, mnóstwo pieniędzy i—cierpi się niewygody. A tymczasem w Paryżu można mieć mieszkanko niewielkie, niedrogie a przecież tak umiejętnie podzielone i ustawione, że każda czynność ma swój pokój, każdy człowiek swój kąt...

Tego także trzeba uczyć się zagranicą, chociażby w Berlinie.

Streszczam się. Bardzo niedokładny, nawet bardzo powierzchowny „rachunek sumienia“ narodowego przekonał nas, że nasze „stosunki zagraniczne“ przedstawiają się—jak najgorzej. Jesteśmy wyzyskiwani, nienawidzeni, lekseważeni. Przyczyna zaś leży w tem że ci, którzy od nas wyjeżdżają od na zarobki—są ciemni i zaniedbani, ci co jeżdżą dla rozrywki—w bezmyślny sposób marnują pieniądze i nic do kraju nie przywożą, a nareszcie ci, którzy jadą niby to dla nauki, bardzo często... nie uczą się, nawet nie patrzą na to, co ich otacza, co im skacze do oczu i nieledwie chwytają za połę...

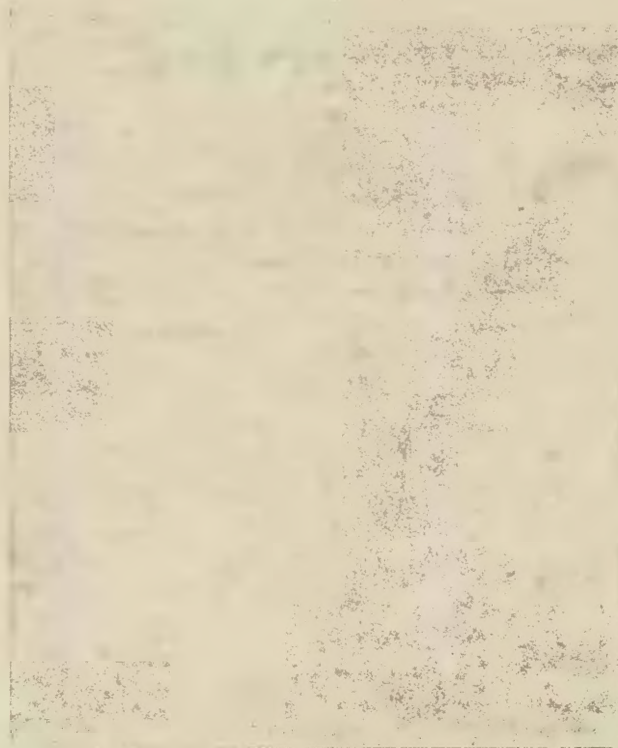
A tymczasem nasz byt narodowy, nasze zdrowie społeczne wymagają ażebyśmy ową „zagranicę“ poznali bliżej, jako wielkie, niewyczerpane źródło kultury, z którego czerpać winniśmy nawet wówczas, gdy po wielu, wielu latach pracy zdobędziemy się na własną kulturę.

Portret Tadeusza Kościuszki.

MALOWANY PRZEZ PIOTRA MICHAŁOWSKIEGO.

Do zbioru portretów Tadeusza Kościuszki należy dodać nie publikowany jeszcze dotąd, a jeden z najlepszych jego wizerunków, malowany przez Piotra Michałowskiego, jak wiadomo, niepospolitego malarza polskiego z pierwszej połowy XIX-go stulecia, ucznia Józefa Brodowskiego w Krakowie, później Charlet'a w Paryżu, artysty, obdarzonego wielkim talentem, znanego i cenionego we Francji i Anglii, gdzie się znajduje i część najlepszych jego utworów, które malował w czasie pobytu swego w Paryżu.

U nas, w kraju, obrazy Michałowskiego są mało znane, gdyż w przeważnej części prawie cała jego spuścizna artystyczna znajduje się w posiadaniu najbliższej rodziny w okolicach Krakowa, a pojedyncze dzieła rozproszone są po całej przestrzeni dawnej Polski, Litwy i Rusi, nie były na żadnej wystawie, a także rzadko ukazywały się w reprodukcjach; stąd wielki ten i głęboki talent, przerażający wszystkich współczesnych sobie artystów naszych, pozostał dotąd niedocenionym, bo mało znanym dla szerszego ogółu.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO MAŁOWAŁ PIOTR MICHAŁOWSKI

Portret olejny na płótnie Kościuszki, o którym mowa, jest własnością p. Konstantego Prószyńskiego i znajduje się w majątku jego, Ustroniu, w mińskiej gub. pod Słuckiem.

Pod względem malarskim posiada wszystkie zalety pędzla Piotra Michałowskiego: doskonały rysunek, świetny koloryt i modelację.

Kościuszko przedstawiony jest na tym wizerunku w młodym wieku, ubrany w prosty szary mundur z czerwonym kołnierzem, przepasany przez ramię szerokim rzemiennym psem gwardyi narodowej; pod wywinętym białym kołnierzem czarna chustka, zawiązana na węzeł. Na głowie biała miękka konfederatka, obramowana futrem. Rysy twarzy mają cechy podobieństwa do fizygnomii Kościuszki na jego portretach ogólnie znanych, z rozmaitych epok życia i tak: niewielkie piwne oczy o spojrzaniu wyrazistym, brwi marsowate mocno zarysowane, nos krótki, podniesiony, dolna część szczęki silnie rozwinięta. Tak go scharakteryzował Michałowski, zapewne na podstawie portretu lub miniatury, przygotowując postać typową naszego bohatera narodowego, jak możnaby się domyślać, do zamierzonego obrazu historycznego.

Po drugiej stronie portretu, mającego rozmiar 66×51 cent., znajduje się podpis: „Piotr Michałowski“, przepisany na nowym płótnie, na którym stare malowidło zostało naklejone przy odnawianiu.

Jako *pendant* do portretu Kościuszki, znajduje się w Ustroniu drugi obraz Michałowskiego—z wyobrażeniem ks. Józefa Poniatowskiego (popisy odnawianiem).

Oba te cenne zabytki sztuki naszej obecny właściciel ofiarowuje do Muzeum polskiego w Rapperswilu.

Jako przyczynek do monografii ilustrowanej prac Michałowskiego, której artysta tej miary musi doczekać się w przyszłości, dodaję fragment rysowany piórem z jego własnoręcznym podpisem przedstawiający Żuława powstrzymującego konia w ryszunku bojowym, znajdujący się w starym sztabuchu pamiątkowym u p. Z. Wojniłowicza w Sawiczach w gub. mińskiej pod Słuckiem.

JÓZEF SMOLIŃSKI.

SAWITRI: NAD MORZEM.

I.

A wiesz ty, morze, dzisiaj senne,
nieukożone, wiecznie zmienne,
jakie są w piersiach ludzkich rany,
jakie poszumy i arkany?
Jaka tam biegnie w dal tęsknica,
jak żądza łzami się nasycą?
Jak się zrywają struny klęte,
torturą życia wyciągnięte?
Jak myśl się wspina i w dół stacza
i w bezsilności swej rozpacza?
Jak wszystko kruszy się i łamie,
jak życie zwodzi, życie kłamie?
Wszystkie tęsknoty niewytkane,
jedną olbrzymią ziemi ranę,
przynoszę tobie, morze zmienne,
kładę na głębie twe bezdenne,
niech je twe białe, szumne fale
w nieogarnione niosą dale.

II.

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Ja pełną wypilem czarę
dobra i zła,
czarę gorzkości i nędzy,
i wśród życiowej przędzy
różnobarwnego tła
szukałem nici poznania,
czem dobro, a czem zło.
I przekroczyłem granice,
znaczone przez praw tablice
kamienne, zapieśnione...

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Mówcie wy, fale białe,
szumem śnieżystych czół...
Ta sama fala się wznosi,
ta sama opada w dół,
ginąc w bezkresie bez śladu...
Jak znaleźć linię graniczną
między wznoszenia się chwilą
i między chwilą opadu?
Wszystko jest morza błękitem
i jego pieśnią rytmiczną.

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Nizina staje się szczytem
w szeregu zmian,
niema stężeń granicy
wśród twoich pian
rozdział bolesny, łamiący
gubi się w twym przestworze...
Pojmuję okrzyk twój grzmiący
i wiem już, wiem, o morze,
że niema dobra i zła,
tylko twój ruch wiekuisty,
nieukożona fal gra...

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Rysunek Piotra Michałowskiego.



na dał indywidualną formę, która była oddźwiękiem jego osobistego temperamentu, a oddźwięk ten poniekąd dostrajał się do rysów charakterystycznych naszego narodu. Odrębność twórczości Wita Stwosza od sztuki niemieckiej i usposobienia germańskiej rasy zauważyli sami niemieccy uczeni: „jest on mistrzem—pisze jeden z tych uczonych—u którego nie dostrzegamy rysów charakterystycznych, właściwych niemieckiemu narodowi: gorąca popędliwość i niespokojna porywczność tego artysty to raczej cechy właściwe Polakom lub Francuzom”.

W „Muzeum” podane zostały reprodukcje dzieł syna Stwosza, Stanisława, oraz wykonanych w jego warsztacie. Oprócz podobizn kilku rzeźb romańskich z XII w., włoskich z XVI i XVII w., niemieckich z XVI w., polskich z XII w. (słynne drzwi katedry gnieźnieńskiej) i XIV w. (krucyfiks królowej Jadwigi na Wawelu), „Muzeum polskie” z zakresu rzeźby pomieszcza ładny szkic historyczny p. Pagaczewskiego o Thorwaldsenie, ilustrowany czterema jego pracami, znajdującymi się w Polsce.

Z dziedziny pokrewnej rzeźbiarstwu, mianowicie snycerstwa, znajdujemy w „Muzeum” wizerunek cennego zabytku z XV w.: „Chrystusa na osielku”; interesujące są również zabytki rzeźbiarskie z Malborka, usunięte i najpewniej rozmyślnie zniszczone, jako pochodzenia polskiego, podczas odnawiania zamku krzyżackiego.

Przemysł artystyczny w Polsce reprezentowany jest dość ubogo; spotykamy tu jedynie podobizny pacyfikału z katedry guieźnieńskiej, pochodzącego z daru Ferdynanda Jagiellończyka, dwu kielichów mszalnych roboty krakowskich złotników z XVI w., wreszcie zegaru w stylu Ludwika XVI, rzekomo z zamku warszawskiego. Natomiast bardziej obszernie uwzględniono drukarstwo i drzeworytnictwo polskie, które nie dosięgło wprawdzie u nas do takiego stopnia rozwoju, jak zagranicą, lecz częstokroć odznacza się prawdziwym artystem.

Najszerzej traktowane jest w „Muzeum” malarstwo polskie, lub też na ziemiach polskich kwitnące, poczynając od malarstwa bizantyjskiego, którego wpływy silnie zaznaczają się w sztuce polskiej XIV i XV w., aż do artystów ubiegłego stulecia: Aleksandra Orłowskiego, Lampiego i Grottgera. Osobnie opracowany został Szymon Czechowicz, jeden z najwybitniejszych malarzy polskich XVIII w.

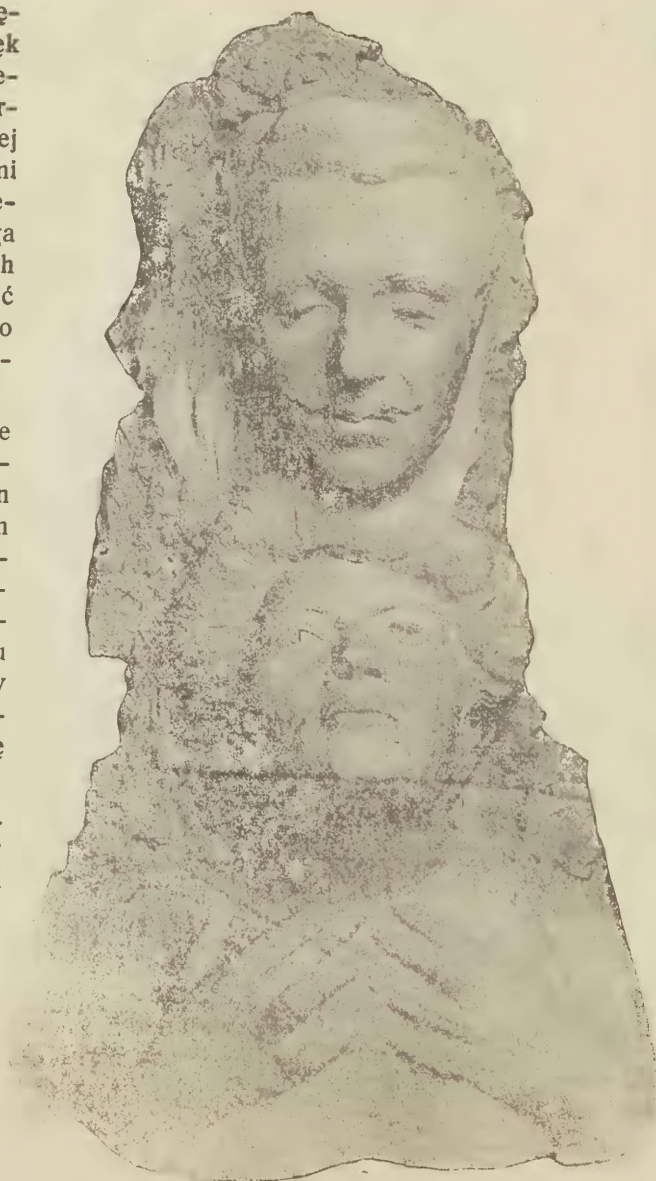
Interesujący portret hr. Chodkiewiczowej, wykonany przez Józefa Oleszkiewicza, kilka obrazów Grassiego, Lampiego, wreszcie szereg udatnych podobizn z dzieł artystów niemieckich (Jana z Kulmbachu, Hansa Dürera), włoskich i francuskich—oto bogaty i z wielu względów zasługujący na bliższe rozpatrzenie dział „Muzeum”.

Osobną kolekcję stanowią miniatury, szczegółowo opisane przez p. Pagaczewskiego.

W „Muzeum polskim” sporo jeszcze znaleźlibyśmy zabytków godnych pilnej uwagi. Miecz koronacyjny polski, zwany „Szczerbem” (autentyczny w Ermitażu petersburskim), i namiot, zdobyty pod Żórawnem w 1676 r., to najcenniejsze klejnoty „Muzeum”.

Szczera należy się wdzięczność inicjatorom i kierownikom wydawnictwa, które, oby jak najszerzej niosło po kraju umiłowanie rodzimej sztuki i zabytków przeszłości.

M.



WIZYA

STEFAN P

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

I.

Gdyby spadł na ziemię gość z przestrzeni międzyplanetarnej i zapytał mieszkańców Europy: jak wam się powodzi?... prawdopodobnie odpowiedziałby mu chór głosów: źle... źle... bardzo źle!...

Potężna Anglia gotuje się do porachunku z Niemcami, co pociąga za sobą wielkie a nieprodukcyjne wydatki i bynajmniej nie usposabia do dobrego humoru. W przebogatej Francji ludność jakgdyby zmniejszała się, co jest nie tylko narodowym, ale i cywilizacyjnym nieszczęściem. W tryumfujących Niemczech ludność wprawdzie szybko wzrasta, lecz zarazem potęguje się ciężar zbrojnego pokoju i demoralizacji, wytwarzanej przez władzę junkrów i biurokratów. Nareszcie olbrzymia Rosya, pomimo reform, które jeszcze nie zdobyły nazwiska, Rosya, tak bogata w płody surowe, choruje na wszystkie organy społeczne i państwowe, poczynając od Dumy i intendatury, kończąc na rolnictwie i szkole.

Jeżeli więc wszystkim jest źle, z jakiej racji nam, Polakom, miałoby być rozkosznie?... I w rzeczy samej jest nam bardzo niedobrze. Nawet tak wyglądamy, jakgdyby sam nasz byt, samo istnienie było zagrożone. Tak przynajmniej wydaje się pesymistom, którzy, trafnie sądząc położenie obecne, niesłusznie jednak wpadają w rozpacz i, do pewnego sto-

pnia—zatrzuwają swoje otoczenie jadem własnej goryczy.

Gdyby chodziło o nazwanie jednym słowem wszystkich trosk, wszystkich niedoli, jakie nam dokuczają, znaleźlibyśmy wyraz straszny, a imię jego upadek... Upadek w każdej dziedzinie życia społecznego, na każdym polu działalności, co najjaskrawiej uwydatnia się w stosunkach politycznych.

Jeszcze w połowie XVIII wieku byliśmy państwem niezależnym i rozległym, ażeby pod koniec tego okresu uleść pochwytawaniu i utracić nawet byt polityczny. Dzięki rozmaitym kombinacjom, w których niemałą rolę odegrały legiony, na początku XIX wieku ocknęliśmy się, jako państewko malutkie, lecz niezależne, z tytułem W. Ks. Warszawskiego. Lecz w kilka lat znowu straciliśmy niezależność, w zamian której dano nam konstytucję i autonomię. Po roku 1831 utraciliśmy i konstytucję i autonomię, lecz zachowaliśmy przynajmniej byt narodowy, który jednak po roku 1863 odebrano nam wszechstronnie.

Dziś tylko w Austrii jesteśmy wyzwolencami, co prawda zależnymi od łaski dynastii, może—od mniejszości niemieckiej, a może i od... poleceń z Berlina... Natomiast w Pruszech i Rosyi—miejmy raz odwagę nazwać rzeczy po imieniu—jesteśmy poprostu: niewolnikami, przeznaczonymi na ogłupienie, zubożenie, rozpędzenie, w każdym razie—zepchnięcie na najniższy szczebel społeczny. Dla osiągnięcia tego celu na drogach „legalnych”, w Pruszech wydano np. ustawę o wywłaszczaniu polskich właścicieli ziemi i rozbudowano antypolski fanatyzm, zaś w państwie rosyjskim dokonywają się nad nami jakieś eksperymenty polityczne, ekonomiczne, wyznaniowe, oświatowe, a jednym z nich jest np. protegowanie kolonistów niemieckich i obdarowanie nas licznym zastępem ludności żydowskiej, która w Cesarstwie uważa się za szkodliwą, lecz u nas cieszy się względem poparciem, w formie choćby podsycania jej separatyzmu i „poprawionego” żargonu...

Oto obraz, może dla kogo zanadto jaskrawy, dla mnie — zbyt blady. Pomimo jednak, że oczyma duszy przypatruję mu się od rana do wieczora, pomimo, że widzę coraz to nowe kreski, coraz to nowe uzupełnienia, w rozpacz bynajmniej nie wpadam. Nawet więcej — gdyż do nikogo nie mam pretensyi, na nikogo nie gniewam się i wcale nie myślę o zemście. „Mnie zostaw zemstę”... mówi Pan.

Bo wyobraźmy sobie, że kiedyś w Niemczech wybije godzina, w której nieznany dziś trybunał zapyta pruskich junkrów i biurokratów:

— Moi panowie! Około miliarda marek wydaliście na wytwarzanie w państwie niepokoju, na hodowlę szpiegów, prowokatorów i politycznych złodziei, wreszcie na tępienie, a przynajmniej osłabianie Polaków, którzy wcale nie gorzej od rodowitych Niemców orali ziemię, szyli buty, piekli ciasto, płacili podatki i dostarczali żołnierzy. Zaś w tym samym czasie mieliście setki i setki tysięcy, a może nawet i miliony przestępców kryminalnych, nałogowych żebraków, nędzarzy, pozbawionych pracy, dzieci, pozbawionych opieki... Mieliście kaleki, mieliście gruźlicowatych, mieliście starców, których nie dochodziła wasza emerytura państwowa, albo która im nie wystarczała. No, w końcu — mieliście myszy polne i mnóstwo szkodliwych owadów... I wy, drodzy panowie, otoczeni takim oceanem potrzeb realnych a dokuczliwych, jednak nie wahali-

[Faint, illegible handwriting, possibly a signature or date.]





W ZAMYŚLENIU

F. M. WYGRZYWALSKI

ście się wydawać milionów i setek milionów na osiągnięcie celów zupełnie chimerycznych, a co gorsza, głęboko niemoralnych, gwałcąc w nikczemny sposób zasadę: *homo res sacra homini*—człowiek powinien być rzeczą świętą dla człowieka, zasadę, już znaną Rzymianom?...

Powie kto, że podobnych pytań nikt i nigdy nie ośmielił się stawiać pruskim junkrom i biurokratom?... Dobrze. Zanim się to jednak spełni, czy nie spełni, ja będę wierzył w sprawiedliwość dziejową i już z taką wiarą położę się do grobu.

Tymczasem pozwolę sobie zacytować słowa prof. Vollersa: „Jak ludzką jednostkę losy niekiedy zmuszają do zastanowienia się, do odróżnienia wartości życiowych trwałych od przemijających, tak samo dzieje się z narodami... Gdzie kryzysy i katastrofy tak często po sobie następują, tam ludzie muszą się obejrzeć za podporami trwałymi i poznać brak wartości praktyk zewnętrznych”. (*Religie świata*).

Otóż jeżeli gdzie, to przedewszystkiem u nas trafiają się często, a nawet za często, „kryzysy i katastrofy”; jeżeli kto, to przedewszystkiem my, musimy wyrzec się jałowych „praktyk zewnętrznych” (choćby w postaci rozmaitych bojkotów i pogrzebów, musimy odróżniać rzeczy niezmiennie od znikomych, użyteczne od nieużytecznych, wielkie od małych, a nareszcie musimy „obejrzeć się za jakimiś „trwałymi podstawami” w życiu narodowym.

Przedewszystkiem jednak spojrzymy na nasze braki, nasze wady, nasze grzechy. Człowiek roztropny co wieczór dokonywa rachunku sumienia; niechże naród czyni to przynaj-

mniej od czasu do czasu. Rachunek taki i ja chcę zrobić, nie dla udręczenia ziomeków i czytelników obrazem naszych błędów, które są przyczynami klęsk, lecz żeby (o ile to jest możliwym dla jednostki)—obudzić naród z opętania, z zaczarowania, jakby ze snu hypnotycznego, w którym jest pogrążony od kilku pokoleń.

Podobno w Europie zachodniej mówią, żeśmy, jako naród, zgubieni; podobno i wśród nas żyją, nawet uczciwi i rozsądni obywatele, podziеляjący ten pogląd... Marny to i zbrodniczy fałsz, z którego przedewszystkiem musimy się otrząsnąć. Pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo jeszcze cięższych błędów, jakie co chwila popełniamy, mimo niedoręczności, jakimi przeładowana jest nasza historia, bodaj czy nie od dwu wieków, mimo to wszystko, naród nasz, naród polski, nie tylko może wydzwignąć się z obecnego położenia, ale jeszcze, w przyszłej historii cywilizacji; odegrać piękną, wspaniałą rolę.

Ale... trzeba się obudzić. Trzeba, zamiast przywidzeń, postawić sobie szlachetne i płodne ideały, obmyślić wykonalny program urzeczywistnienia ich i wziąć się do pracy, przedewszystkiem nad wychowaniem i wykształceniem samych siebie. Musimy zdobyć takie cnoty i taki stopień doskonałości, jakiego nam brakuje, a który powinien odpowiadać wymaganiom najwyższej cywilizacji, największemu rozwojowi myśli, uczuć i woli.

Przypuśćmy, że ktoś ma kawałek ziemi, z którym jego byt jest związany. Jeżeli czło-

wiek ten nie zasługuje na tytuł obłąkańca, wówczas ze swojej ziemi zechce *korzystać*. Zechce mieć żyto na chleb, przenicę na bułki, siano dla inwentarza, drzewo na opał i na poprawę budynków i t. d.

Lecz — zanim będzie mógł korzystać ze swego mienia, człowiek ten musi, działać, musi ciągle *wykonywać jakieś prace*: nawozić i obrabiać ziemię, siać nasiona, zbierać i młócić zboże, wycinać drzewo i rąbać je albo piłować... A zaś nim przystąpi do swoich mnogich prac, musi je najpierw jasno określić, *poznać* ziemię, nasiona, narzędzia i jeszcze wiedzieć, kiedy co powinno być zrobione? Każda bowiem praca ma swój czas, nie może być wykonana ani za prędko, ani za późno, a każdy owoc ma swoją epokę dojrzałości, na którą trzeba czekać cierpliwie i wykorzystać z niej prędko.

Otóż nie tylko w gospodarstwie rolnem, ale w każdej gałęzi zajęć, w każdej funkcji życiowej, w każdej działalności społecznej istnieją owe trzy momenty: *pszczać—zrobić—i—wyczerkać*, *skorzystać*. Im kto więcej posiada *wiedzy* w swoim fachu, im lepiej *pracuje*, im *roztropniej korzysta*, tem lepiej powodzi mu się, tem więcej ma szans do zabezpieczenia sobie bytu i rozwoju. I naodwrot musi się stać nieuleczalnym nędzarzem i niepewnym jutra niewolnikiem, kto nie chce uczyć się, badać i samodzielnie myśleć, kto nie umie działać z największym napięciem wytrwałości i energii, kto nie potrafi w porę i w miarę korzystać.



160
Rumie

Po tej wzmiance możemy przystąpić do rozejrzenia się w rozmaitych objawach życia i działalności społecznej. Będzie to rzecz bardzo szkicowa, gdyż wreszcie i celem jej nie jest wyczerpać kwestyę, lecz tylko pobudzić do rozmyślań.

Polityka. Celem polityki wewnętrznej i zewnętrznej powinno być i bardzo często bywa—wszechstronne bezpieczeństwo i rozwój narodu. Niekiedy polityka zakłada sobie jako cel: przeszkodzenie rozwojowi i wyrządzenie największych możliwych szkód innym narodom, co mianowicie zdarza się w wypadku wojny.

Gdybyśmy zapytali; jakie *korzyści*, przynajmniej od półtora wieku, odnosi nasz naród ze swojej polityki? odpowiedź byłaby zdumiewająca; polityka przynosi nam same upadki, straty ludzi i bogactw, rosnący ucisk, cierpienia i zastój cywilizacyjny!

— Winni temu sąsiedzi, którzy nas po-
ćwiartowali, a oecnie chcą wytępić!...—zawo-
ła czytelnik,

Zapewne. Gdyby nie było sąsiadów,
nie młabymy nas kto ćwiartować. Czy jednak
i my sami nie przyczyniliśmy się do naszych
nieszczęść?... Czy mianowicie stosowaliśmy się
do tego prawa natury, które jako warunek
wszelkiej pomyślności stawia trzy rodzaje prac:
znać-robić i korzystać w porę i w miarę?



żywszych", z powodu nie tylko uwolnienia więźniów polskich, lecz całego względu Polaków zachowania się cesarza, gdyż "tym sposobem niweczy się wszelkie wysiłki, uczynione przez Prusy celem zapewnienia spokojności we wzajemnych nabytkach" polskich. Jednakowoż ta demonstracja, wkraczająca do dziedziny czysto wewnętrznych zarządzeń monarchii rosyjskiej, pomimo natrętnych nalegań generała Tauenziena, jak ze smutkiem stwierdzał poseł, "nie wywarła żadnego skutku".

Cesarz Paweł I, długo malowany wyłącznie na czarno przez tendencyjną historiografię rosyjską, ostatnimi czasy zostaje po części rehabilitowany przez bardziej niezależną i bezstronną naukę rosyjską wykazującą w nim, obok rysów ujemnych, również i wybitne dodatnie: wiele zdrowego rozsądku, oraz poczucia sprawiedliwości i honoru! Owóż rzeczą jest godną uwagi, że tam właśnie, gdzie te objawy dodatnie występowały w zakresie sprawy polskiej, natychmiast ukazywała się ręka obca, aby przeciw nim podjudzać, wstrzymywać je i stawiać im na przeszkodzie.

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

II.

Po tej wzmiance możemy przystąpić do rozejrzenia się w rozmaitych objawach życia i działalności społecznej. Będzie to rzecz bardzo szkieletowa, gdyż wreszcie i celem jej nie jest wyczerpać kwestię, lecz tylko pobudzić do rozmyślań.

Polityka. Celem polityki wewnętrznej i zewnętrznej powinno być i bardzo często bywa—wszechstronne bezpieczeństwo i rozwój narodu. (Niekiedy polityka zakłada sobie jako cel: przeszkodzenie rozwojowi i wyrządzenie największych możliwych szkód innym narodom, co mianowicie zdarza się w wypadku wojny).

Gdybyśmy zapytali, jakie *korzyści*, przynajmniej od półtora wieku, odnosi nasz naród ze swojej polityki, odpowiedź byłaby zdumiewająca; polityka przynosi nam same upadki, straty ludzi i bogactw, rosnący ucisk, cierpienia i zastój cywilizacyjny!

— Winni temu sąsiedzi, którzy nas poćwiartowali, a obecnie chcą wytępić!...—zawoła czytelnik.

Zapewne. Gdyby nie było sąsiadów, nie miałby nas kto ćwiartować. Czy jednak i my sami nie przyczyniliśmy się do naszych nieszczęść?... Czy mianowicie stosowaliśmy się do tego prawa natury, które, jako warunek wszelkiej pomyślności, stawia trzy rodzaje prac: *znać—robić—i —korzystać w porę i w miarę?*

Otóż—przedewszystkiem nie umieliśmy

korzystać. Po roku 1815 posiadaliśmy autonomię i konstytucję, jak Finlandya. Zamiast jednak wydobyć, co się da, z powyższych przywilejów, my, zaniebawszy realne zyski, zapragnęliśmy odbudować Rzeczpospolitą w dawnych granicach i w końcu—daliśmy się porwać stronnictwom rewolucyjnym, mimo ostrzeżeń i protestów ówczesnych mężów stanu. Wprawdzie była to zbrojna odpowiedź na intrygi i nadużycia partii nowosilcowskiej, lecz jednocześnie był to tylko—*odruch*, nie zaś akt polityczny.

Nadszedł rok 1861 i reformy Wielopolskiego. Dano nam własną administrację, sądy, szkoły, rady powiatowe i miejskie, prawie ministeria, a za namiestnika—W. Ks. Konstantego, rozumnego i uczciwego człowieka. W jaki sposób odpowiedzieliśmy na to?... Powstaniem! Powie ktoś: był to skutek ogólnego rozdrażnienia w całej Europie, może i pruskich intryg, a w każdym razie—wyładowanie krzywd, zadanych narodowi przez rządy paskiewiczowskie...

Prawda. Był to skutek, był to *odruch*, który najdoskonalej zrozumie każdy psycholog, każdy fizyolog, ale był to tylko—*odruch*, nie zaś—czyn polityczny, który zapewniłby narodowi bezpieczeństwo i rozwój.

Korzystać zatem ze stosunków politycznych nie umieliśmy ani w porę, ani w miarę. Więc może w dziedzinie polityki umieliśmy *działać*, pracować?

Praca ludzka, której celem jest zaspokojenie jakichś potrzeb, miewa rozmaite formy i wartość. Dla przykładu weźmy dwie jej postaci krańcowe. Aby jako tako utrzymać nędzne życie, człowiek dziki wypędza zwierza z jaskini i osiedla się na miejscu; zabija druzgocę zwierzę, aby zdobyć surowe mięso i nie wyprawione futro, a nareszcie rzuca się na podobnego sobie człowieka i morduje go, ażeby pożyć jego zapasy, albo i jego samego. Ta forma pracy nazywa się—*walką* i przynosi, jak widzieliśmy, bardzo lichy rezultat za cenę ogromnych wysiłków i cierpień, przyczem w dodatku marnuje się większa część użytecznych materiałów.

Inną, formą pracy, wprost przeciwną walce, jest—*wytworczość*. Człowiek, zamiast walczyć o jaskinię, buduje sobie ciepłe i wygodne mieszkanie; zamiast żreć mięso, krwią ociekające, żywi się mnóstwem przerobionych pokarmów, które nie tylko zaspakajają głód, ale i potrzeby estetyczne. Wreszcie zamiast obdzierać zwierzę z nie wyprawionego futra, czło-

wiek hoduje rozmaite zwierzęta i rośliny, wznosi fabryki i w rezultacie zaopatruje się w odzież tkaną i szytą, która jednoczy w sobie: ciepło, czystość, wygodę, nawet ozdobność.

Krótko mówiąc, sposób „robienia” za pomocą walki jest nie tylko barbarzyński, ale i nieskończenie mniej użyteczny, aniżeli sposób „robienia” za pomocą pracy wytwórczej. Na tym kawale ziemi, który z biedą utrzyma jedną rodzinę myśliwców, może doskonale wyżyć tysiąc rodzin przemysłowo-rolniczych. W każdej zresztą dziedzinie walka jest najniższą postacią działalności.

To samo w polityce. Walka czyli wojna jest nieszczęściem: marnuje mnóstwo sił, nie tworzy, zasiewa długotrwałe nienawiści i, zamiast kończyć nieporozumienia, przylacza do starych—nowe.

Otóż rzecz charakterystyczna. W historii polityki znana jest zasada wspierania się, wymiany usług, odszkodowań pieniężnych i t. d. Lecz z pomiędzy tych rozmaitych stosunków my, Polacy, wierzyliśmy tylko w jeden i umieliśmy tylko jeden—najgorszy, t. j. wojnę.

I gdybyśmy choć prowadzili wojnę, obrachowawszy pierwsi siły własne i przeciwnika; gdybyśmy rozpoczynali ją, mając przynajmniej równe szanse zwycięstwa, wystarali się o sprzymierzeńców... Gdzie tam!... Rzucaliśmy się na przeciwnika, kilkanaście razy mocniejszego od nas, bez nadziei wygranej. A zamiast zrobić choćby najprostszy plan, najwykleszy rachunek, powtarzaliśmy, jak nieprzytomni, paradoksalne hasło: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił”...

Już to poezja nie oddawała nam usług w polityce! Lecz... gdzież jest w naszych czasach drugi naród, który do politycznych zagadnień szukałby natchnienia w poezji?...

W ten sposób, wbrew możliwości, bez celu i bez planu, marnowaliśmy mnóstwo najpiękniejszych sił polskich; bo naprawdę do naszych beznadziejnych powstań szli po największej części bohaterowie, ażeby za cenę swojej męczeńskiej krwi i młodych istnień, kupić ukochanemu narodowi—co?... nowe formy niewoli i niedoli. To u nas nazywało się polityką, której przecież celem jest—bezpieczeństwo i rozwój sił społecznych.

Naprawdę, nie mogło być innej „roboty” politycznej, gdyż brakło nam najpierwszego warunku wszelkich udatnych działań: brakło nam znajomości polityki. Czy bowiem posiadamy w naszym języku np. życiorysy znakomitych mężów stanu i wodzów i choćby zwięzłe, ale nauczające opisy ich działań? Czy mamy dzieła, z których przeciętny obywatel mógłby dowiedzieć się: co to jest polityka, jakie jej środki i sposoby działania?... Ale co najgorsze: czy my posiadamy zwięzłe, lecz rzetelnie napisane dzieła z zakresu historii Austrii, Prus i Rosji? czy znamy statystykę tych krajów i ich geografję, nie tylko polityczną, ale ekonomiczną, moralną, oświatową i t. p.?

Czy staramy się zrozumieć duszę tych państw, czy zdajemy sobie sprawę z ich wad i zalet, z postępów i niedomagań?



CHATA TYROLSKA

JULIAN FAŁAT





PRZEKLEŃSTWO (z wystawy T. Z. S. P.)

JÓZEF MĘCINA-KRZESZ

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

III.

Jest to fakt, nie ulegający wątpliwości, że na dzisiejsze wysokie stanowisko cywilizacyjne Niemiec, na ich przemysł i handel nie tyle oddziaływały huczne zwycięstwa Moltkego i bezecne szachrajstwa Bismarcka, ile cicha praca wielkich filozofów i uczonych. W audytoryach i laboratoriach niemieckich rodziły się potężne prądy duchowe i przez szkoły, książki, gazety spływały do najgłębszych warstw społecznych. To też dzisiejszy Niemiec, rolnik czy polityk, rzemieślnik czy wojskowy, przede wszystkim umie badać i rozmyślać! Nie ich wojsko jest straszne, które można rozbić, nie ich armaty i okręty, które ulegną zniszczeniu. Raczej to jest niebezpieczne, że prawie każdy Niemiec w porównaniu z mieszkańcami wschodniej Europy jest niby człowiek widzący i słyszający wobec ślepych i głuchych.

Zapewne dlatego we wschodniej Europie nauczanie zalicza się do przestępstw.

My, Polacy, nie jesteśmy pozbawieni zdolności do wysiłków w królestwie nauk i filozofii; lecz garstka naszych uczonych i myślicieli jest nie liczna, a nade wszystko nie ma dość wolnego czasu, ani potrzebnych środków... U nas być uczonym czy filozofem to prawie bohaterstwo. Trudno więc dziwić się, że umiejętność badania i rozmyślenia nie przesiąknęła nawet do zamożniejszych warstw narodu. U nas rozwój duchowy jeszcze mierzy się zamięłaniem teatru i zdolnością czytania recenzji teatralnych.

Otóż rzecz szczególna: w tym społeczeństwie, w którym popularny kurs filozofii, albo jasno napisana historia filozofii jest rzadkością, wyszły już w drugim wydaniu a wybornych przekładach filozoficzne pisma F. Nietzschego... Dla osób, które mają za sobą jakieś studia filozoficzne, burza paradoksów i spostrzeżeń nitzscheańskich stanowi zajmującą czytankę. Ten obłąkany mędrzec (a był nim chyba przez całe życie) miał niewątpliwie błyski genialne, a jego przewracające wszystko do góry nogami rozmyślenia zajmą kartę w historii filozofii i dziejach życia społecznego. Ale myśliciel ten,

o którym, jeżeli nie zwodzi mnie pamięć, powiedział Fouillée, że: „co jest w nim nowe, to jest fałszywe, a co prawdziwe, to oddawna znane”—myśliciel ten nie stanowi zdrowej czytanki dla gimnazystów albo pensjonarek. Oto parę próbek, wziętych na chybił trafił:

„Wszystko niemal, co „wyższą” zwiemy kulturą, polega na przeduchowieniu i pogłębieniu okrucieństwa” (str. 190). Zatem ligi pokoju, opieki nad więźniami i sierotami są „przeduchowionem okrucieństwem”.

„Pod grozą obrażenia niewinnych uszu utrzymuję, że egoizm stanowi istotne znamię duszy dostojnej; a przez egoizm rozumiem ową niewzruszoną wiarę, że takiej istocie, jak „my jesteśmy”, inne istoty z natury rzeczy muszą podlegać i dla niej się poświęcać” (str. 257); zatem—Waszyngtonowie i Kościuszkowie nie byli „duszami dostojnymi”. Są zaś niemi np. hakatyści.

„Człowiek, dążący do wielkości, uważa każdego spotkanego na swej drodze albo za środek, albo za zwłokę i przeszkodę, albo za wezglowie” (str. 266. „Poza dobrem i złem”). Jest to teoria wszystkich wyzyskiwaczy, a zapewne rozmaitych Azefów i Landessenów.

Dodajmy inne aforyzmy, jak np.: „Nie



oszczędzaj bliźniego. Strzeż się człowieka dobrego. Miłość bliźniego jest moralnością niewolników. Złodziej jest naprawdę człowiekiem wolnym. Dobrze jest patrzeć na cierpienie, a jeszcze lepiej zadawać cierpienia" (Cytaty według L. Buchnera: *Aurore du siècle*), a zrozumiemy, jaka to kasza może ugotować się w biednych polskich głowach po przestudyowaniu filozofa, o którym tenże Buchner mówi:

"Nietzsche jeszcze napisał: „Gdy ludzie są tego zdania, co i ja, natychmiast czuję, że nie mam racji". Nietzsche chciał prawdopodobnie powiedzieć przez to, że, gdyby swoje własne myśli spotkał w dziele innego autora, odwróciłby się ze wstrętem. Cóż wobec tego rzekną jego ślepi wielbiciele, dla których Nietzsche jest najgłębszym myślicielem i najświetniejszym pisarzem naszej epoki?"

Nic nie mam przeciw drukowaniu Nietzschego w polskim języku. Ale dajcie nam jeszcze jakieś inne, zdrowsze rzeczy, w równie pięknych przekładach...

Uspołecznienie. Weź do ręki kawałek chleba i zapytaj: ile osób trudziło się, ażeby go wyprodukować? Ilu rolników, woźniców, handlarzy, młynarzy, piekarzy brało w tym udział?... A jeżeli dodasz ludzi, którzy pracowali nad budową machin i narzędzi rolniczych, młynarskich, piekarskich, przewozowych, wówczas zaczyniesz rozumieć: jak wielkiej liczby pracowników, jak wielu pomysłów, czujności, zapobiegliwości, wytrwałości i tym podobnych zalet było potrzeba zużyć, zanim powstał ten skromny wyrób, który nazywamy chlebem, niezbędnym dla utrzymania życia.

W podobny sposób można by zastanawiać się nad wszelkimi wyrobami: od szpilki do okrętu wojennego, od pudełka zapalek do gmachów ministerialnych, od kawałka nici do brylantów i sobolów, strojących eleganki, i przekonalibyśmy się, że każdy z owych przedmiotów wymagał mądrej, zorganizowanej pracy mnóstwa ludzi, rozrzuconych po całym kraju, niekiedy po całej Europie, nawet po całej kuli ziemskiej.

Każdy człowiek chce być najszczęśliwszym, lecz osiągnąć ten cel może—tylko i tylko w społeczeństwie, przy jego życzliwym i drobniogowym współudziale. Społeczeństwo wychowuje nas, czuwa nad naszym życiem i zdrowiem, rozwija nasze umysły, podnieca uczucia, rozbudza i zaspokaja pragnienia. Słowem, społeczeństwo dostarcza nieskończonej liczby sposobów i środków do wszechstronnego rozwoju naszych fizycznych i duchowych zalet, do rozwoju naszej indywidualności. Jest ono dla nas niby kochająca matka dla dziecięcia; bez jego nieustannej pracy i opieki, bez jego wskazówek we wszelkich możliwych zagadnieniach życiowych, stalibyśmy się fizycznymi i duchowymi wyrodkami, nieszczęśliwsi od najędźniejszego zwierzęcia.

A wzamian za miliony usług, nam oddawanych, czego społeczeństwo żąda od nas?... Tylko jednej rzeczy: pełnienia obowiązków, których olbrzymią większość streścić można w sentencji: „nie bądź szkodliwy, pracuj użytecznie”!

Ażeby społeczeństwo mogło oddawać wszechstronne usługi rozwojowi jednostek, musi odpowiadać pewnym warunkom. Pierwszym z nich jest: różnorodność celów, zajęć, nawet poglądów i przekonań. W społeczeństwie powinni istnieć nie tylko rolnicy, rzemieślnicy, kupcy, przemysłowcy, ale także uczeni, artyści, sportowcy; nie tylko konserwatyści, lecz i postępowcy, nie tylko spirytualiści, lecz i materialisci.



MADONNA Z KOŚCIOŁA SACRÉ-CŌUR W NOWYM-YORKU.
Malo waf. A. Mucha.

Innym warunkiem jest—proporcja, w myśl której w zdrowym społeczeństwie nie powinno być ani zbyt mało, ani zbyt wielu np. kupców, albo artystów. Jeszcze inny warunek stanowi harmonia, która znaczy, że—wszystkie grupy społeczne, wszystkie zajęcia i przekonania winny wspierać się wzajemnie i rzetelnie wymieniać usługi: w przeciwnym bowiem razie stanie się komuś krzywda, która znowu będzie początkiem całego szeregu wyzysków, oszustw, walk i nienawiści, czyli choroby społecznej.

Korona uspołecznienia warunków jest—jedność społeczna, objawiająca się w najrozmaitszych postaciach. Może być jedność pochodzenia i języka, jedność wyznania, sympatii i antypatii, wspomnień dziejowych, jedność przekonań i poglądów, jedność położenia ekonomicznego, praw politycznych i t. d.

Rozmiary uspołecznień są bardzo rozmaite: do najmniejszych należy rodzina, stowarzyszenie, gmina, do rozleglejszych—związki zawodowe, do najrozleglejszych—narody i państwa. Lecz poza narodem i państwem—chciałbym to jak najsilniej podkreślić—poza narodem i państwem—istnieje coś jeszcze rozleglejszego i niemniej rzeczywistego, mianowicie: inne narody ucywilizowane. Już dziś, bez żadnej wątpliwości, cała Europa ucywilizowana zaczyna tworzyć jakby jeden organizm, dzięki komunikacyom, powszechnej oświa-

cie, dziennikarstwu, wreszcie dzięki rozmaitym kongresom i organizacyom międzynarodowym (np. krzyż czerwony, krzyż błękitny, stowarzyszenie pokoju i t. p.). I bez przesady można powiedzieć, że, czem dla jednostki w dziedzinie potrzeb fizycznych i duchowych jest naród, tem dla narodu jest cywilizacja, czyli—inne narody ucywilizowane.

Wprawdzie polityka i rozbudzane przez nią szowinizmy nacyonalistyczne jeszcze dzielą narody; mimo to już ponad nieufnościami i niechęciami unoszą się pewne wspólne ideały, niejasno przezuwane przez wszystkich mieszkańców zachodniej Europy, a zrozumiałe i gorąco upragnione przez ludzi wyższej kultury umysłowej i etycznej.

Braterstwo ludów, wolność, sprawiedliwość, poszanowanie ludzkiej osoby, jej uczuć, przekonani i mejtaku, wymiana usług, jak najpełniejszy udział czynny i bierny w dobrodziejstwach cywilizacji—oto hasła wspólne dziś mieszkańcom Europy. Jutro staną się one obowiązującymi dla wszystkich, a ich uwieńczeniem bodaj czy nie będzie saint-simonowski aforyzm: „Każdemu wedle zdolności, każdej zdolności według pracy, każdej pracy wedle pożytku”.

Oto trzy stopnie społecznych obowiązków: względem ludzi, względem narodu, względem cywilizacji; na każdym zaś z owych stopni nie wolno, nie należy być szkodliwym, a trzeba, należy być użytecznym. Więc, gdziekolwiek znajdziesz się, bracie-Polaku: we własnym kraju czy w obcym, nie tylko między Francuzami, Węgrami, Czechami, ale także w Anglii, Niemczech, Rosyi, nie mieszaj się do walk partyjnych, nie zabieraj głosu w sprawach niejasnych, lecz wszędzie bądź użytecznym, ażeby wszędzie wiedziano, żeś nie półbarbarzyńca, ale człowiek prawdziwie uspołeczniony.

Po roku 1870 jakaś większa grupa naszych zesłańców powracała z Syberii do kraju; otóż rosyjska gazeta *Sybir* żegnała ich, o ile pamiętam, w tym tonie: „Żegnamy was, jak przyjaciół i nauczycieli, gdyż nie tylko prowadziliście się u nas uczciwie, ale—wpłynęliście korzystnie na nasze rolnictwo, zaszczytliście ogrodnictwo, wprowadziliście niemną rzemiosło, byliście apostołami nauki i sztuki, więc—Bóg wam zapłać, bracia!” Niewiele artykułów w rosyjskiej prasie zrobiło mi tak rzetelną przyjemność, jak ów syberyjski... I, gdybym miał sformułować przepisy zachowania się Polaków na obczyźnie, powiedziałbym:

— Czyńcie tak, jak czynili najlepsi z pomiędzy naszych zesłańców na Syberii...

Wróćmy do ogólnej sprawy uspołecznienia. Na nadmiar jednolitości nie możemy narzekać, istnieje bowiem u nas aż zanadto wielka różnorodność. Obok rodowitych Polaków, mamy z 15 proc. Żydów, sporo Niemców, Rusinów i Rosyan. Proporcji w naszych stosunkach społecznych także niema; dość przypomnieć, że, dzięki Żydom, klasa handlowa w Polsce jest zanadto liczna, zaś rodowici Polacy np. w handlu dopiero zaczynają dorabiać się stanowisk, a w urzędach państwowych jest ich coraz mniej.

O harmonii społecznej, szczególnie w ostatnich kilku latach, może byłoby lepiej nie wspominać. Chłop, jak dawniej, nie dowierza szlachcicowi, pracownik szarpie się z przedsiębiorcą, dzieci z rodzicami, pewne grupy inteligencji z księżmi. W takich warunkach *jedność społeczna* posiada albo bardzo słabe natężenie, albo wręcz wygląda chorobliwie.

(DCN)



da: jeżeli chcesz poznać coś nowego, obserwuj; gdy nagromadzisz wielki zasób obserwacji, staraj się odgadnąć przyczyny i przebieg nowego zjawiska; określ to w sposób możliwie jasny i prosty; sprawdź za pomocą umyślnych doświadczeń, wreszcie—na mocy tego, coś poznał, staraj się przewidzieć nowe zjawiska. I jeszcze woła nauka: badacz, rachuj się tylko z faktami, a nie z własnymi namiętnościami, albo z cudzymi podszeptami!

O, jakże inaczej wyglądałaby polityka europejska, gdyby każdy mąż stanu w swoich rozmyślaniach i działaniach posługiwał się, o ile można, metodami naukowymi!... O, jakże inaczej wyglądałaby Polska, gdyby nasz patriotyzm umiał nie tylko wykrzykiwać efektowne hasła, ale także obserwować fakty, sprawdzać swoje pomysły polityczne i—zawczasu przewidywać ich skutki!...

Z metodami naukowymi nie można oswoić się na poczekaniu, zwykle trzeba na to wiele lat. Trzeba ukończyć dobrą szkołę średnią, pracować na uniwersytecie, a potem... co najważniejsze—pracować samodzielnie. Człowiek, zdobywający naukę, jest niby akumulatorem, który przez szereg lat naładowuje się energią najszlachetniejszego i najpożyteczniejszego rodzaju. Na każdego podobnego człowieka społeczeństwo poświęca dużo wysiłków, dużo pieniędzy, wielu rzeczy odmawia sobie w nadziei, że, gdy ów akumulator duchowy przystąpi do pracy, przyniesie narodowi zyski stokrotne, które w dodatku będą ciągle powiększać się, ciągle rozmnażać...

No, i pewnego poranku społeczeństwo dowiaduje się, że ten oczekiwany akumulator bogactw duchowych, ten mesjasz nieszczęśliwego narodu... niczem nie nasiąknął, albo został wywieziony na Syberię, gdyż, zamiast zdobywać metody naukowe, na polski sposób zajmował się poliuką!

Czy podobna, ażebyśmy do czegośkolwiek doszli w cywilizacji, ażebyśmy przestali być niewolnikami, dopóki ucząca się młodzież nasza w taki sposób marnuje własne życie i pieniądze narodu? My jesteśmy niby pole, na którym nic nie może dojrzeć, ponieważ wszystko przed czasem dostaje się pod żniwiarkę. Jeszcze kłos nie ukazał się—i już jest ścięty!

„Narodzie mój, twoimi ciemieżcami niedorostki, a kobiety zapanowały nad tobą. Przywódcy twoi prowadzą cię na bezdroża, a kierunek ścieżek twych pokrzywili... I naznaczę dzieci na naczelników ich, a niedorostki panować im będą... Porwie się pacholę na starca, a nikczemny na dostojnego”.

Któryż polski autor wyplakał takie krwawe narzekania?... To—prorok Izajasz, na 26 wieków przed naszymi niedolami. Klęski narodowe nie znają miejsca ani czasu.

Jak nauki, szczególnie fizyczne i biologiczne, uczą badać, poznawać, odkrywać, tak znowu—*filozofia*, zwana ich „królową”, uczy rozmyślać. Nie „wierź w nic”—woła Descartes—czego rozum jasno nie widzi i pod żadną nie pociąga wątpliwość. Nastręczające się zagadnienia dziel na tyle części, ile potrzeba, ażeby każdą z nich dokładnie zrozumieć. Rozmyślaj porządnie, zaczynając od pojęć najprostszych i posuwając się do coraz bardziej złożonych. Gdy skończyleś rozmyślanie, jeszcze raz wszystko starannie przejrzyj, aby nic nie opuścić”.

Jeżeli każdą naukę porównamy z gmachem wielopiętrowym, pełnym salonów, izb, szaf, wśród których można się zabłąkać, zgubić, a przynajmniej zapomnieć, że poza naszą specjalnością istnieją jeszcze inne gmachy, a nawet całe miasto gmachów... Jeżeli każda pojedyncza nauka może pochłonąć umysł i zrobić go jednostronnym, to filozofia jest podobna do wysokiej wieży, z której szczytu widzi się, naturalnie w ogólnych zarysach, wszystkie gmachy nauk specjalnych, a nadewszystko—główne ulice miasta wiedzy, główne kierunki badań i ostateczne rezultaty... Filozofia nie jest wcieleniem jakiejś pojedynczej zdolności, ale—całej duszy ludzkiej, a także jest nauczycielką, wychowawczynią całej ludzkiej duszy. Myśli daje logikę, uczucie karmi estetyką, woli wskazuje etykę. Zapomocą metafizyki i filozofii natury usiłuje rozjaśnić zagadkę świata i wszechbytu, socjologią oświeśla tajemnice życia społecznego, psychologią—otchłanie duszy. A nareszcie w historii filozofii przedstawia obraz swoich własnych usiłowań i rozwoju.

Jest to fakt nie ulegający wątpliwości, że na dzisiejsze wysokie stanowisko cywilizacyjne Niemiec, na ich przemysł i handel, nie tyle oddziaływały huczne zwycięstwa Moltkego i bezecne szachrajstwa Bismarcka, ile cicha praca wielkich filozofów i uczonych. W audytorjach i laboratoriach niemieckich rodziły się potężne prądy duchowe i przez szkoły, książki, gazety, spływały do najgłębszych warstw społecznych. To też dzisiejszy Niemiec, rolnik czy polityk, rzemieślnik czy wojskowy, przedewszystkiem umie badać i rozmyślać! Nie ich wojsko jest straszne, które można rozbić, nie ich armaty i okręty, które ulegną zniszczeniu. Raczej to jest niebezpieczne, że prawie każdy Niemiec, w porównaniu z mieszkańcami wschodniej Europy, jest niby człowiek widzący i słyszący, wobee ślepych i głuchych.

Zapewne dla tego we wschodniej Europie nauczanie zalicza się do przestępstw. My, Polacy, nie jesteśmy pozbawieni zdolności do wysiłków w królestwie nauk i filozofii; lecz garstka naszych uczonych i myślicieli jest nieliczna a nadewszystko nie ma dość wolnego czasu, ani potrzebnych środków... U nas być uczonym czy filozofem to prawie bohaterstwo. Trudno więc dziwić się, że umiejętność badania i rozmyślania nie przesiąknęła nawet do zamożniejszych warstw narodu. U nas rozwój duchowy jeszcze mierzy się zamięłaniem teatru i zdolnością czytania recenzji teatralnych.

Otóż rzecz szczególna: w tem społeczeństwie, w którym popularny kurs filozofii, albo jasno napisana historia filozofii jest rzadkością, wyszły, już drugiem wydaniu a wybornych przekładach, filozoficzne pisma F. Nietzschego... Dla osób, które mają za sobą jakieś studia

filozoficzne, burza paradoksów i spostrzeżeń nitzscheńskich stanowi zajmującą czytankę. Ten obłąkany mędrzec (a był nim chyba przez całe życie) miał niewątpliwie błyski genialne, a jego, przewracające wszystko do góry nogami, rozmyślanie, zajmą kartę w historii filozofii i dziejach życia społecznego. Ale myśliciel ten, o którym, jeżeli nie zwodzi mnie pamięć, powiedział Fouillée, że—„co jest w nim nowe to jest fałszywe a co prawdziwe to od dawna znane”—myśliciel ten nie stanowi zdrowej czytanki dla gimnazystów albo pensjonarek. Oto pare próbek wziętych na chybił trafik:

„Wszystko niemal, co „wyższą” zowiemy kulturą, polega na przeduchowieniu i pogłębieniu okrucieństwa” (str. 190). Zatem ligi pokoju, opieki nad więźniami i sierotami są „przeduchowieniem okrucieństwa”.

„Pod groźą obrażenia niewinnych uszu utrzymuję, że egoizm stanowi istotne znamię duszy dostojnej; a przez egoizm rozumiem ową niewzruszoną wiarę, że takiej istocie jak „my jesteśmy”, inne istoty z natury rzeczy muszą podlegać i dla niej się poświęcać” (str. 257); zatem—Waszyngtonowie i Kościnszkowie nie byli „duszami dostojnymi”. Są zaś niemi np. hakatyści.

„Człowiek, dążący do wielkości, uważa każdego, spotkanego na swej drodze albo za środek, albo za zwłokę i przeszkodę—albo za węzłowie” (str. 266. „Po dobrem i złem”). Jest to teoria wszystkich wyzyskiwaczy a zapewne rozmaitych Azeów i Łandessenów.

Dodajmy inne aforyzmy, jak np. cNie oszczędzaj bliźniego. Strzeż się człowieka dobrego. Miłość bliźniego jest moralnością niewolników. Złodziej jest naprawdę człowiekiem wolnym. Dobrze jest patrzeć na cierpienie a jeszcze lepiej zadawać cierpienia” (Cytaty według L. Buchnera: *Aurore du siecle*) a zrozumiemy jaka to kasza może ugotować się w biednych polskich głowach po przestudyowaniu filozofa, o którym tenże Buchner mówi:

Nietzsche jeszcze napisał: „Gdy ludzie są tego zdania co i ja, natychmiast czuję, że nie mam racji”. Nietzsche chciał prawdopodobnie powiedzieć przez to, że gdyby swoje własne myśli spotkał w dziele innego autora, odwróciłby się ze wstrętem. Cóż wobec tego rzekną jego ślepi wielbicieli



Tę kruchość naszego społeczeństwa, tę rozbieżność jego rozmaitych czynników odczuwamy wszyscy a najbardziej w osfatnich czasach, kiedy niesumienne prowadzone walki stronnictw wywołały powszechne rozdrażnienie i nienawiści. Czasami wydaje się, że patrzymy na rozkład społeczny, ale... w jakież sposób przeciwdziałamy podobnym zjawiskom?

Dla przykładu zwróć uwagę na dwie „sprawy”: pierwszą będzie kwestia żydowska.

Z wyjątkiem *Roli*, która systematycznie nękała Żydów, rozumie się, bez skutku, prasa na ogół zachowuje się wobec nich obojętnie. Tylko, od czasu do czasu, dzięki jakiemuś nie-taktowi ze strony Żydów, w tej lnb owej gązecie następuje wybuch. Wtedy przypominamy sobie żydowski separatyzm, żargon podobny do niemczyzny, polityczne operacje Żydów w Poznańskim i na Litwie, potrącamy o lichwę, handel kobietami i tym podobne grzechy śmiertelne i powszednie i—upominamy Żydów, aby się poprawili. Ponieważ jednak zapominamy wyznaczyć terminu owej poprawy, a i sami nie dajemy przykładu, więc wszystko zostaje po dawnemu, aż do następnego wybuchu.

Ze swej strony Żydzi, gdy już uspokoiły się papierowe gniewy, lubią wysłać do chrześcian ambasadorów celem zasięgnięcia języka o następujących kwestiach: 1-mo. Czy Polacy będą głosowali za dopuszczeniem Żydów do rad miejskich w stosunku ich zaludnienia? 2-do. Czy kooperatywy zniżywane przez chrześcijan nie zaszkodzą ludności żydowskiej? Nie przychodzi im do głowy, że Polacy sami ulegają ograniczeniom nawet silniejszym w niektórych sprawach, aniżeli Żydzi, i że—kto dla siebie żąda równouprawnienia ze strony Polaków, ten chyba powinienby przyznać i ze swej strony równouprawnienie Polakom. Ale o tem separatystyczny ogół żydowski nie myśli.

Zdaje się, że Renan powiedział: dobry Żyd należy do najlepszych wśród ludzi; zły—prześciga najgorszych.

Zobaczmy najpierw—dobrych, poznajmy zalety żydowskie, które może każdy sprawdzić osobistym doświadczeniem, lecz, niestety! nie każdy chce fatygować się podobnymi drobiazgami.

A więc spotykamy wśród Żydów ogromną ruchliwość, bardzo często nadzwyczajną pracowitość; dalej—cierpliwość, wytrwałość, kontentowanie się małym zyskiem, punktualność, szczególnie w interesach pieniężnych, zapał, przedsiębiorczość, szybkie oryentowanie się w sytuacji, spostrzegawczość, znajomość czytania, pisanie i rachunków. Obok tego silne uczucia rodzinne i narodowe żydowskie, pobożność, wrażliwe współczucie, litość dla nieszczęśliwych. Nie mniej zasługuje na uwagę ich wstrzeźliwość (kto widywał Żydów pijanych?) i poczucie godności. Żebraków żydowskich prawie nie spotykamy, a znam wypadki, że Żyd czy Żydówka, bardzo ubodzy, nie chcieli przyjąć datku...

Nareszcie między Żydami już ucywilizowanymi, trafiają się ludzie niepospolitych zdolności. Miewają oni poglądy ogarniające wiele kwestii, rozumieją najwyższe ideały i umieją głęboko sięgać w duszę ludzką. Nie zapominajmy wreszcie, że Żydzi (aczkolwiek nie ci, na których patrzymy!) są twórcami Starego i Nowego Testamentu, że pewna liczba ich uwieczniła się w historii cywilizacji i że dwaj Żydzi: Marx i Lassal należą do twórców potężnego dziś ruchu socjalistycznego.

Oto zalety Żydów, z których nawet nie wszystkie wymienię. Z kolei zobaczmy te ich cechy, które dla innych społeczeństw są niewygodne, jeżeli nie wręcz szkodliwe. Taką cechą zasadniczą, taką przyczyną wszystkich zatargów między innymi narodami a Żydami jest—ich kamienny egoizm nacjonalistyczny. Żydzi znają przykazanie: kochaj bliźniego, i boją się czy nie praktykują go lepiej, aniżeli chrześcijanie, lecz dla ogromnej większości, ich „bliźnim” jest prą dewszystkiem albo nawet i—tylko—współwyznawca... Zresztą wołę w tem miejscu zacytować słowa Żyda, co prawda, jednej z najpiękniejszych postaci ogólnie ludzkich...

„Ze przez lat tyle, rozruceni po utracie niezależności państwowej, przetrwali, nic w tem dziwnego, ponieważ od wszystkich narodów tak dalece się odłączyli, że jedynie nienawiść wszystkich na siebie ściągnęli i to nie tylko przez sposób życia, zupełnie odmienny od sposobu życia innych narodów, ale i przez znak obrzezania, którego się ściśle przymają. Że nienawiść narodów wielce ich podtrzymuje, doświadczenie uczy... Jeżeli podstawy religii ducha ich nie zmiękczą, to zupełnie wierzyłbym, że oni, kiedykolwiek, korzystając z okoliczności, rzeczy bowiem ludzkie są tak zmienne, swoje państwo jeszcze raz odbudują”... (*Spinoza*, przez Ignacego Radlińskiego).

Niewiem, azali Żydzi wybudują kiedy państwo terytoryalne, to wszakże jest pewnem, że i dziś i oddawna tworzą oni państwo duchowe, którego granicami są przepisy religijne, a którego spistość wewnętrzna jest bodaj czy najsilniejsza ze wszystkich, jakie znamy w historii. Dla społeczeństwa żydowskiego trudno znaleźć nazwiska. Czem ono jest?... narodem, kastą, zakonem?... Ale organizacja istnieje i wyróżnia się np. wśród nas

językiem, odzieżą, mieszkaniem, żywnością, widokami politycznymi i mnóstwem innych cech, które Żyd prawowitny (a tworzą oni przynajmniej 95 proc. ogółu), pielęgnuje z całą świadomością celów i skutków. Ghetta, czyli krańcowej odrębności żydowskiej, nie stworzyli chrześcijanie: ona jest samodzielnym i dobrowolnym utworem Żydów.

Wobec tej silnej organizacji, odznaczającej się energią, inteligencją, przebiegłością i wytrwałością, nasze uspołecznienie wygląda niby mokra glina, którą można mięsać, krajać, dziurawić, nawet wyrzucić. Żydzi zdobyli u nas handel wewnętrzny, zagraniczny i przewozowy; opanowują nieruchomości miejskie; biorą się do rzemiosł i tylko patrzeć, jak będą wykupywali majątki ziemskie. No, a w rezultacie, co się z nami stanie?... W zamian za równouprawnienie w Królestwie, które tylko sankcjonował Wielopolski, ale przyznał im cały naród, pod wpływem serdecznego entuzjazmu, w zamian za równouprawnienie—cóż otrzymaliśmy od Żydów? Trochę inaczej ubierają się dziś, aniżeli przed pół wiekiem, ponieważ... rząd obcinał im pejsy i średniowieczne chałaty. Ale nawet żargonu (który przypominam im, że zostali z Niemiec wypędzeni), nie tylko nie zastąpili językiem polskim, lecz (przynajmniej niektóre ich partye), zamieniają go na czysty język niemiecki.

Stosunek niektórych grup żydowskich do Polaków jest nie tylko niegodziwy, ale wprost—nieprzyzwoity. Prawie w tej samej chwili, kiedy liberałowie żydowscy drwiącym tonem w imię rycerskości, żądają od Polaków, aby głosowali za zupełnym równouprawnieniem Żydów w radach miejskich, w tej samej chwili „litwacy” odgrywają rolę rasyfikatorów u nas, nawet obrażają nas, a Żydzi poznawszy wręcz głoszą, że zawsze walczyli przeciw Polakom w interesie Niemców... No i naturalnie upominają się o łapówkę.

Dla zupełności tego ohydneho obrazu, niektóre partye czy grupy Żydów nie cofają się przed pogroźkami, a nawet czynami. Polskim sklepom kooperatywnym Żydzi nie chcą wynajmować mieszkań w swoich domach; młynarze Żydzi roszczą pretensje wyłącznego prawa dzierżawienia wszystkich młynów w kraju; inni domagają się, ażeby muzykantów Żydów koniecznaie przyjmowano do orkiestr polskich i t. d.

Mie będę mnożył przykładów. Na Żydach sprawdza się starożytny aforyzm: „pojedynczy senatorowie, dobrzy ludzie, cały senat—zły bydlę”.

Organizacja żydowska ta, jaką widzimy w naszym kraju, jest zacofana i nie zasługuje na szanpatę umysłów szczerze liberalnych. Już wspominałem, że istnieją trzy stopnie uspołecznienia: życzliwość dla narodu i życzliwość dla cywilizacji. Otóż Żydzi prawowitni u nas znają tylko jedną formę uspołecznienia: swoją narodowość; lekceważą zaś prawa jednostki (choćby co do przechodzenia na inne wyznanie), lekceważą sąsiadów i, używając łagodnego wyrazu—nie tolerują cywilizacji. Takie stanowisko niema przyszłości; taki tryb życia społecznego możliwy jest tylko wśród polskiej gliny czyli polskiego masła.

O sprawie żydowskiej możnaby pisać tomy; w niniejszym szkicu jest ona zaledwie dotknięta. Pominąłem np. kwestję Żydów asymilowanych, czyli takich, którzy, niezmieniając wyznania, przyjęli cywilizację i są lub stają się Polakami. Ponieważ między „nimi” a „nam” nie uznają żadnej różnicy, więc nie będę wypisywał pustych czułości, lecz zapytam:

—Prawda, jesteście dobrymi współobywatelami, jesteście naszymi braćmi. Ale powiedzcie: mieliście kiedy powód żałować waszego stanowiska? Czy obrażaliście kiedy wasze wyznanie, czy lekceważyliście wasze dzieje żalosne, czy gasiliście wasze zdolności, czy odmawialiście praw, jakie sami posiadamy, czy jak najgłośniej nie uznawaliśmy waszych zasług społecznych?

Wracam do Żydów nieprzejednanych. Narzekają oni na upośledzenie. To prawda, oni są upośledzeni w państwie, ale nie wobec nas, Polaków. Wobec nas posiadają oni przywileje, o których ciągle się zapomina. 1-mo. Mają swój samorząd gminny, do którego nigdy nie mieszal się żaden Polak. 2-do. Posiadali i posiadają mnóstwo, ale to mnóstwo stowarzyszeń ekonomicznych, filantropijnych, oświatowych. 3-io. Prawie każdy Żyd umie czytać, pisać i rachować, dzięki szkółkom elementarnym, które Żydzi w swoim języku mają, a jakich nam mieć nic wolno. 4-to. W razie konkurencyj z chrześcijanami nie robią sobie ceremonii t. j. nie dopuszczają do współzawodnictwa, bojkotują, doprowadzają do bankructwa i jeszcze w niebogłosy narzekają na ucisk!

Innymi słowy, w wyścigu o dobrobyt, dzięki zakazom, które spadały na nas, a nie dotyczyły ich, Żydzi mieli i mają ogromną przewagę. To też, jak dziś prawie cały handel, całe płynne bogactwo narodu, znajduje się w ich rękach.

—Mimo to wszystko—zarzuca mi—Żydzi w tym kraju są bardzo nieszczęśliwi, cierpią nędzę...

Prawda. Mnóstwo Żydów nie wie :za-

na, czem nakarmi siebie i swoje nieszczęśliwe dzieci w posiadają, nędza popycha ich do występków, nawet haniebnych i niebezpiecznych, ale... co myśły temu winni? Żydów jest u nas stanowczo za wiele, pięć albo i dziesięć razy za wiele i, z tego powodu, nie tylko oni, ale i my jesteśmy udrczeni. Prawda, że narodowi wydziedziczonemu, jak Żydzi, należy się gościność. Gdzie przyjdą, niech mają pracę ebiebodajną, niech robią majątki, niech wreszcie pielęgnują swój separatyzm narodowy, ale—niech ich będzie mniej, niech ich będzie tyłu, ilu naród może udźwignąć bez złamania się. Wszakże chyba nie tylko my mamy obowiązek spełniać cnoty chrześcijańskie: podróżnego w dom przyjąć, głodnego nakarmić i t. d.

Staralem się wyraźnie przedstawić niebezpieczne strony żydowskiego uspołecznienia, opartego na „egoizmie narodowym”. Mimo to nigdy nie zalecałbym jakichkolwiek praw wyjątkowych przeciw Żydom; albowiem biada narodowi, którego rozwój domaga się przywilejów dla niego, a ograniczeń dla współzawodników! Ograniczenie nie tylko hamuje—ono także hartuje; przywilej nie tylko ułatwia życie—on także osłabia. Prędzej czy później, ograniczenia z jednej a przywileje z drugiej strony muszą upaść, a wówczas okaże się, że naród, wychowany w cieplarni nie wytrzyma współzawodnictwa z tym, który wzrastał o głodzie i chłodzie, który cierpiał ucisk, doznawał nieustanych przeszkód a mimo to, wszelkie swoje potrzeby musiał zaspakając sam, własnym rozumem i własnym wysiłkiem. Dla przyszłości narodu nieomal bezpieczniejszem jest prawo wyjątkowe, aniżeli przywilej. To też bardzo wątpię, ażeby naprzykład pruski rząd doczekał zbyt wielkiej pociechy ze swoich kolonistów, takim nakładem osadzanych w Poznańskim. Ludzie ci, w ciągu kilku pokoleń, w najlepszym razie staną się Polakami, w najgorszym—zgałganieją.

A teraz zobaczmy: w jaki to sposób my zachowujemy się wobec kwestii żydowskiej? W tym celu postawmy sobie jedno możliwie najprostsze, oślepiające jasne pytanie: czy my kiedy-





MODLITWA (z wystawy specjalnej w Salonie T. Z. S. P.)

LEOPOLD PILICHOWSKI

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

V.

Prędzej czy później, ograniczenia z jednej, a przywileje z drugiej strony muszą upaść, a wówczas okaże się, że naród, wychowany w cieplarni, nie wytrzyma współzawodnictwa z tym, który wzrastał o głódzie i chłódzie, który cierpiał ucisk, doznawał nieustannych przeszkód, a mimo to wszelkie swoje potrzeby musiał zaspokajać sam, własnym rozumem i własnym wysiłkiem. Dla przyszłości narodu nieomal bezpieczniejsze jest prawo wyjątkowe, aniżeli przywilej. To też bardzo wątpię, ażeby naprzykład pruski rząd doczekał zbyt wielkiej pociechy ze swoich kolonistów, takim nakładem osadzanych w Poznańskiem. Ludzie ci w ciągu kilku pokoleń w najlepszym razie staną się Polakami, w najgorszym—zgałanieją.

A teraz zobaczmy: w jaki sposób my zachowujemy się wobec kwestyi żydowskiej. W tym celu postawmy sobie jedno możliwie najprostsze, oślepiająco jasne pytanie: czy my kiedykolwiek staraliśmy się bliżej poznać Żydków?... Czy mamy, choćby ze streszczeń wyobrażenie o tem, czem naprawdę jest Talmud?

Czy wiemy, co mówią ich książki i teatry, jakie strumienie idei krążą po ich czasopismach, liczących *kilka razy więcej* nabywców i czytelników, aniżeli nasze? Czy znamy ich partye i liczebne stosunki takowych? Czy potrafimy odróżnić w t. zw. chałatowym Żydzie, kto jest naszym przyjacielem, a kto nieprzejednanym wrogiem polskości? Czy znamy ich życie domowe, zajęcia, rozrywki, ideały boleści i radości, sympatye i antypatye?...

Drugie pytanie: w jaki sposób oddziaływaliśmy na sprawę żydowską? Prawda, że nigdy nie narzucaliśmy się im z naszą narodowością, wyznaniem, ani mową, co uważam za dobre, gdyż narodowość nie jest sklepieniem, do którego na gwałt wciąga się za polę przechodniów. Ale czy umieliśmy przygarbiać tych Żydów, którzy sami rwali się do cywilizacji, a może i do naszej narodowości, za co tłum żydowski ośmieszał ich i prześladował?... Czy w epoce, gdy rząd począł rozmyślać o wypędzeniu wielu tysięcy Żydów z Wielkorosyi, czyniliśmy jakiegokolwiek starania, ażeby uchronić i nasze społeczeństwo, i Żydów. i państwo rosyjskie od skutków podobnego błędu?... Bo przecież Żydzi, rozlani równomiernie po całej Rosyi, tworzyliby materjał dla społeczeństwa użyteczny; *kułak* wielkorosyjski ma być znacznie gorszym lichwiarzem i wyzyskiwaczem, aniżeli tego samego gatunku specjaliści żydowscy. Ale nagromadzenie Żydów w jednej prowincyi państwa przypomina tratwę, na której jakąś gromadę

podróżnych spędzonoby do jednego kąta, zamiast rozdzielić ich proporcjonalnie na całej powierzchni. No, ale to nie należy do nas; przeznaczenie prowadzi Rosyę po jej własnych drogach.

A nareszcie spojrzymy na najboleśniej-szy punkt w sprawie żydowskiej, na największe zło, któremu oni—podkreślam to—są mniej winni od nas. Dwie dziedziny pracy społecznej—handel, będący niby systemem krwioobiegowym, i przemysł, pełniący rolę żołądka, dobrowolnie oddaliśmy Żydom, którzy zawsze uważali się za obcych, a niejednokrotnie przeciwstawiali się naszemu narodowemu interesom. Cóż to za straszna ironia losu! nie tylko dźwigać łańcuchy, ale jeszcze mieć cudzy żołądek i cudzy system krwioobiegowy, który, od czasu do czasu, odzywa się:

— Ja nie jestem wasz!... ja jestem prawdziwy Rosyanin... prawdziwy Niemiec... prawdziwy Rusin!... Ja wreszcie jestem prawdziwy Żyd!...

A przecież do handlu i przemysłu mieliśmy wybornych nauczycieli Niemców, którzy nie tylko lepiej, aniżeli Żydzi, znają się na sprawach ekonomicznych, ale jeszcze w drugim lub trzecim pokoleniu stawali się Polakami i dostarczali przepięknych sił naszemu narodowi. Czy to nie znaczy (nie chcę wyrokować), że Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi ideowo i imieniowo są nam nieskończenie bliżsi, aniżeli Żydzi?

To kopnięcie przez nas spraw ekono-



micznych, to lekkomyślne odsunięcie się narodu od najpłodniejszych dziedzin pracy nowożytnej, obok jednoczesnego marnowania pieniędzy nie tylko na zabójcze dla nas wojny, ale jeszcze na konie wyścigowe, karty, jałowe podróże, na wszelkiego rodzaju zbytki i rozpustę, jest jednym z najcięższych grzechów narodowych, za które dziś zła dola pastwi się nad nami.

Lecz powtarzam: mimo wszystkie niedogodności z Żydów nie zalecałbym jakichś specjalnych ograniczeń. Nasza solidarność narodowa i przestrzeganie kodeksu karnego aż nadto powinnyby wystarczyć.

— A więc—zawoła czytelnik—jakże bez ograniczeń potrafimy dać sobie radę z Żydami, my, dławieni i sami na wszelkie sposoby ograniczani? Z Żydami, którzy nas zalewają i już zaczynają grać rolę gospodarzy, ba!... nawet panów... zdobywców...

Wiem, że nas dusi ucisk z zewnątrz, że nas osłabia obcy i niechętny żywioł wewnątrz; ale tak wierzę w nieśpożyte, w nieśmiertelne siły naszego narodu, że w nich, a nie w jakichś prawach wyjątkowych, widzę warunki bezpieczeństwa. Co nam pożałoby ucisk, co dodałoby przywileje, gdybyśmy sami potrafili tworzyć naszą pomyślność, sami budować swoje losy, choćby w najtrudniejszym położeniu?

Cofnijmy się myślą o jakiś dziesiątek tysięcy lat i przedstawmy sobie ludność dzisiejszej Francji albo Anglii, ludność bez dachu, bez żywności, bez narzędzi, otoczoną ze wszech stron dwu i czworonożnymi, śmiertelnymi wrogami. Komuż było trudniej żyć na świecie: nam czy im?... Po milion razy im... Żaden, choćby najgorszy nędzarz naszych czasów nie jest tak nieszczęśliwy, tak zagrożony, tak pozbawiony wszelkich widoków na przyszłość, jak byli oni. Mimo to zwyciężyli prawie nadludzkie przeszkody a na ich grobach wyrósł dzisiejszy dobrobyt, wolność, cudowne postępy nauk i techniki.

Miejmy tylko energię i nie popełniajmy politycznych i społecznych błędów, a i nasza niedola zamieni się na chwałę. Sposoby zaś, do tego celu wiodące, są bardzo proste, znane od wieków: *mądrość, praca i cnota*, ale wielka mądrość, wielka praca i wielka cnota. I dopiero, gdybyśmy posiadli w pełni te trzy czarodziejskie lampy Aladyna, dopiero wówczas moglibyśmy powtórzyć za naszymi braćmi ewangelikami: „Tu stoje, inaczej nie chcę i nie potrafię, tak mi, Boże, dopomóż”. Kto łaskaw, niech trzyma z nami, kto nie łaskaw, niech nie liczy na naszą sympatię.

Potrąciwszy nader pobieżnie o kwestię żydowską, przechodzę do innej, jeszcze drażliwszej, jeszcze boleśniej. I znowu przypominam, że będę mówił o tyco sprawach nie jako oskarżyciel, albo sędzia, pozujący na nieomylność, ale—jak brat współcierpiący i współwinny. Wszyscy jesteśmy grzeszni, a dokładniej—wszyscy jesteśmy zahypnotyzowani; kto więc sam ocknął się choćby częściowo, ma obowiązek wołać na swoich: wstawajmy, czas do roboty!...

Nasze egzaminy z patriotyzmu należą do najcięższych, jakie zdawały kiedykolwiek narody. Gdyby zebrać w jedno miejsce krew, wylaną przez Polaków za wolność, może powstałoby drugie Gopło; gdyby zgromadzić kości tych, co polegali w bojach, na szubienicach,



ZADOK KHAN GŁOWA RABINATU FRANCJI I ALGERU L. PILCHOWSKI

w katogach, na osiedleniach i wszelkiego rodzaju tułactwach, może usypałby się drugi Wawel. Lecz... jakież z tego pożytek? Niemal... i nawet nie może być, gdyż polski patriotyzm składa się z wybuchów, namiętnych, gwałtownych wybuchów uczucia, którego niestety! nie oświecił rozum i nie przerodził go w akty twórczej woli.

Twórcza wola nie miota się niaoślę, by po chwili zasnąć, ale obrachowuje, wyczekuje, korzysta z okoliczności, czyli—działa systematycznie, a wytrwale.

Prawdziwy, normalny, patriotyzm to niby orzek: uczucia są jego piersią, wola skrzydłami i szponami, mądrość—głową. Nasz zaś, nie-normalny patriotyzm ma wprawdzie szeroką pierś, ale brak mu głowy i skrzydeł... Skutkiem czego naród nasz nie jest jak owi purytanie, co to mężnie szli w nieznana przyszłość, ażeby zbudować nową, wolną i potężną ojczyznę, ale jest jak dziecko, które z rozpaczą wyciąga ręce do odsuwającej się matki—przeszłości.

Czy to, co powiedziałem, ma zachęcać naród do zbiorowej emigracji, albo do możliwego wyparcia się swej indywidualności na rzecz jakiegoś większego i tymczasem szczęśliwszego organizmu?... Ani myślę o tem. Naród liczny i zasiedziały, jak nasz, choćby chciał, nie potrafi oderwać się od swej ziemi; gdyby zaś przez głupotę czy nikczemność zapragnął wyprzeć się samego siebie, zdobyłby tylko pogardę i jeszcze większą nieufność, większy ucisk. Pod wyrazami „iść w przyszłość”, jak purytanie, rozumiem, że my jesteśmy wygnanymi na naszej własnej ziemi i że wśród zupełnie nowych a bardzo ciężkich warunków musimy stwarzać sobie bezpieczne istnienie i możliwość wszechstronnego rozwoju.

Nie płakać i wzdychać za przeszłością, która się co godzinę oddala, nie marzyć o walce bez sił, albo o wskrzeszeniu tego, co umarło, ale brać się do pracy mądrej i płodnej, która zapewniałaby nam życie i postęp. Nie

bohaterów wojskowych czy spiskowych nam potrzeba, ale bohaterskich charakterów, które nie tylko same potrafiłyby wydrzeć się z dzisiejszego błota wszech-europejskiego, ale jeszcze — porwać za sobą naród i wznieść go ponad lenistwo, nędzę, ciemnotę, wyzyski, partyjne nienawiści aż do tych idealnych wyżyn, gdzie króluje doskonałość, a umiarkowane-szczęście jest nagrodą użytecznej pracy.

Jak dalece wybujała w nas uczuciowość, nieomal z zapomnieniem o innych władzach duszy, dowodem—już nie tylko popularność, nie tylko cześć, ale wprost—ubóstwianie poezji... Nie dość, że poetów odczytujemy z namaszczeniem, nie dość, że poświęcamy im dziesiątki tomów komentarzy, nie dość, że wynosimy ich ponad ludzi czynu i wiedzy. Jeszcze składamy im hołdy na specjalnych uroczystościach, mianujemy ich prorokami, ba! nawet świętymi...

Niema kwestii, że poezja należy do najpiękniejszych form objawiania się ducha ludzkiego. Umie ona być malarstwem, rzeźbą, muzyką; bywa też niekiedy puhaem, w którym kipią najpiękniejsze, najszlachetniejsze uczucia. Zanim jednak poezję awansujemy na prorokinią, na przewodniczkę narodu, trzeba pierwszej sumiennie zbadać, czy między przepięknymi klejnotami tej skarbnicy naprawdę znajduje się skromna igielka magnesowa, która wskaże narodowi nowe i bezpieczne drogi do szczęśliwego jutra?

Poezja to niby tęcza, unosząca się nad falami życia, lecz owe fale mają innych działaczy i kierowników. Wprawdzie, co jest naszym nieszczęściem, posiadamy zaledwie jedną osobistość miary wszechświatowej—Kopernika, lecz obok niego są mężowie, są pracownicy, którzy wiedli naród do cywilizacji, a których prawie zapominamy. Gdzież bowiem uroczystości na cześć Stasziców i Śniadeckich? Gdzie komentarze do Szujskich i Kalinków? gdzie życiorysy: Sztenkiellera, jednego z ojców przemysłu, Działyńskiego, założyciela biblioteki matematycznej, Girsztowta, założyciela biblioteki medycznej, Kronenberga Leopolda, twórcy banku i pierwszej szkoły handlowej, Chałubińskiego bodaj czy nie ojca szkoły polskich lekarzy, Kronenberga Stanisława, założyciela Kasy Miannowskiego i przytułków położniczych, Wawelberga, inicjatora Tanich mieszkań, współzałożyciela pierwszej szkoły technicznej, Wiemanowej filantropki, Prószyńskiego, jednego z twórców elementarza. Wziąłem na chybił trafił kilka nazwisk osób zmarłych, ażeby pokazać, że naszemu społeczeństwu dzieje się krzywda, gdy każemy, aby tylko poetom składało hołdy, a zapominemy o rolnikach, technikach, przemysłowcach, uczonych, nauczycielach i wszelkiego rodzaju działaczach, dzięki którym naród istnieje i, choć powoli, lecz posuwa się naprzód.

Prawie to samo dzieje się z wielkimi wypadkami naszej historii. Przecież moglibyśmy wspominać daty założenia wszechnicy jagiellońskiej, uniwersytetu wileńskiego, szkoły głównej warszawskiej, moglibyśmy czcić pamiątkę działalności Komisji edukacyjnej, nie-jeden wysiłek z epoki Księstwa Warszawskiego i królestwa kongresowego. Tymczasem my o tych rzeczach zapominamy, aby natychmiast jak najhucniej obchodzić rocznicę np. bitwy pod Grunwaldem!...

(DCN)



1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

1901
1902
1903
1904
1905
1906
1907
1908
1909
1910
1911
1912
1913
1914
1915
1916
1917
1918
1919
1920
1921
1922
1923
1924
1925
1926
1927
1928
1929
1930
1931
1932
1933
1934
1935
1936
1937
1938
1939
1940
1941
1942
1943
1944
1945
1946
1947
1948
1949
1950
1951
1952
1953
1954
1955
1956
1957
1958
1959
1960
1961
1962
1963
1964
1965
1966
1967
1968
1969
1970
1971
1972
1973
1974
1975
1976
1977
1978
1979
1980
1981
1982
1983
1984
1985
1986
1987
1988
1989
1990
1991
1992
1993
1994
1995
1996
1997
1998
1999
2000

2001
2002
2003
2004
2005
2006
2007
2008
2009
2010
2011
2012
2013
2014
2015
2016
2017
2018
2019
2020
2021
2022
2023
2024
2025
2026
2027
2028
2029
2030
2031
2032
2033
2034
2035
2036
2037
2038
2039
2040
2041
2042
2043
2044
2045
2046
2047
2048
2049
2050
2051
2052
2053
2054
2055
2056
2057
2058
2059
2060
2061
2062
2063
2064
2065
2066
2067
2068
2069
2070
2071
2072
2073
2074
2075
2076
2077
2078
2079
2080
2081
2082
2083
2084
2085
2086
2087
2088
2089
2090
2091
2092
2093
2094
2095
2096
2097
2098
2099
2100

2101
2102
2103
2104
2105
2106
2107
2108
2109
2110
2111
2112
2113
2114
2115
2116
2117
2118
2119
2120
2121
2122
2123
2124
2125
2126
2127
2128
2129
2130
2131
2132
2133
2134
2135
2136
2137
2138
2139
2140
2141
2142
2143
2144
2145
2146
2147
2148
2149
2150
2151
2152
2153
2154
2155
2156
2157
2158
2159
2160
2161
2162
2163
2164
2165
2166
2167
2168
2169
2170
2171
2172
2173
2174
2175
2176
2177
2178
2179
2180
2181
2182
2183
2184
2185
2186
2187
2188
2189
2190
2191
2192
2193
2194
2195
2196
2197
2198
2199
2200

2201
2202
2203
2204
2205
2206
2207
2208
2209
2210
2211
2212
2213
2214
2215
2216
2217
2218
2219
2220
2221
2222
2223
2224
2225
2226
2227
2228
2229
2230
2231
2232
2233
2234
2235
2236
2237
2238
2239
2240
2241
2242
2243
2244
2245
2246
2247
2248
2249
2250
2251
2252
2253
2254
2255
2256
2257
2258
2259
2260
2261
2262
2263
2264
2265
2266
2267
2268
2269
2270
2271
2272
2273
2274
2275
2276
2277
2278
2279
2280
2281
2282
2283
2284
2285
2286
2287
2288
2289
2290
2291
2292
2293
2294
2295
2296
2297
2298
2299
2300



znamy samych siebie, nasz naród i cywilizację? W Zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych, z pewnem przybliżeniem, jest wiadoma średnia długość życia ludzkiego, chorobliwość, siły muskularne ludności, a dalej: choroby umysłowe, przestępczość, zamożność, pokarmy, mieszkania i t. d. I jeszcze więcej—dziś bowiem istnieją rozległe badania nad młodzią szkolną, pod względem dokładności zmysłów, pamięci, uwagi, szybkości myślenia, co u nas dopiero zaczyna się dzięki usłuwaniom pp. Dawida, Szycówny, Stefanowskiej i może jeszcze kilku innych czcigodnych badaczy i badaczek.

Krótko mówiąc, nasza świadomość narodowa jest bardzo nie rozwinięta, gdyż brakuje nam naprzód—porządnej statystyki społecznej, powtóre—rozległych badań psycho-fizyologicznych nad jednostkami. Igdyby nam kto zarzucił: wy, Polacy, upadacie nie tylko pod względem ekonomicznym i oświatowym, ale nawet fizyologicznie i umysłowo—nie umielibyśmy ani zwalczyć tego sądu, ani go potwierdzić.

Nie lepiej stoimy pod innymi względami. Nie posiadamy naprzykład popularnej historii cywilizacji, nie cieszy się u nas poczytnością taka niezmiernie ważna nauka, jak etyka, nie zajmujemy się socjologią. Słusznie woła p. I. K. Dworzaczek: „Nauki społeczne w niepojętem znajdują się u nas zaniedbanie!”... (*Zagadnienia społeczne*). Naprawdę w wielkiem zaniedbanie, pomimo że coraz częściej spotykamy w pismach artykuły, poruszające kwestie społeczne...

Taki mniej więcej jest obraz naszych wiadomości o nas samych i o cywilizacji; nie o wiele lepsza jest praca w tej sferze zjawisk.

Fundamentem wszelkiej działalności obywatelskiej jest—*wychowanie*, które polega nie na nauczaniu się języków, matematyki, muzyki, ale na wytwarzaniu charakterów.

Mówimy o człowieku, że ma dobry charakter, jeżeli 1-mo posiada wolę, i 2-do jeżeli ta wola działa pod kierunkiem ideałów, według uczciwych zasad. Energia, rozsądek, panowanie nad sobą, sprawiedliwość, prawdomówność, odwaga nie tylko w mowie, nie tylko wobec przykrości i niebezpieczeństw, ale jeszcze odwaga w uczuciach i myślach... oto cechy dobrego charakteru. Dobry charakter w społeczeństwie jest niby zdrowa belka lub dobrze wypalona cegła w budowni. Społeczeństwa żyją i rozwijają się tylko dzięki dobremu i wielkiemu charakterom, a giną skutkiem przewagi złych...

Otóż, w naszym narodzie spotykamy zjawisko niesłychanie smutne, poprostu przerażające: brak wychowania. Pracujemy po kilka godzin dziennie nad fortepianem, bardzo starannie uczymy się tańcować, jeździć konno, ślizgać się, szyć obuwie i odzież, wyrabiać sprzęty i zamki. I rozumiemy, że na zdobycie tych wpraw trzeba poświęcić dużo sił, czasu, uwagi, dobrych chęci i t. p. Natomiast, gdy chodzi o wyrobienie charakterów, nie uczymy się niczego, nie wykonywamy żadnych ćwiczeń, a spotkawszy jakiś traktat etyczny, niechętnie odsuwamy go na bok, mówiąc:

— Już minęły czasy nudnych morałów i praktyk ascetycznych!...



DRUCIARCZYK

A. KĘDZIERSKI

O ukochana młodzieży polska! mów sobie, co chcesz, stosuj się do sezonowej mody, drwij ze starych zacofańców, ale—szanuj moralność i nie żartuj z tak zwanego ascetyzmu, czyli z panowania nad sobą. Naród bowiem, który wyparłby się etyki, byłby próchnym, a naród, którego obywatele nie umieliby panować nad sobą, nieodwołalnie stałby się musiał cudzym niewolnikiem.

Niektórzy sądzą, że wprawę, ćwiczenia etyczne, można zastąpić oświatą. Jest to taki sam błąd, jak gdybyśmy np. wyobrażali sobie, że oświetlenie fabryki elektrycznością może zastąpić kotły, maszyny parowe i mechanizmy wykonawcze. Wola ma swoje oddzielne sprzężyny, dźwignie i tryby, które muszą się wygłazdać i dopasowywać zapomocą pracy specjalnej, do czego nie wystarczy sama oświata, czyli zdobycie wiadomości choćby najobfitszych i najlepiej wybranych.

— Czy jednak można wyrobić w sobie charakter? — zapyta czytelnik. — Czy człowiek nie jest mechanizmem, który od urodzenia do śmierci musi postępować tak, a nie inaczej, najczęściej głupio i szkodliwie?...

Wiara w fatalizm jest takim przesądem, jak inne. Człowiek normalny posiada bez porównania więcej skłonności do dobrych, aniżeli złych, może więc je rozbudzić, wykształcić, wzmocnić, czyli urobić sobie charakter. Psychologia i pedagogika nowoczesna podają nawet użyteczne w tym kierunku przepisy. Chcesz dobrze postępować, wypracuj w sobie odpowiadnie nałogi. Wyrobisz zaś w sobie nałogi, jeżeli będziesz o nich myślał, gdy je pokochasz, będziesz ich pragnął, będziesz o nich rozmawiał, będziesz się przypatrywał czynom odpowiednim, a nade wszystko—gdy będziesz wprawiał się, gimnastykował wolę w pożądanym kierunku.



Rozumny, dzielny i szlachetny charakter jest błogosławioną zaletą człowieka, a największym bogactwem narodu.

Tyle o obowiązkach jednostki. Co do społeczeństwa—należy usilnie starać się o pomnażanie w niem zajęć użytecznych. Trzeba, ażebyśmy wszystko i wszystko umieli wyrabiać w kraju, ażebyśmy wszystko mieli w kraju, począwszy od obfitości chleba, o odzieży, opału i mieszkań, kończąc na uczonych, artystach i filozofach. I jeszcze trzeba, ażeby ludzie, należący do rozmaitych specjalności, nie tylko stykali się ze sobą, ale i pomagali sobie. „Jeden za wszystkich—wszyscy za jednego”, takie powinno być nasze hasło. Co jednak nie znaczy, ażebyśmy mieli np. bronić przed policją złodziei i rozbójników, albo przenosić hultaja

byle Polaka nad uczciwego cudzoziemca. Aż tak daleko nie wolno posuwać narodowej solidarności.

Bardzo ważny jest stosunek narodu do cywilizacji wogóle, który u nas wiele, niestety! pozostawia do życzenia. Mnóstwo ludzi wyjeżdża od nas co rok zagranicę, lecz niewiele pożytku przywozi stamtąd. Chwalą teatry, kabarety, niekiedy domy gry, ale nie widzą tamtejszej schludności, uprzejmości, dobrobytu, oświaty, pracowitości i t. p.

I znów z bólem serca muszę wspomnieć o młodzieży naszej. Ona z zagranicy powinna by przynosić nam nie tylko naukę, lecz i inne promyki cywilizacji, z których z czasem utworzyłoby się wielkie światło. Na nieszczęście nasi młodzi podróżnicy nie tylko nie nadsyłają swoich spostrzeżeń nad cywilizacją, ale zdają się to lekceważyć. Niemcy pijaki, Francuzi lekkoduchy, Szwajcarowie hotelarze... O, za pozwoleniem!... naprzód stańmy się nieco podobnymi do owych Szwajcarów, a dopiero później krytykujmy ich—*nota bene*—sprawiedliwie. Nic tak nie oburza, jak owe paniczkowski sady o narodach, wobec których jesteśmy maruderami.

Japończycy, gdy zwiedzali Europę i Stany Zjednoczone, mieli inny sposób podróżowania. Oni wszystko widzą, co jest dobre u obcych, wszystko notują, a wróciwszy do domu, stosują do swoich narodowych potrzeb. Ale Japończycy to nie my.

Zdaje się, że rozdział o wadliwościach naszego społeczeństwa najlepiej zakończę kilkoma aforyzmami:

„Złoty wiek rodu ludzkiego—mówi Saint-Simon—nie jest za nami, ale przed nami; polega on na doskonałości porządku społecznego. Nasi ojcowie nie widzieli go, dojdą tam dopiero nasze dzieci; naszym zaś obowiązkiem jest wyrównać im drogę do tej przyszłości”.

„Nauka socjalna—utrzymuje H. C. Carey—dostarcza mnóstwa nieocenionych wskazówek. Mówi ona narodom, że każde pogwałcenie cudzych praw osłabia ich zdolność bronięcia samych siebie; że wolność jest związana z taką różnorodnością zajęć, która daje pole działania wszystkim zdolnościom ludzkim; że wojny, głody i zarazy nie są skutkami błędów Stwórcy, ale rezultatem występków ludzkich; że natura pracuje powoli i bez hałasu, a człowiek powinien robić to samo i że wreszcie zasadniczym dogmatem, zarówno chrześcijaństwa, jak i nauki socjalnej, jest: rób innym to, co chcesz, aby tobie czynili”.



Religia. Niektórzy wyobrażają sobie, że źródłami religii są niedokładne obserwacje natury, marzenia senna, choroby nerwowe, oszustwa, bojaźń, a nareszeie stare księgi, jak: Biblia, Talmud, Koran i t. p. Gdy więc okaże się, że—na przykład—owe księgi nie godzą się z odkryciami nauk obserwacyjnych i doświadczalnych, gdy dowiedzie się, że księgi te nie były utworami osób, którym je przypisywano, albo że wiadomości w nich zawarte pochodzą z jakiejś starszej literatury, gdy to wszystko okaże się czarno na białem, wówczas religię można będzie traktować jako nerwową chorobę ludzkości i—pozbyć się jej jako rzeczy nieużytecznej, a nawet szkodliwej. Wszystko to są „naukowe” złudzenia.

William James, jeden ze znakomitych i trzeźwych psychologów współczesnych, a zatem człowiek nauki, w następujący sposób określa „najbardziej charakterystyczne wierzenia życia religijnego”:

1-mo. Świat widzialny jest tylko częścią świata niewidzialnego i duchowego i z niego czerpie całą swoją wartość. 2-do. Celem człowieka jest jaknajściślejsze połączenie się z owym światem niewidzialnym. 3-io. Modlitwa, czyli związek z ducem wszechświata, po- ciąga za sobą korzystne skutki, mianowicie wywołuje dopływ energii duchowej która może w bardzo wyraźny sposób oddziaływać tak na zjawiska duchowe, jak i materialne.

Oprócz tego „doświadczenie religijne” przedstawia jeszcze dwie cechy: 1-mo. Pod jego wpływem życie nabiera jakby nowego smaku, doznaje łaski, która wywołuje zapał liryczny, albo nastrój bohaterski. 2-do. Budzi się uczucie bezpieczeństwa, spokój wewnętrzny, objawiający się wylewami miłosierdzia”.

„Z punktu widzenia psychologicznego— pisze James—religia może odeprzeć ataki swoich przeciwników. Czy jest prawdziwa, czy fałszywa, czy zawiera lub nie zawiera pierwiastków umysłowych, w żadnym razie nie jest ona ani anachronizmem, ani przeżytkiem, ale odwieczną funkcją ducha ludzkiego”. Dzięki owym „doświadczeniom religijnym”, którym autor poświęcił lata badań i ogromny tom druku, dzięki owym doświadczeniom, nie jeden zroszczony odzyskał pogodę serca, bojaźliwy stał się odważnym, pijak i karciarz wyzwolił się swoich nałogów, gniewliwy łagodniał, mściwy zapominał o nienawiści. Więcej nawet, bo amerykański filantrop George Müller, człowiek ubogi, ale który w ciągu sześćdziesięciu ośmioletniej działalności dobroczynnej wydał 35 milionów franków na ratowanie bliźnich, zawsze rachował na skuteczność modlitwy i pomoc boską... „Bóg codziennie dostarcza nam potrzebnych pieniędzy”—mawiał.—Czy taki możliwy jest tylko w religijnym społeczeństwie.

Cóż jednak znaczy owe „doświadczenie religijne, o którym tyle mówi James. Jest to—przepraszam sceptyków—jest to objawienie się człowiekowi niewidzialnego, duchowego świata...

„W piątek wieczorem—opowiada niejaki J. R. Lowell—miałem objawienie. Gdy mówiłem, rozwinął się przede mną świat duchowy, jakgdyby wzniósł się z przepaści z całym majestatem przeznaczenia. Nigdy tak wyraźnie nie czułem Ducha Bożego w sobie i dokoła siebie. Cały pokój zdawał się być pełen Boga. Powietrze drżało obecnością jakiejś rzeczy Nieznanej”...

Inny mówi: „Nagle uczułem, jakgdybym wzniósł się po nad samego siebie, poznałem Boga, którego dobroć i potęga napełniły mnie. Nie mogąc utrzymać się na nogach, ustadłem na kamieniu i zaplałem... W mojej ekstazie Bóg nie miał formy, ani koloru, nie oddziaływał na żaden zmysł; czułem tylko, że cała moja osoba przekształciła się pod wpływem obecności Ducha. Bóg, choć niewidzialny i pod żaden zmysł nie podpadający, był jednak obecny: poznała Go moja świadomość”.

Inny eksperymentator. „Doświadczyłem chwilowo jakby zaniku mojej indywidualności, a jednocześnie poznałem daleko głębsze znaczenie życia, aniżeli to, do którego przywykłem. Znalazłem się w związku z Bogiem. Bez Boga świat byłby chaosem, nie mogę pojąć życia bez Jego obecności”.

I jeszcze parę zeznań. „Bóg otacza mnie niby atmosfera. Jest On bliższy mnie, aniżeli mój własny oddech. W Nim żyję, poruszam się, jestem”.

„Czuję, że unosi się nademną jakaś potężna i łagodna obecność. Niekiedy ogarnia mnie, jakby otaczała ramionami, ażeby mnie podtrzymać”.

Przytoczywszy mnóstwo dowodów, że są ludzie zdrowi i trzeźwi, uczciwi i energiczni, którym jednakże świat duchowy, niewidzialny, przedstawia się z taką wyrazistością, a nawet wyrazistiej aniżeli świat materialny, James wypowiada w pewnym miejscu niby wniosek ze swych spostrzeżeń: „Ależ ten świat niewidzialny jest nie tylko idealnym: on wywołuje skutki w świecie zmysłowym. Przez sam stosunek z niewidzialnością przekształca się nasze „ja” skończone, stajemy się ludźmi nowymi, a nasze odrodzenie zmienia całe nasze postępowanie, i, tym sposobem, odbija się w świecie materialnym. Jakże więc można odmówić nazwy realności temu, co wywołuje następstwa

realne? Jakim prawem filozofowie mogliby twierdzić, że świat niewidzialny jest nierealnym?” (William James, *L'expérience Religieuse*).

Zobaczmy, co mówi inny uczony, E. Boutroux, członek Instytutu, którego dzieło *Science et Religion* wydała Biblioteka filozofii naukowej. „Religia obdarza człowieka życiem bogatszym i głębszym, aniżeli codzienne, a choćby nawet umysłowe. Religia jest rodzajem syntezy, albo raczej ściśłego, duchowego spo- 1

łączenia się instynktu i myśli, w których związku każda z tych sił, stopiona w drugą, a więc przekształcona i spotęgowana, posiada taką pełnię i moc, jakiej nie miałyby, działając oddzielnie”.

Z cytów powyższych okazuje się, że nie tylko teologowie, ale i niektórzy uczeni uznają realny byt świata niewidzialnego i wierzą w potężny a dobroczynny wpływ jego na nasze życie i sprawy ziemskie. Tę zaś wiarę opierają nie na dawnych legendach, lecz na obserwowaniu ludzi współczesnych.

Zresztą i historia jest wymownym świadkiem znaczenia religii dla ludzkości. Przypomnijmy sobie dzieje Żydów, zwycięstwa Mahometan, wojny krzyżowe; czeskich Husytów i angielskich Purytanów. Przypomnijmy piramidy i świątynie egipskie, posagi i świątynie greckie, malarstwo, architekturę, muzykę świata chrześcijańskiego, wreszcie literackie dzieła religijne, od legend staroegipskich i mitologii greckiej do Komedyi Boskiej, Naśladowania Chrystusa i niezmiernego mnóstwa utworów teologicznych.

Lecz i to nie wyczerpuje wpływu religii na społeczeństwa. Jeszcze bowiem mamy tysiące męczenników, którzy śpiewali wśród cierpień i z radością szli na śmierć, mamy świętych, którzy wyrzekali się godności, majątku, wolności, aby pielęgnować i pocieszać ludzkość cierpiącą.

Jest więc religia olbrzymim niewyczerpanym źródłem sił moralnych, niezbędnie potrzebnymi każdemu człowiekowi, każdemu społeczeństwu, a szczególnie takiemu jak nasze, dla którego wiara w słuszność swojej sprawy, panowanie nad sobą, poświęcenie i wszelkiego rodzaju cnoty są warunkami bytu. Sił materialnych nie posiadamy, jeżeli więc nie zdobędziemy się na duchowe, (bez porównania mocniejszy!) możemy nie tylko zginąć bez sławy, ale poprosztu—zmarnąć.

Tymczasem cóż widzimy u nas?... Ogół bezmyślnie kłapie pacierze, w których bodają że niema uczucia, albo przyjmuje udział w obrzędach, z których już duch uleciał... O mistykach polskich nie słychać: publiczność oświecona zajmuje się polityką, teatrem, wypadkami bieżącymi, ale nawet zdaje się nie wiedzieć o istnieniu jakiejś tam „kwestyi religijnej”...

Ci, do których z obowiązku należy pielęgnowanie życia religijnego zatopili się w suchych rozprawach i przepisach; nasi zaś wolni myśliciele podkopują samo poczucie religijności, wyrządzając narodowi nieobliczalną krzywdę. Nareszcie ruch maryawicki zdaje się być objawem zatargów wewnątrz Kościoła, może wpływów politycznych, nie zaś potrzeby religii żywej, czynnej, odradzającej.

W Niemczech, Francji, Anglii, Ameryce, kipią prądy religijne: ludzie badają, spierają się, zapalają... Do nas nawet echo tych głosów nie dochodzi!

Jest bardzo upowszechnione mniemanie, że nauka obala wierzenia religijne. Nic błędniejszego! Badania naukowe opierają się na trzech zmysłach: wzroku, dotyku, słuchu, zaś „doświadczenia religijne” wypływają z tajemniczych stanów duszy i opierają się na jakimś zmyśle wewnętrznym. Są to więc zupełnie odrębna dziedzina świadomości ludzkiej i łatwiej możnaby zaspokoić czyjś głód dźwiękami lub kolorami, aniżeli zapomocą fizyki, chemii, czy biologii przekonać, że nie istnieje świat duchowy, takiego człowieka, który tę „niewidzialność” odczuwał, który jej doświadczył... „Wielokrotnie—mówi pewien znajomy Jamesa—doznawałem tego, co się nazywa *obecnością*... Pewnej nocy odczułem, że coś wchodzi do mego pokoju i zatrzymuje się przy moim łóżku. Nie spostrzegłem tego żadnym zmysłem, lecz miałem w sobie pewien rodzaj uczucia niesłychanie przykrego. Żadne zwykłe wrażenie nie wzruszyło by tak głęboko całej mojej istoty. Ta rzecz—była i miałam daleko większą pewność jej bytu, aniżeli jakiegokolwiek istoty złożonej z ciała i kości”.

Religia jest potęgą wielką i dobroczynną. Ona wskazuje ludziom kierunki nadziemskie, przy których jednak można spotkać ziemską pomyślność, zgodę i spokój. Ona wskazuje nadludzkie cele, za którymi dążąc, człowiek wzmacnia swoje siły i rozwija zdolności. Ona, głosząc o życiu zagrobowem, uczy pogardzać śmiercią i męztwa w cierpieniach, czyli oswabada człowieka od najgorszej niewoli. Kto nie drży wobec bólu i śmierci, nie jest sługą, ale panem świata.

Religię zatem trzeba pielęgnować, jak największy skarb, najsilniejszy motor cywilizacji; ale religię prawdziwą, nie martwych tekstów, tylko żywych uczuć i czynów użytecznych, a zarazem podniosłych.

Religia prawdziwa daje moc woli, po-

godę sercu, skrzydła rozumowi. Zamiast inkwizycji stawia tolerancję, zamiast pogromek—miłosierdzie, zamiast przekleństw—dogostawieństwa. Ona nie przesładuje inowierców, gdyż rozumie, że różne wyznania są tylko rozmaitemi gośćcami, które prowadzą do jednego Boga. Ona nie polemizuje z nauką, gdyż nie wątpi, że nauka istotna, wcześniej czy później potwierdzi najważniejsze prawdy wiary. Ptziecież ideałem religii jest Bóg, wszechwiedzący i wszechpotężny; zaś ideałem nauki jest zrobić człowieka dużo wiedzącym i dużo mogącym, czyli—uksztaltować go na podobieństwo Boże.

Duch narodu, ażeby rozwinął się w pełni, musi dążyć do wydania z siebie—twórczego rozumu, twórczej woli, twórczego uczucia: czyli: geniuszu, bohaterstwa i świętości. Otóż geniusz rodzi się z mądrości, bohaterstwo—z trudów, a świętość z religii.

Kiedy w naszym narodzie zbudzi się ruch prawdziwie religijny?... nie podobna przewidzieć. Lecz wielkiem byłoby nieszczęściem, gdyby się wcale nie obudził.

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

Z VI SERVI POEZJI.

WESOŁY LAS...

Wesoły las dokoła stał,
wiatr gałęziami cicho chwał.

Przyszły leśnice: piszczałkę weź,
śpiewem się z nami w echo nieś!

Buk rzekł: niezgiętą gałąz mam,
uchwyć oburącz, zegnij, złam!

Strumień lodową pieniąc toń
rzekł: tak jak dawniej zapurz skroń!

Ponury las dokoła stał,
wiatr gałęziami cicho chwał.

NIGDY WIĘC...

„Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się
niemogę,
morzem płyniesz i łądem idziesz za mną
w drogę”
i zastaniasz mi wszystko skrzydłami ciemnymi,
szafirowy grzbiet morza, zieloną pierś ziemi.

Na mych ustach znalazłaś to posępne słowo,
którego wprzody wargi nie rzekła niczyja,
a które poszło falą po święcie echową
aby trwać—ja nazwałem się tą, co zabija.

Opętany przez ciebie kto zmarnował życie,
patrząc w naszą życia, w pustym świecąca
błękicie,
a żywych czynów życia dotknięty martwością,
ten cię zna, ten w twą istność wgłębił się,
Tęsknotą.

KTO ZAWSZE TYLKO...

Kto zawsze tylko żył w pustyni,
niechaj nikogo ten nie wini,
że nie podniosą się rozpacz
i tylko nad nimi kruk zakracie.

Kto się nie imał ludzi sprawy,
nie wcielał siebie w ból ich krwawy,
niech nie narzeka ten z pod ziemi,
że ludzie nad nim idą niemi.

Kto kochał tylko wiatr i skały,
od skał i wichru li ma prawo
żądać, aby go żałowały,
kiedy pod zimną legnie trawą

HENRYK ZBIERZCHOWSKI:

Z jesiennych pieśni.

Błądę po parku wieczorem...
Mgła wśród liści się dyga.
Smutek, jak pajak olbrzymi
Siadł mi na sercu chorą.

O! jak się tej pustki boję!
Odszedł mi ktoś najdroższy.
Więc znowu jestem uboższy
O całe szczęście moje.

Płyną jak widma, mgły białe
W śmiertelnych swych całunach.
Na deszczu srebrzystych strunach
Wicher śpiewa balladę.

Znowu dni przyjdą tułaczę,
Zdane na łup tęsknocie.
Czy park ten w jesiennę słocie
Czy dusza moja płacze?

To liście szumią żałośnie,
Patrząc na niebo smutne,
Drzewa jak płaczki pokutne
Marzą swój sen o wiosnie,

Gdzie zwrócić stęsknione oczy
Pustka i głusza bez dna...
Noc jesienna, bezgwiezdna
Szare swe fale toczy.

Po zwiedłej trawy kobiercu
Jęk wichrowy się błaka...
O! straszne szpony pajaka
W chorem zgnękanem sercu!



BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

VII.

Dobrobyt. Kto z zagranicy, po dłuższym pobycie, wraca utęskniony do kraju, nie może opędzić się bardzo nieprzyjemnym wrażeniom. W takiej np. Warszawie, z wyjątkiem kilku pierwszorzędných ulic, ludność wygląda mizernie, brudno, smutno i gburowato. Przy chodnikach oplutych, zanieczyszczonych przez psy, zarzuconych pestkami wisien lub skórkami pomarańczowemi, co chwilę spotyka się wyrobników, odzianych prawie w łachmany, żebraków o bezczelnych fizyognomiach, dzieci blade, z powykryzwaniami nogami, hałaśliwe i nie umyte, niekiedy palące papierosy.

Są to niewątpliwe oznaki biedy fizycznej i moralnej, które mnożą się i rosną, im głębiej przypatrywać się społeczeństwu. Za dziecinnych lat słyszałem, że „polskimi” potrawami są — zrazy z kaszą, bigos, albo pieczeń z kapustą; dziś widzę, że — polską potrawą, w całym znaczeniu tego wyrazu, są przede wszystkim kartofle, tudzież chleb, wypieczony nieosobliwie. Groch, bób, fasola, mięso, ryby, bez porównania częściej spotkać można u Żydów, aniżeli u polskiej ludności, która, przeciętnie biorąc, karmi się materiałami bardzo niepożywnymi.

Niedostateczny pokarm, brak opału, woda na wsiach i w miastach nieczysta, albo i zakażona, w mieszkaniach przez cały rok niechlujstwo i złe powietrze, oto obraz naszej zamożności. A nadewszystko brudny... Niechlujne ulice, błotniste drogi wiejskie, brudne domy, brudna odzież i bielizna, brudne sprzęty i naczynia, brudne ciała i zęby... Dość powiedzieć, że na wsiach ludzie prawie nie kąpią się, nie tylko zimą, ale nawet latem; zaś w pewnym gubernialnym mieście, liczącem 60 tysięcy mieszkańców, narachowano mi aż... trzy zakłady kąpielowe z kilkunastoma wannami!...

I czyby uwierzył kto, że ten kraj, niegdyś, przed paroma wiekami, posiadał łaźnię w każdym miasteczku i — bardzo często bruki, a nawet wodociągi?... Niewola jest złą szkołą obyczajów.

Sięgnijmy jeszcze głębiej. Ludzie żyją u nas krócej i częściej chorują, aniżeli np. w Niemczech, nie mówiąc o Anglii lub Szwecji. Gdy zaś człowiek zachoruje, musi leżeć w ciasnej, dusznej, przepełnionej mieszkańcami izbie, gdyż u nas albo nie ma szpitala, albo — niema w nim miejsca, choć podobno w szpitalach warszawskich niekiedy leczą się i nie nie płacą mieszkańcy aż ze środkowych gubernii Cesarstwa. Na domiar złego chory w domu nie ma ani lekarza, ani lekarstw, ani nawet pomocy, podczas, gdy np. Żydzi, zorganizowali sobie dużo stowarzyszeń, zajmujących się pielęgnowaniem chorych. Starość także jest u nas nieszczęśliwa; po kilkudziesięciu latach pracy człowiek albo staje się ciężarem najbliższej rodziny, albo musi wyciągać rękę po jałmużnę, w czym przeszkadzają mu żebracy fachowi, którym podobno wiedzie się wcale dobrze. W tym kraju bezczelność bywa kapitalikiem.

Dodajmy olbrzymią emigrację sezonową lub stałą, mnóstwo ludzi bez zajęcia, mnożące się kradzieże, a nareszcie — bandytyzm w miastach i na prowincyi. Dodajmy pijań-

stwo, obłąkania, samobójstwa, a nadewszystko silnie zagnieżdżoną gruźlicę i syfilis, a będziemy mieli przybliżony obraz dobrobytu.

Burzuje temu winni!...—zawoła czerwony demokrat.—Oni piją krew Indu i pochłaniają majątek społeczny...

— Jestem szczerym demokratą, a nędza ludu boli mnie, nie tylko wówczas, gdy na nią patrzę, lecz kiedy o niej myślę. Mimo to, jestem przekonany, że lamenty i przekleństwa rzucane na „krwawy kapitalizm” są nie tylko przesadzone, ale wręcz niesprawiedliwe i bałamucą rozsądek publiczny. Zapewne, że między „kapitalistami” trafiają się jednostki nikczemne: wyzyskiwacze bez serca, oszuści, złodzieje, nawet bandyci, rozbijający pod osłoną kodeksu; ale zbrodnie te nie stanowią charakterystyki kapitału. Bo zobaczmy: kto na tym świecie dorabia się majątku? Przeciętnie biorąc, z bogacającą się ludzie przedsiębiorczy, energiczni, wytrwali, punktualni, umiejący panować nad sobą, wreszcie cokolwiek szczęśliwi. Jak znowu, przeciętnie biorąc, nie dorabiają się a nawet wpadają w nędzę — ludzie słabego charakteru, kapryśni, działający bez namysłu, leniwi i nieszczęśliwi. Ci jednak ludzie, którzy robiąc majątki, nie zdobywają ich sami: muszą mieć dziesiątki, setki a niekiedy i tysiące pomocników, których trzeba wynagradzać, więc z tego powodu majątkom większym, osobliwie dorobkiewiczewskim, towarzyszyć musi wyższa zamożność ogółu. W stanach Zjednoczonych trafia się wiele nadużyć ze strony kapitalistów, znajduje się wielu miliardów, mimo to, (w czasach normalnych) zamożność ogółu jest bardzo wysoka i nie mniej wysokimi bywają dochody robotników.

Więc nie przeklinajmy dużych fortun: one nie tylko nie szkodzą, ale pomagają do z bogacenia się społeczeństwu, a nadto zaś stanowią rodzaj barometru zamożności ogólnej.

Po tych wyjaśnieniach zapytajmy, ilu też jest bogaczy w Królestwie Polskiem, liczącem 10 do 11 milionów ludności?... Otóż — osób: posiadających dochodu więcej niż 20 tysięcy rubli rocznie, znajduje się — około 150 pomiędzy właścicielami, około 200 między właścicielami nieruchomości, i około 350 w przemysle i handlu. Nasi kapitaliści na miliardów nie wyglądają, co? Takich zaś, którzy mają więcej niż tysiąc rubli rocznego dochodu, liczy się w kraju około 61 tysięcy osób. A tymczasem w Prusach, które nie należą do najbogatszych społeczeństw w świecie, na 10 do 11 milionów ludności, przypada 360 tysięcy osób, mających przeszło 1,000 rubli rocznie.

Gdyby więc dochody klas najbogatszych stanowiły miarę zamożności ogółu, nasze społeczeństwo byłoby sześć razy uboższem, aniżeli społeczeństwo pruskie. *Sześć razy ubożsi* nawet od Prusaków, to już naprawdę biedacy!...

Powiedzmy tedy wyraźnie: mimo istnienia w kraju kilkuset ludzi, mających więcej, niż 20 tysięcy rubli (!) rocznego dochodu jesteśmy społeczeństwem ubogiem, uboższem nie tylko od Czechów, ale bodaj że od Bułgarów i Serbow. O porównywaniu się zaś z Niemcami i Francją, gdzie „bogacz” rozporządza setkami milionów, albo z Ameryką, ojczyzną miliardów, nawet marzyć nie śmiemy.

Zkąd pochodzi nasze ubóstwo? Przyczyn jest wiele: jednych my sami jesteśmy źródłem, innych okoliczności zewnętrzne, a przede wszystkim stosunki polityczne. Ażeby zrozumieć ich doniosłość, przypatrzmy się np. rolnictwu.

Gdyby ziemia w Królestwie, zamiast — dajmy na to — sześciu korcy z morgi, rodziła

dwanaście, położenie nasze byłoby z pewnością lepsze, aniżeli jest. Czy jednak warunki polityczne, w jakich znajdujemy się, umożliwiają podobny przybytek urodzajów?...

Pierwszą przeszkodą, pierwszym utrudnieniem rozwoju rolnictwa jest — zła forma gruntów chłopskich, które, zamiast skupiać się w jednym, niewielkim kawałku, bywają niemożliwie porozciągane i pomieszane z cudzymi polami. Tę „szachownicę” rolną należałoby znieść i przejść do systemu kolonijek, w których budynki gospodarskie znajdują się, mniej więcej, na środku pola. Reforma ta jednak wymaga nie tylko zgody, ale i silnego poparcia ze strony rządu, czego dotychczas nie widać.

Do tej samej kategorii przeszkód zalicza się i serwituty czyli prawo włościan do korzystania z pewnej części majątku właścicieli większych. Serwituty należałoby znieść, rozumiem się, za stosownem wynagrodzeniem włościan. Lecz i do tego potrzebna jest zgoda rządu.

Wielkiem nieszczęściem rolnictwa są złe drogi; któż je będzie jednak budował i utrzymywał, jeżeli nie ma samorządu? Dalej — dla dobra rolnictwa nawet przemysłu i handlu potrzebną byłaby regulacja rzek a mianowicie Wisły, lecz to wykonać może tylko rząd.

O taksach kolejowych, szkodliwych dla naszego rolnictwa tylko nadmieniam. Nierównie ważniejszemi są nieproporcjonalne podatki. Tak np. w całym państwie podatek od nieruchomości i gruntów wynosi 61 milionów rubli; Królestwo, jako czternasta część ogółu ludności powinno płacić 4 do 5 milionów a płaci 14 milionów czyli trzy razy więcej.

Niemalą klęską naszego społeczeństwa są kradzieże n nawet zbrojne rabunki. Jedno i drugie powściągnąć może tylko policja rządowa.

Nareszcie potężną dźwignią społecznego dobrobytu są — stowarzyszenia: pożyczkowe, oszczędnościowe, wytwarzające jakieś towary, nabywające lub sprzedające. Otóż — wszelkie formy stowarzyszeń od bardzo dawna posiadali i posiadają Żydzi; ludności polskiej, w ciągu 40 lat ostatnich, wprost nie wolne było tworzyć żadnych stowarzyszeń. Przypuszczam, że ludność żydowska, pomimo narzekania i zewnętrznych pozorów, jest stosunkową zamożniejsza od polskiej a jestem pewny, że zamożność tę zawdzięcza dwom czynnikom: 1-mo swoim stowarzyszeniom, 2-do powszechnej oświacie elementarnej... Nie oni jednak winni temu, że my, pomimo tak bardzo szybko wzrastającej ludności nie posiadaliśmy ani oświaty, ani stowarzyszeń.

Wogóle warunki polityczne są dla nas źródłem wielkich nieszczęść i dopóki nie zmienią się, będą stanowiły ogromną przeszkodę dla społecznego rozwoju. Czy one jednak zmieniają się? i kiedy?

Ja myślę, że zmienić się muszą w sposób głęboki i bardzo niedługo. A dla czego tak myślę?...

„...Zbliża się koniec Rosyi!...—woła p. Mieński. — Nasze państwo stoi na grobem. Nam, Rosyi, pozostało mniej życia, niż komukolwiek może się zdawać... Wyobraźcie sobie olbrzymie imperium. Wszystko w niem się rozkłada. Wszystko da się przekupić. Wszystko rozleniwiało, straciło ideały, poczucie obowiązku, pojęcia o czci i przyzwoitości, o szacunku dla siebie, straciło wiarę, zgubiło gdzieś sens życia”...

Do sentymentalnych prorocत्व p. Mieńskiego nie przywiązywalibyśmy wagi, gdyby



nie odbijały one przekonań bardzo ważnych grup społeczeństwa rosyjskiego. Już i wśród młodzieży kursują poglądy, że państwo rosyjskie jest ciężko chore, że nawet jego istnienie jest zagrożone.

Mniej poetycznie, mniej grobowo, ale za to praktyczniej, zapktruje się na położenie państwa rosyjskiego francuski miesięcznik *Revue*. Mówi on o finansach Rosyi (finanse to krew państwa!) mniej więcej w taki sposób:

Rosya od Francyi zaciągnęła już 15 miliardów franków pożyczek, a Francya otrzymała zapewnienie, że pożyczki te miały rozwijać naturalne zasoby Rosyi i wzmacniać ją. Tymczasem nie tylko nie były do tych celów użyte, ale dziś położenie finansowe Rosyi jest gorsze niż było przed 15 laty. Taki stan rzeczy—mówi autor, podobno nie tuzinkowy znawca stosunków—nie odpowiada roli państwa mającego 140 milionów ludności a mocarstwa, które w interesie polityki międzynarodowej potrzebują silnej Rosyi, muszą o ile to możliwe, starać się o jej podniesienie”.

Rosya twierdzi dalej autor—potrzebuje dziś 20 miliardowej pożyczki i otrzyma ją, ale wspólnie od Francyi i Anglii i na takich warunkach, które „umożliwiłyby szybką i produkcyjną eksploatację olbrzymich zasobów państwa”.

Innemi słowy: wyjść z bardzo ciężkiego położenia Rosya musi przystąpić do pracy nad własnym dobrobytem a wtedy chyba i dla nas nadejdą lepsze czasy. I nareszcie może będziemy mieli prawo podzwignąć naszą cywilizację.



1905



Atak floty polskiej na statki szwedzkie pod Gdańskiem w dniu 28 listopada 1627 roku.

WŁODZIMIERZ NAŁĘCZ

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA

VIII.

Wytwórczość. Wszystkie przedmioty, niezbędne dla materialnego i duchowego dobrobytu, wszystko co podtrzymuje istnienie, tudzież rozwój biologiczny i psychiczny, jest rezultatem: pracy twórczej. Pokarmy, napoje, odzież, mieszkanie, opał, naczynia, narzędzia i sprzęty, drogi i wozy, lokomotywy i statki wodne, a dalej: książki, biblioteki, budynki szkolne, sale odczytowe i koncertowe, muzea, galerie i pracownie, obrazy, rzeźby, instrumenty muzyczne, wreszcie arcydzieła architektury, wszystko to urodziło się z pracy.

Jednostka może spędzić życie wygodne, nawet przyjemne bez pracy, dzięki majątkowi odziedziczonemu, wygranemu, a choćby skradzionemu lub wyszechrowanemu. Ale społeczeństwo, naród żyć i rozwijać się musi tylko przez pracę. Im więcej i umiejętniej pracuje, tem pomyślność jego jest większa, bo praca zaciera ślady nawet ciężkich rabunków. W roku 1870 Francja zapłaciła Niemcom pięć miliardów franków kontrybucji; Bismarck był pewien, że zrujnował swoich zwyciężonych przeciwników, lecz — omylił się, gdyż praca i oszczędność francuskiego narodu w kilka lat powetowała straty!

Praca wytrwała, mądra, zorganizowana jest owym czarodziejskim pierścieniem, za pomocą którego znikomy człowiek wywołuje i ro-

bi swymi niewolnikami najpotężniejsze demony, jakie panują w wodzie, ogniu, powietrzu i głębokościach ziemskich. Dla pracy mądrej niema niepodobieństw. I gdyby mi kto powiedział, że za kilkaset lat człowiek będzie żył tak długo, jak mu się podoba, że, z jednej strony, dosięgnie środka ziemi, a z drugiej — doleci do księżyca, ażeby tak zdobywać nieznane materiały, ani przeczyłbym, ani dziwiłbym się temu.

A cóż dopiero mówić o projektach ścisłe ziemskich... Wszelkie bogactwo, wszelka wolność, wszelka władza musi się stać własnością nie tych, którzy ją kiedyś posiadali, albo w danej chwili posiadają, ale tych, którzy potrafią pracować jak najenergiczniej, jak najmądrzej, jak najwytrwalej. Dzisiejszą potęgę Niemcy zawdzięczają nie generałom lub ministrom, ale swoim fizycznym i duchowym pracownikom, i toż samo powiedzieć można o Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych. Zaś próżniacy, choćby mieli jak największą potęgę, zmarnują wszystko, a przykład mamy na samych sobie, którzy przeważniliśmy Rzeczpospolitą.

Według ekonomii, do pracy wytwórczej wchodzi następujące czynniki: Natura, Kapitał, Praca fizyczna i Inteligencya. Przypatrzmy się temu bliżej.

Wyrazem: natura oznaczmy ziemię urodzajną, pokłady geologiczne, w których znajduje się węgiel, nafta, rudy metalów; dalej — lasy, łąki, z pasącem się na nich bydłem, rzeki rybne i sławne, nareszcie morze, z jednej strony spiżarnia, z drugiej wielki a tani gościniec handlowy.

Co z tego posiada naród polski?... a raczej czego nie posiada! Więc naprzód brak nam

morza, co jest nieszczęściem narodowem. Po wtóre — ziemia chleborodna niekiedy wymyka się z rąk polskich dzięki nieprzebaczonej lekkomyślności jej posiadaczy; lasy znikają, rzeki jałowiej i mało nadają się do żeglugi, a kopalnie, np. węgla, który jest źródłem potęgi ludów ucywilizowanych, już przeszły albo przechodzą w obce ręce i są podobno wyzyskiwane w sposób marnotrawny.

Ilustracją już nie tylko lekkomyślności, ale wprost obłądu, jest wypadek, który podaje z wszelkimi zastrzeżeniami, gdyż wierzyć się nie chce w możliwość czegoś podobnego.

Wiadomo, że parę lat temu ogłoszono Niemcom wojnę ekonomiczną; wiadomo, że dla skuteczniejszej akcji potworzyły się na gruncie galicyjskim odpowiednie stowarzyszenia; wiadomo wreszcie, że grono dam galicyjskich zaczęło zbierać centowe składki na założenie jakiejś narodowej fabryki, bez bliższego określenia natury jej produktów. Mielśmy więc, powtarzam, ogłoszoną wojnę Niemcom, mieliśmy zawiązek armii *ad hoc* i początek gromadzenia funduszy.

A tymczasem w okresie najgłośniejszych wojennych fanfar przyszło kilku niemieckich kapitalistów i podobno tuż pod Krakowem, zakupiło pokłady węglonośne!...

Oto egzamin, czego jest warte nasze krzykactwo. Przecież bez ogłaszania bojkotów antypruskich, bez wykrzykiwania hasel szowinistycznych należało poprostu nie sprzedawać nie tylko Niemcom, ale nawet aniołom, naszej ziemi, a tem bardziej ziemi węglonośnej. Ja nie mam najmniejszej nienawiści do Niemców, owszem, bardzo ich cenię, ale pragnę mieć nasze ro-



nictwo, nasz przemysł, handel, rzemiosła i t. d. i dlatego bez ostatecznej konieczności nie sprzedałbym kopalni pod Krakowem. Przecież pod Krakowem może znalazłby się jakiś polski milioner; dla czegoż więc on nie miał zarabiać na polskim węglu, nie zaś kapitaliści niemieccy.

Trzeba dodać, że my prawie nie znamy naszych bogactw naturalnych i, dalibóg, nie dziwiłbym się, usłyszawszy kiedyś, że w Królestwie Polskiem jakiś geolog niemiecki odkrył nowe pokłady węgla, może nafty, może rudy żelaznej?... A już wcale nie myśliśmy o tem: ile trzeba zbudować dróg, uszlawnić i zarybić rzek, osuszyć albo zirygować łąk, poprawić gruntów piaszczystych zapomocą gliny i t. d. My zajmujemy się tylko „obchodami”, a o naturze naszej niech myślą Szwaby!...

W pojęciu „kapitał” mieści się nie tylko gotówka, w którą nie jesteśmy zbyt zasobni, ale i przedewszystkiem: motory, maszyny, narzędzia, służące do wytwarzania przedmiotów potrzebnych. Należą tu również materiały surowe (zboża, len, wełna, drzewo) tudzież opał (węgle); o tem jednak mówiliśmy wyżej.

W naszym kraju człowiek średnio ukształcony ma o kapitale najgorsze a zarazem najfałszywsze pojęcie. Mianowicie wydaje się nam, że każdy milioner jest, co najmniej, zbiegłym kryminalistą. Nie będę twierdził, że między kapitalistami nie ma kryminalistów, lecz jednocześnie wskażę czytelnikowi, w jaki to prosty sposób powstają miliony, wśród przychylnych warunków i w rękach człowieka przedsiębiorczego.

Wyimaginujmy sobie, że jakiś młody a za możny pan, zamiast strwonić pieniądze zagranicą w towarzystwie utrzymanek, otwiera w kraju, przypuśćmy, fabrykę tkacką, z motorem o 100 koniach parowych. Ponieważ koń parowy (według A. Coste'a) zastępuje fizyczną pracę 15 ludzi, więc ów pan, obok żywych i myślących robotników, którzy zarabiać mogą 50 do 200 kop. dziennie, będzie miał jeszcze 1,500 stalowych robotników, którzy pracują choćby 16 godzin na dobę, nie potrzebują mieszkań ani odzienia, a karmią się tylko węglem i wodą, z małym dodatkiem smarów.

Otóż, gdyby takiemu panu każdy stalowy robotnik przynosił dziennie tylko 10 kop. czystego zysku, jużby ów kapitalista, ani myśląc o okradaniu swoich żywych i czujących robotników, jużby ów kapitalista miał mieć ze swej fabryki 150 rubli czystego zysku dziennie. A gdyby wydawał na siebie nawet 25 rubli dziennie, to jeszcze mógłby oszczędzić 45,000 rubli rocznie. Po kilku latach, jeżeliby sprzyjały warunki miejscowe i ogólnie handlowe, mógłby otworzyć drugą podobną fabrykę i zarabiać na niej już 54,000 rubli rocznie; zaś po latach kilkunastu, gdyby wciąż miarkował się w wydatkach, mógłby mieć motory o sile 1,000 koni parowych, pracujące za 15,000 robotników, co przynosiłoby mu rocznie przeszło pół miliona rubli, bez najmniejszego okradania ludzi.

A ponieważ istnieją na świecie przemysłowcy, dysponujący 10-cioma tysiącami koni parowych, czyli 150 tysiącami stalowych robotników, widzimy więc, jak straszna potęga mieści się w dwu tak niby niepozornych rzeczach jak: motor i maszyna. Cóż to za odskok, co za przepaść między pracownikiem, który w pocie czoła zarabia rubla a choćby dwa i trzy ruble dziennie, a wielkim kapitalistą, który ma 15,000 rubli dziennie tylko dla siebie i bodaj, że bez wysiłków!...

Jeżeli powie mi kto, że tak ogromna różnica między dwoma ludźmi: robotnikiem i fabrykantem może inie jest bezpieczna, może nie świadczy o zdrowiu społecznem, może jest groźną dla przyszłości, na to się zgodzę, choć wiem, że w naturze, obok małuczkiej mszycy istnieje słoń i wieloryb. Ale jeżeli kto zechce mi gwałtem dowodzić, że każdy milioner jest złodziejem i—że wstyd uczciwemu człowiekowi robić majątek, odpowiem mu:

— Mylisz się dobry panie, a co gorsza: bałamucisz ogół... Bo my, Polacy, właśnie na tem, między innemi cierpimy, że nie tylko nie umiemy robić majątków, ale nawet nie stawiamy sobie podobnych celów w życiu!... Owszem, róbcie jak największe majątki, ale na uczciwej drodze; róbcie je, ażebyście mogli oddawać jak największe usługi swojemu narodowi. Bo chyba i dziecko zrozumie, że taki pan, który ma 15,000 rubli dziennie, więcej może zrobić dla kraju, aniżeli nieborak, co ogłasza w pismach 50 rubli nagrody temu, który mu znajdzie posadę.

W zeszłym numerze *Tygodnika* wspomniałem, że ze względu na roczne dochody jesteśmy bodaj czy nie sześć razy ubożsi od Prusaków. Zobaczmy teraz, jak znowu wyglądamy wobec Francuzów, ze względu na siłę maszyn parowych. Otóż we Francyi, około 1885 roku, maszyny parowe przedstawiały siłę 68,000,000 ludzi parowych (według A. Coste'a), zaś u nas według St. Koszutkiego w r. 1890 pracowało 200,000 koni, czyli 3,000,000 ludzi parowych (Koszutski ocenia to na 4,2 ludzi parowych, a więc za dużo). A że we Francyi na każdą ludzką duszę przypadał 1 i $\frac{3}{4}$ człowieka stalowego, a u nas na każdą ludzką duszę przypadała tylko $\frac{1}{3}$ człowieka stalowego.

Innemi słowy, ze względu na ilość ludzi stalowych czy parowych, jesteśmy przeszło pięć razy ubożsi od Francyi. Stosunek ten pogorszy się nadzwyczajnie, gdy przypomnimy, że 1-mo Francuzi obok parowych mają jeszcze motory wodne, wietrzne i zwierzęce w sile 25 milionów ludzi i 2-do, że u nas z owych 3 milionów ludzi stalowych bodaj czy nie większa część należy do cudzoziemców, nawet nie osiedlonych w kraju.

Oto mała próbka naszego położenia ekonomicznego: jesteśmy wśród ludów europejskich biedakami, w dodatku nieopatrzniemi biedakami, nawet nie myślącymi o tem, jak poprawić swoje nieszczęsne położenie? A teraz bądźcie łaskawi, w dalszym ciągu, tłomaczyć młodzieży, iż dla naszego narodu najważniejszym rodzajem twórczości jest poetycka, a najważniejszym zajęciem są „obchody” patryotyczne. My będziemy „obchodzili” a tymczasem inni wyrwą nam ostatni kłosek ziemi z pod nog i ostatni kęs chleba z gardła!



ZBIORY LEONA Hr. PINIŃSKIEGO WE LWOWIE.



KRAJOBRAZ

J. RUISDALA



KRAJOBRAZ ZIMY

A. van NEER.

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie

KRONIKA TYGODNIOWA.

IX.

Obok Natury i Kapitału trzecim wielkim czynnikiem wytwórczości jest —Praca fizyczna. Ona to z głębi ziemi wykopuje i wyrąbuje, z trudem i niebezpieczeństwem, rudy metalowe i węgiel; ona orze i bronuje powierzchnię ziemi, obsiewa ją rozmaitymi gatunkami zbóż, kosi i wymłóca ziarno; ona wypala cegłę, ścina drzewo, strzyże wełnę zwierzęcą, a z odpowiednich roślin wydobywa włókna tkalne. Ona przenosi materiały surowe do fabryk, gdzie znowu praca fizyczna dzieli je na części, miesza z innymi materiałami, poddaje działaniu wysokich temperatur albo silnych prądów elektrycznych, nadaje kształty rozmaitym częściom, wygładza, dopasowuje, a nareszcie łączy je w całości niby organiczne, niekiedy bardzo skomplikowane i ogromne. Na dowód proszę przypomnieć sobie wielkie mosty, konstruowane z belek żelaznych, albo samochody, z których każdy (jak mi mówiono) składa się z trzech około tysięcy części i cząsteczek!...

Każda potrzeba ludzka, nawet najbardziej idealna, może być zaspokojona tylko za pośrednictwem materialnych przedmiotów lub zjawisk. Wspaniałe pomysły Dantego i Szekspira zginęłyby dla ludzkości, gdyby nie uwieczono ich w materialną postać książki. Toż samo stałoby się z najpiękniejszymi natchnieniami Beethovena i Chopina, gdy nie było nut, fortepianów i orkiestr. I wogóle, ażeby człowiek mógł istnieć, być bezpiecznym i zdrowym, ażeby jego duch mógł rozwijać się i porozumiewać z innymi duchami, potrzebuje koniecznie, ale to koniecznie jakichś przedmiotów materialnych, stworzonych przez geniusz wynalazczy, wyrobionych—przez pracę.

Widzimy z tego, jak niezbędną dla człowieka i cywilizacji jest praca fizyczna



GLORYFIKACJA POKOJU WESTFALSKIEGO

MIKOŁAJ BORCHEM



Pałac Leona hr. Pinińskiego we Lwowie.

i jak ją szanować, jak czcić należy. Nie darmo też Stary Testament pierwszym w naturze pracownikiem, pierwszym robotnikiem mianował samego Boga. I to robotnikiem, który nie tylko poddał krytyce rezultaty swojej działalności, ale jeszcze — siódmego dnia odpoczął! Jakim więc sposobem płodną i czcigodną pracę fizyczną przerobiono na karę i przekleństwo, w imię czego pewne grupy półgłówek dzisiejszych lekceważą ją sobie?... jest to kwestya dla mnie przynajmniej niezrozumiała. Zapewne—praca przemysłowa zasługuje na nazwę nieszczęścia, jak każda forma niewoli; ale praca obowiązkowa, która człowiekowi zapewnia utrzymanie, jest nie tylko warunkiem życia, ale także zdrowia i duchowego rozwoju. W człowieku skazanym na próżniactwo, nie tylko zanikają mięśnie, lecz i sam duch przygasa.

Słowem, praca fizyczna jest jednym z najszlachetniejszych i najświętszych przywilejów człowieka, a bynajmniej nie tą męką i przekleństwem, z pod którego należałoby się wyswobadzać. Wielcy dorobkiewiczowie amerykańscy, z których niejednego za młodu pracował młotem lub kilofem, żyją długo, są silni i energiczni; ich zaś potomkowie, o ile wstydzą się pracy i spędzają czas na denerwujących rozrywkach, bywają zdechłakami, a bardzo często i ludźmi słabego umysłu.

Otóż—rzecz szczególna, że w naszym narodzie, a raczej jego nieco zasobniejszych i niby to — inteligentnych klasach, istnieje wstręt i pogarda do pracy fizycznej. Już nie tylko dzieci „szlachetki”, ale nawet synowie kupców, przemysłowców, lekarzy i adwokatów wolą kołatać o marne posady biurowe, aniżeli brać się do samodzielnych zajęć rzemieślniczych i handlowych... Kowalstwo, stolarstwo, szewstwo, krawiectwo to nie dla nich! Oni wolą starać się o protekcję i skazywać się na dożywotnią zależność, aniżeli zawdzięczać byt własnej energii, rozumowi i—rękom...

Z objawami lekceważenia pracy spotykamy się nie tylko w górnych warstwach społeczeństwa, ale i w jego fundamentach.

ZBIORY LEONA HR. PINIŃSKIEGO WE LWOWIE.



SCENA BETLEEMSKA



SCENA RODZAJOWA

JUDITH LEYSTER



NOWONABYTY OBRAZ NIEZNANEGO MISTRZA.

Nie twierdę, Boże ucho! ażeby choroba ta ogarniała większość narodu, gdyż większość, osobiście klasy, związane z rolnictwem, są pracowite. Natomiast wśród poważnej mniejszości znaleźć można nieuleczalnych próżniaków, którzy albo pracują niedbale i niepunktualnie, albo tylko wówczas, gdy przyciśnie ich ostateczna potrzeba, albo—nic zgoła nie chcą robić. Ileż to razy zdarzało się, że stojący na rogach ulic, niby to wyrobownicy, odrzucali ofiarowywaną pracę, odpowiadając, że, „im się to nie opłaca!” Stać pod murem, choćby na deszczu, opłacało się...

Wogóle ta część życia społecznego, to jest: praca, stoi u nas bardzo niedobrze i bodaj czy nie jest najgłębszym źródłem wielu klęsk narodowych.

Przedewszystkiem pracy naszej, wziętej w jak najszerszym zakresie, brakuje—jedności. W takiej Francji można znaleźć większe i mniejsze fabryki, gdzie wszystko jest francuskie: właściciel, inżynierowie, robotnicy, agenci handlowi, materiały surowe, motory i mechanizmy wykonawcze, nawet wynalazki i drobne ulepszenia. Tymczasem u nas bardzo często można spotkać fabrykę, gdzie kapitał jest cudzoziemski, dyrektor, inżynierowie

i majstrowie cudzoziemcy, motory, maszyny i materiały surowe obce, agenci handlowi także obcy, a miejsce zbytu towarów jest o paręset mil oddalone od fabryki. O wynalazkach i ulepszeniach nie wspominam. Więc cóż w tej fabryce jest naszego?... Ziemia, woda, powietrze i główny zastęp robotników, nieświeżnie płatnych, ciemnych, nieobałych, lekceważonych, przy których w dodatku, gdy opuszczają fabrykę, trzeba dokonywać rewizji osobistej, z powodu kilku złodziei, których ogół nie ma chęci czy odwagi zdemaskować.

Nasza praca fizyczna nie zaspokaja potrzeb miejscowych, na co mamy tak grube dowody, jak niedostatek mieszkań, obuwia, odzieży i bielizny, a nareszcie mnóstwo motorów, maszyn, narzędzi i naczyń, sprowadzanych z zagranicy.

Począwszy od okresu historii powstaniowej, okresu, zwanego: „pozytywizmem” czy też „pracą organiczną”, zdawało się, że wytwórczość nasza rośnie i rozwija się, że ludzie nie tylko nabierają chęci do pracy, ale nawet i umiejętności pracowania. Mniemaniu temu silny cios zadała epoka tak zwanej „rewolucji” dziwnego zjawiska, w którym aspiracje polityczne przerodziły się naprzód w nienawiść i walkę międzyklasową, a następnie w bandytyzm i programowe próżniactwo. Dzięki strajkom, kierowanym najczęściej niewiedzą, przez kogo, sławne niegdyś szewstwo warszawskie podobno upadło, mularze zupełnie zubożeli, a rozmaici biedniejsi pracownicy, skutkiem braku mieszkań, już nie tylko nie posiadają własnej izby, nie tylko własnego kąpa w cudzej izbie, ale nawet muszą dobijać się o miejsce na kawałku cudzego łóżka!

Owe strajki, które z początku zapowiadały się, jako ruch bardzo szlachetny, filantropijny i reformatorski, stały się w rezultacie narodowym nieszczęściem, tak głęboko sięgającym, że dziś naprawdę wartoby zapytać: kto je urządza?... Bo—w jakim celu robiono je? o tem już wiemy: w celu ekonomicznego zrujnowania kraju. Ale też i możliwość podobnego zjawiska znalazła u nas warunki właśnie we wskazanym braku jedności, dzięki której inżynier i kapitalista był obojętnym, albo wręcz niechętnym dla robotnika, który nawzajem płacił im obojętnością, nienawiścią i wszelkiego rodzaju niedbalstwami, jeżeli nie nadużyciami.

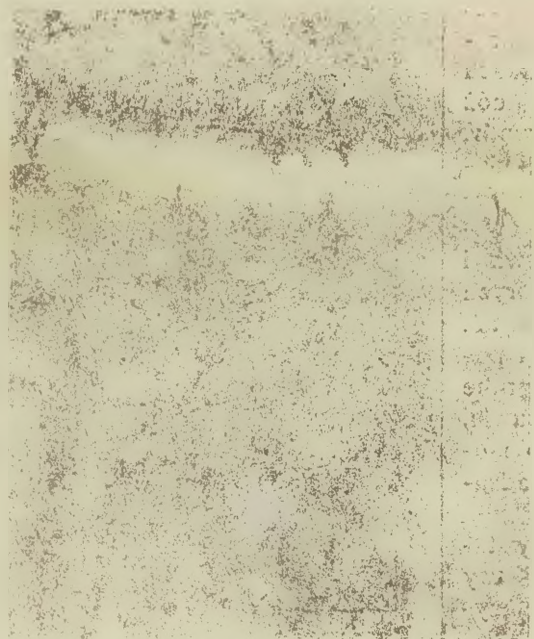
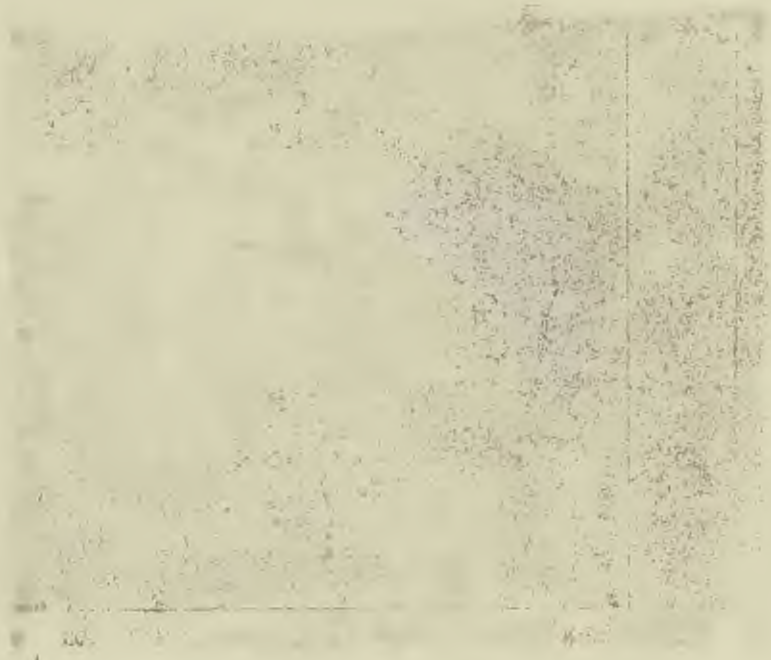


PORTRET NIEZNANEGO MISTRZA.

Jednym z najwyższych ideałów cywilizacji jest—możliwe podniesienie dobrobytu klas pracujących, a więc—wszystkich członków społeczeństwa, bo każdy z nas jest jakimś pracownikiem. Lecz, dążąc do tego celu, cywilizacja nie obiecuje nam wiecznej wiosny, ani rzeź, mlekiem i miodem płynących. Pragnie ona, ażeby każdy człowiek miał zdrowy i posilny pokarm, skromne, lecz wygodne mieszkanie, dostateczną ilość odzieży i bielizny, czystość fizyczną, zabezpieczenie na starość i na wypadek choroby, a nareszcie—godziwe rozrywki i udział w umysłowym ruchu przez oświatę. Zapewne, nie jest to raj na ziemi, lecz w każdym razie bardzo znośny, bardzo pożądany rodzaj bytu. Usunąć głód, chłód, brud i nudy byłaby to naprawdę wielką zdobycz ludzkości!

Jak prędko i przy jakich warunkach my osiągniemy podobnego stanu zamożności? Przewidzieć to można przynajmniej do pewnego stopnia.

I tak. Był pracownika francuskiego mniej więcej zbliża się do ideału, który nakreślił. Porównajmy więc nasze warunki ekonomiczne z francuskimi, a dowiemy się, jaką jeszcze drogę przejść nam wypadnie. Według A. Co-



11000
11000
11000
11000
11000

207

1909

ste'a około roku 1889 wartość Francyi wynosiła mniej więcej 300 miliardów franków, prawie 8,000 franków na mieszkańca, zaś według St. Koszutkiego około roku 1,900 wartość Królestwa Polskiego wynosiła mniej więcej 12 i pół miliardów franków (franka liczę po 40 kop.) prawie 1,250 franków na mieszkańca. Chcąc zatem dorównać Francuzom w dobrobycie, musimy postarać się, ażeby majątek naszej przeciętnej jednostki podniósł się przeszło o 6,000, a wartość Królestwa o 55 miliardów franków...

W jaki sposób osiągnąwszy to można?... Czy za pomocą strajków częściowych i ogólnych? czy przez zmuszanie pracowników, ażeby nie pracowali? czy przez zabijanie właścicieli fabryk lub inżynierów? czy przez niszczenie materiałów surowych, psucie machin i wynoszenie z fabryki towaru?... Wcale nie! Jest tylko jeden odwieczny i wypróbowany sposób: praca wyteżona, mądra i zgodna, w której kapitalista, inżynier i robotnik czuliby się jak najściślej związanymi częściami jednej całości, w której fabryka, warsztat, sklep, czy folwark stałby się dla nich wszystkich niby domem rodzinnym. Muszę jednak przyznać, że na taki układ stosunków długo jeszcze będziemy czekali,

Nie trzeba też wyobrażać sobie, że w najbliższych czasach praca robotników będzie lżejsza; przeciwnie, ona raczej wymagać będzie coraz większych wyteżeń. Jeden z najrozumniejszych kapitalistów amerykańskich, A. Carnegie, zatrudnia około 15,000 robotników i płaci przeciętnie jednemu około *siedmiu rubli* dziennie, ale też i prędko ich zużywa. W jego zakładach życie robotników jest bardzo ciężkie — „i przeciw temu nic nie mogę poradzić”, mówi Carnegie. Skutkiem szalonej konkurencji przemysł staje się podobnym do wyścigów, w których najprędszy zdobywa nagrodę, najsilniejszy wygrywa bitwę.

To też Carnegie nie ufa pięknym obietnicom socjalistów. „Jestem—mówi—ewolucjonistą, a moim mistrzem Herbert Spencer... Kto chce coś zbudować, musi kłaść jeden kamień na drugim i posuwać się kroczonek za kroczonek. Gdy więc socjaliści żądają od nas, ażebyśmy jednym skokiem dostali się z ziemi na księżyc, my nie porzucimy naszych skromnych rusztowań i, zamiast latać, dodamy jeszcze jeden schodek do poprzednich... W rezultacie wszyscy dążymy w tym samym kierunku, i nie wątpię, że kiedyś osiągniemy nieba. Ale gdy żądają ode mnie, ażebym przypiął skrzydła, odmawiam i trzymam się mojej drogi, prawda, że długiej, ale pewnej”.

Słowa te doświadczonego i, bądź co bądź, uczciwego kapitalisty powinnyby dobrze zapamiętać wszyscy nasi reformatory polityczni i społeczni. Z pewnością rodzaj ludzki kiedyś bardzo wysoko wzbije się ponad ziemię, pod tym jednak warunkiem, że będzie posuwała się drobnymi kroczkami, mocno układając jeden kamień na drugim.

Zresztą my już niejednokrotnie próbowaliśmy skoków i lotów!...



RYBACZKA
Z CONCARNEAU



K. MÜNZER-
NEUMANOWA
Z Warszawy

Z VI Salonu jesiennego
w T. Z. S. P.

BOLESŁAW PRUS:

NASZE OBECNE POŁOŻENIE.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Czwartym czynnikiem wytwórczości jest *inteligencja*. Ażeby zrozumieć jej znaczenie, przypomnijmy sobie wszystkie dzieła ludzkie. Porównajmy step falujący dzikimi roślinami i pola uprawne, martwą gromadę skał i dzielnicę wielkiego miasta, owoc leśnej i owoc wyhodowanej jabłoni, pień drzewa bezwładnie płynący rzeką i statek parowy, australijskiego dzikusa, obok zamożnego i oświeconego Paryżanina.

Do czasu pojawienia się człowieka w naturze istniały wody i lądy, zwierzęta, rośliny i ciała mineralne. Dopiero, gdy wystąpił człowiek i społeczeństwo, gdy poczęła rozwijać się cywilizacja, dopiero wówczas, obok dzieł natury, ukazały się dzieła ludzkie, niezmiernie odskakujące od tego, co stworzyła sama przyroda.

A działało się to w taki sposób, że przedmioty i zjawiska naturalne, za pośrednictwem zmysłów zaczęły jakby wlewać się do ludzkiej duszy; tam spotkały się z potrzebami cielesnymi i duchowymi, skojarzyły się z niemi, a z tego małżeństwa urodził się świat idealny, który za pośrednictwem czynów, pracy, powrócił do świata realnego i stworzył dzieła nowe, oryginalne. Tak mało podobne do utworów przyrody, jak na przykład skała, sta-

czająca się ze szczytu góry, jest niepodobną do lokomotywy zjeżdżającej koleją zębą.

Działania inteligencji są bardzo rozmaite i nierównej wartości między sobą. Ktoś, budując wielki dom, chce załatwić się z kwestą ogrzewania. Wzywa zduna, który proponuje dla każdego mieszkania piec kaflowe; później zwraca się do budowniczego lub inżyniera, który w jednych mieszkaniach może zalecić piec kaflowe, w innych żelazne, a również może zaproponować ogrzewanie centralne za pomocą koksu, gazu i t. p. Inteligencja inżyniera okazała się bez porównania bogatszą od inteligencji zduna, lecz w każdym razie nie wykroczyła po za granicę tego, co już było wiadome o ogrzewaniu. Inżynier nie wymyślił nic nowego, tylko w danym wypadku zastosował istniejące wiadomości techniczne. Wiedza fachowa jest rzeczą niezbędną i szanowną, ale nie najwyższą; zaś człowiek, posiadający pewien zakres wiedzy i stosujący ją sposobem automatycznym w praktyce, jest niby żywą książką, niczem więcej.

Lecz obok erudyty, istnieją inne typy inteligencji. Miliony ludzi korzysta i korzysta i korzystało z pieców, ale dopiero jakiś jeden spostrzegł, że piec zbyt wiele zużywa materiałów opałowych, z których tylko cząstka spala się na ogrzanie mieszkań, zaś reszta ciepła ulatuje w powietrze. Jest to inteligencja *odkrywająca*, niespostrzeżone pierwiej zjawisko, inteligencja, która rozszerza wiedzę.

Gdy odkrywca spostrzegł, że piec zbyt wiele marnuje opału, wówczas może trafić się

inny typ inteligencji, który obmyśli taki sposób budowania pieców, ażeby w nich opału oszczędzał się, ażeby ginęło np. nie 90 procentów ciepła, lecz tylko 70 proc. Taki człowiek będzie *wynalazca* i z bogaci ludzkość nowym przyrządem, dotychczas nie znanym, zaspakajającym realną potrzebę.

Wynalazek jednak, choć praktyczny, mógłby nie spopularyzować się, a nawet nie urzeczywistnić, gdyby nie istniał jeszcze inny typ inteligencji: *organizatorskiej*. Taki człowiek, zastyszawszy coś o wynalezieniu pieców oszczędnych, naprzód obrachowuje możliwe korzyści z nowego narzędzia, porozumiewa się z wynalazcą, gromadzi kapitały, zbiera inżynierów i majstrów odpowiednich, a następnie buduje fabrykę, starając się jednocześnie o reklamę dla wynalazku i jaknajwiększą liczbę nabywców.

Inteligencja twórcza nie kończy się na organizatorach; często jej towarzyszy, a częściej dopełnia ją inny typ, który nazwałbym—zapewne niestosownie—graczem, ale *graczem życiowym*. Takim graczem jest człowiek, który nie tylko wie: gdzie, kiedy, od kogo i w jaki sposób najtaniej kupić, a gdzie i w jaki sposób najdrożej sprzedać; który w zakresie swoich interesów jest czujny jak myśliwiec; który umie dowiedzieć się wszystkiego o swoim współzawodniku a ukrzyć wszystko przed nim; który dostrzega najsłabsze punkta w ludziach i sytuacjach i uderza na nie wszystkimi siłami, zawczasu nagromadzonemi. Jest to specjalny rodzaj twórczych zdolności, które w wysokim

178

...opnie posiadają — zdolni kuhcy, bankierzy, dyplomaci, strategicy, rozmaici agenci, sławni naukowcy, których również cechują się znajomością karcianek, intryganci, agitatorowie i karykatury. Ludzie tak obdarzeni, jeżeli mają uczciwy charakter, są błogosławieństwem swego narodu; w przeciwnym razie — jego klęską i hańbą ludzkości. Chcąc odczuć tę prawdę, porównajmy dwu ludzi: Waszyngtona, który pracował dla swobody i Bismarcka, który służył biurokracyzmowi i rozszerzał posiadłości Hohenzolernów.

Rzecz szczególna. My, Polacy, rozumiemy wartość *erudycji*, ba! nie brakło nam erudytów, którzy „wszystko czytali”; trochę mniej, ale — jeszcze uznajemy wartość inteligencji *odkrywczycy* i *wynalazczy*. Natomiast z *organizatorami* już mniej dajemy sobie rady, nie umiemy należycie ocenić olbrzymiej wartości tych ludzi; a już bodaj, że wcale nie rozumiemy tego typu *graczy życiowych*. Według nas są to albo „szczęśliwcy”, którym „los” dopomaga, albo... „łajdaki”, co zresztą trafia się i nie rzadko. Tego zaś nie pojmujemy, że gracz życiowy jest przede wszystkim „artystą”, niby szachistą, dla którego szachownicą jest pewna dziedzina interesów, silnemi figurami wypadki pomyślne i niepomyślne a pionkami... ludzie, niekiedy armie i — całe społeczeństwa!...

Takich graczy życiowych w żadnym narodzie nie bywa zanadto; w Anglii jest ich bodaj że najwięcej, sporo we Francji i we Włoszech; pośledniejszy (gdyż pozbawiony wyższego ideału) gatunek znajduje się w Niemczech. U nas zaś o! bodajbym się mylił... prawie, że ich nigdy nie było, a przedewszystkiem — nie był nim jeden z najukochańszych bohaterów narodowych — Kościuszko...

I druga osobliwość, jeszcze bardziej uderzająca a może i smutniejsza. Kilka razy publicznie wspominałem o ważności gry życiowej i graczy życiowych, lecz, o ile mogłem zauważyć, tej niesłychanie doniosłej kwestyi absolutnie nikt nie rozumiał, może z wyjątkiem [bardzo nielicznej garstki naszych graczy życiowych, którzy mieli prawo z pobłażliwym uśmiechem odczytywać moje skromne elukubracje. Bo ja też nie jestem „graczem”, choć dziękuję Bogu, że przynajmniej pozwolił mi oostrzedz wartość kolosalną tego rodzaju uzdolnień, o ile popiera je uczciwość.

Wszystko to bardzo piękne, a jednak z trwogą można się zapytać: jak długo jeszcze będzie trwał ten stan nie tylko nieznajomości, ale wprost absolutnej niewiedomości. Nasze klasy zamożne, poniekąd oświecone, bawią się teatrem i koncertami, czytają poezję, obchodzą najrozmaitsze uroczystości, nie marząc o tem, że na świecie toczy się jakaś gra życiowa, że posiada ona gorszych i lepszych partnerów, niekiedy mistrzów i że naród, pogrążony w takim nastroju umysłowym jak nasz, przypomina stada ptaków, skazanych na pieczęć... Przepełnione więzienia, mnóstwo zmarnowanej młodzieży, ciągłe niepowodzenia polityczne, bardzo dobitnie potwierdzają słuszność tych uwag.

W tem miejscu — słówko. Nie jeden z nas spytkał ludzi młodych, dla których najwyższym ideałem jest — nie tylko ukończyć uniwersytet, ale... kilka a przynajmniej parę fakultetów... Taki łakomca wiedzy pragnąłby nauczyć się i medycyny i matematyki i historii i języków...

„Na miłość Boską, kochany przyjacielu, odpudź od siebie te złe myśli!... Najwyższym celem człowieka nie jest patent uniwersytecki, a tem bardziej kilka patentów, lecz — stworzenie czegoś nowego, powiększenie sumy ogólnej wiedzy, uczuć, pragnień, a także sił i środków. Więc nie stawiaj w swoich marzeniach — ako ideał — erudycyi, ale — *twórczość* i dąż do tego, ażeby stać się nie jakąś gadającą encyklopedyą, ale raczej odkrywcą, wynalazcą, organizatorem, lub graczem życiowym (ale uczciwym!...) choćby w najskromniejszej sferze pracy.

Jedną z form twórczości i wytwórczości jest — sztuka, inaczej: sztuki piękne, artyzm. Nie wiele powiem o tej kwestyi. Celem sztuk pięknych jest karmić ducha ludzkiego, dostarczać mu nowych wyobrażeń, nowych wzruszeń, nowych potrzeb i pożądań, lecz takich, które podnosiłyby go do nieba, a w każdym razie po nad nikczemne bagno, w jakim jeszcze pławi się nieszczęsny rodzaj ludzki.

Otóż dziś, osobliwie w powieściach, panują dwie mody: 1-mo: bardzo piękny, aż za piękny styl, 2-do: marna treść, na którą składają się życiorysy i czyny rozmaitego gatunku obłąkańców, prostytutek, morderców, złodziei, szpiegów, homoseksualistów, pretensjonalnych próżniaków it. p.

Kiedy czytam utwór tego rodzaju, mam wrażenie, że autor na złotym, cudnie rzeźbionym talerzu, daje mi padlinę, albo w kryształowych puharach — zgniłą posokę. A może jest to tylko mój pogląd dziwaczny.

Wyżej napomknęliśmy, że świat realny za pośrednictwem zmysłów niby wlewa się w duszę ludzką i wywołuje tam „świat idealny”, umysłowy, na który składają się wiadomości o przedmiotach i zjawiskach natury, o ludziach, społeczeństwie, wyrobach i utworach ludzkich, a nareszcie i o naszym wła-

snem JA. Ponieważ każdy człowiek żyje w odmiennem otoczeniu i warunkach, ponieważ nasze osobiste obserwacje i doświadczenia są dosyć ograniczone, więc, w rezultacie, każdy człowiek wytworzyłby sobie inny świat idealny i to świat ubogi, jakby poszarpany i przepełniony błędami. Co też ma miejsce w naszych czasach.

A tymczasem rozwój cywilizacyi wielkim głosem domaga się: 1-mo ażeby każdy człowiek posiadał pewną sumę najniezbędniejszych a dokładnych wiadomości o wszystkim, co go otacza, 2-do ażeby takimi wiadomościami obdarzone było całe społeczeństwo, mniej-więcej równomiernie. Cel ten osiąga się za pomocą *oświaty* elementarnej, średniej i wyższej, ogólnej i fachowej.

Jako minimum oświaty ogólnej uważałbym: doskonałą umiejętność czytania, czyli — rozumienia tego, co się czyta; umiejętność pisanja taką, ażeby człowiek mógł jasno i porządnie wypowiadać swoje myśli; cztery działania, oparte na mnóstwie przykładów, wreszcie rysunek z elementami geometrycznymi, tudzież slöjd. Obok tego znajomość higieny i etyki, a także praktyczną znajomość języka rosyjskiego i niemieckiego w zakresie dwu lub trzech tysięcy najpotrzebniejszych wyrazów.

Zd szkoły średniej stanowczo wyrzuciłbym łacinę i grecki, jako balast, zgoła nie potrzebny i kradnący czas.

Nie pchałbym do nauk wyższych młodzieży tępej; natomiast wszelkimi siłami popierałbym młodzież ubogą a zdolną.

Każdy młody człowiek, już w szkole średniej, powinien być praktycznie i teoretycznie przygotowywany do pracy użytecznej. Radziłbym przytem zaczynać od kilku zajęć a następnie — wydoskonalić się w jednym, do którego wychowanie miałyby najwięcej zamiłowania i ciekawości.

Wszelkie wykłady należy prowadzić w tym języku, w którym człowiek najłatwiej: myśli, odczuwa i formułuje swe pragnienia, to jest — w języku ojczystym. Pożądaniem jednak byłoby czytanie odpowiednich książek w języku rosyjskim i niemieckim, ażeby uczeń w przyszłości mógł sam uzupełniać wiedzę przy pomocy obcej, szczególnie zaś niemieckiej literatury.

Kto ma czas i zdolności, niech jeszcze uczy się francuskiego lub angielskiego, tak jednakże, aby nie przeładować się językami.

Ogromną, ale to ogromną wagę trzeba przywiązywać 1-mo, do tak zwanych „Wypisów”, czyli książek do czytania, 2-do do biblioteczki dla symouków. Wszystkie te książki powinny być pisane: jasno, zwięźle, dokładnie, praktycznie, treścią zaś ich powinny być wiadomości z fizyki, chemii, kosmografii, meteorologii, geografii, geologii, mineralogii, botaniki, zoologii. A dalej — wiadomości z psychologii i logiki, etnografii, socjologii, ekonomii politycznej, statystyki, historii cywilizacyi, prawa, polityki, sztuki wojennej. Bardzo ważne miejsce w Wypisach i bibliotece należałoby poświęcić nauce o Bogu i o świecie duchowym, przytaczając najwzniońsze poglądy, na jakie w sprawach tych zdobyła się ludzka twórczość.

Należałoby wreszcie otwierać dla samouków czytelnie i muzea, tudzież sale odczytowe, gdzie, przy pomocy modeli i rysunków lub w ostateczności przy pomocy ustnych objaśnień, samouk mógłby dokładnie zrozumieć tematy poruszane w jego podręcznikach.

Kładę nacisk na samductwo i samouków jest to bowiem, kto wie, czy nie najkorzystniejszy sposób zdobywania wiedzy, rozumie się przy niewielkiej pomocy osób fachowych. Zdolny samouk stanie się kiedyś panem świata. Kto zaś całkiem nie potrafi i nie ma chęci uczyć się sam, niech już sobie czasu nie zabiera.

Dopełnieniem oświaty jest — *gimnastyka* w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Celem jej powinien być: rozwój nie tylko siły i zręczności, ale także: przytomności umysłu, panowania nad sobą i odwagi. Człowiek idealnie wygimnastykowany powinien z równym spokojem pracować w statku podwodnym, jak i na aeroplanie, w kraterze wulkanu, jak i na podbiegunowej pustyni; powinien umieć chodzić, pływać, mocować się, bronić chociażby kilku przeciwnikom, lekceważyć śmierć, panować nad bólem i cierpieniami moralnemi.

Taki człowiek nie będzie niewolnikiem, ani biernym popychadłem, ale twórczym i samodzielnym obywatelem.

1884

NASZE OBECNE POŁOŻENIE.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Streszczenie i wnioski. Już kwartał ciągną się nasze rozważania nad obecnym stanem kraju. W pracy niniejszej chcieliśmy uczynić to dla naszego narodu, co dyagnosta robi dla pacjenta; chcieliśmy określić, jakim jest nasze społeczeństwo pod względem zdrowia i sił materialnych i moralnych? Rozumie się, że zamierzoną pracę mogliśmy przedstawić tu ledwie w najogólniejszych zarysach; pismo bowiem nie jest książką. Obecnie streścimy ją, ażeby ogół czytający, a raczej bi, których obchodzą podobne kwestye, mieli przee oczyma niby—mapę naszego życia narodowego,

W PARKU

Każde, a więc i nasze społeczeństwo, posiada zalety i wady. W obecnej pracy kładliśmy nacisk przeważny na nasze wady i braki, naprzód dlatego, że ich jest naprawdę bardzo wiele, powtóre — że one ogromnie ciążyą na rozwoju i przyszłości społeczeństwa, po trzecie — że gdy wykazując wady, temsamem oświeciliśmy zadania i obowiązki pracy narodo-owej. O ile bowiem potrafilibyśmy usunąć złe, czyli to, co zmniejsza i osłabia siły narodu, o tyle przyczynimy się do spotęgowania, do rozkwitu jego życia.

Szkieletem, rusztowaniem, na na którem opiera się życie społeczne, jest *dobrobyt*. Nie należymy wprawdzie do takich biedaków, jak Ńskimosi albo Kirgizi; w każdym razie, pod względem dobrobytu, znajdujemy się poniżej norm zachodnio-europejskich. Naprzykład ludzi niebo zamożniejszych mamy pięć razy mniej aniżeli Prusacy, wielkich bogabzów w rodzaju Reckfelera, a choćby Rotszylda nie posiadamy wcale, a zamożność przeciętnego obywatela Królestwa Polskiego jest z górą o 6,000 franków niższa, aniżeli przeciętnego Śrancuza,

wreszcie — ogólna charakterystyka społeczeństwa jest raczej bieda, aniżeli dostatek, co uwidatnia się w zarobkach, pokarmach, mieszkaniu, odzieży, wygodach, zdrowiu i długości życia mas ludowych.

I nie może być inaczej. Dobrobyt opiera się jakby na trzech nogach, na wytwórczości, oświacie i uspołecznieniu, a każda z nich u nas jest słaba. W szczególności nasza *praca fizyczna* jest mniej wydajna, aniżeli w Anglii, Frencyi albo w Niemczech, a zarazem jest mniej umiejętna i zorganizowana; sił mechanicznych, zastępujących ludzkie, mamy pięć razy mniej, aniżeli np Francuzi. *Oświata* stoi tak nędznie, że zgórą 70 procent ludności nie umie czytać i, rozumie się, nie ma pojęcia o dzisiejszym stanie cywilizacyi; tej zaś ciemnoty mas nie wynagradzają klasy inteligentne,

gdyż prawie nie posiadamy odkrywców, wynalazców, organizatorów, ani „graczów życiowych”. Tylko w dziedzinie spisków objawiają się zdolności organizatorskie i kierowniczo-twórcze, ale z nich naród nie ma pożytku, raczej dotkliwie straty. Nareszcie powiedzieć by można, że jeszcze gorzej stoimy z kwestyą *uspołecznienia*. Nasze klasy oświecone i zamożne prawie nie znają, nie dosyć rozumieją ciężące na nich obowiązki i mało dbają o masy ludowe, które są sproszkowane i szczególnie w miastach! ulegają podszeptom byle agitatora.

Przeciw ostatecznemu rozprężeniu i demoralizacyi jako tako walczy Kościół katolicki; a gdyby człowiek prosty nie słyszał z kazalnicy i konfesyonału, że: nie należy kraść, zabijać i t. p. nie wiadomo, jakbyśmy wyglądali...

Na homiar złego, jeżeli już sporo ludzi rozumie: czem jest oświata? i pracuje lub składa ofiary dla jej rozwoju, to bardzo mało jest takich którzy pojmują doniosłość etycznego *wychowania* czyli: pracy nad wyrobieniem

dobrych charakterów, bo złe same się rodzą i wytwarzają.

Ponure światło na brak wychowania i lichotę charakterów rzęcają nienormalne zjawiska wśród młodzieży szkolnej, jak — pijaństwo, choroby weneryczne (nawet między pensyonarkami!), częste samobójstwa, udział w tak zwanych „wywłaszczeniach”, w morderstwach politycznych i partyjnych, nawet w szpiegostwie...

Jak dobrobyt opiera się na pracy wytwórczej, oświacie i uspołecznieniu, tak znów on sam służy za podstawę wyższym formom działalności: nauce, filozofii, sztuce, polityce, religii.

Otóż *przyrodznawców* mamy w Królestwie nie wielu: skutkiem braku środków nie mogą oni samodzielnie rozwijać nauki, dzięki czemu

JÓZEF RAPACKI

metody naukowe (sprawa kolosalnej wagi) nie oddziaływają na życie, jak to naprzykład dzieje się w Niemczech. Podobnie rzecz się ma z *filozofią*, pomimo, że od kilkunastu lat istnieje i działa czcigodna redakcja *Przeglądu Filozoficznego*. Jest to podtrzymywanie iskry filozofii, ażeby nie zgasła w tym kraju, lecz nie rozświecanie zagadnień życiowych za pomocą filozofii. Także i *religia* w naszym społeczeństwie ogranicza się do praktyk a w najlepszym razie do pielęgnowania etyki; nie rozpala jednakże dusz ludzkich, ani porywa do celów naziemskich.

Sztuka, szczególnie literatura piękna, odbija nastroje społeczne i bynajmniej nie jest zdrowa. Co się zaś tyczy *polityki*, stoi ona u nas tak nisko i porusza się w tak błędnych kierunkach; że przynosi tylko szkody. Wybornym symbolem naszej „polityczności” są dwa wypadki: jeden w parlamencie niemieckim, drugi w Dumie rosyjskiej. I tu i tam przeszły prawa niekorzystne dla naszego narodu, tylko dlatego, że podczas głosowania zabrakło na sali posłów polskich, ponieważ



wyszli czy nie przybyli na posiedzenie!

Tak wyglądają nasze wady, nasze „debety”, w księdze wielkiej dziejów współczesnych. Nie jesteśmy szczęśliwi, toczy nas wiele cierpień, współcześnie jednak dużo, bardzo dużo, brakuje nam do doskonałości, nie zbyt też wielka jest nasza praca użyteczna. Nadto nie znamy i nie staramy się poznać tych wszystkich strumieni, z jakich składa się rzeka cywilizacji; mało, prawie wcale, przyczyniamy się do jej spotęgowania i — nie zawsze umiemy korzystać z jej dobrodziejstw.

Przechodząc do plusów, trzeba przede wszystkim zaznaczyć, że nasze wady nie posiadają jakiejś specjalnie polskiej cechy, lecz są ogólnie ludzkie. W świecie ucywilizowanym klasy posiadające i oświecone także nie bardzo troszczą się nędzą lub ciemnotą mas ludowych, z czego nawet rodzą się mocne nienawiści. Wielkie idee nie unoszą się nad ludami, jakgdyby ustąpiły miejsca karyerowiczowstwu politycznemu, fanatyzmowi nacjonalistycznemu i głębokiemu pesymizmowi filozoficznemu i praktycznemu. Liczba samobójstw i obłąkań wzrasta, a już w zastraszający sposób zwiększa się kryminalność wśród młodzieży.

Powtóre z czystym sumieniem możemy powiedzieć, że wielka liczba naszych wad ma źródło w niesłychanych warunkach politycznych. Dość przypomnieć wysiłki, dążące do zgermanizowania nas lub zrusyfikowania albo (rzecz nieprawdopodobna!) kary, nakładane za uczenie czytać i pisać... Wprawdzie skutki praktyczne takiego stanu rzeczy będą te same: ciemnota i demoralizacja. W każdym jednak razie inną wartość ma drzewo, któremu ktoś łamie gałęzie, a inną takie, w którym gałęzie same z siebie próchnieją. Więc i nam wolno pocieszać się nadzieją, że byle ustał system politycznych prześladowań, cywilizacja rozwinie się u nas bardzo prędko.

Po trzecie, co nie jest rzeczą błahą, pomimo niezwykle trudnych, pomimo dokuczliwych warunków politycznych, cywilizacja tli się w naszym narodzie i objawia się przy każdej sposobności. Prawda, nie mamy uczonych w wielkim stylu, bo nam ich mieć nie wolno, ale nie brak zdolnych pracowników w każdej nauce; nie mamy głośnych wynalazców praktycznych, nie mniej posiadamy ludzi, którzy nad wynalazkami pracują. Prawda, panuje wśród nas oschłość religijna i płytkość filozoficzna; nie mniej — istnieją umysły żądne filozofii i serca gorejące wyższem uczuciem religijnem.

A mamże wymieniać ludzi, którzy poświęcają wielką pracę i z trudem nabyte majątki dla tworzenia lub podtrzymania instytucji publicznego użytku? Albo te kobiety pracujące, które ze swej małej płacy odkładają jakiś procent dla zapewnienia opieki dzieciom obogim? Mam wyliczać rolników, rzemieślników, kramarzy, którzy za cenę uczciwych, a wieloletnich wysiłków i nieprawdopodobnej oszczędności, zdobywają skromne mająteczki?... A czy mam jeszcze zrobić bolesną wzmiankę, że między dziećmi ludu bardzo często zdarzają się niemal genialne zdolności, które dziś marnują się bez śladu, lecz w innych warunkach politycznych jaśniałyby nad narodem?

Biada zwyeiężonym!... ale biada i zwycięzcom, którzy marnują dusze ludzkie... Taki grzech bodaj czy może rachować na miłosierdzie Boskie.

Mimo to wszystko nie brak dowodów, że naród nasz wśród ucisku, biedy i jej skutków, stanowi materiał zdrowy, silny i zdolny do przyjmowania cywilizacji. „Objaw to godny zastanowienia — mówi *Dziennik Poznański* — że Polak, choć w nędznych żyje warunkach, stanowi nierównie podatniejszy materiał wojсковy, aniżeli Niemiec, żyjący wśród dostatków.

Jest to chyba dowód wielkiej żywotności i siły odpornej polskiego narodu”...

Polacy mnożą się szybciej aniżeli Niemcy, a nadto Polacy na obczyźnie — umieją pracować. W Westfalii jeżeli Polak stoi niżej od niemieckiego robotnika, to chyba ukształceniem fachowem; lecz i gdzież je miał zdobyć?... Natomiast wcale, ale to wcale nie ustępuje Niemcowi pracowitością, oszczędnością, pojętnością i energią. Największe jednak pochwały Polakom, „rasie ciemniejszej za morzem”, oddaje amerykański dziennik *The Daily Transcript*. „Polacy — mówi on — zdumiewają szybkimi postępami na każdym polu. Kupują najlepsze fermy i zakładają pierwszorzędne interesy w miastach. Jest to dziwna i rzutka rasa. Żaden Polak nie [lęka się] choćby najcięższej pracy, do której idzie z piosenką. Są oni oszczędni i spokojni, nie mają wielkich wymagań, ani gonią za zbytkiem, jak to czyni obywatel innej narodowości, lub rodowity Amerykanin”.

Krótko mówiąc — Polak, po za swoją uciśkaną ojczyzną, skąpany w promieniach cywilizacji i wolności, staje się dzielnym pracownikiem, inicjatorem i doskonałym obywatelem. A jeżeli takim jest w dobrych warunkach, dla czegoż nie miałby kiedy stać się równie dzielny i — w złych warunkach, ażeby go następnie poprawić? Finlandczycy należą do narodów bardzo ucywilizowanych, choć mieszkają i pracują w surowym klimacie i na ziemi bardzo skalistej. Jeżeli więc im walka

z naturą nie pochłonięła wszystkich sił, dla czegoż nam wszystkie siły mają pochłaniać ciężkie warunki polityczne? Brzemie natury nie jest lżejsze od kajdan społecznych.

I otóż staje przed nami zagadnienie socjologiczne. Jest naród zdrowy, pomimo biedy — silny fizycznie, pomimo ciemnoty i ucisku — zdolny nie tylko do wszechstronnego korzystania z owoców cywilizacji, ale nawet do pracy nad jej rozwojem. Mimo to, dzięki twardym warunkom politycznym, tudzież własnym błędom i wadom, naród ten znajduje się niżej poziomu cywilizacji współczesnej, choć wyrwa się do niej. Pytanie: co ów naród ma czynić?

Odpowiedź może być dwójaka. Albo niech zostawi rzeczy biegowi wypadków, czyli niech podda się dotychczasowemu prądowi społecznemu i duchowemu, albo — niech przeciwdziała im. Dotychczasowe prądy zahrażają nam ruiną ekonomiczną i duchową, w rezultacie — zagładą, sama więc konieczność zmusza do przeciwdziałania się. A ponieważ warunki polityczne nie zależą od nas, i, jak nieraz przekonaaliśmy się, przechodzą nasze siły, więc — pozostały reformy, ulśpszenia wewnętrzne, praca nad społeczeństwem i jednostkami, czyli nad samymi sobą.

Są ludzie, dla których praca wewnętrzna nie ma wartości; wierzą oni bowiem, że tylko warunki polityczne wpływają na udoskonalenie natury ludzkiej. Jest to błąd nie tylko zasadniczy, ale i szkodliwy: paraliżuje bowiem wszelką inicjatywę jednostek. Należałoby inaczej postawić kwestję, że warunki ekonomiczne, oświatowe i polityczne poprawią się o tyle, o ile charaktery ludzi staną się doskonalszymi.

W tem miejscu przytoczę cudzy, bardzo poważny pogląd. Gdy jeden z patriotów francuskich zapytał znakomitego historyka niemieckiego, K. Lamprechta: co sądzi o przyszłości Francji? otrzymał odpowiedź, z której powtórzymy zakończenie:

„Mogę wskazać tylko najogólniejszą zasadę ocalenia, która da się sformułować w sposób następujący: odświeżenie narodu zapomocą surowego samowychowania, zapomocą ideału religijnego, nieustannej czujności, cierpliwości w czasach ciężkich, dokładnego rozumienia rzeczywistości i — pogodnej wiary w przyszłość”.

Ani słówka o walce klas, przewrotach wewnętrznych, lub wojnie z zagranicą!...

Jakie wskazówki wypływają z naszych dotychczasowych rozważań, powiem w następnym, a zarazem ostatnim artykule.

BOLESŁAW PRUS



NASZE OBECNE POŁOŻENIE.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Konkluzja: W tem miejscu nastęrcza się kilka pytań. Najpierwszem jest: czy narody potrzebują trościć się o swoje losy, a tem qardziej—pracować nad udoskonaleniem siebie? Według niektórych poglądów dzieje narodów i całej ludzkości rozwijają się pod wpływem sił bezświadomych, które, w danym okresie czaču jedne społeczeństwa utrzymują na niższym lub wyższym poziomie, inne podnoszą nad resztą współczesnych, a jeszcze inne—spychają w otchłań politycznego upadku, zwyrodnienia i zagłady. A jeżeli tak jest, więc na co się zdały wszelkie prace nad ulepszeniem, nie tylko dobrobytu i oświaty, ale—charakterów narodowych?

Odpowiem krótko: ludzkość, przynajmniej jazotako ucywilizowana, usiłowała pracować nad ulepszeniem charakterów, za pomocą wychowania rodzinnego, klasztornego, szkolnego, wojskowego i t. p., a dążenia te w obecnych czasach raczej wzmacniają się, aniżeli słabną. W naszym np. społeczeństwie istnieje związek ruchu, popularyzującego najprostsze zasady higieny, lub walczącego z nadużyciami: alkoholizmem, karciarstwem, rozpustą. W Niemczech, Anglii, Francji istnieją książki, nawet stowarzyszenia, mające na celu „poprawę, ulepszenie rasy ludzkiej”. Japończycy idą jeszcze dalej: pragną bowiem za pomocą odpowiedniego doboru zabiegów higienicznych (między innymi reformy odżywiania)—przerobić swoją ludność małego wzrostu, na rasę o dużym wzroście!...

Gdy więc mówię do ciebie czytelniku—patryoto, że pod karą zagłady, musimy ulepszyć fizycznie i duchowo ludzi, składających naszą narodowość, to nie wypowiadam mrzonek, lecz idee, oddawna krążące w umysłowej atmosferze świata ucywilizowanego. Idee te, które dziś są ledwie nieśmiałościami życzeniami, w następem pokoleniu już mogą stać się programem przejść i w dziedzinę czynów politycznych i społecznych. A w takim razie my—znowu znajdujemy się po za ruchem cywilizacyjnym i to w najdonioślejszej sprawie i najważniejszym momencie,

Trzecia kwestya. Przypuśćmy, że praca nad „ulepszeniem rasy” fizychnem i duchowem jest konieczna, to w akcyi tej chyba żadnego nie posiadają znaczenia artykuły dziennikarskie, morały, lub zachęty w rodzaju: „a... mój kochany, rób to, nie rób zaś tamtego”... Zapewne, że samemi morałami i kazaniami nie się nie zbuduje: odezwy jednak są potrzebne, nawet niezbędne, jako wstęp do właściwej akcyi. W życiu dzieje się zazwyczaj tak, że ludzie naprzód—coś słyszą o nowej idei, następnie—dowiadują się o nich bliższych szczegółów, potem—zaczynają o niej rozmyślać, dalej—przywiązują się do niej, jeżeli odpowiada ich potrzebom i rozsądkowi, a nareszcie, powoli, stopniowo, pracują nad ich urzeczywistnieniem, zresztą nie bardzo trudząc się, nie zadając gwałtu swej naturze. Na wszelki jednak sposób, idea nowa musi być przez kogoś sformułowana i w rozmaity sposób upowszechniana. I tylko ludzie wątplych charakterów, którzy skwitowali z postępu, drwią z podobnych „kazań” i „moralizowań”. Dla ich osłabionego wzroku ducha nawet uczenie arytmetyki będzie „moralizowaniem”.

Tymczasem w arcypraktycznej Japonii, sam mikado, bóg ziemski, najwyższa powaga narodu, nie waha się „moralizować” swoich poddanych, choćby takimi oto ukazami: „Narodzie! Czcij swoich rodziców, kochaj braci, pielęgnuj harmonię w małżeństwie, ufaj towarzyszom, prowadź cię dobrze i bądź umiarkowany; życzliwością ogarniaj wszystkich ludzi, kształć się w naukach i pracy fachowej, rozwijaj siły moralne, nie żałuj trudu nad wszystkim, co jest użyteczne i rozszerzaj swoją działalność”... Nasi zbławozawa i pesymiści barzo śmieliby się z tego rodzaju ukazów, ale Japończycy, w imię ich umieli ginąć bez trwogi i odnosić zwycięstwa bez arogancyi.

Istnieje w polskim tłumaczeniu St. Michalskiego oziwna książeczka Amerykanina Prentice Mulforda p. t. „Przeciw śmierci”, którą radziłbym parę razy odczytać, a z której zrobię kilka cytat, mających bliski związek z niniejszą kwestyą. I tak, Powiesz sobie czytelniku: dobrze, uznaję ważność pracy nad „ulepszeniem naszej rasy”, naszej narodowości, ale czy my podołamy temu zadaniu, czy ono nie przekracza naszej energii i sił umysłowych? A na to odpowiada Mulford: „Kto przez „skromność” uważa najpiękniejsze rzeczy na świecie, jako zbyt wysokie dla siebie, jako niedościgłe, kto zawsze widzi się na najniższym szczeblu drabiny, zostanie, prawdopodobnie zawsze na tym samym szczeblu”. „Kto ze skromnego stanowiska potrafił wybić się na właściciela dwunastu linii kolejowych (mowa o miliarderaah amerykańskich), ten niezawodnie szedł duchowo zawsze przed swoim stanowiskiem; jeśli dosięgnął jednego stopnia, widział się zaraz na wyższym”, Albo: „Kto postanowi wybić się w swym umiłowanym zawodzie (czy w umiłowanej idei), kto

czuje, że ma takie same prawo do wielkich rzeczy, jak inni, prawdopodobnie cel swój osiągnie”.

Ala co tu mówić o filozofie amerykańskim, jeżeli jakiś Żyd besarabski wypowiada następujący aforyzm: „Żydzi, jak wszystkie narody przeznaczone do panowania, mają rozmach wszechświatowy, lot orli i lwia zuchwałość. Ta zuchwałość świadczy właśnie o zdolności narodów do panowania. Kto śmie—ten może”. Wygląda to trochę na mickiewiczowski: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił”... Nie mniej prawdą jest, że kto chce dźwignąć się na wyższy szczebel doskonałości, ten przedewszystkiem musi myśleć o tem, tego pragnąć i w tym kierunku rozumnie a wytrwale pracować. Oto przepis ogólny na podjęcie wszelkich reform, wszelkich ulepszeń społecznych.

Czemże jest owa pożądana dla nas reforma, jakie hasło ją streszcza?...—zapytasz czytelniku. Zapewne niezbęgne ulepszenia charakteru narodowego dadzą streścić się w kilku słowach, lecz poza hasłem ukrywa się mnóstwo spraw i działań. Przywykliśmy do krótkich nakazów: Dbaj o własne szczęście — mówią jedni.—Kochaj bliźniego — zalecają inni. — Módl się i pracuj. — Ucz się i badaj. — Bądź mężnym.—Bądź uczciwym.—Hartuj ciało i pielęgnuj zdrowie. — Rozwijaj ducha. — Wysubtelniaj uczucie.—Kształć wolę—radzą inni. Każda z powyższych rad jest bardzo dobra, ale ma wadę: odpowiada tylko jakiemuś jednemu uzdolnieniu Indzkiemu, czy momentowi życia, które to życie nie jest bynajmniej jednym momentem, ale mnóstwem najrozmaitszych momentów, zjawiskiem niezmiernie złożonem. Kto wybiera sobie, że program życiowy osoby a tem bardziej uarodu, można zamknąć w jednym hasle np. „bądź uczciwy”... popełnia taki błąd, jak człowiek, który pojedynczy listek nazwałby drzewem.

Program więc odnowienia narodu musi być skomplikowany, musi być *syntezą* wszystkich mądrych i uczciwych haseł, jakie wypowiedziano kiedykolwiek. A ponieważ życie społeczne, jest niby olbrzymim czynem, więc formą owej syntezy, owego programu, musi być—pojęcie *Czynu*.

Do pojęcia Czynu wchodzą następujące elementa: Działacz, który coś wykonywa, Materiał, na który wywiera działanie, Pobudka, Cel i Plan, które go pchają do działania w pewnym kierunku. Dalej: Sposoby i środki działania, Pobudka i Cel Planu, które go pchają do działania w pewnym kierunku. Dalej: Sposoby i Frodki działania, Okoliczności, pomagające lub przeszkadzające i nareszcie—Rezultat. Takim jest obraz Czynu, o ile spełnia się on metodycznie — i świadomie,

Na tem tle zobaczmy: jakiego programu trzymać się musi naród, ażeby jego życie osiągnęło najwyższy stopień potęgi i rozwoju?

Materiałem działań czyli prac społecznych, są wszystkie rzeczy, jakie nas otaczają, a więc: ludzie, natura, społeczeństwo, dzieła rąk ludzkich i twory geniuszu. Naród mnsi pracować nad wszystkim, począwszy od uprawy roli, szycia odzieży, wznoszenia bndowli, kończąc na wychowaniu dzieci, pielęgnowaniu chorych, działalności w kooperatywach, dokonywaniu odkryć w technice, naukach indukcyjnych i dedukcyjnych, nie mówiąc o sztukach pięknych.

W tych różnorodnych pracach kto odegra rolę *Działacza*? Odpowiedź: człowiek i ludzie, którzy posiadają *charakter*. Dłótem zaś charakteru, w najpiękniejszym znaczeniu tego wyrazu, jest—panowanie nad sobą. Nasze świadome i wolne JA, czyli: dusza naszej duszy, powinna tak kierować nami, jak rysownik kieruje ołówkiem, a biegły jeździec koniem, doskonałe okiełznanym i ujeżdżonym. Kierować nie tylko wszystkimi ruchami i mową, ale także: biegiem myśli, uczuciem i pragnieniami i podporządkowywać je najwyższemu ideałom.

Panowanie nad sobą jest najmocniejszą potęgą i najcenniejszym skarbem, jaki istnieje w życiu. Bez przesady powiedzieć można, że człowiek, panujący nad sobą, jeżeli nie jest władcą świata, z pewnością jest władcą swego otoczenia. Zaś sztukę panowania nad sobą można uprawiać nie tylko wśród łatwych warunków, ale i w najcięższej niewoli. Świadkiem stoik Zenon.

Pobudkami — są nasze potrzeby fizyczne i duchowe, przyjemności, które chcemy zdobyć, przykrości, których pragniemy uniknąć. Charakter zaś między innymi, polega na tem, ażeby człowiek ulegał tylko —dobrym pobudkom, a umiał zastąpić innymi, albo stłumić pobudki złe. Pobudką najpopularniejszą, najpowszechniej uznaną jest dążenie do szczęścia. Słusznie. Trzeba tylko pamiętać o następujących prawdach: 1-mo. Fundamentem wszelkiego szczęścia jest zdrowie cielesne i duchowe. 2-do. Szczęście jest niemożliwe bez czynnej pomocy ludzi, za które trzeba im płacić—również pomocą użyteczną. 3-io, Kto chce być trwale szczęśliwym, musi doskonalić siebie i swoje otoczenie. Nie ma szczęścia bez doskonalenia się ciągłego.

Istnieje miliony *celów* egoistycznych i altruistycznych: od potrzeby zaspokojenia głodu, do potrzeby zdobycia wyższej nauki, od ndzie-

lenia pomocy choremu, do prac nad podźwignięciem społeczeństwa. Przy czem niektóre cele przeszkadzają innym, albo też cele mniejszej wartości usiłują zakryć sobą cele wyższe. Aby jako tako oryentować się w tym chaosie, człowiek niech pamięta, że: obok jego indywidualności istnieją inne, mające takie same prawa jak oni, obok zaś celów indywidualnych domagają się zaspokojenia cele narodowe i cywilizacyjne. Sztnka doskonałego życia potega właśnie na tem, ażeby człowiek w nieustannej utrzymywał harmonii: cele indywidualne z narodowymi cywilizacyjnymi.

Najlepszą szkołą robienia *planów*, w wielkim stylu i samodzielnych jest filozofia i najwyższe uogólnienia naukowe. Naprzykład filozofia radzi: naprzód poznaj, zbadać, naucz się—potem rób, twórz, a dopiero później, korzystaj w sposób ogólny. Nauki zaś przypominają, że: każdy oczekiwany rezultat musi mieć dostateczne przyczyny; że każde działanie musi rozwijać się powoli i stopniowo; że w każdej akcyi marnuje się dużo sił i t. d. Kto, robiąc jakiś plan, mały czy wielki, ma te prawdy na uwadze, popełni mniej omyłek.

Nauczycielką *sposobów* jest—sztuka, czyli umiejętność robienia rzeczy doskonałych z materiału nżytecznego. Radzi ona: nie stawiaj sobie w pewnym czasie kilku celów, lecz tylko jeden; rozmaite działania, prowadzące do danego celu uporządkuj tak, ażeby wzajemnie się wspierały; dla szczegółów mniej ważnych poświęcaj mniej sił, aniżeli dla ważniejszych i t. d.

Baczną uwagę trzeba zwracać na *okoliczności*, towarzyszące naszym czynom; unikać nieprzychylnych, korzystać z przychylnych, a gdy nie ma ich w danym czasie — być cierpliwym i czekać. Ponieważ zaś w każdym, ale to każdym wypadku, niezbędnym jest dla naszej pracy współdział innych osób, więc powinniśmy łączyć się w stowarzyszenia z ludźmi, mającemi takie same cele, przestrzegać zasad rzetelnej wymiany usług, sprawiedliwego podziału zyskku, obdarzać towarzyszyów zaufaniem i życzliwością, a, w razie potrzeby, śpieszyć z braterską, bezinteresowną pomocą.

Im więcej w społeczeństwie będzie ludzi z charakterem, im działalność ich będzie uczciwsza i mądrzejsza, tem *rezultaty* dla nich i dla ogółu będą lepsze, Naród nie tylko podźwignąłby się z dzisiejszego upadku, ale jeszcze stałby się energiczniejszym i lepszym, zdobyłby siły, jakich dziś nie posiada, a warunki jego bytu uległyby gruntownej zmianie.

Dziś wyrzekają się nas: Litwini, Rusini, Żydzi; ponieważ wśród cywilizacji nie odegrywały żadnej roli, ponieważ nic nie dajemy światu, ale raczej sami zawsze na coś oczekujemy. Gdybyśmy jednak dziś stali się doskonalszymi i mocniejszymi, już jutro znaleźlibyśmy przyjaciół i tych dawnych i zupełnie nowych...

Przypuśćmy, że ten i ów czytelnik (o zbyt wielkiej liczbie nie można myśleć), uznawszy słuszność powyższych uwag, zapragnąłby przysiąść najpierwej do zreformowania samego siebie, do zdobycia lepszego stanowiska, do zgromadzenia sił użytecznych. Czytelnik ów przedewszystkiem zapyta się: od czego zacząć reformy? Na to—odpowiem cytatai z Prentice Mulforda;

„Każda duchowa skłonność, w której trwamy przez pewien czas, kieruje nas w życie ku rzeczom, odpowiadającym tej skłonności”... „Uczucie, najczęściej w nas panujące, jest siłą, która kieruje wypadki na naszą korzyść, lub zwraca je przeciwko nam”... „Odważ się, przynajmniej w fantazyi, prowadzić duże przedsięwzięcie i zarządzać wielkimi interesami”... „Bać się nieszczęścia, przewidywać przeszkody, rozmyślać o możliwych trudnościach—jest rzeczą wprost rujnąjącą i najpewniejszą drogą do nędzy”... „Już istnieje ogólne zapotrzebowanie rzeczy lepszych, niż te, jakie świat dotychczas posiada. Nie mów nigdy do siebie, że z tych lepszych rzeczy nie możesz dać światu. Możesz dać”... „Jeżeli człowiek bezustannie poprawia i udoskonalą dzieło, które kocha, świat w krótkim czasie uzna udoskonalenie i oceni je odpowiednio”... „Unikaj ludzi, którzy są zależni i tchórzliwi i przez swe ciągłe oczekiwanie nieszczęścia sprowadzają je w końcu”... „Nio można nigdy należyście rozwinąć swego interesu, jeżeli go nie kochamy i nie włożymy w niego całej duszy”.

I nareszcie: „Jeżeli jesteś przenikliwy, pełen nadziei i energiczny, i jeżeli twe przedsięwzięcie opiera się na prawie (moralnem), świat odczuje w tobie człowieka przyszłości”. I naród przyszłości!...—dodajmy na zakończenie,



NIEMCY PRACUJĄCE.

Od 1-go stycznia r. b. wychodzi w Warszawie tygodnik *Ziemia*, poświęcony krajoznawstwu. W piśmie tem, obok wybornych, oryginalnych artykułów pp. Kulwiecia, Nałkowskiego, Sawickiego, Manteuffla i innych, p. St. Thugutt zaczął drukować p. t. „W obozie nieprzyjaciół” streszczenie książki francuskiego inżyniera, Wiktora Cambona: „Niemcy pracujące”. We wstępnem słowie szanowny tłumacz wypowiada kilka doniosłych uwag, których, niestety! zaledwie część powtórzymy:

„O Niemcach pisze się u nas w ostatnich czasach zbyt mało; co gorsza, pisze się źle... A tymczasem, nawet najbardziej rozgoryczeni z nas wiedzą, że na wielu polach Niemcy są dzisiaj pierwszymi w świecie”... Z tych względów należałoby może, wbrew utartym niechęciom i uprzedzeniom, poświęcić nieco uwagi Niemcom”...

Zawsze byłem zdania, że powinniśmy nie tylko bliżej poznać Niemców, ale —uczyć się... dużo uczyć się od nich... Czem prędzej więc postarałem się o książkę Cambona i, przyjem-

do i ziarno, rujną, zjadają same siebie, ponieważ raz na zawsze odbierają swej ziemi kwas fosforowy, potas i azot”. Do takich krajów my należymy, a przede wszystkim Cesarstwo; ale Niemcy nie zubożają się w ten sposób, gdyż wywożą od siebie tylko piwo, masło i cukier, produkty, nie zawierające powyższych cennych materiałów. Tak więc, dzięki sztucznym nawozom z jednej, a mądrym wywozowi produktów z drugiej strony, Niemcy wciąż z bogacą swoje grunty; podczas gdy my, a jeszcze bardziej Rosya, wciąż ogładzamy i rujnujemy nasze ziemie.

Jeżeli praca rolna Niemców zdumiewa, to już górnictwo i fabryczna wprowadzą w osłupienie. W r. 1907, w zagłębiu rzeki Ruhr, wyrobiono około 9 milionów tonn żelaza i stali i wydobyto około 100 milionów tonn węgla. Gdyby to wszystko władować na wagony i ustawić je sznurem, wówczas pociąg, zawierający metal, miałby przeszło 6,000 wiorst długości, a pociąg z węglem dwa razy opasałby kulę ziemską, więc mierzyłby przeszło 75 tysięcy wiorst. Trzeba dodać, że ta straszliwa produkcja bynajmniej nie grozi zbyt rychłym wyczerpaniem pokładów rudy ani węgla!...

na reklamach drukowanych; jeszcze bowiem wysyłają swoich techników, niby apostołów, ażeby cały świat uczył się posługiwać się anilinowymi farbami.

Idźmy dalej. W Hamburgu, który przypomina Wenecję, znajduje się 35 wiorst kanałów, 520 mostów i 780 potężnych żorawi; pięciopiętrowe magazyny, jeden przy drugim, ciągną się na długości 30 wiorst. Nad warsztatami okrętowemi Blohma, na wysokości 14 pięter, wznosi się stalowy jakby baldachim, długi na 330 metrów (trzecia część wiorsty!), szeroki na 70, do zawieszania pomostów, na których pracują robotnicy okrętowi. W tychże warsztatach działa dock pływający, długi na 350 metrów, szeroki na 30; w ten dock wjechał dla naprawy jeden z największych statków, „Maurytania”, ważący 33 tysiące tonn, i został podniesiony na 11 metrów, po czym wodę z docku usunięto w ciągu półtorej godziny.

Jedną ze specjalności niemieckich są przyrządy elektrotechniczne; warsztatów, wyrabiających je, istnieje w Niemczech około 1,500. Do ważniejszych zadań tej gałęzi techniki należy przenoszenie siły elektrycznej na większe



Szkoła politechniczna pod Gdańskiem.



Dzwon w Baurach.

nie zdumiony, przekonałem się, że jest ona jakby żywym dopełnieniem, jakby ilustracją tych poglądów, którymi kilka miesięcy dręczyłem czytelników w „Naszym obecnym położeniu”. A oto w jaki sposób francuski autor zamyka swoje niezwykle interesujące dzieło:

„Tylko bieg wypadków okazać może, do czego jest zdolny naród, obdarzony zaletami, cechującymi Niemców: miłością wiedzy, pracą szlachetną, wiarą w siebie, śmiałą inicjatywą, duchem organizacyjnym, porządkiem.”

Dzieło Cambona wydaje mi się tak ważne, tak pouczające, tak potrzebne dla polskiego czytelnika, że postanowiłem je streścić, niepewny, czy uda mi się, pomimo całej zwięzłości, zamknąć w jednej kronice ogromny materiał. W każdym razie —spróbuję.

Praca niemiecka na każdym polu jest mądra i jest olbrzymia pod względem: ilości, wymiarów, siły... Rolnik niemiecki zbiera z morgi 15 do 20 tysięcy kilogramów buraków i 12 do 20 tys. kilogr. liści buraczanych; te ostatnie suszy i ma z nich wyborną paszę dla bydła. W całych Niemczech zbierają 45 milionów tonn kartofli (tonna waży 2 i pół tysiąca funtów), których część również suszą nowo odkrytymi sposobami i karmią nimi trzodę chlewną. Dla utrzymania zaś żyzności gruntu wkładają weń rocznie 8 i pół miliona tonn sztucznych nawozów: soli potasowych, fosfatów, superfosfatów, saletry i t. p. Ale nie na tem koniec.

„Kraje —mówi Cambon—które wywożą by-

W tym samym basenie, na powierzchni 1,500 wiorst kwadratowych, znajduje się dwaście miast, mających przeszło 100 tys. ludności i tyleż liczących od 40 do 100 tysięcy. Kopalń i fabryk jest takie mnóstwo, że, gdziekolwiek spojrzeć, widzi się las kominów. W samych zakładach Kruppa dymi się 150 kominów, a w posiadłościach Thyssena autor, narachowawszy 200 kominów, przerwał i twierdzi, że naliczył zaledwie trzecią część widzialnych w trzywiorstowym promieniu.

W fabrykach Daniel et Lueg widział autor kawały stali, ważące 60,000 kilogr., wielkości dużego pieca kaflowego. U tych samych właścicieli, zamiast wstrząsających ziemie młotów parowych, działa cicha prasa hydrauliczna o ciśnieniu 6,000 tonn!... W fabryce maszyn Berauthera wyrabiają się żorawie pontonowe do podnoszenia bardzo wielkich ciężarów; niektóre z tych machin są wysokie na 19 pięter i mogą podnieść od 150 do 200 tonn. Nawet marynarka angielska kupiła taki żoraw, ponieważ, gdyby go zbudowano w Anglii, kosztowałby o 80,000 franków drożej...

Spojrzymy na inne gałęzie przemysłu. Fabryki farb anilinowych i produktów farmaceutycznych miewają po parę tysięcy robotników, po paruset chemików z uniwersyteckim wykształceniem, własne drukarnie do reklam, kilkadziesiąt telefonów, setki agencji na całym świecie i po kilka milionów marek czystego zysku rocznie. Fabryki te nie ograniczają się

odległości; otóż berlińska firma Siemens i Schuckert, w pewnej miejscowości w Hiszpanii, przeniosła siłę 30 tysięcy koni na odległość 240 wiorst.

Jeszcze jedną z osobliwości przemysłu niemieckiego są zakłady Zeissa, wyrabiające przyrządy optyczne, idealnej doskonałości. Tam w ciągu roku odlano i wypolerowano soczewkę lunety astronomicznej o średnicy 1 metra; tam również wyrabiają się soczewki o półtora milimetrowej średnicy, a kilogram takich szklanych kropelek byłby wart 12 milionów franków... Na nieszczęście nawet pracownicy dzisiejszych robotników nie zobaczą owego „kilograma”, gdyż dla osiągnięcia podobnej wagi potrzeba aż 300,000 soczewek.

Omało nie zapomniałem: firma Siemens i Schuckert zbudowała wagon tramwajowy elektryczny, który będzie kursował między Berlinem i Hamburgiem z szybkością... 210 wiorst na godzinę.

Pomijam krótkie, lecz charakterystyczne opisy wielkich fabryk, które na dziesiątki tysięcy liczą swoich robotników, posiadają hale rozległe, jak place, a wysokie, jak kościoły, kosztują miliony i miliony przynoszą w zysku. Nawiasowo tylko wspomnę, że nawet tak drobny napozór przemysł, jak karty pocztowe, ma wielkiego przedstawiciela w firmie Trenklera w Lipsku. Fabryka zatrudnia 750 robotników i wytwarza 3 miliony kart pocztowych tygodniowo.



Po Belgii i Anglii Niemcy najęśniej są poprzecinane kolejami żelaznymi; ich wagony należą do najwygodniejszych, a dworce—wprost wspaniałe. Dworzec hamburski, który kosztował 100 milionów marek, posiada chodnik ruchomy i wszelkie potrzebne instalacje mechaniczne. Jego przysionek ma ze 200 kroków długości, około 40 szerokości, a sufit wznosi się na wyżynie siedmiu pięter. Dworzec drezdeński składa się z dwu kondygcji, obsłu-



Dalekowiedz astronomiczny u Zeissa w Jenie.

guje kilkanaście par dróg żelaznych, mieści w sobie, oprócz biur kolejowych, sklepy, restauracje, salę do pracy, pocztę, telegraf i t. p. a kosztował 75 milionów. Wogóle o wygoda i przepychu niemieckich dworców kolejowych my, przywykli do budynków „priwiłsłinskih”, nawet pojęcia nie mamy.

Toż samo z komunikacjami wodnymi. Takie np. zagłębie Ruhr przecięte jest siecią kanałów, długich na kilkadziesiąt wiorst, z których każda kosztowała milion marek. Zaś wszystkie owe kanały zbiegają się w reńskim porcie Ruhrort, przez który przepływa rocznie 50 do 55 tysięcy statków... Taki Hamburg jest największym portem w Europie; rezydują w nim zarządy instytucji przewozowych morskich, wysyłających w 150 kierunkach ogromne statki do wszystkich części świata. Wśród instytucji tych najpotężniejsze jest Towarzystwo żeglugi hambursko-amerykańskie, na którego wspianym gmachu agencji londyńskiej pyszni się napis: *Mein Feld ist die Welt*, co w wolnym przekładzie znaczy: „Cały świat jest polem mojej działalności”.

„I naprawdę już dziś niema chyba na ziemi zakątka, do którego nie trafiłby okręt, kupiec, towar, technik i kapitał niemiecki... „Jego pionierzy, jego prospekty, informatorowie polityczni i ekonomiczni szperają, badają, rachują, intrygują, zdobywają koncesje”... Eksploatują wyspy oceaniczne puste, ale obfitujące w fosfaty naturalne. W Norwegii zakupili pewną liczbę wodospadów, reprezentujących siłę 500 tys. koni parowych. Na całym półwyspie skandynawskim nabywają kopalnie żelaza. W Brazylii są właścicielami piasków, mieszczących w sobie rzadkie metale, jak: thorium, uranium, cyrkon, niezbędne do lamp elektrycznych. Cóż wobec tego znaczą dla nich nasze kopalnie węgla?... Materiał na jeden podwieczorek!...

Gdyby nasz ukochany rodak posiadał takie

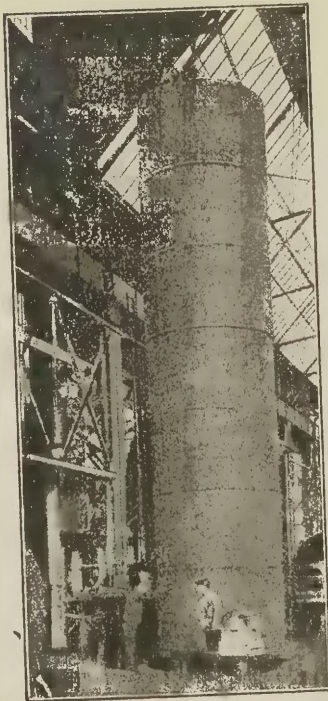
bogactwa, jeżeli nie zaważałby głową o niebo, to już w żadnym razie nie raczyłby spoglądać na ziemię i jej marne sprawy. Ale Niemiec, obok wszechświatowego rozmachu, umie być oszczędnym, „umie—jak mówi Cambon—wydobywać kwintesencję rzeczy.” Więc w portach morza północnego urywają główki śledziom (w samej Altonie 30 tysięcy kilogramów dziennie!), wytapiają z nich tłustość, a części twarde mielą na mąkę bardzo pożywną dla trzody. Więc gdzieś indziej gromadzą zużyte puszki po sardynkach i wytapiają z nich cynę. Więc w Berlinie zbierają śmiecie, sortują, popiół biorą do nawozów, gałgany zużywają w odnośnych fabrykach, a resztki pokarmowe przerabiają na żywność—znowu dla trzody.

Obrzydliwe skąpstwo?... Nie, to wielka mądrość. Ten sam bowiem naród umie wydawać miliony na oświatę, na badania naukowe, na wynalazki, jeszcze nie istniejące, i w ogóle na interesy, które dopiero kiedyś przyniosą zyski.

Pewien młody inżynier przedstawił właścicielowi hut nowy projekt, dotyczący wyrobu stali, dodając, że jest wyborny, ale—kosztowny.

— Powiedz p annajpierwej, czy twój sposób jest dokładny, oszczędny i szybki; koszt przeprowadzenia go to rzecz drugorzędna...

Charakter ludzi i narodów najwyraźniej uwydatnia się nie w pomyślności, ale w niepowodzeniach. Otóż i w tym wypadku Niemcy dobrze zdają egzamin. „W czasie przesileni przemysłowych, kiedy ludzie najłatwiej tracą głowę, u Niemca nie stygnie zapal, nie słabnie wiara w siebie, nie zmieniają się projekty. Właśnie wówczas składają oni największe dowody cierpliwości, śmiałości, dzielności, jakgdyby pamiętali słowa Goethego: „Człowiek tyle jest wart, co jego czyni.”



Olbrzymia nitownia w zakładach Borsiga.

„Żaden zakątek kuli ziemskiej — mówi Cambon — nie wymknął się przed ich płodną zabiegliwością, ich śmiałą inicjatywą i porządkiem, dziejącokrotnie pomnażającym ich potęgę. Ale narody, które zamykają się w marzeniach o minionej chwale, spokojne wśród bogactw nagromadzonych, albo niepokojące się chmurną terrazniejszością, te narody nawet nie domyślają się, jak nieuleczalny i ostateczny grozi im upadek.”

Po plastycznych obrazach niemieckich powodzeń Cambon w jasny i pouczający sposób ukazuje źródła ich tryumfów.

BOLESŁAW PRUS.



Choinka u „Wrót Sahary”.

Dzień wigilijny i Bożego Narodzenia zastał mię zdala od moich blizkich w oazie Biskrze, która słusznie nazywa się „Wrótami Sahary”, leży bowiem na skraju tej ostatniej u stóp gór.

Boże Narodzenie jest tu najzupełniej pozbawione tego charakterystycznego nastroju świątecznego, który je cechuje u nas. Żadnych przygotowań, żadnych zmian w codziennym trybie życia.

Dzień wigilijny przeszedł zupełnie bez wrażeń. Sklepy otwarte, wszyscy pracują od rana do wieczora, jak codzień. Jeny wieczorem przeszedł z bębniem przez część europejską oazy pachol miejski, wywoływacz, i po uprzednim wielokrotnym bębnieniu ogłosił światu i biskrzanom tubalnym głosem, tak jak obwieszcza rozporządzenia władz, lub licytację, że dnia 25 grudnia, w dzień Bożego Narodzenia ma być urządzona dla dzieci francuskich choinka, dzięki staraniom komitetu miejscowego, na plantach miejscowych na małym placu przed „Hotel des Zibans”, gdzie mieszkam.

Jakoż na drugi dzień, pomimo otwartych sklepów i zajęć codziennych, może tylko mniej ożywionych i intensywnych, około godz. 10-ej przystąpiono do ubierania „choinki” w miejscu ładnym, ale jako tło nie nadającym się do choinki, która na tle zieleni drzew gumowych mało odbijała.

„Choinką” był młody cedr, niezbyt równy, ale lepszego nie było, a palmy być nie mogły. Ubrano go różnobarwnymi cackami szklanymi, jak u nas, a u jego stóp i na stoliku ułożono zabawki, dla dzieci przeznaczone, opatrzone numerami i nazwiskami. Cedr posypano mąką, która śnieg udawała, z małym, co prawda, powodzeniem, ale, jak na ten klimat, i tak śniegu było za obficie. Słowem, drzewko było wspaniałe, ciec nasze dzieci trochęby nań krzywiły nosem. Wokół stanęły ławki dla dziatwy, a jeszcze dalej stoliki i krzesła dla widzów.

O godzinie drugiej zeszły się dzieci, w ławkach zasiadły, a dwoje z rodziców przy pomocy dwu służących Arabów przystąpiło do rozdawania upominków i zabawek, odczytując numery i nazwiska i wywołując kolejno dzieci. Późem obdarto cedr-choinkę z cacek, rozdając je bądź dzieciom francuskim, bądź gorsze i tańsze także i dzieciom arabskim, które się tu też zbiegły, chociaż w liczbie niewielkiej. Przez ten czas widzowie—i ja byłem w ich liczbie—siedzieli przy stolikach w rzędach dalszych, popijając kawę lub piwo.

Fotografie załączone przedstawiają parę faz tej uroczystości.

Wreszcie dwu Arabczyków przyniosło dwa kosze ciastek, których rozdanie zakończyło całą uroczystość. Pozostało ogołocone drzewko z połamanymi gałązkami.

Wieczorem o godzinie 9-tej w miejscowym „Casino” odbyło się przedstawienie (w rodzaju „Café chantant”), polegające na „zeurepeizowanym tańcu brzucha”, wykonanym kolejno przez cztery dziewczęta, przebrane za Syryjkę, Turczynkę, Greczynkę i Maurytankę, oraz na śpiewie kupletów przez specjalnie sprowadzoną „Paryżankę” z Algieru, która śpiewała niezłe, tamte zaś tańce były niezdarne, prawdziwie „pour les étrangers” jak tu miejscowi zowią każdą rzecz nieudaną, drogą, a tylko do zamydlenia oczu służącą.

Dzień następny, chociaż nim była niedziela, zastał już wszystkie sklepy otwarte, lecz przyznać trzeba, że pracowano mniej i trochę od niechcenia. Dało mi to możność skorzystania z miejscowej pracowni fotograficznej, aby wywołać fotografie, które załączam.

Tak spędzili święta Bożego Narodzenia na skraju pustyni przedstawiciele narodu, który, pracując za siebie i za leniwych do niemożliwości Arabów, zmienił Biskrę drogą sztucznych irygacji z lichej oazy w jeden ogród i, wydzierając pustyni ziemię piędz po piędzi, wzbogaca siebie i żywi podbitych przez się głodnych dawniej autochtonów. W Biskrze każdemu rzuca się w oczy przedewszystkiem żywa ilustracja starej sentencji, bardzo prawdziwej. „Nie ci władają ziemią, co ją



BOLESŁAW PRUS.

Przyczyny

niemieckich powodzeń.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Widzieliśmy tedy pracę Niemców, ogromną ze względu na ilość wyrabianych przedmiotów, rozmiary, siły, teraz zobaczymy skutki pracy. W roku 1870 Niemcy i Francja miały jednakową liczbę mieszkańców: po 33 milionów; dziś, prawie na takiej samej przestrzeni Francja liczy około 40 milionów, Niemcy około 64 milionów. A ponieważ człowiek pracujący, oświecony i uczciwy stanowi największe bogactwo społeczne, łatwo więc obraćbować, o ile zasoby Niemie zwiększyły się w porównaniu z francuskimi.

Dzięki mądrej gospodarce rolników wzrosły zapasy zbóż, dzięki zaś staraniom o rozwój przemysłu morskiego, wprowadzeniu do rybołówstwa parowych łodzi i fabrykacyi łodu sztucznego, handel rybami potroił się w ciągu lkt 25. I już dziś rybacy niemieccy mówią z dumą, iż wkrótce „morze będzie karmiło ziemie”.

Wprawdzie Niemcom daleko jeszcze do zapasów gotówki, jakie posiada Francja, mimo to wciąż bogacą się a kiedy w roku 1883 kapitały złożone w bankach wynosiły 1500 milionów, dziś przekroczyły sumę 4.000 milionów.

Wzrastającą zamożność Niemiec ilustruje do pewnego stopnia historia Lipska. W roku 1870 miasto liczyło 100 tys. ludności, dziś—przeszło pół miliona. Jego budżet roczny dosięga 60 mil. franków, czyli: gdy mieszkaniec Lipska płaci 113 fran. podatków municypalnych, to mieszkaniec Lyonu, trzeciego miasta w przebogatej Francji, płaci tylko 43 frankil... Ale też Lipsk posiada wspaniałe parki, liczne skwery, place, 130 wiorst ulic wysadzanych drzewami i budowle wspaniałe a przynajmniej kosztowne. Na gmachy pocztowe wydano blisko 3 mil. franków, na geldę—blisko 2 mil., hale produktów spożywczych kosztowały prawie 5 mil., sad najwyższy 7 i pół mil., gelda księgarska 2 mil., ogród palmowy i zoologiczny prawie półtora mil., gimnazjum królewskie 1 mil., biblioteka miejska przeszło milion, zakłady gazowe 3 mil., nowy ratusz, w którym mieści się 480 biur, kosztował 8 i pół mil. franków.

Wielka dbałość o wypełnianie przepisów higienicznych w korzystny sposób wpływa na zdrowie mieszkańców. W Berlinie śmiertelność ogólna zmniejszyła się prawie o 5 na 1.080, śmiertelność dzieci spadła do połowy, liczba zgonów z suchot zmniejszyła się także blisko o połowę. Na ogólny stan zdrowia ludności niemieckiej a powiedziałbym, że, i na poczucie jej godności wpływa... czystość fizyczna... W Niemczech jest mnóstwo łazienek, Niemcy kąpią się często, ich zaś ideałem jest, kąpać się co tydzień. Wobec tego człowiek ze wstydem i bólem przypomina sobie nasze niechlujstwo, które poniża nas nie tylko wobec Niemców. „Pijany, jak Polak... Brudny, jak Polak...” oto przysłowia francuskie na nasz rachunek... „Niespokojni kłótlwi i brudni”... oto opinia Niemców o nas. Rzeczy te trzeba głośno mówić, gdyż inaczej do końca świata będziemy dostarczali materiału do bardzo przykrych konceptów. A przecież chzba łatwiej byłoby myć się, aniżeli naprzykład, wygnać z kraju przemysł niemiecki!..

Niemcy są więc bogate, bardzo bogate, jeżeli nie w złoto i srebro, to w ludzi, w żelazo, węgiel i narzędzia do pracy. Jakim sposobem doszli oni oni do tego stanu zamożności?... który dodajmy—zwiększa się z roku na rok.

Przedewszystkiem posiadają mnóstwo dzielnych robotników. Wprawdzie — według Cambona—robotnik niemiecki jest mało zdolny, niezbyt zręczny, nie dość starannie wykończa swoje wyroby, nie posiada dobrego smaku a co ważniejsze: brak mu inicjatywy. Lecz natomiast ma on oświatę elementarną i bardzo dobrą fachową, posiada zimną krew, jest pilny, posłuszny i włożony do porządnego odrabiania czynności zbiorowych. Takimi odznaczając się zaleciami, gdy znajdzie doskonałych kierowników, może dokonywać dzieł wielkich.

Otóż Niemcy posiadają doskonałych kierowników. Według Cambona szefowie dużych przedsiębiorstw są nie tylko ukształtani w swej specjalności, nie tylko umieją rachować, nie tylko w działaniu przestrzegają porządku i metodyczności. Są to jeszcze wyborni organizatorowie, którzy całą duszą dbają o pomyślność swego interesu, ciągle myślą o ulepszeniu go.

rozszerzeniu, o coraz doskonalszych machinach i narzędziach. Nadto zaś ci kierownicy przedsiębiorstw są to ludzie z charakterem. Nieustrudzeni w pracy, uparci w pokonywaniu trudności, bardzo samodzielni, przeornii, umieją być śmiałymi i stanowczymi. Kiedy towarzystwo żeglugi Hamburg-Ameryka przechodziło kryzys a rząd cesarstwa chciał mu pomóc z pomocą, jenerałny dyrektor Ballin (czy nie był kiedy Balińskim?..) odrzucił propozycję, mówiąc: „Żegluga może rozwijać się tylko dzięki swobodzie. Kto nie potrafi przetrzymać lat złych, poniesie skutki swej niemocy. Kto nie zdolny iść o własnych siłach, zmarłszy prędzej lub później”...

Zkądże się biorą w Niemczech owi dobrane przygotowani robotnicy, tudzież ich doskonali szefowie? Charaktery samodzielne i przeorne wyrabiają się w trudnych warunkach życia. Gdy człowiek parę razy przekona się, że bezmyślne, nieporządne lub niedość energiczne działanie przynosi mu szkody i gdy zmiarkuje, że tylko na własną głowę i ręce można liczyć, wówczas bierze się do pracy, do panowania nad sobą, co jest źródłem charakterów. Lecz ażeby ta praca szlachetna wydała największe możliwe rezultaty, musi dokonywać się się pod kierunkiem: nauk i filozofii.

Otóż Niemcy pod temi względami byli i są szczęśliwie: nie tylko bowiem żyją wśród twardych stosunków, ale jeszcze mają gdzie czerpać wskazówki. Do wykłaea nauk stosowanych istnieje tam 11 politechnik, do wyższej wiedzy ogólnej—21 uniwersytetów, a poza niemi—mnóstwo, wielkie mnóstwo średnich i niższych szkół lub kursów fachowych. W uniwersytetach kształci się 40 tysięcy. w politechnikach 12 tysięcy młodzieży; na więc kto wśród społeczeństwa apostołować najogólniejsze wyniki nauk i filozofii.

W Niemczech na naukę nie żałują pracy, ani pieniędzy. Uniwersytet lipski kształci przeszło 5.000 studentów, jego roczny budżet wynosi 4 miliony z czego półtora miliona wydatku przypada na wynagrodzenie profesorów i służby. Niedaleko od uniwersytetu znajduje się gmach biblioteczny, który kosztował 3 miliony, posiada pół miliona tomów a może pomieścić przeszło milion. Prócz tego do uniwersytetu należy kilkadziesiąt różnych instytucji i klinik; odczytów jest mnóstwo dzielą się na 64 różnych gałęzi jak, filozofia, prawo, matematyka, nauki przyrodnicze, filologia, teologia i t. d.

W politechnice hanowerskiej 105 profesorów wykładają 135 przedmiotów. Hala maszyn posiada wszelkiego rodzaju motory, w innej sali znajdują się okazy najrozmaitszych wyrobów fabrycznych, jeszcze w innej mnóstwo modeli. Sale wykładowe niewielkie, znakomicie wentylowane i oświetlane, a obok nich znajdują się podręczne gabinety dla profesorów wykładających. Politechnika gdańska gdzie kształcą się inżynierowie okrętowi i wolni, składa się z kilku ogromnych budynków, uzgadnionych z jak największym wygodą, zapatrzonych we wszystkie okazy potrzebne do wykładu. Dość powiedzieć, że profesor ma pod ręką prąd elektryczny o dowolnym napięciu, naczynia z powietrzem zgęszczonem i płynnem, z wodorem, tlenem i t. p. Potrzebne zaś narzędzia sprowadzają się z gabinetów na salę wykładową zapomocą windy albo wagoników. Do osobliwości szkoły należy ośmiopiętrowa wieża ze zbiornikiem wody, tudzież 11 piętrowy komin, na który uczniowie muszą wchodzić po żelaznej drabinie, ażeby przyzwyczaili się do zawrotnych wysokości. Rozumie się, że dla budowniczych prawa taka jest potrzebna.

Oook uniwersytetów i politechnik ogromna liczba szkół technicznych niższych: w jednych kształcą się piwowarzy, w innych tkacze, farbiarze, elektrotechnicy, chemicy. Istnieją również kursy dla młodych praktykantów: cieśli, malarzy, stolarzy, tokarzy i t. d. Stowem, kto chce, uczyć się może, czego dusza zapagnie. Do wszystkich tych instytucji przyjmuje się i cudzoziemców, którzy płać okolo czterech razy więcej, aniżeli rodzimie Niemcy—i słusznie.

Rezultat ostateczny—pozałtający: jest nim olbrzymi rozwój przemysłu, transportów i handlu niemieckiego. Trzeba jeszcze wspomnieć, jako bardzo ważne uzupełnienie, że berliński urząd patentowy wydaje rocznie około 35 tysięcy świadectw na nowe wynalazki.

Tu następują się porównania. Według p. Wł. Studnickiego—„ogółem polskiej młodzieży akademickiej w Europie i Rosji możemy rachować na 11 do 12 tysięcy. Innemi słowy: w stosunku do ludności, mamy tylu akademików co i Niemcy, akurat tylu. Gdzie jednakże i jaki jest wpływ tej młodzieży na cywilizację naszego społeczeństwa? a jeszcze bardziej: ile patentów na wynalazki zdobywają co roku Polacy?... Posiadamy więc oświatę wyższą, ale jest ona niepraktyczna, jakby martwa, co wobec nader żywotnej i praktycznej oświaty niemieckiej stanowi poważne niebezpieczeństwo. Ory jaką uwagę znajdujemy u Cambona: „Studenti cudzoziemscy, od których roi się Berlin, Lipsk, Monachium, powróciwszy do siebie, staną się apostołami metod niemieckich, wytworzą Niemcom konkurencję, rozumie się nie wszyscy”. Ci z nich bowiem, którzy należą do ludów starych, leniwych, lub zdezorganizowanych, ci wróciwszy do domu, bardzo predko poddadzą się natogiem swego kraju. Miałem kolegę Turka, który w Szkole Centralnej był pilny i zdolny, lecz gdy w dzieście lat później spotkałem go w Konstantynopolu, żył już w swym haremie i, paląc fajkę, drzemał na jedwabnych poduszkach”.

Nasza młodzież równie odznacza się pilnością i zdolnościami w zagranicznych zakładach naukowych: lecz gdy wróci do kraju, tak gdzieś ginie, jakby i ona rozpytnęła się w dymie fajek, wśród jakiegoś haremu...

Murowaną podsiawą pracy, dobrobytu i wyższej cywilizacji niemieckiej są ich zakładniczy społeczeń. Jak u nas istnieje przysłowie: „gdzie dwa Polaków tam trzy złania”, tak o Niemcach krąży pogawędka, że — „gdy zjeli się ich dwa, zaraz szukają trzeciego, ażeby zawiązać stowarzyszenie”. To też w Niemczech pełno stowarzyszeń i powstają coraz nowe: w samym Lipsku Cambon naliczył 2.600, czyli jedno na każde 200 mieszkańców. Niektóre stowarzyszenia są wprost potężne, np. do „wolnych syndykatów” należy w Niemczech przeszło 2 miliony robotników, z rocznym dochodem 63 milionów, z kapitałem rezerwowym 43 milionów franków. Zaś obok wolnych, istnieją jeszcze stowarzyszenia robotników katolickich i chrześcijańskich, liczące również setki tysięcy członków. Dla zrównoważenia tej potęgi patronowie posiadają własną organizację bardzo bogatą i karną.

Wogóle robotnikom w Niemczech jest dobrze. Mają prawo stowarzyszania się, mają państwowe kasy dla chorych i starców, rząd surowo przestrzega, ażeby patronowie nie krzywdzili robotników i ściśle wypełniali przepisy higieniczne. Mimo to patronowie ze swej strony, całkiem dobrowolnie, starają się ułatwiać robotnikom życie i pracę. Budują dla nich domki z wygodami i tanieniami mieszkaniami, zakładają restauracje, sale koncertowe, szpitale, przytulki dla położnic, a w niektórych fabrykach robotnicy otrzymują nawet odzież do pracy. Wszystko to jednak nie usuwa głębokiego zatargu między kapitałem i pracą, który tylko dlatego nie przybiera form ostrzejszych, że zarówno między robotnikami, jak i patronami znajduje się bardzo wiele osobistości rozumnych i uczciwych.

Cambon opowiada charakterystyczny przykład uspołecznienia niemieckiego. Na niektó-

rych placach miejskich są szafki, otwierające się za wrzuceniem 10 fenigów, zaś w szafce—księga adresowa. „Otóż—mówi Cambon—po poradeniu się księgi, Niemiec nigdy nie zaniedbuje zamknąć drzwiczek”... Proszę wyobrazić sobie podobną szafkę z księgą adresową na którym z placów warszawskich!..

Musimy kocyć, Niemcy są silnym i niebezpiecznym przeciwnikiem, ponieważ umieją pracować solidarnie, energicznie, twórczo i mądrze. Chcąc zatem oprzeć się ich naciskowi, trzeba przeciwstawić nie jałowe demonstracje, albo pogróżki, które nikogo nie przestraszają, ale jeszcze większą pracę, jeszcze większą energię, solidarność, twórczość i mądrość. O hakatyzmie nie wspominał, ten bowiem prąd polityczny, oparty na kłamstwach, gwałceniu praw boskich i ludzkich i demoralizacji czynników, przyjmujących w nim udział, szkodzi przedewszystkiem samym Niemcom, zatruwa ich duszę i, prędzej czy później, musi upaść, jak każde sztucznie wywołane zjawisko. A tymczasem, co mamy robić my, Polacy?...

Pewnego dnia francuski kapitan Duval zapytał japońskiego putkownika:

— Czemu ostatecznie przypisujecie swoje zwycięstwa?...

— Naszej cierpliwości—odpowiedział Japończyk. Dziś na wojnie, człowiek, który potrafi cierpieć przez szesnaście godzin, zwycięży tego, który wytrwa tylko czternaście godzin. Otóż Japończycy umieją cierpieć długo”... Podobnież i my, Polacy, musimy nauczyć się znoszenia długich cierpień, nie zapominając wśród nich o najwyższym ideale, o ciąglem udoskonalaniu się zapomocą prac użytecznych dla nas i dla cywilizacji.

BOLESŁAW PRUS.



KWIATKI ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU.

KRONIKA TYGODNIOWA.

„Istnieje—mówi Oliwer Lodge, znakomity fizyk angielski—istnieje we Francji i we Włoszech duch walki przeciw powagom: mimo to spostrzegłem, że w owych krajach żywo interesują się podstawami wiary a nawet zasadniczymi ideami pierwotnego chrześcijaństwa. Również wiadomo, że kwestyami tego rodzaju zajmują się ludzie w Rosji, Niemczech i innych krajach”.

My ntestety! nie należymy chyba do krajów „interesujących się podstawami wiary” lub „pierwotnymi chrześcijaństwem”. Bo oto co mówi o nas jeden z pracowników na tem polu, profesor Ignacy Radliński: „Od wieku Dzieje Krytyki Biblijnej w coraz to pośpieszniejszym tempie się rozwijające, coraz to szersze zataczając koła, przedstawiają już setki nazwisk badaczy i przedstawicieli. Wśród nich atoli daremnie poszukiwalibyśmy polskich. Ta nauka jakby była dla naszych niedostępna umysłów... Rozważając ten fakt, zapytać siebie możemy, czy to są wyniki umysłowego upośledzenia plemienneho. Wspaniała praca Tadeusza Grabowskiego: „Literatura aryńska w Polsce” dostarcza wskazówek, że mogło jednakże być inaczej, a więc co do upośledzenia umysłowego poniekąd nas uspakaja”.

Już niejednokrotnie ośmielałem się zwracać uwagę czytelników na olbrzymią doniosłość kwesty religijnych dla społeczeństw, dodając jednocześnie, że sprawy tego rodzaju nie mogą i nie powinny ograniczać się na mechanicznym odstawianiu pacierzy, albo bezmyślnym wyznawianiu dogmatów, lecz ażeby przyniosły pożytek, muszą być rozumiane, rozumiane i świadomie, samodzielnie, wykonywane.

Jestem prawie pewny, że dzisiejsza religijna obojętność nasza musi ulegć zmianie. Może warunki do tej zmiany przygotowują jeszcze mało dziś popularne dzieła tegoż prof. Radlińskiego („Dzieje jednego Boga”—Dzieje jednego z Synów Bożych). Może nawet odegra w tem jakąś rolę, pomimo wielu nietaktów, *Myśl Niepodległa*... A może wejdą w grę inne, obecnie nieznane czynniki.

Sprawami religijnymi zajmować się mogą nie tylko pobożni czciciele dogmatów albo teologowie. Kto wie, czy nie potężniejszy wpływ w tym kierunku wywołują prace historyków, przyrodników, fizyków, psychologów, albo—natchnienia poetów. I kto wie, czy nie pod wpływem jednego z takich właśnie natchnień, p. Leopold Staff przełożył na nasz język niezwykłą książkę p. t.: „Kwiatki Św. Franciszka z Asyżu”. Tytuł wykrzykników nasłuchałem się o tych kwiatkach” (ach!... och!...), że wziąłem się do czytania ich z pewnym sceptycyzmem i wyznaję, że nawet byłem nieprzyjemnie zdziwiony, przeglądając niektóre rozdziały na chybił trafił. Dopiero przeczytawszy całość, zrozumiałem, że ten dziwak i oryginał, jeżeli nie pół-obłąkaniec Franciszek z Asyżu, był jednak nadzwyczajnym zjawiskiem na ziemi. On naprawdę był świętym, on naprawdę był jeonem z okien, które od czasu do czasu otwierają się na inny, wyższy świat, gdzie — jak mówi O. Lodge — „nie rządzi chemia, ani fizyka”...

Święty, podobnie jak i człowiek zwyczajny, posiada — z jednej strony powierzchowność, maniery, z drugiej — duszę. Otóż maniery Franciszka z Asyżu niekiedy były godne pół-waryata, ale duszę miał anielską, nad-anielską...

Pewnego dnia, za to, że źle pomyślał o bracie Bernardzie, kazał temuż bratu, ażeby deptał mu nogami usta i szyję, wołając: „leż, nędzniku, najpodlejsze stworzenie”... Innym razem, dla znalezienia odpowiedniej drogi, kazał bratu „Maciejowi” obracać się w kółko aż do zawrotu głowy. Innym razem, za to, że w czasie choroby jadł mięso i rosół, po kazaniu rozebrał się do naga, zawiązał sobie powróż na szyi i zajął ten powróż kazał się ciągnąć po ziemi, wobec płaczącego ludu.

Umiął on jeszcze lepsze sztuki. Pospołu z bratem Rufinem rozebrali się do naga — „jak ich matka urodziła”, i poszli do Asyżu i tam, wdrapawszy się na kazałnicę, Franciszek wypowiedział kazanie, że „mężczyźni i kobiety zaczęli płakać ogromnie w przedziwnie pobożności i skrusze serca”. A nareszcie, gdy raz dyabeł kusił brata Rufina, Ś-ty Franciszek obmyślił taki „kwiatek”, że dyabeł, usłyszawszy propozycję, wywołał ze wściekłości burzę, od której „kamienie runęły i wielką pokryły przestrzeń”.

W tym organizmie dziwacznym, wychudzonym przez nędzę, sponiewieranym katuszami żyła dusza serafina. Kociął on wszystkich i wszystko: nie tylko braci swoich zakonnych, nie tylko lud, który słuchał jego nauk i zdumiewał się czynom, ale także i może najbardziej kochał wszelkiego rodzaju biedaków, chorych, trędowatych, nawet zbójców, których nawracał i robił błogosławionymi. Cudna miłość jego rozlewała się daleko po za rodzaj ludzki, ogarniając zwierzęta, nawet martwą naturę. Dla niego słońce, wiatr, ogień byli braćmi; gwiazdy, woda, nawet śmierć... siostrami. Pieścił i cowa-

jał dzikie turkawki, miewał kazania do jaskółek, nawrócił okropnego wilka. A gdy mu przyszło opuścić górę Alverno, żegnał ją i jej skały z takim żalem, jak najbliższą rodzinę”. „A Dio, skało Spicco, już cię więcej odwiedzać nie będę... a Dio, braciszku sokole, dzięki ci za czułość, jaką miałeś dla mnie”...

Ale dno duszy Ś-go Franciszka przepelnionej miłością i poświęceniem, okazuje się dopiero z jego poglądu na — „radość doskonałą”... Nie polega ona ani na pięknych kazaniach, ani na wszystko wiedzącej mądrości, ani nawet na możliwości robienia cudów... Doskonała radość budzi się wówczas, gdy cię zgłodniałego i zmarznętego nie tylko nie przyjmuje do domu, poczytując za oszusta i opryska, nie tylko odpędzą od bramy, ale jeszcze obedrą z odzienia, rzucą na ziemię, wytarzają w śniegu, i zbiją sękatym kijem. „Albowiem po nad wszystkie łaski i dary Ducha świętego doskonalszym jest *pokonanie samego siebie* i chętnie dla miłości Chrystusa znoszenie mąk, krzywd, obelg i ndręczeń”...

Teraz dopiero, po tem wyznaniu, rozumiemy, dlaczego Franciszek porzucił swoją bogatą rodzinę, został żebrakiem, służył trędowatym i całował ich ręce ohydnie poranione; dlaczego kazał się katować, dlaczego umyślnie narażał się na pośmiewisko i pogardę... Oto dlatego, ażeby „pokonać samego siebie”, wszelkimi sposobami, na wszystkich polach życia.

Dobrze. Ale do czego ostatecznie ma doprowadzić ta walka z sobą, do czego nabojeńsze cierpienia, do czego zejście na samo dno ludzkiej nędzy... po co to wszystko? Ponieważ jestem człowiekiem naszych czasów i żadne „Kwiatki” już mi nie wystarczą, więc, aby odpocząć po cudach Ś-go Franciszka, czytałem naprzemian to jego życiorys, to znowu książeczkę Lodge’a p. t. „Życie i materya”. I tam właśnie znalazłem takie oto uwagi:

„Nie jeden myśliciel, zastanawiając się nad zjawiskami natury, odczuł, że one są tylko ideami nieznanego ducha, który panuje nad światem i częściowo wciela się w niego”.

„Są myśliciele, którzy w cudownym rozwoju (świadomej indywidualności) uznają dzieło świata wyższego aniżeli ten, który podpada pod nasze zmysły... Świata, w którym duch ludzki czuje się lepiej, aniżeli wśród przemijających kombinacji atomów; nareszcie świata, którego przeznaczeniem jest nieskończony rozwój, zastanawianie się nad najsłabszymi rzeczami i najwznioślejszymi radościami, jeszcze wówczas, gdy ta planeta i cały system słoneczny, ukończą obecny cykl swoich przeznaczeń i martwe, zlodowaciałe toczy się będą w nieskończonej przestrzeni”.

To opowiada fizyk, badacz eksperymentator, który sto razy dokładniej zna siły grające w świecie materyalnym, aniżeli wszyscy razem ateuskie miasta Warszawy z przyległymi jej okolicami. Można więc bez kompromitacji przyjąć istnienie świata ponadziemskiego, w którym wszystkie zjawiska, wszystkie piękności i rozkosze ziemskie są w niepojętej mierze spotęgowane, w którym nie tylko nie ma: głodu, chłodu, choroby, starości, śmierci i trwogi, ale nawet to, co u nas jest cierpieniem, tam staje się nową formą życia i szczęścia.

Przypuśćmy więc istnienie takiego świata, wyobraźmy sobie, że ów świat dopiero buduje się tutaj, na naszym, i że czego nie zbuduje się tutaj, nie będzie istniało tam. A dalej, przedstawmy sobie człowieka, jakiegoś Franciszka z Asyżu, który nie tylko jak Lodge domyśla się realnego bytu nad-swiata, ale wprost — widzi go, odczuwa całą duszą i jest tego pewniejszym, aniżeli wszystkich rzeczy ziemskich. Cóż tedy pocnie ów jasnowidz?... Chyba pobiegnie między ludzi i wielkim głosem, aż do ochrypnięcia, zacznie ich upominać:

— Co czynicie zaślepieni?... Przecie wasza pycha, zbytki, rozpusta, nienawiść, nie tylko wam i nam szkodzą tu, na ziemi, ale jeszcze zmniejszają bogactwa tamte, nadziemskie... Upamiętajcież się więc i czyńcie tak, ażeby z tamtej strony grobu spotkać się z zasobami cnót, zdobytymi tutaj, nie zaś z przekleństwem występków... A że to, co wam mówię jest prawdą, więc patrzcie, że nie tylko dobrowolnie wyrzekam się uciech ziemskich, ale jeszcze szukam cierpień, gdyż one są ziarnem, z którego wyrasta szczęście wieczne!...

Powtarzam: życie Ś-go Franciszka i jemu podobnych stanowi materyalny dowód istnienia świata ponadziemskiego. A jak Kolumb odkrył Amerykę, a Liwington i Stanley wnętrza Afryki, tak święci nam, ludziom zamurowanym w rzeczach ziemskich odkrywają świat życia wiekuistego... To są odkrywcy, którzy nie tylko zawiadamiają nas o ziemi obiecanej, ale jeszcze pokazują nam jej owoce, w postaci swoich cnót, pogodnie znoszonych cierpień i poświęceń nadludzkich.

A jakie z tego praktyczne korzyści?... zapyta niedowiarczo usposobiony czytelnik.

„Skutki moralne podobnej teorii — mówi G. Gelev, lauréat fakultetu medycyny — dadzą się streścić w kilku przepisach: *pracujcie, kochajcie się, pomagajcie sobie; zaś odrzućcie niskie i nędzne zazdrość i egoizm a nade wszystko nienawiść i cdeć zemsty*... Unikajcie wszystkiego, co może szkodzić innym, nie pogar-

dzajcie nikim, bądźcie pobłażliwi dla cudzych błędów, miejcie litość nawet nad zwierzętami... Gdy ludzie będą pewni nieskończonego rozwoju, potrafią godzić się z naturalnymi, a przemijającymi nierównościami, potrafią godzić zasady wolności osobistej i solidarności społecznej... Ludzkość, podtrzymywana przez podobne idee i przekonania, już łatwo rozwiąże dzisiejsze trudności społeczne i międzynarodowe. A zaś to, co dzisiaj uważa się za chimeryę, wtro stanie się wspaniałą rzeczywistością”. (*L'ère subconscient*).

Czy nie jest godną uwagi ta harmonia pomiędzy życiem i działalnością świętego mniacha wieków średnich a poglądami i przypuszczeniami znakomitego filozofa-fizyka, albo filozofa lekarza z końca XIX stulecia?...

— Urojenia!... jałowa dyalektyka uczonych marzycieli!... — odpowie nieprzejednany zwolennik materyalizmu.

Niech będą urojenia. W matematyce od dawna znano szczególne ilości, które nazywały się „urojeniami”, gdyż w pojęciu ich tkwiła taka sprzeczność, jak np. w wyrazach: „życie pośmiertne”. Z czasem jednak przekonano się, że na owych „urojonych” ilościach można wykonywać działania algebraiczne. Można przedstawiać je sposobem geometrycznym, a następnie spostrzeżono, że ilości te przydają się do rozwiązywania zagadnień dotychczas nierozwiązalnych, pomagają odkrywać całkiem nowe prawdy i wskazują nowe metody badań. Krótko mówiąc: przyjęcie ilości „urojonych” rozszerzyło i pogłębiło matematykę, na piętrach ich najwyższych.

Otóż, zdaniem bardzo poważnych myślicieli, wiara w Boga, w świat ponadziemski i w życie wiekuiste podobne usługi oddać może społeczeństwu; rozszerzy, pogłębi i podwyższy duszę ludzką; uraduje i złagodzi serca, wzmocni i uszlachetni wolę, podnieci twórczość umysłową. Trzeba tylko, ażeby ów świat ponadziemski apostołowali nie płytki dyktanci, nie ciemni fanatycy, nie amatorowie ateizmu za wszelką cenę, lecz — albo święci, albo wysoce ukształceni przyrodnicy. Książek zaś w jednym i drugim kierunku nie brak literaturze powszechnej.

BOLESŁAW PRUS.

1875
1876
1877



Zjawiska medyumiczne.

Któż nie słyszał o „domach nawiedzanych”, w których rozlegają się tajemnicze łoskoty, a niekiedy z pokoju przelatują różne naczynia gospodarskie, nie wyłączając fajansowych?... Kto nie drwił albo nie zdumiewał się nad ustnemi czy drukowanemi opowiadaniem o ukazywaniu się „błędnych ogników”, mgieł dziwnej formy, nawet widziadeł osób zmarłych?... Kto nie czytał o fakirach, posiadających zdolności unoszenia się w powietrzu, albo podnoszenia w górę przedmiotów, których nie dotykali?... Takich opowiadań o czarodziejach, jasnowidzach, tajemniczych światłach, ruchach przedmiotów przez nikogo nie poruszanych, krąży pełno nie tylko w Europie i ucywilizowanej Ameryce, nie tylko nad Gangesem, ale także wśród Indian Czerwono-skórych i mieszkańców najbardziej północnych okolic Syberii.

Pogłoski te spotęgowały się z ogromną siłą w połowie XIX-go wieku; z ówczesną północną Ameryką, kędy odkryto „dom nawiedzany”. Opowiadania o cudownych zjawiskach formalnie zalały Amerykę i Europę, wywołując mnóstwo doświadczeń ze stolikami wirującymi, ekierkami, osobami i słowidzami i t. p. Najgorliwsi apostołowie tych zjawisk przypisywali je duchom osób zmarłych, a samych siebie nazywali „spirytystami”; chrześcijanie, nie przecząc możliwości zjawisk, za przyczynę ich uważali — dyabła. Zaś wielu uczonych, bezwzględnie wierzących nie tyle „doświadczeniom”, ile temu, co napisano w książkach, cały ruch spirytystyczny uważali za sztuki oszustów, pokazywane głupcom.

Swoją drogą niektórzy uczeni zajęli się badaniem, przynajmniej stolików i, zapomocą pracowitych doświadczeń i rachunków, przekonali się, że pewne zjawiska z tej kategorii można przypisać bezświadomym popchnięciom osób uczestniczących w „seansach”. Wyjaśniono jednak nie wszystko, więc znaleźli się ludzie nawet potężnych umysłów, którzy... uznali możliwość spirytystycznych cudów!... Jednym z najznakomitszych był William Crookes, który nie tylko stwierdził, zapomocą stanowczych doświadczeń, że medyum Home poruszał przedmioty nie dotykając ich, ale jeszcze, podczas wielu posiedzeń z innym medyum obserwował... widmo Katie King, rozmawiał, a nawet fotografował się z nią... Za te powodzenia spirytystyczne prawowierni uczeni nieledwie wykłuli Crookesa, choć nie mogli zaprzeczyć, że należał on do największych eksperymentatorów, jakimi chlubi się nauka.

Od tej pory liczba mędrców, badających zjawiska spirytystyczne, wzrastała; znajdują się wśród nich pierwszorzędni fizycy, chemicy, lekarze, psychologowie, sędziowie, zoologowie, botanicy, astronomowie, nie wspominając o literatach i artystach. Przez uczonych prawowiernych (to jest wierzących tylko w fakty i teorie), badacze spirytizmu traktowani są jak heretycy przez prawowiernych chrześcijan; wprawdzie kacerzy tych już nie pali się na stosach, dla kompensaty jednak mianuje się ich bądź wariatami, bądź szarlatanami.

Czytelnicy wiedzą, jakim czcicielem jestem nauk doświadczalnych i ścisłych i jak metody naukowe uważam za jedną z największych zdobyczy umysłowości ludzkiej. Rozumiem, że uczeni nie mogą, *nie wolno im*, bez sprawdzeń, uznawać za prawdziwe żadnego nowego zjawiska, które poniekąd przeczyłoby wiekowemu doświadczeniu. Ośmielam się jednak sądzić, że, również w imię nauki, nie wolno z naszej niewiedzy robić dogmatu i absolutnie zaprzeczać możliwości zjawisk, choćby dotyczyły nieznanych. Zjawiska te przedewszystkiem powinny zostać zbadane, z dobrą wiarą, bez uprzedzeń sekciarskich.

Niestety! dzięki prawu bezwładności, które panuje nie tylko nad światem materialnym, można powiedzieć, że — w historii wiedzy czy wynalazków technicznych, nie było nowości, której, w pierwszych chwilach pojawienia się, świat udany nie przeczyłby i to — z wielką energią. Tak było z systemem Kopernika, krążeniem krwi, z projektami Kolumba, z odkryciami Galileusza, maszyną parową, z pierścieniami Saturna, ze spadaniem meteorów, błyskawicą kulistą, pancernikami, telefonami i t. d. Darwin doskonale scharakteryzował zachowanie się ludzkiej umysłowości wobec nowego poglądu: „naprzód mówi się o nim, że jest niedorzeczny, potem, że — niebezpieczny, a nareszcie, że — jest oddawna znany”...

Ponieważ dr. Julian Ochorowicz należy do heretyków, których dogmatyzm naukowy potępia, więc pozwól sobie na krótką biograficzną wzmiankę. Dodać muszę, że znam Ochorowicza od ławy szkolnej i że już w owej, młodzieńczej, epoce odznaczał się on niezwykłą zdolnościami, silnym a szlachetnym charakterem i dążeniem do prawdy.

Otóż Ochorowicz, przedewszystkiem, ukończył w Warszawie — wydział nauk przyrodniczych, a więc miał sposobność zapoznać się: z fizyką, chemią, mechaniką, zoologią, biologią i t. p. Zamiatanie jednak ciągnęło go do filozofii i psychologii, więc jeszcze w Szkole Głównej dostał medal złoty za rozprawę o „Metodzie badań psychologicznych”, następnie w Lipsku otrzymał stopień doktora filozofii, a teraz, przed paroma laty, znowu dostał na-

grode konkursową za rozprawę: „Metoda w etyce”, ogłoszoną przez *Przegląd Filozoficzny*.

Tenże Ochorowicz, przyrodnik i psycholog, zrobił dwa wynalazki techniczne: 1-mo. Zbudował telefon znany we Francji, 2-do. Zbudował torkimikrofon, bodaj czy nie najgłośniejszy z telefonów.

Rozumiem, że nasi uczeni mają prawo zachowywać się powściągliwie w obec zjawisk spirytystycznych (Ochorowicz nazywa je medyumicznymi); zjawiska te bowiem są nieczęste, kapryśne, poniekąd sprzeczne z dotychczasowymi zdobyczami nauki, nierzadko wyzyskiwane przez najordynarniejszych szarlatanów, a bardzo pniejące dla umysłów roztrzępanych i słabych. Któż jednak, z naszych uczonych ma prawo zarzucać — brak kwalifikacji, albo profesorskim tonem przemawiać do Ochorowicza, który, nadmienię, posiada ukształcenie przyrodnicze, filozoficzne, psychologiczne, dokonywał wynalazków technicznych, dziesiątki lat pracuje nad medyumizmem, a w Europie cieszy się uznaniem uczonych? Dowodem jest choćby fakt, że duży i gruntowny artykuł Ochorowicza „O hipnotyzmie”, znajduje się w *Dykcjonarzu fizjologii*, redagowanym przez Ch. Richeta, przy udziale chyba ze 70 specjalistów francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich, rosyjskich, belgijskich i szwajcarskich. Zdaje się, że człowiekowi, należącemu do takiego towarzystwa, moglibyśmy już nie udzielać ojcowskich przestróg i upomnień; trudno też dziwić się, że, ścigany przez pewne kółka odpowiadając, iż „nie zależy mu na przekonywaniu kogokolwiek” i cofa się od stosunków ze swymi nieprzyjaciółmi.

Tymczasem kwestya „spirytizmu” jak mówią jedni, — medyumizmu, jak nazywa Ochorowicz a metapsychizmu, według nomenklatury *Annales des Sciences Psychiques* jest ważną. Naprzód dlatego, że przed ludzkim umysłem otwiera olbrzymie horyzonty nowych poglądów, badań i skutków praktycznych, a powtóre, że w dziedzinie medyumizmu jedno z pierwszorzędnym miejscem zajął Polak, właśnie ten sam Ochorowicz, który, według pewnych opinii „nie jest w stanie już nic zrobić dla nauki”. O niezmierną doniosłość tych zjawisk i badań niech zaświadczy jedna drobna cytata z dra Gelay'a: „W istotach żywych tkwi pierwiastek dynamiczny i psychiczny porządku wyższego, niezależny od działalności organicznej, pierwiastek, który istniał przed pojawieniem się ciała i będzie istniał po jego zniszczeniu” (*L'Étère subconscient*).

Krótko mówiąc, dla wielu już — nie dyletantów, ale — bałaczy, medyumizm, jest gościńcem, który prowadzi do eksperymentalnego dowodu — nieśmiertelności duszy!...

Ostrożny, na pozytywizmie wykształcony Ochorowicz, nie ślepa — dziś jeszcze — tak daleko. On twierdzi, że: „zjawiska medyumiczne są objawami psycho-fizjologicznymi, zgodnymi z najwyższą naukową zasadą: zachowania siły”. Lecz jeżeli dojdzie kiedy do spirytystycznych rezultatów, ogłosi je bez wahania. Już ma taki temperament.

Aby ułatwić zrozumienie wartości prac Ochorowicza, cofnę się do Eusapii Paladino, która, jak mówią, jest jednym z najsilniejszych medyków. W obecności jej podnoszą się ciężkie stoły, krzesła wchodzi na uczestników posiedzeń, obecni czują dotykania niewidzialnych rąk, widują światła, widywali nawet postacie eteryczne i dotykali rąk nadludzkich. Słowem Eusapia wywoływała cuda, lecz... działały one zazwyczaj wśród ciemności i budziły wiele podejrzeń. Już nie tylko sceptycy, ale nawet przyjaciele Eusapii szepotali między sobą:

— Jeżeli ona bez światła może podnosić stoły, niech przy świetle podniesie choćby pióro bez dotykania!...

Otóż Eusapia i ten warunek podobno spełniała, ale — z trudnościami. A tymczasem jedno podniesienie, przy świetle, małego przedmiotu warte było tysiąca stołów, unoszących się pociemku!...

Tu zaczyna się zasługa Ochorowicza. Znalazłszy niezwykle medyum, pannę Stanisławę Tomczakównę, wykształcił ją tak, iż podnosi ona — bez dotykania — drobne przedmioty przy takim świetle, że np. można doskonale czytać grubszy druk.

Miałem szczęście być na jednym z posiedzeń, przy oświetleniu, jak wyżej. W pokoju znajdowały się trzy osoby: Ochorowicz, medyum i ja. Badacz uśpił medyum, które samo zawiązało sobie rękawy sukni, nakazało wytrzeć stół ręcznikiem, podało palce do rewizji i ani na jedną chwilę nie ukrywało rąk, nie zdejmowało ich ze stołu. Z kilku doświadczeń jakie widziałem, wymienię dwa:

Położyłem na stoliku długi ołówek i srebrnego rubla. Medyum umieściło ręce w odległości kilku centów od powyższych przedmiotów i zaczęło wykonywać zdaleka niezbyt prędkie ruchy. Po upływie minuty, może dwu, rubel podniósł się jednym brzegiem, ołówek drgnął i potoczył się na rubla, czyniąc to po kilka razy. Na moja prośbę, ażeby wszedł mi na rękę, ołówek podniósł się lekko jednym końcem i drgającym ruchem wpłynął mi, niby sztywna jaszczurka, na nadstawione dłoń. Uderzyła mnie powolność ruchów rąk me-

dyum, i szybkie, niespokojne drganie ołówek: nie było tu zmian współczesnych, lecz różnoczesne, co, moim zdaniem zasługuje na uwagę. To samo spostrzeżenie zanotowali uczeni badacze w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Inne zjawisko, Ochorowicz położył na stoliku spore nożyczki, nad którymi medyum wykonało zdaleka zwykłe ruchy. Po paru minutach, może prędzej, nożyczki poruszyły się, oparte na pierścieniach, (w które kładą się palce), dźwignęły się ostrzem do góry i... uniosły się w powietrze, może na tókieć albo półtora nad stolik!... Po kilku sekundach upadły z brzękiem na ziemię.

Z powodu braku miejsca, w niniejszym artykule pomijam trzy inne eksperymenty: ze spodkiem, napełnionym gliceryną, z piłką celulozową i kulką na wadze. Uroczyste zaś zapewniam czytelnika, że na ruchy i podnoszenia się tych przedmiotów patrzyłem może — z półkocowej odległości, że widziałem wszystko wyraźnie i jestem bezwzględnie pewny, iż medyum działało na owe przedmioty zdaleka, bez żadnych nitów i t. p. Takież same zjawiska ruchów i podnoszenia dobrze w górę drobnych przedmiotów widzieli na posiedzeniu w Muzeum panowie: Janikowski, Kalinowski, Kiślański, Lebedziński, Leski, Richard, Sosnowski, — przyrodnicy i inżynierowie i spisali o tem protokoły. Przy podobnych zjawiskach, o ile wiem, w domu pp. Julianostwa Święcickich asystowali pp. Barylski, Smoleński, dr. Watraszewski.

W Paryżu widzieli doświadczenia z p. Tomczakówną: pani Curie-Skłodowska, prof. M. Richet i Maxwell.

O posługiwaniu się nitkami, cobyby konowem, nie ma mowy: wykryłaby je fotografia, zapomocą której robiono pod tym względem stanowcze próby. Wreszcie — spostrzegli to świadkowie.

Otóż powtarzam, zasługą Ochorowicza jest, że: 1-mo. Uzdolnił swoje medyum do podnoszenia drobnych przedmiotów, nie dotykając ich i przy dostatecznym oświetleniu, 2-do. Sam zjeżdżał i umożliwił innym badaczom zdejmowanie wizerunków fotograficznych wówczas, gdy podnoszone przedmioty znajdowały się w powietrzu. Są to chyba decydujące doświadczenia.

N. B. Medzum przy doświadczeniach traci dużo siły w rękach, narzeka na wyczerpanie i ból głowy, z czego wynika, że — trzeba je traktować bardzo ogólnie i łagodnie.

Medyumizm jest tematem, o którym, nawet ja, profan, mógłbym napisać tomik. W *Tygodniku* muszę oszczędzać miejsce, więc kończę. Jakie będą następstwa tych nowych zjawisk, nie śmiem domyślać się. Wspomnę tylko, iż gdy przed kilkoma wiekami ludzka wiedza o elektryczności ograniczała się do tego, że bursztyn, potarty sukmem, przyciąga żdziebła słomy, dziś, skromniutka niegdyś elektryczność, przenosi depeze i mowę ludzką na duże odległości, oświetla miasta, porusza tramwaje i t. d. Czem więc może się stać nowa siła, której małe a jednak nadzwyczajne widzimy dziś objawy?...

W dodatku owa siła „metapsychiczna” tem przewyższa elektryczność, miliony razy, że — jak naocznie widzimy, prawie w dotykalny sposób, objawia się w niej wola i inteligencja. Medyumizm jest niby oknem wybitem w organizmie ludzkim, oknem, przez które wdać... duszę, a której istnieniu z taką pewnością zaprzecza materializm!

Ale tej kwestyi już nie będę poruszał. Czas najniezawodniej rozstrzygnąć ją w kierunku jaknajbardziej korzystnym dla szczęścia i rozwoju ludzkości.

Czy potrzebuję na zakończenie wyjaśnić, że nie należę do żadnej sekty, nie jestem ani cieniem spirytysty, czuję metody indukcyjne i dedukcyjne i pragnęlbym widzieć upowszechnianie się ich wśród naszego narodu?...

I jeszcze jedna uwaga. Zdaje się, że w praktyce medyumicznej tyleż co medyum, znaczy i jego kierownik. Oby więc doświadczeniami u nas zajmowali się tylko ludzie odpowiednio przygotowani! Dyletantyzm bowiem może narazić i na złudzenia i na niepożądane przypadłości nerwowe.

BOLESŁAW PRUS.





PODJAŻD

ANTONI PIOTROWSKI

O sprawach czeskich, naszych i francuskich

KRONIKA TYGODNIOWA.

Otrzymałem list, naturalnie z prowincji, list, na którego drugą połowę zgadzam się, ale za pierwszą nie chcę brać odpowiedzialności. Niech sam autor usprawiedliwi się przed czytelnikami, jeżeli ich spotka.

„Łaskawy Panie! (Jeszcze raz zwracam uwagę, że to nie ja piszę...). Nie wiem, czy zwrócić pan dostateczną uwagę na mowę dra Kramarza, wypowiedzianą przed paroma tygodniami w Petersburgu. W mowie tej szanowny założyciel neoslawizmu podkreśla dwa rodzaje patriotyzmu: zaborczy i—twórczy. Otóż, nie wiem, jak tam było w Warszawie, ale u nas, na prowincji, ludzie spostrzegli tylko to, co Kramarz mówił o patriotyzmie zaborczym, lecz wcale nie dojrżeli wzmianki o—trzecim rodzaju patriotyzmu, który jednakże powinienby nas zaniepokoić.

„Uczucie zaborcze—mówił dr. Kramarz—które chętnie zwać się chce nacjonalizmem, uczucie, posilkujące się ciemnictwem, obrażaniem duszy innego narodu—to nie jest nacjonalizm, to jest wytwór bezwzględniego kanibalizmu, ludożerstwa”. (Jaki patriotyzm nazwał Kramarz „ludożerstwem”, o tem wszyscy wiemy, przynajmniej my na prowincji; ślepy namacałby, że chodzi o pruckich hakatystów, za co nawet niektóre gazety niemieckie bardzo rozgniewały się na Kramarza).

„Nasz patriotyzm—mówił dalej czeski poseł—to żywe umiłowanie kraju, oparte na poświęceniu, ofierze, pracy bezgranicznej dla

utrwalenia bytu i rozwoju narodu. U nas nie ma i nie może być żadnej partii, która nie byłaby narodową... Gdy kilkanaście lat temu trzeba było zebrać milion guldenów na odbudowanie spalonego teatru, pamiętam, że i ja wówczas zbierałem składki i z rozrównieniem przyjmowałem grosze od nędzarzy, którzy z jałmużny żyli”... Oto jest drugi rodzaj patriotyzmu—twórczego, na którym również poznaliśmy się my, ludzie prowincjonalni. Ale dr. Kramarz wspominał jeszcze o trzecim rodzaju patriotyzmu, a raczej tylko... musnął go bardzo delikatnie i może dla tego nie spostrzegliśmy się na wzmiance my, synowie głębokiej prowincji:

„Nasz patriotyzm—patriotyzm Czechów—to nie westchnienia sentymentalne”... Słyszysz pan, panie kronikarzu?... Patriotyzm jest uczuciem, które koniecznie, ale to koniecznie, musi objawiać się w postaci czynów użytecznych dla społeczeństwa, a więc—przedewszystkiem—wykonalnych; a tymczasem (naturalnie według Kramarza) bywają narody, dla których duża część patriotyzmu wyraża się w formie „westchnień sentymentalnych”, ładnie brzmiących deklamacji, albo w dziwacznych na na nic nie przydatnych projektach... Słyszysz pan?...

I kiedy przeczytałem o tych „westchnieniach sentymentalnych”, które nie mają związku ani z „gospodarką narodową”, jak u Czechów, ani „z rozwojem własnego narodu drogą pracy wewnętrznej i kulturalnej”, ani „z obroną każdej piędzi ziemi i każdej duszy polskiej”... (przepraszam: Kramarz mówił o—„duszy czeskiej”), kiedy o tem przeczytałem, zaraz przyszło mi na myśl, czy, mówiąc tak, nie miał Kramarz na myśli projektu: „przeniesienia prochów Słowackiego na rękach górali z Krakowa do Zakopanego i pochowania tychże pro-

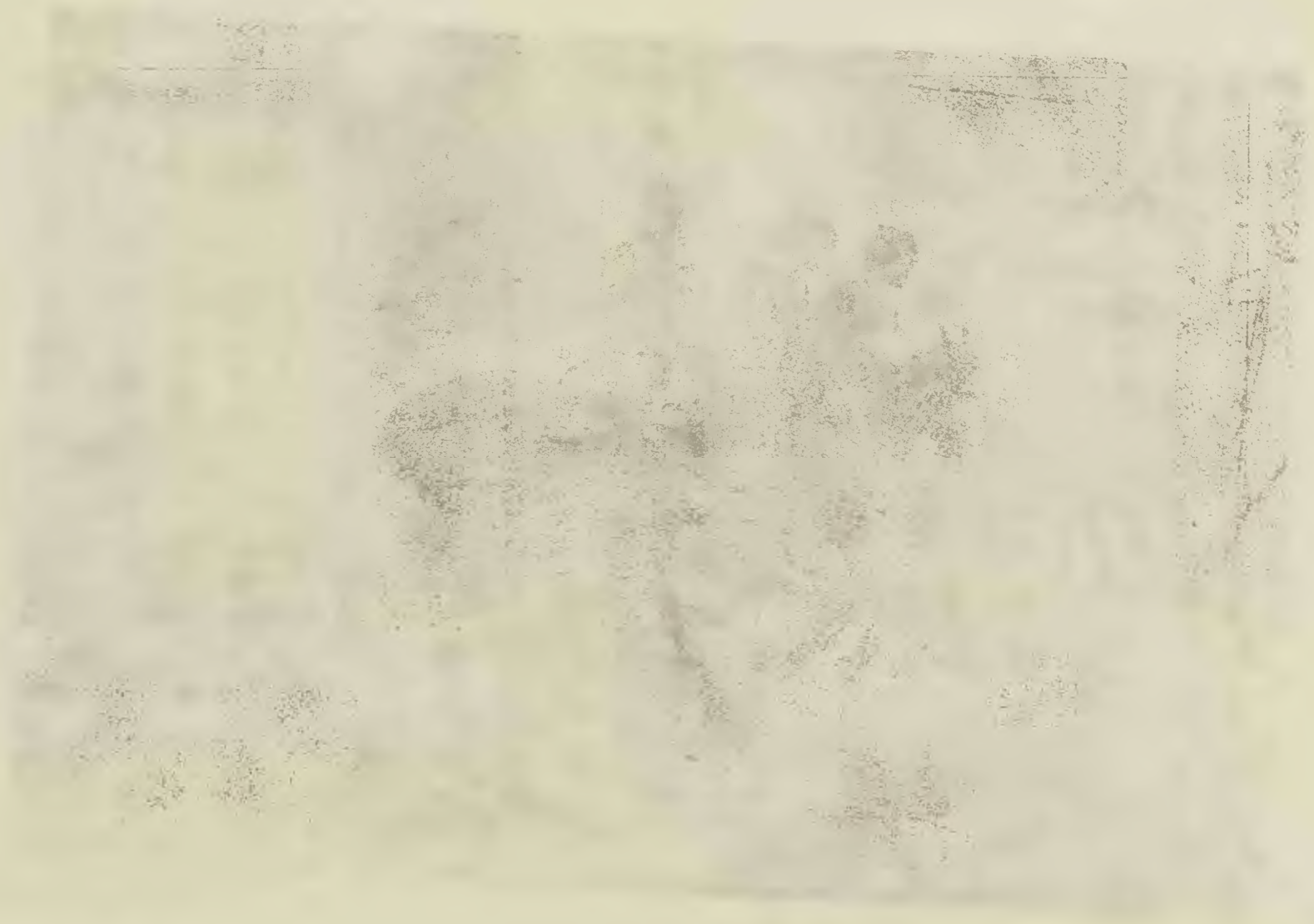
chów w skale, o 200 metrów nad poziomem Czarnego Stawu”.

Panie kronikarzu, chciej mi wierzyć, że kocham naszych wieszczów, a więc i Słowackiego i doprawdy radbym go widział w królewskich grobach na Wawelu. Pomimo to, nie mogę powstrzymać się od następujących pytań: 1-mo. Jeżeli polityka austriacka nie zgadza się tymczasowo na pogrzeb Słowackiego w Krakowie, czy można przypuścić, że zgodzi się na pogrzeb w Zakopanem i jeszcze w tak nadzwyczajnych warunkach? 2-do. Z jakiej racji mają nieść trumnę z Krakowa na Kościelec góralski, którzy z pewnością nigdy o Słowackim nie słyszeli? Czy może zostaną wynajęci do tej patriotycznej posługi? A nareszcie—3-io. Jeżeli prochy wielkiego niewątpliwie poety, ale—tylko poety, umieścimy na wysokości 200 metrów nad poziomem Czarnego Stawu, to na jakiej wyżynie mielibyśmy obowiązek ustawić prochy: Bolesława Chrobrego, Łokietka, Kazimierza Wielkiego, Rodu Jagiellonów, Stefana Batorego a dalej: Kopernika, Czarnieckiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego?...

Projekt awansowania Słowackiego na taternika wypłynął niewątpliwie z chęci złożenia choćby pośmiertnego hołdu znakomitemu człowiekowi. A jednak—dziwna rzecz, kiedy pewien Anglik przeczytał ów arcy-fantastyczny projekt pogrzebu, wzruszył ramionami i mruknął:

— Z tego przekonywam się, że Polacy nie szanują swoich wielkich ludzi...

I na dowód wymienił listę królów i wodzów, których nazwiska zacytowałem powyżej. Jestem starym lekarzem—pisze dalej korespondent—więc pozwól pan, ażeby moja dyagnozę doprowadził do końca. Inteligencja polska, może dlatego, że przeważnie składa



się z resztek szlacheckich, jest zanadto odcierana od ziemi i praktycznych kwestii, zanadto lubi bujać „na wysokości 200 metrów”. Z tej racji, gdy—„patryotyzm praktycznych Czechów budzi podziw i szacunek nawet między Niemcami”, nas (miejmy odwagę powiedzieć to sobie) bagatelizują Litwini, Rusini, Żydzi... A z pewnością nie byłoby tego, gdybyśmy, zamiast wznosić się na wysokość 200 metrów [ponad Czarnym Stawem], umieli, jak Czechy—„pracować nad rozwojem narodu”—działać „wszyscy dla jednego i jeden dla wszystkich”—„bronić każdej piędzi naszej ziemi i każdej duszy polskiej”.

Ciężka jest to więc choroba: nasze marzycielstwo i patryotyzm „wstchnięty sentymentalny”. Trzeba leczyć się z niej i wyleczyć, co, przypuszczam, jest możliwe, za pomocą domieszania jakiejś [świeżej krwi do naszej inteligencji. Taką zaś krew świeżą znajdziemy, jestem przekonany, w naszych chłopach.

Lecz jakżeto mieszać krwi chłopskiej?... W bardzo prosty sposób. Zwracajmy więcej uwagi na — wyjątkowo zdolne dzieci chłopskie, co chyba nie powinno przedstawiać trudności dla naszego duchowieństwa i ziemian — dostarczajmy środków kształcenia się tym dzieciom. Obmyślmy dla nich jakieś bursy, jakieś stypendya do szkół ogólnych i fachowych, średnich i wyższych...”

Na tem kończy się list szanownego lekarza z głębokiej prowincji. Stypendya dla kształcenia wyjątkowo zdolnych dzieci chłopskich, które się dziś marnują — piękna to myśl!... rzeknie czytelnik. Ale skąd nareszcie brać stypendyów?...

Otóż mamy do zanotowania czyn, godny najlepszej uwagi. P. Stanisław Kurzyński, pom. adwok. przysięg., mieszkający obecnie w Petersburgu, pobierał w uniwersytecie stypendyum, którego nie miał obowiązku zwracać. Mimo to, gdy doszedł do jakichś takich zarobków, postanowił owo stypendyum oddać społeczeństwu i — projekt swój wykonał. Przed paroma laty ofiarował b. Tow. wpisów szkolnych rubli 150, które zostały zużytkowane, a obecnie złożył w redakcji *Tygodnika Ilustrowanego* rubli 500 z następującym dopiskiem:

„Proponuję wszystkim byłym stypendystom, ażeby zapomocą składania rat, choćby minimalnych, nawet bezimiennych, utworzyli kapitał na zapomogi dla kształcącej się młodzieży, która, doszedłszy do stanowisk, znowu wracałaby pobrane przez siebie stypendya, na korzyść następnych pokoleń”.

Projekt krótki i jasny. Wrócimy jeszcze do niego, a tymczasem podajmy go rozprawie czytelników, kończąc znowu słowami p. Kurzyńskiego: „Choćby nawet byli stypendysta, zostawszy bogatym, dużo ofiar ponosił na społeczeństwo, to zwrot stypendyum będzie dla niego drobnostką, a przysporzy nowej idei jednego stronnika i serca innych poruszy”.

Przechodzimy do innej kwestji. Tego-

roczny wylew Sekwany był klęską dla Paryża i okolic. Uszkodził mosty, bulwary, wiadukty, pozalewał piwnice, kanały, tunele kolei podziemnej, w niektórych miejscach powysadzał bruki, połamał rury wodociągowe i gazowe, poniszczył instalacje fabryczne, porozpędzał robotników, których bardzo wielu znalazło się bez pracy i chleba.

Szkody we wszelkiego rodzaju budowlach wynoszą setki milionów; ponieważ jednak należą one do państwa, do towarzystw akcyjnych, lub bogatych osób, więc niebawem zostaną wyrównane. Prawdziwe skutki powodzi

narazi nas na śmieszność; czy nie będziemy podobni do nędzarza, który człowiekowi, chwilowo będącemu w kłopotcie, ale zamożnemu, chce ofiarować swój łachman; bo przecież takim jest nasze położenie!... Tu, na miejscu, mamy dziesiątki tysięcy rąk wyciągniętych, dziesiątki tysięcy ust głodnych, dziesiątki tysięcy istnień zagrożonych... Z czemże więc wystąpimy?... Aż strach pomyśleć.

Otóż przedewszystkiem pozbadźmy się fałszywego wstydu. Trzeba spełnić wobec Francji obowiązek, więc spełnijmy go życzliwym sercem i tymi nędznymi środkami, jakie mamy pod ręką.

Właściwie ciążył nad nami dwa obowiązki: ogólne ludzkie i specjalnie polski. Jeżeli dzięki potężnemu rozwojowi cywilizacji ludzkość z wolna wstępuje na coraz wyższe szczeble doskonałości, czyż do najwytrwalszych i najgenialniejszych twórców i pracowników tej cywilizacji nie należy Francja?... Jeżeli dziś, nawet najniezwyklejsze, najbardziej osaczone ludy z nadzieją w sercu oczekują tego jutra, które ma wszystkim przynieść: wolność, równość, braterstwo, to — któż wypowiedział owo hasło, kto najwięcej krwi przelał za nie? Francja!...

A gdy nasza ojczyzna znalazła się nad brzegiem zguby, kto najwytrwalej i najgoręcej protestował, kto przed stoma laty powrócił nam cięń

wolności, kto, niby druga matka, przysparzał polskich tułaczów? Znowu Francja!... I my, wobec tego, zastanawiamy się, czy wypada, ofiarować nasz biedny szlachę bogatemu Paryżowi?... Alboż to jałmużna?... To tylko bilet wizytowy, posłany strapienemu narodowi. Więc dajmy na co nas stać. Niech złoży, choćby po groszu, każdy, w czyjem sercu tleje pamięć naszych klęsk i tej życzliwości, jakiej doznawaliśmy od Francji.

Miła Francjo, niezapomniana towarzysko i opiekunko naszych legionów, tylko garść zboża możemy posłać Twoim łaknącym dzieciom, lecz oby każde ziarno na Twojej ziemi rozrosło się w miliony i jeszcze miliony ziarn, a każda łza tego kraju, któremu tak współczułaś, niech przerodzi się w dyament i ozdobi wieniec Twoich nowych zasług i nowej chwały.

BOLESŁAW PRUS.

Biblioteka publiczna w Warszawie.

Ktokolwiek stykał się z poszukiwaniami bibliotecznymi w Warszawie, musiała ogarnąć go rozpacz. Biblioteka uniwersytecka przeważnie z różnych przyczyn zamknięta, luk otwartą w godzinach dla przeciętnego śmiertelnika niedostępnych, księgozbiory prywatne z natury rzeczy trudno dostępne — słowem, najdrobniejsza kwerenda wymagała niezmiernego wysiłku i oromnej straty czasu.

Pragnąc zaradzić złemu grono ludzi wystąpiło przed trzema laty o zatwierdzenie Towarzy-



OLTARZ KOŚCIOŁA W OSIEKU

JULIAN FAŁAT

odbić się tylko na biedakach, co utracili drobne mienie, zarobki, a w dodatku narażeni są na choroby zaraźliwe, których nasiona zgromadziły się w domach i po ulicach. Tym ludziom, bardzo nieszczęśliwym, śpieszy dziś z pomocą przedewszystkiem Francja, a za nią cały świat ucywilizowany. A ponieważ i tu tejszy konsul francuski pozyskał od rządu prawo zbierania składek, więc z różnych stron otrzymujemy zapytania: co robić?

Pytanie napozór dziwne, ale tylko na pozór. Gdybyśmy byli narodem, żyjącym w normalnych warunkach, już do tej chwili zebrałaby się jakaś większa składka dla braci nad Sekwaną. Ale położenie nasze jest tak wyjątkowo ciężkie, że nawet wobec obowiązków ludzkich i obywatelskich namyślamy się, bezradni!...

Prawda — mówimy — część Paryża zalała woda, ale czy nasz kraj, od wielu i wielu lat nie jest zalewany przez wszelkiego rodzaju klęski polityczne, ekonomiczne, społeczne? W Paryżu, na niektórych ulicach pękają bruki, panuje ciemność; u nas ciemnota jest stanem zwyczajnym a we wszystkich dziedzinach życia pękają więzadła społeczne. Tam zagrożone są upadkiem niektóre domy; u nas wszystkiemu grozi upadek: rzemiosłom, przemysłowi, handlowi, nawet rodzinie. Tam w niektórych dzielnicach obawiają się tyfusu; u nas oddawna szaleje zaraza demoralizacji i nie zawsze walczyć z nią można!

I oto w jaki sposób przedstawia się kwestya. Na wielki dar dla cierpiących zdobyć się nie sposób; czy zaś mały datek nie



1000
1000
1000
1000

NEOSLAWIZM.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jest to program, według którego każdy naród słowiański powinien mieć prawo swobodnego rozwijania się pod wszelkimi względami ekonomicznymi, oświatowymi, społecznymi, artystycznymi i t. p. Inne ludy słowiańskie mają obowiązek nie tylko nie przeszkadzać, ale owszem—współdziałać temu rozwojowi. Dla osiągnięcia zaś rezultatów powyższych wszyscy słowianie winni — porozumieć się ze sobą.

W tem miejscu pozwolę sobie streścić poglądy profesora J. Baudouina p. Courtenay na kwestję „porozumienia się ludów słowiańskich”, poglądy, sformułowane w odczycie, jeszcze w początkach roku 1908-go.

Profesor Baudouin de Courtenay jest znakomitym filologiem, myślicielem głębokim, odznaczającym się niepospolitą odwagą cywilną. A oto szkic jego przekonań polityczno-społecznych:

Jakkolwiek—mówi—„pod wpływem gorąckiej rewolucyjnej grzeszyłem złudzeniami co do szczerości i siły przekonań mnóstwa krzykaczy, tworzących tłumy i z wielką gorliwością i zajądliwością powtarzających kilka katarinkowo-rewolucyjnych frazesów”, jakkolwiek—moje własne przekonania są radykalne, ale — ani rewolucyjne, ani reakcyjne; przy stosowaniu zaś jch staram się liczyć z danymi warunkami”... „Nie należę do żadnej narodowości zaborczej, a zarazem mogę należeć do kilku narodowości. Słucham z przyjemnością każdego języka, o ile służy on do wypowiadania myśli rozumnych i szlachetnych, ale wstręt we mnie budzą skrzeczenia i wycia wsteczników i ogłupiaczy, choćby je wypowiadano w najbardziej bliskim mi języku. Bismarkowsko-hakatystowskie „Macht von Recht” — ausrotten” i t. p. wywołują we mnie taki sam odruch obrzydzenia, jak „biej żydów!”, „Rosja dla ruskich”, wyrzucane z gardzieli „istinnio ruskich ludiej”, albo też rozmaite hasła „egoizmu narodowego”, głoszone przez patryotów polskich.

Trzeba dodać, że prof. Baudouin jest człowiekiem trzeźwym: „Twierdzenie np.—mówi— że „naród polski jest wśród narodów kulturalnych liczebnie i dziejowo największym”, jest objawem obłądu wielkości, niczem nieusprawiedliwionej zarozumiałości narodowej”. Trzeźwość Baudouina potrąca aż o głęboki pesymizm; o ile zaś ów pesymizm jest uzasadniony, niech czytelnik osądzi z takich oto słów: „W stosunkach społecznych kieruje ludźmi nienawiść, krwiożerczość i prawie beznadziejne pomieszanie pojęć... Zamiast więc obłądnych hasel „miłości bliźniego”, „braterstwa” i t. p. powinny nam najzupełniej wystarczać: spotęgowanie myślenia logicznego, a w zakresie etyki spotęgowanie idei sprawiedliwości, oraz poszanowania godności ludzkiej w każdym człowieku”. Marzenia o „stanach zjednoczonych Europy, wobec tego, co się dzisiaj dzieje i długo jeszcze dzieć będzie, pozostają tymczasem marzeniami”... Nie wierząc jednak w rychłe urzeczywistnienie się federacji ludów, Baudouin nie zachwyca się i obecnie stosunkami: „Jednym ze skutków fałszywego przyswajania sobie wyobrażeń z zakresu tak zwanej historii powszechnej, jest cześć bałwochwalcza oddawana mołochowi państwowości. Państwo ma prawo popełniać wszelkiego rodzaju występki i znęcać się nad poddanymi, a podkopując w ten sposób zasady moralne, wzbudzać ku sobie wstręt i nienawiść, t. j. w ostatecznym rezultacie dążyć do unicestwienia samego siebie, czyli do samobójstwa”.

Jeżeli dzisiejsze państwa są mołochami, a ludy „nienawidzącymi się krwiożercami”, to—jakąż ma być polityczno-społeczna budowa, upragniona przez prof. Baudouina? Na to odpowiada w 12 punktach, z których kilka treściwie powtórzmy: Państwo, należyście uspołecznione i celowo zorganizowane, winno być pozawyznaniowem i pozanarodowem. Powinno uznawać nie narody, nie języki, ale jednostki ludzkie, jako mające nieograniczone prawo do grupowania się według wszelkiego rodzaju cech i ideałów. — Zamacy osób, uważających siebie za naczelników pewnej narodowości, na wolność sumienia narodowego innych ludzi, powinny być traktowane albo jako gwałt, albo też jako pbjaw niepożyczalności. Tylko narodowości, zrzeszone drogą samookreślenia się jednostek, mogą być uznane przez państwo; określanie zaś narodowości bez udziału i woli danych osobników, jest niedopuszczalne. — Ani przedstawiciele państwa, ani ojcowie narodów, nie mają prawa patrzeć na ludzi jak na bytło do klasyfikowania, albo jako na rekrutów, których samowolnie wciąga się do tych lub owych pułków. Zdanie w rodzaju: „naród polski nie może być materiałem etnograficznym”, należy zastąpić następującem: „człowiek nie może być materiałem etnograficznym”. — Urzędnik jest sługą narodu, jako społeczeństwa upaństwowionego i powinien rozumieć tych, co łożą na jego utrzymanie. Każdy obywatel ma prawo przemawiać

i wnosić podania we własnym języku, a urzędnik winien go rozumieć; w tym nawet celu powinni istnieć tłumacze urzędowi. — Ze względów pedagogicznych w szkole powinien być obowiązkiem tylko jeden język, język wykładowy, zwykle, oczywiście, język ojczysty. Żaden inny nie powinien być obowiązkiem. Ale za to szkoła powinna dawać możność przyswojenia sobie tak języka najbardziej rozpowszechnionego w państwie, jako też innych, mniej lub więcej potrzebnych.

Może zadużo miejsca poświęciłem ogólnym poglądom prof. Baudouina, ale uczony ten nie tylko wiele czytał i przemyslał, lecz tyłu widział ludzi i tyle narodów, tyle słyszał ideałów, programów, nadziei, iż opinie jego są poniekąd obrazem, jeżeli nie przyszłych stosunków, to przynajmniej dążeń kół, bardzo inteligentnych w całej Europie.

Poznawszy człowieka i jego światopogląd, możemy spytać: co też on powiedział o „porozumieniu ludów słowiańskich”...

Otóż—według Baudouina—„porozumienie takie ideowo nie da się usprawiedliwić, a praktycznie nie da się przeprowadzić... Choćby towarzystwa, zajmujące się badaniem życia duchowego i społecznego Słowian, towarzystwa kulturalne na gruncie wszechsłowiańskim mają wszelką rację bytu, byle nie mieszały się do polityki praktycznej... Ludy i narody słowiańskie nie stanowią nic wyodrębnionego, ani też nic lepszego lub gorszego od innych ludów i narodów, Prócz tego nie mają one wcale wspólnych interesów, różnych od interesów innych ludów i narodów. Dlatego niczem nie da się usprawiedliwić jakiegoś osobnego porozumiewanie się narodów słowiańskich”.

Wprawdzie „pewna solidarność gatunku ludzkiego, zwanego słowiańskim, istnieje. Do jej wzmocnienia przyczynia się ucisk, na który są wystawieni Słowianie w krajach, opanowanych przez inne, wrogie im narodowości (jak Niemcy, Madziary, nawet Włosi). Dlatego tak szczere sympatie, do wszystkiego, co słowiańskie, spotykaliśmy i spotykamy u słabych liczebnie i wyjątkowo prześladowanych ludów słowiańskich. Ale obok tego spotykaliśmy się z obłądą, u której owo poczucie solidarności słowiańskiej przybierało odcień sentymentalno-krwiożerczy, kiedy to stwarzano „kwestyę słowiańską”, dążono do oswoadzenia zbłąkanych braci z pod obcego „jarzma”, wbrew ich własnemu życzeniu, kiedy chodziło o uzyskanie nowych stanowisk urzędniczych i o zdobycie prawa do gnębienia i wynaradawiania nowych pacjentów”.

Na pytanie: jakie mogłyby być podstawy porozumienia wszechsłowiańskiego (oprócz reakcji na ucisk ze strony wrogów Słowian?) prof. Baudouin odpowiada: „żadne, z wyjątkiem—podobieństw językowych. Nie ma żadnej „narodowości słowiańskiej, nie ma wspólnych wspomnień historycznych, niema nawet sympatii, ale raczej istnieją nienawiści między pojedynczymi plemionami i urodami słowiańskimi. Czyli porozumienie słowiańskie jest pozbawione fundamentu.

Naodwrot zaś—„hasła nacjonalistyczne, hasła jedności szczepowej, odwracają oczy od zadań i kwestyi istotnie życiowych dążeń. Solidarność słowiańska może służyć tylko za pretekst do zmniejszenia konkurencji w zakresie interesów ekonomicznych. Jeżeli jedni mogą wołać: kupujcie tylko u chrześcijan! to inni mają prawo wykrzykiwać: kupujcie tylko u Słowian!”...

Nie łatwiejsza do rozwiązania jest kwestya: kto ma przeprowadzić owe porozumienie słowiańskie? Pominąwszy, że nie ma żadnego państwa słowiańskiego, które mogłoby ujmować się za krzywdzonymi Słowianami, istnieje inny wzgląd: „Tylko to państwo miałoby moralne prawo do interwencji, które samo nie prześladowałoby ludzi za pochodzenie, w którym nie gwałconoby sumień, w którym nie praktykowanoby ekspropriacji wyznań, języków, literatur, alfabetów, w którym nie ustanawianoby szkolnych procentów wyznaniowych i narodowych”.

Nie ma zatem rządu, który mógłby dać hasło do „porozumienia słowiańskiego”. Nie robi tego również żadne stowarzyszenie ani instytucja z istniejących, nie możliwym jest również porozumienie się gromadne, ani przez wybór osobnych pełnomocników. Więc—któż to zrobi i jakim sposobem?...

A cel takiego porozumienia?... „Na gruncie niemieckiego wyrósł hakatyzm, zwrócony żądłem ku obcym i grożący wytepieniem wszystkim, co nie niemieckie. Temu prawemu dziecku egoizmu narodowego Słowianie mają przeciwstawić związek słowiański”, będący wytworem sztucznego rozdmuchiwanego egoizmu szczepowego”.

„Tak więc—mówi Baudouin—nie może być mowy o zadawalającym rozwiązaniu „kwestyi słowiańskiej” na tle szczepowem. Trzeba postawić zasady ogólnoludzkie, obejmujące wszystkich ludzi bez różnicy wyznania, urodowości, szczepu i t. d.” Jakimi zaś są owe zasady, wspomnieliśmy wyżej.

Opinie prof. Baudouina o „porozumieniu słowiańskim”, z wielu względów wydały nam się ważnemi. — Naprzód — jest to człowiek nowych, a szeroki poglądów, dla którego w pań-

stwie „pozanarodowem” i „pozawyznaniowem” — „na pierwszym planie stoi godność człowieka”. Powtóre—Baudouin zna dobrze wszystkie narodowości słowiańskie a przedewszystkiem Polaków, Rosyan i Czechów. Potrzebie swój jaskrawy pesymizm co do „porozumienia słowiańskiego” wyrażał on nie dzisiaj, po nieudaniu się sprawy, lecz przed dwoma laty, kiedy można było mieć wcale różowe nadzieje. Przed dwoma laty człowiek ten twierdził, że: „ugoda polsko-rosyjska jest bardzo daleka i prawie niemożliwa”!... A nareszcie, co bodaj że jest najważniejsze, prof. Baudouin, tak bardzo „wątpiąc” o porozumieniu Słowian, **dowodził** swoich wątpli i nie młószał ich z kwestyą osób.

Poglądy jego sprawdziły się dokładnie: cokolwiek bowiem uchwałił neoslawizm, to—jaknajenergiczniej — obalał rząd rosyjski, jedyna potęga słowiańska, dr. Kramarz i jego towarzysze stawiali na pierwszym planie — choćby skromne ulgi dla Polaków, rząd odpowiedział nowymi ograniczeniami; neosłowianie za swój ideał uważają równouprawnienie narodów słowiańskich, rząd odpowiada, że Słowianie rosyjscy są panami, a Słowianie polscy ich poddanymi Stronnicy porozumienia chcieli ubezpieczyć Słowian przeciw Niemcom, a rząd rosyjski utrzymuje jak najlepsze stosunki z Niemcami, owszem—naśladuje ich anty-słowiańskie procedery. Słowem—przegrana na całej linii!

Czy jednak mamy za to wymyślać osobom, które pracowały i jeszcze chcą pracować nad zbliżeniem słowiańskim?... Nigdy w życiu. Oni nie są pełnomocnikami narodu, za których czyny odpowiada ogół, lecz tylko obywatelami, którzy pragną służyć społeczeństwu na drodze według nich prowadzącej do użytecznego celu. Nie udało się im, to trudno; ileż zamiarów nie udaje się, aby przygotować materiały do przyszłych powodzeń, albo — udzielić nauki.

My wogóle za mało szanujemy inicjatywę, śmiałe wracanie na nowe szlaki. Gdyby wszyscy Polacy uwierzyli, że należy chodzić tylko utartymi drogami i nigdy nie próbować tego, co ktoś tam uznał za niewykonalne, wówczas prof. Olszewski nie skropliłby powietrza, Arctowski nie wybrałby się do bieguna południowego, Bujwid i Palmirski nie założyłby lecznic dla dotkniętych wścieklizną, Curie-Skłodowska nie odkryłaby radu, Ochorowicz nie zajmowałby się medyumizmem, Warchołowski nie próbowałby lotu i t. d. Pozwólmyż tudziom narażać się na niepowodzenia, szczególnie—gdy to nas nie nie kosztuje.

Naszym neoslawistom nie udało się „ugoda” polsko-rosyjska; obawiam się, że tak pójdzie i w dalszym ciągu; lecz oni zapewne będą dalej próbować, dopóki starczy im wiary w ich ideę. Zresztą, choćby całkiem przegrali z Rosyą, co jest więcej niż prawdopodobne, pozostaną jeszcze dwa olbrzymie zagadnienia słowiańskie: 1-mo zawiązać z Czechami bliższe i trwalsze stosunki kulturalne, 2-do, próbować „ugody” między Polakami i Rusinami w Galicyi. Gdyby udało im się te dwa zadania, gdyby choć jedno — już naród nasz miałby jakieś zyski, a oni, dziś kamienowani apostołowie, zasługę i chlębę,

BOLESŁAW PRUS.

NA URWISKU.

Siedzę słucham i dumam. Nademną przestworze. U stóp mych dzikie fale górskiego potoku Szumią, pienią się, pędzą, jakby w wod natłoku Pozsadzić przysia chciały swoje wąskie łozę.

Nad szczytami zachodnie rozpląnęły zorze, Włokąc smugi szkarłatu po gór modrych stoku, Zagrały tęczą blasków, by zblednąć o zmroku I rozpląnąć się w szarym, schodzącym wieczorze...

Zgasły. Rozwiane wiatrem pieśni mojej dźwięki Dzikie, głośnie, szalone, jak ucztą w Walhalli W ciche nabrzmiałe trwogą zmieniły się jęki.

Tony na lazurowej zawieszają fali. I przed chwilą tak wielkie, tak dumne swą mocą, Teraz żyły swe zmieszały z nadchodzącą nocą.

Zofia Dębicka.

Dziw.

Wyrasta z szarej ściany Dziw o smoczem w łuskach ciele. Olbrzymi włoś, jak zboża snpp, do stóp się falą ściele.

Ramiona w pałak zgięte ma, przebite włócznią skrzydła; kurczowo w kamień wbiła szpon zastygła dłoń strasydła.

I tylko cudna męką twarz z pod włosów pięknem mroczy. Jak tępe noże przestrzeń drą umarłe z bólu oczy.



BOLESŁAW PRUS:

O książkę bardzo potrzebną.

Pewnego razu (mieszkając w Charlottenburgu pod Berlinem) wyszedłem wieczorem na przechadzkę, ulicami pustymi, jeszcze niezabudowanymi. Na zakręcie, za parkanem, usłyszałem hałas i zobaczyłem gromadę kłócących się robotników. Ponieważ zajmowali cały chodnik, więc zawahałem się, co robić?... Jeżeli pójde naprzód, mogę być potrącony; jeżeli cofnę się, mogą mnie pogonić rozjątrzeni... Z niepewnością w sercu zdecydowałem się iść naprzód, a gdy zbliżyłem się do gwałtowników... o cudo! gromada umilkła, rozsunała się (choć nie mam ani „dumnego spojrzenia”, ani „postaci nakazującej szacunek”), przepuściła mnie, a potem znowu zaczęła swoją kłótnię. Do śmierci nie zapomnę tego objawu „grubiaństwa Niemców”.

A teraz zobaczmy „warszawską uprzejmość”. Kilka dni temu mijalem pewien rozbierany budynek. Było południe i po drugiej stronie ulicy, na chodniku, stała gromadka spokojnie rozmawiających robotników. Chodnik, co prawda, nie jest do stania na nim, ale — mniejsza. Po chwili widzę — dobrze starego człowieka, który ledwo włókł się chodnikiem, zajęty przez robotników. Zbliżył się do gromady... ale nikt nie zszedł starymu z drogi, nawet nie poruszył się. Tknięto mnie to w sposób nieprzyjemny; miałem jednak zobaczyć coś gorszego. Tym samym chodnikiem szedł młody oficer, a gdy zbliżył się do gromady, rozmawiających... usunęli się — niby synogarlice przed sokółem...

Ze ustąpili z chodnika — bardzo dobrze; ale że ustąpili przed siłą, a nie przed zbiedzoną starością, to jest całkiem nieładnie.

— Drobną rzecz!... zagapili się!... — powie czytelnik. Ja też myślę, że nieustąpienie z drogi nie należy do występków, za które człowiek idzie do piekła. Na nieszczęście, obok tej „drobnej rzeczy” istnieje w społeczeństwie mnóstwo grubszych, a nawet bardzo grubych. Bo tylko przypomnijmy sobie napaści nożowo-rabunkowe na sklepy i przechodniów dokonywane nie zawsze przez bandytów i zawodowych złodziei?... Pomyślimy o dorózkach, co to wyrzucił dziewczynę przez okno, albo o tym dziewiętnastolatku, który siedemnastoletniego młodzieniaszka pchnął nożem w szyję, akurat tam, gdzie śmierć ofiary jest niezawodna!...

No, wszystko to robią „klasy nieustraszone”!... Za pozwoleniem. A młodzieniec, który, przyczyniwszy się dziewczynie do macierzyństwa, następnie poradził jej, ażeby, dla zapobieżenia skutkom, naraziła się na ciężką chorobę chroniczną i... wykonanie zamiaru ułatwił?... A młodzież szkół średnich i wyższych we Lwowie, wśród której ledwie 20 proc. jest zdrowych, a 70 proc. chorych? A te pensjonareczki w Krakowie, które utworzyły kółko „wolnej miłości”, skutkiem czego na pewnej pensji znaleziono piętnaście

uczenie zarażonych? A nareszcie te — którym końca nie widać — procesy o szpiegostwo i owe pogadanki (naturalnie ze strony osób interesowanych), że: „wśród socjalistów i narodowych-demokratów na 10 spiskujących jest sześciu szpiegów?... A kluby karciarskie w Warszawie, które, już po upływie miesiąca, nie tylko pokrywają koszty instalacji, ale jeszcze przynoszą 20 proc. zysku?...

Prawda, że przestępstwa i zbrodnie rozlewają się po całej ziemi, jak powietrze, że są stare, jak świat, musimy jednak przyznać, że — dawniej tego nie bywało... naprawdę nie bywało!... To już nie marudziarstwo przejrzałego wieku, to stwierdzenie bardzo smutnych faktów, które tak wyglądają, jak gdyby po „ruchu wolnościowym” społeczeństwo zgąłganiało!...

A to przepełnienie kabaretów, gdzie podobno tylko lubieżne piosenki śpiewają się?... A teatry, w których przedstawiają się sztuki obsceniczne?... Albo czy nie jest w najwyższym stopniu charakterystyczny ten dowcip: „barze, coś Polskę”?... Z Boga zrobił zię „bar” i on zaopiekował się Polską... To naprawdę jest interesująca kombinacja, — symbol ducha czasu!

Więc już niema nic w tym kraju, ponad krwawe błoto karciarstwa, nierządu, zabójstw i szpiegostwa?... „Barze, coś Polskę!”

Otóż jest i coś innego. W tych czasach p. W. Lutosławski ogłosił w *Kuryerze Warszawskim* list pracującego w Niemczech polskiego robotnika. Przytoczymy parę wyjątków:

„Och ta ojczyzna, co to za słowo ogromne, przerażające mnie, choć nie wiem sam jak, lub skąd. Na jej wspomnienie mięknie mi serce, jak najtwardszy kamień, rzucony do pieca, w którym się kruszec topi na stal, lub żelazo. Dla tego słowa wszystko mi się здаwało łatwym do wykonania, na tem słowie, jak na skrzydłach archanioła, unosiłem się myślami do dobrego, czasem szlachetnego, a nawet tak potężnego, że nie czułem siebie. Dla tego słowa jam był gotów każdemu ustąpić i widzieć w nim brata swego... Kto mi to słowo w duszy zaszczerpił — niewiem... Dwa słowa w mem życiu dotychczasowem czyniły mnie pokornym i zgodnym z ludźmi wszystkimi, oraz dodawały mi chęci i siły do dobrych przedsięwzięć. A są to słowa: Bóg i ojczyzna”.

„Gdy miałem lat dziewiętnaście, doszedłem już z czytania różnych książek do przekonania tego, że przywódcy Polaków nie mogą być ani pijakami, ani karciarzami, ani rozpustnikami, ani palaczami i t. d. Więc raz pewnego w boru wysokim, starym, sosnowym, pod krzyżem, już się sam wyrzekłem tych czterech nałogów... Dziś już nie kłopotzę się, czy będę bogaty na starość, lub czy przynajmniej będę miał gdzie głowę schronić, nie, to już zostawiam Bogu. Idę do pracy, chociaż ciężkiej, lecz idę wesoły; czuję częściej Boga około siebie, zdałem rachunki domowe na żonę i częściej myślę me kieruję ku Bogu, ojczyźnie, poświęceniu się. Czasem, gdy pracuję w nocy i wyjdę z pod dachu i wejrzę na te miliony gwiazd i widzę tę nieskończoność światów, to czuję ogromność i wszechobecność Pana Boga,

i korzę się przed nim i żałuję za me grzechy dawne”...

Albo przechadzka z kolegą robotnikiem: „...Poszliśmy tedy i wkrótce skierowałem rozmowę na położenie nasze robotnicze, na politykę niemiecką anty-polską, na nędzę i ucisk naszego narodu. Jak mogłem, tak schodziłem po wiekach, jak po szczeblach, coraz głębiej w naszą przeszłość i spuściłbym się może po wszystkich, lecz tam, w głębi ich, jeszcze tej ciemności moim wzrokiem myśli nie zdołałem przejrzeć, więc bałem się tam jeszcze dalej zajrzeć, aby czasem nie móżdż wrócić napowrót”.

„Teraz żegnam cię, ojczy, lecz myśli moje przenoszą się z tym listem tam, na tę ziemię łez i bólu, na ziemię ofiary za ludzkość, i razem z twemi, lecąc w światła przestworach, tłuc się będą u bramy nieba, aby wykołatać u Ojca przedwiecznego zbawienie Polski a przez nią ludzkości”.

Oto serce robotnika polskiego! O ludzie postępowi, uczcie samodzielnie myśleć ten naród, ale pamiętajcie, że bez pojęć: Boga i ojczyzny nie będzie on miał ani — „chęci, ani siły do zgody ze wszystkimi, do dobrych przedsięwzięć, do myśli szlachetnych”, a już wcale nie będzie się troszczył o „zbawienie ludzkości”, co jest bodaj czy nie najwyższym dążeniem postępu...

Czytelnik odetchnął. Ha, widać, że jeszcze bywają zaci i myślący robotnicy (ja przypuszczam, że ich jest bardzo wielu); lecz co będzie z młodzieżą, której tak często wyklada się nihilizm i „wolną miłość”, co w rezultacie prowadzi do szpitala?

Miesięcznik *Prąd* jest pismem mało liczącym dla młodzieży. Otóż w Nrze II-im z r. b. znajdujemy „głos ucznia” p. t. *Chcemy zrozumienia*, z którego przytoczę parę zdań:

„W tak przełomowym wieku młodzieńszym, jak 15—16 roku życia, uczeń klasy IV—V nabiera nowych pojęć, zmieniają się jego zasady, a raczej formują się dopiero. W tym to wieku zaczynamy się interesować najrozmaitszymi zagadnieniami życiowymi, a zarazem szukamy jakiegoś punktu oparcia; może pomimo woli sami pożądamy autorytetu kogoś starszego, doświadczonego, takiego człowieka, który potrafiłby odczuć naszą duszę... W duszach naszych odbywają się teraz coraz to inne przewroty, częstokroć błędnie osądzamy najwznioślejsze zagadnienia, a nie mamy nikogo, do kogo moglibyśmy się śmiało, otwarcie, z całym zaufaniem zwrócić. Czemuż tak jest?...”

Gdybym był ojcem albo nauczycielem tej młodzieży, która wprowadzi wątpli i waha się, lecz jednocześnie szuka drogi do prawdy, gdyby mi wolno było udzielać jej porad, rzekłbym, co następuje:

Nie tylko młodzież, której dopiero zaczynają otwierać się oczy na życie, nie tylko ona doznaje niepewności i szuka światła. Nawet najdoświadczeńsi ludzie wątpią, wahają się, błądzą i cierpią, a ratują się jakotako zapomocą filozofii życia praktycznego, którą spróbuję wam streścić.

Najwyższym zadaniem człowieka jest: w pełni rozwinąć i uszlachetnić swoją duszę i ciało. Do celu tego zbliżamy się za pomocą



ZAGŁOBA

trzech narzędzi: myślenia, działania, mówienia. Myślą poznajemy siebie i nasze otoczenie, to jest — naturę, ludzi, społeczeństwo, przedmioty; działaniem, czynami — staramy się zaspokoić nasze potrzeby, tudzież urzeczywistnić ideały; mową — porozumiewamy się z ludźmi. Ponieważ jednak w naszej Polsce ludzie traktują mówienie jako czyn i wogóle gadają za dużo, więc pierwsze prawidło filozofii życiowej będzie: Ucz się samodzielnie myśleć, użytecznie działać i... dużo milczeć!...

Trzy drogi prowadzą na szczyty doskonałości; nie biegną one oddzielnie, lecz wciąż wikłają się i splatają ze sobą. Drogami temi są: Wiedza — Czyn — Sztuka. Wiedza jest to usystematyzowany zbiór odkryć, dokonanych przez mędrców w człowieku i jego otoczeniu; Czyn — to nowe zmiany, jakie wypracowujemy w sobie lub świecie; Sztuka — zaś, artem, jest to taki sposób pracowania, aby dzieła nasze zbliżały się do doskonałości, czyli posiadały: jedność obok różnorodności, siłę, harmonię, proporcję i t. p. zalety.

A nareszcie do każdej z owych dróg, wiodących na szczyt doskonałości, człowiek musi przechodzić przez trzy bramy: Logikę — Etykę — Estetykę. Czytajcie zatem, kochani

przyjaciele, książki, poświęcone tym naukom. Do logiki w naszym języku istnieje elementarny kurs prof. H. Struwego, wyższy — A. Bain'a, a należałoby jeszcze przetłumaczyć „Logikę elementarną” Stanley'a Jevons'a. Do estetyki — czy ja wiem?... studyujcie tymczasem Lemckiego. Najważniejszą jednak, powiedzielibym: zasadniczą nauką życia jest — Etyka, a najlepszym (według mego rozumienia) podręcznikiem byłaby nieduża książeczka J. Payot'a p. t. *La Moral à l'École*, którą jak najszybciej i najdokładniej należy przetłumaczyć, jak najpilniej, jak najuważniej studyować i — praktykować.

Z książki tej, przyjacielu, dowiesz się i wyrozumiesz, że, największą siłą człowieka jest panowanie nad sobą, kierowanie sobą, najważniejszym objawem życia jest praca, — najważniejszym obowiązkiem — pielęgnowanie energii ciała, umysłu i woli; że warunkami rozwoju osobistości jest rodzina i społeczeństwo, — warunkami istnienia społeczeństwa: sprawiedliwość, tolerancja, własność, solidar-

PIOTR STACHIEWICZ

ność, współczucie i że nareszcie przekleństwami życia, szatanami, których ciągle trzeba zwalczać są nasze wady: lenistwo, tchórzostwo, kłamstwo, pycha, nienawiść, gniew, a obok nich: alkohol i karty.

Z tej nareszcie książki dowiesz się, że dla cudzych przekonań trzeba być wyrozumiałym i sądzić ludzi nie z tego, w co wierzą, ale: co i jak robią?.. Każdy bowiem nasz czyn, zły czy dobry, wywołuje trwałe i daleko sięgające skutki.

Oto masz, przyjacielu, wskazówki, które mogą wystarczyć człowiekowi na całe życie: myśl logicznie czyli rozumnie, działaj etycznie i estetycznie czyli uczciwie i pięknie. Aby zaś od teorii przejść do praktyki, zacznij od drobiazgu: codzień z rana obmyśl sobie plan postępowania logicznego, etycznego i estetycznego, a codzień wieczór zapytaj siebie: o ile twój plan wykonałeś? Gdy masz wątpliwości, naradzaj się z przyjaciółmi, podobnie jak ty myślącymi; zaś w wypadkach wyjątkowych zasięgnij rady nauczyciela, któremu ufasz.

Przedewszystkiem zaś kup sobie książeczkę J. Payota, gdy tylko wyjdzie z druku.





ASYMILACJA.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Kiedy istota żyjąca przyjmie pokarm, strawi go, przerobi na własną krew i własne komórki organiczne, wówczas mówimy, że—dokonał się proces asymilacji. W życiu społeczeństw odbywają się, mniej więcej, podobne zjawiska. Rodzina cudzoziemców osiada w pewnym kraju; pierwsze pokolenie, jeszcze obce społeczeństwu miejscowemu, oswaja się dopiero z klimatem; ale synowie i córki ich już uczą się nowej mowy i potrochu przystosowują się do nowych zwyczajów; we wnukach budzą się już miejscowe sympatie i pragnienia, a co najpóźniej, prawnuki stają się patriotami. Nowy naród uważają za swój naród, jego dzieje za swoje dzieje, jego cierpienia i radości stają się ich cierpieniami i radościami, słowem—kochają nową ziemię, jak swoją ziemię, a członków tego społeczeństwa—jak swoich najrodzeńszych braci.

Jest to proces tak naturalny, tak konieczny, że zdrowa dusza ludzka nie może mu się oprzeć, a nawet zbyt długie opieranie się „asymilacji” byłoby jakimś sztucznym, nienormalnym zjawiskiem. Człowiek zdrowy i rodzina zdrowa psychicznie żyją przecież nie abstrakcjami, ale wrażeniami, czynami, doświadczeniami, stosunkami realnymi. Nie ten przecie kraj, który opuścił, ale nuwy—karmi go, broni, wychowuje, pielęgnuje w chorobie, zamyka prochy jego ojców, budzi w nim radosne i smutne uczucia, a więc—staje się jego prawdziwą ojczyzną. To też każdy bez wyjątku europejczyk, osiadłszy wśród innego europejskiego społeczeństwa, w trzecim, a najdalej czwartym pokoleniu „asymiluje się”, czyli zostaje dobrym pracownikiem nowego narodu, dobrym „obywatelom”, kochającym synem ojczyzny i ukochanym bratem jej dzieci. Ileż to w Niemczech jest nazwisk francuskich, a we Francji niemieckich i nikt nie zwraca na to uwagi, a nawet byłoby śmieszne dziwić się podobnym przedstawieniom. Żadne bowiem celne ani polityczne granice nie mogą zmienić tego zasadniczego faktu, że — co najmniej — wszyscy Europejczycy są braćmi.

Podkreślam wyraz: Europejczycy; istnieje bowiem dość liczny naród—w pewnej swojej części pochodzenia azjatyckiego — mianowicie Żydzi, z pośród których tylko nieznaczny procent „asymiluje się”. Zaś ogromna większość z zaciętym uporem broni się przeciw asymilacji a tych—niby to swoich—ex-członków przesładuje i obrzuca kłáwtami.

— Jakto?—zawoła czytelnik—A we Francji, w Niemczech nie asymilują się Żydzi?... We Francji, na 40-to milionową ludność jest ich zaledwie 95 tysięcy, między nimi sporo zasymilowanych, prawdziwych Francuzów; zawsze jednak zostaje jeszcze tylu separatyistów żydowskich, że Drumont uważał za niezbędne napisać o nich kilka tomów. Za to w Austrii, gdzie Żydów jest blisko półtora miliona, już prawowierni ogłaszają dla postrachu nazwiska osób, które ośmieliły się porzucić judaizm. W Niemczech (przeszło 600 tys.) Żydzi domagają się, ażeby „społeczeństwo występowało przeciw neofitom” i aby Żyd, pragnący ochrzcić się, odpowiedział się przede wszystkim... rabinowi!...

Nareszcie w państwie rosyjskiem, gdzie Żydów liczy się z górą 5 milionów, podcażdu w Kownie adwokat petersburski Hosberh występował przeciw wolności sumienia, które „może podkopać historyczną solidarność Żydów”. Rabin Kaszter z Rygi i milioner Brodzki oponowali mu, twierdząc, że—duch żydowski jest zbyt silny, ażeby miał lękać się swobody sumienia; adwokat Winawer mówił o narodowym wskrzeszeniu Żydów, a rabin kijowski oświadczył, że „właściwy duch żydowski to—Talmud”.

Wobec takich objawów trudno dziwić się, że w Warszawie, nawet na dobroczynnych posiedzeniach żydowskich zebrani nie pozwalają odzywać się po polsku, a gazety żydowskie głoszą: „Toczymy walkę z asymilatorami, musimy doprowadzić ją do końca. Żadnego kompromisu, żadnego porozumienia nie może być między nimi i nami. Zniszczyć asymilację!”...

Tak się mówi i pisze — „po 600 letnim współżyciu ze współobywatelami Polakami”. A może są to tylko pojedyncze wybuchy nieżyczliwości?... może to chwilowe zjawisko?... Wcale nie. Separatyzm zawsze był panującym uczuciem wśród ogóln żydowskiego; milczał w epoce ucisku, a dziś, w okresie nieco większej swobody, mówi o sobie głośno, za co powinniśmy mu być tylko wdzięczni. Nie ma bowiem rzeczy niebezpieczniejszej, jak wszelkie prądy podziemne: niby to wcale nie istnieje, a pewnego czasu — dom się przewraca!

Zanim dotknę rdzenia sprawy, czyli—„ducha żydowskiego”, ośmielę się postawić pewną hipotezę. Kto chce, może ją przyjąć, albo odrzucić; dla mnie posiada ona wysoki stopień prawdopodobieństwa.

Zdaje się, że popełniamy duży błąd, myśląc o Żydach, jako rasie jednolitej. Nie jestem nawet cieniem autopologa, lecz przypatrując się fizjonomiom Żydów, rozmawiając

z niektórymi, rozważając rozmaite czyny żydowskie, doszedłem do wniosku, że pod wyrazem: „Żyd”, kryje się tyle odmiennych typów ludzkich, co — pod urzędowym tytułem: „Rosjanin”. Myślę, że między Żydami dzisiejszymi są nie tylko potomkowie Izraelitów, którzy niegdyś zamieszkiwali Palestynę, ale także—starodawnych Egipcyan, krwawych Asyryczyków, Greków, Rzymian, Hiszpanów, Germanów, nawet Słowian i Mongołów. Wszyscy oni (przynajmniej u nas) noszą podobne brody, podobne chałaty, mówią tym samym żargonem, wypełniają te same przepisy religijne, więc niby są w ogólnych zarysach—podobni; co najmniej jednak dzielą się na dwa typy. Jeden, nie zbyt liczny, jest zdolny do przyjęcia cywilizacji europejskiej, garnie się, a lepiej—wyrwa się do niej i nawet z korzyścią pracuje dla jej rozwoju. Drugi typ, bez porównania liczniejszy, pogardza cywilizacją europejską, gdyż skryształizował się we własnej, dobrej w swoim czasie, dziś bardzo zacofanej.

Otóż ten pierwszy typ dostarcza „Żydów” asymilujących się, którzy naprawdę nigdy nie byli Żydami; ten zaś drugi typ, broni swojej odrębności, nienawidzi asymilatorów, lęka się wolności sumienia, a Talmud uważa za „właściwego ducha żydowskiego”. Żyd rzeźbiarz, malarz, uczoney — to niby echo krwi greckiej; polityk, palestrant—to Rzymianin; dynamicznie — to Asyryczyk; tragarz lub niezmęczony rzemieślnik—to Egipcjanin. W których przeważa krew aryjska, uciekają do cywilizacji, w których—semicka—zostają przy Talmudzie.

Czemże jednak jest ów Talmud?... Istnieje w naszym języku ciekawe i pouczające dzieło J. A. Świącickiego — „Literatura żydowska”, w którym autor ze spokojem i obiektywizmem prawdziwego uczonego starał się, najogólniejszymi rysami scharakteryzować Talmud. Przytoczymy z tego źródła kilka najwydatniejszych:

Wychowanie Żydów—pisze Świącicki—rodzinne, szkolne i synagogałne, zmierzało ku temu, żeby z całego narodu uczynić jeden lud prawa, żeby każda jednostka знаła treść jego i stosowała się do niej, żeby Zakon wszedł w krew każdego Żyda, żeby stał się drugą jego naturą i żeby odstępowanie od zasad prawa (rozumie się: izraelskiego) było wewnętrzną niemożliwością. Jakoż cel ten osiągnęli Żydzi w wysokim stopniu i historyk Józef mógł śmiało pisać: „Cnocbysmy byli pozbawieni bogactw i miast i wszelkich innych dóbr ziemskich, zostanie nam—Prawo na wieki”.

„W owej (przedchrystusowej) epoce dwa tylko uczucia wypełniały duszę Palestynczyka: wykonywać Zakon i—nienawidzieć cudzoziemców, co było następstwem i prześladowań barbarzyńskich, które Żydzi znosić musieli i pobożności ówczesnej, która nawet u osobników najszczerzych pozabawiona była poczucia grzechu”.

„Talmud—cytata z rabina S. R. Hirsza—nie jest bynajmniej jakimś dodatkiem, który możnaby odrzucić bez dotknięcia istoty judaizmu; Talmud bowiem jest jedynym źródłem, z którego wypłynął judaizm, podstawą, a której judaizm stoi i duszą żywą, która uformowała i utrzymuje żydostwo”.

A więc chemże jest nareszcie Talmud?... Jest on kodeksem religijnym Żydów, ich księgą naukowo-wychowawczą, tudzież źródłem wiadomości i nauk dla masy... Jako religijny kodeks Talmud wytworzył silne ogrodzenie dokota Zakonu i w ten sposób osiągnął cel główny: zjednoczenie narodu żydowskiego i ocalenie judaizmu, lecz jednocześnie wniośł do religii skrajny formalizm. Jako księga wychowawcza Talmud trzymał myśl żydowską w ciągłym napięciu pobudzającym do działalności, lecz z drugiej strony przuczył umysł żydowski do badań drobiazgowych, kazuistycznych, wytworzył sztuczną uczoność dla uczoności, która, ożywiając działalność mózgu, odwracała uwagę od wiedzy żywej, dającej pokarm dla duszy. W dodatku: „Talmud zawiera pewne pojedyncze aforyzmy i postanowienia wrogie dla innych narodów, tudzież wyznawców religijnych”...

Dużo dziś słyszymy o demokratyzmie Żydów, o ich przejściu się hasłami wielkiej rewolucji. Oto próbka demokratyzmu: „Żyd, oddany nauce Talmudu jest tak święty, że kto zmuszałby go do służenia sobie, powinien natychmiast umrzeć... Kara chrześcijan na tym świecie będzie taka, iż będą ich gotować w kotle napełnionym nieczystościami”... Niech więc żyje równość i braterstwo!...

A oto próbki ćwiczeń dyalektycznych: „Kto Szemę czyta, nie słysząc jej uchem, spełnił swój obowiązek. Rabi Jose mówi: że nie spełnił. Kto ją przeczytał, nie wymawiając głosek dokładnie, podług r. Jose spełnił swój obowiązek, a podług r. Jehudy nie spełnił go. Kto, czytając, omylił się, powinien rozpocząć nanowo od miejsca, w którym się omylił”... Inna próbka: Wynoszenie podczas sabbatu odbywa się w dwojaki sposób, który jest czworaki dla osób, będących wewnątrz i w dwojaki sposób jest czworaki dla osób, będących zewnątrz... Jeśli gospodarz wyciągnie swą rękę na zewnątrz, a ubogi weźmie z niej coś, lub coś w nią włoży, przy czym tamten weźmie to do wnętrza,—to obaj niewinni”...

Takie i tym podobne mędrkowania talmudyczne nazywają się u Francuzów: dziełem włosu na cztery części; w każdym razie stanowią one gimnastykę myślową nie gorszą od mędrkowań średniowiecznych scholastyków, które, bądź co bądź, wyrobiły syllogizm. Te więc tamgłówki talmudyczne nie są tak głupie, jak wydawałby się mogło i kto wie, czy nie one wyrobiły w Żydach t. zw. spryt?... Gorzej jest z „naukowością” talmudyczną, na przykład: Anulet przeciw febrze składa się z następujących materyałów: „7 jagód, z 7 palm, 7 drzazg z 7 belek, 7 gwoździ z 7 mostów, 7 szczypt popiołu, z 7 pieców, 7 ziarn kminku i 7 wiosów z brody psa starego”... Na szczęście nie połykało się tej mieszanki, tylko nosiło się ją, zapewne w woreczku.

Nie drwimy jednak z Talmudu, gdyż są tam i rzeczy wielkiej wartości. Podstawą wychowania młodzieży żydowskiej—była bojaźń boża, cześć dla rodziców, miłość pracy, wstręt do lenistwa, i niezdrowych rozkoszy, dobroć względem ubogich i nieszczęśliwych”. „Mężczyzna powinien jeść i pić mniej, niż może ubierać się wedle możliwości, a szanować żonę po nad swoją możność... Żona jest domem mężczyzny, duszą domu”... „Nie gnębić i nie uciskaj cudzoziemców, gdyż sami byliście cudzoziemcami w Egipcie; kochaj go, jak sam kochasz” (Wszelako — dodaje Świącicki — niewolnik pogański, przeszedłszy w służbę do Żyda, musiał się przedewszystkiem—obrzezać, Piękna więc czeka nas karyera!

Albo takie oto aforyzmy talmudyczne: „Ten bogaty, kto przestaje na swoim.—Wpród się sam popraw, zanim innych poprawiać zaczniesz.—Zardziej godnym szacunku jest ten, kto żyje z własnej pracy, niż ten, który jest tylko bogobojny,—Świat jest podtrzymywany przez czysty oddech dzieci, które chodzą do szkoły.—Kto zasługuje na miano mądrego? Człowiek przewidujący. (O bracia Polacy, nauczymy się tego aforyzmu!). —Uczony, choćby był bękartem, ma pierwszeństwo przed głupim arcykapłanem.—Nawet niebo sprzyja śmiałości. Praca jest wyższa od pobożności próżniaczej...—Większą jest zasługą pożywać, niż dawać jałmużnę, a największą—pomagać każdemu przez współudział w handlu”...

Obok jednakże tych pereł i dyamentów mądrości talmudycznej znajdują się takie klejnotki: „Trzymaj się tego, komu szczęście sprzyja”. Kto widzi domy Izraelitów, jeżeli one są zamieszkałe, wypowiada: niech będzie błogosławiony ten, kto granice Wdowy przywraca. Gdy kto widzi domy nie Żydów, jeżeli są zamieszkałe, uciech powie: Pan wywróci dom pysznych, a jeżeli zniszczone; Pan jest Bogiem zemsty i zjawił się jako Bóg zemsty”.

Teraz już wiemy, dlaczego Żyd łączy się z Rosjaninem i Prusakiem przeciw Polakowi; albowiem uczy Talmud: „Trzymaj się tego, komu szczęście sprzyja”. I domyślamy się, co mówili, przynajmniej niektórzy z nich, gdy przewróciła się „gościnna” Rzeczpospolita: „Pan Bóg jest Bogiem zemsty”!...

Jakież wnioski wypływają z cytatu i uwag powyższych? Najpierwszy ten, że trudno mówić o asymilacji narodu, czy wyznania, dla którego separatyzm jest artykułem wiary, najwyższym pragnieniem, najrozwężniej obmyślanym celem. Od masy żydowskiej i bez programów asymilacyjnych będą odrywać się jednostki, instynktownie lub świadomie tęskniące do cywilizacji; ale ogół Żydów, a osobliwie tych naszych Żydów, asymilować się nie chce, przeklina i walczy z asymilacją. Jeżeli od 2,000 lat Żydzi są zdeklarowanymi separatystami, to jest dwa tysiące razy więcej szans, że zostaną nimi i nadal, aniżeli, że zasymilują się w jakimś przeciągu czasu.

W rezultacie sądziłbym, że zamiast tracić siły na rozwiązywanie nierozwiązalnego zagadnienia, byłoby lepiej zabrać się do — zreformowania, do—udoskonalenia nas samych, którym nadzwyczajna liczba w kraju Żydów i zajęcie przez nich bardzo ważnych stanowisk grozi strasznymi niebezpieczeństwami.

Ciągły przyrływ Żydów z Cesarstwa, wielka emigracja ludu polskiego od nas, przejście prawie połowy ziemi i domów galicyjskich w ręce Żydów są zapowiedziami tego, co może spotkać nas już w niedalekiej przyszłości. Najdzielniejsi rozproszą się, słabsi wpadną w ostateczną zależność od Żydów — i tak będzie wyglądała „asymilacja”.

Żydzi mają prawo posiadać własne wyznanie, język, pisma, szkoły, teatry, mają prawo lekceważyć nas a sympatyzować z haka-tyzmem. Lecz naodwrot: asymilatorowie muszą mieć prawo asymilowania się, a my—prawo bronięcia się przed zagładą haniebną.

BOLESŁAW PRUS.



Notatki wołyńskie.

ZAMIAST KRONIKI

I.

Po całej kuli ziemskiej rozsypali się bracia nasi, Polacy. Spotkać ich można w Moskwie i Berlinie, w Irkucku i Nowym Jorku, nad Renem i Amurem, nie mówiąc o takich rdzennie rosyjskich okolicach, jak: Wołyń, Podole, Ukraina i Litwa. Wszyscy oni tę posiadają wspólność wobec naszego serca i pamięci, że—prawie ich nie znamy, bardzo niewiele o nich wiemy i nader mało interesujemy się nimi. Syto im czy głodno, zimno czy gorąco, żyją i rozwijają się, czy też giną bez ratunku—nas to nie obchodzi, zapewne dlatego, że i oni nie zwracają się do nas.

A jednak—może i nie źle byłoby, nie tylko od czasu do czasu usłyszeć coś od nich, ale—utrzymywać z nimi ciągłe zetknięcie i starać się, ażeby między nami i nimi wytworzył się duchowy prąd myśli i uczuć. My przypominilibyśmy im daleką ojczyznę, za którą każdy Polak tęskni, oni opowiadaliby nam o krajach, ludach i stosunkach, wśród których żyją; my ogrzewalibyśmy ich, oni wzbogaciliby naszą wiedzę. Znajomość obcych ludów jest źródłem bodaj czy nie największej mądrości praktycznej.

Oto dlaczego postanowiłem napisać kilka słów o Wołyniu, na który spojrzałem, jakby przez dziurkę od klucza. Rozumie się, będzie to szkic bardzo niepełny; w każdym razie lepszy od dzisiejszej niewiedomości, dzięki której wyobrażamy sobie, że poza Placem Teatralnym i Alejami Ujazdowskimi niema już nic na świecie.

Będę więc opowiadał o rzeczach drobnych i osobistych, które jednak może trochę światła rzucią na tamtejszych ludzi i stosunki.

Jechałem na Wołyń nie jako turysta, ale—za interesem. Miałem mikroskopijną sprawę pieniężną, która ugrzęzła w bagnach poleskich więcej niż na ćwierć wieku, gdyż nie potrafiłem i nie śmiałem doprowadzać jej do końca. Dlaczego?... Pewien mój znajomy odziedziczył w Turcyi 200 tysięcy franków. Naturalnie pojechał tam co rychlej, bawił kilka lat i... umarł ze zgrzyoty, nie ujrawszy ani jednego para... Inny mój znajomy (działo się to bardzo dawno) miał odebrać parę rubli na Wołyniu, co w krajach ucywilizowanych załatwia się w ciągu kilku godzin. Otóż wpadł nieborak (z rekomendacji miejscowego ziemianina) pomiędzy rozmaitych koleżeńskich registratorów i sekretarzy, podpisał kilkanaście aktów, siedział ze trzy tygodnie, odebrał tylko połowę należnej sumy, a i tem jeszcze musiał podzielić się z sekretarzami i registratorami. W rezultacie zachorował na serce, potem na cholerę (był to rok epidemiczny) i wrócił z Wołynia chudy, jak wykałaczką, przysięgając, że po miliony jużby tam drugi raz nie pojechał. Samo słówko „Wołyń” doprowadzało go do wściekłości.

Po tem wyjaśnieniu tklivy czytelnik zrozumie, dlaczego nie kwapiłem się na Wołyń choćby po odzyskanie kilkuset uwieczonych rubli.

Los jednak wyrządza niespodzianki. Pewnego razu zapoznałem się z Wołynakiem, p. Władysławem Osuchowskim (do Osuchowskich mam specjalne szczęście), który bez długich wstępów powiedział:

— Daj mi pan plenipotencję, a ja pańskie interesy pozabawiam.

P. Osuchowski ukończył instytut rolniczy w Puławach, skąd mnie wypędzili, co stanowi jedno nasze koleżeństwo; jego małżonka, p. Wiktoria Osuchowska, jest autorką kilku tomików bardzo miłych nowelek, to znowu drugie koleżeństwo. Nic zatem dziwnego, iż spadłemu z nieba dobroczyńcy dałem jak najszerszą plenipotencję, ciesząc się w duchu, że to nie ja, tylko on będzie się bawił z sekretarzami i registratorami, nie ja, tylko on przyzna, że na Wołyniu trudno odzyskać swoje własne, choćby najwłaśniejsze pieniądze.

Po paru latach już począłem zapominać o dostatkach wołyńskich, gdy nagle mój kochany opiekun daje mi znać, żebym przyjechał—aż do Łucka! Tam zaś, jeżeli nie wszystko, to przynajmniej część „sukcesyi” zostanie odzyskana.

Kupić—nie kupić... Zebrawszy tedy odwagę, siadłem na maszynę i—dalej do kraju koleżeńskich registratorów!

Kto chce przekonać się, w jaki sposób polityka wpływa na krajobrazy, niech przejedzie koleją nadwiślańską od Lublina do Kowla. Za Lublinem, aż do Buga, na prawo i na lewo, co kilka minut widać wsie, folwarki, fabryki, wielkie sterty zboża, pola starannie uprawne. Zaś od Buga—widok wsi staje się osobliwością, fabryk ani folwarków nie spostrzega się, obok pól uprawnych—wielkie przestrzenie jakby nieużytków czy bagien. Jednocześnie możesz usłyszeć urzywek rozmowy:

— Ona chce sprzedać grunta leżące przy samej kolei, po 80 rubli dziesięcinę i nie znajduje kupca.

Słowa te charakteryzują rdzennie rosyjski Wołyń, gdzie Polakom z Królestwa nie wolno kupować ziemi. Z lewej strony Buga, w gubernii lubelskiej, morga gruntu kosztuje sto i dwieście rubli, czasem więcej; z prawej zaś strony, w gubernii wołyńskiej, nie chcą dać i czterdziestu rubli za morgę, nawet przy kolei. Toż samo w Galicyi: ziemia jest cztery razy droższa, aniżeli na Wołyniu. Wystarczy przejść kilkanaście kroków, minąć tylko słupy graniczne, ażeby człowiek znalazł się jak na innej planecie!



WAZA

H. GLICENSTEIN

Przyczyna bardzo prosta: na Wołyniu jedną wiorstę kwadratową zamieszkuje 56 osób, gdy w gub. lubelskiej na tej samej przestrzeni mieszka 96 ludzi, bez mała dwa razy więcej. Że zaś, gdzie mniej ludzi, tam i mniej pracy, nic zatem dziwnego, że Wołyń ma jeszcze mnóstwo nieużytków i ziemię o wiele tańszą. Ale Polakom pracować tam nie wolno.

Już z tej strony Buga widzieć można ludność małoruską: mężczyźni w kierpcach czy sandałach, przypasanych do nogi w sposób starorzemski, w kaszkietach z daszkami, w bursach sukmanach do kolan. Szczególna rzecz te ulubione barwy odzieży. Chłop lubelski nosi sukmanę ciemno kasztanową, koloru końskiego; Biłgorajak odziewa się w białą parciankę, więc ma barwę owcy; inteligencja i wielu Żydów noszą się czarno, niby krety; inni Żydzi, w chałatach wypłowiałych, przypominają szczury wędrownie, a Małorusin w swojej burej świtce wygląda na wilka. Wilczych jednak instynktów nie posiada, pomimo że w gubernii wołyńskiej ogień co roku wyrządza strat za dwa i pół miliona rubli, z których piąta część pochodzi z podpalen. A może i więcej, niż piąta, albowiem w połowie wypadków przyczyną pożaru nie są znane.

Chłopi, których widziałem z okna wagonu, wydawali się mizernymi. Na uwagę, że muszą się źle karmić, odpowiedziano mi:

— W północnej części gubernii wołyńskiej, gdzie ziemia gorsza, lud istotnie karmi się gorzej, przeważnie kartoflami; ale w południowej części jest co innego. Tam na obiad, o ósmej rano, człowiek jada barszcz z fasolą, kartoflami, kapustą i kaszę; w południe—chleb i słoninę; na wieczór—krupnik i kłuski. W każdym razie dla Małorusina podstawą pokarmu jest chleb, gdy w Królestwie chłop na kartoflach opiera swoją kuchnię.

Ściemniło się, kiedy pociąg dojechał do Kowla. Na stacyi krzyki, bieganie; ktoś wsiada, ktoś wysiada, wielu idzie do bufetu, ale targa nie dojrzawszy przez mrokotop. Wtem słyszę głosy znajome; ktoś chwycił mnie za rękę, ktoś porywa ciężką walizkę... Otóż i znaleźli się przyjaciele: obaj panowie Osuchowscy, a nawet córka ich, panna Marta.

— Przyjechaliśmy tu wszyscy, ażeby się pan nie nudził.

Istotnie przyjechali o kilkanaście wiorst ze wsi. W parę minut jestem porwany, srowadzony ze schodów, wpakowany w dorożkę. Pędzimy, jak wichra, i, po przejechaniu dość długiej a nierównej drogi, zatrzymujemy się przed Hotelem Krakowskim. Jest to dom partelowy, zwrócony do ulicy bokiem węższym; przez całą długość biegnie korytarz, po jednej i drugiej stronie numerów. Państwo Osuchowscy pokazują mi swój pokój; właściciel hotelu, który jest zarazem kelnerem, przynosi wodę... Wnet dowiaduję się, że pochodzi on z Piotrkowa, że płaci rocznie 700 rubli dzierżawy za hotel, że wiadro wody kosztuje grosz i że, na ogół, jest bieda.

Tymczasem pani wzywa na kolację. Są wędliny z Zadybów i kurczęta z Zadybów i masło stamtąd; tylko chleb i ogórki kowelskie, a śliwki z Łucka. Wszystko doskonałe, nie wyłączając pieczywa, które podobno wyrabia piekarz warszawski. Byłoby ciekawe dowiedzieć się, czy nie przyjechał tutaj na skutek strajków?

— Pan musi być zmęczony, radzimy iść spać—mówią kochani gospodarze.

Przed zaśnięciem słyszę huki i łoskoty fajerwerków i bodaj czy nie muzykę w najbliższym kinematografie; ile zaś razy przebu-

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji. W tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

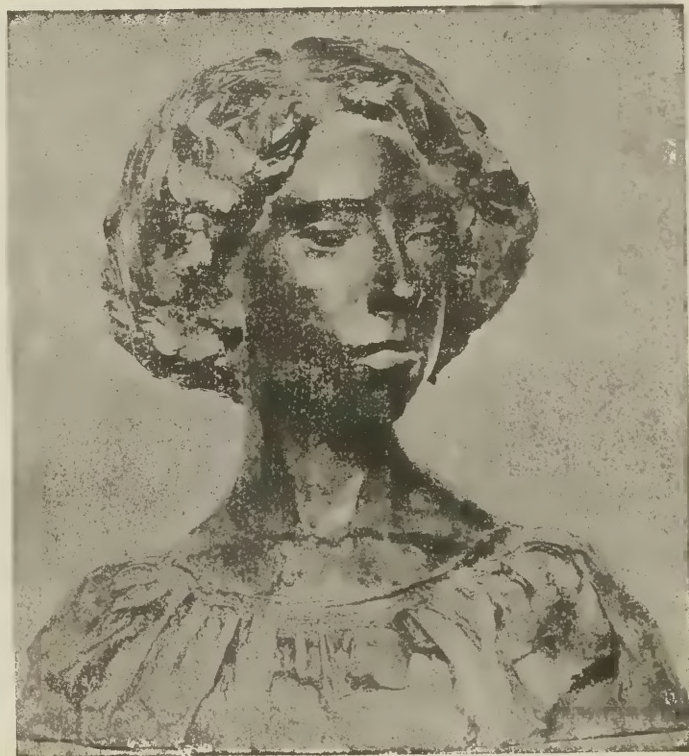
W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.

W tym celu należy przede wszystkim
zwrócić uwagę na to, że w tym
momencie nie ma jeszcze żadnych
dokładnych danych na temat
tego, co się dzieje. W związku
z tym należy być bardzo ostrożnym
w ocenianiu sytuacji.





GABRYEL d'ANNUNZIO



PANI d'ANNUNZIO

RZEŹBY HENRYKA GLICENSTEINA

dę się, dolatują mnie gwizdania i ryki syren na stacy kolejowej.

Wstaję wcześnie, aby rozejrzeć się w nieznaną miejscowość. Nasz hotel znajduje się na nowym mieście czy przedmieściu; stare miasto leży na wyspie, za rzeką Turyą. Na przedmieściu chodniki są z desek, a na niektórych ulicach w piasku można buty zostawić. Przed sobą widzę pusty, brzydki plac, a na nim pomnik w postaci czworosiennej piramidy. Co oznacza ten pomnik?... w mieście nikt nie wie. Jedni mówią, że jest to pamiątka po cholercie, inni, że w tym miejscu była potyczka Rosyan z Francuzami. Najnowsza zaś wersja opiewa, że jest to pamiątka na cześć męczenników prawosławnych, których... zamordowali Polacy!... Tak się robią dzieje, metodą Iłowajskich.

Obchodząc piramidę, na jednej ze ścian przeczytałem niezgrabny napis kredą: „Zdies pokoitsia polskij korol, wieczny jemu pokoj” (Tu leży król polski, wieczny mu odpoczynek). I otóż w kraju, gdzie chcieliby zatrzeć imię Polski, ta sama nienawiść wywołuje cień nawet króla polskiego! Dziwne są ścieżki Pańskie.

Wlokę się ku staremu miastu. Wszędzie szylidy rosyjsko-żydowskie z wyjątkiem sklepu Towarzystwa spożywczego, apteki Fridrichsona i, jak już wspomniałem, Hotelu Krakowskiego, gdzie, obok napisów urzędowych, widnieją polskie. Czy Żydzi więcej, aniżeli Polacy, dbają o swoje szylidy?... czy może litery hebrajskie mniej rażą wzrok, aniżeli łacińskie?

W chwili, gdy zastanawiam się, dlaczego tu istnieje tak wiele składów aptecznych i „salonów” fryzjerskich, wymija mnie Żyd ogromny, otyły, z grubym nosem, grubymi wargami, grubymi uszama, sapiący, nadęty. Jeżeli ten jegomość jest prawdziwym Semitą, ja będę prawdziwym Chińczykiem!

Przed mostem, w otwartej bramie ogrodu, kilkunastoletnia Żydóweczka sprzedaje owoce. Wziąłem parę sztuk, zapłaciłem i idę dalej. Wtem słyszę głos dziecięcy:

— Pastojtie!... Proszu pana!...

To Żydóweczka goni mnie, oświadcza, że się omylił w zapłacie, i zwraca trzy kopiejki.

W Kowlu mieszka 26,000 ludności wśród której Małorusini tworzą 45 procent zaludnienia, Żydzi 43 proc., Polacy 10 proc. Jest to więc miasto małorusko-żydowskie. Wogóle w gubernii wołyńskiej na półczwarta miliona ludności żyje: 70 proc. Małorusinów, 14 proc. Żydów, nie całe 9 proc. Polaków i 4 proc. Niemców. Wielkorosyane, według źródeł urzędowych, tworzą zaledwie 0,4 proc. ludności, są więc 35 razy mniej liczni, aniżeli Żydzi, a 135 razy mniej od Małorusinów.

Oto rezultat półwiekowej walki z dziewicioma procentami Polaków. Kraj, jak był, tak jest i będzie małoruskim; liczba Żydów nieco wzrosła, a liczba Wielkorosyan dosięgnęła bajecznej cyfry... 15 tysięcy osób! Było też o co tyle robić hałasu, tyle pisać zakazów i tyle praktykować prześladowań. Jeżeli projektowana gubernia chełmska tyleż zdobyćzy przyniesie „prawdziwej” rosyjskości, to, zaiste, szkoda nie tylko pieniędzy na jej ufundowanie, ale nawet czasu na obrady.

BOLESŁAW PRUS.



HENRYK GLICENSTEIN (portret własny).

Henryk Glicenstein.

SYLWETKA.

Zarząd warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych powołał Henryka Glicensteina na opróżnione przez Dunikowskiego, stanowisko profesora rzeźbiarstwa. Wybór padł na jednego z najoryginalniejszych najbardziej samodzielných artystów jakich doba rozwoju sztuki polskiej—wydała.

Twórcza organizacja Glicensteina przemawia przede wszystkim silną indywidualnością, temperamentem pełnym wzniosłego polotu i archaicznej jakby powagi. Po za tem jest to artysta który bardzo wiele umie, wiele czuje i jest w stanie myśli swe wyrazić w kunsztownej pastycznej szacie. Glicenstein w naturze swojej posiada właściwości właściwe każdej szerszej, artystycznej duszy—znac to, w najmniejszym nawet odroczku jego twórczych porywów—talent swój kształtował i urabiał w żywotnych centrach zachodniej Europy, co mu nadało piętno niezwyklej artystycznej kultury. Kulturą łączy się z ruchem wzbudonym w dziedzinie rzeźbiarstwa współczesnego, przez geniusz Rodin'a. Jest on,—jak tyłu innych artystów ostatniego okresu, uosobieniem kierowników, które powstały jako reakcja przeciw akademizmowi w sztuce; w kreacjach swych stara się odbiegać od dróg utartych, od szkolarskiego szablonu. I w walce, staczanej w głębiach swej artystycznej istoty, toruje własną swą ścieżkę.

Nowomianowany profesor jest w pełni sił męskich. Kilkonastoletnia jego samoistna karyera, to jeden ciąg wielkich wysiłków, wielkiej pracy wielkich pragnień. Od chwili gdy wstąpił w szranki, nie stanął nie zatrzymał się nawet, lecz szedł wciąż naprzód przed siebie. Szedł tam gdzie mu drogę wskazywało uczucie, a talent coraz to szersze rozpościerał horyzonty.

Wierny przyjaciel tak przedwcześnie dla sztuki zgasłego Hirszenberga, Glicenstein, ma wspólną z nim cechę, żywiołowej tęsknoty i smętku, którym opromienia twory swej twórczej wyobraźni, są one przez to jakby symbolami życia, w którym tkwi specjalny nastrój, o subtelny, specyficznym wyrazie. Urodzony 1870 r. w Turku w kaliskiem, Glicenstein bardzo młodo poświęcił się sztuce. W 1890 roku widzimy go w pracowni akademickiej prof. Rümmana w Monachium—gdzie przebywa lat pięć—w 1894 r. otrzymuje medal brązowy na wystawie sztuki polskiej we Lwowie za rzeźbę popiersia; na powszechnej paryskiej wystawie 1900 r. ma sobie przyznany medal srebrny za grupę „Kain i Abel”. Od lat piętnastu posiada stałą pracownię w Rzymie, skąd wkrótce przybędzie, aby objąć powierzono mu stanowisko.

H. PIĄTKOWSKI.



Notatki wołyńskie.

ZAMIAST KRONIKI.

II.

Człowiek, który z uwagą patrzy na otoczenie, słucha, co inni mówią, i czyta wiadomości bieżące, łatwo może u nas zostać pesymistą. Tu kradną, tam napadają, owdzie odbierają sobie życie; ten oczernia bliźniego, tamten oszukuje, ów, gdzie może i na kim może, praktykuje wyzysk. Czuć rozdrażnienie, podejrzliwość, niechęć każdego do wszystkich i wszystkich do każdego, a już o jakimś solidarnym działaniu i mowy być nie może!

Tak społeczeństwo nasze wygląda z wierzchu; nie dziw, że ludzie zgryźliwi, czy bardziej zmęczeni życiem, uważają nas za zgubionych. „Nic z nas nie będzie!”—oto ich wyznanie wiary, smutne i demoralizujące.

Zdarzają się jednak chwile wyjątkowe, kiedy człowiek patrzy na świat z punktu całkiem nowego, skąd widzi nie tylko pozory, ale jakby duszę społeczeństwa. Taką chwilę ja miałem w roku bieżącym. Mówiąc prosto, byłem ciężko chory, co w języku poetyckim wyraża się, że—cierpienie siadywało przy moim łóżku i obejmowało mnie za szyję. Niekiedy zdawało mi się, że słyszę ciche dzwonięcie do drzwi; gdy zaś powiedziano, że nikt nie dzwoni, domyślałem się, że to ona... przysłała mi bilet wizytowy...

W takich chwilach, znowu w języku wieszczów, przyglądamy się ludziom i ich sprawom „pod kątem wiekuiścioci”.

Otóż dziś jeszcze, we mgle wspomnień, widzę stół nakryty białym prześcieradłem i kilku chirurgów, którzy bez chloroformu, z bajeczną zręcznością, wykonali na mnie dosyć nudną operację, i pytam się: po co moi kochani rodacy wyjeżdżają za granicę lub nawet sprowadzają stamtąd kosztownych lekarzy, jakgdybyśmy tu, na miejscu, nie posiadali bardzo zdolnych, bardzo uczonych, a nawet wprost znakomitych?... Przypominam sobie doktora Tymienieckiego, który przez kilka miesięcy, codziennie, z punktualnością chronometru, robił opatrunki i sam, silny jak lew, dodawał mi energii. Widzę, niby w kamieniu rzeźbioną, fizyognomię profesora Kosińskiego, którego genialna dyagnoza i operacja dokonana—tak sobie—od ręki—a dla pacjenta całkiem bezbolesna, bodaj czy nie cofnęła mnie z nad grobu.

A nareszcie, gdybym miał ze dwu albo ze trzech rodzonych braci, a każdy był lekarzem, jeszcze wszyscy oni nie otoczyliby mnie większą życzliwością, nie wydobyliby ze siebie więcej wiedzy i natchnienia, aniżeli uczynił to doktor Bauerertz.

O najbliższych nie wspominam; przecież to ich „obowiązek” zawsze poświęcać się i nie pamiętać o sobie!...

Przepraszam, że tyle miejsca zająłem wspomnieniami o własnych dolegliwościach, ale pobudki tego nie są egoistyczne. Chcę przypomnieć czytelnikowi, że jednak wśród lodowatej atmosfery zdżiczenia, jaka ogarnęła nas od pewnego czasu, istnieją dusze słoneczne.

Niech każdy przypomni sobie ile dobrego zaznał od ludzi w chwilach nieszczęść, a dalej—niech policzy szlachetnych ofiarników i niezłomnych działaczy każdej dziedziny życia społecznego, a przyzna z otuchą, iż jednak my jesteśmy coś warci... Niema kwestyj, że naród nasz—z jednej strony jest chory, z dru-

giej—ma tysiące niezaspokojonych potrzeb; ale też posiada pracowników, którzy mogą mu przywrócić zdrowie i wskazywać drogę do pomysłowości ogólnej. Całe nasze nieszczęście polega na tem, że, kiedy źli ludzie i złe czyny z hałasem wysuwają się na pierwszy plan, dobroć i poświęcenie trują się w ciszy i rozproszone, nie zaś zorganizowane, jak to jest gdzieindziej.

Pod względem bogactw ziemi i bogactw charakterów w jednakowym znajdujemy się położeniu: mało o nich wiemy i mało zajmujemy się nimi, podczas gdy o rozmaitych hultajstwach mówią wszyscy, piszą o nich prozą i wierszem, nawet pokazują w teatrach.

Cały powyższy wstęp, może za długi, miał na celu przygotować czytelnika do wiadomości, że na Wołyniu—istnieją mniej więcej takie same stosunki, jak u nas. Wprawdzie jest tam tylko garść Polaków, warunki polityczne niesłychanie trudne i pozory smutne; mimo to nie brakuje ani uczuć społecznych, ani jednostek o wysokie, wartości.

Wróćmy do podróży. Są ludzie-ptaki i ludzie-drzewa. Ja, na przykład, lubię kwitnąć na miejscu, a gdy puszczam się w dalszą drogę, choćby do Nałęczowa, już w Jabłonie miałbym ochotę popasać. A tymczasem jeden z moich przyjaciół dziś jest w Warszawie, jutro w Lublinie, pojutrze pędzi do Petersburga, za miesiąc płynie do Nowego Jorku, wdrapuje się na wierzch 30-piętrowej kamienicy, znowu za miesiąc wpada do Zakopanego, ażeby skoczyć na Zawrat... Jezus Marya, co ten człowiek dokazuje!...

Otóż, kiedy po „słabości” w Warszawie powlokłem się do Nałęczowa, zastałem tam profesora Radlińskiego, znanego historyka, który nie tylko urodził się i ożenił na Wołyniu, lecz wiele po tamtych stronach podróżował. Był w Kowlu, Włodzimierzu, Żytomierzu, Krzemieńcu, Łucku, Dubnie... Boże, gdzie on nie był! Zawrotu w głowie dostawałem na samą myśl o podobnych ekstrawagancjach.

Naturalnie, wybierając się do Kowla i Łucka, musiałem takiego człowieka wypytać o drogę i stosunki wołyńskie. Szanowny profesor udzielił mi jak najdokładniejszych objaśnień. Naprzód opowiedział: jak podróżować i którą? a następnie dał wskazówki, dotyczące ludzi.

— W Łucku—mówił, pisząc ołówkiem—uda się pan do tych oto osób. Do adwokata Karola Roguskiego, jest to mój szwagier... Niedaleko niego mieszka Romuald Jakubowski, również adwokat, a trochę dalej, za mostem, także adwokat Ignacy Rządewski... O. piszę to panu... Do nich pójdzie pan, opowie swoją sprawę, a już co będzie do zrobienia, oni zrobią z pewnością. Tęgie głowy i porządni ludzie... Innym nie uchybiam, ale tych znam.

Uściskałem i wybłogosławiłem szanownego profesora, a nawet miałem zamiar do



każdego z tych panów ułożyć inną mowę, tak piękną, ażeby zapaliła całą palestrę łucką do popierania moich trzygroszowych interesów. Lecz gdy wylądowałem w Kowlu, o czym wyłuszczono w pieśni pierwszej, mowy okazały się niepotrzebne, gdyż państwo Osuchowscy wzięli mnie pod wszechstronną opiekę.

Wyjazd z Kowla odbył się z przeszkodami. Przyjechaliśmy na stację, potem, nie znalazłszy jednego z naszych współpodróżników, wróciliśmy do miasta, ażeby, w minutę później, na łeb na szyję znowu popędzić na stację, gdyż współpodróżny znalazł się, a nawet podobno wcale nie zginął.

Gdy wsiedliśmy do wagonu, uwagę naszą zwrócił—niby kamień młyński, oparty na dwu ławkach; po chwili dopiero najbystrzejszy z nas odgadł, że jest to pudełko, a raczej pudło... pudlisko... mieszczące w sobie kapełusz damski tego kształtu i wielkości, który już przestał być modnym w Paryżu. Skąd brać wypada naukę, że jeżeli Łuck pod względem „ruchu kobiecego” spóźnia się o sześć miesięcy poza stolicą świata, to np. Żytomierz, jako dalszy od Łucka, spóźniałby się się powinien przynajmniej o dziewięć.

Dzięki miłemu towarzystwu, droga do Łucka wydała mi się mniej brzydką, aniżeli do Kowla. Przytem słuchałem rozmowy, toczącej się między dwoma Rosyanami. Urzędnik sądowy dowodził inspektorowi szkół, że gimnazya nie są warte; inspektor starał się przekonać sędziego, że sądy wcale nie zabezpieczają większej własności ziemskiej przed liberalizmem włościan, którzy mogą cudze lasy wycinać, łąki wypasać, nawet snopy z pola zabierać, jeżeli im się tak podoba. Przemknęło mi przez myśl, że jednak w Prusach albo Ausryi podobne stosunki nie byłyby możliwymi, gdyż tam każdy wyrębuje tylko swoje drzewa i kosi tylko swoje siano. Co kraj, to obyczaj.

Przez okno widziałem ładne lasy, nawet dębowe, rozległe łąki, kilka wsi. O jednej z nich powiedziano mi, że właściciel posiada 300 dziesięcin ziemi (około 600 morgów) w stu kawałkach!... Proszę sobie wyobrazić, jak łatwe musi być przenoszenie roboty z jednego kawałka na drugi, z drugiego na trzeci, z dziewięćdziesiątego na 91-szy!... a każdy w innej stronie, może o parę wiorst oddalony od reszty!.

Takie pokawałkowanie i pomieszanie gruntów swoich z cudzimi, najczęściej włościańskimi, nazywa się „szachownicą” i stanowi klaskę nie tylko Wołynia, ale i Królestwa Polskiego. Ale o tem później.

W drodze oświadcza mi p. Osuchowski, że nie będę rezydował w hotelu, ponieważ chce mnie wziąć „na garnuszek” mecenas Roguski, którego rodzina bawi jeszcze na wsi, a on mieszka sam, jak pustelnik. Okropnie nie lubię być gościem; gdy jednak pomyślałem, jak daleko znajdują się od Warszawy i Nałęczowa, ogarnęła mnie taka tęsknota do serc życzliwych i taka trwoga przed zagadkową przyszłością, że, milcząc, zgodziłem się na wszystko.

Ledwie wysiadłem na stacji, ujrzałem przed sobą człowieka z niezwykle mądrą twarzą, na widok którego chciałem zawołać:

— Wiem!... jesteś pan nieboszczykiem Anczycem, autorem Pieśni Tytusa...

Ale tajemniczy nieznajomy uprzedził mnie.

— Jestem Roguski—rzekł—i pozwól pan...

Nie tylko pozwoliłem, ale, cichy jak jagnię, wsiadłem do dorożki. Mój nowy opiekun miał tak łatwe obejście, iż w półtóry mi-

[illegible]



MODLITWA

JÓZEF KRASNOWOLSKI

NAJMŁODSZA SIOSTRA (studium z Holandyi)

K MÜNZER-NEUMANNOWA

Z WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ T. Z. S. P.

nuty zdawało mi się, że znam go przynajmniej od stu tysięcy lat. O czym rozmawialiśmy, nie pamiętam; przez całą bowiem drogę torturowała mnie myśl: skąd p. Roguski, szwagier prof. Radlińskiego, dowiedział się o moim przyjeździe do Łucka i na zasadzie jakich telepatycznych kombinacji odgadł, że ja będę zdrowszy i śmielszy w jego domu, aniżeli gdybym stanął w hotelu?...

Skąd?... Jest to jedna z zagadek, wobec których człowiek pochyla głowę i mówi sobie: *ignoramus et ignorabimus*.

Nieskończenie długą ulicą jechaliśmy do najstarszej dzielnicy Łucka. Minęliśmy most, potem trochę pod górę między dwoma rzędami sklepów, potem skręciliśmy i nagle ujrzałem obraz niecodzienny. Na prawo ogromny, biały kościół, przy nim wielki plac; na lewo, gdzieś w głębi, wysoka czerwona baszta i mury zamku, w którym niegdyś Witold przyjmował Jagiełłę, cesarza Zygmunta, wielkiego księcia moskiewskiego i króla duńskiego. A nareszcie między zamkiem i placem kościelnym gromada ładnych dworów parterowych z ogrodami. Słowem, na niewielkiej przestrzeni — dramat, sielanka i modlitwa.

W jednym z tych dworów mieszka p. Roguski; tu dostałem wygodny pokój z widokiem na basztę. Jej chorobliwie czerwony ko-

lor i szczątki okien, przypominających trupa głowę, pobudzały mnie do marzeń smutnych i dziwacznych.

Na drugi dzień poznałem wszystkich moich protektorów i sformułowałem sobie pierwsze o nich wrażenie. P. Roguski—wiecznie zamyślony i skupiony; p. Rzażewski—obraz energii, której nic się nie oprze; p. Jakubowski—uosobienie łagodności i spokoju. I zaraz w przepaściach mej duszy począł mi się dramat. Roguski ułożył jakiś demoniczny plan wydobycia moich 700 rubli od kasy gubernialnej żytomierskiej; Rzażewski, ze *Swodem Zakonów* w ręku, do góry nogami wywróci wszelkie przeszkody, a Jakubowski będzie lał balsam na moje serce stroskane, gdy nie uda się afera. Kasy bowiem gubernialne, jak wiadomo, nie lubią oddawać pieniędzy. W każdym razie wyobrażałem sobie, że spadam na Wołyn, jak duch Banka, ażeby do żytomierskiej kasy gubernialnej choć zdaleka zawołać: Makbecie, ty już nie zaśniesz, jeżeli... nie oddasz 700 rubli!

Wieczór—księżyc. Jestem na placu przy kościele i mam halucynację. Marzy mi się, że na tym placu kasa gubernialna żytomierska, jako Makbet, wydaje ucztę dla stu narodów i że podczas uroczystości ja—mam odegrać rolę Banka.

Tu znowu zdarzył się wypadek nadzwyczajny: jestem aktorem, a jednocześnie spektatorem i widzę scenę. Makbet, w postaci tęgiego spasionego rzeźnika, wypija duszkiem ogromne kufle, goście krzyczą: wiwat! a duch Banka staje przed nimi w żółtych butach, amarantowym kontuszu, w białej konfederatce, z drewnianą szablą w złotej pochwie i z nosem nieco zacerwienionym od trunków.

Duch Banka. Makbecie, co uczyniłeś... z moimi 700 rublami?

Makbet (zrywa się z fotelu). Co, znowu on?... *K raz!*...

A ponieważ duch nie zniknął, Makbet chwyta za siekiere i, niby Radionow z powieści *Pr.stuplenie i nakazanie*, zaczyna walić ducha w łeb, w piersi, po rękach... Odleciała drewniana szabla w złotej pochwie, amarantowy kontusz podał się w szmaty, z żółtych butów porobiły się łapcie, ale duch—wciąż tkwił na miejscu, a jego usta szyderczo uśmiechnięte powtarzały:

— Makbecie, ty już nie zaznasz spokoju...

Nagła chmura zasłoniła księżyc i—ocknąłem się.

BOLESŁAW PRUS.

01



1